

HONOR HARRINGTON



CIEŃ ZWYCIĘSTWA

DAVID WEBER

David Weber

CIEŃ ZWYCIĘSTWA

(Shadow of Victory)

Przełożył Radosław Kot

CYKL HONOR HARRINGTON

Dom Wydawniczy REBIS

LUTY 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Nie poddam się łatwo. Mając dość czasu, znajdę sposób na każdego”.

– kapitan Damien Harahap, Żandarmeria Ligi Solarnej

ROZDZIAŁ I



Brandon Grant nie miał pojęcia, ile osób zabił.

Po prawdzie nie pamiętał nawet, na ilu planetach zdarzało mu się zabijać. Nie trudił się zapamiętywaniem podobnych szczegółów. Tym bardziej nie próbował ich zapisywać. Gdyby jednak za sprawą chwilowej utraty instynktu samozachowawczego spróbował sporządzić taki rejestr, z pewnością byłby on bardzo obszerny.

Nigdy jednak nie działał na tak odległym terenie i mimochodem zastanawiał się, dlaczego akurat to zlecenie było takie ważne. I dlaczego to jedno miało wyglądać na zwykły napad rabunkowy? Z drugim celem sprawa była znacznie prostsza, chociaż chodziło o osobę zdecydowanie bardziej eksponowaną, niemniej miejscowy przedstawiciel pracodawcy nawet się nie skrzywił, usłyszawszy o planie klasycznej zasadzki, przygotowywanej przez przydzielony obiektowi zespół. Owszem, pasowało to w pewien sposób do kontekstu, bo wskazana im kobieta chodziła na co dzień w mundurze i wszyscy wiedzieli, że służyła w kwaterze głównej Żandarmerii w Pine Mountain, mężczyzna zaś był cywilem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, śledczy uwierzą bez zastrzeżeń w autentyczność deklaracji Ludowego Frontu McIntosh, przyznającego się do zamachu, chociaż sam LFM będzie tym raczej zdumiony. Dlaczego więc nie pozwolić, żeby ci sami „bezwzględni terroryści” zajęli się również facetem? Może ktoś nie chciał wiązać w ten sposób zabójstw dwóch osób, które robiły dokładnie w tej samej branży? Tyle że takie skojarzenia i tak były nieuniknione. Oboje mieli zginąć tego samego dnia, w odstępie niecałych dwóch godzin i, na miłość boską, taki zbieg okoliczności musi po prostu wydać się podejrzany. Chyba że gość był na tyle głęboko zakonspirowany, że tak naprawdę nikt tu nie wiedział o jego związkach z Żandarmerią czy kontaktach z drugą ofiarą.

Chociaż w sumie to wszystko jedno, pomyślał Grant i w duchu wzruszył ramionami. Przywykł realizować zlecenia zgodnie z wolą zamawiającego, a dlaczego ta czy inna osoba została mu wskazana jako cel, w to już nigdy nie wnikał. To nie była jego sprawa. Skoro zlecenie zostało opłacone, realizował je zgodnie ze specyfikacją. Owszem, prościej byłoby po prostu podejść do celu, strzelić w tył głowy i pójść sobie dalej. Pomimo wszystkich nowoczesnych systemów bezpieczeństwa coś takiego nadal było wykonalne, jeśli miało się głowę na karku i trzymało nerwy na wodzy. Ale nie. Z jakiegoś powodu taka akurat opcja nie wchodziła w grę.

Grant przypomniał sobie fragment wiersza z czasów starożytnych i parsknął z rozbawieniem. Zaiste, to nie była jego sprawa, żeby „zastanawiać się dlaczego”. W gruncie rzeczy płacono mu aż tyle właśnie za to, żeby nawet nie próbował się zastanawiać, tylko robił swoje. „Czyń lub giń” i tak dalej.

Czynił więc, co należało, żeby nie zginąć. Ginał zawsze ktoś inny.

Zerknął na pornograficzne treści wyświetlane przez komunikator i przypomniał sobie z uśmiechem, jak wielu przechodniów krzywiło się, zauważając jego pornola. Nawet im się nie dziwił, to była naprawdę kiepska i brutalna pornografia, ale wybrał ją świadomie, podobnie jak i celowo wyłączył funkcję prywatności. Każdy przechodzący obok musiał zostać porażony burdelowymi efektami. Taka rozrywka pasowała do gościa ubranego tak jak on teraz i stojącego na ulicy z plecami opartymi o ścianę. Kogoś, kto w żadnym razie nie wyglądał na jednego z najlepszych płatnych zabójców znanej galaktyki.

Zerknął wokół, żeby sprawdzić rozlokowanie zespołu, chociaż i tak był pewien, że wszyscy są na swoich miejscach. Dwóch ludzi przywiózł ze sobą, byli to Markus Bochart i Franz Gillespie. Razem przerzucono ich do sektora Madras. Pracował już z nimi kilka razy i wiedział, że go nie zawiodą. Pozostałych dwóch zwerbował na miejscu, ale jak dotąd się sprawdzali. Żałował nawet, że będzie musiał ich wyeliminować przed opuszczeniem sektora. Pewnie jeszcze by się przydali, niemniej, po pierwsze, małe było prawdopodobieństwo, że otrzyma w przewidywalnym czasie podobne zlecenie, a po drugie, nie lubił zostawiać za sobą tropów. Co więcej, jego pracodawca miał dokładnie takie samo podejście i przekazał w tej sprawie jasne instrukcje.

Wszyscy byli ubrani tak samo jak on, w tanie rzeczy w kolorach pomarańczowym, czarnym i zielonym, typowych dla gangu Smoków Tremont Towers, jednej z podlegszych organizacji przestępczych w Pine Mountain. Wiązało się to z pewnym ryzykiem, ponieważ Smoki nie były lubiane przez władze i istniała możliwość, że policja zainteresuje się piątką rzezimieszków. Z drugiej strony, dopóki tylko szwendali się po ulicy, powinno być raczej bezpiecznie. Stołeczni gliniarze zawsze mieli coś ważniejszego do roboty niż zaczepianie członków gangów, choćby i gangu Smoków, dopóki oni sami nie starali się specjalnie zablysnąć. Jeśli zaś patrol ich zauważy i przypomni sobie o nich później, to tym lepiej. Takie spostrzeżenie powinno skierować śledztwo w pożądanym kierunku i Grant aż uśmiechnął się w duchu, pomyślawszy, jak bardzo Smoki się zdziwią, gdy psiarnia się nagle do nich weźmie i zacznie maglować na różne sposoby. Zakładając

oczywiście, że cel naprawdę był dość ważny, aby uzasadnić całą tę maskaradę.

Rozmyślenia Granta przerwał cichy sygnał, który zabrzmiał mu w uchu.

Przez jakieś dziesięć sekund morderca śledził jeszcze akcję pornoła, po czym wyłączył komunikator i oderwał się od muru, pod którym kwitł przez ostatnią godzinę. Przeciągnął się i ostentacyjnie poszukał spojrzeniem swoich ludzi, po czym ruszył chodnikiem. Uśmiechnął się pod nosem, gdy Bochart odkleił się od latarni, której dotrzymywał ostatnio towarzystwa, i wyciągnął rękę w stronę torby na ramieniu przechodzącej obok kobiety. Właścicielka zaraz przytuliła ją do siebie, na co Bochart zareagował szyderczym śmiechem. To było udane zagranie. Któraś z kamer monitoringu miejskiego musiała zarejestrować tę scenę. Będzie jak znalazł jako dowód, że członkowie gangu Smoków szukali guza już wcześniej, zanim jeszcze napotkali swoją główną ofiarę.

Ta zaś wyłoniła się właśnie zza rogu i zmierzała ulicą w ich stronę. Grant przymrużył oczy i przyjrzał się uważnie człowiekowi.

Najdziwniejsze było w nim to, jak zwyczajnie wyglądał. Średniego wzrostu, przeciętnej budowy ciała, z nijakimi włosami i cerą, które nie rzucały się w oczy. Nie było w nim niczego, co przyciągałoby uwagę czy mogło wzbudzić najmniejsze podejrzenia. Grant musiał przyznać, że na żywo cel prezentował się jeszcze bardziej nijako niż na dostarczonych mu zdjęciach. W odróżnieniu od większości ludzi morderca dobrze wiedział, że tak zwyczajna prezencja jest bardzo trudna do osiągnięcia i zawsze kosztuje wiele pracy. Już wcześniej ostrzegł swoich współpracowników, żeby nie dali się zwieść pozorom i nie próbowali zakładać z góry, że ich ofiara jest całkowicie niegroźnym przeciętniakiem.



Damien Harahap był nieszczęśliwym człowiekiem.

Stan jego ducha brał się w dużej mierze z tego, że Harahap nie cierpiał porażek. Ktokolwiek akurat go zatrudniał, zawsze smakowały tak samo gorzko, klęska zaś, której doznał na planetach Montana i Kornati, zostawiła wyjątkowo paskudne wrażenie. Nie miał pojęcia, i zapewne nigdy się nie dowie, co dokładnie zdarzyło się za kulisami, ale nowiny dobiegające z sektora Talbott sugerowały, że coś musiało się zdarzyć. I to coś na tyle istotnego, że całe nowiutkie zgrupowanie floty Manticore wtargnęło do układu Monica i zaprowadziło tam swoje porządki, nie bacząc zupełnie, że może dojść przy tym do poważnej wymiany ognia z Marynarką Wojenną Ligi Solarnej. Harahap nie kojarzył wielu powodów, które mogłyby nakłonić kogoś w miarę

zdrowego na umyśle do tak szalonej decyzji. W zasadzie jedyne, co przyszło mu do głowy, to że być może ktoś zaczął wyposażać flotę układu Monica w nowoczesne solarne jednostki, wspomagając jednocześnie różne ruchy terrorystyczne dążące do destabilizacji miejscowych rządów. Zwłaszcza tych, które ciążyły ku Gwiezdnemu Królestwu, jak Montana czy Split. Tylko kompletny idiota nie załapałby związku pomiędzy takimi akcjami, w Royal Manticoran Navy zaś nie ceniono jednostek ociążałych umysłowo. Co więcej, RMN nie służyła także z nieśmiałości i Harahap mógł sobie wyobrazić wkurzenie dowolnego wyższego dowódcy Manticore, gdyby trafił właśnie na coś takiego.

Dla niego najważniejsze w tej sytuacji było to, na ile ci z Gwiezdnego Królestwa będą w stanie wywęszyć ślady jego powiązań z Żandarmerią Ligi Solarnej. Oczywiście oficjalnie sama Żandarmeria nie miała z tym nic wspólnego, niemniej w rzeczywistości Damien Harahap był kapitanem tej formacji i zapewne mało kto gotów byłby uwierzyć, że działał całkiem sam. Zwłaszcza że wcale nie działał samodzielnie, chociaż Ulrike Eichbauer zadbała o pozory i wedle rozpiski przebywał teraz na „urlopie”, realizując zlecenie prywatnego przedsiębiorcy.

Co było kolejnym powodem jego podłego humoru. Major Eichbauer znała i zasadniczo stosowała zasady konspiracji, ale to ona przesłała mu zakodowaną wiadomość z żądaniem spotkania w Urrezko Koilara. Znając ją, oczekiwał poniekąd czegoś takiego. Major nie zwykła zostawiać swoich ludzi samopas, a póki co nie mogła zobaczyć się z nim oficjalnie. Dopóki zatem nie mieli pewności, że żadne z jego obecnych poczynań nie położy się cieniem na prestiżu Żandarmerii, trzeba było kombinować i mała restauracja na uboczu dobrze się do tego nadawała. Urrezko Koilara specjalizowała się w kuchni iberyjskiej i nie wymieniano jej w przewodnikach turystycznych (ani żadnych innych), ale żarcie było na poziomie, jej właścicielka zaś należała do grona najlepszych tajnych informatorów Eichbauer, jeszcze z czasów sprzed jej awansu, kiedy to przeszła od patroli do pracy biurowej. Wszystko to czyniło lokal miejscem niemal idealnym do dyskretnych spotkań.

Pani major się jednak nie stawiała. Co gorsza, gdy Harahap wszedł do lokalu, właścicielka nawet na niego nie spojrzała. Albo nikt nie przekazał jej, że Eichbauer planowała spotkać tu jednego ze swoich ludzi, albo ktoś dobrze jej zapłacił za staranne udawanie niewiedzy. Zapewne raczej to drugie, przynajmniej sądząc po minie, jaką zrobiła, gdy Harahap poskarżył się na jakość posiłku i zażądał rozmowy z szefem knajpy. Gdyby sprawa nie śmierdziała, kobieta zareagowałaby rutynowo, skoro zaś zmarszczyła czoło, jakby usiłowała sobie przypomnieć,

kiedy wcześniej widziała tego gościa, musiała oczekiwać jakichś kłopotów. Harahap przywykł, że ludzie z zasady go nie pamiętają, to była jedna z jego „cech szczególnych” w tym fachu, a jeśli już budził z rzadka inne reakcje, zawsze świadczyło to o podejrzanym zainteresowaniu jego osobą i zakulisowych kombinacjach.

Jednak co mogło się stać z Eichbauer? Mogła się z nim skontaktować, aby odwołać spotkanie, ale tego nie zrobiła. Był pewien, że oryginalne wezwanie pochodziło właśnie od niej, między innymi dzięki użyciu w nim jednego z haseł, których zestaw został wylosowany przez nią ponad trzy standardowe lata temu. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że zapagnęła zdystansować się do podwładnego, zanim jeszcze rozpęta się gównoburza. Tyle że wtedy ktoś by jednak czekał na niego w tej restauracji i naprawdę trudno było sobie wyobrazić, co mogło skłonić oficera Żandarmerii, i do tego szefa wywiadu brygadier Franciski Yucel, do zlekceważenia umówionego spotkania.

Wszystko to mocno niepokoiło Harahapa, co oczywiście w ogóle nie odbijało się na jego twarzy w to słoneczne popołudnie. Bo przecież jakieś wyjaśnienie musiało istnieć. Niestety, zważywszy na wszystkie okoliczności, mogło to być wyjaśnienie, którego wcale nie pragnął poznać. Czyli takie oznaczające całą masę nowych kłopotów.



Dwaj miejscowi podwładni Granta minęli zbliżający się cel i, jak zauważył z aprobatą Brandon, nie zaszczycili go przy tym nawet spojrzeniem. Teraz szli za nim, Markus Bochart zaś przybrał pozę gangstera i przygotował się do akcji. Uniósł lewą dłoń ze złączonymi trzema palcami, żeby od niechcenia dźgnąć nimi ofiarę w pierś, prawą rękę znacząco wsunął do kieszeni kurtki.

Aż miło patrzeć, jak wszystko przebiega zgodnie z planem, pomyślał Grant. Jeszcze trzy sekundy...

– Cześć, frajerze, jak tam twój portfel...



Harahap mógł być kapitanem Żandarmerii, ale ostatnimi czasy otrzymywał wciąż przydziały, przez które mało czasu spędzał na stołecznej planecie sektora Madras. Jego talenty na niewiele by się zdały na Meyersie czy w mieście w rodzaju Pine Mountain. Na dodatek w jego fachu anonimowość zawsze była w cenie, więc skoro nie musiał, to nie pokazywał się tam, gdzie w końcu mógłby jednak zostać zauważony. Eichbauer też wolała trzymać go jak najdalej od siebie.

Z tego też powodu nie znał stołecznych gangów tak dobrze jak w przypadku innych okolic, rozpoznał jednak barwy Smoków. Ich obecność sama w sobie nie była jeszcze wystarczającym powodem do niepokoju, niemniej doświadczenie zebrane podczas trzydziestoletniej działalności w roli agenta kazało mu mieć na oku tego z przodu, który przybrał właśnie arogancką pozę i ruszył w jego kierunku. Harahap zauważył wcześniej dwóch, którzy go minęli, i był pewien, że teraz szli za nim. Najważniejsi byli jednak ci trzej z przodu. Coś było z nimi nie tak, chociaż gdyby spytano go, co właściwie, na razie nie potrafiłby tego jasno określić.

W innych okolicznościach udałby pewnie zwykłego przestraszonego obywatela i nie próbował w ogóle dyskutować z gangsterem, który zamierzał najwyraźniej dźgnąć go palcami w pierś. Może nawet oddałby mu swój drugi portfel, który nosił na potrzeby spotkań z policją, i przybrał odpowiednią do tego przerażoną minę. Ale to, że tamten wsunął dłoń do kieszeni, zmieniło sytuację. To nie była już zwykła bandycka zaczepka.

– Cześć, frajerze – rzucił pogardliwie gangster. – Jak tam twój portfel...



Brandon Grant otworzył szeroko oczy, gdy prawa ręka mężczyzny wystrzeliła w jego stronę. Błyskawicznie niczym atakująca kobra wyminęła jego dłoń i uderzyła go w przedramię, odrzucając rękę na bok. Potem równie płynnym ruchem cel złapał Bocharta za łokieć i ścisnął mocno palcami. Niespodziewana szpila bólu sprawiła, że Markus wykrzywił się i kolana się pod nim ugięły. Napastnik wbił palce dokładnie w miejscu, gdzie przebiegał nerw.

Niemniej Markus Bochart był zawodowcem. Pomimo bólu sięgnął prawą dłonią po wibronóż, który trzymał w pochwie pod pachą. Nie planował, że zrobi to już teraz, ale skoro ofiara okazała się wyjątkowo nieskłonna do współpracy, rozpiska straciła raptownie na znaczeniu. Dał się zwieść pozorom. Szybka i agresywna reakcja obiektu dowodziła, że nie był wcale tym, na kogo wyglądał.

Jednak dopiero w chwili, gdy złapał za rękojeść wibronoża i zaczął wysuwać dłoń spod poły marynarki, Bochart pojął, jak bardzo się pomylił.



Pomimo zdecydowanie nieprzyjemnej sytuacji Harahap nie oczekiwał, że bandzior tak szybko sięgnie po broń. Niemniej trzydzieści lat praktyki w nieczym fachu miało swoje plusy. Obróciwszy się na prawej pięcie, pociągnął tego za sobą, nie puszczać jednocześnie jego łokcia, przez co uderzył mocno plecami w klatkę piersiową znacznie wyższego mężczyzny i

unieruchomił jego częściowo skrytą jeszcze pod połą marynarki rękę. Zaraz potem zacisnął pięść, żeby przywalić tamtemu w szczękę, równocześnie zaś uniósł prawą stopę i przechyliwszy się do przodu, kopnął w prawą rzepkę kolanową Bocharta.



Grant patrzył na to wszystko z niedowierzaniem. Głośny krzyk Bocharta po strzaskaniu rzepki urwał się po chwili przy trzasku pękających kręgów szyjnych. Ciało poleciało do przodu, a wibronóż wypadł z bezwładnej dłoni. Pomrukujące cicho ostrze bez trudu zagłębiło się w ceramietowy chodnik, ale zaraz automat wyłączył zasilanie. Ten, który wedle planu miał być już martwy, rzucił się z kolei na Franza Gillespiego.

Drugi z bandytów dostrzegł nadciągający cyklon i zdołał nawet wyciągnąć swój wibronóż, ale na nic więcej nie starczyło mu czasu. Harahap zdumiewająco mocno złapał go za dłoń z bronią, drugą ręką sięgając do jego głowy. Wczepiwszy palce we włosy, pociągnął mu głowę w dół, doprowadzając do jej zderzenia z własnym uniesionym kolanem. Trzasnęła kość, trysnęła krew. Harahap obrócił się na pięcie, odrzucając niemal oślepionego i na wpół ogłuszonego Gillespiego prosto na bliższego z dwóch wynajętych miejscowych. Obaj padli skotłowani na chodnik.

Drugi z miejscowych gapił się jeszcze, jakby nie pojmował, jakim cudem starannie zaplanowana akcja aż tak się posypała, gdy Harahap uderzył go kantem dłoni w krtań, jednym ruchem miażdżąc tchawicę. Opryszek zatoczył się do tyłu, Harahap zaś zainteresował się jego powalonym chwilowo partnerem.

Gillespie zdołał tymczasem dźwignąć się na kolano. Jedną dłoń przyciskał wciąż do zmasakrowanej twarzy, próbując otrzeć krew z powiek, a drugą szukał na chodniku upuszczonego wibronoża. Pierwszy z miejscowych zbierał się jednak o wiele sprawniej, ale zanim jeszcze zdołał wstać, Harahap kopnął go potężnie w splot słoneczny. Gdy przeciwnik złożył się wpół, kapitan Żandarmerii zakończył sprawę, wbijając mu łokieć w kark.



Brandon potrzebował nieco ponad pół sekundy, żeby podjąć decyzję. Pieprzyć plan!

Sięgnął do kieszeni, ale nie po typowy dla miejskich gangsterów wibronóż. Gdy unosił pulser, drugi z miejscowych padał właśnie na chodnik. Grant odszukał cel i nacisnął spust.



Słyszając wycie przelatującej tuż obok wiązki strzałek, Harahap odwrócił się od gramolącego

się niezdarnie bandziora z zakrwawioną twarzą. Tego odgłosu nie można było pomylić z żadnym innym, zwłaszcza po latach kariery w roli agenta. Zaraz też ujrzał, jak klatka piersiowa piątego i ostatniego z napastników eksploduje fontanną krwi i poszarpanych tkanek.

Nim jeszcze ciało upadło na ziemię, rozległ się kolejny strzał. Tym razem z użyciem pojedynczej strzałki, nie wiązki. Franz Gillespie ponownie opadł na chodnik.

– Chyba będzie lepiej, jeśli zabierze się pan ze mną, kapitanie Harahap – rozległo się obok. Ton wypowiedzi był zdumiewająco spokojny. Harahap oderwał spojrzenie od pięciu bezwładnych ciał. – Lada chwila zjawi się tu policja Pine Mountain – dodał siwowłosy i jasnooki mężczyzna, którego Harahap nigdy wcześniej nie widział, i schował broń pod szytą na miarę marynarką. – Skłonny jestem przypuszczać, że będą mieli całą masę pytań, na które zapewne wolałby pan nie odpowiadać. W każdym razie ja bym nie chciał, będąc na pana miejscu, zatem...

Skłonił się wytwornie i zachęcił Harahapa, by oddalił się razem z nim.



– Może zechciałby mi pan wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodziło? – spytał nieco kwaśnym tonem Harahap.

Było to jakiś kwadrans później, gdy zaparkowany w pobliskim podziemnym garażu samochód powietrzny tajemniczego wybawcy przemierzał już niebo z dala od miasta. W zwykłych okolicznościach mogliby się spodziewać policyjnego pościgu, ale wszystkie kamery monitoringu na piętrze, gdzie czekał wóz, doznały akurat jakiejś dziwnej awarii. Ujrzawszy mrugające na ich obudowach światełka trybu nieaktywnego, Harahap nie był nawet specjalnie zdumiony.

Siedział na przednim siedzeniu pasażera, z dłonią pod marynarką, gdzie wyczuwał pod palcami rękojeść własnego pulsera. Nieco go to uspokajało, bo chociaż wdzięczny był za ratunek, to jednak...

– Obawiam się, kapitanie, że była to próba dopisania epilogu do ciągu kilku spraw – odparł spokojnie kierowca, nie odrywając spojrzenia od wyświetlacza, chociaż musiał wiedzieć o wycelowanej w niego broni. – Chyba sam pan rozumie, jak to działa.

– A dlaczego właśnie ja miałem zagrać w tej sztuce?

– Za sprawą pańskich niedawnych poczynań. Wie pan, w miejscach takich jak Montana, Kornati, Mainwaring. Te klimaty.

– A jeśli powiem, że nie mam pojęcia, o czym pan mówi?

– Wówczas zapewne przyjdzie mi pomyśleć, że co najmniej jeden z nas jest idiotą. Albo ma drugiego za idiotę. – Uśmiechnął się i po raz pierwszy spojrzął przelotnie na Harahapa. – Ponieważ skłonny jestem sądzić, że żaden z nas nie pasuje do tego opisu, nie przypuszczam także, żeby uznał pan moją obecność w miejscu wydarzeń za dzieło przypadku.

– Zaiste, nie uznaję – przyznał Harahap. – Z drugiej strony nie usłyszałem jeszcze, co pana tam sprowadziło.

– Nie co, a kto. Pani Anisimovna prosiła, żebym miał na pana oko – odparł kierowca.

Harahap skrzywił się mimowolnie.

– A dlaczego pani Anisimovna pana o to prosiła? – spytał po chwili.

– Bo było wskazane, żeby ktoś nad panem czuwał? – zasugerował tamten z szerokim uśmiechem.

Harahap, znowu mimowolnie, także się uśmiechnął.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie będę dążył dalej – powiedział. – Ale i tak chciałbym usłyszeć, co właściwie się wydarzyło. I to jeszcze zanim pan wyląduje. Bo kto wie, czy mi się tam spodoba. Owszem, jestem dozgonnie wdzięczny i tak dalej, ale proszę pana o dogłębniejsze naświetlenie sprawy.

– Jak pan sobie życzy – zgodził się mężczyzna. Włączył autopilota z wprowadzonym planem lotu i odsunął fotel od konsoli, żeby móc obrócić się w stronę pasażera. – Przede wszystkim nazywam się Rufino Chernyshev. – Dostrzegł zdumione spojrzenie Harahapa i zaśmiał się cicho. – Naprawdę! Owszem, prawo jazdy mam wystawione na inne nazwisko, ale wobec możliwości, że przyjdzie nam trochę pracować razem, wolę być szczery.

Harahap kiwnął lekko głową, chociaż wiedział, że taka szczerłość może mieć jeszcze inne przyczyny. Ostatecznie umarli nie zdradzają tajemnic, cokolwiek by wcześniej słyszeli.

– Możliwie najkrótsza wersja tego, czego właśnie byliśmy świadkami, jest taka, że operacja, w związku z którą major Eichbauer była uprzejma wypożyczyć pana pani Anisimovnej, zakończyła się spektakularnym fiaskiem. Można oczekiwać z tego tytułu szeregu kłopotów i trochę potrwa, zanim burza przeminie, przez co część zaangażowanych w sprawę osób nieco się wystraszyła. Jedna z nich wystraszyła się na tyle, że próbowała zatrzeć wszystkie ślady, które mogłyby zasugerować komuś jej udział. Pani Anisimovna przewidziała, że może do tego dojść, i dlatego poprosiła, żebym pana pilnował. Niestety... – dodał z lekkim przejęciem Chernyshev. – Z major Eichbauer mi się nie udało.

– Ulrike nie żyje? – spytał obojętnym tonem Harahap. Jego twarz też pozostała niewzruszona, ale dla dobrze znających go osób byłoby to jednak wyraźnym znakiem targających nim emocji.

– Niestety. – Chernyshev pokręcił głową. – Dopadłem przypisany do niej zespół zabójców, ale kilka sekund za późno. Żyła jeszcze, lecz nie zostało jej wiele czasu i dobrze o tym wiedziała. Była w drodze na spotkanie z panem i ostatnie, co mi przekazała, to gdzie byliście umówieni. – Spojrzał spokojnie na Harahapa. – I dlatego w pana przypadku zdażyłem na czas, kapitanie. Dobrze mieć takich przyjaciół.

– Owszem – zgodził się Harahap. – I dlatego powie mi pan teraz, kto zlecił te zamachy.

– Wiem, że jest pan człowiekiem o sporych możliwościach, kapitanie, ale obawiam się, że to dla pana zbyt trudny cel. Zwłaszcza teraz, gdy on wie, że wciąż pan żyje. Z drugiej jednak strony reprezentuję organizację, która niemal na pewno da radę go dopaść... we właściwym czasie.

– I ta pańska organizacja zdecydowała się mnie uratować wiedzona czystym altruizmem?

– Raczej nie – przyznał ze śmiechem Chernyshev. – Nie, miałem pana uratować, ponieważ jest pan cennym nabytkiem. Dowiódł pan już tego w gromadzie Talbott i ludzie, dla których pracuję, byli pod wrażeniem pańskich talentów. Oczekuję, że też zgodzi się pan dla nich pracować.

– Ale nie jest pan tego pewien.

– Od chwili, gdy otrzymałem ten przydział, sprawy zaczęły się toczyć nadszpiewanie szybko, kapitanie. Mam umieścić pana w bezpiecznym lokalu i poczekać na nowe instrukcje.

– A jeśli nie zechcę siedzieć w tym lokalu? – Harahap wyciągnął pulser spod poły marynarki i pokiwał znacząco łufą. – Ostatecznie jestem kapitanem Żandarmerii. Teraz, gdy wiem już, że ktoś się na mnie uwziął, chyba dam radę jakoś się z tego wykaraskać.

– Może, ale tylko założywszy, że pańscy przełożeni także nie będą zainteresowani zatarciem śladów w wiadomej sprawie. Proszę się nad tym zastanowić. Gdyby ktoś zajął się tym dokładniej, major Eichbauer i pan moglibyście doprowadzić ciekawskiego prosto do brygadier Yucel, a gdy Old Chicago zacznie grzebać w sprawie, wiele osób tutaj znajdzie się w poważnych tarapatach. Naprawdę chce pan sprawdzać, czy brygadier Yucel nie będzie zainteresowana pańskim permanentnym zniknięciem?

– Racja – stwierdził po chwili Harahap. – Z drugiej strony pani Anisimovna też może dojść do podobnych wniosków.

– Może – zgodził się Chernyshev. – Ale nasza organizacja nadal chce tego samego co wcześniej i jesteśmy całkiem pewni, że to, co zdarzyło się w gromadzie Talbott, nie wynikało z pańskiej winy. Dlaczego więc pani Anisimovna miałaby pozbywać się równie sprawnego narzędzia? Zwłaszcza że owo narzędzie nie ma dokąd uciec? – dodał z lekkim uśmiechem.

Harahap też w zasadzie się uśmiechnął. Chernyshev miał rację. Nawet sporo racji. Niemniej...

– Dobrze – powiedział po upływie pół minuty i schował pulser do kabury pod pachą. – Jasno pan to wyłożył i najpewniej ma pan słuszość. Kto wydał rozkaz? Mogę nie być w stanie dopaść go teraz, ale nie poddam się łatwo. Mając dość czasu, znajdę sposób na każdego.

– Nie wątpię, kapitanie Harahap – przyznał Chernyshev z dziwnym wyrazem twarzy. – W tej chwili mogę tylko powiedzieć, kogo podejrzewam o tę inicjatywę. W grę wchodzi kilka osób, z których każda może być tą właściwą. Sprawdzenie tego zajmie trochę czasu, ale bardzo bym się zdziwił, gdyby ostatecznie padło na kogoś spoza tego grona.

– Rozumiem – powiedział Harahap, nie podejmując dalszej dyskusji. Jego rozmówca był najwyraźniej profesjonalistą i wiedział, co mówi.

– Pamiętając o tym, o czym przed chwilą wspomniałem, wskazałbym na Volkharta Kalokainosa. – Chernyshev wzruszył ramionami. – Kalokainos Shipping trochę zbyt otwarcie występuje przeciwko wpływom Manticore, a na dodatek robi to już od długiego czasu i nazbyt angażuje się w niektóre operacje, które w razie ujawnienia nie spotkałyby się z przychylnością Ligi Solarnej. Zwłaszcza ludzi, którzy mają w niej najwięcej do powiedzenia, ponieważ i oni nie wyszliby z tego czysti. Gdyby coś się szykowało, Kolokoltsov bez chwili namysłu poświęciłby Kalokainosa, żeby oszczędzić sobie kłopotów. Poza tym Kalokainos i bez tego ma dość wrogów w branży. Skorzystają z każdej okazji, żeby tylko mu dołożyć.

– A Jessyk i Manpower niby nie mają żadnych wrogów?

– Oczywiście, że mają, ale nie w obrębie Ligi Solarnej. Liga niezbyt może się do nich przyczepić, przynajmniej w granicach prawa. Właściwie wszyscy, którzy mogą narobić im kłopotów, są obywatelami pewnego królestwa, którego nazwa zaczyna się na literę M.

– Pewnie tak – przyznał po chwili Harahap i oparł się wygodnie w fotelu. – Dobrze, panie Chernyshev. Proszę mnie zabrać do tego bezpiecznego lokalu.

– Jesteśmy już w drodze, kapitanie – odparł z szerokim uśmiechem kierowca. – I proszę mówić mi Rufino. Chyba czeka nas całkiem bliska współpraca.

MARZEC 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Tak więc odśwież swoje talenty badawcze, profesorze! Pomyśl, skąd zdobyć oręż do zniszczenia politycznego dzieła mojego najlepszego przyjaciela”.

– Tomasz Szponder, Krucjata Wolności Myśli

ROZDZIAŁ II



Twój ruch, Edyto – powiedziała niebieskooka blondynka, stukając w szachownicę rozłożoną na poręczach między siedzeniami. – Bo chyba zamierzasz dziś wykonać jakiś ruch, co?

– Jasne! – Edyta Sowczyk oderwała spojrzenie od okna. Była cztery centymetry niższa od przyjaciółki i miała ciemne oczy i jasnobrązowe włosy. – Ale jest jeszcze masa czasu! Na razie chcę popatrzeć na port kosmiczny.

Karolina Kreft pokręciła głową i westchnęła męczeńsko, chociaż bez przesadnego przekonania. Jako piętnastolatka była tylko rok starsza od Edyty, ale miała ją za bardziej inteligentną. Nie, żeby jej samej czegoś brakowało pod tym względem. Specjalna wycieczka do portu kosmicznego była tylko dla najlepszych w klasie. Edyta poszła do szkoły rok wcześniej i też należała do wyróżniających się uczniów.

Poza tym regularnie wygrywała z Karoliną w szachy. Jeśli tylko skupiała uwagę na szachownicy oczywiście. I to był jeden z powodów, dla których Karolina chciała nakłonić Edytę do wykonania ruchu już teraz. Głośno by tego nie przyznała, ale zastawiła na jej skoczka pewną pułapkę. W zwykłych okolicznościach podstęp zostałby błyskawicznie dostrzeżony, ale teraz...

– Na to będzie czas, jak tam dotrzemy – powiedziała. – A póki co, spróbujmy dokończyć partię.

– No dobra. – Edyta obróciła się na fotelu, co przyszło jej łatwo, bo była raczej drobnej budowy i mimo tłoku w autobusie powietrznym miała dla siebie sporo miejsca i spojrzała na szachownicę. Zaraz wyciągnęła rękę, ale dłoń zawisła milimetry nad figurą gońca. Po chwili dziewczyna cofnęła rękę i usiadła prosto. – Sprytne – stwierdziła, bawiąc się jedną z tanich, ale bardzo ładnych wstążek utrzymujących jej kitki na miejscu. Nadrukowany na nich trójwymiarowy wzór zaśnił w słońcu, gdy przechyliła głowę, żeby przyjrzeć się szachownicy. – Gdybym była podejrzliwa, doszłabym do wniosku, że próbujesz niecznie załatwić moją królową.

– Kto? Ja? – spytała Karolina z niewinną miną, chociaż nie miała nadziei, że uda się jej oszukać Edytę.

– To by mogło znaczyć, że jakaś tajemna siła przestawiła twoją królową – dodała Edyta z zastanowieniem. Chwilę potem znowu wyciągnęła rękę, ale zamiast gońca ujęła skoczka.

Karolina wydeła wargi. Cały podstęp na nic.



– Ile jeszcze, Andrzeju? – Lukrecja Wolińska musiała podnieść głos, aby było ją słychać w gwarze czynionym przez ponad setkę dzieciaków.

Nauczycielka siedziała zaraz za pilotem autobusu powietrznego. Jako jedna z czterech osób wyznaczonych do opieki nad grupą miała chwilowo więcej miejsca, bo fotel obok niej był pusty. Jej kolega, Roman Sowiński, przebywał akurat w tylnej części pojazdu, próbując nieco uspokoić rozgadane dzieciaki. Oboje wiedzieli, że była to syzyfowa praca, ale należało chociaż spróbować.

Jej rola miała zacząć się po wylądowaniu i Lukrecja była pełna obaw. Grupa była zasadniczo dobra, bez szczególnej łobuzerii, ale wszystkie dzieciaki wywodziły się z ubogich rodzin, korzystających z dobrodziejstw opieki społecznej. Pierwszy raz miały stanąć oko w oko z luksusami, o których ich rodzicom nawet się nie śniło. Ona zaś miała dopilnować, żeby zachowywały się stosownie podczas kontaktu z nowym, nieznanym im dotąd światem.

Tyle dobrego, że dzieci o takim pochodzeniu od małego przyswajały sobie wiedzę, że ludzie są równi i równiejsi. Kojarzyły, że rodziny oligarchów przybyły z całkiem innego świata, i rozumiały, że lepiej schodzić tym ludziom z drogi. Można było oczekiwać, że będą o tym pamiętały również teraz. Pozostawał jednak problem nawyków ukształtowanych przez mocno odmienną codzienność.

Będzie, co ma być, powiedziała sobie w duchu i obejrzała się przez ramię. Uśmiechnęła się lekko, zauważając Edytę Sowczyk, pochyloną akurat nad szachownicą ustawioną między nią a Karoliną Kreft. Te dwie uczennice były najjaśniejszymi punktami nauczycielskiego życia Lukrecji Wolińskiej. Wiedziała, że obie nie mogły się doczekać tej wycieczki. Zwłaszcza Edyta. Obie wyrosły w cieniu portu kosmicznego i ich rodzice pracowali dorywczo dla Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza, które odpowiadało za lwią część obrotów portu. Inna sprawa, że większość ludzi z biedniejszych warstw tam właśnie zwykle szukała pracy.

– Już niedługo, pani Wolińska – odparł Andrzej Bicukowski, pilot autobusu, nie odrywając oczu od wyświetlacza na przedniej szybie. Też musiał nieco podnieść głos. – Jest korek na dolocie. – Postukał w słuchawkę, w której odbierał komunikaty kontroli obszaru. – Chyba dwie ciężarówki się stuknęły i jeszcze jakaś osobówka się w nie władowała. Kontrola zamknęła jedną nitkę południowego korytarza i pewnie wszystko tam ledwo pełźnie. Nasze bydlę utknęłoby tam na dobre, więc zmieniłem planowaną trasę. Podejdziemy do portu od wschodu, nad magazynami SEOM-u, tymi wzdłuż rzeki. – Skrzywił się. – Widok będzie gorszy, ale szybciej wylądujemy.

– Im szybciej, tym lepiej – przytaknęła z przekonaniem Lukrecja, słysząc narastający zgiełk za jej plecami.

Bicukowski zaśmiał się cicho i autobus skręcił na obwodowy korytarz miasta.



– Co ten idiota wyrabia, do kurwy nędzy? – rzuciła ze złością Wiktoria Lewandowska, patrząc na ekran w głównym pomieszczeniu kontrolnym siedziby Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza. Przy pomarańczowym znaczniku pojazdu brakowało kodów transpondera, co akurat nie było w tej chwili takie dziwne. System niezbyt sobie radził z gigantycznym zamieszaniem spowodowanym przez najgorszy od dziesięciu lat wypadek i sporo danych identyfikacyjnych gdzieś się zagubiło. Co gorsza, płonąca taksówka powietrzna uderzyła prosto w automatyczne stanowisko monitorowania ruchu. Niemniej żadna inna z pozbawionych opisu ikon nie kierowała się nad teren Stowarzyszenia. Owszem, pojazd nadal poruszał się w publicznym korytarzu powietrznym, ale SEOM bardzo nie lubiło niezidentyfikowanych gości. Co więcej, wszyscy na planecie świetnie o tym wiedzieli!

– Pewnie kolejna ciężarówka próbuje ominąć korek w południowym korytarzu – powiedziała dyżurna kontrolerka. – Chociaż trudno tu o pewność. System działa teraz z opóźnieniem, pewnie też ma zator w obróbce danych.

– Gównu mnie obchodzi, co się dzieje z systemem kontroli obszaru! – warknęła Lewandowska. – To nasza przestrzeń i nie życzę sobie w niej żadnych prywatnych przewoźników! Nie mają prawa szwendać się tu jak wola i ochota.

Kontrolerka miała ochotę zwrócić uwagę, że wozy prywatnych firm transportowych praktycznie nie zjawiały się ostatnio na tym terenie. Wielkie koncerny znowu wygryzły je z tych okolic i mogło potrwać wiele miesięcy, nim któreś uda się wrócić. Bóg jeden wiedział, jak zdołają przetrwać ten czas. Część pewnie upadnie. Zawsze tak było, gdy rekiny biznesu brały się do ławic płotek. Kontrolerka wiedziała jednak, że lepiej nie mówić szefowej rzeczy, których ta wolałaby raczej nie wysłuchiwać.

– Powiedz mu, żeby natychmiast opuścił nasz obszar – poleciała Lewandowska.

– Już próbowałam, proszę pani. Nie odpowiada na żadnym ze standardowych kanałów łączności.

– Nie odpowiada? – Lewandowska oderwała oczy od ekranu i spojrzała ze złością na pechową kontrolerkę. – A to dlaczego, u diabła?

– Nie wiem, proszę pani – odparła kontrolerka i całą siłą woli powstrzymała się od uwagi: „A skąd, u diabła, mam to wiedzieć?”.

– No to zabierzemy się do niego inaczej. – Lewandowska odeszła o krok i sięgnęła po osobisty komunikator. – Dajcie mi patrol zewnętrzny.



Andrzej Bicukowski zmarszczył brwi i ponownie zredukował prędkość o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zdarzało się już, że stołeczna kontrola obszaru zawodziła w fatalny sposób, ale nigdy tak blisko centrum miasta i w okolicy portu kosmicznego. Oligarchom bardzo się to nie spodoba, ale najwyraźniej system nie wytrzymał zaburzeń wywołanych wypadkiem w południowym korytarzu. Tam musiało panować prawdziwe piekło. Widać było co najmniej tuzin pojazdów służb ratunkowych, kierujących się w tamtą stronę, i być może to właśnie ostatecznie przeciążyło system. Wszyscy wiedzieli, że dawno należało zastąpić go nowocześniejszym, ale przekonanie właściwych osób do przyznania funduszy na modernizację wciąż okazywało się niemożliwe.

– Kontrola obszaru portu kosmicznego – rzucił w mikrofon w nadziei, że może jednak trafi tam na żywego człowieka, który okaże więcej rozsądku niż komputery. – Mówi Marianna Tour jeden zero dziewięć, proszę o potwierdzenie zgody na zmianę planu lotu. Powtarzam, Marianna Tour jeden zero dziewięć prosi o potwierdzenie zgody na zmianę planu lotu.

Odczekał chwilę, bębniąc palcami po kolumnie sterowania, po czym zaklął cicho, widząc na wyświetlaczu pulsujący na czerwono punkt.

Pięknie, pomyślał. Nie dość, że nie chcą ze mną gadać, to jeszcze system obsługi transponderów zrobił sobie wakacje. Nie mieli kiedy...

Zwolnił jeszcze bardziej i przeszedł na pilotowanie z obserwacją wzrokową. Na szczęście widoczność była akurat bardzo dobra.



– Patrol zewnętrzny, zgłasza się Jedyńka – odezwał się Kazimierz Łukaszewski i wyłączył autopilota.

Wystarczyło jedno spojrzenie na wyświetlacz, aby znaleźć intruza. Oznaczony na pomarańczowo punkt przemieszczał się nad prywatnym terenem firmy i nawet się nie spieszył. Parł równo ku samemu środkowi obszaru, który Stowarzyszenie zastrzegło do swojego wyłącznego użytku i słono za to zapłaciło. Pani Lewandowska miała rację, należało dać nauczkę

temu prywatnie.



Porucznik Ludwik Kaczyński z Sił Zbrojnych Włocławka skrzywił się kwaśno i zaczął kolejne okrążenie. Zakończył niedawno czterogodzinny trening i nade wszystko pragnął wylądować i przekazać swoją maszynę personelowi naziemnemu. Tymczasem przytrzymano go w holdingu, co było nie tylko piekielnie nudne, ale jeszcze zagrażało powodzeniu planowanej randki. Pelagia nie należała raczej do dziewczyn gotowych czekać w nieskończoność na zwykłego porucznika, nawet jeśli ten był pilotem wojskowym. Obawiał się, że żadne przeprosiny nie zrobią na niej wrażenia.

Ale gdy spojrział na ekran sytuacyjny, zrozumiał, że sytuacja na dole była znacznie gorsza, niż przypuszczał. W karambolu brało udział ponad dziesięć pojazdów, które wylądowały przymusowo na naziemnych ciągach komunikacyjnych. Niektóre spadły na ziemię w kawałkach. Co najmniej trzy musiały się zapalić, a ogień przeniósł się już na zwykłe ciężarówki, także tkwiące w korku. Nic dziwnego, że kontrola obszaru wołała przytrzymać go w holdingu do chwili zaprowadzenia jakiegoś porządku. Co najpewniej nie nastąpi zbyt szybko. Cóż, Pelagia będzie musiała poczekać...

Nagle jego uwagę zwrócił obiekt poruszający się z niebezpiecznie dużą prędkością kursem północ-północny zachód. Jako pilot wojskowy był wyczulony na podobne zachowanie innych maszyn. Zaraz sprawdził, co to za gość, i zmarszczył brwi. Transponder podawał, że była to jednostka cywilna, ale charakterystyki pasowały raczej do bojowego patrolowca typu *Jastrząb* z dwoma trzydziestomilimetroowymi działkami pulsacyjnymi i podwieszkami na sześć pocisków sterowanych. Skąd, u diabła, wzięło się tu coś takiego?

– Kontrola, Żądło Alfa, pięć Charlie prosi o priorytetowe bezpośrednie połączenie z jednostką cywilną Oskar, Mike, Sierra, echo, siedem jeden!



Kazimierz Łukaszewski uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc rosnącą na ekranie sylwetkę. Tamten nadal nie uruchomił transpondera, ale patrolowiec podchodził pod właściwym kątem i wszystko powinno pójść jak na ćwiczeniach. Zaraz mieli się znaleźć nad ujściem przepływającej przez stolicę rzeki Szerokiej. To była wielka połać głębokiej wody, bez żadnych obiektów na powierzchni, jakby co, drań mógł tam sobie lądować.



– Alfa, pięć Charlie, mówi kontrola portu kosmicznego – rozległ się w słuchawkach dość zaniepokojony głos. – Próbuje cię połączyć, ale na razie niewiele nam z tego wychodzi.

– Kontrola, tu Alfa, pięć Charlie. Rozumiem, ale lepiej się pospieszcie. Nie wiem, co ten idiota zamierza, ale...



Łukaszewski był pilotem starej szkoły, w każdym razie za takiego się uważał. Bardzo żałował, że nie urodził się na Ziemi w czasach, gdy samoloty budowano z drewna i płótna, do celowania zaś potrzebne były tylko bystre oczy. Wtedy trzeba było naprawdę się starać, żeby zostać lotnikiem!

Uznał, że w tych okolicznościach on też może spróbować pójść w ślady przodków, i wyłączył automatyczny system naprowadzania i sterowania uzbrojeniem. Przeszedł całkowicie na tryb ręczny.



Wycie systemu antykolizyjnego sprawiło, że Andrzej Bicukowski sprawdził ekran radaru bliskiego zasięgu. Przy tak zbieżnych kursach nie było czasu pytać kontroli, co robił tutaj ten dureń. Nie było nawet kiedy ostrzec pasażerów, żeby zapięli pasy.

Bicukowski dał pełną moc silników i położył wielki pojazd w lewy skręt, żeby tylko jakoś uniknąć zderzenia.



– Chryste... nie!

Porucznik Kaczyński zbladł jak ściana, gdy autobus powietrzny skręcił ostro w lewo, schodząc z kursu cywilnej rzekomo maszyny, która nurkowała na niego z góry. Kaczyński od razu zrozumiał, co pilot autobusu próbował zrobić i dlaczego. W zwykłych okolicznościach byłby to najlepszy wybór, ale teraz...

Teraz nie mógł wybrać gorzej.



– Cholera... – wyrzucił z siebie Łukaszewski. To był tylko ułamek sekundy. Gdyby tamten wykonał manewr choć trochę wcześniej, nic by się nie stało. Ale było już za późno. Palec musnął sensor systemu uzbrojenia.

Skręcający autobus nadział się prosto na wiązkę ognia z działek i zniknął w oślepiającej kuli ognia.

ROZDZIAŁ III



Zatem oficjalne śledztwo zostało już zamknięte?

– Tak, Tomaszu. Jeszcze tego nie ogłoszono, ale moi ludzie widzieli szkic raportu. – Siedzący po drugiej stronie zasłanego białym obrusem stołu Szymon Ziomkowski westchnął ciężko i pokręcił głową. Potem upił łyk wódki ze stojącej na blacie szklaneczki, odstawił ją i zapatrzył się w nią ponuro. – Smutna sprawa. Bardzo smutna.

– Z pewnością – odparł Tomasz Szponder, prostując się i spoglądając na młodszego rozmówcę. – Ale w śledztwie udało się ustalić, jak właściwie do tego doszło?

– Jeden z tych pechowych zbiegów okoliczności, których nie da się przewidzieć – stwierdził Ziomkowski. – Wychodzi na to, że pilot autobusu nie prowadził nasłuchu na kanale łączności używanym przez ochronę obiektu. Pomimo ostrzeżeń wtargnął w zamkniętą przestrzeń nad portem. A sam wiesz, jak wszyscy zrobili się wyczuleni na takie incydenty od czasu tamtego szaleńca w zeszłym roku.

– Tak.

Szponder też sięgnął po wódkę. Znajdowali się w wielkiej jadalni na najwyższym piętrze hotelu Ziomkowski. Kiedyś nazywał się Orle Gniazdo, ale pięć lat temu Szymon zdecydował się uczcić swojego stryja, Włodzimierza Ziomkowskiego, i zmienił szyld. Stara nazwa szybko poszła w zapomnienie. Przynajmniej oficjalnie.

– To Ludwika podpisała raport? – spytał.

– Zasadniczo to nie jej działka. – Ziomkowski podniósł spojrzenie. – Jest głównodowodzącym Sił Zbrojnych Włocławka. Raport zatwierdzi pewnie ktoś na niższym szczeblu, może Pawlikowski. Pewnie jest na to jakaś wojskowa procedura. Nie, żebym się na tym znał.

– Jasne. – Szponder uśmiechnął się i lekko machnął dłonią. Jego w sumie też to nie obchodziło. Potem skinął na kelnera. – Słyszałem, że macie dziś dobre ruskie – powiedział. – Ale na początek poprosimy o krupnik. Co jeszcze by pan polecał?



– Zamawia wcześniej, niż oczekiwałem – zauważył Wincenty Małakowski.

– Gdybyś spojrzął na jego dzisiejszy grafik, tobyś się nie dziwił – powiedział tonem łagodnej

reprimendy Grzegorz Zieliński. – Pan Szponder ma dziś sporo roboty. I przeniesione na wcześniejszą porę przemówienie w szpitalu.

– A przewodniczący musi się dostosowywać? – spytał oschłym tonem Małakowski.

– Nie musi, ale chce. Chodzi o zwykły szacunek. – Zieliński pokręcił głową. – Młodzi nie mają szacunku dla tradycji. Pan Szponder zna przewodniczącego od młodszych lat. Jest prawie jego wujkiem.

– Wiem, wiem! – zachnął się Małakowski i machnął ręką, trochę jakby przepraszał. – I sądzę, że jeśli ktokolwiek w partii zasługuje na takie względy przewodniczącego, to właśnie Szponder.

– Pewnie tak – zgodził się Zieliński. – A skoro już teraz złożyli zamówienie, to my też powinniśmy.

– Dobry pomysł – przytaknął Małakowski i włączył ekran menu. Nadal jednak nie odrywał spojrzenia od mężczyzn siedzących przy prywatnym stoliku. – Ciekawe, o czym rozmawiają.

– To nie twoja sprawa – rzucił Zieliński zajęty menu.

– Najpewniej nie moja.

Przeglądający menu Zieliński mruknął tylko coś pod nosem, chociaż obaj wiedzieli, że to nie była do końca prawda. Jako agenci przydzieleni oficjalnie przez Biuro Ochrony mieli zwracać uwagę na wszystkie kontakty przewodniczącego, które mogłyby mieć znaczenie polityczne. Co więcej, będąc funkcjonariuszami Departamentu Bezpieczeństwa, odpowiadali bezpośrednio przed jego szefową, Justyną Pokriefke. Aż nazbyt często oznaczało to odpowiedzialność wykraczającą znacznie poza to, czego oficjalnie od nich wymagano.

Złożywszy wreszcie zamówienie, rozejrzał się ponownie po sali. Bez trudu dostrzegł jeszcze innych agentów, rozstawionych strategicznie wokół wejścia. Kiedyś uznano by takie środki bezpieczeństwa za bezsensowną przesadę. Zieliński pamiętał dobrze, jak Włodzimierz Ziomkowski zwykł odprawiać swoich ochroniarzy i bez lęku wchodzić w rozentuzjasmowany tłum, żeby ścisnąć dłonie, całować dzieciaki i dawać się klepać po plecach. A czasem wysłuchiwać próśb czy sugestii członków partii.

Tęsknił za tamtymi czasami.

– Kontrola statusu – mruknął i poczekał, aż w słuchawce rozlegną się głosy wszystkich pozostałych agentów.

Nie przypuszczał, żeby ktokolwiek planował zamach na przewodniczącego Ziomkowskiego,

ale pewności nie miał, incydent z autobusem powietrznym zaś mógł przynieść jeszcze przykre reperkusje. Autobusy wycieczkowe z dziećmi nie są standardowym celem maszyn wojskowych. To nie powinno się zdarzyć. Oficjalnie podano, że zginęło nieco ponad osiemdziesiąt osób, ale w sieci już pojawiły się pogłoski, że rząd zaniżył liczbę zabitych. Nie wydawało mu się to prawdopodobne. Ostatecznie taki autobus mieści właśnie od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu pasażerów. Niemniej rzeczywiście nie był pewien, czy podana oficjalnie liczba jest prawdziwa, a plotki zaczynały krążyć coraz groźniejsze. Niektóre sugerowały nawet, że zafałszowanie danych nastąpiło na osobiste polecenie Ziolkowskiego.

W takiej sytuacji wzmocnienie ochrony mogło mieć sens.

Przewodniczący i jego gość otrzymali już zakąski. Inny kelner położył tymczasem talerze przed agentami. Zieliński podziękował półgębkiem i sięgnął po owinięte w białą serwetkę sztucce.

– Lepiej wiosłuj – poradził Małakowskiemu. – Jeśli Szponder będzie chciał zmieścić się w grafiku, a przewodniczący postanowi wyjść razem z nim, to nie mamy wiele czasu.

– Wiem.

Małakowski ujął widelec, a Zieliński spojrzał ponownie na szatyna o nieco kwadratowej twarzy, który siedział naprzeciwko Ziolkowskiego.

Tomasz Szponder był dwanaście–trzyście centymetrów niższy od przewodniczącego, ale Ziolkowski uchodził za bardzo wysokiego. Szponder był też ponad trzydzieści lat od niego starszy. W swoim czasie był nawet studentem Włodzimierza Ziolkowskiego, skończył uczelnię na dziesięć lat przed narodzinami Szymona. Zajmował poczesne miejsce wśród oligarchów, którzy zdominowali gospodarkę planety Włocławek. Był czas, gdy utrzymywał bliską znajomość z Grzegorzem Zielińskim, ale działo się to dawno, w okresie budowy Ruchu Odrodzenia Narodowego. Obaj działali z entuzjazmem na rzecz partii, ale gdy ta w końcu wygrała i zaczęła wcielać w życie swoje postulaty, ich drogi się rozeszły.

Szponder wrócił wtedy do swojej roli przedstawiciela elity finansowej, Zieliński zaś zajął się tym, co było bliższe jego sercu, czyli chronieniem owych przedstawicieli. W głębi duszy żywił niejaki żal wobec dawnego przyjaciela za taki właśnie wybór życiowy, ale musiał przyznać, że nie stał się on przynajmniej „poszukiwaczem trufli”, jak nazywano miejscowych januszy biznesu. Było to określenie przeniesione ze Starej Ziemi, choć wiązało się też bezpośrednio z miejscowymi grzybami, które przypominały trufle, były jednak o wiele bardziej aromatyczne.

Wielu miało je za niemal uzależniający przysmak, ale niezależnie od wszelkich różnic tak samo najsprawniej poszukiwały owych grzybów zwykle ziemskie świnie.

Oczywiście Szponder nie musiał kombinować dla zdobycia bogactwa. Owszem, dbał o swoje dochody, co przy tylu znajomościach w partii nie było rzeczą trudną, ale pochodził z tradycyjnie majątnej rodziny, która należała do założycieli kolonii nazwanej później Włocławkiem. Między innymi dlatego był kiedyś tak cennym nabytkiem dla Ruchu Odrodzenia Narodowego i w początkowej fazie działalności często potężnie zasilał kasę ugrupowania. Nie zażądał jednak nigdy spłaty długu. Rozumiał, że wysuwanie pod adresem partii jakichkolwiek roszczeń byłoby złym pomysłem, i to niezależnie od statusu. Ostatecznie potraktował zapewne tamte wydatki jako rodzaj inwestycji, która miała się zwrócić niekoniecznie w gotówce. I od tej strony na pewno się opłaciło, biorąc pod uwagę obecną pozycję tych, którzy pozostali z tak zwanej Grupy Trzystu, czyli ludzi związanych jakoś z pierwszym składem komitetu centralnego partii. Kombatanci do dzisiaj nosili z dumą stare plakietki, rezygnując z holograficznych identyfikatorów wydawanych nowym członkom partii. Oczywiście obecnie pozostało ich już o wiele mniej niż trzystu, i wielka szkoda...

Zieliński przerwał te dywagacje i wrócił myślami do Szpondera. Tak, były towarzysz partyjny wrócił z werwą do interesów i obecnie był dzięki temu o wiele bogatszy niż na początku kariery. Przy czym nie zapominał o działalności charytatywnej, głównie tej związanej z założonym przez niego Stowarzyszeniem Sióstr Ubogich, które niezmiennie stanowiły większość personelu Szpitala im. Marii Urbańskiej, znajdującego się w centrum stolicy, ale z oddziałami w najbiedniejszych dzielnicach miasta. Rodzina Szponderów dbała o finanse szpitala od blisko dwóch stuleci.

Był też właścicielem dwóch popularnych gazet: „Kuriera” i „Głosu Łądku” (stolica powstała w miejscu lądowania pierwszych kolonistów i stąd wzięła się jej nazwa). Kupił je kiedyś na potrzeby partii i tyle w nie zainwestował, że stały się najpoczytniejszymi periodykami na planecie. Obecnie zostawiał im znacznie więcej swobody niż w pierwszym okresie, gdy trwała jeszcze ostra walka polityczna. Porzuciwszy politykę, przestał przejmować się wieloma rzeczami, choć całkiem często się zdarzało, że jego reporterzy trafiali na ślad różnych spraw wcześniej niż agenci służb rządowych. Szponder bawił się potem przekazywaniem rozmaitych ciekawych nowin Pokriefke albo Teofilowi Strenkowi, gdy tylko gdzieś ich napotkał.

No i był jeszcze Dom Wydawniczy Zielone Wzgórze. Nikt nie wiedział, dlaczego Szponder

nazwał tak swoje wydawnictwo, zwłaszcza że w rejonie stolicy nie było żadnych „zielonych wzgórz”. Gdy go o to pytano, uśmiechał się tylko, jakby chodziło o bardzo prywatny żart. Niemniej Dom Wydawniczy Zielone Wzgórza publikował tysiące tytułów, tak w tradycyjnej, papierowej, jak i w elektronicznej wersji, przy czym sporą część nakładów rozprowadzano nieodpłatnie wśród najuboższych rodzin. Zwłaszcza w stolicy. To sprawiało, że cieszył się nieco lepszą renomą niż pozostali oligarchowie.

Co w sumie nie znaczyło aż tak wiele.

Nie okłamuj się, mruknął w duchu Grzegorz Zieliński. To nie jest to, czego chciałeś. On też pewnie nie o tym marzył. A ty wcale nie jesteś wiele lepszy od niego. Idziesz za stadem i tak naprawdę niewiele więcej. I w sumie nie ma się czemu dziwić, bo to zawsze tak działa. Piękne hasła na początku, a potem jest jak zwykle. Też miałeś kiedyś różne marzenia, ale szczęśliwe zakończenia zdarzają się jedynie w bajkach.



– Jestem pewna, że Teofil nie ucieszy się z raportu Pawlikowskiego – powiedziała zrzędlwym tonem Justyna Pokriefke. – Naszych przeciwników też nie zadowolili. Zwłaszcza po tym, gdy ten drań wykradł zapisy kontroli przestrzeni powietrznej. Musimy mieć teraz oczy dokoła głowy. Sprawy mogą przybrać... bardzo niekorzystny obrót. Łagodnie mówiąc.

– Za bardzo się przejmujesz – odparła Agnieszka Krzywicka, która siedziała za swoim biurkiem o blacie wielkim niczym lądowisko. – A Teofilowi jest w sumie wszystko jedno. I tak wie, z której strony chlebek jest posmarowany. A jeśli będziemy musieli mu o tym przypomnieć, na pewno znajdziemy jakiś sposób.

Pokriefke nie zgromiła jej za to spojrzeniem, ale też wszyscy wiedzieli, że z Krzywicką nie należy zadzierać. Dotyczyło to nawet pani minister Departamentu Bezpieczeństwa, instytucji cieszącej się zdecydowanie złą sławą. Pokriefke kierowała urzędem od blisko piętnastu lat, co uczyniło z niej zdecydowanie niebezpieczną osobę, ale Krzywicka, która była „tylko” pierwszym sekretarzem komitetu centralnego partii i oficjalnie nie piastowała żadnej rządowej posady, i tak mogła więcej. Oficjalnie pierwszą osobą w partii był Szymon Ziolkowski, ale Krzywicka wyrosła na szarą eminencję jeszcze za życia jego wuja i od tamtego czasu nieustannie umacniała swoją pozycję w aparacie partyjnym, który miał decydujący wpływ na działanie mechanizmów państwa. Sejm mógł się zbierać regularnie w swojej urzędowej z przepychem i przestronnej siedzibie, ale jego decyzje były zawsze jedynie wyrazem woli partii. Nikt nie miał szansy na

żaden istotny urząd, jeśli nie był członkiem partii, ostateczna decyzja zaś należała zawsze do Krzywickiej. Bez jej aprobaty nikt w całej republice nie miał szansy na osiągnięcie jakiegokolwiek sukcesu. Niezbyt rosła osoba (ledwie metr czterdzieści siedem wzrostu) mocno trzymała w garści cały polityczny światek i półświatek Włocławka, ludzi nieskłonnych z nią współpracować odsyłając zwykle na cmentarz.

Nie oznaczało to oczywiście, iżby była ze stali pancernej, chociaż ona sama zdawała się o tym nie pamiętać.

– Nie sugeruję, że Teofil zakwestionuje wyniki oficjalnego dochodzenia – odparła dowodząca tajną policją Włocławka. – Mówię tylko, że nie będzie zadowolony. Nie sprzeciwi się, ale nie będzie też przekonująco przytakiwać.

– Sugerujesz, że raport nie jest przekonujący? – spytała Krzywicka z przewrotnym uśmiechem.

Pokriefke parsknęła śmiechem.

– Rany, przecież każdy, kto ma chociaż dwie szare komórki, szybko pojmie, że ten raport to... zwykła bлага. – Powstrzymała się przed powiedzeniem „kolejna bлага”, ale była pewna, że Krzywicka się tego domyśliła. – Pilot tego autobusu nie miał zielonego pojęcia, że znalazł się w obszarze zamkniętym dla ruchu. I w sumie ten obszar nie był zamknięty, przynajmniej w świetle prawa, a dzięki temu hakerowi co najmniej dwie trzecie mieszkańców miasta już wie, że nie dostał też żadnego ostrzeżenia. Do końca przyszłego tygodnia będzie o tym wiedzieć dwie trzecie planety. Już wcześniej, przed tym włamaniem do systemu, mówiłam, że lepiej będzie przyznać, że Lewandowska pokpiła sprawę, i rzucić ją wilkom na pożarcie. Bóg wie, że na to zasłużyła! Wciąż uważam, że byłby to dobry ruch, zwłaszcza teraz, gdy tyle wyciekło do sieci. Ale po publikacji raportu nie będziemy już mieli żadnej możliwości ruchu.

– Tak? A ty wyjaśnisz osobiście Hieronimowi, dlaczego jego kuzynka ma stanąć przed sądem pod zarzutem uśmiercenia stu dwudziestu trzech osób?

Krzywicka odchyliła się razem z fotelem do tyłu i splotła palce na piersi. Widać było, że zacisnęła mocno szczękę.

Oczywiście nie miała najmniejszej ochoty przekazywać czegoś takiego Hieronimowi Mazurowi. Mogła być najpotężniejszą osobą na całej planecie, ale dyrektor Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza też nie był byle kim. W pewien sposób znaczył nawet więcej od niej. Nazwa firmy była nieco myląca, bo tak naprawdę nie tylko o owoce morza tu chodziło. To

była ostoją miejscowej oligarchii. Założona ponad trzysta lat temu organizacja skupiała w szeregach udziałowców bankierów, magnatów przemysłowych i międzygwiazdnych armatorów.

Wiktoria Lewandowska zaś, zarządzająca ochroną firmy, była daleką kuzynką szefa. To wystarczyło, żeby nikt mający trochę oleju w głowie nie próbował stawiać jej żadnych zarzutów. Dla samego Mazura sytuacja też była korzystna, bo wiedział, że może zlecić swojej kuzynce dowolne zadanie, a ona wykona je bez mrugnięcia okiem i nawet się nad tym nie zastanowi. Zresztą, sądząc po tym ostatnim, z myśleniem i tak było chyba u niej kiepsko. Tak czy siak, szef firmy nie byłby skłonny głośno przyznać, że jego podwładna w ogóle nie próbowała nawiązać kontaktu z pilotem autobusu, tylko od razu nakazała jego zestrzelenie. Zwłaszcza w przypadku, gdy ten autobus poruszał się tak naprawdę w publicznym korytarzu ruchu powietrznego, który przebiegał akurat nad terenami przedsiębiorstwa. Co do tego ostatniego, raport na wszelki wypadek przyjął wersję, że pojazd znajdował się w zamkniętej dla ruchu przestrzeni portu kosmicznego.

Z tego samego powodu zdecydowano się przedstawić wersję, zgodnie z którą zestrzelenia dokonała jednostka Sił Zbrojnych ochraniająca teren portu, a nie prywatny patrolowiec, który oficjalnie znajdował się w tym czasie pół kilometra dalej.

Oczywiście nie wspomniano w raporcie ani słowem o tym, co się stało z tym patrolowcem dziesięć sekund później. Pilot wojskowy powinien dziękować niebiosom, że Mazurowi zależało raczej na ochronieniu swojej kuzynki i nie zamierzał wyznaczać winnych całego zdarzenia. Próba oskarżenia tamtego porucznika o nieautoryzowane otwarcie ognia do patrolowca, który zestrzelił autobus, byłaby nad wyraz ryzykowna. Kto wie, jakie brudy mogłyby wypłynąć przy okazji. Nie. Załatwiono więc sprawę po cichu, jak zawsze. Ręka rękę myje i tak dalej.

Ale tym razem jest inaczej, pomyślała z rozgoryczeniem Pokriefke. Tym razem śmierć dosięgła dzieci. Z ubogich rodzin. Dzieci. Ludzie wiele zniosą. Zacisną usta, spuszcza głowy i zachowają swoje myśli dla siebie. Ale czy tym razem też tak będzie? Już teraz było gorąco i należało oczekiwać, że temperatura jeszcze wzrośnie. Zwłaszcza gdy ludzie zaczną zestawiać oficjalny raport z tym, co wyciekło do sieci. A swoją drogą, nie wiem nawet, jak doszło do tego wycieku...

Przemknęło jej przez głowę, żeby może powiedzieć to głośno, ale uznała, że lepiej nie. Nie zajmowałaby tak długo swojego stanowiska, gdyby nie znała dobrze reguł gry. No i nie marzyła wcale o chwili, gdy Krzywicka albo Mazur zaczną ją wypytywać, jakim cudem zapisy

komunikacji radiowej kontroli obszaru trafiły do sieci. Technicznie rzecz biorąc, takie sprawy pozostawały w gestii Policji Federalnej, a dokładnie Wydziału Kryminalno-Dochodzeniowego Teofila Strenka, niemniej policja nie dostała żadnego oficjalnego zgłoszenia w tej sprawie, a Pokriefke w żadnym razie nie życzyła sobie, żeby Strenk grzebał w jej dokumentacji. W swoim czasie była jego młodszym partnerem w dochodzeniówce i wiedziała świetnie, jak ten człowiek pracuje i co o niej myśli. Gdyby przejął to śledztwo, z pewnością nie wyszłaby na tym najlepiej.

Poza tym i tak nie było o co się szarpać. Wszystko zostało już przesądzone. Mazur rozdał karty, a Krzywicka nie zamierzała kruszyć kopii o coś tak banalnego, jak cały autobus martwych dzieciaków. Ostatecznie to nie były jej dzieci.



– Boże, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – westchnął Szponder, opadając na wysłużony skórzany fotel w swoim małym biurze przy Bulwarze Heinleina. Staroświeckie sprężyny mebla jęknęły, gdy wyciągnął się wygodnie i przeczesał palcami brązowe włosy. Potem wydał wargi i wypuścił głośno powietrze. – W hotelu dobrze karmią, ale dzisiaj wszystko smakowało jak tektura. – Pokręcił głową i wskazał na drugi, równie wiekowy fotel stojący po przeciwnej stronie biurka. – Siadaj – powiedział i Jarosław Kotarski zajął miejsce, wszelako znacznie ostrożniej niż gospodarz. Po części dlatego, że był znacznie potężniejszym mężczyzną i nie chciał sprawdzać własnym siedzeniem wytrzymałości mebla. Poza tym wiedział świetnie, że fotel powstał przed ponad trzema wiekami i służył kiedyś tamtemu Tomaszowi Szponderowi, pierwszemu prezydentowi planety Włocławek. Jako były profesor Wydziału Historii na Uniwersytecie imienia Mikołaja Kopernika Kotarski miał zapewne więcej szacunku dla zabytku niż potomek prezydenta.

A może i nie. Nawet po tylu latach znajomości nie mógł powiedzieć, że zna Szpondera na wylot. Tomasz nie był wylewnym człowiekiem i zapewne nawet Grażyna, jego żona, nie wiedziała o nim wszystkiego.

– Zatem obiad się nie udał – mruknął Kotarski. – Ale nie powiesz chyba, że chodziło tylko o żarcie? – dodał, gdy Szponder otworzył wbudowaną w biurko lodówkę i wyciągnął oszronioną butelkę wódki. Obok niej pojawiły się dwie szklaneczki.

– Bo nieźle mnie znasz? – zasugerował gospodarz, po czym otworzył butelkę i nalał. – A może tak łatwo mnie rozgryźć?

– To ostatnie raczej nie jest prawdą, i bardzo dobrze. – Kotarski przyjął jedną ze szklaneczek

i uniósł ją lekko w toaście. Szybkim ruchem wychylił zawartość i głośno odstawił naczynie na blat. – Dobra. A pomijając kulinaria, jak poszło?

– Dokładnie tak, jak oczekiwałem. – Szponder pomasaował skronie. – Jak mówiłem, Szymon słuchał, ale nic do niego nie docierało. Jest już tylko marionetką Krzywickiej.

– Głupia sprawa. Frustrujące jak cholera, ale on nie jest taki jak Włodzimierz. Chociaż z drugiej strony, pod sam koniec Włodek też już nie był sobą – powiedział Kotarski. – Pamiętasz?

– Tak – przyznał Szponder, opuszczając ręce na podłokietniki fotela. – Nie był.

– Miałeś szansę pogadać z kimś jeszcze?

– W lobby udało mi się „przypadkowo” wpaść na Teofila. Gdy rzuciłem mu kilka słów o krążących w mieście plotkach, wyraził zdanie, że to zmierza w złym kierunku. W kancelarii partii spotkałem jeszcze Justynę i Bjørna. Chyba żadne z nich nie ucieszyło się na mój widok, ale byli dość uprzejmi. Nie wiem jak on, ale Justyna wyraźnie się czegoś obawia. W tej chwili przychodzi mi do głowy tylko jeden powód.

– Ale Kudzinowskiego to nie rusza? Ciekawe – stwierdził Kotarski. – Sądziłbym, że to będzie bardziej jego broszka niż Pokriefke.

– Najwyraźniej on tak nie uważa – odpowiedział Szponder i znowu polał.

Kotarski pokiwał w zamyśleniu głową. Bjørn Kudzinowski przewodniczył Komisji Wolności i Sprawiedliwości Społecznej, która była najpotężniejszą agendą republiki pozostającą poza kontrolą policji. Łączył przy tym funkcje ministra przemysłu, pracy i handlu, program edukacyjny zaś, w którego ramach organizowano wycieczki młodzieży szkolnej do portu kosmicznego, był właśnie pomysłem komisji. Można by więc sądzić, że...

– Zastanawiam się, jaki miał wpływ na ostateczną reakcję Krzywickiej i Sosabowskiej na całą sytuację – powiedział głośno.

– Sądzę, że Sosabowska woli trzymać się od tego jak najdalej – zauważył Szponder, zamykając butelkę. – Jak wspomniał Szymon, oficjalnie śledztwo było prowadzone przez Inspektorat Sił Zbrojnych. To działka brygadiera Pawlikowskiego. Karierowicz z niego, więc podpisze wszystko, co mu podsuną. W tym przypadku może mieć nawet własne zdanie, ale ma też żonę i dzieci. Poza tym jego sprzeciw niczego by nie zmienił, prawda? – Pokręcił ze smutkiem głową i upił wódki. – Też złożył stosowny podpis, więc Sosabowska pozostanie poza sprawą. Wprawdzie wątpię, żeby była w stanie coś zdziałać, ale nawet nie będzie miała okazji spróbować. A poza tym w ten sposób jej pilot wyjdzie z tego cało. Gość zrobił dokładnie to, co ja

bym zrobił na jego miejscu. I dobrze, że nie stanie z tego powodu przed sądem.

– Ale chyba nie sądzą, że to wszystko się ot, tak... rozmyje?

– Wydaje mi się, że oni w ogóle nie myślą w ten sposób. – Szponder ustawił swoją szklaneczkę dokładnie pośrodku podkładki na blacie biurka i otoczył ją trójkątem złożonym z palców wskazujących i kciuków. Przez chwilę patrzył na to w milczeniu, jakby czekał na odpowiedź kryształowej kuli. – Chyba w ogóle nie obchodzi ich, jak zareagują na to zwykli ludzie. Na to czy cokolwiek innego. Już ich nie obchodzi. Do tego stopnia odlecieli.

– Kurna – rzucił Kotarski i westchnął ciężko. W sumie nie był zdziwiony, ale i tak pokręcił głową. – To nie tak miało wyglądać – powiedział. – Był jakiś powód, dla którego stworzyłeś Krucjatę. Poza tym, że dało mi to robotę, gdy wywalili mnie z uniwerku.

– Wiem. I to boli. I bolało mnie dzisiaj, gdy siedziałem naprzeciwko Szymona. Jest tak podobny do Włodka i tak różny zarazem. Nic do niego nie dociera. Nie rozumie, że należałoby coś z tym zrobić. I to jest najgorsze, Jarek. Sądzę, że on nie gra. To nie tak, że przymyka oczy i udaje, że nic nie widzi. On naprawdę oślepl. I reszta wierchuszki tak samo. W zasadzie zaprzepaścił już wszystko, co Włodek zdołał osiągnąć. Sam wiesz, że on nie stałby biernie. Nawet pod koniec kariery nie pozwoliłby, żeby partia zamiotła pod dywan sprawę zabójstwa ponad setki dzieciaków. Nigdy by na to nie pozwolił!

– Pewnie nie – zgodził się Kotarski, chociaż w głębi ducha nie był tego całkiem pewien. Znał Ziomkowskiego dłużej niż Szponder i chciał wierzyć, że gospodarz miał rację, ale wiedział też, że pod koniec życia człowiek, który stworzył Ruch Odrodzenia Narodowego, zaczął ulegać systemowi. Był na tyle zmęczony i znużony, że mógłby machnąć ręką na podobną sprawę. Chociaż może nie? Tomasz Szponder cechował się niecodzienną lojalnością i nie było sensu sprzeczać się z nim na temat tego, jak mógłby postąpić jego dawny przyjaciel. – Niestety – powiedział. – Teraz mamy do czynienia z Szymonem. Czy raczej z Krzywicką i Mazurem. Nie z Włodkiem. A z tego, co mówisz, wynika, że zrobi się szybko jeszcze paskudniej. Jeśli to zignorują, będzie kwestią czasu, aż oleją coś znacznie poważniejszego. Z komórek partyjnych zaś dobiegają mnie głosy, że już teraz jest źle. Ludzie są na tyle wkurwieni, że mogą się ruszyć. Gdy byłeś na obiedzie, przejrzelśmy z Tomkiem ostatnie raporty, które potwierdzają, że atmosfera gęstnieje. Zacznie się od zamieszek w dzielnicach biedoty. Nasi ludzie ruszą się pewnie trochę później.

– Wspaniale.

Szponder wstał i podszedł do jedyne go okna w gabinecie. Spojrzał na ulicę w dole. Wyglądała całkiem spokojnie, ale łatwo było sobie wyobrazić, że to się może zmienić. Widział już takie sceny w czasach, gdy wraz z Włodzimierzem Ziomkowskim i innymi idealistycznie nastawionymi studentami, którzy stanowili wówczas główną siłę Ruchu Odrodzenia Narodowego, ruszyli razem do walki z korupcją zżerającą dawną republikę.

Gdyby wtedy wiedział, co z tej walki ostatecznie wyniknie, od ręki zastrzeliby Włodka. Nieważne, jak bardzo go szanował i poważał. To nie tak miało wyglądać.

– Popłynię więcej krwi niż podczas naszego przewrotu – powiedział cicho, opierając czoło o szybę. – Biuro i komisja okopały się solidniej niż dawna policja i służba bezpieczeństwa. I są bardziej bezlitosne. Oligarchowie też odrobili lekcje. Gdyby sami sięgnęli po takie właśnie metody, jakie stosują teraz Pokriefke i Krzywicka, w ogóle nie byłoby szans na legalizację partii. Drugi raz nie popełnią tego błędu.

– To oczywiste. Od początku było jasne. Dlatego jesteśmy zorganizowani tak, a nie inaczej. Pytanie tylko, czy nie pora przejść do bardziej... zdecydowanych działań.

Stojący przy oknie Szponder przymknął powieki i pokiwał głową. Kotarski miał rację. Prościej byłoby zacząć akcję na rzecz nowych wyborów, jak to kiedyś zrobili z Włodziem, ale już jakiś czas przed śmiercią przyjaciela zrozumiał, że to się więcej nie uda. Dlatego na trzy lata przed odejściem Włodka zaczął tworzyć Krucjatę Wolności Myśli. Nie była to łatwa decyzja, ale w pełni świadoma. I nigdy od tamtego czasu się nie zastanawiał, czy będzie trzeba znowu stanąć do walki. Pytanie brzmiało jedynie: kiedy.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi. – Odwrócił się do człowieka, którego zwerbował kiedyś na przywódcę Krucjaty, i uniósł dłoń, widząc narastający w nim sprzeciw. – Nie myślę o naszych ludziach, Jarek. Oni wiedzą, czego od nich oczekujemy. Myślę o technicznej stronie. Zrobiliśmy wiele, ty zrobiłeś, żeby osiągnąć zwartość szeregów, ale nie mamy narzędzi do walki. Szczerze mówiąc, obawiam się, że zdobycie ich dla naszych będzie o wiele trudniejsze, niż sądziłem. Pokriefke i jej ludzie, Mazur zresztą też, bardzo uszczelnili nasz układ. Nadeszły ciężkie czasy dla przemysłowców. Sprowadzenie broni będzie bardzo trudne.

– Trochę już jej zgromadziliśmy – zaprotestował Kotarski.

Szponder parsknął cicho.

– Trochę to nie dość. Zwłaszcza że większość to karabiny pulsacyjne jeszcze z czasów dawnego reżimu i ze dwa tysiące sztuk broni cywilnej. Dla wzniesienia zamieszek wystarczy, ale

czy to nie ty uczyłeś studentów, czym się różni „rewolta” od „rewolucji”?

– Owszem. Masz rację.

– No właśnie. Rewolucje to rewolty, które się powiodły, a rewolty to akcje, w których wszyscy giną. Zdecydowanie wolałbym tego uniknąć, ale nie oczekiwałem przecież incydentu z autobusem. Nie sądziłem, że cokolwiek zacznie się już teraz. Od jakiegoś czasu wyprowadzam ostrożnie środki poza układ, ale nie zgromadziłem ich jeszcze dość, żeby zakupić porządny arsenał. Taki, jaki będzie nam potrzebny. Co gorsza, nie mam pojęcia, jak przemycić tę broń na Włocławek, gdy znajdę już kogoś, kto zechce nam ją sprzedać. Tak więc odśwież swoje talenty badawcze, profesorze! – dodał z lekkim uśmiechem. – Pomyśl, skąd zdobyć oręż do zniszczenia politycznego dzieła mojego najlepszego przyjaciela.

ROZDZIAŁ IV



Wiceadmirał Quentin O'Malley był kilka centymetrów niższy niż kapitan Aivars Terekhov, ale szeroki w barach i bardzo muskularny. Miał krótko przycięte ciemne włosy i brązowe oczy, spoglądające spod krzaczastych brwi, oraz prosty i ostro zarysowany nos. Wyglądał na gracza rugby, którym rzeczywiście był na wyspie Saganami, ale mówił zdumiewająco melodyjnym tenorem.

Z Terekhovem, komandor Ginger Lewis i porucznikiem Guthriem Bagwellem (czyli pierwszym inżynierem pełniącym też obowiązki dowódcy *Hexapumy* i oficerem wojny radioelektronicznej) przywitał się już wcześniej, gdy przybyli na pokład *Black Rose*, jego okrętu flagowego. Teraz wstał, gdy w kabinie odpraw pojawili się wiceadmirał Augustus Khumalo, Vincenzo Terwilliger, dowódca *Black Rose*, kapitan flagowy wiceadmirała Victoria Saunders oraz komandorzy Ambrose Chandler (oficer wywiadu) i Loretta Shoupe (szef sztabu).

– Dziękuję za przybycie, admirale – powiedział i Khumalo skinął głową.

– Miło mi gościć na pokładzie, admirale – odparł i krótko, ale mocno uściśnął dłoń O'Malleya. Potem spojrzał na jedyną osobę cywilną, która znalazła się w tym gronie, i wyciągnął do niej rękę. – Witam panią, pani Corvisart.

– Admirale – odpowiedziała, gdy jej smukła dłoń niemal zniknęła w jego uścisku. Była drobną kobietą, która w tym zestawieniu wydawała się jeszcze mniejsza.

– Siadajcie, proszę – powiedział O'Malley. Odczekał, aż wszyscy zajmą miejsca, po czym także usiadł i spojrzał na zaaferowane twarze zebranych. – Sądzę, że jako bezpośrednia przedstawicielka Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jej Wysokości będzie pani najwłaściwszą osobą, żeby poprowadzić to spotkanie, pani Corvisart – zaczął i spojrzał pytająco na Khumala. Od strony formalnej sytuacja była trochę niezręczna, ponieważ jakkolwiek O'Malley był starszy stopniem od Khumala, ten ostatni był dowódcą placówki Talbott, zespół O'Malleya zaś podlegał baronowej Medusy, gubernatorowi sektora Talbott, i siłą rzeczy był na rozkazy dowódcy placówki. Tym samym jako zwierzchnik sił marynarki wojennej w tym sektorze Khumalo też miał prawo do starszeństwa. Teoretycznie mogło to rodzić tarcia.

– W pełni się z tym zgadzam – powiedział z naciskiem Khumalo i Corvisart odpowiedziała mu krótkim skłonieniem głowy.

Potem pochyliła się w fotelu i położyła dłonie na blacie stołu.

– Dziękuję, admirale O'Malley. I panu też, admirale Khumalo. Jestem tu obecna jako bezpośrednia przedstawicielka rządu Jej Królewskiej Mości i zgodnie z udzielonymi mi pełnomocnictwami mogę powiedzieć, że jestem tu najstarszym rangą przedstawicielem Gwiezdnego Królestwa. Ale mniejsza o niuanse dyplomatyczne. Admirale Khumalo, wobec zaangażowania układu Monica w destabilizację Kornati i Montany oraz na skutek pańskich działań, jak i działań kapitana Terekhova, skłonna jestem uważać pana za przedstawiciela sił zbrojnych Gwiezdnego Królestwa na tym obszarze. Zapewne rozstrzygam w ten sposób pewien formalny spór kompetencyjny, niemniej takie właśnie potraktowanie owego węzła gordyjskiego mam za najbardziej stosowne, ponieważ praktycznie już wcześniej pełnił pan analogiczną funkcję, a na dodatek pozwoli to panu, admirale O'Malley – tu spojrzała na admirała – całkowicie oderwać się od aspektów politycznych sytuacji i skupić się na jej aspektach militarnych. – Odczekała, aż O'Malley przytaknie, i spojrzała ponownie na Khumala. – A skoro już o tym mowa, admirale, chcę skorzystać z okazji, aby wyrazić pełne poparcie dla działań podjętych przez pana, a także, a może nawet zwłaszcza kapitana Terekhova, w układzie Monica.

Niektórzy z obecnych przy stole wyprostowali się lekko, jakby im ulżyło. Corvisart uśmiechnęła się przelotnie.

– Z pewnością wiecie, że konieczne będzie jeszcze dochodzenie. Oczywiście we właściwym czasie. Czytałam wasze meldunki i przeglądałam materiały otrzymane od waszych oficerów wywiadu, jak i podsumowanie przygotowane dla mnie przez komandora Bonifacia. – Skinęła głową w stronę szefa sztabu O'Malleya, Blake'a Bonifacia. – Wysnuwam z tego wniosek, że możecie być spokojni o wynik tego dochodzenia i ostateczny werdykt rady. Sama zamierzam tak postępować, jakby ów werdykt już zapadł, a wasze działania zostały zaaprobowane oficjalnie na najwyższym szczeblu. Jestem pewna, że nie nadstawiam w ten sposób karku – dodała z niemal przekornym uśmiechem. – Przerwała na chwilę i poprawiła się w fotelu. – Na jutro rano zaplanowałam moje pierwsze spotkanie z prezydentem Tylerem, ale wcześniej chcę omówić kilka spraw związanych z materiałami przedstawionymi mi przez kapitana Terekhova i komandora Chandlera. Sądzę, panowie, że przygotowaliście dokładne i bardzo klarowne opracowanie, i to pomimo krótkiego czasu oraz braku współpracy ze strony miejscowych, ja zaś chcę zebrać jak najwięcej atutów, zanim siądę do rozmów z tymi ludźmi. – Tym razem jej uśmiech był wręcz lodowaty. – Nie wiem, czy zna pan tradycyjne powiedzenie szulerów,

popularne także w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, komandorze Chandler, ale pan zapewne wie, co mam na myśli, prawda, kapitanie Terekhov? – Uniosła pytająco brew i spojrzała poprzez stół na kapitana, który kiwnął głową.

– Zapewne chodzi o dawanie głupcom równych szans, ma'am?

– Zaiste. Każdy, kto jest na tyle głupi, aby podpisać się choćby pod jedną dziesiątą tego, co Tyler tutaj nakombinował, z pewnością kwalifikuje się jako „głupiec”. A biorąc pod uwagę cenę, którą zapłacili pańscy ludzie w trakcie rozmontowywania tej kombinacji, nie dałabym mu forów nawet w kolejce do toalety. Owszem, może się zdarzyć, że mimo wszystko zawrzemy z nim nawet jakieś porozumienie. To zwykły dyktatorek, ale wiele wskazuje, że w tym przypadku był tylko figurantem i ważniejsze jest, aby dopaść tych, którzy go podpuścili. Sądzę, że i pan, i komandor Chandler zgodzicie się ze mną w tej sprawie. Z drugiej strony nie chcę, żeby uszedł całkiem bezkarnie. Gwarantuję, że zanim cokolwiek z nim podpiszemy, będzie musiał dać nam wszystko, czegokolwiek sobie zażyczymy.

Zerknęła na Terekhova, po czym przeniosła spojrzenie na Khumala. Obaj oficerowie też spojrzeli na nią z powagą, a wtedy kiwnęła głową, co było w jej przypadku równoważne oficjalnej przysiędze. Potem sięgnęła do wyświetlacza przed sobą i włączyła urządzenie.

– A teraz, kapitanie Terekhov, byłabym wdzięczna, gdyby odtworzył pan ten łańcuch zdarzeń, które zwróciły pańską uwagę na frachtowiec *Marianne* czy *Golden Butterfly*. Chciałabym szczególnie poznać jego rolę w procesie zaopatrywania w broń tej zbrodniarki Nordbrandt oraz to, jakim sposobem doprowadziło to pana do układu Monica. Wydaje mi się, że cała ta historia układa się w logiczny ciąg, ale chcę to potwierdzić, zanim zdecyduję się na konfrontację z Tylerem i przedstawię mu raport kapitana Binyana oraz zapisy z jego komputerów. W drugiej kolejności, komandorze Chandler – zwróciła się do oficera wywiadu admirała Khumala – chciałabym usłyszeć coś więcej na temat jednostek typu *Indefatigable*, na które trafiliście przy stacji Eroica. Nie jestem oficerem marynarki wojennej i brak mi właściwego przygotowania technicznego, prosiłabym więc o wykład jak dla laika. W szczególności interesuje mnie wszystko, co świadczy o ich wcześniejszej przynależności do Marynarki Wojennej Ligi Solarnej oraz o udziale Technodyne w przekonaniu inspektorów SLN do przekazania okrętów w obce ręce. Muszę mieć w tym na tyle dobrą orientację, żeby tamtemu nawet do głowy nie przyszło, że nie wiem, o czym mówię. Mam również sprawę do pańskiego oficera walki radioelektronicznej, kapitanie Terekhov. Domyślam się, że to porucznik Bagwell? Znow uniosła

brwi.

Terekhov skinął na porucznika siedzącego po jego lewej i Corvisart przeniosła na niego uwagę.

– Udało mi się zrozumieć prawie piętnaście procent pańskiego raportu, poruczniku. Biorąc pod uwagę, jak mało wiem o militariach, wystawia to dobre świadectwo pańskiej umiejętności formułowania myśli. Chciałabym jednak usłyszeć jeszcze bardziej przystępną wersję, oczywiście gdy wysłuchamy już komandora Chandlera. A jeśli kapitan Terekhov będzie mógł sobie na to pozwolić, chciałabym także, żeby towarzyszył mi pan podczas mojego pierwszego spotkania z prezydentem Tylerem. Oczekiwałamby dyskretne znaku, gdyby on lub któryś z jego być może obecnych tam wojskowych zaczął wciskać mi jakieś gówno.

Kilka osób zachichotało na te słowa, ale Bagwell tylko skinął głową z uśmiechem. Potem Corvisart spojrzała ponownie na jego przełożonych.

– Biorąc pod uwagę, jakim trybem RMN pojawiła się w układzie Monica, zapewne najlepiej będzie, jeśli admirał Khumalo zgodzi się towarzyszyć mi przy stole obrad jako starszy przedstawiciel marynarki wojennej. To ułatwi przejmowanie kontroli nad całą infrastrukturą układu, z jednoczesnym odsunięciem floty od spraw politycznych. Prawdę mówiąc, pana też chciałabym tam widzieć, kapitanie Terekhov, zważywszy na pańskie doświadczenie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale w obecnych okolicznościach chyba lepiej będzie trzymać pana jak najdalej od władz układu Monica. Przynajmniej przez jakiś czas. Jeśli jednak nie okażą skłonności do współpracy, nie będę ich chronić przed pańskim gniewem. Jeśli kogoś się boją, to właśnie pana. Na razie zamierzam potraktować ich w rękawiczkach, ale w razie potrzeby nie zawaham się sięgnąć po ciężki oręż. I to będzie pan.

– Rozumiem, ma'am – odparł po chwili Terekhov.

Była to bardzo krótka chwila, ale Corvisart i tak wyczuła jego wahanie. Uniosła brwi, na co kapitan wzruszył lekko ramionami.

– Szczerze mówiąc, ma'am, teraz jestem mocno zajęty, staram się doprowadzić *Hexapumę* z powrotem do formy. Kapitan Kurtz i ludzie z *Ericssona* zrobili więcej, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać, ale wciąż daleko nam do stanu, który pozwoliłby nam wyruszyć w podróż powrotną. Jeśli naprawdę jestem potrzebny, oczywiście będę do dyspozycji, ale w moim odczuciu już dość napatrzyłem się na Monicę z orbity. Nie odczuwam najmniejszej potrzeby, żeby oglądać ją jeszcze z perspektywy stołu obrad. I w sumie to chyba dobry pomysł, aby trzymać mnie tak

daleko od tych ludzi, jak to tylko możliwe. – Jego błękitne oczy dziwnie pochłodziły. – Trudno mi będzie zachować się... w stosowny sposób.

– Rozumiem, kapitanie. Moje doświadczenia mocno różnią się od pańskich, a i tak będę musiała bardzo nad sobą panować. Inaczej też mogłoby dojść do rzeczy... niestosownych, jak to pan określił. Jest jednak coś, co być może poprawi panu samopoczucie. Chodzi o to, co poza tym czeka tych ludzi.

– Tak, ma'am? – spytał Terekhov.

Corvisart zaśmiała się cicho.

– Kiedy wyruszyliśmy z Manticore, towarzyszył nam wycarterowany przez Koronę liniowiec. Do ostatniego miejsca pełen dziennikarzy. Wszelkiej barwy i maści dziennikarzy. Co więcej, aż siedemdziesiąt pięć procent tej grupy to przedstawiciele mediów solarnych. To będzie jedno z najbardziej publicznych i najbardziej nagłośnionych dochodzeń w historii galaktyki, kapitanie. Informacje trafią do wszystkich kanałów informacyjnych w Lidze Solarnej. To już nie będzie wyłącznie sprawa Gwiazdowego Królestwa, a ja zamierzam dopilnować, żeby przekazy kierowane do Ligi rzeczywiście były autorstwa solarnych. Wtedy nikt nie będzie mógł ich zanegować, jako kombinacji Manticore, a już teraz jestem pewna, że te materiały okażą się nad wyraz krwiste. Nie da się przejść koło nich obojętnie. Obiecuję to panu, kapitanie Terekhov: ci, którzy zamierzali ukrywać się w cieniu, wysyłając w tym czasie innych, by wbijali nóż w plecy swojego narodu, niebawem na własnej skórze się przekonają, jak wielki błąd popełnili.



Damien Harahap podniósł wzrok znad czytnika, gdy Rufino Chernyshev zapukał uprzejmie we framugę otwartych drzwi. Choć Harahap nigdy nie nazwałby swojego obecnego lokum wytworknym, z pewnością było ono o wiele bardziej komfortowe od przybytków, w których zdarzało mu się bywać. A jego niekwestionowaną zaletą był fakt, że Żandarmeria nie powinna trafić tu na jego ślad.

Oczywiście ta sytuacja miała też swoje minusy. Owszem, skoro znalazł się poza zasięgiem swoich niedawnych mocodawców, mała była szansa, żeby ludzie, którzy zamordowali Ulrike Eichbauer i chcieli zabić także jego, zdołali tu trafić. I to było dobre. Gorzej, gdyby mocodawcy Chernysheva doszli nagle do wniosku, że ich nowy nabytek nie jest wcale taki cenny. Wówczas mogliby łatwo sprawić, że zniknąłby bez śladu.

Co było jednoznacznie pozytywne, to że miał wreszcie okazję nadrobić zaległości w

czytaniu. I to z całego ostatniego miesiąca. Zwłaszcza że Chernyshev „poprosił” go uprzejmie o trzymanie się z dala od sieci. Na razie mieli czekać na dalsze instrukcje. W tych okolicznościach rozsądne było dostosowanie się do owej „prośby”. Tym sposobem zajął się odkładanymi ostatnio lekturami z zakresu historii.

– Mogę przeszkodzić na chwilę? – spytał Chernyshev.

Harahap uśmiechnął się.

– Jestem do dyspozycji, zapraszam – powiedział, wskazując szerokim gestem na niewielki, ale wygodnie umeblowany pokój.

– Może i tak, ale pewne formy obowiązują, zwłaszcza między zawodowcami – odparł Chernyshev, wchodząc do pokoju. – Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe, i po prawdzie oddycham z ulgą, że tak spokojnie to przyjąłeś.

– A czy byłoby lepiej, gdybym przyjął to inaczej?

– Obaj wiemy, że przetrzymywanie kogoś takiego jak ty wbrew jego woli byłoby raczej niewdzięcznym zadaniem. Mówię tylko, że doceniam twoje podejście.

– Możesz na mnie liczyć – rzucił Harahap, ku swojemu zdumieniu poruszony osobliwą szczerością Chernysheva. – Ale mam nadzieję, że to nie jest wstęp do przekazania kolejnych złych wieści.

– Nie, nic takiego! Właśnie miałem kontakt z moimi przełożonymi. Są bardzo szczęśliwi, że udało ci się przeżyć. Oczywiście z moją skromną pomocą. Z drugiej strony, przykro im z powodu major Eichbauer. Mam wrażenie, że oni naprawdę chcieli przekonać was oboje do pracy dla nich. I tak, kazali mi spytać, czy byłbyś gotów zaakceptować ich ofertę.

– A jaka to dokładnie oferta? – Harahap pochylił się na krześle. Nie był w najkorzystniejszej pozycji przetargowej, ale i tak należało spytać...

– Nie znam szczegółów na ten temat – przyznał Chernyshev. – Domyślam się, że chodziłoby o kontynuację tego, co robiłeś w sektorze Talbott. Podejrzewam też, że tym razem byłoby to coś o znacznie większej skali, ale to oczywiście tylko mój domysł. Jestem pewien, że wyjaśnię ci wszystko, kiedy już tam dotrzemy.

– I owo „tam” oznacza zapewne jakieś inne miejsce niż Pine Mountain?

– Chyba można przyjąć, że wspomniana oferta obejmuje krótki rejs międzygwiazdny – powiedział Chernyshev z lekkim uśmiechem.

Harahap kiwnął głową bez przekonania. Uczciwie musiał przyznać, że był całkiem dobry w

tym, co robił w sektorze Talbott, ale wiele mu dawała świetna znajomość tej okolicy. Jeśli zgodnie z domysłami Chernysheva miałyby zacząć działalność na większą skalę, oznaczałoby to wyjście poza bezpieczny obszar. Z drugiej strony, w tym też był zwykle całkiem dobry. Miał dziwnie dojmujące wrażenie, że odrzucenie tej propozycji nowej ścieżki zawodowej nie byłoby najmądrzejszą decyzją.

Poza tym co innego mógłby robić? Ludzie, którzy wynajęli go do roboty w sektorze Talbott, byli jednymi z najbogatszych w zasiedlonej galaktyce. Pewnie niezbyt mili, ale nieprzyzwoicie wręcz bogaci. Gdy zaś szukało się nowego zajęcia w sektorze prywatnym, wskazane było szukać zleceniodawców wśród tych o najzasobniejszych kieszeniach.

– Rozumiem – odparł, odkładając czytnik na blat biurka i odsuwając krzesło. – Kiedy wyruszamy?

KWIECIEŃ 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Zastanawiam się czasem, czym tak wkurzyliśmy Boga. Przecież chodziło tylko o komary!”

– Adam Šiml, prezes, Sokol Sdružení Chotěboř

ROZDZIAŁ V



Piętnastolatek zgiął się z jękiem w pół, gdy pałka trafiła go w brzuch. Gdy zaraz potem otworzył usta, nie wydobył się już z nich żaden dźwięk. Chwiał się na nogach, starając się złapać oddech, żeby móc wykrzyczeć swój ból.

Nie zdążył. Ten sam bandyta uderzył jeszcze raz, tym razem w kark, i powalił go na kolana.

Policjant z Sił Bezpieczeństwa Chotěbořu nawet nie mrugnął, trącając chłopca tarczą i ciskając go na ziemię. Zaraz poszukał następnego celu, podobnie jak wszyscy jego koledzy z SBC, którzy wdarli się w tłum „anarchistycznych terrorystów i notorycznych podżegaczy”, wypełniających w połowie ogromny plac o nazwie Náměstí Žlutých Růží w samym sercu Velehradu.

Uczniowie szkół średnich i studenci, którzy powodowani wielkimi nadziejami wyszli masowo na ulice stolicy, widzieli nadciągających funkcjonariuszy, ale nie mieli jak zejść im z drogi. Tłum za plecami tych z pierwszych szeregów był zbyt gęsty. Zostali uwięzieni między bratnimi protestującymi a oddziałami do tłumienia zamieszek. Większość z nich opuściła transparenty z żądaniami nowych wyborów, porzuciła naręcza żółtych róż i uniosła ręce nad głowę. Inni próbowali stawiać opór odzianym w ciężkie pancerze policjantom, ale ostateczny wynik był zawsze ten sam. Siły Bezpieczeństwa dostały rozkaz, żeby pałować wszystkich po równo, i gorliwie go wypełniały.

Wiele ofiar nie zdążyło nawet krzyknąć. Ludzie padali bez czucia na ziemię i tylko nieliczni funkcjonariusze zwracali uwagę, żeby nie deptać po pobitych. Prawdę mówiąc, wielu celowo ich tratowało czy wręcz kopało ciężkimi buciorami w twarze.

Tylne szeregi demonstracji zaczęły się rozpraszać, gdy tylko młodzi ludzie zrozumieli, co się dzieje. Kto mógł, starał się uciec na bok, ale nie wszyscy mieli tę szansę. Kto utknął w tłumie, padał ofiarą nacierających oddziałów policji.

– Niech to będzie ostrzeżenie – powiedzieli dowódcy, a Siły Bezpieczeństwa Chotěbořu od dawna słynęły z tego, że gotowe są wykonać każdy rozkaz.



Piłka pomknęła w kierunku górnej części bramki, ale bramkarka wyciągnęła się, podskoczyła i zdołała ją złapać. Zaraz otoczyła zdobycz ramionami i razem z nią padła na ziemię.

Silą rozpędu przetoczyła się, po czym znieruchomiła na klęczkach, wciąż z piłką mocno przytuloną do piersi.

Niezbyt licznie zgromadzona publiczność nagrodziła zawodniczkę oklaskami i gwizdami, wysoki i jasnowłosy mężczyzna zaś tylko skinął głową. Myślami wciąż był gdzie indziej. Odwrócił wzrok od boiska i spojrzał na jeszcze wyższego mężczyznę o brązowych włosach, który stał obok niego.

– Nie mogę uwierzyć, że Siminetti okazał się aż tak głupi – powiedział cicho, patrząc na ceramietową ścianę za rozmówcą. W tym konkretnym miejscu nie było żadnych systemów monitorujących i nie był to wcale przypadek. Zadbał o to podczas ostatniego remontu stadionu i sprawdzał regularnie, choć dyskretnie, czy nic nie zostało zamontowane. Niemniej zawsze mogły się pojawić systemy śledzące zamontowane na dronach. – Jakim trzeba być idiotą, żeby posłać do szpitala ponad sześćdziesięciu bezbronnych uczniów i studentów. Najmłodszy mają ledwie po czternaście lat! No i tych jedenastu, którzy trafili od razu do kostnicy – kontynuował gorzkim tonem, skrywającym coraz większy gniew. Wciąż jednak nad sobą panował.

– Pewnie w ogóle go to nie obeszło – powiedział cicho drugi mężczyzna. – Szczerze mówiąc, sądzę, że nawet nie zwrócił na to uwagi.

– A powinien! Jak cholera powinien!

– Ty tak myślisz i ja tak myślę, i dzieciaki na placu też tak myślały. Wątpię jednak, czy Cabrnach, Kápička lub Verner podzielają nasze zapatrywania. Ostatecznie mają jeszcze sporo bezpieczniaków. W razie czego ich też wyślą na ulice. A jakby co, Sabatino sypnie kasą i zwerbują tysiące nowych. Albo i dziesiątki tysięcy.

Adam Šiml mruknął coś pod nosem i spojrzał gniewnie na przyjaciela, ale Zdeněk Vilušínsky dobrze go znał. Przyjaźnili się od ponad pięćdziesięciu lat. Wiedział, co naprawdę oznaczało to spojrzenie, i czekał, aż towarzysz sam się przez to przegryzie.

Šiml odwrócił się tymczasem i zapatrzył na boisko. Też znał nieźle przyjaciela i rozumiał, że tamten nie dziwi się jego zachowaniu. Żaden z nich nie potrafił przejść do porządku dziennego nad tym, co wydarzyło się na placu Żółtych Róż. Oficjalnie plac nosił nazwę Náměstí Žlutých Růží, zaczerpniętą z języka pierwszych mieszkańców Chotěboři, chociaż po trzystu latach posługiwano się tu już na co dzień przede wszystkim standardowym angielskim. Na dodatek tylko jedna trzecia oryginalnych kolonistów z układu Kumang była naprawdę czeskiej narodowości. Tak się jednak złożyło, że rodzina Šimla należała do tej jednej trzeciej, a co więcej,

jeden z ówczesnych przywódców, człowiek odpowiedzialny za stworzenie konstytucji Chotěbořu, też nazywał się Adam Šiml.

Nie znaczyło to jednak, aby obecny Adam Šiml, sam czy z rodziną, miał jakikolwiek wpływ na przestrzeganie konstytucji przez władzę. Gdyby zaś próbował zbyt głośno wypowiadać się w tej sprawie, ryzykowałby dłuższy pobyt w Vězení Horský Vrchol, słynącym między innymi ze wspaniałych widoków na otaczające doliny. A na to nie mógł sobie pozwolić. Zbyt wiele miał do zrobienia.

Poza tym nie było wcale pewne, czy trafiłby do głównego więzienia dla politycznych. W ostatnich latach aresztowani coraz częściej znikali z list procesowych. Nie zwalniano ich, nie uciekali, nie było żadnych oficjalnych informacji o ich śmierci. Po prostu... słuch o nich ginął.

Adam starał się cały czas o tym pamiętać, ale chwilami nie było łatwo. Zwłaszcza wtedy, gdy wracał myślami do Náměstí Žlutých Růží.

Żółta róża, od której pochodziła nazwa placu, była miejscowym kwiatem, który nie miał nic wspólnego z ziemskimi różami. Kwiatem wielkim jak dłoń słusznych rozmiarów mężczyzny, z intensywnie szafirowym środkiem i jaskrawożółtymi płatkami z karmazynowym brzegiem. Był tak piękny, że został wybrany na godło Chotěbořu. Był symbolem nowego życia, wolności i samostanowienia dla tych, którzy przekonani przez Adama Šimla zdecydowali się spieniężyć swoje udziały w Creswell Combine i wykorzystać uzyskane w ten sposób środki na poszukiwanie nowego domu z dala od układu Calpurnia i rosnącej potęgi międzygwiazdnych korporacji Ligi Solarnej. Chcieli oddalić się od znanych obszarów galaktyki na tyle, żeby stworzyć sobie nową i rzeczywiście niezależną ojczyznę, gdzie słowo demokracja będzie naprawdę coś znaczyć i gdzie będą mogli się oprzeć wyzyskowi korporacji w rodzaju Creswell Combine. O tym właśnie chcieli przypomnieć ci młodzi ludzie, którzy wyszli na Náměstí Žlutých Růží... i wszyscy widzieli, co z tego wyniknęło.

– Przecież nie mogą wiecznie udawać, że nic się nie dzieje – powiedział zdecydowanym tonem, gdy już opanował gniew. – Po prostu nie mogą.

– Dopóki nie uchylą stanu wyjątkowego, to owszem, mogą – odparł Vilušínský. – Sam dobrze o tym wiesz.

– Hruška nie planował tego na tyle lat! – warknął Šiml.

– Jeśli nie, to powinien zawrzeć w ustawie klauzulę dotyczącą jej wygaśnięcia. – Vilušínský odwrócił głowę i splunął na posadzkę. – Chociaż Cabrnochowi i Žd’árskiej i tak nie zrobiłoby to

różnicy. Siminettiemu też nie!

Šiml spoglądał na niego przez chwilę, po czym przygarbił się i skinął głową ze znużeniem. Był tam wtedy, był nawet członkiem gabinetu prezydenta Romana Hruški w chwili, gdy pierwszy raz wspomniano o stanie wyjątkowym. Od razu pojął, do czego to prowadzi, a jego protest był jednym z powodów, dla których Zuzana Žd'árská (szefowa personelu ministra bezpieczeństwa publicznego Jana Cabrnocha) wprost, chociaż prywatnie, przekazała mu, że pora na nowego ministra rolnictwa i dobrze by było, gdyby Šiml poszukał sobie jakiejś posady w sektorze prywatnym. Było oczywiste, że gdyby nie posłuchał tej życzliwej rady, różne osoby sięgnęłyby po bardziej przekonujące metody.

Dlatego właśnie przez ostatnie piętnaście lat wykładał agronomię na Uniwersytecie imienia Edvarda Beneša. I nie, nie płacili tam najlepiej.

– Zastanawiam się czasem, czym tak wkurzyliśmy Boga – powiedział w końcu głosem, w którym pobrzmiwało zmęczenie. – Przecież chodziło tylko o komary!

– Może. Chociaż nie. – Vilušínský potrząsnął głową. – Z komarami ostatecznie sobie poradziliśmy. Cokolwiek by powiedzieć, tyle trzeba oddać Cabrnochowi. Sięgnięcie po nanotechnologię było genialnym posunięciem, a on znalazł sposób, żeby to zrealizować.

– Tak, to były badania prowadzone przez moich ludzi. Oraz Ministerstwo Zdrowia! Myślisz, że ktoś o tym pamięta? I jak on to sfinansował?

– Nie powiedziałem, że wymyślił rozwiązanie ani że to było tanie. Ale gdybyś zapytał większość naszych współobywateli, czy było warto, sam dobrze wiesz, co by odpowiedzieli. I w sumie nawet wypowiedzieli się w tej sprawie.

– Otwierając drzwi dla Frogmore-Wellington i Iwahary! – oburzył się Šiml.

– A co mieli robić? Patrzyć, jak ich dzieci umierają? Dla nich żadna cena nie była wtedy za wysoka. Zwłaszcza po tym, jak Reichart nas załatwił.

Vilušínský pokręcił głową, ale twarz mu złagodniała. Położył przepaszającym gestem dłoń na ramieniu przyjaciela. Adam Šiml stracił żonę, Kristýnę Šimlovę Louthanová, i nastoletniego syna. Oraz córkę, jeszcze w pieluchach. Podobnie zresztą Vilušínský, on też stracił córkę. Jeśli ktoś na Chotěborze mógł rozumieć tamte decyzje, to właśnie Šiml. Może poza chwilami, gdy powracał ów piekielny żal, że ten świat, w którym zabrakło jego żony i dzieci, został dodatkowo zdradzony przez własnych, legalnie wybranych przywódców.

Chotěboř nigdy nie dysponował najnowocześniejszymi technologiami. Za daleko było stąd

do serca Ligi Solarnej. Miał jednak całkiem przyzwoite służby medyczne i to właśnie miejscowi badacze znaleźli sposób, jak poradzić sobie z „komár hnědý rybniční”, zwykle niegroźnym owadem, który zmutował w zabójcę. Nanotechnologiczne remedium opracował zespół Šimla, chociaż on sam odszedł ze stanowiska, zanim ogłoszono wyniki prac. Niestety, nie zdążyli wdrożyć produkcji, ponieważ w układzie zjawił się Ismail Reichart.

Reichart dowiedział się o ich problemach i dostrzegł swoją szansę. Inna sprawa, że nawet w najlepszych czasach kontrola astro układu Kumang niewiele mogłaby przeciwko niemu zdziałać. Flota najemników spadła na nich jak szarańcza. Sam Chotěboř zostawili niemal w spokoju, żeby przypadkiem także nie paść ofiarą komarów, ale zrabowali właściwie całą infrastrukturę przemysłową, którą udało się do tamtej pory stworzyć. Zabrali nawet elektrownie satelitarne, zmuszając Chotěboř do ponownego przejścia na naziemne źródła energii, oczywiście ze wszystkimi wynikającymi z tego ograniczeniami. Przynajmniej do czasu, gdy najemnicy już odlecą i będzie można zastanowić się, skąd wziąć nowe satelity.

Gdy Reichart w końcu opuścił układ Kumang, Chotěboř został bez środków do wdrożenia programu zażegnania kryzysu. Sam nie miał żadnych szans na zwycięstwo w tej batalii.

I dlatego prezydent Hruška, z inicjatywy nowo wybranego wiceprezydenta Cabrnocha, wykorzystał jedyną dostępną opcję i zwrócił się o pomoc do Biura Bezpieczeństwa Granicznego Ligi Solarnej. Którą oczywiście otrzymali, ale... na pewnych warunkach.

W ten sposób Chotěboř całkowicie stracił kontrolę nad zasobami własnego systemu planetarnego.

Na skutek żądań Biura, aby „zmaksymalizować potencjał generowania dochodu”, Hruška wydał kolejny dekret, uchylający konstytucyjne regulacje mające zapobiegać ingerencji obcego kapitału w gospodarkę układu. Jako prezydent nie miał prawa mieszać w konstytucji, ale Nejvyšší Soud zdecydowanie odmówił wszczęcia postępowania w tej sprawie. Šiml znał wszystkich ludzi, którzy podpisali się pod wnioskiem, chociaż oficjalnie nie miał z tym nic wspólnego. Chciał się przyłączyć, ale w tamtej chwili był postacią dość niepopularną. Gdy odszedł z rządu, zrobiono z niego kozła ofiarnego i obciążono odpowiedzialnością za to, że Cabrnoch i Žďárská nie zdołali sami wcześniej zażegnać kryzysu. Z drugiej strony zaś było to, o czym wspomniał Vilušinský. Działania Hruški cieszyły się poparciem zdecydowanej większości mieszkańców Chotěbořu.

Oczywiście wtedy mało kto rozumiał, jak wysoką cenę przyjdzie im zapłacić za te

porozumienia.

Otrzymali sporo, według miejscowych realiów nawet całkiem sporo, w zamian przyznając „bezsronnym” negocjatorom z Biura Bezpieczeństwa Granicznego prawa do dwustuletniej eksploatacji praktycznie wszystkich bogactw naturalnych układu Kumang. Prawa te zostały przekazane natychmiast korporacjom Frogmore-Wellington Astronautics i Iwahara Interstellar. Z możliwością przedłużenia umowy. Pozyskane w ten sposób środki pozwoliły na ostateczne wdrożenie programu i zażegnanie największego zagrożenia. Komary nie zostały wprawdzie całkowicie wyeliminowane, ale przy odpowiedniej profilaktyce można było sobie jakoś z nimi radzić.

Zapłacili za to swoistym peonażem na skalę całego układu planetarnego.

Zgodnie z podpisaną przez Hruškę umową Biuro Bezpieczeństwa Granicznego podjęło się też „odtworzenia” infrastruktury zniszczonej przez Reicharta. Owszem, powstało w końcu coś bardzo podobnego do tego, co istniało przed atakiem, ale było administrowane w całości przez Biuro. Umowa jasno stanowiła, że gdy tylko Chotěboř zdoła spłacić kredyty, otrzymane od Ligi dzięki Biuru, odbudowana infrastruktura przejdzie na własność planety. Póki co zaś Chotěboř miał uiszczać „rozsądną opłatę” na pokrycie kosztów operacyjnych Biura. Gdy ostatni raz Šiml widział saldo kredytu z dopisanymi odsetkami, owymi „rozsądnymi opłatami” i karami za opóźnienia w spłacie rat, dług był wyższy o jakieś dwieście dziesięć procent od pierwotnej kwoty.

Płatności były zawsze spóźnione, ponieważ Chotěbořowi wciąż brakowało gotówki. Umowy z Frogmore-Wellington i Iwaharą nie przynosiły wielkich zysków, ponieważ obie korporacje postrzegały układ Kumang jako długoterminową inwestycję i nie spieszyły się z rozpoczęciem działalności na tym terenie. To miało nastąpić dopiero za jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, gdy wszystko zostanie już należycie przygotowane. Chotěboř zaś nie mógł sam w żaden sposób wykorzystać bogactw układu, żeby zacząć osiągać jakieś przyzwoite dochody i spłacić wreszcie ten dług. Co więcej, Luis Verner, obecny gubernator układu, zwany oficjalnie tylko administratorem z ramienia Biura Bezpieczeństwa Granicznego, torpedował pilnie wszystkie wysiłki miejscowych, mające na celu wykorzystanie tych nielicznych zasobów naturalnych, nad którymi zachowali kontrolę.

Šiml nie był pewien, czy to była po prostu część polityki Biura, mająca uczynić ten dług „wiecznym”, czy też może wynikało to z polityki korporacji. W sumie i tak nie miało to

znaczenia. Ważne było, że teraz prezydent Cabrnoch i cała jego administracja siedzieli w kieszeni Biura Bezpieczeństwa Granicznego oraz wielkich nieobecnych dysponentów układu Kumang. W sumie Cabrnoch nie miał żadnego pola manewru. Ostatnie dziesięć lat pozwoliło mieszkańcom Chotěbořu zrozumieć, ile ich dziedzictwa trafiło w obce ręce, i to ostatecznie pograżyło Cabrnocha. Jego sytuacji nie poprawiłaby nawet próba renegocjacji porozumień z Biurem i korporacjami. Inna sprawa, że wcale nie próbował tej ścieżki.

Hruška pozostawał jeszcze dość długo na urzędzie, chociaż z każdym rokiem jego prestiż malał. Gdy zmarł siedem lat temu, chyba rzeczywiście z przyczyn naturalnych, jego wiceprezydent był od dziesięciu lat praktycznie dyktatorem. Po śmierci Hruški nie było nawet mowy o nowych wyborach. Cabrnoch po prostu przejął urząd i w tym momencie wielu Chotěborzan zrozumiało, że konająca od jakiegoś czasu konstytucja właśnie dożyła kresu swoich dni. I wtedy zaczęły się kłopoty.

– Dobrze, Zdeněk. Masz rację. Zawsze ją miałeś, czy mi się to podoba, czy nie. Ale tym razem Siminetti posunął się za daleko. Sam dobrze wiesz, jak nasi na to zareagują. Bóg jeden wie, co się stanie, gdy inni też się ruszą!

– Teraz z kolei ty masz rację – zgodził się Vilušínský. – I dobrze będzie chyba przekazać przywódcom komórek, żeby czym prędzej ogarnęli sprawę.

– Informacja już poszła – powiedział Šiml i zaśmiał się gorzko. – Chyba przesadziliśmy trochę, wybierając sobie nazwę.

Vilušínský też się zaśmiał. Šiml zasugerował w swoim czasie nazwę Jiskra. Z wielu powodów, ale przede wszystkim przez zamiłowanie do historii. Vilušínský przytaknął, bo to przemawiało do wyobraźni. Ale Šiml miał rację co do obecnego ryzyka. Po ostatnich wydarzeniach byle iskra mogła wzniecić olbrzymi pożar.

– To ma też jednak swoje plusy – zauważył. – Masz słuszość, że chwilowo lepiej wylać wiadro zimnej wody na te gorące głowy, ale to najwyższa pora, żeby zacząć pracować nad innym podejściem. Sam dobrze o tym wiesz.

– Owszem. – Twarz Šimla nieco stężała. – Miałem nadzieję, że zdołamy zrobić więcej bez uciekania się do przemocy. I obawiam się, że w tej chwili nie mamy środków, żeby sięgnąć po inne metody.

– No to może zacznijmy szukać kogoś, kto nam je dostarczy – powiedział ponuro Vilušínský.

– I miejmy nadzieję, że nikt z naszych ludzi, którzy byli zaangażowani w demonstrację, nie

zacznie sypać podczas przesłuchań i nie wspomni o Jiskrze.



– Powinno wyjść dobrze – powiedział Karl-Heinz Sabatino, kręcąc kieliszkiem i łowiąc aromat bukietu brandy. – Znasz takie stare powiedzenie, że taniej zapobiegać niż leczyć?

– Naprawdę myślisz, że to tak zadziała? – Administrator Luis Verner, także z kieliszkiem brandy, rozsiadł się w fotelu w eleganckim urzędzie Sabatina. Mebel był szatańsko wygodny, ale gość nie wydawał się specjalnie szczęśliwy.

Sabatino upił łyk i wzruszył ramionami.

– Tak. Może to nie jest najlepsze rozwiązanie, ale to już broszka Cabrnocha. W tej chwili ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to żeby nasi prole wpadli na ten sam pomysł co ci idioci w sektorze Talbott. Cokolwiek myślę o jego metodach, teraz dwa razy się zastanowię, zanim zaczną naciskać na niego, żeby zrobił krok w podobną stronę.

– Holowach uważa, że to może mieć dokładnie przeciwny skutek – powiedział z niepokojem Verner. – Według jego raportów pewna część mieszkańców Chotěbořu jest gotowa uznać zabitych za męczenników.

Sabatino skrzywił się. Technicznie rzecz biorąc, nie był powiązany ze sferami rządowymi, ale jako lokalny dyrektor generalny zarówno Frogmore-Wellington Astronautics, jak i Iwahara Interstellar widział siebie w roli króla żab w niewielkim stawie. Chociaż może nie była to całkiem trafna analogia i bardziej pasowałaby ta, którą kojarzył z bajki zasłyszanej w dzieciństwie, spędzonym na rolniczej planecie Fattoria. Było w niej coś o królu pod postacią drewnianego kloca i takim, który był żurawiem.

Najbardziej liczyło się to, że obecnie to on zarządzał wypłatami dla rządu Chotěbořu. To, co dla wielkiej korporacji było niewielką sumą w budżecie, dla neobarbarzyńskiego dyktatora w rodzaju Cabrnocha stanowiło prawdziwą fortunę, pozwalającą stać się i jemu, i jego przybocznym kacykom lokalnymi bogaczami. W przeciwieństwie do wielu innych Sabatino nie miał problemów z nazywaniem rzeczy po imieniu, choć w rozmowach z Vernerem starał się unikać wspominania o korupcji i łapówkach. Brzmiałyby to jak niestosowna aluzja do ich relacji.

Prawdy to jednak nie zmieniało i Verner dobrze wiedział, czyja ręka trzyma smycz, chociaż poza tym nie był raczej przykładem bystrości. Nie, żeby to martwiło Sabatina. W sumie miało to nawet swoje zalety, gdy ktoś zwykł najpierw wykonywać rozkazy, zastanawianie się nad nimi odkładając na później.

Gorzej, że wraz z Vernerem Żandarmeria przysłała majora Jacoba Holowacha. Holowach nie miał na Chotěborze więcej do gadania niż Verner, ale dowodził obsadzoną przez Żandarmerię placówką Biura Bezpieczeństwa Granicznego, która nadzorowała w ramach obowiązków policyjnych całą infrastrukturę kosmiczną, tak na orbicie, jak i w głębokiej próżni. Niezależnie zaś od oficjalnego statusu Holowach i jego starszy analityk, kapitan Heather Price, zajmowali się dostarczaniem Vernerowi analiz materiałów wywiadowczych. I różnych innych. Wszystko byłoby świetnie, gdyby Holowach okazał się podatny na dobre słowo wsparte stosownymi do jego pozycji argumentami. Niestety, w tym przypadku Sabatino trafił na idealistycznego idiotę, co psuło nieco atmosferę. Gdyby nie on, przydział na Chotěboř byłby niemal rajem.

Drugim problemem była obecność tych cholernych awanturników z Królestwa Manticore, którzy okopali się w odległości ledwo sześćdziesięciu czterech lat świetlnych. Zakładając oczywiście, że Montana klepnęła aneksję gromady Talbott. Tylko tego by brakowało, żeby Chotěboř uległ temu samemu szaleństwu.

Z drugiej strony, osobiście wcale by się im nie dziwił. Na ich miejscu tak właśnie by zrobił. Nie cieszyło go też, że aż tyle osób ucierpiało podczas ostatnich... niepokojów. Owszem, i tak było ich znacznie mniej niż w innych układach planetarnych, ale to było tam, a on był tutaj. Odpowiadał za to, co działo się w tym układzie, i wolał, żeby ofiar było jak najmniej. Chociaż nie oczekiwał, że nie będzie ich wcale. Galaktyka nie działała w ten sposób.

Dlatego tak ważne było, aby zniechęcać miejscowych do naśladowania mieszkańców gromady Talbott. Jego pracodawcy byliby bardzo niezadowoleni, gdyby nagle musieli stawić czoło Manticore. Królestwo słynęło z ostrego podejścia do międzygwiazdnych korporacji, zwłaszcza w porównaniu ze swoistym protekcjonizmem praktykowanym przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego.

– Holowach zawsze szuka potworów pod łóżkiem – powiedział trochę wbrew własnym odczuciom i ponownie upił brandy. – Poza tym, czy to nie on ostrzegał, że przykład gromady Talbott już rozprzestrzenia się na Kumang?

Verner kiwnął głową, chociaż Holowach i Price nie o tym dokładnie mu mówili. Ale chodziło o coś podobnego, co dawało powody do niepokoju i zastanawiania się, czy ostrzeżenia Holowacha, że na Chotěborze dzieje się o wiele więcej, niż administracja Cabrnocha wie (lub też jest gotowa ujawnić), nie były bliższe prawdy niż sugestie Sabatina. Niemniej Verner i tak wolał mu wierzyć. Uznanie, że obecne niepokoje to po prostu wyraz zwykłego niezadowolenia

obywateli, było oczywiście o wiele wygodniejszym podejściem niż dopuszczenie do siebie myśli o istnieniu zorganizowanego ruchu oporu.

Poza tym, przypomniał sobie administrator, Holowach i Price nie przedstawili przecież żadnych dowodów na istnienie takich organizacji. Gdyby je mieli, to co innego, ale tak...

Sabatino przyglądał się przez chwilę Vernerowi, po czym pochylił się nad kieliszkiem, żeby ukryć zmarszczenie brwi. Sądząc po wyrazie twarzy administratora, tym razem Holowach zdołał namącić mu w głowie. Zaufane źródła donosiły, że major zdecydowanie skrytykował interwencję sił porządkowych na Náměstí Žlutých Růží. A skoro tak, to musiał potem przedstawić Vernerowi szereg alarmistycznie brzmiących raportów i wniosków.

Co więcej, część z nich mogła być całkiem trafna.

– Moim zdaniem Holowach jest panikarzem – powiedział, opuszczając kieliszek. – Im szybciej się go pozbędziesz, tym lepiej. Niemniej jest możliwe, w niewielkim stopniu, ale jednak, że może mieć trochę racji w sprawie tego, jak niektórzy... bardziej aktywni politycznie miejscowi zareagują na te wydarzenia. Możliwe zatem, że przydałoby się trochę profilaktyki.

– Profilaktyki?

– Skoro istnieje groźba infekcji, nie zawadzi zaopatrzyć się w szczepionkę – odparł Sabatino, zadowolony z analogii, biorąc pod uwagę historię układu Kumang. – W coś, co by było jako ta oliwa wylana na wodę – dodał, bezlitośnie mieszając metafory.

– A co by to miało być? – spytał ostrożnie Verner.

Sabatino uśmiechnął się.

– Potrzebujemy jakiegoś miejscowego rzecznika naszej sprawy, który uspokoi nastroje. Spójrzmy prawdzie w oczy, Luis. Oni naprawdę mają dość powodów do niezadowolenia. Gdybym mógł, sam spróbowałbym poprawić ich los. Niestety, moi zwierzchnicy nie pozwolą mi się mieszać w kwestie ekonomiczne. A skoro tak, pozostaje znaleźć kogoś innego, komu uwierzą, że naprawdę ich wysłucha i jeśli tylko coś da się zrobić, to zostanie to zrobione. To musiałby być ktoś spoza rządu, ale z pozycją. Wystarczającą, żeby rząd go nie zignorował, i teoretycznie mający szansę coś ugrać.

– I pewnie masz już kandydata?

– Owszem, myślałem o Šimlu.

– Šiml? – Zdumiony Verner aż zamrugał. – Karl-Heinz, przecież on nas nienawidzi. To jedna z niewielu rzeczy, co do których Holowach i twoi ludzie się zgadzają!

– To nie jest tak całkiem prawda.

Sabatino pokręcił głową, wstał i postawił kieliszek na stole, po czym podszedł do okna, by spojrzeć z dwieście trzeciego piętra na nocne światła Velehradu.

– On nienawidzi Cabrnocha i reszty tej zgrai. Nienawidzi bez reszty i dogłębnie. To się zgadza. Ciebie czy mnie pewnie też nie darzy sympatią. Ale czy naprawdę myślisz, że wróciwszy do tego Sokola, stał się apolityczny? Nie ma cudów, Luis! Był tylko ministrem rolnictwa, kiedy herbata się wylała, i nigdy nie był bogaty, ale z takim nazwiskiem musiał mierzyć w ten sam urząd, który ostatecznie przypadł Cabrnochowi. I gwarantuję, że fakt, iż Cabrnoch wyrzucił go z rządu i jeszcze obwiniał za opóźnienia w rozwiązaniu problemu z komarami, dodatkowo Šimla nakręcił. Nie ma takiej opcji, żeby ktoś jego pokroju nie postrzegał „klubu sportowego” jako odskoczni do polityki.

– Ale zawsze nalegał, aby Sokol pozostawał organizacją apolityczną, bez związków z jakąkolwiek partią – zauważył Verner. – W tej sprawie jego rodzina od początku mówiła jednym głosem. Jeśli zacznie odchodzić od tej linii, prawdopodobnie straci sporo na popularności, którą ponownie zyskał w ostatnich latach.

Sabatino musiał przyznać w duchu, że było w tym przynajmniej trochę prawdy. Tamten dawny Adam Šiml stworzył Sdružení Sokol Chotěboř, zanim jeszcze przyszli koloniści wyruszyli z Calpurnii do układu Kumang. Pragnął odbudowy i podtrzymania czeskiego dziedzictwa, przez co wzorował się na pradawnym stowarzyszeniu sportowym z trzeciego wieku przed Diasporą, które również nazywało się Sokol.

Oczywiście były i różnice. Sokol Šimla był uważany za organizację sportową i nacjonalistyczną, ale od początku trzymał się z dala od polityki. Celem jego działalności było przypominanie potomkom Czechów, kim są i skąd pochodzą. Nie był nastawiony na promowanie czy odtwarzanie czeskiej kultury w postaci, jaka istniała na Ziemi przed upadkiem państw narodowych. Fakt, że przy okazji popularyzował dbanie o zdrowie i kondycję fizyczną, był swoistą wisienką na torcie. Wisienką pożądaną, ale prawie bez znaczenia wobec pozostałej działalności.

Podobnie jak oryginalny Sokol, stowarzyszenie Šimla też promowało gimnastykę, ale poza tym było otwarte na wszelkie inne rodzaje sportu. Zwłaszcza bardzo popularną na Chotěborze piłkę nożną. Liczba członków spadła na przestrzeni lat, choć zaskakujący odsetek rodziców nadal zwykł zapisywać tam dzieci. Był taki okres, że prawie osiemdziesiąt procent mieszkańców

planety należało do Sokolów. Gdy zaczęły się problemy z komarami, było to już tylko piętnaście czy dwadzieścia procent, niemniej Sokol odegrał w tamtym czasie kluczową rolę. Ta organizacja pozarządowa, która obejmowała swoim zasięgiem wszystkie warstwy i grupy społeczne, włączyła się do walki z zagrożeniem z wielką pasją i nie szczędząc środków. Wielu jej członków zmarło, pomagając innym. To przyniosło stowarzyszeniu ogromny szacunek i znaczący wzrost liczby zapisów, nie tylko dzieci i nastolatków, ale i osób dorosłych. A gdy potomek założyciela został wykluczony z rządu, na dodatek mocno zubożały po kryzysie, kiedy to sam też dokładał z własnej kieszeni do badań, zarząd poprosił go o objęcie stanowiska prezesa Sokola.

To był nie tylko gest wdzięczności. Funkcja prezesa zapewniała stypendium, które chociaż niezbyt wysokie, oszczędziło mu głodówki i pozwoliło dotrzeć do znalezienia pracy na uniwersytecie. Spłacił zresztą potem wszystko, biorąc się energicznie do odbudowy Sokola zgodnie z intencjami jego prapradziadka: aby był organizacją strzegącą poczucia tożsamości Chotěborzan, kształcąc ich jednocześnie i rozwijając, tak moralnie, jak i fizycznie, jednak bez karmienia polityką. Ta polityczna neutralność była znakiem rozpoznawczym Sokola i teraz wydawała się jeszcze bardziej cenna niż kiedyś. Pozwalała nie tylko na ucieczkę od bezlitosnej indoktrynacji, która była częścią codzienności każdego ucznia, ale także od narastającego poczucia beznadziei, może nawet rozpacz, dotykającego coraz większą liczbę dorosłych Chotěborzan.

I właśnie dzięki temu, że stowarzyszenie oficjalnie dystansowało się wobec jakichkolwiek idei politycznych, udało mu się przetrwać. Dzięki temu oraz wielkiemu zamiłowaniu prezydenta Cabrnocha do piłki nożnej, w którą sam też pasjami grywał.

– Chodzi mi o to, że Sokol jest chyba najbardziej apolityczną organizacją na całej planecie – ciągnął Verner. – Nawet gdyby Šiml chciał to zmienić, nawet gdyby mógł to zmienić... nie uważasz, że to mogłoby być trudne? To znaczy zmienić stowarzyszenie w skuteczną machinę polityczną na tyle szybko, aby Cabrnoch i Kápička albo choćby Siminetti nie rozbili jej przed zakończeniem tej metamorfozy?

Sabatino parsknął i odwrócił się od okna, aby spojrzeć na gościa.

– Oczywiście, że to mogłoby się udać. Nie twierdzę, że zadziała, mówię tylko, co mi przyszło do głowy. Jestem pewien, że Šiml nie próbowałby działać szybko, nie oczekiwałby efektów z dnia na dzień. On zawsze opierał się na długofalowych planach. Tego akurat jestem pewien. A skoro wspomniałeś, że nas nienawidzi... Szybko by zrozumiał, ile może zyskać dzięki

naszemu wsparciu. Ile może otrzymać za taką przysługę. I to jest dobry powód, żeby przekazać hojną darowiznę na jakiś sportowy cel. – Uśmiechnął się. – W sumie już dawno powinienem to zrobić. Bo co może być szczytniejszego niż wspieranie stowarzyszenia propagującego kondycję i aktywność fizyczną?

– Nie wiem – mruknął z powagą Verner.

– Naprawdę sądzisz, że uniesie się honorem i powie nie, gdy przekażę, powiedzmy, pół miliona kredytów na konto Sokola? – Sabatino się roześmiał. – Oczywiście, że nie. I do diabła, niech to będzie nawet cały milion. Albo dwa, może trzy. Jak trzeba, to trzeba. Mogę ufundować także kilka nowych stadionów piłkarskich. Co zresztą można by zrobić tak czy siak – dodał, na chwilę pozbywając się cynizmu. – Ostatecznie jestem upoważniony do „inwestowania w lokalną infrastrukturę”, co w żadnym razie nie zaszkodzi ani mojej osobie, ani moim szefom. – Upił znowu łyk brandy i uśmiechnął się ponownie do gościa. Tym razem zwyczajnie, z cynicznym skrzywieniem ust. – Ale najważniejsze jest to, że moim zdaniem, gdy zaczniesz zastanawiać się nad moją propozycją, sam znajdzie całą masę dobrych sposobów na wykorzystanie tej forsy. Przeciwno Cabrnochowi, może nawet przeciwko nam. Serio, to kwestia politycznych aspiracji. Nawet będzie grał z nami. Może tylko jakiś czas, ale zagra z nami w zespole, żeby stworzyć sobie porządną bazę do ataku na Cabrnocha. A skoro o tym mowa, w gruncie rzeczy jest mi wszystko jedno, co się stanie z Cabrnochem, Juránkiem czy kimkolwiek z tej bandy. Biorąc pod uwagę, jak bardzo są niepopularni, Šiml może być lepszym przedstawicielem w kontaktach między nami a miejscowym społeczeństwem. To, że został usunięty z rządu, będzie pracowało na jego korzyść. Zwłaszcza że akcje Cabrnocha i Kápički mocno ostatnio dołują. Zapomnieli już, jak byli na niego wkurzeni, gdy nie zadziałał sprawnie na czas, podobnie jak nie pamiętają olbrzymiego poparcia udzielanego w swoim czasie Cabrnochowi. Zawsze przyda się jeszcze jedna strzała w kołczanie. Šiml może stać się kimś takim i to nie powinno nawet być trudne. Taka polisa ubezpieczeniowa. Gdy już przyjmie nasze pieniądze i zaakceptuje nasze poparcie, będziemy go mieli w kieszeni tak samo jak Cabrnocha.

Sabatino spojrział ponownie w ciemne okno i nad czymś się zastanowił.

– Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć – powiedział trochę do Venera, a trochę do siebie. – Moim mocodawcom nie spodobałoby się, gdyby miejscowi poszli w ślady gromady Talbott. Ale gdyby miało się tak zdarzyć, porządny program reform mógłby ich powstrzymać przed dalszym marszem w tamtą stronę. Jeśli uwierzą, że nowy rząd postawi nas jakoś do pionu,

będą mniej skłonni wychodzić na ulice. Albo też szukać sojusznika, który załatwiłby wszystko po ich myśli. Czyż nie tak?

KWIECIEŃ 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Rzecz w tym, że to nie naszą pomoc ma im pan obiecać”.

– Isabel Bardasano, zarząd Jessyk Combine

ROZDZIAŁ VI



Ochroniarze w przedśionku biura zdecydowanie rzucali się w oczy, ale o to chodziło. Lepiej spełniali swoją funkcję w taki sposób, niż gdyby próbowali wtapiać się w ścianę, pomyślał Damien Harahap, idąc za Rufinem Chernyshevem przez luksusową poczekalnię. Prawie każde pomieszczenie, w którym odbywały się dotąd jego spotkania na Mesie, ociekało luksusami. Był to dobry znak, jeśli chodziło o jego przyszłe wynagrodzenie, bo poza tym Harahap nie cierpiał takiego otoczenia. Stykał się już z nim u wyższych oficerów Żandarmerii i jego zdaniem otaczanie się tak ostentacyjnym przepychem musiało prowadzić do degeneracji synaps.

Wysoki i barczysty ochroniarz stojący przy drzwiach nie próbował nawet udawać, że znalazł się tam przypadkiem. Wyglądał też na bardzo sprawnego i kompetentnego. Sprawdził ich dokładnie, chociaż najwyraźniej musiał się znać z Chernyshevem. Co więcej, byli bardzo podobni, jak rodzeni bracia. Biorąc pod uwagę podejście Mesy i Manpower do modyfikacji genetycznych, klonów i klonowania, naprawdę mogli nimi być.

– Ona nas oczekuje – powiedział Chernyshev i ochroniarz skinął głową.

– Wiem. – Przez kilka sekund przyglądał się oceniająco Harahapowi, po czym znowu skinął lekko głową. – Wejdźcie.

– Dzięki.

Chernyshev otworzył sensorem drzwi i pokazał Harahapowi, żeby poszedł przodem. Damien zrobił dobrą minę do nieznanego jeszcze gry i posłuchał.

Gdy zobaczył kobietę siedzącą za biurkiem, prawie uniósł brwi ze zdziwienia. Szczęśliwie umiał się kontrolować i jego twarz pozostała niewzruszona, ale musiał ponownie zrewidować wszystko, co wiedział o tych ludziach. Spodziewał się tu spotkać Aldonę Anisimovną, która objęła kierownictwo programu przeciwdziałania aneksji gromady Talbott przez Manticore. Jednak zamiast niej ujrzał Isabel Bardasano, mocno wytatuowaną i poprzekłowaną w wielu miejscach członkinię zarządu Jessyk Combine, która podczas wcześniejszych spotkań w sektorze Madras występowała jako asystentka Anisimovny.

– Dobry wieczór, panie Harahap – powiedziała. – Proszę usiąść.

Wskazała jedno z krzeseł przed biurkiem i Harahap posłusznie zajął miejsce. Krzesło było dość wygodne, ale niewielkie wybrzuszenie na oparciu podpowiadało, że nie był to zwykły

mebel. Harahap wiedział z doświadczenia, że podobne urządzenia nie są tak dobre jak standardowe wykrywacze kłamstw, ale Bardasano otrzymywała dzięki temu dokładne informacje o jego tętnie, częstotliwości oddechów i innych funkcjach jego organizmu.

Na szczęście po trzydziestu latach w swoim fachu wiedział, jak sobie z tym radzić.

– Przede wszystkim cieszę się, że Rufino zdołał ochronić pana przed zabójcami – powiedziała. – Przykro mi, że nie zdążyliśmy pomóc major Eichbauer. Gdyby sądzić po tym, co widziałam w Pine Mountain, chyba stworzylibyście bardzo przydatny dla nas zespół.

– Szkoda, że nie dotarliście do niej na czas – przyznał Harahap, doceniając brak sentymentalnej nuty w wypowiedzi gospodyni. Tak było lepiej. Zawsze wolał pracować z zawodowcami.

– Domyślam się, że Rufino przedstawił już zarys tego, o co nam chodzi – kontynuowała. – Z drugiej strony, jak go znam, na pewno nie wchodził w szczegóły. Tak, wie o naszych planach o wiele więcej, niż zapewne panu przekazał. Przez ostatnie miesiące zajmował się przygotowaniem oceny pańskiej przydatności dla naszych działań. Podjęcie ostatecznej decyzji w tej sprawie leży w mojej gestii, ale zawsze dobrze jest wspomóc się czyjąś opinią. Taka dodatkowa weryfikacja jest przydatna.

– Rozumiem – odparł Harahap, kiedy zamilkła. Nie pytał, co się zdarzy, jeśli Bardasano uzna go za nieodpowiedniego kandydata. Był pewien, że zna odpowiedź... i że bardzo by mu się nie spodobała.

– Zasadniczo myślimy o włączeniu pana do czegoś, co nazywamy operacją Janus – powiedziała Bardasano. – Jak bez wątpienia pan się domyśla, jestem kimś więcej niż tylko młodszą członkinią zarządu Jessyka. W rzeczywistości reprezentuję całkiem spore konsorcjum międzygwiezdnych korporacji, które tak albo inaczej ucierpiały na skutek nietaktownych zachowań Manticore. Kilka z nich, jak wcześniej już musiał się pan zorientować, ma siedziby tutaj, na Mesie. Naprawdę starają się trzymać Manticore jak najdalej od siebie. Nasza operacja w sektorze Talbott też była na to nastawiona i chociaż ostatecznie zakończyła się niepowodzeniem, pewne jej aspekty zasługują na uwagę. Chociażby pańska działalność, której nie należy się ani słowo krytyki. Mamy nadzieję, że zechce pan pomóc nam w podobnej operacji, tyle że na nieco większą skalę.

– Większą skalę? – powtórzył, tym razem nie wahając się przed uniesieniem brwi. Wydawało mu się, że próba destabilizacji rządów kilku układów była zadaniem z tych dość

ambitnych, ale jeśli Bardasano myślała o czymś jeszcze większym...

– Tak. – Usiadła głębiej w fotelu i założyła nogę na nogę. – Bez przesady można powiedzieć, że w porównaniu z tym nowym zadaniem operacja w gromadzie Talbott była tylko testem. Jej celem było zapobieżenie aneksji, ale sprawy potoczyły się zbyt szybko, jeśli chodzi o nasz sposób planowania. Od tej strony sprawa nas przerosła. Nikt nie obwinia pana za to, co wydarzyło się na Montanie i Kornati, bo zawsze tak bywa, gdy ktoś zaczyna się spieszyć.

Kiwnął głową w zamyśleniu. Ona miała rację!

– Niemniej w tym samym czasie zaczęliśmy wstępną fazę operacji Janus, która ma charakter wieloaspektowy. Jeden z nich, militarny, raczej nie podpada pod pańskie umiejętności, ale jest też coś, co powinno dokładnie panu przypasować. – Spojrzała na niego tak zupełnie bez emocji, jak okaz sztucznej inteligencji. Nie zareagował. Odwzajemnił tylko spojrzenie i czekał. Po chwili skinęła głową, chyba zadowolona, i podjęła wątek: – To, co mam do powiedzenia, jest oczywiście tajne. Domyśla się pan, jak zareagują moi pracodawcy, jak ja zareaguję, gdyby coś z tego wyciekło na zewnątrz?

– Najpewniej tak – odparł krótko Harahap i uśmiechnął się lekko.

– Rufino zapewniał, że jest pan profesjonalistą – stwierdziła z podobnym uśmiechem i wciągnęła głęboko powietrze. – Moi pracodawcy obawiają się, że Manticore nie poprzestanie na gromadzie Talbott. Zgodnie z napływającymi doniesieniami zamierzają zachęcać stamtąd inne układy Pogranicza do pójścia w jej ślady. Jestem pewna, że sam pan wie doskonale, jak mało sympatii pozostało między Manticore a Biurem Bezpieczeństwa Granicznego czy całą Ligą Solarną. Uważamy, czy raczej moi pracodawcy uważają, że najgorszym, na co moglibyśmy pozwolić, byłoby umocnienie się Manticore w gromadzie Talbott z jednoczesnym budowaniem poza nią luźnych sojuszy z układami planetarnymi skłaniającymi się ku podobnemu wzmocnieniu więzów z Manticore. Naszym zdaniem najlepiej będzie zdusić to zagrożenie w zarodku, zachęcając tym samym Ligę do otwartego protestu wobec postępowania Manticore na terenie Pogranicza.

Harahap znów pokiwał głową. Miał swoje zdanie na ten temat. Jeśli anonimowi pracodawcy Bardasano mieli zamiar wmanewrować Ligę Solarną w próby ograniczenia ekspansji Manticore, plan rzeczywiście był bardzo ambitny. Na pierwszy rzut oka całe przedsięwzięcie wydawało się nierealne, ale Harahap zwykł patrzeć na takie rzeczy w szerszej perspektywie. Lepiej niż większość rozumiał skalę korupcji panującej w Biurze Bezpieczeństwa Granicznego i skalę

przekupności stałych podsekretarzy rządu Ligi Solarnej. Z drugiej strony nawet najbardziej przekupny biurokrata potrzebował jakiegoś listka figowego, żeby się nim okryć, gdyby media coś zwąchały.

– Jak pan świetnie wie, panie Harahap, na Pograniczu nigdy nie jest całkiem spokojnie, a Biuro nie jest tam specjalnie lubiane. Co więcej, nawet i bez niego mamy sporo zniechędzonych lokalnych reżimów, których istnienie wywołuje szereg wewnętrznych zaburzeń. W sumie ciągle coś tam się gotuje i sprawy poważne przeplatają się nieustannie z groteską i przejawami czystego szaleństwa. Ktoś ma zwidy, ktoś coś reformuje i tak dalej. Chyba spotkał się pan niedawno z przykładami takich procesów na Montanie i Kornati.

– Z całą pewnością można tak opisać Nordbrandt – zgodził się Harahap z uśmiechem. – W przypadku Westmana byłaby to niejaka przesada. – Wzruszył ramionami. – Był zdecydowanie poważny i nie sądzę, żeby dało mu się przypisać szaleństwo.

Bardasano zastanawiała się przez chwilę i w końcu skinęła głową, jakby bardzo chciała się z nim zgodzić.

– Cóż, jeden z etapów operacji Janus ma polegać na zlokalizowaniu i identyfikacji jak największej liczby podobnych ruchów. Chcemy zachęcać tych ludzi do działania, napawać wiarą we własne siły, zaopatrywać w broń i szkolić.

Przerwała, a Harahap pozwolił sobie na wyraźne zmarszczenie brwi.

– Przepraszam – powiedział po chwili, gdy pojął, że na pewno oczekiwała teraz jego reakcji. – Ale jeśli chodzi o powstrzymanie Manticore, to dlaczego mamy osłabiać lokalne reżimy, wspierając ruchy oporu? Czy to raczej nie zachęci Królestwa do ekspansji w nadziei, że zostanie przyjęte z otwartymi ramionami?

– W zwyczajnych okolicznościach czegoś takiego właśnie można by oczekiwać – zgodziła się Bardasano, obracając się lekko wraz z fotelem. Jednak w jej szarych jak ekran komputera oczach błysnęło coś przypominającego rozbawienie. Rozbawienie z powodu tego właśnie pytania. – Ale powiedzmy, że nadal pracuje pan w Żandarmerii i nagle się dowiaduje, że ktoś obiecuje pomoc dla wrogów miejscowych reżimów, które są sojusznikami Ligi. Albo nawet czyni zakusy przeciwko przysłanym przez Biuro administratorom układów i gubernatorom. Jak by pan zareagował?

– Staralbym się ukrócić tę działalność – odparł posłusznie Harahap. – Próbowałbym przeniknąć do takiego ruchu i go rozbić. Staralbym się przeszkodzić przemytowi broni,

zaczęlbym wywierać polityczną albo i militarną presję na wszystkich uważających, że działanie na niekorzyść Ligi Solarnej może przynieść coś dobrego.

– Sama też bym tak działała – zgodziła się Bardasano. – Zwłaszcza jeśli ludzie przysyłający tę broń byliby gotowi udzielić realnego wsparcia wojskowego, gdy nadejdzie na to pora. Gdyby było wiadomo, że pojawi się jakaś flota, która uniemożliwi administratorom i gubernatorom układów wezwanie wsparcia pod postacią jednostek Biura Bezpieczeństwa Granicznego.

– Zakładając, że ci ludzie okażą się na tyle głupi, żeby obiecać pomoc wojskową. W takiej sytuacji Liga Solarna zapewne byłaby gotowa użyć siły – powiedział powoli Harahap. – Samo zachęcanie to jedno, jednak zapewnienie nie tylko dostaw broni, ale i pomocy marynarki wojennej... To już całkiem inna jakość.

– Właśnie. – Bardasano pokiwała głową i pochyliła się nad biurkiem. – W takich okolicznościach trudno byłoby kontynuować wcześniejszą operację w gromadzie Talbott. Zdaję sobie sprawę, że nie ma pan pełnej... powiedzmy, „orientacji sytuacyjnej” w temacie nękanych niepokojami systemów poza gromadą. Niemniej sędzę, że umie pan się w tym szybko połapać. Ma pan oko do takich rzeczy. Jak dotąd zidentyfikowaliśmy kilka układów planetarnych, które mogą potencjalnie stać się ogniskami zapalnymi i pomieszać szyki zarówno Lidze Solarnej, jak i Manticore. W wielu z nich mamy naszych ludzi, korporacje, takie jak ta, którą reprezentuję, zawsze starają się mieć kogoś zaufanego na miejscu. Wystarczyło sięgnąć po cichu do archiwów Żandarmerii i Biura Bezpieczeństwa Granicznego, żeby uzyskać ich wewnętrzne raporty o zdarzeniach i nastrojach panujących na szeregu planet. Co więcej, sędzę, że nasi analitycy są bardziej wnikliwi w ocenie tych sprawozdań. Zna pan ten biurokratyczny mechanizm, który sprawia, że im kto jest wyżej w strukturze, tym bardziej widzi tylko to, co chce widzieć.

Harahap parsknął śmiechem. Jedną z rzeczy, które najbardziej lubił w Ulrike Eichbauer, była jej zdolność do unikania takich pułapek w myśleniu. Nie był w stanie policzyć znanych mu przez lata przełożonych, którzy w nie wpadali i gotowi byli odrzucić dowolną analizę i zlekceważyć każde ostrzeżenie, jeśli kłóciły się z ich poglądami na porządek rzeczy. Ich biurko stawało się centrum wszechświata, a potem winili jego i innych agentów za niepowodzenia, do których sami doprowadzili. Było więc nie tylko możliwe, ale i wysoce prawdopodobne, że „pracodawcy” Bardasano więcej zyskują na raportach agentów niż sama Żandarmeria.

– Czego oczekuję na początek, to oceny naszej interpretacji tych danych. Chodzi o to, żeby pan na miejscu sprawdził, na ile trafnie oceniliśmy sytuację. Będziemy zapewne prosić także o

nawiązanie kontaktu z niektórymi spośród przedstawicieli niezadowolonych środowisk. Podobnie jak w przypadku Agnes Nordbrandt i Stephena Westmana.

Harahap zastanowił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Właściwie to samo robiłem dla Ulrike. Tyle że będę w pewien sposób na nowym terenie. Bez fałszywej skromności muszę przyznać, że jestem jednym z najlepszych w tej branży, ale trudno zakładać, że zdołam wtopić się w tłum na planetach, których nigdy wcześniej nie odwiedzałem.

– To zrozumiałe. – Bardasano kiwnęła głową. – Niestety, nie mamy nikogo, kto mógłby to zrobić, a przy pańskim doświadczeniu i tak powinno pójść lepiej niż w przypadku innych.

– Zakładam zatem, że otrzymam informacje, których potrzebuję. Albo przynajmniej takie, które waszym zdaniem powinienem dostać. – Uśmiechnął się. – To nie zawsze to samo.

– A jakich informacji pan oczekuje?

– Och, przede wszystkim chciałbym zobaczyć raporty waszych analityków. Chciałbym również uzyskać dostęp do surowych danych. Cenię możliwość wyciągania własnych wniosków opartych na oryginalnym materiale źródłowym.

– Tego może być sporo – zauważyła.

Znowu się zaśmiał.

– Szybko czytam, pani Bardasano. Musiałem się tego nauczyć. Nawet jeśli nie zdołam zająć się całością, na pewno znajdę sporo szczegółów, które pomogą mi zrozumieć sytuację na miejscu. To z pewnością nie zaszkodzi. I szczerze mówiąc, czasem takie głębsze wniknięcie w materiał bardzo pomaga podczas roboty. Moje analizy nie zawsze są trafne, ale raczej rzadko się mylę. A jeśli opieram się na samodzielnie wysnutych wnioskach, mogę działać znacznie pewniej. A to z kolei będzie miało przełożenie na to, na ile zdołam zyskać zaufanie lokalnych odpowiedników Nordbrandt i Westmana. Na ile uwierzą, że naprawdę jestem tym, za kogo się podaję.

– Rozumiem. – Gospodyni zastanowiła się z poważnym wyrazem twarzy, po czym skinęła głową. – W porządku. Nie widzę problemu, dopóki będzie pan bezpiecznie przechowywał te dane.

– Nie sędzę, żeby wynikły z tego jakieś kłopoty – stwierdził z przekonaniem Harahap.

– Zatem jest pan gotów przyjąć zadanie?

To pytanie wymagało zastanowienia. Jedyne, czego był pewien, to że nie powiedziała mu

wszystkiego. Może jedną trzecią lub nawet jedną czwartą prawdy. Na jej miejscu też nie zaufałyby świeżo zwerbowanemu agentowi na tyle, żeby wyjawiać mu, dla kogo będzie pracował i jaka dokładnie będzie jego rola. Z drugiej strony Bardasano rozumiała, że dla powodzenia operacji pewne rzeczy musi mu zapewnić. Co więcej, te luksusy wokół sugerowały, że ta robota może mu się opłacić.

Ciekawe, dla kogo ona naprawdę pracuje, zastanowił się. Może Jessyk, a na pewno Manpower, ale czy jeszcze ktoś? Pewnie raczej nie Kalokainos, który próbował zamordować Ulrike i mnie. Chociaż i to trudno całkiem wykluczyć. Bóg jeden wie, jak nietrwale są sojusze między korporacjami. Całkiem jak kostka lodu w pełnym słońcu!

– Chcecie więc, żebym sprawdził wasze analizy, dotarł do miejscowych przywódców ruchu oporu i ocenił, na ile zdołają coś osiągnąć bez pomocy zewnętrznej, po czym obiecał im tę pomoc ze strony pani pracodawców?

– Prawie, panie Harahap. Prawie. Wszystko z wyjątkiem tego ostatniego.

– O udzielaniu pomocy? – Harahap zmarszczył brwi. – Proszę mi wybaczyć, ale myślałem, że to integralna część całego planu.

– Och tak! – Tym razem Bardasano mogłaby zawstydzić uśmiechem rekina. – Rzecz w tym, że to nie naszą pomoc ma im pan obiecać.

ROZDZIAŁ VII



„Społeczeństwo w każdym stanie jest błogosławieństwem, ale rząd, nawet w swej najlepszej formie, jest zawsze tylko złem koniecznym; w swej najgorszej postaci zaś jest nie do zniesienia: bo gdy cierpimy lub jesteśmy wystawieni przez rząd na te same nieszczęścia, których moglibyśmy oczekiwać w kraju bez rządu, naszą rozpacz potęguje świadomość, że sami dostarczamy innym środki, by czynili nasze życie nieznośnym. Rząd, podobnie jak strój, może być symbolem utraconej niewinności; pałace królów powstają na ruinach rajów. Gdyby nakazy sumienia były jasne, jednolite i niezmiennie przestrzegane, człowiek nie potrzebowałby innych prawodawców; ale ponieważ tak nie jest, uznaje za konieczne oddanie części swej własności, aby zyskać możliwość chronienia reszty. Czyni to powodowany tą samą rozważą, która w każdym innych okolicznościach każe mu z dwóch złych rzeczy wybrać mniejsze zło. Tym samym, skoro zapewnienie bezpieczeństwa jest przyczyną powstania i prawdziwym celem istnienia rządu, w oczywisty sposób najbardziej pożądana jest taka jego postać, która zapewni jak największe korzyści przy jak najmniejszych kosztach”.



Indiana Graham oparł się w starym i zniszczonym fotelu i spojrzał na jeszcze bardziej sfatygowaną książkę, którą trzymał w dłoniach. Jego oczy zdawały się płonąć. To nie był pierwszy raz, ani nawet drugi czy setny, kiedy sięgnął po *Wielkich myślicieli wolności politycznej* Yumashewa. I nie był też ostatni. Wciąż pamiętał, kiedy ojciec po raz pierwszy wręczył mu egzemplarz *Zdrowego rozsądku*. Ile wtedy miał? Jedenaście lat? Jakoś tak. Archaiczny język dzieła, bo przecież angielski zmienił się znacznie w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat, okazał się nie lada wyzwaniem, nawet z pomocą dobrego słownika. Ale doznał do końca, po części dlatego, że było to ważne dla jego ojca, a po części i przez to, że podzielał już jego zainteresowanie historią, choć prawdziwą pasją stała się dla niego dopiero kilka lat temu.

W ogóle wiele zmieniło się w ciągu ostatnich kilku lat.

Skrzywił się na tę myśl i zamknął książkę. Potem wstał ostrożnie z chwiejnego fotela i przeszedł do biblioteczki stojącej w malutkiej sypialni jego niedużego mieszkania. Wsunął gruby tom na półkę (plastikowe strony były cienkie, ale Thomas Paine nie był jedynym lokatorem książki Yumashewa) i wpatrywał się weń przez chwilę. Biorąc pod uwagę treść, zapewne nie był

to najlepszy pomysł, żeby zostawiać książkę tak na widoku. Z drugiej strony małe były szanse, żeby tajniacy zjawili się u niego z własnej inicjatywy, a gdyby czemuś to zrobili, to nawet najlepsza skrytka nie byłaby dość dobra. Inna sprawa, że przeciętny glina z Policji Bezpieczeństwa Układu Seraphim mógł nie mieć pojęcia, kim byli Thomas Paine, Jean-Jacques Rousseau, John Locke, Thomas Jefferson, Edmund Burke, Hannah Arendt, Judith Shklar, Jeremiah Towanda czy Henrietta MacIntyre. Zważywszy na ich ogólną umiejętność czytania, mogli mieć kłopoty wręcz z odcyfrowaniem napisów na grzbietach książek.

Nie był pewien, czy Anderson Bligh, minister edukacji układu Seraphim, zabronił oficjalnie czytania Paine'a. Dla rządu McCready system kształcenia był tylko jeszcze jednym narzędziem propagandy i policja w ogóle nie miała zwyczaju publikować list zakazanych autorów. Ci, którzy zdaniem Bligha albo prezydent McCready byli w jakiś sposób niepożądani, po prostu znikali z katalogów księgarskich. Po cichu, bez zamieszania czy sporów. W przeciwnym razie ryzykowano by niezadowolenie obywateli z prób uciszania tego czy innego autora. Niemniej lista jako taka istniała. Frieda Simmons, asystentka kierownika Cherubim Public Library, pokazała mu, że zarówno Jefferson, jak i Shklar zostali na niej umieszczeni. A jeśli Paine jeszcze tam nie trafił, to może dlatego, że żaden z urzędników z Ministerstwa Edukacji nigdy o nim nie słyszał. Jak tylko do tego dojdzie, na pewno go tam wstawią. Jeśli czyjeś poglądy mogły okazać się wybitnie groźne dla rządu układu Seraphim, to Paine z pewnością kwalifikował się do tej roli.

I nie byłby to pierwszy raz w ciągu minionych wieków, gdy spotkałby go ten zaszczyt.

Indy odsunął się o krok i przesunął palcem po grzbietach książek stojących obok *Wielkich myślicieli*. Pewnie jedna czwarta z nich należała kiedyś do jego ojca. To było wszystko, co udało mu się uratować z biblioteki starszego Grahama po tym, gdy tajniacy go aresztowali. Wraz z siostrą i matką mieli niecałe pół godziny na zabranie czegokolwiek. Potem zostali wyrzuceni na ulicę. Okazało się, że pomimo regularnego spłacania rat kredytu hipotecznego, i to co najmniej dwa tygodnie przed terminem, jak Bruce dobrze pamiętał, mieli podobno roczne zaległości w wywiązywaniu się z umowy. Ponieważ tajniacy odcięli ich od rachunków bankowych i wyciągów z kont, Treysa Graham nie mogła udowodnić, że było inaczej. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Kredytu udzielił Pierwszy Bank Ludowy Cherubim, który był własnością znajomego ministra gospodarki, Trisha Mansella, zatem wiadomo było, co bank odpowie. Poza tym, jeśli Tillman O'Sullivan i Policja Bezpieczeństwa decydowali się dać komuś nauczkę, zawsze gruntownie się do tego przygotowywali.

Reszta jego księgozbioru pochodziła od Friedy. Właściwie ukradł te książki, ale jemu to nie przeszkadzało. W rejestrach figurowały jako tomy w „magazynie zewnętrznym”. Dawno, dawno temu, zanim system Seraphim został opanowany przez Krestor Interstellar i Mendoza of Córdoba, kiedy jeszcze posiadał rząd, który mógł zostać odwołany w wyborach, miejskie biblioteki były zdumiewająco dobrze zaopatrzone, jak na galaktyczną prowincję. Poza książkami elektronicznymi przechowywały też bezcenne dzieła z najwcześniejszego okresu zasiedlania planety, jak i wartościowe książki z innych planet, niekiedy bardzo odległych. Bóg jeden wie, jak wszystkie one trafiły na Seraphim, ale tak było.

Część tych zbiorów przestała już być dostępna dla ogółu, ponieważ zawierała treści, których rząd nie akceptował, ale nie została zniszczona. To samo dotyczyło tradycyjnych książek, wśród których znajdowali się i *Wielcy myśliciele*. Inna sprawa, że ta część księgozbioru zniknęła w szybszym tempie, jako łatwiejsza do trwałego usunięcia niż dokumenty elektroniczne. Gdy Ministerstwo Edukacji uznawało, że należy się czegoś pozbyć, jego wysłannicy zaglądali do działów katalogowych wszystkich bibliotek na całej planecie i skazane na zapomnienie książki natychmiast trafiały do kosza na śmieci. Elektroniczne zasoby zasadniczo łatwiej było wyczyścić, ale i prościej było coś z nich uratować. Osoby takie jak Frieda przemycały pliki poza biblioteki i ukrywały je należycie przed agentami ministerstwa. Nośniki były lekkie i cała biblioteka mieściła się w kieszeni.

Frieda starała się ratować także tradycyjne książki, co jej się udało w przypadku naprawdę wielu zagrożonych tytułów. Znała rodziców Indy’ego od czasów szkolnych. Pamiętał, jak nieraz siadali przy gorącej czekoladzie i dyskutowali o historii, polityce i o tym, jak Seraphim padł łupem solarnych. Indy słuchał. Było więc całkiem naturalne, że Frieda u nich właśnie zaczęła deponować swoje ukochane książki.

Uśmiechnął się na tę myśl, a potem spojrzał na migoczący na nadgarstku sygnał komunikatora i zmełł w ustach przekleństwo. Był już dziesięć minut spóźniony. Jeśli zaraz się nie ruszy, ominie go lunch z Mackenzie. Szkoda byłoby to stracić... zwłaszcza dzisiaj.

Poklepał książki przyjacielskim gestem i ruszył do drzwi.

Tato byłby wkurzony, gdyby wiedział o moich konszachtach z Friedą, pomyślał z uśmiechem, schodząc po wąskich schodach (winda nie działała od sześciu tygodni). Powietrze gęste było od miazmatów kuchennych, odoru śmieci i różnych, trudnych do zidentyfikowania woni. Tak, ojciec na pewno by wolał, żebym nie przechowywał skrycie dzieł zakazanych. Ale

trudno. Skoro podsunął mi tych wszystkich autorów i nauczył myśleć o tym, co mieli do powiedzenia, nie mogło być inaczej.

Gdy wyszedł na ulicę, zobaczył jeden z odrapanych, ale punktualnych tramwajów, zbliżający się do przystanku pod jego domem. Wsiadł, przytknął komunikator do skanera i znalazł sobie wolne miejsce. Zaraz potem tramwaj ruszył.

Czasami zastanawiał się, czy ojciec podsunąłby mu Paine'a oraz innych autorów także wtedy, gdyby wiedział, co nastąpi. Pewnie tak. Bruce Graham kochał swoje dzieci, a ta miłość właśnie zaprowadziła Indy'ego i Mackenzie do zakazanych obszarów myśli. Chciał, żeby w okresie edukacji poznali także to, co wypadło z programu szkolnego nastawionego na wychowywanie posłusznych korporacjom pólidiotów. Ale to działo się przed jego aresztowaniem i osadzeniem w więzieniu Terrabore, a ojciec był poza wszystkim również bardzo opiekuńczy. Obecnie jego miłość wyrażała się w staraniach, aby utrzymać Indy'ego i Mackenzie, a zwłaszcza Treysę, z dala od ponurych przybytków władzy.

Indy poczuł, że coś zapiekło go w oczach, a dłoń zacisnęła się mimowolnie na podłokietniku siedzenia, gdy patrzył przez otwarte okno jadącego tramwaju. Na zewnątrz rudziki (mało przypominające ziemskie oryginały) pogwizdywały melodyjnie, siedząc na gałęziach drzew i parapetach okien. Był ciepły dzień późnego lata. Kiedyś, gdy był dzieckiem, spędzali takie dni na plaży, łowiąc ostatnie przed jesienią promienie słońca. On jednak spędził wczorajszy dzień w Terrabore, korzystając z szansy na godzinne spotkanie z ojcem. Pozwalali im na to raz w miesiącu. Serce go zabolalo, gdy Bruce Graham wszedł niepewnie do kabiny oddzielonej grubą taflą krystoplastu. Ojciec miał ledwie pięćdziesiąt lat, ale poruszał się jak ktoś dwa razy starszy... i to bez prolongu. Lewą rękę miał na temblaku z paska, na prawej stronie jego twarzy pojawiły się brzydkie siniaki. Jaskrawopomarańczowy strój więzienny skrywał resztę ciała, ale Indy się domyślał, co mógłby pod nim zobaczyć.

Wiedział, że lepiej nie pytać, co się stało. To nie było pierwsze lanie, które Bruce Graham otrzymał od czasu aresztowania, chociaż tym razem wyglądało to gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. Poza tym, gdyby jednak Indy zapytał, Bruce odpowiedziałby tylko „upadłem” albo „trafiłem między dwóch takich, co się nie lubią”. Bo i tylko tyle mógł odpowiedzieć.

No i to spojrzenie mówiące jasno „nie ruszaj tematu”. I jeszcze: „będzie, co ma być” oraz „nie zrób niczego głupiego”.

Indy przyzwyczał się do tego spojrzenia. Musiał. Wiedział dokładnie, co ono znaczy, skąd

się bierze. W ostatniej rozmowie przed wyrokiem ojciec go poprosił, usilnie poprosił, aby trzymał się jak najdalej od wszystkiego, co mogłoby zwrócić na niego uwagę policji. W swoim czasie Bruce Graham wierzył, że zebrawszy trochę kapitału, nawet tutaj, na Seraphimie, da się otworzyć własną firmę dającą jakąś nadzieję na lepszą przyszłość. Może z czasem udałoby się nawet odzyskać trochę swobody politycznej, którą Jacqueline McCready i jej korporacyjni władcy ukradli obywatelom. Wyszło jednak inaczej, przy czym jakkolwiek Bruce sam był gotów na pewne ryzyko, to nie chciał narażać na nie syna i córki. A dzieci skazanego „wroga ludu” siłą rzeczy musiały być obserwowane przez policję.

Indy wiedział, jak bardzo ojciec go kocha, dlatego obiecał mu, że nikt w całym układzie nie będzie bardziej apolityczny niż on. I nie była to deklaracja wygłoszona na użytek ewentualnego podsłuchu. Zrobił to dla ojca, którego także bardzo kochał. Tyle że nie był szczery. Wcale nie miał takiego zamiaru. Ani wtedy, ani teraz. Pewnych rzeczy po prostu nie mógł zrobić. Nawet dla ojca. I dotrzymanie przyrzeczenia było jedną z nich.

Owszem, próbował. Naprawdę próbował, ponieważ matka też go o to błagała. Ale wiedział, że na dłuższą metę nic z tego nie wyjdzie.



Tramwaj dotarł w końcu do upragnionego przystanku i Indy wysiadł, po czym skręcił w lewo i minął dwie przecznice dzielące go od The Soup Spoon. Była to mała rodzinna restauracja, która w jakiś sposób zdołała przetrwać. Wystrój był skromny, ale jakość potraw z nawiązką to wynagradzała.

– Indy! – zawołała Alecta Yearman, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. – Spóźniłeś się! Max jest tu już od prawie dwudziestu minut.

– Nie bujaj, Naak – powiedział, używając przyzwiska, które nadali jej przybrani rodzice, gdy adoptowali dziewczynę w wieku ośmiu lat. – Jestem prawie punktualnie, a moja siostra nigdy nie przychodzi na spotkania wcześniej. Być może siedzi tu od pięciu minut, ale i to byłby rekord!

– Może czas się dłuży, gdy się czeka na ulubionych klientów. – Alecta stanęła na palcach, aby cmoknąć go w policzek. – Idź na tyły. Trzyma wasz zwykły stolik. Za chwilę przyjdę przyjmując zamówienie.

– Dzięki. – Indy objął ją jedną ręką i przeszedł przez salę do pomieszczenia na zapleczu.

Gdy tam wszedł, młoda kobieta uniosła zrezygnowaną twarz znad czytnika. Była bardzo podobna do starszego brata i użerała się z nim już ponad dwadzieścia lat.

– Spóźniłeś się – powiedziała, na co Indy zareagował śmiechem.

– Nie tak bardzo. Poza tym, gdybym był wcześniej, nie miałabyś na co narzekać. Sama pomyśl, jakie to by było przykre!

Mimo wysiłków Mackenzie Graham nie zdołała zachować powagi. Potrząsnęła głową i wskazała lekko chwiejące się krzesło po drugiej stronie stołu.

– Siadaj – rzuciła, a Indy posłuchał z pokorną miną, na którą siostra nie miała zamiaru się nabrać.

Mackenzie była lepiej ubrana niż brat, co było koniecznością, biorąc pod uwagę jej zawód. Preferowała jednak stonowane kolory, które w przypadku Indy’ego byłyby nie na miejscu.

Ich matka, Treysa, wyjechała ze stolicy już lata temu. Żona wroga ludu była skazana na bezrobocie i z automatu traciła wszelkie świadczenia socjalne. Miała szczęście, że mieszkające na wsi dzieci siostry przyjęły ją do siebie po śmierci rodziców. Znalazła kąt i miała co jeść. Nie wszyscy mogli liczyć na tyle szczęścia. Wprawdzie trudno było jej jeździć co miesiąc do Terrabore, ale zeszła z oczu tajniakom.

Policja zwykle nie przejmowała się tym, co działo się na prowincji. Jej uwaga skupiała się na ludziach działających czy ukrywających się w miastach i miasteczkach. Być może było to z jej strony pewne niedopatrzenie.

Treysa byłaby szczęśliwa, gdyby Indy i Mackenzie dołączyli do niej, ale zrezygnowała z nalegań na takie rozwiązanie. Po części dlatego, że znała swoje dzieci i wiedziała, jakie są uparte, a poza tym podejrzewała, czym naprawdę się zajmowały. Rodzeństwo ciężko pracowało, aby tylko nie budzić podejrzeń o nielegalną działalność, ale Treysa była bardzo inteligentną kobietą. No i kobietą, która poślubiła kiedyś Bruce’a Grahama. Jakkolwiek bała się o dzieci, rozumiała, że istnieją pewne sprawy, pewne zasady, których nie można oddać bez walki.

To był prawdziwy powód, dla którego Indy i Mackenzie zostali w stolicy. I to był powód, dla którego Indy został szczupakiem podziemia gospodarczego. Nie rekinem, ale też nie płotką. Nie był to fach, o którym Bruce marzył dla swojego dziecka, ale syn skazanego kryminalisty nie miał wielkiego wyboru. Poza tym wiązały się z tym... niejakie korzyści.

Mackenzie zdołała uniknąć odium tylko dlatego, że była wysoko wykwalifikowaną specjalistką z branży IT. Lokalny popyt na takich ludzi był zbyt wielki, żeby ktoś przejmował się wyrokiem jej ojca. Władze przymykały na to oko, ponieważ jedna trzecia jej klientów to były filie korporacji, które przejęły praktycznie na własność układ Seraphim. Większość pozostałych i

teoretycznie „niezależnych” firm należała do osób związanych z Krestorem, Mendozą czy ludźmi władzy. Jakkolwiek ułożyło się życie jej ojcu i bratu, Mackenzie wyraźnie wyciągnęła z tego wnioski.

Indy związał się jednak z czarnym rynkiem, który miał się ostatnio całkiem dobrze. Dostępne było tam niemal wszystko, jeśli tylko znało się właściwych ludzi i miało dość pieniędzy. Albo coś wartościowego, na co był popyt.

McCready, O’Sullivan i Helena Hashimoto nieraz myśleli o likwidacji szarej strefy, jednak z czasem stała się ona istotną częścią gospodarki planety. Walka z nią mogłaby spowodować spadek dochodów korporacji i wszystkich, którzy jakoś się z nimi związali. Co więcej, mogłaby oznaczać załamanie całej gospodarki układu. Dlatego władze nie miały nic przeciwko temu, że niepewne i marginalizowane elementy, takie jak Indy Graham, który wiedział, że zawsze stąpa po cienkim lodzie, brały się do szemranych interesów. W ten sposób łatwiej było ich kontrolować. Dobrze wiedzieli, co by się z nimi stało, gdyby narazili się komuś ważniejszemu.

Nie była to wielka kariera, chociaż Indy radził sobie o wiele lepiej, niż sądził urząd podatkowy. Zwłaszcza mając siostrę, która wiedziała o komputerach więcej niż dziewięćdziesiąt procent rządowych specjalistów z tej branży.

W ten sposób godził codzienne życie z ważniejszymi sprawami, którym starał się służyć.

– Zamawiałaś coś? – spytał.

Mackenzie pokręciła głową.

– Pamiętam, że masz zaburzone poczucie czasu. Wolałam nie zamawiać, dopóki nie zjawisz się duchem i ciałem. Gdybym zrobiła inaczej, mój talerz byłby już pusty. Albo siedziałabym nad wystygłym żarciem.

– Jak zwykle same pomówienia bez cienia dowodów.

– Naprawdę? – Mackenzie przechyliła głowę i spojrzała na niego z namysłem. – Powiedzmy. Ale może spytasz Alectę o zdanie? Albo pójdziesz pogadać z Dziadkiem Thai? Podzieli się z tobą obserwacjami. Ma dzisiaj popołudniowy dyżur w kuchni.

– Nie, nie, nie! – warknął Indy. – Nie ma co ich w to wciągać. Rozwaga zaleca, żeby im się nie narzucać.

– Jasne, rozwaga. – Mackenzie przewróciła oczami, a Indy zachichotał.

Potem odłożył staroświeckie drukowane menu, splótł na nim dłonie i całkiem poważnie spojrzał na siostrę.

– Wczoraj widziałem tatę. Wyglądał, jakby go potrącił samochód.

Oczy Mackenzie pociemniały, twarz lekko stężała.

– Co się stało?

Indy potrząsnął głową.

– Myślisz, że mi powiedział? Zresztą nie musiał. Tym razem było gorzej, Max. Nie wiem, jak długo to wytrzyma.

– Cholera – rzuciła cicho, chociaż bardzo rzadko przeklinała. Patrzyła na własny egzemplarz menu, ale niczego nie widziała. Myślami znalazła się całkiem gdzie indziej.

– Chyba już czas, Kenzie – dodał Indy. – Mama jest bezpieczna u Sarah i Thada, a tata już i tak siedzi w więzieniu. Co jeszcze może się spieprzyć?

– Sam wiesz, że może być gorzej. Znacznie gorzej – odparła i spojrzała na brata. – I wiesz, co ojciec by powiedział, gdyby dotarło do niego, nad czym się zastanawiamy.

– Nie powie, bo nie ma takiej możliwości – stwierdził z goryczą Indy. – Najprędzej za trzydzieści pięć lat. Zakładając, że tyle pożyje. W Terrabore różnie bywa.

– I dlatego chciałbyś zacząć? Żeby wyciągnąć tatę?

– Wiesz, że chodzi o coś więcej. Nie będę udawał, że o nim też nie myślę. Widziałem go wczoraj i wiem, w jakim fatalnym jest stanie. Ale to nie wszystko. Nie założyliśmy tylu komórek tylko po to, żeby sobie istniały.

Mackenzie przygryzła wargę. Gotowa była się sprzeczać. Zawsze była ostrożna i to ona stale wyciągała brata z różnych tarapatów, chociaż była od niego młodsza. Jednak teraz nie potrafiła się sprzeciwić. Od samego początku wiedziała, do czego dąży, i towarzyszyła mu na każdym kroku. Całkowicie się z nim zgadzała. Jednak przejście od organizowania do działania to byłaby wielka zmiana...

– Wiesz, co się zacznie, gdy te łajdaki wyczują pismo nosem? – spytała. – Jesteś na to gotowy?

– Nie chcę dramatyzować, Kenzie, ale przypomnij sobie, co mówił Jefferson o „drzewie wolności”. Nie pragnę rozlewu krwi, nawet krwi tyranów, o patriotach nie wspominając, ale to zaszło już za daleko, żeby dało się sprawy rozwiązać w inny sposób. No i jest jeszcze Burke. Wiesz, jak ojciec go ceni.

– „Dla zwycięstwa zła wystarczy, że dobrzy ludzie nic nie zrobią” – powiedziała cicho Mackenzie.

Indy pokiwał głową.

– Nie mogę dłużej pozostawać bezczynny, Kenzie. Po prostu nie mogę. I ty też, prawda?

Przez kilka chwil wpatrywała się w menu, po czym podniosła spojrzenie na brata i pokiwała głową.

– Zgadza się, Indy – powiedziała bardzo cicho. – Nie mogę.

ROZDZIAŁ VIII



Ciekawa sprawa, sir.

Porucznik Brandon Stiller spojrział na parę umundurowanych nóg, które wystawały z wnętrza konsoli sterowniczej.

– A co dokładnie, Maggie? – zapytał. – Nie wcisnę się tam, żeby też to zobaczyć.

– O, przepraszam – odparła starszy bosman Magdalena Grigoriv. Jej głos był nieco przytłumiony, ale słowa całkiem zrozumiałe. – Chwileczkę.

W rzeczywistości potrwało to kilka chwil, ale w końcu na tablecie Stillera pojawił się obraz z kamery czołowej pani bosman. Oficer wpatrzył się w niego, trąc brodę, po czym wzruszył ramionami.

– Poddaję się – powiedział. – Poznaję część obwodów, ale moim zdaniem nic w nich niezwykłego. Jakież wskazówki?

– O ile się nie mylę, jest to wtórny zespół rezerwowego logu taktycznego.

– Naprawdę? – zdumiał się Stiller. – Nie miałem pojęcia, że mają to na pokładzie.

– Tak. Codziennie coś nowego, prawda? Ale proszę spojrzeć tutaj.

W polu widzenia pojawiła się dłoń Grigorivej wskazująca parę złączy. Była to dłoń szczupła, o drobnych kościach, i nic dziwnego, ponieważ pani bosman miała zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Była to jedna z przyczyn, dla których właśnie ona została wyznaczona do oględzin konsol na pokładzie dowodzenia MSN *Remorseless* (do niedawna BC-1003 *Incomparable*, a wcześniej w Marynarce Wojennej Ligi Solarnej). Stiller zaś był nie tylko oficerem, ale był też dwadzieścia pięć centymetrów wyższy oraz znacznie potężniej zbudowany. Spore znaczenie miał także fakt, że Grigoriv miała świetną intuicję techniczną, która bardzo się przydawała przy rozgryzaniu zawłości solarnej techniki. Z jej dotychczasowych doświadczeń wynikało, że każdy problem techniczny można było rozwiązać na trzy sposoby: kiepski, dobry i solarny. Czasami Stiller nie miał zielonego pojęcia, co mogło zainspirować SLN do przyjęcia takiego właśnie rozwiązania, jakie napotykali.

– Ten przewód... – postukała w złącze paznokciem, który zdążył się już mocno ubrudzić – idzie prosto do stanowiska oficera taktycznego. A ten... – postukała inne złącze – do Centrum Informacji Bojowej. Ale nie ma żadnego innego wyjścia. Ma połączenie z tymi dwoma

miejscami, przyjmuje od nich dane i może przekazywać wszystko oficerowi taktycznemu, ale poza tym to samodzielny moduł.

– Zastanawiające – mruknął Stiller. – Ciekawe, czy też go wyczyścili. Zakładając, że w ogóle o nim wiedzieli, oczywiście.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, sir. – Obok pojawiła się druga dłoń pani bosman. Zwinne palce szybko przymocowały próbnik do panelu diagnostycznego jednostki pamięci. – Nie wiem co, ale coś tu jest! I to dużo, cała masa danych.

– No cóż, skoro tak, to chyba powinniśmy zobaczyć, co ten drobiazg ma nam do powiedzenia, nieprawdaż?

– Już to kopiuję, sir!



– To była... spora nieostrożność z ich strony – powiedział Augustus Khumalo, wysłuchawszy raportu wywiadu. – Przypuszczam, że admirał O'Malley i pani Corvisart otrzymali własne kopie?

Chandler pokiwał głową.

– Przekazałem je wszystkim z listy upoważnionych.

– I to wszystko tam było? – Khumalo wskazał palcem ekran przed sobą. Aktualnie wyświetlał tylko tapetę HMS *Hercules*, ale pytanie było retoryczne, co dawało się poznać po szerokim uśmiechu admirała.

Niemniej Chandler i tak skinął głową.

– Ściągnąłem materiał przez stanowisko oficera taktycznego i dopiero potem wymontowaliśmy moduł. Ci z układu Monica chyba nie mają pojęcia, że dostarczyli nam komplet kodów dostępu.

– Sądzę, że raczej kapitan Kurtz ma rację – powiedział Aivars Terekhov.

On i Ginger Lewis przybyli na pokład *Herculesa* jako goście w związku z planowanym uroczystym obiadem Khumala, ale stało się to zaraz po tym, jak Chandler dostarczył swój sensacyjny raport. Admirał spojrział na niego kątem oka i Terekhov wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak, sir. Podobnie jak my, nie wiedzieli w ogóle, że dane tam były. Gdyby cokolwiek przeczuwali, wykasowaliby zawartość do czysta, zanim przejęliśmy okręt.

Khumalo pokiwał głową. Ludzie z Moniki wykorzystali czas pomiędzy walką, w której Terekhov zniszczył ich krążowniki bojowe, a przybyciem do układu obcej floty na zniszczenie

wszystkiego, co mogłoby ich obciążać. Pechowo dla nich specjaliści komputerowi Manticore i tak zdołali odtworzyć wiele zapisów z komputerów rozbitej stacji Eroica. Jednak teraz mieli pierwszy kompletny i w żaden sposób nieuszkodzony materiał z logu solarnego krążownika liniowego, który wpadł w ich ręce. Po przejrzeniu zapisu admirał zrozumiał, dlaczego tamci tak dokładnie starali się usunąć wszystkie ślady.

– Mogę się domyślać, że nie wiedzieli o tym module – powiedział po chwili. – Ale Technodyne musiało o nim wiedzieć!

– Powinno – zgodził się Terekhov. – Z drugiej strony, Technodyne to ogromna korporacja, a to była totalnie tajna kombinacja. Założę się też, że uwijali się ze wszystkim na ostatnią chwilę, a wszyscy wiemy, co może się zdarzyć w pośpiechu. Mało razy sami dostawaliśmy przez to w dupę podczas walk z Haven?

– Myślisz, że ktoś postanowił nie ujawniać, gdzie zostaną wysłane te okręty, przez co ktoś inny nie dopilnował szczegółów?

– Coś w tym stylu. Albo też wiedzieli, ale nie powiedzieli tym z układu Monica, bo co ich to obchodziło. Nie oczekiwali przecież, że jednostki dostaną się w nasze ręce. Pilnowali takich spraw, jak zmiana sygnatur emisji, dokonali kosmetycznych zmian w systemach uzbrojenia i zestawach czujników, żeby zewnętrzne skany ich nie wykazywały, ale nigdy nie sądzili, że nasi technicy dobiorą się do sprzętu na pokładzie!

– Mogło tak być – powiedział Khumalo. Nie dodał, że zasadniczo należało oczekiwać czegoś takiego i wywody Aivarsa Terekhova są jakby nie na temat. – Domyślam się, że pani Corvisart i Ministerstwo Spraw Zagranicznych ucieszą się z tych materiałów.

Klepnął leżący obok jego łokcia wyświetlacz. Terekhov pokiwał głową. Ściągnięte materiały obejmowały wszystkie etapy przemiany *Incomparable* w *Remorseless*. Zawierały listę modyfikacji systemów pokładowych oraz zapisy szkoleń nowego personelu. Można było obejrzeć na nich techników Technodyne testujących nowy sprzęt oraz wyjaśniających przybyszom z układu Monica, jak należy się obchodzić z najnowszymi tajnymi osiągnięciami solarnej technologii. Co więcej, byli tam też szefowie działów Technodyne, dyskutujący o zmianach koniecznych przed przekazaniem okrętów układowi Monica. Były nawet konkretne wzmianki o inspektorach Ligi Solarnej, którzy podpisali fikcyjne protokoły zniszczenia jednostek, co było cennym prezentem dla Amandine Corvisart, obciążającym tak Technodyne, jak i całą Ligę Solarną.

– Dziennikarze zapieją z zachwytu, gdy to zobaczą – uznał admirał i Terekhov skinął głową.

– Czy Stiller i Grigoriv dokumentowali każdy etap pracy, Ambrose? – zapytał kapitan.

– Każdy bez wyjątku – potwierdził Chandler. – Całość prac była dokumentowana, ale gdy tylko Stiller zrozumiał, na co trafiła Grigoriv, sprowadził również jednego z solarnych obserwatorów.

– To był sprytny ruch – powiedziała komandor Lewis. – Technodyne narobi hałasu, że wszystko zostało sfabrykowane, ale w tej sytuacji trudniej im będzie zaprzeczać faktom. Gdzie to wszystko znaleźliśmy i jak się zachowało.

– Nie zapominaj, jak bardzo skorumpowany jest system prawny Ligi Solarnej, Ginger – powiedział Terekhov. – Chociaż opinia publiczna nadal się tam liczy. Chyba nie zawadzi, jak się o tym dowie.

– W układzie Monica też może to trochę zmienić – zauważył Khumalo. – Niemniej chyba pora na obiad? Zanim jednak usiądziemy do stołu, Aivarsie, jak przebiega naprawa *Hexapumy*?

– W sumie całkiem dobrze. – Terekhov machnął ręką w kierunku Lewis. – Ginger i jej ludzie są już prawie całkiem wykończeni, ale z pomocą kapitan Kurtz powinniśmy w ciągu kilku tygodni osiągnąć sprawność do przelotu.

– To niezwykle dokonanie – odrzekł ze szczerym podziwem Khumalo i skinął głową Lewis. – Gdy pierwszy raz zobaczyłem raport o uszkodzeniach, coś takiego wydawało mi się wręcz niemożliwe.

– Też byłem tego zdania, sir – powiedział Terekhov. – Tylko Ginger ani przez chwilę nie wątpiła, że się uda.

– To nie tak. – Lewis potrząsnęła głową. – Raczej nie miałam odwagi dzielić się moimi wątpliwościami, czy uda mi się to wszystko posklejać i powkładać na miejsce.

– Cóż, cokolwiek pani wówczas myślała, teraz wiemy, że kapitan Terekhov słusznie postanowił pani zaufać. W sumie... – Przerwał, słysząc delikatny sygnał swojego komunikatora.

– Dobrze. Zawieszamy dyskusję i wznowimy ją dopiero po obiedzie. – Odsunął krzesło i chwilę się zastanowił. – Zapraszam wszystkich. Sądzę, że kucharze przygotowali coś smacznego.



– Nie, panie prezydencie. – Amandine Corvisart mogła zachowywać się uprzejmie, ale daleko jej było do serdeczności. – Obawiam się, że ten punkt nie podlega negocjacjom.

Roberto Tyler spojrział na nią zza biurka, po czym obejrzał się na dwóch mężczyzn

siedzących w jego gabinecie.

Admirał Gregoire Bourmont odwrócił wzrok, co nie zaskoczyło prezydenta. Bourmont nie doszedł jeszcze do siebie. Wciąż przeżywał miazdzącą klęskę, czyli całkowite zniszczenie jego marynarki wojennej przez zebrany naprędce zespół Manticore. Fakt, że stworzono go głównie z jednostek floty rezerwowej, przelał czarę goryczy. Admirał odebrał to bardzo osobiście. Wydawał się śnić wciąż ten koszmar i za nic nie potrafił się z niego wybudzić. Tyler wątpił, czy kojące przebudzenie kiedykolwiek nadejdzie.

Alfonso Higgins, szef wywiadu Republiki Monica, nie miał sobie tyle do zarzucenia i nie uciekł spojrzaniem. Wzruszył tylko lekko ramionami. Tyler mocniej zacisnął szczęki. Higgins jednoznacznie wskazał, że nie mają wyjścia, jak tylko przystać na propozycję Manticore. Każdą, jakakolwiek będzie. Jego raporty i analizy wywiadowcze nie zostawiały cienia wątpliwości – los prezydenta Tylera zawisł na włosku. Elektorat układu Monica wiedział świetnie, na czym naprawdę opiera się system polityczny Republiki. Wiedział i przez ostatnie kilkadziesiąt lat zasadniczo gotów był to nawet akceptować. Co ważniejsze, cała ekipa podległych mu kleptokratów stała za nim równym szeregiem, skoro jego polityka zapewniała im dopływ gotówki z Ligi Solarnej, potrzebnej do smarowania mechanizmów władzy. I tak to się toczyło, dopóki Tyler nie wplątał państwa w jeden z największych konfliktów międzygwiazdnych i nie przywiódł go do największej klęski w całych jego dziejach. W tej chwili elita kleptokratów w większości odwróciła się do niego plecami. A gdyby Gwiazdne Imperium Manticore zaproponowało włączenie układu Monica do sektora Talbott, a chodziły słuchy, że to może się zdarzyć, wynik plebiscytu w tej sprawie byłby przesądzony. Na rzecz Manticore oczywiście.

I trudno, żeby było inaczej, pomyślał Tyler, ponownie kierując uwagę na Corvisart. Ale lepiej niech się Manticore pilnuje. Biuro Bezpieczeństwa Granicznego będzie skłonne teraz wiele przełknąć, zwłaszcza że Anisimovna i jej kumple tyle spieprzyli, ale zagarnięcie tak wielkiego obszaru, niechby nawet po plebiscycie, to już nie przelewki. Kto wie, może Liga Solarna tylko czekała, aż Manticore to zrobi. Jeśli dobrze rzecz rozegrają, zrobią z tego przykład skandalicznej agresji, wołający o pomstę tak gromkim głosem, że nikt nie będzie pytać o dowody.

Osobiście Tyler wątpił, żeby Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, a zwłaszcza jego przyjaciele z Technodyne, mieli coś przeciwko temu. Na szczęście dla niego Manticore nie zamierzało chyba ryzykować. To i dobrze, biorąc pod uwagę łatwowierność przeciętnego obywatela Ligi Solarnej.

– Pani Corvisart – powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił. – Zdobyła już pani wystarczająco dużo dowodów oraz dokumentów, aby samodzielnie ocenić to, co się tutaj wydarzyło. Oczywiście Republika Monica nie jest w stanie wpłynąć w żaden sposób na pani decyzję, co zrobić z tymi dowodami. Niemniej na pewno pani rozumie, że suwerenny naród gwiezdny nie może po prostu przekazać komuś tajnej korespondencji dyplomatycznej i surowych danych wywiadowczych. Pewne rzeczy muszą pozostać poufne, jeśli chcemy utrzymać choć minimalną wiarygodność na arenie międzynarodowej. Takich rzeczy się po prostu nie robi! To poza dyskusją!

– W zwyczajnych okolicznościach pewnie tak – powiedziała Corvisart. – Ale to nie są zwyczajne okoliczności. Można powiedzieć, że to wyjątkowa sytuacja, i oboje wiemy, jak do niej doszło. Dowody, które posiadamy, zostały przez nas zdobyte w walce. Innymi słowy, jest to nasza w pełni legalna własność, z którą możemy zrobić, co tylko zechcemy. W tym ma pan rację. W Lidze znajdzie się jednak sporo takich, którzy wezmą się do podważania tych dowodów i ogłoszą, że zostały one z jakiegoś powodu sfabrykowane przez Gwiazdne Imperium. Dojdzie do tego tak czy siak i wie pan o tym równie dobrze jak my. Ale Gwiazdne Imperium zamierza im to utrudnić, tak żeby nawet ktoś w rodzaju Malachaia Abruzziego miał problemy z wygłaszaniem podobnych kłamstw. Co ma bezpośredni związek z zasadniczym tematem naszej rozmowy, panie prezydencie. Nie chcę być nieuprzejma, ale naprawdę nie znajduje się pan w położeniu, w którym mógłby nam dyktować, co jest, a co nie jest dopuszczalne.

Twarz Tylera pociemniała ze złości, ale opanował kipiącą wściekłość. Corvisart wyraziła się bardzo jasno. Albo odda wszystkie te zapisy, albo Augustus Khumalo i Quentin O'Malley doszczętnie rozmontują jego marynarkę wojenną, armię i siły bezpieczeństwa wewnętrznego. Zapewne nie byłoby w stanie dokonać całkowitej pacyfikacji i jakaś broń tu i ówdzie by została, ale to by wystarczyło do pozbawienia go prezydentury. Skutki byłyby zdecydowanie nieprzyjemne. Nieprzyjemne, a może nawet śmiertelnie groźne dla zdecydowanej większości rodziny Tylera i jego zwolenników.

Z drugiej strony, jeśli ulegnie ich żądaniom i da im to, czego chcą, Corvisart zaproponuje podpisanie paktu o nieagresji między Republiką Moniki a Gwiazdnym Imperium Manticore. Resztki sił zbrojnych pozostaną pod jego rozkazami, chociaż będzie musiał się liczyć z oporem w ich szeregach. Najważniejsze, że Republika nie straci suwerenności. Co więcej, oferta obejmowała włączenie układu do strefy handlu wewnętrznego, utworzonej w sektorze Talbott,

dzięki czemu jego nieszczęśliwi kleptokraci staliby się nagle bardzo szczęśliwi. Prawie tak samo jak w wypadku, gdyby jego starania o przejęcie terminalu Lynx zakończyły się powodzeniem. Czy reżim przetrwa, to druga sprawa, ale wedle szacunków Alfonsa Higginsa istniały po temu spore szanse.

Tak więc Tyler powinien jakoś dać sobie radę. Przynajmniej na własnym podwórku, bo gdy Liga Solarna rozbije już w puch zarozumiałe Imperium Manticore, Biuro Bezpieczeństwa Granicznego może dojść do wniosku, że trzeba coś zrobić z niekoniecznie całkowicie lojalnym sojusznikiem.

Ale to będzie później, a teraz jest teraz, pomyślał Tyler. I trzeba coś szybko postanowić, bo ta suka jasno dała do zrozumienia, że nie będzie czekać w nieskończoność. Wóz albo przewóz, Roberto. A Biuro i Technodyne mogą mnie cmoknąć, bo sami wpakowali mnie w to bagno. Nic nie jestem im winien!

– Dobrze, pani Corvisart. Skoro nasz sprzeciw jest daremny, ustępujemy przed siłą. Otrzyma pani dokumenty, na których pani zależy.

– Na warunkach, które przedstawiłam? – spytała z błyskiem w oku Corvisart.

Samo przekazanie zapisów to było dla niej za mało. Chciała, żeby jej ludzie otrzymali dostęp do archiwów, żeby sami mogli wziąć wszystko, co było im potrzebne. Uniemożliwiłoby to ingerencje w dane. No i Bóg tylko wiedział, co jeszcze udałoby im się przy tej okazji znaleźć. Na dodatek ich technikom towarzyszyliby cały czas przedstawiciele prasy z Ligi Solarnej.

To było coś naprawdę niesłychanego i wszystko krzyczało w nim, żeby odmówić. Ostatecznie jednak kiwnął głową.

– Dokładnie tak – odparł.

Corvisart przytaknęła od niechcienia, jakby to była towarzyska pogawędka, a nie brutalna polityczna kastracja.

– Dziękuję, panie prezydencie – powiedziała uprzejmie. – Komandorzy Chandler i Bonifacio skontaktują się z panem jeszcze dzisiaj, aby uzgodnić szczegóły.

CZERWIEC 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Jest w Konstytucji jeszcze ciekawy fragment na temat prawa własności i ludzi próbujących je naruszać oraz tego, w jaki sposób kobieta ma prawo bronić przed nimi swojej własności. Zwłaszcza jeśli wcześniej należycie ich ostrzegła. W tej chwili mam wielką ochotę skorzystać ze wspomnianych swobód konstytucyjnych. Myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli sierżant odprowadzi pana Omikada gdzieś dalej. Starczy już tutaj trupów”.

– Eileanóra Allenby, właścicielka Whitewater Hollow Outfitters, układ Swallow

ROZDZIAŁ IX



Za dziewięćdziesiąt minut powinniśmy wejść na orbitę Halkirku, panie Brown.

– Dziękuję, kapitanie – odparł Damien Harahap, nie odrywając spojrzenia od ekranu na swoim panelu. – Proszę dać mi znać, gdy tylko będzie można polecieć na dół.

– Oczywiście, panie Brown.

Interkom ucichł i Harahap pokręcił z niesmakiem głową. W swojej karierze przybierał już wiele pseudonimów. Sam nie pamiętał, ile ich było. Niektóre były intrygujące, inne całkiem zwyczajne, ale niewiele tak banalnych jak „pan Brown”. Oczywiście miało to sens, bo nie było powodu, by zostawiać w ludzkiej pamięci zbyt wiele śladów, ale mimo wszystko...

Porzucił tę myśl i skupił całą uwagę na ekranie. Zamiast potoków danych, które studiował podczas trzytygodniowego rejsu z Mesy, widać było na nim spektakularny obraz zamieszkanego układu Loomis. Brunatno-beżowego Halkirku i szafirowej Thurso. Obok jaśniały podobizny dwóch osób, z którymi zamierzał się spotkać na pierwszej z nich, jak i oblicza tych, których powinien za wszelką cenę unikać.

Wśród tych ostatnich największe kłopoty mógł sprawić porucznik Ottomar Touchette z Żandarmerii Solarnej, który był starszym oficerem wywiadu przypisanym do Loomis, przy czym niecałe pięć lat temu pracował z Harahapem w sektorze Madras. Szczęśliwie tak się składało, że zgodnie z poufnymi dokumentami Biura Bezpieczeństwa Granicznego, dostarczonymi przez Bardasano, Touchette nie był obecnie w najlepszych stosunkach z Nyatuiem Zagorskim, miejscowym przedstawicielem korporacji. Powodem był zapewne nawyk Touchette'a dostarczania dobrych, uczciwych analiz, które nie zawsze odpowiadały oczekiwaniom przełożonych. Sądząc po raportach Zagorskiego, dogłębna analiza opinii publicznej na Loomis była ostatnim, o czym marzyły władze. O wnioskach mogących płynąć z takiej pracy nie wspominając.

Z punktu widzenia Harahapa sprawa nie wyglądała najgorzej. Układ Loomis znajdował się na tyle blisko sektora Madras, że nie był dla niego terenem całkiem nieznanym. Sporo o nim słyszał już wcześniej, zanim major Eichbauer poleciła go Bardasano i Anisimovnej do udziału w operacji w gromadzie Talbott. Owszem, wtedy nie do końca zdawał sobie sprawę, na jakie bagno natrafi, niemniej w kontekście operacji Janus był to element całkiem przydatny. Pozostało

sprawdzić, z czym będzie miał do czynienia tutaj.



– Dokąd się pan wybiera, panie Innis MacLay? – spytała Maggie MacLay, opierając dłonie na biodrach i przechylając głowę, żeby lepiej przyjrzeć się mężowi. – Mamy sporo do zrobienia w domu.

Innis uśmiechnął się do żony, po czym objął ją, uniósł i pocałował.

– Nie znikam na zawsze, *Rùnag*. Gdy tylko trafię na tę listę, zaraz wracam do domu.

– A wtedy będę chciała wiedzieć, gdzie jest mój mąż i co z nim zrobiłeś! – odparła Maggie, wicherząc mu włosy. – Tu naprawdę jest co robić.

– A co dokładnie? – Innis postawił ją na podłodze i objął ramieniem. Mierzył prawie dwa metry, był dobre trzydzieści centymetrów wyższy od niej.

– No cóż, powiedzmy, że w zeszłym tygodniu były dwie trzecie tej roboty co dzisiaj. A jeszcze tydzień wcześniej jedna trzecia. Dostrzegamy w tym pewną prawidłowość?

– Nie jesteś trochę zbyt surowa w tej materii? – spytał niewinnym tonem Innis.

– Może. Ale nawet jeśli, zaburzenia kompulsywne to bajka dla grzecznych dzieci, zatem jeśli do końca tygodnia lista prac nie stanie się krótsza, będą sankcje. – Spojrzała na niego znacząco i zakolysała biodrami. – Bolesne sankcje.

– W takim razie uwinę się ze wszystkim najszybciej, jak tylko będę mógł!

– To byłoby mądre – powiedziała i stanęła na palcach, aby pocałować go w policzek.

Innis uśmiechnął się pod nosem i ruszył przez frontowe podwórko skromnego domu, otoczonego bujnym ogrodem kwiatowym, w stronę zaparkowanego przy krawężniku klasycznego samochodu. Jego dom był dość typowy dla planety Halkirk i miejscowego zaawansowania technologicznego. Na większości planet podobne miasta roły się od cerametycznych wież, pozwalających najefektywniej wykorzystać przestrzeń, ale Conerock, które było regionalnym centrum administracyjnym, nadal było otoczone szerokim pierścieniem przedmieść zdominowanych przez domki jednorodzinne. Innisowi to odpowiadało, chociaż przyznawał, że wieże mieszkalne też miały swoje zalety. Czy raczej miałyby, gdyby Halkirk dysponował technologią i infrastrukturą przemysłową potrzebną do ich wzniesienia. Po pierwsze, zajmowały znacznie mniej miejsca, dając jednocześnie schronienie całkiem sporej części populacji. Po drugie, można było w nich mieszkać kilkadziesiąt pięter od miejsca pracy. Chyba że ktoś pracował daleko, pośród gęstych, zielonych lasów Stronsayu.

To wszystko prawda, niemniej ty wyrosłeś w innym środowisku i zwykłeś mieć swój kawałek ziemi, powiedział sobie w duchu, otwierając drzwiczki samochodu. Prawdziwej ziemi z prawdziwą zielenią, której żadne holo nie zastąpi. I niech Bóg błogosławi Maggie i dzieciaki za ich zamięłowanie i rękę do kwiatów!

Uśmiechnął się znowu, lecz zaraz spoważniał. Jeśli SEIU zrealizuje swoje plany, jedna czwarta ludności planety Halkirk straci pracę w ciągu dziesięciu, najpóźniej piętnastu lat. I on znajdzie się w tej grupie. Gdy pił poranną kawę, nie był zadowolony, że właśnie przez to musiał zrywać się w sobotę, ale teraz już oprzytomniał. Tak, to było ważne i dlatego udawał się w ten rzeński i jasny ranek do tawerny Fingal's. Wcale nie chodziło o piwo i rzutki, jak powiedział Maggie.

Zapalił silnik i ruszył. Naprawdę był ciekaw, co usłyszy od Tada.



– Proszę, panie Henry, proszę – powiedziała smągła i ciemnowłosa kobieta, wstając zza biurka i wyciągając rękę na powitanie, ledwo recepcjonista wprowadził Damiena Harahapa do jej gabinetu.

– Dzień dobry, pani MacRuer – odparł, ujmując podaną dłoń i mocno ją ściskając. – Cieszę się, że tak szybko mogła się pani ze mną spotkać.

– Cóż, muszę przyznać, że byłam zaskoczona pańską prośbą. – Nessa MacRuer opadła na fotel, Harahap zaś znalazł sobie miejsce na jednym z wygodnych, choć staromodnych krzeseł. – MacNish, Tonnochy i Duncannon to jedna ze starszych spółek prawniczych w Elginie, ale po prawdzie nie wiem, jak możemy panu pomóc.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem tym zdziwiony. – Harahap uśmiechnął się ujmująco. – Niemniej doświadczenie podpowiada mi, że dla szybkich efektów najlepiej jest od razu skontaktować się z osobą, z którą trzeba coś załatwić. Albo z kimś znajdującym się możliwie najbliżej tej osoby.

MacRuer wyprostowała się w fotelu i uniosła lekko brwi. Zdaniem Harahapa była uderzająco piękną kobietą, zwłaszcza tutaj, na Halkirku, gdzie populacja była mało zróżnicowana genetycznie. Uroda zdradzała wpływy dalekowschodnie i kto wie, czy to nie ona właśnie była w dużej mierze odpowiedzialna za sukces zawodowy MacRuer. Mogło tak być, chociaż z drugiej strony wyróżniający się wygląd utrudniał zapewne wypełnianie niektórych obowiązków wynikających z jej obecnego, nieoficjalnego statusu.

– Naprawdę? – Przechyliła nieco głowę. – Zrozumiałam, że zjawił się pan w układzie Loomis z zamiarem nabycia partii srebrnego dębu dla... – Wcale się z tym nie kryjąc, sprawdziła notatki na ekranie. – Dla Kartelu Hauptmana. To firma z Królestwa Manticore, prawda?

– Tak, tak. – Harahap skinął głową. – Wiem, że jestem trochę daleko od domu, ale srebrny dąb jest naprawdę rzadkością.

– Zaiste – odparła MacRuer. Coś przemknęło przez jej twarz, ale cokolwiek to było, szybko się opanowała. – Srebrny dąb to chyba główny powód sławy układu Loomis.

– Jest tego wart – stwierdził z przekonaniem Harahap. Drewno to było gęste i twarde i cieszyło oko wspaniałymi wzorami o unikatowej barwie. Bardzo cenione przez rzeźbiarzy i dekoratorów ze światów centralnych, potrafiło osiągać oszałamiające ceny. – Nietrudno zrozumieć, dlaczego rynek może wchłonąć każdą jego ilość.

– Tak, to prawda – powiedziała kobieta z wyraźnie niepewnym uśmiechem. – Tyle że nadal nie rozumiem, w czym nasza firma mogłaby panu pomóc. MacNish, Tonnochy i Duncannon specjalizuje się w obrocie nieruchomościami i transakcjach finansowych. Nie mamy nic wspólnego z rynkiem towarowym. Jeśli zależy panu na pozyskaniu srebrnego dębu, powinien pan porozmawiać z Kooperatywą.

– Wiem o tym – zgodził się Harahap, po czym otworzył trzymaną na kolanach teczkę i uniósł pytająco brwi. – Być może będzie pewną pomocą, jeśli zademonstruję pani, o co mi chodzi.

– Jak pan chce – odparła zaskoczona MacRuer i skinęła głową.

– Dziękuję. – Harahap wy dobył z teczki niewielki moduł elektroniczny, który postawił na rogu biurka. MacRuer otworzyła szeroko migdałowe oczy, gdy włączył urządzenie, które błysnęło zieloną diodą. – Właśnie. Teraz możemy spokojnie porozmawiać – powiedział, skrywając uśmiech, a MacRuer rozejrzała się nerwowo.

Nie była zachwycona, ale zgodnie z jego przewidywaniami musiała rozpoznać, co przyniósł do jej biura.

– Mogę zapytać, co to jest? – odezwała się po chwili, chociaż nie była dość dobrą aktorką, aby przekonać go o swojej rzekomej ignorancji.

Tym razem pozwolił sobie na uśmiech.

– To tylko generator sfery prywatności, pani MacRuer – odpowiedział. – Oczywiście przywiozłem go ze sobą, chociaż chyba nie wpisałem do deklaracji przy wjeździe. Czy to może być jakiś problem? – Mówiąc to, patrzył jej prosto w oczy i trzeba przyznać, że zdała egzamin z

opanowania.

Nie skrzywiła się, nie otarła potu z czoła, ale widać było, jak intensywnie się nad tym zastanawia. Loomis należał do tych układów planetarnych, których zasady prawne wymagały rejestracji wszystkich urządzeń podsłuchowych albo chroniących przed podsłuchem. Wiele światów Pogranicza przyjęło podobne regulacje, chociaż światy centralne zwykle się w to nie bawiły. Niemniej w niewielu miejscach egzekwowano to prawo równie surowo jak tutaj.

– Owszem, i to poważny – odparła po chwili. – Jako prawnik jestem zobowiązana do przekazywania informacji o wszelkich nielicencjonowanych generatorach sfer prywatności i obawiam się, że kary za ich posiadanie są dość dotkliwe. Zwłaszcza dla osób spoza naszego świata.

– Jakoś mnie to nie dziwi. – Harahap położył teczkę na podłodze obok fotela i usiadł wygodnie, zakładając nogę na nogę. – Jestem pewien, że pani MacQuarie i UPS nieco się zdenerwują, gdy odkryją brak tylnej furki w oprogramowaniu tego drobiazgu. Furki, która pozwoliłaby im podsłuchiwać moje rozmowy. Reżimy nie lubią, gdy ktoś zaczyna traktować je tak, jak one traktują obywateli.

– Obawiam się, że nasza rozmowa właśnie dobiegła końca, panie Henry – powiedziała MacRuer. – Jak już wspomniałam, jestem adwokatem i pracownikiem sądu. Nie tylko jestem zobowiązana do zgłaszania takich sytuacji, ale też czuję się zmuszona zwrócić panu uwagę, że istnieją granice akceptowalnej krytyki naszego rządu.

– Jestem pewny, że pani MacLean i pani MacFadzean w żaden sposób nie próbowały przekroczyć tych granic – powiedział spokojnie i poczekał na jej reakcję. Sądząc po wyrazie twarzy, świetnie zrozumiała aluzję. – W przeciwnym razie jako dobry adwokat z pewnością zgłosiłaby pani sprawę władzom.

– Nie sądzę, żebyśmy znała te osoby – powiedziała MacRuer.

– Drobną poradą zawodowa, szanowna pani. Kiedy ktoś wchodzi do biura i podaje nazwiska współpracowników w knowaniach przeciwko rządowi, najlepsza jest jak najkrótsza odpowiedź. Użycie zbyt wielu słów wskazuje na nerwowość. I nigdy nie warto zaprzeczać, że zna się kogoś, skoro władze już wiedzą o waszym spotkaniu. Następnym razem polecam krótkie „kto?” I niech ta druga strona kombinuje, jak skierować rozmowę na tory, które mogą się przydać oskarżeniu.

Przez kilka sekund MacRuer siedziała nieruchomo, po czym wyprostowała się i założyła nogę na nogę.

– Kim naprawdę jesteś? – spytała.

– Przedstawicielem Manticore. I naprawdę przybyłem w sprawie srebrnego dębu. Tyle że nie chodzi o zwykłą transakcję.

– Jeśli się spodziewasz, że powiem cokolwiek, co będziesz mógł wykorzystać przeciwko mnie, to srogo się rozczarujesz. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nie mam pojęcia, jakie fantasmagorie sprawiły, że ze wszystkich miejsc na Halkirku trafiłeś właśnie do mojego biura, ale zapewniam cię, że MacNish, Tonnochy i Duncannon utrzymuje doskonałe relacje z organami skarbowymi, bezpieczeństwa i całą resztą struktur administracyjnych państwa.

– I bardzo dobrze – zgodził się Harahap. – Z drugiej strony, ostrożności nigdy za wiele. Porucznik Touchette wie o twoim spotkaniu z MacLean sprzed kilku miesięcy, widziałyście się zaraz po tym, gdy w ramach protestu zrezygnowała z mandatu parlamentarnego. Nie sądzę, aby wspomniał o tym MacQuarie lub MacCrimmonowi, i jestem pewien, że w razie czego przedstawisz niezbity dowód, iż rozmawiałyście o zakupie gruntów. Z pewnością byłoby ją stać na coś takiego. Ale proponuję przygotować taką podkładkę już teraz. Robiąc coś w pośpiechu, na ostatnią chwilę, łatwo przeoczyć jakiś drobiazg. Akurat taki, który wpadnie śledczym w oko.

Na kilka sekund zapanowała niezręczna cisza. Harahap zastanawiał się, jaki będzie wybór gospodyni. W końcu wciągnęła głęboko powietrze.

– Znam osoby, o których wspominałeś – powiedziała. – Jestem pewna, że docenisz fakt, że to przyznałam. Prawdę mówiąc, Erin MacFadzean jest moją bliską przyjaciółką, i to od wielu lat. Chociaż można też powiedzieć, że obie te znajomości są dla mnie potencjalnie szkodliwe, biorąc pod uwagę, powiedzmy, raczej skrajne poglądy polityczne obu pań.

– Skrajne poglądy polityczne? Pani MacRuer... – Harahap pokręcił głową. – Nie sądzę, żeby porucznik Touchette był świadomy, że to spotkanie było regularną sesją Partii Reform. Właściwie jestem tego pewien – dodał po chwili namysłu. – O ile wiem, Touchette nie należy do zagorzałych wielbicieli prezydent MacMinn. Jestem też przekonany, że jego zdaniem Zagorski jest równie głupi, jak chciwy. Możliwe więc, że zrozumiał, co się dzieje, i wolał nie przekazywać im tej informacji. Jednak nie wydaje mi się, by milczał również w kwestii innych spotkań. Biuro Bezpieczeństwa Granicznego zaś nie obsadziło Frinkela Osborne'a w roli „attaché handlowego” w przedstawicielstwie solarnym w Elginie ze względu na jego ograniczenie umysłowe.

– W porządku. – MacRuer przysunęła się z fotelem do biurka i położyła ręce na blacie. – Powiedziałeś wystarczająco dużo, aby przekonać mnie, że jeśli pracujesz dla MacQuarie, jej

ludzie wkrótce wyważą moje drzwi. Ale to wszystko, co mam do powiedzenia. I nawet nie spytam o nakaz. Oboje wiemy, że to bez sensu.

– UPS ma nawyk wypełniania formularzy po fakcie, prawda? – spytał Harahap. – Zastanawiam się, dlaczego w ogóle starają się zachowywać jakieś pozory.

MacRuer nie odpowiedziała, tylko spojrzała na niego i zaśmiała się cicho.

– Spokojnie, pani MacRuer. Nie jestem z Sił Bezpieczeństwa Publicznego. Nie mam żadnego interesu w zastawianiu na ciebie pułapek. Gdy skończymy rozmowę, zaraz stąd wyjdę, pojedę do portu i wrócę wahadłowcem na mój statek. Będę w tym układzie jeszcze przez trzy lub cztery dni. Jeśli do tego czasu zdecydujecie się ze mną skontaktować, ty, MacLean albo MacFadzean, będę do waszej dyspozycji.

– Skontaktować w jakiej sprawie? – spytała MacRuer.

– Tak się składa, że naprawdę reprezentuję pewną firmę z Manticore, która jest bardzo zainteresowana sytuacją w układzie Loomis. Skłamałem jednak, wspominając o Kartelu Hauptmana. W rzeczywistości chodzi o pewną niedbającą o sławę agencję, która zajmuje się sprawami bezpieczeństwa. Gwiezdne Królestwo... przepraszam, teraz już Gwiezdne Imperium, ciągle o tym zapominam, śledzi uważnie różne działania Ligi Solarnej podjęte w reakcji na naszą niedawną aneksję sektora Talbott. Zwłaszcza po tym nieszczęsnym incydencie w układzie Monica. Rozumiem, że teraz nie będziesz próbowała zadawać mi żadnych istotnych pytań, które mógłbym zacytować, żeby obciążyć cię w procesie przed Sądem Ludowym, więc wyjaśniam tylko, co spowodowało mnie do układu Loomis. Rzecz w tym, że naprawdę chcielibyśmy, aby Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i jego flota miały jak najwięcej powodów do zmartwień. Coś jeszcze poza nami. Stąd nasza samolubna, wyrachowana decyzja, żeby się z tobą skontaktować. Gdy chodzi o bardziej altruistyczne powody, naprawdę nie podoba nam się to, co robi Star Enterprise Initiatives Unlimited. – Skrzywił się, wymawiając tę nazwę. – Gwiezdne Królestwo nie popiera rabunkowej gospodarki, w której specjalizują się Zagorski i jego ludzie. Wasze srebrne dęby to bezcenne bogactwo, które może zostać roztrwonione. Za niecałe piętnaście lat zabraknie dojrzałych drzew do wycinki, a oboje wiemy, że odbudowa drzewostanu będzie wymagać minimum trzydziestu pięciu lat. Dopuszczenie do takiej sytuacji byłoby głupotą na galaktyczną skalę, przy czym dla waszej gospodarki byłaby to po prostu katastrofa. Nie będę twierdził, że prowadzimy krucjatę na rzecz uzdrowienia galaktyki. Szczerze mówiąc, nie czujemy się za nią odpowiedzialni. Ale w tym przypadku widzimy szansę upieczenia dwóch

pieczeni na jednym ogniu. Jeśli uda nam się odszukać ludzi, którzy są... powiedzmy, niezadowoleni z tego, co się dzieje na ich światach, i gotowi podjąć jakieś działania w tej sprawie, tak jak wy tutaj, w układzie Loomis, zapewne nie stracimy, obiecując im niejakię wsparcie. Oczywiście nie zamierzamy zachęcać ich do robienia głupstw, dlatego żaden z dysydentów nie dostanie od nas czeku in blanco. Ale jeśli zdołam przekonać moich przełożonych, że macie tu sprawną organizację i gotowy plan działania, który może na dodatek przynieść coś dobrego, wówczas zapewne będziecie mogli liczyć nie tylko na pomoc finansową i dostawę broni, ale i na pośrednie wsparcie naszej floty, która nie dopuści, żeby flota Biura Bezpieczeństwa Granicznego przeszkodziła wam w przeprowadzeniu zmian.

MacRuer zachowywała przez cały czas pokerową twarz, ale słysząc te słowa, mimowolnie drgnęła, a jej oczy się rozszerzyły. Znow się do niej uśmiechnął.

– Myślę, że jak na pierwsze spotkanie to wystarczy – powiedział. – Znam kroki tego tańca, dla mnie to nie nowość, ale rozumiem, że wy próbujecie tego po raz pierwszy. Musisz porozmawiać ze swoimi przywódcami. Szczerze mówiąc, takie sprawy najlepiej załatwiać bez pośpiechu, jeśli ma to zostać zrobione dobrze. Sądzę też, że nie zaszłabyś tak wysoko, gdybyś nie miała żadnych kontaktów w UPS, więc dasz radę sprawdzić, czy faktycznie mam okręt na orbicie i czy wróciłem na jego pokład. Mało który prowokator trzusi się podróżami kosmicznymi – dodał ironicznym tonem i MacRuer mimowolnie zachichotała. Jednak zaraz potem spowaźniał. – Niemniej byłbym wdzięczny, gdybym przed odlotem otrzymał odpowiedź na jedno kluczowe pytanie. Podróże międzygwiazdne pożerają masę czasu, co koszmarnie utrudnia zrobienie czegokolwiek na większą skalę. Muszę więc wiedzieć, czy twoi ludzie są wystarczająco poważnymi partnerami do rozmów i czy warto tutaj wracać. Jeśli tak, to nie ma sprawy, ale jeśli nie albo jeśli nie zechcecie zaufać pierwszemu lepszemu obcemu, który kołacze do waszych drzwi, co byłoby nawet zrozumiałe i o co nie miałbym pretensji, będziemy musieli skoncentrować się na innych układach planetarnych, które są lepiej przygotowane do współpracy z nami. Nie oczekuję, że zobowiązecie się do czegoś już teraz. Szczerze mówiąc, nie zaufałbym planom sporządzonym na kolanie. Ale jeśli MacLean i MacFadzean okażą zainteresowanie, tak ustawię mój harmonogram, żeby tu wrócić i porozmawiać z wami. Ewentualnie przyślę któregoś z moich współpracowników. Przed odlotem zaś uzgodniłbym z wami procedury ponownego nawiązania kontaktu. – Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, po czym wyciągnął rękę do zagłuszarki. – To naprawdę wystarczy na pierwsze spotkanie, zwłaszcza tak chłodne –

podsumował. – A w nawiązaniu do tego, o czym była mowa wcześniej, chyba powinniśmy zadbać o odpowiednią legendę, która uzasadniałaby nasze spotkanie. Albo spotkania. Zgadza się?

Wyłączył urządzenie i schował je do teczki. Potem wyjął i otworzył notatnik.

– Prawdę mówiąc, Kartel Hauptmana rozważa zainwestowanie nie tylko w import srebrnego dębu, ale jest też zainteresowany waszymi owocami morza – powiedział, gdy tylko ekran notatnika pojaśniał. – Przed opanowaniem gromady Talbott byłoby to nieopłacalne, ale uzyskanie dostępu do terminalu Lynx wiele zmieniło. Pan Hauptman myśli także o pozyskaniu własnych magazynów orbitalnych w układzie Loomis. Zrobiłem niejaki rozeznanie i odkryłem, że pani firma reprezentuje SEIU w większości zawieranych przez nich umów leasingu i sprzedaży, więc wydawało mi się, że jesteście najlepszymi partnerami do rozmów. Jeśli pani pozwoli, prześlę specyfikacje interesujących nas obiektów. Wtedy będziemy mogli przejść do kwestii ich dostępności i akceptowalnego zakresu cenowego. Na początek kartel byłby skłonny zainwestować do piętnastu–dwudziestu milionów dolarów Manticore. To około sześćdziesięciu–siedemdziesięciu milionów waszych kredytów, o ile dobrze pamiętam przelicznik kursu. Jeśli plan Hauptmana się powiedzie, skala inwestycji może wzrosnąć do...

ROZDZIAŁ X



Przepraszam, majorze, ale mam tu coś, co chyba powinien pan zobaczyć.

Major Braxton Reizinger, oficer Żandarmerii Solarnej, natychmiast podniósł wzrok znad rutynowo przeglądanych papierów i spojrzał na starszą sierżant Sheilę Roskilly, która weszła właśnie do jego gabinetu. Był święcie oburzony, że pani sierżant nie zapukała do drzwi, nie została zapowiedziana przez sekretariat i w ogóle wkroczyła jak do siebie.

Wszystko to bardzo źle wróżyło.

– Sierżancie, czy zna pani określenie „droga służbowa”? – spytał i spojrzał ganiąco na gościa.

– Tak, sir. Już mi pan to tłumaczył – odparła Roskilly.

– Też mi się tak wydaje. Co zatem sprawia, że znowu ją pani ignoruje?

– W pewnych sytuacjach może ona przysporzyć wiele kłopotów – powiedziała i zostało mu tylko westchnąć.

Miała rację. Niech to piekło pochłonie, ale miała rację. Nie powinno tak być, lecz oboje wiedzieli, że tak właśnie było. A fakt, że sierżant mogła być jego babką i zaczęła tę robotę, zanim on się urodził, miał zapewne decydujący wpływ na jej... upór.

Sporo znaczyło także i to, że nie podobało się jej wiele spośród tego, co widziała w swojej pracy przez ostatnie trzydzieści–czterdzieści lat.

– W takim razie niech pani wejdzie – powiedział. – Chociaż już pani weszła, prawda?

– Zapewne, sir – przyznała, zdobywając się wreszcie na mały uśmiech.

Odpowiedział tym samym. Było w tym sporo rezygnacji, ale i pewna doza humoru.

Szybko jednak spowaźniał. Major Reizinger kierował Wydziałem Pogranicza w Dziale Operacyjnym Żandarmerii Solarnej, który był odpowiedzialny za analizę wywiadowczą operacji Żandarmerii. W teorii oznaczało to nadzór nad wszystkim, co Żandarmeria miała na stanie: batalionami interwencyjnymi, jednostkami przydzielanymi do zadań policyjnych w układach zarządzanych przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, wsparciem służb celnych i tak dalej, i tak dalej. Niestety, Żandarmeria miała zbyt wiele zadań, on zaś dysponował zbyt nielicznym personelem, żeby zajmować się czymś więcej niż tylko drobną częścią napływających danych. Był to główny powód, dla którego lwia część roboty spadała na analityków lokalnych dowódców

Żandarmerii, przy czym niewiele opracowań miało szansę trafić do centralnego rejestru Działu Operacyjnego. Po prostu było tego za dużo.

Szefowa Reizingera, pułkownik Weng Zhing-hwan, która dowodziła działem, koncentrowała się na katalogowaniu i klasyfikowaniu strumienia danych, aby móc właściwie je wykorzystywać, i musiała przyznać, że miała dobre wyczucie, kto może czego potrzebować. Była też inteligentna, może nie genialna, ale zdolna do krytycznej oceny wszystkiego, z czym się stykała, co rzadko zdarzało się na wyższych szczeblach Żandarmerii. Starła się też być szczerą, tak wobec siebie, jak i wobec najbardziej zaufanych podwładnych. Majorowi zdarzało się pracować dla znacznie gorszych ludzi.

Niestety, podobnie jak każdy, kto osiągnął pewien poziom w karierze, wiedziała, czym może grozić zbytnia szczerść wobec przełożonych. Co gorsza, brygadier Noritoshi Väinöla kierujący wywiadem Żandarmerii zwykł zatrzymywać (albo i od razu odrzucać) wszelkie analizy, które mogły być sprzeczne z aktualnymi priorytetami działań prowadzonych przez generał Toinette Mabley, głównodowodzącą całej Żandarmerii. To był jeden z powodów, dla których major Reizinger nie ucieszył się z widoku sierżant Roskilly wkraczającej do jego gabinetu w ten jasny i słoneczny poranek.

– W porządku, Sheila. Powiedz mi, o co chodzi tym razem – powiedział stanowczo.

– Tak jest. Po prawdzie przyglądałam się temu już od jakiegoś czasu. Zaczęło się w chwili, gdy Manticore przejęło terminal Lynx. Może nawet trochę wcześniej, ale szczerze mówiąc, najwcześniejszy ślad dotyczy właśnie tego momentu.

Reizinger się skrzywił. Żadna wiadomość dotycząca nowo przemianowanego Gwiezdnego Imperium Manticore nie mogła być dla niego dobrą wiadomością. Zwłaszcza że brygadier Väinöla dawno już uprzedził, że im mniej będzie słyszeć o tym przeklętym Manticore, tym lepiej.

– I co Manticore wymyśliło tym razem? – spytał ostrożnie.

– Nie wiem, czy to Manticore, ale ktoś coś kombinuje. Nie mam na razie wielu potwierdzonych dowodów, spróbuję przedstawić to, co zdołałam zgromadzić...



– Więc co sądzisz o raporcie Reizingera? – spytała Weng Zhing-hwan, wsypując cukier do herbaty.

Pomimo nazwiska Weng miała bardzo jasne włosy, błękitne oczy i bladą cerę. Była o trzysta centymetrów wyższa od kobiety siedzącej po drugiej stronie stołu. Stół ten znajdował

się w prywatnej łoży w Golden Olive, restauracji w Old Chicago słynącej z należytego bezpieczeństwa i dyskrecji. Weng i jej towarzysza spotykały się tu ukradkiem już od prawie trzech lat. Z wielu powodów był to dla nich stosowniejszy lokal niż kantyna Żandarmerii czy jakiegokolwiek inne „oficjalne” miejsce. Oficjalnie nie było wprawdzie żadnego powodu, dla którego nikt nie powinien widzieć ich razem, ale obie wiedziały świetnie, że byłoby to stanowczo... niepożądane.

– Myślę, że dobrze się stało, że ta sierżant nigdy nie została oficerem – odpowiedziała Lupe Blanton. Kierowała pierwszą sekcją Działu Wywiadu Żandarmerii Solarnej i zajmowała się analizą obcych instytucji politycznych i wojskowych. Miała czarne włosy, bardzo ciemną cerę i jasne, srebrzyste wręcz oczy, które odziedziczyła po upodobaniu prababki do modyfikacji genetycznych. – Gdyby do tego doszło, już dziesięć lat temu by ją zniszczono. Chyba że zdołałaby awansować wyżej jeszcze przed przemianą w zombi.

– Nie jest to coś, co by dobrze świadczyło o naszych szanownych przełożonych – zauważyła Weng.

– Rzeczywistość rzadko pasuje do ładnego obrazka – odparła Blanton, a Weng zaśmiała się ze zrozumieniem.

Skończyła mieszać herbatę, odłożyła łyżeczkę na talerzyk i ze smakiem upiła łyk naparu. Potem ujęła filiżankę w obie dłonie i spojrzała na Blanton poprzez smugi pary.

– Skoro już uzgodniłyśmy nasze zdanie o wyższych szarżach, co myślisz o tym raporcie?

– Możliwe, że pani sierżant widzi tylko duchy – odpowiedziała po chwili Blanton. – Z drugiej strony, to mogą nie być duchy. Szczególnie jeśli przedstawiona przez Manticore wersja tego, co wydarzyło się w układzie Monica, odpowiada prawdzie. A moim zdaniem może tak być.

– Naprawdę? – Weng przechyliła głowę w zamyśleniu. – Muszę przyznać, że po mistrzowsku zmasakrowali Technodyne, i przypuszczam, że w marynarce wojennej rozpęta się jeszcze niezła gównoburza w sprawie tych krążowników liniowych, które miały trafić na złom i które, wedle oficjalnych raportów przez kogoś przecież podpisanych, zostały nawet zezłomowane. Sądząc po twoim tonie, może być jeszcze gorzej...

– Nie wiem, czy pójdą tym tropem, ale jestem pewna, że Verrochio i Hongbo tkwią w tym po uszy – powiedziała ponurym głosem Blanton. – Pamiętaj, nic z tego nie przechodzi przez moje biurko, ale znam Rajmunda na tyle dobrze, aby poznać, kiedy stosuje sfumato.

– Sfumato – powtórzyła z uśmiechem Weng.

– Wzbogacam słownictwo. – Blanton podniosła kieliszek martini z wódką, który to drink smakował jej zdecydowanie bardziej niż herbata. – Musisz przyznać, że to znacznie bardziej wytworne określenie niż inne zwykle używane w tym kontekście.

– To prawda – potwierdziła rzeczowo Weng. – Trudno się z tym nie zgodzić.

Rajmund Nyhus kierował drugą sekcją Działu Wywiadu Żandarmerii Solarnej, mającą za zadanie analizować wewnętrzne zagrożenia dla Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Pomiedzy obiema sekcjami nieustannie panowała napięta atmosfera, ponieważ osoby niebędące obywatelami Ligi Solarnej, ale zamieszkujące światy kontrolowane przez Biuro były uznawane automatycznie za element „wewnętrzny” (podobnie jak działające tam firmy czy instytucje). Prowadziło to do swoistych „wojen terytorialnych”. Dlatego też wiele spraw, które trzeba było przekazywać pomiędzy działami, ostatecznie ginęło bezpowrotnie w urzędowych mrokach. Fakt, że Nyhus musiał blisko współpracować ze wszystkimi skorumpowanymi korporacjami, też nie poprawiał sytuacji. Zwłaszcza wobec oczekiwania, że sekcja druga będzie sprawowała nadzór nad gubernatorami i administratorami podległych układów. Według Lupe Blanton była to sytuacja wręcz beznadziejna.

– Przekażę kopie tych raportów Ukhtomskoyowi – powiedziała. Adão Ukhtomskoy był jej bezpośrednim przełożonym i kierował Działem Wywiadu Biura Bezpieczeństwa Granicznego, czyli był praktycznie odpowiednikiem brygadiera Väinöli. – Bóg jeden wie, że przy tylu notatkach i raportach nikt nie może śledzić ich na bieżąco, ale postaram się przyjrzeć chociaż tym, które mogą mieć coś wspólnego z Rajmundem. Może wtedy uda mi się pojąć, co tym razem wymyślił.

– Pewnie kryje Verrochia i Hongba?

– Ich i pewnie każdego, kto pracował w gromadzie Talbott. – Blanton pokiwała głową. – Zdziwiłabym się, gdyby jeszcze Francisca Yucel nie była w to zaangażowana.

– Pewnie była – mruknęła Weng. – Straciliśmy co najmniej dwoje jej sensowniejszych podwładnych, a ona zawsze lubiła doprowadzać sprawy do końca. Nie mamy twardych dowodów, że miała w tym swój udział, ale przekazałam to Gaddisowi z DDK.

Blanton zmarszczyła brwi. To była już ostra zagrywka, nawet w kontekście operacji przeciwko Manticore. Ale jeśli Weng zwróciła się do Działu Dochodzeń Kryminalnych Żandarmerii, najwyraźniej była przekonana o udziale Yucel. I to niezależnie od posiadanych dowodów czy ich braku.

– Zostali wyeliminowani? – spytała dla pewności.

– Jedno z nich tak. Tu mamy potwierdzenie. Drugi zniknął. – Weng wzruszyła ramionami. – Sądząc po ich aktach, oboje byli całkiem dobrzy. Mam nadzieję, że Harahap, czyli ten, który zniknął, po prostu wyczuł, skąd wieje wiatr, i zdołał się ulotnić. Zwykle nieźle sobie radził, więc może i teraz spadł na cztery łapy.

– Czy tobie też to wszystko śmierdzi? – spytała po chwili Blanton.

Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami.

– Może nie śmierdzi, ale też nie pachnie. Najbardziej dręczy mnie to, że nie wiemy, kto kogo tutaj wykorzystuje. Zwłaszcza jeśli masz rację co do Verrochia i Hongba, a jestem przekonana, że tak właśnie jest. Wersja opublikowana przez Manticore jest całkiem sensowna i jeśli niczego nie przekreśli, nasza sytuacja na Pograniczu może się okazać wręcz katastrofalna.

– Uwielbiasz niedopowiedzenia – zauważyła Blanton.

– Co mi przypomina o podejrzaniach kłopotliwej pani sierżant – wróciła do tematu Weng. – I każe się zastanowić, co z nimi zrobić.

– Hm.

Blanton w skupieniu upiła martini.

– Przykro mi to przyznać, ale połączyła wątki, które moi ludzie powinni skojarzyć – powiedziała wreszcie. – Posadzę do tego kilka osób, które miały już do czynienia z tematem, ale to nie byłby pierwszy raz, kiedy Roskilly zwraca uwagę na coś, co nam umknęło. Najciekawsze jest zgranie w czasie. Jeśli na Pograniczu zaczyna się kotłować i jeśli ktoś z zewnątrz naprawdę tam maści, to kto to, u diabła, jest? Wniosek, że chodzi o jedną z korporacji próbującą wyeliminować konkurencję, wydaje mi się zbyt szalony.

– Obie widziałyśmy, do czego są zdolne korporacje, Lupe – zauważyła Weng. – A jeśli Manticore ma rację, mówiąc o udziale Manpower i Technodyne w sprawie gromady Talbott, wnioski nasuwają się same.

– Ale Roskilly mówi o incydentach zdarzających się od sektora Madras aż po sektor Maya – zaprotestowała Blanton. – To prawie tysiąc dwieście lat świetlnych!

– Ale niektóre z nich mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego – odpowiedziała Weng. – Roskilly ma dobry instynkt, podobnie Reizinger. Dlatego trafił do rozpracowywania Pogranicza. Oboje mogą jednak dostrzegać nieistniejące korelacje. Podobnie jak każdy inny, a Bóg jeden wie, że na Pograniczu wiele światów ma słuszne powody do protestów. I bez prowokacji dochodzi

tam do wybuchów niezadowolenia. Owszem, sędzę, że coś tam się jednak dzieje, inaczej nie zaprosiłabym cię na obiad, żeby o tym porozmawiać, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem gotowa uwierzyć w historie o pangalaktycznych spiskach.

– Nawet jeśli zasięg sprawy jest w rzeczywistości o wiele mniejszy, i tak chodzi o coś, co przerasta wszelkie indywidualne akcje korporacji – powiedziała Blanton. – Mogłabym zorganizować coś takiego, gdybym wykorzystala cały potencjał Biura, ale żadna firma nie dysponuje podobnymi środkami. To musi być akcja zorganizowana przez służby państwowe!

– Nie powtarzaj tego w pobliżu Rajmunda. – Weng pokręciła głową. – Słyszałam już, że jego zdaniem to Manticore „sprowokowało” działania korporacji, solarnych czy innych, które ewentualnie mogły być zaangażowane w gromadzie Talbott. Nie chcę mówić źle o twoim przełożonym, Lupe, domyślam się, że może nie podobać ci się krytyka jego osoby. Ale skoro musi już wymyślać te swoje bajki, to czy nie mógłby czasem zejść z Manticore?

– Pieniądze i władza to straszne szambo – odparła cynicznie Blanton. – Wątpię, żeby wskazał palcem wprost na Manticore. Masz rację. Jednak po prawdzie na razie nie możemy nigdzie z tym iść. Wszystko, co mamy, to czyste spekulacje i instynkt sierżant Roskilly. I nawet cienia poszlak!

– To nie tylko instynkt Roskilly, Lupe. – Weng odstawiła filiżankę i z poważnym wyrazem twarzy pochyliła się nad stołem. – Mam naprawdę złe przeczucia. I nie chodzi mi jedynie o to, że ktoś może celowo mieszać na Pograniczu. Coś wisi w powietrzu. Coś złego.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę i Blanton pokiwała głową. Obie znajdowały się dość wysoko, żeby nie mieć złudzeń co do stopnia skorumpowania systemu, któremu służyły. Wiedziały też świetnie, jak dotkliwie ten system wykorzystywał podległe mu światy, i wystarczyło im inteligencji, żeby dodać dwa do dwóch. Blanton rozumiała, że w każdym okresie historii ludzie zwykli myśleć, że świat zawsze wyglądał tak, jak go w danej chwili postrzegali, ale to nie była prawda. Porządek rzeczy nie był ustalony raz na zawsze, a gdy zbyt wielu ludzi uznawało go za nazbyt dotkliwy, zmiany mogły runąć lawinowo. A wówczas nawet wielka i potężna Liga Solarna mogłaby się okazać bezradna wobec tej lawiny.

Jest już wystarczająco złe, że prywatne korporacje mogą wykorzystywać Biuro i Żandarmerię do własnych celów, pomyślała ponuro. A jeśli tym razem naprawdę chodzi o jakieś obce państwo, będzie jeszcze gorzej. Jakikolwiek cel by mu przyświecał, na pewno nie spodoba się Lidze Solarnej. Z drugiej strony, na ile sytuacja może się pogorszyć? Jeśli ten ktoś potrafi

manipulować i Biurem Bezpieczeństwa Granicznego, i Żandarmerią Solarną, to jak daleko może się posunąć?

– Wiesz, tak mi coś przyszło do głowy – powiedziała powoli. – Czy marynarka nie odbywa właśnie jakichś większych manewrów w sektorze Madras?

– Nie idź w tym kierunku – odpowiedziała Weng po dłuższej chwili milczenia.

– Mówię tylko...

– Lupe, chodzi o zespół pięćdziesięciu okrętów liniowych. To jest Crandall i jej Battle Fleet. Nie flota Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Technodyne może mieć na nią jakieś haki, ale nawet jeśli tak jest, to chyba nie sądzisz, że ktokolwiek mógłby wykorzystać taki zespół do brudnej roboty?

– Zastanawia mnie tylko ten zbieg okoliczności, że akurat teraz potężny zespół naszej floty znajduje się niedaleko układu Monica. Zwłaszcza że od stu lat Battle Fleet nie zapuszczała się w rejony Pogranicza. A może nawet dłużej, musiałabym sprawdzić. Nie wydaje ci się to interesujące?

– Jeśli to nie przypadek, wówczas określenie „interesujące” jest zdecydowanie nie na miejscu – stwierdziła Weng. – Użyłabym raczej przymiotnika „przerażające”. Niemniej moim zdaniem to absurdalna hipoteza.

– Tak, jasne. Absurd i tyle. Na pewno nic innego – powiedziała Blanton i jednym łykiem dokończyła martini.

ROZDZIAŁ XI



Staramy się podchodzić rozsądnie do sprawy, pani Allenby – powiedział Adam Omikado. – Na pewno istnieje jakieś sensowne rozwiązanie.

– Najsensowniej będzie, jeśli wyjdzie pan teraz z mojego mieszkania, wsiądzie do wozu i odleci – odparła obojętnie Eileanóra Allenby. – Nie ma mi pan nic do zaoferowania, ja nie mam nic dla pana. I lepiej, żeby uwierzył mi pan na słowo. Naprawdę nie chciałby pan tego, co mogłabym dla pana znaleźć.

Omikado zacisnął wargi, a w jego piwnych oczach błysnęło coś niesympatycznego. Chciał chyba odpowiedzieć ostrym tonem, ale się powstrzymał i odetchnął głęboko. Sheila Hampton go ostrzegła, że Allenby, wszyscy Allenby, nie grzeszą rozsądkiem. Po prostu nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakuje im piątej klepki, dopóki sam nie spróbował porozmawiać i nie zaszedł do Whitewater Hollow Outfitters. Tylko, u diabła, za kogo ona się miała, że traktowała go w podobny sposób?!

Niestety, próba szczerego wyjaśnienia dzielących ich różnic spaliła na panewce. Nie załatwi tego, po co przyszedł.

– Rozumiem, że jest pani zdenerwowana, i wcale się nie dziwię – powiedział ostatecznie. – Chciałbym móc cofnąć to, co się stało. Ale to niewykonalne, poza tym minęło już siedem lat. I chociaż naprawdę nie mieliśmy udziału w tym incydencie, wiem, że Tallulah zaoferowało mężowi pani Allenby sowite odszkodowanie. Oprócz tego, które Kongres zaproponował mu zaraz po całym zdarzeniu.

– „Incydent”, o którym pan mówi, to było morderstwo członka mojej rodziny – stwierdziła kobieta lodowatym tonem. – Żadne „sowite odszkodowanie” tego nie zmieni. Nie wiem, skąd biorą się ludzie pana rodzaju, panie Omikado, ale w tych stronach nie zwykliśmy wyceniać życia naszych bliskich w konkretnych kwotach.

– Wiem, że żadne pieniądze nie wrócą życia pani Allenby. Nie lekceważę bynajmniej bólu i żalu członków jej rodziny. Zwracam tylko uwagę, że moja firma robi wszystko, co w jej mocy, aby złagodzić skutki tej tragedii, nawet jeśli nie ma szans na pełną rekompensatę. I, z całym szacunkiem, pani Allenby, ale obwinia pani Tallulah Corporation o coś, czemu firma nie jest winna. Strzał oddały Siły Ochrony. To nie był nikt z pracowników Tallulah.

Stojący za Omikadem jasnowłosy sierżant w mundurze Sił Ochrony Układu Swallow ledwo dostrzegalnie przewrócił oczami.

Nadawaj tak dalej, dupku, pomyślał sierżant Hamby, powtarzając sobie w duchu, że cokolwiek się dzieje, nie może stracić zimnej krwi. Zwłaszcza teraz, gdy dyrektor Tallulah stał tuż obok. Matka nie uczyła cię nigdy, że jak się tkwi po uszy w gównie, to lepiej nie pyskować? Chyba nie. Nic tu nie zdziałaasz, wmawiając jej, że jest za głupia, żeby zrozumieć, co naprawdę się stało. Rozmawiasz z Allenby, kretynie patentowany. Oni nie mają serca do ludzi, którzy próbują im tłumaczyć, co i jak powinni myśleć. Szczególnie gdy wszyscy na tej cholerniej planecie wiedzą świetnie, co się wydarzyło. Nawet solarny powinien to skumać. Jeśli nie od razu, to po chwili. Ale ty chyba na to jesteś za głupi. Inaczej próbowałbyś jakoś się z tego wykaraskać, zamiast idiotycznie zrzucać winę na kogoś innego!

– Przepraszam, ale to była limuzyna powietrzna pana Parkmana, prawda? – spytała sarkastycznie Eileanóra. Całkiem jakby podsłuchiwała myśli Hamby’ego. – Wielka, kosztowna i płacząca się w publicznej przestrzeni razem z całą bandą uzbrojonych pojazdów ochrony. Chyba dobrze pamiętam? I nic mi nie wiadomo, żeby ktoś uczynił go bogiem. Allenby miała wszelkie prawa do korzystania z tej samej przestrzeni powietrznej i nie byłoby żadnych pocisków, gdyby cholerne Tallulah Security Enterprises nie nalegało na dodatkową ochronę.

Zerknęła na wysokiego i ciemnowłosego mężczyznę w mundurze TSE, stojącego po prawej stronie Omikada. Ten spojrzał na nią z pogardą. Przy wzroście niemal dwóch metrów Robert Karlstad był wyższy od kobiety o czterdzieści centymetrów, co jednak nie peszyło gospodyni.

Ma rację, pomyślał Hamby, spoglądając na swojego partnera, kaprała Leroya Sextona, który z reguły nie przejmował się poczynaniami Tallulah, ale tym razem chyba zgadzał się z Eileanórą. Hamby zgadzał się z nią bez reszty i rozumiał dobrze, dlaczego TSE było jeszcze bardziej znienawidzone niż jego własne Siły Ochrony. Tallulah Corporation kontrolowała większość układu Swallow, co było możliwe dzięki jej bliskim (i obustronnie lukratywnym) koneksjom z prezydent Rosą Shuman i jej administracją. Tallulah Security Enterprises, jej spółka zależna, była w teorii odpowiedzialna jedynie za ochronę obiektów należących do Tallulah. W rzeczywistości była prywatną armią korporacji i robiła, co jej się żywnie podobało. Podstawą było zawarte z Shuman porozumienie, które w praktyce przyznawało personelowi firmy immunitet dyplomatyczny.

Miała też arogancki nawyk wzmocnienia ochrony aż do absurdalnego poziomu, co miało

miejsce także w przypadku wyprawy myśliwskiej Altona Parkmana siedem i pół roku temu. Parkman nie był popularny na Swallow i teoretycznie coś mogłoby mu grozić, zwłaszcza ze strony osób tak porywczych jak Eileanóra i jej krewni, którzy mieszkali na odległych od miast pustkowiach. Jednak w opinii Josha Hamby'ego prawdziwym powodem tej pokazówki było rozdęte ego Parkmana. Większość kadry kierowniczej Tallulah musiała podkreślać przy byle okazji, jaka to jest ważna. Ten sam ból dupy powodował, że obecnie próbowali zmusić pięćdziesięcioletnią wdowę do uległości.

– Nie byłem na Swallow, kiedy to się wydarzyło – powiedział Omikado tonem wskazującym, że jego cierpliwość się wyczerpuje. – Uważam, że nasi analitycy mieli wiarygodne dowody na to, że życie pana Parkmana mogło być zagrożone. W przeciwnym razie z całą pewnością nie poprosiliby o dodatkową ochronę. Ale to nie zmienia zasadniczej kwestii, pani Allenby. Jakkolwiek to wyglądało, pozostaje faktem, że strzały zostały oddane przez Siły Ochrony.

W zasadzie tak, pomyślał Hamby, chociaż faktem było też, że to osobisty ochroniarz Parkmana uznał starą furgonetkę za zagrożenie i zażądał jej neutralizacji. Oczywiście nie zdejmovalo to odpowiedzialności z wyjątkowo tępego żołnierza Sił Ochrony, który odpalił pocisk przeciwlotniczy w wóz Sandry Allenby wracającej od lekarza. Hamby nie wylewał łez, gdy jeden z klanów Allenbych dopadł go w ciemnej uliczce i wyrównał rachunki. Niemniej nigdy by do tego nie doszło, gdyby Siły Ochrony działały samodzielnie. No i gdyby nie Tallulah, w ogóle by ich tam nie było.

Zerknął ponownie na Sextona, który wyglądał na podobnie wkurzonego. Cóż, nigdy nie miał Leroya za szczególnie bystrego i było wiadomo, że kapral pozostawał dodatkowo na cichym żołdzie korporacji, ale widocznie niekiedy zdarzało mu się myśleć. Czego żadnym sposobem nie można było powiedzieć o ich przełożonych. Omikado przyleciał do układu Swallow niecały tydzień temu i najwyraźniej nawet nie spróbował się dowiedzieć czegoś o miejscowych. Głupio i bez sensu, ale bardziej martwił Hamby'ego Karlstad. Omikado był zwykłym gryziپیórkiem, który uważał, że cały wszechświat powinien go podziwiać. Nie rozumiał ani zdania z tego, co mówiła mu Allenby. Gdyby pojął choć ćwierć jej przekazu, dawno by się wyniósł. Ostatecznie miał chyba jaja mikroskopijnych rozmiarów.

Ale Karlstad...

Hamby nie wiedział o nim tyle, ile by chciał, ale i tak go nie cierpiał. „Kumpel” Karlstad

służył wcześniej w Żandarmerii Solarnej, podobnie jak nazbyt wielu jego towarzyszy zatrudnianych obecnie przez Tallulah. Większość rozumiała, że nie reprezentują już Ligi Solarnej, ale Karlstad wciąż zachowywał się w taki sposób, jakby był w batalionie interwencyjnym. I skrzywił się teraz, gdy Eileanóra kolejny raz pokręciła głową.

– Pan chyba nie rozumie, panie Omikado – powiedziała. – Nie obchodzi mnie, kto faktycznie wystrzelił pocisk. I nie jestem zainteresowana żadnym „sowitym” odszkodowaniem dla mnie czy dla mojego kuzyna. Po prawdzie pan też niezbyt mnie interesuje. Ale to nie ma znaczenia, bo tu najważniejsze jest coś innego. To, że sama wybieram, z kim chcę robić interesy. I nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

Stara, głupia suka, pomyślał Omikado. Wiedział, że jest zaledwie cztery standardowe lata starsza od niego, ale nie miała prolongu i blada twarz oraz siwe włosy przydawały jej wieku. Tallulah mogłoby cię kupić i sprzedać, cholera, ja mógłbym to zrobić, i to za drobniaki!

Ponownie wciągnął głęboko powietrze i opanował złość. Nie było to łatwe. Nie znosił tych wtórnych barbarzyńców z zabitych dechami planet. Ludzi takich jak Eileanóra Allenby. Urodził się, wychował i wykształcił na Starej Terze i cierpiał za każdym razem, gdy musiał się spotykać z zarozumiałymi prowincjuszami, którzy czemuś mieli się za równych obywatelom Terry. Na pewnym poziomie pojmował, że to jego słabość. Jeśli pragnął awansu w kierownictwie Tallulah czy jakiegokolwiek innej solarnej korporacji, musiał nauczyć się udawać, że szanuje takie śmieci jak Allenby. To był jeden z powodów, dla których został tu wysłany i miał opanować tę sztukę.

To wszystko wina Leviego, pomyślał gorzko. On posłał mnie do tej wiochy, jakby wyświadczał mi wielką przysługę. Że niby potrzebuję „obycia”. Cholerne układy i układziki. Właśnie dlatego Hampton mnie wybrała. Na pewno tak było!

„To prosta sprawa, która jednak wymaga uwagi kogoś z zarządu”. Tak rzecz opisała Sheila Hampton, szefowa personelu Altona Parkmana. Fakt, że ona i jego wujek Levi chodzili razem do szkoły, podobno nie miał z tym nic wspólnego. Oczywiście, że nie, w żadnym razie!

Rozejrzał się po „gabinecie” Allenby w poszukiwaniu czegoś, na czym chwilowo mógłby skupić uwagę, aby łatwiej uporać się z kolejnym atakiem złości. Niestety, wystrój pomieszczenia współgrał boleśnie z arogancją demonstrowaną przez Allenby oraz innych mieszkańców Swallow, którzy mieli się za nie wiadomo kogo. Liczące kilkaset lat belki stropowe i wytarte deski na podłodze nie były świadomie wprowadzonym staroświeckim akcentem, tak popularnym na cywilizowanych planetach. Po prostu tutaj tak się budowało i dla tych barbarzyńców było to

coś całkiem normalnego. Allenby jak ulał pasowała do tego domku myśliwskiego, który wyglądał, jakby lada chwila miał się zawalić, z porożem miejscowych łosi i łbami niedźwiedzi śnieżnych na ścianach. Co więcej, było to oficjalne biuro Whitewater Hollow. Allenby odmówiła mu wstępu do prywatnej części domu. Pewnie dlatego, że ta zasuszona suka nie miała naprawdę własnego gabinetu!

Zacisnął usta i odwrócił wzrok od trofeów myśliwskich, a ledwie spojrzał na mężczyznę stojącego za Eileanórą Allenby, poczuł, jak ponownie wzbiera w nim złość. Murdoch Allenby miał włosy w tym samym kasztanowym kolorze co jego matka, tyle że bez siwych nitki, i oczy w identycznym odcieniu błękitu. Liczył zaledwie dwadzieścia osiem lat, był prawie tak wysoki jak Karlstad, a do tego znacznie szerszy w ramionach. Widać było przy tym, że obaj się nie cierpią. Pogardliwa postawa młodego mężczyzny zdawała się drażnić Karlstada, podobnie jak zachowanie jego matki dawało do wiwatu przedstawicielowi korporacji.

– Nikt nie proponuje pani współpracy, pani Allenby – powiedział Omikado, gdy jakoś nad sobą zapanował. – Ale obecna sytuacja jest mało komfortowa dla pracowników Tallulah Corporation, którzy nigdy nie zrobili nic złego pani rodzinie. Poza tym, o czym wolałbym nie wspominać, obecny stan rzeczy przysparza pani sporych wydatków.

– To moja sprawa. Nie chcę waszych pieniędzy – odparła gospodyni z upartym wyrazem twarzy.

– Ale to głupie embargo, ta wasza... wendeta obarcza też kosztami innych, pani Allenby – zauważył Omikado. – Za każdym razem, gdy odrzuca pani propozycję kontraktu pod pretekstem, że w grupie mógłby znajdować się ktoś z zarządu Tallulah albo że nasz Dział Turystyczny mógłby wykorzystać ofertę, pozbawia pani dochodów także część swoich sąsiadów. Czy to w porządku wobec nich?

– Nie słyszałam, żeby ktoś się skarżył – stwierdziła krótko i spojrzała na białowłosego mężczyznę, który stał za gośćmi, oparty nonszalancko o kontuar. – Słyszałeś jakieś skargi, Roarke?

– Żadnych istotnych – odpowiedział spokojnie, po czym splunął tytoniowym sokiem do stojącej obok spluwaczki. – Idę o zakład, że ich zdaniem to twoja sprawa, komu świadczysz usługi.

– Widzi pan? – Spojrzała na Omikada.

– Przecież to czysta głupota! Czy nie dostrzega pani... – W tym miejscu się opanował.

Nie przypuszczał, że jej spojrzenie może stać się aż tak lodowate. A jednak. Przeklął się w duchu za chwilę nierozwagi.

Niemniej to naprawdę straszna głupota i jedna wielka strata czasu, pomyślał z goryczą. Tyle że obrażanie Allenby, nawet jeśli w pełni na to zasłużyła, było bezcelowe. Hampton dokładnie mu to wcześniej wyjaśniła.



W ciągu ostatnich trzydziestu lat Whitewater Hollow Outfitters zyskało reputację najlepszego operatora przewodników myśliwskich w górzystych rejonach planety. Eileanóra i jej nieżyjący już mąż, Jordan, znali góry w promieniu pięciuset kilometrów jak własną kieszeń. Według wiarygodnych źródeł Murdoch Allenby nie był od nich gorszy. WHO szalenie dbała o ochronę środowiska, ale jej przewodnicy niezmiennie wiedzieli, jak naprowadzić klientów na najlepszą zwierzynę. Mimo to decyzja Eileanóry, która postanowiła wpisać Tallulah Travel Interstellar na czarną listę i ignorować wszystkich, którzy byli jakoś związani z korporacją, z początku nie wydawała się szczególnie dotkliwa. Ot, drobny kłopot, decyzja oburzająca i nieco obraźliwa. Nic więcej.

Tak było, ale tylko z początku.

Odcięcie od specjalistów, których pomoc była niezbędna w pozyskiwaniu rekordowych trofeów łowieckich, zirykowało sporą część kadry zarządzającej Tallulah, którzy uważali się w komplecie za wielkich myśliwych. Przywykli do pogardy miejscowych, ale dotąd nikt nie okazywał im jej wprost. Już samo w sobie byłoby to kłopotliwe, ale sprawa nie kończyła się na osobistych urazach. Pech chciał, że góry układu Swallow były bardzo popularnym celem dla wybrednych turystów Ligi Solarnej.

Eileanóra nie przyjmowała także zamówień składanych przez Tallulah Travel Interstellar, co było o tyle dojmujące, że Whitewater Hollow kontrolowało najlepsze podejścia do Broken Back Mountain, piątego najwyższego szczytu na wszystkich planetach skolonizowanych przez ludzkość. Podobnie było w całych Cripple Mountains, gdzie nie zdarzali się praktycznie lepsi przewodnicy. Co więcej, reputacja firmy sięgała daleko poza układ Swallow. WHO było poważane nawet przez Safaris Interstellar, wiodącą na rynku firmę wyspecjalizowaną w świadczeniu usług dla myśliwych i amatorów dzikiej przyrody. Mimo wszystko, dopóki WHO samotnie walczyło z Tallulah, nie było jeszcze tak źle. Prawdziwe kłopoty zaczęły się w chwili, gdy inne firmy o podobnym profilu zaczęły się z nią solidaryzować. Co więcej, ostatnio

przenosiło się to z wolna na kolejne obszary turystyki.

I tu kryło się prawdziwe niebezpieczeństwo, pomyślał Omikado. W układzie Swallow Tallulah mogło uchodzić za potentata, ale w skali całej Ligi Solarnej nie zaliczało się do gigantów. Dochody z TTI stanowiły znaczącą część wpływów. Nie aż taką, żeby ich utrata zagrażała bytowi korporacji, ale spadek obrotów był odczuwalny, zwłaszcza wobec nasilania się bojkotu. Może przypadkiem, ale ta stara wiedźma znalazła sposób, żeby zaszkodzić Tallulah. W miarę jak sąsiedzi i inni z branży coraz energiczniej okazywali jej solidarność, centrala była coraz mniej zadowolona z Altona Parkmana. Łatwo było się domyślić, jak w tej sytuacji Alton Parkman potraktowałby posłańca, który wróciłby od Eileanóry Allenby bez dobrych wieści.

– Przepraszam. Przepraszam za mój ton – mruknął autentycznie skruszonym głosem. Potem wypuścił głośno powietrze i potrząsnął głową. – Po prostu wydaje mi się osobliwe, że sama pani sobie szkodzi. I pośrednio też innym.

– Przepraszam nie chcę tak samo jak waszych pieniędzy – powiedziała zdecydowanie Allenby.
– Chcę tylko, żeby zszedł mi pan z oczu.

– To nie jest dobry pomysł – wymknęło mu się znowu ostro. – Prawdę mówiąc, pobyt tutaj nie sprawia mi żadnej przyjemności. Niestety, dopóki nie zechce pani zmienić swojego postępowania, będzie musiała znosić wizyty osób takich jak ja.

– Chyba że te „osoby takie jak pan” rozumieją, że marnują czas – odparła ponuro. – A na razie zamierzam pana pożegnać.

– Nie wyjdę, dopóki mnie pani nie wysłucha – powiedział. – Wiem, że jest pani upartą kobietą. Bóg mi świadkiem, że trudno byłoby to okazać w dobitniejszy sposób. Ale ja też potrafię być uparty, a w tej sytuacji postępuje pani po prostu głupio...

– Nie słyszał pan, co powiedziała moja matka? – Ton głosu Murdocha Allenby’ego obniżył temperaturę otoczenia o co najmniej piętnaście stopni. – Prosiła, żeby pan wyszedł.

– A ja powiedziałem...

– Idę o zakład, że ma pan kłopoty ze słuchem – przerwał mu Allenby. – Ale uprzedzam, że ja nie jestem tak uprzejmy jak matka. I mam znacznie mniej cierpliwości niż ona. Ujmę więc jej prośbę w prostszych słowach: zabierz pan stąd dupę, do cholery.

– Licz się ze słowami, chłopcze! – warknął Karlstad. – Bo będziesz miał kłopoty!

– Proszę wszystkich o spokój – wtrącił się Hamby. – Pani Allenby, Murdoch, wiem, że czujecie się oszukani i być może macie prawo tak myśleć. Ale cała ta historia wymyka się spod

kontroli. Nikt nie chce was atakować. Wydaje mi się, że pan Omikado całkiem rozsądnie wyłożył swoje stanowisko.

– Nic mi po tym – rzuciła Eileanóra. – Nie powiedział nam nic nowego. Nie byłam zainteresowana tymi opowieściami poprzednio, gdy tu kogoś przysłali, nie obchodzą mnie i teraz. Lepiej więc będzie, gdy przestaną marnować swój czas. I mój też.

– Ale to nie byłby stracony czas, gdyby... – zaczął Omikado.

Zamknij się wreszcie, rzucił w myślach Hamby. Staram się ci pomóc, zanim sprawy zajdą za daleko. Każdy, kto ma choć dwie szare komórki, zdążył już zauważyć, że tylko ją wkurzasz. I niech mnie diabli, jeśli ona nie ma prawa być mocno wkurzona.

– To nasza sprawa, jak wykorzystujemy swój czas – rzucił pogardliwym tonem Murdoch Allenby. – Zatem dupa w troki, zanim pošlę cię za próg kopniakiem!

– Ostrzegałem cię, ty sukinsynu! – warknął Karlstad i wyciągnął z kieszeni rękę, na której jakimś cudem znalazł się kastet.

„Kumpel” Karlstad nie miał wątpliwości, że ci barbarzyńcy proszą się o lekcję dobrych manier, i jego zdaniem nadeszła właśnie po temu okazja. Ten szczył i jego matka już dość długo grali mu na nerwach. Ktoś powinien zrobić z nimi porządek. Karlstad był chętny do tej roboty. A jeśli ta stara wiedźma też będzie się prosić, to i ona dostanie nauczkę.

Wyszczrzył zęby i zamachnął się pięścią. Nie tęsknił raczej za Żandarmerią, ale brakowało mu patroli, na które wówczas chodził, oraz osobistej pałki. Wtedy nie było na niego mocnych. Paroma ruchami załatwiał każdego zaplutego wieśniaka. Praca w ochronie korporacji była znacznie lepiej płatna, ale zmuszała go do „godnego reprezentowania firmy”. Musiał puszczać wiele rzeczy płazem. Ale tym razem było inaczej. Czytał specjalne zarządzenie wewnętrzne na temat zasad postępowania TSE na Swallow. Miał pełne prawo uciszyć sukinsyna. Jeśli będzie trzeba, to nawet na zawsze. Zrobi to więc i nikt mu złego słowa nie powie.

Tak rozumując, nastawił się, że zaraz usłyszy znajomy trzask kości i krzyk ofiary. To było lepsze niż...

Jego oczy rozszerzyły się, gdy energiczny cios trafił w próżnię. Allenby nie miał prawa tak szybko zareagować, a jednak zdołał odchylić głowę. Zaraz potem sam uniósł rękę i złapał Karlstada za nadgarstek, blokując mu przedramię. Były żandarm wciąż nie pojmował, jak mogło do tego dojść.

Pechowo dla siebie nie miał dość czasu, żeby otrząsnąć się z zaskoczenia. To nie był koniec

niespodzianek. Murdoch Allenby wychował się w Cripple Mountains, a tamtejsi chłopcy byli równie biegli w bijatykach, jak ryby w pływaniu czy solarni w robieniu pieniędzy. Pierwszą walkę stoczył, gdy miał niecałe pięć lat, a ojciec dopilnował, żeby jego syn nigdy nie przegrał żadnego pojedynku. Pracę w górach zaczął, gdy miał czternaście lat. Taki fach wyrabiał mięśnie, a wilcze ogry i niedźwiedzie śnieżne były surowymi nauczycielami. Ktoś, kto na nie polował, musiał mieć naprawdę niezły refleks. Inaczej nie wróciłby cało do domu. Murdoch od razu pojął, że kimkolwiek był ten dupek z Terry, w górach nie przetrwałby nawet dziesięciu minut.

Zacisnął stalowe palce na nadgarstku tamtego, po czym szarpnął, a Karlstad poleciał do przodu. Nadal był zaskoczony szybkością reakcji Murdocha i jego siłą. Równie dobrze mógłby próbować uwolnić się z paści na niedźwiedzie.

Prawa ręka Allenby'ego wykonała tymczasem zamach, który zaczął się gdzieś w okolicy kłamry pasa, zakończył zaś na podbródku Roberta Karlstada. Głowa byłego żandarma poleciała gwałtownie do tyłu, oczy zasnuły się mgłą, kolana zwiotczały. Ale Allenby jeszcze nie skończył. Zakręcił Karlstadem wokół siebie, jakby zamierzał z nim tańczyć, po czym przygiął go do ziemi i energicznie uniósł nogę. Precyzyjnie wymierzony kopniak trafił mężczyznę w siedzenie i skierował go przed siebie, co oczywiście skończyło się jego upadkiem na twarz i rozkwazaniem nosa na deskach podłogi. Kastet spadł z palców prawej dłoni i poleciał na bok.

Omikado wpatrywał się w Allenby'ego z przerażeniem, nie mogąc uwierzyć, że ten jaskiniowiec naprawdę użył siły w jego obecności.

– Jeden już załatwiony – powiedział młody Allenby. – Jeszcze ktoś?

– Daj spokój, Murdoch! – rzucił Hamby. Allenby spojrzał ostro na sierżanta, który pokręcił głową. – Nie twierdzą, że nie miałeś prawa do obrony, skoro rzucił się na ciebie z kastetem. Chcę tylko powiedzieć, że robi się nieciekawie...

– Że co? – wykrztusił Omikado. – Nie widziałeś, jak ten bandzior napadł na Karlstada? Aresztuj go!

– Pan też powinien wziąć na wstrzymanie, Omikado – powiedział Hamby pojednawczym tonem. – Ja widziałem, że pan Allenby działał w obronie własnej. I nie miał kastetu.

Omikado popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Co to ma być, do cholery?! Słono wam płacimy, żebyście chronili naszych ludzi przed takimi atakami! Masz go aresztować pod zarzutem napaści. Natychmiast!

Hamby poczerwieniał ze złości i wstydu. Był zły na Omikada za takie gadanie, chociaż to

jego ochroniarz był winny zajściu. Wstyd zaś brał się stąd, że przedstawiciel korporacji miał rację co do tej forsy.

I co ja z tym, kurde, zrobię? – zastanowił się sierżant. Murdoch był w tym przypadku ofiarą, ale jeśli tak zamelduję, do południa przyjdzie mi pożegnać się z robotą. Jakby nie wystarczyła jedna gównoburza. Z kolei gdy wrócę do biura i oskarżę gospodarza, który bronił się przed napaścią we własnym domu, cholera wie, jaka lawina zejdzie z gór. Tylko tego mi trzeba, żeby...

– Ty okurwiały draniu! – Okrzyk był trochę niewyraźny, bo Karlstad dość mocno poharatał sobie usta, ale były żandarm pozbierał się już jakoś z podłogi i klęcząc na jednym kolanie, unosił właśnie w prawej dłoni pulser. – Zaraz cię...

Coś huknęło potężnie i głowa Karlstada eksplodowała krwawymi szczątkami, ciało zaś poleciało bezwładnie do tyłu.

Huk prawie ogłuszył Hamby'ego, który dopiero po chwili dostrzegł trzymany przez Eileanórę Allenby ciężki staroświecki pistolet automatyczny. Nie doszedł jeszcze do siebie, gdy znowu rozległ się krzyk.

– Odłóż to i...!

Znowu zagrzmiało.

Hamby obrócił się akurat w porę, żeby zobaczyć, że Leroy Sexton zatoczył się do tyłu i upuścił broń osobistą, którą najwyraźniej chwilę wcześniej zdążył wyciągnąć z kabury. Potem uniósł powoli ręce, przycisnął je do piersi i spojrzał na nie z niedowierzaniem. Były czerwone od krwi. Ostatecznie uniósł wzrok na Eileanórę, która ani na chwilę nie spuściła z niego oka, i opadł na kolana. Zamarł tak na sekundę, wreszcie zamknął powieki i padł na podłogę.

Hamby wpatrywał się w niego przez moment, ale zaraz drgnął, gdy coś zimnego i ostrego dotknęło jego gardła.

– Sugeruję, żebyś trzymał ręce na widoku, abym dobrze je widział, Josh – powiedział Roarke Mullarkey takim tonem, jakby chodziło o zaproszenie na herbatkę. Hamby'emu dzwoniło w uszach, ale poznał, co starszy mężczyzna trzyma w dłoni: nóż przewodnika górskiego, trzydzieści dwa centymetry starej stali tak ostrej, że mogłaby posiekać wiatr. Co więcej, obecnie znajdował się on dokładnie przy tchawicy sierżanta, nie dając mu żadnych szans na obronę. – Wiem, że jesteś sługusem korporacji, ale dorastałem z twoim ojcem i naprawdę wolałbym nie robić ci krzywdy.

Sierżant uniósł powoli ręce i Mullarkey pokiwał głową.

– Dobry chłopak z ciebie – powiedział, sięgając do kabury sierżanta. Potem opuścił nóż i cofnął się o krok. Schował ostrze, po czym wypiął magazynek pulsera i moduł zasilający i oddał niegroźną już broń właścicielowi.

– Nie mogę uwierzyć, że zamierzasz tu tylko stać i... – zaczął Omikado.

– Na pańskim miejscu przymknąłbym jadaczkę, dopóki jeszcze ją pan ma – zauważył nieco zirytowany Mullarkey. – To pan jesteś za to wszystko odpowiedzialny i pragnę panu uświadomić, że może jesteśmy zapadłą prowincją, ale potrafimy zadbać o swoje bezpieczeństwo. Całe to zajście zostało nagrane, od samego początku, wraz z kolejnymi prośbami, żeby pan już sobie poszedł. Oraz z pańskimi odmowami. Jestem pewien, że mamy też dobre ujęcia tego pańskiego idioty, który sięgnął po broń. Jeśli zaś chodzi o tego drugiego półgłówka... – Spojrzał na Sextona. – Nie powinien się wygłupiać, skoro ktoś trzymał już uniesioną broń. Nie był przedstawicielem prawa i zapłacił za swój błąd. – Stary mężczyzna ponownie splunął sokiem tytoniowym. – Jeśli ktoś łamie prawo, musi się liczyć z konsekwencjami. Jak dla mnie był to czysty przypadek samoobrony. Cokolwiek mówi Konstytucja i cokolwiek powiedzą prawnicy z Capistrano, w górach każdy, mężczyzna czy kobieta, ma prawo się bronić. Także przed durniami, którzy nie wiedzą, co czynią.

Śmiertelnie blady Omikado tylko wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Stary pokręcił głową, po czym zwrócił się do swojej pracodawczyni:

– Coś jeszcze, Eileanóra?

– Chyba dobrze to podsumowałaś, Roarke – odparła i Hamby dopiero teraz zauważył, że nie opuściła broni. Co gorsza, celowała wprost w głowę Omikada, a z lufy unosiła się jeszcze smużka dymu. – Może poza jednym. Jest w Konstytucji jeszcze ciekawy fragment na temat prawa własności i ludzi próbujących je naruszać oraz tego, w jaki sposób kobieta ma prawo bronić przed nimi swojej własności. Zwłaszcza jeśli wcześniej należycie ich ostrzegła. W tej chwili mam wielką ochotę skorzystać ze wspomnianych swobód konstytucyjnych. Myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli sierżant odprowadzi pana Omikada gdzieś dalej. Starczy już tutaj trupów. – Zerknęła lodowato na Hamby'ego. – Pasuje, sierżancie? – spytała.

– Tak, ma'am – odpowiedział Hamby, chowając rozbrojony pulser do kabury i zaraz ostentacyjnie odsuwając od niej dłoń. – Tak, ma'am. To chyba dobry pomysł.

LIPIEC 1921 PO DIASPORZE

„Zabiję go. Nawet bez pulsera. Będzie martwy, gdy tylko wpadnie mi w ręce”.

– Sinead Patricia O’Daley Terekhov

ROZDZIAŁ XII



Zatem tak, Ansten. Pierwsze, czym mają zająć się te nieroby w stoczni...

– Nie tak, skipper – przerwał mu Ansten FitzGerald. – Pierwsze, co pan musi zrobić, to przebrać się w mundur galowy i zająć miejsce w pinasie lecącej na dół.

Komandor FitzGerald nie doszedł jeszcze całkowicie do siebie po odniesionych niedawno ranach, ale i tak wrócił na pokład *Hexapumy*, aby podjąć obowiązki pierwszego oficera, dzięki czemu Ginger Lewis mogła skupić się na robocie pierwszego inżyniera. Z przyjemnością przekazała mu jego zadania, bo robienie na dwa etaty było jednak dość wyczerpujące, i czym prędzej wróciła do tego, na czym się znała i w czym była dobra. Terekhova cieszyło to nie tylko ze względów zawodowych. FitzGerald był dla niego kimś więcej niż kompetentnym zastępcą.

W tej chwili jednak kapitan miał inne powody do zmartwienia.

– Wiem, że czas nas goni, Ansten – powiedział z pewnym smutkiem. – Ale nadal nie jesteśmy w doku i nie wiemy nawet, kiedy tam trafimy. Mieli na nas czekać, ale wyszło jak zwykle. Burdel na kółkach. I tym bardziej musimy przygotować jak najpełniejszą listę koniecznych prac.

– Mamy już z Ginger taką listę, skipper. Wszystko nam powiedziałaś i mamy twoje notatki, zapis całej korespondencji z *Hephaestusem*. Obiecuję, że sprawdzimy wszystko jeszcze raz zaraz po przybyciu holowników. Za to ty nie masz czasu na zbijanie bąków.

– Zbijanie bąków? – powtórzył Terekhov takim tonem, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Bosman Agnelli tak mawia – odparł FitzGerald z uśmiechem. – Zdaję sobie sprawę, że jesteś kapitanem i nie ma takiego głównego stewarda, którego byś się bał, ale ja jestem tylko komandorem i wolę nie myśleć, co się stanie, jeśli czym prędzej nie wbijesz się w ten mundur i nie odleczisz.

Mówił to z uśmiechem, ale w sumie wcale nie żartował. Terekhov też o tym wiedział i spojrzał na zegar. Powinni już cumować przy *Hephaestusie*, ale nic nie szło według planu, co oznaczało, że lot wahadłowca potrwa dobre dziewięćdziesiąt minut dłużej. To zostawiało mu znacznie mniej czasu, a Fitz Gerald miał rację, że to jedna z tych okazji, gdy nie mógł pozwolić sobie na spóźnienie. Niemniej *Hexapuma* była jego okrętem, pewnych rzeczy musiał po prostu dopilnować i...

Masz wspaniałych podwładnych, powiedział sobie w duchu. Wiele razy już tego dowiedli. Ginger praktycznie odbudowała siłownię, żeby mogli wrócić do domu. Chyba możesz jej zaufać. Podobnie Anstenowi. Na pewno nie zepsują niczego pod twoją nieobecność!

A jeśli nie możesz im ufać, to nie ich wina, ale twoja. Twoja własna.

– W porządku – powiedział. – W porządku! – powtórzył, unosząc ręce. – Powiedz Joannie, żeby przygotowała mój mundur. Już ruszam.

– Szefie, mam nadzieję, że sam wiesz, że to bez sensu przekazywać coś takiego. Już kwadrans temu poinformowała mnie, że mundur czeka. I wtedy też wspomniała coś o zbijaniu bąków...



– Udało ci się znaleźć moją żonę, Amal? – zapytał Terekhov na swoim osobistym kanale, na poły idąc, na poły biegnąc na pokład łodziowy.

– Niestety nie, sir – odparł przepaszającym tonem komandor Nagchaudhuri. – Próbowaliśmy wszystkich przekazanych nam numerów, ale trafialiśmy tylko na pocztę głosową.

Terekhov skrzywił się lekko. Sinead Patricia O’Daley Terekhov wywodziła się z mariażu dwóch najstarszych dynastii oficerów Royal Manticoran Navy. Była też kuzynką obecnego księcia Winterfell, a jej przodkowie dowodzili jednostkami królowej i piastowali ważne stanowiska w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wszystko to działo się niemal sto lat przed tym, gdy pierwszy wahadłowiec Terekhova przyziemił w Landing. Rozumiała więc realia i specyfikę kariery oficera RMN i przez niemal pół wieku ich małżeństwa zawsze odbierała połączenia od niego góra po pół minucie. Teraz zaś wiedziała dokładnie, kiedy *Hexapuma* miała przylecieć, a nawet gdyby zapomniała, to przecież powitanie *Hexapumy* i *Warlocka* przez Home Fleet było transmitowane na cały układ planetarny. Gdzie więc mogła się podziwiać?

– Próbuj dalej – powiedział, gdy technik pokładowy pokiwał na niego uprzejmie, ale stanowczo, od prowadzącego do jednostki rękawa. – I przełącz ją na pinasę, jak tylko uda ci się ją złapać.

– Oczywiście, sir!

Terekhov zakończył połączenie i pospieszył w głąb rękawa. Technik pokładowy poczekał, aż dowódca zanurkuje w obszar zerowej grawitacji, po czym poszedł w jego ślady. Terekhov sięgnął do uchwytu, przekręcił ciało i stanął na pokładzie pinasy, która miała własny system sztucznego ciężenia. Depczący mu po piętach technik odczekał, aż dowódca zajmie miejsce, po czym

zamknął właz i sprawdził jego szczelność.

- Właz zamknięty i zabezpieczony – zameldował do kokpitu.
- Przyjąłem, zamknięty i zabezpieczony – usłyszał w odpowiedzi.

Na przedniej grodzi zajaśniał znak nakazujący zapięcie pasów.

Terekhov wyjrzał przez iluminator. Pinasa odłączała właśnie wszystkie pępowiny przewodów, które zniknęły powoli w kadłubie, otoczone obłokiem ulatniających się gazów. Po odsunięciu obejm dokujących silniczki manewrowe wypchnęły jednostkę poza stanowisko. Terekhov zauważył, że pilot wykonał ten manewr bardzo płynnie, i odnotował w pamięci, żeby pochwalić za to porucznika po wylądowaniu. Niemniej myślami był cały czas bardzo daleko.

Gdzie jesteś, Sinead? – zastanawiał się, obserwując na ekranie oddalający się masywny kadłub *Hexapumy* i jaśniejącą za nim sylwetkę *Hephaestusa*. I dlaczego, u licha, nie odbierasz?



Siedziała na jednym z nieprzyzwoicie wygodnych grawifoteli w sali VIP-ów, a jej zwinne palce śmigały rysikiem po ekranie pada. Jak prawie zawsze gdy przychodziło jej czekać. Wielu krytyków byłoby szczerze zdumionych albo nawet oburzonych, gdyby dowiedzieli się, że jedna z najbardziej uznanych artystek Gwiezdnego Królestwa rysuje tylko po to, żeby zająć czymś ręce w bardziej nerwowych chwilach.

Wnętrze było znakomicie wyciszone. Co prawda trochę zgiełku i poruszenia wniosłoby zapewne pożądane przy takiej okazji urozmaicenie, ale od czasu tej sprawy z układem Monica dziennikarze zrobili się strasznie nachalni. Ostatnio spuścili wprawdzie nieco z tonu i zajęli się innymi tematami, ale należało oczekiwać, że wraz z powrotem *Hexapumy* i *Warlocka* może się to zmienić. Dlatego była wdzięczna, gdy pełen szacunku młody porucznik zaproponował...

– Aivars!



Rysik i pad poleciały na podłogę, ledwie Terekhov pojawił się w drzwiach windy. Usłyszał nawet trzask pękającej obudowy urządzenia. Pozostawało mieć nadzieję, że jego żona zdążyła zapisać swoją najnowszą pracę.

Ale więcej już o tym nie myślał, tylko złapał ją w ramiona. Smukłą i pełną wdzięku, ciepłą i miękką. A do tego tak piękną, że aż oczy zasły mu mgłą i z miejsca zapomniał o połamanym padzie. Zapomniał o wszystkim, w tej chwili liczyła się tylko jej bliskość, jej słodki zapach i puszyste rude włosy.

– Och, Aivars – szepnęła i zwróciła do niego twarz.

Jej usta były delikatne, słodkie i paliły jak rozkoszny ogień. Długą chwilę stał tak, trzymając żonę w stalowym uścisku.

W końcu puścił ją, cudem chyba nie połamawszy jej żeber, odsunął się o krok i zaczerpnął głęboko powietrza.

– Ale dlaczego, młoda damo, nie odbierałaś połączeń ode mnie? – spytał, chociaż zapewne nie było to najważniejsze w tej sytuacji zdanie.

Jej usta drgnęły w uśmiechu. To był ich stary żart, chociaż po prawdzie była raptem jedenaście godzin, dwanaście minut i dziewiętnaście sekund młodsza od niego. Ale poza tym poczuła się wyraźnie zaskoczona.

– Nie odbierałam? Czekam tu na ciebie i rysuję już ponad dwie godziny!

– Co? – Terekhov zmarszczył brwi. – Próbowałem się z tobą skontaktować, od kiedy zalogowaliśmy się do systemu łączności *Hephaestusa*.

– Tak? – Zamrugła. – To przedziw... – Przerwała nagle, przymrużyła zielone oczy i uniosła nadgarstek. Gdy włączyła program diagnostyczny komunikatora, w jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. – Zabiję go – powiedziała rzeczowym tonem. – Nawet bez pulsera. Będzie martwy, gdy tylko wpadnie mi w ręce.

Terekhov uniósł brwi, ale po chwili sam zrozumiał.

– Charlie?

– Charlie – potwierdziła ponuro. – Kto inny mógłby się włamać na moje osobiste konto i dodać twoje numery do listy zablokowanych? A dokładniej kto inny mógłby to zrobić właśnie dzisiaj?

– Nie znam drugiej takiej osoby – odparł nieco niepewnie, jakby tłumił śmiech.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie. Nie śmiał się. Żaden dobry taktik nie popełniłby podobnego błędu.

Szlachetnie urodzony Charles Travis O'Daley, Charlie dla przyjaciół i rodziny, był piętnaście lat młodszy od Sinead i uchodził powszechnie za zamożnego nieroba ze zbyt dobrego domu, który dzięki koneksjom rodzinnym dostał posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Bez tych koneksji na pewno nikt by go nie zatrudnił, bo przecież niczego sobą nie reprezentował. Kompetencje? Jakie kompetencje? Wszyscy wiedzieli, że tak właśnie było.

Albo prawie wszyscy. Terekhov należał do wąskiego grona wybrańców, którzy znali prawdę.

Owszem, Charlie O'Daley był ekscentrycznym osobnikiem, a jego stanowisko w MSZ nie miało żadnego znaczenia. Niemniej, gdyby tylko zechciał, mógłby zrobić oszałamiającą karierę w dyplomacji. Tyle że nie mógłby wówczas zostać jednym z najbardziej wziętych agentów Specjalnej Służby Wywiadowczej. Obecna przykrywka zaś zapewniała mu olbrzymią swobodę ruchów i nader małe były szanse, że ktokolwiek domyśli się jego prawdziwej tożsamości.

Dodatkowo miewał napady swoistego poczucia humoru i zawsze mógł liczyć na pomoc szeregu specjalistów od penetracji cyberprzestrzeni. Większość była mu winna to i owo za różne drobne przysługi. Nic dziwnego zatem, że Sinead z miejsca pomyślała właśnie o nim.

– Czy dobrze słyszałem, że ktoś przywołał moje imię nadaremno? – powiedział ktoś nagle całkiem miłym dla ucha barytonem.

Sinead odwróciła się na pięcie i zobaczyła wchodzącego do sali przystojnego dżentelmena w stroju sądowym. Włosy miał dokładnie w tym samym odcieniu czerwieni co ona.

– Zatem umrzesz dzisiaj, Charlesie Travisie O'Daley!

– Chwilę, chwilę, żadne takie – zaprotestował, mijając ją i wyciągając rękę do Terekhova. Jego uścisk był twardy, mocny i kłócił się z przebraniem, które akurat wybrał. Oczy miał zielone i pełne ciepła. Potem odwrócił się do rozzłoszczonej siostry, puścił dłoń Terekhova i wycelował palec wskazujący w Sinead. – Gdyby Aivars zdołał się z tobą skontaktować, rozgadałabyś się i żadnym sposobem nie zdążyłabyś na to spotkanie – wyjaśnił irytującym arystokratycznym tonem. Jego siostra nigdy nie mówiła w ten sposób. – Co więcej, nie miałibyście też słodkiej chwili dla siebie w limuzynie w drodze do pałacu. Więc sama powiedz, czy kochający brat mógł zachować się inaczej? Jak mógłbym nie zadbać o ciebie? Każda w miarę rozsądna osoba przyzna, że działałem w twoim najlepiej pojętym interesie.

Sinead mimowolnie zachichotała i pogroziła mu pięścią. Spojrzał zezem na tę pięść, wywołując u siostry wybuch śmiechu.

– Dobrze, zatem nie umrzesz dzisiaj. Ale pamiętasz, jakie były konsekwencje twojego poprzedniego kawału?

– Cóż za małostkowość. I ta mściwość – westchnął. – Niestety! Taki mój los, by cierpieć. Ale przywykłem do tego. Jestem pewien, że gdy ta chwila nadejdzie, przyjmę ją z godnością. – Uniósł dumnie nos i znowu westchnął głośno, na co siostra dała mu kuksańca w bok. – Jakaż to brutalna kobieta – powiedział z uśmiechem i potarł obolałe miejsce. Ale zaraz spoważniał. – Dobrze, Sinead. Jeśli zależy ci na odrobinie prywatności, zanim pałac złapie go w swoje tryby,

będziesz miała kilka minut w limuzynie. Ale tylko kilka. Powiedziałem kierowcy, o której musicie być na miejscu, i jest gotów pokrzyżać trochę po okolicy do tego czasu. – Uniósł rękę i dotknął lekko jej policzka. – To chwilowo jedyne miejsce, gdzie będziesz go mieć dla siebie, z dala od dziennikarzy, dworu i, niech Bóg ma ją w swej opiece, Jej Królewskiej Mości. Kolejna okazja trafi się dopiero za pięć–sześć dni. Zakładając oczywiście, że nie chowają w zanadrzu czegoś więcej względem jego osoby.

Popatrzył na swego szwagra i w Terekhovie coś drgnęło. Ich oczy spotkały się na krótko i kapitan skinął głową.

– Najprawdopodobniej ma rację – powiedział, obejmując żonę ramieniem.

– Och, jestem pewna, że ma rację. – Spojrzała na brata z wyrzutem. – On zawsze ma rację. To jedyny powód, dla którego jeszcze żyje!

– Może – przyznał Terekhov. – Nie zmienia to jednak najważniejszego.

– Nie zmienia – zgodził się uprzejmie O'Daley. – A czas ucieka.

– Dobra – rzuciła Sinead. – Daruję ci życie. Nie dam rady nawet zrzucić cię ze schodów. Nie tym razem.

– Jesteś dla mnie taka dobra. – Charlie uśmiechnął się i pochylił, aby pocałować ją w policzek. – Idźcie już! Tylko się ogarnij, gdy dotrzecie w końcu do pałacu. Ale pamiętaj, bez przesady! Będę bardzo rozczarowany, jeśli nie pokażesz się tam chociaż trochę wymięta. Ostatecznie to oficjalna uroczystość, prawdziwa audyencja u królowej!

ROZDZIAŁ XIII



Cóż, to była z pewnością strata czasu, pomyślał Damien Harahap, gdy przejrzał raz jeszcze tekst i zamknął plik.

Było to dobre sprawozdanie, zwięzłe i rzeczowe, ale „rewolucjoniści” z Any Port okazali się dokładnie tak nieprzydatni do ich celów, jak tego oczekiwali.

Przysiadł na chwilę, zastanawiając się nad sytuacją. Być może jego oczekiwania wpłynęły jakoś na wnioski. Może, chociaż niekoniecznie. Zbyt wiele czasu spędził po drugiej stronie barykady, żeby dać się wpuścić w kanał.

Poza tym nikt nie powiedział, że operacja Janus musi objąć wszystkie układy, w których panuje jakiś ferment. Jasne, dobrze, żeby było ich jak najwięcej, ale nawet Manpower musi liczyć się z budżetem. Nie dadzą rady zrobić wszystkiego, co by chcieli, nie wszystkich zdołają wesprzeć. Chociażby ze względu na logistykę. Ważne więc było, żeby z góry wyeliminować najmniej obiecujące planety i inwestować tylko tam, gdzie mogło się to opłacić.

Pozostawało mieć nadzieję, że Isabel Bardasano też to rozumiała. Powinna, ale i tak uznał, że lepiej będzie postawić na rzetelność, bez koloryzowania pod potrzeby zleceniodawcy. Kompetentni przełożeni dobierali sobie kompetentnych podwładnych, o czym Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i Żandarmeria Solarna zdawały się zapominać. Jego zdaniem to naprawdę wiele wyjaśniało.

Wzruszył ramionami. Tak czy siak, Any Port było niewypałem. Przykra sprawa, ale lepiej napisać o tym od razu, niż ryzykować stworzenie legendy o wspaniałej okazji. Legendy, z której i tak trzeba by się potem tłumaczyć.

Wywołał kolejny układ ze swojej listy i uśmiechnął się szeroko, dotarłszy do materiałów na temat Somerton Spaceways. Nie musiał czytać tego właśnie teraz, opuścił Any Port dopiero trzy dni temu i zostało jeszcze sporo czasu do końca przelotu, ale zawodowe podejście wzięło górę. Podobnie jak jego zawodowe ego było bardzo zadowolone ze sporządzonego wcześniej dossier układu Mobius. Zwłaszcza że co najmniej dwie trzecie danych pochodziło ze źródeł Trifecta Corporation, nie z raportów Biura Bezpieczeństwa Granicznego czy Żandarmerii.

Nigdy nie spotkał Estebana Gibsona, szefa działu bezpieczeństwa wewnętrznego Trifecty w układzie Mobius, ale doczytał, że gość był emerytowanym brygadierem Żandarmerii i musiał

mieć wiele cennych kontaktów. Był też zwolennikiem rządów twardej ręki. Przeszedł przez bataliony interwencyjne i nigdy się nie zdarzyło, żeby nie zdołał rozwiązać problemu za pomocą pałek lub odpowiedniej siły ognia. Mimo to nie był głupcem i radził sobie o wiele lepiej niż większość jego kolegów. Zidentyfikował kilka zagrożeń, których oficjalne służby wywiadowcze Ligi Solarnej chyba w ogóle nie dostrzegły lub przynajmniej o nich nie informowały. Co najmniej trzy z podanych przez niego potencjalnych kontaktów nie figurowały na liście podejrzanych sporządzonej przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego.

Szkoda, że nikt inny w całym układzie nie był zdolny do sporządzenia podobnej analizy, pomyślał cynicznie Harahap. Xydis wydawał się dość rozsądny, jak na starszego oficera Biura, ale organizacja placówki pozostawiała wiele do życzenia. Z Żandarmerią było jeszcze gorzej. W całym układzie nie mieli ani jednej jednostki wywiadu. Sam w swoim czasie nie cierpiał takiego podejścia, jednak na Pograniczu było to coś normalnego, co mogło mocno wkurzyć nawet na poły kompetentnego oficera. Chociaż w obecnej sytuacji nie miał powodów do narzekań. Głupota miejscowych tylko mu służyła, podobnie jak i fakt, że Trifecta nie miała najmniejszego pojęcia, iż Gibson sprzedawał swoje dane konkurencji. Czy też komuś, kogo miał za konkurencję.

Potrząsnął głową. Zwykle był wielkim fanem zasady KISS, czyli „prostota, głupcze”, zwłaszcza gdy stawką była jego własna głowa, ale czasami nie mógł powściągnąć podziwu dla niektórych misternych kombinacji z drugim albo nawet i czwartym dnem. W tym przypadku Gibson był przekonany, że przyszło mu pracować po cichu dla Kalokainos Interstellar, które przymierzało się do przejęcia układu Mobius we współpracy z Kellerman, Kinross & Watts z Terry. Bardasano miała nawet na liście płac prawdziwego menedżera średniego szczebla z Kalokainos, który myślał, że pracuje dla KK&W, i obiecał Gibsonowi, że gdy będzie już po wszystkim, nowe kierownictwo nie zapomni o jego przysługach. Jedyne, co miał robić, to dostarczać poufne informacje, takie jak te, które teraz przydawały się Harahapowi, i nie przeszkadzać, gdyby ktoś zrobił z tych informacji użytek. Nie ulegało wątpliwości, że Gibson zabezpieczył się na obie strony. Nie był naiwny, inaczej nie utrzymałby się tak długo. Ale tym razem i tak czekał go najpewniej marny koniec. Jego oficjalnych pracodawców Kalokainos zapewne nie obchodziło, zatem próba ujawnienia jakichkolwiek informacji na ten temat w zamian za lżejszy wyrok mogła zostać zignorowana. Niemniej biorąc pod uwagę to, co prawie się wydarzyło na Meyersie, Harahap miał nadzieję, że będzie miał możliwość ich wykorzystania.

Nie bądź taki do przodu, Damien. To może być wisienka na torcie, ale najpierw zajmij się najważniejszym. Skup się!

Upił łyk kawy z kubka, poprawił się na fotelu i otworzył pierwszy plik.



– Boże, on z każdym rokiem wygląda na coraz większego bufona – zauważyła z niesmakiem Kayleigh Blanchard i Michael Breitbach odwrócił się, aby wyrzucić przez małe gustowne okno apartamentu.

Permanentny hologram prezydenta Sveina Lombrosa unosił się nad Parkiem Wolności, zajmującym dziesięć hektarów wokół Pałacu Prezydenckiego. Ta sama twarz spoglądała ze ścian co najmniej jednej trzeciej budynków w Landing, ale holo trzymało palmę pierwszeństwa, przebijając nawet najbardziej ambitne projekty gigantycznych pomników w historii ludzkości. Na dodatek wizerunek był cztery razy do roku aktualizowany. Sięgał połowy wysokości Białej Kurwy, znanej oficjalnie jako Trifecta Tower, która dominowała nad centrum miasta. Lombroso pewnie chciałby być jeszcze wyższy, ale możliwe, że wolał poprzestać na stu dwudziestu piętrach i nie drażnić korporacyjnych patronów układu.

– I wydaje się coraz bardziej szalony – zgodził się Breitbach. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz dzielić się tą obserwacją z nikim więcej.

– Nie jestem dzieckiem – rzuciła z oburzeniem.

– To była ironia – powiedział. – Znasz takie pojęcie?

Spojrzała na niego w taki sposób, że zachichotał. Blanchard była wyższa niż on, z ciemnymi włosami i oczami, i jeszcze mocniej zbudowana, chociaż sama sylwetka nie oddawała wszystkiego. Była także licencjonowanym prywatnym detektywem, których rzadko spotykało się na planecie Mobius. Samo zdobycie licencji oraz prawa do noszenia broni wymagało znajomości na najwyższym szczeblu i sporych bakszyszy dla miejscowej biurokracji, utrzymanie zaś tych przywilejów mogło być jeszcze trudniejsze. Wystarczało małe potknięcie, żeby trafić do więzienia. Gdyby podobna uwaga dotarła do uszu Olivii Yardley lub Friedmanna Mátáysa, skutki mogłyby być opłakane.

Oboje czuwali nad tym, żeby ludzie ze specjalnymi uprawnieniami nie mieszały się w nie swoje sprawy. Wymagali okresowych raportów o podejrzanych lub „nielojalnych” zachowaniach. Michael wiedział, jak bardzo Blanchard nienawidziła tych raportów, zwłaszcza gdy musiała pisać prawdę, ale ich sporządzanie było warunkiem akceptacji przez służby bezpieczeństwa reżimu.

Bez tego byłyby dla nich nic niewarta.

– Tak, znam – odpowiedziała po chwili. – Po prostu chciałabym wiedzieć, co on, u diabła, tym razem zamierza. Bóg mi świadkiem, że pan L. jest tylko w jednej dziesiątej tak inteligentny, jak sam uważa, ale dostaję wysypki za każdym razem, gdy zaczyna głupieć bardziej, niż jego norma przewiduje.

– Przypuszczam, że to Guernicke. A może Frolov. I propozycje wynikły z ich burzy mózgów.

– Osobiście nie cenię ich intelektu, ale... Naprawdę mogą być tak durni, żeby wymyślić coś podobnego?

– Cóż, jakkolwiek było, sama wiesz, że muszą się pod tym podpisać, żeby nasz dobry przyjaciel Svein mógł ruszyć z robotą. I nie twierdzę, że to była jakaś szczególna burza mózgów, a tylko że spełniła swoją rolę.

– Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego cała partyjna wierchuszka uznała to za koncept mający sens. Jakkolwiek sens – powiedziała. – Co sprawiło, że te szychy wpadły na pomysł przeprowadzenia wyborów? Pierwszych od prawie czterdziestu lat?

– Według moich źródeł pojawiły się sugestie, że „wolne i demokratyczne wybory” odrodzą wysokie poparcie dla Lombrosa – powiedział Breitbach, nie ujawniając, co to były za źródła. – Podstawą po temu miały być podobno raporty służb bezpieczeństwa Trifecty. Liczą też, że w ten sposób uciszą najbardziej niezadowolonych obywateli.

Blanchard zaśmiała się cicho. Breitbach tylko lekko wykrzywił usta.

– Oboje wiemy, jak będzie wyglądało liczenie głosów – przyznał. – Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Z perspektywy Lombrosa gorzej raczej już nie będzie, a jeśli opozycja wyjdzie przed wyborami z podziemia, będzie to dla niego tylko prezent. Tłusty kasek i doskonale widoczny cel dla Yardley i Mátáysa. Nie wiem jak Yardley, ale Mátáys jest wystarczająco rozgarnięty, aby odczekać z aresztowaniami kilka miesięcy i nie psuć atmosfery zaraz po wyborach.

Blanchard zmarszczyła brwi, kiedy zdała sobie sprawę, że to brzmiało sensownie. Michael Breitbach zwykle miał rację w takich sprawach. To był jeden z powodów, dla których jego Front Wyzwolenia Mobiusa przetrwał, podczas gdy członkowie tylu innych opozycyjnych organizacji przepadli w czeluściach więzienia w Yellow Rock. Inni trafili do któregoś z obozów reedukacyjnych... albo po prostu zniknęli. Michael był rozsądny, dociekliwy i poświęcił wiele czasu na studiowanie historii rewolucji, zwłaszcza tych zwycięskich. W odróżnieniu od większości poprzedników Front Wyzwolenia Mobiusa został zorganizowany w systemie

odizolowanych komórek, Breitbach zaś bezwzględnie egzekwował przestrzeganie zasad bezpieczeństwa. W praktyce zajmowała się tym Blanchard i chociaż nie zawsze jej się to podobało, jeszcze mniej tęskniła za celą z zakratowanym okienkiem. Lub też bezimiennym grobem.

– W porządku – odparła po chwili. – Rozumiem. Ale i tak sporo ryzykują. Jasne, że im się uda i oficjalnie zyskają nowy mandat do sprawowania władzy, ale większość ludzi i tak zrozumie, że to była ustawka. Już teraz mało kto ufa oficjalnym kanałom informacyjnym. Gdy zaczną jeszcze głośniej dąć w partyjne trąby i wmawiać wszystkim, że wybory przebiegają gładko, ludzie pomyślą, że jest dokładnie odwrotnie.

– Niestety, nie wiem, czy tych ludzi będzie aż tak wielu, jak sądzisz – stwierdził Breitbach. – Prawie połowa elektoratu nigdy nie żyła w żadnym innym systemie. Czy w ogóle potrafią myśleć krytycznie? Wiesz, jaki system edukacyjny zafundował nam Lombroso w ramach swoich „reform”. Do diabła, musisz wiedzieć. Byłaś w gimnazjum, gdy się zaczęło. Zresztą, nawet jeśli większość zrozumie, co się dzieje, co z tego? Kto miał znienawidzić Lombrosę, już to zrobił.

– Tak, ale jeśli sytuacja wymknie im się spod kontroli, zaczną się prawdziwe demonstracje, a wtedy... – Przerwała i potrząsnęła z niesmakiem głową.

Michael tylko przytaknął.

Partia Jedności i Postępu, do której należał Lombroso, przejęła władzę czterdzieści osiem lat temu, po katastrofalnym krachu gospodarczym w 73 roku. Wybory były nadzorowane przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, które pospieszyło układowi na ratunek. Niektórzy twierdzili, że kryzys został wyreżyserowany skrycie przez Trifecta Corporation, która w ciągu pięciu miesięcy obniżyła wartość aktywów Mobiusa i w ten sposób zredukowała znacznie koszty przejścia jego gospodarki. Była to wersja nieoficjalna i każdy, kto ją głosił, został szybko zaliczony do elementów kłamliwych, społecznych i zgoła kryminalnych, ale najważniejsze zostało powiedziane.

Oczywiście większość tych osób szybko umilkła wobec surowości sądów specjalnych powołanych do walki ze skorumpowanymi lokalnymi plutokratami. Tak naprawdę to głównie oni doprowadzili do kryzysu, nijak nie umiając okiełznać swej chciwości. I ich procesy były chyba nawet dość uczciwe, z prawem do obrony i tak dalej, co zostało potwierdzone przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, do którego rodziny skazanych próbowały się odwoływać.

Niemniej to było na samym początku, zanim Biuro przestało oficjalnie zajmować się

sprawami układu. Po uporządkowaniu chaosu fiskalnego Komisja ds. Mobiusa została po cichu rozwiązana. Stało się to w 1879 roku, cztery miesiące przed oficjalnym odroczeniem wyborów. Lombroso miał wtedy zakończyć swoją pierwszą i – zgodnie z konstytucją – jedyną kadencję. Niemniej wobec tego, że został wybrany ogromną większością głosów, a rozpoczęte przez Partię Jedności i Postępu „reformy” nie zostały jeszcze zakończone, zdecydował się na zawieszenie praw konstytucyjnych. Oczywiście tylko do czasu przeprowadzenia koniecznych zmian. Potem zaraz miał ustąpić i zdać się na decyzję elektoratu.

Możliwe, że kilka osób mu nawet uwierzyło. Ostatecznie w każdym społeczeństwie trafiają się niepoprawni naiwniacy. Zwłaszcza nastoletni. Tak więc trudno to całkowicie wykluczyć.

Tyle że to i tak nie miało najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Lombroso miał pełne poparcie Trifecty, która jeszcze przed kryzysem była największym pracodawcą i inwestorem w układzie Mobiusa. Trzydzieści pięć procent aktywnych zawodowo było pośrednio lub bezpośrednio związanych z korporacją. Teraz było to ponad osiemdziesiąt pięć procent i Trifecta kontrolowała praktycznie każdy obszar życia, nie dając żadnej szansy na jakiegokolwiek zmiany.

Breitbach był zawodowym planistą, i to lepszym niż większość. Świetnie wiedział, co to oznacza. W czasie przejścia władzy przez partię pracował w City Solutions, Inc., stosunkowo niewielkiej prywatnej firmie. W ciągu pięciu lat jej pierwotni udziałowcy zostali po cichu wymanewrowani, dyrektorem zaś, większościovym akcjonariuszem i praktycznie właścicielem firmy został Jasper Lombroso, dalszy kuzyn prezydenta. Zaraz też wartość City Solutions wzrosła o ponad pięć tysięcy procent za sprawą rządowych zleceń, które sypnęły się jak z rogu obfitości.

Breitbach tylko na tym zyskał, zwłaszcza finansowo. W 1879 roku był młodym pracownikiem, świeżo po studiach, z głową pełną ideałów. Obecnie zajmował stanowisko szefa działu w największej firmie w tej branży w całym układzie. No i był oczywiście lojalnym członkiem Partii Jedności i Postępu. Znajdował się na tyle wysoko w strukturach przedsiębiorstwa, żeby wiedzieć, że około dwóch trzecich przychodów trafia prosto do kieszeni Jaspера i jego kumpli i mało kto przejmuje się rzetelnym wykonywaniem zleceń.

Oczywiście nawet nie próbował wszczynać larum z tego powodu. Zamiast tego pozwolił, żeby Caleb Turner wykraść kody dostępu do jego komputera.

Turner był jednym z lepszych w okolicy fachowców od cyberprzestępczości i stałym

konsultantem Stołecznej Komendy Policji. Tak poznał Blanchard, która pracowała kiedyś w wydziale zabójstw. Kiedyś, czyli osiemnaście lat temu, ponieważ później cała policja kryminalna została objęta redukcjami na rzecz wzmocnienia Wydziału Bezpieczeństwa i Wywiadu pułkownika Grigoriego Petulengra. Zdażyli jednak popracować wspólnie nad różnymi sprawami i nawet się zaprzyjaźnić. Nadal nie wiedział, że to Blanchard stała za jego rekrutacją do Frontu Wyzwolenia Mobiusa, podobnie jak nawet nie podejrzewał, że i ona należy do organizacji.

Zdarzało mu się też pracować dla City Solutions, gdzie spotkał Breitbacha. Niezbyt mu ufał, jako komuś zajmującemu wysokie stanowisko i otwarcie popierającemu reżim, ale skorzystał z okazji, żeby podejrzeć kody dostępu do jego komputera, gdy Michael zostawił je kiedyś beztrosko na wierzchu. Błyskawicznie docenił ich wartość, dokładnie tak jak Breitbach oczekiwał, i wykorzystał je do swojej kreciej roboty, wchodząc za pośrednictwem serwerów City Solutions i Działu Planowania Miejskiego do wewnętrznej sieci Gwardii Prezydenckiej.

Gdyby ktoś z Gwardii albo administracji miasta wykrył to włamanie, Turner musiałby się liczyć z bardzo poważnymi konsekwencjami. Inaczej niż Breitbach. Jemu co najwyżej pogroźono by palcem. Jako szycha w partii mógł czuć się bezpieczny. Nie podobało mu się, że musiał potraktować Turnera jako narzędzie, i drętwiał na myśl, że mógłby go narazić na niebezpieczeństwo, ale cóż... Może dzięki takiej właśnie organizacji Front Wyzwolenia Mobiusa zdoła kiedyś zwyciężyć i nie podzieli losu tych wszystkich ugrupowań, które przez ostatnie pół wieku zniknęły bez śladu.

– Czy Joseph nie powinien już tu być? – spytała Blanchard, celowo zmieniając temat.

Breitbach skinął głową.

– Owszem. Ale znasz Josepha. Jeśli powiedział, że będzie, to w końcu dotrze. Po prostu ma... własne wycucie czasu.

Zaśmiała się. Joseph Landrum był szefem jednej z komórek na poziomie alfa, większej niż pozostałe komórki organizacji i niepodzielonej na sekcje. Poza bezpośrednio zaangażowanymi tylko Breitbach i Blanchard wiedzieli o jej istnieniu. Po prostu ludzie, których skupiała, byli szczególnie cenni dla organizacji i nie należało za bardzo ryzykować.

Landrum należał do zarządu Somerton Spaceways, wewnątrzukładowego armatora specjalizującego się w przewozie frachtu i – jak wszystko tutaj – w praktyce także należącego do Trifecta Corporation. Somerton wykonywał dla nich wiele zleceń i chociaż żadna z jednostek Somerton Spaceways nie miała napędu nadprzestrzennego, ich rozkład lotów był ściśle

zintegrowany z międzygwiazdowymi operacjami Trifecty. To stwarzało Landrumowi szereg okazji do kontaktów z agentami firm spedycyjnych, przedstawicielami handlowymi różnych spółek czy personelem pokładowym statków kosmicznych. Wszystkie one były potencjalnie bardzo cenne dla Frontu Wyzwolenia Mobiusa. Breitbach dobrze wybrał osobę. Landrum był człowiekiem bardzo inteligentnym i prawdziwym profesjonalistą, ale gdyby nie pilnująca terminów sekretarka, zapewne zawsze i wszędzie by się spóźniał.

– Masz jakieś pojęcie, o czym chce z nami rozmawiać?

– Najmniejszego – odparł, patrząc na nią porozumiewawczo.

Zaśmiała się znacząco.

Wszyscy wiedzieli, że lepiej nie mówić niczego ważnego w pobliżu komunikatora czy nawet prywatnego komputera. Uchwalona trzydzieści pięć lat temu ustawa o ochronie łączności pozbawiła mieszkańców układu ostatnich pozorów prywatności, oficjalnie sankcjonując to, co wcześniej i tak było na porządku dziennym. Przyjmowano, że każde miejsce publiczne podlega inwigilacji, czy to w wykonaniu tajnej policji, Gwardii Prezydenckiej, czy służb bezpieczeństwa Trifecty. Znalezienie zakątków, gdzie dało się bezpiecznie porozmawiać twarzą w twarz, było zdecydowanie trudne, niemniej czasem się to udawało. W tej materii Breitbach miał niejaką przewagę z racji dostępu do informacji o wielu nieudanych przedsięwzięciach budowlanych reżimu. Już sporo czasu temu sporządził listę przydatnych lokalizacji, przypisał im nazwy kodowe i rozdzielił to dobro pomiędzy komórki poziomu alfa.

– Jak przyjdzie, to będzie – powiedział. – Szczęśliwie... – Sięgnął do kieszeni i Blanchard jęknęła ostentacyjnie, gdy pokazał talię kart. – Daj spokój, Kayleigh! To pomaga zabić czas. Poza tym...

Na szczęście dla Blanchard dokładnie w tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi mieszkania. Rozpoznała pozornie przypadkową, ale charakterystyczną sekwencję, lecz i tak sięgnęła do noszonego w kaburze pod pachą pulsera. Nie łudziła się, że zdołałaby za jego pomocą powstrzymać oddział reagowania Gwardii Prezydenckiej, lecz posiadanie broni dawało gwarancję, że nikt nie miałby szansy potem ich przesłuchać.

Breitbach pomyślał coś bardzo podobnego i posłał jej krzywy uśmiech, po czym poszedł otworzyć drzwi.

– Miło, że wpadłeś, Josephie – powiedział. – Lepiej późno niż wcale.

– Tak, jasne. – Mężczyzna, który wszedł do małego przedpokoju, był niższy niż Breitbach.

Zaraz ogarnął wnętrze spojrzeniem jasnych oczu. W końcu znowu skierował je na Michaela i skinął głową na powitanie. – Wciąż narzeka na mój brak punktualności, Kayleigh?

– Jak zawsze – przytaknęła z uśmiechem Blanchard i zdjęła dłoń z kolby pulsera. – Módlmy się, żebyś kiedyś przypadkiem nie przyszedł na czas. To będzie katastrofa, która przyspieszy śmierć ciepłą wszechświata.

– Touché – zgodził się z chichotem. – Ale nie każdy może się pochwalić kompulsywno-obsesyjnym stylem charakteru.

– Obsesyjno-kompulsywnym – poprawiła go odruchowo. – Trzymaj się oficjalnej terminologii.

Uśmiechnął się z uznaniem, ale zaraz spoważniał i spojrzał na Breitbacha.

– Przykro mi, że zawiadomiłem was o tym spotkaniu w ostatniej chwili, ale myślę, że to może być ważne. A nawet bardzo ważne. Przyjmuję oczywiście także, że to może być pułapka, dlatego spóźniłem się dzisiaj bardziej niż zwykle. Pięć razy zmieniałem linie metra i spędziłem dwie godziny na krążeniu po wszystkich centrach handlowych w Landing, żeby zgubić ewentualny ogon.

– Naprawdę? – Breitbach pokazał, żeby przeszli do ślepej kuchni, gdzie znajdował się mały stół z kilkoma chwiejnymi krzesłami. – To może powiedz, o co chodzi.

– O co chodzi – powtórzył Landrum, ostrożnie opadając na jedno z krzesel. – Ktoś się ze mną skontaktował. Całkiem nieoczekiwanie. Facet pojawił się w moim biurze jakby znikąd. Przedstawił się jako niezależny analityk pracujący dla Kartelu Hauptmana z Manticore. On sam też może być z Manticore, ale na pewno nie zajmuje się badaniem rynków.

– Nie? – Breitbach uniósł brwi i pochylił się na krześle po drugiej stronie stołu.

– Nie. Naprawdę myślę, że powinieneś rozważyć spotkanie z nim. Albo lepiej upoważnić mnie, żebym spotkał się z nim w twoim imieniu. Na pewno wie więcej, niżbyśmy chcieli, ale o tobie zdaje się nie wiedzieć i lepiej, żeby tak zostało. Niemniej jeśli naprawdę jest tym, za kogo się podaje, może pomóc nam w rozwiązaniu przynajmniej połowy najbardziej palących problemów.

– W jaki sposób? – spytał Breitbach, wpatrując się uważnie w Landruma.

Ten wzruszył ramionami.

– Pozwólcie, że przekażę wam po prostu, co usłyszałem od „pana Dabilenarena”, a potem sami zdecydujecie, co o tym myśleć. Po pierwsze...

ROZDZIAŁ XIV



Święto, skipper w domu – powiedziała Ginger Lewis, gdy wraz z Anstenem FitzGeraldem znaleźli sobie cichy kącik w przestronnej sali balowej willi w Landing. Posiadłość była znana jako Trzy Dęby na cześć ziemskich drzew, zasadzonych niedaleko niecałe dziesięć lat po pierwszym lądowaniu wahadłowca Jasona. Rosły nadal i cieszyły oko bujnymi koronami, sama rezydencja zaś była prezentem ślubnym od rodziców Sinead Terekhov.

– Tak, tak – zgodził się FitzGerald. – I niezły ten domek, prawda?

Uniósł kieliszek szampana i ogarnął ruchem ręki całą salę balową, w której odbywał się bankiet. Ginger nie mogła się nie zgodzić. Terekhovowie nie należeli do zamożnych, ale rodzina Sinead Patricii O’Daley miała bardzo długą historię i zdążyła przez lata przesunąć się z grupy „niezamożnych” gdzieś w pobliże elity „wręcz obrzydliwie bogatych”. A to już sporo o niej mówiło, biorąc pod uwagę średni poziom bogactwa na Manticore.

Widowym dowodem ich pozycji majątkowej była na przykład sala balowa, która liczyła około czterdziestu metrów długości, a same Trzy Dęby znajdowały się niecałe cztery kilometry od Pałacu Królewskiego, co lokowało tę sześćohektarową posiadłość pośród najdroższych w całym podwójnym układzie Manticore. Ginger nie miała nawet ochoty zgadywać, jaka była rynkowa cena metra kwadratowego gruntu w tej okolicy. Gdy zaś chodziło o sam dom...

Upiła szampana z kieliszka i spojrzała na Aivarsa i Sinead Terekhovów krążących wśród gości. Nie wątpiła, że przyjęcie było pomysłem Sinead. I oznaczało też pewne poświęcenie z jej strony. Ich okręt zjawił się na orbicie późnym popołudniem miejscowego czasu, przy czym kapitan został od razu porwany do Pałacu Królewskiego na specjalną audiencję u królowej. Potem był oficjalny bankiet z przeraźliwie długimi przemówieniami i Terekhovowie nie mieli szansy dotrzeć do domu wcześniej niż nad ranem. Zapewne wiele kochających kobiet wolałoby w tej sytuacji odciąć się od świata i spędzić czas z dawno niewidzianym mężem, oni jednak wydali prywatne przyjęcie dla przyjaciół i starszych funkcyjnych z załogi.

Dziwne, że nie zaciągnęła go od razu do łóżka, i to co najmniej na tydzień, pomyślała wesoło Ginger. Wątpię, żeby stawiał jej opór. Wystarczy spojrzeć, jak się kleją teraz do siebie. A jeśli ona tylko udaje, że cieszy ją nasz widok, to musi być jeszcze lepszą aktorką niż malarką.

– Całkiem niezły – przyznała. – Ale jeśli ktoś zasłużył na taką posiadłość, to właśnie oni.

– Nie będę się spierał – stwierdził FitzGerald. – Ani mi to w głowie.



– Masz wspaniałą załogę, kochany – powiedziała Sinead Terekhov, gdy podwładni jej męża dali im chwilę spokoju. – Zwłaszcza ta młoda Helen... i Ginger. – Mąż spojrzał na nią. – Przypomina mi trochę Nast'kę – dodała i ujęła jego łokieć.

– Mnie też – zgodził się cicho, nakrywając dłonią jej dłoń. – Ale każda z nich jest na swój sposób wspaniała.

– Och, już zauważyłam. – Uniosła pusty kieliszek i spojrzała znacząco na jedną z kelnerek. Potem uśmiechnęła się do męża. Być może była zmęczona, ale dobrze się trzymała. – I chyba nigdy nie zdołam w pełni wyrazić, jak jestem im wdzięczna, wszystkim twoim ludziom, że pomogli ci wrócić do domu, do mnie – wyszeptła.

– Najlepsza załoga, jaką Bóg mógł zesłać – odpowiedział Terekhov, uśmiechając się z lekką jedynie ironią. – Pewnie parę razy już tak mówiłem, ale za każdym razem była to prawda. I szczęśliwie teraz więcej z nich przyprowadziłem do domu.

Ścisnęła mu przez chwilę łokieć. Ponownie się uśmiechnął, tym razem już bez ironii, i pochylił się, żeby pocałować ją w usta.

– Przepraszam – mruknął. – Naprawdę jestem w znacznie lepszej formie niż po Hyacincie, kochanie. Tyle tylko że... to trochę trudne. Kiedy na nich patrzę, mam przed oczami także te twarze, których już nigdy nie zobaczę. – Potrząsnął głową. – Naprawdę chciałbym, żebyś poznała na przykład Ragnhild Pavletic. – Posmutniał wyraźnie. – Była kimś wyjątkowym. W sumie wszyscy oni tacy byli.

Sinead chciała chyba coś powiedzieć, ale zamknęła usta. Zjawiała się kelnerka i stanęła dyplomatycznie w odległości metra, czekając, aż Sinead poda jej pusty kieliszek. Potem zaproponowała pełny, ale Sinead pokręciła z uśmiechem głową. Przez chwilę patrzyła, jak kobieta się oddala, z łatwością lawirując wśród kręcących się gości.

– Na pewno. Po kilka razy czytałam wszystko, co mi pisałeś na ich temat. I wystarczy spojrzeć na tych ludzi... – wskazała na salę – żeby zrozumieć, jacy byli tamci. Zresztą twoja załoga nie może być inna. Trudno, żeby ktoś pochodzący z O'Daleyów tego nie rozumiał.

– Był jakiś powód, że się w tobie zakochałem. Oczywiście poza urodą, pieniędzmi i dekadencją arystokratyczną zmysłowością.

– Dekadencja arystokratyczna zmysłowość powiadasz. – Zaśmiała się wesoło i oczy jej

pojaśniały. – I to mówi ktoś, kto zagląda do domu raz do roku... chyba że pada. Jak sądzisz, skąd ta „dekadencka zmysłowość” się bierze, rzadki gościu? Nie tylko serce cierpi przez rozłąkę.

– Dziwne. – Potarł brodę i przymrużył w zamyśleniu oczy. – Nigdy nie przypuszczałem, że moja nieobecność może mieć z tym coś wspólnego. Chyba pamięć mnie nie zawodzi i dobrze kojarzę, że gdy pracowałem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, tuż obok domu twojego brata, zdarzało mi się zaglądać do ciebie co wieczór? I pamiętam, jak kiedyś cały dzień spędziłaś na zakupach, namierzając te feromonowe perfumy i jeszcze to fikuśne koronkowe...

– Och, zamknij się! – Pacnęła go w pierś. – Wiesz doskonale, że to była nasza rocznica! I nie wmawiaj mi, że te feromony ci się nie podobały!

– Przepraszam, młoda damo, ale nigdy nie twierdziłem, że nie jestem dekadenco zmysłowy. Wspomniałem za to, że była to jedna z tych rzeczy, które mnie do ciebie przyciągnęły. To oraz fakt, że jesteś równie piękna, jak mądra, i na dodatek utalentowana.

– Widać, dlaczego tak dobrze radziłaś sobie w kręgach dyplomatycznych!

– Nie zawsze. Nie umiałem kłamać z kamienną twarzą. Zdecydowanie bardziej wolę trzymać się prawdy, to ułatwia życie. – Złapał jej smukłą dłoń i uniósł do ust. Pocałował ją czule i spojrzał żonie głęboko w oczy. Po raz nie wiadomo który pomyślał, jak bardzo ją kocha, po czym rozejrzał się ponownie po sali balowej.

Pod żadnym pozorem nie poprosiłby, aby poświęciła ich drugą wspólną noc. Całym sercem wolałby spędzić ją na bardzo intymnej aktywności. Ale Sinead nalegała. Jak się okazało, zaczęła planować przyjęcie już w chwili, gdy RMN ujawniła ostateczny termin przybycia jego okrętu.

Hexapuma została obsadzona i wróciła do służby w takim tempie, że Sinead nie zdążyła wydać przyjęcia z tej okazji, i bardzo jej się to nie spodobało. Jako że pochodziła z rodziny, która dostarczyła Manticore kilku pokoleń oficerów, wiedziała świetnie, jakie są powinności żony dowódcy. Zwykli obywatele mogli nie rozumieć, że taka kariera oznaczała zawsze zaangażowanie obojga małżonków. Działo się tak w przypadku każdego oficera, jednak w przypadku dowódców miało szczególne znaczenie. Kapitan był odpowiedzialny nie tylko za swoją załogę, ale także za rodziny mężczyzn i kobiet pozostających pod jego rozkazami. A skoro Aivars nie mógł w swoim czasie poświęcić im dość uwagi, zadanie to spadło na jego małżonkę.

Sinead także nie zdążyła spotkać rodzin członków załogi *Hexapumy* przed odlotem krążownika, ale nadrobiła to później. Jako żona kapitana kierowała grupą wsparcia *Hexapumy*, która to grupa była częścią oficjalnie zorganizowanej przez RMN struktury. Jej zadaniem było

utrzymywanie stałego kontaktu między rodzinami a agendami marynarki wojennej, zwłaszcza Działem Kadr i Działem Opieki Medycznej. Organizowała regularne spotkania i półformalne obiady dla bliskich załogi, pilnowała terminów badań lekarskich, urodzin, pomagała organizować wakacje dzieciakom, w ogóle starała się zastąpić pod pewnymi względami brakującego domownika. Ułatwiał to fakt, że należąca do nowej generacji okrętów *Hexapuma* miała znacznie zredukowaną załogę. Skala automatyzacji była wręcz nieporównywalna z projektami okresu przedwojennego. Zaszło to tak daleko, że nowe ciężkie krążowniki potrzebowały mniej ludzi do obsadzenia stanowisk niż poprzednia jednostka Terekhova, lekki krążownik *Defiant*.

Co oznaczało też, że tym razem miałam mniej listów kondolencyjnych do napisania, pomyślała Sinead, tracąc humor. Boże, dlaczego mu to robisz? Czy Hyacinth nie był dość paskudny?

Zaraz jednak odpędziła te myśli. W sumie obecnie było przecież znacznie lepiej. W przeciwieństwie do HMS *Defiant Hexapuma* przetrwała, jej ukochany zaś powrócił cały i zdrowy i bez upiornych wspomnień, które pozostawił tamten obóz jeniecki. Na dodatek otrzymał co najmniej dwa tygodnie urlopu, który zamierzała skrupulatnie wraz z nim wykorzystać. I nieważne, jak bardzo będzie go kusiło, żeby wrócić na okręt i dopilnować osobiście naprawy uszkodzeń. To miały być wspaniałe dwa tygodnie, bo mimo tego, co stało się w układzie Monica, i wszystkiego, co wszechświat chciał mu zrobić, Aivars wrócił wreszcie do domu, w pewien sposób zwyciężając demony Hyacintha. A tutaj byli obecni ludzie, dzięki którym zdołał wrócić.

Wiedziała, że nigdy nie zdoła należycie im się za to odwdzińczyć. Wiedziała też, że nikt nie będzie tego w żadnym razie oczekiwał, podobnie jak sam Aivars nie postrzegał sprawy w tych kategoriach, ale nie zmieniało to tego, czego dokonali. Z błyskiem w oku ogarnęła spojrzeniem salę pełną swobodnie rozmawiających grupki ludzi w mundurach.

– Najlepsza załoga? – spytała, muskając mu dłonią policzek. – A jak stała się najlepszą, kapitanie Terekhov? Czyżbyś nie miał z tym nic wspólnego?

– Powiedzmy, że była to praca zespołowa – przyznał. – I martwi mnie trochę, ilu z nich zdołam zatrzymać. – Pokręcił głową. – Lista uszkodzeń jest bardzo długa i naprawa potrwa, a sama wiesz, jak kadry traktują załogi remontowanych okrętów. Słyszałem już, że Ginger zostanie przeniesiona na *Weylanda*, a Bóg jeden wie, jakie mają zamiary wobec Abigail. Ansten powinien otrzymać własne dowództwo i Cortez na pewno ma już coś dla niego. Gdy tylko wejdziemy do doku, zacznie się polowanie na moich najlepszych ludzi. Poza tym...

– Zamknij się, Aivars – przerwała mu słodkim głosem. Drgnął i spojrzał na nią ostro, ale ona pokręciła głową. – Już nieraz to przerabialiśmy, kochanie. Poradzisz sobie z tym, a oni przejdą na inne jednostki i będą tam wykonywać swoje obowiązki równie perfekcyjnie jak u ciebie, bo po prostu są, jacy są. Pewnego dnia znów ich spotkamy, gdy będą już starszymi oficerami. I wspomnicie razem ten przydział, opowiadając sobie przy tym barwne historie o wszystkim, co zdarzyło się w tymczasem. Tak działa każda marynarka wojenna. Wiesz o tym równie dobrze jak ja, a jeśli ktoś nie umie się z tym pogodzić...

– Nie powinienem w ogóle wkładać munduru – dokończył za nią.

Skinęła głową.

– Właśnie. Możesz być dowódcą HMS *Hexapuma*, ale twój okręt nigdzie na razie nie poleci, a ty nie jesteś w stanie przyspieszyć jego naprawy. Zamiast więc zamartwiać się tym, na co nie mamy wpływu, może lepiej poprosimy naszych gości o zajęcie miejsc, żeby podwładni mistrza Karla mogli podać to, co przygotowali.

– Masz dobre pomysły na każdą okazję – odpowiedział z uśmiechem. – To jeden z nich. – Podał jej ramię i poprowadził na środek olbrzymiej sali. Oczy zebranych zwróciły się w ich stronę, a szmer rozmów ucichł, gdy Aivars uniósł rękę. – Najwyższe dowództwo przypomniało mi właśnie, że zaprosiliśmy was na ucztę – powiedział. – Ci spośród was, którzy znają bosman Agnelli, wiedzą zapewne, że istnieją na świecie takie siły, którym lepiej się nie sprzeciwiać. Jeśli pozwolimy, żeby dania mistrza Karla wystygły, może to pociągnąć za sobą trudne do przewidzenia konsekwencje. Proponuję zatem, abyście odszukali swoje miejsca przy stole, i życzę wam smacznego.



Karl Koizumi, który rządził kuchnią Sinead O'Daley na długo przed tym, nim została Sinead Terekhov, nie był takim tyranem, jak zdawał się sugerować jej mąż. W każdym razie nie całkiem. Władał despotycznie własnym kuchennym światem, ale biorąc pod uwagę jakość przygotowywanych tam posiłków, z pewnością nie groziła mu żadna rewolucja.

Terekhov zapomniał już, jak dobrym kucharzem jest Koizumi, a sądząc po wyrazach twarzy jego oficerów i marynarzy, oni też byli pod wrażeniem i mieli długo to wspominać, zasiadając przy innych stołach. Jemu także zdarzyło się kilka takich nadzwyczajnych okazji, zwłaszcza gdy był młodszym oficerem, i bawiło go teraz...

Nagle dostrzegł Valentine'a Manninga, majordomusa Trzech Dębów, który wsunął się

dyskretnie do sali bocznymi drzwiami i skierował się prosto do głównego stołu.

Cholera jasna, pomyślał, widząc wyraz jego twarzy.

– Ani mi się waż – powiedziała cicho Sinead.

– Nie musisz nic mówić – odparł. – Znasz Manninga równie dobrze jak ja. Myślisz, że próbowałby nam przerywać, gdyby miał wybór?

– Do diabła! Przecież wróciłeś ledwie dwa dni temu. Nie mogą... – Urwała, on zaś uśmiechnął się do niej krzywo.

– Oczywiście, że mogą – powiedział, a potem odwrócił głowę do Manninga, który stanął za jego lewym ramieniem. – Tak, Valentine?

– Bardzo mi przykro, że państwu przeszkadzam, sir, ale przybył kurier z Admiralicji.

– Kurier? – Terekhov mimowolnie uniósł brwi. Oczekiwał raczej informacji, że ktoś pilnie się do niego dobija z wieścią o przerwaniu urlopu, ale to... Przeszedł go lodowaty dreszcz. Admiralicja nie wysyłała kurierów z takimi wieściami.

Niech cię, Charlie, pomyślał, przypominając sobie niedawne spotkanie ze szwagrem. Wiedziałaś, że tak będzie? A jeśli tak, dlaczego nie...

Darował sobie te dywagacje i zerknął na Sinead. Wyraz jej spiętej twarzy świadczył jednoznacznie, że też rozumiała niezwykłość sytuacji. Ścisnął jej kolano pod stołem i spojrzał na Manninga.

– Gdzie on jest?

– W Brązowym Saloniku, sir.

– Dobrze. – Westchnął głęboko, złożył serwetkę i położył ją obok talerza, po czym pochylił się, aby pocałować Sinead w płatek ucha. – Wrócę jak najszybciej – obiecał.

– Tym razem tak – odparła z goryczą, której nawet długa tradycja rodzinna nie była w stanie złagodzić, i dziwnym błyskiem w zielonych oczach.

– Tym razem tak – zgodził się zdecydowanym tonem. Odsunął krzesło i wstał.



– Sir Lucien przyjmie pana teraz, kapitanie Terekhov – powiedział starszy sierżant sztabowy siedzący za biurkiem przed drzwiami gabinetu.

– Dziękuję, sierżancie.

Terekhov wypił ostatni łyk kawy z filiżanki, którą otrzymał od stewarda zaraz po przybyciu do Admiralicji. Potrzebował tego, biorąc pod uwagę nieludzko wczesną porę. Postawił filiżankę

na stoliku i wstał, opanowując głęboko wpojony odruch wygładzenia nienagannie leżącego munduru. Przeszedł w ślad za sierżantem po małym dywanie do drzwi z pięknie barwionego, polerowanego drewna. Jego przewodnik zastukał raz, za to zdecydowanie, po czym otworzył drzwi i odsunął się na bok.

– Kapitan Terekhov – zapowiedział, a kapitan aż zdrętwiał, gdy po chwili zobaczył, kto jest w środku.

Obecność sir Luciena Corteza, Piątego Lorda Przestrzeni i szefa Działu Personalnego nie była akurat niespodzianką, ale towarzyszył mu Pierwszy Lord Przestrzeni sir Thomas Caparelli, najstarszy oficer RMN, nienoszący jednak munduru. Obecny był też lord Hamish Alexander, earl White Haven, czyli cywilny zwierzchnik Royal Manticoran Navy.

Który był także starszym bratem premiera.

Może i jest cywilem, pomyślał Terekhov, przemierzając przestronne pomieszczenie. Jakimś sposobem udało mu się nie zmylić kroku. W tej chwili może nie nosić munduru, ale gdyby królowa nie potrzebowała go w swoim gabinecie, prawdopodobnie dowodziłby teraz Home Fleet!

Trzej nad wyraz wyżsi oficerowie wstali na jego widok, a White Haven wyciągnął rękę.

– Przykro mi, że musieliśmy wezwać pana o tak wczesnej porze, kapitanie Terekhov – powiedział. – Bardzo żałuję, że oderwaliśmy pana od żony. Ale wszyscy dość długo jesteśmy oficerami królowej, aby wiedzieć, że czasem nie ma wyboru. I zanim przejdziemy do rzeczy, winienem wyjaśnić, że tym razem to nie Lucien jest sprawcą zamieszania. Gdyby więc chciał pan kogoś obwiniać, spieszę z informacją, że to ja jestem tym człowiekiem.

– Nie tylko ty, Hamish – wtrącił Caparelli i wyciągnął dłoń do Terekhova. – Ten gulasz mieszało kilku kucharzy. Niestety, wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę uwagę, ale pańskie słowa napelniają mnie pewnym niepokojem, sir – odparł Terekhov, gdy Caparelli puścił jego dłoń i przyszła kolej, by przywitać się z Cortezem.

– Widać instynkt pana nie zawodzi – zauważył White Haven i skinął, aby usiedli. Począł chwilę, aż wszyscy zajmą miejsca przy dużym stole, po czym oparł się lekko w fotelu. Mimo świetnie dopasowanego garnituru wyczuwało się w nim admirała. – Przejdę prosto do sedna. Wywiad Marynarki Wojennej, Specjalna Służba Wywiadowcza i Ministerstwo Spraw Zagranicznych zapoznały się z wszystkimi raportami, tak dawnymi, jak i świeższymi, z gromady

Talbott. Doszły do zgodnego wniosku, że pańska analiza i spostrzeżenia były trafne. Wątpimy, żeby ten, kimkolwiek on jest, kto pociągał za sznurki w przypadku pańskiego „Firebranda” i Roberta Tylera, po prostu zwinął teraz interes i zniknął. Sądzymy, że raczej spróbuje przeczekać, ale na pewno się nie podda. Nie po tym, jak tyle zainwestował w pierwszą próbę. Mam na myśli pieniądze, czas i ryzyko. – Przerwał, najwyraźniej oczekując komentarza.

Terekhov spojrział w okno, za którym rysowała się poranna panorama Landing. Potem zwrócił głowę w stronę earla White Haven.

– Jeśli ich zamiarem było zapobieżenie aneksji, to plan nie wypalił. Mogą nie chcieć dalej go finansować.

– Jeśli tylko o to chodziło, to owszem – przyznał earl. – Niestety, nie wydaje nam się, aby to był ich jedyny cel. Sądząc po pańskich raportach, pan chyba też tak nie uważa.

– Może nie dokładnie tak, sir. – Terekhov pokręcił głową. – Myślę, że to nie był jedyny cel, ale nie potrafię tego uzasadnić. To raczej kwestia przecucia. I owszem, też nie sądzę, aby powiedzieli ostatnie słowo.

– Cóż, niezależnie od tego, czy mamy w tej materii rację, czy może jednak nie, w całej tej sprawie obecny jest jeszcze jeden czynnik – odezwał się Caparelli. – Potężna hexapuma znana jako Liga Solarna. Wasza trójka, czyli pan, admirał Khumalo i Amandine Corvisart, zafundowaliście Biuru Bezpieczeństwa Granicznego i Lidze Solarnej pierwszy od dziesięcioleci prawdziwy skandal dyplomatyczny, którego nie da się zamieść pod dywan. Wszyscy trzej admirałowie obecni w tym pomieszczeniu w pełni zgodzili się z decyzją Jej Królewskiej Mości o poparciu waszych działań w układzie Monica. To była bardzo dobra robota, w niezwykle trudnej sytuacji, i wszyscy rozumieliśmy, o ile łatwiej byłoby panu przekazać wszystko tutaj i poczekać, aż ktoś starszy i lepiej opłacany dokona trudnych wyborów.

Terekhov poczuł, że policzki mu płoną, ale nie uciekł wzrokiem przed spojrzeniem Pierwszego Lorda Przestrzeni.

– Zrobiliście coś nad wyraz pożytecznego, o czym Biuro Bezpieczeństwa Granicznego tak łatwo nie zapomni – kontynuował tym samym tonem Caparelli. – Dlatego możemy mieć pewność, że Solarian League Navy pojawi się w niedalekim czasie w okolicy gromady Talbott. Wolałbym myśleć, że są na tyle rozgarnięci, żeby nie próbować teraz dokładać do ognia, ale doświadczenie mówi co innego. W rzeczywistości zapewne można oczekiwać, że spróbują przywrócić swoje panowanie i prestiż w tej części Pogranicza.

Terekhov skinął powoli głową. Biorąc pod uwagę, że układ Monica był wieloletnim sojusznikiem Ligi Solarnej, jak i dobrym źródłem najemników, których Biuro Bezpieczeństwa Granicznego wykorzystywało w różnych szemranych akcjach, Caparelli niemal na pewno miał rację. A jeśli Manpower, czy ktokolwiek inny zaangażowany w próbę powstrzymania aneksji, był gotów podjąć dalsze działania...

– W tej chwili wygląda na to, że sytuacja z Republiką Haven w miarę się ustabilizowała – odezwał się White Haven. Był jak zawsze spokojny, ale Terekhov miał dziwne wrażenie, jakby jego rozmówca nie był całkiem pewien tej stabilizacji. Było to raczej dziwne, zważywszy na zwycięstwo Ósmej Floty w bitwie o Lovat. Wygranej przecież przez żonę Hamisha. – Jestem pewien, że wszyscy wolelibyśmy, aby propozycja negocjacji wysunięta przez prezydent Pritchard była naprawdę szczerą – kontynuował Pierwszy Lord. – Niestety, rzeczywistość wydaje się inna, ale jestem pewien, że Lovat musiało dać im do myślenia. Z drugiej strony, i to jest tajna informacja, kapitanie, nie dysponujemy jeszcze nowymi systemami naprowadzania rakiet dalekiego zasięgu tak powszechnie, jak byśmy chcieli. Jest to nasz słaby punkt, przez co nie możemy skierować do gromady Talbott tylu ciężkich jednostek, żeby uczynić z tego skuteczny pokaz siły. Będziemy wzmacniać Dziesiątą Flotę, na ile sytuacja z Haven nam na to pozwoli, ale nie nastąpi to teraz. Tym samym obecnie przyjdzie nam w tym rejonie polegać raczej na lżejszych siłach. Niemniej, jak sugerują analizy wywiadu, wsparte dodatkowo pańskimi raportami na temat sprzętu, który został przechwycony w układzie Monica, nawet te lżejsze siły powinny mieć sporą przewagę nad jakimikolwiek zespołami SLN, zwłaszcza przy uzbrojeniu w nowe głowice *Mk XVI*. Przewagę większą, niż do tej pory sądziliśmy. Innymi słowy, nasze nowoczesne krążowniki i niszczyciele będą najpewniej zdolne odeprzeć wszystko, co Liga Solarna może tam przysłać. Problem jedynie w tym, że Liga może o tym nie wiedzieć.

– Gorzej – mruknął Caparelli. – Nawet gdyby wiedzieli, i tak by to zignorowali.

– Zapewne – przyznał White Haven. – I to, kapitanie, jest prawdziwym powodem, dla którego wysłaliśmy admirała Henke, aby dowodziła Dziesiątą Flotą dla admirała Khumala. To i fakt, że gdy Pritchard ją uwalniała, Henke dała słowo honoru, że nie będzie więcej walczyć z Haven. Dopóki nie zostanie zwolniona z tego słowa, musimy ją wykorzystywać gdzie indziej i tak się dziwnie złożyło, że oto nadarzyła się sposobność.

Terekhov kiwnął głową. O tym, że Michelle Henke przeżyła, dowiedział się dopiero po powrocie z gromady Talbott. Na ile ją znał, idealnie nadawała się na dowódcę floty w tej okolicy.

Admirał Augustus Khumalo dawał się lubić i było za co go podziwiać, ale brakowało mu doświadczenia bojowego oraz pewnej iskry bożej do tej roboty. Henke była inna, a przy okazji uwolniła Khumala od niechcianych obowiązków, dzięki czemu mógł się zająć sprawami administracyjnymi, z którymi radził sobie znakomicie.

Jedyne, co go martwiło, to reputacja Henke jako osoby agresywnej. Czy nie przesadzi z tym zamiłowaniem do walki? Ktoś patrzący z boku mógłby wprawdzie i jego podejrzewać o nadmierny zapał dla militariów, ale Henke naprawdę zyskała sławę dzięki dowodzeniu krążownikami, głównie liniowymi. Wedle wszystkich relacji była w nich rozkochana, a niektórzy dodawali, że cechuje ją legendarny temperament Wintonów. Można było mieć pewność, że zareaguje ostro na każdy akt wrogości ze strony Ligi Solarnej. A biorąc pod uwagę, że była kuzynką królowej i piątą osobą w kolejce do tronu, gdyby Elżbiecie coś się stało, jej działanie mogło być szczególnie dotkliwe dla przeciwnika. I obfitować w polityczne reperkusje.

– W tej sytuacji zamierzamy posłać pana do gromady Talbott – powiedział White Haven tym samym neutralnym tonem co wcześniej. – Wiemy, że to nie fair. Jeśli ktoś zasługuje na to, by spędzić dłuższy czas w domu, to właśnie pan. Niestety, czasem Royal Manticoran Navy nie może sobie pozwolić na bycie „fair”, pan zaś jest w tej chwili szczególnie cennym oficerem, i to z kilku powodów. Po pierwsze, dlatego, że jest pan dowódcą sprawdzonym w boju, który pokazał, że umie podejmować inicjatywę. Po drugie, ponieważ w tej chwili nie mamy zapewne innego oficera, który cieszyłby się lepszą reputacją w oczach solarnych. W tym sensie ma pan być straszakiem, takim kijem, którym admirał Henke będzie mogła w razie potrzeby wymachiwać. Co więcej, pańskie doświadczenie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych będzie dla niej równie cenne jak dla admirała Khumala. Na koniec jeszcze i to, że, jak wynika jasno z naszej korespondencji z premierem Alquezarem i baronową Medusą, chyba nikt nie cieszy się w Quadrancie lepszą sławą i nie nawiązał lepszych kontaktów osobistych niż pan. – Pokręcił z żalem głową. – Prawda jest taka, że nie możemy sobie pozwolić na to, by nie przerywać panu urlopu, chociaż bez wątplenia bardzo pan na niego zasługuje.

– Rozumiem, sir. – Terekhov bardzo się starał nie wyglądać jak człowiek, który najchętniej poszukałby argumentów za zmianą jego przydziału. – Ale *Hexapuma* wciąż czeka na remont. Nawet jeśli wejdzie do doku poza kolejnością, naprawa wszystkich uszkodzeń potrwa kilka miesięcy. A może dłużej.

– Zgadza się, kapitanie. – Terekhov zdrewniał, słysząc współczucie w głosie Caparellego. –

Dlatego powierzmy jej dowództwo komandorowi FitzGeraldowi, który zostanie awansowany do stopnia kapitana.

Terekhov zacisnął zęby. W sumie nie była to niespodzianka. Kiedy tylko usłyszał o powrocie do gromady Talbott, był pewien, że nie trafi tam na pokładzie *Hexapumy*. A skoro już tak wyszło, to nie mogłaby trafić w lepsze ręce. Był tego pewien, ale bólu to i tak nie złagodziło.

– Obawiam się, że to nie jest najgorsze w całej tej sprawie, kapitanie – powiedział cicho White Haven i skinął głową na admirała Corteza.

Terekhov spojrzał na niego, a Piąty Lord Przestrzeni dotknął sensora na swoim pulpicie. Na stole pojawiło się holo przedstawiające inny ciężki krążownik typu *Saganami-C*, siostrzaną jednostkę *Hexapumy*.

– HMS *Quentin Saint-James* – powiedział Cortez. – Flagowa jednostka nowej eskadry ciężkich krążowników, Dziewięćdziesiątej Czwartej, którą właśnie utworzyliśmy.

Terekhov kiwnął głową. W głębi ducha poczucie wyzwania zaczęło brać górę nad żalem po utracie *Hexapumy*. Nowe dowództwo zawsze było czymś fascynującym. Dochodzenie do idealnej współpracy i pełnej gotowości bojowej mogło zabrać wiele miesięcy, ale satysfakcja...

Cortez jednak jeszcze nie skończył.

– Najgorsze jest to, kapitanie, że nowa eskadra wyrusza do gromady Talbott już jutro.

Terekhov znieruchomiał i wpatrzył się w niego zdumiony. Jutro? Przecież wrócił stamtąd niecałe czterdzieści godzin temu! Jak miał pójść do domu i powiedzieć Sinead, że jutro znowu znika? Poza tym już obejmowanie dowodzenia *Hexapumy* przebiegało w ekspresowym tempie, a teraz chcieli, żeby powtórzył to w ciągu kilku godzin?

– Wiem, że to szaleństwo – dodał Cortez. – Obawiam się jednak, że Dziesiąta Flota musi zostać jak najszybciej wzmocniona, co nie pozostawia nam wielkiego wyboru.

– Rozumiem, sir – powiedział po chwili Terekhov, wytrzymawszy piętnaście sekund ciszy. – W każdym razie tak mi się wydaje. Ale pomijając kwestię tak szybkiego ponownego rozstania z żoną, nie widzę sposobu, bym mógł w tak krótkim czasie objąć dowodzenie nad całkiem nową załogą! To by było nie w porządku wobec nich! Owszem, na *Hexapumie* udało nam się zgrać podczas przelotu do Spindle, ale jednak mieliśmy trochę czasu, żeby się poznać jeszcze przed pierwszym rejsiem. Ale dokonać tego w niecały dzień? – Pokręcił głową i spojrzał na trzech mężczyzn siedzących przy stole. – Z całym szacunkiem, panowie, nie widzę...

– Przepraszam, kapitanie Terekhov – przerwał mu Cortez. – Jeszcze nie skończyłem.

Terekhov zamknął usta, a Cortez lekko się skrzywił.

– Po pierwsze, nie będzie pan musiał nic robić z załogą HMS *Quentin Saint-James*. Po drugie, nie będzie pan dowódcą tego okrętu. Krążownik od pół roku znajduje się pod opieką kapitana Fredericka Carlsona, który nadzorował nawet jego wykończenie w stoczni i zajął się szkoleniem załogi. Myślę, że będzie pan pod wrażeniem, jak dobrze sobie poradził. W sumie każda jednostka eskadry ma za sobą co najmniej dwumiesięczne przygotowania, chociaż nie działały dotąd jako jeden zespół. Co więcej, *Marconi Williams* i *Slipstream* dołączyły do eskadry dopiero tydzień temu.

Terekhov emanował takim zdziwieniem, że Cortez aż uśmiechnął się przepaszająco.

– Nie powierzamy panu dowództwa *Quentina Saint-Jamesa*, kapitanie. W każdym razie nie bezpośrednio. Będzie pan dowodził całą eskadrą, komodorze Terekhov.

SIERPIEŃ 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Gdyby w tych pańskich «przypuszczeniach» było choć słowo prawdy, a oczywiście tak nie jest,
w ciągu trzydziestu sekund byłby pan martwy”.

– emerytowany sierżant Vincent Frugoni, Korpus Piechoty Morskiej Ligi Solarnej

ROZDZIAŁ XV



Pan Harahap jest tutaj, ma'am.

Całkowicie zbędny, ale bardzo dekoracyjny recepcjonista odsunął się na bok i przytrzymał archaiczne drewniane drzwi, aby Damien mógł wejść do środka.

Dziwne, pomyślał Harahap. Isabel Bardasano kojarzyła się jednoznacznie z „młodymi gniewnymi”, czyli nowym pokoleniem korporacyjnej elity Mesy, które dystansowało się od tradycyjnej społeczności biznesowej Ligi Solarnej. Co więcej, postanowiło pokazywać się reszcie galaktyki od jak najgorszej strony, mając ją jednocześnie w głębokim poważaniu. Poza tym byli to ludzie uwielbiający luksus i podchwytyjący każdą nową modę. Sądząc po tatuażach i piercingu, Bardasano powinna być taka sama.

Tyle że z jakiegoś powodu miała zamiłowanie do antyków. Biuro, w którym wcześniej z nim rozmawiała, było elementem jej „publicznego wizerunku” w Jessyk Combine. Teraz znaleźli się w jej prywatnym gabinecie, gdzie wykonywała swoją prawdziwą pracę. To już nie była przykrywka i to miejsce bardzo się różniło od poprzedniego. Staromodne drzwi z klamkami, człowiek jako recepcjonista, staroświeckie książki na półkach... Wnętrze kojarzyło się ze schronieniem, do którego Bardasano się wycofywała, gdy miała ochotę uciec od swojej codziennej roli.

Podobnie było z muzyką w tle. Harahap nie rozpoznał wykonawcy ani utworu, ale podejrzewał, że mógł on pochodzić z niewiarygodnie dawnych czasów przed Diasporą.

– Proszę wejść – powiedziała rzeczowo. – I usiąść.

Posłuchał. Krzesło, jak zauważył, było wyposażone w takie same czujniki jak fotel, który zajmował podczas ich pierwszego spotkania na Mesie. Nie, żeby mu to przeszkadzało. Tym razem nie zamierzał niczego ukrywać.

Chociaż oczywiście trudno było z góry o tym przesądzać.

– Kawy? – spytała. – Czegoś mocniejszego?

– Kawa wystarczy – odparł.

Kiwnęła głową recepcjoniście.

– Zajmij się tym, Samuelu.

– Tak, proszę pani.

Recepcjonista zniknął, a Bardasano odchyliła się na ogromnym krześle za biurkiem i spojrzała z zastanowieniem na byłego żandarma.

– Chciałabym, żeby więcej moich ludzi było zdolnych do podobnej zwięzłości – powiedziała po chwili, wskazując podręcznego kompa. Podobnie jak większość znanej Harahapowi kadry kierowniczej, także rzadko korzystała z wbudowanych w biurko terminali. Przy tajnych operacjach tak było lepiej. – Pańskie raporty i analizy są przejrzyste i wyczerpują temat – dodała. – Chwilami pojawiają się w nich nawet akcenty humorystyczne, ale nie zaburza to toku rozumowania. Ani nie szkodzi zwięzłości. Szczerze mówiąc, to bardzo miła odmiana. Niektórzy moi analitycy uważają chyba, że płacimy od słowa! I nie ma pan problemów z przedstawianiem jednoznacznych wniosków, nawet jeśli mogą one być niepopularne. To robi wrażenie.

Skinęła powoli głowę, a Harahap pozwolił sobie na podobny gest. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale przerwała, gdy recepcjonista pojawił się ponownie ze srebrną tacą, na której stały pusta filiżanka i dwulitrowy podgrzewany dzbanek. Były też śmietanka i najzwyczajniejszy w świecie cukier. Cicho postawił tacę przy łokciu Harahapa i zaraz wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Samuel bywa pedantyczny – zauważyła Bardasano i uśmiechnęła się, gdy Harahap uniósł pokrywkę dzbanka i wciągnął aromatyczną parę. Zaraz napełnił sobie filiżankę. – Ale też świetnie wyczuwa, jak długo spotkanie może potrwać. Lepiej nawet niż ja. Sądząc po wielkości dzbanka, spodziewa się, że chwilę pan u mnie posiedzi.

– Nie mam innych planów na dzisiaj – odparł Harahap, dolewając śmietanki i wsypując łyżeczkę cukru. Usiadł wygodnie na krześle z czujnikiem, skrzyżował nogi w kostkach i spojrzał znad filiżanki na gospodynię.

– To dobrze, bo chciałabym dokładniej omówić kilka z tych kontrowersyjnych wniosków, które pan mi przesłał. Ale zanim do tego przejdziemy... Wpadłam na coś, co może pana zainteresować.

Harahap uniósł brwi w uprzejmym geście niemego zaciekawienia i równie uprzejmie się uśmiechnął. Była to jego ulubiona reakcja, która niewiele mówiła, ale sprawdzała się w najróżniejszych kontaktach.

– Ostatnio straciliśmy wiele źródeł informacji w gromadzie Talbott – powiedziała. – Z drugiej strony, na podstawie materiałów, które wcześniej pan od nas otrzymał, mógł pan dojść do wniosku, że ogólnie raczej nie cierpimy na brak informatorów. Wspominam o tym, ponieważ

jeden z nich jest związany blisko z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Manticore. Jego ostatni meldunek to ciekawa lektura. Między innymi wzbogaca znacznie naszą wiedzę o niejakim Aivarsie Terekhovie. Dodatkowo zawiera wzmiankę o kimś działającym jako Firebrand. Była to osoba, która skłoniła Stephena Westmana do zmiany zdania i poparcia aneksji.

Przerwała na chwilę i w ciszy słychać było tylko muzykę, Bardasano zaś siedziała nieruchomo i obserwowała gościa. Wyraz jej srebrzystych oczu był nieczytelny nawet dla niego. Bez dwóch zdań czekała na komentarz. Harahap upił łyk kawy i opuścił filiżankę.

– Czy mogę zapytać, jak to się stało?

– Trudno powiedzieć – odrzekła. – W moim odczuciu przesadził pan wtedy i naruszył jakieś jego zasady.

Harahap zmarszczył czoło. Spróbował przypomnieć sobie rozmowy z Westmanem. Polityk z Montany był uparty i paskudnego charakteru, ale na pewno miał swoje zasady. Nie zawsze sam o nich pamiętał i bywało, że działał wbrew własnym przekonaniom, ale one gdzieś tam były. Możliwe więc, że Harahap popełnił jakiś błąd, chociaż nie wiedział jaki. Chyba że...

– Czy to miało coś wspólnego z Agnes Nordbrandt? – spytał po chwili, a Bardasano przymrużyła oczy, co mogło być wyrazem uznania.

– Powiedziałabym, że to całkiem dobry trop – odparła. – Nasze źródło nie było w stanie przesłać nam oryginalnego raportu, otrzymaliśmy tylko spisane z pamięci podsumowanie. Ale wydaje się, że przesadził pan z otwartą akceptacją metod Nordbrandt. Westmanowi to się nie spodobało. Nie chciał być z nią wiązany.

– Mogłem to przewidzieć – przyznał beznamiętnie Harahap. – Westman postrzegał siebie jako patriotę, kogoś w rodzaju Robin Hooda, i był o wiele bystrzejszy niż Nordbrandt. Nie był nastawiony na terror, ponieważ jego zdaniem takie metody przynoszą skutki przeciwne do zamierzonych. Zwłaszcza na planecie w rodzaju Montany. Niestety Nordbrandt widziała to zupełnie inaczej, ja zaś nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo postawiła na terror. Po części na skutek opóźnień w komunikacji. – Wzruszył lekko ramionami. – Aby go przekonać, że jestem poważnym graczem, koordynatorem „ruchu oporu” całego sektora, musiałem przywołać jakieś nazwiska. A Nordbrandt cieszyła się od dawna reputacją opozycjonistki. Dopiero potem zeszła do podziemia. Przypuszczam, że Westman nie posiadał się z oburzenia, gdy jej zbrodnie wyszły na jaw. Gdybym wiedział, że przyjmie taki kurs, podszedłbym do Westmana inaczej.

– Jak? – spytała Bardasano.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym, że powodzenie rewolucji wymaga czasem nawiązania współpracy z niezbyt sympatycznymi sojusznikami. Dodałbym, że chociaż osobiście brzydzę się jej metodami i rozlewem krwi, to komitet, który przyszło mi reprezentować, zdecydował się ją wspierać. Przynajmniej dopóki będzie użyteczna dla sprawy. Oczywiście Montana to nie Split, podobna taktyka byłaby tam całkiem nie na miejscu, co nawet by mi odpowiadało. Tak więc, chociaż patrzyłem krzywo na decyzję komitetu, to musiałem uznać, że Nordbrandt zrobiła sporo, aby do aneksji nie doszło. Jej strategia i taktyka zaś... Owszem, same w sobie były złe, na dodatek jej działalność mogła na dłuższą metę zaszkodzić naszemu ruchowi, gdyby związki z nią wyszły na jaw.

– Rozumiem. – Bardasano zmarszczyła brwi i chwilę trwała zamyślona, po czym wyprostowała się i sięgnęła do kompa. – Ciekawe – powiedziała, włączając ekran. – Czegoś takiego właśnie bym od pana oczekiwała.

Chcąc nie chcąc, musiał zauważyć, że nie zgodziła się z tokiem jego myślenia. Upił kawy, ona zaś coś przeglądała. W końcu znalazła to, czego szukała, i spojrzała na Harahapa.

– Dobrze, zobaczymy, co przyniosła pańska niedawna działalność. Może zaczniemy od tego, dlaczego uważa pan, że Custis i Any Port nie byłyby dobrymi inwestycjami w operacji Janus.

– Oczywiście. – Opuścił filiżankę, ale nie odstawił jej na blat. Nadal trzymał ją w dłoniach na wysokości kolan. – Najpierw Any Port, jeśli można. – Uśmiechnął się lekko. – Sytuacja jest tam znacznie wyraźniejsza niż na Custis.

– Słucham.

– Przede wszystkim pakiet wywiadowczy, który otrzymałem, był bardzo niepełny – powiedział zdecydowanym, ale spokojnym tonem. – Ten, kto robił wstępną analizę, powinien poszukać sobie innej pracy. Opinia, że jest w tym układzie ktoś, kto myśli o reformach na tyle poważnie, że gotów jest wyprowadzić ludzi na ulice, była... powiedzmy, niezbyt optymistyczna. Tamtejsza tak zwana opozycja to w zasadzie zbieranina szumowin, gotowych włączyć się do każdej rozróby, oraz naiwnych studentów niemających żadnego pomysłu na walkę. Wszyscy oni są wykorzystywani przez farbowanych „reformatorów” pragnących jedynie zająć miejsce obecnych władz. Chcą tylko dorwać się do koryta i na żadnych systemowych zmianach im nie zależy.

Na liście były trzy potencjalnie ciekawe cele. W rzeczywistości jedynym, który mógłby być

przydatny, okazał się Ruch Demokratyczny, ale wystarczyło mi jedno spotkanie z członkami jego komitetu centralnego, aby zrozumieć, że...



– Jest dobrze – powiedziała Isabel Bardasano dużo później, wieczorem, oglądając malowniczy zachód słońca. Stała na werandzie posiadłości, która oficjalnie nie istniała, jako że wzniesiono ją na wyspie już dawno uznanej za ścisły rezerwat przyrody. – On jest bardzo dobry. Lepszy nawet, niż się spodziewałam.

– Naprawdę? – Staroświeckie krzesło z rattanu zaskrzypiało, gdy mężczyzna siedzący po drugiej stronie małego okrągłego stołu lekko zmienił pozycję.

– Przycisnęłam go trochę w sprawie Westmana i Nordbrandt – odparła. – Na tyle tylko, aby mu uświadomić, że jest pod obserwacją. I może być oceniany. Nie spłoszył się, nie speszył, nie zaczął się usprawiedliwiać. Pozostaje przyjąć, że faktycznie nie miał wcześniej pewnych informacji. Bez wahania po prostu powiedział, dlaczego zrobił to, co zrobił, i co mógłby zrobić inaczej, gdyby wiedział, jak zachowa się Nordbrandt. Analogicznie reagował na inne pytania o jego niedawną działalność w terenie. Jest inteligentny, szybko kojarzy i panuje nad sytuacją, Albrechcie. Bez wątplenia wgryzł się we wszystkie szczegóły sprawy, a jego analizy są bardziej wszechstronne i dogłębsze niż dziewięćdziesiąt procent raportów produkowanych przez naszych ludzi. Świetnie przyswaja nowe informacje i wplata je w to, co już opanował. To raczej nietypowe u kogoś, kto zajmuje się takimi analizami. To bardzo rzadki okaz świetnego agenta, który jest też biegłym analitykiem.

– Przypuszczam, że nie byłabyś skłonna tak go wychwalać, gdybyś nie miała dla niego jeszcze innej, bardziej ambitnej roboty – zauważył Albrecht Detweiler.

– On jest lepszym analitykiem niż dziewięćdziesiąt procent ludzi, których mamy w jądrze – stwierdziła wprost. – Marnuje się przy zbieraniu materiału. W tej chwili zidentyfikowaliśmy już dość planet, które mogą nam się przydać w operacji Janus. Gdybyśmy mogli zatrudnić go tutaj, na miejscu, byłby z niego spory pożytek. Nie musiałby przy tym wiedzieć, dla kogo dokładnie pracuje. W sumie wolałabym nawet nie ryzykować i nie mówić mu za wiele. Niemniej, jak udowodnił w gromadzie Talbott, i bez informacji potrafi być skuteczny.

– Gdzie, jak już wspominaliśmy, odegrał poniekąd kluczową rolę. Właściwie to dzięki niemu ten drań Terekhov zdołał przekabacić Westmana i odkryć całą kombinację w układzie Monica – zauważył Detweiler.

– Gdy Terekhov odkrył obcą broń na Splicie i jakimś sposobem ustalił dane naszego frachtowca, los Montany był już przesądzony. Nic więcej tak naprawdę nie miało znaczenia – odparła Bardasano. – To *Marianne*, Bin Yuan i jego załoga, to oni spierdolili sprawę. A skoro o tym mowa, to przypomnę, że zdecydowanie opowiadałam się przeciwko pomysłowi, żeby ten sam statek przewoził zarówno broń, jak i techników Technodyne. To było ogniwo, które doprowadziło Manticore do układu Monica. Harahap nie miał z tym nic wspólnego.

– Rozumiem – powiedział po chwili Detweiler. – Jak zatem sądzisz, gdzie i jak najlepiej można go wykorzystać?

– Wykorzystać go można na wiele sposobów. Chciałabym wysłać go na New Tuscany, aby wsparł Aldonę. Wiemy już, że może z nią współpracować, ale wtedy wnikałby zbyt głęboko w nasze sprawy. Poza tym ona zaszła już całkiem daleko, wysyłanie go tak późno byłoby marnowaniem zasobów. Nie, myślę raczej, żeby posłać go z powrotem do gromady Talbott, ale już w innej roli. Niechby wziął na siebie część roboty Partyzanta. Zamiast szukać okazji, niech zacznie pracować z tymi, którzy najlepiej rokują. Myślę, że z jego inteligencją, odwagą i poczuciem humoru będzie idealną osobą do współpracy z kimś takim, jak chociażby rodzina Allenbych z układu Swallow.

– Hm. – Detweiler zmarszczył brwi i wpatrzył się w wieczorne niebo. – Gdy wprowadzimy go aż tak głęboko, może się stać niebezpieczny – zauważył po chwili.

Bardasano aż parsknęła.

– Albrechcie, niebezpiecznie jest już, odkąd Yucel skierowała Eichbauer do współpracy z nami w gromadzie Talbott! Janus należy do operacji wysokiego ryzyka i nieważne, kogo jeszcze do niej przydzielimy. A gdyby coś poszło nie tak, wolę stracić jego niż któregoś z naszych głęboko zakonspirowanych ludzi. W ogóle uważam, że taką właśnie strategię powinniśmy przyjąć. Powiedzmy, że zdemaskują solarnego żandarma na żołdzie korporacji i pójdą dalej tym tropem. Nam to tylko pomoże, gdy ich relacje z Ligą Solarną jeszcze się zaognią. Liga powie oczywiście, że gość dla nich nie pracował, Manticore nie uwierzy, a solarna opinia publiczna kupi bajkę Kolokoltsova, że to wszystko niecna intryga Królestwa. – Ponownie wzruszyła ramionami i pokazała na moment zęby. – Jest dla mnie na tyle użyteczny, że wolałabym go nie stracić, ale jeśli nie da się inaczej, to lepiej już on, niż ktoś, kto jest naprawdę ważny dla naszej sprawy, prawda?

– Jestem skłonny zaufać twojemu osądowi, Isabel. Ale sądzę, że z tą kwestią powinniśmy

zwrócić się jeszcze do Collina, ponieważ Janus to od samego początku jego pomysł.



– Jak idzie, Damien?

– Nie mogę narzekać, Rufino – odrzekł Harahap, gdy Chernyshev zatrzymał się przy jego stoliku. – Może usiądziesz? Chyba że lepiej, aby nie widziano nas razem?

– Nie mam nic na sumieniu – powiedział Chernyshev z uśmiechem. – A ty?

– Na Mesie nikt nie może mi nic zarzucić – stwierdził Harahap, uśmiechając się, i odsunął stopą sąsiednie krzesło. – Siadaj. Mają tu dobre piwo.

– Starają się – przyznał Chernyshev. – Co pijesz?

– Old tillmana. – Harahap uniósł butelkę o staromodnym kształcie. – Sprowadzane z Manticore. O ile można im wierzyć.

– Raczej tak. Jest tu całkiem popularne. Mimo pochodzenia.

Chernyshev usiadł i wprowadził swoje zamówienie do terminalu na blacie stołu. Niecałe trzydzieści sekund później obok jego ramienia zawisła samobieźna taca z oszronioną butelką piwa Old Tillman. Zgodnie z panującymi w tej restauracji zasadami, gdyby realizacja zamówienia zajęła więcej niż czterdzieści pięć sekund, klient nie musiałby płacić.

– Czy ochrona tej restauracji jest tak dobra, jak twierdzą? – spytał Harahap, pokazując palcem wskazującym na słabo oświetloną salę.

– Czy jakakolwiek restauracja jest tak dobra, jak to obiecuje? – odparł z uśmiechem Chernyshev, uważnie przelewając piwo do pokala. Potem wzruszył ramionami. – Dopóki nie spróbujesz... Jak to mówią w kiepskich powieściach? Na pohybel, prawda? – Harahap parsknął wesoło, a Chernyshev kontynuował: – W sumie pewnie nawet są dobrzy. Ostatecznie nasi szanowni pracodawcy mają swoje wymagania. – Znowu wzruszył ramionami. Jednak tym razem jakby inaczej i bez kpiarskiego wydęcia warg.

Harahap pokiwał głową. Można było oczekiwać, że jego nowi zleceniodawcy będą mieć oko na wszystkie poczynania nowego nabytku. Ciekawe jednak, że Chernyshev pośrednio to przyznał. A jego mowa ciała i barwa głosu były równie interesujące.

Oczywiście, pomyślał, ktoś znajdujący się tak wysoko w hierarchii jak Rufino był zapewne bardzo przydatny w roli „anioła stróża”. Też ciekawe...

– No cóż – powiedział głośno. – Nie zrobiłem niczego, czym mógłbym podpaść „naszym szanownym pracodawcom”. Ale to chyba dobrze, że mają oko na swoich ludzi.

– Jak wspomniałem przy naszym pierwszym spotkaniu, miło jest wpaść na profesjonalistę. Szczerze mówiąc, zajęło mi trochę czasu, żeby do pewnych spraw nabrać filozoficznego dystansu. A założę się, że wszedłem do tego fachu znacznie wcześniej niż ty.

Harahap ponownie skinął niezobowiązująco głową. Chernyshev wiedział najpewniej, kiedy jego rozmówca zaczął pracę w Żandarmerii.

– Czy powinienem założyć, że przypadkiem tutaj przechodziłeś? Od razu dodam, że trudno byłoby mi w to uwierzyć. Sądzę raczej, że zjawiliś się celowo.

– Owszem, to nie przypadek. Co nie znaczy, że pogardzę okroszką z wołowiną i kurczakiem, która jest specjalnością zakładu. No i szaszłykiem jagnięcym. Pasuje do piwa. Jeśli nie jadłeś tej zupy, to polecam. Podobnie jak ich pielmieni.

– Chyba sceduję zamówienie na ciebie – powiedział Harahap. – Ale co sprawiło, że postanowiłeś zjeść ze mną obiad?

– Chętnie zajmę się zamówieniem. – Chernyshev odstawił pokal, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni moduł zagłuszający i położył go na stole. – Jak wspomniałem, ochrona jest tu niezła, ale jak mawiał stary mędrzec Aleksy, ostrożności nigdy za wiele.

– Słucham – zachęcił go Harahap.

Chernyshev włączył urządzenie i sięgnął ponownie po piwo.

– Dobrze. Pani Bardasano wysłała mnie, abym przekazał jej prośbę, żebyś zajrzał do niej jutro rano. Na przykład około dziewiątej.

– Prośbę? – spytał ironicznie Harahap, a Chernyshev zachichotał.

– Tak powiedziała. Ale myślę, że nie byłaby zadowolona, gdybyś miał już inne plany.

– Dziwnym zbiegiem okoliczności jutrzejsze przedpołudnie mam wolne.

– Tak też sądziłem. – Chernyshev upił łyk piwa i odstawił pokal. – Upoważniła mnie również do przekazania, co dla ciebie szykuje – dodał znacznie poważniejszym tonem. – Szczegóły poda ci oczywiście sama. Na razie mam ci przedstawić... coś w rodzaju ogólnego poglądu. Zajmowałem się kiedyś tym, w co masz teraz wejść, i byłem nawet niezły. I szczerze mówiąc, właśnie o to chodzi. Ona sama ma znacznie mniejsze doświadczenie w pracy w terenie i dobrze o tym wie. Zwłaszcza przy tego rodzaju operacjach. Tak, praca dla niej ma swoje dobre strony. Pani Bardasano jest realistką i rozumie, że w przypadku Janusa lepiej będzie zdać się częściowo na mnie.

– Dla mnie ma to sens – powiedział Harahap ze szczerym uznaniem. Dość poznał biurw

pewnych, że wiedzą wszystko o pracy w terenie, i dość widział operacji, które skończyły się przez to katastrofą.

– Dobrze, w takim razie pozwól, że zacznę od tego, że twoje nowe zadanie będzie podobne do poprzedniego, ale zamiast zbierać informacje, zaczniesz je wykorzystywać. Przynajmniej w części przypadków będzie to oznaczało wykorzystanie znanych ci już kontaktów, w pozostałych zaś...

ROZDZIAŁ XVI



Jadalnia kapitańska na pokładzie HMS *Tristram* była znacznie mniejsza niż na krążowniku *Quentin Saint-James*. Z drugiej strony Helen Zilwicka nie widziała jeszcze tak dużego pomieszczenia na żadnym niszczycielu. Choć po prawdzie nie było w tym zapewne nic dziwnego, gdyż *Tristram* był znacznie większy niż spora część lekkich krążowników używanych w innych flotach, a wymagał znacznie mniej licznej załogi niż wcześniejsze niszczyciele.

Główny steward Clorinda Brinkman śledziła orlim spojrzeniem swoich podwładnych, którzy dostarczali potrawy na stół i zaraz rozwiewali się niczym mgła na wietrze. Gdy wszystko było już na miejscu, rozejrzała się jeszcze po jadalni i też cichcem się ulotniła.

– Miałaś rację, Naomi – zauważył z uśmiechem sir Aivars Terekhov. – Bardzo przypomina Joannę.

– Sądzę, że Dział Kadr ma jakieś tajne zakłady produkcyjne, gdzie fabrykuje stewardów dla RMN – dodał porucznik komandor Alvin Tallman, pierwszy oficer *Tristrama*. – Choć może to tylko moja chora wyobraźnia. Niemniej przysięgłbym, że kapitańscy stewardzi są jak spod sztancy.

– Tylko wtedy, gdy akurat ustawiają kapitana – zauważyła Naomi Kaplan ze szczytu stołu. – Poza tym reprezentują wszelkie barwy i odcienie.

– O tym nie pomyślałam, ma'am – odezwała się Abigail Hearn. – Ale wydaje mi się, że główna steward Brinkman radzi sobie z panią całkiem dobrze. Przypomina mi moją matkę. Ona też nie zwykła sztorcować ludzi, ale umie sterować nimi samym spojrzeniem. Albo gorzej: daje do zrozumienia, jak bardzo liczy na to, że ktoś postąpi we właściwy sposób.

– I sądzisz, że takie psychiczne judo jest lepsze niż wydawanie rozkazów? – spytała Kaplan. Abigail wzruszyła ramionami.

– Na dłuższą metę jest pewnie bardziej skuteczne. Daje złudzenie, że decyduje się o czymś samemu. Tester naucza nas, że właśnie poprzez podejmowanie decyzji i ćwiczenie wolnej woli rozwijamy się i dojrzewamy duchowo. Zatem nawet dla ciebie to chyba dobre.

– Och, dziękuję – rzuciła oschle Kaplan.

– Ależ proszę, ma'am.

– Czy nie mogłabym jej panu zwrócić, sir? – spytała Kaplan, patrząc z uśmiechem na

Terekhova.

– W sumie bym chciał – odparł wesoło. – Ale obawiam się, że ta konkretna transakcja nie podlega reklamacji.

– Szkoda. – Kaplan westchnęła i potrząsnęła głową. – Ciężkie jest brzemię dowódcy.

– Na pewno da sobie pani radę – pocieszył ją komodor.

– Postaram się nie przesadzać z wymogami próby, ma’am – zapewniła ją gorliwie Abigail. – Trzeba uwzględnić przecież, kto już dorósł do takiego testu.

– Cóż, myślę, że mając tak zdolną oficer taktyczną, trzeba czasem zaakceptować niektóre jej dziwactwa – powiedziała Kaplan.

– Skoro o tym mowa, nauczyłem się tej prawdy na pokładzie *Kociątka* – zgodził się Terekhov, przywołując używaną przez załogę całkiem nieoficjalną nazwę *Hexapumy*. – Głównie dzięki mojej oficer technicznej. Tylko jak ona miała na imię... Nie, nie podpowiadajcie mi, przypomnę sobie. Na pewno coś na N.

– Och. – Kaplan skrzywiła się lekko, po czym uniosła jedną rękę w geście poddania. – Wygrał pan, sir. Poza tym... – Spojrzała z humorem na Abigail. – Starszym oficerom należy pozwalać wygrywać. Proszę to zanotować, pani Hearn.

– Ty też powinnaś – powiedział Terekhov pod adresem Helen, która odkrawała właśnie kolejny kęs wyśmienitej wołowiny z Montany.

– Już to zrobiłam, sir – zapewniła Helen, jego nowy i nader młody porucznik flagowy. – W rozdziale „Jak podlizywać się przełożonym”.

Terekhov zachichotał i pokręcił głową, po czym uśmiechnął się do pierwszej oficer Kaplan.

– Czasem nie wiem, kto jest bardziej uparty: ci z Graysona czy gryphońscy górale.

– Doświadczenie podpowiada mi, że nie ma między nimi wielkiej różnicy, sir – odparł porucznik Tallman. – Ale poza kilkoma wyjątkami większość z nich wydaje się wykonywać dobrą robotę.

– A owszem – zgodził się Terekhov. – Niemniej dobrze przypilnować, żeby nie zaczęli za bardzo zadzierać nosa.

Tallman skinął głową z uśmiechem, ale mimowolnie pomyślał, jak niewielu oficerów o randze i reputacji Terekhova miało szansę zbudować podobnie serdeczne więzi z podwładnymi, nie tracąc przy tym ani krzty autorytetu. Naomi Kaplan miała ten sam dar, jednak komodor chyba lepiej go wykorzystywał. Nikt nie mógł wątpić w jego głębokie przywiązanie do Abigail Hearn i

Helen Zilwickiej, ale tylko idiota mógłby sądzić, że zaburza ono w jakiś sposób pożądane na pokładzie dyscyplinę, szacunek i gotowość do jak najlepszego wypełniania obowiązków.

– Zmieniając ton na poważniejszy, sir. – Kaplan odstawiła kieliszek z winem i zaczęła smarować masłem drugą już bułeczkę. – Co pan myśli o New Tuscany? Co tam się dzieje?

– Nic, co mogłoby się nam spodobać. – Terekhov wzruszył ramionami i zmarszczył brwi. – Bernardus Van Dort i admirał Khumalo również o to pytali, ale odpowiadałem im, że przebywając w gromadzie Talbott, nie miałem okazji wyrobić sobie zdania. Ale nie jest dobrze. Tamtejsi oligarchowie, zwłaszcza ten idiota Yvernau, zrobili wszystko, co tylko było w ich prawnej mocy, aby uchronić się przed jakimikolwiek zmianami na własnym podwórku. Według baronowej Medusy obecnie utrzymują, że wykluczenie ich z nowego programu ekonomicznego to rodzaj odwetu, nie zaś nieunikniona konsekwencja ich własnej decyzji, aby nie przyłączać się do Gwiezdnego Imperium. A nie zrobili tego, ponieważ nie otrzymali specjalnych gwarancji, których zażądali. – Jeszcze bardziej zmarszczył czoło. – Prawdę mówiąc, niepokojąco przypominają mi dawnych Legislatorów. Jestem cholernie pewien, że celowo doprowadzili do tych incydentów w Pequod. Nie wiem jednak, co chcą osiągnąć. Ale nie podoba mi się, że Cardot gra z nimi w jednej drużynie.

Helen odruchowo przytaknęła. Alesta Cardot była ministrem spraw zagranicznych New Tuscany. Z racji zajmowanego stanowiska Helen widziała jej notę protestacyjną w sprawie „prowokacji Manticore” w układzie Pequod. Nota wyraźnie była przeznaczona dla szerszego grona niż premier Alquezar i baronowa Medusy, ponieważ rzekomi „prowokatorzy” byli postaciami całkowicie fikcyjnymi. Helen wątpiła, czy Cardot byłaby skłonna do snucia takiej legendy i udawania powściąganej złości, gdyby nie zamierzała wykorzystać tego dokumentu w przyszłości jako dowodu na okrutne i niesprawiedliwe potraktowanie załogantów z New Tuscany przez to straszne i aroganckie Manticore.

– Też mi się to nie podoba – odezwała się Kaplan, jakby czytała w myślach Helen. – Szczególnie że przychodzi mi do głowy tylko jedna publika, która mogłaby oklaskiwać podobne wystąpienie.

– Biuro Bezpieczeństwa Granicznego – zgodził się komodor, kiwając głową. – Szczerze mówiąc, najbardziej martwi mnie to, że nie wiemy, czy pomysł sporządzenia tej noty zrodził się na skutek burzy mózgow w wykonaniu Yvernau i premiera Véziena, starających się wciąż uzyskać te koncesje gospodarcze, na których tak im zależy, czy może podpowiedział im to ktoś

inny, dążący do realizacji własnych celów.

– Na przykład ten sam, kto podpuścił prezydenta Tylera, sir? – spytał spokojnie Tallman.

– Wolałbym nie szukać potworów pod łóżkiem, komandorze. To, że coś raz się zdarzyło, nie oznacza, że zdarzać się będzie zawsze. Dlatego dopuszczam możliwość, że to był ich własny pomysł. Ostatecznie to dopiero druga zorganizowana próba przeciwstawienia się naszej obecności w tej okolicy.

– Gdy coś się zdarza raz, to przypadek. Dwa razy – to zbieg okoliczności, trzy zaś... to już działanie wroga. O to chodzi, sir? – spytała Kaplan, a Terekhov skinął głową.

– Ale drugi raz nie zawsze jest zbiegiem okoliczności – zauważył ponuro.

– Też się nad tym zastanawiam, sir.

– Cóż, na razie bym nie panikował, Naomi. Po Lovat Admiralicja powinna mieć możliwość znacznego wzmocnienia naszych sił. Ktokolwiek ruszył Tylera czy Nordbrandt, pokazał już, że gotów jest na wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Niemniej wpłynięcie na twór tak wielki jak Liga Solarna wymaga sporo czasu. Niezależnie od tego, jak skorumpowane są agendy Ligi, a uwierzcie mi, że nie myślę tego lekceważyć, każda próba zorganizowania czegoś na podobną skalę wiąże się z wysyłaniem agentów, odbieraniem meldunków i tak dalej. To po prostu musi potrwać, my zaś zyskujemy dzięki temu sposobność umocnienia naszej obecności w Quadrancie, zanim jeszcze władcy marionetek wykonają następny ruch. – Wzruszył ramionami. – Jestem pewien, że to będzie coś bardzo nieciekawego dla nas, ale gdy już się zacznie, New Tuscany też nie będzie zadowolone z tego, co my dla nich mamy.

– A admirał Gold Peak jest właściwą osobą, żeby ich o tym przekonać – zgodziła się Kaplan.

– Pamiętam ten rejs, kiedy dowodziła *Agni*. Przypuszczam, że nie złagodniała z czasem!

– Chyba można tak to ująć – przytaknął Terekhov. – I z tego, co słyszałem, w głębi ducha wciąż jest dowódcą krążownika. Podobnie jak jeszcze jedna znana mi osoba. – Uśmiechnął się, gdy Kaplan i Tallman zaśmiali się głośno na te słowa, i nie dodał już, jak bardzo jego zdaniem taka cecha była pożądana u dowódcy floty. – Jestem pewien, że będzie miała sporo do powiedzenia o New Tuscany, gdy w przyszłym miesiącu wróci z układu Montana.

ROZDZIAŁ XVII



Proszę, proszę, pracowity z ciebie facet, sierżancie Frugoni, pomyślał siedzący w kabinie jachtu *Phakel* Damien Harahap, wpatrując się w widoczne na ekranie zdjęcie.

Mężczyzna z hologramu miał blond włosy, niebieskie oczy i nader niewinną minę. Chociaż może Harahapowi tylko tak się wydawało za sprawą tego, czego już się o nim dowiedział.

Cofnął się do dokumentacji i raz jeszcze przejrzał ją ze zmarszczonym czołem. Sierżant Vincent „Vinnie” Frugoni z Solarian Marine Corps. Nagród i wyróżnień otrzymał tyle, że można by nimi wypełnić frachtowiec. Dwa razy ranny w akcji, trzy razy wspomniany w rozkazach, dwa razy odrzucił propozycję pójścia na kurs oficerski. I wszystko to w wieku zaledwie czterdziestu czterech lat. W realiach trzeciego pokolenia prolongu to prawie jak syn pułku.

Widać lubił służbę i nie był zainteresowany oficerskimi szlifami, pomyślał Harahap. I dopiero siedem lat temu coś się zmieniło. Pokręcił głową. Ktoś powinien mieć cię na oku, sierżancie.

Wydał wargi. Wielka szkoda, że żadna z licznych służb bezpieczeństwa Ligi Solarnej nie zauważyła przemiany, która zaszła w sierżancie Frugonim. Co się z nimi porobiło? Przecież nawet ślepy by zauważył, że coś się dzieje.

Bądź uczciwy, Damien, powiedział sobie. Ty specjalnie szukasz takich rzeczy, ale nie ma powodu, dla którego miałyby to robić piechota morska. Poza tym Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i Żandarmeria Solarna oficjalnie nie są obecne w układzie Swallow. Za wszystko, co się tam dzieje, odpowiada wyłącznie Tallulah, a oni pewnie nie są zainteresowani nagłaśnianiem swoich największych kompromitacji. Można więc chyba zrozumieć, jakim cudem nikt nie zauważył, że Frugoni podjął tę decyzję zaledwie pięć standardowych miesięcy po śmierci siostry.

Obecni pracodawcy Harahapa trafili na niego, odtwarzając przebieg niektórych zdarzeń w układzie Swallow. Narastający tam ferment zwrócił uwagę jednego z analityków Isabel Bardasano już prawie dwa lata temu. To z kolei doprowadziło go do sprawy śmierci Sandry Frugoni Allenby, a następnie do sierżanta Frugoniego.

Co za bezsensowna historia, pomyślał Harahap z prawdziwym żalem. Nic dziwnego, że Allenby tak się wściekli.

Sandra Frugoni przybyła na Swallow w charakterze pracownika Tallulah Corporation, ale to, co ujrzała na miejscu, kazało jej zrewidować dotychczasowe priorytety. Po pół roku zrezygnowała z pracy w korporacji, miesiąc później otworzyła własną praktykę lekarską. Jej pacjentami byli mieszkańcy majestatycznych Cripple Mountains. Była to odludna okolica, gdzie opieka medyczna stała na poziomie zbliżonym do tego na Starej Ziemi w epoce przedkosmicznej. Ta decyzja spowodowała spadek jej zarobków o jakieś siedemdziesiąt procent, nie wspominając o nękanii przez byłego pracodawcę, ale Sandra i tak nie zmieniła zdania. Harahap nie wiedział, czy spotkała Floyda Allenby'ego przed czy może już po porzuceniu korporacji, a dodatkowo zachodził w głowę, jakim cudem doszło w ogóle do tego małżeństwa, skoro Sandra była przedstawicielką trzeciego pokolenia prolongu, Floyd zaś nigdy prolongu nie przyjął. Takie historie często źle się kończyły. Może w tym przypadku byłoby inaczej, ale... nie da się już tego sprawdzić. Wszystko za sprawą pewnego skończonego idioty, który odpalił raketę z naramiennej wyrzutni przeciwlotniczej.

I już wtedy postanowiłeś, że jako emeryt wyemigrujesz na Swallow, prawda, Vinnie? Jeszcze przed śmiercią siostry? Nie jesteś człowiekiem bez sumienia. To widać. Wiele z tego, co musiałeś robić w piechocie morskiej, wcale ci się nie podobało. I nie mogłeś się z tym pogodzić. Szukałeś miejsca, żeby się osiedlić. I może założyć firmę działającą na twoich zasadach. I patrzeć, jak rosą dzieci siostry. Ale w pewnej chwili okazało się, że nie będzie żadnych siostrzeńców ani siostrzenic. I to był wielki błąd ze strony Tallulah Corporation.

A potem oczywiście pojawił się jeszcze szwagier Frugoniego.

Harahap otworzył inny plik, w którym była podobizna ogorzałego, wysokiego mężczyzny o brązowych włosach, piwnych oczach, pociemniałej od słońca skórze, z krótko przyciętą brodą i z nosem, który mógłby starożytnym posłużyć za taran galery. W chwili śmierci dwa razy starszej żony Floyd Allenby miał tylko trzydzieści dwa lata i chociaż wydawał się skłonny do śmiechu, wtedy wesołość zdecydowanie go opuściła.

Harahapowi skojarzył się w pierwszej chwili z berserkerem. Chociaż to chyba nie tak. Floyd był członkiem klanu, a takie grupy zwykle hołdowały dawnym prawom. Miały własne poczucie sprawiedliwości i własne sposoby jej egzekwowania. Jeśli przyszło przy tym komuś zginąć, to trudno, ale nie znaczyło to, że szukali śmierci. Tak, to było coś, o czym należało pamiętać.

Zamknął plik, odchylił głowę do tyłu i zamyślił się. Z głośników płynęła kojąca muzyka, jeden z utworów, które słyszał u Bardasano. Nazywał się *Eroica*, a jego autorem był starożytny

kompozytor o nazwisku Bayhoven.

Rufino Chernyshev trafnie „przewidział” nowe obowiązki, którymi Bardasano zamierzała obarczyć Harahapa. Co oczywiście nie było żadnym zaskoczeniem. Chernyshev nic by nie powiedział, gdyby Bardasano wcześniej tego nie zaakceptowała. Ale Harahap musiał przyznać, że nie podejrzewał swoich pracodawców o tak wybujałe ambicje.

Nie był na tyle głupi, aby uwierzyć, że wie o tym wszystko, był pewien, że poznał tylko tyle prawdy na temat operacji Janus, ile w danej chwili miał poznać. Dla agenta terenowego był to chleb powszedni, chociaż tym razem zakres jego działalności był szczególnie szeroki.

Nawet jeśli Bardasano nakłamała mu w jakiejś części, opowiadając o tym „Równaniu”, wszystko sugerowało, że dysponowała znacznie większymi zasobami niż przeciętna korporacja czy nawet dowolny ich sojusz. To był bardzo poważny gracz. Dlatego też Bardasano przedstawiła mu szerszy obraz niż zazwyczaj. Musiała, skoro oczekiwała, że Damien wykorzysta całą swoją inteligencję i wszystkie umiejętności. Był głęboko przekonany, że nie powiedziała ani słowa za wiele, ale i te ograniczone informacje wystarczały, by uzmysłowić sobie skalę działań Równania. Naprawdę zamierzało zniszczyć Gwiazdne Imperium Manticore. Wprawdzie Bardasano nie powiedziała tego wprost, ale można było się domyślić, że pracowali nad tym od wielu lat, jeszcze w czasach, gdy Manticore nie odkryło terminalu Lynx.

Ciekawe, czy to Równanie stało za decyzją Haven, żeby wznowić działania wojenne, zastanowił się Harahap. Cholera, przy tym rozmachu należałoby raczej spytać, czy to nie oni wywołali całą tę wojnę między Haven a Gwiazdnym Królestwem. Musieli włożyć w to wszystko naprawdę wiele pracy, ale do czego dążą? To musi być coś więcej niż tylko wymazanie Manticore z mapy!

Pewnie tak, ale zaraz przypomniał sobie, że ciekawość bywa zabójcza i pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Zwłaszcza gdy bierze się udział w spisku na galaktyczną skalę. Niemniej pewne rzeczy i tak zastanawiały. Na przykład ten statek, który mu dostarczyli. *Факел* powstał na bazie jednostki kurierskiej, ale był większy niż podobne jednostki używane tak przez wojsko, jak i służby cywilne. Oficjalnie *Факел* nosił nazwę *Christiane Hauptman* i był zarejestrowanym w Manticore szybkim statkiem pasażerskim należącym do Kartelu Hauptmana. Na co dzień latał, posługując się fałszywą solarną rejestracją i nazwą *Caroline Henegar*. Jego prawdziwi budowniczowie i właściciele nigdy nie nadali mu nazwy, poprzestając na stoczniowym numerze kadłuba: DB-10024. W tej sytuacji Harahap, który miał teraz uchodzić za pracownika Kartelu

Hauptmana, uznał za stosowne nadać statkowi własną nazwę. Taką tylko do prywatnego użytku.

Yong Seong Jin, kapitan DB-10024, była zaintrygowana jego wyborem. Nigdy nie słyszała o języku macedońskim, a gdy wyjawiał znaczenie nowej nazwy, była raczej rozbawiona niż urażona. To dobrze, bo oznaczało, że miała poczucie humoru.

Podejrzewał, że Yong była wcześniej oficerem Mesan System Navy. A może nie wcześniej, tylko wciąż, biorąc pod uwagę, jak sprawnie dowodziła niewielką załogą. Była to ciekawa obserwacja, wskazująca na bliskie związki Równania z rządem Mesy. Najważniejsze jednak, że była kompetentnym oficerem. Nie tylko lubiła swoją robotę, ale była też inteligentna, miała wyobraźnię, której nie obawiała się używać. No i oczywiście rozumiała, że tajne operacje mają swoje wymogi. Nie musiał się obawiać, że przypadkowo się wysypie. To było znacznie więcej niż w przypadku pewnego oficera SLN, z którym musiał kiedyś pracować.

Факел był nie tylko komfortowo wyposażony, ale i szybszy niż jakikolwiek statek, którym zdarzyło mu się podróżować. Damien nie był biegły w fizyce nadprzestrzennej i nie wiedział, jak działa „napęd strumieniowy”, po prostu przyjął do wiadomości, że jest to całkowicie nowa jakość i że nie ma w galaktyce wiele statków równie szybkich jak *Факел*. Fakt, że Równanie trzymało takiego asa w rękawie, zachowując wynalazek tylko do własnego użytku, chociaż cała reszta galaktyki na pewno zapłaciłaby krocie za tę technologię, też dowodził jasno, że to bardzo poważny gracz.

Przy czym *Факел* nie był jedynym prezentem, jaki Harahap otrzymał od obecnych pracodawców.

Kolejnym był pełen pakiet medyczny, który pozostawiał jednak nieco do życzenia. Harahap znał zbyt wiele sposobów wszczepiania przełączników samobójczych. Często nie wymagało to nawet spotkania z lekarzem. Był pewien, że jego nowy doktor załatwiłby rzecz bez mrugnięcia okiem. To wystarczyło, aby zaczęły go nawiedzać koszmary senne. Z drugiej strony, gdyby naprawdę chcieli, mogliby to zrobić o wiele prościej, próbował więc się skupiać na pozytywnych sytuacjach.

Jeśli Bardasano mówiła prawdę, modyfikacja jego prolangu miała mu dodać około stu lat życia. Zdolność widzenia w niemal całkowitej ciemności nie była czymś, na co agent terenowy kręciłby nosem. Podobnie nanoboty naprawcze obecne w jego organizmie. Bardasano zademonstrowała mu ich działanie na własnej dłoni, gdy głębokie nacięcie skóry zagoiło się praktycznie na jego oczach. Było to równie skuteczne jak kliniczny moduł regeneracyjny,

choć w tym przypadku Równanie naruszyło zapewne kilka zakazów związanych ze stosowaniem w medycynie samoreplikujących się nanobotów. Zdarzało się, że takie początkowo nieszkodliwe technologie wymykały się spod kontroli, co mogło niepokoić, chociaż z drugiej strony i tak się upowszechniały, więc w sumie dlaczego miałby wzgardzić tym darem. Miał też wszczepiony w brzuch zbiornik tlenu i czujniki pola elektromagnetycznego w łopatkach. Jedno i drugie całkiem przydatne. Ponadto obiecano mu, że kiedy wróci, dostanie jeszcze nanosystem przeciwwchorobowy. Od naprawczego różnił się tym, że musiał zostać dostosowany do genotypu pacjenta, aby mógł skutecznie rozpoznawać wszystkie patogeny. To akurat musiało trochę potrwać, a on nie miał tyle czasu.

Spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślał ponuro. Nikt nie jest wieczny. Jasne, jeśli będzie trzeba, Bardasano pozbędzie się mnie w mgnieniu oka, to wiedziałem już wcześniej. Tyle że teraz byłoby mi znacznie trudniej „zniknąć”, gdybym musiał. Całkiem możliwe, że „planowe badania medyczne” będą obejmować od teraz wyzerowanie licznika. Czy czegoś, co w przeciwnym razie by mnie zabiło. W każdym razie ja bym to tak ustawił. Niemniej wynagrodzenie jest godziwe, praca ciekawa, a dopóki nie zбочę z drogi i niczego nie spieprzę, będą o mnie dbać i korzystać z moich usług.

W pewien sposób była to na tyle zabawna myśl, że przymknął powieki i dał się porwać muzyce.



– Mój Boże – powiedziała Helga Boltitz, kręcąc głową i wpatrując się w swojego drinka. – Nie mogę... nie mogę w to uwierzyć.

– Nie możesz w to uwierzyć? – zdumiała się Helen Zilwicka z ponurym wyrazem twarzy.

Helga szybko podniosła głowę.

– Wiem, że tobie trudniej to przyjąć – stwierdziła. – I ciężko mi sobie wyobrazić, na ile gorzej może jeszcze być, szczególnie przy tak skąpych informacjach. Ale po prostu to wydaje mi się... niemożliwe.

Helen westchnęła i łyknęła potężny haust piwa z kufła. Odczekała chwilę, nim opuściła kufel i spojrzała ponownie na swoją towarzyszkę.

Helga Boltitz była chyba jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Helen kiedykolwiek spotkała, a spotykała naprawdę urodziwe. Będąc matką adopcyjną w Balecie, miała kontakt z wieloma kobietami oraz co najmniej jednym mężczyzną, wyhodowanymi genetycznie specjalnie dla

urody. Ludzie, którzy kupowali takich niewolników, nie chcieli przecież płacić za brzydotę. A do tego wiele osób inwestowało w doskonale profile czy idealnie gładką skórę. Takie usługi dostępne były w całej galaktyce.

Niemniej Helga pochodziła z Dresden, gdzie prolong był dostępny dopiero od niedawna. Nie było tam też salonów bioinżynierii, zatem cała jej uroda musiała być naturalna.

Zdarzało się, że gdy Helen, która była zasadniczo mocnej i zwartej budowy, słyszała coś o swojej „zdrowej” sylwetce, zazdrościła w duchu tym, którzy wygrali los na loterii genetycznej i byli po prostu piękni.

Ale to nie zawsze jest dobre, prawda? – mówiła sobie. Wiedziałaś o tym, zanim jeszcze poznałaś Paula. To jest jakby...

Zduśiła w sobie tę myśl. Lepiej nie myśleć na razie o Paulu d'Arezzo. Trzeba poczekać, aż będą wiedzieć coś więcej.

– Przepraszam – powiedziała i uśmiechnęła się. – Nie chcę na tobie wyładowywać złości. To ta niepewność...

– To chyba rozumiem – odparła Helga. – Kiedy minister Krietzmann przekazał wiadomość od Terekhova i dowiedzieliśmy się, że zmierzacie do układu Monica, a my nie mieliśmy pojęcia, co się stało po tym, jak już dotarliście do celu... To był koszmar. Właśnie to, że tak długo musieliśmy czekać na jakieś informacje.

Helen pokiwała głową. Helga, która była osobistą asystentką Henriego Krietzmann, miała dostęp do tamtych skąpych wiadomości, tak samo jak minister obrony Quadrantu. Więc jeśli ktoś na Spindle rozumiał, co mogła czuć w tej chwili Helen i każdy obywatel Manticore przebywający w tym układzie, to chyba właśnie ona.

– No cóż – odezwała się, wyglądając z zacisznej wnęki na główną salę hałaśliwej restauracji.
– Tyle dobrego, że tym razem otrzymamy pełniejsze wiadomości znacznie szybciej. Nie będziemy musieli czekać na wieści tak długo jak wy po Monice.

– Wiem.

Helga sięgnęła po piwo. Od czasu przybycia 94. Eskadry Krążowników do Quadrantu obowiązki komodora Terekhova, którego miejscowy gabinet darzył sporym szacunkiem, parę razy już sprawiły, że Helen na nią wpadała, i w sumie nawet się polubiły. Oczywiście Helen pochodziła z nieco innej warstwy społecznej niż „Gwen” Archer, czyli porucznik flagowy admirał Henke i jedyna osoba z Manticore, którą Helga dotąd bliżej poznała. No i Helen z całą

pewnością nie była spowinowana z królową Elżbietą! Pochodziła za to z górzystego Gryphona i miała gryphoński charakter, co przemawiało do wyobraźni każdego z planety Dresden.

– Zastanawiam się, czy podadzą to do wiadomości publicznej – rzuciła cicho Helga.

Helen na nią spojrzała.

– Będą musieli. Różne serwisy informacyjne przekażą niebawem tę informację. Tego nie da się ukryć – zaznaczyła. – To największa rzecz, jaka zdarzyła się w tej wojnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat! Nawet gdyby u nas nic nie było, serwisy solarne rozdmuchają sprawę. Poza tym Manticore już dawno temu doszło do wniosku, że w tak skrajnych sytuacjach lepiej nie kombinować. Ludziom należy się coś więcej. A wreszcie lepiej zawsze mówić prawdę. Nie tylko w przypadku dobrych wiadomości, ale także złych. Wówczas ludzie są skłonni wierzyć w to, co słyszą.

– Rozumiem – zgodziła się Helga. – I nie twierdzą, że należy to ukrywać. Czy że w ogóle dałoby się to zrobić. Zastanawiam się, czy ogłoszą to już teraz.

Helen wzruszyła ramionami.

– O tym możesz prawdopodobnie wiedzieć więcej niż ja. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zapewne jeszcze chwilę z tym poczekają, żeby ludzie nie zaczęli panikować. Jednostki kurierskie na pewno są już w drodze. Sądzę, że premier Alquezar i baronowa Medusy wkrótce będą wiedzieli coś więcej.

Helga kiwnęła głową. Z sali dobiegał wesoły gwar. Ludzie wydawali się tak pełni optymizmu. Groźba ataku ze strony Ligi Solarnej nie zniknęła, ale teraz byli częścią Gwiezdnego Imperium Manticore i znajdowali się pod opieką Royal Manticoran Navy, ich gospodarka zaś miała rozkwitnąć dzięki aneksji, co oznaczało dużo lepszą pod każdym względem przyszłość dla nich i dla ich dzieci.

Tyle że owa tarcza, która miała ich chronić, otrzymała właśnie miażdżący cios.

– Uważasz, że może być aż tak źle, jak mówi wstępny raport?

– Zapewne nie. Chociaż... – Helen się skrzywiła. – Po Lovacie nigdy bym się nie spodziewała, że spróbują czegoś takiego. Bezpośredni atak na macierzysty układ? To wymaga... tych tam... wielkich jak arbuzy!

– Chyba nikt nie oczekiwał, że do tego dojdzie – powiedziała Helga. – Mam na myśli to, że walczyście z Haven już od tylu lat i gdyby w ogóle brali tę możliwość pod uwagę, to dlaczego nie wcześniej? To chyba miałyby więcej sensu?

Helen potrząsnęła głową.

– Każdy, kto spróbowałby czegoś takiego, miałby przerąbane, nawet gdyby „wygrał”. Właśnie dlatego żaden odpowiedzialny strateg nie podpisze się pod czymś podobnym, mimo że uderzenie na głębokie tyły przeciwnika może zadziałać, co właśnie udowodniliśmy. Przypuszczam zresztą, że komodor dobrze wyczuł, co się stało. Czy dokładniej dlaczego do tego doszło.

Helga uniosła brwi i zamachała rękami, jakby chciała odpędzić jakąś myśl.

– Sir Aivars uważa, że doszło do tego właśnie z powodu bitwy w układzie Lovat – wyjaśniła Helen. Terekhov otrzymał tytuł szlachecki niecały tydzień wcześniej. Razem z przyznanym mu przez parlament Medal of Valor, wręczonym przez baronową Medusy. – Księżna Harrington użyła tam nowych systemów naprowadzania pocisków dalekiego zasięgu. Okazały się bardzo skuteczne. Haven ma niemal takie same rakiety, ale nie rozwiązał jeszcze problemu ich celności. Przy maksymalnym zasięgu są mało skuteczne.

Helga kiwnęła głową. Jako asystentka Krietzmana była obecna, gdy Terekhov poinformował ministra obrony i resztę gabinetu o nowych pociskach Manticore. Nie udawała, że rozumie szczegóły techniczne, ale pojmowała konsekwencje. Teraz RMN mogła zniszczyć każdego przeciwnika, pozostając poza zasięgiem jego ognia.

– Cóż, komandor sądzi, że dojrzeli w tym jedyną szansę osłabienia nas, zanim wprowadzimy nowe uzbrojenie na większą skalę. Może nawet na tyle, że będziemy musieli się poddać. Nie sądzę, by ktokolwiek w Nouveau Paris uznał to za dobry pomysł. Na pewno obawiali się wielkich strat własnych. Jednak po załamaniu się rozmów i wydarzeniach w układzie Lovat mogli dojść do wniosku, że trudno. Na zasadzie raz się żyje. Wóz albo przewóz. A jak się uda, przekażą do Mount Royal własne warunki kapitulacji.

– I tylu ludzi zginęło – powiedziała ze smutkiem Helga, spoglądając na kufel, ale nagle uniosła głowę. – Och, Helen! Nie chciałam przez to sugerować...

– Jasne – przytaknęła Helen. – Martwię się o całą masę ludzi z floty, ale większość z nich nie znajdowała się zapewne w pobliżu *Hephaestusa*. Inna sprawa, że kapitan FitzGerald dostawał pewnie wścieklizny z bezradności. Siedzieć na mostku w takiej chwili i nie móc nic zrobić. Niestety do czasu przeprowadzenia napraw *Kociątko* będzie dysponować zerowym potencjałem bojowym. Tak więc nie martwię się o *Hexapumę* ani o nikogo na jej pokładzie.

Helga odetchnęła z ulgą, ale zastanowiła się mimowolnie, kogo z załogi krążownika Helen

mogła mieć na myśli. Odniosła wrażenie, że ten „nikt” jest jednak kimś bardzo konkretnym.

– Cóż – odezwała się. – Admirał Gold Peak będzie tu za jakieś trzy tygodnie. Może do tego czasu otrzymamy też dobre wieści.

ROZDZIAŁ XVIII



Vincent Frugoni, dawny sierżant Korpusu Piechoty Morskiej Ligi Solarnej, skrzywił się z niechęcią, gdy ktoś usiadł obok niego. Złapał ten rejs z portu kosmicznego Capistrano przede wszystkim dlatego, że wahadłowiec o tej porze był zwykle pustawy. Gdy uniósł głowę nad ekranu, przekonał się, że faktycznie. Na osiemdziesiąt miejsc tylko siedemnaście było zajętych. Niektórzy pasażerowie skorzystali z okazji i podobnie jak Frugoni siedzieli z dala od innych. Część drzemała, inni grzebali w minikompach.

I tylko jeden, nie wiedzieć czemu, uparł się usiąść tuż obok sierżanta.

Nie, żeby Frugoni miał coś osobiście przeciwko niemu. Przez długie lata wojskowej kariery przywykł do ciasnoty panującej na pokładach okrętów wojennych. Niemniej teraz, gdy został już cywilem, prywatność stała się dla niego jedną z podstawowych swobód obywatelskich.

Spojrzał na idiotę obok z wyraźną niechęcią, ale tamten tylko się uśmiechnął, jakby niczego nie pojmował. I chyba nawet nie zauważył tego, co przez całe dziesięciolecia sprawiało, że rekruci i szeregowcy drżeli przed jego spojrzeniem. Niestety, ta władza przeminęła wraz z końcem służby, cywilne życie zaś miało swoje ograniczenia. Trochę tęsknił za wojskiem. Z różnych powodów wolałby nie zmieniać miejsca, ale miał też szereg równie ważnych powodów, żeby to zrobić, westchnął więc, zamknął minikompa i sięgnął po torbę.

– A może jednak pan tu zostanie, sierżancie? – spytał cicho intruz i Frugoni zamarł. Spojrzał na tamtego, który ponownie się uśmiechnął i wskazał na siedzenie. – To bardzo wygodne miejsce – dodał. – No i tak będzie nam łatwiej rozmawiać. Trochę głupio byłoby krzyczeć do siebie przez przejście.

– A dlaczego miałbym z panem rozmawiać? – zapytał Frugoni ostrym tonem. – I w ogóle kim pan jest, do cholery?

– Eldbrand. Harvey Eldbrand. – Mężczyzna wyciągnął rękę.

Frugoni spojrzał na nią z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

– Obawiam się, że nie znam żadnego Eldbranda.

– Owszem, nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. – Tamten czekał z wciąż wyciągniętą ręką.

W końcu Frugoni zdecydował się krótko ją uściskać.

– Ale mamy wspólnych znajomych – kontynuował Eldbrand. – I trochę o panu wiem.

– Tutaj, na Swallow, ludzie poważnie traktują prywatność – stwierdził Frugoni ostrzegawczym tonem.

– Wiem – odparł spokojnie Eldbrand. – Dlatego powinien pan usiąść z powrotem, abyśmy mogli porozmawiać. Obiecuję, że będzie to dla pana ciekawa rozmowa. Może nawet pożyteczna.

– W jaki sposób?

Ledwo Frugoni zadał to pytanie, zrozumiał, że popełnił błąd. Powinien był tylko uścisnąć dłoń mężczyźnie, podziękować mu za towarzystwo i jednak się przesiąść. A teraz złapał się na haczyk. Paru pasażerów zauważyło już, że wstał i rozmawia z obcym. Mogli to zapamiętać i wspomnieć o tym, gdyby ktoś ich spytał. Poza tym na pokładzie wahadłowca był monitoring. Biorąc pod uwagę, kim był on sam i kim była jego siostra, agenci Piątki, czyli Piątego Inspektoratu kierowanego przez Tyrone’a Matsuhito, tajnej policji układu Swallow, mogli być zainteresowani każdą informacją na jego temat. Gdyby w tej chwili się oddalił, na pewno chcieliby wiedzieć dlaczego. Z drugiej strony, jeśli spokojnie usiądzie...

Zawahał się, po czym spokojnie wyjął torbę ze schowka, otworzył ją, wyciągnął czytnik, a następnie zamknął torbę i odłożył ją na miejsce. Usiadł z powrotem na swoim fotelu, uśmiechnął się sztucznie do towarzysza podróży i włączył czytnik.

– Nie lubię, gdy ktoś robi sztuczny tłok – powiedział tonem zwykłej konwersacji. – I jeszcze twierdzi, że mnie zna.

– Tego nie powiedziałem. Wspomniałem tylko, że sporo o panu wiem, co jest prawdą. I przyznaję, że złapałem ten lot, ponieważ pan go wybrał.

– Naprawdę? – Frugoni odchylił się w fotelu. – Chyba coraz mniej pana lubię.

– Szkoda – powiedział wesoło Eldbrand. – Bo gdyby zechciał mnie pan poznać, uznałby najpewniej, że mogę być pomocny.

– Znowu wspomina pan o moich korzyściach. – Frugoni wzruszył ramionami. – Szuka pan przewodnika na wycieczkę po górach? To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Bez obrazy, ale nie wygląda pan na kogoś, z kim mógłbym mieć wiele wspólnego – dodał z uśmiechem, który bez dwóch zdań był obraźliwy.

Nieznajomy tylko się zaśmiał.

– Całkiem nie o to chodzi! – rzucił z przekonaniem. – Wątpię, abym wytrzymał tam dłużej niż kwadrans, poza tym chyba nie stać mnie na pańskie usługi. Nie jestem tu w interesach, nie mam żadnych użytecznych znajomości. Ale i tak nie o to chodzi.

– Cóż, obecnie tylko o tym można ze mną rozmawiać – stwierdził Frugoni. – Nie służę już w Korpusie, chociaż nadal robię oficjalnie za „sierżanta”. Jestem przewodnikiem górskim, i to bardzo dobrym, że się pochwalę, chociaż mój interes jest dopiero w fazie rozruchu. Nie chcę się zajmować niczym innym.

– W każdym razie nie oficjalnie – zauważył Eldbrand i Frugoni zdrętwiał.

– Naprawdę szuka pan kłopotów? – Wyraz jego twarzy nadal był spokojny, ale spojrzenie złodowaciało. – To nie jest dobra planeta dla... jak to nazwać...? Dla prowokatorów. Teraz jestem tylko biznesmenem. Okay, jestem wkurzony jak diabli na Tallulah, a Tallulah wkurza się na mnie. Ma pretensje, że psuję im rynek. Ale jakoś mi się wiedzie. Mam dość dobrych kontaktów w Cripple Mountains. Lepszych niż oni, ale to już ich wina. Na mój skromny sposób robię więc wszystko, żeby im dokuczyć, a najbardziej boli ich spadek dochodów. I to jest teraz całe moje życie. Jeśli chce mnie pan nakłonić do czegoś innego, uwikłać mnie w coś, to marnuje pan czas. Jasne, chętnie zatańczę na grobie Tallulah, ale nie jestem taki głupi, żeby osobiście im ten grób kopać. Proponuję więc, żeby darował pan sobie te dwuznaczne uwagi albo zaczął je wygłaszać gdzie indziej.

– Panie sierżancie... Przepraszam, panie Frugoni, gdybym był z Piątki albo nawet pracował dla SFC, nie miałbym najmniejszego powodu, żeby stosować wobec pana prowokację.

Frugoni spojrzał na niego ze złością. Chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta, żeby nie dawać tamtemu nowego punktu zaczepienia. Nie spodziewał się, że potencjalny prowokator zareaguje tak otwarcie. Skoro zaś już to zrobił, sierżant nie wiedział, co właściwie powinien teraz odpowiedzieć. A w takich sytuacjach najlepiej było milczeć.

– Proszę się uspokoić – powiedział Eldbrand, po czym cicho parsknął. – Przepraszam. W pańskim przypadku to głupia rada. Pan tak nie reaguje. Rozumiem, jak to wygląda. Kalka z czegoś, co już było. Niemniej zjawiam się jako przyjaciel albo chociaż ktoś życzliwie neutralny. Nie życzę źle Ruchowi.

Frugoni sięgnął niespiesznie do kieszeni marynarki i dotknął wytartej rękojeści bojowego wibronoza Mk 63. Robiło się paskudnie. Jeśli dalej tak pójdzie, może nie wyjść z tego żywy. Ale tamten też nie przeżyje.

– Trzy miesiące temu podczas jednej z pańskich podróży do Wonder zaszedł pan do baru O’Casey’s – powiedział spokojnie Eldbrand. – Bar był dość podły, ale wychylił pan kilka piw z pewną damą... wątpliwej konduity. Nazywała się Gladys – dodał, krzywiąc się lekko. –

Przypuszczam, że nie brzmi gorzej niż Harvey, niemniej wydaje się, że znał ją pan wiele lat temu jako sierżant Glorię Stephanopoulos. To było podczas akcji wspierania Biura Bezpieczeństwa Granicznego w układzie Dillard. Zgadza się?

Frugoni poczuł lodowaty chłód. Siedział całkiem nieruchomo, a jego oczy przybierały z każdą chwilą ciemniejszy odcień. Ktoś, kto kiedykolwiek widział go w walce, zrozumiałby od razu, co to oznaczało. Jednak Eldbrand zdawał się nie zwracać na nic uwagi.

– Dla dobra argumentacji założmy, że mam rację – kontynuował. – Na tej samej zasadzie zakładam, że wiem o różnych sprawkach pana przyjaciółki, włączając w to handel bronią. Przypuśćmy też, że jedynym powodem, dla którego zdecydował się pan na tanie piwo w podrzędnym barze, była nadzieja, że Gladys skontaktuje pana z jednym ze swoich dostawców. Kimś, kto mógłby załatwić kilkaset wojskowych karabinów pulserowych. A może też trochę rakiet przeciwlotniczych i przeciwpancernych.

– Gdyby w tych pańskich „przypuszczeniach” było choć słowo prawdy, a oczywiście tak nie jest, w ciągu trzydziestu sekund byłby pan martwy – powiedział cicho Frugoni.

– To byłoby wielkie marnotrawstwo, sierzancie. Wiem, że nie służy już pan w piechocie morskiej, ale jestem przekonany, że w tej chwili rozmawiam raczej z zawodowym sierżantem, a nie ze zwykłym biznesmenem, jakim stara się pan być na użytek Piątki. Proszę się nad tym zastanowić. Skoro ludzie z Inspektoratu, ba, nawet ci z listy płac Tallulah Corporation, wiedzą to, co właśnie panu przekazałem, to po jakie licho mieliby zastawiać na pana pułapkę? Może mi pan wierzyć, że gdyby lokalne władze wiedziały to, co ja wiem, zostałyby pan „zniknięty” w chwili zejścia na ląd w Capistrano. Nie wiem, czy dostaliby pana żywcem, ale nawet gdyby im się udało, mieliby z panem same kłopoty. Marine mają odporność na takie sytuacje. Tak czy siak, nie bawiliby się w jakieś prowokacje. – Wie pan lepiej niż ja, że Matsuhito czy Karaxis nie działają w ten sposób.

Frugoni siedział z dłonią wciąż na rękojeści wibronoża i próbował jakoś się w tym odnaleźć. Instynkt ostrzegał go, że to jakaś prowokacja, niemniej Eldbrand miał rację. Swallow nie było miejscem, w którym władze przejmowałyby się takimi drobiazgami, jak poszlaki czy dowody. Inaczej było może tylko w górach. Gdyby ktoś z rządu Rosy Shuman podejrzewał go o to, o czym wspomniał właśnie nieznajomy, najpierw by go zgarnęli, poszukiwanie dowodów zostawiając na później. Czyli na jakąś wolną chwilę po jego pochowaniu.

Nie marnowaliby też czasu na śledzenie mnie, aby dobrać się do Floyda, pomyślał. Gdyby

mieli coś na niego albo na Jasona, załatwiliby to już lata temu. Tyrone i Karaxis nie potrzebują żadnych dowodów, żeby kimś się zająć, ale wiedzą też, że zainteresowani nie wyściubią nosa z gór. I wiedzą, że nie polecę do Floyda z żadną durną propozycją. Żaden z nas nie da się tak łatwo nabrać, czego więc ten facet chce?

– To nie jest rozmowa, na którą miałbym ochotę – powiedział w końcu. – Z kimkolwiek. Zwłaszcza z obcym. I to w transporcie publicznym. Zakładając oczywiście, że taka rozmowa w ogóle ma sens i może coś przynieść.

– Wręcz przeciwnie, transport publiczny to bardzo dobre miejsce na takie rozmowy – zaoponował Eldbrand. – Mają monitoring, ale widziałem, jak zbadałeś okolicę przed zajęciem fotela. Właśnie dlatego powiedziałem, że to dobre miejsce. Kamery nie widzą tu dobrze twoich ust. Gródź przy automacie z napojami blokuje kamerę z lewej, tę nad dwunastym rzędem, a najdalsza z prawej jest za nami. Gdybyśmy wstali i odwrócili się w lewo o jakieś trzydzieści stopni, pewnie dałaby świetny obraz. Ale dopiero wtedy.

Frugoni rozdał nerwowo nozdrza. Siły bezpieczeństwa układu Swallow nie próbowały nawet maskować urządzeń służących inwigilacji. Zgodnie z obecnie obowiązującą konstytucją była to w pełni legalna działalność. Niemniej Eldbrand trafnie wskazał najbliższe kamery, włącznie z tą, która znajdowała się w lampie. Frugoni zrobił to samo wcześniej, zanim wybrał miejsce. Użył do tego małego i dyskretnego urządzenia, które dostarczyła mu sierżant Stephanopoulos. Zastanawiał się, czy Eldbrand miał w kieszeni coś podobnego.

– Jeśli chodzi o systemy audio – kontynuował tamten – obawiam się, że te, które znajdują się w pobliżu, doznały akurat awarii. – Frugoni sprężył się i Eldbrand pokręcił głową. – Nie ma powodu do niepokoju. Jestem pewien, że Piątka gotowa byłaby uznać, że to pana sprawa, ale gdy zbadają rzecz dokładniej, okaże się, że odpowiedzialny jest pan zajmujący miejsce 21B. W razie kontroli znajdą w jego bagażu mały, ale kosztowny drobiazg. Zasadniczo szpiegowski, wykonany z użyciem nanotechnologii, posiadający także kilka funkcji zagłuszania. Tak się składa, że jedna z nich jest w tej chwili aktywna. Uszkodzony przełącznik. Obawiam się, że właściciel bagażu nawet tego nie zauważył. Inna sprawa, że czeka go zapewne nie lada przeprawa, zwłaszcza jeśli pracodawcy trafią na ślad transferu funduszy otrzymanych od Rappaport Industries. Z tego, co wiem, Rappaport toczy swoistą wojnę z OFS, wspierającym interesy Tallulah Corporation i jej ekonomiczne panowanie w układzie Swallow. Założę się, że władze uznają, iż zatrzymany zbierał różne przydatne informacje dla Rappaport Industries.

Zapewne źle się to dla niego skończy – dodał z zimnym uśmiechem. – Ale nie ma co go żałować. Jest śledczym TSE i od lat zajmuje się przemytem cudów nowoczesnej technologii oraz szau.

Frugoni nagle przestał się przejmować. W zwykłych okolicznościach wolałby nawet nie myśleć o losie tego człowieka. Na pewno byłby nie do pozazdroszczenia. Ale o ile nie miał nic przeciwko szmuglowaniu na Swallow zakazanych tutaj technologii, o tyle szau był czymś całkiem innym. Zawsze zdarzali się ludzie na tyle głupi, żeby spróbować każdego świństwa, nawet szau, Vincent Frugoni uważał jednak, że najlepiej byłoby topić takie osoby za młodu. Szau był jednym z niewielu środków psychoaktywnych, które były zakazane na wszystkich światach. Powodował śmiertelnie groźne skutki uboczne i w stu procentach prowadził do uzależnienia. W ostatniej fazie wywoływał rozmaite psychozy z bardzo gwałtownymi objawami, co również nie skłaniało władz do jego tolerowania.

Jeśli Eldbrand mówił prawdę, dobrze by było, żeby ktoś, choćby Matsuhito, zajął się tym człowiekiem. Najlepiej z trwałym skutkiem.

A jeśli on rzeczywiście handluje szauem, nikt nie uwierzy w gadanie, że zagłuszcacz nie był jego.

Z drugiej strony mogło jednak być i tak, że Eldbrand pracował dla Piątki i wszystko, co mówił, było bajką. Tyle że wydawało się to coraz mniej prawdopodobne. Jeśli nieznajomy naprawdę wiedział aż tyle o wizytach Frugoniego w Wonder i naprawdę potrafił zidentyfikować dilerów i tak go wykorzystać, był osobą, z którą należało się liczyć.

– Skąd pan wiedział, że on będzie akurat na pokładzie? – zapytał po chwili sierżant.

– Ponieważ przez ostatnie szesnaście–siedemnaście miesięcy brał ten rejs za każdym razem, kiedy wracał na planetę – wyjaśnił Eldbrand. – Jestem zaskoczony, że pan go nie zauważył. Pierwsze cztery razy wybrał go, ponieważ pan nim leciał. Ale teraz już pana nie inwigiluje. Tym trudni się rudowłosa kobieta na miejscu 6C. On wie z pewnych źródeł, że podczas tego lotu zasady bezpieczeństwa traktowane są nieco luźniej, i wykorzystuje to do własnych celów.

Frugoni zerknął na rudowłosą i ponownie skupił uwagę na Eldbrandzie.

– O tak, nadal starają się mieć na pana oko. – Tamten wzruszył ramionami. – Gdyby nie wojskowa przeszłość, zapewne już dawno zaprosiliby pana na pogawędkę. No i gdyby nie Fundacja Nixona. Nie wiem, jak długo Luther i jego ludzie będą przebywać na Swallow, ale wątpię, czy odlecą przed takim albo innym zakończeniem konfliktu między Tallulah i Rappaport. Pobyt Luthera jest finansowany z pieniędzy, które Rappaport przekazał Nixonowi.

Frugoni spojrział na niego z namysłem, po czym skinął głową. To miało sens i wyjaśniało kilka rzeczy. Fundacja Nixona była jedną z tych organizacji solarnych, które żyły z dobrych uczynków. Jakieś dziewięćdziesiąt procent darowizn i innych funduszy szło na koszty ogólne, koszty podróży i wzrastające regularnie wynagrodzenia, ale poza tym fundacja zdawała się traktować prawa człowieka o wiele poważniej niż reszta podobnych organizacji. Jerome Luther, kierujący „zespołem weryfikacyjnym”, miał na koncie wykrycie gangu handlarzy niewolnikami genetycznymi, i to nie gdzie indziej, jak w układzie Cooper, niecałe sto lat świetlnych od Terry. W przeciwieństwie do wielu niezależnych agencji medialnych, które zajmowały się podobnymi tematami, Fundacja Nixona była ceniona za rzeczowość i uparte dążenie do wyjaśnienia różnych spraw. Frugoni i jego chłopcy długo się zastanawiali, co mogło sprowadzić Luthera na takie zadupie, jak Swallow.

– Wie pan, panie Eldbrand, zdaje się pan wiedzieć strasznie dużo o tym, co się dzieje w naszym układzie. Dziwne, jak na kogoś, kto mówi z akcentem wskazującym, że nie jest stąd.

– Moi przełożeni zadbali, żebym o tym wiedział – odparł spokojnie Eldbrand.

– A to dlaczego? Wątpię, żeby pracował pan dla Rappaport. I niech mi pan nie mówi, że jakaś trzecia korporacja włączyła się do tej zabawy!

– Nie, nic tak banalnego – odpowiedział Eldbrand. – Powiedziałbym raczej, że reprezentuję suwerenny naród gwiazdny, który z własnych powodów jest zainteresowany wspieraniem pewnych inicjatyw. Na przykład takich jak Ruch Cripple Mountains.

– I pewnie jeszcze robi to ze szczerego odruchu serca – prychnął Frugoni. – Przepraszam, panie Eldbrand, ale już od dawna nie wierzę w króliczka wielkanocnego.

– Nie powiedziałem, że chodzi o bezinteresowną działalność – stwierdził łagodnym tonem obcy. – W rzeczywistości motywy tego działania są bardzo konkretne. Gdy zdarzy się komuś wojna na ostro z Solarian League Navy, warto czasem zadbać o to, żeby miała ona trochę więcej roboty gdzie indziej i tym samym mniej czasu i sił mogła przeznaczać na zasadniczy konflikt. Tak więc moi przełożeni zaczęli szukać stosownych okazji i w ten sposób trafili na sprawę pańskiej siostry. Po tym, jak zareagował na jej śmierć pański szwagier i reszta jej rodziny, sprawa już trochę temu zrobiła się dość głośna. Mówiono o niej nawet w głównych serwisach informacyjnych Ligi. Dlatego też Nixon przysłał tutaj Luthera, przynajmniej oficjalnie dlatego. Już po analizie pierwszych raportów zaczęliśmy rozumieć, co tu się dzieje. Potem wystarczyło wydać trochę środków i uruchomić różne możliwości... którymi dysponują moi przełożeni.

Szczerze mówiąc, pieniądze nie są dla nas wielkim problemem. Zwłaszcza gdy pomyśleć, jak kosztowna może być alternatywa.

– Widziałem już kilka razy, jak ktoś brał się do tej gry – powiedział Frugoni, odwracając głowę do okna. – Zwykle była to jakaś spasiona korporacja, która miała chrapkę na czyjś teren.

– Albo Biuro Bezpieczeństwa Granicznego – dopowiedział cicho Eldbrand. Frugoni spojrzał na niego i skinął głową. – Nasi ludzie uznali, że decyzję o porzuceniu kariery w Marines podjął pan, jeszcze zanim pańska siostra została zabita. Nie spodobało się panu to, do czego doszło w Al-Bakiyi, prawda?

– Nie – odparł ostrym tonem Frugoni. – Szczególnie nie podobało mi się, że Biuro przekonało Brisbane i jej ludzi, że będzie ją popierać, a ledwo ona uznała ich obecność w układzie za „gwaranta pokoju”, zaraz rzuciło ją wilkom na pożarcie.

– I zastanawia się pan, czy moi przełożeni nie postąpią podobnie z panem. – Eldbrand skinął głową. – Szczerze mówiąc, pomyślałem, że to może być dla pana problem. Dlatego między innymi zjawilem się osobiście. Aby spróbować przekonać pana, że tak się nie stanie. Spodziewam się, że nie będzie to łatwe. I w sumie nawet lepiej. Wolę pracować z ludźmi, którzy potrafią myśleć. Ale prawda jest taka, że mamy wszelkie powody, aby życzyć wam sukcesu... oraz aby nie być postrzeganymi tak samo jak ludzie, którzy zniszczyli Andriannę Brisbane. Obawiam się, że osiągniemy to dopiero po wyłożeniu kart na stół, ale zapewne już rozumie pan, dlaczego może mi zależeć, aby pan mi uwierzył.

– A jeśli jednak zdecyduję inaczej?

– Wtedy wrócę na mój statek i polecę do domu. Nikomu nic się nie stanie, nie będzie żadnych konsekwencji. – Eldbrand wzruszył ramionami. – Swallow jest tylko jednym z kilku układów, którym się przyglądamy. Biorąc pod uwagę działalność Tallulah Corporation, dobrze byłoby coś z nimi zrobić, ale nie jesteśmy altruistycznymi szaleńcami. Jeśli więc pan i rodzina Allenbych nie wykażecie zainteresowania, będziemy życzyć wam dobrze i poszukamy kogoś innego, kto przyjmie naszą pomoc.

– Rozumiem. – Frugoni pochylił się nad leżącym na kolanach czytelnikiem. Zastanawiał się jakieś dwie minuty. – Jak na razie przykuł pan moją uwagę – powiedział wreszcie. – Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób weszliście w posiadanie tak szczegółowych informacji o układzie Swallow. Może nawet uda mi się to ustalić. Niemniej zrobił pan na mnie wrażenie, co niewątpliwie było celem tego spotkania. Zastanowię się nad pańską ofertą. Ale sam pan chyba

rozumie, że na razie nie mogę i nie chcę przemawiać w czyimkolwiek imieniu. Muszę najpierw przedstawić im sprawę. A zatem z kim właściwie rozmawiałem? Poza tym, że przedstawił się pan jako „Harvey Eldbrand”?

– To jedna z rzeczy, które należy zachować na później. Do momentu wyłożenia kart. A jeśli Eldbrand niezbyt się panu podoba, to może Firebrand zabrzmiał lepiej?

WRZESIEŃ 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Rozumiem, dlaczego możesz być trochę... zaskoczony. Oczywiście nie byłoby mądre, gdybyś od razu wziął moje słowa za dobrą monetę i uwierzył, że jestem szalenie sympatycznym gościem. Z drugiej strony do niczego nie dojdziemy, jeśli będziemy tu tylko stać z wycelowanymi w siebie pulserami”.

– Damien Harahap do Tomka Nowaka, Łądek, planeta Włocławek

ROZDZIAŁ XIX



Dobry wieczór, porucznik Zilwicka.

Helen, która właśnie weszła do głównej sali restauracji, odwróciła się w stronę źródła głosu. Quillen's uchodziła za jeden z najlepszych lokali w Thimble i ceny skrupulatnie to odzwierciedlały. Znajdowała się jednak dość blisko zarówno rezydencji gubernatora, jak i siedziby głównego dowództwa Augustusa Khumala, przez co była całkiem popularna wśród personelu marynarki wojennej.

– Poruczniku Archer – zwróciła się uprzejmie do rudowłosego i zielonookiego oficera. Siedział przy jednym ze stołów pod ścianą, pożądanym dość, bo nie było tu takich wiele, a towarzyszyła mu osoba, którą Helen zbiegiem okoliczności akurat знаła. – Pani Boltitz.

– Zechciałyby pani do nas dołączyć? – spytał Archer. – Dopiero co zamówiliśmy.

– Oczywiście, sir – odparła, chociaż zastanowiła się, czy na jego miejscu postąpiłaby tak samo.

Admirał Gold Peak przyleciała dopiero dwa dni temu, przy czym większość wczorajszego dnia zajęło jej zapoznawanie się z raportami na temat bitwy o Manticore. Nie było to dla niej łatwe, a Helen wiedziała też, jak bardzo komodor Terekhov przejął się rolą posłańca, który przyniósł złe wieści. Archer jako porucznik flagowy był równie zajęty jak jego przełożona. Zapewne nie miał dotąd czasu, żeby poznać kogoś na Spindle, niemniej... Ona sama, gdyby była facetem i miała przyjaciółkę, która wyglądałaby jak Helga...

Bądź dla niego miła, Helen, pomyślała. Ostatecznie jest porucznikiem flagowym admirał Gold Peak. Może mieć całą masę w pełni legalnych powodów, żeby spotkać się z Helgą na lunchu. Zachnęła się w duchu. Legalnych może tak, ale czy na pewno służbowych?

– Dlaczego „pani Boltitz”? – spytała Helga z wyraźnym zdumieniem w głosie, gdy Helen odsunęła sobie krzesło. – Obraziłam cię jakoś czy co?

– Nie, ale to jest formalna sytuacja – odparła Helen, spoglądając znacząco wokół.

– Byłoby nietaktem pozwolić sobie na inną formę w obecności starszego oficera – wyjaśnił Archer. – Myślałem, że znasz te zasady.

– Jakim cudem głowa mieści ci się jeszcze w berecie, Gwen? – zapytała Helga.

– To trudny temat... – odparł żałośnie. – Co najmniej dwa razy w tygodniu muszę zmieniać

go na większy.

Helga zachichotała, a on uśmiechnął się do niej, po czym odwrócił się do Helen.

– Wiem, że nie mieliśmy dotąd sposobności, aby lepiej się poznać – powiedział. – Ale teraz będziemy zapewne spędzać razem wiele czasu, więc pomyślałem, że może dobrze będzie chwilę porozmawiać. Nie wiedziałem, że poznała już pani Helgę, chociaż przez ostatnie sześć miesięcy rzeczywiście musiałyście nieraz się spotykać, zważywszy na jej rolę u boku ministra Krietzmana i pani pracę dla komodora Terekhova.

– Całkiem szybko łapie wątek – odezwała się poważnym tonem Helga. – Jest nawet inteligentny, jak na kogoś z chromosomem Y.

– A ty wykazujesz brak szacunku dla starszych – odpowiedział jej równie poważnie Archer.

– Och, błagam o wybaczenie!

Helen uśmiechnęła się, rozścieliła sobie na kolanach serwetkę i sięgnęła po drukowane menu. Wiedziała, że specjalnie żartowali dla rozluźnienia atmosfery, ale wychodziło im to nawet naturalnie. Dla Helen był to powód do radości. Miała Helgę za jedną z najpiękniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkała, to zaś, z jakim ciepłem w oczach spoglądała teraz na Archera, nasuwało jednoznaczne wnioski.

Helen spojrzała uważnie na Archera, zastanawiając się nad tym, czego właśnie się dowiedziała. Porucznik Gervais Winton Erwin Neville Archer, nic dziwnego, że wołał pseudonim „Gwen”, był prawdopodobnie sześć lub siedem standardowych lat starszy od Helgi. Tym samym dziesięć lat starszy niż Helen, chociaż zdawał się tym nie przejmować, podobnie jak różnicą stopni. Miał rude włosy, zielone oczy (tak samo jak Helga) i mały nos. Jego rodzina, tak jak w przypadku Helen, zaczęła przyjmować prolong już trzy pokolenia temu, przez co wyglądał jak zdecydowanie młodszy brat Helgi. Był też, jak jego długie miano wskazywało, dalekim kuzynem hrabiny Gold Peak i królowej Elżbiety, chociaż szczęśliwie okazał się odporny na arystokratyczne zadęcie, cechujące wielu znanych Helen szlachetnie urodzonych. W odróżnieniu od większości górali z Gryphona często zdarzało się jej obracać w arystokratycznym towarzystwie.

No i dzięki Bogu nie przeciąga sylab.

Przy stole pojawił się prawdziwy kelner i Helen zastanowiła się nad zamówieniem.

– Te polędwiczki z Montany są świeże czy mrożone? – spytała.

– W Quillen’s? – Kelner wyglądał na głęboko zranionego tym pytaniem.

– Zatem poproszę, to rzadka okazja – powiedziała. – Ale tak, żeby tylko przywitały się z ogniem na przytarcie rogów. Do tego pieczone ziemniaczki z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem oraz sałatka. Sos z niebieskiego sera pleśniowego. Macie mrożoną herbatę?

– Obawiam się, że nie, ma'am. – Tym razem kelner zmieszał się lekko, ale nie wyglądał na urażonego.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– W takim razie proszę o dzbanek gorącej herbaty, dużo cukru i jeszcze więcej lodu.

– Oczywiście, ma'am.

– Och, i jeszcze kilka plasterków cytryny – dodała.

– Tak jest, ma'am.

Zniknął, a Helen zorientowała się, że Helga i Archer przyglądają się jej badawczo.

– Mogliby nauczyć się serwować mrożoną herbatę – powiedziała. – Zaczęłam ją pijać dzięki ludziom z Graysona, jak porucznik Hearn. Ale służy ich u nas więcej.

– Wiem – powiedział Archer. – Chodzi raczej o twoją instrukcję smażenia polędwicy.

– Co? – Zmarszczyła brwi, a potem parsknęła śmiechem. – Masz na myśli to przytarcie rogów? – Kiwnął głową. – Przepraszam. Obawiam się, że nabrałam złych nawyków. Stephen Westman zawsze tak zamawia.

– Naprawdę? – Archer uśmiechnął się. – Jakoś nie jestem zdziwiony. Wszystko, co o nim słyszałem, sugeruje, że pan Westman jest... osobą niezwyklego formatu.

– To całkiem dobrze go opisuje – przyznała Helen.

– Tak myślałem. Admirał Gold Peak chciała się z nim spotkać, kiedy byliśmy w Montanie, ale zabrakło czasu. Nie wiedziałem, że go poznałaś.

– Komodor Terekhov przydzielił mnie do pana Van Dorta jako asystentkę w czasie, gdy *Paskudne Kociątko* rozgrywało dyplomatyczny mecz między Spindle, Splitem i Montaną. Westmana poznałam podczas jego spotkań z komodorem i panem Van Dortem.

Archer kiwnął głową, ona zaś postanowiła nie dodawać, jak bardzo – i boleśnie – kojarzyła się Westmanowi z Suzanne Bannister Van Dort, siostrą jego najlepszego przyjaciela... i wieloletnią, ale zmarłą już żoną Bernardusa Van Dorta.

– Dobrze. Ale to mi o czymś przypomina. – Archer pokręcił głową. – Admirał Gold Peak wyszukała wszystkie raporty, które odnosiły się do wydarzeń w gromadzie Talbott, i kazała mi się z nimi zapoznać. Uważa, że im więcej będę o tym wiedział, tym bardziej okaże się jej

pomocny. Helga przekazała mi naprawdę sporo o Dresden i o tym, co działo się tutaj, na Spindle. Ale ty widziałaś na własne oczy, jak Van Dort i sir Aivars nakłonili Westmana do złożenia broni. Westman zdaje się wciąż mieć wiele do powiedzenia na Montanie, więc chętnie wysłucham wszystkiego, co możesz mi o nim powiedzieć, Helen.

– Naprawdę? – Zastanowiła się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami. – Cóż, najważniejsze, o czym trzeba pamiętać, to że urodził się na Montanie. Tam wszyscy są trochę szaleni, ale on i tak się wyróżnia pod tym względem. W sumie niewiele się różni od przeciętnego górala z Gryphona. Myślę, że dogadałby się z moim ojcem. Zakładając, że najpierw by się nie pozabijali. Pamiętam pierwszy raz, kiedy się z nami spotkał i...



Twardy drań z tego sierżanta, pomyślał Damien Harahap z czymś w rodzaju podziwu i zamknął plik. Byłoby dobrze, gdyby pozwolił mi spotkać się ze swoim szwagrem, stare powiezenie, że jesteś tym, z kim się zadajesz, ma tu chyba zastosowanie. Ktoś taki jak Frugoni nie grałby drugich skrzypiec u boku gościa, który jego zdaniem nie zasłużył na poparcie i lojalność. To wiele mówi o Allenbym.

Nie mogło być inaczej.

Zabezpieczył plik, do którego wrócił dopiero po paru tygodniach od wizyty w układzie Swallow. Uważał, że zawsze dobrze jest nabrać trochę dystansu i dopiero wtedy ostatecznie zredagować raport. Niemniej *Факел* zbliżał się już do kolejnego z zaplanowanych portów i nadszedł czas, aby przyjrzeć się następnej pozycji na liście.

Tym razem miało być trudniej. Ludzie Bardasano stworzyli dla niego dobrą tożsamość, która powinna ułatwić mu poruszanie się w układzie bez zwracania uwagi miejscowych sił bezpieczeństwa. Tyle że nie oznaczało to, że równie łatwo będzie mu skontaktować się z tamtejszymi wywrotowcami. Najpierw musiał ich odnaleźć i dowiedzieć się, kim są naprawdę.

Oczywiście jacyś dysydenci musieli tam być. Może głęboko zakonspirowani, ale jednak. Do takiego wniosku prowadziło już pobieżne przejrzanie materiałów na temat Włocławka. Chociaż materiały dostarczone przez analityków Bardasano były w tym przypadku o wiele uboższe niż na temat układu Swallow, zawierały obszerny opis struktur miejscowej władzy i sytuacji politycznej, które wyglądały jak podręcznikowy wręcz przykład reżimu na kursie radykalizacji postaw. Tyle że ci sami analitycy nie potrafili podpowiedzieć Harahapowi, gdzie szukać przeciwników dyktatury, przedstawicieli jakiegoś opozycyjnego ruchu, który musiał tam istnieć. Szczęśliwie

przy obecnej fałszywej tożsamości miał spore szanse wzbudzić zainteresowanie i zaufanie tych ludzi.

Brak bliższych danych wynikał w dużej części z tego, że na Włocławku brakowało przedstawicielstw międzygwiazdnych korporacji. Przynajmniej na razie. Kilka z nich węszyło wokół, ale jak dotąd nie zdołały się przebić przez panującą tam korupcję, która nie ustępowała tej wprowadzanej przez solarne korporacje na innych planetach. Jednak ten reżim, jak i sama korupcja, były całkowicie własnego chowu, nieudane reformy zaś, zainicjowane przez Ruch Odrodzenia Narodowego, tylko pogorszyły sytuację.

I zrobiło się całkiem paskudnie.

Taki obrót spraw był całkiem częsty i nieunikniony, zawsze gdy reformatorzy stawali się więźniami systemu. Harahap nie był w stanie zliczyć, o ilu podobnych „ruchach odrodzenia narodowego” zdarzało mu się czytać. Wszystkie kończyły dokładnie tak samo. W sumie najczęściej zdarzało się to na planetach najbardziej, wręcz rozpaczliwie potrzebujących reform. Zapewne dlatego, że tam właśnie trafiało się najwięcej osób, które z wielką determinacją broniły status quo. Korupcja była ich narzędziem. Nawet najwięksi rewolucjoniści byli tylko ludźmi, a żaden człowiek nie jest w pełni odporny na narkotyk władzy. Gdy reformatorzy także mu ulegali, niemal zawsze stawali się gorsi i bardziej skorumpowani niż ci, których obalili. Obecne niepokoje, które ogarnęły Włocławek po zestrzeleniu autobusu powietrznego pełnego dzieciaków, zdawały się tylko to potwierdzać.

Prawdziwy błąd Ziomkowskiego polegał na tym, że nie zrobił porządku z miejscową kleptokracją, pomyślał Harahap. Ale to dlatego, że był reformatorem, nie rewolucjonistą. Uważał, że polityczne działania wystarczą, żeby „naprawić system”. Nie zdawał sobie sprawy, że to sam system był problemem. Gdyby na podobieństwo Roba Pierre’a posłał kilka tysięcy ludzi pod ścianę i skonfiskował kilkaset fortun, coś by pewnie osiągnął. A tak...

Problem Harahapa był o wiele prostszy niż w przypadku Włodzimierza Ziomkowskiego, bo jego pracodawców nie obchodziło, czy system zostanie naprawiony czy rozwalony. Liczyło się tylko to, żeby wysiłek, podjęty dla osiągnięcia któregośkolwiek z tych celów, okazał się wystarczająco spektakularny. Oczywiście woleliby, żeby kampania zakończyła się fiaskiem, i łatwo zrozumieć dlaczego, jednak on gotów był nawet życzyć im powodzenia. Jego zdaniem Bardasano i jej Równanie przyjęli po części niewłaściwą strategię. Pokonanie Gwiezdnego Imperium zajmie im zapewne jeszcze sporo czasu i Manticore zdąży przeprowadzić niejedną

akcję w stylu gromady Talbott. Udowodnienie winy Manticore poprzez udaną prowokację przyniosłoby większe szkody wizerunkowe niż jakikolwiek inny scenariusz.

Gdy wieści o skutkach operacji Janus dotrą do Old Chicago, Kolokoltsov, MacArtney i inni Mandaryni zakrećą radośnie kołem propagandy, przedstawiając Manticore jako skorumpowany, ekspansywny i zdradziecki imperialistyczny reżim, a ci idioci ze światów centralnych, którzy uwierzyli naiwnie, że Biuro Bezpieczeństwa Granicznego jest „aniołem pokoju”, będą jeść im z ręki. Niemniej w przypadku powodzenia operacji Janus Mandaryni wpadliby zapewne w autentyczne przerażenie. Dotarłoby do nich, co Biuro naprawdę robiło na tym obszarze, i musieliby podjąć zdecydowane kroki. To było coś, co naprawdę przydałoby się Bardasano i jej przełożonym. Liga Solarna była jedynym mocarstwem mogącym naprawdę zniszczyć Manticore. Wszystko, co nie motywowało Ligi do tego wysiłku, było w gruncie rzeczy marną inwestycją, chociaż mogło mieć znaczenie na poziomie taktycznym.

Może i tak, pomyślał, ponownie otwierając plik Włocławka i wchodząc do indeksu. Ale to nie znaczy, że w końcu im się nie uda. I jeszcze to naleganie Bardasano, żeby operacja Janus objęła koniecznie przynajmniej kilka układów, w których Liga Solarna nie była obecna. To był dobry pomysł, który stawiał Manticore jeszcze bardziej na cenzurowanym i mógł sprawić, że lokalne rządy układowe będą bardzo ostrożnie, albo nawet wrogo, podchodziły do jakichkolwiek działań Gwiezdnego Imperium w ich okolicy.

Zachichotał cicho na tę myśl, nie tylko dlatego, że był rzemieślnikiem, który lubi dobrą robotę. Damien Harahap dobrze pamiętał własne dzieciństwo i wszystko, co mogło sprawić kłopoty oligarchom w rodzaju tych, którzy trzęśli Włocławkiem, wywoływało uśmiech na jego twarzy.

Tylko pamiętaj, że nie jesteś tutaj po to, żeby im dokopać, pomyślał.



Tomek Nowak zmarszczył czoło, gdy zupełnie niepozorny przybysz spoza planety minął frontowe drzwi firmy Szymański i Synowie i staroświeckim chodnikiem skręcił w prawo.

Gość wyglądał nijako, ale kręcił się w coraz ciekawszych miejscach. Firma Szymański i Synowie nie była największym dostawcą sprzętu medycznego w Łądku, lecz należała do najstarszych w stolicy. Jakimś cudem nie została przejęta przez żadnego oligarchę, chociaż w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat jej udział w rynku spadł drastycznie. Szczęśliwie Siostry Ubogich nadal zaopatrywały się tylko tam, podobnie jak Szpital imienia Marii Urbańskiej oraz

wszystkie jego oddziały w mieście. To wystarczało, aby firma trwała.

Ale dlaczego ten mężczyzna interesował się sprzętem medycznym, pozostawało kompletną zagadką. Nowak nie lubił takich zagadek. Zwłaszcza związanych z kimś, kto zdawał się węszyć za jakimiś informacjami.

Nowak wiedział tylko, że przybysz reprezentował Fundację Oscara Williama Madisonsa, solarną organizację charytatywną, która powstała ponad trzy wieki temu. Teoretycznie można by więc oczekiwać, że ktoś taki postara się nawiązać kontakt z Siostrami Ubogich i ich dostawcami, był wszakże jeden haczyk. Fundacja Madisonsa od dawna nie skupiała się już na swojej „statutowej” działalności. Nowak niewiele o tym wiedział, ale jego przyjaciel, Radosław Kot, który pierwszy zauważył pana Mwenge’a, wykorzystał swoje dziennikarskie kontakty, aby ustalić pewne fakty.

Pierwszym, co zwróciło jego uwagę, było to, że Mwenge przyleciał prywatną jednostką kurierską, która wydawała się czymś więcej niż tylko wypieszczonym luksusowym jachtem. Gdy dowiedział się, że Biuro Bezpieczeństwa i Prawdy ledwo zainteresowało się przybyszem, stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Okazało się, że BBiP pozwoliło mu przejść kontrolę celną na priorytetowych zasadach, w terminalu zaś czekał na niego niezbyt wysoki przedstawiciel Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza Hieronima Mazura. To wyglądało już bardzo ciekawie, więc Kot zaczął kopać jeszcze głębiej i odkrył, że Fundacja Oscara Williama Madisonsa cieszyła się swoistą sławą. Już wiele lat temu została przejęta przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, a jednocześnie nadal przyjmowała znaczne darowizny na realizację fikcyjnych programów. Dziewięćdziesiąt procent tych darowizn trafiało do kieszeni pracowników, menedżerów i dyrektorów fundacji, subsydiowanej też przez Biuro i różne skorumpowane międzygwiazdne korporacje, którym zależało na wizerunku. Fundacja odwdzięczała się, opowiadając w całej Lidze Solarnej o swoich dobrych uczynkach na rzecz biednych i słabych światów w obszarze Pogranicza. No i oczywiście podkreślała przy tym, że Biuro Bezpieczeństwa Granicznego udziela jej wszechstronnej pomocy, a wiele z tych działań nie byłoby możliwych bez wydatnego wsparcia różnych korporacji.

Biorąc pod uwagę protesty, które przetaczały się przez stolicę przez trzy tygodnie po zestrzeleniu autobusu, i brutalne prześladowania, które nastąpiły później, Partia rozpaczliwie potrzebowała czegoś, co by poprawiło i jej wizerunek. Nowak zawsze uważał, że Krzywicka i Pokriefke powinny bardziej się przejmować opinią publiczną, jednak całe szanowne grono

poszukiwaczy truflii zawsze bardziej zwracało uwagę na to, czy aktualna sytuacja polityczna nie wpłynie negatywnie na ich biznesy i turystykę. W tym kontekście krew na ulicach niewiele dla nich znaczyła.

To tłumaczyło zapewne, dlaczego Mwenge tak ulgowo przeszedł przez wszystkie kontrole. No i najpewniej dlatego odwiedził siedzibę Komisji Wolności i Sprawiedliwości Społecznej Bjørna Kudzinowskiego. Ta agenda pasowała do jego wizyty. Nic nie tłumaczyło jednak, dlaczego teraz próbował nawiązywać kontakty z prawdziwymi organizacjami charytatywnymi Włocławka. Chyba że chciał pozyskać w ten sposób informacje o lokalnych „elementach wywrotowych”.

Przy wzburzeniu, które zapanowało po publikacji w sieci niejawnych materiałów związanych z zestrzeleniem autobusu, Pokriefke musiała być teraz szczególnie wyczulona na wszelkie formy nielegalnej działalności. Była odpychającą osobą, ale w odróżnieniu od Mazura potrafiła myśleć. I czasem nawet to robiła.

Niemniej zdaniem Nowaka obcy nie był agentem BBiP ani BDK. Oni rzadko działali solo, co było nawet mądre, biorąc pod uwagę, jak ich kochano, Mwenge zaś raczej nie miał żadnego wsparcia. Nie wykluczało to oczywiście możliwości, że wraz ze swoją fundacją pracował dla któregoś z poszukiwaczy truflii, który usłyszał coś o Krucjacie Wolności Myśli i rozpoczął prywatną akcję przeciwko niej.

Nie, Tomku, to nie tak, powiedział sobie. Ale jeśli jednak, to jest dziwnie subtelny, jak na kogoś pracującego dla Mazura czy innych oligarchów. Oni od dawna nie muszą stwarzać pozorów. Cokolwiek zrobią, wystarczy słowo, a każdy sąd ich uniewinni.

Mwenge ruszył ulicą Mazowieckiego, kierując się w stronę portu kosmicznego. Jeśli informacje Nowaka były poprawne, jego jacht powinien stać na prywatnej płycie, zatem zapewne wracał na pokład. To mogło, chociaż nie musiało, być znakiem, że jego osobliwa aktywność na Włocławku dobiegła końca.

Najmądrzej byłoby teraz dać mu spokój i pójść swoją drogą, pomyślał Nowak. Dokładnie tak. Pytanie tylko, czy zamierzasz to zrobić.

Parsknął z cicha na tę myśl, bo pytanie było retoryczne.

Nasadził głębiej kapelusz, wsunął dłonie do kieszeni płaszcza i pochyliwszy głowę przed zimowym wiatrem, dostosował tempo marszu do kroków obcego.



Damien Harahap przeglądał zdjęcia rzutowane na soczewkę kontaktową w lewym oku. Mała kamera ukryta w jednym z guzów paska dawała mu panoramiczny widok na przestrzeń z tyłu. Była to stosunkowo prosta technologia, która już wielokrotnie mu się przydała.

Człowiek, który szedł za nim, był wysoki, z szerokimi ramionami. Towarzyszył mu co najmniej od czterech przecznic. Gdy Harahap wyszedł z siedziby firmy Szymański i Synowie, tamten siedział na ławce na przyległym skwerze. Możliwe, że po prostu zażywał świeżego powietrza. Niemniej temperatura wynosiła pięć stopni powyżej zera, co nie sprzyjało raczej relaksującym spacerom.

Jesteś strasznie podejrzliwy, Damienie Harahap, powiedział sobie w duchu. Podejrzliwy, nieufny i cierpisz na paranoję.

Skręcił w boczną uliczkę, oddalając się od centrum miasta w stronę dzielnicy, której Włocławskie Biuro Turystyki z zasady nie reklamowało. Minał spalony sklep i zastanowił się, jak długo już stał pusty. Czy padł ofiarą ostatnich zamieszek? A może jego poczerniały fronton był typowy dla tej okolicy? Nie miał jak się dowiedzieć. Tamten szedł za nim krok w krok. Harahap pokiwał głową.

Zaczyna się robić ciekawie, pomyślał. Facet mógł być agentem BBiP, który chciałby zadać kilka pytań. Legitymacja Fundacji Madisonsa to jedno, ale tamtego mogło interesować chociażby to, z kim gość rozmawiał przez ostatnie sześć dni. Mógł też być zwykłym rzezimieszkiem, który zauważył, ile forsy Harahap zostawił dotąd na mieście. No, istniała jeszcze i taka możliwość, że...

Po chwili uznał, że Biuro Bezpieczeństwa i Prawdy chyba jednak odpada. Jego funkcjonariusz podszedłby po prostu, pokazał odznakę i załatwił swoje. I to pewnie bez cienia uprzejmości, zważywszy na to, dla kogo niejaki Dupong Mwenge oficjalnie pracował. Chociaż mógłby o tym nie wiedzieć. Lokalnym reżimom zależało przede wszystkim na tym, żeby obecność agentów była dobrze widoczna. Ot tak, tytułem ostrzeżenia. Do tego nie musieli być dobrze poinformowani. Niemniej ludzie z takich instytucji zwykle zaliczali się do jednego z dwóch typów: albo dyskretnie nie rzucali się w oczy (tak jak zazwyczaj Damien Harahap), albo stawiali na brutalną ostentację. A ten facet nie pasował do żadnej z tych kategorii.

Harahap zmrużył oczy, doszedłszy do bramy w dekoracyjnym, ale wyszczerbionym ogrodzeniu ciągnącym się po lewej. Pusty teren po drugiej stronie był zapewne kiedyś całkiem przyjemnym parkiem. Oryginalni projektanci Łądka wplekli umiejętnie liczne wyspy zieleni

między zabudowę. Teraz nagie drzewa wyrastały nad bujnymi krzakami, które pochłoneły place zabaw i romantyczne ścieżki.

Było to idealne miejsce dla rabusiów. Harahap zagwizdał z cicha i zagłębił się w gąszcz.



Zaczyna się robić ciekawie, pomyślał Nowak. Pewnie mnie zauważył. Pytanie tylko, dlaczego właśnie skręcił do zapuszczonego i ciemnego parku. Bo chyba nie dlatego, że mu się spodobałem.

Podszedł do bramy, za którą zniknęła jego zwierzyna. Jeśli Mwenge naprawdę był zwierzyną, a nie myśliwym. Przez chwilę zastanowił się nad takim scenariuszem, ale Biuro Bezpieczeństwa i Prawdy nie działało przecież w ten sposób. Gdyby czarne kurtki podejrzewały go o cokolwiek, zaprosiłyby go na rozmowę do swojej siedziby w centrum. Oczywiście w swoim stylu, wywalając drzwi w środku nocy. Na pewno nie podsuwaliby mu tajemniczego gościa z innego świata i nie czekali, aż wlezie w ich pułapkę. Chyba że ktoś tam wpadł na pomysł złożonej akcji mającej na celu infiltrację Krucjaty Wolności Myśli.

Naprawdę powinienes pogadać z Tomaszem, zanim ruszysz do boju, powiedział sobie w duchu. Sam wiesz, że zbyt często najpierw działasz, a dopiero potem myślisz. I to wcale nie jest tak, że narażasz wtedy tylko siebie.

Wszystko to było prawdą, ale wiedział, że nikogo nie będzie teraz o nic pytał. Po części dlatego, że nie było na to czasu. Jeśli teraz się nie ruszy, straci okazję, którą Mwenge tak uprzejmie mu podsunął. Ale był też inny powód. Gdyby Mwenge okazał się jednym z bandziorów BBiP, Nowak zrobi z nim porządek. A gdyby mu się nie udało, byłby jedyną ofiarą tej sytuacji.

Zakładając oczywiście, że procedura samobójstwa zadziała tak, jak powinna.

Wszedł do parku.



Harahap skręcił, przeciskając się przez szczelinę między dwoma miejscowymi kolczastymi krzewami, które prawie zamykały zwirową ścieżkę. Za nimi trafił na mały, błotnisty staw, zarośnięty w dużej części trzcinami. Przy brzegu widniała cienka tafla lodu, dalej kręciło się apatycznie wodne ptactwo. Wszystko to pasowało do szarości, ponurości i beznadziei tego świata, czy też jego widocznego oblicza. Bo była przecież jeszcze lawa wzbierająca w wulkanie pod stopami. Nawet biorąc pod uwagę zwyczajową głupotę reżimowych służb, trudno mu było

zrozumieć, jakim cudem miejscowe elity nie pojęły jeszcze, po jak cienkim lodzie stąpają.

Polanka ze stawem okazała się ślepa, bez widocznego przejścia gdzieś dalej. Wzruszył ramionami. Wolałby mieć jakąś drogę odwrotu, ale agent czasem musi improwizować. Zbliżył się kilka metrów do stawu, po czym się odwrócił i spojrzał w stronę, z której przyszedł. Nadal pogwizdując i z prawą ręką w kieszeni kurtki.



Nowak nigdy wcześniej nie zaglądał do tego parku. Nie miał ochoty na spotkanie z pojawiającym się tu elementem. Teraz trochę się zgubił. Mwenge skreślił gdzieś w gąszcz, zanim Tomek podszedł bliżej, a on nie znał tutejszych ścieżek.

Przez chwilę stał nieruchomo i nasłuchiwał. Odgłosy miasta dobiegały tu przytłumione. Oprócz roślinności wyciszały je rzędy niegdyś eleganckich kamienic otaczających park. Przy okazji osłaniały też przed zimnym, porywistym wiatrem, który nie był tutaj tak dokuczliwy. W pewnej chwili usłyszał słaby gwizd. Przechylił głowę.

Paradne, pomyślał. Brakuje tylko, żeby zostawił za sobą trop w postaci rozwijanej włóczki.

Cóż, zasadzka czy nie, Mwenge chyba naprawdę chciał z nim porozmawiać.

Było tylko jedno wyjście.



Gdy mężczyzna przeciskał się przez krzaki, Harahap zrewidował swoje poglądy na jego temat. Tamten był naprawdę szeroki w ramionach i poruszał się teraz jak ktoś, kto regularnie odwiedza siłownię. Jego twarz nawet nie drgnęła, gdy musiał wyszarpnąć lewą rękę z kolców. Prawą zaś trzymał w kieszeni płaszcza. Dokładnie tak samo jak Harahap.

– Zastanawiałem się, czy pan przyjdzie – powiedział spokojnie były żandarm, odbezpieczając kciukiem schowany w kieszeni pulser. – Witam w moim biurze. – Zatoczył lewą ręką koło, jakby chciał się pochwalić wystrojem.

Przybysz parsknął, jakby naprawdę go to rozbawiło.

– Zastanawiałeś się? – powiedział. – A ja się zastanawiałem, dlaczego mnie tu zaciągnęłaś.

– Czasami trudno jest zainteresować osoby, z którymi chce się porozmawiać.

– Naprawdę? – Mężczyzna przechylił głowę. – A co sprawia, że masz mnie za właściwego rozmówcę? Przez ostatni tydzień rozmawiałeś głównie z ludźmi z fundacji dobroczynnych. Zwłaszcza takich jak twoja. W sumie normalna sprawa. Ja nie mam z tym gronem nic wspólnego.

– Nie masz – zgodził się Harahap. – Z drugiej strony, chciałbym porozmawiać z kimś, kto

naprawdę wie, co się dzieje w organizacjach w rodzaju Sióstr Ubogich. Tyle że wywołałoby to raczej zdziwienie i podejrzliwość: ktoś spoza świata pyta o takie rzeczy... A jeszcze gorzej by wyszło, gdyby ten obcy dał do zrozumienia, że nie przepada za Stowarzyszeniem Eksporterów Owoców Morza i poszukiwaczami trufli. – Uśmiechnął się lekko. – A skoro już o tym mowa, chyba powinienem zaznaczyć, że nie jestem też fanem pani Pokriefke z Biura Bezpieczeństwa i Prawdy.

Nowak zauważył, że nieznajomy wymawia polskie nazwy znacznie poprawniej niż większość gości. Zarazem obcy akcent identyfikował go jako przybysza. Niemniej...

– Nie wiem, na ile zdajesz sobie sprawę, panie Mwenge, że takie teksty oznaczają na Włocławku spore kłopoty. A jak na kogoś, kto nie lubi Małej Justyny, dziwnie sprawnie przeszedłeś przez kontrolę w porcie kosmicznym. I jej czarne kurtki chyba ci tam pomogły. Poza tym Hieronim Mazur nie ma zwyczaju wysyłać przedstawicieli stowarzyszenia dla powitania krytykantów patrzących koso na jego firmę. Zakładając oczywiście, że ich krytyka jest szczerą. Chyba więc rozumiesz, że nie wszystko mi się tu zgadza.

Harahap uśmiechnął się, gdy usłyszał w słuchawkach tłumaczenie „Małej Justyny” na standardowy angielski. W jego raportach nic o tym nie było i zastanowił się dlaczego. Przezwisko nie brzmiało wcale pogardliwie.

– Rozumiem, dlaczego możesz być trochę... zaskoczony – powiedział głośno. – Oczywiście nie byłoby mądre, gdybyś od razu wziął moje słowa za dobrą monetę i uwierzył, że jestem szalenie sympatycznym gościem. Z drugiej strony do niczego nie dojdziemy, jeśli będziemy tu tylko stać z wycelowanymi w siebie pulserami. – Uśmiechnął się szeroko, gdy Nowak przymrużył oczy. – Dobrze – odezwał się tonem człowieka komentującego pogodę. – Odnoszę wrażenie, że w ogóle nie interesuje cię rozmowa z kimś, kto, po pierwsze, wprost mówi, że nie podoba mu się to, co się tutaj dzieje, po drugie, zdołał ukryć swoją prawdziwą tożsamość przed funkcjonariuszami reżimu, i po trzecie, może pomóc komuś tutaj, na Włocławku, w zmianie obecnego rządu na jakiś lepszy. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy na twarzy jego rozmówcy odmalowało się głębokie zdziwienie. – Nawiasem mówiąc, jeśli okaże się, że jesteś wielbicielem pierwszej sekretarz Krzywickiej, wyprę się wszystkiego, co powiedziałem.

– A gdybym to nagrywał? – spytał Nowak, żeby zyskać na czasie. Wciąż nie otrząsnął się z zaskoczenia.

– Gdyby to nagranie doszło do skutku, byłbym głęboko rozczarowany i rozżalony, że moi

przełożeni wyposażyli mnie w wybrakowany sprzęt. – Harahap sięgnął powoli do lewej kieszeni i wyciągnął z niej jakiś drobiazg.

– Co to jest? – spytał podejrzliwie Nowak.

Harahap wzruszył ramionami.

– Sprawdź swój komunikator – zaproponował.

Nowak spojrzał na niego niepewnie, po czym uniósł lewą rękę i lekko odsunął rękaw, by zerknąć na noszoną na nadgarstku bransoletę. Po chwili popatrzył znowu na Harahapa.

– Obawiam się, że potrzebujesz nowego – powiedział uprzejmie Harahap. – I tym razem warto zainwestować w taki, który będzie zabezpieczony przed kierunkowym impulsem elektromagnetycznym. Przy okazji możemy być pewni, że dowolne urządzenia podsłuchowe, które mogłeś mieć na sobie czy przy sobie, także zostały zniszczone. Co więcej, jeśli pulser, który trzymasz w kieszeni, nie jest wojskowym modelem, takim jak mój, to wątpię, czy zdołasz mnie zastrzelić. Proponuję więc, abyś wyjął rękę z kieszeni. Wtedy ja zrobię to samo i będziemy mogli porozmawiać przez chwilę jak cywilizowani ludzie. – Uśmiechnął się ponownie, tym razem nawet ciepło. – Obiecuję, że nie będę oczekiwał od ciebie żadnych deklaracji i nie spytam nawet, kim jesteś. Tym razem nie spytam. I wybacz mi, proszę, szczerą, ale jeśli nie jesteś lepszym aktorem, niż mi się wydaje, i dobrze odczytuję twoje reakcje, najpewniej nie pożałujesz poświęconego mi czasu.



Poszło lepiej, niż można było oczekiwać, pomyślał Damien Harahap godzinę później, patrząc w ślad za oddalającą się sylwetką rozmówcy, który minął już bramę parku i skierował się w stronę centrum.

Mężczyzna nie wyszedł z roli i nie przekazał żadnej informacji o tajnych organizacjach, które mógłby ewentualnie reprezentować. Owszem, mogło być i tak, że nie był z żadną powiązany, chociaż fakt, że jak dotąd nikt nie aresztował Harahapa, wskazywał na coś wręcz przeciwnego. W sumie więc sytuacja rozwijała się w najbardziej pożądanym kierunku.

Twardy, inteligentny i odważny, pomyślał. I nie był kimś niskiego szczebla. Ktoś wysłał go, żeby mnie obserwował. I albo otrzymał komplet informacji na mój temat, albo sam mnie sprawdził.

Przedstawił mu się jako Topór, co minikomp przetłumaczył jako „Axe”. Zapewne było to równie prawdziwe miano jak Mwenge. Poza tym słuchał go cierpliwie przez niemal godzinę,

sporadycznie tylko przerywając pytaniami. Potem przyjął zaszyfrowaną kombinację numeru kontaktowego i odszedł.

Ciekawe, czy go wykorzysta... i czy będzie jakieś drugie spotkanie. Czy może to tylko pułapka zastawiona przez BBiP.

Przynajmniej nie będzie nudno, mruknął filozoficznie i pogwizdując, wznowił przerwany spacer do portu kosmicznego. Wędrując chłodną nocą, zaczął się zastanawiać nad strategią piarową, którą miał niebawem przedyskutować ze starszym asystentem Bjørna Kudzinowskiego.

To naprawdę była świetna przykrywka.

ROZDZIAŁ XX



Zatem ufam, że ustalenia dotyczące finansowania są zadowalające? – Karl-Heinz Sabatino usiadł wygodnie z kieliszkiem brandy w jednej ręce, drugą wybierając sobie cygaro.

Adam Šiml uśmiechnął się, i to całkiem szeroko, do swojego gospodarza. Jego snifter, zawierający sto siedemdziesiąt mililitrów dziewięćdziesięcioletniej solarnej brandy, stał na inkrustowanym stoliku z prawdziwego ziemskiego mahoni. Adam także wziął cygaro z humidora podsunętego przez Jiřego Bradáča, osobistego asystenta Sabatina.

– Na pewno nie mogę narzekać na tempo przekazania funduszy – przyznał.

Rozpakował cygaro, odciął koniec złotą gilotynką, także podaną przez Bradáča, i bez pośpiechu, z uwagą zajął się zapalaniem ciasno zwiniętego tytoniu. Posmakował wypełniający usta dym. Rozkoszując się jego słodyczą, raz jeszcze podziękował w duchu Lao Thanowi, lekarzowi z Beowulfa z VI wieku, który dopracował szczepionkę przeciw rakowi.

Zaraz jednak dobry humor go opuścił, chociaż wyraz jego twarzy nie zmienił się ani o jotę. Przypomniał sobie, że znana od siedemnastu stuleci szczepionka nie była obecnie dostępna dla każdego Chotěborzanina. Owszem, przed plagą komarów każdy mógł ją otrzymać, ale teraz mógł sobie pozwolić na nią tylko ten, kto mógł zapłacić klinikom prowadzonym przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, Frogmore-Wellington i Iwaharę. Biuro niezmiennie twierdziło, że trzeba jakoś pokryć koszt opieki medycznej, a sama opłata nie była jego zdaniem wygórowana i wynosiła tylko około trzydziestu sześciu razy tyle, co koszt samej szczepionki. W rzeczywistości nie było to takie proste, zwłaszcza że na wielu planetach ta szczepionka była dostępna w ramach powszechnych programów opieki medycznej, a tu nawet „niewygórowana” opłata wykraczała poza możliwości lwiej części mieszkańców ogarniętego stagnacją ekonomiczną Chotěbořu.

To samo dotyczyło kilkunastu innych chorób, które na bardziej rozwiniętych światach w ogóle już nie występowały, na Chotěborze zaś zdarzały się coraz częściej.

Ale do diabła! Nie można przecież mieć wszystkiego, prawda?

Nie pierwszy raz nachodziły go podobne myśli, chwilowo jednak nic nie mógł na to poradzić, więc uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Sokol może zawsze korzystać z innego kompleksu sportowego – powiedział. – Część naszych stadionów i innych obiektów wymaga remontu. – Wzruszył ramionami. – Od pewnego

czasu nie mamy zbyt wiele pieniędzy. Sam rozumiesz. Ludzie poczują się o wiele lepiej, jeśli będziemy mogli pozwolić sobie na najpilniejsze naprawy i renowacje. Zwłaszcza jeśli będziemy mogli planować, uwzględniając oczekiwane wpływy, tak jak było kiedyś.

– Cieszę się. – Sabatino zapalił już cygaro i wypuścił niemal idealny pierścień dymu, który popłynął dostojnie przez bibliotekę. Gospodarz odprowadził go pełnym satysfakcji spojrzeniem, po czym zwrócił oczy z powrotem na Šimla. – Niewiele organizacji jest tak godnych finansowania jak twój Sokol. Trochę mi wstyd, że dopiero teraz dotarło do mnie, ile dobrego robi. – Lekko przymrużył piwne oczy. – A jeśli jest szansa, by nakłonić Frogmore-Wellington i Iwaharę do okazania dobrej woli i wsparcia Sokola, liczę na dwojaki efekt. Może to trochę wyrachowane, ale nie da się ukryć, że chodzi o biznes i zarabianie na wypłaty dla akcjonariuszy. I to jest najważniejsze, a jeśli mogę upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, to dlaczego nie. Zwłaszcza że muszę podsunąć coś księgowym tytułem uzasadnienia wydatków.

– Oczywiście. – Šiml kiwnął głową i wypuścił kłęb dymu. – Rozumiem, że musiało trochę potrwać, zanim rozpoznałeś teren. Ustaliłeś, na ile warto wspierać Sokola i co możesz z tego mieć. Teraz i w dłuższej perspektywie.

– Dokładnie o tym myślałem, kiedy wystąpiłem z propozycją regularnych darowizn – odparł Sabatino ze śmiechem. – Ufam, że kwoty, które uzgodniłem z panią Tonovą, zaspokoją wasze najważniejsze potrzeby?

– Najważniejsze tak – stwierdził z naciskiem Šiml. – I to nawet na górkę.

– Doskonale... – Sabatino spojrział mu w oczy. – Jestem pewien, że będziemy mogli pomóc także z innymi sprawami. W granicach rozsądku oczywiście.

– Oczywiście – zgodził się Šiml.

Sabatino znów się uśmiechnął, przypominając sobie rozmowę z Luisem Vernerem i początkowy sceptycyzm administratora systemu. Prawdę mówiąc, Verner nie przedstawił żadnych innych konkretnych argumentów przeciwko pomysłowi, niż Sabatino oczekiwał. Adam Šiml był jakby urodzonym społecznikiem z wyjątkowo altruistycznym podejściem. Ale trudno, nie od razu Beowulfa zbudowano. Z drugiej strony, Karl-Heinz Sabatino nie osiągnąłby swojej pozycji, gdyby łatwo porzucał trudne projekty. Jego pierwsze rozmowy z Šimlem nie wydawały się obiecujące, ale się nie poddawał. No i ostatecznie dobrze wyszło. Według raportu Bradáča, który powęszył dyskretnie w miejscowym systemie bankowym, Šiml chował do swojej kieszeni blisko czterdzieści procent darowizn przekazywanych Sokolowi przez Frogmore-Wellington i

Iwaharę.

Nie było to wiele, jak na zwyczaję miejscowej elity. Normą byłoby raczej sześćdziesiąt albo nawet siedemdziesiąt procent, zwłaszcza w przypadku organizacji w rodzaju Sokola, która bez trudu mogłaby znaleźć dla swojego prezesa całe mnóstwo fikcyjnych podstaw do wypłat. Niemniej nawet owe czterdzieści procent było dobrym znakiem. Gdy Šiml na dobre zwiąże się już z nowymi dobroczyńcami, niewątpliwie zwiększy swój udział. No i już teraz dawał do zrozumienia, że w stosowny sposób odwdzięczy się na arenie politycznej za opiekę.

Zresztą nawet to, co teraz zgarnia dla siebie, wystarczy, aby trzymać go w garści, pomyślał Sabatino, uśmiechając się dobrotliwie do gościa. Może i bierze mniej niż inni w tym grajdole, ale dla zniszczenia reputacji wystarczy. Zwłaszcza że oficjalnie pozuje ciągle na wielkiego społecznika. A jeśli na dodatek wycieknie coś na temat naszych obecnych ustaleń, to już po nim.

– Dobrze pomagać komuś, kto tyle czasu poświęca na pomaganie innym – powiedział głośno. – A jeśli to pomoże także moim interesom, to tym lepiej.



– Jak kolacja? – spytał uprzejmie Zdeněk Vilušínský i zaśmiał się, gdy Šiml uniósł prawą dłoń z wyprostowanym palcem środkowym. – Czyli dobrze, prawda?

– Jedzenie było doskonałe, brandy jeszcze lepsza – odpowiedział Šiml. – Tylko trudno było coś przełknąć, zważywszy na towarzystwo.

– On naprawdę jest o wiele gorszy niż, powiedzmy, Cabrnoch albo Kápička?

– Zależy, jak rozumieć „gorszy”. – Šiml przeszedł przez swoją bibliotekę, która była znacznie mniejsza i nie tak elegancko urządzona jak u Sabatina, ale wypełniały ją książki, które gospodarz naprawdę przeczytał. Potem usiadł w fotelu za biurkiem, a Vilušínský opadł na swój ulubiony rozłożysty fotel po drugiej stronie i uniósł pytająco brwi. – Cabrnoch jest świnią przy korycie – powiedział tonem oczywistego stwierdzenia, które nie podlega dyskusji. – Ma zamiar do upadłego cieszyć się władzą i poza tym nic go nie obchodzi. Boi się tylko, że pewnego dnia może wypaść z łask. Sam wiesz, że zgarnia wszystko, co tylko wpadnie mu w ręce, i lokuje poza naszym układem, na wypadek gdyby musiał stąd uciekać... – Przerwał i Vilušínský skinął głową. – Samo w sobie jest to złe, a Kápička jest w pewien sposób jeszcze gorszy. – Skrzywił się. – Zastanawiam się, na co liczył Juránek, gdy polecił Cabrnochowi Kápičkę do obsady Bezpieczeństwa Publicznego!

– Pewnie miał na niego dość haków, aby liczyć, że ostatecznie to on, nie Kápička, będzie

rządzić resortem. I że przyda się to podczas ostatecznej konfrontacji z Cabrnchem. Albo kimkolwiek innym – dodał cynicznie jego przyjaciel.

– Jeśli tak, to nasz szacowny wiceprezydent jest jeszcze głupszy, niż myślałem. – Šiml pokręcił głową. – Kápička ma IQ co najmniej dwa razy wyższe niż Juránek. Jasne, nadal nie jest to wiele, skoro Juránek to zwykły aparatczyk. Ale Kápička jest innego chowu. Wątpię, żeby ktokolwiek miał na niego dość haków, żeby go sobie ustawić. – Šiml przechylił się z fotelem do tyłu. – Niekiedy nawet go lubię. Kocha piłkę nożną i nie żyje na cudzy koszt do tego stopnia co Cabrnch czy Juránek. Nie jest święty i ma swoje za uszami, ale nie jest draniem. Problem polega na tym, że naprawdę wierzy w gadaninę o „elementach wywrotowych”, które tylko czekają na okazję, żeby wyrwać się spod kontroli resortów siłowych i zaprowadzić krwawy terror.

– A nie sądzisz, że trochę racji w tym jest? – spytał cicho Vilušínský.

– Mam nadzieję, że niewiele, chociaż owszem... Pewności nie mam – przyznał szczerze Šiml. – Niektórzy z naszych ludzi... czy raczej sporo z naszych ludzi cholery już dostaje. Bardziej niż ja, i nie bez powodu. Na przykład Taťána Holečková. Albo Kateřina Lorenzová. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Ci, których bliscy zginęli, zaginęli czy zostali okaleczeni, marzą bardziej o zemście niż o sprawiedliwości. Chyba trudno im się dziwić. Ale tutaj właśnie logika Kápički zaczyna się sypać. Każde kolejne nazwisko, które dodaje do tej ponurej listy, sprawia, że opozycja rośnie, a nastroje stają się coraz paskudniejsze. Sam wiesz, że nawet niektórzy z jego agentów trafili przez to do Jiskry! Taka taktyka spowoduje tylko, że gdy już się zacznie, nie obejdzie się bez rozlewu krwi.

– Zauważyłem, że powiedziałeś „gdy”, a nie „jeśli”. – Vilušínský uśmiechnął się lekko. – To jedna z tych rzeczy, które zawsze w tobie podziwiałem. Optymizm.

– Nie wiem, na ile zdołamy to odwlec w czasie – rzekł Šiml. – Nie wiem też, na ile uda nam się to opanować. Ale sam wiesz, że cokolwiek zrobimy, ten kocioł wybuchnie. To już przesądzone. Naprawdę nie pojmuję, jakim cudem ci ludzie, którzy przecież nie są głupi, jak chociażby Kápička i Sabatino, nawet Siminetti, mogą wierzyć, że ich czas będzie trwał wiecznie. Że nic nie zagrozi ich pozycji.

– Wiedzą, że mają poparcie Biura Bezpieczeństwa Granicznego i Floty Pogranicza. Chyba nie sądzisz, że ktoś taki jak Verner zawaha się przed użyciem przemocy dla ochrony własności sprawdzonych przyjaciół z Frogmore-Wellington czy Iwahary? – Teraz Vilušínský pokręcił

głową. – I to nie byłby pierwszy raz. Miłujące pokój Biuro Bezpieczeństwa Granicznego regularnie musi stawiać czoło „terrorystom” atakującym legalnie wybrane rządy i zagrażającym obywatelom Ligi Solarnej, którzy przez swoje inwestycje podnoszą standard życia na światach Pogranicza! – stwierdził z przekąsem. – No i wysyłają wtedy marines, którzy zabijają akurat tyłu „terrorystów”, ilu trzeba zabić.

– Nie powiedziałem, że zwyciężymy – zauważył ponurym tonem Šiml. – Powiedziałem, że dojdzie do wybuchu.

Starzy przyjaciele spoglądali na siebie przez kilka sekund, po czym Vilušínský skinął głową. Właśnie to było prawdziwym powodem, dla którego Šiml założył Jiskrę, pomyślał. Adam Šiml wiele umiał i sporo robił w życiu, ale z natury nie był rewolucjonistą. Vilušínský nigdy nie wątpił, że jego przyjaciel nie cierpiał serdecznie ludzi w rodzaju Jana Cabrnocha czy Karla-Heinza Sabatina. Był absolutnie pewien, że Šiml pragnął przywrócenia praworządności i porządku konstytucyjnego. Podobnie nie wątpił w jego osobistą odwagę i uczciwość. Ale Šiml był nauczycielem i reformatorem, humanistą, który wzdragał się na samą myśl o przemocy. Przewrotny los sprawił, że to właśnie uczyniło zeń aktywnego opozycjonistę. Chciał jakoś zapanować nad tym, co i tak musiało się zdarzyć. Stworzyć kadry, które zmienią żywiołową eksplozję w zorganizowaną walkę i nie pozwolą, aby przemoc wymknęła się spod kontroli.

Próbował nie dopuścić do masakry, do której z pewnością by doszło, wzięwszy pod uwagę, jak wielu pragnęło zemsty. Nie chciał, aby jego świat musiał żyć potem z tak ciężkim brzemieniem winy.

Nawet on, który nieźle zna historię, może być czasem tak ślepy jak Sabatino, pomyślał z rozgoryczeniem Vilušínský. Chociaż może to nie ślepotą. W sumie studiował tę historię znacznie dogłębniej niż ja. Musi więc wiedzieć, jak często rewolucje pożerały własne dzieci. Własnych przywódców, którzy byli zbyt umiarkowani, jak na oczekiwania tłumu. A może po prostu chce się poświęcić, aby uratować duszę Chotěbořu? A jeśli tak, co to mówi o tobie, Zdeněk?

Wzdrygnął się i postanowił nie rozwijać tej myśli.

– Nie przypuszczam, żeby Sabatino poprosił cię o sprawozdanie księgowo z wydatków Sokola? – spytał.

– W życiu – odparł ze śmiechem Šiml. – Jest zachwycony, że chwyciłem haczyk. Myśli, że teraz łatwo mnie kupi.

Vilušínský zaśmiał się głośno.

Šiml miał rację, mówiąc, że Karl-Heinz Sabatino to bardzo inteligentny człowiek. Niemniej także produkt określonego systemu, który wszczepił mu konkretne schematy myślowe. Podobnie jak wielu ludzi, w tym może i sam Zdeněk Vilušínský, nijak nie umiał on wyjść poza te schematy. Cały wszechświat postrzegał przez pryzmat własnego doświadczenia i własnych oczekiwań. A jego doświadczenie podpowiadało, że każdy ma swoją cenę.

Obaj byli mocno zaskoczeni, gdy do biura prezesa Sokola przyszło oficjalne pismo od Frogmore-Wellington Astronautics i Iwahara Interstellar. Květa Tonová, oficjalnie sekretarka Šimla, a właściwie jego zastępczyni, własnym oczom nie wierzyła, gdy otworzyła wiadomość i zobaczyła, na ile opiewa darowizna Sabatina. Ostatni raz taka suma pojawiła się chyba ze sto lat temu. Haczyk był tylko jeden: naleganie Sabatina na osobiste spotkanie i przedyskutowanie, jak najlepiej wykorzystać te pieniądze.

Šiml podszedł do sprawy podejrzliwie. I on, i Vilušínský byli pewni, że musiała się tu kryć cała masa kolczastych pułapek. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, aby odrzucili ofertę. Šiml obawiał się, że jakikolwiek cel wyda się właściwy darczyńcom, nie będzie to nic pożytecznego dla Chotěbořu. Jednak po namyśle postanowił skorzystać, chociaż z całkiem innych powodów, niż Sabatino mógł oczekiwać.

Vilušínský przypuszczał, że dla przeciętnego człowieka wszystko, co wydarzyło się ponad tysiąc lat temu, było niezbyt interesujące. Jednak Šiml lubił historię starożytną i wspominał cytaty z pewnego zapomnianego już niemal rewolucjonisty: „Sami sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy”. Skoro Sabatino chciał przekazać pieniądze organizacji, która dążyła do ukrócenia jego władzy, to tym lepiej.

Wkrótce jednak stało się jasne, że Sabatino oczekiwał w zamian ogólnej współpracy i publicznego poparcia jego polityki. Albo i wsparcia rządu Cabrnocha.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten pomysł Sabatina może być największą pomyłką od czasu, gdy Renato Alcofardo wkurzył cały układ planetarny, popierając niewłaściwy marionetkowy reżim?

– Tylko wtedy, jeśli pupilek w pewnej chwili się odwróci i ugryzie go w słabiznę – odparł Šiml. – Tak jak Figuiera załatwił Alcofarda. A to znaczy, że muszę być przynajmniej tak sprytny jak Figuiera.

– Nie wiem, czy jesteś sprytny, ale z pewnością bardziej sympatyczny – stwierdził Vilušínský. – Nie przypuszczam, żebyś dopuścił do pogromów.

– Jeśli tylko będę miał coś do powiedzenia. – Šiml odchylił fotel jeszcze bardziej. – Ale

skoro jest na to szansa, chyba warto się starać, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ XXI



Erin MacFadzean wstała i wyciągnęła dłoń do wysokiego, ciemnoskórego mężczyzny, którego młody Jamie Kirbishly wprowadził właśnie do jej gabinetu. Megan MacLean nadal siedziała na krześle obok, ale jej szare oczy obserwowały bacznie Kirbishly'ego. Dostrzegła drobne drgnienie jego lewej dłoni i chociaż na jej twarzy nie poruszył się żaden mięsień, odprężyła się na ten znak, że gość nie był uzbrojony. Czy też nie był uzbrojony w coś, co zamontowane w biurze czujniki potrafiłyby wykryć i zidentyfikować jako broń.

– Panie Bolívar – powiedziała MacFadzean.

– Pani MacFadzean – odparł przybyły, potrząsając jej dłonią i zerkając na MacLean. – Pani przedstawicielka MacLean – dodał, kiwając z szacunkiem głową.

– Obawiam się, że już nie – odezwała się MacLean, wstając i także podając mu dłoń. – Już od jakiegoś czasu nie. Obawiam się, że jestem tylko plantatorką srebrnych dębów.

– Z pewnością – przyznał z lekkim uśmiechem Bolívar. – I to jest powód, dla którego przybyłem z panią porozmawiać. Pan Hauptman był bardzo zadowolony ze wstępnej analizy pana Henry'ego, dotyczącej możliwości rynkowych tutaj, w układzie Loomis. Nie będę ukrywał, że analitycy biznesowi pana Hauptmana zidentyfikowali jeszcze kilka potencjalnie konkurencyjnych rynków. – Wzruszył ramionami i spojrzał na rozmówczynię osobiście bursztynowymi oczami. Tęczówki miał całe w srebrzystych plamkach, co sugerowało upodobanie jego przodków do modyfikacji genetycznych. – Osobiście mam jednak nadzieję, że zdecydujemy się na inwestycję w waszym układzie planetarnym.

– Cóż, ja też mam taką nadzieję. – MacLean uśmiechnęła się do niego. – Niemniej rozumie pan zapewne, że moje plantacje srebrnych dębów to niezależne przedsiębiorstwo. Raczej nie będę w stanie zaproponować wam takich rabatów jak Star Enterprise Initiatives Unlimited. Z drugiej strony... – Przystała się uśmiechać. – Mogę zaproponować długoterminowy kontrakt z dostawami rozsądnych ilości surowca. Obawiam się, że nie jestem zwolenniczką masowej wycinki, w której lubuje się pan Zagorski. Wprowadza duże ilości drewna na rynek, ale nie ma wiele do zaoferowania komuś myślącemu o przyszłości tej branży, panie Bolívar.

– Proszę mówić mi Toussaint – odparł Bolívar. – Rozumiem, o czym pani myśli. – Znowu wzruszył ramionami. – Pan Hauptman dość już widział przykładów takiej krótkowzroczności.

Podejrzewam... w sumie jestem pewien, że jest gotów zapłacić więcej niezależnemu dostawcy, który zapewni mu regularne wieloletnie dostawy. Rynek zbytu na srebrny dąb jest w Gwiezdnym Imperium na razie względnie niewielki. To wciąż tam mało znany surowiec. Pan Hauptman oczekuje jednak, że zainteresowanie wzrośnie, gdy tylko rzemieślnicy i artyści z Manticore poznają zalety tego drewna. Zarazem nie ma nic przeciwko limitowaniu jego podaży dla utrzymania cen na interesującym nas poziomie. Będziemy też zainteresowani poważnymi i regularnymi dostawami owoców morza z Thurso. Przy takiej ilości drewna srebrnego dębu, jaka w tym momencie wchodzi w grę, w obu przypadkach dałoby się wykorzystać te same frachtowce. Można się spodziewać, że zysk z owoców morza, których będzie o wiele więcej, całkowicie pokryje koszty transportu dębiny.

– Rozumiem, takie podejście ma sens. – MacLean skinęła głową. – Z drugiej strony myślę, że jako oficjalny przedstawiciel powinien pan rzucić okiem na plantację, którą dla was przeznaczam. Zakładam, że ma pan upoważnienie do takiej inspekcji?

Spojrzała szarymi oczami w jego bursztynowe tęczy i tym razem Bolívar skinął głową.

– Tak, mam – powiedział zdecydowanie, po czym zaprezentował kolejny ze swoich ciepłych, uroczych uśmiechów. – Ale ostrzegam, że wedle tutejszych standardów żaden ze mnie specjalista od srebrnego dębu. Zająłem się tym tematem, dopiero gdy pan Hauptman zlecił mi to zadanie. Na pewno nie jestem ekspertem od leśnictwa.

– Na szczęście pani MacFadzean ma potrzebne doświadczenie i chętnie wesprze pana w tej materii – powiedziała MacLean. – Jest szefem mojej służby leśnej. Biorąc pod uwagę, że rozważamy długoterminowy kontrakt z Kartelem Hauptmana, właściwie niemalże partnerstwo, chyba powinien pan nieco ją poznać. Niezależnie od osobistej wizyty w naszych lasach, rzecz jasna.

– To bardzo dobry pomysł – odparł Bolívar.



– I tak to wygląda z góry – powiedziała Erin MacFadzean prawie dwie godziny później.

Skreśliła lekko wozem lecącym na wysokości dwustu metrów, skąd roztaczał się widok na trzydzieści kilometrów wokół. Dywan majestatycznych koron srebrnych dębów ciągnął się we wszystkich kierunkach jak okiem sięgnąć, niemniej była to zaledwie jedna piąta leśnego majątku rodziny MacLeanów.

– Robi wrażenie – odparł Bolívar, potrząsając głową. – Nie wiedziałem, że MacLean

dysponuje aż tak wielkim arealem.

– Jej rodzina należała do grupy pierwszych akcjonariuszy Loomis Expedition – odpowiedziała z lekkim rozbawieniem MacFadzean. – Wtedy nikt nie przypuszczał, że drewno srebrnego dębu stanie się chodliwym towarem. Pewnie niejeden śmiał się nawet z jej przodków, że wzięli taki kawał bezwartościowego lasu na Halkirku, zamiast starać się o koncesję na Thurso. – Wzruszyła ramionami. – Interes z owocami morza był oczywisty, to musiało się udać, ale tylko garstka kolonistów, w tym Tammas MacLean, myślała o eksploatacji zasobów leśnych. – Spojrzała na swojego pasażera. – A dokładniej o tym, że cała masa światów może zagustować w drewnie srebrnego dębu – dodała z przekąsem.

– Domyślam się, jak to było – stwierdził Bolívar neutralnym tonem.

MacFadzean wciągnęła głęboko powietrze.

– Może chciałbyś odwiedzić któreś ze stanowisk wycięcia? – zaproponowała. – Będzie sporo hałasu, ale zobaczysz, jaką technikę stosujemy – dorzuciła z uśmiechem. – I przekonasz się, na czym polega bardziej zrównoważone podejście do gospodarki leśnej.

– Myślę, że to świetny pomysł – zgodził się Bolívar.

MacFadzean skręciła na wschód.

Piętnaście minut obserwowali z należytego dystansu ekipę zajętą ścinaniem dębów wysokich na pięćdziesiąt pięć metrów. Ich długie, proste pnie miały średnicę blisko pięciu metrów. Harwestery omijały jednak co drugie dojrzałe drzewo oraz wszystkie, które nie osiągnęły wysokości trzydziestu metrów.

– Zagorski ściałyby je wszystkie – powiedziała MacFadzean, podnosząc głos, by przekrzyczeć piłę łańcuchową i sporadyczne uderzenia toporów. – Po jego robocie zostają same pieńki, nie dba w ogóle, co będzie dalej – dodała z goryczą w głosie.

– Rozumiem, że nie jest tu zbyt popularny – zauważył ironicznym tonem Bolívar.

– Sam wiesz, jak jest. Inaczej byś z nami nie rozmawiał – zauważyła. – Jestem pewna, że w większości naszych pojazdów są pluskwy. O komunikatorach wiemy, że są na podsłuchu. Ale trudniej zainstalować podsłuch w lesie.

– Trudniej, ale z pewnością jest to możliwe – odpowiedział Bolívar.

– A owszem. – MacFadzean wzruszyła ramionami. – Wszyscy korzystamy tu z autonomicznych dronów patrolujących regularnie tereny leśne. Pożary lasów są na Halkirku prawdziwymi klęskami ekonomicznymi. Znacznie dotkliwszymi niż gdziekolwiek indziej w

galaktyce, więc nawet MacCrimmon czy MacQuarie nie krzywią się na te drony. Są wyposażone w czujniki aktywne i pasywne, niemniej zachowują się trochę inaczej niż te, które należą do SEIU. Jakies dziesięć procent z nich ma... nie całkiem sprawne sensory, które zaburzają pracę elektroniki w sporym promieniu. Nasze ekipy miewają nawet przez to problemy z łącznością.

Bolívar się uśmiechnął.

– Rozumiem. Eleganckie rozwiązanie. I pewnie dlatego nie czyścicie swoich pojazdów z pluskiew?

– Och, od czasu do czasu to robimy... tylko niezbyt dokładnie. – MacFadzean pokazała zęby w uśmiechu. – Gdybyśmy całkiem spasowali, staliby się jeszcze bardziej podejrzliwi, biorąc pod uwagę rolę Megan w polityce. Poza tym czasami lepiej pozwolić, aby tamci usłyszeli to i owo. Na przykład jak bardzo nam się nie podoba obecny rząd układu Loomis. Dranie tego właśnie oczekują i w nic innego nie uwierzą. Ale nigdy nie wspominamy ani słowem na temat... nadzwyczajnych metod dla poprawy tej sytuacji.

Bolívar kiwnął głową, po czym spojrzał na nią badawczo.

– Czy powinienem założyć, że rozważacie sięgnięcie po takie metody?

– W pewien sposób tak – odparła i wzruszyła ramionami. – Osobiście sędzę, że to nieuniknione. Nie da się inaczej. Megan uważa tak samo. Niemniej od wielu lat szykuje grunt pod reformy i takie tam.

– W układzie Loomis? – spytał uprzejmie Bolívar.

MacFadzean parsknęła śmiechem.

– Ona jest idealistką, Bolívar. To sprawia, że ludzie chętnie za nią idą. Sama podchodzę do tych reform dość sceptycznie, ale w swoim czasie to była jedyna opcja. Kiedy siedem lat temu Megan powołała Partię Reform Loomisu, rządząca Partia Powszechnej Szczęśliwości obiecywała „wolne wybory”. Była mocno naciskana w tej sprawie przez poprzedniczkę Zagorskiego. Nigdy jej nie lubiłam, ale rozumiała nas o niebo lepiej niż on. Wątpię, aby te jej „reformy” miały być czymś więcej niż pudrem na gangrenę, ale uspokoiłyby nastroje. Ludzie uwierzyliby, że się poprawi, i mniej by ich cholera brała. Teraz jest z tym znacznie gorzej. – Wzruszyła ramionami, tym razem dość gwałtownie. – Megan też nie wierzyła za bardzo w owe „reformy”, ale zawsze była to jakaś szansa. Potem jednak przyszedł Zagorski i sprawa się ryła. Najpierw straciliśmy jedno z dwóch miejsc parlamentarnych, które zdobyliśmy w wyborach, a pięć miesięcy później Megan sama zrezygnowała z drugiego w proteście przeciwko zastraszaniu i lekceważeniu

naszych wyborców.

Bolívar kiwnął głową.

– Przepraszam – powiedziała po chwili nieco mniej surowym tonem. – Wiem, że wiedziałeś o tym wszystkim już wcześniej, inaczej byś z nami nie rozmawiał. Rzecz jednak w tym, że Megan ma za sobą karierę polityczną i dojście do pewnych wniosków zabrało jej więcej czasu niż w moim przypadku. Ja od dawna uważam, że w pełni legalnymi metodami nic nie wskóramy, i w końcu udało nam się przekonać ją, aby zaczęła tworzyć Tymczasowe Skrzydło. Dokładnie wtedy, kiedy zobaczyliśmy, jak MacCrimmon zaczął naciskać MacMinn. Wystarczyło, że Zagorski dał mu zielone światło. Moim zdaniem to wyraźny znak, do czego to zmierza.

Bolívar ponownie skinął głową. Wiedział, kiedy doszło do powołania podziemnej komórki Partii Reform. MacLean spotkała się wtedy z MacFadzean, Tammasem McPheem i Tadem Ogilvym, co zwróciło uwagę porucznika Touchette’a. MacPhee był tym drugim reprezentantem Partii Reform w parlamencie i z natury był mniej ugodowy niż MacLean. Tad zaś w ogóle był ostrym gościem, który założył filię partii w mieście Conerock. Obaj mieli zdecydowanie mniej cierpliwości i bardziej skłaniali się ku konkretnym akcjom niż Megan MacLean. Oczywiście wszystko to wiedział całkiem nieoficjalnie.

– Jak sądzisz, na ile poważnie się w to zaangażowała? – spytał. – Z wielu powodów nie chcę nakłaniać was do niczego, do czego sami nie bylibyście w pełni przekonani. Jak wspomniał pan Henry podczas pierwszego spotkania z tobą, nie dysponujemy nieograniczonymi zasobami. Musimy zainwestować je tam, gdzie najlepiej się zwrócą. – Machnął ręką w niemal przeproszającym geście. – Nie chcę być bezczelny ani cyniczny, ale chociaż uważamy, że ze wszech miar zasługujecie na wsparcie, nie możemy pozwolić sobie na marnowanie sił i środków tam, gdzie zabrakłoby miejscowego udziału i zdecydowanego działania.

– Szczerze mówiąc, nie mogę teraz niczego obiecać – odparła MacFadzean. – Powiedziałabym, że Megan musi sama dojrzeć do pewnych rzeczy. W tej chwili budujemy nową strukturę, którą nazwaliśmy Ligą Wyzwolenia Loomisu. Spotkaliśmy się... ja spotkałam się dyskretnie z takimi osobami, jak Ragnall MacRory i jego kuzynka Luíseach, i... jeszcze kilkoma innymi. Jest sporo ludzi, którzy byliby skłonni nas wspierać i na których zapewne moglibyśmy liczyć, gdyby doszło do rozruchów ulicznych. Z nimi jednak jeszcze nie rozmawiałam. – Ponownie wzruszyła ramionami. – Niektórzy z nich są dość znani, aby służby miały na nich oko. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest to, żeby ktoś widział, jak kontaktują

się z nami. Niemniej i tak budujemy coś, co może się przydać. A jeśli Zagorski jeszcze bardziej zaciśnie pętlę, przyda się na pewno.

– Czy podobnie szczerze rozmawiasz o tych sprawach z MacLean? – spytał ostrożnie Bolívar.

– Nie całkiem – przyznała MacFadzean. – Owszem, ona wie, co myślę, że dojdzie do otwartego konfliktu i tak dalej, ale jest uparta i nie zmieni łatwo stanowiska. Więc po tym, jak Nessa MacRuer zorganizowała mi spotkanie z Henrym, powiedziałam Megan tylko tyle, że znalazłam potencjalne źródło wsparcia finansowego i dostaw broni. Nie powiedziałam jej dokładnie jakie i celowo pominęłam kwestię pomocy ze strony obcej marynarki wojennej.

– Dlaczego? – Bolívar pokręcił głową.

MacFadzean westchnęła.

– Ponieważ jeszcze nie jest gotowa, żeby o tym słuchać. Jest prawdziwą patriotką i wolałaby nie ściągać tu nikogo więcej, zwłaszcza po tym, co się porobiło z SEIU. Nie przypuszczam, żeby mogła już teraz zobowiązać się do czegokolwiek w tej sprawie. W każdym razie niczego mi nie przekazała, zresztą ja też nie udzielię ci konkretnej odpowiedzi. Jeszcze nie. Ale myślę... nie, jestem pewna, że jeśli jesteś w stanie zapewnić nam jakiegokolwiek wsparcie, to tylko kwestia czasu, aż Megan zdecyduje się zrobić następny krok.

– Rozumiem. – Bolívar przez kilka sekund patrzył z zaciśniętymi ustami na korony drzew, po czym zwrócił się do MacFadzean. – Doceniam szczerść, ale dopóki nie powiecie konkretnie, że zamierzacie wezwać naszą flotę na pomoc, nie możemy niczego zaplanować – powiedział. – Mamy określoną liczbę jednostek i obawiam się, że przy ustawianiu przydziałów przyjdzie nam stosować zasadę „kto pierwszy, ten lepszy”. Przepraszam, ale tak właśnie jest. Przypuszczam, że zdołamy w miarę sprawnie wygospodarować co najmniej kilka niszczycieli albo i lekki krążownik, może parę krążowników, co powinno zniechęcić Flotę Pogranicza do nazbyt aktywnego wspierania MacCrimmona i Zagorskiego. A póki co, z pewnością moglibyśmy zaoferować lekkie uzbrojenie. Nawet coś cięższego, gdybyście byli zainteresowani gromadzeniem zapasów.

– To nas bardzo interesuje. – W oczach MacFadzean pojawił się znaczący błysk, ale zaraz zmarszczyła brwi. – Jednak przewiezienie tego tutaj może być problemem.

– Rozmawialiśmy o regularnych transportach owoców morza z Thurso – przypomniał Bolívar. – Na ile znam korporacje, w tym SEIU, nikt nie będzie kręcił nosem na działalność

firmy, która chce kupować takie ilości towaru. Kartel Hauptmana zaś z zasady dba o wypełnienie statków i nie gardzi mniejszymi ładunkami do podrzucenia gdzieś po drodze. Jeśli dojdzie do tego zakup drewna z plantacji MacLean, dostawa dowolnych towarów raczej nie będzie problemem. Zwłaszcza że większość miejscowych inspektorów celnych przymyka oko na poczynania kumpli MacCrimmona i SEIU. Jestem całkiem pewien, że niejedno zdołamy przewieźć. Może z wyjątkiem materiałów rozszczepialnych lub czegoś równie oczywistego. Wystarczy sowity bakszysz. A gdy już to zrobimy, na pewno będzie gdzie ukryć wszystkie zabawki – dodał, wskazując na las wokół.

ROZDZIAŁ XXII



Co właściwie wiemy o tym facecie? – spytała nerwowo Mackenzie Graham.

Chociaż może to nie nerwy, pomyślał jej brat. To raczej kwestia adrenaliny oraz pewnych obaw.

– Tylko to, co już ci powiedziałem – odparł cierpliwie.

– To cholernie mało – zauważyła.

– Zgadza się – potwierdził. – Ale jeszcze będzie czas, żeby z nim pogadać. Żebym ja z nim pogadał. Wiesz przecież, Kenzie.

– Nie podoba mi się, że masz spotykać się z nim w miejscu publicznym, Indy.

– A co? – Pokiwał głową z lekkim uśmiechem. – Myślisz, że powinienem przyprowadzić go tutaj? – Wskazał na wnętrze zatłoczonej restauracji. Dzięki dobremu jedzeniu i rozsądnym cenom The Soup Spoon zawsze była przepelniona w porze lunchu.

– Nie, oczywiście, że nie. – Mackenzie potrząsnęła głową.

Był to ich ulubiony lokal, i to już od dawna. Rodzina Grahamów stołowała się u Tanawata Saowaluka na długo przed tym, jak Bruce Graham podpadł władzom układu Seraphim. Sam Tanawat był dla nich praktycznie przyszywanym dziadkiem. Dzięki takiej zażyłości Indy i Mackenzie mogli zaglądać tu o dowolnej porze, nie budząc żadnych podejrzeń. A przy okazji zdarzało im się spotykać różnych ciekawych ludzi. Oczywiście musieli ograniczać takie „przypadkowe spotkania”, ale ostatecznie była to powszechnie dostępna jadalnia. A to, że jej właściciel, jego żona, ich syn, starsza biologiczna córka oraz ta młodsza, adoptowana, jak i jej mąż, a także dwoje kelnerów, wszyscy byli członkami Ruchu Niezależności Seraphima, bardzo ułatwiało robotę. Prawie każdy mógł tu zajrzeć, żeby wrzucić coś na ruszt, zatem Indy i Mackenzie nie zawsze musieli nawet spotykać się z kimś osobiście, żeby odebrać jakąś wiadomość.

No i mniejsze było ryzyko, że ktoś usłyszy coś, co nie było przeznaczone dla jego czy jej uszu.

– Sprowadzenie go tutaj byłoby niezmiernie głupim posunięciem, nawet jak na ciebie – kontynuowała kochająca siostra. – Sądzę, że o wiele lepiej załatwić to w bibliotece publicznej.

– Gdzieś trzeba – stwierdził Indy. – A im bardziej będziemy kombinować, tym większe

prawdopodobieństwo, że zwrócimy na siebie uwagę. Smutni panowie mogą niczego nie zauważyć, ale jeśli jednak wpadnę im w oko, mogą zacząć się zastanawiać, dlaczego zwykły handlarz z czarnego rynku tak się czai, spotykając się z kimś spoza planety. – Wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, myślę, że biblioteka zarówno zapewnia niejaką prywatność, jak i jest miejscem, gdzie teoretycznie mogę mieć coś do roboty.

Mackenzie kiwnęła głową. Może nie całkiem się zgadzała, ale to miało sens. Jej brat od dawna załatwiał wiele ze swoich interesów w różnych oddziałach stołecznej biblioteki. Były to przybytki publiczne, otwarte niemal przez całą dobę, a na dodatek Indy był zapalonym czytelnikiem. Wiele czasu spędzał na lekturze i służba bezpieczeństwa zapewne miała pełną listę tytułów, które wypożyczał. Przy takim ojcu nie mogło być inaczej. Dlatego też Indy nigdy nie prosił w bibliotekach o „wywrotowe” tytuły. Niemniej mógł spotykać się tam z najróżniejszymi klientami, zatem i to spotkanie mogło wyglądać na kolejny interes. I to niezależnie od faktu, że każda z placówek pozostawała przez dwadzieścia trzy godziny na dobę pod nadzorem policji.

Oczywiście każde miejsce publiczne jest monitorowane, pomyślała Mackenzie. Ale jeśli ten facet jest prowokatorem, to zupełnie nieważne, gdzie dojdzie do tego spotkania.

– Powinam pójść z tobą – powiedziała głośno, ale Indy zaprotestował stanowczo.

– To ostatnie, o czym marzę – odpowiedział wprost. – Jesteś szanowanym geekiem od kompów. Byliśmy w tej sprawie bardzo ostrożni, prawda? Nie masz nic wspólnego z kombinacjami upadłego brata. No, chyba że czasem pomagasz mu w księgowości. Jeśli razem zrobimy coś z całkiem innej bajki, coś więcej niż spotkanie na obiedzie, to niemal na pewno zwrócimy na siebie uwagę. Sama dobrze o tym wiesz.

– Ale nie podoba mi się, że miałbyś...

– Wiem, że ci się to nie podoba – przerwał jej łagodnie. Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń. – Ale tak trzeba. A jeśli facet naprawdę będzie wtyczką, sama wiesz, co masz wtedy robić.

Pokiwała głową i przygryzła dolną wargę. Może to niewiele znaczyło, ale już kiedyś uzgodnili, że jeśli Indy zostanie aresztowany, Mackenzie niezwłocznie go zadenuncjuje. Na jego los nie miałyby to już żadnego wpływu, kto podpadł psom O’Sullivana, z automatu stawał się winny. Chyba że miał coś cennego do zaoferowania, żeby wykupić się z więzienia. Gdyby zadziałała wystarczająco szybko i dość energicznie, mogłaby zapewne przekonać władze, że nie miała nic wspólnego z wywrotową działalnością brata. Zawsze byłaby to dla niej jakaś szansa.

– W takim razie dokończ swoje *tam kha kai* i ruszaj z powrotem do biura. – Odsunął krzesło,

wstał i pochylił się, aby pocałować ją w policzek. – Złapię cię wieczorem i powiem, co z lunchem w środę.

– Jasne. – Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka. – Tylko bądź ostrożny, dobrze?

– Jak zawsze – zapewnił ją z uśmiechem.

Odprowadziła go spojrzeniem, gdy odchodził z rękami w kieszeniach.



Indiana Graham minął recepcję oddziału Cherubim Public Library przy Sinkler Street i skinął głową młodszej bibliotekarce, która pilnowała tu porządku. Dziewczyna odwzajemniła gest, nie podnosząc nawet wzroku znad swojego czytnika. Indy spędzał tu dość czasu, aby wszyscy znali go z widzenia, chociaż rzadko z nim rozmawiali.

Wjechał staroświecką windą na trzecie piętro i przeszedł korytarzem do głównej czytelnii. Za progiem zerknął w lewo. Na ekranie wolnego czytnika na drugim stanowisku od wejścia dostrzegł okładkę dość nudnej powieści sensacyjnej.

Poszedł dalej, do „swojego” stanowiska z aż czterema czytnikami, gdzie zwykle załatwiał swoje ciemne interesy. Żaden z ekranów nie był używany, usiadł więc przy najdalszym od przejścia i mało elegancko oparł nogi na jednym z wolnych krzeseł. Z tego miejsca mógł w całkiem naturalny sposób obserwować wejście. Włączył indeks, aby wywołać pozycję, którą czytał podczas poprzedniej wizyty.

Siedemnaście minut później w drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna o jasnych włosach i szarych oczach. Przystanął i rozejrzał się wokół. Był szeroki w ramionach i nosił się na widocznie nietutejszą modłę. Skierował się wprost do stanowiska Indiany. Spojrzał na krzesło, które służyło mu za podnózek, po czym sięgnął po sąsiednie i usiadł plecami do wejścia.

– Często tu zaglądasz?

– Raczej tak – przyznał Indy.

– A może wiedziałbyś, gdzie znaleźć glühenden Nussbutter w dobrej cenie?

– To zależy, jaka cena będzie dla ciebie „dobra”.

– No cóż... – Nowo przybyły spojrzał na niego spokojnie. – Zbyt tanie nie byłoby chyba dobre.

– W rzeczy samej. – Indy zdjął nogi z krzesła i pochylił się ku gościowi. – Jeśli naprawdę chcesz, mogę nadać ci dobry interes – powiedział niezbyt głośno, ale też nie szeptem.

– No to chyba kupię trochę, żeby smutni panowie nie posmutnieli jeszcze bardziej –

powiedział z uśmiechem mężczyzna. – Nie myślałem, żeby go tutaj używać. W sumie nie znam tu nikogo na tyle dobrze. Przynajmniej na razie.

Indy zaśmiał się cicho. Pasta z żywicy drzewa liebenden Nussbaum, które przypominało trochę ziemski orzechowiec, cechowała się naturalną bioluminescencją, dzięki czemu świeciła w ciemności. Była również potężnym afrodyzjakiem, mieszanym często z różnymi używkami. Produkt był legalny, ale nie można było nim handlować bez licencji. Ta z kolei nie była tania, co podbijało cenę samego towaru. Z tego właśnie powodu na czarnym rynku był on sporo tańszy, władze zaś przymykały na to oko.

– Podam ci nazwisko mojego dostawcy – powiedział. – Postaraj się kupić tyle, żeby dostał przyzwoitą prowizję.

– Oczywiście – odparł mężczyzna. – Ale to nie jest prawdziwy powód, dla którego tu jestem.

– No to może powiesz mi, po co przyszedłeś. A skoro już gadamy, to może powiesz też, jak się do ciebie zwracać.

– Na razie możesz mnie nazywać Clambake. Jestem pewien, że domyślasz się już, po co przyszedłem. Podane przez waszych ludzi hasła powinny ci coś podpowiedzieć. Zakładając oczywiście, że jesteś rozmówcą, którego szukam.

– Nie znam cię... Clambake. Nie wiem, z kim mogłeś się wcześniej kontaktować. Mam więc nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli będę ważył słowa. Nie chciałbym palnąć czegoś niestosownego.

To nie była całkiem prawda. Indy wiedział co nieco o wcześniejszym kontakcie gościa, chociaż nie znał dobrze tamtej osoby. I wcale nie pragnął jej poznać. Richard Bledsoe był administratorem niskiego szczebla w firmie transportowej Mendoza of Córdoba i pracował w porcie kosmicznym Tobolinski, głównym lądowisku Cherubimu. Jak większość ludzi w tym fachu, parał się przemytem, skupiając się głównie na różnych prochach i innych słusznie zakazanych zdaniami Grahama substancjach. Ale bywał pożyteczny, został więc zwerbowany do specjalnej komórki zajmującej się potencjalnie przydatnymi kontaktami, które nie były jednak do końca godne zaufania. Między innymi dlatego Mackenzie tak się niepokoiła tym spotkaniem. Bledsoe sam je zaproponował, nie na polecenie organizacji.

– Rozumiem to wahanie – przyznał Clambake. – Ale, jak wiesz, sam też mam powody do ostrożności. W końcu jestem tu obcy. Jeśli podpadnę smutnym, nikt się za mną nie wstawi.

– To zdarza się tutaj codziennie – odparł Indy.

– Dobra – mruknął Clambake po dłuższej chwili milczenia. – Zakładam, że skoro sami

wybraliście to miejsce, jest ono bezpieczne i możemy pogadać. A może musimy pójść gdzie indziej?

– Dopóki tamten czytnik jest włączony – powiedział Indy, zerkając na wolne stanowisko na lewo od drzwi – system monitoringu czytelników nie działa najlepiej. Kamery przekazują obraz, ale kanał audio wariuje. Taka usterka, całkiem prawdziwa. Skutek oszczędzania na konserwacji sprzętu. – Uśmiechnął się lekko. – Zdarza się często nawet bez niczyjej pomocy.

– A co z czytaniem z ruchu warg? – spytał z rozbawieniem Clambake.

– Powiedzmy, że jakość obrazu nie jest zbyt dobra. W zasadzie jest do bani. – Wzruszył ramionami. – Próba utrzymania systemu nadzoru na całej planecie to kosztowna impreza. No i wymaga nieco siły roboczej. Jednym z powodów, dla których lubię korzystać z bibliotek podczas spotkań biznesowych, jest to, że mają niski priorytet w systemie. Najlepszy sprzęt i najlepsi ludzie trafiają gdzie indziej. Głupio z ich strony, biorąc pod uwagę, ile wywrotowych treści mieści się w takiej bibliotece.

– Rozumiem. – W oczach Clambake’a błysnęło coś jakby szacunek. – W takim razie powinienem chyba wyłożyć karty na stół... Przynajmniej część z nich.

– To dobre miejsce, aby zacząć – zgodził się Indy.

– Dobrze. Na razie nie będę pytał, jak wysoko jesteś w organizacji, i nie będę oczekiwał żadnych deklaracji. Zakładam, że skoro cię przysłali, to jesteś właściwą osobą, żeby mnie wysłuchać i przekazać moje słowa. Zatem na początek...



– Cześć, Indy! – rzuciła Mackenzie Graham z uśmiechem, gdy jej brat pojawił się na ekranie komunikatora.

– Będziesz wolna w środę w porze lunchu? – spytał wesoło.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, tym razem z ulgą. Słowa brata były szyfrem informującym, że spotkanie w bibliotece poszło całkiem dobrze. Na ile Indy mógł być tego pewien, oczywiście.

– Chyba jakoś wpasuję cię w grafik – odpowiedziała. – Chociaż nie jestem pewna. – Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami. – Wiem, że dopiero co jedliśmy razem lunch, ale nadal mam trochę tego spaghetti, które mama przywiozła ostatnim razem, kiedy była w mieście, więc jeśli jeszcze nie jadłeś kolacji, może wpadniesz i podgrzeję?

– Dobrze – odparł Indy. – W sumie to nawet dobry pomysł. Podgrzeję spaghetti, ja złapię butelkę chianti. Możemy zjeść na dachu, zdążymy obejrzeć jeszcze zachód słońca.

– Świetnie. Za pół godziny?

– Raczej czterdzieści pięć minut. Tramwaje są teraz tak zatłoczone, że mogę nie załapać się na pierwszy.



– Wiesz, wuj Thad robi dobre spaghetti – powiedział Indy, odsuwając się od stołu w zakątku dachu budynku, gdzie mieszkała Mackenzie.

Gmach ten, podobnie jak większość domów w Cherubimie, został wzniesiony dawno temu. Liczył zaledwie dziesięć pięter, ale okolica była zdecydowanie lepsza niż ta, w której obecnie pomieszkiwał Indiana. Inna sprawa, że cała ta część miasta nie cieszyła się szczególnie dobrą sławą. Jako córka „wroga ludu” Mackenzie nie mogła liczyć na nic więcej i nawet jej oficjalny „czysty” status tego nie zmieniał. Wokół było raczej biednie, ale mieszkańcy starali się uprzyjemnić sobie nieco życie, na przykład urządzając skromne jadalnie na dachu.

Tego wieczoru, tak jak Indy się spodziewał, sąsiedzi Mackenzie byli zajęci. Inaczej też by tu siedzieli. Czasami się zastanawiał, jak owi sąsiedzi by się czuli, gdyby wiedzieli, że dokładnie im się przyjrzał. Sprawdził, gdzie pracowali, jakimi trasami codziennie chodzili. Był w tym na tyle skrupulatny, że sam poczuł się nieswojo. To była robota akurat dla psów Tillmana O’Sullivana. Niestety, nie miał wyboru. Musiał to zrobić, jeśli chciał pozostać przy życiu. I jeśli nie chciał zaszkodzić siostrze.

– A tak. – Mackenzie wzięła kawałek chleba czosnkowego, aby zebrać resztki sosu Thaddeusa Lucchina. – Jedno, czego możemy być pewni, to że mama jada niezgorzej.

– To prawda – potwierdził Indy. Potem usiadł z kieliszkiem chianti i wpatrzył się w karmazynowy stos pogrzebowy tego dnia.

– To co, powiesz mi, jak było? – spytała Mackenzie nieco ciszej i otuliła się swetrem. Robiło się coraz chłodniej. – Zakładam, że to dlatego jemy właśnie tutaj.

– A ja myślałem, że sama genialnie na to wpadłaś!

Pokazała mu język, na co zareagował śmiechem. Jadali tu, gdy tylko pogoda pozwalała, zwykle parę razy w tygodniu. Indy dawno już sprawdził, jak tu wygląda z podsłuchem. Sprawa była o tyle łatwa, że pluskiew nie było wiele i ukryto je raczej niedbale. Służby nie uważały budynków mieszkalnych za godne wielkiej uwagi. Oczywiście w razie konkretnych podejrzeń użyłyby najlepszego sprzętu, łowiącego każdą wypowiedaną na dachu sylabę. Ale skoro rzeczywistość była właśnie taka, ich ulubione miejsce znajdowało się w niemal całkiem martwej

strefie. Coś na pewno było słycać, w końcu służby coś tam jednak potrafiły, ale wieczorem wiatr sporo zagłuszał.

No i te dzwonki, które dałem Kenzie na urodziny, też trochę pomagają, pomyślał radośnie, słuchając ich melodyjnego pobrzękiwania, gdy kołysały się na wietrze. Na wszelki wypadek nie zawiesił ich dokładnie nad mikrofonem. Zrobił to raczej bliżej stołu, dzięki czemu, dopóki mówili cicho, dźwięki dokładnie zagłuszały ich słowa.

– W porządku. – Odstawił kieliszek, po czym położył dłonie na stole i pochylił się do przodu. – Albo to jakaś niezwykle złożona pułapka, albo ten gość, Clambake, to duża sprawa – powiedział cicho. – Dokładnie to, co jest nam potrzebne.

– Dziwnie się czuję, gdy ktoś wspomina o cudach – mruknęła podejrzliwie Mackenzie. – Takie rzeczy to tylko w powieściach.

– Nie ty jedna – odpowiedział i uśmiechnął się lekko. – I wcale nie rzuciłem mu się na szyję. Powiedziałem mu, że za mało znaczę, żeby podejmować jakieś decyzje. Założyłem, że tak będzie najbezpieczniej, gdyby jednak był podstawiony dla rozpoznania organizacji. I ustaliłem procedurę kontaktu, gdy znowu tu przyleci.

– Wróci tutaj? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Powiedział, że musi porozmawiać jeszcze z innymi, co da moim przełożonym czas na zastanowienie. Szczerze mówiąc, nie chciałem sprawiać wrażenia, że tylko na niego czekaliśmy i zaraz na wszystko pójdziemy. Nawet jeśli mówił prawdę. Bo jeśli nie...

– OK, rozumiem. A o jakich „innych” mówił?

– Też mnie to zaciekało, więc spytałem. I to było naprawdę interesujące. – Indy pochylił się jeszcze bardziej. – Powiedział, że odszukał nas, ponieważ jego mocodawcy wspierają różne ruchy wyzwolenicze w światach Pogranicza. Odparłem, że nie wierzę w takie cuda, na co on roześmiał się i przyznał, że nawet mnie rozumie. Potem wyjaśnił, jakie mają powody, i to już miało sens.

– Tak, jasne! – Spojrzała na niego sceptycznie.

Zaśmiał się przelotnie, ale poza tym pozostał poważny.

– Podejdz do tego tak krytycznie, jak tylko potrafisz, Kenzie. Wiem, że za bardzo zapaliłem się do sprawy i że musimy wszystko dokładnie rozważyć, zanim na cokolwiek się zdecydujemy. Ale jeśli on mówił prawdę, a jak wspominałem, wydało mi się to sensowne, po prostu nie

możemy go zignorować.

Mackenzie przyjrzała mu się uważnie, z twarzą skrytą w coraz głębszym mroku. W końcu skinęła głową.

– Powiedz mi wszystko – zażądała.

– Dobrze. Pamiętasz te pogłoski o różnych sprawach, które wydarzyły się w gromadzie Talbott? Cóż, wydaje się, że było w nich sporo prawdy...



Rufino Chernyshev siedział przy stole w salonie drugiej klasy na pokładzie należącego do Krestor Interstellar liniowca *Mary Ellen* i delektował się pierwszorzędną whisky, prawdziwą single malt. Był bardzo z siebie zadowolony.

Nie wiedział, kim był ten młodzieniec, którego zdarzyło mu się spotkać w bibliotece, chociaż podejrzewał, że stał znacznie wyżej w hierarchii, niż sam to przedstawiał. Trudno było też orzec, do jakiej właściwie organizacji przynależał. Raporty były w tej materii bardzo ogólne i Równanie miało chyba szczęście, że w ogóle trafiło na jakiś ślad. Przeczucie podpowiadało Chernyshevowi, że młody człowiek, który przedstawił się jako Talisman, mógł należeć nawet do kadry kierowniczej.

Cóż, obecnie dysponował jego zdjęciami, wykonanymi aparatem ukrytym w guziku kamizelki, jego kontakty na Seraphimie zaś ustalą z czasem, o kogo dokładnie chodzi. Póki co, Talisman i jego towarzysze mają się nad czym zastanawiać. Można oczekiwać, że podskoczą z radości na wieść o szansie uzyskania wsparcia ze strony Manticore. Konkretną ofertę zamierzał przedstawić im dopiero wówczas, gdy wreszcie się dowie, z kim ma do czynienia i co dokładnie pchnęło Talismana (i zapewne resztę) do stworzenia ruchu oporu.

Chociaż ich ogólna motywacja była oczywista. Jacqueline McCready i jej administracja zasłużyli na wielkiego kopa w kolektywną dupę. I jeszcze na czyszczenie uszu strzałkami z pulserów. Cała masa osób miała wszelkie powody, żeby zrobić z nimi porządek. Młody Talisman też niewątpliwie do nich należał, przy czym miał w sobie coś, co mogło go uczynić naprawdę groźnym wrogiem systemu. Był niedoświadczony, ale wyraźnie cechował go dobry instynkt.

I dlatego właśnie musiałem trochę posprzątać przed wyjazdem. Nie osobiście, do tego mamy właściwe narzędzia, ale jednak...

Kiedy Isabel Bardasano zaczęła przygotowania do operacji Janus, analitycy sporządzili listę przydatnych ludzi, których już wcześniej pozyskano w różnych układach planetarnych. Bledsoe

był jednym z nich. Przy swojej specyficznej działalności Równanie nie mogło przewidzieć, jakie jeszcze informacje mogą się przydać w przyszłości, przemytnicy zaś, zwłaszcza tacy, którym nie robiło większej różnicy, co akurat szmuglują, zwracali uwagę Manpower, Jessyk Combine czy różnych nieoficjalnych agend Równania. Do rekrutacji Bledsoe'a doszło już dziesięć lat temu, a jego nazwisko znalazło się na samym szczycie listy, bo chociaż sam był raczej niepewnym elementem, to w jednym z raportów przekazał, że jakaś grupa rewolucyjna nawiązała z nim kontakt. Osobiście Chernyshev mu nie ufał i nigdy nie podejrzewałby gościa o rewolucyjne zapędy, ale ślad wart był sprawdzenia. Bledsoe otrzymał polecenie, aby dał się zwerbować. I wyglądało na to, że przypadkiem trafili na żyłę złota.

Niestety, sam Bledsoe okazał się nie tylko głupi, ale także skorumpowany i chciwy. Zasugerował wprost, że wobec takiego obrotu sprawy winien otrzymywać od Równania znacznie wyższe wynagrodzenie. Tak trzysta procent obecnego. Oczywiście Chernyshev natychmiast się zgodził.

Dlatego właśnie należało oczekiwać, że w przyszłym tygodniu Richarda Bledsoe'a spotka coś złego. Na przykład padnie ofiarą napadu. Ale dopiero za tydzień, tak żeby Talisman na pewno nie połączył śmierci Bledsoe'a z wizytą Chernysheva. Nie chodziło nawet o te dodatkowe pieniądze. Po prostu Bledsoe dał się poznać jako ktoś totalnie przekupny i byłoby tylko kwestią czasu, a spróbowałby sprzedać swoje informacje służbom bezpieczeństwa. Skoro był na tyle głupi, aby próbować takich numerów z obecnymi pracodawcami, należało oczekiwać najgorszego.

Co w tej sytuacji na pewno się nie zdarzy, pomyślał Chernyshev, popijając doskonałą whisky.

LISTOPAD 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Nie zrobią mojemu wujkowi tego, co reszcie mojej rodziny! Ale wycofam naszych z powrotem na tereny MacRorych. Będziemy pokorni i grzeczni i w ogóle nie będziemy rzucać się w oczy. Wiedz jednak, Megan MacLean, że dzikie piekło rozpęta się w chwili, gdy choć jeden z tamtych ludzi spróbuje postawić stopę na ziemi MacRorych!”

– Ragnall MacRory, Milicja MacRorych, układ Loomis

ROZDZIAŁ XXIII



Damien Harahap zmarszczył brwi, gdy niewielki myśliwiec zajął pozycję za ogonem *Факела*. Znajdowali się na orbicie Mesy. Jak na razie smukły, przystosowany do lotów atmosferycznych stateczek nie otworzył ognia, niemniej ani Harahap, ani nikt z załogi nie miał pojęcia, dlaczego układowe siły zbrojne znalazły się w stanie podwyższonej gotowości.

– Delta jeden, dziewięć, siedem, trzy, wyłącz węzły – przekazał pilot myśliwca. – Poczekaj na wahadłowiec Sił Pokojowych, który zabierze pasażera na dół. Potwierdź odbiór.

– Do Mike, Papa, Papa, siedem, jeden, dwa. Delta jeden, dziewięć, trzy, siedem potwierdza – odpowiedział Yong Seong Jin. – Wyłączamy systemy.

– Przyjmuję delta jeden, dziewięć, siedem, trzy – odezwał się pilot myśliwca. – Miłego dnia, Mike, Papa, Papa, siedem, jeden. Bez odbioru.

– Co, u diabła? – spytał Harahap, a zdumiona pani kapitan pokręciła głową.

– Nie wiem – odparła. – Błędęgo pojęcia nie mam. Ale na pewno nie chodzi o nic dobrego.



Zaiste niedobrze, pomyślał Harahap kilka godzin później. Przy czym było to spore niedomówienie. Nic dziwnego, że Siły Pokojowe i ci z Bezpieczeństwa Wewnętrznego tak spanikowali, stwierdził całkiem bez humoru.

Z okien przydzielonego mu mieszkania widział ruiny Wieży Suvorova. Na razie czekał tutaj, aż Bardasano znajdzie chwilę, aby z nim porozmawiać. Pole obserwacji miał ograniczone wieżami mieszkalnymi, które nie ucierpiały, ale i tak wydawało mu się, że podana w mediach liczba ofiar śmiertelnych mogła być bliska rzeczywistości.

Chociaż z drugiej strony... Jeśli coś kręcili, to w którą stronę? Czy zaniżałoby dane, żeby wyszło, że jednak kontrolują sytuację i nie należy się obawiać kolejnych ataków? Czy też może zawyżali dla uzasadnienia bardziej rygorystycznej kontroli?

W tej chwili skłonny był sądzić, że raczej to drugie. Inna sprawa, że dotąd widział tylko Wieżę Suvorova, gdzie wybuchła pierwsza bomba „terrorystów”. Nie był w Pine Valley. Czy też w miejscu, gdzie park się znajdował. Nie widział także wież w ubogich dzielnicach, gdzie doszło do niepokojów wśród „obywateli drugiej kategorii”, będących potomkami niewolników genetycznych z czasów, kiedy konstytucja Mesy pozwalała jeszcze na ich wyzwalanie. Wszędzie

dostrzegał jednak pojazdy opancerzone i myśliwce Sił Pokojowych i Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W gorszych dzielnicach musiało być ich jeszcze więcej. To, czy za atakami rzeczywiście stał Balet, czy był to tylko wygodny pretekst do dokręcenia śruby biedocie, żeby nikomu nie przyszła do głowy powtórka z Green Pines, to była już osobna, chociaż bardzo ciekawa kwestia.

Właśnie... Czy naprawdę są na tyle pewni, że to Balet, żeby wyłączyć Policję Śledczą ze sprawy? Jasne, powiązanie tego z Manticore może przynieść korzyści tak rządowi, jak i Równaniu, zwłaszcza jeśli wykorzystuje się postać Zilwickiego w roli naczelnego czarnego charakteru, dodatkowo wiążąc wszystko z Torch. Ostatecznie po to właśnie tak napracowali się propagandowi. Jednak jeśli wiążąc ten akt terroryzmu z miejscowymi byłymi niewolnikami, odsuwają jednocześnie od sprawy policję, komu bardziej to służy? Władzom układu czy ludziom Bardasano?

Mesańska Policja Śledcza należała do najlepszych instytucji tego typu w całej galaktyce. Z drugiej strony miała zakaz angażowania się w kwestie związane z niewolnikami. Mogło to się wydawać dziwne, ale pewna logika się w tym kryła. Ludzie, którzy stworzyli MPŚ, chcieli, aby bez względu na wszystko pozostała ona służbą stojącą na straży praw obywatelskich. Za żadne skarby nie chcieli wikłać jej w działania represyjne, obchodzenie czy naciąganie prawa i tak dalej. W podobnych okolicznościach należałoby zakładać, że władze wycofają swoje agendy i pozwolą świetnym fachowcom policyjnym wziąć się do roboty.

Chyba że komuś tutaj nie zależy na prawdziwym śledztwie, które udzieliłoby odpowiedzi na podstawowe pytania. Tylko dlaczego? Aby zatrzeć ślady wiodące do Równania? Nie dopuścić do ujawnienia niczego, co mogłoby podważyć oficjalne twierdzenia? A moje chodzi o jedno i drugie?

Na ile zdołał się do tej pory zorientować, represje wobec biedoty przerosły wszystko, co zdarzyło się na Mesie przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Harahap poważnie wątpił w to, czy służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego w ogóle starały się szukać potencjalnych winnych, którzy mogliby dokonać ataku atomowego. Wydawało się, że obecnie dokładały wszystkim jak leci, i nieważne, kto to był. Liczył się tylko przekaz i demonstracja siły.

Gdyby Damien Harahap odkładał kredyt za każdym razem, gdy jakiś rząd, który stosował ten właśnie rodzaj przekazu, dostawał koniec końców tak potężnie w cztery litery, że tylko smród po nim zostawał, byłby obecnie dość bogaty, aby kupić sobie własną planetę i osiąść na niej w

roli emeryta.

Czymkolwiek jest to Równanie, któremu służy Bardasano, na pewno nie jest to agenda rządowa, pomyślał, odwrócił się od okna i sięgnął ponownie po butelkę piwa Old Tillman. Bardasano jest zbyt inteligentna, aby dać się prowadzić na smyczy tutejszych sił bezpieczeństwa. Cholera, przecież sama wysyła mnie na światy, gdzie ludzie mają znacznie mniej rzeczywistych powodów do buntu niż ci tutaj, na jej własnym podwórku! Nie jest przecież tak tępa, żeby tego nie skojarzyć.

Co więcej, Harahap był praktycznie pewien, że bomba, która eksplodowała w Wieży Suvorova, nie została podrzucona tam przez terrorystów. Ani tych z Baletu, ani miejscowych. Pewność ta brała się z faktu, że podczas ostatniej wizyty zdarzyło mu się przebywać w ośrodku znajdującym się w podziemiach tej budowli.

Zachowanie Chernysheva, który go wtedy eskortował, wskazywało jednoznacznie, że Rufino nie miał tej wyprawy za szczególnie dobry pomysł. To z kolei mogło być znakiem, iż obiekt był czymś znacznie więcej niż prywatną kliniką Isabel Bardasano. Sam widział tylko windę i część pomieszczeń na dwóch piętrach, ale sądząc po panelu w tejże windzie, poniżej musiał się znajdować jeszcze z tuzin kondygnacji. Co więcej, zabezpieczenie obiektu stało na najwyższym poziomie. Wobec tak ścisłych zasad bezpieczeństwa trudno było mu uwierzyć, że nawet Balet, który bez dwóch zdań był organizacją bardzo sprawną i skuteczną – czy terrorystyczną, czy wyzwolenczą, to już druga sprawa – zdołałby przemycić ładunek jądrowy do wnętrza wieży.

Poza tym takie ataki zdarzały się głównie w kiepskich powieściach. W rzeczywistości jako argument w walce politycznej były zdecydowanie nieopłacalne. Każda grupa, która się na to decydowała, jednoczyła przeciwko sobie praktycznie wszystkie siły prawa w całej galaktyce. Nawet takie, które na co dzień się zwalczały, były wówczas gotowe do zawieszenia broni i współpracy w celu schwywania złoczyńców. Nawet nuklearne akty zemsty były rzadkością i Harahap niezbyt skłonny był wierzyć, aby Balet dostał nagle napadu niepohamowanej mściwości i dokonał trzech ataków na budynki mieszkalne w stolicy Mesy. Nie wspominając już o tym, że każdy, kto zdołałby pokonać zabezpieczenia tych miejsc, mógłby z powodzeniem przeniknąć do znacznie ważniejszych obiektów, których zniszczenie naprawdę zablokowałyby tutejsze władze.

Sam wybór celów dowodził jednoznacznie, że nie mogła to być skoordynowana operacja terrorystyczna. Jedna opuszczona wieża, praktycznie do rozbiórki. Jeden tajny obiekt, który z pewnością należał do kogoś innego niż rząd. I jeden park w dzielnicy mieszkalnej, gdzie wybuch

zabił ponad trzy setki dzieci, innych ofiar już nawet nie licząc.

Nie było powodu do ataku na Wieżę Buenaventura. Harahap przeprowadził dyskretne dochodzenie i ustalił, że od ponad pięciu lat stała pusta. Wyburzenie wysokiej na blisko kilometr ceramkowej wieży nie było łatwą sprawą. Prościej i opłacalniej byłoby ją wyremontować, chociaż i to trochę by kosztowało. Wobec braku szczególnego popytu na mieszkania władze Green Pines postanowiły ostatecznie wyłączyć wieżę z użytku, oddając ją lokalnym odpowiednikom szczurów, nietoperzy i węży. Oraz rzadkim w okolicy bezdomnym. Harahap nie wyobrażał sobie bardziej bezużytecznego dla terrorystów celu ataku.

Atak w parku Pine Valley miałby jakiś sens jedynie dla ludzi opętanych żądzą zemsty. Tyle że tacy nie marnują ładunków nuklearnych na puste budynki. Każdy, kto gotów był zabić setki dzieci, uderzyłby na czynną i zamieszkaną wieżę.

A potem doszło do wybuchu w Wieży Suworowa.

Damien Harahap nie był ekspertem w dziedzinie prac wyburzeniowych, ale w swej karierze zajmował się najróżniejszymi sprawami, kanały informacyjne zaś pokazywały ujęcia ruin z góry niemal przez całą dobę. Przyjrzał się im uważnie i doszedł do wniosku, że ładunek, który zdemolował tę wieżę i uszkodził poważnie kilka sąsiednich, musiał zostać zdetonowany w podziemiach.

Najpewniej w tym właśnie obiekcie, który zdarzyło mu się odwiedzić z Chernyshevem. Tylko to pasowało do charakteru zniszczeń, a jednocześnie wskazywało, że nie mogło chodzić o żadną organizację terrorystyczną. Zniszczenia były poważne, ale samo pole rażenia mocno ograniczone. Harahap pomyślał nawet, że ładunek został odpalony w taki sposób, aby unicestwić podziemia przy jak najmniejszych szkodach ubocznych. I być może został podłożony przez samych właścicieli obiektu.

Oczywiście owo „minimalizowanie” szkód było skazane na porażkę. Trudno, żeby było inaczej, gdy ktoś odpala ładunek atomowy w samym centrum gęsto zaludnionego miasta.

Tylko dlaczego? Co mogło skłonić nieznaną przełożoną Bardasano do zniszczenia własnego obiektu? Jedyne wyjaśnienie, które jakoś się broniło, to że Równanie wypadło z łask rządu i sytuacja zrobiła się na tyle poważna, że nie mając wyboru, zdecydowało się na zniszczenie dużego, starannie zamaskowanego i na pewno bardzo kosztownego ośrodka. I tym samym zapewne wszystkich przechowywanych tam materiałów, które nie powinny wpaść w ręce władz. Ale wielkie korporacje, zwłaszcza takie jak Manpower, z reguły miały rządy w kieszeni.

Wszystko zaś wskazywało na to, że Równanie było w bardzo dobrej komitywie z co najmniej kilkoma korporacjami, co czyniło jakikolwiek konflikt z władzami nader mało prawdopodobnym. Poza tym, gdyby ludzie Bardasano mieli aż tak poważne problemy z oficjalnymi czynnikami, on sam byłby już solidnie przepytywany przez kogoś w mundurze. Niemniej wcześniej doszedł do wniosku, że nie było najmniejszej szansy, aby ładunek mogli podłożyć ludzie z zewnątrz.

Nie, tam musiało się porobić coś dziwnego. Może chodziło o konflikt w obrębie samego Równania? I to poważny konflikt. Rząd Mesy miał swoje powody, aby obwiniać Balet o całe zło tego świata, ale w tym przypadku z pewnością nie była to robota żadnych „terrorystów”.

Co z kolei prowadziło do bardzo ciekawych konkluzji...



– Przepraszam, że tyle to trwało, panie Harahap – powiedział mężczyzna na wózku antygravitacyjnym.

Był zapewne w wieku Harahapa, chociaż od czasu wprowadzenia prolongu trudno było orzec coś takiego z całkowitą pewnością, i mocno ucierpiał podczas niedawnego ataku. System szybkiego uzdrawiania zdołał przez miesiąc naprawić jego tkanki miękkie, chociaż pewne znaki, widoczne dla kogoś, kto trochę się na tym znał, świadczyły o tym, że obrażenia były bardzo poważne. Co więcej, obejmowały najpewniej także kości, co zawsze spowalniało regenerację organizmu. Na to ostatnie wskazywał sam wózek antygravitacyjny oraz oparte obok kule.

– Oglądałem wiadomości – odparł Harahap tonem pełnym zrozumienia i wzruszył ramionami. – Wydaje się, że jesteście teraz dość zajęci. Rozumiem, że wszystkie harmonogramy mogły się zdezaktualizować.

– W rzeczy samej – odpowiedział oschle mężczyzna. – Dlatego to ja z panem rozmawiam, a nie pani Bardasano. – Skrzywił się i posmutniał. – Obawiam się, że zginęła w ataku terrorystów.

– Rozumiem – powtórzył Harahap. Tego się nie spodziewał. Bardasano nie żyje? Ciekawe, szczególnie biorąc pod uwagę miejsce, gdzie doszło do eksplozji. Zatem...

Skoro nie terroryści, w grę wchodził tylko ktoś z samego Równania. Ktoś, kto przemyślił bombę do środka albo włamał się do systemu i aktywował ładunek umieszczony tam o wiele wcześniej, jeszcze w trakcie budowy. To miałyby o wiele więcej sensu. Ale jeśli tak, to co się, u diabła, dzieje? Przecież nie chodziło chyba o jakieś osobiste animozje wobec Bardasano!

– Przykro mi to słyszeć – odezwał się po chwili. – Nie powiem, żebyśmy dobrze ją poznał, ale

zawsze wolę pracować z zawodowcami. Ona na pewno nim była.

– Tak – zgodził się mężczyzna. – I jak już zapewne pan się domyśla, pracowała dla mnie. Właśnie dlatego to ja z panem rozmawiam. Ataki w pewien sposób... zdeorganizowały nam pracę. Szczerze mówiąc, spowodowały większe szkody, niż powszechnie wiadomo. Oprócz zdetonowania ładunku atomowego doszło też do cyberataku. Bardzo złożonego. – Wyprostował się na wózk i skrzywił z niesmakiem. – Pracujemy nad odtworzeniem danych, ale dopóki nie skończymy, nie możemy kierować nowych ludzi do rozpoczętych już operacji. Póki co, muszą zajmować się nimi osoby, które już wcześniej zyskały jakieś pojęcie o tym, co i gdzie się dzieje.

– Rozumiem – stwierdził po raz kolejny Harahap, zyskując dodatkowe dowody, że atak na Równanie został wyprowadzony z samego wnętrza organizacji. – Nie wiem, na ile się to przyda, ale dysponuję kompletem danych, które pani Bardasano przekazała mi przed rozpoczęciem misji. Materiały znajdują się w kompie na pokładzie statku.

– Naprawdę? O jakie dane chodzi?

– O ile wiem, surowe dane wywiadowcze oraz analizy przygotowane przez jej ludzi. – Mężczyzna uniósł brwi. – Poprosiłem o nie, chcąc przeprowadzić własne analizy. Z tego, co widziałem w terenie, chyba otrzymałem komplet dokumentacji.

– To może się bardzo przydać – powiedział tamten. – Jestem przekonany, że ostatecznie zdołamy wszystko odtworzyć, ponieważ przechowywaliśmy dane w różnych miejscach, ale uzyskanie czegoś w stanie nienaruszonym na pewno ułatwi nam pracę.

Sądząc po tonie głosu, wcale nie był pewien, że odzyskiwanie danych zakończy się sukcesem, ale to nie był już problem Harahapa.

– Otrzymałem te dane na stałym nośniku, nie zostały mi przesłane – wyjaśnił były żandarm. – Domyślam się, że to z powodu ich poufności. Mogę wrócić na statek i sam je przywieźć albo przekazać panu kody bezpieczeństwa, żeby ktoś mógł je ściągnąć, nie powodując ich wymazania ani... eksplozji kompa.

– Eksplozji mieliśmy ostatnio aż za wiele. – Mężczyzna uśmiechnął się słabo. – Prawdopodobnie wyślemy pana osobiście. Ale najpierw proszę powiedzieć, co przyniosła pańska podróż.

– Oczywiście. – Harahap usiadł wygodniej. – Spośród odwiedzonych przeze mnie światów najbardziej obiecujące wydają się dwa, Włocławek i Swallow. Wonder dla samej operacji Janus nie będzie raczej użyteczny, chociaż prezentuje pewien potencjał jako miejsce spotkań z osobami

związanymi z Ruchem Cripple Mountains na Swallow. Bywają tam regularnie w ramach działalności biznesowej. Niemniej kandydatów na rewolucjonistów raczej tam nie znajdziemy. Miejsce jest dość ponure, ale panuje tam podobna sytuacja jak na Any Port. Jest wielu niezadowolonych, panują nastroje buntownicze, zdarzają się nawet manifestacje uliczne, ale w zasadzie tylko tyle. Mam gotowy raport na temat tych układów z uzasadnieniem wniosków. Wziąłem go nawet ze sobą. – Otworzył teczkę i wyjął czip z danymi. – Możecie sami to sprawdzić, chociaż sądzę, że dodatkowa analiza będzie tylko marnowaniem czasu i środków.

Rozmówca wziął czip i skinął głową.

– Swallow to całkiem co innego – ciągnął Harahap. – Przede wszystkim ferment wzbiera tam już od wielu lat i ogarnął znaczną część społeczeństwa. Nie jest to większość, ale grupa mająca duży wpływ na ogół i zdolna do bardzo sprawnej organizacji. Rozmawiałem z jednym z tych ludzi i...



– On jest dobry, ojciec – powiedział kilka godzin później Collin Detweiler. Siedział wraz z Albrechtem Detweilerem na werandzie domu na rodzinnej wyspie. Popijali drinki, słuchali szumu przyboju i cieszyli się łagodnymi podmuchami wiatru. – Nawet bardzo dobry. Dokładnie taki, jak wspominała Isabel.

– Skoro tak, to ciekawe, jakie wnioski wysnuł w sprawie Green Pines – mruknął ojciec.

– Nie pytałem go i nie zamierzam pytać. – Collin upił whisky i odstawił ostrożnie szklanę. – Jakkolwiek by na to patrzeć, wie świetnie, że Centrum Gamma znajdowało się właśnie pod Wieżą Suvorova.

– Wie o Centrum Gamma? – Albrecht Detweiler zmarszczył czoło. – A niby jakim cudem dowiedział się o jego istnieniu?

– Nie wie, jakie było duże, nie wie, co tam robiliśmy, na pewno nie ma pojęcia, jakie było ważne – odparł Collin. – Isabel bardzo się spieszyła, gdy go przygotowywała. Wiesz, że nanosystem samobójstwa musi zostać genetycznie zakodowany i zaprogramowany. Musiał otrzymać go przed wysłaniem, a czasu nie było wiele, musieli więc skorzystać z kliniki w Centrum Gamma. Ale sądzę, że nie musisz się martwić, co tam zobaczył. Chernyshev go eskortował.

Ojciec patrzył na niego przez parę sekund, po czym chyba się uspokoił.

– Pewnie nie muszę – mruknął, ale pokiwał znacząco palcem. – Nie lubię takich sytuacji.

Zbyt łatwo wprowadzamy obcych w pobliże jądra.

– Podejrzewam, że Harahap i tak domyśla się jego istnienia, chociaż nie wie, czym jest naprawdę. – Collin wzruszył ramionami. – Ale tak to już bywa. Skoro chcemy skorzystać z usług kogoś rozgarniętego, musimy zaakceptować, że sam dojdzie do paru rzeczy, które wolelibyśmy przed nim ukryć. Jedynym sposobem, aby tego uniknąć, byłoby zatrudnianie głupców, ale... to byłby strzał w stopę. A nawet obie stopy.

– Zgoda, zgoda! – Albrecht machnął ręką. – A jeśli zgadzasz się ze zdaniem Isabel, że jest nam potrzebny, to pewnie się pod tym podpiszę.

– Naprawdę sędzę, że nie mamy wielkiego wyboru. – Collin znów wzruszył ramionami. – Nadal próbujemy się zreorganizować po tym cyberataku, no i straciliśmy obu zastępców Isabel. Nie wspominając Jacka McBryde'a. To oznacza, że brakuje nam wyższej kadry kierowniczej i musimy ściągać młodszych agentów terenowych, żeby wypełnić luki. Szczerze mówiąc, pewnie także Chernysheva. Damy mu posadę Isabel.

– Jesteś pewien, że tak będzie najlepiej? – Albrecht zmarszczył brwi. – Przez długi czas był bardzo skuteczny w terenie.

– Dlatego potrzebujemy Harahapa, żeby go tam zastąpił. Przynajmniej w jakiejś części. Niestety oprócz Chernysheva nie przychodzi mi do głowy nikt więcej, kto miałby podobne doświadczenie w tej pracy jak Isabel, był w pełni poinformowany o różnych operacjach, a on był w praktyce jej trzecim zastępcą, no i był podobnie inteligentny. I chociaż nigdy nie było z tego powodu problemów, on jest też trochę bardziej zrównoważony niż ona. Wiesz, że jego genom jest lepszy pod tym względem od genomu linii Bardasano.

Albrecht zmarszczył brwi, po czym skinął głową.

– Fakt – stwierdził. – I Harahap go zastąpi?

– Uczynię go głównym odpowiedzialnym za Włocławek i Swallow. Najpierw jednak wyślę go na Mobiusa. Nawiązał tam pierwszy kontakt, więc chcę, żeby wprowadził zastępcę Chernysheva w tym układzie, który leży zbyt daleko, aby on sam także zdołał go przejąć.

– Rozumiem. – Albrecht skinął głową. – Dręczy mnie jednak myśl, że skoro jest tak inteligentny, jak to przedstawiasz, to informacje, które będziemy musieli mu przekazać, aby mógł sprawnie pokierować akcją, dadzą mu o wiele głębszy wgląd w całość, niż moim zdaniem byłoby pożądane.

– Nie aż tak głęboki, jak się obawiasz – powiedział Collin i sięgnął po szklanekę whisky. – A

nawet jeśli... – Przerwał, aby upić łyk, i uśmiechnął się zimno. – Przecież był w klinice Centrum Gamma, prawda?

ROZDZIAŁ XXIV



Cóż, ten statek robi wrażenie, Luiz – powiedział Oravil Barregos, reprezentujący jako gubernator Biuro Bezpieczeństwa Granicznego w sektorze Maya.

– Ależ Oravilu... – Admirał Luiz Roszak skrzywił się kwaśno. – Jesteśmy tradycjonalistami. Jednostka, która przynależy do marynarki wojennej, to okręt, nie statek.

– Naprawdę? – Barregos spojrział z niewinnym zdumieniem na nieco niższego admirała. Roszak parsknął śmiechem.

– Dobra, masz mnie. – Pokiwał głową i wskazał otwarte przejście, za którym znajdowała się przestronna i nad wyraz komfortowo urządzona kabina, właściwie niewielki apartament. – Naprawdę jestem aż tak przewidywalny?

– Tylko pod pewnymi względami, Luiz.

Barregos stanął pośrodku dziennej kabiny oficera flagowego i spojrział na zajmujący całą ścianę ekran. Kabina znajdowała się głęboko w trzewiach opancerzonego wewnętrznego kadłuba przyszłego krążownika liniowego SLNS *Sharpshooter*. Jednostka pierwotnie miała nosić nazwę *Defiance*, co byłoby bardzo stosowne, zważywszy na powód jej budowy, chociaż z drugiej strony, *Sharpshooter*, czyli „Strzelec Wyborowy”, był pewnie jeszcze lepszy... I po bitwie o Torch o wiele bardziej znaczący.

Gubernator zacisnął usta i porzucił te skojarzenia, wspominając ponownie poniesione wtedy straty, które obejmowały także poprzedników *Sharpshootera*. Roszak i jego ludzie przelali sporo krwi w obronie Królestwa Torch i jego obywateli, byłych niewolników genetycznych. Głęboko ich żałował. Zginęli wprawdzie w słusznej sprawie, ale tyle śmierci, tyle straconych jednostek...

Pokręcił ze smutkiem głową i ponownie spojrział na ekran, gdzie widać było jasne sylwetki innych okrętów, budowanych właśnie w rozproszonych stoczniach orbitalnych Erewhonu. Było ich całkiem sporo, a prace na niektórych były równie zaawansowane jak w przypadku jednostki flagowej Roszaka.

– Ja też ich oplakuję – powiedział cicho Roszak. Podeszedł do pogrążonego w myślach Barregosa, który odwrócił głowę w jego stronę. Admirał wzruszył ramionami. – Wiem, o czym myślałeś. Mam te same skojarzenia. – Wskazał oczami na ekran. – Szkoda, że komandor Carte i jego ludzie nie mogą tego zobaczyć. Tym bardziej czekaliby na spotkanie z tymi draniami z Old

Chicago.

– Wiem.

Barregos położył na chwilę dłoń na ramieniu Roszaka, po czym odwrócił się i zasiadł w jednym z foteli przy stoliku kawowym, który wyglądał na zrobiony z kutej miedzi. Pokazał admirałowi, aby zajął miejsce po przeciwnej stronie.

– Rozumiem, że tak naprawdę to twoja kabina, nie moja – powiedział pogodniejszym już tonem. – Z drugiej strony ja jestem gubernatorem, a ty tylko admirałem...

– I to jakim skromnym – dodał Roszak i usiadł.

Barregos zachichotał, zastanawiając się, jak niektórzy członkowie jego sztabu mogliby zareagować na taką obrazę majestatu. Wielu, zwłaszcza z dalszych kręgów, zapewne nie kryłoby oburzenia. Oravil Barregos ani myślał się oburzać. W całej galaktyce były może ze trzy osoby, którym ufał równie bezgranicznie jak Luizowi Roszakowi. Tak, może trzy, ale na pewno nie więcej, dodał w myślach.

– Każdy przyszedł dyktator winien skrywać swoją megalomanię pod maską skromności – powiedział. – Naprawdę jesteśmy tylko w połowie tak boscy, jak nam się wydaje.

– I to właśnie w tobie lubię – przyznał uprzejmie Roszak.

– Skromność skromnością, ale czas nagli – stwierdził Barregos i zdecydowanie spoważniał.

– Jest kilka rzeczy, które musimy omówić w cztery oczy, zanim zaczniemy rozmawiać o nich z kimkolwiek innym.

Roszak pokiwał głową. Jakkolwiek idiom „w cztery oczy” nie był powszechnie stosowany w galaktyce, na Erewhonie jakoś się przyjął. Biorąc zaś pod uwagę temat rozmowy i przewidziane w Lidze Solarnej kary za zdradę i bunt na pokładzie, dyskrecja była rzeczywiście mocno wskazana.

– Zaczynamy otrzymywać pewne pytania. Jest ich nawet więcej, niż oczekiwałem, i dotyczą tego, co, u diabła, zdarzyło się na Torch – mówił Barregos. – Wiem, że udało wam się utrzymać w tajemnicy rzeczywisty poziom strat, ponieważ wiele z tamtych jednostek nie figurowało w ogóle w oficjalnej ewidencji. Niemniej najwyraźniej doszło do jakichś przecieków, które zrodziły różne pogłoski. I to właśnie one budzą zainteresowanie. Chociaż może być i tak, że po prostu Ukhtomskoy raz faktycznie wykonał swoją robotę.

– To trochę nie fair – powiedział łagodnie Roszak. – Ukhtomskoy jest kompetentny. Wie, że niektórzy ludzie wolą pewnych rzeczy nie słyszeć, i uważa, żeby pewnych rzeczy wówczas nie

mówić. Oczywiście gdy już wie, z kim ma do czynienia. Ale to nie oznacza, że sam nie jest dość rozgarnięty, żeby dobrze wykonywać swoją pracę. Jiri i ja spotkaliśmy go i powiem ci, że jest nieporównanie mądrzejszy niż Karl-Heinz Thimár!

Barregos przytaknął niechętnie. Owszem, Adão Ukhtomskoy, szef wywiadu Biura Bezpieczeństwa Granicznego, był mądrzejszy i miał znacznie więcej wyobraźni niż admirał Thimár, szef wywiadu Ligi Solarnej. Było też prawdą, że Roszak i komandor Jiri Watanapongse, jego oficer wywiadu, spotkali obu tych mężczyzn.

– W porządku, zapewne powinienem powiedzieć, że raz uczciwie pogonił swoich do roboty – przyznał. – W każdym razie oficjalnie zażądano ode mnie „bardziej szczegółowego i pełniejszego” raportu.

– Ale tylko ze strony wywiadu marynarki wojennej – zauważył Roszak. – Wywiad Biura milczy w tej sprawie. Ciekawe, czy to oznacza, że w ogóle ze sobą nie rozmawiają, czy że po prostu nie rozmawiają o nas.

– Mam nadzieję, że to drugie! – Barregos potrząsnął głową. – To byłoby ostatnie, czego teraz nam trzeba.

– Uwielbiam takie eufemizmy – rzucił Roszak. – Na szczęście Jiri i Edie już nad tym pracują.

– Tak? – Barregos uniósł brwi.

Komandor Edie Habib (tak naprawdę już kapitan, chociaż poza sektorem Maya nikt jeszcze o tym nie wiedział) była szefem sztabu Roszaka. Należała też chyba do najinteligentniejszych oficerów, z którymi admirał od lat pracował.

– Jeszcze przed wylotem na Smoking Frog dostaniesz kopię tego, do czego doszli – powiedział Roszak. – Udana sprawa, że tak powiem. Królowa Berry i jej ludzie zrobili naprawdę dobrą robotę, prosząc nas o pomoc w zredagowaniu tych fragmentów rozmów, w których była mowa o dostępności naszych sił. Mogliśmy w ten sposób znacznie... zredukować oficjalne dane na temat naszych stanów. A gdy tych dwóch, plus Ruth Winton, zaczęli zabawę z zapisami bitwy, stworzyli całkiem ciekawy, chociaż mocno fikcyjny scenariusz. Wątpię, aby ktokolwiek u Ukhtomskoya miał dość umiejętności, aby się przez to przegryźć i wykryć manipulację. Wywiad marynarki dałby radę, ale oni nie współpracują i nie dzielą się danymi. Obie strony myślą raczej o tym, jak przyłapać tę drugą na kompromitacji.

– Pewnie tak. – Barregos skinął głową. Bez dwóch zdań mu ulżyło. – Czy mogę przyjąć, że

twoi ludzie podeszli równie kreatywnie do wymiany poczty dyplomatycznej oraz oficjalnych raportów, które mi składałeś?

– Oczywiście. Z uwzględnieniem korekty dat i czasu zapisu. Czy Jeremy i Julie mogą wstawić to do oficjalnych zapisów zamiast oryginałów?

– Jasne – odparł Barregos. Jeremy Frank, jego starszy asystent, był dwadzieścia lat młodszy od Roszaka, ale pracował dla Barregosa niemal od takiego właśnie czasu. Julie Magilen zaś, jego osobista sekretarka, szefowa gabinetu i personelu, była jego rówieśniczką i działali razem ponad pół wieku. Odgrywali w realizacji obecnych planów co najmniej tak samo ważne role jak Habib czy Watanapongse i, co więcej, byli tak samo lojalni. Ponadto Frank, będąc biegłym informatykiem, stworzył wraz ze swoimi ludźmi dobrze zamaskowane ścieżki dostępu do najróżniejszych miejsc. – I co wynika z tych raportów? – spytał po chwili.

– Wszyscy w Lidze Solarnej, począwszy od Bernarda w Strategii i Planowaniu, po Kingsforda i Rajampeta, a nawet, niech Bóg ma nas w swojej opiece, Thimára, są przekonani, że budujemy flotę, polegając na własnych zasobach sektora. Bardzo się ucieszyli, że nie będą musieli tu niczego wysyłać. Zwłaszcza wobec zaognienia sytuacji z Manticore! Tak więc Edie usiadła z Alexem Chapmanem i Glennem Hortonem i przygotowała projekty niszczycieli oraz krążowników, które rzekomo kupujemy na Erewhonie.

Barregos ponownie skinął głową. Admirał Alexander Chapman był starszym oficerem Marynarki Wojennej Erewhonu, Glenn Horton zaś był lokalnym przedstawicielem tamtejszych stoczni budujących flotę Sił Obrony Sektora Maya. Oczywiście oficjalnie takich sił nie było, ale Barregosowi to nie wadziło, ponieważ owa flota także oficjalnie nie istniała.

Co więcej, niebawem owe siły miały przekształcić się w Marynarkę Wojenną Sektora Maya. Był pewien, że niektóre osoby w Old Chicago udławią się keksem na tę wiadomość.

Zakładając oczywiście, że on i Luiz Roszak pożyją na tyle długo, żeby do tego doszło. A w tej materii nie było żadnej pewności.

– Ich projekty na pewno wywołają pewne zdumienie – kontynuował Roszak. – Puściliśmy to w przekonaniu, że nawet Thimár powinien wreszcie zrozumieć, iż Manticore i Haven od dawna budują okręty o wiele lepsze niż wszystko, co posiada Liga Solarna. Chyba nikt z personelu Thimára i Kingsforda nie ma pojęcia, do czego obecnie są zdolne, nasze projekty zaś przedstawiają jednostki o dwadzieścia–trzydzieści procent nowocześniejsze niż okręty ze składu Floty Pogranicza czy Battle Fleet.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – Sądząc po tonie, było to tylko i wyłącznie pytanie, nie krytyka.

Roszak skinął głową.

– Musimy wykazać tę jakościową przewagę, aby wyjaśnić, co dokładnie zrobiliśmy z najemnikami Manpower. Możesz mi wierzyć, że w tych nowych „oficjalnych” raportach złagodzilśmy mocno przebieg walki, ale musieliśmy jakoś uzasadnić, dlaczego udało nam się ich pokonać. Mieliśmy dwie opcje. Mogliśmy albo zawyżyć stan naszej floty, albo poprawić parametry poszczególnych jednostek w taki sposób, aby przewyższały wszystko, co buduje Liga Solarna. Stocznie Erewhonu wybraliśmy z tego prostego powodu, że leży on z dala od Ligi i nigdy nie był uwikłany w konflikty pomiędzy Manticore i Haven. To wyjaśniało, jakim sposobem mógł uzyskać dostęp do technologii militarnych Manticore i dlaczego nie miał oporów, abyśmy i my w jakimś stopniu na tym skorzystali. Na ile znam Thimára, zaraz przyjmie, że wszystkie nowinki, które znajdzie w naszych projektach, są w Manticore od dawna powszechnie stosowane.

– A jeśli zechcą, abyśmy wysłali parę tych nowych okrętów do Ligi Solarnej, żeby sami mogli je zbadać i ocenić?

– Niestety podczas bitwy o Torch to właśnie nowe jednostki poniosły największe straty – odparł Roszak. – Obawiam się, że większość z nich spędzi wiele miesięcy w stocznich, jeśli w ogóle będzie sens je remontować. – Wzruszył ramionami. – Niemniej jeśli wystosują taką prośbę, odpowiemy, że oczywiście, gdy tylko będziemy mogli sobie na to pozwolić.

– Myślisz, że długo uda nam się ich zwodzić w ten sposób?

– Jeśli się nie mylę, nie będziemy musieli długo tego robić. – Roszak pokręcił głową. – Widziałeś te same raporty i relacje medialne co ja. A Jiri przekazał cały zapis rozkazów i działań Sandry Crandall. Z Josefem Byngiem już w sektorze Madras i Sandrą Crandall tuż obok, wraz z całą tą cholerną flotą, co twoim zdaniem musi się zdarzyć?

– Dojdzie do wielkiej rozpiarduchy między nimi a Manticore – powiedział spokojnie Barregos.

– Właśnie. A wtedy Manticore ich wypatroszy.

– Naprawdę? Z tego, co mówił Jiri, Crandall dysponuje olbrzymią siłą ognia.

– Ale jest niemal tak samo durna jak Byng – stwierdził Roszak. – Nie wspominając już o tym, że z całą pewnością nie ma pojęcia o potencjale bojowym nowych pocisków Manticore.

Gorzej. Nawet gdybym przekazał jej plany takiej wielostopniowej rakiety... albo i działający egzemplarz, i tak by nie uwierzyła. Owszem, ma tyle jednostek, że mogłaby się z tego wykaraskać ze względnie małymi stratami. Tyle że do tego musiałaby być na tyle inteligentna, żeby szybko i poprawnie przeanalizować swoją sytuację i zaraz się wycofać. I nie ma szansy, żeby zdołała odebrać im choć jeden układ planetarny.

– O ile to właśnie zamierza zrobić, oczywiście – zauważył Barregos.

– To jasne, że taki jest jej zamiar. Nie jestem pewien, czy Manpower i Mesa manipulują Rajampetem i Kingsfordem, czy raczej Rajampet wykorzystuje Manpower i Mesę dla ukrycia swoich kombinacji. Ale nie ma co się łudzić, że ktokolwiek mógł wysłać równie silny zespół Battle Fleet aż do Madrasu bez zamiaru osiągnięcia jakiegoś konkretnego celu.

Barregos skinął głową. Opinia Roszaka pokrywała się praktycznie z jego własną, co mogłoby oznaczać...

– Jak szybko *Sharpshooter* rzeczywiście będzie gotowy do służby? – zapytał. – Mam na myśli pełną gotowość, Luiz. Sprawne systemy i zgrana załoga.

– Cała pierwsza partia okrętów powinna opuścić stocznice przed upływem dwóch miesięcy – odpowiedział Roszak. – *Sharpshooter* powinien przeprowadzić próby stoczniowe tydzień–dwa później. Biorąc pod uwagę tutejszą jakość wykonania, za kolejne dwa tygodnie, może mniej, spodziewam się prób odbiorczych. Wszystkie dwanaście jednostek wejdzie do służby zapewne pod koniec stycznia. Potrwa jeszcze kilka miesięcy, zanim okręty będą gotowe do zadań bojowych. Wedle moich szacunków nie mniej niż cztery miesiące. Powiedzmy więc, że będę mógł je posłać z czystym sumieniem do walki pod koniec kwietnia. Cięższe jednostki liniowe pojawiają się dobre dziesięć miesięcy później.

– A jakiego typu pociski będą przenosić?

– Przyszła już cała dostawa *Mk 17* od Chapmana i Hortona – powiedział Roszak. – Z drugiej strony jest sugestia, abyśmy wstrzymali się jeszcze z przekazywaniem ich do magazynów.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę i Barregos kiwnął lekko głową. Sytuacja polityczna była nadal... dość skomplikowana, biorąc pod uwagę fakt, że Erewhon opuścił w pewnej chwili Manticore. Co prawda na skutek prowokacji, ale zawsze. No i zaraz potem przekazał sporo elementów techniki wojskowej Manticore Republice Haven, i to w czasie, gdy wojna między Gwiezdnym Królestwem i Republiką rozgorzała na nowo. W rezultacie Erewhon nie cieszył się obecnie najlepszą reputacją w Manticore i stracił dostęp do najnowszych technologii Królestwa.

Niemniej ofiarna walka Roszaka w obronie Królestwa Torch mogła zmienić to nastawienie.

– Na ile zdecydowana jest ta „sugestia”? – spytał gubernator. – Przeglądałem twoje raporty, ale jeśli od tamtej pory dotarło do ciebie coś nowego, chciałbym to wiedzieć.

– Nic na mur cerambet – przyznał Roszak. – Ale Jiri dostał to bezpośrednio od Delvecchio.

Barregos oparł się w fotelu i na chwilę zatonał w myślach. Kapitan Rebecca Delvecchio była attaché Royal Manticoran Navy na Erewhonie. Była też szefową tutejszej komórki wywiadu Marynarki Wojennej Manticore, o czym oczywiście wszyscy dobrze wiedzieli. Wobec braku oficjalnego ambasadora, który został odwołany po zerwaniu sojuszu między Erewhonem a Manticore, Delvecchio zasadniczo pełniła jego funkcję. Państwa mogły się poróżnić, ale jakąś komunikację należało zachować. Jak to określono na miejscu: biznes to biznes.

– Nie sądzę, aby nawet teraz mogło chodzić o najnowsze pociski wielostopniowe – powiedział Roszak. – W sumie nie wiem nawet, czy *Defiant* mógłby je przenosić bez istotnych modyfikacji. Ale i tak są to modele dla wyrzutni holowanych, z tego zaś, co powiedziała Delvecchio, w grę wchodzi trochę starsze pociski dwustopniowe. Pewne jej sugestie wskazywałyby na starsze modele *Mk 16*. Chyba mają ich całą masę w magazynach, ale wolą nie korzystać z nich w walce z Haven. Co innego, gdyby użyć ich przeciwko Lidze Solarnej...

Jak zauważył Barregos, admirał powiedział to z dziwną mieszaniną satysfakcji i drapieżnego oczekiwania. Wyższych oficerów Solarian League Navy czekał prawdziwy szok, i to niezależnie od ich pozycji i ewentualnych pleców pozwalających na ucieczkę od odpowiedzialności. Przepotężna SLN miała właśnie stać się flotą o trzeciorzędnym statusie. Coś takiego nie miało prawa się wydarzyć.

– Robi się ciekawie – rzekł gubernator. – Jeśli Manticore naprawdę przekaże nam coś takiego...

– Nie zapominaj, że mówimy o uzbrojeniu, które z ich punktu widzenia jest już przestarzałe – przypomniał mu Roszak. – Chociaż i tak będzie lepsze niż wszystko, co inni mogliby nam zaoferować. Przy czym pozwolą nam też pewnie wykorzystać wiele rozwiązań w naszych konstrukcjach. Na pewno nie są to jednak jeszcze klucze do Gwiezdnego Królestwa.

– Ale i tak zaczynam się zastanawiać, co jeszcze może się wydarzyć... i jak może to wpłynąć na nasze plany. Na przykład związane z układem Kondrati...

– Kondrati? – Roszak uniósł brwi.

Układ Kondrati znajdował się niecałe sto dwadzieścia lat świetlnych od układu Maya, jego

mieszkańcy zaś nienawidzili Biura Bezpieczeństwa Granicznego i swoich korporacyjnych panów. Była to nienawiść czysta i żarliwa. Z całą pewnością można było oczekiwać tam prawdziwych kłopotów i nikt nie wahałby się wezwać marines czy admirała Luiza Roszaka, aby przywrócili porządek.

Z tego właśnie powodu Oravil Barregos poświęcił już Kondrati nieco uwagi i miał własne plany dotyczące tego układu. Po ogłoszeniu niezależności sektora Maya wobec Ligi Solarnej przyłączenie Kondrati byłoby całkiem sensownym krokiem. Barregos i Roszak sporządzili nawet całą listę podobnych światów, które dzięki wspólnym interesom mogłyby w naturalny sposób stać się członkami ich nowej federacji. Albo chociaż sojusznikami i partnerami handlowymi. Póki co, Barregos zadbał, aby Renée Guérin, jego starsza cywilna doradczyni do spraw bezpieczeństwa, i brygadier Philip Allfrey, starszy oficer Żandarmerii, mieli baczenie na układy z tej listy.

Także na Kondrati.

– Według Renée pojawiło się tam coś nowego. Na Kondrati co rusz trafia się jakiś samotny terrorysta, gotowy dolać oliwy do ognia, ale ostatnio zauważyła, że niektóre z tamtejszych grup oporu przeżyły swoistą przemianę i z każdym miesiącem są coraz lepiej zorganizowane.

– Wobec tego, co działo się tam wcześniej, każda zmiana musi być zmianą na lepsze.

– Wiem o tym. Ale wygląda na to, że czynnik sprawczy tej przemiany nie ma charakteru lokalnego.

– Ktoś dąży do dalszej destabilizacji układu? – Roszak zmarszczył czoło.

– Albo to, albo próbuje ustabilizować go... pod nowym kierownictwem.

– Sugerujesz, że to może być Manticore?

– W pierwszej chwili wydaje się to bez sensu – przyznał Barregos. – Ale po namyśle...

– A jaki mieliby po temu powód? – spytał sceptycznym tonem Roszak.

– Przysporzenie kłopotów Lidze Solarnej – odparł bez humoru Barregos. – Pomyśl tylko. Jestem pewien, że są nam, a raczej tobie, szczerze wdzięczni za obronę Torch, Manticore zaś zwykle spłacać swoje długi. Zatem wszystko, o czym wspomniała Delvecchio, może wynikać chociaż po części właśnie z tego. Niemniej Gwiazdne Królestwo słynie też z bardzo umiejętnej realpolitik. Musiało się tego nauczyć, aby przetrwać. I dlatego, chociaż jestem pewien, że bardzo nas teraz lubią, to jednak wątpię, aby byli gotowi dostarczyć nam nowoczesne uzbrojenie, jeśli nie zyskają na tym co najmniej tyle samo co my – dodał z sardonicznym uśmiechem.

– Sądysz zatem, że nie tylko domyślają się, co nam chodzi po głowie, ale też oczekują, że się ruszymy, i to niebawem? – spytał z namysłem Roszak. – Na tyle szybko, aby odciągnąć uwagę Old Chicago, Biura Bezpieczeństwa Granicznego oraz być może Battle Fleet od Quadrantu Talbott?

– To całkiem możliwe. A jeśli tak właśnie myślą, mieszanie się do różnych spraw w takich miejscach jak Kondrati nabiera sensu. Zwłaszcza gdyby miało to zachęcić nas do zerwania ze starym porządkiem.

– To byłby bardzo przebiegły plan – zauważył z podziwem Roszak. – Prawie tak przebiegły jak nasz.

– I wcale nie mam im tego za złe – stwierdził Barregos. – Jeśli jednak tak właśnie jest, powinniśmy jak najszybciej poznać szczegóły, żeby móc dostosować własne projekty. – Wzruszył ramionami. – Jeśli zaś cała koncepcja to tylko wytwór mojej paranoi, też nie zaszkodzi, jeśli wejrzymy głębiej, co tam się właściwie dzieje. Tam i na wszystkich światach z naszej listy.

ROZDZIAŁ XXV



To był zdecydowanie jeden z najlepszych hot dogów, jakie zdarzyło mu się jeść od dłuższego czasu. Parówka była z jagnięciny, i to z owiec górskich Mobiusa, których mięso zdaniem Harahapa mogło śmiało konkurować z wołowiną z Montany. Smak był bogaty, z nutą cebuli, i świetnie pasował do sera typu cheddar. Do spróbowania miejscowego specjału namówił go jeden z jego kontaktów. To był dobry krok i Harahap zamierzał powtórzyć go jeszcze kilka razy, zanim przyjdzie mu polecieć na Wonder. Zgodnie z planem miał ponownie spotkać się tam z Vincentem Frugonim.

Ugryzł kolejny kęs, po czym zanurzył frytkę w keczupie i wrzucił ją do ust. Niemal w tej samej chwili przypomniał sobie, że nie ma powodu do pośpiechu. Jego kontakt nie określił konkretnej godziny, miał więc do dyspozycji dłuższy czas. Lepiej zaś byłoby nie siedzieć nad pustym talerzem. Wtedy na pewno byłoby widać, że na kogoś czeka.

Oczywiście zawsze mogę zamówić jeszcze jedną porcję, pomyślał i znowu ugryzł kęs. Poza tym jest tu tak miło, że warto zostać na chwilę turystą.

Spojrzał ponad stołem na spore jezioro znajdujące się w samym sercu centralnego parku tutejszej stolicy. Stół był częścią ogródka, który zagospodarował mały cypelek wybiegający w jezioro. Harahap był pełen uznania dla osoby, która wypatrzyła tę lokalizację. Nie dość, że tuż obok stała budka z hot dogami, która miała chyba niezłe obroty, to jeszcze spory ruch stwarzał idealne warunki dla „przypadkowych” spotkań. Zwłaszcza w porze lunchu. Małe było tym samym ryzyko podsłuchu z użyciem mikrofonów kierunkowych, skoro tak ginęło się tu w tłumie. W sumie...

– Czy to miejsce jest wolne? – spytał ktoś i Harahap się odwrócił. Obok stał mężczyzna o wzroście nieco powyżej przeciętnej, z ciemnymi włosami i błękitnymi oczami. Nowo przybyły trzymał tacę z dwoma hot dogami, porcją frytek oraz dużym pojemnikiem sałatki coleslaw. Wskazał ławę po drugiej stronie stołu. – Wszystkie inne są zajęte – dodał zgodnie z prawdą i uśmiechnął się. – Poza tym to mój ulubiony stolik. Szczególnie przy takiej pogodzie.

– Ależ proszę siadać! – zaprosił go Harahap. – Domyślam się, dlaczego lubi pan to miejsce. Wspaniały stąd widok.

– No i ta lekka bryza, bardzo przyjemna w upalne dni – zgodził się mężczyzna. Postawił tacę

na blacie i usiadł. Po chwili spojrział na Harahapa i przechylił lekko głowę. – Z góry przepraszam za wścibstwo, ale wydaje mi się, że mówi pan z całkiem nietutejszym akcentem.

– Owszem – odparł Harahap i także się uśmiechnął. – Jestem z Manticore. – I w sumie rzeczywiście, pomyślał. Może prawdziwego mieszkańca Manticore nie zdołałby oszukać, ale każdego innego najpewniej tak.

– Trochę daleko stąd, nieprawdaż?

– Gdy się pracuje dla Kartelu Hauptmana, wyprawy z dala od domu to codzienność – powiedział Harahap. – Ale ma to też dobre strony. Na przykład wasze hot dogi. Gość, którego spotkałem podczas poprzedniej wizyty, bardzo mi je polecał. Namawiał, żebym zamówił pozycję czterdzieści sześć z tego menu. – Spojrział tamtemu w oczy. – Powiedział, że będzie mi smakowało, i miał rację.

– Naprawdę? – spytał mężczyzna z uśmiechem. – Cóż, też je lubię, ale moja ulubiona wersja to trzydzieści jeden.

– Zapamiętam, żeby spróbować – odpowiedział Harahap, gdy jego towarzysz użył przewidzianego odzewu. – Ale nie wiem, kiedy znowu tu trafię. Może przy następnej okazji wyślą kogoś innego. – Towarzysz spojrział na niego z niepokojem w oczach, ale Harahap kontynuował bez pośpiechu: – Pan Hauptman prowadzi wiele różnych interesów i mogą zostać przeniesiony na nowy teren. Moją specjalnością jest nawiązywanie nowych kontaktów, więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, moją rolę przejmie ktoś nastawiony raczej na ich rozwój.

– Rozumiem.

Mężczyzna ugryzł kęs swojego hot doga i przeżuwał z satysfakcją. Wreszcie przełknął.

– Chyba byłoby dobrze, gdyby wspomniał pan o mnie bardziej konkretnie w raportach, które przekaże pan swojemu następcy.

– Tak, myślę, że nazwę pana Brown. John Brown. Pasuje to panu?

– Może być, panie... Dabilenaren, prawda?

– Tak. Ardagai. Ardagai Dabilenaren. – Harahap podał mu dłoń i „pan Brown” uścisnął ją mocno.

– Zatem, panie Dabilenaren, ten sam przyjaciel, który polecił panu hot doga, wyrażał się bardzo pozytywnie o swoim spotkaniu z panem. Niemniej rozumie pan chyba, że nie był upoważniony do zawierania jakichkolwiek porozumień z waszym kartelem?

– Och, oczywiście! Jak mówię, jestem tylko jakby zwiadowcą. Przywykłem do takich

sytuacji. Czy mogę jednak przyjąć, że pan dysponuje odpowiednimi prerogatywami?

– Powiedzmy, że zostałem upoważniony do zawarcia wstępnego porozumienia. Naturalnie, jeśli się okaże, że możemy... wspólnie robić interesy. – Brown ugryzł kolejny kęs hot doga i przełknął powoli, dając Harahapowi chwilę na przetrawienie informacji. – Przyznaję, że to, co pana znajomy przekazał moim znajomym, brzmiało bardzo obiecująco. Być może jest to szansa na ustanowienie kontaktów, które będą nader korzystne dla obu stron. Niemniej nie będzie to jeszcze ostateczna decyzja. W tej materii nie mogę się wypowiadać.

– A jakie dokładnie „wstępne” porozumienie mają na myśli pańscy znajomi? – zapytał Harahap, sięgając po kufel piwa.

– W zasadzie takie, o jakim rozmawialiście poprzednim razem – odparł Brown. – Jesteśmy zdecydowanie zainteresowani stworzeniem proponowanych przez was kanałów komunikacji. Taki rodzaj wsparcia rynkowego mógłby przełamać impas w naszych działaniach marketingowych na Mobiusie. Jesteśmy też zainteresowani otrzymywaniem próbek i mamy nadzieję, że będzie ich wiele. Mogą być bardzo potrzebne, aby wejść tu na rynek. Jednak z pewnością rozumie pan, że musimy wstrzymać się z ostateczną umową do chwili, gdy nadejdzie pierwsza dostawa i będziemy już wiedzieli, że wasz kartel zdoła zapewnić regularne transporty. Bez żadnych przykrych niespodzianek. Przykrych dla kogokolwiek z nas.

Spojrzał na Harahapa, który skinął głową.

– Oczywiście, rozumiem wasze stanowisko. Przyjrzyjmy się więc szczegółom. Po pierwsze, gdy chodzi o te kanały komunikacji, najlepszy sposób to...



– ...nie sądzę zatem, abyś napotkał jakieś problemy, zakładając, że dostawa broni pójdzie sprawnie – powiedział Harahap do mikrofonu, dyktując ostatnie punkty swojego raportu. *Факел* opuścił już orbitę Mobiusa i zmierzał ku granicom układu, aby wejść w nadprzestrzeń i skierować się na Wonder. Raport miał zostać przesłany na zwykłą skrzynkę i poczekać na kolejnego wysłannika Równania, który przybędzie do tego układu. – Układ Landruma z Somerton Spaceways powinien sprawić, że sam transport będzie prostą sprawą, jeśli nikt z bezpieczeństwa za bardzo się nie przyczepi. Obiecałem im w pierwszym rzucie nieco broni krótkiej i kilka wyrzutni przeciwpancernych. To chyba nie będzie trudne do załatwienia. Chętnie przekazałbym im coś cięższego, ale lepiej będzie zacząć od drobiazgów. To bardziej ich przekona i wzbudzi zaufanie. A może i uspokoi obawy. – Upił whisky i zastanowił się, co jeszcze

powiedzieć. W końcu skinął głową. – Spotkanie umocniło moje wrażenie, że ci ludzie są o wiele lepiej zorganizowani niż trzy czwarte potencjalnych „rewolucjonistów”. Podejrzewam, że pan „Brown” znajduje się znacznie wyżej w ich hierarchii, niż chciał przyznać. Jest też dobrym graczem. Powiedziałbym, że ma silne nerwy, a jeśli to on przewodzi organizacji, sądzę zaś, że może tak być, to trafiliśmy na poważnych partnerów. Zostawiłem mu „kody kontaktowe” do przesłania prośby o pomoc Marynarki Wojennej Manticore. Zapewne powinniśmy oczekiwać, że sprawy na Mobiusie mogą bardzo szybko nabrać tempa. Decyzja Lombrosa o zorganizowaniu „wolnych wyborów” zdaje się poruszać ludzi bardziej, niż jego doradcy przewidzieli. Frustracja jest tak silna, że tematy polityczne przeniknęły już do codziennych rozmów. W tej sytuacji perspektywa wyborów nie wróży dobrze reżimowi. Moim zdaniem istnieje prawdopodobieństwo rządu siedemdziesięciu procent, że gdy tylko Lombroso wyczuje, co się święci, spróbuje wszystko odwołać. A wtedy zrobi się naprawdę paskudnie. Możliwe zatem, że nie mamy wcale tak wiele czasu, aby ich zmobilizować. Mając to na uwadze, zalecam...



– Przyszedł już pan Nyhus, który był umówiony na trzynastą, sir – oznajmiła Marianne Haavikko.

– To *świetnie* – odpowiedział Adão Ukhtomskoy. Marianne pracowała u niego od prawie dwudziestu pięciu lat i nie miał powodu, aby ukrywać przed nią swoją opinię o Nyhusie. Ponadto zawsze panowała nad mimiką i nie było obaw, że gość zorientuje się, co właśnie usłyszała w mikrośluchawce. – Cóż, przypuszczam, że nie ma ucieczki. Skieruj go do mnie.

– Oczywiście – powiedziała uprzejmie Haavikko, a Ukhtomskoy rozsiadł się w fotelu.

Chwilę później drzwi gabinetu uchyliły się i do środka wszedł całkiem przystojny mężczyzna o bardzo jasnych włosach, ciemnej cerze i niebieskich oczach. Był niższy od mierzącego metr osiemdziesiąt Ukhtomskoya, ale wyglądał na kogoś, kto spędza dużo czasu na siłowni.

– Rajmundzie! – Ukhtomskoy wstał i podał dłoń gościowi. Udawanie serdecznego entuzjazmu nie było dla niego problemem.

– Adão. – Nyhus mocno ujął jego dłoń. – Dziękuję, że przyjąłeś mnie w tak krótkim czasie.

– Jesteś szefem drugiej sekcji – zauważył Ukhtomskoy. – Zwykle spotykać się z szefami sekcji, gdy zgłaszają taką potrzebę. – Uśmiechnął się lekko i wskazał Nyhusowi jedno ze stojących przed biurkiem krzesel. Potem sam usiadł. – Co nie znaczy, że nie zastanawia mnie, z

czym tak nagle przychodzisz.

– Domyślam się. – Nyhus wzruszył ramionami. – Ale zobaczyłem te raporty dopiero po naszym rutynowym spotkaniu na początku tygodnia. Gdy trochę się nad nimi zastanowiłem, uznałem, że chyba nie powinienem czekać z tym do czwartku.

– Jakie raporty? – Ukhtomskoy zmarszczył brwi.

– Na Pograniczu coś się dzieje – powiedział Nyhus. – W administrowanych przez nas systemach panuje coraz większe poruszenie. Podobnie w tych, gdzie jesteśmy obecni jedynie celem wsparcia.

– Wybacz mi, ale tam chyba zawsze panuje spory ferment? – spytał spokojnie Ukhtomskoy.

– Powinienem powiedzieć, że chodzi o nowe problemy – odparł Nyhus. – Wiele zdaje się wskazywać na to, że ten dodatkowy ferment jest podsycany przez kogoś z zewnątrz.

– W jaki sposób podsycany?

– Jak dotąd chyba tylko werbalnie, ale docierają do nas pogłoski o obietnicach dostarczenia broni. Znacznej ilości broni. Są nawet plotki, że w grę wchodzi wsparcie ze strony marynarki wojennej.

Ukhtomskoy przymrużył oczy. Pierwszy raz słyszał o czymś takim ze strony Biura Bezpieczeństwa Granicznego, ale sporządzona przez Noritoshiego Väinölę notatka, którą przekazała mu miesiąc temu Żandarmeria, wspominała o czymś bardzo podobnym. Na dodatek sporządzona była w alarmistycznym tonie, z wnioskami jakiegoś analityka, który miał chyba za dużo wolnego czasu i zaczął dostrzegać prawidłowości w strukturze chaosu. Niemniej, jeśli druga sekcja trafiła na jakieś dowody, to może czas spędzony z Nyhusem nie będzie tak całkiem stracony.

– O jakich plotkach mowa, Rajmundzie? – zapytał ostrym tonem.

Nyhus uniósł prawą dłoń.

– Wiesz, jak to jest. Mamy mnóstwo poufnych informatorów rozproszonych po różnych kątach, a każdy stara się znaleźć jakąś sensację, dzięki której zdoła nas przekonać, że powinniśmy mu więcej płacić. Z początku byłem więc trochę... powiedzmy, sceptyczny. Oczywiście czegoś takiego nie da się udokumentować. Poza tym sądzę, że niektórzy z moich starszych agentów układowych zmieniają w raportach nazwiska swoich informatorów. – Skrzywił się lekko. – Zbyt wielu z nich zostało spalonych z powodu niechlujnej ochrony informacji przekazywanych przez nas do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nietrudno więc

zrozumieć chęć ukrywania źródeł. Wysłałem drogą służbową żądanie wyjaśnienia tych kwestii, ale potrwa trochę, zanim przyjdzie jakaś odpowiedź.

Ukhtomskoy pokiwał niecierpliwie głową. Spore opóźnienia związane z przekazywaniem wiadomości na międzygwiazdne dystanse były zdecydowanie wielką zmurą wywiadu.

– Najbardziej zainteresowało mnie, że owe plotki napływają z bardzo rozległego obszaru – powiedział. – Chodzi o rejon od Quadrantu Talbott aż po sektor Maya. A może nawet jeszcze dalsze okolice. A drugie, co wydało mi się ważne, to niezmienna i konkretna sugestia, skąd ma pochodzić to wsparcie.

Przerwał, a Ukhtomskoy skrzywił się w duchu. Jedną z wielu rzeczy, których nie cierpiał w Nyhusie, była jego dziecinna skłonność do dawkowania ważnych informacji. Ukhtomskoy nie bawił się w takie gierki już od czasów szkolnych.

Przynajmniej nigdy z własnej woli.

– I co to za miejsce? – spytał z irytacją.

– Manticore – odparł Nyhus.



– Myślę, że to cały zestaw haczyków – powiedział Rajmund Nyhus wieczorem tego dnia.

Siedział w prywatnej łoży restauracji i spoglądał przez stół na bardzo atrakcyjną platynową blondynkę, która była ubrana mało wytwornie, może nawet zbyt tanio, jak na to otoczenie. Odgrywając konsekwentnie rolę skorumpowanego biurokraty, który od dawna siedzi w kieszeni wszelkich możliwych korporacji, dbał o wizerunek kogoś gustującego w ostatnich prostytutkach, gotowych stawić czoło jego dość... wyrafinowanym wymaganiom. Fakt, że naprawdę cenił sobie ich usługi, był niczym wisienka na torcie, ale przede wszystkim chodziło jednak o pozory. Chciał uchodzić za niezbyt bystrego i pozbawionego gustu. Kogoś, kto mógł spotykać się z osobą pokroju tej, która siedziała teraz naprzeciwko niego.

Podobnie jak on, Claire McGrath należała do linii beta, stworzonej genetycznie przez Równanie.

Z technicznego punktu widzenia Claire była jego „opiekunką”, ale prawda była taka, że Rajmund Nyhus był o wiele mądrzejszy, niż większość jego współpracowników z Biura Bezpieczeństwa Granicznego skłonna była przypuszczać. Był też zbyt cenny i zbyt wysoko tkwił w strukturach, żeby komunikować się z nim zwykłymi metodami. I stąd właśnie wzięła się Claire. Miała potrzebne po temu cechy, jak fotograficzna pamięć i zdolność absolutnie wiernego

odtworzenia cudzych wypowiedzi, włącznie z tonem i sposobem wypowiedzenia słów. Nic nie szło drogą elektroniczną ani w formie papierowej. Wszystko znajdowało się w jej głowie, a odbiorcy jej raportów mogli mieć pewność, że niczego nie pominęła.

Z punktu widzenia Nyhusa najciekawszy był jednak fakt, że projektanci jej linii uszczknęli sporo DNA z jednej z bardziej popularnych serii rozrywkowych niewolnic produkowanych przez Manpower. Poza wspaniałą figurą Claire miała też potężne libido, bez brutalnego treningu seksualnego zaś, który musiały przechodzić niewolnice, umiała w pełni cieszyć się życiem. Lubiała też odgrywać role, które rajcowały Nyhusa najbardziej. Dalszą część wieczoru mieli spędzić w jego prywatnym przybytku erotycznym. Oboje wiedzieli, że wszelkie odgłosy, jakie tam z niej wydobydnie, posłużą jako potwierdzenie jego oficjalnego wizerunku i gdyby ktoś ich o to spytał, oboje potwierdziliby to z kamienną twarzą. Nie mieli wątpliwości, że jego mieszkanie było na podsłuchu Biura Bezpieczeństwa Granicznego, więc nie należało ich rozczarowywać, prawda?

Niemniej łoża restauracji była całkowicie wolna od podsłuchu. Musiało tak być, ponieważ lokal należał do pracownika Równania, chociaż człowiek ów był przekonany, że pracuje dla jakiejś organizacji z miejscowego podziemia, które płaciło mu sowicie za prowadzenie interesu. Miał z tego nawet godziwy zysk, a jego tajni dobroczyńcy wymagali jedynie, aby zapewniał bezpieczny teren spotkań dla takich osób jak Nyhus i Claire. Publiczne, a zarazem pewne miejsce.

Lokal był powszechnie z tego znany, co ułatwiało nawet robotę agentom Równania. Po prostu ginęli w tłumie najróżniejszych ludzi, którzy przychodzili tu dokładnie w tym samym celu. Wyjaśniało to również wysokie obroty restauracji.

– Myślisz, że Ukhtomskoy pójdzie z tym aż do MacArtneya? – spytała Claire, przesuwając jednocześnie pod stołem bosą stopą po jego łydce.

– Wątpię. To, co na razie mu przekazałem, nie sugeruje, że sprawa jest aż tak pilna. Ale spodziewam się, że poruszy ten temat na następnym spotkaniu z Väinölä i Mabley. Pamiętaj, że ciągle pojawiają się jakieś plotki, że Manticore to, Manticore tamto, i wątpię, aby ktokolwiek, z Ukhtomskoyem włącznie, gotów był od razu poważnie coś takiego potraktować. Ale na pewno się nad tym zastanawia, zwłaszcza w świetle notatki, którą Väinölä przekazał mi kilka tygodni temu. I cokolwiek się stanie, mam zapisane w aktach, że moje „poufne źródła” meldowały o zaangażowaniu Manticore. Niezależnie od tego, co mógł sobie pisać Väinölä. We właściwym

czasie ta informacja skieruje całą uwagę na Manticore.

– Dobrze – powiedziała Claire. Upiła wina i uśmiechnęła się do towarzysza. – To bierzmy się do roboty, Rajmundzie. Przekaż raport i miejmy to z głowy. Nie mogę się doczekać, aż zaczniemy drugą część naszego wieczoru. – Uśmiechnęła się szerzej i powoli oblizała wargi. – Jestem pewna, że nasz podsłuch solidnie się dzisiaj napracuje.

ROZDZIAŁ XXVI



Miło cię widzieć, Rufino. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

Rufino Chernyshev skinął głową i uściśnął dłoń Collina Detweilera. Detweiler stał przy rogu biurka, wciąż opierając się na lasce, i miał zdecydowanie nieszczęśliwy wyraz twarzy.

– Też bym wolał, aby okoliczności były inne. Mam nadzieję, że nie jest aż tak źle, jak sugerują pogłoski.

– Zależy, jakie pogłoski słyzałeś. – Detweiler uśmiechnął się ponuro. – Serwisy mówią tylko o tym, co widać gołym okiem.

Twarz Chernysheva stężała.

– Tego się obawiałem – powiedział. – Głównie dlatego, że nie miałem żadnego sygnału od Isabel. Domyślałem się, że wszyscy muszą być bardzo zajęci, ale do głowy mi nie przyszło...

– Nie odezwała się, bo nie żyje – przerwał mu Detweiler szorstkim tonem i Chernyshev wzdrygnął się mimowolnie. – Straciliśmy całe Centrum Gamma. A dodatkowo padliśmy ofiarą cyberataku, który poczynił jeszcze więcej zniszczeń. Sparaliżował nasze kanały komunikacji i wyczyścił banki danych. Chociaż teoretycznie nie powinien, zważywszy na to, jak krótko trwał.

– Cholera – wyszeptał Chernyshev i Detweiler spojrzał na niego jeszcze surowiej.

– To nie wszystko. Straciliśmy też Lukę. No i Evigni.

Chernyshev westchnął ciężko. Informacja o śmierci Bardasano przygotowała go poniekąd na wieść o utracie brata, ponieważ Luka był jej starszym ochroniarzem. Cokolwiek jej się stało, musiało przytrafić się także jemu. Pewnie nawet przede wszystkim jemu. Ale Evigni...?

– Jak? – spytał z trudem.

– Nadal próbujemy jakoś to poskładać – przyznał Detweiler. – Znamy sam przebieg zdarzeń i pojaliśmy dwóch zaangażowanych w sprawę byłych niewolników, ale ich udział był chyba marginalny. Zostali przesłuchani... i powiedzieli nam wszystko, co wiedzieli – dodał z lodowatym spojrzeniem. – Ale to, co zeznali, rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. Jedyne, czego jesteśmy pewni, to że Anton Zilwicki, a prawdopodobnie także Cachat, chociaż podejrzani nie wiedzieli tego na pewno, przebywali akurat na Mesie. Nie wiemy po co. Przypuszczam, że niewolnicy też mogli tego nie wiedzieć, było to raczej badanie gruntu niż konkretna misja. Ale mamy dowody, że nawiązali kontakt z Jackiem McBryde'em.

– Jackiem?! – zdumiał się Chernyshev.

– Na to wygląda – potwierdził z przekonaniem Detweiler. – Wszystko zdarzyło się tak szybko, że chyba nikt już nie zdoła odtworzyć wszystkich elementów. Tak dokładnie i do końca. Ale Jack mógł odegrać w tym pewną rolę. Jeden z naukowców z Centrum Gamma, linia alfa, gość o nazwisku Simões, załamał się po tym, jak klon jego córki został wyeliminowany. To był genom wysokiego ryzyka, więc powinien być na to przygotowany, ale jakoś nie był. Niestety jego przełożeni uważali, że jest niezbędny do realizacji programu, więc Isabel przydzieliła Jacka, żeby go pilnował. – Wargi Detweilera zadrżały wyraźnie. – Ale Jack zawiódł. Zamiast wypełniać swoje zadanie, sam uległ wpływom podopiecznego.

– Jack zawsze miał zbyt dużo empatii – powiedział Chernyshev. – To właśnie dzięki temu był tak skuteczny w zarządzaniu zasobami ludzkimi podczas akcji w terenie.

– I właśnie dlatego go stamtąd zabrałem – zgodził się Detweiler. – W każdym razie Jack i Zilwicki jakoś się spiknęli. Zgadujemy, że Jack zauważył Zilwickiego podczas rutynowej kontroli i to on zainicjował kontakt. Wygląda na to, że chciał zbiec i może wziąć ze sobą Simõesa, ale nic z tego nie wyszło, gdy ten sam agent, którego raport doprowadził go do Zilwickiego, skontaktował się bezpośrednio z Isabel. W tamtym momencie nie miała pojęcia, co się naprawdę dzieje, więc ruszyła do Centrum Gamma, żeby się z nim zmierzyć, i zabrała ze sobą twoich braci. Z nagrań monitoringu, które udało nam się odzyskać, wynika, że Zilwicki i Cachat zaplanowali odwrót przez stare tunele serwisowe, prowadzące pod Wieżę Buenaventura. Kiedy Jack zdał sobie sprawę, że uciekają i wystawiają go do wiatru, skorzystał z systemu zabezpieczeń awaryjnych. To właśnie zniszczyło wieżę. Ale najwyraźniej nie widział dla siebie przyszłości, bo odpalił także drugi ładunek i zabrał ze sobą całe Centrum Gamma, w tym Isabel, Evigniego, Lukę i resztę jej ochrony. No i Zeke’a Timmonsa.

– Zeke’a? – Chernyshev potrząsnął głową, jak człowiek, którego zbyt wiele już spotkało.

Zeke Timmons był jego bezpośrednim przełożonym i starszym doradcą Bardasano do spraw działań w terenie.

– Zeke’a też. – Detweiler skinął głową. – Trudno powiedzieć, dlaczego Bardasano wzięła go ze sobą, ale można się domyślać, że wiedząc, co Jack naprawdę zamierza, chciała mieć przy sobie i Zeke’a, i Evigniego. Chyba planowała zażądać od Jacka wyjaśnień w sprawie raportu tego drugiego agenta.

– Jeśli nie podejrzewała, że zdradził, faktycznie mogło tak być. Osobiście mocno wątpię, aby

coś takiego przyszło jej do głowy. Nie w przypadku McBryde'a.

– Też tak uważamy.

– To na czym teraz stoimy? – spytał Chernyshev tonem kogoś, kto bardzo chce zmienić temat rozmowy.

– Ogłosiliśmy wszem i wobec, że winę za zamach ponosi Balet i że Zilwicki odegrał tu swoją rolę. – Detweiler zaśmiał się ponuro. – Ponieważ Jack go załatwił, a być może też i Cachata, żaden z nich nie zakwestionuje naszej wersji. I możliwe, że to nie Jack odpalił ładunek pod Buenaventurą. Z pozyskanych przez nas zeznań wynika, że ładunek podłożył Zilwicki.

– Chwila, dobrze słyszę? Sugerujesz, że Manticore naprawdę udzieliło wsparcia Baletowi w akcji tutaj, na Mesie? I zdołali przemycić do nas ładunek atomowy?

– Nie. To jest wersja, którą oficjalnie rozpowszechniamy. Prawda jest taka, że przez kilka stuleci Balet zdołał nakraść całą masę różnych rzeczy. Nie wiemy na przykład, co się działo na niektórych budowach, gdzie instalowano awaryjne systemy autodestrukcji. Ale Zilwicki miał reputację niezłego hakera, co mogłoby sporo wyjaśniać. W każdym razie, zgodnie z zeznaniami, ładunek pod Buenaventurą miał zostać odpalony po wyjściu Zilwickiego i jego kumpli z tuneli. Nagrania z monitoringu w podziemiach pokazały, że byli jeszcze w środku, gdy doszło do eksplozji. Sądzę więc, że Jack ją spowodował, gdy tylko zrozumiał, że uciekają bez niego. Albo to, albo Zilwicki nie umiał obchodzić się z detonatorem, co wydaje mi się mało prawdopodobne.

– A bomba w parku?

– Według zeznań wspomnianych już osobników to był nieplanowany wybuch. Osoba, która zapewne знаła prawdziwe przeznaczenie tego ładunku, zmarła, zanim zdążyliśmy to z niej wydobyć, ale inny członek tej bestialskiej grupy potwierdził, że wybuch spowodował ktoś niezrównoważony, kto całkiem oszalał, gdy dowiedział się o niepowodzeniu akcji Zilwickiego. To on tak perfidnie wybrał cel i przedostał się z ładunkiem do parku, gdzie zabił kilka setek *moich* dzieci. I niewiele brakowało, aby zabił także mnie.

– A cyberatak?

– To musiał być Jack – rzucił Detweiler z lodowatym błyskiem w oczach. – Zilwicki mógł być wysokiej klasy hakerem, ale ta akcja została przeprowadzona od wewnątrz. Naszym śledczym udało się ustalić, że użyto haseł i kodów dostępu, których Zilwicki nie mógł znać. Owszem, Jack zapewne gotów byłby je przekazać, ale atak został wyprowadzony z centrum na długo przed eksplozją. Wszystko więc wskazuje na Jacka.

– Co Zachariah o tym mówi?

– Przesłuchaliśmy go oczywiście. W pełni z nami współpracuje. Nie sądzę, żeby miał pojęcie, co się działo z jego bratem, jeśli o tym właśnie myślisz. Jack nie wciągnąłby Zacha w coś takiego. Nie wiem, co zrodziło się w jego głowie, że postawił na zdradę, ale nie ruszył swojej rodziny.

– Tego by nie zrobił. – Chernyshev powoli pokiwał głową.

– I to w zasadzie wszystko. W tej chwili po prostu robimy swoje i trzymamy się ustalonej wersji. Media z Ligi Solarnej gładko ją kupują. Manticore oczywiście wszystkiemu zaprzecza, ale choćby nawet nie miało w tym żadnego udziału, związki Zilwickiego z Montaigne i szaleńcami z jej Ligi Antyniewolniczej, o Torch i Balecie nawet nie wspominając, świadczą przeciwko nim. Poza tym staramy się jakoś pozbierać. Zasoby danych Isabel bardzo mocno ucierpiały, na razie odtworzono jakieś piętnaście procent i wątpię, żebyśmy kiedykolwiek odzyskali więcej niż jedną trzecią. Resztę trzeba będzie odbudować zwykłym trybem. Śmierć Zeke'a i Evigniego spowodowała, że mamy spore braki w strukturze dowodzenia. Póki co, Yountz trzyma wszystko w garści.

Chernyshev kiwnął głową. Raymond Yountz był u Bardasano numerem drugim od bezpieczeństwa wewnętrznego. Biorąc pod uwagę to, co się działo po Green Pines, jego awans miał sens. Ale Detweiler jeszcze nie skończył.

– Niestety, nie sądzę, aby mógł pozostać na tym stanowisku. Zbyt wiele się dzieje, zarówno w jądrze, jak i na zewnątrz. Będę musiał skierować Yountza, żeby się tym zajął. Zna cały ten interes, a my nie możemy sobie pozwolić, żeby znowu coś się posypało. Zwłaszcza wewnątrz organizacji. Nie chcemy kolejnego McBryde'a! Dałem mu Stevena Lathorosa jako asystenta, co nawet pomogło, ale naprawdę musi jak najszybciej wrócić na własny fotel. I tym sposobem dochodzimy do ciebie.

– Do mnie? – Chernyshev zmarszczył brwi. – W ogóle nie znam tej strony naszej działalności, sir!

– Nie znasz, ale wobec braku Isabel i Evigniego jesteś jedynym, który zna się na operacjach zewnętrznych. Wiem, że byłeś w pełni wprowadzony w Janusa i Oyster Bay. Gdy skierujemy Yountza z powrotem do spraw wewnętrznych, powinien być w stanie przez jakiś czas zajmować się i jednym, i drugim, do chwili, gdy nabierzesz wprawy i wdrożysz się w obowiązki. Obecnie nie mamy nikogo innego, zwłaszcza z wymaganym doświadczeniem, aby powierzyć mu operację

Janus.

Chernyshev wpatrzył się w niego. Zawsze unikał pracy za biurkiem. Stronił od niej jak od zarazy i już chciał otworzyć usta, aby zaprotestować. Ale nic nie powiedział. Detweiler skinął głową.

– Sądzę, że wypada pogratulować ci awansu – stwierdził.



Cieżarówka do przewozu drewna z logo MacLean Forestry Products na burcie przemieszczała się spokojnie wąską, błotnistą drogą między wyniosłymi srebrnymi dębami. Antygrawitatory buczały cicho. Na Halkirku stosowano tanie wersje bardziej nowoczesnych pojazdów, jakie spotykało się gdzie indziej, ale i one wywiązywały się jakoś ze swojej roli. Ten wóz wyglądał na bardziej poobijany od innych, a gdyby ktoś podejrzliwy sprawdził jego numer seryjny, łatwo by ustalił, że pojazd został skradziony trzy miesiące wcześniej z parkingu dilera w Conerock.

Jeśli nas w nim złapią, będzie kiepsko, pomyślała Erin MacFadzean. Ale warto spróbować, zwłaszcza jeśli MacQuarie zwracała uwagę głównie na sprzęt oficjalnie zarejestrowany na firmę Megan. Wóz, którego nie było w ewidencji, z natury rzeczy mniej rzucał się w oczy.

Teoretycznie należało oczekiwać, że gdyby Siły Bezpieczeństwa Publicznego przechwyciły ładunek wojskowych karabinów pulserowych, przewożony w ciężarówce z logo MacLean, ale skradzionej wcześniej z miejsca odległego o jakieś tysiąc kilometrów, śledczy powinien raczej założyć, że ktoś próbuje zrobić Megan. Przecież nie byłaby taka głupia, żeby wskazywać palcem na siebie. Była to kombinacja na tyle skomplikowana, że MacFadzean nie wierzyła zbytnio w jej sens, ale Tad Ogilvy przekonał Megan, że warto spróbować.

Cieżarówka dotarła do rozwidlenia i skręciła na zachód, cały czas pozostając z dala od terenów MacLean. Przejeżdżali przez obszar gęsto rosnących starych drzew, który należał do niejakiego Nathalana Mundy'ego, sekretarza skarbu w gabinecie prezydent MacMinn. Dawno, dawno temu był własnością MacLeanów, ale osiem lat temu kreatywni księgowi Mundy'ego znaleźli sposób, aby przejąć go od Raiberta, kuzyna Megan, w zamian za zaległe podatki. Jak to się często zdarzało na Loomisie, gdy tylko wystawiono majątek na aukcji, wygrał ją nie kto inny jak właśnie Mundy. Nie miał jednak zamiaru zaczynać eksploatacji, dopóki Zagorski nie wyczerpie swoich zasobów. Wtedy spadek ilości drewna srebrnego dębu na rynku powinien spowodować solidny wzrost cen.

Tymczasem dziewiczy las, nietknięty z wyjątkiem z rzadka przecinających go dróg, idealnie się nadawał do ukrycia broni, którą zgodnie z obietnicą im dostarczono. Megan MacLean dorastała w tej okolicy i znała las kuzyna równie dobrze jak własny. Po przejęciu terenu zatrudniła dwie trzecie leśników Raiberta, którzy nagle zostali bez pracy. Wszyscy oni znali wiele kryjówek, gdzie można było przechować sporo rzeczy, służby zaś nie spodziewały się przecież, iż rebelianci będą przechowywać broń na ziemi sekretarza skarbu!

To był piąty i ostatni przejazd z bronią przysланą przez Bolívara. Wcześniejsze przebiegły bez zakłóceń i gdy załatwią ten ostatni, będzie można przekazać słowo, by zacząć organizować kolejny transport. Gdyby wszystko poszło gładko, w tym drugim rzucie miała się znaleźć także broń przeciwlotnicza i przeciwpancerna.

A wtedy Lidze Wyzwolenia Loomisu wyrosną prawdziwe zęby, pomyślała z zimnym uśmiechem.



– Chciałabym, żebyś zachowywał się trochę mniej prowokująco, Ragnall – powiedziała ze złością Megan MacLean. – Ostatnie, czego ci trzeba, czego nam wszystkim trzeba, to żeby MacCrimmon znalazł pretekst do dobruania się do nas!

– A od kiedy MacCrimmon potrzebuje pretekstu, jeśli chodzi o MacRorych? – Ragnall miał podbródek MacRorych i ich szare oczy, które płonęły teraz złością. – Pamiętasz, co się stało z moim ojcem i dziadkiem. Pamiętasz ten wypadek samochodowy?

MacLean starała się panować nad sobą. Najchętniej potrząsnęłaby solidnie Ragnallem, ale niestety był o dwadzieścia centymetrów wyższy i dość zwałisty. A co gorsza, miał sporo racji. Jako wywodząca się od króla Tawisa III rodzina MacRorych zawsze była na celowniku. Popularność, jaką się cieszyła, tylko pogarszała sprawę.

Nie chodziło o to, że Tavis III był dobrym władcą, bo taki nie był. Chciał dobrze, ale okazał się słaby i nieskuteczny, co było głównym powodem jego abdykacji po krwawym zamachu stanu przeprowadzonym przez Partię Dobrobytu Keitha i Alisy MacMinnów. Silniejszy monarcha mógłby próbować się przeciwstawić, ale Tavis nazbyt obawiał się dalszego rozlewu krwi, więc zrzekł się korony. Większości ludzi specjalnie to nie obchodziło. Po zakazaniu królowi i całej jego rodzinie działalności politycznej partia pozwoliła mu prowadzić całkiem prywatne życie. Zmarł kilka lat później, z zupełnie naturalnych przyczyn. Wobec jego syna Angusa rząd był już bardziej ostrożny, zwłaszcza od kiedy ludzie zaczęli wspominać dawne dobre czasy

„szlachetnego króla Tawisa”. Im bardziej korporacja dokręcała śrubę, tym więcej ludzi podchwytywało pomysł przywrócenia monarchii i osadzenia na tronie kogoś z rodu MacRorych.

Angus MacRory wiedział, jak to się skończy, więc trzymał się tak daleko od polityki, jak tylko mógł. Ale wiceprzewodniczący MacCrimmon nie należał do osób gotowych tolerować choćby potencjalne zagrożenia, wziął się więc do działania. Tavis umarł z naturalnych przyczyn, jednak nie dało się tego samego powiedzieć o śmierci jego syna i starszego wnuka. Wprawdzie nikt nie był w stanie udowodnić, że MacCrimmon zlecił ich morderstwo, ale na Loomisie w wielu sprawach brakowało dowodów, a wszyscy i tak wiedzieli swoje.

Z pewnością dotyczyło to również Mánasa MacRory’ego, młodszego syna Angusa, oraz jego bratanka Ragnalla. Podobnie jak jego ojciec, Mánas był tak apolityczny jak to tylko możliwe, ale po śmierci Angusa i Seamusa uznał, że apolityczność jest marną ochroną. Ragnall nie miał ochoty czekać, aż jego wuj zostanie zamordowany. Niewiele mogliby zdziałać, gdyby MacCrimmon po cichu wydał wyrok, ale mieli szansę wykluczyć wypadki w rodzaju tego, w którym zginęli Seamus i Angus.

Ragnall utworzył więc Milicję MacRorych, składającą się z jego leśników i podobnie myślących ochotników, a MacCrimmon na tyle się przestraszył, że nie wysłał oddziałów Sengi MacQuarie do akcji. Siły milicji liczyły zaledwie około trzystu ludzi, którzy byli uzbrojeni tylko w cywilną broń i deklarowali, że będą do upadłego bronić Mánasa i reszty rodziny. W otwartej walce nie mieliby szans, ale było też oczywiste, że nie dałoby się ich wyeliminować bez krwawej jatki. A do czego by to doprowadziło, nikt na gorze nie wiedział i wołał nie sprawdzać.

Skutkiem tego był rodzaj niepisanego paktu, czy raczej impas, w relacjach między milicją a rządem. Była to chwiejna równowaga, a narastające niezadowolenie z rabunkowej eksploatacji zasobów leśnych jeszcze pogarszało sprawę.

– Ragnall, rozumiem, co czujesz – powiedziała MacLean. – Zgadzam się z tym, co właśnie powiedziałaś. Ale potrzebujemy czasu, żeby się zorganizować. Jeśli coś pchnie MacQuarie przeciwko tobie, zanim reszta z nas będzie gotowa udzielić ci wsparcia, dojdzie do daremnego rozlewu krwi i zginiecie. Nie będziemy w stanie temu zapobiec i oboje wiemy, że MacCrimmon skorzysta z okazji do czystki i usunie wszystkich choćby podejrzanych o sprzeciw wobec reżimu. A to znaczy, że reszta z nas podąży za tobą.

– Chodzi o czas, tak? – Spojrzał na nią chłodno. – A co z tym czasem, który zmarnowałaś na „reformy”? Czas poświęcony polityce, kiedy to MacCrimmon zamordował mojego dziadka i

ojca?

MacLean powstrzymała się od gniewnej odpowiedzi. Nie było to łatwe, ale nie mogła zaprzeczyć jego słowom. Znowu miał sporo racji, wysuwając takie oskarżenia.

– Zasłużyłam na gorzkie słowa – powiedziała po chwili, spoglądając w jego lodowate oczy. – Myślałam wtedy, że dokonałam właściwego wyboru, ale prawda jest taka, że teraz nie ma już „dobrych” wyborów. Trochę trwało, zanim to pojęłam, ale nie stworzyłam Frontu Wyzwolenia tylko po to, żeby sobie istniał. Wiem, dlaczego martwisz się o wujka, i masz rację. Ale jest wielu innych, którzy też dostrzegają, co się dzieje... i ja jestem jedną z takich osób. Chodzi tylko o to, żebyś nie sprowokował MacCrimmona do działania, dopóki nie będziemy mogli do ciebie dołączyć. Dopóki nie będziemy gotowi do akcji. To wszystko. Dokładnie tyle. Daj nam czas. Daj nam jeszcze trochę czasu.

Ragnall spojrział na nią z wściekłością, ale nagle przygarbił się lekko i jego spojrzenie złagodniało. Dalej był sobą, ale trzymał już nerwy na wodzy.

– Dobrze – odpowiedział. – Nie ukorzę się przed MacQuarie i nie złożę broni. Nie nakłonisz mnie do tego ani ty, ani nawet sam Bóg. Nie zrobią mojemu wujkowi tego, co reszcie mojej rodziny! Ale wycofam naszych z powrotem na tereny MacRorych. Będziemy pokorni i grzeczni i w ogóle nie będziemy rzucać się w oczy. Wiedz jednak, Megan MacLean, że dzikie piekło rozpęta się w chwili, gdy choć jeden z tamtych ludzi spróbuje postawić stopę na ziemi MacRorych!

GRUDZIEŃ 1921 ROKU PO DIASPORZE

„Nie przekazywała mi, o czym rozmawiali. Chociaż chyba Willie coś wie. Wnioskując z tego, co bardzo starał się przemilczeć, z jego perspektywy nie była to owocna rozmowa. Prawdę mówiąc, trochę się dziwię, że żadne z nich w jej trakcie nie ucierpiało. Jakby co, stawiałbym na Honor. Willie reprezentuje znacznie lżejszą wagę”.

– Hamish Alexander-Harrington, earl White Haven, Pierwszy Lord Admiralicji, Gwiazdne Imperium Manticore

ROZDZIAŁ XXVII



Powiewy chłodnego wiatru targały kolorowymi flagami zwieszającymi się z okalających ulicę budynków. Abigail Hearnś skręciła za najbliższy róg i wreszcie zobaczyła ocean, nad którym sunęły zwały chmur o białych szczytach i ciemnych, płaskich podstawach. Zwiastowały nadeciągający deszcz. Słyszała, że padać zacznie dopiero za parę godzin, ale wszystko wskazywało na to, że będzie to ulewa połączona ze spektaklem grzmotów i błyskawic. Zapewne bardzo widowiskowym, jeśli będzie miała humor, aby się tym cieszyć.

Na razie oddychała głęboko rześkim powietrzem i smakowała ciepło słońca na nagiej skórze. To była prawdziwa rozkosz. Każdy, komu przyszło spędzać sporą część życia w sztucznych środowiskach jednostek kosmicznych, uwielbiał takie chwile. Lecz dla Abigail Hearnś było to coś naprawdę wyjątkowego. Pochodziła z Graysona. Na jej świecie środowisko naturalne było wrogiem dla ludzi i zabijało ich na wiele sposobów. Dzieci miały zakaz wychodzenia na zewnątrz bez nadzoru dorosłych. Nawet zwykły deszcz był tam groźny, ponieważ zbierał drobinki obecnych w atmosferze cząstek metali ciężkich. Maski oddechowe chroniące przed tym pyłem były częścią codzienności. Wszystkie naturalne zbiorniki wodne były zbyt zanieczyszczone, aby dało się w nich pływać. Większość mieszkańców Graysona czułaby się nieswojo na miejscu Hearnś, ale lata spędzone poza rodzinnym światem, najpierw na wyspie Saganami, potem w trakcie służby na okrętach Royal Manticoran Navy, zmieniły wiele jej nawyków. Między innymi pokochała otwartą przestrzeń, podmuchy wiatru i promienie słońca, które mogła odczuwać całą sobą, bez żadnych osłon.

No i lubiła chodzić w deszczu. Oczywiście bez parasola.

Dlatego zdecydowała się na spacer do odległej o sześć przecznic restauracji, co mocno zdegustowało idącego za nią rosłego porucznika gwardii patrona Owensa. Mateo Gutierrez nie urodził się wprawdzie na Graysonie i zasadniczo nie miał nic przeciwko słońcu i świeżemu powietrzu, nie podzielał jednak jej fascynacji. Dość już się opalił i zmókł podczas lat kariery w Royal Manticoran Marine Corps. Co więcej, jego zadaniem była ochrona Abigail Hearnś i z zasady nie lubił, gdy przebywała na otwartej przestrzeni.

Wprawdzie w Thimble najpewniej nikt nie czytał na jej życie, była jednak najstarszą córką patrona Owensa i tym samym ważną postacią w politycznym światku planety, zarówno gdy

mowa o sprawach wewnętrznych Graysona, jak i relacjach z Gwiezdnym Imperium. Dlatego zawsze istniała możliwość, że ktoś może spróbować nieciekawych zachowań. Gutierrez miał dopilnować, aby tak się nie stało, i bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Nie mówiąc już o osobistych powodach, związanych z tym dniem, kiedy to musiał walczyć o życie Abigail Hearn's na planecie o nazwie Refuge w układzie Tiberian. Mateo Gutierrez nie był człowiekiem, który łatwo okazuje emocje, czy przynajmniej sam tak o sobie nie myślał, ale nie porzucił marines i nie wstąpił do gwardii Owensa tylko dla kaprysu.

W duchu odetchnął z ulgą, dojrawszy jaśniejące przed nimi holo nad wejściem do restauracji.

– Nie przejmuj się tak, Mateo! – zawołała Abigail z uśmiechem. – Jesteśmy już prawie u celu, a mały spacer nigdy nie zaszkodzi. Potrzebowaliśmy świeżego powietrza. Możesz sobie narzekać, ale przecież podobnie jak ja miałeś już dość tych ciasnych kabin.

– Tu są też taksówki, milady. Po coś je wymyślono.

– Owszem. Ale mam wrażenie, że uciekasz od zasadniczego tematu.

– Uciekam, milady? – Wyraz szczerzej niewinności nie pasował do oblicza porucznika Gutierrez.

– Uciekasz. – Klepnęła go jowialnie w ramię, ale zaraz spoważniała. – Po prostu dobrze jest czasem zaznać trochę zwyczajnego życia. – Wskazała szerokim gestem na zatłoczone chodniki, kafejki przy ulicy, wozy dostawcze i przelatujące w górze taksówki. – Zobaczyć ludzkie twarze, nie tylko funkcyjnych czy ikony na ekranie taktycznym.

Jej szaro-niebieskie oczy pociemniały lekko. Gutierrez zdołał opanować grymas. Wiedział dobrze, o co chodzi, ale nie mógł powiedzieć tego głośno. Tak zatem...

– Z okna taksówki widać to równie dobrze, milady – mruknął.

– Jesteś naprawdę nieznośny – rzuciła Abigail i zaśmiała się, ponownie trącając go w ramię. Ale sądząc po pogodniejszym spojrzeniu, była mu wdzięczna za zmianę tematu. – Oto i restauracja. Za jakieś pięć minut będziesz miał mniej powodów do zmartwień.



Helen Zilwicka uniosła głowę i spojrzała na porucznik Hearn's, która wędrowała do jej stolika w ślad za majordomusem. Porucznik Gutierrez niemal deptał jej po piętach i z ponurym wyrazem twarzy obserwował ludzi wokół.

– On tak wszędzie za nią chodzi? – spytał cicho Gwen Archer.

Helen zachichotała.

– Wszędzie, z wyjątkiem wychodka – odparła. – Na pokładzie okrętu ma własne stanowisko, ale poza tym... – Potrząsnęła głową. – Ona i tak ma szczęście, że jest „tylko” córką patrona. Dzięki temu towarzyszy jej jeden uzbrojony ochroniarz. Ktoś taki jak księżna Harrington musi tolerować aż trzech.

– Cholera – rzucił Archer. – Łatwo zapomnieć, że jest córką patrona. Dopiero gdy widzi się coś takiego...

– Abigail ma skłonność do wymykania się stereotypom – zgodziła się Helen, po czym wstała i wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Abigail! Cieszę się, że mogłaś na chwilę zejść z pokładu.

– Miła odmiana, prawda? – Abigail uściśniła jej dłoń, chociaż w mniej publicznym miejscu po prostu objęłyby przyjaciółkę. – To miasto przypomina mi poniekąd Landing na Manticore. – Helen spojrzała na nią z niedowierzaniem i Abigail zaśmiała się wesoło. – Nie ze względu na architekturę czy ludzi. Chodzi o ocean. Mieszkańcy Manticore są zepsuci luksusem. A przecież macie oceany, w których można pływać. Chyba trzeba pożyć trochę na Graysonie, aby naprawdę je docenić.

– Porozmawiaj o tym z księżną Harrington – zaproponowała Helen. – Jak wejdzie na swoją żaglówkę, świat przestaje dla niej istnieć.

– Rozumiem aluzję – stwierdziła Abigail. – Chociaż mogłabym wspomnieć, że ona też jest obywatelką Graysona... obecnie – dodała i zwróciła się do Archera, który stał i czekał, aby się z nią przywitać. Zgodnie z zasadami marynarki wojennej to jego dłoń winna uściśnąć w pierwszej kolejności, skoro był przełożonym Helen, ale ostatecznie było to nieformalne spotkanie. – Witam, poruczniku Archer – powiedziała.

– Pani porucznik Hearn – odparł. – A może poprawniej byłoby „panno Owens”?

– Tylko wówczas, jeśli bardzo lubi pan zrażać do siebie ludzi – odpowiedziała z uśmiechem.

– Przy oficjalnych okazjach trudno, jak trzeba, to trzeba, ale to nie jest taka chwila.

Gutierrez spojrzał na niego jakoś dziwnie, ale Archer postanowił to zignorować.

– Jasne – stwierdził i gestem zaprosił Hearn do zajęcia miejsca.

Usiadła na wskazanym krześle. Helen i Archer też usiedli i tylko Gutierrez stał wciąż nieruchomo, robiąc mało korzystne wrażenie na kelnerach, którym czemuś nie podobała się blisko dwumetrowa postać uzbrojonego anioła stróża, kwitnąca w mundurze pośrodku sali.

Abigail zaprosiłaby go do stołu, ale wiedziała, że nic by to nie dało.

– Tak zatem – odezwała się, gdy złożyli już zamówienia – co słyhać na szczytach, Helen? Zakładając, że możesz nam coś przekazać.

– Obawiam się, że komodor nie zwierzał mi się ostatnio z żadnych wielkich tajemnic. Czy lady Gold Peak mówi ci takie rzeczy, Gwen?

– Oczywiście, że tak – odparł możliwie beztroskim tonem Archer. – Tyle że nie mogę dzielić się nimi z młodszymi oficerami z mojego prywatnego fanklubu.

Abigail parsknęła w rozbawieniu. Rzadko dotąd spotykała Archera i zawsze tylko przelotnie, ale podejrzewała, że może mieć spore poczucie humoru.

– Gdzież jest Helga, gdy potrzebna mi jej pomoc? – westchnęła Helen, po czym sięgnęła do kieszeni kurtki. – Na szczęście zostawiła mi trochę szpilek, abym mogła przekłuć twoją powłokę, gdy za bardzo się nadmiesz. Tylko gdzie ja je mam...? – Zaczęła przetrząsać pozostałe kieszenie.

– Poddaję się! – powiedział Archer ze śmiechem.

– I dobrze – stwierdziła Helen, po czym spojrzała na Abigail. – A mówiąc nieco poważniej, przypuszczam, że dla ciebie najlepszą wiadomością będzie nowina, że za jakieś dziesięć dni zjawi się tu admirał Oversteegen.

– Świetnie! – Abigail uśmiechnęła się szeroko, nawet Gutierrez pozwolił sobie na znacznie skromniejszy uśmiech.

Jego zdaniem Michael Oversteegen był zdecydowanie najbardziej osobliwym arystokratą, jakiego zrodziły wyższe sfery Manticore. Ucieleśniał wszystkie wady szlachetnie urodzonych, jakie Partia Pracy tak lubiła wyśmiewać, jednak nic z tego nie było ważne dla ludzi, którzy mieli zaszczyt pod nim służyć. Zwłaszcza w takich miejscach jak układ Tiberian.

– Tak pomyślałam, że to wiadomość w sam raz dla ciebie – powiedziała Helen. – A druga sprawa to taka, że przyprowadzi pełną eskadrę krążowników liniowych typu *Nike*. Co więcej, towarzyszyć mu będzie druga eskadra, wyposażona w ciężkie krążowniki typu *Saganami-C*. Od kiedy tu jestem, nie dotarły do mnie równie dobre wiadomości.

– Zdecydowanie – zgodziła się Abigail. – Zwłaszcza po New Tuscany – dodała i na jej twarzy ponownie zagościł przelotny cień.

Helen skinęła głową. Jej wyraz twarzy był w tej chwili dość podobny, chociaż los oszczędził jej najgorszego. W odróżnieniu od Abigail i reszty załogi HMS *Tristram* nie była świadkiem, jak trzy czwarte eskadry niszczycieli uległo destrukcji na skutek ataku sześciokrotnie liczniejszego

zespołu okrętów liniowych, i to w chwili, gdy tkwiły całkiem bezradne na orbicie New Tuscany. Helen też przeszła wtedy swoje, ale na znacznie mniejszą skalę. Chociaż owszem, do dziś nie mogła się pogodzić ze śmiercią Amandine Corvisart. Cholera, naprawdę ją lubiła!

Tyle dobrego, że masakra ludzi komodora Chatterjeego została pomszczona dzięki zniszczeniu SLNS *Jean Bart* z tym aroganckim, niekompetentnym i zapatrzonym w siebie dupkiem na pokładzie, czyli admirałem Byngiem, który wydał rozkaz otwarcia ognia. Helen bardzo to cieszyło i miała głęboko w nosie, czy tak wypada. Oczywiście rozumiała przy tym, że miało to swoje konsekwencje, w postaci coraz gorszych relacji z Ligą Solarną, ale tym bardziej wypatrywała eskadr Michaela Oversteegen. Wiedziała, że SLN nie dysponowała absolutnie niczym, co mogłoby się równać potencjałem bojowym z krążownikami typu *Nike*.

Chociaż oczywiście najlepiej by było, gdyby nie trzeba z tego robić użytku, pomyślała.

– W tej sytuacji solarni tracą raczej serce do pomysłu, aby odzyskać krążowniki liniowe Bynga – dodała Helen.

Jedną z ostatnich decyzji, podjętych przez Michelle Henke przed opuszczeniem układu New Tuscany, dotyczyła uruchomienia systemu awaryjnych zabezpieczeń na pokładach przejętych solarnych okrętów. Użyła do tego kodów otrzymanych od poddających się załóg, które nie miały zresztą wielkiego wyboru. Gdyby nie spełniono jej życzeń, posłałaby cały zespół do piekła w ślad za jego admirałem. Funkcja ta uruchomiła proces podobny lobotomii. Systemy pokładowe straciły całe oprogramowanie, stając się tylko plątaniną przewodów i elektronicznym złomem. Przywrócenie ich do stanu używalności wymagało odpowiedniego sprzętu i sporej liczby wykwalifikowanych fachowców. Do tego czasu Dziesiąta Flota była równie użyteczna jak zwykle wrakowisko.

– To powinno zagwarantować nam trochę spokoju – zgodził się skwapliwie Archer. – Chociaż po New Tuscany nikt w miarę rozgarnięty nie powinien mieć złudzeń, że SLN zdoła jakoś zrewanżować się RMN. Niestety, solarni cierpią na szczególny rodzaj ślepoty i czasem zdają się wcale nie myśleć. – Uśmiechnął się tak kwaśno, że wielu klientów wokół mogło stracić apetyt. – Niemniej z połową floty tkwiącą bezużytecznie na orbicie New Tuscany, gdzie pozostanie może nawet przez pół roku, nawet oni nie zdołają wymyślić czegoś nazbyt porażającego.

– Miejmy taką nadzieję – powiedziała Helen. – Ale nie zakładałabym się o to.



– I jak tam sprawy na Swallow, sierżancie?

Vincent Frugoni spojrział uważnie na rozmówcę.

– Nie jestem już sierżantem – odparł. – Zwłaszcza tutaj – dodał znaczącym tonem.

„Tutaj” oznaczało knajpę Busted Stein, znajdującą się w jednej z gorszych dzielnic Anatevki, największego miasta, czy może miasteczka, planety Tevye i zarazem stolicy układu Wonder.

Damien Harahap przewrócił oczami.

– Pochwalam ostrożność – powiedział po chwili. – Skoro uważasz to za właściwe, pójdę za twoim przykładem. Ale nie jestem tu przypadkowo. – Pochylił się nad stołem i zerknął wymownie w stronę barmana o wybitnie bandyckim wyglądzie. – Ten tam robi tyle lewych interesów, że żaden kapuś nie ma prawa wejść do tej knajpy, jeśli nie chce zostać wyniesiony. Dodatkowo sprawdziłem już lokal pod kątem elektronicznego podsłuchu. Jest czysty.

Frugoni zastanowił się chwilę i wzruszył ramionami.

– Chwytam. – Odsunął krzesło po drugiej stronie małego, chwiejnego stołu i usiadł. – Może to faktycznie objaw paranoi, że nawet tutaj węszyć zagrożenie.

– Nie całkiem – odpowiedział Harahap. – To żadna paranoja i przepraszam za wcześniejszą uwagę. – Ku własnemu zaskoczeniu powiedział to całkiem szczerze. – W tym fachu zawsze trzeba uważać i nie należy się zapominać. Czasem jednak mnie ponosi. Przepraszam.

Frugoni wyprostował się na krześle. Był wyraźnie zaskoczony, ale w końcu się zaśmiał.

– Miło mi, że nie jestem tu jedynym z głową na karku.

– Cóż, inni ludzie rzadko się biorą do podobnych interesów – zauważył Harahap. – I zwykle to pomaga. Chociaż oczywiście lepiej nie popisywać się za bardzo inteligencją. Na swoją obronę mam tylko tyle, że zazwyczaj mi się udaje.

– Niemniej w tak znakomitym lokalu możemy chyba wyluzować – powiedział Frugoni.

Harahap zachichotał, ale zaraz spoważniał.

– Miałeś okazję pogadać o mojej propozycji ze szwagrem? – spytał cicho, ponownie pochylając się nad stołem.

– Dlatego tu jestem. Gdybym z nim nie rozmawiał albo gdyby on nie chciał tego spotkania, tobym nie przyleciał – odpowiedział Frugoni.

– Rozumiem, że to był gambit rozmowy – powiedział Harahap z uśmiechem. – Wspominałem już, że bywam rozgarnięty?

– Tak. Tak jakby...

Frugoni przerwał i spojrzał z lekkim zaskoczeniem na kelnera, który zmaterializował się obok ich stolika. Najwyraźniej nie oczekiwał takich luksusów w knajpie w rodzaju Busted Stein.

– Co do picia? – spytał krótko kelner.

– Konsumpcja jest obowiązkowa, gdy zajmuje się stół – wyjaśnił Harahap, demonstrując swój wypełniony jeszcze w dwóch trzecich kufel. – Sugerowałbym piwo. Nie jest nadzwyczajne, ale nie rękę za nic mocniejszego, co tutaj podają.

Kelner nie zareagował na jego uwagę. Czekał na decyzję Frugoniego.

– To samo – powiedział były marine, wskazując na kufel Harahapa.

– Pięć kredytów – rzucił kelner i zapisał coś w tablecie.

– Pięć? – powtórzył Frugoni, a kelner wzruszył ramionami. Frugoni popatrzył na niego przez chwilę, po czym westchnął. – Dobra, niech będzie. – Przytknął swój komunikator do tabletu kelnera i autoryzował przelew. – Coraz tu ciekawiej – mruknął, gdy kelner się oddalił.

– W porównaniu z niektórymi innymi knajpami ten przybytek to prawdziwy pałac.

– Ciekawe życie musisz prowadzić – stwierdził ponurym tonem Frugoni. – Ale, jak mówiłem, rozmawiałem z innymi. Nie zamierzam ściemniać i przyznaję, że niektórzy mają spore zastrzeżenia. Przede wszystkim dlatego, że chociaż to konkretna oferta, to nawet nasza wieśniacka banda rozumie, że jeśli będziesz musiał wybierać między sobą a nami, oczywiście wybierzesz siebie.

Harahap chciał coś powiedzieć, ale Frugoni uniósł dłoń.

– Nie twierdzą, że w razie zagrożenia albo zmiany planów twoich szefów powinieneś zachować się inaczej. Nie powinieneś. Po prostu mówię, jak to wygląda z naszej strony. Oznacza to między innymi, że nie zaprosimy cię do naszej organizacji. Nie dlatego, że jesteśmy niewdzięczni czy coś takiego. Chodzi o stare powiedzenie o dwóch osobach i tajemnicy.

– Jak o czymś wiedzą dwie osoby, to żadna tajemnica. Chyba że jedna z nich nie żyje – przypomniał Harahap.

Frugoni skinął głową.

– Właśnie. Czy mając to na uwadze, jesteś gotów kupić oposa w worku?

Harahap zmarszczył brwi. Opos na Swallow tylko w niewielkim stopniu przypominał ziemskiego, chociaż wypełniał tę samą niszę ekologiczną. Dla górali był też przysmakiem i opowiadano o jednym takim, co kupił worek podobno pełen oposów, ale gdy otworzył go w domu, znalazł w nim tylko jadowite żaby.

– Tak – odparł po starannie odmierzonej chwili.

Frugoni znowu skinął głową.

– To od czego zaczynamy?

– Cóż, mogę mieć pięćset do sześciuset karabinów pulserowych. Może też trzysta ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych. Mogą być na Wonder za jakieś dwa miesiące – powiedział spokojnie Harahap i dojrzał błysk w oczach Frugoniego. – Mogę dać około dwunastu tysięcy naboju na sztukę broni. Dostarczenie czegoś cięższego potrwa dłużej, podobnie jak większego zapasu amunicji. Oczywiście to wyląduje tutaj, na Wonder. Dostarczenie transportu na Swallow mogłoby być niejakim wyzwaniem.

– Jak to przyleci? – spytał Frugoni i przymrużył powieki.

Harahap wzruszył ramionami.

– Zależy, jak chcecie, żeby zostało opisane w manifeście. Przez kontrolę celną może przejść pod dowolnym szyldem. Ale jeśli twoi ludzie będą chcieli później przejąć ładunek, pojawi się dodatkowe ryzyko. W sumie lepiej byłoby chyba puścić to przez Wonder tranzytem, aby potem od razu poszło na Swallow. Jasne, wtedy też ktoś może coś wyniuchać, ale prawdopodobieństwo będzie mniejsze, niż gdybyśmy już tutaj weszli we wszystkie formalności.

– Zapewne masz rację. – Frugoni zacisnął usta w zamyśleniu. – Przychodzi mi do głowy kilka pomysłów, zaczynając od łapówek. Być może będziemy musieli poprosić cię o pomoc finansową, aby to załatwić. Co najmniej trzech menedżerów do spraw transportu z Tallulah to chciwe bestie, wszystko przeoczą za odpowiednią opłatą. Jeden z nich przepuszcza regularnie „zaopatrzenie medyczne” i różne materiały „niemilitarnego zastosowania”. – Uśmiechnął się ironicznie. – To daje nam pewną swobodę manewru, biorąc pod uwagę, jak mocno jest umoczony i jak jego szefowie by się wściekli, gdyby coś dotarło do ich uszu.

– Czasem dobrze mieć kij w rękę – przyznał Harahap. – Ale należy ostrożnie go używać.

– Pełna zgoda. Dlatego nie zamierzam jeszcze mówić, jak to zrobimy. Chyba nie chciałbyś, żeby twoi ludzie trafili w ręce Piątki, gdyby coś poszło nie tak.

– Wszystko pójdzie dobrze – stwierdził Harahap. – Wyślemy zgodnie z zamówieniem. Ale na pewno skorzystamy z obcych firm przewozowych i nikt z naszych ludzi nie zbliży się nawet do Swallow. Wonder też będą omijać. Wierz mi, tak będzie i lepiej, i bezpieczniej. Dla nas wszystkich. – Pokręcił głową. – Nie powinniście mieć żadnych kontaktów z obcymi. Zwłaszcza tam, gdzie ludzie Matsuhity mogliby was przyuwać.

– To prawda. Ale nie chciałbym opóźnić pierwszej dostawy.

Harahap wzruszył ramionami.

– Jak powiedziałem, za dwa miesiące transport będzie tutaj. Tymczasem musisz wrócić na Swallow i ustalić ze swoimi, gdzie dokładnie broń ma zostać dostarczona, jak ma być zapakowana i opisana. Założyłem już w Anatevce bezpieczne konto mailowe. Jeśli zajrzysz tu, powiedzmy, za pięć tygodni, może nawet sześć, i prześlesz informację na mój adres, ktoś ode mnie ją odbierze i załatwi, co trzeba. Przepakowanie czy przepisanie manifestu, cokolwiek. – Uśmiechnął się cynicznie. – Do tego akurat Wonder nadaje się idealnie. Tutejsza gospodarka opiera się w dużej mierze na przemyśle i z jakiegoś powodu nie obchodzi ich, czy Tallulah ma coś przeciwko.

ROZDZIAŁ XXVIII



Tammas MacClacher zmarszczył czoło, gdy usłyszał dobiegający z panelu sygnał. Położył czytnik na kolanach i włączył HUD kierowcy. Parkował na szczycie wzgórza, w cieniu zagajnika górskich dębów, które były nieco mniejszymi i mniej cennymi kuzynami tych srebrnych. Wzniesienie wyrastało przy głównej trasie do stolicy i jakieś trzy kilometry od granicy Caisteal Òrach. Nadawało się świetnie do obserwacji wstęgi starej ceramkowej szosy, a wysokość poprawiała też znacznie zasięg nielegalnie zmodyfikowanego radaru, który był zamontowany w samochodzie.

HUD ożył i MacClacher zacisnął wargi. Z jeszcze bardziej zmarszczonym czołem włączył komunikator.

– MacHutchin – usłyszał niemal od razu.

– Elphin, tu Tammas – powiedział. – Mamy gości. Kilkanaście obiektów. Dystans sześćdziesiąt pięć kilometrów. Nie mają transponderów, przeszli nad Greentree Knob na niecałych stu metrach.

– *Cac!* – Na chwilę zapadła cisza. – Prędkość?

– Około trzystu. Będą za piętnaście minut.

– Przyjąłem.

MacClacher zakończył połączenie, wzniosł swój pojazd i z prędkością ponad pięciuset kilometrów na godzinę ruszył na zachód.



– Łapcie za broń!

Luíseach MacRory MacGill zerwała się z fotela, ledwo Elphin MacHutchin wpadł na werandę.

– O co chodzi, Elphin?! – zapytał jej ojciec, unosząc głowę znad popołudniowej szklaneczki whisky, ale MacHutchin nie miał czasu na wyjaśnienia.

– Keddy, przyprowadź Petera i Georginę – warknął, zamiast odpowiedzieć na pytanie. – Wezwałem transport! Powiedz im, że nie ma czasu na pakowanie!

– Tak, Elphin! – Keddy MacRory skinął energicznie głową i pobiegł w kierunku stajni.

– Cholera, Elphin! – Mánas MacRory skrzywił się z irytacją. – O co chodzi, do diabła?!

– Smutni goście nadciągają – rzucił MacHutchin, odwracając się do niego. – Tuzin transporterów opancerzonych MacQuarie! Będą tu za piętnaście minut!

– Cholera! – Kuzyn Luíseach, Raghnull, też zerwał się z fotela.

– Jesteś pewny? – spytał ostrym tonem ojciec.

– Młody Tammas ich namierzył, gdy przelatywali nad Greentree Knob, prawie na poziomie wierzchołka – odparł z przejęciem MacHutchin. – Idą bez transponderów, około dwunastu sztuk, robią ze trzysta kilosów na godzinę na małej wysokości. Jak ci się to podoba, Mánas?

Elphin MacHutchin był od ponad dwudziestu lat ochroniarzem Mánasa MacRory’ego, ale teraz był naprawdę przejęty. Chyba nawet odezwał się w nim strach.

– To nie musi jeszcze oznaczać akcji – powiedziała Elspeth MacRory do męża i położyła mu dłoń na ramieniu.

Mánas pokręcił głową i nakrył jej dłoń swoją ręką.

– Nie wiem dokładnie, co planują, *gráidheag* – powiedział. – Ale nikt bez złych zamiarów nie podkradałby się w ten sposób. I nie brałby takich sił bez konkretnego powodu.

– Musimy cię stąd wydostać, *dadaidh* – odezwała się z przejęciem Luíseach. – Natychmiast!

– Nie. – Mánas znowu pokręcił głową i spojrzał na nich ponuro. – Ciebie i dzieci tak, ale ja nie będę uciekać. Nie będę uciekać z naszej ziemi! Niewiele nam jej zostawili, ale to nasze!

Luíseach przygryzła wargę. Caisteal Òrach, Złoty Zamek, był ostatnią z kilkunastu królewskich posiadłości, które kiedyś należały do rodu MacRorych. Tavis MacRory stał się królem Tavisem I przede wszystkim dlatego, że jego rodzina była największym właścicielem ziemskim na Halkirku i niemal wszystkie majątki Korony zostały przekazane właśnie przez nią. Odpowiedni akt jasno przewidywał, że ziemie powrócą do rodziny w przypadku zniesienia monarchii. Tavis MacRory był pragmatycznym człowiekiem, który szczerze wątpił, aby monarchia mogła długo przetrwać, i zamierzał dopilnować, by wszystkie tereny Korony wówczas do nich wróciły.

Nie trzeba dodawać, że Partia Dobrobytu Loomisu nie widziała powodu, dla którego miałyby honorować tę dawną umowę. MacMinnowie po prostu przejęli znaczną część tych ziem jako „majątek rządu” i zaraz przekazali dwie trzecie różnym totumfackim. Jedynym wyjątkiem był Caisteal Òrach, najmniejsza i najmniej wartościowa ze wszystkich królewskich posiadłości.

– Jeśli uda nam się ich pozbyć, zawsze będziemy mogli odzyskać ziemię – zauważył Raghnull. – Luíseach ma rację. Musimy cię stąd wydostać. Za wszelką cenę, *uncail*. Jeśli dostaną

w swoje ręce was dwoje i jeszcze dzieci, nikt nie zostanie.

– A po co miałby zostawać? – zapytał gniewnie Mánas. – Naprawdę myślisz, że zdołamy się ich pozbyć?

Ragnall wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem – powiedział wprost. – Ale wiem, że jeśli ktokolwiek ma położyć kres ich rządóm, będzie potrzebował symbolu oporu. I nasza rodzina jest takim symbolem, niech Bóg nam dopomoże. A przede wszystkim ty. I nie zapominaj, co się stało z tatą i dziadkiem – dodał zdecydowanie. – Jeśli chcą, żebyś zniknął, to raczej nie pomyślą o aresztowaniu.

– On ma rację, Mánas – powiedziała Elspeth.

– A dokąd się udamy? – spytał z goryczą w głosie Mánas. – Do jakiej dziury mamy się schować?

– Amulree – odpowiedział Ragnall. – Tego nie będą się spodziewać, skoro pokłóciłeś się z Huisdeanem przy ostatnim spotkaniu.

– Wątpię, żeby się ucieszył na nasz widok!

Huisdean MacRory był głową młodszej linii rodu i dalekim kuzynem Mánasa, od dzieciństwa się nie cierpieli.

– Mam nadzieję, że MacQuarie i MacCrimmon tak właśnie pomyślą. – Ragnall zachichotał ponuro. – Nie twierdzę, że Huisdean należy do twoich wielkich wielbicieli, *uncail* Mánas, ale to nasza krew i pogardza MacCrimmonem o wiele bardziej, niż to głośno przyznaje.

– Rozmawiałeś z nim o tym? – zapytał Mánas.

– Oczywiście, że tak! Ale nic nie mówiłem, bo wiedziałem, co powiesz. Zapewni ci dach nad głową i jego ludzie będą cię chronić. O ile wydostaniesz się stąd, zanim tamci przylecą!

Mánas spojrział gniewnie na bratanka, ale zaraz ogień w jego oczach przygasł i mężczyzna trochę się przygarbił.

– Masz rację, *balach* – powiedział. – Masz rację. Tylko trudno to znieść.

– Wiem, *Uncail*. Ale nie ma wyboru. Teraz zabieraj *Antaidh* Elspeth i ruszajcie.

– A co z tobą? – spytał Mánas, wyciągając rękę do Elspeth i pomagając jej wstać. – Jeśli mnie szukają, to ciebie też.

– Ja nie jestem dla nich tak ważny jak ty... i Luíseach – odpowiedział Ragnall. – Nie jestem dziedzicem. I nie będę nim, jeśli tobie, jej, Peterowi i Georginie nic się nie stanie.

– On ma rację, *dadaidh* – odezwała się ponownie Luíseach zdecydowanym tonem. Była nie

tylko córką Mánasa, ale też zastępcą dowódcy Milicji MacRorych. – Na niego także polują, ale nie tak usilnie jak na nas i na dzieci.

– Owszem, *uncail* – dodał Ragnall. – To ziemia MacRorych i jakiś MacRory będzie czekał na tych drani, gdy wylądują!

– Nie ma czasu na gadanie – zauważył MacHutchin. Podniósł komunikator do ucha i przez chwilę słuchał. – Keddy ma Petera i Georginę – powiedział. – Nie chciał czekać na samochód i załadował ich do furgonu stajennego. Zaraz...

Przerwał, gdy furgon wychynął zza stajni i oddalił się w kierunku przeciwnym do tego, z którego nadciągali napastnicy. Wszyscy obecni na werandzie odprowadzili go spojrzeniem.

– Potem do nich dołączysz – zwrócił się Ragnall do Luíseach. – Póki co, zabierz stąd ojca i matkę. I nie opuszczaj potem Amulree.

Luíseach wyglądała, jakby zamierzała się zbuntować, ale zaraz jej przeszło. Niechętnie skinęła głową.

Dwa pojazdy podeszły do lądowania. Mánas, Elspeth i Luíseach już mieli zejść z werandy, gdy drzwi domu znowu się otworzyły.

– Z zachodu nadciąga druga, tak samo liczna grupa – zawołał Steaphan MacHutchin, syn Elphina. Na ramieniu miał wojskowy karabin pulserowy. Drugą sztukę broni zaraz rzucił ojcu.

– Do diabła! – warknął Ragnall. – Zmykaj, *uncail*! Natychmiast!

– Steaphan, lecis z Luíseach w drugim wozie! – rzucił Elphin, sprawdzając magazynek broni.

– Aye! – odparł syn i ujął Luíseach za łokieć, sprowadzając ją po schodkach.

Elphin podążył za Mánasem i Elspeth w stronę bliższego samochodu powietrznego. Z zabudowań majątku wybiegło prawie dwudziestu członków milicji. Wszyscy byli uzbrojeni. Trzyosobowa drużyna zdejmowała maskowanie dwóch trzylufowych działek przeciwlotniczych otrzymanych od Erin MacFadzean.

Ragnall ścisnął karabin pulserowy w dłoniach i spojrzał w ślad za startującymi samochodami. Tym razem skierowały się na północ, nie na zachód. Zastanawiał się, czy jego wujek zrozumiał właściwy powód, dla którego on jeden tu został. Nie rzucał słów na wiatr, mówiąc, że będzie czekał na tych, którzy naruszają spokój ziemi MacRorych. MacMinn i MacCrimmon przelali już zbyt wiele krwi jego rodu, aby można było postąpić inaczej. Ale gdyby dowódca oddziału szturmowego zbyt szybko zrozumiał, że Mánas, Elspeth i Luíseach wymknęli

się z majątku, ich szansa na ucieczkę spadłaby do zera. Im dłużej będzie stawiał opór rządowym bandytom, tym bardziej pomoże swoim ocalać.

Nigdy nie twierdziłem, że zdołamy ich odeprzeć, pomyślał. Nigdy nie mówiłem tak wujowi Mánasowi. W najlepszym razie mogą nie zaryzykować otwartej walki, przynajmniej nie teraz, gdy Zagorski tak wkurzył ludzi. Jeśli jednak mają rozkaz, żeby pojmać wuja, nic ich nie powstrzyma. Ale gdybym mu tak powiedział, zezwałby mnie tylko i został ze mną.

W przeciwieństwie do Mánasa Luíseach zawsze wiedziała, co Ragnall miał na myśli. Wcale jej się to nie podobało, ale musiała myśleć o dzieciach. On nie miał takich problemów. To dawało mu większą swobodę.

Przełączył swój komunikator na ogólną sieć Caisteal Órach.

– W porządku, *gaisgeaich* – powiedział. – Wszyscy na stanowiska, ale nikt nie otwiera ognia bez rozkazu. To nie wojna, mamy tylko dać naszym czas na ucieczkę.

Kilka kobiet spojrzało na niego buntowniczo, ale ostatecznie skinęły głowami. Nie obawiał się braku dyscypliny wśród swoich podwładnych. Bardziej bał się poziomu dyscypliny tamtych. Może jak zobaczą działka, będą jednak woleli rozmawiać, niż walczyć. A jeśli tak...

– O mój Boże! – krzyknął ktoś i Ragnall się obrócił.

Z zachodu nadlatywał furgon stajenny, ścigany nie przez transporter opancerzony, ale przez myśliwiec atmosferyczny ze znakami straży przemysłowej Star Enterprise Initiatives Unlimited. Furgon skręcił gwałtownie, Keddy najwyraźniej chciał wylądować, ale w tej samej chwili myśliwiec uruchomił działko pulserowe. Przerażony Ragnall otworzył szeroko oczy.

Furgon nadział się prosto na strumień ognia z trzydziestomilimetrowego działka, który rozciął wóz niczym piła łańcuchowa. Wrak zachwiał się i eksplodował w wielkiej kuli ognia.

– Skurwiele! – krzyknął ktoś inny i Ragnall odruchowo uniósł broń do ramienia, chociaż nie mogła ona zaszkodzić ciężkiemu myśliwcowi.

Działka na dachu to co innego. Ich obsady w tej sytuacji nie czekały na rozkaz otwarcia ognia.

Myśliwiec wyciągnął ostro, odbijając od zestrzelonego furgonu, i teraz sam nadział się na pociski. Jedno skrzydło odpadło i kadłub zaczął koziółkować w powietrzu. Po chwili runął między drzewa i z prędkością prawie sześciuset kilometrów na godzinę wbił się w ziemię. Zaraz potem eksplodował.

– Pod ogniem! – Ragnall usłyszał chwilę później w słuchawkach. To był Elphin

MacHutchin. – Jesteśmy pod ostrzałem! Jesteśmy...

Głos umilkł nagle. Ragnall MacRory stał przez chwilę z twarzą jak wykutą z kamienia i tylko jego oczy płonęły gniewem.

Oni nie zamierzali nikogo aresztować, pomyślał na chłodno. To znowu ta sama historia co z tatą i dziadkiem. Tylko tym razem nie zdołają nikomu wmówić, że to był wypadek.

No i nie pójdzie im tak łatwo.

Spojrzał na wrak furgonu, w którym zakończyło się życie czternastoletniego Petera i dwiętnastoletniej Georginy MacRorych. Wciągnął gwałtownie powietrze.

– Na stanowiska – powiedział lodowato do ludzi, także wpatrujących się w płonący wrak. – Skoro im tak zależy, to nas dostaną. Ale najpierw upuścimy im sporo krwi.



– Nie obchodzi mnie, co mówią MacCrimmon czy MacQuarie! – warknął Burgess Stirling. – Wszyscy wiedzą, że to było zwykłe morderstwo!

Siedzący wokół posykującej lampy naftowej zgodzili się z tym bez słowa i Megan MacLean posmutniała, widząc ich reakcję. Nie dlatego, że się z nimi nie zgadzała. Czula tę samą wściekłość co oni. Powód był inny...

– Nadal nie jesteśmy gotowi! – Nessa MacRuer popatrzyła błagalnie na pozostałych. – Wiem, co myślicie. Czuję tak samo! Ale nie jesteśmy jeszcze gotowi!

– To nie ma znaczenia – odparł Tammas MacPhee. – Zgadzam się z tobą, Nesso, ale to nie ma znaczenia. Zaczęli coś, czego nie zdołamy powstrzymać. MacCrimmon będzie próbował, ale też mu się nie uda. Teraz już nie. Spójrzmy prawdzie w oczy, jeśli teraz się nie ruszymy, i to z dowolnego powodu, już nigdy nie będziemy mieli po temu szansy!

– To prawda – warknął Stirling.

Jego organizacja, Związek Red Fern, od dawna nalegała na przyjęcie bardziej konfrontacyjnej postawy. Chcieli ulicznych demonstracji, prowokacji, nawet zamieszek. Nie martwili się o spalone sklepy i biura, trupy na ulicy. W sumie chcieli nawet, aby dochodziło do rozlewu krwi, oczekiwali brutalnych reakcji sił bezpieczeństwa, które podsycają płomień buntu w Halkirku. Megan MacLean doskonale to rozumiała, lecz nigdy nie popierała podejścia Stirlinga i jego metod.

Ale to nie znaczyło, że teraz się mylił.

Rozejrzała się po nagich kamiennych murach i brudnej podłodze. Każde fizyczne spotkanie

liderów Ligi Wyzwolenia Loomisu oznaczało wielkie ryzyko, ale podobnie niebezpieczne mogły być spotkania w sieci. Ostatecznie zdecydowali się na względnie bezpieczny lokal. Była to piwnica budynku pozostałego po pierwszym etapie kolonizacji. Górne kondygnacje spłonęły już dwa wieki temu. Nie znajdowali się na terenie MacLean, grunt należał do jednego z klientów Nesso MacRuer i był przez nią zarządzany bez zamiaru sprzedaży. Znajdował się przy tym wystarczająco blisko Elginu, aby większość liderów Ligi ze stolicy mogła tu dotrzeć bez większych kłopotów. Zarazem był od niej oddalony na tyle, żeby nikt specjalnie go nie kontrolował. Co więcej, po spłonięciu budynku las upominał się o swoje. Niektóre rosnące na terenie parceli drzewa miały już ponad sto lat i ich gęste korony skutecznie maskowały ruiny przed patrzącymi z góry.

– Nie obawiała się więc zbytnio wykrycia. Przeraził ją raczej sam przebieg spotkania.

– Burgess i Tammas mają rację, Nesso. – Tad Ogilvy patrzył na MacRuer, ale MacLean wiedziała, że tak naprawdę mówił do niej. – Na pewne rzeczy nie można pozwalać. Jeśli teraz im darujemy, sprzeniewierzymy się temu, co nas połączyło. Po prostu nie mamy czasu na dalsze przygotowania. MacQuarie przenicuje całą planetę, szukając Luíseach i Gavina. Jeśli ich znajdzie i zginą tak samo jak ich ojciec, marne będą szanse na poparcie ruchu oporu przez społeczeństwo.

– Nie rozpędzaj się tak – powiedziała Fenella MacKail. Ogilvy i McPhee spojrzeli na nią. Stirlingowi jej słowa wyraźnie się nie spodobały, ale MacKail zbyła to machnięciem dłoni. – Zgadzam się, że opinia publiczna faworyzuje MacRorych, ale czy chcemy budować rewolucję na tym właśnie fundamencie?

MacKail była nauczycielką szkoły średniej i do ruchu przyłączyła się na skutek poczynań władzy, która zmieniła szkoły w brutalne narzędzie indoktrynacji. Wywodziła się jednak z miasta i nie miała zbyt wysokiego mniemania o żyjących na prowincji przywódcach. Jedno, co podobało się jej w zmianach wprowadzonych przez Partię Dobrobytu, to zniesienie monarchii. Jej zdaniem była to niewiarygodnie głupia forma rządów, zachowanie zaś Tawisa III podczas i po zamachu stanu było tego wręcz modelowym potwierdzeniem. MacLean w jakimś stopniu się z nią zgadzała, ale...

– Sukces rewolucji zależy w większym stopniu od emocji i zaangażowania niż od siły ognia – powiedziała teraz. – Musi być coś albo ktoś, kto stanie się symbolem poświęcenia. Kto skupi uwagę. Burgess i Tad mają rację. W tej chwili takim symbolem jest rodzina MacRorych. Szczególnie Luíseach. Biorąc pod uwagę, jaki ferment wezbrał, pytanie o to, czy chcemy się

ruszyć, może być całkiem bez sensu.

W piwnicy rozległ się zgodny pomruk. MacLean nie była pewna, czy powinna się z tego cieszyć. MacRuer miała rację. Potrzebują więcej uzbrojenia, zwłaszcza ciężkiego, jeśli mają coś wskórać przeciwko dobrze wyposażonemu przeciwnikowi. Jeszcze kilka miesięcy, w trakcie których nadeszłyby dwa kolejne transporty, znacznie poprawiłoby ich szanse.

Tyle że nie mieli już miesięcy.

Nikt nie wiedział dokładnie, jak Luíseach MacRory zdołała ocaleć podczas ataku na Caisteal Òrach. MacLean podejrzewała, że zawdzięczała to waleczności obrońców. Oficjalnie nie mówiono wiele o stratach napastników. Rzecznik rządu podał tylko, że były „wyjątkowo małe”. Niemniej strażacy walczyli potem przez piętnaście godzin z pożarem, Senga MacQuarie zaś musiała ściągać posiłki aż z Conerock. W końcu zabili Raghalla i prawie wszystkich członków milicji, jednak niełatwo im to przyszło. Dowódcy oddziałów taktycznych musieli być na tyle pochłonięci walką, że Luíseach zdołała się im wymknąć.

Teraz ukrywała się gdzieś wraz z mężem, Gavinem. Nikt nie wiedział gdzie i nie zamierzano tego ujawniać. Pojawiło się jednak dość przekazów i dowodów na to, że żyją. W tej chwili, po zamordowaniu jej rodziców i dzieci, Luíseach MacRory była nie tylko jedyną żyjącą dziedziczką Tawisa III, lecz też ucieleśnieniem nadziei Halkirku.

I chyba nie było w całym układzie nikogo bardziej zdeterminowanego, aby obalić obecny reżim, niż ta kobieta, która już zaczęła stylizować się na królową Luíseach II.

MacLean całkowicie ją rozumiała, ale widziała też, że za jej sprawą walki nie można było już odkładać. To był sygnał.

Cóż, może przyszła pora, aby ktoś go dał.

– Cokolwiek myślimy o właściwym albo niewłaściwym czasie... – powiedziała, spoglądając kolejno na wszystkich obecnych przy stole. – To jest dobra chwila i okazja do działania. Wszyscy wiecie, jak bardzo wolałabym rozstrzygnąć sprawę dzięki wyborom czy co najwyżej pokojowym demonstracjom. Ale nawet gdybym kiedykolwiek wierzyła, że takie rozwiązanie będzie możliwe, to masakra w Caisteal Òrach zmieniałaby moje zdanie. Rozumiem więc, że obecnie musimy zadać sobie pytanie nie o to, czy zaczynamy rewolucję, ale jak zamierzamy ją zacząć. Przeanalizowaliśmy kilkanaście możliwych scenariuszy, z czego co najmniej trzy takie, w których tracimy kontrolę nad przebiegiem zdarzeń. Chyba wszyscy się zgodzimy, że do tego właśnie doszło. A to oznacza, że musimy sięgnąć do tych scenariuszy i zastanowić się, jak

dokładnie zaczniemy walkę.

ROZDZIAŁ XXIX



Hej, Jess! Słyszałaś, kto łapał ducha z twojego czujnika?

Porucznik komandor Jessica Epstein zerknęła przez ramię, ale nie przerwała biegu. Komandor Francis Drescher był jej bezpośrednim przełożonym w Dowództwie Bezpieczeństwa Perymetru, odpowiedzialnym za utrzymanie i obsługę niezwykle precyzyjnych czujników dalekiego zasięgu, które strzegły składnika A binarnego układu Manticore. Ponadto także bardzo lubił biegać, i to nie na bieżni stacjonarnej. Służący na HMSS *Hephaestus*, podstawowej orbitalnej instalacji Gwiezdnego Królestwa, mieli to szczęście, że tutaj było gdzie biegać. Zamknięta w rurowatym module bieżnia miała aż trzy kilometry długości.

Jedno, czego porucznik Epstein naprawdę żałowała w przypadku komandora Dreschera (poza tym, że regulaminy zabraniały niestety, cholera, nawiązywania jakichkolwiek romantycznych kontaktów w ramach struktur służbowych), to że był z pięć centymetrów wyższy od niej i miał dłuższe nogi. W tej chwili jeszcze był z nią, ale wiedziała, że za moment zobaczy te nogi i całą resztę przed sobą. A przecież mógłby zwolnić, skoro chciał pogadać!

Zwykle tak właśnie postępował. I owszem, było to irytujące.

– Nie – odpowiedziała, gdy zrównał się z nią i zwolnił. Akurat mu się zebrało! – Zeszlłam z wachty, zanim kogoś wyznaczili.

– To chyba niebawem usłyszysz – powiedział Drescher z uśmiechem. – Cefeidus! Wiesz, co jest najciekawsze? Że to chyba naprawdę duch. A ptaszki ćwierkają, że Bridget ma lada chwila kolejne nad wyraz ważne spotkanie Stowarzyszenia Twórczych Anachronizmów.

– Cholera jasna – rzuciła przygnębiona Epstein.

Porucznik komandor Bridget Landry była kapitanem HMS *Dagger*, który wchodził w skład 265.2 Dywizjonu Niszczycieli, dowodzonego przez komandora Michaela Carusa, znanego z racji doświadczenia w zwiadowczym fachu jako Cefeidus. Landry była również jedną z bliskich przyjaciółek Epstein. Były w jednym roczniku na wyspie Saganami i obie należały do Stowarzyszenia Twórczych Anachronizmów. Była świetna w odtwarzaniu szczegółów ubioru przedstawicieli różnych kultur sprzed siedmiuset czy ośmiuset lat. Często takich, o których prawie nikt już w galaktyce nie pamiętał.

W tej chwili znajdowała się jakiś miesiąc świetlny od *Hephaestusa*, co zawdzięczała

słabemu sygnałowi wyjścia nadprzestrzennego wyłapanemu przez sekcję Epstein. Sądząc po szerokim uśmiechu Dreschera, po dotarciu na miejsce domniemanego wyjścia niczego nie znaleźli. Co oznaczało, że to naprawdę był duch czy jakieś inne zakłócenie. Należało oczekiwać, że w tej sytuacji Cefeidus otrzyma rozkaz czujnego warowania na pozycji przez kolejne dwa tygodnie.

– I ominie ją to spotkanie? – spytała Epstein z rezygnacją.

– Tak dokładnie nie wiem – odparł radośnie Drescher. – Wiem tylko, że ma się odbyć, ponieważ ostatnio knuła coś z Hammondem. Nie wiem jak Bridget, ale Hammond jest wściekły, że jej nie będzie. Musieli planować coś specjalnego.

– Cudownie. – Epstein przewróciła oczami. – Da mi popalić, jeśli nie zdąży wrócić.

– Nie. – Drescher potrząsnął głową. – Nie da ci popalić. Będzie cię piekła na żywym ogniu. Ale nie martw się, za kilka lat o tym zapomni.

– Wielkie dzięki, Frank!

Chciała dać mu kuksańca, ale odskoczył tanecznym ruchem, w ogóle przy tym nie zwalnając, i wyszczerzył do niej zęby. Potem trochę jednak spoważniał.

– Szczerze mówiąc, Jess, to chyba nawet wyjdzie nam na dobre. Wszyscy ciągle dochodzimy do siebie po tym, co zrobiło Haven. Lepiej zajmować się czymś konkretnym, niż stale roztrząsać, kto zginął, kto przeżył. Poza tym, jeśli Admiralicja pozwoli Bridget podowodzić trochę niszczycielem na własną rękę, bez ciągłych instrukcji i pełnego nadzoru... Jestem pewny, że to zrozumie. Chociaż czy przyzna się do tego głośno, to już druga sprawa.

– Chyba podrzucę ci parę starych skarpet do skafandra – powiedziała Epstein. – Należy ci się za taką troskę o mój nastrój.

– Po to tu jestem. – Roześmiał się i oddalił od niej jak na turbodoładowaniu.

Tylna strona jego osoby prezentowała się równie dobrze jak zawsze.



– Nie wyczuli pająka, sir – powiedziała komandor Theresa Coleman, studiując obraz taktyczny na głównym ekranie MANS *Mako*. – To standardowy szyk zwiadowczy. Gdyby wiedzieli, gdzie jesteśmy, skierowaliby się w naszą stronę.

– Też mam takie wrażenie. – Admirał Frederick Topolev kiwnął głową. – Ale nie bądźmy zbyt pewni siebie – dodał, grożąc palcem swojej szefowej sztabu. – Może być i tak, że nas dostrzegli, ale nie chcą się z tym zdradzić. Kto wie, może ich Home Fleet już szykuje się do

mikroskoku, aby nas tu zaskoczyć?

– Cóż, może być i tak, sir – odparła ze zdziwieniem Coleman, ale zaraz przywołała się do porządku. – Możliwe, ale bardziej w stylu solarnych. Gdyby naprawdę chcieli powstrzymać nas przed powrotem w nadprzestrzeń, powinni poczekać, aż znajdziemy się w granicach układu. Dowódca Manticore nie byłby tak głupi, aby przedwcześnie nas spłoszyć i stracić nasz ślad.

– Nie byłby – zgodził się Topolev. – Masz rację, w przeciwieństwie do solarnych ci tutaj znajdują się na rzeczy. Po prostu mówię, że nie powinniśmy wpadać w samozachwyty, dopóki nie uzyskamy właściwej prędkości, nie rozstawimy zasobników i nie wyrwiemy się stąd. – Wzruszył lekko ramionami. – Szczerze mówiąc, zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Ale widzimy to, co widzimy... – Wskazał na ikony jaśniejące na ekranie taktycznym. – To, co przekazują nam na łączu laserowym pozostawione w tyle sondy, świadczy o tym, że stosowane przez Manticore moduły czujników są co najmniej tak samo dobre jak nasze. I na dodatek praktycznie niewykrywalne. Nie sądzę, żeby rozstawili je dość gęsto, aby nas dostrzec, ale też nikt mi nie zaręczy, że tego nie zrobili.

Coleman kiwnęła głową. Admirał miał rację. Mesan Alignment Navy, czyli Marynarka Wojenna Równania, była jedną z najmłodszych flot w galaktyce. Przeprowadzała właśnie swoją pierwszą operację bojową, używając do tego okrętów zbudowanych jako szkolne i mających posłużyć jako wzorcowe dla prawdziwych jednostek bojowych, których budowa nie została jeszcze ukończona. Royal Manticoran Navy zaś powstała już setki lat temu i szczyła się niezliczonymi zwycięstwami. Co więcej, miała też za sobą ponad dwie dekady brutalnej wojny przeciwko Ludowej Republice Haven.

Prawdopodobnie cholernie trudno byłoby ich przecenić, pomyślała. Ale jeśli trzeba popełnić jakiś błąd, to lepiej taki niż w drugą stronę. Ostatecznie to zwykli ludzie, nie dziesięciometrowe olbrzymy. Nie mogą nic wiedzieć o pająku. Nam trudno go wytropić, chociaż wiemy, czego szukamy. Oni są w o wiele gorszej sytuacji, skoro nawet nie wiedzą o jego istnieniu.

Napęd zwany pająkiem był szczytowym osiągnięciem technicznym Równania, wynikiem dziesięcioleci prac badawczych, które pochłonęły miliardy kredytów. No i tym, co miało zaważyć na przebiegu operacji Oyster Bay. Wszystkie floty opierały rozpoznanie na czujnikach, które były rozwinięciem oryginalnych detektorów grawitacyjnych wynalezionych przez Adrienne Warszawski. Ślad grawitacyjny napędu impellerowego był widoczny z ogromnej odległości nawet wtedy, gdy wężły pracowały na ułamku mocy. Zwykle, nawet aktywne czujniki miały o

wiele mniejszy zasięg i gorzej radziły sobie z wykrywaniem celów tak względnie małych, jak kadłuby okrętów. Zasięg biernych czujników grawitacyjnych był jakies siedem razy większy, tym samym ich użycie dawało o wiele lepsze efekty. I to nawet wówczas, gdy cel był w jakiś sposób ekranowany.

Task Force One dysponował co najmniej tak samo dobrymi systemami maskowania jak Manticore. Może nawet trochę lepszymi, bo mniej było przy nich emisji elektronicznych. Grawitacyjny ślad napędu pajączego zaś był o wiele słabszy od impellerowego. *Mako* dawał impuls pasujący raczej do drona zwiadowczego o cechach stealth. Niszczyciele Manticore miały najpewniej zbadać pochodzenie dziwnego sygnału, który pojawił się podczas ostrożnego i powolnego wyjścia *Mako* z nadprzestrzeni, znajdowały się jednak teraz daleko za jego rufą. Z całym szacunkiem dla admirała Topolewa, nie miały prawa zobaczyć ich jednostki flagowej.

Podobnie jak ktokolwiek inny, pomyślała Coleman. Nie wiem, czy Oyster Bay przebiegnie tak, jak wszyscy oczekują. Podobno nie ma planów doskonałych i zawsze coś się spieprzy. Niemniej ci za nami na pewno nie mają pojęcia o naszym istnieniu, a ci przed nami dowiedzą się o nas, gdy spadnie na nich cały rój pocisków wystrzelonych jakby znikąd.

Coleman nie miała nic przeciwko takiemu rozwojowi wydarzeń.



– Przepraszam, lordzie, ale sekretarz spraw zagranicznych Langtry jest na łączu. Zależy mu na rozmowie z panem, jeśli to możliwe.

Hamish Alexander-Harrington, lord White Haven, oderwał się od rozmowy z kapitanem Fargo, swoim szefem sztabu.

– Powiedział, o co mu chodzi, Eddie? – zapytał.

– Nie, sir. – Starszy bosman Edward Neukirch pokręcił głową. – Powiedział tylko, że to „krótka sprawa”.

– Rozumiem.

White Haven uśmiechnął się, ale jakoś mało życzliwie. Sir Anthony Langtry był od dawna jego bliskim przyjacielem, ale pomimo długiej kariery dyplomatycznej pod pewnymi względami pozostał pułkownikiem marines. Był skłonny do podejmowania działań nieformalnie. White Haven, który miał aż za wiele kontaktów z zatwardziałymi biurokratami, zasadniczo popierał takie podejście, niemniej Langtry przesadzał z tym wydzwanianiem na samą górę z byle drobiazgiem, co wcale nie popychało spraw do przodu. Całkiem często chodziło o rzeczy, które z

powodzeniem mógłby załatwić ktoś na znacznie niższym stanowisku niż na przykład Pierwszy Lord Admiralicji. Który rozmawiał właśnie na dodatek ze swoim szefem sztabu.

– Połącz go, Eddie – powiedział po chwili, odsuwając się od stołu konferencyjnego i przejeżdżając na swoim fotelu antygravitacyjnym do biurka.

Neukirch, który już dobrze wiedział, czego można oczekiwać, nie miał problemów ze zgraniem wszystkiego w czasie. Ekran z obliczem Langtry’ego zajaśniał niecałe dziesięć sekund później.

– Cześć, Tony – powiedział White Haven. – Czym mogę ci służyć w to piękne popołudnie?

– Da się jeszcze złapać Honor, zanim odleci do Nouveau Paris? – spytał bez wstępów Langtry i zdumiony takim zachowaniem lord aż uniósł brwi.

– Nie – odparł po chwili. – Ósma Flota przeszła w nadprzestrzeń już godzinę temu. Dlaczego pytasz?

– Cholera. – Langtry skrzywił się, jakby przełykał znacznie ostrzejsze przekleństwo. – Chciałem jej coś przekazać, zanim zaczniesz rozmowy z Pritchard.

– O jaką informację chodzi? – spytał White Haven takim tonem, że Langtry aż parsknął z rozbawieniem.

– Przepraszam. Przepraszam! – Uniósł dłoń. – Nie myślę bawić się w tajemnice. Ci dranie z Mesy podrzucili nam kolejny gorący kartofel. Według Lymana Carmichaela z Old Chicago przekazali właśnie Lidze Solarnej oficjalną notę, w której oskarżają nas o zorganizowanie ataku atomowego na ich obywateli.

– Co?! – White Haven aż się wyprostował i spojrzał z niedowierzaniem na rozmówcę. Zaraz jednak się uspokoił. – Chodzi o tę sprawę w Mendelu?

Langtry kiwnął głową z kwaśną miną i White Haven zaklął w duchu.

Dochodzące z układu Mesy doniesienia o tym incydencie, zapewne zamachu terrorystycznym, były dość chaotyczne i utrudniały wyrobienie sobie zdania na ten temat. Mimo wielkiego ruchu przechodzącego przez Manticoran Junction rzetelniejsze dane napływały powoli. Obecnie dostępne informacje były niekompletne, wewnętrznie niespójne i niejasne. Jedyne, co wiedzieli na pewno, to że Mesa, zresztą zgodnie z przewidywaniami, natychmiast obwiniła o wszystko Balet. Co nie było aż tak pozbawione sensu, biorąc pod uwagę, jak bezkompromisową walkę wydała ta organizacja Manpower i całemu niewolnictwu genetycznemu. Zwykła działać na granicy prawa, albo i poza prawem, nawet jeśli White Haven by wolał, aby wyglądało to inaczej.

Niemniej teraz...

– Twierdzą, że my to zrobiliśmy?

– Mówią, że umożliwiliśmy i sfinansowaliśmy zamach, a nie, że to zrobiliśmy. – Langtry parsknął śmiechem. – Jednocześnie dają do zrozumienia, że nie oskarżają nas wprost tylko dlatego, że cenią sobie wyrafinowaną i dojrzałą dyplomację. Bo przecież nie są tak prymitywni i chamscy jak my, czego przykładem jest sprawa z układem Monica.

– Przedstawili jakieś dowody? – spytał ostrym tonem White Haven.

Langtry skrzywił się cierpko.

– To był główny powód, dla którego chciałem porozmawiać z Honor, zanim odleci. Nie tylko dlatego, żeby nie dała się zaskoczyć w Nouveau Paris, gdyby nota ambasadora Haven trafiła do Pritchard jeszcze przed przybyciem Ósmej Floty. Przede wszystkim chciałem spytać, czy wie, co się dzieje ostatnio z Antonem Zilwickim.

– Zilwickim? – White Haven pokręcił głową.

Jego żona była od dawna związana z Ligą Antyniewolniczą, a według niektórych także z Baletem. Niekiedy wynikały z tego nawet pewne kłopoty, i nic dziwnego, skoro Honor Harrington była również księżną, patronką i admirałem floty oraz osobistą powierniczką nie tylko Elżbiety III, ale także protektora Benjamin Mayhewa. W żadnym razie nie zamierzała jednak zmienić swojego podejścia do tematu. Nienawiść do niewolnictwa genetycznego wysłała niemal dosłownie z mlekiem matki, z czasem stając się jednym z jego najgroźniejszych wrogów. Nic więc dziwnego, że Catherine Montaigne i Anton Zilwicki stali się szybko jej przyjaciółmi. Podobnie nie zaskakiwało i to, że związki tych dwojga z Jeremym X, teoretycznie emerytowanym już szefem Baletu, mogły czasem rzutować na obraz samej Honor.

– Wiem, że Zilwicki odwiedził ją na okręcie flagowym przed Lovatem – powiedział powoli.

– Nie przekazywała mi, o czym rozmawiali. Chociaż chyba Willie coś wie. – Skrzywił się. – Wnioskując z tego, co bardzo starał się przemilczeć, z jego perspektywy nie była to owocna rozmowa. Prawdę mówiąc, trochę się dziwię, że żadne z nich w jej trakcie nie ucierpiało. Jakby co, stawiałbym na Honor. – Uśmiechnął się. – Willie reprezentuje znacznie lżejszą wagę.

Langtry zachichotał. Młodszy brat Pierwszego Lorda Admiralicji William, baron Grantville i premier Manticore, odziedziczyli słynny temperament Alexandrów. Minister spraw zagranicznych chciałby być muchą na ścianie w chwili, gdy ten temperament zderzał się z chłodnym opanowaniem Honor Alexander-Harrington i jej niezgodą na to, aby ograniczać swoje

działania do tego, czego wymagała od niej służba. I nieważne, co kto sobie pomyśli.

– Dlaczego martwisz się o Zilwickiego? – spytał White Haven. – Biorąc pod uwagę to, co już powiedziałeś, niezbyt rozumiem, jaki tu zachodzi związek.

– Zgodnie z notą Mesy oraz, jak twierdzą, zgodnie z wynikami ich szczegółowego badania dowodów za atak w Green Pines jest odpowiedzialny zatwardziały zwolennik Baletu, niejaki Anton Zilwicki. Podają, że dysponują niepodważalnymi dowodami, iż przebywał w tym czasie na Mesie i współpracował z „terrorystami z Baletu”, którzy podłożyli i zdetonowali bomby. Do tego, jak mówią, dochodzą poszlaki, że działał w porozumieniu z rządem Manticore. Moim zdaniem sugerują, że zapewniliśmy Zilwickiemu i Baletowi wsparcie w odwecie za zaangażowanie Mesy w wydarzenia w gromadzie Talbott. Co, jak dodali, oczywiście nie miało miejsca i zrodziło się wyłącznie w naszej chorej wyobraźni i na skutek naszych makiawelicznych planów, aby zwrócić opinię publiczną Ligi Solarnej przeciwko niewinnym obywatelom Mesy.

– Co za bełkot – mruknął White Haven.

– Nie inaczej. Z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że Zilwicki był ściśle związany z Ligą Antyniewolniczą i ludźmi, którzy co najmniej należeli kiedyś do Baletu. Mam na myśli to, że jego córka jest królową Torch, a Jeremy X jest jej ministrem wojny!

– Tak, a siostrzenica Elżbiety jest jej najlepszą przyjaciółką i w gruncie rzeczy kieruje wywiadem Torch – zauważył White Haven.

– Nie powiedziałem, że Zilwicki jest jedynym związkiem Manticore z Torch – dorzucił Langtry. – Podobnie jak nie sugerowałem, że Mesa wspominała coś o jego obywatelstwie. Czy o tym, że pracował dla wywiadu marynarki. Albo że stał się przyjacielem rodziny królewskiej, bo pomógł uratować Ruth Winton na Erewhonie.

– Nie, nie wspomniałeś – przytaknął jadowitym tonem White Haven. – Ale oni tego oczywiście nie przegapiają.

– Właśnie. – Langtry wzruszył ramionami. – I dlatego szukam kogoś, kto wie, co on mógł tam właściwie robić. Miałem nadzieję, że Honor coś mi powie, bo wychodzi na to, że na Williego nie ma chyba co liczyć. Co oznacza, że jedyną osobą w Starym Królestwie, która może coś wiedzieć, jest Cathy Montaigne. Sam się domyśl, jak zareagują dziennikarze i Mesańczycy, gdy dowiedzą się, że minister spraw zagranicznych „kręci towarzysko” ze słynną żoną Antona Zilwickiego, zwolenniczką międzygwiazdowego terroryzmu, rzeczniczką przemocy i fanatycznym wrogiem Mesy, Catherine Montaigne!

– W takim razie proponuję podjąć stosowne środki, aby nikt się o tym nie dowiedział – odparł White Haven. – Bo chyba nikt inny nie zdoła rozwiązać twoich wątpliwości, dopóki Honor będzie w Nouveau Paris. – Uśmiechnął się lekko na widok wyrazu twarzy Langtry’ego, chociaż doskonale go rozumiał. – Powodzenia – rzucił uprzejmym tonem. – Myślę, że będzie ci potrzebne.



– Co chcesz najpierw, Hago? Dobre czy złe wieści? – spytała kapitan Merriman.

Komandor Hago Shavarshyan odsunął się od konsoli i spojrzał na swoją przełożoną z pewnym niepokojem. Sadako Merriman była drobną i delikatnie zbudowaną kobietą z wydatną zmarszczką nakątną i długimi kasztanowymi włosami. W zwykłych okolicznościach Shavarshyan chętnie się jej przyglądał, chociaż oczywiście nie miał żadnych szans, zważywszy na jej związek z komandorem Thurgoodem. Nikt nie powinien o nim wiedzieć, ale po prawdzie wiedzieli wszyscy. Poza tym Shavarshyan byłby kiepskim oficerem wywiadu, gdyby nie wiedział, z kim sypia jego szefowa.

Niemniej obecnie jej lekka nerwowość, rezygnacja i coś jakby współczucie dla podwładnego powodowały, że Hago Shavarshyan zdecydowanie stracił pewność siebie.

– Dziękuję za możliwość wyboru, ma’am – odparł. Nic nie powiedziała. Po chwili wzruszył ramionami. – Myślę, że możemy zacząć od dobrych.

– W porządku. Dobra wiadomość jest taka, że admirał Crandall i jej grupa bojowa niebawem nas opuszczą. Dzięki Bogu.

Shavarshyan tylko skinął głową. On i Merriman służyli we Flocie Pogranicza, która dla oficera flagowego Battle Fleet w rodzaju Sandry Crandall była jedynie marnym klubem amatorów. Shavarshyan miał pecha spotkać kilka takich osób, ale prym wśród nich wiódł admirał Josef Byng, prawdziwe ucieleśnienie arogancji, zadufania, agresji i głupoty. Teraz, gdy Gwiazdne Imperium Manticore usunęło go z puli genowej, na prowadzenie wyszła Crandall, Bóg okazał się jednak dość łaskawy, aby zabrać ją z układu Meyers i tym samym z sektora Madras. Shavarshyan od dawna marzył, by stało się to jak najszybciej.

Ale sądząc po wyrazie twarzy Merriman, sprawa miała mieć ciąg dalszy.

– W porządku – powiedział ostrożnie. – Przyznam, że to dobra wiadomość, ma’am. Dlaczego więc myślę, że wyniknie z tego coś złego?

– Ponieważ jesteś dobrym oficerem wywiadu i umiesz kojarzyć fakty – zasugerowała

Merriman. – A poza tym coś już ci podpowiedziałam.

– Ach, o to chodzi – mruknął. – Poproszę zatem o pełną wersję tej złej wiadomości, ma'am.

– Dobrze – odpowiedziała kapitan znacznie poważniejszym tonem, który zdaniem Shavarshyana brzmiał prawie złowieszczo. – Ta nowina składa się z dwóch części. Pierwsza to taka, że Crandall opuszcza nas, aby polecieć wprost na Spindle i zażądać od Manticore wydania admirała Gold Peak i jej starszych oficerów, żeby postawić ich przed solarnym sądem pod zarzutem morderstwa. Oraz wydania wszystkich jednostek, które były obecne w New Tuscany.

– Że jak...? – wykrztusił Shavarshyan. Ale w duchu zdumiał się, że tak spokojnie to przyjął.

– Wyrusza na Spindle z całą grupą bojową w poszukiwaniu winnych i ma gdzieś, jakie zamieszanie to wywoła – ciągnęła ponuro Merriman. – Nawet ma chyba nadzieję na potężną gównoburzę. Marzy jej się, że wyrwie Gold Peak łeb z płucami i naszcza do środka. Poinformowała już komisarza Verrochia, że wyruszy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. To było przedwczoraj, ale osobiście bardzo się zdziwię, jeśli jej zespół ruszy się jeszcze w tym tygodniu. Niemniej, gdy już to nastąpi, bez dwóch zdań będzie chciała zrobić coś, co wszystkie encyklopedie nazywają „aktem wojny”.

– Chodzi raczej o wypowiedzenie wojny, ma'am?

– Możesz wiele stracić, wyrażając się w ten sposób. Poza tym ona jest admirałem, nawet jeśli tylko w Battle Fleet, gdzie zbytek kompetencji nigdy nie był zaletą. Chyba nie od rzeczy będzie ci o tym przypomnieć.

– Przepraszam, ma'am?

Shavarshyan był naprawdę zdziwiony. Wiedział dobrze, co Merriman myśli o Crandall. Jej komentarz o kompetencji oficerów Battle Fleet był w tym kontekście zdecydowanie łagodny, ale odzwierciedlał zdanie większości oficerów Floty Pogranicza o ich kolegach z konkurencyjnej formacji. Tym samym komentarz pani kapitan brzmiał zaiste dziwnie.

– Zasugerowałam, abyś pamiętał, że ona jest admirałem – powiedziała Merriman. – Tak wyszło, że w ramach planów wciągnięcia Ligi Solarnej w wojnę z Gwiezdnym Imperium uznała, że przyda jej się ktoś, kto będzie chociaż trochę znał gromadę Talbott. Zgłosiła nawet formalny wniosek o tymczasowe przydzielenie jej takiej osoby.

Shavarshyan wpatrzył się w nią z przerażeniem, ona zaś skinęła powoli głową.

– Obawiam się, że wyciągnęłaś krótką słomkę, Hago. Masz dwadzieścia cztery godziny na uporządkowanie biurka i spakowanie swoich rzeczy. Potem zgłosisz się na pokładzie *Buckleya*.

Czeka cię mała wycieczka.

STYCZEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Gdy chodzi o pana O’Shaughnessy’ego, nie jest prawdą, że go nie lubimy. Bardzo go lubimy. Lubimy go tak, jak można lubić błyskotliwego kuzyna. Głęboko i szczerze... chociaż czasem mamy ochotę go udusić”.

– admirał Augustus Khumalo, Royal Manticoran Navy, głównodowodzący w gromadzie Talbott

ROZDZIAŁ XXX



Jaka piękna noc, pomyślała pułkownik Kirsten MacChrystal, podążając ścieżką do joggingu w ślad za Bhaltairem, jej czteroletnim hypatiańskim ogarem górskim. Gwiazdy jaśniały na bezchmurnym niebie tak intensywnie, że widać je było nawet w samym sercu stolicy, gdzie światła miasta często nie pozwalały ich dojrzeć. Thurso wisiał na niebie niczym szlachetny szafir, wypełniając park głębokimi cieniami. Starannie rozmieszczone latarnie nie zakłócały nastroju nocy, powietrze było przyjemnie chłodne, ale nie zimne, lekki wiatr kołysał gałązkami drzew. Dobrze było w takiej chwili wyjść z biura. Zaśmiała się, gdy Bhaltair zanurkował między kwitnące sosny, które rosły przy ścieżce.

Był wielkim, wesołym, ciekawskim psem, któremu wystarczała godzina wieczornego spaceru z jego człowiekiem. MacChrystal z przyjemnością poświęcała mu swój czas. Hypatiański ogar był starą rasą, wyhodowaną w układzie Hypatii ponad tysiąc lat temu w drodze skrzyżowania jeszcze starszych ras: rottweilera i dużego szwajcarskiego psa pasterskiego. Psy te były duże, Bhaltair ważył prawie osiemdziesiąt kilogramów, ale raczej łagodne. No i były świetnymi obrońcami.

To był jeden z powodów, dla których Bhaltair pojawił się w jej życiu. Połączone Siły Bezpieczeństwa Publicznego nie były najbardziej lubianą formacją w układzie Loomis, pułkownik MacChrystal zaś kierowała należącym do nich Oddziałem Elgin. Kobieta odpowiedzialna za siły policyjne stolicy nie mogła być osobą popularną i powszechnie lubianą.

Dlatego też MacChrystal zawsze towarzyszył zespół dziesięciu ochroniarzy. Także wtedy, gdy krążyła z Bhaltairem po parku Hendry, który zamykano dla publiczności na trzydzieści minut przed jej przybyciem i otwierano ponownie pół godziny po jej wyjściu. Zespół trzymał się na tyle daleko, aby mogła udawać, że jest sama z Bhaltairem, ale cały czas pilnował jej tak poprzez kontakt wzrokowy, jak i za pomocą elektroniki. Bardzo chciałaby obejść się w takich chwilach bez nich, ale nie była tak głupia, aby zapuszczać się do parku bez towarzystwa. Pewnie mogłaby zlecić komuś wyprowadzanie psa, co szef jej osobistej ochrony, Alastair MacKeggie, nieraz jej sugerował, ale nie chciała dać draniom tej satysfakcji. Kapitan MacKeggie uważał, że ostatnio stała się jeszcze bardziej niepopularna na skutek próby aresztowania Mánasa MacRory'ego, i niewątpliwie miał rację, ale MacChrystal nauczyła się dawno temu, że nigdy i w żadnym

wypadku nie należy dać się zastraszyć.

Poza tym uwielbiała takie wieczory i nie zamierzała rezygnować z nich przez ewentualnych rzezimieszków, którzy mieliby może ochotę pomścić MacRorych.

Przecież wiedzieli, że do tego dojdzie, pomyślała, wciągając głęboko powietrze przesycone wonią sosen. Jeśli chcieli tego uniknąć, nie powinni organizować tej swojej „milicji”. Naprawdę myśleli, że ujdzie im to bezkarnie? Zwłaszcza teraz?

Parsknęła zirytowana, że natrętne myśli o Luíseach MacRory MacGill nie dają jej spokoju nawet w takiej chwili. Suka nie może się wiecznie ukrywać, a gdy ją znajdą, dotrą też do reszty tej kłopotliwej rodziniki. Szkoda tylko, że Kiley nie załatwił jej od razu, gdy zaczął sprzątać.

Instrukcje Sengi MacQuarie były jednoznaczne i nie brały w ogóle pod uwagę możliwej reakcji opinii publicznej. Żaden z MacRorych nie miał prawa przetrwać „aresztowania”. Istnienie tej ich milicji stwarzało idealny pretekst i nieważne, czy była ona rzeczywiście przeznaczona do walki. Ogłoszone oficjalnie raporty jasno dawały do zrozumienia, że to właśnie milicja była wszystkim winna, bo otworzyła ogień, zanim jeszcze przybyli celem dokonania aresztowań funkcjonariusze zdolali się przedstawić.

Inna sprawa, że nikt się nie spodziewał, że te sukinsyny będą się tak wściekle bronić, pomyślała ze złością.

Ostatecznie wszyscy zginęli, o co zadbano, dobijając rannych i garstkę jeńców strzałem w tył głowy. Ale siły szturmowe także poniosły ciężkie straty. Ponad dziewięćdziesięciu podwładnych MacChrystal poniosło śmierć, trzydziestu pięciu zostało rannych. No i były też straty w sprzęcie, co obejmowało szesnaście transporterów opancerzonych, jeden wóz dowodzenia i dwa myśliwce. Zdołali wprowadzić to ukryć, albo tak im się przynajmniej wydawało, ale jednostka stołeczna ucierpiała jak cholera.

I w tym zamęcie MacGill i jej mąż zdołali jakoś się wymknąć. Szlag. Paskudnie wyszło. Co gorsza, Senga też nie była szczęśliwa z tego powodu.

Cóż, MacQuarie będzie musiała jakoś sobie z tym poradzić, pomyślała. Do tej pory jej ludzie mieli wszystko pod kontrolą. Rozbili kilka „demonstracji”, których zgodnie z dyrektywami nie nazywano „zamieszkami”. Za każdym razem brutalnie, z użyciem maksymalnej siły. Aresztowano kilkaset osób, setki spalowano i jakoś udało się zapędzić ten element z powrotem do jego nor. Przez ostatnie półtora tygodnia jakoś nie było o nich słyhać.

Nie obchodzi mnie, co mówi Touchette, pomyślała. Gdyby naprawdę zdołali się

zorganizować, coś by już z tego wynikło. Zresztą, co zwykły żandarm może wiedzieć o podobnych rzeczach. Ci dranie nie mają dość odwagi...

Spojrzała w bok, gdy Bhaltair nagle warknął głośno i zniknął w pobliskich krzakach. W tej samej chwili strzała z pulsera trafiła ją centymetr pod prawym okiem i głowa MacChrystal eksplodowała czerwono-szarą miazgą.



– Nie oszczędzaj wodoru, Ira – powiedział Johannes Grazioli, gdy jego limuzyna gnała przez bezchmurne nocne niebo Halkirku. Jego szofer spojrzał na szefa, widocznego na małym ekranie na wysokości kolana. Grazioli zachichotał. – Dziś się spieszę – dodał.

– Tak, sir – odparł poważnie Ira Valverde i podniósł ponownie oczy na HUD. Nie wątpił, że jego pracodawca się spieszył. Zasadniczo nie powinien nic wiedzieć, ale Grazioli i tak miał gdzieś, co kto o nim wie, a on kojarzył, że chodziło o dwie nieletnie siostry czekające na niego w luksusowym apartamencie w Rotherwalu, w budynku należącym do zarządu SEIU. Samo istnienie tego apartamentu też teoretycznie miało być tajemnicą, i to wielką tajemnicą, ponieważ nikt z zarządu SEIU nie powinien mieć sekretnego pied-à-terre. Także szef Działu Logistyki na Loomisie, Johannes Grazioli.

Niemniej ktoś o takich gustach jak on potrzebował prywatnej kryjówki. Krążyły plotki, w które Valverde był nawet skłonny wierzyć, że na poprzedniej placówce w układzie Bessie Grazioli dał się przyłapać na igraszkach na podwórku Manpower. Jako że zarząd SEIU cechował się niezwykle purytańskim podejściem do genetycznego niewolnictwa, już sam fakt, że Grazioli nadal pracował w korporacji, wiele mówił o jego powiązaniach. To też wyjaśniało zapewne, jakim sposobem trafił do układu Loomis jako numer drugi, a nie szef oddziału układowego. Biorąc pod uwagę... typ jego upodobań, Valverde domyślał się, od czego się zaczęły te osobliwe związki z Manpower.

Zakładając oczywiście, że plotki były prawdziwe.

Na szczęście tym akurat Ira Valverde nie musiał się zajmować. Był tylko kierowcą.

Sakue Yampolski, szefowa oddziału ochrony Graziolego, miała znacznie gorzej. W przeciwieństwie do Valverdego musiała wiedzieć wszystko o człowieku, którego miała ochraniać, i bardzo żałowała, że to konieczne. Żałowała też, że Graziolemu brakowało śladowej choćby przyzwoitości, aby nie okazywać, jak bardzo ma na nią ochotę. Niestety, chyba nawet nie rozumiał, dlaczego miałby się z tym kryć. Czasem podejrzewała, że jej filigranowość i smukła

sylwetka lokowały ją w kategorii ulubionych zabawek seksualnych pryncypała. I to pomimo faktu, że miała blisko osiemdziesiąt lat. Szczęśliwie był na tyle inteligentny, aby jednak nie próbować szczęścia z szefową własnej ochrony.

I dobrze, bo chętnie obciąłabym mu pompony i zawiązała mu je na szyi, pomyślała i uśmiechnęła się do niego z przeciwległego siedzenia, nie wyjawiając oczywiście, co jej się właśnie marzyło.

Ogólnie rzecz biorąc, nie było wskazane, aby ochroniarz fantazjował o wypatroszeniu podopiecznego, ale lepiej być szczerym wobec siebie. Cokolwiek jednak Yampolski myślała o draniu, jej robotą było utrzymanie go przy życiu. Tak aby mogła być dumna ze swojego profesjonalizmu. Poza tym nie był to pierwszy raz w jej sześćdziesięcioletniej karierze, gdy przydzielono ją do ochrony nosiciela całkiem pokręconego DNA.

W tej chwili żałowała jednak, że gość nie był choć trochę bardziej rozgarnięty. Sakue Yampolski widziała wiele ogarniętych niepokojami światów i to, co działo się teraz na Halkirku, bardzo jej się nie podobało. Przypominało scenariusz kiepskiego holodramatu. Zrobiło się po prostu zbyt cicho i spokojnie, jak na skalę niedawnych zdarzeń, czyli atak na rodzinę MacRorych i brutalne stłumienie późniejszych demonstracji. Nie kupowała oficjalnej wersji, że władze skutecznie zaprowadziły porządek. Uważała, że analiza Ottomara Touchette'a była całkiem trafna, co oznaczało, że Johannes Grazioli nie powinien tak otwarcie szwendać się po okolicy.

I naprawdę nie obchodzi mnie, czy on wierzy w tę swoją tajemnicę, pomyślała, skrywając się za uśmiechem. Może to i jest sekretne miejsce schadzek, ale na pewno mnóstwo osób wie o jego istnieniu. Z czego wiele chętnie dobrałoby mu się przez dupę do gardła.

Dlatego też sprawdziła wcześniej cały budynek pod kątem wszelkich niespodzianek. Na szczęście był niewielki, całkiem inny od wież mieszkalnych, rzadko spotykanych poza Elginem. Nie było to więc takie trudne. Sześciu jej ludzi dyżurowało piętro niżej pod penthouse'em Graziolego. Nikt nie miał prawa wejść tamtędy, a w razie czego gotowa była do szybkiej ewakuacji podopiecznego.



– Na pewno nie masz ochoty na kolację, Sakue? – zapytał Grazioli z uśmiechem. – Wiesz, to pewnie potrwa kilka godzin.

– Domyślam się, panie Grazioli – odparła, zastanawiając się, czy zdaje sobie sprawę, jak... obleśnie teraz wygląda. – Niestety, mam sporo papierkowej roboty. Wykorzystam ten czas, aby

się tym zająć – dodała, wskazując na terminal w limuzynie.

– Skoro tak chcesz – rzucił i skierował się do windy, aby zjechać z lądowiska na dachu do swojego penthouse’u.

Yampolski spojrzała za nim i włączyła komunikator.

– Rick, szef jedzie na dół.

– Przyjąłem – odparł starszy detektyw Rick Fernandez, mający oko na budynek. – Zaprosił cię na drinka?

– Gdyby tylko o drinku myślał, nie byłoby jeszcze tak źle – odpowiedziała ostrożnie i skrzywiła się, gdy Rick zachichotał. – A ty lepiej bądź wdzięczny losowi, że on jest hetero. W przeciwnym razie twój tyłek byłby biedny!

– Kto wie, co się wydarzy – odrzekł Fernandez. – Jego dziewczynki się spóźniają.

– Tak? – Uniosła brwi. – Wiemy dlaczego?

– Ich „wujek” odezwał się pół godziny temu – wyjaśnił Fernandez takim tonem, jakby opowiadał bajkę. – Uprzedził, że się spóźnią. Podobno coś jest nie tak z zamówioną taksówką.

Yampolski zmarszczyła czoło. Alfonsi, którzy dostarczali Graziolemu dziewczynki do zabawy, wiedzieli, że ich klient nie lubi czekać. Zwykle gotowi byli poruszyć niebo i ziemię, aby tego uniknąć, a tymczasem...

– Nie podoba mi się to, Rick – powiedziała, instynktownie wyczuwając zagrożenie. – Odeślij go na górę, gdy tylko do ciebie dotrze.

– Będzie się sprzeciwiał, Sakue – stwierdził Fernandez z wyraźnym zdziwieniem.

– Może nawet krzyzczeć i wierzgać całą drogę – oznajmiła Yampolski. – Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Może potem poskarżyć się Frazierowi. A jak zechce, może mnie odwołać z tego przydziału. Już widzę, jak to robi! Ale póki co, zabieramy go stąd i czekamy, aż wyjaśni się sprawa z dziewczynkami.

Mówiąc, odsunęła szybę między kabiną a stanowiskiem kierowcy, włożyła tam rękę i zakreśliła palcem wskazującym w geście „zaraz startujemy”. Valverde uniósł głowę znad czytnika i przez chwilę gapił się tylko, jakby nic nie rozumiał, ale zaraz odrzucił urządzenie i Yampolski usłyszała jęk rozpędzających się turbin.

– Nie podobają mi się takie nagłe zmiany w harmonogramie. Zwłaszcza teraz – powiedziała Fernandezowi. – Jestem cholernie...

Odpalany z wyrzutni naramiennej pocisk Hydra III był wiekowy i zdecydowanie

przestarzały, ale jego głowica zwykła wybuchać na każdej przeszkodzie. Nie nadawał się do zwalczania celów opancerzonych, lecz ściany penthouse'u nie były pancerne. Podobnie jak limuzyna.

Cztery głowice nie eksplodowały dokładnie w tej samej sekundzie, dzięki czemu Sakue Yampolski miała tę chwilową satysfakcję, że Johannes Grazioli zginął trochę wcześniej niż ona.



W Conerock padał deszcz. Porucznik Ranałd Ross wyskoczył ze swojego samochodu i ruszył do drzwi posterunku takim pędem, że syk zamykanego pojazdu usłyszał dopiero w połowie drogi.

Wpadł przez frontowe drzwi niczym tornado, ledwie dając systemowi biometrycznemu czas na identyfikację. Siedzący przy biurku dyżurnego sierżant Kenneth Bevan oderwał się od pasjansa i stanął na równe nogi.

– Co pan tu robi, poruczniku?

– Zwijaj się! Broń i sprzęt! – rzucił Ross takim tonem, że Bevan lekko zbladł.

Ross był zwykle łatwym w pożyciu szefem. Nie tolerował obijania się, ale nie zwykł też zdzierać skalpu za byle co. Jak układanie pasjansa o trzeciej nad ranem.

– Tak jest, sir! – odparł Bevan i stanął na baczność. – Przykro mi, sir, nie chciałem...

– O czym ty gadasz, Bevan? – przerwał mu Ross.

– Ja... to znaczy... – Sierżant patrzył na niego bezradnie i dopiero teraz porucznik dojrzał rozrzucone na biurku karty.

– Chryste, Bevan! – Ross przewrócił oczami. – Gównu mnie to obchodzi! Nie słuchałeś, co mówią na Freiceadan?

– Freiceadan, sir?

Bevan był autentycznie zaskoczony. Był dobrym człowiekiem, solidnym i niezawodnym, ale nie grzeszył ani inicjatywą, ani rozgarnięciem. I najwyraźniej nie słuchał wewnętrznego kanału informacyjnego Połączonych Sił Bezpieczeństwa Publicznego.

– Podali, że ktoś zastrzelił pułkownik MacChrystal. W parku Hendry. – Bevan wytrzeszczył na niego oczy. – Załatwili też całą jej ochronę. Tylko pies, cholera, ocalał. Oszołomili go i nic więcej. Nie żyje także major Kiley. Wszystko szlag trafił. Jego, samochód, ochronę. I to chyba dokładnie w tym samym czasie.

Bevan zbladł jeszcze bardziej. Nie trzeba było geniuszu, aby załapać związek pomiędzy

MacChrystal a Jordanem Kileyem, człowiekiem, który dowodził akcją zabicia MacRorych. Ale Ross jeszcze nie skończył.

– Co więcej, Zack MacLennan właśnie odezwał się z Rotherwalu. Jakies dziewięć minut temu ktoś rozwalił kurwidolek tego drania Graziollego. Z nim w środku. I na dodatek nie mogę się dodzwonić do major Farquhar. Nie odbiera. Ogólnie ponury obraz, prawda, sierzancie? W tej sytuacji chyba lepiej będzie się ruszyć?

– A... Tak, sir! Natychmiast!

Bevan dźgnął przycisk na panelu, uruchamiając sygnał alarmu, który powinien dotrzeć do wszystkich funkcjonariuszy, gdziekolwiek akurat przebywali. Zaraz też rozległ się gwar głosów z pomieszczenia grupy szybkiego reagowania. Zapewne grali tam w pokera. Ross ruszył truchtem do swojego gabinetu. Nie udało mu się dodzwonić do Amandy Farquhar, dowódcy sił policyjnych Conerock, ale może system zdoła namierzyć jej osobisty transponder. Oby tak się stało, bo musiał z nią pogadać!

Sierżant Bevan usłyszał trzask otwieranych drzwi i ponownie uniósł głowę. Szybko się uspokoił, widząc Alexinę Morrison i Lachlana MacLaurina. Żadne z nich nie miało służby tego wieczoru, ale w przeciwieństwie do sierżanta musieli chyba słuchać Freiceadan. Byli wprawdzie tylko szeregowymi policjantami, ale Bevan wiedział, że Ross wyznaczył ich do promocji po kolejnym egzaminie. Przybiegli od razu z bronią.

– Dobrze was widzieć – powiedział sierżant, gdy szybkim krokiem szli w jego stronę. – Porucznik jest w gabinecie i...

Wystrzał z karabinu na pociski rozpryskowe trafił go w okolice jabłka Adama i zdekapitował.

Ciało poleciało do tyłu. MacLaurin sprawnie je ominął i pobiegł korytarzem do pokoju grupy szybkiego reagowania. Rozległa się seria wystrzałów, którym towarzyszył zbiorowy ryk bólu.

Porucznik Ross zginął przez zbyt dobry refleks. Wskoczywszy z gabinetu z pulserem w rękę, znalazł się na linii strzału szeregowej Morrison, która już na niego czekała. Schowana za biurkiem trafiła go prosto w twarz. Nie zdążył jej nawet zobaczyć.

Potem wyprostowała się i wyłączyła system zabezpieczeń komendy. Niemal w tej samej chwili wszystkie drzwi stanęły otworem i do środka wbiegło ponad czterdziestu uzbrojonych ludzi z Ligi Wyzwolenia Loomisu.



– Przestań jęczeć i zrób z tym porządek! – warknął z ekranu Nyatui Zagorski. – Płacimy wam ciężką forszę, więc moglibyście przestać dłużyć w nosie i wziąć się do roboty!

Tyler MacCrimmon zdołał się opanować i nic nie odpowiedział, chociaż nie było to łatwe.

– Staramy się przejąć kontrolę nad sytuacją – powiedział lekko drżącym głosem. Niestety nad tym nie był w stanie zapanować. – Niemniej chwilowo napotykamy niejakie trudności...

– Trudności? – powtórzył Zagorski. – To nie trudności, tylko prawdziwa katastrofa, panie wiceprezydencie. Ma pan pojęcie, ile sprzętu już przez nich straciliśmy?

– Tak, tak – odpowiedział MacCrimmon. – Chociaż bardziej niepokoi mnie, ilu naszych ludzi zdołali dotąd zabić. Johannes Graziolęgo i Jocka MacRathina.

Zagorski otworzył usta, ale zaraz je zamknął i usiadł na krześle za swoim ogromnym biurkiem.

– O Graziolim słyszałem – stwierdził o połowę cichszym głosem. – Ale o MacRathinie nie. To potwierdzone?

– Tak – odparł z przekonaniem MacCrimmon. – O ile morderstwo Johannes'a mogłoby mieć coś wspólnego z jego... guścikami, to w przypadku Jocka na pewno tak nie było. Jak dotąd udało nam się potwierdzić śmierć co najmniej dwudziestu pięciu urzędników wyższego szczebla. Tak rządowych, jak i z sił bezpieczeństwa – dodał z naciskiem, patrząc wprost na Zagorskiego. – Ale ci szaleńcy zabijają też innych. Jakies dwadzieścia minut temu uderzyli na biuro Spółdzielni w Elginie. MacRathin siedział akurat w swoim gabinecie razem z trzema innymi członkami zarządu, gdy ktoś dorzucił im granat ręczny do towarzystwa. Kolejna grupa dostała się do pomieszczeń administracji i rozwalila wszystkie serwery. Siły bezpieczeństwa wdarły się na dwa dolne piętra, ale potem utknęły. Tamci na górze ostro się bronią.

– Cholera – mruknął Zagorski. Spółdzielnia Srebrnego Dębu odgrywała ważną rolę w korporacyjnym „zarządzaniu” Halkirkiem. Była fasadową firmą, obsadzoną i administrowaną wyłącznie przez miejscowych, która wyręczała korporację w podstawowych działaniach związanych z pozyskiwaniem drewna, dzięki czemu SEIU nie musiało oficjalnie angażować się w wywieranie nacisku na producentów, aby podnieść ceny. Jock MacRathin, dyrektor generalny, odpowiadał za większość kontaktów Graziolęgo z lokalnymi plantatorami i firmami od wyrębu. I był zapewne jeszcze bardziej niepopularny niż Grazioli.

– Proszę posłuchać... – MacCrimmon wykorzystał chwilę milczenia Zagorskiego. – Wszyscy tutaj robimy, co się da, żeby jakoś sobie poradzić. Ale to nie są odosobnione incydenty.

To samo dzieje się w Elginie, Conerock, Rotherwalu i co najmniej dziesięciu innych miastach i miasteczkach. Oznacza to, że mamy do czynienia z zaplanowanym i dobrze zorganizowanym atakiem. MacQuarie jest w kwaterze głównej i koordynuje nasze działania. Ja też powinienem teraz tam być i jej pomagać. Więc zaraz się tam udam. Mój personel będzie przysyłać panu informacje o aktualnej sytuacji, ale ja muszę zająć się czymś innym. Tak zatem, jeśli pan wybaczy... – Wyciągnął rękę, przerwał połączenie i wyszedł z biura.



– ...nie obchodzi mnie, skąd się wzięła pierdolona broń – warknął Nathalan Mundy. – Ważne jest tylko to, co ci dranie robią teraz za jej pomocą! – Sekretarz skarbu spojrział na zgromadzonych wokół stołu konferencyjnego w podziemiach głównej siedziby Połączonych Sił Bezpieczeństwa Publicznego w Elginie. – A obchodzi mnie, ponieważ najwyraźniej z nimi przegrywamy!

Senga MacQuarie poczerwieniała ze złości. Otworzyła usta, aby zaprzeczyć, ale ktoś zdołał ją uprzedzić.

– Zgadzam się, że sytuacja jest... nieciekawa. – Frinkelo Osborne był znany jako solarny „attaché handlowy”, chociaż tak naprawdę był głównym przedstawicielem Biura Bezpieczeństwa Granicznego w tym układzie. – Wiem, że ponosicie ciężkie straty w ludziach i rośnie skala zniszczeń. Pan Zagorski jednoznacznie mi to uświadomił. Jednak moim zdaniem przede wszystkim nie należy wpadać w panikę.

– Panikę? – Wiceprezydent MacCrimmon spojrział na niego, jakby przedstawiciel Biura miał dwie głowy. – To nie jest panika, panie Osborne. Nathalan nie jest może szczególnie taktowny, ale ma rację. W ciągu ostatnich dwóch tygodni straciliśmy kontrolę nad Conerock, Harlachem, MacQuinnville i Ohlarhnem. To cztery z naszych największych regionalnych centrów administracyjnych, a chciałbym zwrócić uwagę, że łącznie mamy ich tylko dwanaście. Z tego, co wiemy, tamci zdobyli wszystkie zbrojownie w tych miastach, sekretarz MacQuarie zaś straciła już zapewne blisko połowę swoich ludzi.

– Rozumiem, panie wiceprezencie – powiedział Osborne. – Ale jakkolwiek sytuacja może wyglądać na poważną, w żadnym razie nie jest beznadziejna.

Spojrział na kierownictwo Partii Dobrobytu w sposób sugerujący, że cała ta historia to dla niego chleb powszedni. W rzeczywistości nie był wcale tak pewny swego, jak chciał się wydawać. Nie była to wielka różnica, może kilkuprocentowa, ale gdyby tylko miał jakikolwiek,

choćby najdrobniejszy pretekst, chętnie posłałby całe to towarzystwo do diabła. Jeśli ktoś zasłużył na śmierć na rewolucyjnym stosie, to właśnie MacCrimmon i jego banda. Osborne wzdragał się na myśl o tym, co przyjdzie mu uczynić, aby ocalić ich skórę. W obecnych okolicznościach rysowała się tylko jedna, nad wyraz paskudna opcja. W praktyce zapewne jeszcze paskudniejsza, niż sobie wyobrażał.

Niestety, Nyatui Zagorski wysłał już własny raport do centrali korporacji w Lucastrze. Osborne był niemal pewien, że nie było w tym raporcie ani słowa o tym, na ile polityka SEIU oraz brutalność sił bezpieczeństwa przyczyniły się do obecnego wybuchu. Niemniej w Old Chicago przeczytają ten raport i potraktują go poważnie. I na jego podstawie podejmą takie lub inne decyzje. Opinia Osborne'a nie będzie się liczyć.

To bez znaczenia, Frinkelo, mruknął gorzko w duchu. Cokolwiek ci się marzy, dowództwo jasno dało do zrozumienia, że jesteś tu, aby wspierać Zagorskiego. Twoi szlachetni przełożeni nie życzą sobie, aby cokolwiek zakłóciło przepływ gotówki SEIU na ich prywatne konta. Tak zatem, chociaż bardzo chciałbyś ujrzeć tych drani dyndających na szubienicy i brzydzisz się tym, co będziesz musiał zrobić dla ich ocalenia, program na ten miesiąc nie przewiduje żadnych nadzwyczajnych atrakcji.

– Zgodziłbym się, że nie jest beznadziejna – powiedział po chwili MacCrimmon. – Niemniej pozwolę sobie stwierdzić, że zmierza ku takiemu właśnie stanowi.

– Oczywiście, rozumiem pańskie obawy – odparł Osborne. I w rzeczy samej rozumiał.

W wyniku precyzyjnie skoordynowanych i dobrze wymierzonych ataków w szeregu miast Liga Wyzwolenia Loomisu zyskała potężne poparcie społeczne. Ludzie cały czas szemrali w związku z rabunkową gospodarką leśną korporacji, a gdy doszło do tego wymordowanie większości członków rodziny Mánasa MacRory'ego, niezadowolenie przerodziło się we wściekłość. Działania LWL zaś pokazały, że siły bezpieczeństwa nie są niepokonane, że można z nimi walczyć. Co więcej, że można je nawet zwyciężyć.

Ottomar Touchette ostrzegał Osborne'a przed takim rozwojem wydarzeń i Osborne skwapliwie przekazał analizę porucznika Żandarmerii swoim przełożonym. Ale nawet Touchette nie sądził, że sytuacja tak szybko się zaogni. Brutalne praktyki sił bezpieczeństwa, motywowane lękiem i desperacją, w trudny do przewidzenia sposób podgrzały atmosferę. Z drugiej strony...

– Panie wiceprezydencie, wysłałem już mój statek kurierski do układu McIntosha. To miejsce stacjonowania Floty Pogranicza. Zrobiłem to pięć dni temu, co oznacza, że kurier dotrze

na miejsce za niecały tydzień. Gdy to się stanie, jestem przekonany, że otrzymamy jakieś wsparcie. Może nawet z udziałem kompanii marines albo batalionu interwencyjnego Biura Bezpieczeństwa Granicznego. I że przybędą tu tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Wszyscy obecni spojrzeli na niego niczym tonący, którym nagle ktoś rzucił linę.

– W tej sytuacji starczy, jeśli utrzymacie się jeszcze przez dwa do trzech tygodni – kontynuował Osborne. – Później to ci z drugiej strony będą mieli poważne powody do zmartwienia!

ROZDZIAŁ XXXI



Naprawdę chciałbym mieć trochę więcej czasu na rozważenie wszystkich kwestii, zanim admirał Gold Peak wyśle porucznika komandora Dentona na Manticore – powiedział Gregor O'Shaughnessy, patrząc z ekranu na baronową Medusy.

– Wybacz, Gregorze – odparła oschłym tonem. – Ale chyba się nie pomyłę, jeśli przypomnę, że miałeś ponad miesiąc, aby o tym pomyśleć?

– No tak. Może powinienem sprecyzować, że chodzi mi o czas, w którym pani mogłaby zastanowić się nad moim raportem i można by przedyskutować go także z gabinetem premiera Alquezara. I to wszystko, zanim *Reprise* wyruszy do Landing.

– Ktoś na Starej Ziemi powiedział kiedyś: *Możecie żądać ode mnie wszystkiego oprócz czasu* – rzekła baronowa. – *Reprise* nie jest jedynym okrętem kurierskim, którym dysponujemy. Rozumiem, dlaczego Gold Peak chce, abyśmy wysłali go jak najszybciej. Mieliśmy piekielne szczęście, że Denton dostrzegł te superdreadnoughty i że obaj byliście na tyle rozgarnięci, żeby wracać zaraz z wiadomością, zamiast mimo wszystko próbować dostarczyć moją notę komisarzowi Verrochiowi. Szkoda to zmarnować. Admiralicja potrzebuje tych informacji praktycznie na wczoraj i jestem całkiem pewna, że bardzo zależy im na wyjątkowo dokładnym wypytaniu komandora Dentona i jego ludzi. Najpierw więc postarajmy się załatwić najważniejsze. Potem będziemy mieli czas na myślenie o politycznych implikacjach. A gdy już coś wymyślimy, to wyślemy kolejnego kuriera.

– Tak, ma'am – powiedział O'Shaughnessy. – Chociaż wolałbym, aby nasze uwagi o politycznych aspektach dotarły w tym samym czasie co informacje o charakterze militarnym. Nie jest tak, że...

– Świat nie jest doskonały – przerwała mu Medusa. – A my mamy swoją robotę i postarajmy się wykonać ją jak najlepiej. Pozwolę sobie też zauważyć, że Gold Peak sama zdecyduje, kiedy podległa jej jednostka odleci na Manticore. Mogłaby mieć zastrzeżenia, gdybym próbowała zatrzymać *Reprise'a*, aby dać sobie czas na snucie rozważań. Zwłaszcza że jest dobrze poinformowana i wie, że mamy na orbicie Spindle jeszcze cztery w pełni sprawne statki kurierskie. A gdyby było trzeba, zapewne mogłabym postarać się o kolejny.

– Tak, ma'am. Rozumiem.

– Dobrze. A skoro już o tym mowa, chcę cię zobaczyć u siebie kwadrans po tym, jak *Reprise* wróci na Spindle, jasne?

– Tak, ma'am.

– No to do zobaczenia. Bez odbioru.

Medusa przerwała połączenie, po czym odchyliła się na krześle i spojrzała na Augustusa Khumala.

– Są takie chwile, kiedy rozumiem, dlaczego personel wojskowy nie kocha Gregora miłością wielką i czystą – powiedziała zupełnie spokojnym głosem.

Augustus uśmiechnął się i pokręcił głową. Dopiero co przyleciał pinasą z pokładu HMS *Hercules*, swojego flagowego superdreadnoughta, aby wziąć udział w cotygodniowym spotkaniu z baronową Morncreek i Joachimem Alquezarem. Spotkanie miało się odbyć po południu, ale ponieważ był w rezydencji baronowej, gdy przyszła pierwsza wiadomość od Michelle Henke, załapał się i na rozmowę z O'Shaughnessym.

– Gdy chodzi o pana O'Shaughnessy'ego, nie jest prawdą, że go nie lubimy – powiedział. – Bardzo go lubimy. Lubimy go tak, jak można lubić błyskotliwego kuzyna. Głęboko i szczerze... chociaż czasem mamy ochotę go udusić.

– Niezwykłe mi przez to ulżyło – rzuciła baronowa i lekko się wzdrygnęła.

– Niemniej to, co mówił, miało sens. Konsekwencje polityczne będą trudne do wyobrażenia. Wiem, że nie ufa we wszystkim osądowi mundurowych jaskiniowców i martwi się, moim zdaniem całkiem niepotrzebnie, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych i rząd podejmą na podstawie naszego „surowego” raportu niekoniecznie najlepsze decyzje. Nasze zdanie rzadko ma jednak większy wpływ na decyzje polityczne. Ale i tak wolałbym, aby Manticore dostało komplet naszych analiz i zaleceń, zanim Admiralicja zdecyduje się na konkretne działania.

– Rozumiem.

Khumalo pokiwał głową. Nosił wprawdzie mundur, ale jego obecne obowiązki miały wiele wspólnego z polityką. Był nie tylko głównodowodzącym sił zbrojnych Manticore w Quadrancie Talbott, ale także Pierwszym Lordem Admiralicji w gabinecie Alquezara.

– To akurat wydaje mi się oczywiste – kontynuował. – Jest też pewne, że White Haven i admirał Caparelli nie będą tracić czasu na długie rozważania na temat relokacji naszej floty. Zgadzam się z tym, co powiedziałaś Gregorowi. Też uważam, że Denton i Gregor dokonali dobrego wyboru, wracając od razu z nowinami. Pytanie brzmi, jak daleko jest Crandall.

Zakładając oczywiście, że to naprawdę admirał Crandall i że leci właśnie tutaj.

– Zakładając – zgodziła się Medusa i przewróciła oczami.

Michelle Henke zdobyła w New Tuscany prawdziwy skarb pod postacią tajnej bazy danych wszystkich okrętów z pechowego zespołu admirała Bynga. Kompletna kopia tych materiałów trafiła oczywiście na Manticore, gdzie wywiad rzucił się na nie z dziką rozkoszą. Dlatego ostatni raport, że *Reprise* wykrył obecność około siedemdziesięciu okrętów liniowych w układzie Meyers, nie miał prawa przesadnie zmrozić Admiralicji. Wszyscy dobrze już wiedzieli, ile te okręty były warte. Jedno się wszakże nie zgadzało. Według informacji zawartych w archiwach Bynga Battle Fleet rzeczywiście miała przeprowadzić jakieś ćwiczenia na rubieżach Ligi Solarnej, ale raczej w układzie McIntosh, a nie Meyers. Zmiana mogła wynikać z całkiem prozaicznych przyczyn, ale zgodnie ze świadectwem członków gabinetu New Tuscany (który w pełni współpracował teraz z Gold Peak) tajemnicza Aldona Anisimovna miała informować o obecności Crandall w celu nakłonienia ich do działania zgodnie z wolą Manpower. To nasuwało różne nieciekawe podejrzenia, biorąc pod uwagę wcześniejsze wysiłki Manpower, aby zapobiec przyłączeniu się gromady Talbott do Gwiezdnego Imperium.

I to również oznaczało, że admirał Crandall może zrobić coś równie kretyńskiego jak admirał Byng, pomyślała gubernator. Jak zaznacza Gregor, błędem byłoby zakładać, że na pewno nas zaatakuje, ale to właśnie wydaje się najbardziej prawdopodobne. A jeśli przygotujemy się na atak i on rzeczywiście nastąpi, ucierpimy nieporównanie mniej, niż gdybyśmy czekali beczynnienie.

– Jestem pewna, że admirał Gold Peak i jej ludzie cały czas się tym zajmują – powiedziała. – Tymczasem chyba poproszę Joachima, aby złapał Henriego Krietzmana. W tych okolicznościach raczej nie zawadzi, jeśli minister wojny Quadrantu także weźmie udział w naszym spotkaniu?



– Jest już pułkownik Weng, sir.

Generał brygady Noritoshi Väinöla, szef Dowództwa Wywiadu Żandarmerii Solarnej, skrzywił się lekko i sprawdził czas na wyświetlaczu. Cokolwiek powiedzieć o Weng Zhing-hwan, była szalenie punktualna.

A ponadto była też osobą skłoną do robienia użytku z szarych komórek, co wśród wyższych szarż służb wywiadowczych Ligi Solarnej należało raczej do rzadkości.

– Daj ją tutaj – powiedział do sekretarza, zamykając czytany właśnie raport.

Chwilę później w drzwiach jego gabinetu pojawiła się podpułkownik Weng.

– Witam panią – powiedział i skłonił się lekko.

Odpowiedziała tym samym gestem.

– Dobry wieczór, sir.

Väinöla aż uniósł brwi, słysząc ton jej głosu. Jej prośba o spotkanie nie zawierała niczego niezwykłego, niemniej zachowanie już typowe nie było.

– Powiedziała pani, że jest coś, co powinniśmy przedyskutować. – Wstał i przeszedł do wygodnych foteli ustawionych w kącie przy stoliku kawowym, tuż obok okna wychodzącego na jezioro Michigan. Na blacie czekały już dzbanek kawy i czajniczki z herbatą dla pani pułkownik. Generał nalał sobie filiżankę, usiadł i wskazał gościowi drugi fotel. – Czy mam uznać, że chodzi o coś ważniejszego, niż zdawało się wcześniej?

– Tak, sir – odparła Weng. – Obawiam się, że tak właśnie jest. A przynajmniej może tak być.

Usiadła, ale nie nalała sobie herbaty, chociaż w dzbaneczku była jej ulubiona mieszanka. Väinöla, platynowy blondyn, jeszcze jaśniejszy niż Weng, dwadzieścia centymetrów od niej wyższy, z ciemnymi piwnymi oczami skrytymi częściowo pod wyraźną fałdą, spojrzał zaskoczony na podwładną. Skoro nie chce herbaty, coś naprawdę musi się dziać, pomyślał, popijając powoli kawę. Naprawdę dziwne, Weng jak rzadko okazywała emocje.

– A co dokładnie jest, pani pułkownik? – spytał, opuszczając filiżankę.

– Sądzę, że Rajmund Nyhus celowo przekazuje Biuru Bezpieczeństwa Granicznego nieprawdziwe informacje – odpowiedziała bez ogródek.

– To... dość... ciekawe stwierdzenie – powiedział cicho Väinöla po jakichś dziesięciu sekundach. – I nasuwa dwa pytania. Po pierwsze, dlaczego pani tak myśli? I po drugie, dlaczego pani mi o tym mówi? – Przerwał i przechylił głowę. – Po zastanowieniu dodałbym jeszcze trzecie pytanie. Dlaczego Nyhus to robi? Zakładając oczywiście, że to prawda. – Uśmiechnął się słabo. – Może pani na nie odpowiedzieć?

– Tak, sir. – Weng wciągnęła głęboko powietrze i włączyła swój tablet, ale nawet nie spojrzała na ekran. – Staram się być na bieżąco z tym, co się dzieje w innych agencjach wywiadowczych.

– I dlatego odbywa pani sporadyczne tête-à-têtes z Lupe Blanton? – spytał uprzejmym tonem Väinöla. – Te, podczas których dzieli się pani informacjami z wewnętrznych biuletynów

Żandarmerii z pracownicą Biura Bezpieczeństwa Granicznego?

– Owszem, sir. – Pułkownik Weng wzruszyła lekko ramionami. – Niedawno rozmawiałam z panem o wąskich gardłach obiegu informacji w wywiadzie. Co do Lupe, znam ją od wielu lat i wiem, że traktuje takie dane jako poufne. Podobnie jak wszystko, co wiem od niej.

– I jest jedną z niewielu myślących podwładnych Ukhtomskoya. – Väinöla upił łyk kawy. – Nie mogę powiedzieć, żebym się cieszył, iż ktoś z zewnątrz miewa wgląd w nasz proces zbierania informacji. Niemniej rozumiem potrzebę takich kontaktów dla wypełnienia luk w naszych zasobach danych i przyznaję, że Blanton jest bardzo kompetentną osobą, nawet jeśli skończyła w Biurze. Co więc może mi pani powiedzieć bez naruszania klauzuli poufności? Mam na myśli raporty, które przekazuje Nyhus.

– Po prawdzie Lupe wie o mojej rozmowie z panem. Sama zaś nabrała podejrzeń co do Nyhusa po tym, czym ja się z nią podzieliłam. Nie odwrotnie. Czy pamięta pan notatkę od Braxtona Reizingera, którą przekazałam panu w czerwcu?

Väinöla zmarszczył brwi i wyteżył pamięć, ale w końcu potrząsnął głową.

– Przepraszam, ale nie.

– Rozumiem, że otrzymuje pan wiele materiałów, a ten nie dotyczył niczego konkretnego, sir. Po prostu jeden z jego analityków, sierżant Roskilly, przekazała mu kilka ciekawych informacji, które on następnie przesłał do mnie. Dotyczyły poziomu niezadowolenia społecznego na Pograniczu.

– Roskilly! – Väinöla strzelił palcami. – Teraz pamiętam. Było tam coś o prowokacjach i wsparciu z zewnątrz?

– Tak, sir. – Weng kiwnęła głową. – Poprosiłam Reizingera, aby polecił Roskilly dalej zajmować się tym tematem, i zażyczyłam sobie informowania mnie na bieżąco o wynikach. Z tego, co obecnie widzę, miała stuprocentową rację. Ktoś zdecydowanie miesza w co najmniej kilku układach, a jak wskazała Roskilly, odległości między nimi jasno wskazują, iż chodzi o kogoś z zewnątrz. Problem polega na tym, że Nyhus także zajmuje się tym tematem, co jak na niego jest już sporym wyczynem, ale dochodzi przy tym do skrajnie odmiennych wniosków. Albo przynajmniej takie właśnie wnioski otrzymuje od niego Ukhtomskoy.

– W jakim sensie „skrajnie odmiennie”?

– Jeśli pamięta pan Roskilly, wie pan, jaka jest dobra w swojej pracy – powiedziała Weng. – Mimo to nie zdołała ustalić, kto jest odpowiedzialny za te działania. Żadne z naszych źródeł nie

przekazało niczego, co rozjaśniłoby mroki tej sprawy. Co nie znaczy, że nie trafiliśmy na pewne spekulacje. – Usta jej drgnęły. – Sporo z nich skupiało się na Manticore, co nie powinno dziwić po wydarzeniach w układzie Monica.

– Owszem, nie dziwi – rzucił Väinöla. – Obecnie niektórzy widzą Manticore dosłownie wszędzie. Nawet w lodówce.

Weng skinęła głową. Wiedziała, że szef podziela jej zdanie na temat tego, kto kogo podszedł w sektorze Talbott.

– Problem Roskilly polega na tym, że jakkolwiek głęboko sięgała, nie zdołała dokopać się do wiarygodnych informacji. Tylko sugestie i przypuszczenia, żadnych konkretów.

– I to ma szczególne znaczenie, ponieważ...? – Väinöla uniósł brwi.

– Ponieważ zgodnie z tym, co mi mówi Lupe, Nyhus przekazuje swojemu szefowi, iż ma „solidne dowody” uzyskane z „poufnych źródeł”, że za sprawą stoi Manticore. Teoretycznie może być i tak, że Biuro ma na Pograniczu lepsze źródła informacji niż my, ale byłby to cud, który nigdy dotąd się nie zdarzył!

Väinöla zaśmiał się cicho, chociaż daleko mu było do wesołości.

– Sugeruje pani, że wymyślił te dowody i przypisał je mocno „poufnym źródłom”, aby nikt nie mógł tego zweryfikować?

– Właśnie tak, sir. Niepokoi mnie też, że nie potrafię odpowiedzieć na trzecie z pańskich pytań. Wiem, że Nyhus pracuje po cichu dla dziesiątek korporacji, włączając w to Manpower, jest więc całkiem sporo ludzi, wobec których może chcieć się wykazać. Biorąc pod uwagę zaangażowanie Biura, a zwłaszcza Verrochia, w gromadzie Talbott, najbardziej prawdopodobnymi patronami wydają się Manpower i Kalokainos. Może także Technodyne, które i bez tego ma już dość kłopotów. Niemniej, jeśli nie mylimy się co do skali wydarzeń, to jest ona zbyt wielka jak na robotę korporacji. Czy nawet sporego konsorcjum.

– Ale jeśli wykluczymy Manpower czy Kalokainos, to chyba właśnie Manticore staje się najbardziej podejrzane?

– W pewnym sensie tak – zgodziła się Weng. – Ale nie ma na to dowodów. I w tym właśnie rzecz. Nyhus nie przypuszcza, że tak właśnie może być, nie mówi, że to najbardziej prawdopodobne, ale wprost twierdzi, że to Manticore.

– A w tej sytuacji Adão nie ma wielkiego wyboru i musi pójść z tym do MacArtneya – powiedział powoli Väinöla.

– Właśnie. Mogę spytać, czy słyszał pan coś na ten temat? Czy coś przyszło z góry?

– Może pani spytać, ale odpowiedź brzmi „nie”. Co odpowiada też na moje drugie pytanie, czyli powód, dla którego pani z tym do mnie przysłała.

– Tak, sir. Nie wiem, co się tutaj dzieje, z Lupe podejrzewamy, że coś gotuje się pod powierzchnią. I to na skalę, której nawet sobie nie wyobrażamy. Nie chcę, aby nas to zaskoczyło. Ale pozwolę sobie zauważyć, że jeśli Ukhtomskoy przekazał wspomniane informacje stałemu podsekretarzowi MacArtneyowi, powinien pan o tym niebawem usłyszeć.

– Owszem – odparł Väinöla. – Jeśli tak się stanie, powinni zażądać od nas krosvalidacji tych danych.

– Właśnie – przytaknęła z powagą Weng.

Väinöla skrzywił się. Przychodziło mu do głowy kilka powodów, dla których góra mogłaby zrezygnować z rutynowego działania, ale żaden nie wydał mu się dość dobry. I wiedział dokładnie, czego pułkownik nie dopowiedziała.

Jego zdaniem generał Toinette Mabley, dowódca Żandarmerii, nie była najlepszym kandydatem na to stanowisko. I nie tylko dlatego, że sam Noritoshi Väinöla miał nadzieję na awans. Mabley nie grzeszyła inteligencją i jej wybór stanowił kompromis między Nathanem MacArtneyem, Omosupe Quartermain i Taketomo Kunimichim. Sprawy wewnętrzne, handel i obrona miały własne powody, aby kontrolować działania Biura Bezpieczeństwa Granicznego, przy czym ich interesy nierzadko były sprzeczne. Żadna ze stron nie była zatem skłonna oddawać pola konkurencji i zgodzić się na kandydaturę, która kogoś by faworyzowała. W tej sytuacji osoba nazbyt kompetentna mogłaby stać się źródłem wielu kłopotów, wybrano więc przeciętność. Mabley akceptowała zastany stan rzeczy i posłusznie wykonywała każdy rozkaz wszystkich swoich politycznych pryncypałów. Zresztą zwykle wystarczała mało zawołowana sugestia.

Zostaje zatem pytanie, czy MacArtney zatrzymał raport Ukhtomskoya na swoim biurku, czy też może powiedział Mabley, aby schowała głęboko wszystko, co mogłoby temu raportowi w jakiś sposób zaprzeczyć? – pomyślał Väinöla. Albo też sama zdecydowała, że nie przekaże go nikomu, kto mógłby zakwestionować jego treść?

I co ja mam teraz zrobić z tym workiem węży, który podrzuciła mi Zhing-hwan? Przecież nie pójdę do Mabley z oskarżeniem, że wywiad Biura celowo fałszuje informacje przekazywane przełożonym. Po pierwsze, nie mam na to żadnego dowodu, a po drugie, mogłaby z tego wynikać wojna podjazdowa, której Mabley szczerze nie cierpi. No i po trzecie, MacArtney,

podobnie jak każdy z Mandarynów, też może być opłacany przez autorów wiadomej manipulacji.

Spojrzał w głąb filiżanki i zastanowił się nad swoimi szansami i konsekwencjami różnych kroków. Naprawdę nie wiedział, jak się do tego zabrać.

ROZDZIAŁ XXXII



Blask słońca lał się z błękitnego nieba, na którym tylko tu i ówdzie białe obłoki. Temperatura sięgała trzydziestu czterech stopni, upał łagodzący trochę podmuchy wiatru, łopoczące kolorowymi proporcami na masztach okalających stadion Jankulovskiego. Najgorzej było oczywiście przy murawie osłoniętej przed wiatrem przez wysoką koronę stadionu, niekiedy jednak powiewy docierały także tam, przeszkadzając zawodnikom, a szczególnie utrudniając życie bramkarzom. Przy takiej pogodzie nie było dziwne, że wszystkim sprzedawcom napojów interesy szły świetnie. Dotyczyło to zwłaszcza piwa, które na Chotěborze zawsze było bardzo dobre i mocne. Niektórzy widzowie wyraźnie już z nim przesadzili, ale ochroniarze Sokola, z których wielu pracowało poza tym w policji miejskiej, nie mieli na razie powodu do interwencji. Nie zawsze jednak bywało tak spokojnie.

Mimo upału stadion był wypełniony, zostało już tylko trochę miejsc stojących. Koniki też miały dobry dzień: pozbyli się wszystkich biletów i sprzedali przy okazji także trochę fałszywych. Tego dnia Smoki Benešova grały z Szablami Modřany Sabres i było to jedno z najbardziej oczekiwanych spotkań w całym sezonie. Jak na razie był remis, ale gra nie rozczarowywała. Na stadionie na 38 tysięcy miejsc wszyscy widzowie wpatrywali się w murawę, gdy prawy skrzydłowy Smoków przeszedł dryblingiem ku bocznej linii, po czym cofnął się na środek połowy Szabel. Gdy zgrabnie podał piłkę do Petra Bednářa, który był najlepszym strzelcem w układzie Kumang, wszyscy na trybunach zerwali się na równe nogi. Bednář opanował ją lewą nogą, przeszedł przez prawego obrońcę Szabel, po czym złożył się do strzału z prawej nogi, a prawą miał lepszą, po czym w ostatniej chwili przerzucił się na lewą i posłał piłkę w prawy górny róg bramki. Był to pięćset piąty gol w jego karierze.

– Tak! – Daniel Kápička podskoczył w loży prezydenckiej i uniósł zaciśnięte pięści wysoko nad głowę. – Tak! Ależ to było piękne!

– Tak, jak najbardziej – zgodził się znacznie spokojniej Adam Šiml. Też wstał z miejsca, aby lepiej widzieć murawę. Teraz pokręcił głową i ponownie usiadł. – Pamiętam, gdy Petr zaczął grać w jednym z prowincjonalnych zespołów Sokola. Ile miał wtedy lat? Chyba dwanaście. Już wtedy grał ostro. Na szczęście był dość silny i dawał radę. Widziałeś, jak w zeszłym tygodniu strzelił Krukowi gola z przewrotki?

– Jasne! A skoro o szczęściu mowa, to świetnie, że Sokol dał mu możliwość zbudowania formy. Masę zrobiłeś przez te lata dla wielu graczy, Adamie. Bez was nie mielibyśmy takiej piłki – powiedział serdecznym tonem Kápička, siadając na wyściełanym krześle.

Oslaniające łożę krystoplastowe płyty można było zamknąć, dzięki czemu w klimatyzowanym wnętrzu zrobiłoby się znacznie chłodniej, ale Šiml nie myślał nawet, aby to proponować. Minister bezpieczeństwa publicznego Kápička sam był w młodości zapalonym piłkarzem i grał na wymagającej szczególnej wytrzymałości pozycji pomocnika. Grał w szkole, grał na studiach, chociaż nigdy nie myślał o przejściu na zawodowstwo. Przynajmniej nie wtedy i nie w ramach zespołów, z którymi był związany. Poza tym zawsze uważał, że aby się do czegoś naprawdę brać, trzeba być w tym po prostu najlepszym. Nadal jednak był zapalonym kibicem. Lubił atmosferę stadionu, wszystkie te krzyki, gwizdy i ogłuszający aplauz. Zawsze wywoływały uśmiech na jego twarzy.

Sączący piwo Šiml pomyślał, że w sumie Daniela Kápičkę można szanować. Był ambitny, ciężko pracował i tego samego żądał od swoich podwładnych. Był również skrupulatny, jeśli chodzi o nagradzanie tych, którzy spełniali jego oczekiwania, lojalny wobec tych, których uważał za przyjaciół, i w pewien sposób hojny. Czasem nawet kosztem ambicji, która była jego siłą napędową. Niestety, nie miał nic przeciwko współpracy z międzygwiezdными korporacjami okradającymi układ Kumang. Co gorsza, sprawił też, że siły bezpieczeństwa Jana Cabrnocha stały się jeszcze bardziej wszechwładne. Zdecydowały o tym ambicja oraz przekonanie, że tylko one są w stanie ocalić planetę od anarchii.

Był też jednym z entuzjastycznych zwolenników Sokola. Šiml nie miał wątpliwości, że usłyszane przed chwilą pochwały były absolutnie szczerze. Co więcej, nie ustawał we wspieraniu stowarzyszenia nawet pomimo pewnych politycznych niezręczności związanych głównie ze stanowiskiem Cabrnocha.

Czy też dokładniej zdaniem Cabrnocha na temat prezesa stowarzyszenia.

Ciekawe, jak długo jeszcze Daniel zdoła tak funkcjonować? Na pewno wolałby zignorować te polityczne kalkulacje, ale lada chwila może zostać zmuszony do przemyślenia sprawy. Jestem pewien, że Žďárská ciągle nadaje mu na mój temat, pomyślał Šiml.

A może nie. W sumie Zuzana Žďárská nie była wcale głupia. Gdy chciała, potrafiła nawet być całkiem bystra. W zwykłych okolicznościach wolała jednak działać w trybie „tępej biurwy”, co idealnie pasowało do jej obecnego stanowiska przy szefie personelu prezydenta. Z tego też

powodu jakby zapomniała, że można zachowywać się inaczej.

Tak czy siak, mogła zalecać ostrożność. Musiała kojarzyć, że Karl-Heinz Sabatino stał się bliskim przyjacielem Adama Šimla (Kápička na pewno wiedział o tym już od dawna). Żadne z nich, tak jak i Cabrnoch, nie było raczej skłonne wierzyć, że wiązało się to z nagłym zainteresowaniem Sabatina sportem. Kápička i minister skarbu Ludmila Kovářová musieli być przekonani, że wsparcie ze strony Sabatina nie było przeznaczone na nowe obiekty, sprzęt sportowy czy płace personelu.

To musi być szczególnie dotkliwe dla Žďárskiej, pomyślał z humorem, skoro Ministerstwo Skarbu stało się dla niej bazą do walki z prawdziwymi oraz domniemanymi politycznymi rywalami czy wrogami Cabrnocha.

Kovářová była bardzo dobra w ekonomii. Niestety, podobnie jak wszyscy w administracji Cabrnocha, obecnie skupiała się na uzyskiwaniu korzyści osobistych i interes społeczny niewiele ją obchodził. Nieważne, jaka była kondycja finansowa mieszkańców Chotěbořu, najważniejszy był stan jej własnego konta. Gdy zaś czasem wychodziło na jaw, że któryś z jej podwładnych dał się skorumpować czy kombinował z podatkami, stylizowała się na urażoną niewinność i demonstrowała święte oburzenie. W ten sposób bardzo przydawała się Žďárskiej, chociaż żaden Chotěborzanin nie był na tyle głupi, aby uwierzyć komuś wspieranemu oficjalnie przez Sabatina.

Na pewno mają z tym zgryz, pomyślał z satysfakcją Šiml. I jak długo nie wyjdą z szoku, tak długo Daniel będzie mógł korzystać z moich zaproszeń do łoża prezydenckiej. Gdy zaczną mu truć, że nie jestem ulubieńcem Cabrnocha, zawsze będzie mógł powiedzieć, że chce mnie wy badać na okoliczność mojej dziwnej znajomości z Sabatinem. Wtedy podkulą ogony.

Usiadł wygodnie i z uśmiechem uniósł kufel piwa.



– Świetny mecz – powiedział Šiml kilka godzin później.

Siedział ze Zdenkiem Vilušínkim na werandzie jego rozległego „domku”, który mieszkaniec biedniejszych dzielnic nazwałby pewnie rezydencją, pomimo jego zdecydowanej starości. Towarzystwa dotrzymywały im podajniki porządnie schłodzonej wódki. Poza miastem było o jakieś siedem stopni chłodniej, a wieczór przyniósł miłe orzeźwienie. Niebo migotało gwiazdami, wiatr szumiał w koronach drzew, słychać też było brzęczenie owadów oraz nawoływanie výr šedý, najgroźniejszego z nocnych latających drapieżników Chotěbořu. Idealne zakończenie męczącego dnia.

– Świetny mecz – powtórzył, potrząsając głową. Pomimo spektakularnego gola Bednářa Szable wygrały 3:2. Dzięki rzutowi karnemu. Niecałe piętnaście sekund przed końcem meczu. – Do ostatniej chwili trzymał w napięciu. – Uniósł szklaneczkę. – I Daniel był taki szczęśliwy, że siedział w loży, że z wdzięczności zabrał mnie potem na pięciodaniowy obiad do Koša Chleba, żeby móc za mnie zapłacić. – Podniósł wolną rękę do ust i pocałował kciuk. – I jakie to było dobre! Ciekawe, czy on zwykle tak jada.

Vilušínský zaśmiał się cicho i też pokręcił głową.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłeś. Mnie też może zabrać do Koša Chleba, gdy znowu będą w stolicy. Ale nie daj się zwieść. On nie jest wcale głupi i jeśli wyczuje, co naprawdę chodzi ci po głowie, pewnie nie będzie się nawet fatygował do Cabrnocha czy Žďárskiej. Pójdzie prosto do Sabatina.

– Wiem. – Šiml odchylił się wraz z krzesłem, wyciągnął nogi i oparł pięty na balustradzie werandy. Czuł miłe podmuchy wiatru we włosach. – Wiem też, że Jan i Zuzana mają teraz powody do zdenerwowania. Nawet jeśli oficjalnie będę się trzymał z dala od polityki, Sabatino im o mnie przypomni. Czy będę tego chciał, czy nie.

– Naprawdę uważasz, że widzi w tobie alternatywę dla Cabrnocha? – Vilušínský wydawał się rozdarty między nadzieją a nieco cynicznym realizmem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Upił wódki. – Podejrzewam, że po prostu w pewien sposób się zabezpiecza. Może wyobraża sobie, że zrobi ze mnie fasadowego opozycjonistę, popularną twarz „procesu przywracania demokratycznego porządku”, co nieco uspokoi nastroje. Jeśli zaś uwierzy, że stałem się jego marionetką, może nawet dojść do wniosku, że pora skończyć z Janem. Właściwie z naszej perspektywy to byłby chyba najlepszy scenariusz, nieprawdaż?

– Tak. Ale mógłby też doprowadzić do twojej śmierci – dodał z powagą Vilušínský. – Mógłbyś zginąć na zlecenie Cabrnocha albo twojego dobrego przyjaciela Kápički. Albo nawet Siminettiego, gdyby tylko któryś z nich doszedł do wniosku, że osłabi w ten sposób Sabatina. Mogliby nawet zrobić to całkiem jawnie, założywszy, że Sabatino nie miałby kim cię zastąpić, że nie ma już nikogo takiego w zanadrzu.

Šiml pokiwał głową, ale Vilušínský jeszcze nie skończył.

– A nawet zakładając, że Sabatino postanowi uciec do przodu i poprzeć zmianę reżimu z tobą jako nowym prezydentem, co się stanie, jeśli... a raczej gdy zrozumie, o co naprawdę ci chodzi? Albo gdy Verner do tego dojdzie?

– Pewnie nic dobrego – zgodził się Šiml. – Karl-Heinz i Biuro Bezpieczeństwa Granicznego mają tylu swoich ludzi w naszych służbach, że bez trudu zdołaliby zorganizować jakiś tragiczny zamach czy nawet „spontaniczny przewrót”. Chyba że zaistniałaby jakaś niezależna od nich, uzbrojona i dobrze zorganizowana grupa, która zdołałaby przeprowadzić kontrprzewrót na rzecz legalnie wybranego prezydenta.

– Kluczowym słowem jest tutaj „chyba” – zauważył Vilušínský. – To wymaga założenia, że Kápička nie domyśli się, co robimy, ani Cabrnock nie postanowi cię od razu usunąć. Albo że Sabatino nie dowie się, na co są przeznaczane te wszystkie fundusze, które transferujesz poza układ. Jakoś nie przypuszczam, aby uwierzył, że inwestowanie w pulsery jest formą zabezpieczenia finansowego na starość.

– Prawdopodobnie nie, ale jest małe prawdopodobieństwo, żeby akurat o tym się dowiedział. Zwłaszcza że moim portfelem inwestycyjnym zajmuje się Pastera, a Martin kontroluje wysyłkę. To był chyba dobry ruch, żeby skorzystać z usług Michała, prawda?

Tym razem Vilušínský zaśmiał się głośno. Aż nazbyt wielu Chotěborzan pracowało obecnie dla międzygwiazdnych korporacji, bezpośrednio albo w zależnych od nich firmach, ale też w okolicy trudno było o innych pracodawców. Michał Pastera zaczął karierę zaraz po studiach od zatrudnienia się w Ministerstwie Skarbu Kovářovej, po czym, podobnie jak wielu ambitnych młodych ludzi, przy pierwszej nadarzającej się okazji przeszedł do sektora prywatnego. Przez kilka ostatnich lat awansował dość wysoko w firmie reprezentującej na Kumangu korporację Frogmore-Wellington. Inwestycje Iwahary i Frogmore-Wellington nie były może wielkie przy skali innych operacji finansowych tych firm, ale w wartościach bezwzględnych chodziło o ogromne sumy i ktoś musiał doglądać tych operacji.

I tym właśnie zajmował się Michał Pastera, działając na rzecz Karla-Heinza Sabatina... który nie miał pojęcia, że Michał podjął swoją pierwszą pracę w ministerstwie na polecenie dowódcy jego komórki Jiskry.

Martin Holeček zaś był obywatelem solarnym, który zjawił się na Kumangu jako nadzorca przewozów dla Iwahary Interstellar. Mieszkał tu już dziesięć lat i nawet poślubił miejscową dziewczynę.

Tařana Holečková miała z tego powodu pewne kłopoty. Niektóre z jej dawnych przyjaciółek odwróciły się od niej. Było to przykre, ale pomogło jej, jeśli chodzi o służby bezpieczeństwa i wewnętrznego nadzoru Iwahary. Została uznana za osobę godną zaufania, która związała swój

los z administracją Cabrnocha i korporacjami.

Ale pozory mogły być mylące. Ta'ána bardzo kochała męża i nieważne dla niej było, dla kogo pracował. Wcześniej straciła ponad połowę rodziny podczas epidemii i bardzo starała się chronić tych bliskich, którzy jej zostali. Niestety dwóch jej młodszych kuzynów znalazło się w niewłaściwej chwili w niewłaściwym miejscu. Żaden z chłopców nie był zaangażowany w ruch oporu, ale mocno oberwali podczas akcji przeciwko ludziom, którzy rozdawali antyrządowe i antykorporacyjne ulotki. Przeżyli, ale jeden z nich odniósł poważne obrażenia mózgu. Oczywiście CPSF obwinało o to pełen nienawiści, zezwierzęcony wręcz element, który nie tylko rozpowszechniał kłamliwe materiały, ale jeszcze dopuścił się brutalnego ataku na stróżów sprawiedliwości i ładu społecznego.

Martin, który poznał obu chłopców i nigdy nie uwierzył w oficjalną wersję, był tak wściekły, że postanowił zrezygnować z pracy w Iwaharze Interstellar, ale Ta'ána przekonała go, aby pozostał. W owym czasie nie wiedział dlaczego. Zrozumiał to rok później, gdy zwerbowała go do Jiskry.

Jego pozycja w korporacji sprawiła, że bez trudu mógł zorganizować przyjęcie pewnych dostaw sprzętu rolniczego, i to nic, że zawartość kontenerów niekoniecznie zgadzała się z zapisami w manifestach przewozowych.

– Jestem pewien, że mój dobry przyjaciel Karl-Heinz tylko cieszy się z tego, że to Michał zajmuje się moimi finansami – powiedział Šiml. – I na pewno czuje, że Jan jest coraz mniej popularny. Powiedział mi nawet, żebym się tym nie przejmował, bo panuje nad sytuacją. Nie stwierdził wprost, że wszystko będzie dobrze, dopóki będę grał pod jego dyktando, ale sprawa jest jasna. Moim zdaniem poważnie się zastanawia nad wymianą twarzy reżimu i zrobi to, jeśli ogólne nastroje będą się pogarszać.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Aby zacząć rozpinać sobie siatkę bezpieczeństwa, trzeba najpierw przyjąć do wiadomości, że można spaść. Musi pojmować, że albo zaczniesz coś robić, albo niewdzięczni klienci jego korporacji poszukają sobie nowych przyjaciół i zwrócą się na przykład w stronę Gwiezdnego Imperium Manticore. Z drugiej strony nie zaszkodzi zapewne, jeśli trochę podbuduję moją pozycję u jego boku... i chyba już wiem, jak to zrobić.

ROZDZIAŁ XXXIII



Cóż, to o wiele ciekawsze miejsce niż poprzednio – zauważył Damien Harahap, gdy wysoki i jasnowłosy mężczyzna, który przedstawił się jako Topór, opadł na krzesło po drugiej stronie stołu.

– To chyba dobry pomysł, aby omijać opuszczone parki – odpowiedział tamten. – Różne rzeczy zdarzają się w takich parkach. Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka. Tutaj jest wygodniej i mam też nadzieję uniknąć strat w sprzęcie. – Pokazał zęby w uśmiechu. – Chyba że twój wynalazek jest o wiele bardziej skuteczny, niż sądziłem.

Harahap przyznał, że miało to pewien sens.

Lodziarnia nie narzekała na nadmiar klientów – nic dziwnego w zimie i to na planecie, która należała raczej do chłodnych – ale sala nie była też pusta. Jakiś ruch tu był. Zapewne miało to związek z krytym lodowiskiem, które znajdowało się tuż obok. Siedzieli pod baldachimem przy bandzie lodowiska, głośniki wokół częstowały ich głośną muzyką, na lodzie kręcił się cały tłum miłośników łyżew. Wszystko to zapewniało niezłą osłonę, chociaż Harahap ledwie słyszał Topora nawet wtedy, gdy tamten podnosił głos. Niewielka była szansa, aby ktoś ich podsłuchał.

Topór miał za plecami stanowisko gościa, który kontrolował nagłośnienie i światła na lodowisku. Musiał wyliczyć, że każdy impuls EMP wystarczająco silny, aby spalić jego komunikator, musiałby unicestwić także elektronikę na tym stanowisku.

Harahap był skłonny się zgodzić, że nawet nieustraszony międzygwiazdny agent mógłby mieć problemy z wyjaśnieniem właścicielom lodowiska, jak do tego doszło.

Topór może nie był zawodowcem, ale miał dobry instynkt. I to było sympatyczne.

– Ponieważ nie widzę potrzeby wyłączania jakichkolwiek urządzeń nagrywających podczas tej rozmowy, żadne środki ostrożności nie będą konieczne. Nie tym razem. Broni też nie mam.

– Miło mi to słyszeć. – Topór odchylił kurtkę i wyjął z kieszeni fajkę i mały kapciuch z tytoniem.

Sam Harahap nie był wielkim fanem tytoniu, ale nieliczni goście lodziarni palili papierosy. Tuż pod baldachimem dryfowały smugi dymu. Niewielkie, ale wyraźnie widoczne. Nie było więc chyba sensu prosić Topora, aby nie palił. Chwilę potem mężczyzna wyprostował się na rustykalnym krześle, które zaskrzypiało złowroźnie pod jego ciężarem, i zaczął nabijać fajkę.

– Komunikator to nie problem – dodał w trakcie tej czynności. – Ale zdobycie nowego pulsera to u nas niełatwa sprawa.

– Czy będzie jakąś ulgą, jeśli powiem przepraszam? – spytał niewinnym tonem Harahap.

Topór zachichotał. Potem podniósł głowę i spojrzał na nastoletnią kelnerkę, która podeszła do ich stolika.

– Poproszę gorącą czekoladę – powiedział po polsku.

– Oczywiście – odparła młoda kobieta i skierowała się do lady.

– Gorąca czekolada jest tu chyba stosowniejsza niż moje lody – zauważył Harahap. – Ciekawe, jak smakuje z tytoniem.

– Więc jednak mówisz po polsku, panie Mwenge?

– Nie. Właśnie załadowałem program tłumaczący. Dokonuje bardzo prostego, dosłownego przekładu. – Postukał w tkwiącą w jego uchu słuchawkę połączoną z komunikatorem. – W drugą stronę jest zapewne tragiczny i nikt tutaj nie uznałby polskiego w jego wykonaniu za poprawny, ale ogólnie się przydaje.

– Najpewniej tak – zgodził się Topór. – A co do twojego pytania... – Zapalił fajkę. – To chyba zależy od tytoniu i czekolady.

Harahap pokiwał głową nieco głupkowato i tamten zaśmiał się cicho. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował, gdy kelnerka wróciła z parującym kubkiem czekolady i wysokim dzbankiem z dolewką.

– Dziękuję, kochana – powiedział i rzucił jej monetę. Złapała ją prawą dłonią z szybkością atakującej kobry. – Reszty nie trzeba.

– Dziękuję! – Kelnerka obdarzyła go szerokim uśmiechem. Moneta była warta co najmniej trzy takie porcje czekolady i na dodatek oznaczała transakcję gotówkową. Miejscowe organy podatkowe nie lubiły gotówki, której obieg był o wiele trudniejszy do wyśledzenia i tym samym do opodatkowania.

Odeszła uśmiechnięta, a Harahap spojrzał ze zdumieniem na Topora.

– Nie żebym cię krytykował – powiedział uprzejmym tonem. – Ale czy to naprawdę dobry pomysł? Zapamięta nas i gdyby ktoś zaczął ją wypytywać...

– Tutejsi zapadają na błyskawiczną amnezję, gdy czarne kurtki zaczynają zadawać pytania – odrzekł Topór. – Zwłaszcza o wysokie napiwki. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Poza tym to bardzo mało prawdopodobne. Podejrzewam, że sporo szemranych osobników lubi tutejszą

czekoladę. I lody. Zapewne jakieś piętnaście procent czarnorynkowych transakcji Łądku negocjuje się właśnie przy tych stolikach. A jakieś dwie trzecie z nich ma związek z czarnymi kurtkami. Albo coś sprzedają, albo kupują, albo tylko zbierają informacje celem zapewnienia ochrony.

– Wolałbym nie mieć do czynienia z funkcjonariuszami pani Pokriefke – mruknął oschle Harahap. – Jeśli kontrolują tutejszych rekietierów, a my się im nie opłacimy...

– Kto powiedział, że im nie płacę? – spytał spokojnie Topór. – Zarabiam nieźle, ale nikt w Łądku nie ma nic przeciwko dodatkowym dochodom. Poza tym lubię tytoń Sarduchan. – Pociągnął z fajki i wypuścił idealne kółeczko dymu. – Cło na wyroby tytoniowe jest bardzo wysokie, więc sam zacząłem nimi handlować. I nawet wychodzę na plus.

– Rozumiem. – Harahap zastanowił się nad tym, patrząc na dryfujący pierścień dymu, który dołączył do mgiełki pod baldachimem. Potem wzruszył ramionami. – Cieszę się, że znalazłeś sposób, aby twój nałóg zarabiał na sobie. Niemniej to trochę inna sprawa niż to, co ci zaproponowałem. Czy mogę przyjąć, że skorzystałeś z kodu kontaktowego, ponieważ jesteś zainteresowany moją ofertą?

– Sądzę, że można tak to ująć – odpowiedział Topór. – Oczywiście wiele szczegółów wymaga jeszcze omówienia.

– W tej materii czuję się chyba znacznie pewniej niż ty – stwierdził ze śmiechem Harahap. – Ostatecznie to moja praca. Ale czy to znaczy, że te szczegóły będę musiał omawiać z kimś innym? Albo z kimś oprócz ciebie?

– Owszem, będzie ktoś jeszcze – przytaknął Topór. – Dokończ więc swoje lody, ja dopiję czekoladę, a potem przejedziemy się tramwajem.



To już pewien postęp, mój chłopcze, pomyślał Harahap. To już coś! Był wieczór i Damien Harahap znajdował się w pokoju hotelu przy porcie kosmicznym. Było tu całkiem wygodnie i ogólnie wewnątrz pasowało do urzędnika średniego szczebla z Oscar Williams Madison Foundation. On sam wolałby coś bardziej w stylu pałacowym, ale i to nie było złe. Jutro rano miał się spotkać ponownie z zespołem urzędasów z KWSS, nad wyraz ciekawych, jak Fundacja Oscara Williama Madisona może wypromować Włocławek na terenie Ligi Solarnej. Nie cierpiał tych spotkań, ale nie zamierzał z nich rezygnować ani wychodzić ze swojej roli pełnego dobrej woli i skupionego na temacie menedżera. Przełożeni Harahapa mieli dość powiązań, aby się

upewnić, że fundacja zrobi dokładnie to, za co Hieronim Mazur płaci. W tej sprawie Harahap, a raczej Dupong Mwenge, naprawdę był przedstawicielem OWMF, co miało się przydać po rozpoczęciu przesyłania „środków medycznych” dla Sióstr Ubogich. Lepszą przykrywkę trudno byłoby wymyślić, więc należało o nią dbać.

Znosząc nawet kolejne spotkanie z tym dupkiem Mazurem, pomyślał Harahap i lekko się wzdrygnął.

Zaraz jednak powrócił myślami do popołudnia spędzonego z Toporem.

Nadal nie dotarłem do szczytu ich organizacji. Ale podejrzewam, że „Grot” musi być gdzieś bardzo blisko niego.

Wysiedli z tramwaju na zasnutą mgłą ulicę ze staroświeckim chodnikiem, tuż obok trochę zaniedbanej kamienicy. Miejsce przypominało mu to, w którym spotkał kiedyś Agnes Nordbrandt. Daleko stąd, w mieście Karlovac. Oczywiście na całym Pograniczu było wiele miast z takimi wąskimi uliczkami. Tutaj to potrzeby dyktowały styl architektoniczny.

Ale była i różnica. Grot okazał się znacznie bardziej sprawny umysłowo niż Nordbrandt.

Upomniał się w duchu, aby nie wyciągać pochopnych wniosków, ale Grot naprawdę zrobił na nim wrażenie. Co więcej, Harahap zasadniczo nawet go polubił. Zastanowił się nad jego kryptonimem. Słownik przetłumaczył mu go jako „grot włóczęga”. Wybór kryptonimu mógł być przypadkowy, ale mogło też chodzić o coś w rodzaju freudowskich skojarzeń. Mężczyzna zachowywał się jak ktoś, kto mógłby prowadzić podziemną organizację. Szczególnie taką o nazwie Krucjata Wolności Myśli. Było w nim coś z zawodowca, wyczuwało się niezwykle bystry umysł. Bez wątplenia był dla Topora kimś w rodzaju mentora.

O celach działania Krucjaty Wolności Myśli wypowiadał się w sposób pewny, bez wahania.

Ale to nie on jest szefem, uznał ostatecznie Harahap, zerkając na ekran, gdzie pokazywano mecz piłki nożnej. Jest blisko tego kogoś, ale nie zamierzają mi go na razie pokazywać. Jeszcze nie teraz. Jeśli w ogóle. Na ich miejscu na pewno nigdy bym się na to nie zdecydował. Z drugiej strony musieli przedstawić mnie komuś będącemu dość wysoko, aby mógł wydać orzeczenie o mojej wiarygodności i użyteczności. I to musiał być ktoś, kogo szanują. Sądząc po zachowaniu Topora, Grot był właśnie kimś takim. Do tego bardzo inteligentnym. To ktoś, kto nie uwierzy na słowo. Pechowo dla siebie był też zapewne zbyt uczciwy, aby przejrzeć grę Harahapa.

Ostatnia myśl była nawet przykra i to zaskoczyło Damiena. Odczuwał wystarczającą sympatię dla Grota, aby życzyć jego organizacji zwycięstwa.

Ale czy im się uda, czy nie, to już naprawdę nie moja sprawa, pomyślał. Ważne, że coś zacząłem. Zobaczymy, co Grot powie, gdy jutro się spotkamy.

Po czym uznał, że drużyny, których mecz od dłuższej chwili oglądał, nie były nawet takie złe.



– Więc obaj uważacie, że powinniśmy skorzystać z propozycji pana Mwenge? – spytał Tomasz Szponder, polewając Kotarskiemu.

Tomek Nowak siedział po drugiej stronie biurka w gabinecie Szpondera w Wydawnictwie Zielone Wzgórze. W dłoni trzymał szklanekę miodu pitnego, jego sweter zaś rozsiewał wokół miłą woń dymu fajkowego. Szponder uniósł swoją szklaneczkę w kierunku Kotarskiego, zachęcając go, aby jako starszy odezwał się pierwszy.

– Obaj wiemy, że Tomek łatwo daje się ponieść entuzjazmowi – powiedział Kotarski. – Ale uważam, że w tym przypadku ma rację. Kimkolwiek jest Mwenge, nie pracuje dla czarnych kurtek. Nie oznacza to jednak jeszcze, że pracuje dla nas, znacie to stare powiedzenie o wrogu mojego wroga.

– Nie podoba mi się, że ma tyle konszachtów z KWSS – zauważył Szponder. – Pętanie się po ich siedzibie to niepotrzebne ryzyko, zważywszy na to, że ma też kontakt z nami.

– Ale to może działać na naszą korzyść – wtrącił Nowak. – Szponder uniósł brwi, a Tomek zamachał rękami. – Będzie się tak kręcił przy każdej wizycie w naszym układzie, aż wszyscy się do niego przyzwyczają. W ten sposób stanie się pewnie jedynym obcym, którego nikt nie będzie podejrzewał o kontakt z niebezpiecznymi rewolucjonistami. No i nie będą go tak obserwować. Jeśli coś spieprzymy, pewnie naprowadzimy Małą Justynę na niego, ale wątpię, aby on doprowadził ją do nas.

– Tomek ma rację – zgodził się Kotarski. – Poczytałem trochę na temat Manticore. O takich sprawach, co to je podobno „wszyscy znają”. – Parsknął śmiechem. – Ustaliłem, że w Lidze Solarnej powtarza się głównie bajdy o Manticore. Nie twierdzą, że są święci, ale to jedno z dwóch państw, które zrównały handel niewolnikami genetycznymi z piractwem. Oni naprawdę rozwalają na miejscu każdego handlarza niewolników, który wpadnie im w ręce. Stosują zasadę „dowodu wyposażenia”. Jeśli statek jest przystosowany do przewozu niewolników, to nie zadają już żadnych pytań. Dlatego należeli do inicjatorów konwencji z Cherwell. Szczycą się reputacją handlowców, którzy mogliby oskórkować naszych oligarchów, a potem sprzedać im ich własną

wygarbowaną skórę. Takiej renomy nie zyskuje się dzięki bezwzględności i puszczaniu współników w skarpetkach. Słyną też z poszanowania prawa.

Szponder mruknął coś z niedowierzaniem, czym wywołał wybuch wesołości Kotarskiego.

– Pamiętaj, czego kiedyś nauczałem, młody człowieku – powiedział. – Pięć razy się zastanowię, zanim wspomnę o „praworządności”. I powiem ci jeszcze, że tym, co najbardziej wkurwia solarnych oraz międzygwiazdne korporacje, jest to, ile razy Manticore pokazało im wała. To oraz wszystkie te przypadki, gdy naprawdę pomogli innym światom obronić się przed sąsiadami. Nawet takimi z Ligi. Znalazłem kilka dobrze udokumentowanych przypadków, w tym układ zwany Marsh, inny o nazwie Idaho i jeszcze trzeci, chyba najważniejszy, Grayson.

– I zrobili to tak z dobroci serca?

– Może to dziwne, ale mogła ona mieć wpływ na niektóre ich decyzje.

Szponder spojrzął ze zdumieniem na Kotarskiego. Były profesor zaśmiał się, tym razem znacznie głośniej.

– Wiem, że w naszych realiach trudno uwierzyć w coś takiego, ale pamiętaj, że nawet Włocławek nie zawsze był gniazdem korupcji. Jeśli sądzisz, że wszyscy politycy są z definicji świniami, to pomyśl, co będzie z tobą, jeśli nam się uda.

– Owszem, czasem się nad tym zastanawiam. – Szponder spojrzął na swoją szklaneczkę, potem ponownie na Kotarskiego. – Przypomina mi to los Włodka. Gdyby nie Grażyna, pewnie jeszcze trudniej byłoby mi o tym myśleć.

– Dopóki się tym przejmujesz, na pewno do tego nie dojdzie – stwierdził Kotarski niemal łagodnym tonem. – Chodzi mi o to, że są politycy, którzy mając wybór, starają się postępować dobrze. Większość z nich zdaje sobie sprawę, to znaczy mam taką nadzieję, że nie zawsze jest to możliwe. Ale to nie wyklucza starań. A najlepsze, co wyszło mi z badań po pierwszym spotkaniu Tomka z Mwenge, to że Manticore zdaje się uznawać taką postawę za zdecydowanie pragmatyczną.

– Pragmatyczną? – Szponder przechylił głowę.

– Ludzie wierzą, że Manticore dotrzyma słowa, ponieważ istnieje wiele historycznych dowodów, że robiło tak w przeszłości – wyjaśnił Kotarski. – Powiedziałbym, że Manticore rozważa dokładnie wszystkie za i przeciw, zanim podejmie decyzję. Zarówno na Marsh, jak i na Graysonie musieli założyć bazy wojskowe i w obu tych przypadkach strony doszły zgodnie do porozumienia, że posłużą to obopólnym interesom. Za każdym razem jednak Manticore

wykraczało daleko poza konieczne minimum. To było staranne pozyskiwanie sojuszników, same bazy były drugorzędne. W oba te systemy wpompowano olbrzymie środki, skutkiem czego zarówno Marsh, jak i Grayson, zwłaszcza Grayson, wykonały wielki skok gospodarczy i przemysłowy. I w pewien sposób spłaciły swój dług wobec Manticore, i to z olbrzymią nawiązką. – Pokręcił głową. – Ale nie myśl, że to była tylko zwykła inwestycja, która miała na siebie zapracować. Sądzę, że Manticore preferuje takie relacje nie tylko ze względu na wspomniany pragmatyzm, po prostu takie właśnie podejście od stuleci opłaca im się na wielu polach. Zresztą niezależnie od ich motywów każdy rząd, któremu Manticore proponuje spółkę, powinien udać się na Graysona i na własne oczy zobaczyć, jak Gwiazdne Królestwo Manticore współdziała ze swoimi przyjaciółmi i sojusznikami. To dlatego wszystkie układy w sektorze Talbott głosowały za przystąpieniem do tego nowego „Gwiazdne Imperium Manticore”. Gdy więc patrzę na ofertę pana Mwenge, to cóż widzę? Widzę pragmatyczną postawę. Manticore pomaga nam wyjść z bagna i zarazem odciąga od siebie uwagę Ligi Solarnej. To z jednej strony. Z drugiej zaś łatwo sobie wyobrazić, jak straciłaby budowana od wieków reputacja Manticore, gdyby Królestwo nagle się wycofało i rzuciło nas wilkom na pożarcie. Można sądzić, że jeśli ich własne istnienie nie zostanie zagrożone, czy nie zostaną zagrożone jakieś ich naprawdę żywotne interesy, to nie wystawią nas do wiatru, bo nic mniej poważnego nie skłoni ich do złamania danego słowa.

– Myślę, że Jarek ma rację – powiedział cicho Nowak. Szponder spojrzął na niego i wzruszył ramionami. – Wszyscy się zgadzamy, że sytuacja na Włocławku tak lub inaczej eksploduje, ale sądzą, że Mazur naprawdę wierzy, iż Pokriefke i czarne kurtki zdołają obronić stary porządek. Myli się, a my wszyscy wiemy, co się stanie, gdy odkryje to w chwili, kiedy ludzie wyjdą na ulice. Zacznie zabijać i nie będzie się liczył z ofiarami – ciągnął ponurym głosem. – Dojdzie do strasznego rozlewu krwi, zapanuje prawdziwe piekło. Mazur i reszta towarzystwa będą próbowali się utrzymać mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Gdy nic już nie będzie działało, wezwą Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, aby zrobiło z nami porządek. Wtedy życie ludzkie nie będzie już wiele warte, a solarni zażądają oczywiście sowitej zapłaty. I to będzie znacznie więcej niż trzydzieści srebrników. O to właśnie chodzi, Tomku. Wiem, jak bardzo ważne jest, abyśmy wrócili do dawnych ideałów Ziomkowskiego, zgadzam się z tobą w stu procentach. Ale będę szczerzy: bardziej martwi mnie coś innego. Co się stanie ze mną, moją żoną i dziećmi, jeśli dojdzie do wybuchu i zabraknie przywództwa. Zabraknie steru. Gdy nikt wystarczająco silny i dobrze zorganizowany nie usunie oligarchów, nie załatwi Krzywickiego, Pokriefke i cholernego

BPIP, zanim tamci zdążą wezwać Flotę Pogranicza. My nie jesteśmy w stanie tego zrobić, to oczywiste. Dlatego musieliśmy wykorzystać Krucjatę dla uspokojenia nastrojów po zestrzeleniu tego autobusu.

– I myślisz, że Mwenge i Manticore zapewnią nam wystarczającą siłę ognia – odezwał się Szponder i to nie było właściwie pytanie.

– Myślę, że nikt inny nie jest w stanie tego zrobić – odparł Nowak niepewnie.

– Tomek ma recht – odezwał się Kotarski. – I nie zapominaj, że oferują też wsparcie marynarki wojennej. Oznacza to międzygwiazdne uznanie rządu Włocławka przez jedno z najpotężniejszych państw w galaktyce. A czysto militarny rachunek podpowiada, że łowcy trufli będą mieć spory problem z przekonaniem Biura i Floty Pogranicza, że udzielenie nam pomocy to będzie niskokosztowa operacja.

– Czyli obaj doradzacie zaakceptowanie oferty? – Szponder spojrzął na swoich współpracowników, teoretyka i taktyka, i było oczywiste, że prosi o radę, chociaż ostateczną decyzję zamierzał podjąć samodzielnie.

Kotarski i Nowak spojrzeli po sobie, a potem odwrócili się do niego i skinęli głowami.

– To jest ryzyko – powiedział Kotarski zdecydowanym tonem. – I jeśli się mylimy, ufając Manticore, dojdzie do masakry. Ale jeśli się nie mylimy, jest to najlepsza okazja, na jaką możemy liczyć, aby zrobić wreszcie to, na czym najbardziej nam zależy.

Na chwilę zapadła cisza, przerwana dopiero głośnym śmiechem Kotarskiego. Było to tak niespodziewane, że pozostali mężczyźni spojrzeli na niego ze zdumieniem. Machnął ręką, po czym wyśmiał się, uspokoił i dopiero wtedy odezwał:

– Przepraszam! Po prostu polubiłem pana Mwenge. Naprawdę. Pilnowałem się, żeby patrzeć na niego z dystansem, ale jednak. Tak wyszło. Dobrze, że ma poczucie humoru.

– Nie przypominam sobie, żeby opowiadał jakieś żarty – zauważył Nowak i Kotarski znowu parsknął śmiechem.

– Ależ tak! Już samo to, jak przedstawił ci się w parku, było dobrym żartem.

– Żartem? – zapytał Nowak. Wydawał się nieco urażony, co zdaniem Szpondera mogło mieć pewien związek z jego własną pilnie strzeżoną sławą żartownisia. – Niczego takiego nie słyszałem!

– Słyszałeś, ale nie wiedziałeś, że to żart. Nie ograniczyłem moich badań tylko do Manticore i jego polityki zagranicznej. Zainteresowałem się też panem Mwenge. Zastanowiło mnie to

nazwisko, zajrzałem więc do Biblioteki Uniwersyteckiej. – Przerwał na chwilę.

Nowak skinął głową. Kiedy Wydział Historii Uniwersytetu imienia Mikołaja Kopernika otrzymał polecenie rozwiązania umowy z Kotarskim, dziwnym trafem zapomniano unieważnić mu kody dostępu do sieci uczelnianej. Kotarski był wdzięczny kolegom za ten gest, a na dodatek wkrótce okazało się to bardzo użyteczne dla Krucjaty Wolności Myśli. Nadal czerpał wiele informacji z zasobów bibliotecznych, chociaż z czysto „prywatnych” powodów, prowadził badania nad całym szeregiem zagadnień, a niekiedy trafiał przy tym na rzeczy o kluczowym wręcz znaczeniu dla KWM.

– Cóż, okazało się, że „Mwenge” to słowo z bardzo starożytnego języka zwanego suahili – ciągnął Kotarski. – Znaczy mniej więcej tyle co „żagiew” albo „firebrand”. Nie sprawdzałem, co znaczy „Dupong”, i na razie nie zamierzam tego robić, na wypadek gdyby ktoś jednak monitorował moje wyszukiwania, ale założę się o każde pieniądze, że to samo albo coś bardzo podobnego. Tyle że w innym starożytnym języku.

– Sugerujesz, że... – odezwał się rozbawiony Szponder.

– Dokładnie. To przekaz dla Pokriefke, Mazura i reszty tej bandy, że zjawił się tutaj, żeby spalić ich domek z kart. Oni zaś są zbyt głupi, żeby to zrozumieć. – Pokręcił głową i znowu się zaśmiał. – Jak tu nie lubić kogoś z takim poczuciem humoru?

LUTY 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Przepraszam, panie Frinkelo. To wbrew edyktowi erydiańskiemu, który zabrania takich działań.

Konstytucja zobowiązuje Ligę Solarną do przestrzegania edyktu, nie jego łamania”.

– komandor Bryson Neng, Solarian League Navy, pierwszy oficer na SLNS *Hoplite*

ROZDZIAŁ XXXIV



Dobrze, Paul.

Innis MacLay oparł jedną rękę na ramieniu syna. Najchętniej zburzyłby mu włosy, jak wtedy, gdy chłopak był znacznie młodszy, ale w wieku czternastu lat był za dojrzały na tak otwarte okazywanie uczuć. Dzisiaj było to jeszcze prawdziwsze niż zwykle.

– Liczę na ciebie – powiedział tylko, patrząc w oczy Paula. Były piwne, jak u jego matki. Odpowiedziały mu pewnym spojrzeniem. – Nie ma wątpliwości, że ciągle jest w okolicy trochę smutnych, i spodziewam się, że będziesz dbać o matkę i dziewczęta. Zrobisz to dla mnie, prawda?

– Tak, tato.

Innis zauważył, że głos Paula stał się ostatnio niższy. Jakby niespodziewanie nadeszła mutacja. Brakowało jeszcze sporo do męskiego brzmienia, ale różnica była zauważalna. Naprawdę aż tyle mogło się zmienić przez dwa miesiące od rozpoczęcia powstania?

Przez chwilę patrzył z uwagą na syna, po czym ścisnął mu ramię, odwrócił się i przyklęknął, aby uściskać jedenastoletnie bliźniaczki.

– I wy też będziecie dbały o matkę – powiedział poważnym tonem do Jennifer i Keeley. Keeley spojrzała na niego z błyskiem w oczach, niby posłuszna, ale diabełkiem podszyta. Jennifer miała łagodniejsze spojrzenie i chyba pełne lęku. – Jak mówię, dbajcie o nią. – Poklepał Keeley i uściskał Jennifer.

– Jak zawsze, *dadaidh* – obiecała Keeley.

– Niech Pan ma w opiece waszą matkę! – westchnął i wstał, wyciągając ręce do żony.

Przytuliła się do niego, o wiele bardziej niepewna niż córki, ale zdeterminowana, by tego nie okazywać.

– Kiedy wrócisz do domu? – spytała.

– Nie umiem ci odpowiedzieć, *rùnag*. Sądząc po tym, jak teraz wygląda sytuacja, pewnie niedługo, ale MacCrimmon i MacQuarie już parę razy nas oszukali. Ale tak czy siak zdziwię się, jeśli przeciągnie się to ponad miesiąc. – Ponownie ją uściskał i odsunął się, aby spojrzeć jej w twarz. – Mamy jeszcze przyjaciół w porcie kosmicznym i wiemy, że MacCrimmon trzyma wahadłowiec w półgodzinnej gotowości do startu – powiedział z uśmiechem i mrugnął znacząco.

– Chyba jest przekonany, że będzie musiał się stąd wynosić. Może nawet gdzieś bardzo daleko.

– Oby tak było – odpowiedziała cicho z podejrzeniem lśnięcymi oczami. – Ale nie zapominaj, że tak znaczny *fuidir* jak ty jest bardziej kuszącym celem niż inni.

– Och, tak, pamiętam, *rùnag*! – pocieszył ją i zaśmiał się z tego, że nazwała go klaunem.

Potem twarz mu złagodniała. Objął ją po raz ostatni i coś ścisnęło go w gardle. Być może Paul był bardziej podobny do niego, niż mu się wydawało. Też nie chciał się już odzywać. Nie takim łamiącym się głosem.

Zarzucił karabin na ramię, uśmiechnął się jeszcze do czterech najważniejszych dla niego istot i wyszedł z domu w jasny, wietrzny poranek.

Chattan MacElfrish, niewiele starszy od Paula i także pełen werwy, czekał w samochodzie. Czytał coś, ale zaraz przerwał i schował tablet do kieszeni. Wcisnął klawisz zapłonu, aby włączyć turbinę. Innis otworzył drzwi i usiadł obok niego.

– Z rodziną dobrze? – spytał Chattan.

– W porządku.

– I tak powinno być – powiedział Chattan, który jeszcze nie był żonaty. Samochód wystartował. – Dobrze, że czekają tutaj, aż wszystko się skończy. Zazdroszczę ci tego. – Uśmiechnął się, sprawdził czas i skinął głową z zadowoleniem. – A póki co, przyjdzie nam skopać tamtych dupy. Powinniśmy dotrzeć do Elginu w porze lunchu.



– Pewnie znowu nie ma żadnych dobrych wieści? – warknął Tyler MacCrimmon, siadając na swoim fotelu u szczytu stołu konferencyjnego.

Duża, gustownie i kosztownie urządzona sala była dobrze oświetlona, z inkrustowaną srebrem i złotem pieczęcią prezydencką pośrodku wielkiego, ręcznie wykończonego stołu ze srebrnego dębu. Wspomniana pieczęć znajdowała się obecnie w jego dyspozycji na mocy przepisu konstytucyjnego, który pozwolił mu „chwilowo” odsunąć Alisę MacMinn od pełnienia obowiązków pod pretekstem „załamania nerwowego”. Brzmiało to o wiele lepiej niż „starcze zniedołężnienie” i pozwalało twierdzić wszem i wobec, że „ukochana przywódczyni” powróci na urząd, jak tylko poczuje się lepiej.

W barku na drugim końcu sali połyskiwały karafki z drogimi importowanymi alkoholami, brandy i whisky, na stole stały dzbanki z kawą i herbatą. Cicha muzyka maskowała szum klimatyzacji. Falujące lekko koszmarnie drogie jedwabne zasłony kryły ekran ścienny, akurat

nieużywany. Podłogę zakrywał puszysty, granatowy dywan.

Wszystko to miało świadczyć o bogactwie i pozycji elity władzy, która była równie wytwornie ubrana, utrzymana i uczesana. Każdy włoszek był na swoim miejscu i wszyscy pachnieli, jak należy, choć zasiadający kilka miejsc od MacCrimmona Frinkelo Osborne odnosił wrażenie, że w sali było dziwnie duszno i zalatywało stęchlizną. Być może był to tylko odór strachu i stresu wywołanych narastającą desperacją.

Pytanie MacCrimmona pozostało bez odpowiedzi. Nikt z członków gabinetu nie palił się, aby podnieść oczy na szefa, który przez chwilę wpatrywał się w nich ze złością, po czym skupił uwagę na osobie Keitha Boyle'a, sekretarza wojny.

– I jak? – spytał niewinnym tonem.

– Od wczoraj niewiele się zmieniło – odpowiedział zagadnięty i spojrzął na siedzącego obok mundurowego. – Generał Renwick właśnie wrócił z inspekcji naszych oddziałów na linii frontu. Nie powiem, żeby jego raport był szczególnie optymistyczny, ale wygląda na to, że przez noc nie straciliśmy ani skrawka terenu.

– Co za ulga – warknął MacCrimmon. – A co z naszymi postępami?

– To... nie będzie łatwe. – Oczy Boyle'a błysnęły gniewnie, ale starał się mówić tym samym spokojnym głosem. – Moglibyśmy coś osiągnąć, gdybyśmy mieli ludzi. W obecnej sytuacji zaleciłem generałowi Renwickowi, aby skupił się na skutecznej obronie, dopóki nie otrzymamy posiłków.

MacCrimmon poczerwieniał na twarzy i przez chwilę Osborne pomyślał, że pełniący obowiązki prezydent rzuci się z pięściami na Boyle'a. Potem jednak tamten odetchnął i siadł głębiej w fotelu. Opanowawszy złość, skinął krótko głową.

Było nawet lepiej, niż Osborne oczekiwał. MacCrimmon zawsze miał tendencję do szukania kozłów ofiarnych. Lubił obwiniać innych o swoje błędy, co nawet się nasiliło, gdy oddziały Ligi Wyzwolenia zaczęły się zbliżać do stolicy. Niemniej teraz, gdy katastrofa była o włos, zaczynał chyba pojmować, że Boyle nie jest jej winien.

Źródła Osborne'a sugerowały, że Boyle miał wielką ochotę na przeprowadzenie zamachu stanu, który wyniosłby go do władzy, ale nigdy nie zyskał po temu szansy. Głównie z powodu redukcji stanu armii w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Obecnie stan etatowy obejmował tylko 80 tysięcy ludzi. Dzięki uzyskanym w ten sposób oszczędnościom Senga MacQuarie rozbudowała swoje siły bezpieczeństwa. Argumentowała, że wojsko i tak nie ma z kim walczyć,

w razie wyjątkowej potrzeby zaś MacCrimmon będzie mógł wykorzystać policjantów. Poza tym, czy MacCrimmon naprawdę zamierza ryzykować, pozwalając Boyle'owi na budowę prawdziwego potencjału bojowego? – dodawała już na osobności.

I dlatego właśnie siły bezpieczeństwa dysponowały głównie lekkim uzbrojeniem, cięższy sprzęt zaś był rozrzucony po arsenałach w różnych częściach Halkirku.

I sporo z niego trafiło w ręce rebeliantów.

Osborne zerknął na draperie. Dobrze, że były zaciągnięte. Ekran nie pokazałby niczego budującego. Po pięćdziesięciu sześciu dniach walki lojaliści trzymali się już tylko w dwóch regionach. Dwóch z dwunastu. Z większych miast nadal kontrolowali sporą część Elginu oraz te, w których nie doszło do poważniejszych walk, czyli Thurso, Red Bluffs, Glenquoich i Gilliansbridge. To były największe miasta na Halkirku. Ale siedemdziesiąt pięć procent tych mniejszych przeszło na stronę Ligi Wyzwolenia, która poza miastami miała co najmniej pięćdziesiąt procent poparcia. Według źródeł rządowych. Osborne podejrzewał po cichu, że bliższe prawdzie były szacunki Ottomara Touchette'a, który mówił o siedemdziesięciu procentach. Wśród pracowników leśnych odsetek ten był jeszcze wyższy, na skutek rabunkowej polityki Zagorskiego.

Lojaliści tracili teren i ludzi także przez własne błędy. Nie od razu uwierzyli, że posyłanie do lasu oddziałów składających się z zatwardziałych mieszczuchów oznacza jedynie uszczuplanie własnych sił.

Wiele znaczyło też, że MacLean i jej ludzie zdołali osiągnąć tak wiele już w pierwszych godzinach rebelii, myślał Osborne. Wahałbym się nazwać pułkownik MacChrystal istotą ludzką, ale miała dużo lepsze wyobrażenie o operacjach w terenie niż MacQuarie i cała jej banda karierowiczów. Nie mówiąc już o tym, że wyeliminowanie jej razem z zastępcami wywołało takie zamieszanie, że Liga Wyzwolenia o mało nie opanowała także Elginu i niewiele brakowało, aby powstanie zakończyło się przed upływem czterdziestu ośmiu godzin!

Pokręcił w duchu głową, uważając zarazem, aby te myśli nie odbiły się na jego twarzy. W sumie gardził obecnymi na sali. Gdyby ktokolwiek z nich miał dość rozsądku i odwagi, aby pogadać poważnie z Zagorskim, zanim zaczęło być źle...

– Wiemy coś więcej o położeniu McGill? – spytał MacCrimmon.

– Niezbyt – przyznała MacQuarie. – Ostatnie meldunki donosiły, że była w Conerock, ale reszta to już tylko pogłoski. – Wzruszyła ramionami z niesmakiem. – Monitorujemy ich sieć

łączności, ale utrzymują ścisłą dyscyplinę. Niemal zawsze używają nazw kodowych zamiast geograficznych. Mają też wiele kontaktowych kont pocztowych. Odkryliśmy i zlikwidowaliśmy z tysiąc, ale to chyba tylko wierzchołek góry lodowej. Poza tym wydaje się, że jeśli czas pozwala, sporo wiadomości dostarczają przez kurierów.

– Cóż, to praktyczne – powiedział kwaśno MacCrimmon. Jego poparcie dla Sengi MacQuarie spadło ostatnio dramatycznie. Oczy jej pociemniały, ale miała dość rozsądku, aby nie skomentować jego słów. – Wracając do najważniejszego. Według naszych prognoz bandyci opanują Elgin za jakieś cztery dni – ciągnął, patrząc na Osborne'a. – Zatrzymaliśmy ich na zachodnich granicach miasta, ale ich nacisk rośnie. Co więcej, sondy orbitalne pokazują, że koncentrują siły na kierunku Swantown, a my nie mamy tam nikogo, kto by ich zatrzymał. Kiedy przełamią naszą obronę, znajdą się na tyłach oddziałów sił bezpieczeństwa utrzymujących zachodnią stronę miasta.

Osborne pokiwał głową. Swantown było bogatą dzielnicą sypialną, położoną nad rzeką Swan w południowo-zachodniej części stolicy. Jeśli Liga Wyzwolenia ją opanuje, zaczną zachodzić siły bezpieczeństwa z flanki, co może wywołać panikę w szeregach i chaotyczny odwrót. Szczególnie że bezpieczniacy dobrze wiedzieli, jaki los ich czeka, gdy dostaną się w ręce rebeliantów, po tym, co działo się we wcześniejszych tygodniach.

MacCrimmon nie dodał, że upadek Swantown oznaczałby również utratę portu kosmicznego Elginu. Jedynej drogi ewakuacji wysokich funkcjonariuszy Partii Dobrobytu i ich rodzin.

– Rozumiem, panie prezydencie – odpowiedział „attaché handlowy”.

– Chyba wspominał pan o możliwości uzyskania wsparcia ze strony sił stacjonujących w układzie McIntosh – kontynuował MacCrimmon. – Miały się zjawić po trzech tygodniach. Nie chciałbym niczego sugerować, ale minęło już sześć tygodni.

– Wiem, panie prezydencie. – Osborne skinął głową. – Wiem. I wszystko, co mogę powiedzieć, to że głęboko wierzę, iż te siły są już w drodze.



– Głowy niżej, cholery! – krzyknęła donośnie Alexina Morrison, która jeszcze miesiąc temu była szeregowym Połączonych Sił Bezpieczeństwa Publicznego. Nad nią przemknęły pierwsze strzałki z pulsera. Leciały z prędkością naddźwiękową. – Mamy zdobyć tę pieprzoną wieżę, a nie dać się pozabijać!

Dwóch z pozostających pod jej dowództwem leśników wyszczerzyło zęby, ale większość

liczącego czterdziestu pięciu ludzi oddziału tylko pokiwała ze smutkiem głowami. Widzieli już zbyt wiele śmierci spowodowanych czystą beztróską. Poza tym Alexina była dla nich niemal bożyszczem. Nie tylko odegrała kluczową rolę w zdobyciu Conerock, ale od samego początku brała udział w walkach ulicznych w stolicy. Co więcej, nadal żyła. To było spore osiągnięcie jak na kogoś, kto tyle czasu spędził pod ogniem.

– Dobra – dodała nieco mniej przejmującym tonem. – Gdy dotrzemy do wejścia towarowego, Tammas rusza w prawo do wind. Regina, idziesz w lewo i zajmujesz się zapleczem technicznym. Reszta za mną prosto do holu. Wszyscy słyszeli?

Gdy przytaknęli, ogarnęła oddział spojrzeniem i wskazała cel ich ataku.

– No to ruszamy.



Kapitan Dugald Dempster skulił się, gdy z kłębow dymu po lewej dobiegł huk kolejnych eksplozji. Teoretycznie miał pod sobą całą kompanię sił bezpieczeństwa, która jednak skurczyła się do raptem trzynastu ludzi, dysponujących jedynie lekkim działkiem trzylufowym, do którego kończyła się im amunicja.

– Mamy coś z dowództwa, Morag? – zapytał, starając się panować nad głosem.

– Nie – odparła krótko sierżant Morag MacCuffie, jego łącznościowiec.

MacCuffie całe życie spędziła w mundurze i była osobą twardą, o zerowej empatii. Jej oddział od samego początku brał udział w tłumieniu demonstracji, teraz większość tych ludzi już nie żyła. W tak okrojonym stanie trafili pod dowództwo Dempstera. Nie lubił MacCuffie, ale przynajmniej mógł na niej polegać. Chociażby dlatego, że tamci mieli wielką chęć pozbawić ją życia, i to w możliwie bolesny sposób.

– Pora ruszać – powiedziała tym samym beznamiętnym tonem. Zlustrowała uważnie teren przed nimi, ale nawet wmontowany w przyłbicę hełmu mnożnik optyczny na niewiele się zdawał w tym dymie i kurzu. – Lewa flanką zejdzie do jaskiń w ciągu najbliższych pięciu minut, od pół godziny nie mamy ani słowa od MacWilliamsa.

– Jeśli się wycofamy, Brecon stanie dla nich otworem – zaprotestował Dempster, wskazując kciukiem w głąb alei, którą mieli „za wszelką cenę” utrzymać. W ostatnich tygodniach pojawiało się wiele takich rozkazów.

– Jeśli tego nie zrobimy, zginiemy, a tamci i tak przejdą – zauważyła MacCuffie.

Miało to sens, zgodził się Dempster. Brecon Avenue była jedną z głównych arterii Elginu.

Rebelianci nauczyli się już, aby nie korzystać z transportu powietrznego, ponieważ nawet przechwycone transportery opancerzone były bezbronne wobec rakiet przeciwlotniczych armii. Ale buntownicy nie wiedzieli chyba, iż te pociski prawie się skończyły.

Powinniśmy mieć więcej własnych wyrzutni, pomyślał z goryczą Dempster. Niestety nikt z dowództwa Połączonych Sił Bezpieczeństwa Publicznego nigdy nie wyobrażał sobie nawet takiej sytuacji. Zastanowił się, czy ci ludzie zrozumieli już, jak wielki błąd popełnili, redukując tak boleśnie armię, i czy żałowali tego w podobnym stopniu jak sam Dugald Dempster. Który miał już całkowicie dość walk ulicznych i najchętniej zająłby się czymś innym.

Tyle że nie było kim go zastąpić. Siły bezpieczeństwa straciły w ciągu pierwszego tygodnia tyle sprzętu, że trudno było liczyć na wsparcie. Ocalałe pojazdy trzymano w centralnej rezerwie, która obejmowała sprowadzone z Ligi Solarnej lekkie czołgi *Scorpion* oraz transportery opancerzone *Panther*. Nawet budowane na miejscu wozy *Soighnean GEV* ledwie się gdzieś pokazywały. Co oznaczało, że do obrony stołecznej SEIU Tower skierowano zwykłą piechotę.

A jeśli nie utrzymają tego skrzyżowania...

– Wywołaj kogoś z punktu dowodzenia Dunwoody’ego – rzucił głosem, w którym miała pobrzmiwać pewność siebie. – Powiedz majorowi, że jeśli nie dostaniemy posiłków w ciągu najbliższych pięciu...

Siłom Ligi Wyzwolenia zostało już tylko kilka rakiet typu *Hydra III* i trwało blisko trzy godziny, zanim obsługa wyrzutni zdołała dotrzeć ze sprzętem na dziesiątą kondygnację budynku z widokiem na Brecon Avenue. Dwie rakiety trafiły prosto w pozycje oddziału kapitana Dempstera.

W przeciwieństwie do Sakue Yampolski Dugald Dempster i Morag MacCuffie nie zdążyli zobaczyć, co ich zabiło.



– Przepraszam, ma’am, ale jest przekaz dla pani od pana Osborne’a – powiedział porucznik Hughes.

Kapitan Francine Venelli, dowódca SLNS *Hoplite*, podniosła wzrok znad talerza z hamburgerem. Jej okręt zaledwie trzydzieści minut wcześniej wyszedł z nadprzestrzeni i wciąż znajdował się trzydzieści trzy minuty świetlne od dwóch zamieszkałych planet układu Loomis. Oznaczało to, że wiadomość została wysłana, ledwie kontrola astro wykryła ślad jej wyjścia. Venelli nie cierpiała dupków z za biurka, którzy wydawali się nic nie rozumieć z ograniczeń

łączności podświetlonej.

– Oczywiście, Aaron – westchnęła z rezygnacją. – Nie mogli poczekać, aż podejmiemy na tyle blisko, żeby dało się normalnie pogadać? – Hughes spojrział na nią niepewnie, więc machnęła ręką. – To było pytanie retoryczne – wyjaśniła.

– Tak, ma'am.

Venelli o mało nie przewróciła oczami. Niestety Aaron Hughes rozumiał wszystko dosłownie i brakowało mu poczucia humoru. Dziwne, jak na specjalistę od łączności. Venelli uważała go za idealnego kandydata na oficera Battle Fleet.

Dobrze, Frannie, powiedziała sobie w duchu. Bądź miła. Tego nie życzysz chyba nikomu, nawet Aaronowi.

Uwaga była zasadna, zważywszy na ostatnie doświadczenia Venelli z Battle Fleet. *Hoplite* stacjonował przez ostatnie cztery i pół roku w układzie McIntosh i przez większość tego czasu przydział był nawet przyjemny, a co najmniej bezbolesny. Skończyło się, gdy do układu przybyła Sandra Crandall z zespołem. I zaczęło się piekło. Crandall nie wiedziała nic o codziennych zadaniach Floty Pogranicza, co nie powstrzymało pani admirał przed przejściem pod swoje skrzydła wszystkich okrętów w tym sektorze. Także tych, które nie miały nic wspólnego z jej zespołem. Co gorsza, gdy już to zrobiła, nie próbowała nawet się dowiedzieć, na czym polega specyfika działań floty na Pograniczu.

Co tylko potwierdziło opinię Francine Venelli, że Battle Fleet była tak użyteczna jak moskitiera w służbie. Nie żeby zazdrościła jej lśniących superdreadnoughtów i tych wszystkich zabawek, które marynarka wojenna kupowała zamiast krążowników liniowych i lekkich krążowników, potrzebnych Flocie Pogranicza. Taki był porządek rzeczy i Flota Pogranicza zawsze robiła za kopcieszka, muszącego działać z połową tego stanu jednostek, który byłby wskazany.

Podobnie jak większość oficerów Floty Pogranicza, Venelli także była dumna z tego, że radzili sobie pomimo przestarzałych i wyeksploatowanych jednostek. Wkurzała zaś ją postawa prezentowana przez Battle Fleet i gotowa była zatańczyć z radości, gdy Crandall postanowiła nagle opuścić sektor Madras. Obawiała się tylko, że admirał rozkaże jednostkom z układu McIntosh dołączyć do jej zespołu. Ostatecznie mogła potrzebować ludzi znających nieco teren, na którym miała się poruszać.

Niemniej ledwo Venelli odkorkowała butelkę dobrego wina, nadeszła wiadomość od

Frinkela Osborne'a i gubernator Annetje Slidell, która nie była szczególnie lotnym elementem, wysłała SLNS *Hoplite* wraz z lekkim krążownikiem *Yenta MacIlvenna* i niszczycielami *Abatis* i *Lunette*, aby sprawdziły, co się dzieje w układzie Loomis.

Cokolwiek to było, nie zapowiadało się chyba najlepiej, ale Venelli nie widziała wiadomości przesłanej przez Osborne'a. Oczywiście, że nie! Niby czemu gubernator Slidell miałaby dzielić się takimi informacjami ze starszym oficerem Floty Pogranicza, który miał się zająć problemem? Francine Venelli żadną miarą nie musiała wiedzieć niczego więcej poza: „Leć do układu Loomis, zamelduj się u Frinkela Osborne'a. Zrób to, co ci powie”.

Tyle dobrego, że był to rozkaz prosty i zwięzły. Tak czy owak Venelli nie oczekiwała, aby Osborne miał dla niej jakąś ciekawą robotę. Raczej wręcz przeciwnie. Rzadko zdarzało się inaczej. Co wiązało się z odebraną właśnie transmisją, która przeszkodziła jej w spokojnym spożyciu lunchu.

– No cóż – powiedziała, zerkając na przyniesioną dopiero co przez stewarda miseczkę sałatki ziemniaczanej. – Na orbitę Halkirku dotrzemy dopiero za siedem godzin, a ja jestem głodna. Prześlij wiadomość na mój terminal. Przeczytam ją po lunchu. – Skrzywiła się lekko. – Galaktyka przetrwa jakoś te dwadzieścia minut i niech mnie diabli, jeśli pozwolę, aby Osborne już teraz zepsuł mi apetyt!

ROZDZIAŁ XXXV



Cześć, Damien! – Rufino Chernyshev spotkał się z Harahapem już przy drzwiach. – Udana wycieczka? – spytał, wyciągając do niego rękę.

– Krótka – odpowiedział Harahap z uśmiechem i potrząsnął jego dłonią. – Chyba lubię napęd strumieniowy.

– Nie tylko ty. – Chernyshev zachichotał i wskazał Harahapowi mały stół w kącie jego przestronnego biura. – Bardzo nam się przydaje, chociaż trzeba uważać, aby nie dotrzeć gdzieś zbyt szybko.

– Tak, ale kapitan Yong mogła dzięki niemu zrezygnować z postojów w drodze z Włocławka. Przelot zabrał nam mniej niż miesiąc. – Harahap pokręcił głową. – Jeśli kiedykolwiek zdecydujecie się go upublicznić, zarobicie krocie na sprzedaży tego patentu armatorom pasażerskim i frachtowym.

– Obawiam się, że to nie nastąpi szybko – powiedział Chernyshev, gdy usiedli na wygodnych krzesłach przy stole. Wziął dzbanek z kawą i spojrzał pytająco na Harahapa.

– Tak, dzięki – odparł Harahap i podsunął filiżankę. Potem usiadł wygodnie, popijając doskonałą kawę. – Nieźle się tu urządziłeś – rzekł po chwili, unosząc filiżankę i lekko zataczając nią koło w powietrzu.

– Chyba tak. – Chernyshev uśmiechnął się kwaśno. – Nie mogę narzekać na wynagrodzenie i mam tu sporo udogodnień, których wcześniej nawet nie znałem, ale będzie mi tego potem brakować w terenie.

– Jak dla mnie liczy się i to, że mało który agent ginie zastrzelony za własnym biurkiem, ale biorąc pod uwagę, co spowodowało ten awans, chyba naprawdę trudno się cieszyć.

– Niezbyt – zgodził się Chernyshev. Upił kawy i wzruszył ramionami. – Ale w Marynarce Wojennej Manticore jest powiedzenie, które chyba tu pasuje. – Harahap przechylił głowę z zaciekawieniem. – Kto się boi hexapumy, niech nie wchodzi do lasu – powiedział Rufino i Damien parsknął z rozbawieniem. – Przejrzałem twój raport – oznajmił Chernyshev, przechodząc tymczasem do interesów. – Nie miałem czasu, aby go dokładnie przeczytać, zajrzałem jednak do wniosków. Szczególnie uderzyła mnie twoja ocena Włocławka.

– Jestem pewien, że nadal nie spotkałem tam osoby, która naprawdę przewodzi –

odpowiedział Harahap. – Ale Grot zrobił na mnie wrażenie. Ktokolwiek tam jest na górze, musi być nie byle gościem. Grot spotkał się ze mną ponownie niecałe dwadzieścia cztery godziny po pierwszej rozmowie i przyjął naszą ofertę. Dodał też kilka sprytnych sugestii w kwestii dostarczania przesyłek na Włocławek.

– O, naprawdę jesteś przekonany, że mogą odnieść sukces?

Harahap wzruszył ramionami.

– Sądzę, że mają cholernie duże szanse, zwłaszcza jeśli dostaną kilka transportów broni. Mogę spytać, dlaczego cię to ciekawi? Pytasz, bo chcemy, aby im się nie udało i tym samym kompromitacja Manticore była jak największa?

– Szczerze mówiąc, mało nas to obchodzi. Tak czy siak – powiedział Chernyshev. – Przynajmniej na razie. Jasne, kilka spektakularnych porażek przyda się jako przykład nierzetelności Manticore, ale sądzę, że wygrana niektórych jeszcze bardziej przyczyni się do osiągnięcia celów Janusa, przynajmniej na terenie Ligi Solarnej. Gdybyśmy chcieli utrudnić życie Grotowi i jego przyjaciółom, jak byś się do tego zabrał?

– Zawaliłbym sprawę którejś z przesyłek – odezwał się natychmiast Harahap. – Trzeba tylko upewnić tamtych, że naprawdę pracują z Manticore, aby było wiadomo, kto zawinił. Minus jest taki, że cała wina za klęskę i tak nie spadnie na Manticore. Będzie to wyglądało na wypadek przy pracy, co zawsze może się zdarzyć, nie na świadomą zdradę.

– Wiem. – Chernyshev pokiwał głową. – To jedna z kwestii pominiętych przez autorów Janusa. Nie możemy tak po prostu wyciągnąć im stołka spod siedzenia, dopóki naprawdę nie zaczną działać, bo inaczej kontekst Manticore nie zaskoczy.

– Jestem pewien, że będzie wiele możliwości, aby naprawdę pomieszać im szyki bez widocznego zaangażowania z naszej strony – powiedział Harahap.

– Święta prawda – mruknął Chernyshev i parsknął. Harahap spojrział na niego pytająco. – Ludzie MacLean obecnie wykopują stołek spod tyłka Partii Dobrobytu w układzie Loomis – zauważył.

– Tak szybko? – spytał z zaskoczeniem Harahap.

Chernyshev zakołysał kawą w filiżance.

– Najwyraźniej MacCrimmon był na tyle głupi, żeby spróbować zabić MacRorych. Osobiście podejrzewam, że był to kolejny genialny pomysł Zagorskiego. I wielu faktycznie zabił, chociaż nie wszystkich, Lidze Wyzwolenia zaś puściły nerwy.

Harahap pokręcił głową.

– Nie spodziewałem się, że do tego dojdzie.

– Nikt się nie spodziewał. Szczęśliwie dla MacLean i MacFadzean otrzymali już pierwsze dwa transporty broni. Tyle że to miała być dopiero faza uwodzenia. Henrique Chagas – nie znasz go, ale jest dobry, przejął teren, gdy zostałeś przypisany gdzie indziej – mówił, że mimo wzrostu napięcia MacLean nie chciała wyprowadzać ludzi na ulice, dopóki nie będzie gotowa. Ale to się zmieniło.

– Skorzystali z hasła, aby poprosić „Manticore” o wsparcie marynarki wojennej?

– Nic o tym nie wiemy. Gdy Henrique był tam ostatnio, MacFadzean i MacPhee pracowali wciąż nad MacLean. Nie wiemy nawet, czy MacFadzean powiedziała jej o ofercie wsparcia ze strony marynarki wojennej. Oczywiście nasze najświeższe informacje pochodzą sprzed prawie czterech tygodni, więc niejedno mogło się jeszcze zdarzyć. Sądząc po tym, co dotąd słyszeliśmy, poszło na ostro. Możliwe, że uporają się z MacCrimmonem, a może nawet z SEIU, wyłącznie własnymi siłami.

Spojrzał na Harahapa i obaj się uśmiechnęli. Żaden z nich nie żałowałby osobników w rodzaju Tylera MacCrimmona czy Nyatuia Zagorskiego.

– Póki co, zamierzamy przypisać ci także układ Seraphim – powiedział Chernyshev, wracając do zasadniczego tematu. – Zrobiłem tam już trochę na dobry początek, ale utknąłem w tym cholernym biurze i muszę oddać komuś ten teren. Biorąc pod uwagę cechy osobowościowe, chyba dobrze się do tego nadajesz. Wiem, że to trochę daleko od Włocławka i układu Loomis, ale podobnie byłoby z każdym obiektem, który wchodzi w grę. A z napędem strumieniowym chyba nie będzie tak źle.

– Cokolwiek sobie zażyczysz. Ale mam nadzieję, że nie poczujesz się rozczarowany, jeśli zawałę coś przez długi czas przelotu.

– Co ma być, to będzie – stwierdził filozoficznie Chernyshev. Harahap spojrzał na niego sceptycznie, a tamten zachichotał. – Jak chcesz, mogę ci to dać na piśmie.

Harahap skrzywił się lekko i pokręcił głową.

– Dziękuję, Rufino, ale jakoś wątpię, żeby ocaliło to mój tyłek, gdyby coś naprawdę się posypało i ktoś wyżej w porządku dziobania zażyczył sobie mojej głowy.

– Oczywiście, ale chyba lepiej się wtedy poczujesz, wiedząc, że nie wszyscy dybali na twoją głowę.

Wymienili uśmiechy doświadczonych agentów terenowych, którzy nieraz ucierpieli przez tych zza biurka. Potem Chernyshev odstawił filiżankę i pochylił się nad stołem.

– Jedną z przyczyn, dla których chciałem spotkać się z tobą dziś rano, jest właśnie informacja o przydziale do Seraphimu. Tło jest trochę złożone, ale na pewno damy radę. Najważniejsze, o czym powinieneś wiedzieć, to...



– Co to ma znaczyć, że nie marines?!

Pełniący obowiązki prezydent Tyler MacCrimmon wpatrywał się w Frinkela Osborne'a z niedowierzaniem. A może nawet przerażeniem.

– Panie prezydencie, kiedy wysłałem gubernator Slidell moją prośbę, nikt nie wiedział, że sytuacja z Manticore aż tak się zaogni – odparł Osborne. – Z tego, co napisała mi gubernator, admirał Crandall zabrała na Spindle wszystkie oddziały marines, jakie tylko udało się jej znaleźć. Gubernator chciała zachować przynajmniej część z nich, ale admirał miała wyższe prerogatywy. Potem szukała czegoś przez kilka dni, co w dużej mierze opóźniło odpowiedź na moją notę, ale uznała ostatecznie, że na razie wyśle chociaż wsparcie jednostek marynarki wojennej. Przekazała, że za parę tygodni będzie mogła dosłać co najmniej batalion Żandarmerii.

– Jeszcze parę tygodni?! – MacCrimmon wpatrywał się w niego zszokowany. – Do tego czasu MacLean i jej szaleńcy opanują całą planetę! Wtedy oddział żandarmów nam nie pomoże.

– Panie prezydencie, gdy tylko się dowiedzą, że mamy wsparcie orbitalne, z pewnością uznają, że nie mają wyjścia, jak tylko się wycofać. W takiej sytuacji...

– Na jakiej podstawie sądzi pan, że oni są zdolni do racjonalnego zachowania? – spytał MacCrimmon. – Nawet jeśli MacLean i MacGill byliby skłonni zrobić coś w tym rodzaju, reszta odmówi złożenia broni! Dlatego potrzebujemy oddziałów naziemnych. Solarnych oddziałów naziemnych, które będą świadectwem poparcia ze strony Ligi. Tych oddziałów, które nam pan obiecał.

Osborne zwalczył pokusę, aby zwrócić uwagę, że niczego MacCrimmonowi nie obiecywał. To nie byłby dobry krok. Poza tym, pomyślał chwilę później, przez prezydenta przemawiał czysty strach. Szansa na przybycie marines nieco go tłumiała, ale teraz zapłonął z całą mocą. To był strach o własną przyszłość, strach przed śmiercią.

– Gubernator Slidell wyśle oddziały naziemne – powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił. – Żałuję, że nie są dostępne od razu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że admirał Battle Fleet

może zażądać całej piechoty morskiej przydzielonej do układu McIntosh. – Która i tak była tam obecna tylko w sile niecałego batalionu, dodał w myślach. – Jestem pewien, że Żandarmeria jest już w drodze.

– A ja mówię, że trzeba zrobić porządek teraz – warknął MacCrimmon.

– Panie prezydencie...

– Jeśli nie mamy jednostek naziemnych, musimy poradzić sobie inaczej – przerwał mu MacCrimmon. – Z orbity.

Osborne spojrział na niego zdumiony. Nie chodziło chyba o...

– Jako prezydent układu Loomis mogę poprosić o pomoc wojskową Ligi Solarnej na własnych warunkach – dodał MacCrimmon, ledwo panując nad głosem. – Proszę poinformować kapitan Venelli, że powołuję się na klauzulę pomocy zawartą w naszej umowie z Biurem Bezpieczeństwa Granicznego. Sekretarz Boyle i sekretarz MacQuarie dostarczą współrzędne celów.



– On nie może mówić poważnie. – Francine Venelli wpatrywała się w twarz widoczną na ekranie panelu łączności. – To by... to jest...

– To jest coś, co może zabić wielu ludzi – dokończył Frinkelo Osborne. – Niestety nie mamy wyboru.

– Jak to nie mamy wyboru? – Venelli spojrziała na komandora Brysona Nenga, pierwszego oficera SLNS *Hoplite*, a potem znowu na Osborne'a. – Przepraszam bardzo, ale cokolwiek by powiedzieć, to będzie atak głowicami kinetycznymi!

– Zdaję sobie z tego sprawę, pani kapitan. – Osborne na chwilę przymknął oczy. Potem wzruszył ramionami. Było widać, że ciąży mu ta sprawa. – Niestety Biuro Bezpieczeństwa Granicznego już ponad trzydzieści lat temu podpisało z MacMinn standardową umowę o udzieleniu wsparcia. Zgodnie z jej warunkami prezydent ma prawo zażądać „każdej niezbędnej pomocy wojskowej”, Liga zaś ma obowiązek tę pomoc zapewnić, ponieważ to miejscowy rząd decyduje, co jest „niezbędne”.

– Przepraszam, panie Frinkelo – wtrącił Neng. – To wbrew edyktowi erydiańskiemu, który zabrania takich działań. Konstytucja zobowiązuje Ligę Solarną do przestrzegania edyktu, nie jego łamania.

– Chciałbym móc to powiedzieć miejscowym – stwierdził z goryczą w głosie Osborne. – Ale

prokurator MacGwyer już zwrócił mi uwagę, że edykt erydański nie dotyczy rządów zmagających się z powstaniami albo wojną domową. Sekretarz wojny Boyle zaś zapewnił mnie, że lista obejmuje wyłącznie cele wojskowe, więc nie będą to uderzenia terrorystyczne. – Uniósł dłoń w geście bezradności. – Krótko mówiąc, naprawdę mogą przedstawić takie żądanie.

– Mają własną infrastrukturę orbitalną – zauważył Neng. – Jeśli chcą uderzyć kinetycznie, sami mogą to przeprowadzić.

– Nie, Bryson – powiedziała Venelli zduszonym głosem. Spojrzał na nią, ale ona kontynuowała, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć: – Mają infrastrukturę orbitalną, ale bez uzbrojenia. Chciałbyś, żeby banda cywilów bawiła się czymś takim? Bóg jeden wie, jak to się skończy. Czy trafią w ogóle we właściwe miasto. Co najmniej trzy z tych celów znajdują się nad morzem. Jeśli trafią w ocean, wyniknie z tego potężne tsunami! – Z ponurym wyrazem twarzy pokręciła głową. – Nie, jeśli ma do tego dojść, niech zrobi to ktoś, kto trafi chociaż we wskazany cel, nie zabijając nikogo więcej.

– Ale, ma'am...

Venelli uniosła dłoń, nie dając mu dojść do słowa, i spojrzała na Osborne'a.

– Jeśli mam to zrobić, oczekuję urzędowej autoryzacji – powiedziała lodowatym głosem. – Pisemnej zgody od samej MacMinn. I chcę, aby wyraźnie wskazała, że chodzi o żądanie wystosowane przez miejscowy rząd, który nie uwzględnił mojego protestu. I chcę też, aby mój protest został im przekazany, Frinkelo! Nie chcę, żeby potem wyszło, że to była samowolna akcja niezrównoważonego dowódcy krążownika liniowego.

– Prezydent MacMinn jest obecnie... niezdolna do pełnienia obowiązków – odparł Osborne. – MacCrimmon je przejął na podstawie siódmej poprawki do konstytucji Loomisu. Zapewniam panią, że konstytucja dość jasno określa jego obecny status prawny.

– Zatem poproszę, żeby zostało to włączone do pisma autoryzującego atak. Może to...

Przerwała, ale i tak wiedział, co chciała powiedzieć. Pokręcił ze smutkiem głową.

– On jest przerażony. Oni wszyscy są spanikowani, pani kapitan. Rozumiem, dlaczego oczekuje pani takiego pisma, i jestem pewien, że otrzyma je pani w ciągu godziny. Obecnie nie powstrzyma ich nawet konieczność podpisania się pod czymś takim.

– Może nie. Ale warto spróbować.

– Owszem. A tak między nami, mam nadzieję, że będzie pani miała więcej szczęścia w tej materii niż ja. Prześlę ten dokument tak szybko, jak tylko się da. Bez odbioru.



– Co powiedziałaś? – Twarz Megan MacLean była blada jak ściana. – Okręty wojenne?

– Właśnie się dowiedziałem – przyznał Tammas MacPhee. – Oni tego nie ujawniają, ale nasi ludzie mówią, że biuro Boyle’a ciągle rozmawia z tym, kto tam dowodzi.

– Boże. – MacLean odwróciła się od przyjaciela, aby popatrzeć przez chwilę na zasnuty dymami Elgin. Liga Wyzwolenia kontrolowała już połowę miasta, w tym port kosmiczny. Chwycili ekipę MacMinn za gardło, chociaż wszyscy wiedzieli, że obecnie wszystkim kierował Tyler MacCrimmon. Jeszcze kilka dni i byłoby po nim. Poddałby się, zginął albo uciekł.

A teraz to.



– Nie jesteśmy w stanie walczyć z marines w zbrojach bojowych, Megan – powiedział Tad Ogilvy. – Paru pewnie załatwimy, ale to za mało, aby ich powstrzymać. Już ze zwykłymi solarnymi żołnierzami mielibyśmy problem, a znający się na rzeczy marines to zupełnie inna bajka.

– A bataliony interwencyjne? – spytała Erin MacFadzean. – Im chyba damy radę?

– Gdyby byli na tyle głupi, żeby je wysłać... to może tak – odparł MacPhee. – Ale oni i tak byliby lepsi od wszystkich tutaj.

– Lepszych jakoś byśmy znieśli. – MacLean potarła dłońmi skronie. – Ale może być jeszcze gorzej, Tammas. Wiesz o tym.

– Nawet jeśli rozkażemy naszym złożyć broń, co najmniej jedna trzecia tego nie zrobi – powiedział MacPhee. – Na przykład Stirling. Nie dadzą sobie odebrać broni, chyba że po śmierci.

– Jeśli będzie trzeba, to trudno. Wszystko, byle nie doszło do bombardowania z orbity! – rzuciła MacLean.

– To się raczej nie zdarzy – uznał MacPhee. – Poza miastami jesteśmy zbyt dobrze zakamuflowani i rozproszeni, żeby bombardowanie mogło nam zaszkodzić. Nawet w miastach trudno im będzie znaleźć konkretne cele. Poza tym MacCrimmon nie byłby na tyle szalony, żeby niszczyć własne miasta!

– Nie założylabym się o to – powiedziała MacLean. – Nie o życie naszych ludzi.

– Właśnie o tym mówię. Na razie niczym nam nie zagrozili i nie wiemy, co chcą zrobić. Może uda się przekonać większość naszych, nawet Stirlinga, do zaakceptowania przynajmniej tymczasowego zawieszenia broni. To da nam trochę oddechu. Potem, gdy MacCrimmon

przedstawi warunki, będziemy już gotowi do rozmów na poważnie.

– A jakie by to miały być „rozmowy”? – spytała MacFadzean i wskazała na zadymione miasto za oknem. – Jak myślisz, co się stanie z liderami tego „zdradzieckiego buntu”, jeśli się poddamy? Uważasz, że ktoś taki jak MacQuarie czy MacCrimmon zmienią swoje podejście i nagle złagodnieją? Teraz, gdy byliśmy już tak blisko i tak ich nastraszyliśmy? Za diabła tak nie będzie! Przycisną nas jeszcze bardziej do ziemi i rozwalą!

– A jeśli alternatywą będzie właśnie bombardowanie pociskami kinetycznymi? – zapytała ze złością MacLean. – Nie, Erin. Sięgną od razu po najbardziej drastyczną opcję. – Spojrzała swojej zastępczyni prosto w oczy. – Przekaż ludziom, że przerywamy walkę i czekamy, aż tamci powiedzą, czego chcą.



– Współrzędne celów wprowadzone i zatwierdzone, ma'am – zameldowała komandor Sharon Tanner. Ton jej głosu jednoznacznie wskazywał, co myśli o tym zadaniu. – Penetratory gotowe. Można wystrzelić je na rozkaz.

– Dziękuję, pani komandor – powiedziała Venelli, zwracając się do swojego oficera taktycznego w znacznie bardziej oficjalny sposób niż zwykle.

Spojrzała na ekran, na którym widniały oblicza kapitana Aleca Sárközy'ego z krążownika *Yenta MacIlvenna* oraz komandorów Gwang i Myrvolda z *Abatisa* i *Lunette*. Żadne z nich nie otrzymało rozkazu odpalenia pocisków. *Hoplite* miał ich dość, aby obsłużyć wszystkie cele. Venelli nie chciała składać poczucia winy na cudze barki, jeśli mogła tego uniknąć.

Wyraz ich twarzy mówił wszystko o tym, jak się czuli i co myśleli o tym rozkazie. Stłumiła w sobie złość. Nie, nie do niej mieli pretensje. Wciągnęła głęboko powietrze.

– Dobrze, komandor Tanner – powiedziała. – Wykonać.

– Tak, ma'am. Wykonuję – odparła zdecydowanie Tanner i sięgnęła do sensora.

Osiemdziesiąt siedem sekund później dziewięć miast okręgowych, opanowanych dotąd przez Ligę Wyzwolenia Loomisu, po prostu przestało istnieć. Podobnie jak osiem mniejszych miast, siedem tymczasowych obozów bojowników, cztery dawne bazy okręgowe sił bezpieczeństwa... oraz ponad 3,3 miliona obywateli Republiki Loomis.

ROZDZIAŁ XXXVI



Zatem oczekuję, że zjawisz się wraz z matką na obiedzie w środę – powiedziała Sinead Patricia O’Daley Terekhov do swojego minikompa. – Jeśli się spóźnisz się, dam wasze porcje Alwinowi i Theodorze – dodała stanowczo. – Wiesz, jak bardzo owczarki niemieckie lubią pieczoną wołowinę, a Theodora powinna się oszczenić w przyszłym tygodniu. Je teraz za jedenaścioro i bardzo pilnuje posiłków. Wczoraj wieczorem zjadła mi dwa buty, z różnych par oczywiście! Tak więc na pewno nie pogardzi waszą wołowiną Wellington, jeśli nie będziecie na czas, Charley!

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie reakcję brata, gdy odsłucha wiadomość z poczty głosowej. W tej chwili był na Gryphonie, co nie dawało szans na rozmowę w czasie rzeczywistym nawet przy użyciu istniejącego między Manticore A i Manticore B łącza nadświatlnego. Miała jednak dość czasu, aby przekazać wiadomość na pokładzie jednostki kurierskiej Admiralicji. Zwykły sygnał potrzebował prawie jedenastu godzin na pokonanie odległości pomiędzy dwoma komponentami binarnego układu Manticore, podczas gdy jednostki kurierskie, które zgodnie z rozkładem kursowały w obu kierunkach co cztery godziny, a w razie potrzeby nawet częściej, pokonywały tę trasę w pół godziny. Korzystano z nich po części dla bezpiecznego przekazywania tajnych i poufnych materiałów, które w RMN z reguły doręczano osobiście. Przy rutynowych przekazach, kiedy nikomu się nie spieszyło ani wiadomości nie były szczególnej wagi, łącze laserowe było tańsze, chociaż niewiele, zważywszy na potrzebną do jego utrzymania infrastrukturę.

Kolejną zaletą kurierów Admiralicji była ich dostępność dla personelu marynarki wojennej i ich rodzin. Przesyłki i wiadomości elektroniczne były przyjmowane na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. Sinead już skorzystała z tego rano.

Jutro wypadały urodziny kapitan Ginger Lewis, a Aivars wspomniał swojej żonie o jej hobby. Zapewne nie było nic dziwnego w tym, że ktoś, kto spędził całą karierę w dziale inżynieryjnym, pasjonował się modelarstwem oraz tworzeniem i malowaniem figurek. Dlaczego ich nie drukowała, tylko pracowicie rzeźbiła w wosku, potem robiła staromodne formy i napelniała je żywicą, pozostawało dla Aivarsa tajemnicą, ale Sinead doskonale ją rozumiała. Kochała męża, wiedziała, jak bardzo ceni jej twórczość i że jest jednym z jej największych

wielbicieli, ale po prostu nie rozumiał, jak wygląda proces twórczy. Nie pojmował czystej zmysłowej satysfakcji związanej z ręczną robotą i powolnym rodzeniem się czegoś pięknego. Programowanie drukarki to nie to samo. Sinead znała sprawę od podszewki, bo podobnie lubowała się w rękodziele. I dlatego poświęciła prawie tydzień, pociągając przy tym za różne sznurki wraz ze starym przyjacielem rodziny z Wydziału Budowy Okrętów, aby przygotować porządny zestaw do budowy HMS *Wayfarer*.

Oficjalnie statki-pułapki typu *Caravan* były wciąż zaliczane do konstrukcji tajnych. Sinead zupełnie nie pojmowała dlaczego. Uzbrojenie i osiągi przebudowanych frachtowców zostały ujawnione prasie wkrótce po powrocie księżnej Harrington z Silesii, szczegółowe schematy podstawowego wariantu sprzed konwersji zaś były już od dawna dostępne w wielu wydawnictwach, z *Jayne's* włącznie. Ale nie! Marynarka postanowiła, że pochodzący sprzed czternastu lat projekt ma być tajny, może nawet po wieki wieków.

Na szczęście były na to sposoby. Kapitan Fenris zgodził się udostępnić niezbędne informacje jednemu ze swoich starszych sierżantów, który przygotował części do budowy szczegółowego modelu o długości powyżej półtora metra. Z białego tworzywa, aby ułatwić precyzyjne pomalowanie.



Wydrukowane na podstawie oryginalnej dokumentacji części zostały spakowane na płasko do pudła długiego na dwa metry, szerokiego na siedemdziesiąt pięć centymetrów i wysokiego na pięćdziesiąt. Całość ważyła prawie trzydzieści kilogramów. Składanie tego modelu i malowanie go powinno zająć Ginger Lewis długie tygodnie i Sinead oczekiwała niecierpliwie jej reakcji na podarunek.

Ukończony model byłby zbyt duży, aby trzymać go na okręcie, gdzie nigdy nie było zbyt wiele miejsca, ale nowa kwatera Ginger na pokładzie HMSS *Weyland*, głównej stacji kosmicznej znajdującej się na orbicie Gryphona, była znacznie obszerniejsza. W ostateczności mogłaby też zawieźć model do domu, na powierzchnię planety, ale Sinead wpadła już na pomysł, gdzie prezentowałby się najlepiej podczas kolejnego przydziału Ginger. Gdy kapitan Fenris zgodził się na przekazanie informacji potrzebnych do stworzenia modelu, Sinead skontaktowała się z komandorem Leschinskym, który pełnił funkcję dziekana Wydziału Historii na wyspie Saganami, i zasugerowała mu, że najwyższa pora, aby jednostki typu *Caravan*, a w szczególności *Wayfarer*, najbardziej znana spośród nich, były odpowiednio reprezentowane w muzeum Akademii. To zaś,

że model został zbudowany przez jednego z żyjących inżynierów pokładowych *Wayfarera* (z dwudziestu jeden, przy czym chodziło o jedyne odznaczonego Krzyżem Osterman, i to właśnie za ostatnią walkę *Wayfarera*), przydawałoby mu jeszcze znaczenia historycznego.

Dorastanie w rodzinie z tradycjami miało swoje zalety, pomyślała Sinead. Zwłaszcza jeśli można było wykorzystać to dla sprawienia niespodzianki Ginger Lewis.

Sinead rozumiała, dlaczego Aivars tak bardzo polubił Ginger. Niektóre żony miałyby sporo przeciwko relacjom mężów z tak atrakcyjną młodą kobietą, ale Sinead widziała to inaczej. Ginger mogła kojarzyć się Aivarsowi z nią samą, kolorem włosów i cerą, smukłą, ale mocną budową. W sumie Ginger mogłaby uchodzić za jej młodszą siostrę... albo i córkę.

Sinead zacisnęła na chwilę usta, ale zaraz wciągnęła głęboko powietrze i potrząsnęła głową, odganiając złe wspomnienia. Tak, pojmowała, dlaczego jej mąż tak interesował się młodymi kobietami. Nie tylko Ginger Lewis, ale także Abigail Hearn, Helen Zilwicką... albo Ragnhild Pavletic. I nie, nie było w tym niczego romantycznego, żadnego seksualnego podtekstu.

Naprawdę powinnam opowiedzieć Ginger o Nast'ce, gdy tylko znowu się zobaczymy, pomyślała. A to nastąpi pewnie wkrótce. Jest na tyle silna, że nie poczuje się urażona, nie uzna, że jest tylko czymś substytutem, więc tym bardziej powinna znać ten kontekst. Poza tym da mi to pretekst, aby obejrzeć *Weylanda*! – uśmiechnęła się nagle.

Wiceadmirał Claudio Faraday, który niedawno przejął dowodzenie w głównym centrum badawczo-rozwojowym RMN, był kolejnym dawno niewidzianym kuzynem O'Daley. Jeśli wybierze się na jednodniową wycieczkę do Manticore B, zostanie pewnie zaproszona na lunch na *Weylanda*, i byłoby dobrze, gdyby Ginger i młody Paul d'Arezzo też wzięli w nim udział. Claudio niemal na pewno chciałby ich widzieć, bo przecież musiał wiedzieć, że oboje byli z Aivarsem w układzie Monica. Zacieśnienie prywatnych więzów z dowódcą mogłoby nawet pomóc im nieco w karierze.

Tak, to świetny pomysł, uznała z uśmiechem. I sądząc z tego, co napomykał Aivars, zapewne będzie mogła podpuścić trochę Paula w sprawie Helen. Czy Ginger będzie skłonna jej pomóc? Czy też zachowa się jak poważny wyższy oficer i będzie raczej osłaniać Paula przed ostrzałem?

Sinead parsknęła śmiechem, po czym zerknęła na wyświetlacz zegara na przedniej grodzi wahadłowca. Start przeciągnął się o dwadzieścia minut i byli trochę spóźnieni, ale za niecałe pół godziny powinni zadokować przy *Hephaestusie*. Formalnie rzecz biorąc, po awansie Aivarsa i jego przeniesieniu do gromady Talbott nic już nie łączyło Sinead z rodzinami załogi *Hexapumy*.

Ansten FitzGerald był jednak kawalerem. Amal Nagchaudhuri, jego pierwszy oficer, miał żonę, ale Rebecca Nagchaudhuri była profesorem fizyki nadprzestrzennej i krótko przed rejsem *Hexapumy* przyjęła roczny kontrakt wykładowcy w Clemson University na Starej Ziemi. Nikt nie oczekiwał, że krążownik wróci tak szybko, możliwość nauczania zaś na jednej z najlepszych uczelni Ligi Solarnej nie trafiała się często. Kontrakt kończył się za kilka miesięcy, potem żona Amala miała wrócić wraz z dwoma synami na Manticore. Jednak póki co żaden z wyższych oficerów nie mógł się pochwalić żoną ani narzeczoną, która zwolniłaby Sinead z jej obowiązków. Inżynier pokładowy porucznik komandor Brenda Howell, która została oficjalnie skierowana do opieki nad rodzinami personelu okrętu, robiła, co mogła, ale miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Była więc trochę za młoda na takie obowiązki, dlatego Sinead zgodziła się działać aż do powrotu Rebekki.

Tak, jasne! Ależ jesteś ofiarna, Sinead! Co za poświęcenie! Świetnie wiesz, że będzie ci tego brakowało, pomyślała. Rebecca wróci i skończy się wielkie matkowanie.

Cóż, może i tak, ale nie zamierzała głośno się do tego przyznawać. Zwłaszcza że za kilka godzin miała zaplanowany obiad z Anstenem, jego oficerami i co najmniej trzydziestoma osobnikami z klubu *Hexapumy*. I najpewniej usłyszysz od oficerów, jaka to wielka szkoda, że *Paskudne Kociątko* nie miało szansy na udział pod Aivarsem w bitwie o Spindle.

Gigantyczna porażka, jaką poniosła tam Sandra Crandall w spotkaniu z admirał Gold Peak, porażka nazywana przez media wręcz „anihilacją” (niezbyt zgodnie z prawdą, gdyż wiele jednostek po prostu się poddało), nadal budziła wiele komentarzy w marynarce wojennej. Nikt nie wiedział dokładnie, co się działo po stronie solarnych, gdy wieść o zdarzeniu dotarła w końcu na Starą Ziemię, a tam też musiało być ciekawie. Nic dziwnego więc, że załoga *Kociątko* bardzo chciała wreszcie wrócić do aktywnej służby.

Oparła się w fotelu, nastawiła ucha na płynącą z głośników muzykę klasyczną i spojrzała na ekran, na którym z wolna rosła sylwetka stacji. Sinead Terekhov nie potrafiłaby zliczyć, ile razy była już na pokładzie tej gigantycznej konstrukcji, gdzie zawsze coś się działo. Jako dziewczynka odwiedzała pracującego tam ojca. Wtedy jeszcze *Hephaestus* był znacznie mniejszy, plan rozbudowy został wdrożony dopiero za króla Rogera. Ale i tak krótkie wypady na stację były jej ulubioną rozrywką. Gdy doszło do wojny z Ludową Republiką Haven, rosnące potrzeby spowodowały dalszą rozbudowę, dzięki czemu starsza i mądrzejsza Sinead nadal miała co oglądać.

Obecnie stacja nie była już po prostu ogromna. Stała się czymś wręcz niesamowitym. Jej centralna część była długa na ponad sto dziesięć kilometrów, a odgałęzienia i nadbudowy rozchodziły się w każdym kierunku. Najdłuższe z tych ramion miało sześćdziesiąt kilometrów, ale nie miało już długo pozostawać rekordzistą. Cała ogromna i ciągle rozwijająca się aglomeracja modułów przemysłowych, habitatów, stoczni, szpitali, ciągów komunikacyjnych, najróżniejszych przestrzeni biurowych i terminali towarowych rozrastała się w pozornym chaosie, jaki możliwy jest tylko w stanie nieważkości. Niemniej *Hephaestus* był na swój sposób piękny. Oświetlone blaskiem Manticore A elementy konstrukcji kontrastowały z czarnymi polami, gdzie światło gwiazdy nie docierało. Całość migotała dodatkowo światłami ostrzegawczymi, sygnalizatorami nawigacyjnymi i markerami stanowisk dokowania, tworząc jakby osobną orbitalną galaktykę. Patrząc z daleka, trudno było jednak uwierzyć, że to nie dziecięcy model, ale wielkie miasto z ponad dwoma milionami mieszkańców. Sinead zastanawiała się, jak wielu spośród nich zdarzało się przystanąć w codziennej krzątaninie i spojrzeć wokół na swoisty nowoczesny cud, jakim był *Hephaestus*.

Może nie mają do tego skłonności, pomyślała. Ale jeśli tak, to goście wyręczają ich w tym zawiązką!



– Kurwa, co to było?!

Jansen Mandrapilias, trzeci oficer tankowca *Bernike*, poderwał głowę znad uaktualnianego właśnie manifestu. Jednostka znajdowała się już 691 milionów kilometrów od *Hephaestusa* i przyspieszała w kolejnym dwumiesięcznym rejsie do rafinerii orbitalnej *Drako 7*, znajdującej się na orbicie środkowego z trzech gigantów gazowych układu Manticore A. Regularne kursy tam i z powrotem między *Drako* a *Hephaestusem* były zasadniczo dość nudne, ale dawały pewną satysfakcję z dobrze wykonywanej pracy.

Poza tym Jansen zdobył uprawnienia wachtowego dopiero w grudniu ubiegłego roku, ledwie dwa miesiące temu, więc dla niego wciąż jeszcze było to coś nowego. Zwłaszcza że skipper zdecydował tym razem, że „pan Mandrapilias” przejmie wachtę zaraz po odejściu statku z obszaru *Hephaestusa*. Zinaida Merkulov, która trzymała wachtę na czujnikach, była ponad dwa razy starsza od niego i ostentacyjnie niczemu się nie dziwiła. Mandrapilias przypuszczał po cichu, że skipper kazał jej mieć oko na młodego. Możliwe, zwłaszcza że Zinaida była żywą legendą w Kartelu Hauptmana i właściwie już z dziesięć lat temu powinna odejść na emeryturę.

Ale chętni do odesłania jej do domku z ogródkiem byli wciąż niepokieszeni, ponieważ co roku przechodziła śpiewająco wszystkie wewnętrzne testy sprawności. Ostatnio nawet nieco się wkurzyła, zająwszy trzecią, a nie pierwszą lokatę.

Jansena Mandrapiliasa w pewnych sytuacjach obdarzała przezwiskiem „Sonny”.

Na niektórych jednostkach mogłoby to prowadzić do problemów z dyscypliną, ale nie tutaj i nie z Merkulovą na pokładzie. Była do bólu kompetentna i całkowicie opanowana i to właśnie sprawiało, że jej nagły okrzyk był wręcz szokujący.

– Co takiego? – spytał Jansen, ale go zignorowała.

W zawrotnym tempie wprowadzała na swojej konsoli jakieś dane. Potem odwróciła się do Cathala Viñasa, wachtowego sternika.

– Ostry zwrot na jeden-dwa-pięć, dziewięć-siedem-zero! – zawołała. – Teraz!

Jansen otworzył usta ze zdumienia, ale Cathal znał Zinaidę dłużej niż Jansen Mandrapiliasa i wiedział, że nie ma czasu na pytania.

Poruszył kilka razy joystickiem, zmuszając tankowiec o masie sześciu milionów ton do wejścia w ciasną cyrkulację w prawo. Zdecydowane zejście z zaplanowanego kursu uruchomiło przenikliwe sygnały ostrzegawcze. Jansen pomyślał, że zarząd firmy na pewno się wkurzy, bo za coś takiego kontrola obszaru mogła przysolić im potężną grzywnę. Jeśli to zrobi, on sam wypłaci się pewnie dopiero w wieku Merkulovej!

– Zinaida, do cholery, co ty...

Przerwał mu sygnał kolejnego alarmu i Jansen spojrział na własny panel. Dotąd słyszał ten dwutonowy dźwięk tylko na szkoleniach i nie dowierzał, że coś takiego może dziać się naprawdę.

A jednak.

Coś uderzyło w denny ekran impellerowy *Bernike* i uległo zniszczeniu, wyzwolona energia zaś wskazywała, iż obiekt poruszał się z prędkością kilkuset tysięcy kilometrów na sekundę. Drugi obiekt ominął ekran o włos i na niemal kolizyjnym kursie minął potężny kadłub w odległości około 60 kilometrów. Spotkanie trwało jakieś pięć tysięcznych sekundy, po czym obiekt zniknął. Jego wyliczona później prędkość wynosiła 60 tysięcy kilometrów na sekundę.

Alarm kolizyjny brzmiał jednak dalej i Mandrapiliasa dopiero teraz poczuł strach. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko i układ nerwowy nie zareagował wcześniej. Spojrział na Zinaidę.

– Co to, kurwa, było? – spytał.

Wtedy jeszcze tego nie wiedział i nigdy sobie nie wybaczył, że nie zgłosił od razu zdarzenia do kontroli obszaru. Nie, żeby trzy i pół minuty wiele zmieniło...



Względnie niewielkie układy planetarne i tak są ogromnymi obszarami próżni, w których każda jednostka kosmiczna wydaje się maleńkim pyłkiem. Dlatego kolizje zdarzają się niezmiernie rzadko, nawet na uczęszczanych szlakach żeglugowych. Ich prawdopodobieństwo zmniejszyło jeszcze pojawienie się napędu impellerowego, którego sygnatura jest jednym z najlepiej widocznych sygnałów w całym kosmosie. Co więcej, przestrzeń układowa pozostawała pod nieustannym nadzorem kontroli astro, mającej oko na cały cywilny i wojskowy ruch w okolicy Manticore.

Intruzi, którzy wtargnęli w głąb układu z jedną piątą prędkości światła i dotarli do uczęszczanego szlaku wiodącego do Draco, nie przejmowali się jednak kontrolą astro. Ich jednostki nie korzystały z napędu impellerowego. Były wyposażone w napęd, o którym RMN nigdy jeszcze nie słyszała, i mała była szansa, aby dowolny moduł czujników był w stanie go wykryć. Zwłaszcza gdy chodziło o cywilne czujniki. Owszem, tu i ówdzie pojawiał się ślad anomalii grawitacyjnych i na to właśnie zwróciła uwagę Zinaida Merkulov. Z początku nie widziała powodów do niepokoju, była tylko ciekawa, na co właściwie trafiła, dlatego uruchomiła sensory, które Klaus Hauptman był uprzejmy zamontować na tankowcu specjalnie dla niej.

Tak naprawdę nie „widziała” nawet nadciągających graserowych torped. Ustaliła jedynie, że te anomalie grawitacyjne poruszały się z dużą prędkością. Gdy przeliczyła ich orbite, okazało się, że szły kursem kolizyjnym na statek. I zareagowała.

Reszta podwójnego układu Manticore nie miała tyle szczęścia.



Sinead patrzyła akurat wtedy na ekran.

Wahadłowiec znajdował się nieco ponad 100 tysięcy kilometrów od *Hephaestusa*, ale obiektywy kamer przybliżyły jego obraz i wydawał się całkiem blisko. Torped, które minęły *Bernike*, nie było widać. Nawet gdyby nie zostały zaprojektowane jako praktycznie niewidzialne, były zbyt małe i znajdowały się za daleko. Idące za nimi pociski raketowe były nieco łatwiejsze do wychwycenia, ale leciały po orbicie balistycznej. Pozostawione przez zespół Oyster Bay po prostu opadały ku swoim celom, podczas gdy torpedy przyspieszały dzięki napędowi pajęczemu.

Nie tylko Sinead ich nie dostrzegła. Nikt ich nie widział, aż było za późno. Dla milionów

ludzi zdecydowanie za późno.

Grupa admirała Topoleva wnikała w głąb układu przez ponad miesiąc, aż dotarła do punktu uwolnienia pocisków, który znajdował się w odległości tygodnia świetlnego od Manticore. Po uwolnieniu ładunku zniknęła bez śladu w nadprzestrzeni, podczas gdy rakiety i torpedy dalej się poruszały z nadaną im początkowo prędkością, wynoszącą dwadzieścia procent prędkości światła w odniesieniu do Manticore A. Specjalne czepce chroniły głowice i sensory przed erozją wywoływaną przez pył kosmiczny. Po dotarciu do wyznaczonego punktu czepce zostały odrzucone i układy sterujące uaktualniły swoje dane dzięki przekazom od wcześniej wysłanych i całkiem niemożliwych do wytropienia sond. Potem uaktualniły także namiary celów.

Głowice torped detonowały w odległości pół miliona kilometrów od stacji. Sinead Terekhov krzyknęła z przerażenia, gdy HMSS *Hephaestus* zaczął się rozpadać.

Przy swoich rozmiarach stacja nie uległa po prostu dezintegracji. Promienie graserów potężniejszych niż montowane zwykle na ciężkich krążownikach zaczęły orać całkiem nieopancerzoną, cywilną konstrukcję, celowo przesuwając się po osi wzdłużnej, aby odciąć jak najwięcej odgałęzień. Trwało aż trzy sekundy, nim się wypaliły, przy czym torpedy stale zbliżały się do stacji z prędkością 60 tysięcy kilometrów na sekundę.

Promienie graserów weszły w *Hephaestusa* niczym piła łańcuchowa w masło. I podobny był też efekt. Miejsca trafień wyrzucały całe chmury szczątków, niektóre wielkie jak krążowniki liniowe. Wtórne eksplozje reaktorów fuzyjnych pustoszyły całe sekcje. Nie były to tylko reaktory samej stacji, eksplodowały także siłownie dziesiątków zacumowanych tu statków i okrętów wojennych. Tych, które oczekiwały na załadunek albo wyładunek, remontowanych, w przeglądach. Jeden po drugim zmieniały się w małe słońca.

Wtórne eksplozje rozchodziły się coraz dalej od szram po graserach niczym płomienie ogarniające konary drzewa. Rosły, splatały się, wychodziły sobie naprzeciw, aż cała stacja rozgorzała blaskiem mogącym chwilowo konkurować z samą gwiazdą Manticore A.

Wahadłowiec Sinead zakołysał się, gdy pilot próbował odgrodzić się ekranem od puchnącego bąbla szczątków. Stabilizowane automatycznie kamery pokazywały jednak dalej ten sam obraz zniszczenia, rozlewającej się w próżni piekielnej lawy. Sinead O'Daley Terekhov przycisnęła dłonie do ust, łzy napłynęły jej do oczu. Łkając rozpaczliwie, patrzyła, jak znika HMSS *Hephaestus*, największe centrum przemysłowe Gwiezdnego Królestwa Manticore, miejsce pracy i zamieszkania ponad dwóch milionów ludzi... w tym całej załogi HMS

Hexapuma.

ROZDZIAŁ XXXVII



To wszystko? – spytał Adam Šiml, odchylając się do tyłu na swoim krześle.

Ton jego głosu wyrażał taką cierpiętniczą rezygnację, że Marián Sulák parsknął śmiechem. Znał Šimla od ponad czterdziestu lat i wiedział, że cierpliwość przyjaciela była na wyczerpaniu.

– Adam, jak chcesz, możesz się już stąd zabierać. Resztę można obgadać przez komunikator. Chociaż dla kogoś z twoją pozycją to powinna być bułka z masłem. Jak wytrzymałeś te wszystkie lata na uczelni?

Šiml spojrział na niego z pozorną urazą, ale i z uśmiechem w oczach.

– Wiesz, Marián, nie siedziałem tyle czasu na Zeleným Kopcu dla twoich pięknych oczu. Obecnie jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Już pół godziny temu powinienem wystartować do Velehradu!

– Tak, powinienes. A teraz spójrz na Hanę i powiedz jej prosto w twarz, że ten chłopiec, który kiedyś tak lubił bawić się modelami, wcale nie cieszy się z tego spotkania.

Šiml spojrział ponad stołem na Hanę Káňovą, mocno zbudowaną szefową działu konstrukcyjnego regionalnej rady Sokola w okręgu Zelený Kopec. Niedysiejsza mistrzyni planety w szermierce znała go znacznie krócej niż Sulák, zaledwie dwadzieścia lat, ale raczej nie oczekiwała, że będzie skłonny podjąć wyzwanie Mariána. Miał wrażenie... nie, właściwie był pewien, że nie była zachwycona pochodzeniem funduszy spływających na konto Sokola, ale cieszyła się, że wreszcie będzie mogła podjąć od dawna planowane prace budowlane oraz remontowe. W tym przypadku zajmowała się jednym i drugim.

– Właściwie... – Šiml wskazał oskarżycielsko na młodego mężczyznę siedzącego obok niego. – To wina Ondřeja. Nie powinien przynosić tych planów na konferencję.

– Myślałem, że chodziło panu właśnie o to, abym je przyniósł – odezwał się asystent Káňovej. Poza tym, że był jej asystentem, był także jej siostrzeńcem i Šiml znał go, odkąd chłopak miał piętnaście lat. W Sokolu starano się unikać nepotyzmu, ale na Chotěborze było to bardzo trudne. Nepotyzm i kolesiostwo były tu częścią codzienności. Szczęśliwie w przypadku Ondřeja Bileja konflikt interesów nie występował, gdyż Bilej był jednym z najlepszych architektów, jakich zdarzyło się Šimlowi spotkać, i miał szczególnie dobrą rękę do obiektów sportowych.

Nawet jeśli czasem wychodził z niego mędrak.

– To nie ma nic do rzeczy, młody! – stwierdził Šiml. – Znasz moje słabości! Jako obowiązkowy pracownik Sokola powinieneś podjąć wszelkie kroki, aby chronić mój harmonogram, a nie podsuwać mi pokusy, którym na pewno ulegnę, rujnując jednocześnie wszystkie plany!

Wskazał palcem na holograficzny model nowego wielofunkcyjnego kompleksu z czterema boiskami do piłki nożnej z własnymi trybunami, dwiema salami gimnastycznymi, sześcioma kortami tenisowymi i dwoma basenami o wymiarach, które wciąż nazywano olimpijskimi. Kompleks miał zastąpić aż trzy inne obiekty w Zeleným Kopcu, pochodzące sprzed epidemii i bliskie ruiny. Całość miała kosztować kilka milionów kredytów, ale gruntowny remont starych obiektów i tak pochłonąłby więcej. W zwykłych okolicznościach musieliby próbować je łączyć, wykorzystując wyszarpięte z budżetu drobne sumy, ale zajęłoby to dziesięć do piętnastu lat. W nowych realiach jego „serdeczny” przyjaciel Sabatino zgodził się sfinansować w całości realizację projektu.

– Szczerze mówiąc, nie przyszło mi do głowy, że będzie pan miał tyle pytań – powiedział z uśmiechem Bilej. – A muszę przyznać, że lubię wyjaśniać różne detale. Tak więc naprawdę sądzę, że to trochę nie fair czynić mnie jedynym winnym.

– Chyba nie oczekujesz, że przyzna ci rację – zaśmiał się Marián. – Adam nie uznaje ograniczeń nakładanych nań przez innych śmiertelników. Gdyby nie Květa, nigdy i nigdzie nie zdążyłby na czas!

– To nieprawda! – zaprotestował Šiml. – Raz zjawiłem się nawet wcześniej. To było trzy lata temu, chyba na zebraniu wydziału. Květa nie miała z tym nic wspólnego...

Nagle na zewnątrz budynku rozległa się ogłuszająca eksplozja, od której szyby o mało nie wyleciały i która spustoszyła kompletnie parking służbowy przed budynkiem biurowym Sokola w Zeleným Kopcu.



– Adam! – Karl-Heinz Sabatino wyciągnął rękę, gdy Šiml zszedł do płytko zagłębionego, ogromnego salonu. – Mój Boże! Mogłeś zginąć!

– Wiem. – Šiml chwycił jego dłoń i uściśnął mocno. – I muszę przyznać, że tego nie oczekiwałem. Nikt się tego nie spodziewał.

Uśmiechnął się, gdy Sabatino puścił jego rękę i wskazał jeden z wielkich foteli przy oknie,

za którym malowała się panorama stolicy. Znajdowali się w Zlatobýl Tower, w samym sercu Velehradu. Był to najwyższy budynek w mieście, roczny czynsz za zajmujący całe piętro apartament Sabatina zaś wystarczyłby na dwa takie kompleksy sportowe jak w Zeleným Kopcu.

Jednak tego dnia za oknem było szaro i niewiele było do podziwiania. Nad miastem sunęły ciemne chmury, po szybach z krystoplastu spływały krople przedpołudniowego deszczu. Między wieżowcami po drugiej stronie Náměstí Žlutých Růží co rusz pojawiały się błyskawice, a huk gromów był na tyle donośny, że było go słychać nawet w dobrze wyciszonym mieszkaniu. Sabatino zerknął na zewnątrz i pokręcił głową.

– Chyba jednak powinniśmy to przewidzieć – powiedział. Spojrzał znowu na Šimla i rysy jego twarzy stwardniały. – Polityka może być grą o wiele bardziej niebezpieczną niż wszystko, czym zajmuje się Sokol. Przyznaję, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że coś takiego może się zdarzyć, ale pewnie powinniśmy brać pod uwagę, że niektórzy gracze nie przejmują się zasadami.

– Wiesz, tak naprawdę jest pewne, aczkolwiek niewielkie prawdopodobieństwo, że to była sprawa czysto osobista – odpowiedział Šiml. Sabatino spojrział na niego sceptycznie i Chotěborzanin wzruszył ramionami. – Nie twierdzą, że ludzie przestali mnie lubić, ale bywało już, że ktoś się na mnie mocno wkurzył. Nie zapominaj też, co niektórzy myśleli o mnie kiedyś, gdy mimo wielkich nadziei zabrakło lekarstwa na zarazę komarową. – Pokręcił głową z goryczą. – Ciężko winić ludzi, którzy stracili bliskich, że mieli takie myśli. Zwłaszcza po tym, gdy Jan zrobił ze mnie kozła ofiarnego. Myślałem, że to już zatarło się w pamięci. I chyba rzeczywiście, jeśli spojrzeć na rankingi i doniesienia polityczne. Ale ktoś zawsze mógł się zawziąć...

– Dziwne, że o tym wspominasz – mruknął Sabatino i zaśmiał się, gdy Šiml uniósł brwi. – Właśnie w ten sposób próbował wyjaśnić mi to Cabrnach.

– No, coś musiał powiedzieć – zauważył Šiml. – A prawdę mówiąc... chociaż po nim prawdy akurat się nie spodziewam, nic na razie nie wiemy. Śledztwo dopiero się zaczęło i chyba póki co on nie wie o tym więcej niż ty czy ja.

Sabatino zaśmiał się krótko i spojrział na szalejącą za oknem burzę. Najwyraźniej podejrzewał, że Jan Cabrnach wiedział tak naprawdę, kto podłożył bombę w całkiem nowej limuzynie, którą Sabatino dostarczył Adamowi Šimlowi.

– No cóż, zobaczymy, co przyniesie jego „śledztwo” – powiedział poważnym tonem. – Poprosiłem, aby Gunnar był informowany o jego postępie. Osobiście informowany.

Šiml znowu uniósł brwi. Gunnar Castelbranco, szef bezpieczeństwa w Kumangu, działający dla Frogmore-Wellington i Iwahary, był twardym, bezwzględny i niezbyt miłym, ale bardzo inteligentnym gościem. Na pewno gotów był zrobić wszystko, aby zadowolić szefa, i nie zamierzał się przejmować, komu przy tym ewentualnie nadeprnie na odcisk. Zapewne wiedział wszystko o politycznych trupach pochowanych w różnych szafach Cabrnocha. Należało oczekiwać, że nikt w tej ekipie nie zlekceważy Castelbranca, osobiście interesującego się przebiegiem i wynikami śledztwa.

– Doceniam troskę – odpowiedział po chwili. – Ale jeśli Gunnar będzie zaglądał Cabrnochowi i Kápičce przez ramię, moje kontakty z nimi na tym ucierpią.

– Zdaję sobie z tego sprawę – potwierdził Sabatino. – Przyszło mi to nawet do głowy, zanim z nimi porozmawiałem. Ale są sprawy ważne i ważniejsze. Nie chcę, żeby coś ci się stało, Adamie, a komuś prawie się udało. – Odwrócił się od okna i uśmiechnął do gościa. – I chociaż cenię sobie naszą przyjaźń, obaj wiemy, że muszę myśleć nie tylko o tym.

Šiml spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że to rozumiem – powiedział. – Po prostu nie chcę, żebyś zbyt mocno przywiązywał się do politycznej interpretacji. Owszem, może jest trafna, ale przyznam, że w moim odczuciu raczej nikt z tego świątka nie mógłby być na mnie wystarczająco wkurzony, żeby spróbować wysadzić mnie w powietrze. Chociaż całkiem tego nie wykluczam. Doceniam, że zaangażowałaś Gunnara, ale mam też nadzieję, że nie spowoduje to... dalszego pogorszenia moich relacji z Janem. Wystarczy już tej trucizny i żadnemu z nas nie trzeba więcej.

– Sam wiesz, Adamie – odezwał się Sabatino przy wtórze kolejnego grzmotu, który przetoczył się nad miastem – że wasza relacja stała się toksyczna w chwili, gdy usunął cię z rządu. To, że zacząłem przekazywać fundusze Sokolowi, nie mogło już wiele popsuć. – Pokręcił głową. – Niezależnie od tego, czy maczał w tym palce czy nie, tańczyłby z radości, gdyby ten zamach się powiódł, i o tym też świetnie wiesz. W tych okolicznościach uświadomienie mu, że... zamierzam cię chronić, może przynieść najpewniej więcej korzyści niż strat.

– Po prostu nie chcę, żeby to skomplikowało nasze plany.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Może nawet ta sytuacja wyklaruje nasze priorytety – zauważył Sabatino. – A poza tym... – Obejrzał się, gdy służba pokojowa stanęła w otwartych drzwiach salonu i zapukała lekko we framugę. – Widzę, że kolacja gotowa. Rozmowa poczeka, aż zjemy. Poprosiłem też Gunnara, aby wpadł do mnie po kolacji i przedstawił ci pomysł na

ochronę twojej osoby. – Šiml otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Sabatino potrząsnął głową. – Nie mówię o żadnym z naszych ludzi. Nie chcę, aby kojarzono cię za bardzo z wpływami z zewnątrz. No i jestem pewien, że wolałbyś nie mieć wciąż na karku ochroniarza, który chodziłby za tobą krok w krok. Ale ten, kto próbował cię zabić, może spróbować po raz drugi, może nawet trzeci. Wystarczy, że raz dopisze mu szczęście. Z drugiej strony, ponieważ to była próba zabójstwa, nie przypuszczam, aby ktokolwiek z twoich przyjaciół w Sokolu czy gdziekolwiek indziej miał wątpliwości, że trzeba zacząć jakoś cię chronić. Bądź przygotowany, że postaram się coś w tej sprawie zrobić. – Wstał i zanim Šiml zdążył zareagować, położył mu rękę na ramieniu. – A teraz chodź jeść, zanim kolacja wystygnie – powiedział.



– Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli osobiście z tobą porozmawiam – powiedział minister bezpieczeństwa publicznego Kápička.

Minęło pięć dni od wybuchu, który zniszczył limuzynę Šimla stojącą na parkingu dla pracowników Zielonego Kopca. Zdemolował także samochody należące do Mariána Suláka i Hany Káňovej, oba na szczęście puste.

– A dlaczego nie przez komunikator, Danielu? – Šiml przechylił głowę. – Przecież znasz mój numer – zauważył łagodnym tonem.

– Owszem – zgodził się Kápička. – Ale to nie sprawa osobista, Adamie. Tym razem nie chodzi o futbol.

– Tak też podejrzewałem – mruknął Šiml. – Staralem się ciebie do tego nie mieszać.

– Doceniam ten wysiłek, ale to część moich obowiązków. – Kápička wydawał się jakiś spięty. – Nasi specjaliści zakończyli analizę szczątków po wybuchu. Właściwie już wczoraj, ale poprosiłem Jaromíra Lepiča, aby powtórzył wszystkie testy. Dostałem od niego wyniki około dwudziestu minut temu, teraz zapewne przekazuje je Gunnarowi Castelbrancowi. Poprosiłem też, aby kapitan Price przesłał je do wiadomości administratorowi układowemu Vernerowi.

– To wszystko brzmi dość złowieszczo.

– Sprawa wygląda bardzo niezręcznie, a może być jeszcze gorzej – powiedział Kápička. – Według specjalistów bomba, która zniszczyła twoją limuzynę, pochodziła z naszych magazynów.

– Naszych? Jakich naszych?

– SBP – westchnął Kápička.

– Co? – Šiml wyprostował się na krześle. – To była bomba Sił Bezpieczeństwa

Publicznego?!

– Nie – odparł pospiesznie Kápička. – Przysięgam ci, że nikt z Bezpieczeństwa Publicznego nie miał z tym nic wspólnego! A gdyby nawet, to musiałby działać z własnej inicjatywy, kierując się prywatnymi motywami – dodał, siląc się na szczerość. – Nie udało mi się jednak znaleźć tu nikogo, kto mógłby chcieć cię skrzywdzić. Już wczoraj, gdy dostałem pierwszy raport, przejrzałem nasze akta pod tym kątem. Mówię całkiem serio. – Pokręcił głową. – Nie. Materiały wybuchowe zostały wyprodukowane dla naszych oddziałów specjalnych, ale wygląda na to, że ktoś je ukradł.

– Ukradł – powtórzył Šiml, a Kápička machnął ręką.

– Wiem, jak to brzmi. Ale żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy. – Przerwał na moment. – Niestety miewamy takie problemy. Ze sprzętem, czasem z bronią. Trafiają niekiedy na czarny rynek. Staramy się tego nie nagłaśniać, ale to się zdarza. Sądząc po ustaleniach Lepiča, to kolejna sprawa tego typu.

– Rozumiem. – Šiml przyglądał mu się przez kilka sekund, po czym wzruszył ramionami. – Nie będę udawać, że mi się to podoba. Z wielu powodów.

– Wiem. I nawet ci się nie dziwię. – Kápička zaśmiał się gorzko. – Nie sądzę też, aby Castelbranco był z tego powodu szczęśliwy. Ale naprawdę próbowałem rzecz wyjaśnić i nie znalazłem absolutnie żadnego dowodu, że... ktokolwiek ze służb rządowych miał coś wspólnego z tym wybuchem.

Šiml wiedział, że gdyby pójść o krok dalej, musiałyby paść takie nazwiska, jak Cabrnoch czy Žďárská. Uznał, że z takim wyrazem twarzy jego rozmówca był albo naprawdę całkowicie szczerzy, albo był jednym z najlepszych aktorów, jakich Šiml w życiu widział.

Całkiem możliwe, że w grę wchodziło jedno i drugie.

– No cóż – powiedział wreszcie. – Doceniam, że mnie informujesz. I rozumiem, dlaczego chciałeś to zrobić osobiście. Wiem, że wiele osób patrzy ci w tej sprawie na ręce, ale bardzo proszę, abyś w przypadku odkrycia czegoś więcej zaraz mi to przekazał. Kto wie, czym jeszcze dysponują ci, którzy próbowali mnie zabić. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Oczywiście, że rozumiem! – Kápička pokiwał głową. – I obiecuję ci, że cokolwiek do mnie dotrze, zaraz ci przekażę.

– Dziękuję, Danielu. To też doceniam. Jestem pewien, że jesteś teraz bardzo zajęty, więc nie będę ci już dłużej zabierał czasu.

– Dzięki, Adamie. Będziemy w kontakcie.

Ekran pociemniał i Šiml uśmiechnął się szeroko. Był to widok, który zdumiałby mocno Daniela Kápičkę.

Nigdy się nie dowiesz, kto sprzedał te materiały wybuchowe na czarnym rynku, pomyślał z satysfakcją. Nie dowiesz się, bo one wcale nie trafiły na czarny rynek. Dowiesz się za to, że te materiały wybuchowe znajdowały się w ciężarówce, która w zeszłym roku rozbiła się w Bílej Vodzie. A raczej miały się w niej znajdować, eksplozja zaś była na tyle silna, że nikt nie podejrzewał braków w ładunku.

W swoim czasie mieli trochę pretensji do grupy, która zaaranżowała ten wypadek. Byli ostrożni i chociaż SBP zdołała wysledzić, skąd pochodziła ta partia materiałów wybuchowych, ustalenie miejsc dostaw nastęrczało już znacznie więcej kłopotów. Nikt nie był w stanie udowodnić, że te akurat pudła znajdowały się na pokładzie rozbitej ciężarówki. Trzyosobowa komórka zaś, która odpowiadała za tę sprawę, nie miała oficjalnie nic wspólnego z transportem, materiałami wybuchowymi czy nawet grafikiem wysyłek, musiał więc zgodzić się z oceną jej lidera, że operacja wcale nie była ryzykowna. Niemniej i on, i Vilušínský zalecili zdecydowanie, aby w przyszłości nie powtarzać takich akcji. Owszem, można było zdobyć w ten sposób sporo broni i materiałów wybuchowych, ale nie były to ilości, dla których opłacałoby się podpowiadać Siminettiemu albo Kápičce, że niektórzy jego ludzie mogli mieć związek z organizacjami wywrotowymi.

Oczywiście nigdy wcześniej nie sądziliśmy, że te materiały mogą się przydać do czegoś takiego, pomyślał. W sumie aż przykro, że podsunęliśmy im taki zgryz.



– Pozwól, że postawię sprawę jasno – powiedział Karl-Heinz Sabatino do rudowłosej kobiety, której twarz widział na ekranie swojego kompa. – Bardzo, ale to bardzo mi się to nie podoba.

– Rozumiem, panie Sabatino – odparła Zuzana Žďárská. – I zapewniam, że prezydent Cabrnoch jest tym równie zbulwersowany. Ale szczerze mówiąc, o czymś takim powinien pan rozmawiać raczej z ministrem Kápi...

– Rozmawiałem już z Danielem – przerwał jej Sabatino. – Gunnar Castelbranco omówił to szczegółowo zarówno z nim, jak i z generałem Siminettim. Ale w tych okolicznościach i w celu uniknięcia nieporozumień uznałem, że zapewne dobrze będzie, jeśli wyjaśnię najważniejsze

kwestie także z panią.

Žďárská zamknęła usta. Lata praktyki w polityce pozwoliły jej zachować uprzejmy wyraz twarzy, ale w środku się gotowała i coś błysnęło w jej oczach. Sabatino to dostrzegł, ale nie widział powodów, aby się tym przejmować. Zwłaszcza że oprócz złości w tych oczach malowało się także nieco strachu.

– Dziękuję – powiedział. – Widzisz, Zuzano, starałem się zrozumieć, dlaczego ktoś chciał zabić Adama Šimla. Dlaczego właśnie jego? Chodzi o to, że wszyscy fani sportu go uwielbiają, prawda? A Sokol jest jedną z niewielu organizacji, która cieszy się naprawdę wielką popularnością. Wiem, że kiedy opuścił rząd, nie był oceniany najlepiej, ale to już przeszłość. – Spojrzał jej w oczy. – Niemniej gdy mowa o tobie, a pewnie i prezydencie Cabrnocu, ta przeszłość wydaje się wciąż mocno żywa. Zdaję sobie sprawę, że Daniel i generał Siminetti wciąż nie mogą ustalić, w jaki sposób materiały wybuchowe waszych zespołów szybkiego reagowania mogły trafić na tylne siedzenie limuzyny Adama. Jestem pewien, że bardzo starają się odkryć tę tajemnicę i nie ustają w wysiłkach ani na chwilę. – Uśmiechnął się, ale całkiem bez wesołości. – Póki co, zwracając się do ciebie jako jeden z wielu wielbicieli Adama oraz jego przyjaciół, tak, przyjaciół, a także przedstawiciel Frogmore-Wellington i Iwahary Interstellar, pragnąłbym zaznaczyć w imieniu moich pracodawców, że być może poczuję się zmuszony do... przemyślenia moich relacji z obecną administracją. Zwłaszcza jeśli lokalne władze nie zdołają zapobiec morderstwu znanego filantropa, takiego jak Adam Šiml. Śmierć kogoś, kto stał się dla nas najważniejszą postacią, dzięki której poznajemy potrzeby i problemy społeczeństwa Chotěbořu, i kto pomaga korporacjom przyczyniać się poprzez działalność charytatywną do poprawy warunków życia na tej planecie, byłaby dla mnie czymś do nie zaakceptowania. – Znowu się uśmiechnął, tym razem nad wyraz chłodno. – Ufam, że przekażesz prezydentowi, iż jestem głęboko zatroskany tą sytuacją.

ROZDZIAŁ XXXVIII



Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, Sinead. – Błękitne oczy Lisy Katherine O’Daley pociemniały, gdy ze ściągniętą smutkiem twarzą spojrzała na córkę. – Wiem, że chcesz tam lecieć, ale jeśli Aivars cię nie oczekuje...

– Na pewno mnie nie oczekuje – przerwała jej Sinead nieco spokojniejszym tonem niż ten, jakiego zwykle używała w rozmowach z matką. – Nie spodziewa się też wieści, które dotrą do niego w przyszłym tygodniu. I chcę, żeby zobaczył mnie tak szybko, jak tylko uda się to zorganizować.

– Sinead... – zaczęła Lisa, ale umilkła, widząc ból malujący się w zielonych oczach córki. Ona sama czuła podobnie, ale wiedziała, że Sinead tkwiła w tym znacznie głębiej.

Minęło trzynaście dni od tragicznego ataku, który w mediach nazywano „lutowym atakiem” albo „zagładą Yawaty”, od miasta Yawata Crossing na Sphinksie, które zostało całkowicie zniszczone przez spadające na powierzchnię planety szczątki stacji. Tylko tam zginęło 1,25 miliona ludzi. Wedle ostatnich szacunków całkowita liczba ofiar cywilnych przekroczyła siedem milionów, co obejmowało zarówno Sphinksa, jak i stacje orbitalne Gwiezdnego Królestwa. Straty personelu wojskowego nie zostały na razie podane do publicznej wiadomości, ale wszyscy wiedzieli, że musiały być bardzo wysokie. Lisa powątpiewała, aby znalazła się w podwójnym układzie Manticore choć jedna osoba, która nie straciłaby w tym ataku kogoś bliskiego. Lisa na pewno nie była kimś takim. Pożegnała ponad trzydziestu współpracowników, z których część znała od przeszło czterdziestu lat, z oddziału Pierwszego Międzygwiezdnego Banku Manticore mieszczącego się na *Hephaestusie*. Do tego doszło co najmniej dziesięcioro przyjaciół i kolegów jej nieodżałowanego męża ze spółki Brookwell, O’Daley, Hannover i Sakubara, która też miała siedzibę na stacji i którą pomógł kiedyś rozwinąć w jedną z najlepszych w królestwie firm zajmujących się zarządzaniem funduszami inwestycyjnymi.

Uzyskany przez niego wówczas kapitał bardzo przydał się teraz, w godzinie bolesnej próby.

Niemniej ja sama byłam wtedy w Landing, pomyślała. Sinead widziała wszystko na własne oczy. Może to jest pewna różnica, chociaż...

– Rozmawiałaś z Charleyem? – spytała.

– Nie. – Sinead siedziała na małej kanapie po drugiej stronie stolika tuż obok całościennego

okna na czterechsetnym piętrze biurowca. Widoczne na zewnątrz miasto wyglądało tak... zwyczajnie. Jak to możliwe po tym, co się stało? – Nie – powtórzyła, spoglądając na matkę. – Myślę, że nadal jest na Gryphonie. Poza tym jestem pewna, że jest teraz zbyt zajęty, aby ze mną rozmawiać.

Matka uśmiechnęła się. Obie dobrze wiedziały, co naprawdę robił Charles O'Daley w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Bez dwóch zdań robił w tej chwili wszystko, co tylko leżało w jego mocy, aby ustalić, kto właściwie ich zaatakował. I prawdopodobnie winił siebie o śmierć każdego z tych milionów poległych. Przecież powinien coś o tym wiedzieć. Fakt, że absolutnie wszyscy zostali zaskoczeni, nie łagodził jego poczucia winy.

Wielu miało teraz podobne myśli.

Wstała z fotela i podeszła do okna. Spojrzała na zewnątrz i pomyślała bezwiednie niemal to samo co córka. Jak tyle bólu mogło nie zostawić żadnego śladu w krajobrazie? Potem odwróciła się do Sinead.

– Rozmawiałaś już z Aivarsem o takiej sytuacji, gdy pierwszy raz został skierowany do gromady Talbott – zauważyła. – I wtedy postanowiłaś zostać, bo on miał być w ruchu, odwiedzając różne układy planetarne. Czy teraz nie jest podobnie? To znaczy, jeśli polecisz, to czy naprawdę będziesz bliżej niego, niż siedząc w domu?

Bo jeśli nie, to będziesz jeszcze bardziej samotna, pomyślała. Daleko i na dodatek beze mnie. Ale nie powiedziała tego głośno.

– Nie wiem – odpowiedziała Sinead. – Ale wiem, że na pewno nie będę dalej od niego. I może w najbliższej przyszłości będzie mógł spędzać więcej czasu na Spindle. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co się tam właśnie wydarzyło. Muszę być z nim, mam... właśnie z powodu tego, co się stało tutaj.

– A jak się tam dostaniesz? – spytała łagodnym tonem Lisa. – Wiesz, że nie da się teraz tak po prostu zarezerwować miejsca na liniowcu Kartelu Hauptmana.

Unicestwienie infrastruktury orbitalnej Manticore spowodowało zawieszenie wszystkich regularnych połączeń międzygwiazdnych. Wraz ze stacjami *Hephaestus* i *Vulcan* (który znajdował się na orbicie Sphinksa) zniszczeniu uległo także osiem liniowców pasażerskich ze wszystkimi ludźmi na pokładach. Nawet Lisa, będąca w świetnych relacjach z prezesem First Interstellar, nie wiedziała jeszcze dokładnie, ile stracono ponadto frachtowców, ładunku i personelu. W obecnych okolicznościach ustalenie tego musiało trochę potrwać.

– Marynarka ma wciąż sprawne jednostki – odrzekła Sinead. – Zaledwie przedwczoraj rozmawiałam z Terryem Pattersonem. – Poruszyła nerwowo nozdrzami. – Claudia była ze swoim okrętem na *Vulcanie*. A Peter umówił się z nią na obiad.

– Boże! – szepnęła Lisa, czując nowe ukłucie bólu.

Komodor Terrence Patterson, zastępca admirała Patricii Givens w wywiadzie marynarki wojennej, był od wielu lat przyjacielem Charlesa. Wraz z rodziną gościł wielokrotnie u O’Daleyów. Oczy Lisy zaszyły łzami, gdy przypomniała sobie jego córkę z zięciem i dwojgiem dzieci... które już nigdy nie zobaczą matki ani ojca.

– Nie wiedziałam – powiedziała cicho, spoglądając na córkę.

Sinead uśmiechnęła się bardzo smutnym uśmiechem.

– Minie pewnie kilka miesięcy, zanim dowiemy się, kogo jeszcze straciliśmy – rzekła nieco zachrypniętym głosem. – Gdy dzwoniłam do Terry’ego, też nie wiedziałam, co go spotkało. Jego adiutantka powiedziała mi, gdy mnie łączyła. – Odwróciła spojrzenie od matki. – Zamurowało mnie, gdy czekałam, aż podejdzie. Nie wiedziałam zupełnie, co mu powiedzieć. Ale bosman Powell powiedziała mu już, że czekam, i nie mogłam tak po prostu się rozłączyć. – Spojrzała na Lisę. – A wiesz, jakie były jego pierwsze słowa? – Głos jej zadrżał, w oczach pojawiły się łzy. – Powiedział mi, że jest mu bardzo przykro z powodu losu *Hexapumy*.

– Och, Sinead.

Lisa szybko podeszła do kanapy i usiadła obok. Objęła córkę, a Sinead oparła głowę na ramieniu matki. Oczy miała wilgotne. Siedziały tak przez prawie minutę, aż Sinead odetchnęła głęboko i usiadła prosto.

– W każdym razie wiedziałam, że nie ma czasu na długie rozmowy. – Poklepała matkę po kolanie. Teraz mówiła już niemal normalnym głosem. – W Admiralicji musi być ciężko. Przeszłam od razu do sedna i spytałam, czy jego zdaniem atak będzie miał wpływ na planowane przeloty zależne na Spindle.

– Zależne, kochanie? – Lisa uniosła brew, a Sinead uśmiechnęła się, zadowolona z przejawu poczucia humoru u matki.

– Tak się to nazywa, mamó. I czasem warto użyć pewnych terminów, jeśli to może się opłacić i pomoże mi dostać się szybko na pokład transportowca marynarki wojennej.

– A, rozumiem. – Lisa skinęła głową. – A co powiedział?

– Powiedział, że nie wie.

– I zaskoczyło cię to?

– Niezbyt. Ale zaproponował, żebym spytała kapitana Mathisa z działu personelu, więc tak też zrobiłam. Powiedział, że marynarka ściąga wszystkie transportowce, które tylko udaje się jej znaleźć. Oczywiście będzie masa transferów personelu. Pewnie przyjdzie im też zmobilizować wszystkich techników stoczniowych, aby zbadać sensownie to wrakowisko. Ale dopóki nie ma decyzji, wszystkie transfery zostały wstrzymane.

– To nie brzmi zbyt obiecująco.

– Ale niektóre rejsy i tak dojdą do skutku. Po prostu muszą się odbyć niezależnie od wszystkich problemów – odparła Sinead. – Powiedział mi, że może umieścić mnie na liście rezerwowej, na wypadek gdyby pojawiły się wolne miejsca. Poprosiłam, żeby to zrobił, ale nie miał pojęcia, jak długo będę musiała czekać. Do głowy przyszedł mi jeszcze *Kaiser Witz*, ale kapitan Marco poinformował mnie o problemach z przednimi węzłami alfa. – Uśmiechnęła się krzywo. – Chyba miał szczęście, że nie udało mu się załatwić priorytetowego remontu poza kolejką.

Lisa skinęła głową, po cichu wdzięczna losowi, że mały, ale dobrze wyposażony jacht, który jej ojciec kupił sześćdziesiąt lat temu, w chwili ataku też wciąż czekał na wolne miejsce w doku remontowym *Hephaestusa*.

– Więc wygląda na to, że chwilowo utknęłam – przyznała Sinead. – Ale się nie poddaję, a kapitan Mathis obiecał dać mi znać, jeśli coś się znajdzie. – Ponownie się uśmiechnęła, już mniej załamana. – Bycie żoną kogoś, kto wygrał zarówno w układzie Monica, jak i w Spindle, wydaje się zapewniać nieco przywilejów, na które wcześniej nie liczyłam.



– Kapitan Lewis?

Ginger Lewis podniosła wzrok znad artykułu na temat technik utrzymania sensorów grawitacyjnych. Nie znajdowała w nim niczego nowego, ale czytanie starych podręczników było o wiele mniej przygnębiające niż śledzenie doniesień na kanałach informacyjnych.

– Tak, bosmanie?

– Kapitan Mathis chce panią widzieć, ma'am.

– Dziękuję.

Wyłączyła czytnik, schowała go do kieszeni i poszła za podoficerem korytarzem, który nawet jak na budynek Admiralicji wydawał się wyjątkowo długi. Gdy skręcili za róg, jej

przewodnik zapukał do staromodnych drewnianych drzwi, otworzył je i wsunął głowę do biura.

– Jest kapitan Lewis, sir.

– Dziękuję, Clemencie – rozległo się ze środka, a podoficer odsunął się i zaprosił Ginger do wejścia.

Weszła do dość przestronnego gabinetu. Pomieszczenie znajdowało się głęboko w trzewiach budynku, ale inteligentna ściana została skonfigurowana tak, aby pokazywała ruchliwy stok narciarski, bezchmurne błękitne niebo i blask słoneczny odbijający się od kaskady śnieżnego puchu wzbitego na trasie slalomu. Zapewne gdzieś na Gryphonie, pomyślała Ginger i coś ścisnęło ją w gardle. Przypomniała sobie, co zostawiła, odpowiadając na wezwanie działu personelu. Żyła tylko dzięki łasce bożej i rozkazowi wiceadmirała Faradaya, który zarządził niespodziewaną ćwiczebną ewakuację stacji akurat na krótko przed atakiem. Zbyt wielu ludzi, których spotkała na pokładzie HMSS *Weyland* – ludzi, których zaczęła dopiero poznawać – nie miało tyle szczęścia.

– Kapitan Lewis melduje się na rozkaz, sir – powiedziała.

– Witam, pani kapitan – odparł wyjątkowo wysoki i opalony szatyn siedzący za biurkiem. Mówił z wyraźnym akcentem z Gryphona, co potwierdzało jej domysły na temat lokalizacji stoku narciarskiego. Wskazał stojące naprzeciwko krzesło. – Proszę usiąść.

– Dziękuję.

Ginger posłusznie usiadła, podczas gdy on przeglądał jakieś notatki na swoim ekranie. Musiał mieć jakieś dwa metry wzrostu i był zapewne w niezłej kondycji. Sądząc po górkim widoku, prawdopodobnie spędzał wiele czasu na nartach. Potem spojrzął na nią niebieskimi oczami, które w opalonej twarzy wydawały się jeszcze jaśniejsze.

– Jestem pewien, że zastanawia się pani, dlaczego tu jest – powiedział takim tonem, jakby był gotów przejść od razu do rzeczy, ale zaraz zamilkł uprzejmie, czekając na jej odpowiedź.

– Owszem, jestem ciekawa, sir – przyznała. – Jestem pewna, że po tym, co się stało, próbujecie znaleźć dla mnie jakieś nowe miejsce. Ale biorąc pod uwagę, że... chwilowo panuje pewien chaos, nie oczekiwałam zaproszenia aż do budynku Admiralicji. – Uśmiechnęła się słabo.

– Zaskakuje mnie, że wobec wielu większych problemów biuro personelu znalazło czas dla jednego niepozornego kapitana.

– Właśnie te „większe problemy” sprawiły, że panią zaprosiliśmy – powiedział Mathis, wyprostował się i pogładził palcem wąsy godne morsa. – Mam tutaj pewne stanowisko do

obsadzenia. Gdy wrzuciłem listę wymagań do systemu, podał mi pani nazwisko.

– Czy mogę spytać, jakie to stanowisko, sir?

– Tak się akurat zdarzyło, pani kapitan, że dwudziestego szóstego odbyła się na pokładzie *Hephaestusa* pewna narada – odparł. – Jedna z wielu zapewne, ale na tej spotkali się kapitanowie i ich zastępcy. Przewodniczył wiceadmirał Toscarelli.

Ginger skrzywiła się. Anton Toscarelli był Trzecim Lordem Przestrzeni RMN i kierował działem okrętowym. Informacja o jego śmierci na pokładzie stacji została już podana do wiadomości publicznej, ale słowa Mathisa przydały jej jakby bardziej dramatycznego wymiaru.

– Wspominam o tym, ponieważ wśród oficerów uczestniczących w tej konferencji byli także dowódca i pierwszy oficer *Charlesa Warda*, nowej jednostki wsparcia typu *David Taylor*. Ich oficer od elektroniki też była na spotkaniu na temat najnowszych platform Lorelei. – Pokiwał ze smutkiem głową. – W ten sposób okręt został pozbawiony dowództwa, zwłaszcza że specjalistka od elektroniki zabrała ze sobą asystenta, a oficer techniczny umówił się z narzeczoną na obiad u Dempseya. Mimo to, jako że nie cumował dokładnie na stacji, miał więcej szczęścia niż cztery inne jednostki, których starsi oficerowie byli na spotkaniu.

Ginger znów się skrzywiła, próbując wyobrazić sobie, jak utrata szefów wszystkich działów musiała wpłynąć na załogę okrętu. Ale nagle puls jej przyspieszył. Skoro potrzebowali nowego głównego inżyniera, to może...

– Co pani wie o typie *Taylor*, pani kapitan? – zapytał Mathis.

– Tylko to, co przeczytałam w *Proceedings* – przyznała Ginger. – Opisano tam koncepcję ich zastosowania, ale nie widziałam dotąd żadnej jednostki na własne oczy.

Taylor były nowymi okrętami wsparcia, których rodowód miał nieco wspólnego z uzbrojonymi frachtowcami typu *Trojan*. O wiele mniejsze od jednostek warsztatowych w rodzaju HMS *Ericsson*, który pomagał w naprawie *Hexapumy* po bitwie w układzie Monica, miały masę około trzech milionów ton, czyli prawie dwadzieścia procent więcej niż nowe krążowniki liniowe typu *Nike*.

Tym razem projektanci postanowili stworzyć „szybką jednostkę wsparcia bojowego”, która miała łączyć istotny potencjał naprawczy z pewnym potencjałem zaopatrzeniowym oraz bojowym. Dodatkowo okręt miał być na tyle szybki, żeby mógł działać wraz z zespołami krążowników liniowych. Powstała w ten sposób jednostka mogła być konfigurowana i rekonfigurowana zależnie od potrzeb, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądała co najmniej

dziwnie.

Jedna piąta przedniej części kadłuba przypominała przeciętny masowiec, ledwie z kilkoma drobnymi modyfikacjami. Dalej jednak ciągnął się długi i względnie cienki rurowaty moduł rdzeniowy, zawierający podstawowy zestaw systemów pokładowych i podtrzymywania życia. Kończył się czymś, co wyglądało jak zwyczajny „młot” okrętu wojennego. Z rdzenia odchodziły cztery wsporniki, mogące służyć jako miejsca mocowania czterech pełnowymiarowych, wymiennych modułów. Mogły one funkcjonować jako ładownie, ale dawało się w nich też urządzić komory amunicyjne, warsztaty naprawcze albo niezależne habitaty do przewozu osób.

Wymiary doczepianych modułów musiały pasować do jednostki, przez co nie były zbyt duże. W ten sposób moduł obsługi technicznej dysponował tylko dwudziestoma procentami potencjału maszynowego *Ericssona*. Mieścił także mniej części zamiennych – i to nawet wówczas, gdyby jeden moduł przeznaczyć wyłącznie dla nich. Niemniej wsporniki wystawały na tyle daleko poza obrys sylwetki, że można było wykorzystać je jako węzły cumownicze dla standardowych dużych bezzałogowych transportowców RMN. Dawało to cztery dodatkowe „ładownie” zwiększające możliwości przewozowe jednostki. Bezzałogowce, określane w skrócie jako CUMV(L), mogły brać na pokład tak części zamienne, jak i amunicję. W razie potrzeby dawały się przekształcić nawet w tendery dla kutrów, przy czym wtedy wymagały ekipy nie większej niż jedna czwarta załogi *Ericssona*.

Jednostki typu *Taylor* miały też osłony burtowe o parametrach typowych dla okrętów wojennych oraz były uzbrojone.

RMN zawsze hołdowała zasadzie, że jednostki naprawcze i amunicyjne powinny trzymać się z dala od pola walki, ich przestrzeń ładunkową zaś uznawano za zbyt cenną, aby marnować ją na montowanie uzbrojenia, które i tak nie byłoby wykorzystywane. Niemniej za Janacka Admiralicja doszła do odmiennych wniosków i stąd właśnie wzięły się *taylor*. Przednia część kadłuba kryła uzbrojenie cięższe niż w przypadku większości lekkich krążowników, włączając w to używane przez RMN rakiety z funkcją częściowego samonaprowadzania. Były tam też typowe dla przebudowanych frachtowców typu *Trojan* hangary dla ośmiu kutrów.

Zdaniem Ginger jednostki te były swoistym kuriozum. Odpowiedzią na niezadane pytanie. Mogła sobie wyobrazić przypadki, kiedy takie właśnie okręty byłyby bardzo przydatne, ale były to przypadki bardzo rzadkie. Zbyt rzadkie, aby warto było marnować aż tyle środków na stworzenie całkiem nowej klasy jednostek. Niestety, albo na szczęście, w zależności od punktu

widzenia, budowa części z nich była już mocno zaawansowana, gdy Ludowa Republika Haven wznowiła działania wojenne. Czym prędzej je więc ukończono, aby zwolnić moce przerobowe dla innych okrętów, i posłano do walki, gdzie ku sporemu zdumieniu RMN (i jeszcze większemu zaskoczeniu Ginger) okazały się bardzo przydatne. Jednostki naprawcze zawsze były towarem deficytowym, a problem ten pogłębił się jeszcze wobec nowych zadań, które marynarka wojenna musiała wypełniać w Silesii i Quadrancie Talbott oraz znacznego rozrzucenia względnie lekkich zespołów w ramach operacji Laokoon. Co więcej, żaden dostosowany naprędce statek handlowy nie mógł równać się z wielofunkcyjnymi *taylorami*. I chociaż nowe jednostki kosztowały w przeliczeniu tonażowym nieco więcej niż tradycyjne okręty naprawcze, w kosztach bezwzględnych okazywały się sporo tańsze, i to włączając do rachunku tak uzbrojenie, jak i kutry. To oznaczało, że można było zbudować ich więcej i nieważne, że były pomysłem Janacka.

– Teraz zobaczy pani jeden z nich od wewnątrz – powiedział Mathis.

– Tak, sir – odparła. – Tylko nie wiem, jak dokładnie wygląda struktura dowodzenia *taylorów*. Jak dział techniczny współpracuje z działem napraw i wsparcia?

– To jeden i ten sam dział – odparł Mathis. – Inżynier pokładowy zajmuje się jednym i drugim.

Ginger udało się nie okazać zaskoczenia. Na *Ericssonie* było inaczej.

– Obawiam się, sir, że nie mam wielkiego doświadczenia w kierowaniu pracami naprawczymi – zauważyła. – To jeden z powodów, dla których zostałam skierowana na *Weylanda*. Dotąd zajmowałam się niemal wyłącznie systemami pokładowymi. Jak mi wyjaśniono, praktyka na stacji miała pozwolić mi na zdobycie doświadczenia w pracach stoczniowych. Na *tylorach* coś takiego może być chyba bardzo wskazane.

– Zgadza się, pani kapitan. Ale nie tym ma się pani zajmować.

– Nie tym? – wyrzuciła z siebie zaskoczona Ginger i jej rozmówca aż się uśmiechnął.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Chodzi o nieco większe wyzwanie, kapitan Lewis. Obejmuje pani dowództwo.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, on tymczasem wyciągnął z kieszeni kompa mikroczip i rzucił go Ginger. Złapała go odruchowo, wciąż wpatrując się w oficera.

– Sugeruję, żeby trochę poczytała pani o nowym okręcie – powiedział. – Wahadłowiec już czeka. Jak się uda, pani rzeczy osobiste trafią na pokład już teraz, ale nie liczyłbym na tyle szczęścia. Powinna mieć jednak pani kilka dni, może nawet tygodni, żeby trochę się ogarnąć.

Zebranie młodszych oficerów na pewno potrwa kilka dni. A jak tylko osiągnięcie gotowości, *Charles Ward* zostanie skierowany do gromady Talbott.



– Cholera jasna – mruknął Henrique Chagas, patrząc na ekran, podczas gdy frachtowiec należący rzekomo do Kartelu Hauptmana hamował, zbliżając się do Thurso.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o tę część operacji Janus, pomyślał ponuro. Dno i wodorosty.

Miejscowe agencje informacyjne musiały przeżywać swoje pięć minut. Z drugiej strony, jaka to reklama w oczach reszty galaktyki, że komuś udało się zabić kilka milionów własnych obywateli za pomocą pocisków kinetycznych, które zrównały z ziemią całe miasta. Coś takiego może mocno zaszkodzić wizerunkowi. Inna sprawa, że media w układzie Loomis należały całkowicie do rządu i przekazywały wersję, zgodnie z którą wszystko to było winą buntowników. Tyler MacCrimmon nakazał surowe ściganie każdego, kto ośmieliłby się wyrazić pozytywnie o Megan MacLean.

Zatrzymał nagranie na ujęciu krateru, który pozostał po mieście Conerock. Według doniesień nikt w nim nie ocalał i podobno w innych zaatakowanych miastach nie było wiele lepiej. Rozmiar zniszczeń wystarczał z nawiązką do uśmierzenia buntu, według oficjalnych raportów zaś wszyscy członkowie Ligi Wyzwolenia zostali schwytani lub zabici, a siły rządowe odzyskały kontrolę nad Elginem. Megan MacLean, Erin MacFadzean, Tammias MacPhee i Tad Ogilvy zostali uznani za zabitych, jak ogłosiła Senga MacQuarie. Nie wspomniała nic o Luíseach MacGill i jej mężu, co było ciekawym przeoczeniem, ale nie ulegało wątpliwości, że opozycja Loomisu została pokonana.

Przy czym nikt ani razu nie wzmiankował Manticore, pomyślał z niechęcią Chagas. Cała robota psu na buty się zdała. Spojrzał ze złością na wielką dziurę w ziemi, która pochłonęła schludne domy, i pokręcił głową. Można by oczekiwać, że przyjdzie im na myśl przesłuchać chociaż jednego z tych drani. Wtedy pewnie usłyszeliby o sponsorach buntu z Manticore. Ale nie! MacCrimmon i MacQuarie byli za głupi nawet na to!

Warknął gniewnie, wyłączył nagranie i wywołał kapitana. Uśmiechnął się, widząc niepokój w jego oczach.

– Bez nerwów, kapitanie – powiedział. – W tych okolicznościach porządny frachtowiec nie ma powodów, aby zawijać tutaj do portu. Trzeba poczekać, aż kurz opadnie. Proponuję na wszelki wypadek wystrzelić w próżnię tę przesyłkę z bronią, ale nasi pracodawcy chyba

przeboleją jakoś brak kolejnej dostawy owoców morza.

– Tak, sir. – Kapitan nawet nie usiłował ukryć ulgi. – Więc wracamy na Mesę, sir?

– Możemy – odrzekł Chagas. – Ten układ jest już spalony.



– Cholera – mruknęła Ginger Lewis, ujrzawszy pulsujący sygnał komunikatora.

Najpierw chciała go zignorować. Kapitan Mathis miał rację, miała wiele braków do nadrobienia i chłonęła lekturę, jak mogła najszybciej, a do przybycia na *Charlesa Warda* została jej już niecała godzina. Jej bagaż nie dotarł na czas, aby mogła go ze sobą zabrać, ale i tak była pewna, że wszystko to było wynikiem jakiejś pomyłki, która wyjaśni się, gdy sytuacja choć trochę wróci do normy.

Z drugiej strony miała też nadzieję, że to jednak nie pomyłka.

Sygnał znów się rozjarzył i tym razem przyjęła rozmowę, otwierając nowe okno w rogu czytnika. Zaraz wyprostowała się w fotelu.

– Pani Terekhov!

– Mówiłam ci już, że pani Terekhov to matka Aivarsa. Ja jestem Sinead.

– No... tak – zaczęła Ginger, po czym zamknęła usta i uśmiechnęła się. – Przepraszam. Spróbuję zapamiętać, ale to może być trudne. Chyba nadal myślę o tobie jako o „żonie skippera”.

– Rozumiem, ale mam nadzieję, że teraz będzie ci łatwiej, skoro sama zostałam dowódcą.

– Słyszałaś już o tym? – Ginger pokręciła głową. – Prawdę mówiąc, myślę, że ktoś popełnił poważny błąd.

– Bzdura! – rzuciła Sinead Terekhov. – Ale nie myśl, że będzie łatwo, młoda damo! Gdy już zajmiesz fotel kapitański, nikt nie może podejrzewać, że źle się na nim czujesz. Ufam, że to rozumiesz?

– Tak, ma’am – odparła Ginger, a Sinead parsknęła śmiechem.

– To już lepiej. Szczerze mówiąc, sądzę, że świetnie sobie poradzisz. Wiem, że się tego nie spodziewałaś, ale ostatnio wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji.

– Z pewnością – zgodziła się Ginger. Przez parę sekund tylko spoglądały na siebie i myślały o tych, których już nigdy nie będzie dane im spotkać. Potem Ginger odchrząknęła. – Czy mogę zapytać, dlaczego się do mnie odezwałaś... Sinead?

– Cóż, po części po to, aby pogratulować ci dowództwa. Moi szpiedzy donieśli mi o tym dziesięć minut temu.

– Dziękuję. – Ginger uśmiechnęła się lekko. – Sama usłyszałam o tym jakieś dwadzieścia minut wcześniej.

– Marynarka zawsze tak działała, nawet w zwykłych okolicznościach. W obecnych... Ciesz się, że dostałaś chociaż tyle czasu.

– Wiem. Powiedziałaś jednak, że chodzi nie tylko o to. – Ginger uniosła brwi. Bardzo lubiła Sinead Terekhov, ale naprawdę musiała jeszcze poczytać.

– Owszem. Rzecz w tym, że chcę cię poprosić o drobną przysługę – powiedziała Sinead. – Sprawa wygląda następująco...



Wahadłowiec znieruchomiał, a potem zadrżał lekko, gdy wiązki ściągające go objęły i zaczęły wprowadzać do hangaru. Widać było przesuwaną się pionową burtę i następnie wielkie i jasno oświetlone wnętrze – hangar był większy niż na znacznej części okrętów, nawet na superdreadnoughtach. Zaprojektowano go dla przenoszenia znacznie większych jednostek. Potem wahadłowiec zadrżał ponownie, tym razem mocniej, unieruchomiony mechanicznymi ramionami. Zaraz podłączono wszystkie niezbędne przewody i rękaw zbliżył się do włazu.

Nie minęły trzy godziny od chwili, gdy Ginger weszła do gabinetu kapitana Mathisa w Landing.

– Śluza szczelna, ma'am – oznajmił technik pokładowy.

– Dziękuję, bosmanie – powiedziała Ginger tak spokojnie, jakby chodziło o element codziennej rutyny, chociaż wszystko krzyczało w niej, że dział personelu na pewno popełnił poważny błąd. Zaraz jednak przypomniała sobie rozmowę z Sinead Terekhov i uśmiechnęła się lekko.

Poczekala, aż podoficer otworzy wąż, po czym sięgnęła do uchwytu i wyzwoliła się od sztucznego pola grawitacyjnego wahadłowca. Przeleciała przez pozbawiony ciężenia rękaw i złapawszy się poręczy, przekręciła ciało w taki sposób, aby wylądować stopami na pokładzie okrętu w jego własnym polu ciężenia. Nie sprawiło jej to najmniejszego kłopotu dzięki niemal trzynastu latom spędzonym na różnych jednostkach. Zaraz potem zasalutowała absurdalnie młodo wyglądającej pani midszypman z naszywką wachty hangarowej.

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład – powiedziała oficjalnym tonem.

– Pozwolenia udzielam, ma'am – odparła kobieta i także zasalutowała. Zachowywała się trochę niepewnie, może nawet nerwowo, i Ginger opanowała chęć pogłaskania jej po głowie i

zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

Zamiast tego spojrzała na jej naszywkę z nazwiskiem i skinęła głową, przypominając sobie, co kilka chwil temu przeczytała o załodze. Paula Rafferty, dwadzieścia cztery lata, przydzielona na *Charlesa Warda* w celu odbycia praktyki. Zjawiała się na pokładzie pięć dni przed atakiem i tylko dlatego ocalała. Jako ostatnia z przybyłych pozostała na pokładzie, podczas gdy pozostała czwórka dostała przepustki na *Hephaestusa*.

Kwatera smarkaczy musi przypominać teraz mauzoleum, pomyślała Ginger. Ciekawe, czy już zabrali ich rzeczy? Jako nowy kapitan powinnam chyba to sprawdzić.

– Dziękuję, pani Rafferty – powiedziała głośno i rozejrzała się po idealnie czystym korytarzu, który pachniał jeszcze nowością, ale oprócz Rafferty i jednego technika nikogo więcej w nim nie było. Zabrakło komitetu powitalnego czy chociażby jednego oficera.

– Przepraszam, ma'am – powiedziała czym prędzej Rafferty. – Powiadomienie o pani przylocie dostaliśmy w chwili, gdy wahadłowiec już dokował. Komandor jest w drodze, ale... – Przerwała z wyraźną ulgą, gdy otworzyły się drzwi najbliższej windy.

Wyszedł z niej mężczyzna w mundurze komandora porucznika, a Ginger przypomniała sobie, co o nim czytała. Dimitri Nakhimov, Dimitri Aleksandrovitch Nakhimov, astrogator *Charlesa Warda*. Był o dziesięć lat młodszy od Ginger, miał jasne włosy i szare oczy. Piętnaście centymetrów wyższy od niej, delikatnej budowy. Nie był chudy, ale też nikt nie pomyliłby go z mieszkańcem Sphinksa.

– Kapitan Lewis – powiedział, zatrzymując się przed nią. – Przepraszam, że na panią nie czekałem, ma'am. Nie wiedzieliśmy...

– W porządku, panie Nakhimov – przerwała mu Ginger. – Pani Rafferty już mi to wyjaśniła. – Uśmiechnęła się. – Przypuszczam, że potrwa jeszcze trochę, zanim sprawy wrócą na właściwe tory.

– Tak, ma'am – przytaknął Nakhimov.

– Zakładam, że jest pan najstarszym oficerem na pokładzie?

– Tak, ma'am. – Przez jego twarz przemknął jakby cień. – Obawiam się, że rzeczywiście jestem tu najstarszym rangą oficerem.

– Wiem. – Ginger pokiwała głową ze współczuciem, ale jej głos pozostał chłodny i profesjonalny. – Z tego, co wiem, leci do nas komandor Hairston. Nie podano jednak, kiedy dotrze, i zastanawiałam się, czy mnie nie wyprzedzi. Najwyraźniej nie zdołał. Ale zdaję sobie

sprawę, jak duże straty poniósł *Charles Ward*, i rozumiem, jak wiele obowiązków spadło na pana. Oraz na panią Rafferty – dodała, spoglądając na młodą kobietę. – Dział personelu podał, że udało się już znaleźć większość zastępców. Wiem, że to oznacza wiele nowych twarzy – dorzuciła, widząc, że coś błysnęło w oczach Nakhimova. – Proszę mi wierzyć, znam to aż za dobrze. Ale mówi się trudno. Okręt nas potrzebuje. I ich także.

– Tak, ma’am. Nie chciałem sugerować...

– Niczego pan nie sugerował, komandorze – przerwała mu i pokręciła głową. – Nie byłby pan człowiekiem, gdyby ta sytuacja pozostawiła pana obojętnym. Wiem, że będzie pan się czuł nieswojo, widząc mnie na miejscu kapitan Whitby. Ale jest, jak jest. Wszyscy będziemy musieli nad tym popracować.

– Tak, ma’am.

– W porządku. – Wciągnęła energicznie powietrze. – W takim razie powinniśmy udać się na mostek, panie komandorze.

– Tak, ma’am. Proszę tędy.

Ginger podążyła za nim do windy, ale weszła do niej pierwsza, gdy z szacunkiem odsunął się na bok. Pozwoliła mu wybrać przycisk, ostatecznie wciąż była gościem na pokładzie jego statku. Potem stała z rękami za plecami i obserwowała przeskakujące na panelu cyfry.

Jazda trwała dłużej, niż się spodziewała. Nie miała kiedy doczytać o technicznych szczegółach, w pierwszym rzędzie skupiła się na załodze. Niemniej *Charles Ward* był największym okrętem, na jakim służyła, przynajmniej od czasu wyprawy *Wayfarera* do Silesii. Mostek znajdował się bardzo daleko od przedziałów dokowania, nerwowa atmosfera zaś sprawiła, że podróż wydawała się jeszcze dłuższa. W końcu drzwi windy się otworzyły i wysiedli na pokładzie dowodzenia.

Mostek był większy, niż oczekiwała, i nie przypominał mostka żadnego znanego jej okrętu naprawczego. Zapewne dlatego, że na żadnym z nich nie było stanowisk oficera taktycznego i jego asystentów ani oficera walki radioelektronicznej. W tej chwili mało miejsc było tu obsadzonych, czemu rzecz jasna nie można było się dziwić.

Czekało na nią tylko dwoje oficerów: bardzo młodo wyglądająca pani porucznik z insygniami inżyniera oraz jedna z najbardziej zwracających uwagę kobiet, jaką Ginger Lewis dotąd spotkała: z jasnozielonymi włosami, bursztynowymi oczami i kaduceuszem porucznika chirurga. Obie stanęły na baczność, gdy weszła, to samo zrobiła nieliczna obsada stanowisk.

– Spocznij – powiedziała Ginger i podeszła do fotela kapitańskiego, już niebawem należącego do niej. Przystanąła obok, dotknęła jednego z sensorów na poręczy, wysłuchała melodyjnego sygnału, który rozbrzmiał na całym okręcie. Odczekała jeszcze chwilę, wiedząc, że wszyscy na tej mamuciej jednostce przerywali teraz to, co robili, zatrzymywali się i spoglądali na panele interkomu. Potem sięgnęła do kieszeni kurtki, wyjęła złożony arkusz archaicznego papieru i złamawszy pieczęć, rozłożyła rozkaz. Spojrzała prosto w obiektyw kamery na stanowisku dowodzenia. – Od admirała sir Luciena Corteza, Piątego Lorda Przestrzeni Royal Manticoran Navy – przeczytała, tak samo jak jej poprzednicy pięćset lat wcześniej. – Do kapitan Ginger Lewis z Royal Manticoran Navy, piątego dnia dziesiątego miesiąca roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego po Diasporze. Madame, zostaje pani niniejszym skierowana na pokład okrętu Jej Królewskiej Mości *Charles Ward*, FSV trzy dziewięć, aby wziąć na siebie obowiązki i powinności dowódcy w służbie Korony. Proszę nie zawieść dla własnego dobra. Rozkazem admirała Hamisha Alexandra-Harringtona, earla White Haven i Pierwszego Lorda Admiralicji Royal Manticoran Navy działającego w imieniu Jej Królewskiej Mości. – Zamilkła i złożyła rozkaz, po czym zwróciła się do Nakhimova. – Panie Nakhimov – powiedziała oficjalnym tonem. – Przejmuję dowodzenie.

– Pani kapitan – odparł równie formalnie, przy czym w jego oczach malowała się wyraźna ulga. – Okręt należy do pani.

– Dziękuję. – Podniosła głowę i zajęło jej chwilę, nim znalazła kwatermistrza. Przy okazji zanotowała sobie w myślach, aby jak najszybciej opanować rozkład stanowisk na mostku. – Proszę wprowadzić informację do dziennika okrętowego, bosmanie Houseman – powiedziała, odczytawszy nazwisko na jego plakietce.

– Tak, ma'am – odpowiedział bosman i Ginger lekko zadrżała.

Od tej chwili była dowódcą HMS *Charles Ward*. Pierwsza po Bogu. Wciągnęła głęboko powietrze, odwróciła się od fotela kapitańskiego i spojrzała na swoją załogę.

– Wiem, że nikt z was nie oczekiwał, że zasiądę w tym fotelu – powiedziała cicho, opierając jedną rękę na poręczy. – Także się tego nie spodziewałam. Ale służba to coś więcej niż nasze plany i nadzieje. Gdy kogoś zabraknie, ktoś inny zajmuje jego miejsce i kończy zadanie. Zawsze tak było, tak jest i dzisiaj, gdy przychodzi nam zastępować tak wielu, których nagle ubyło z szeregów. To, co się stało w Manticore, w naszym rodzimym układzie, jest największą porażką w całej historii Royal Manticoran Navy. Straciliśmy zapewne mniejszą część naszej floty niż w

ataku korporacji Axelrod czterysta lat temu, ale ponieśliśmy olbrzymie straty w ludziach, nasz potencjał przemysłowy został poważnie nadwreżony i jest jeszcze ta niewyobrażalna liczba ofiar wśród ludności cywilnej, którą mieliśmy chronić. Tutaj, na tym okręcie, też doświadczyliście skutków tej katastrofy. Straciliście oficerów, kolegów, przyjaciół i ciągle nie możecie się z tym pogodzić. Wiercie mi, wiem, jak to jest. Byłam w układzie Monica. Podczas mojego pierwszego przydziału służyłam na pokładzie *Wayfarera*, dowodzonego przez księżną Harrington. Wiem, co to znaczy, gdy nagle pojawia się pustka po wszystkich, których się znało, z którymi się pracowało. Których może nawet się kochało. Gdy nagle po prostu znikają. Zapewne może być jeszcze gorzej, gdy okręt nie został uszkodzony i wszystko wygląda na nim tak samo jak wczoraj... Tylko brakuje tych, którzy jeszcze wczoraj tu byli. Jakby zniknęli, gdy na chwilę odwróciliśmy głowę. Nie ma prostego sposobu, aby sobie z tym poradzić. Wszyscy, których straciliśmy podczas tego ataku, długo jeszcze będą nam towarzyszyć. Ale taka właśnie jest nasza służba. Opowiada o tym stara ballada, powstała, zanim człowiek opuścił Układ Słoneczny. Trzy jej wersy wydają się pasować do dzisiejszego dnia, dwadzieścia stuleci później.

Zraniony jestem dzisiaj, ale nie zabity,

Zlegnę na chwilę, póki krew ucieka,

A potem znowu wstanę, walka niedaleka.

Spojrzała ponownie prosto w kamerę.

– Zostaliśmy zranieni. Boli nas. Krwawimy. Ale ktokolwiek to zrobił, popełnił wielki błąd, ponieważ wciąż żyjemy. I Bóg nam świadkiem, że wstaniemy i znowu ruszymy do walki.

Stała tam jeszcze przez dziesięć sekund, spoglądając z ekranów na wszystkich członków załogi. W końcu uniosła dumnie głowę.

– Wracajcie do swoich obowiązków – powiedziała cicho i zakończyła przekaz.

ROZDZIAŁ XXXIX



Komunikator zasygnalizował przychodzące połączenie.

Helen Zilwicka zmarszczyła brwi, gdy dźwięk oderwał ją od sporządzania notatek. Ku swojemu zdumieniu odkryła, że lubi papierkową robotę, która spływała na jej terminal. Nie wszystko, co docierało do porucznika flagowego sir Aivarsa Terekhova, było ciekawe, trafiały się rzeczy nad wyraz nudne, ale zarządzanie kalendarzem i sprawami służbowymi komodora sprawiało jej sporą satysfakcję.

Biorąc zaś pod uwagę, jakie wieści otrzymali ostatnio z domu, każde zajęcie było dobre, byle tylko oderwać się od ponurych rozmyślań.

Sygnał znowu się odezwał. Helen westchnęła i przybrawszy odpowiednią minę, otworzyła nowe okno na ekranie.

– Porucznik Zilwicka. – Uśmiechnęła się, ujrzawszy twarz Gervaisa Archera. – W czym mogę pomóc, sir? – spytała oficjalnym tonem, ponieważ połączenie nastąpiło ze służbowej sieci *Quentina Saint-Jamesa*, a nie z prywatnego numeru.

– Dobry wieczór, Helen. Tym razem niczego od ciebie nie oczekuję. – Archer westchnął. – Admirał właśnie otrzymał raport aktualizacyjny na temat sytuacji w Manticore.

Helen ścisnęło w gardle. Zwykle wesołe oczy Archera były niepokojąco poważne.

– Jest gorzej, o wiele gorzej, niż wcześniej oceniano – powiedział. – Już wcześniej wiedzieliśmy, że *Hephaestus* i *Vulcan* uległy zniszczeniu. Teraz mamy potwierdzenie, że to samo spotkało *Weylanda*.

Helen się skrzywiła. Terekhov, Gold Peak i Khumalo przypuszczali, że *Weyland* też musiał się stać celem ataku. Każdy, kto zdołałby przełamać obronę Manticore A, wzięłby na cel wszystkie trzy najważniejsze kompleksy przemysłowe Gwiezdnego Królestwa. Niemniej wiadomość i tak była tragiczna. Helen zmusiła się, aby nie myśleć o tym, co znaczyło to dla niej osobiście.

– Najnowsze szacunki wspominają o ponad siedmiu milionach ofiar cywilnych oraz około jeden przecinek sześć miliona ofiar wśród personelu wojskowego – kontynuował Archer. Potem spojrzał jej prosto w oczy. – Ale odzywam się przede wszystkim po to, aby przekazać ci wiadomość, że *Hexapuma* znajdowała się w doku na *Hephaestusie*. – Helen zdrętwiała i Archer

pokręcił ze współczuciem głową. – Na pewno nie cała załoga była na pokładzie, ale nikt nie przeżył. Przepraszam, Helen, ale admirał chciał, aby sir Aivars usłyszał o tym przed oficjalnym spotkaniem.

– Rozumiem – odparła po całych wiekach zmagania z własnym głosem. – Oczywiście natychmiast go poinformuję. – Przerwała i odchrząknęła. – Czy... pewnie nie wiesz nic o skali ofiar na *Weylandzie*?

– Obawiam się, że nie. – Był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem. – Otrzymaliśmy tylko potwierdzenie zniszczenia stacji, a jeśli wyglądało to podobnie jak na pozostałych, mało kto miał szansę ocaleć.

Nie spytał, dlaczego ją to interesuje, i była mu za to wdzięczna. Na chwilę przygryzła wargę, po czym wciągnęła głęboko powietrze.

– Dziękuję, Gwen – powiedziała. – Wiem, że niełatwo ci było to przekazać. I proszę, podziękuj też ode mnie lady Gold Peak. Jestem pewna, że komodor myśli tak samo.



– Proszę! – zawołał sir Aivars Terekhov, słysząc sygnał informujący, że ktoś chce wejść do sali odpraw przy mostku flagowym. Oderwał się od rozmowy z komandorem Pope'em i komandor porucznik Lewis i uśmiechnął się, gdy drzwi się otworzyły. – Helen! Skończyłaś już układać harmonogram?

– Obawiam się, że nie, sir – odparła i jego uśmiech zniknął, gdy usłyszał jej głos. Zawsze miał Helen za osobę naprawdę silną, nie tylko fizycznie, jednak teraz wydała mu się nad wyraz krucha, jej oczy zaś dziwnie lśniły.

– Co jest, Helen? – spytał łagodnym tonem, czując, że Pope i Lewis skupili na nich swoją uwagę.

– Porucznik Archer przekazał mi właśnie wiadomość od admirał Gold Peak, sir – powiedziała nieswoim głosem. – Przyszedł nowy raport z Manticore. Wygląda na to, że wcześniejsze szacunki były zaniżone. – Przerwała. Coś w niej protestowało przeciwko przekazywaniu komodorowi tak tragicznych informacji. Miał dwa dni, aby jakoś się z nimi oswoić, ogarnąć je przynajmniej rozumem. Wszyscy jednak obawiali się bardziej szczegółowych wieści, które musiały nadejść, gdy tylko Admiralicja i rząd Grantville'a zaczną oceniać rozmiary szkód.

– Jak bardzo? – spytał.

– Według porucznika Archera straciliśmy od ośmiu i pół do dziewięciu milionów ludzi. Potwierdzono zniszczenie *Weylanda*... – Głos jej zadrżał. – Nie ma także *Kociątka*.

– Co?

Terekhov słyszał własny głos zadający to pytanie, ale potem nie pamiętał, żeby to mówił. Stał tylko nieruchomo i wpatrywał się w swoją porucznik, rozumiejąc wreszcie, skąd się wzięły wzbierające w jej oczach łzy. Jego umysł bezskutecznie próbował ogarnąć to, co właśnie zostało mu przekazane.

Dlaczego jesteś taki zaskoczony? – pojawiło się pytanie w głębokich zakamarkach jego świadomości. Wiedziałeś, że remont miał potrwać kilka miesięcy. Inaczej po co posyłać okręt do stoczni? Niby gdzie indziej miał być? Jasne, że musiał znajdować się na *Hephaestusie*. Po prostu nie chcesz w to uwierzyć, prawda?

Nie, nie chciał. Ale teraz nie miał już wyboru. Wciągnął głęboko powietrze, chociaż niewiele to pomogło.

– Straty personelu? – spytał z dziwnym spokojem.

– Wszyscy, sir – wykrztusiła Helen i zamrugła, starając się odzyskać panowanie nad własnym głosem. – Niektórzy pewnie zeszli z pokładu... Nie wiem ilu ani kto... Ale nawet jeśli... – Mimo wszystko samotna łza spłynęła jej po policzku. – Nawet jeśli, to byli gdzieś na stacji i... – Zamilkła i tylko patrzyła na niego z oczami pełnymi łez.

Terekhov zacisnął szczęki. Najpierw chciał coś powiedzieć, ale potem zrobił dwa długie kroki w kierunku Helen, która spojrzała na niego pytająco. Wtedy po prostu ją objął.

Zesztywniała. Regulamin nie zabraniał podobnych gestów w odniesieniu do porucznika flagowego, ale tradycja RMN na pewno czegoś takiego nie zalecała, i to z wielu powodów, które zasadniczo miały sens. Niemniej Terekhova najwyraźniej to nie obchodziło, a Helen po chwili poczuła się... jakby znalazła się w ramionach ojca. Który zapewne był tak samo martwy jak wszyscy z HMS *Hexapuma*. Spróbowała przywołać jeszcze tradycję, powagę munduru i wizerunek oficera na służbie, ale wszystko to rozsypało się w pył.

– Wiem, Helen – szepnął jej do ucha i rozplakała się głośno, gdy delikatnie pogładził ją po głowie. – Wiem.



Alkohol był tylko jedną z kilku substancji zabronionych w kabinach oficerów marynarki wojennej. Zakaz ten nie dotyczył oczywiście oficerów flagowych i kapitanów, ale oni zwykle

byli świadomi, że nie da się upić tak, żeby nikt tego nie zauważył. Royal Manticoran Navy nie zabraniała picia w prywatnym czasie, nie pozwalała jedynie na pijaństwo – tak na służbie, jak i poza nią. Dzięki temu rozróżnieniu posiadanie alkoholu (oraz paru innych używek) nie było karane i nie groziło sądem wojskowym, o ile nie doszło do nadużycia. W takich przypadkach oficer mógł być pewien, że prędzej piekło zamarznie, jak lubił mawiać ojciec Abigail Hearn, niż uda mu się wykręcić od bardzo surowych konsekwencji.

W tej akurat chwili Abigail miała jednak wszystkie regulaminy w głębokim poważaniu. Wzięła butelkę silver falls select i ponownie napełniła szklaneczkę Helen Zilwickiej.

– Ale ja naprawdę nie piję – powiedziała Helen.

– Wiem. To ostatnia kolejka. – Abigail uśmiechnęła się słabo. – W tych okolicznościach na pewno nie zaszkodzi.

– Ale ja nie piję – powtórzyła pani porucznik, chociaż bardzo staranna wymowa każdego słowa wskazywała, że nie była to w stu procentach prawda.

– Wiem o tym – zapewniła ją Abigail, zakręcając pożyczoną od Matea Gutierrez butelkę i chowając ją do szuflady. Cieszyła się, że Mateo miał gust w kwestii alkoholi, mimo to w jej szkle znajdował się jeszcze centymetr złocistego płynu, którego nalała sobie zaraz po przyjściu Helen.

Usiadła z powrotem na krześle przy małym biurku i uniosła szklanę, żeby upić kolejny łyk. Helen siedziała na starannie zasłanym łóżku.

– Czasem dobrze jest nie wylewać za kołnierz – powiedziała ze smutnym uśmiechem. Helen spojrzała na nią i wzruszyła ramionami. – Dusisz to w sobie, od kiedy usłyszeliśmy o Green Pines. A gdy dodać jeszcze... – Przerwała, ale nie odwróciła spojrzenia od Helen.

– Nie ja jedyna kogoś straciłam – rzuciła młodsza kobieta niemal gniewnym tonem. – Każdy kogoś stracił. Ty i komodor straciliście na pokładzie *Kociątko* tak samo wielu ludzi jak ja. Dlaczego nie mogę po prostu... wiesz? – Pokołysała lekko szklanką whisky. – Dlaczego nie mogę po prostu... poradzić sobie z tym tak jak on? Jak ty?

– Nie zamierzam opowiadać ci o wierze, o Testerze czy innych graysońskich sposobach radzenia sobie ze stratą – odparła spokojnie Abigail. – Chociaż mnie to pomaga. Ale nie powiedziałabym, że sobie z tym „radzę”. I sir Aivars też nie. Myślę jednak, że wam obojgu jest trudniej niż mnie czy kapitan Kaplan. Straciliśmy *Kociątko* i wszystkich twoich przyjaciół, którzy na nim służyli. A ty straciłaś jeszcze więcej. Ojca, całą jego eskadrę w układzie Hyacinth. Musisz poradzić sobie z cięższym brzemieniem. Także z tym, co się stało z *Weylandem*.

Helen oderwała spojrzenie od szklanki i przeniosła je na przyjaciółkę.

– Oczywiście, że tak – powiedziała cicho Abigail. – Chciałabym móc ci powiedzieć, że wszystko z nim w porządku. Ale nie mogę. I dobrze wiesz, że nikt nie może tego powiedzieć. A ty musisz jakoś z tym żyć, aż dowiesz się czegoś pewnego.

– Ale nigdy nie miałam czasu – szepnęła Helen. – Nigdy nie miałam czasu, żeby mu powiedzieć. – Łzy spływały jej po twarzy, wargi drżały. – Im wszystkim, Abigail. Wszystkim! Nigdy nie miałam czasu, żeby mu powiedzieć. Myślę... Myślę, że on wiedział, ale powinnam mu to powiedzieć. Wiedziałam, jak bardzo dystansował się... w bliskich relacjach. Wiedziałam dlaczego... nie chciałam... go spłoszyć, podchodząc zbyt szybko. Ale powinnam mu powiedzieć, a tego nie zrobiłam. I teraz nigdy nie będę miała jak i... i...

Głos jej się załamał i Abigail odstawiła szklankę na biurko. Wstała, aby usiąść na koi obok przyjaciółki, po czym objęła ją mocno.

– Nie wiesz jeszcze, czy nigdy. Jeszcze nie – powiedziała z przekonaniem. – Może nie, a może Tester ci na to pozwoli. Ale wierz mi, Helen. Wiem dokładnie, dlaczego zawsze się „wycofywał”, gdy chodziło o sprawy między wami. Też bym tak reagowała, gdybym wiedziała, że zostałam genetycznie zaprojektowana jako „niewolnik rozrywkowy”. Wszystko przez te potwory z Mesy. Oczywiście trudno, aby ktoś taki ufał swoim emocjom. A tym bardziej cudzym! Ale nie zapominaj, że szkoliłam cię na *Kociątku*. Musiałam wiedzieć, co się dzieje w głowach moich smarkaczy. I wiedziałam, zanim jeszcze wróciliśmy na Manticore. A cokolwiek by powiedzieć, Paulo d’Arezzo na pewno nie był głupi. – Uśmiechnęła się przez łzy i mocniej objęła łkającą przyjaciółkę, wolną ręką gładząc ją po głowie. – Może nie powiedziałaś mu, kochana. Nie powiedziałaś wprost, ale wierz mi, że on wiedział. Daję ci słowo, że wiedział.

ROZDZIAŁ XL



Zatem co sprowadziło nas tutaj w ten miły marcowy poranek? – spytał z wyrzutem brygadier Simeon Gaddis, składając dłonie przy ustach i chuchając na nie w podmuchach zimnego wiatru, który dał znad jeziora Michigan i gwizdał mu w uszach. Spojrzał podejrzliwie, a może nawet z obawą, na Lupe Blanton i Weng Zhing-hwan, które razem z nim wjechały na taras widokowy.

– Zaiste miły – odezwała się radośnie porucznik Weng, patrząc, jak wiatr porywa smugi pary unoszące się z jej kubka z herbatą.

– Po prawdzie jest tak zimno, że jeszcze trochę, a odmrozę sobie niektóre istotne części anatomiczne – zauważył ponuro Gaddis. – Naprawdę musieliśmy się umawiać na to tajne spotkanie na tym wygwizdowie?

Gaddis pochodził z południowej półkuli planety Shakin w układzie Bootstrap, gdzie było znacznie cieplej niż na Starej Ziemi. W marcu Old Chicago zionęło dla niego chłodem, zwłaszcza nad jeziorem.

– To nie jest „tajne” spotkanie, sir – poprawiła go Weng. – Po prostu troje znajomych, których łączy profesja, wyszło na spacer, aby nacieszyć się porannym słońkiem.

– Jeśli uważa pani, że ktoś w to uwierzy, proponuję od razu poszukać sobie innej roboty – odparł wysoki i muskularnie zbudowany brygadier. Był niemal czterdzieści centymetrów wyższy od Blanton i blisko trzydzieści od Weng. – Chociaż muszę przyznać, że miło jest po ostatnich tygodniach zobaczyć chociaż trochę słońca.

Weng uznała, że miał sporo racji. Rzadko się zdarzało w Old Chicago, aby w marcu temperatura spadała poniżej minus siedmiu stopni. Średnia wahała się w okolicy zera. Jednak w zeszłym tygodniu zrobiło się naprawdę zimno i całe miasto, prócz ogrzewanych ulic i chodników, było pokryte śniegiem, który jaśniał teraz oślepiającą bielą w promieniach słońca.

Miał też rację, mówiąc, że nikt, kto spostrzegłby ich pogrążoną w rozmowie trójkę, nie byłby skłonny uznać, że spotkali się przypadkiem. Z drugiej strony taras widokowy znajdował się na trzysta dwunastym piętrze zachodniej części Smith Tower, w której mieściło się Joint Intelligence Sharing and Distribution Command Center, w skrócie JISDCC. Tym samym wszyscy troje mieli powód, aby tam przebywać, chociaż rzadko im się to zdarzało. W teorii dowództwo miało ułatwiać obieg informacji między niezliczonymi agencjami wywiadowczymi Ligi Solarnej i

koordynować niektóre ich działania, w praktyce jednak miało to niewielki zasięg. Co nie oznaczało, że nie podejmowano pewnych starań, zwłaszcza wobec coraz gorszych stosunków z Gwiezdnym Imperium Manticore, zatem pretekst do wizyty był jak najbardziej realny. Każde z nich zwykło wspominać czasem tu i ówdzie o swoich wizytach w JISDCC, aby dać do zrozumienia, że poważnie podchodzą do nowych wyzwań, chociaż wszyscy wiedzieli, że nic z tego nie wyniknie. Z drugiej strony zbiurokratyzowane struktury wywiadu przychylnie patrzyły na każdą pozorną aktywność, jeśli tylko była zgodna z urzędowymi rytuałami. Każde z nich starannie planowało więc swoje ostentacyjne wizyty w Smith Tower, aby pomóc przypadkowi i czystym „zbiegiem okoliczności” trafić na resztę grupy.

No i byłoby podejrzane, gdybyśmy nie skorzystali z okazji, żeby trochę pogadać, pomyślała. Nie żeby o czymś istotnym, takie spotkania to część zwykłej zasłony dymnej w każdej pracy biurowej.

– To nie powinno długo potrwać, sir – powiedziała na głos. – Lupe i ja potrzebujemy tylko pewnej porady.

– I nie mogliście z tym do mnie zadzwonić? – mruknął zde gustowany Gaddis. – W moim gabinecie jest zdecydowanie cieplej.

– Ciepłej i mniej prywatnie – zauważyła Blanton. Gaddis spojrzał na nią i uniósł brwi. – Jestem pewna, że podejmuje pan te same środki ostrożności, co Zhing-hwan i ja. Wiem też, że wszystkie służbowe rozmowy są nagrywane, a wolałabym, aby nikt nie zwrócił uwagi na naszą pogawędkę.

– To chyba pierwszy objaw paranoi – zauważył Gaddis i obie kobiety uśmiechnęły się kwaśno.

– W naszych firmach paranoja jest chyba narzędziem przetrwania? – rzuciła Weng.

– Nie. – Pokręcił głową. – Raczej nie. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego zawodowi szpiedzy chcą rozmawiać ze zwykłym gliniarzem, takim jak ja. Ani dlaczego nie dało się tego załatwić notatką służbową, pani pułkownik – powiedział, spoglądając znacząco na Weng. – W przeciwieństwie do Lupe jesteśmy częścią tej samej struktury.

Weng skinęła głową, chociaż rzecz nie była tak prosta, jak sugerował brygadier. Gaddis był odpowiednikiem jej bezpośredniego przełożonego, brygadiera Väinöli, tyle że w wydziale kryminalnym Żandarmerii, a nie w wywiadzie. To oznaczało, że faktycznie był przede wszystkim policjantem i nie miał wiele wspólnego z działaniami Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Był

też zdecydowanie apolityczny, jak na kogoś o podobnej pozycji, którą uzyskał głównie dzięki rozległej wiedzy na temat różnych trupów pochowanych tu i ówdzie. Wielu wolałoby zobaczyć na jego miejscu kogoś... bardziej pasującego do politycznych realiów, ale musieli bardzo uważać, aby mu się nie narazić. Miał dość amunicji, żeby poradzić sobie z większością przeciwników. Na dodatek wszyscy wiedzieli, że jest gliną z krwi i kości i nie zawaha się sięgnąć do przeszłości, gdy ktoś naprawdę wejdzie mu w drogę. Bywał uważany za wściekłego nosorożca i większość starszych urzędników różnych służb wolała zapewniać mu dużą swobodę ruchów. Zwłaszcza że spora część z nich miała powody, aby się go obawiać.

I dlatego też Weng nie zamierzała przesyłać mu żadnych istotnych notatek służbowych. Jak sam wspomniał, niewiele mieli wspólnych obszarów zainteresowań i tym samym nader mało pretekstów do oficjalnych kontaktów. Cała społeczność wywiadowcza była tego świadoma. To z kolei oznaczało, że każdy ich kontakt mógł zwrócić czyjąś uwagę. A jeśli ich podejrzenia były trafne, z pewnością nie powinni do tego dopuścić. Zwłaszcza że chodziło o jedyne być może wyższego przedstawiciela prawa w Lidze Solarnej, który miał reputację prawdziwego gliniarza, gotowego pójść każdym obiecującym tropem niezależnie od politycznych konsekwencji.

– Oboje jesteśmy żandarmami, sir – powiedziała. – Ale działamy w różnych pionach.

– Owszem. Ale tym bardziej dlaczego chce pani rozmawiać ze mną, a nie z Noritoshim Väinölą? – spytał surowym tonem Gaddis. – Czasem dzielę się z nim informacjami. I co parę tygodni spotykam się z nim u generała Mabley. Zresztą znam go od dość dawna. Jeśli chce mi pani powiedzieć, że jest w coś zaangażowany, musi to trafić do mnie drogą oficjalną. A pani może mieć kłopoty, pani pułkownik.

– Sir, brygadier Väinöla zna większość tego, o czym chcemy porozmawiać. Wszystkiego mu nie przekazałam, ponieważ szczerze mówiąc, gdybym tak zrobiła, nie miałby wyjścia, jak zgłosić rzecz generałowi Mabley. A ja nie chcę stawiać go w podobnym położeniu. Podobnie jak Lupe nie chce zrobić tego Ukhtomskoyowi w Biurze Bezpieczeństwa Granicznego.

– Dlaczego? – spytał ostrożnie Gaddis.

Weng uśmiechnęła się krzywo.

– W żaden sposób nie naruszamy prawa, brygadierze. Ani nawet żadnych wewnętrznych przepisów. To, co robimy, podpada prawdopodobnie pod „celowe ukrywanie informacji źródłowych dla ochrony informatorów”.

– Prawdopodobnie? Niezbyt mi się to podoba.

– Nic dziwnego, dość długo już pracuje pan w Old Chicago – wtrąciła Blanton. Wcisnęła rękę do kieszeni i zerknęła na jezioro. – Problem w tym, że Zhing-hwan i ja, a najpewniej także brygadier Väinöla, doszliśmy do wniosku, że twierdzenia Manticore, iż Liga Solarna jest manipulowana, to prawda. To z kolei prowadzi nas do kolejnego wniosku, że ktokolwiek jest tym manipulatorem, musi mieć wejścia na bardzo wysokim szczeblu.

– Na tyle wysokim, że na pewno by się dowiedział, gdybyście wszczęły alarm oficjalnymi kanałami?

– Właśnie – odpowiedziała Weng. Upiła herbaty z kubka termicznego. Lubiła sączyć gorącą herbatę w tak zimne poranki. Żałowała tylko, że poruszany temat mroził ją w całkiem odmienny sposób i herbata na to wcale nie pomagała. – Obecnie ani Lupe, ani ja nie martwimy się o nasze fizyczne bezpieczeństwo – kontynuowała po chwili, nie całkiem zresztą szczerze. – Ale jeśli Manticore ma rację, to ci ludzie nie mają nic przeciwko zabijaniu. Przypuszczam, że to, na co natrafił pan podczas śledztwa w sprawie Technodyne, można uznać za poszlaki potwierdzające nasze sugestie.

Gaddis spoglądał na nią przez chwilę, po czym skinął głową.

– Nie udało nam się udowodnić, że Technodyne było bezpośrednio zaangażowane w zaopatrywanie terrorystów w gromadzie Talbott – powiedział. – Po części zapewne dlatego, że niektórzy funkcjonariusze Biura Bezpieczeństwa Granicznego stamtąd byli... powiedzmy, że nie dość przewidujący. Ale moi ludzie nie mają wątpliwości, że nawet jeśli Technodyne nie wysyłało broni, to wiedziało o tej części operacji. Nie mamy podobnego doświadczenia do Manpower czy innych graczy z Mesy, ale jeśli byli zaangażowani, to by wskazywało, że liczenie trupów nie jest tam dla nikogo problemem. Zakładam przy tym, że Manticore nie jest krainą głupców.

– Sądząc po tym, co się stało z admirałem Crandall, liczba trupów nie ma tu żadnego znaczenia – zauważyła Weng.

– Poważnie sugeruje pani, że ta „manipulacja” jest na tyle rozległa? Że mogą przestawić siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt okrętów liniowych, jakby to były pionki na planszy? – spytał Gaddis.

– Tak, sir – odparła tak cicho, że jej głos zginął niemal w szumie wiatru. – Właśnie tego się obawiamy.

Brygadier spojrzał na jedną, potem na drugą. Nie uciekły przed jego spojrzeniem. Przez kilka sekund słychać było tylko wiatr. W końcu Gaddis odetchnął głęboko, odwrócił się i oparł

dłonie na poręczy tarasu.

– To upiorna sugestia – powiedział, wpatrując się w odległy krajobraz. – W pewien sposób szalona. Wzdragam się przed nazwaniem jej „histeryczną” czy „paranoidalną”, ale same na pewno wiecie, jak zareagowaliby na nią wasi przełożeni.

– Dlatego rozmawiamy z panem, sir – stwierdziła Blanton. – W przeciwieństwie do nas jest pan szefem działu. My jesteśmy „szpiegami”, pan jest gliniarzem. Znamy się na gromadzeniu danych i sporządzaniu analiz, ale nie mamy pojęcia, jak poprowadzić śledztwo. Zresztą w tej materii brygadier Väinöla i Adão też nie mają ani doświadczenia, ani nawet prawnych możliwości, aby wszcząć jakieś dochodzenie. Jesteśmy jednak całkowicie pewne, że jeśli nasze podejrzenia są zasadne i prześlemy na ten temat raport w górę, wówczas ci manipulatorzy, kimkolwiek są, zrobią wszystko, aby ukreślić łeb sprawie.

Gaddis odnotował, że nie wspomniała o jeszcze jednej możliwości. Że ktoś postara się trwale uciszyć osoby, które zaczęły mącić i zagrażały udanej skądinąd operacji.

– A co dokładnie miałbym zbadać?

– Spisałyśmy wszystko, co udało nam się dotąd ustalić, sir – powiedziała Weng.

Postawiła trzymany w prawej dłoni kubek na poręczy i sięgnęła do kieszeni płaszcza po rękawiczki. Potem wzięła ponownie kubek, a gdy go uniosła, na poręczy pozostał niepozorny mikroczip. Gaddis zerknął na niego kątem oka, ale nie zabrał od razu.

– Przypuszczam, że nie rozmawialiście o tym z nikim z otoczenia admirała Thimára?

– Nie znam nikogo z wywiadu marynarki wojennej na tyle dobrze, żeby zaczynać rozmowę w podobnej sprawie. Zwłaszcza że może być ona bardzo śliska – odparła Weng.

– Znam parę osób z czwartej sekcji – wtrąciła Blanton. Czwórka zajmowała się kontrwywiadem. – Chociaż szczerze mówiąc, nie wiem, na ile tam jest bezpiecznie. Ale zawsze jest jeszcze admirał Yau.

– Jakbym nie wiedział – rzucił Gaddis.

Yau Kwang-tung, szef Czwórki, miał rozległe koneksje rodzinne będące jedynym powodem, dla którego awansował tak wysoko. Zapewne wiele to mówiło o szansach manipulowania czymś tak gargantuicznym, jak Liga Solarna, pomyślał brygadier. Bo przecież oczywiście nikt nie miał możliwości naprawdę zagrozić Lidze czy jej marynarce wojennej, a skoro tak... A skoro tak, to szef kontrwywiadu mógł być nawet niekompetentnym idiotą.

– Pytałem o to nie bez powodu – powiedział i oparł się o barierkę. W tej samej chwili

zgarzył prawą dłoń pozostawiony przez Weng czip. – Czy któraś z was zna kapitana al-Fanudahiego?

– Dauda al-Fanudahiego? – spytała Weng. Blanton chyba go nie kojarzyła. Gaddis skinął głową. – Znam to nazwisko, sir, i wiem, że podpadł chyba wszystkim starszym oficerom marynarki wojennej. I tyle.

– Kapitan al-Fanudahi to bardzo ciekawy gość – zaczął powoli brygadier. – Naraził się wszystkim głównie tym, że od lat powtarza, iż Manticore wyprzedziło nas znacznie w rozwoju techniki militarnej. Łatwo sobie wyobrazić, jak admirał Rajampet albo admirał Polydorou z działu badań i rozwoju musieli na to zareagować.

– Niezbyt życzliwie – stwierdziła Blanton i Gaddis pokiwał głową.

– To oddaje klimat – przyznał. – Obecnie po tym, co się stało z Crandall, zaczynają chociaż zapraszać go na narady. Ale nadal go nie słuchają.

– Przepraszam, sir, ale nie rozumiem, dokąd pan zmierza – powiedziała Weng. Uniósł brwi i wrzucił ramionami. – Jeśli kapitan al-Fanudahi dał się zmarginalizować, jak mógłby nam pomóc w tej sprawie? Jeśli dobrze pamiętam, pracuje w analizach operacyjnych. To jest teren admirała Chenga, a z całym szacunkiem, Cheng nie jest o wiele bystrzejszy niż admirał Yau. I, ponownie z całym szacunkiem, nie wiem, czy dział analiz operacyjnych potrafiłby się tym zająć, nawet założywszy, że zachowaliby to w tajemnicy.

– Al-Fanudahi ma tylko przydział do analiz operacyjnych – zaznaczył Gaddis. – Na ile go rozgryzłem, on uważa, że pracuje dla całej marynarki, i tak też się zachowuje. Dlatego stał się tak niepopularny. Przypuszczam jednak, że ktoś taki będzie skłonny ogarnąć całokształt sprawy i nie spojrzy na nią wyłącznie przez pryzmat własnego biurka, że się tak wyrażę.

– Sugeruje więc pan, aby się do niego zwrócić? – spytała Blanton. Sądząc po tonie jej głosu, nie uważała tego za najlepszy pomysł.

– Nie, nie sugeruję niczego podobnego... jeszcze nie, pani Blanton. Proponuję raczej, abyśmy zaczęli się rozglądać za osobami, które mogą się okazać użyteczne. Zakładając oczywiście, że wasze podejrzania są zasadne. Myślę, że kapitan al-Fanudahi jest taką osobą. Na kolejnym miejscu wymieniałbym brygadier Osterhaut z wywiadu marines. Wiem, że formalnie podlega admirałowi Thimárowi, ale marines prowadzą już praktycznie własny interes. Zbyt wiele razy sparzyli się na tym, co dostali od marynarki.

– Skoro uważa pan, że powinniśmy ich w to wprowadzić, nie będę oponować, sir –

powiedziała Weng, patrząc mu w oczy. – Chociaż nie zamierzam udawać, że się do tego palę, jak sam pan chyba rozumie.

– Na razie czegoś takiego też nie proponuję. – Uniósł dłonie do ust i znowu w nie pochuchał.
– Najpierw przyjrzę się temu, co udało się wam dotąd zgromadzić. Chwilowo nie zamierzam się tym z nikim dzielić. Tak naprawdę nie wiem jeszcze, czy nie powoduje wami wybujała wyobraźnia. Ale skontaktuję się z wami tak czy owak. Jeśli zaś uznam, że naprawdę na coś trafiłyście, będę musiał zadać komuś kilka pytań. – Opuścił ręce i uśmiechnął się blado. – A tak między nami, wolałbym, żebyście nie miały racji.

KWIECIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Może to trochę drastyczne, ale parafrazując przypomniane mi niedawno stare powiedzenie pewnego polityka, jeszcze sprzed Diaspory, Liga Solarna jest jak wieprz. Trzeba porządnie dać mu w ryj, żeby zwrócić jego uwagę”.

– admirał Michelle Henke, hrabina Gold Peak, głównodowodząca Dziesiątej Floty Royal
Manticoran Navy

ROZDZIAŁ XLI



Za dwadzieścia sekund na pozycji, ma'am – oznajmił komandor Nakhimov.

– Bardzo dobrze – odparła Ginger Lewis, gdy HMS *Charles Ward* zajmował swoje miejsce na orbicie po trzech dniach intensywnych ćwiczeń w pasie asteroid Unicorn w układzie Manticore B. Śledziła przebieg manewru na ekranie, podczas gdy Dreyfus ostatecznie zatrzymała ruch postępowy okrętu. Liczby na wyświetlaczu zaczęły maleć, w okienku pokazało się zero.

– Na stanowisku – powiedział Nakhimov. – Impellery w trybie gotowości.

– Bardzo dobra robota, astro. Pani bosman, tak samo – pochwaliła Ginger.

– Dziękuję, ma'am – odpowiedział Nakhimov, a Dreyfus uśmiechnęła się krótko, po czym zaczęła wyłączać swoje stanowisko.

Ginger spoglądała jeszcze przez chwilę na tył głowy pani bosman. Angelina Dreyfus była jednym z najlepszych sterników, jacy mogli się jej trafić. Miała trzydzieści sześć lat, była więc dość młoda na swoje stanowisko, ale miała do tego swoisty dar.

Zarazem to również ona, spośród całej obsady mostka *Charlesa Warda*, najbardziej martwiła Ginger.

W pewnym sensie była to ironia losu. Sama była tylko dziesięć lat starsza od Dreyfus, a tym samym równie młoda na stanowisko kapitana, jak Dreyfus na sternika. Były też podobnego wzrostu, obie były rude i ogólnie dość podobne, chociaż Dreyfus miała oczy niebieskie, a ona zielone. Ginger wyczuwała też u niej podobne poczucie humoru, przynajmniej w zwykłych okolicznościach. Problem zaś leżał w tym, że starszy brat Dreyfus szefował nocnej zmianie w Dempseyu, najlepszej restauracji na *Hephaestusie*. Nie miała więcej rodzeństwa. Co więcej, jej rodzice akurat jedli tam obiad, kiedy doszło do ataku. Ciężko przeżyła ich śmierć i było oczywiste, że jeszcze ich nie opłakała.

Oczywiście nie była w tym sama. Większość ludzi z nowej załogi Ginger straciła kogoś bliskiego, czy to z rodziny, czy z załogi. W jej przypadku była to cała załoga *Hexapumy*, w przypadku *Charlesa Warda* zdecydowana większość starszych oficerów. I na tym się nie kończyło. Prawie jedna czwarta załogi przebywała akurat na stacji, korzystając z ostatniej przepustki przed skierowaniem do gromady Talbott. Ich okręt tkwił na orbicie 60 tysięcy kilometrów od stacji, ponieważ zabrakło wolnych stanowisk dokowania. Dobrze się stało, że

obiecane przez kapitana Mathisa tygodnie przygotowań znacznie się przeciągnęły. I nie tylko dlatego, że Ginger potrzebowała czasu, aby oswoić się z nową sytuacją. Jej załozde było to jeszcze bardziej potrzebne.

Wachta na mostku widziała zagładę stacji, co wyjaśniało w pewien sposób to, co Ginger zastała na pokładzie. Oczywiście to samo można było powiedzieć o niemal wszystkich jednostkach w układzie Manticore, ale *Charles Ward* (załoga nie zdecydowała się jeszcze, czy będzie skracać nazwę do *Charley W.* czy *CW*) ucierpiał bardziej niż inni. Na wielu pokładach zabrakło nagle kogoś z załogi, to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak wiele ważnych funkcji pełniły *Hephaestus*, *Vulcan* i *Weyland*. Tyle że żadna inna jednostka z tych, które przetrwały, nie straciła całego dowództwa.

Ani czterech piątych smarkaczy, przypomniała sobie Ginger, spoglądając na Paulę Rafferty, siedzącą obok Nakhimova i wyłączającą właśnie pod jego nadzorem konsolę astro. Trudno było powiedzieć, jak Rafferty czuła się w tak opustoszałej kwaterze midszypmenów, ale Ginger zadbała, żeby ktoś z załogi stale się nią zajmował.

Uśmiechnęła się, przesuwając spojrzenie na niewiarygodnie atrakcyjną, jasnowłosą i szarooką panią podporucznik na stanowisku oficera taktycznego, i humor trochę się jej poprawił.

Straty *Charlesa Warda* były tak wysokie, że dział personelu musiał naprawdę się postarać, aby wszystkich zastąpić. Nie wszystkie stanowiska zostały jednak obsadzone zgodnie z wymogami formalnymi przez osoby z odpowiednim starszeństwem. W pewien sposób dotyczyło to także stanowiska dowódczego. Dawna tradycja „krwawych bitew i wielkich zaraz”, otwierających młodszym drogę do awansu, zadziałała także teraz.

Ginger udało się przy tym załatwić kilka ważnych dla niej spraw. Jedną z najpoważniejszych strat *Charlesa Warda* wiązała się ze śmiercią starszego bosmana Elijaha Tebo. Jako bosman okrętowy, czyli bosun, spajał w pewien sposób załogę i naprawdę trudno było naprędce kimś go zastąpić. Co więcej, w zwykłych okolicznościach Ginger pewnie nie uzyskałaby akceptacji dla swojej propozycji. O ile Angelina Dreyfus była młoda jak na bosmana, to Aubrey Wanderman, mający trzydzieści cztery lata, był jeszcze młodszy na stanowisko bosuna. Ginger nigdy nie miała jednak wątpliwości, kogo chce widzieć u siebie w tej funkcji. Podejrzewała, że Aubrey musiał być podobnie przerażony nową perspektywą jak ona, gdy dowiedziała się o przejęciu fotela kapitan Whitby, niemniej przeżył długą drogę i nie przypominał już tamtego nerwowego i niezbyt pewnego siebie technika zaraz po kursach, który zameldował się na pokładzie HMS

Wayfarer ponad czternaście lat temu.

Cóż, ja też chyba się zmieniałam, pomyślała. Podobnie Paulo, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat, spojrzała na podporucznika d'Arezza, który omawiał coś z Raymundem Atkinsem, nowym oficerem taktycznym *Charlesa Warda*. Był tylko trzy lata starszy od Pauli Rafferty, ale jego spokojny charakter i spora pewność siebie miały chyba dobry wpływ na jej nastrój.

To dobrze, bo najpewniej nie dostaniemy już żadnych smarkaczy, pomyślała Ginger. Paula będzie musiała radzić sobie sama i pewnie lepiej, że zajmuje się nią ktoś niewiele starszy. I zapewne nie szkodzi też, że Paulo to niezłe ciacho.

Pomyślawszy to, zachichotała cicho w sposób, który nie pasował do dowódcy tak wielkiego okrętu, ale cóż... To była prawda. Istniało tylko ryzyko, że zachęcona prezencją Paula i cechami jego osobowości dziewczyna zacznie myśleć o tej znajomości w sposób nie całkiem pasujący do relacji między przełożonym i podwładnym. Wiedząc, co Paulo myśli na temat pochodzenia swego idealnego profilu, wyraźnie zarysowanego podbródka i kształtnych ust, Ginger nie obawiała się, że zrobi coś niewłaściwego, ale Paula i tak mogła... mieć swoje tęsknoty.

Jasne, ja też bym je miała, gdybym była w jej wieku, pomyślała Ginger. Paulo wygląda apetycznie i mówi się trudno. W sumie aż dziwne, że Helen zauważyła to dopiero na pokładzie *Kociątka*.

Przerwała te rozmyślenia i obróciła się wraz z fotelem, aby spojrzeć na ciemnowłosego komandora o leszczynowych oczach, który stanął obok niej.

– Myślę, że wszyscy dobrze się sprawili, pierwszy – powiedziała na tyle głośno, aby wszyscy na mostku ją słyszeli. – Powiedziałabym, że radzą sobie tak dobrze, że nie obawiam się naszego przeniesienia do gromady Talbott w przyszłym miesiącu. Proszę dopilnować, aby cała załoga się o tym dowiedziała.

– Oczywiście, ma'am – odparł komandor Fred Hairston.

Był mocno zbudowanym mężczyzną, wyższym o jakieś dwadzieścia pięć centymetrów od Ginger. Mówił z akcentem ze Sphinksa, który kojarzył się jej z księżną Harrington. Był piętnaście lat starszy niż ona i z początku obawiała się, że ta różnica wieku, jak i to, że w przeciwieństwie do niej był absolwentem Akademii Saganami, wywoła między nimi pewne napięcie. Ale jak dotąd wszystko grało.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem, spoglądając na wyświetlacz czasu. Do lunchu zostało trzydzieści minut. Wstała z fotela. – Przejmujesz okręt, Fred. Jared zaczyna mnie już

pewnie szukać po szufladach. Ostatecznie nie miałam przecież dziś rano żadnych ważnych zajęć, a mnie i Garetha czeka jeszcze sporo papierkowej roboty.

Hairston uśmiechnął się, słysząc jej pełen rezygnacji ton, i skinął głową.

– Przejmuję okręt, ma'am – odparł oficjalnym tonem.

– Tak i zajmij się nim – powiedziała Ginger i ruszyła do windy.

Wysiadła na poziomym kwater. Stojący przed drzwiami jej kabiny marine sięgnął za siebie do sensora otwierającego drzwi.

– Dziękuję, Simpkins – powiedziała, przechodząc obok niego.

– Proszę, ma'am.

Kabina dowódcy na pokładzie HMS *Charles Ward* była niewiarygodnie duża dla kogoś, kto ledwie siedem miesięcy wcześniej był komandorem. Ginger wiedziała, że na jednostce o masie trzech milionów ton nie trzeba specjalnie oszczędzać miejsca, ale i tak miała to za skandaliczne marnotrawstwo. Jej steward, także nieoczekiwany dodatek do funkcji, wyjrzał ze swojego królestwa.

– Stół nakryty, ma'am – oznajmił, wskazując za siebie, w kierunku jadalni. – Za pięć minut podaję.

Jego ton sugerował, że lepiej dla niej będzie, jeśli za pięć minut naprawdę będzie siedzieć przy stole. Kiwnęła głową.

– Dobrze, Jared – powiedziała i poszła, by zająć miejsce u szczytu absurdalnie dużego stołu w groteskowo rozległej jadalni.

Tak po prawdzie, pomyślała, rozglądając się po kabinie, to była ona zarówno zbyt duża dla niej osobiście, jaki niemal za mała na inne jej potrzeby. Jeszcze jako podoficer, gdy służyła pod Harrington na *Wayfarerze*, zrozumiała, ile mogą znaczyć praktykowane przez Honor wspólne obiady oficerów. Od tamtej pory miała okazję porównać dowódców, którzy nie uznawali tego zwyczaju, z innymi, jak sir Aivars Terekhov, którzy mieli to za dobrą tradycję. Dobrze wiedziała, do której z tych grup chciałaby należeć. Co więcej, zdołała już się przekonać, że w przypadku *Charlesa Warda* wspólne posiłki pomogły skonsolidować oficerów nawet bardziej, niż oczekiwała.

Steward Pallavicini zjawił się z jej sałatką znacznie przed upływem pięciu minut. Podał ją z jej ulubionym balsamicznym sosem, nalał do szklanki mrożonej herbaty, którą polubiła dzięki spotkaniom w ciągu lat służby Graysończykom, po czym ponownie zniknął u siebie.

Ginger spojrzała na sałatkę. Wyglądała świetnie, z serem, skrawkami boczku, gotowanymi jajkami i najpewniej pochodzącymi ze Sphinksa anchois. Porcja była zdecydowanie za duża, a z kuchni dolatywał jeszcze zapach spaghetti, bez wątpienia pysznego, które miało być na drugie danie.

Muszę coś z nim zrobić, pomyślała, sięgając po sałatkę. Wiem, że chce dobrze, ale jeśli to dłużej potrwa, w sześć miesięcy dobiję do dwustu kilo.

W gruncie rzeczy wiedziała, że nawet Pallavicini nie zdołałby czterokrotnie zwiększyć masy jej ciała, ale była też pewna, że to, co podawał, nie było wcale „lekkim” lunchem. Pierwszy raz był stewardem dowódcy i chyba zamierzał dbać o nią niezależnie od wszystkiego, także jej zdania na ten temat. Po cichu podejrzewała, że była to również niejaka kompensacja z jego strony. Kiedy lekki krążownik *Calliope*, na którym wcześniej służył, został zniszczony w lutowym ataku, Pallavicini przebywał akurat na urlopie na powierzchni planety. Nic nie mógł zrobić dla poległych kolegów i przyjaciół, ale ich utrata spotęgowała jego swoistą opiekuńczość. Gdy przy pierwszym spotkaniu wspomniała, że wystarczy jej na lunch mała sałatka i może kanapka z tuńczykiem oraz szklanka mleka, spojrzał na nią, jakby wygłaszała herezję. Już wtedy zaczęła się domyślać, że nie będzie łatwo. Inna sprawa, że kapitańscy stewardzi w RMN stanowili odrębny gatunek i niektórzy wierzyli chyba święcie, że ich podopieczni nawet butów nie potrafią sami zawiązać. Biorąc pod uwagę dodatkowe okoliczności, jak śmierć załogi *Calliope*, Ginger musiała być przygotowana na ciężką batalię.

Co gorsza, jej steward gotował naprawdę dobrze.

A może włączę do tego doktor Massarelli? Tak, to jest pomysł! Poproszę ją, żeby porozmawiała z nim o takich sprawach, jak zalecana dawka kalorii, wpływ diety na ciśnienie krwi, otyłość i tym podobne. To będzie znacznie prostszy sposób niż trenowanie siły woli i własnych reakcji na to, co przede mną stawia.

Zaśmiała się na tę myśl, dodała dressing i sięgnęła po widelec. Gdy uniosła go do ust, Pallavicini wrócił z pysznym, przesiąkniętym masłem chlebkiem czosnkowym. To było nie do uniknięcia. Postawił tackę na stole i chciał zniknąć, ale zdołała zatrzymać go gestem dłoni. Musiała jednak przeżuć i połknąć. Sałatka, nawiasem mówiąc, była równie smaczna, jak pięknie wyglądała.

– Zrób coś dla mnie, Jared. Przekaż Garethowi, że muszę z nim porozmawiać.

– Oczywiście, ma’am. Zaraz po lunchu.

Odniosła wrażenie, że „po lunchu” wymówił ze szczególnym naciskiem, ale powstrzymała się od komentarza.

– Tak będzie dobrze – stwierdziła.



– Czy to wszystko, ma’am? – spytał półtorej godziny później bosman Gareth Yamaguchi, zerkając w swoje notatki na tablecie.

Ginger odziedziczyła Yamaguchiego po kapitan Whitby. W przeciwieństwie do większości załogi *Charlesa Warda* bosman służył z Joanną Whitby ponad pięć lat. Był więc kimś więcej niż tylko jej podoficerem kancelaryjnym i czasem było to po nim widać. Był dziesięć lat starszy od Ginger i odnosiła niekiedy wrażenie, że było mu przykro, że ktoś tak młody zajął miejsce kapitan Whitby. Nigdy jednak nie pozwolił sobie na żadną uwagę ani aluzję na ten temat i odnosił się do nowej pani kapitan uprzejmie i bardzo profesjonalnie.

– Myślę, że tak – odpowiedziała, prostując się na krześle w swojej kabinie. – Najpilniejsza sprawa to sprawdzenie i zatwierdzenie list zaopatrzenia, które musimy przekazać porucznikowi Primikynosowi przed wyruszeniem do Spindle. – Uśmiechnęła się. – Jest niezwykle sprawny i nigdy nie mogę za nim nadążyć. Czy też może to on nie musi mnie gonić.

– Owszem, ma’am – zgodził się Yamaguchi. – Porucznik jest dobry. Zapewne przez te wszystkie lata, które spędził w marynarce handlowej. – Bosman uśmiechnął się nagle, co nie było częstym widokiem. Niemniej, gdy to robił, uśmiechał się całą twarzą. – Przy czym, jeśli można, sugeruję dodać kilka pozycji do tych list. Niechby porucznik trochę się naszukał. Zwłaszcza gdybyśmy spytali też Jareda o propozycje – dodał z przebiegłą miną. – Nie zamówiliśmy dotąd niczego egzotycznego do pani spiżarni, ma’am. A to jest dobra okazja!

– Jesteś złym człowiekiem, panie Yamaguchi – powiedziała ze śmiechem. – Chociaż przyznam, że moja ciemna strona nie ma nic przeciwko. Naradzisz się z Jaredem, jak utrudnić życie porucznikowi?

– Oczywiście, ma’am. – Yamaguchi przestał się uśmiechać, ale w jego oczach pozostało sporo wesołości.

Dla Ginger był to dobry znak.

– No to chyba mamy już wszystko i...

– Przepraszam, pani kapitan – przerwał jej z szacunkiem Pallavicini, wsuwając głowę do kabiny.

– Tak, Jared?

– Jest rozmowa. To pani Terekhov.

– Poproś ją, żeby poczekała pięć sekund. Gareth i ja już kończymy, zaraz z nią porozmawiam.

– Tak, ma'am.

Głowa stewarda zniknęła i Ginger spojrzała na Yamaguchiego.

– Jak mówiłam, myślę, że jesteśmy już gotowi. Dopilnuj, proszę, abym dostała te notatki przed zebraniem szefów działów.

– Oczywiście, pani kapitan.

Yamaguchi zamknął tablet, zabrał minikompa i ruszył do własnego biura. Ginger popatrzyła za nim i sięgnęła do migoczącego na blacie biurka sensora.

– Witaj, Ginger – odezwała się z ekranu Sinead Terekhov.

– Dobry wieczór, Sinead.

Nie miała już problemów ze zwracaniem się po imieniu do żony Aivarsa Terekhova. W sumie było to nawet bardzo łatwe. Podobnie jak jej mąż, Sinead miała wrodzoną zdolność zjednywania sobie ludzi, na dodatek w jej przypadku nie było kłopotu z różnicą stopni i starszeństwa. Chociaż Ginger przyszło do głowy, że różnica w ich pochodzeniu społecznym mogłaby być problemem dla niektórych znajomych Sinead. O'Daleyowie i Longowie to były naprawdę stare rody i Ginger właściwie nie miała pojęcia, jak bogata była Sinead... Poza tym, że na pewno była „bardzo” majątna. Ona sama wywodziła się z klasy średniej i zaczynała karierę od szeregowca. Przypuszczała, że w otoczeniu pani Terekhov mogło być trochę osób nieskłonnych do fraternizacji z kimś tak pospolitym.

Nawet wiem, że takie osoby są, pomyślała. Kilku tych drani poznałam.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała, a Sinead zmarszczyła nos.

– W tej chwili chciałabym wiedzieć, czy będziesz wolna, aby wpaść do mnie na kolację. Dzisiaj, ewentualnie jutro.

– Obawiam się, że dziś nie zdołam. Mam zaplanowany obiad z moimi starszymi oficerami. Jutro wieczorem pewnie tak. – Ginger zastanowiła się, pocierając palcem koniuszek nosa. – Komandor Lawson, porucznik Primikynos i ja spotykamy się jutro z ludźmi z logistyki, ale od piętnastej powinnam być wolna. Dla bezpieczeństwa powiedzmy, że od szesnastej. Wtedy dotarłabym do Landing o siedemnastej trzydzieści.

– To wystarczająco wcześnie. Mogę więc wpisać cię na listę? To nie będzie nic oficjalnego. I obiecuję, że pamiętając o praktykach twojego stewarda, na pewno podam coś lekkiego.

– Boże! – Ginger się roześmiała. – Dziękuję za to! Wiem, że on chce dobrze, ale napuszczę na niego doktor Massarelli. Niech go wytarga za uszy.

– Widzisz? Rozwijasz w sobie „instynkty taktyczne”! – Sinead się uśmiechnęła. – Daj znać, gdy opuścisz okręt, wyślę po ciebie wóz na lądowisko.



– Ogólnie rzecz biorąc, jestem całkowicie zadowolona z wyników naszych ludzi – powiedziała Ginger, siedząc u szczytu stołu.

Pallavicini i inni stewardowie, których zatrudnił na tę okazję, posprzątaali już po obiedzie. Teraz wszyscy mieli przed sobą talerzyki z deserem i raczyli się kawą.

Fred Hairston siedział naprzeciwko Ginger, mając po bokach Kumanosuke Lawsona, inżyniera *Charlesa Warda*, i komandora Nakhimova. Raymundo Atkins siedział po lewicy Lawsona, a porucznik Yolande Cornelisz, oficer walki radioelektronicznej, naprzeciwko Nakhimova. Porucznik Traxton Sughavanam, oficer łączności, zajmował miejsce po prawej Cornelisz, naprzeciwko porucznika Olivera Primikynosa, porucznik Benjamin Marsden zaś, dowódca HMLAC *Nożownik* i starszy oficer eskadry kutrów *Charlesa Warda*, siedział po prawicy Primikynosa. Lekarz okrętowy, porucznik chirurg Sying-ni Massarelli, została posadzona na lewo od Ginger.

– Wiem, że wszystkim było ciężko – kontynuowała, trzymając filiżankę w obu dłoniach. – Jesteśmy dla nich nowi, wszyscy, oprócz Sying-ni i Dimitra. Szczerze mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, jak może się czuć załoga, która w jednej chwili traci tylu starszych oficerów. – Pokręciła ze smutkiem głową. – Jesteśmy tu jakby ludźmi z zewnątrz.

– To tylko w części prawda, ma’am – powiedziała Massarelli.

Była osobą, która naprawdę zwracała na siebie uwagę. Rzadko spotyka się takich ludzi. Jej włosy były szmaragdowe i był to jej naturalny kolor. Oczy bursztynowe, w odcieniu, który Ginger widziała dotąd tylko raz, u owczarka niemieckiego. Na dodatek źrenice były pionowe. Ponadto miała nad wyraz masywne i wąskie paznokcie oraz wydłużone, niemal trójkątne uszy, których koniuszki wystawały z zielonych włosów. Poruszała się z niesamowitym wdziękiem, co jeszcze bardziej upodabniało ją do kotki.

Dzięki aktom personalnym Ginger wiedziała, że wszystkie te cechy zostały uzyskane za

pomocą inżynierii genetycznej. Podobnie jak u Paula d'Arezzo, zastosowano u niej metody udostępnione przez Manpower Incorporated, chociaż u Paula korzystano tylko z ludzkiego DNA. Sying-ni Massarelli była wnuczką innego wyzwolonego niewolnika genetycznego, który zdecydował się osiedlić w Gwiezdnym Królestwie Manticore i przyjąć nazwisko kapitana, który uwolnił go ze statku niewolniczego Mesy.

Ginger zastanawiała się, czy dziadka pani chirurg nie kusilo, aby wyciszyć jakoś te cechy u siebie i potomstwa. Była prawie pewna, że doktor Massarelli nie miała takich skłonności. Z dumą prezentowała swoje zielone włosy, kocie oczy i spiczaste uszy. Okazywała w ten sposób, że nie wstydzi się swojego dziedzictwa oraz że wydała osobistą wojnę tym, którzy odpowiadali za niewolnictwo genetyczne.

Ciekawy kontrast, pomyślała Ginger. Między nią a Paulem. Czy przynajmniej *starym* Paulem. Nawet nie wiem, czy o tym rozmawiali...

– Dlaczego w części, Sying-ni? – spytała.

– Jesteście tu nowi, a nasi ludzie przeżyli traumę. To prawda. Ale wszyscy w marynarce wojennej, czy w ogóle w Manticore, są obecnie w podobnej sytuacji. Ty i pierwszy, i wszyscy, którzy tu siedzą. – Spojrzała kocimi oczami wokoło. – Wiem, że skupiamy się na depresyjnych stanach załogi, że pomagamy jej radzić sobie z szokiem pourazowym, i szczerze mówiąc, myślę, że większości z nas nieźle to wychodzi. Ale byłoby błędem, i to poważnym, gdybyśmy lekceważyli czy wręcz zapominali o tym, w jakim stopniu to dotknęło nas samych.

– Naprawdę myślisz, że nie zwracamy na to wystarczającej uwagi? – spytał komandor Lawson nieco zduszonym głosem.

Massarelli spojrzała na niego spokojnie i skinęła głową.

– Tak właśnie uważam.

Naturalnie ciemna cera Lawsona zrobiła się jeszcze ciemniejsza, a on zacisnął szczęki i przez chwilę chciał chyba rzucić jakieś ostre słowo, ale ostatecznie nic nie powiedział.

Ginger przyjrzała mu się ze zrozumieniem i z obawą. Jako inżynier pokładowy Lawson był kluczową osobą, bez której *Charles Ward* nie miałby szansy odzyskać formy. Niemniej dostarczał też powodów do zmartwień. Podobnie jak Nakhimov i Hairston, Lawson pochodził ze Sphinksa. Hairston stracił w mieście Yawata kuzynkę i troje jej dzieci, niemal cała rodzina Lawsona zaś mieszkała w małym miasteczku Tanner Port, które zostało zniszczone przez falę tsunami.

Było oczywiste, że Hairston odebrał atak bardzo osobiście, ale całą agresję skierował na

zewnątrz. Tęsknił za okazją, aby się zemścić, i spędzał wiele czasu z Raymundem Atkinsem i jego sekcją taktyczną. Lawson przeżywał wszystko w milczeniu, nie pozwalając sobie na uzewnętrznienie gniewu, co nie było dobre. Był cztery lata starszy od Ginger i bardzo dobry w swoim inżynierskim fachu. Trzy lata pracował w stocznicach *Hephaestusa*, przy czym rok spędził jako kierownik budowy nowego modułu stacji, przez co na okręcie, takim jak *Charles Ward*, był bardziej kompetentny na swoim stanowisku niż Ginger jako świeżo upieczony kapitan.

Była przygotowana, aby zająć się jego problemem, gdyby okazało się to konieczne, i dopóki się kontrolował, nie miała mu za złe takiej postawy. Nie podzielała jego podejścia, ale i go nie winiła, bo ostatecznie nie był to jego wybór. Wiedziała jednak, że jeśli ta tłumiona złość zaowocuje poczuciem winy, że udało mu się przeżyć, gdy inni zginęli...

Nie martw się na zapas, powiedziała sobie w duchu. Jak do tej pory wykonuje swoją pracę i nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić. Wiem, dlaczego Syng-ni tak się o niego martwi. Może któreś nocy sięgnąć po pulser. Jednak dopóki nic tego nie zapowiada, nie mam podstaw, czy też należytych podstaw, aby żądać jego przeniesienia. A gdybym spróbowała go zastąpić i dział personelu znalazłby mi kogoś na jego miejsce, najpewniej raz na zawsze wykończyłabym człowieka. W tej chwili żyje obowiązkami, nic innego mu na razie nie zostało.

– Myślę, że to bardzo ważne, Syng-ni. Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać – dodała, patrząc na panią doktor, ale kątem oka zerkając na Lawsona. – Wiem, że sama będę musiała zmierzyć się z „poczuciem winy ocalonego”. – Uśmiechnęła się smutno. – Sądzę, że minie sporo czasu, zanim przestanie mnie to dręczyć. Tęsknię za tą chwilą. Masz rację. Musimy o tym pamiętać.

Odwróciła się od Massarelli i ogarnęła spojrzeniem resztę oficerów. Lawson nadal miał ściągniętą twarz, ale nie uciekł przed jej wzrokiem. Dobrze. Potem upiła łyk kawy, odstawiła filiżankę i uniosła głowę.

– Ale wystarczy tych ciężkich tematów na dzisiaj – powiedziała z ożywieniem. – Wydaje mi się, że poruszyliśmy już wszystkie ważne kwestie, a z doniesień moich szpiegów wynika, że mamy w naszym gronie kilku zapalonych wielbicieli lakierowanych kartoników.

Kilka osób się zaśmiało, a lazurkowe oczy komandora Hairstona wręcz pojaśniały. Pierwszy był nie tyle wielbicielem kart, ile ich wyznawcą. Oliver Primikynos nie ustępował mu zbytnio pod tym względem.

– Mam jeszcze kilka spraw do omówienia z konkretnymi osobami, ale nie ma sensu robić

tego na ogólnym spotkaniu – dodała. – Tak zatem, jeśli Jared... – Spojrzała ponad głowę Hairstona na wejście do kuchni, w którym pojawił się już Pallavicini. – Jeśli Jared będzie tak miły i przyniesie nam karty... Chyba zasłużyliśmy na chwilę relaksu.

ROZDZIAŁ XLII



Muszę powiedzieć, panie prezydencie, że jestem trochę zaskoczona menu – powiedziała Michelle Henke.

Prezydent Warren Suttles spojrzał na nią z uśmiechem. Był niski, jak na mieszkańca Montany, z ciemnymi, lekko siwiejącymi na skroniach włosami. Raczej drobnej budowy, z zadbanymi dłońmi kojarzył się Henke z profesorem pomniejszego uniwersytetu, a nie prezydentem całego układu planetarnego.

– Mam nadzieję, że to była miła niespodzianka? – spytał.

– Och, wspomniała – zapewniła go. – Po prostu pamiętając o tym, że Montana słynie z wyśmienitej wołowiny, oczekiwałam jej w każdym daniu.

– Przypuszczam, że i tak bywa. – Uśmiechnął się krzywo. – Ale czasem dobrze jest pójść pod prąd. Tym bardziej że z hodowlą drobiu radzimy sobie równie dobrze. Chociaż oczywiście nie jest to oryginalna kura w ziołach.

– W żadnym wypadku – odezwał się wysoki i jasnowłosy mężczyzna stojący obok nich w Ballroom Musselshell, największej sali hotelu Beaverhead w Estelle, stolicy układu Montana. – Spędziłem na Starej Ziemi trzy najgorsze lata mojego życia – dodał Chester Lopez, prokurator generalny Montany. – Nie chciałem tam lecieć, ale tata uznał, że DeVry jest jedynym miejscem, gdzie można zdobyć porządny dyplom prawnika. – Prychnął pogardliwie i znacząco, acz lekko machnął ręką, w której trzymał kieliszek whisky. – Niezbyt mi to pasuje, biorąc pod uwagę, jak bardzo lekceważą własne prawa. W każdym razie spróbowałem wtedy „oryginalnej” i muszę przyznać, że mało co mnie dotąd tak rozczarowało. – Potrząsnął głową.

– Aż tak była niesmaczna? – spytał Suttles, wywiązując się z roli uprzejmego rozmówcy.

– Może niekoniecznie niesmaczna – odpowiedział Lopez tonem kogoś, kto stara się zachować obiektywizm. – Ale dziwnie mała. Powiedziałem kucharzowi, że oczekiwałem dorosłego ptaka, a on mi powiedział, że to była dorosła sztuka. Wyszło na to, że te „oryginalne” kury ważą góra około trzech kilogramów.

– Trzech?

– Zgadza się, panie prezydencie – zapewnił Lopez i spojrzał na Henke. – Na Montanie sztuka drobiu jest w miarę dorosła, gdy osiąga dziewięć–dziesięć kilogramów. Ta, którą jedliśmy

dzisiaj, miała pewnie pod dwanaście.

– Cóż, z pewnością była pyszna – powiedziała Henke. Już podczas pierwszej wizyty odkryła, że na Montanie wszystko było większe, no i oczywiście lepsze, niż gdziekolwiek indziej we wszechświecie. Przynajmniej zdaniem miejscowych, chociaż widok doliny New Missouri w Górach Szafirowych rzeczywiście był unikatowy. – Wcale nie brakowało mi wołowiny, zwłaszcza że i tak jemy jej tu sporo.

– A my się cieszymy, że pani tu jest – odezwał się ktoś jeszcze.

Henke odwróciła się i ujrzała komodor Francine Cody z Patrołu Celnego Montany. W swoim czasie była to formacja pełniąca poniekąd funkcję marynarki wojennej układu i obecnie trwał proces włączania jej w struktury Patrołu Celnego Quadrantu. Nigdy nie dysponował on więcej niż garstką lekkich jednostek podświetlnych, niemniej cechował się sprawnością działania i profesjonalizmem. Cody, która dowodziła Patrolem, była kobietą bardzo wysoką, niemal dorównywała wzrostem najlepszej przyjaciółce Henke, Honor Harrington. Miała jednak niższy głos niż Honor i ciemniejsze oczy.

– Zwłaszcza po tym, co się stało w Spindle... i w Manticore – ciągnęła Cody, spoglądając na Michelle.

Suttles poczuł się chyba trochę nieswojo i chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko pokręcił głową. Lopez się uśmiechnął.

– Nie chcę przesadzać z obawami i nie oczekuję od pani żadnych deklaracji, ale naprawdę boję się, do czego może dojść, gdy wycofa pani stąd swoje siły – dodała komodor. – Montana jest dość wyeksponowanym celem.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziała Henke. – Wprawdzie to raczej Tillerman jest bardziej narażony na wszystko, co tylko może nadciągnąć z sektora Madras, ale jesteśmy świadomi sytuacji Montany. Właśnie dlatego jestem tu, a nie z Tillermanem. – Upiła szampana i wrzuciła lekko ramionami. – Zapewne możemy przyjąć, że to, co się przydarzyło Crandall, zabezpieczy nas przed dalszymi kłopotami ze strony sektora Madras. Nie spodziewam się, aby cokolwiek zagroziło w najbliższym czasie obszarom poza układem Meyers. Ale zgodzę się, że gdy mowa o bezpośrednim ataku ze strony Ligi Solarnej albo też jakiegoś... niezależnego układu, to Montana jest bardziej narażona. Jeśli zaś chodzi o to, jak długo tu będziemy, to niestety nie potrafię udzielić odpowiedzi na to pytanie. Zbyt wiele zależy od tego, co jeszcze będzie się działo. Z całą pewnością nie mamy zamiaru wycofywać się z Montany, chyba że jakiś

inny układ w Quadrancie znajdzie się w poważnych tarapatach. Czy też sytuacja strategiczna zmieni się w sposób wymagający naszego działania.

– Ma pani na myśli ofensywne działania przeciwko Lidze Solarnej, milady? – spytał z wyraźnym niepokojem Suttles.

– No cóż, panie prezydencie – rzuciła suchym tonem. – Na pewno nie przeciwko królestwu Oz.

Prezydent chyba nie zrozumiał aluzji. Nic dziwnego, bo rzecz nie była popularna. Henke знаła tę opowieść tylko dlatego, że Honor lubowała się w takich starociach. Ogólny sens wypowiedzi musiał jednak do niego dotrzeć, bo prezydent nie wyglądał na zadowolonego. Henke przeklęła się w duchu za niedostatek dyplomacji.

Nie po raz pierwszy zresztą.

– Chodzi o to, panie prezydencie – odezwała się poważniejszym tonem – że zdarzyło nam się już być ofiarą ataku Ligi Solarnej i nie wiemy, co teraz zrobić. Jeśli w Old Chicago mają choć trochę oleju w głowie, potępią działania Crandall i przeproszą. Niestety, od dawna wiadomo, że rozum nie jest tam w cenie. Więc całkiem możliwe, że jesteśmy już w stanie wojny z Ligą Solarną.

Suttles otworzył szeroko oczy, zaskoczony jej szczerością, ona jednak nie zmieniła tonu.

– Królowa poleciła nam wdrożenie długoterminowego planu awaryjnego. Nazywamy go operacją Laokoon, w jej ramach staramy się przejąć kontrolę nad wszystkimi dostępnymi nam wormholami, aby zamknąć je dla jednostek zarejestrowanych w Lidze Solarnej. – Dostrzegła, że Cody przytaknęła ze zrozumieniem, ale jej wypowiedź była na użytek prezydenta. – Gdy zostaną zamknięte, solarna gospodarka popadnie w stagnację. Część ładunków nadal będzie przesyłana, ale okrężnymi drogami, przy czym sądzimy, że nawet najkrótsze z nich wydłużą rejsy o kilka miesięcy. W najgorszych przypadkach będą to lata. Ogólnie rzecz biorąc, międzygwiazdna wymiana handlowa spadnie im drastycznie, stabilizując się na poziomie czternastu do piętnastu procent stanu sprzed operacji Laokoon. Aby powrócić do poziomu, powiedzmy, pięćdziesięciu procent, będą musieli co najmniej czterokrotnie zwiększyć tonaż swojej floty handlowej, czego nie zrobią z dnia na dzień. Jeśli zaś wormhole pozostaną dla nich niedostępne, nigdy nie przekroczą progu sześćdziesięciu procent wcześniejszego stanu. – Przerwała i posłała prezydentowi chłodny uśmiech. – I nieważne, jak wielki jest ich potencjał ekonomiczny. I tak ucierpią, i to poważnie, panie prezydencie. Chodzi o to, aby zachęcić w ten sposób podsekretarza

Kolokoltsova do... przemyślenia konsekwencji działań w rodzaju tych, które zostały podjęte przez Josefa Bynga i Sandrę Crandall. Może to trochę drastyczne, ale parafrazując przypomniane mi niedawno stare powiedzenie pewnego polityka, jeszcze sprzed Diaspory, Liga Solarna jest jak wieprz: trzeba porządnie dać mu w ryj, żeby zwrócić jego uwagę.

Lopez parsknął śmiechem i nawet usta Cody lekko zadrżały, ale Suttles pokręcił głową.

– Dawanie w ryj czemuś o rozmiarach Ligi Solarnej wydaje mi się... ryzykownym przedsięwzięciem, lady Gold Peak – powiedział.

– Oczywiście, że jest to ryzyko. Niestety, biorąc pod uwagę to, co się stało w Spindle, zostały nam same ryzykowne opcje. Królowa uważa, że w tej sytuacji powinniśmy postawić na odwagę i zdecydowanie – dodała znacząco, co musiało przypomnieć prezydentowi, że rozmawia z kuzynką władczyni Manticore. – Jestem pewna, że przekazy od baronowej Medusy naświetlą to panu bardziej szczegółowo, ale nasze podejście jest w sumie dość proste. Nie będziemy dążyć do dalszych konfrontacji z Ligą, ale będziemy stanowczo reagować na prowokacje z jej strony. Jeśli zaś spróbują działań zbrojnych, nie pozostaniemy bierni. – Pokazała zęby w uśmiechu. – Uważam, że wydarzenia w New Tuscany i Spindle pokazały jednoznacznie, że dysponujemy o niebo lepszą techniką militarną niż Liga Solarna. A jeśli chodzi o ewentualne działania wojenne, to jeżeli ci idioci z Old Chicago dadzą się wmanipulować w otwarty konflikt między Ligą a Gwiezdnym Imperium, to, owszem, podejmiemy bardziej ofensywne działania. Jeśli dojdzie do wojny z Ligą, będzie to wojna krótka i prowadząca do szybkiego zwycięstwa, ponieważ nasza przewaga technologiczna nie ma w sobie nic z magii. To skutek blisko osiemdziesięciu lat intensywnych badań i rozwoju, do czego zmusiła nas wojna z Haven. Liga nie skopiuje naszych rozwiązań zbyt szybko, choć ogólnie jest to możliwe. Oczywiście tylko wówczas, gdy będą mieli na to dość czasu. A odpowiadając na pani pytanie, pani komodor, będziemy tutaj tak długo, jak długo Liga nie zdecyduje się na eskalację konfliktu. Jeśli SLN ruszy się w kierunku Montany, będziemy gotowi „dać jej w ryj” czymś na tyle twardym, żeby raz na zawsze zrozumiała, że nie powinna tu szukać szczęścia. Pomyślimy wtedy także o akcjach ofensywnych, a to będzie wymagało przesunięcia moich sił. Niemniej sądzę, że Liga Solarna będzie miała wtedy dość własnych kłopotów, żeby nie zajmować się wami.



– Midszypman Zilwicka, jak sądzę? – zapytał ktoś niskim głosem.

Helen odwróciła się szybko i ujrzała przed sobą wysokiego blondyna w nieskazitelnie

białym stetsonie i ze srebrzysto-ametystową opaską lśniąca w blasku lamp sali balowej.

– Pan Westman! – Uśmiechnęła się szeroko i podała mu dłoń. – Dobrze znowu pana widzieć.

– I to bez pulsera – rzucił Westman z uśmiechem, odwzajemniając uścisk. Potem zerknął za jej ramię i podał komuś rękę. – Komodorze Terekhov.

Obaj byli podobnego wzrostu i o podobnej karnacji, lecz Westman, chociaż młodszy, wyglądał na starszego. Po części dlatego, że był mocno opalony, ale najważniejsze było to, że sir Aivars Terekhov reprezentował trzecie pokolenie prolongu, Westman zaś pierwsze.

– Skoro wszyscy jesteśmy już obywatelami Gwiazdznego Imperium, proponuję zrezygnować z oficjalnych form – powiedział Terekhov, potrząsając jego dłonią. – Mam na imię Aivars.

– Miło mi – powiedział Westman i zmarszczki wokół jego oczu stały się wyraźniejsze. – Przypominasz mi pewnego gościa, którego miałem okazję poznać. Twarda sztuka. Chyba kapitan marynarki wojennej. Facet z jajami.

– A to ciekawe. Ty też przypominasz mi pewnego kowboja. Uparty typ. Wpakował się kiedyś w prawdziwy bigos. Ale w końcu wyszedł z tego cało. Był trochę prędki w słowach, ale nie głupi.

– Na ten temat powinieneś porozmawiać z niektórymi z moich przyjaciół i sąsiadów – rzucił Westman. – Ale skoro mowa o głupich. – Spojrzał na Helen. – Słyszałem o awansie kapitana, ale wydaje mi się, że ostatnim razem tego nie miałaś. – Wskazał na pojedynczy biały pasek na pagonie jej kurtki mundurowej.

– Nie, sir. – Zadarła dumnie nos. – Obecnie jestem podporucznikiem, panie Westman.

– Podporucznik to jakby larwa oficera – wyjaśnił sucho Terekhov.

– Gdy sam był pan podporucznikiem, też pan tak uważał? – spytała Helen. – No jasne, to było dawno temu. Pamięć może szwankować.

Westman zachichotał, a Terekhov uśmiechnął się, zadowolony z ponownej obecności Helen, którą poznał na pokładzie *Hexapumy*. Przez kilka dni po otrzymaniu wiadomości o zniszczeniu krążownika, kiedy na dodatek solarne media nieustannie wspominały o jej ojcu, przedstawiając go oczywiście jako terrorystę, Helen chodziła wyraźnie przygaszona i prawie się nie odzywała. Doszła trochę do siebie podczas przelotu ze Spindle, chociaż Terekhov rozumiał, że nie wyzwoliła się jeszcze spod wpływu cienia. Niemniej...

– A jak reszta ludzi z *Kociątka*? – spytał nagle Westman.

Zapadła cisza, która przez chwilę nabrzmiwała boleśnie, aż Terekhov pokręcił lekko głową. Westman pojął własną niezręczność i zacisnął mocno wargi.

– Bardzo mi przykro – powiedział tak cicho, że ledwie go było słycać. – Wiem, że było źle, ale nie przypuszczałem, że *Hexapuma* także... – Wciągnął głęboko powietrze. – Czy ktoś...

– Z tego, co nam wiadomo, nikt – odparł równie cicho Terekhov.

– Cholera – westchnął Westman z przejęciem i położył dłoń na ramieniu Helen. Spojrzała na niego znowu z wielkim smutkiem w oczach, ale już bez łez. Była na tyle silna, że nie uciekła przed jego wzrokiem. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro – dodał, zwracając się do niej, nie do Terekhova. – Wiem, ile dla nas zrobiliście tutaj, na Montanie. Dla nas wszystkich, ale i dla mnie. Nie mogłem wtedy spłacić długu, ale to nie znaczy, że o nim zapomniałem. – Spojrzał na Terekhova. – Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie znać. Nie wszystko mogę załatwić, ale zrobię, co w mojej mocy.



– Czy będę potrzebna do czegoś przez najbliższą godzinę, sir? – spytała Helen, podążając za Terekhovem w stronę wind na poziomie hangarowym.

Przez kolejne cztery dni po uroczystym obiedzie większość oficerów Dziesiątej Floty była mocno zajęta. Harmonogram oficjalnych wizyt okazał się bardzo napięty, co wiązało się oczywiście z włączeniem układu Montana do Gwiezdnego Imperium Manticore i potrzebą nawiązania jak najlepszych kontaktów z przedstawicielami miejscowych władz i różnych instytucji. Odbywały się zatem niezliczone spotkania towarzyskie, chociaż w tej sytuacji nie były one wyłącznie „towarzyskie”. Do tego całkiem sporo spotkań roboczych z różnymi przedstawicielami administracji Montany.

Helen i Terekhov wrócili właśnie z jego kolejnego wystąpienia. Helen wiedziała, że komandor nie cierpi takich okazji, ale z drugiej strony był w tym dobry, a ostatnio stał się najpopularniejszym przybyszem z Manticore w całym Quadrancie Talbott. Tym samym musiał całkiem sporo czasu poświęcać na publiczne występy, które miały poprawić nastroje miejscowych. Znacznie więcej, niżby chciał. Helen zaś zwykle mu towarzyszyła.

Obejrzał się i spojrzał na nią pytająco.

– Tylko godzinę? – zapytał.

– Ostatnio mocno zaniedbałam ćwiczenia. Chciałabym poświęcić im jakieś pół godziny z bosmanem O'Reillym, zakładając, że jest akurat wolny. I wziąć prysznic jeszcze przed lunchem.

Terekhov kiwnął głową. Tamerlane O'Reilly, jeden z podoficerów komandor Olgi Sanchez z działu technicznego *Quentina Saint-Jamesa*, był jedyną osobą w okolicy, która mogła równać się

z Helen pod względem znajomości *neue-stil*, jej ulubionej sztuki walki. Ma rację, pomyślał. Przez kilka ostatnich dni była tak samo zajęta jak on. Nic dziwnego, że nie miała czasu na ćwiczenia.

– Chyba dam sobie radę bez ciebie, chociaż oczywiście będzie to bardzo trudne. Może nawet będę musiał sam usiąść do komputera, co zawsze jest wielkim wyzwaniem. Ale pamiętaj, że każdy oficer Jej Królewskiej Mości winien dbać o kondycję, w tym także fizyczną, gotów jestem na to poświęcenie.

– Och, dzięki, sir!

– Idź – powiedział, wskazując na windę. – Idź, baw się dobrze i niech myśl o moim cierpieniu nie mąci ci radości.

– Tak, sir – rzuciła z uśmiechem i już jej nie było.



HMS *Quentin Saint-James* był ciężkim krążownikiem typu *Saganami-C*, na którym dzięki daleko idącej automatyzacji udało się znacznie zredukować stan załogi. Dlatego nawet zwykły podporucznik, a zwłaszcza taki przypisany do komodora (którego jednostką był właśnie *Jimmy Boy*, jak załoga nazywała swój okręt), mógł się cieszyć własną kabiną. Nie była szczególnie duża, a gdyby komodor potrzebował drugiego młodszego oficera, też by w niej wylądował, ale póki co Helen gospodarowała na swoim. Właśnie wyszła spod prysznicy i energicznie wycierała się ręcznikiem.

Potem rzuciła ręcznik na nieużywane łóżko, podeszła do lustra i odwróciła się, aby spojrzeć na prawe ramię. Pokręciła głową z uśmiechem. Bosman ją podszedł. Ładując na macie, miała wrażenie, że wywichnęła sobie ramię. Szczęśliwie nie było aż tak źle, ale siniak mienił się już kolorami. Domyślała się, że przez kilka dni ramię będzie trochę sztywne.

Może dobrze by było wpaść do izby chorych i poprosić doktor Zhin, aby rzuciła na to okiem, pomyślała. Pewnie nie będzie chciała marnować środków na szybkie leczenie, tylko powie, że „cierpienie uszlachetnia” albo coś w tym stylu. Helen pokręciła głową. Pod pewnymi względami jest równie beznadziejna jak mistrz Tye. Ale na pewno da mi chociaż nieśmiertelną aspirynę. Zabawne, że coś może być tak długo w użyciu, a lekarze ciągle sięgają po nią, gdy tylko...

Nagle dostrzegła zielone światełko migające na jej terminalu. Na pewno się nie paliło, gdy zrzuciła przeпоcone ubranie i weszła pod prysznic. Kto mógł się do niej odzywać?

Oby komodor nagle sobie o czymś nie przypomniał. Naprawdę potrzebowała tego treningu,

ale nie chciała też sprawiać zawodu dowódcy.

Wzięła ręcznik, owinęła się nim jak sarongiem, po czym siadła przed terminalem. Nagłówek wiadomości informował, że przyszła spoza okrętu, co samo w sobie było już dość dziwne. Nie wysłał jej więc komodor, ale nazwa jednostki nadawcy nic jej nie mówiła. *Charles Ward*? Co to niby za jednostka?

Z drugiej strony, może to lepsza nazwa niż *Quentin Saint-James* lub *Marconi Williams*, chociaż nigdy jej nie słyszałam. Włączyła odtwarzanie wiadomości, nadal się zastanawiając, jakie li...

Zamarła, widząc twarz nadawcy. Przez dłuższą chwilę nie dowierzała własnym oczom. A może nie chciała im uwierzyć.

– Cześć, Helen – usłyszała po chwili. – Przepraszam, ale nie mogłem odezwać się do ciebie wcześniej. Tu był istny dom wariatów! Ale obiecali mi, że dadzą moją wiadomość na jednostkę kurierską, która dziś po południu idzie na Spindle. Nie wiem, czy słyszałaś o *Kociątku*. Nie miało najmniejszej szansy, gdy rozwalili *Hephaestusa*, ale ze mną wszystko w porządku. Naprawdę. Kapitan Lewis i bosman Wanderman też przeżyli. Co więcej, wszyscy jesteśmy teraz na tym samym okręcie. Na *Weylandzie* zarządzono akurat ćwiczebną ewakuację wszystkich z działu badawczego. Aikawa też przeżył. Nie było go na okręcie podczas ataku. Leciał właśnie z *Manticore* na stację.

Paulo d'Arezzo przerwał na chwilę. Wargi drżały mu lekko, gdy zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał ciemnymi oczami prosto w obiektyw.

– Aż trudno uwierzyć, że ktokolwiek przeżył – powiedział cicho. – A osoba, z którą najbardziej chciałbym teraz porozmawiać, jest na pokładzie HMS *Quentin Saint-James*. Bardzo żałuję, że nie ma cię tutaj, ale... Gdy usłyszałem, co się stało z *Hephaestusem* i *Kociątkiem*, gotów byłem składać modły dziękczynne, że komandor Terekhov zabrał cię ze sobą. Chyba zbyt długo stroniłem od ludzi, Helen. Atak uświadomił mi wiele rzeczy. Między innymi to, co naprawdę do ciebie czuję. I mam nadzieję, że ty odbierasz to podobnie. I uprzedzam, że nawet jeśli nie, to nie dam się zbyć tak łatwo i będę naprawdę nachalny!

Jego usta znowu drgnęły, ale tym razem skończyło się to uśmiechem. Albo przynajmniej Helen się wydało, że to był uśmiech. Nie była pewna, bo płakała, co zresztą nie od razu sobie uświadomiła. Płakała tak mocno, że ledwie widziała obraz. I równocześnie śmiała się, aż w końcu zakryła usta dłońmi.

– Posłuchaj – mówił dalej Paulo. – Gdy tylko skompletujemy nową załogę, *CW* zostanie skierowany do Spindle. A gdy tam dotrzemy, zabiorę cię do najlepszej restauracji w Thimble. A potem znajdziemy hotel i...

Nadal mówił, a Helen Zilwicka oderwała jedną dłoń od ust i dotknęła jego twarzy na ekranie. Twarzy, której nie miała nadziei już zobaczyć. Palce jej drżały, a łzy nadal płynęły z oczu.

ROZDZIAŁ XLIII



Marika! – zawołała Ibtesam van der Leur. – Cieszę się, że mogłaś przyjść!

– Dziękuję, Ibtesam – odrzekła Marika Zygmunt z nieco mniejszym entuzjazmem, ściskając jej dłoń. – Twoja notatka sugerowała pośpiech, więc zarząd uznał, że dobrze będzie kogoś wysłać. Zapewne jednak rozumiesz, że ponieważ nie jestem osobą decyzyjną w korporacji, nie mogę zawierać wiążących umów. Zakładając oczywiście, że taki miał być cel naszego spotkania.

– Tak, świetnie to rozumiem. – Coś błysnęło w cybernetycznych oczach van der Leur, gdy lekko się uśmiechnęła. Z kilku zresztą powodów, ale Zygmunt nie uznała tego za oznakę wywyższania się. – Ale jesteś członkiem zarządu, co wiąże się z pewnymi przywilejami. Jestem pewna, że wezmą twoją opinię pod uwagę, podobnie jak i ja zamierzam to zrobić.

– To się okaże – odparła Zygmunt, starając się nie skrzywić na widok Immacolaty Yemendijian, dyrektor generalnej Manpower Incorporated, która przeszła przez całą salę, aby położyć jej dłoń na ramieniu i pocałować w policzek.

– Miło cię widzieć, Mariko – powiedziała.

– Witaj, Immacolato – odpowiedziała Zygmunt.

Nie tylko się nie skrzywiła, ale zdołała także nie cofnąć się odruchowo, co było wielkim triumfem woli. Nie byłaby w stanie znaleźć imienia, które mniej pasowałoby do charakteru Yemendijian. Pocałunek też był tylko pustym gestem, już van der Leur zrobiłaby to lepiej. Omal się nie wzdrygnęła i prawie zatęskniła za czasami, gdy jako starszy kapitan kompanii Jessyk mogłaby oddalić się od obu tych kobiet na odległość setek lat świetlnych. Niestety, to było przed laty, zanim jeszcze pakiet kontrolny po rodzicach zmusił ją do zamiany pokładu dowodzenia na korporacyjne bagienko, które wypełniało smrodem całe Mendel.

Skinęła Yemendijian głową i przeszła dalej, aby uścisnąć dłoń Menenda Wirschima z Technodyne, który odpowiadał za działania tej korporacji na Mesie. Wyglądał na trochę zdenerwowanego, co było zrozumiałe. Awans zawdzięczał nagłemu odwołaniu jego poprzednika, który popadł w spore kłopoty po bitwie w układzie Monica.

– Witaj, Menendo – powiedziała, on zaś uśmiechnął się szerzej, niż można było się spodziewać po oficjalnym przedstawicielu korporacji.

– Dzień dobry, Mariko – odparł i skinął głową ku znacznie niższemu, czarnowłosemu i

otyłemu mężczyźnie, który stał obok niego. – Chyba nie miałaś okazji poznać Ivana Tuero. Jest naszym dyrektorem działu badań i rozwoju na Mesie.

– Panie Tuero. – Zygmunta uściskała mu dłoń.

Tuero uśmiechnął się z błyskiem w ciemnooliwkowych oczach.

– Proszę mi mówić Vanheka – powiedział. – Na co dzień robię całkiem coś innego i nie jestem przyzwyczajony do spotkań na wysokim szczeblu. Rozumiem, że zarabiałaś kiedyś na życie podobnie jak ja.

– To było dawno temu – odparła, ale również obdarzyła go uśmiechem.

Jej uśmiech zbladł, gdy w sali ujrzała Maximiliena Beaudry'ego, zastępcę van der Leur. Beaudry był dyrektorem do spraw logistyki w Kalokainos Shipping, region Colombo. Stał przy barze z martini w ręku. Towarzyszył mu Vitorino Stangeland, wiceprezes do spraw sprzedaży i marketingu Manpower. Kalokainos i Jessyk Combine nie darzyły się miłością, ale to nie obecność Beaudry'ego tak podziałała na Marikę. Stangeland był zwykłym urzędasem, choć zepsutym do szpiku kości, podobnie jak Yemendijian, ale bez jej egzotycznych gustów i skłonności do sadyzmu. Zygmunt miała odruch wymiotny już od samego przebywania z nimi w jednym pomieszczeniu.

– Mariko!

Ujrawszy Gerhaus Yang, Zygmunt znowu pojaśniała. Były niemal tego samego wzrostu, lecz o ile Marika nie prezentowała się źle z ciemnymi włosami, ciemnymi oczami i utrzymywaną dzięki ćwiczeniom świetną figurą, o tyle Yang była o wiele bardziej efektowna. Jej rodzina musiała się lubować w inżynierii genetycznej i nie miała chyba nic przeciwko biokształtowaniu ciała. Yang miała długie czerwone włosy, błękitne oczy i fantastyczną wręcz figurę z wieloma perfekcyjnymi krągłościami, której Zygmunt mocno jej zazdrościła. Wyróżniała się w każdym towarzystwie, a na dodatek była też jedną z najbystrzejszych kobiet, jakie Zygmunt kiedykolwiek spotkała. Sama doprowadziła do tego, że Sapphire Technologies stało się głównym dostawcą jednostek dla Marynarki Wojennej Mesy. Co więcej, miała o Manpower podobne zdanie jak Marika i znały się jeszcze z czasów jej pracy w charakterze kapitana żegluga kosmicznego.

Towarzyszył jej Óttar Nagatsuka, wiceprezes Sapphire do spraw rozwoju uzbrojenia. Nagatsuka był najmłodszy spośród obecnych, jeśli nie liczyć Lucinde Myllyniemi, asystentki Stangelanda. Krążyły plotki, że był kochankiem Yang, co mogłoby wyjaśniać, jak pomimo

bardzo młodego wieku objął kierownictwo najważniejszego, szóstego oddziału Sapphire. Biorąc pod uwagę, że z aktywności fizycznej Yang preferowała zdecydowanie gimnastykę sypialnianą i podchodziła do tego tematu bez skrępowania i z dużym apetytem, takie pogłoski były zapewne nieuniknione. W rzeczywistości jednak Nagatsuka był szczęśliwie żonaty z Francisą Smirnov, prawie tak długo, jak długo Zygmunt była żoną Bradleya Mykosa. I, podobnie jak ona, zdecydowanie preferował monogamię.

Podala dłoń Nagatsuce i uściśniła się z Yang, a tym razem było to powitanie szczere i na dodatek miłe.

– Skoro już tu jesteśmy, może byśmy coś wypili? – zaproponowała van der Leur, zerkając na Marikę. – Oficjalna część spotkania nie będzie raczej zbyt wesoła. Ale jestem pewna, że potem znajdziemy sobie coś ciekawszego do roboty.

Zygmunt zdecydowała się na drinka w wysokiej szklance, z lodem, jak zwykle jednak bez alkoholu. Potem wraz z innymi usiadła przy dużym stole konferencyjnym. Rozkład uczestników odzwierciedlał ich pozycje w porządku dziobania. Van der Leur zajęła miejsce na jednym końcu stołu, Yemendijian na drugim. Obok nich siedzieli Stangeland i Myllyniemi. Jako jedyna osoba bez asysty Zygmunt znalazła się między Myllyniemi a Yang, po zdecydowanie żeńskiej stronie stołu.

Van der Leur odczekała chwilę, nim także usiadła, co było niewłaściwym zachowaniem, ponieważ to ona wysłała zaproszenia, ale pasowało do jej arogancji. Choć to Yang była najpiękniejszą kobietą w sali, Zygmunt musiała przyznać, że van der Leur jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Miała zaledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i karmazynowe włosy, nie czerwone, lecz właśnie karmazynowe, oraz więcej tatuaży, niż zwykle widywało się u młodszych przedstawicieli wyższej klasy Mesy, członków tak zwanej Nowej Łoży. Używała też srebrzystych implantów ocznych, bez tęczówek i źrenic, które zafundowała sobie w zamian za całkiem sprawne naturalne gałki oczne. Było to rzadkością i Zygmunt zastanawiała się czasem, co to o niej mówiło.

– Jestem pewna, że wszyscy śledzimy na bieżąco rozwój sytuacji na Pograniczu – zaczęła ostrym tonem, którego nawet przy swojej agresywnej osobowości nie stosowała zbyt często. – Jednak wielu z was, najpewniej prócz Mariki, może nie zdawać sobie sprawy z długofalowych konsekwencji zarządzonego niedawno przez Manticore bezprecedensowego zamknięcia wszystkich wormholi, które pozostają w ich gestii.

Zygmunt zauważyła, że większość obecnych obruszyła się na sugestię, że mogą być aż takimi ignorantami. Van der Leur to nie obchodziło, już dawno stała się mistrzynią w praktykowaniu korporacyjnej arogancji.

– Jeśli nic z tym nie zrobimy, konsekwencje będą wręcz katastrofalne – kontynuowała. – Gospodarka Ligi Solarnej ucierpi jak nigdy dotąd. Jestem w pełni świadoma, że jako dyrektor do spraw operacyjnych Kalokainos Shipping mogę być uznawana za osobę uprzedzoną do Manticore, zachęcam jednak wszystkich, którzy jeszcze tego nie zrobili, do sporządzenia dokładnych analiz, co się stanie z międzygwiezdną wymianą handlową, jak i ze wszystkimi z niej żyjącymi, jeśli blokada potrwa dłużej niż kilka miesięcy. Można oczekiwać, że mniejsze firmy przewozowe szybko znikną wówczas z rynku, a i kilku dużych armatorów będzie czekać upadek.

Cóż, trudno się z tym nie zgodzić, pomyślała Zygmunt. Ale co się stanie z załogami twoich statków, już nie pomyślałaś.

– Samo w sobie jest to złe – ciągnęła van der Leur. – Niemniej sądząc po dochodzących mnie pogłoskach na temat tego, co się dzieje na Pograniczu, może być jeszcze gorzej.

Przerwała i ogarnęła zebranych spojrzeniem bezbarwnych oczu. Na kilka chwil zapadła cisza, przerwana ostatecznie przez Immacolatę Yemendijian.

– Jakie to pogłoski? – spytała. – Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, aby z Pogranicza przyszły kiedyś jakieś dobre wieści. Zwłaszcza jeśli ma to związek z działaniami Manticore.

– Ciekawym zbiegiem okoliczności te pogłoski mają związek właśnie z Manticore – powiedziała z wąskim uśmiechem van der Leur. – Zaprosiłam was, abyśmy porozmawiali o tych pogłoskach. Zwłaszcza że Old Chicago z jakiegoś powodu nie pali się, aby stanowczo położyć im kres.

Zygmunt zdołała nie mrugnąć. Owszem, Liga Solarna nie radziła sobie z Manticore, ale nie wynikało to z braku chęci. Czy zwykłego braku rozsądku. Dzięki wormholowi Visigoth wiadomość o klęsce w układzie Spindle dotarła na Mesę już ponad miesiąc temu. Zygmunt nigdy nie służyła w marynarce wojennej, ale każdy, kto dowodził w życiu jakąkolwiek jednostką kosmiczną, pojmował, jak wielka była porażka Sandry Crandall, zwłaszcza że RMN nie dysponowała tam okrętami cięższymi od krążowników liniowych. Nikt nie wiedział dokładnie, jak właściwie Manticore wygrało tę bitwę, ale konsekwencje były oczywiste. Czy van der Leur oczekiwała, że utraciwszy jeden palec, SLN zaraz wpakuje drugi w te same tryby?

– Właśnie, o jakich pogłoskach mówimy, pani van der Leur? – spytał Menendo Wirschim. – I

czy moglibyśmy usłyszeć, w jaki sposób Liga Solarna winna na nie zareagować?

– Oczywiście, mogę to wyjaśnić. – Szefowa Technodyne uśmiechnęła się szeroko. – A kiedy to zrobię, myślę, że zrozumiesz, dlaczego zaprosiłam dziś ciebie i pana Tuero.



Rufino Chernyshev wyprostował się i machnął zapraszająco do Lucinde Myllyniemi, która pojawiła się w drzwiach jego gabinetu. Wysoka i jasnowłosa kobieta uśmiechnęła się i weszła do środka. Miała pięćdziesiąt jeden lat, lecz w społeczeństwie proulongu był to niemal okres nastoletni.

– I jak? Było tak źle, jak oczekiwałaś? – spytał, gdy przysiadła na rogu biurka.

– Z Ibtesam van der Leur i Immacolatą Yemendijian w jednym pomieszczeniu? Przez prawie cztery godziny? – Potrząsnęła głową, zsunęła jeden but i położyła mu stopę na kolanach. – Musiało być źle, ale czegoś takiego chyba nikt nie oczekiwał.

Chernyshev zaśmiał się i zaczął masować jej stopę. Poznał Lucinde, gdy miał trzydzieści jeden lat i pracował jako instruktor w ośrodku szkoleniowym dla agentów Równania. Ona była wtedy rozwiniętą jak na swój wiek piętnastoletnią uczennicą. Nadal pozostało w niej sporo tamtego humoru, chociaż teraz była pełnoprawną agentką, a na dodatek brała udział w maratonach i zwykła trenować przy zwiększonym o jedną piątą ciężeniu. I nadal była piękna i pełna wdzięku.

Zostali kochankami, gdy miała osiemnaście lat, i od tamtego czasu bywali to razem, to osobno.

Chernyshev usłyszał niemal jej pomruk zadowolenia. Cóż, niewiele osób mogło się pochwalić tak zażyłą relacją z Lucinde.

– A poza towarzystwem, jak było? – spytał.

– Cóż, twoje wróbelki z grubsza miały rację. Nie wiem, jak to wpłynie na nasze plany. W takiej chwili nie zaszkodziłoby, gdybyśmy mieli kogoś stojącego wyżej w oficjalnej hierarchii Manpower.

Gdyby tak było, nie musiałabyś się z nimi męczyć, prawda? – Chernyshev pomyślał ze współczuciem... i z dużą dozą sympatii. Ale ktoś musi to zrobić, a ciebie już niebawem spotka za to nagroda.

Manpower Incorporated było niezwykle przydatne dla Równania, ale było też najbardziej znieawidzoną korporacją międzygwiazdną w całej galaktyce. Chernyshev nie kojarzył ani

jednego militarnego, politycznego czy ideowego przeciwnika Równania, który nie ustawiłby z rozkoszą całego zarządu Manpower pod murem. Żaden z nich nie słyszał jednak o Równaniu i tak miało pozostać. Może nie na zawsze, ale jak długo się da. Dla tego celu było konieczne, aby Manpower miało opinię firmy skorumpowanej, nieetycznej i agresywnej. Im więcej uwagi na siebie ściągało, tym większa była szansa, że Równanie pozostanie w cieniu.

Immacolata Yemendijian i Vitorino Stangeland byli doskonale dobrani do swoich ról. Reprezentowali całe zło Manpower, chociaż nie mieli pojęcia o istnieniu Równania. Mimo że kilkoro członków zarządu należało do Równania, nigdy nie były to osoby decyzyjne. Miały wpływ na realizację różnych zadań, jednak nie kształtowały ogólnej polityki. Było też prawdą, że kilkoro największych akcjonariuszy Manpower należało do Równania, ale oni z kolei nie wiedzieli, kto dokładnie przekazuje im instrukcje. Brakowało kogoś, kto byłby na samej górze i jednocześnie znał cele Równania, i o tym właśnie mówiła Lucinde.

Prywatnie Chernyshev wiedział, że miała Manpower za perwersyjny wymysł Detweilera i była przekonana, że Równanie powinno już dawno odciąć się od korporacji. Rozumiała korzyści z niej płynące, ale wcale jej się to nie podobało. Szczęśliwie nie przeszkadzało jej to z wprawą manipulować Vitorinem Stangelandem, który był przekonany o swojej nadrzędnej roli w tej znajomości i pewnie liczył na to, że pewnego dnia zostanie jej kochankiem. W rzeczywistości prowadziła go na pasku, chociaż Chernyshev nie wątpił, że gdyby kiedyś stało się to konieczne, z uśmiechem zaprosiłaby Stangelanda do swojego łóżka.

A potem przez trzy dni moczyła się pod prysznicem.

– Wiesz, że przekazałem twoją uwagę wyżej – powiedział. – I współczuję. Niemniej muszę wyznać, że myślałem podobnie do czasu, gdy trafiłem na miejsce po Isabel i zdałem sobie sprawę, jak bardzo jesteś tam skuteczna. – Skrzywiła się i poklepał ją po kostce. – Serio! Jesteś skuteczna. Co więcej, może nie powinienem ci tego mówić, ale to chyba już nie potrwa długo. – Spojrzała na niego, przymrużając oczy, a on skinął głową. – Tak. Definitywnie zmierzamy do końca gry.

– Dzięki Bogu – stwierdziła i odchyliła się do tyłu, obie dłonie opierając na blacie. – Chociaż nie wiem, jak ten koniec będzie wyglądał. Zwłaszcza jeśli van der Leur zdoła wskórać coś w Old Chicago.

– A co zamierza?

– Cóż, ogólnie kampania przeciwko Manticore przebiega całkiem dobrze i van der Leur

najchętniej spaliłaby ich żywcem, ale tak ona, jak i inni, w tym nasza droga Immacolata, otrzymują ostatnio niejasne doniesienia, że ktoś miesza na Pograniczu. Uważają oczywiście, że to Manticore podburza tubylców. Nie podoba im się też, że SLN nie traktuje tematu wystarczająco poważnie. Z tego, co mówiła van der Leur, wynika, że Volkhart Kalokainos i jego ojciec planują wywrzeć nacisk na Kolokoltsova i innych Mandarynów, by zwiększono aktywność Floty Pogranicza na całym terenie, zwłaszcza zaś tam, gdzie robi się gorąco.

– Naprawdę? – Chernyshev aż się zaśmiał. – I jak zamierzają przekonać dowódców Floty Pogranicza, którzy zwykle mają lepiej poukładane w głowach niż ich koledzy z Battle Fleet, aby radośnie podzielili los Crandall?

– Przekazując Lidze Solarnej pociski przeciwokrętowe drugiej generacji produkowane przez Technodyne – odparła, a on zaraz przestał się uśmiechać.

– Ptaszki drugiej generacji... – powtórzył z niedowierzaniem.

– Właśnie. Wirschim i Tuero zdawali się dobrze wiedzieć, o czym mowa.

– Rozumiem.

Chernyshev zmarszczył brwi i zastanowił się nad tym pomysłem. Lucinde nie wiedziała o rozkazach ataku dla Massima Filarety, który miał zaatakować podwójny układ Manticore. Nie miała też pojęcia, że Technodyne wyposażyło jego okręty w pociski pierwszej generacji. Rufino Chernyshev nie był specjalnie biegły w tym temacie, ale kojarzył, że wszystko, co dotąd oferowała firma Technodyne, nie mogło się równać z dokonaniem Manticore. Niemniej pociski drugiej generacji dorównywały już zasadniczo temu, co miała na swoim wyposażeniu Royal Manticozan Navy. Pomysł udostępnienia ich Lidze Solarnej już teraz i pozbawienia się tym samym elementu zaskoczenia przy pierwszych starciach RMN z flotą Równania mógł nie zostać przyjęty entuzjastycznie przez osoby odpowiedzialne za jego działania.

Niestety, Chernyshev niezbyt wiedział, jak mógłby spróbować powstrzymać van der Leur i jej podobnych. Jak powiedziała Lucinde, w Manpower nic nie wiedzieli o operacji Janus. Gdyby wiedzieli, byłiby jej głęboko przeciwni, i to z całkiem zrozumiałych powodów. Podobnie zresztą jak SLN czy Manticore. Gdyby zaś przekazano Lidze Solarnej naprawdę nowoczesne pociski, Mandaryni zatańczyliby z radości.

Jeśli doprowadzą do nasilenia aktywności Floty Pogranicza, może dojść do zdemaskowania któregoś z naszych agentów współpracujących z różnymi ruchami oporu na Pograniczu. Byłby to nader niefortunny zbieg okoliczności.

– No cóż – powiedział po chwili, ostatni raz gładząc po kostce i zdejmując stopę Lucinde ze swoich kolan. – Robi się ciekawie. Może nawet się sprawdzić, chociaż Liga Solarna i tak mocno oberwie. Nawet wówczas, gdy zdoła położyć łapę na nowych gadżetach Technodyne. Dobra robota, Lucinde. Czyli jak zawsze.

– Jasno i krótko – rzuciła, wkładając but. – A w nagrodę zabierzesz mnie na kolację do Chez Umberto. – Uśmiechnęła się. – A potem i ty możesz otrzymać swoją nagrodę.

ROZDZIAŁ XLIV



...Tak zatem, gdy tylko ściągniemy ludzi z *Carolyn* i *Argonauta* ze stacji Shona, wycofamy także naszych – powiedział kapitan Jacob Zavala, siedzący naprzeciwko Michelle Henke przy stole w sali odpraw HMS *Artemis*. – Porucznik Hearn wykonała naprawdę dobrą robotę. Muszę zaznaczyć, że przygotowaniami zajął się porucznik Gutierrez, ale to ona wprowadziła wszystko w życie. Przygotowałem list pochwalny, który chciałbym włączyć do jej akt.

– Dołącz go do oficjalnego raportu, zajmę się resztą – odparła Henke.

– Dziękuję, milady. Prawdę mówiąc, wszyscy dobrze się sprawili. Jedno, czego naprawdę żałuję, to zniszczenia krążowników liniowych admirał Dubroskoy. – Drobna twarz kapitana wykrzywił ponury grymas. – Powiniennem był wystrzelić salwę ostrzegawczą, jak kapitan Ivanov w układzie Zunker.

– To klasyczny przypadek bycia mądrym po szkodzie – powiedziała i spojrzała na niego wymownie. – Ale nie masz racji. Trzy *rolandy* nie dysponowały zapasem amunicji, który pozwalałby marnować ją na salwy „poglądowe”. Sam świetnie o tym wiesz. Kiedy gubernator Dueñas poddał nasze jednostki „kwarantannie”, jednoznacznie postawił na konfrontację. Dubroskaya wiedziała świetnie, na co się porywa. Jej zespół był tu najważniejszy. Gubernator liczył na jego siłę ognia. Nie oznacza to oczywiście, że ona i jej ludzie zasłużyli przez to na wyrok śmierci, ale uświadamiam ci, że to jej decyzje, i szeregu innych osób, doprowadziły do tej sytuacji. Przeczytam oczywiście ostateczny raport i przeanalizuję z admirałem Adenauerem każdy pański rozkaz, ale już teraz się domyślam, co tam znajdziemy. Oczywiście poza informacjami, jak nowe pociski *Mark 16* radzą sobie z krążownikami liniowymi. Sądzę, że twoje decyzje dotyczące tej walki były w stu procentach trafne.

Zavala kiwnął lekko głową, chociaż zapewne nie całkiem zgadzał się z panią admirał. Przynajmniej na razie. Potrzeba trochę czasu, aby uporać się z myślą, że tych śmierci można było uniknąć.

Cóż, owszem, dałoby się to zrobić, pomyślała. Tyle że nikt, kto mógłby zapobiec takiemu wynikowi bitwy, nie nosił munduru Manticore.

– Sumując załogi krążowników liniowych oraz obsadę Żandarmerii na stacji Shona, łączna liczba ofiar po stronie Ligi Solarnej sięgnęła sześciu tysięcy – powiedział Zavala. – O ile wiem,

nikt z miejscowych nie został nawet ranny. Ponieważ gubernator zerwał łączność, gdy skierowałem naszych ludzi na pokład stacji, negocjacje w sprawie pokojowego uwolnienia naszych musiałem dokończyć z jego zastępczynią, panią Tiilikainen. W końcowym raporcie uwzględniono kompletne nagrania wszystkich rozmów. Mam wrażenie, że gdyby ona od początku prowadziła tę sprawę, sporo rzeczy wyglądałoby inaczej. Nie powiedziała tego wprost, bo to jednak były oficjalne rozmowy, ale z różnych aluzji wynikało jasno, że stawianie oporu było pomysłem Dueñas.

– Też tak przypuszczam. – Michelle wyprostowała się na krześle. – Żałuję, że jego głupota doprowadziła do śmierci tylu osób. Jeśli zaś chodzi o ciebie, pamiętaj, że też dałeś Dubroskoy czas na pójsie po rozum do głowy.

– Tak, milady. W każdym razie, gdy tylko odzyskaliśmy statki, kapitan Chou postanowił zabrać *Carolyn* na Montanę. Powinna tam dotrzeć za kilka tygodni. To nie jest jeden z tych szybkich frachtowców, jakich używa się do przewozu wołowiny. Gdy operacja Laokoon zamknęła wormhole dla Ligi Solarnej, kapitan Lyriazis zrezygnował z rejsu do Even Star i skierował *Argonautę* do terminalu Lynx, zmierzając do Manticore.

– Dobrze, Jacob. Bardzo dobrze. Jeśli nie znajdę w tym raporcie czegoś całkiem dziwnego, poprę wszystkie twoje decyzje i przekażę własne sprawozdanie admirałowi Khumalowi i baronowej Medusie. Z tego, co słyszę, zarówno ty, jak i wszyscy twoi ludzie sprawiliście się znakomicie.

– Staraliśmy się, milady.

– I tego właśnie oczekiwałam, posyłając cię tam – stwierdziła, wstając z krzesła. Poszedł za jej przykładem i odprowadziła go do drzwi sali. – Myślę, że twoi ludzie zasłużyli na mały urlop – dodała. – Na Montanie jest kilka dobrych restauracji. Może dasz im szansę spróbować tutejszej kuchni?

– Myślę, że to świetny pomysł, milady – odpowiedział z uśmiechem.

– Dobrze. I sam też skosztuj.

– Oczywiście, milady.

Wyprężył się na baczność i zaraz wyszedł na korytarz, gdzie czekała pani midszypman mająca odprowadzić go na pokład hangarowy. Michelle uśmiechnęła się przelotnie, po czym wróciła na miejsce i zmarszczyła brwi.

Dokładnie tak jak powiedział Zavalę, nie była skłonna obwiniać o tak dużą liczbę ofiar

nikogo poza Damiánem Dueñasem, wiceadmirał Oxaną Dubroskoyą i majorem Johnem Pole'em. Nie oczekiwała jednak, że solarni spojrzą na to w podobny sposób. Z drugiej strony przestała się już przejmować reakcjami Ligi Solarnej. Skoro mianowany przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego gubernator internował statki handlowe Manticore i uwięził ich załogi, po czym odmówił ich uwolnienia, Liga Solarna musiała się liczyć z określonymi konsekwencjami. Biorąc pod uwagę, że RMN przywiązywała wielką wagę do ochrony żeglugi handlowej, Dueñas powinien się domyślić, co z tego wyniknie.

Mimo to mogłaś wysłać coś więcej niż tylko trzy niszczyciele, pomyślała. Sama dobrze wiesz, jak arogancy są solarni. Może gdyby zobaczyli krążowniki liniowe Michaela, albo chociaż ciężkie krążowniki Terekhova, Dubroskaya wycofałaby się bez walki.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami. Śmierć zawsze owocowała różnymi „może” i „jeśli”. Powiedziała Zawali, że ostateczna odpowiedzialność za to zajście spoczywa na ludziach, którzy je sprowokowali, i naprawdę tak myślała.

Skinęła głową i uśmiechnęła się lekko. Powrót sir Aivarsa Terekhova do Quadrantu Talbott pozwolił jej poznać go nieco lepiej i domyślała się już, dlaczego tak wysoko go ceniono, zarówno tutaj, jak i w Manticore. Miała zasiąść dziś do obiadu z nim i resztą dowódców dywizjonu.

Będzie dumny z młodej Abigail. Może nawet spuchnie z dumy. To już kolejna z „jego” dziewcząt. Ale jak najlepiej go podpuścić? Uśmiechnęła się. Może poproszę Gwena, żeby skontaktował się z Zawalą i poprosił go, by dołączył do nas razem z oficerami?

Uśmiechnęła się ponownie i sięgnęła do komunikatora, aby wybrać numer porucznika Archera.



– Nadszedł czas – powiedział Tomasz Szponder, siadając przy stole i sięgając po kubek z kawą.

– Jesteś pewien? – Jarosław Kotarski pochylił się, oparł łokieć na poręczu krzesła i przyglądał palcem wąsy. – Dopiero zaczęliśmy konkretną robotę.

– Nie o to mi chodziło. – Szponder pokręcił głową. – Mam na myśli, że nadszedł czas, abyśmy przysiedli nad naszą strategią. A dokładniej aktywnymi strategiami.

– Jakimi „aktywnymi strategiami”? – spytała Grażyna Kotarska, żona Jarka.

Była niewysoką, energiczną kobietą o krótkich brązowych włosach i równie rewolucyjnym nastawieniu jak jej mąż. W przeciwieństwie do niego pracowała jednak jeszcze w Wydziale

Edukacji jako... nauczyciel przedszkolny, gdzie zdaniem przełożonych nie mogła raczej zaszkodzić. W tej chwili razem z Tomkiem Nowakiem zbierała talerze po deserze, aby zrobić miejsce na stole.

– Nie, szanowna pani Sztylet, nie planuję na jutro walk ulicznych – odparł Szponder, używając jej organizacyjnego pseudonimu. – Ale nasz przyjaciel Firebrand udowodnił już dobitnie, że nie żartował. Skoro zaś wiemy, że mamy takie wsparcie, musimy pomyśleć, jak je wykorzystamy.

– Ale nie jutro – rzucił Kotarski, kiwając energicznie głową.

– Jutro na pewno nie – potwierdził Szponder. – Zrobiliśmy już z Tomkiem wstępną kalkulację. Biorąc pod uwagę te dwie przesyłki, które już doszły, i zakładając, że Firebrand wykona plan, w ciągu dwóch do trzech miesięcy będziemy dysponować wystarczającym zapasem broni, aby rozpocząć wojnę partyzancką. Jednak zgodziliśmy się już, że nie o to nam chodzi.

Spojrzał na zebranych przy stole w mieszkaniu Kotarskich. Jego żona, także Grażyna, była dziś w operze, ale byli tu obecni praktycznie wszyscy członkowie centralnej komórki Krucjaty Wolności Myśli. I wszyscy zgadzali się z tym, co powiedział.

Był pewien, że poparliby taką walkę tylko wówczas, gdyby była to jedyna alternatywa dla porażki i pozwolenia ludziom w rodzaju Hieronima Mazura czy Agnieszki Krzywickiej na dalsze wyniszczanie Włocławka. Pomimo olbrzymiego niezadowolenia z rządów Ruchu Orodzenia Narodowego, a zwłaszcza praktyk Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza, BBiP Justyny Pokriefke i SZW generał Sosabowskiej nadal były na wygranej pozycji. Nawet kolejne dostawy broni od Firebranda nie byłyby w stanie zmienić znacząco tych proporcji.

Dlatego właśnie Krucjata skoncentrowała się na edukacji, próbując przekuć poczucie niezadowolenia w postawy pozytywistyczne, dzięki którym bezkrwawe reformy stałyby się w pewnej chwili oczywistą koniecznością. Niestety zestrzelenie autobusu przekreśliło szansę na długotrwałą pracę u podstaw.

Doszło do kilkunastu demonstracji, z których dwie zmieniły się w regularne zamieszki. Początkowo Biuro Bezpieczeństwa i Prawdy Pokriefke starało się chyba opanować sytuację bez rozlewu krwi, niemniej wyglądało na to, że Krucjata Wolności Myśli spisała się aż za dobrze. Może też partia ostatecznie spanikowała, widząc, jak wszystko się rozwija.

Jakkolwiek było, żądania demonstrantów szybko zaczęły obejmować także inne kwestie,

poza ukaraniem winnych tragedii. Domagano się rozliczenia systemu, który pozwolił, by coś takiego się wydarzyło, po czym próbował rzecz wyciszyć. Dlatego BBiP wezwało wreszcie oddziały do tłumienia zamieszek, a czarne kurtki ruszyły w miasto i ludzie zaczęli znikać. Wtedy właśnie doszło do zamieszek w Łądku i kilku innych miastach. Trwały ponad dwa dni i zakończyły się wprowadzeniem stanu wojennego.

Tomasz Szponder był pewien, że nikt spośród zaginionych już się nie odnajdzie. Ponadto skoro RON i oligarchowie okazali się skłonni do takich działań, był to jasny sygnał, że nie należy liczyć na żadne pokojowe reformy. O ile kiedykolwiek były możliwe oczywiście. Dlatego właśnie zaczęli w końcu gromadzić broń.

Niemniej zaakceptowanie siłowego rozwiązania też wiązało się z podjęciem pewnych wcale niełatwych działań. Budowa sprawnego zbrojnego podziemia musiała potrwać całe miesiące, a może i lata. Taki proces musiałby zwrócić uwagę władz. W sumie już samo sprowadzanie broni poważnie zwiększało ryzyko dekonspiracji. Jeśli zaś nawet coś osiągną, będzie to oznaczało śmierć wielu ludzi i dostarczenie Mazurowi i Krzywickiej idealnego pretekstu do wezwania Biura Bezpieczeństwa Granicznego. A tego nikt nie chciał, ponieważ zaraz potem na Włocławku zjawiliby się przedstawiciele międzygwiazdnych korporacji, którzy nie daliby się już wyrzucić. Niestety partia była na tyle zdeterminowana, że prędzej pogodziłaby się z rolą sługusa korporacji niż z rewolucją, która pozbawiłaby elity tak władzy, jak i majątku.

Zwłaszcza że dalej mieliby swoich niewolników.

Gdyby wysłali prośbę o pomoc, nie musieliby długo czekać na reakcję Floty Pogranicza. Dzięki tunelowi Włocławek–Sarduchi najbliższa baza znajdowała się niecały tydzień drogi od nich, w układzie Warner, gdzie mieściło się też dowództwo Floty Pogranicza dla tego sektora.

– Rzecz w tym, że teraz, gdy Manticore gotowe jest zapewnić nam wsparcie marynarki wojennej, mamy szansę odsunąć Mazura i Krzywicką nawet wówczas, gdy wezwą na pomoc solarnych. Musielibyśmy tylko starannie wszystko skoordynować, zanim skorzystamy z kanału łączności, który zapewnił nam Firebrand.

– Co rozumiesz przez „skoordynować”? – spytał Kotarski. – Chyba masz jakiś konkretny pomysł?

– Owszem. – Szponder upił kawy i odstawił kubek na stół dokładnie wprost przed sobą. – Zastanawialiśmy się nad tym z Tomkiem od chwili pojawienia się Firebranda. Nawet wcześniej, zanim przyszła pierwsza dostawa. Nie wspominaliśmy o tym ze względów bezpieczeństwa. Po

pierwsze dlatego, że nie wiedzieliśmy jeszcze, czy można polegać na Manticore, a po drugie, ponieważ plan mógł się wydać szalony. Ale teraz możemy go już wyciągnąć.

– Co wyciągnąć? – spytała cicho Grażyna, opadając na krzesło i spoglądając uważnie na Szpondera. – Co wam się wylęgło? – Pokręciła głową. – Od tygodni mam dziwne wrażenie, że coś knujecie.

– Trafiony, zatopiony – przyznał Tomek Nowak z uśmiechem, po czym odwrócił głowę do Szpondera. – Chociaż po prawdzie to głównie jego pomysł. Ja służyłem tylko komentarzami i zachętą, bo plan mi się spodobał.

– Jeśli Tomkowi coś się podoba, to zaczynam się bać – rzucił Kotarski.

– Och, nie jest tak źle – zaprotestował Szponder. – Ale jeśli nie chcemy wojny partyzanckiej i nie planujemy zmienić się w podłych terrorystów, nasza jedyna opcja to zamach stanu. I jeśli mamy rację i Manticore potwierdzi, że przyśle nam wsparcie marynarki wojennej, gdy będziemy go potrzebować, to chyba może nam się udać.



– Chryste! – mruknął Michael Breitbach, wpatrując się w ekran.

Drony stacji News Service i System Information krążyły nad bulwarem między O’Sullivan Tower i Parkiem Wolności, podczas gdy ulicą w dole przemieszczały się lekkie czołgi typu *Scorpion* należące do Gwardii Prezydenckiej. Tym razem media nie ocenzurowały przekazu. Pokazywały dokładnie to, co prezydent Lombroso i generał Olivia Yardley chcieli przekazać mieszkańcom Mobiusa. Prostą informację, że każdy okazujący niezadowolenie może nie tylko dostać pałką po nerkach, ale także pożegnać się z życiem.

– Nie do wiary – powiedziała Yolanda Somerset tonem kogoś, kto nie wierzy własnym oczom. – Co ona sobie wyobraża?

Potrząsnęła głową i oparła się o ramię Breitbacha, gdy usiedli na łóżku wpatrzeni w okrutny spektakl, w który zmieniła się spokojna dotąd demonstracja. Somerset należała do centralnej komórki Frontu Wyzwolenia Mobiusa i była jedną z niewielu osób, które znały Breitbacha – lidera organizacji.

– Myśli, że może robić, co chce. Ma przecież te pieprzone czołgi, prawda?! – warknął Breitbach. – Ale to...

Oboje patrzyli, jak pojazdy parły przed siebie, a próbujący zejść im z drogi tłum demonstrantów zaczyna wpadać w panikę. Jeśli ci dranie zaraz się nie zatrzymają, zaczną

miażdżyć ludzi, pomyślał Breitbach. Niektórzy leżeli już na ziemi, zastrzeleni lub zdeptani, gdy reszta pojęła, co się szykuje. Zapewne od początku tak właśnie miało być.

– Rany boskie! – zawołała Somerset.

Jej paznokcie wyryły krwawiące bruzdy w przedramieniu Breitbacha, ale on nawet tego nie zauważył, ponieważ w tej właśnie chwili czołgi otworzyły ogień do nieuzbrojonych ludzi. Ciężkie strzałki z trzylufowych działek wdarły się w tłum, rozrywając ciała i rozpylając wokół czerwonawą mgiełkę. I czołgi posuwały się dalej, wciąż strzelając. Nagle ktoś odpalił pocisk przeciwpancerny z trzydziestego piętra O’Sullivan Tower. Jeden czołg eksplodował, drugi buchnął wodorowym płomieniem chwilę później. Reszta pojazdów przeniosła ogień z tłumy na budynek. Cerambet wyparował, okna wraz z framugami wpadły do środka. Z otworów buchnął dym, zawyły alarmy przeciwpożarowe. Chwilę potem eksplodował trzeci *scorpion*.

– To nasi? – spytała Somerset przez łyżę, gdy cały bulwar wypełnił się wybuchającymi pojazdami, strzępami ciał i gęstniejącym z każdą chwilą dymem.

– Nie wiem – odparł ochryłym głosem Breitbach. – Zapewne tak. – Potrząsnął gwałtownie głową. – Nie zakazywaliśmy naszym udziału w demonstracji. Nikt nie oczekiwał czegoś takiego. Cholerny skurwysyn. Sam zachęcał ludzi tym gadaniem o wyborach. Kto by pomyślał... – Przerwał i odetchnął głęboko, po czym odwrócił się i spojrzał w piwne oczy Somerset. – Nie wiem – powtórzył, gdy kolejny czołg eksplodował. – Ale niby kto inny na Mobiusie może mieć wyrzutnie przeciwpancerne? Tylko my, dzięki uprzejmości Dabilenarena i jego przyjaciół!

– Ale nie wydałeś rozkazu ich użycia! – Somerset wskazała na ekran.

– Nie, ale niektórzy liderzy komórek, chociażby Kazuyoshi Brewster, i tak mogli rozmieścić je w mieście. Pewnie tak właśnie się stało. Wiem, że Glenda pomogła zaplanować trasę demonstracji, a Kaz ma dostęp do podręcznego magazynu broni w Allerton. Pewnie chciał dać żonie dodatkową osłonę.

– I zawsze był w gorącej wodzie kąpany – dorzuciła sucho Somerset.

– W pewien sposób tak – przyznał Breitbach. – Ale to dobry człowiek i gdyby Lombroso i Yardley nie zaczęli szaleć... Nikt by się nawet nie domyślił, że jego ludzie tam są. Nie mówię, że nie jestem wkurzony, że podjął to ryzyko, ale pomyśl, ilu jeszcze by zginęło, gdyby tego nie zrobił.

– Pewnie masz rację – przyznała. – Ale co z tego wyniknie?

– Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, byłbym bogiem i nie potrzebowalibyśmy Frontu

Wyzwolenia, aby poradzić sobie z Lombrosem – odparł ponuro. – Jestem gotów się założyć, że teraz zaczniesz skomleć o pomoc z zewnątrz. – Wstał z łóżka i sięgnął po ubranie. – Muszę porozmawiać z Kayleigh – powiedział. – Wyślij jej kod wskazujący na mieszkanie w Bendan Terrace.



– To jest do bani. – Komodor Francis Thurgood rzucił raport na biurko. – Nie chcę więcej słyszeć o tym gównie, Sadako!

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła kapitan Merriman spokojniej niż większość podwładnych Thurgooda. Inna sprawa, że zawsze dość mocno się spośród nich wyróżniała. – Pamiętasz, że jestem twoim starszym oficerem wywiadu? Obawiam się, że przedstawianie takich wiadomości należy do moich obowiązków.

– Wiem – mruknął Thurgood, pochylając się na krzesło i przeczesując palcami włosy. – Wiem! Ale prawda jest taka, że wolałbym otrzymywać od ciebie sensowne raporty, a nie to, co podoba się tej cholercze Yucel i co wychwala ta dziwka Crandall! Czy co wychwalała. – Pokiwał głową. – Wiesz, nie przepadam za Manticore, ale gdybym wiedział, jak wysłać Gold Peak skrzynkę szampana, zaraz bym to zrobił. Zasłużyła sobie za usunięcie Crandall z tego padołu!

– Zgadzam się. Z drugiej strony, zwracając się do ciebie jako osoba zainteresowana twoim dobrym samopoczuciem i jako kompetentny oficer wywiadu, pragnę ci uświadomić, że rozgadywanie tego po okolicy nie byłoby najlepszym pomysłem.

– Pojmuję – odparł z uśmiechem.

– Tak już lepiej – stwierdziła i przysiadła na krawędzi biurka. Była o niemal jedną trzecią niższa od niego i wyglądała absurdalnie młodo w mundurze kapitana. Oczywiście należała do trzeciego pokolenia prolongu, podczas gdy Thurgood reprezentował drugie. – Zatem chcesz usłyszeć, co najprawdopodobniej będzie to dla nas oznaczać?

– Owszem – odpowiedział całkiem szczerze. Sadako Merriman była nie tylko kobietą, w której się zakochał, ale i najlepszym oficerem wywiadu, jakiego kiedykolwiek miał.

– W porządku. Jeśli Admiralicja poważnie podejdzie do „nasilenia aktywności” na Pograniczu z wykorzystaniem tych nowych pocisków z Technodyne, zapewne trafi i do nas, biorąc pod uwagę bliskie sąsiedztwo należącego do Manticore Quadrantu Talbott. Kiedy – to oczywiście osobne pytanie. Ale jeśli wszystko, co słyszeliśmy o pociskach RMN, jest choćby zbliżone do prawdy, to szczerze wątpię, aby Technodyne było w stanie dostarczyć ich

odpowiedniki.

– Więc uważasz, że to tylko pic na wodę i fotomontaż?

– Nie. – Pokręciła głową. – Skłonna jestem wierzyć, że Technodyne naprawdę ma coś lepszego, niż dało Tylerowi w układzie Monica. Ale trudno mi dać wiarę, że jest to coś równie dobrego jak sprzęt Manticore. Oboje wiemy, że te ich pociski nie są zaczarowane. Po prostu doskonalili je przez wiele lat. Nie ma szans, żeby Technodyne osiągnęło podobne wyniki w znacznie krótszym czasie. Oczywiście nasi szanowni koledzy z Battle Fleet będą chwytac się wszystkiego. Czy też raczej ich cywilni przełożeni tak zrobią, Battle Fleet zaś tak naprawdę gównu wie o jakości uzbrojenia RMN. Co gorsza, nie ma nawet ochoty o tym słuchać. Mamy więc aż dwie bandy idiotów, które będą zgodnie nalegać na „zwiększenie aktywności”, choć każda z innych powodów.

– Co wiąże się z naszymi bezpośrednimi cywilnymi przełożonymi – zauważył Thurgood.

– Właśnie – rzuciła ponurym tonem Merriman. – Nie wiem dokładnie, co się dzieje z Hongbem, i słyszałam, że Verrochio jest przerażony, że Manticore na nas ruszy, jeśli sytuacja będzie się rozwijać w dotychczasowym tempie. Nie wiem, czy boi się już wystarczająco mocno, ale Yucel na pewno nie. Żandarmeria nie przyjmuje nikogo powyżej pewnej wartości IQ, zwłaszcza gdy chodzi o wysyłanych na Pogranicze brygadierów, ale ona wyróżnia się głupotą nawet w tym gronie. Z miejsca kupi to „zwiększenie aktywności” i będzie naciskać na Verrochia, aby też w to wszedł.

– A jeśli jej się uda, Verrochio może naprawdę ujrzeć flotę Manticore u naszych bram – mruknął całkiem bez humoru komodor. – I wtedy będzie oczekiwał, że coś z tym zrobimy.

– Dokładnie – odparła jego oficer wywiadu.



– Vincent!

Vincent Frugoni zatrzymał się i odwrócił, słysząc swoje imię. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna w dalszej części ruchomego chodnika machał do niego ręką. Frugoni zmarszczył brwi. Wolałby nie przystawać, zszedł jednak z pasa i odmachął tamtemu.

– Witaj, Jerome – powiedział, gdy mężczyzna go dogonił i stanął obok niego. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chcę tylko chwilę pogadać – odparł Jerome Luther, ściskając wyciągniętą ku niemu dłoń. – Wiem już, dlaczego Parkman tak się domagał dodatkowej eskorty tego dnia, gdy zginęła twoja

siostra. Jeśli moje źródło ma rację, to było dokładnie tak bez sensu, jak sugerował twój szwagier. Nie było żadnego konkretnego „zagrożenia”. Chodziło tylko o uzasadnienie zwiększenia budżetu ochrony tutaj, na Swallow. Chciał to mieć w papierach i uważał, że wymiana notatek na ten temat będzie dobrym dowodem dla Karaxis.

– Myślisz, że uda ci się to potwierdzić? – spytał sceptycznie Frugoni. Czasami skłonny był wierzyć, że Luther naprawdę pragnął rozwikłać tajemnicę śmierci Sandry. Ostatecznie pracował jako dziennikarz dla Fundacji Nixona. Z drugiej strony, nawet gdyby mu się udało, nic by z tego nie wynikło. Ligi nie obchodziło, co właściwie działo się na Swallow, a administracja Shuman nie wszczęłaby śledztwa.

– Prawdopodobnie nie – przyznał Luther. – Ale i tak spróbuję. – Uśmiechnął się nagle. – Shuman, Karaxis i Altman tyle mnie już nawkurwiali, że zamierzam robić swoje chociażby po to, żeby trochę się zrewanżować.

– Odświeżająco uczciwe podejście – powiedział Frugoni ze śmiechem. Luther wiedział, jak robić dobre wrażenie na ludziach, i chętnie z tej umiejętności korzystał, ale był marine i tak go lubił.

– Chyba tak. Dobra, do zobaczenia.

– Jasne. – Ponownie uścisnęli sobie dłonie i Frugoni odwrócił się, aby wrócić na chodnik, ale Luther nagle strzelił głośno palcami.

– Byłbym zapomniał – powiedział. – Trafiłem na pewną ciekawostkę. Coś, co mogłoby zainteresować twoich krewnych. Zakładając oczywiście, że w tych wszystkich sfabrykowanych zarzutach, które im przedstawiono, było chociaż ziarno prawdy.

– Jaka to ciekawostka? – spytał ostrożnie Frugoni.

– Wygląda na to, że Flota Pogranicza planuje przesunąć swoje siły. Słyszałem, że ma to coś wspólnego z Manticore. Na razie zabrali stąd Deston z jej niszczycielami.

Dziennikarz przestał się uśmiechać i spojrzał uważnie na Frugoniego, który zdołał nie zmarszczyć czoła. Nikt z Inspektoratu Piątego nie byłby zaskoczony ani zaniepokojony, usłyszawszy o ich spotkaniu, ale mogliby się zastanowić, dlaczego właściwie Luther uznał za stosowne przekazać mu wiadomość, że komandor Francine Deston i jej dywizjon niszczycieli, jedyne jednostki solarne stacjonujące w tym układzie, zostały właśnie wycofane.

Inna sprawa, że sam nie wiem, dlaczego on mi to mówi, pomyślał Frugoni. Ani czy mówi prawdę. Możliwe, że sprzyja naszemu ruchowi. Jest finansowany przez Rappaporta, który chętnie

podłożyłby nogę Tallulah. Problem tylko w tym, że Rappaport chce zająć miejsce Tallulah, więc nasze plany pozbycia się wszelkich korporacji raczej by mu się nie spodobały.

– To ciekawe... Zakładając, że tak właśnie jest – powiedział po chwili. – Jeśli wpadnę na Floyda, wspomnę mu o tym.

– I powiedz mu, że wciąż chcę zrobić z nim wywiad! – dodał Luther z uśmiechem. – Możesz mi nawet zawiązać oczy, gdy zabierzesz mnie w góry.



– Cóż, to naprawdę interesujące – powiedział Floyd Allenby. Zręcznie zamachnął się wędką, lokując muchę dokładnie w środku nurtu u stóp górskiego wodospadu. – Odnoszę wrażenie, że możemy na tym zyskać.

– Sam nie wiem – odparł jego kuzyn Jason MacGruder, unosząc głowę znad patroszonego jesiotra, którego Floyd złowił wcześniej. – To wygląda zbyt ładnie... Jeśli wiesz, o czym myślę.

– To dlatego, że jesteś pesymistą z natury, Jase – powiedział Vincent Frugoni. Starszy marine z piwem w ręku oparł się o nagrany słońcem głąz. Spojrzał na kuzynów. – Ale owszem: pesymiści przeżywają znacznie mniej rozczarowań niż optymiści.

– Czy ty mnie czasem nie obrażasz? – spytał MacGruder. – Jeśli tak, to będziesz chodził głodny. Nie dostaniesz ryby.

Frugoni zaśmiał się, ale oczy miał poważne.

– Wszystko, co mogę ci powiedzieć, to że nasze kontakty w armii, służbach i Tallulah potwierdzają, że Flota Pogranicza zabrała Deston z naszego układu. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście nie możemy uznać tego za prawdę objawioną. Nasze kontakty mogą się mylić lub celowo wprowadzać nas w błąd. Nie mamy ich tak wiele, jak bym chciał. Ale skoro wszyscy, z którymi rozmawiałem, trzymają się jednej wersji, to chyba możemy przyjąć, że to prawda.

– A jeśli tak, to co? – spytał Allenby, zerkając na wędkę. – Myślisz, że nadszedł już czas na... jak to nazwałeś? „Konia trojańskiego”?

– Może i tak – powiedział poważnie Frugoni. – Mamy więcej ludzi niż kiedykolwiek wcześniej. Dzięki Eldbrandowi mamy dla nich broń. Dzięki Lazlo i Rachel mamy pilotów. A jeśli Manticore przyśle jeszcze marynarkę, to wyjdziemy na swoje.

– Nie podoba mi się to „jeśli”, pozwolę sobie zauważyć – stwierdził MacGruder.

– Cała sprawa opiera się na różnych „jeśli” – podsumował Allenby. – I Vinnie ma rację. Od dawna nie mieliśmy czystego nieba, bez Floty Pogranicza nad głowami. A tym razem mamy broń

i ludzi, żeby z tego skorzystać. Zakładając oczywiście, że plan Vinniego zadziała.

– I zakładając, że zajmiemy na czas kwaterę główną Karaxis. Mam nadzieję, że nie zapominasz o tym drobiazgu – dodał dziwnie spokojnym tonem MacGruder.

– Nie, nie zapomniałem – powiedział Allenby. – O wszystkim pamiętam.

CZERWIEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Cholera. Szkoda, że nie był mądrzejszy”.

– sierżant Aleksandra Mikhailov, Solarian League Marines (na emeryturze)

ROZDZIAŁ XLV



Mamy zgodę na tranzyt, ma'am – poinformował porucznik Sughavanam. – Dostaliśmy numer dziesiąty.

– Dziękuję, Traxton – odpowiedziała Ginger Lewis, gdy na wyświetlaczu manewrowym obok symbolu *Charlesa Warda* pojawiło się szkarłatne „10”. Technicznie rzecz biorąc, od tej chwili za wszystko powinien odpowiadać Dimitri Nakhimov, ale żaden kapitan nie pozwoliłby wyręczyć się przy pierwszym przejściu przez wormhol. Zatem to ona spojrzała teraz na Angelinę Dreyfus.

– Wprowadź nas na zewnętrzną ścieżkę.

– Tak, ma'am – odparła Dreyfus. Wprawnymi palcami przebiegła po sensorach na joysticku i jednostka o masie trzech milionów ton natychmiast zaczęła się przesuwać na wyznaczoną pozycję.

– Na ścieżce, ma'am – zameldowała Dreyfus z ekranu.

– Dobra robota. – Ginger przeniosła uwagę na główny ekran.

Ruch wokół terminalu Manticoran Wormhole Junction przedstawiał dość nietypowy obraz. Nie było to zaskakujące, ale w jakiś sposób... nienaturalne.

Nie, żeby jednostek było znacząco mniej, chociaż owszem, trochę ich ubyło. Rzecz w tym, że ścieżki podejścia były pustawe, bez długich kolejek frachtowców, liniowców pasażerskich i jednostek kurierskich. To skutek operacji Laokoon, pomyślała. Rozrzuciona po całej galaktyce flota handlowa Manticore wracała do domu, a statki z Ligi Solarnej przestały się już pokazywać. Ruch innych jednostek narastał z wolna, ale jeszcze nie był imponujący. Zgodnie z danymi wywiadu należało oczekiwać, że z czasem się nasili, jednak nie stanie się to od razu. Zakończenie tak zimnej, jak i prawdziwej wojny między Manticore i Republiką Haven otworzyło przed tymi mocarstwami bardzo obiecujące możliwości ekonomiczne. Wymiana handlowa między nimi zaczęła rozkwitać już jakiś czas temu. Co więcej, należało oczekiwać, że wiele niezależnych, albo nominalnie niezależnych układów Pogranicza, będzie teraz wołało handlować z Manticore zamiast z Ligą Solarną. Zakładając oczywiście, że Gwiazdne Imperium przetrwa kłopoty i będzie z kim handlować.

Ta ostatnia myśl wcale się jej nie podobała. Raz jeszcze powtórzyła sobie w duchu, że tak

ona, jak i jej załoga nie zawiodą. Nie, żeby *CW* mógł w znaczącym stopniu przyczynić się do obrony Manticore przed flotą solarną, o której było już wiadomo, że wyruszyła w drogę. Załoga mówiła to sobie od dłuższego czasu. Podobnie niewielkie znaczenie miałyby obecność kilkunastu niszczycieli i krążowników, które wraz z nimi kierowały się do Quadrantu. To miało być starcie tytanów, ale i tak woleliby wtedy być na miejscu.

Poza tym Home Fleet znalazła już świetny sposób, aby zastąpić nasze uzbrojone po zęby jednostki, powiedziała sobie.

Zaśmiała się w duchu, patrząc na niekończący się potok jednostek opuszczających podwójny układ Manticore. W większości były to frachtowce i transportowce zmierzające na Talbott albo do stacji remontowych Trevor Star, gdzie miały zostać przebudowane na jednostki wsparcia, tak bardzo potrzebne po lutowym ataku. Jeszcze inne zdążyły do terminalu Beowulf, chociaż w tej kolejce było mniej zwykłych „frachtowców”. A przynajmniej do takiego wniosku powinien dojść zwykły obserwator.

Charles Ward udawał się na Talbott w towarzystwie znacznie mniejszych, ale o wiele groźniejszych krążowników i niszczycieli, które miał przed sobą i za sobą. Wszystkie wydawały się drobne przy jego wielkim kadłubie, ale na Beowulfa przemieszczały się jednostki jeszcze potężniejsze.

Dreyfus sama, bez dalszych rozkazów, pilnowała ich miejsca w kolejce. Gdy byli już blisko znaczników bramki, Ginger połączyła się z maszynownią. Na małym wyświetlaczu na wysokości jej prawego kolana pojawiła się twarz Kumanosuke Lawsons.

– Maszyny – odezwał się.

– Komandorze, proszę przygotować się do rekonfiguracji żagla – powiedziała oficjalnym tonem, chociaż było to oczywiste.

– Aye, pani kapitan – usłyszała. – Gotowy do rekonfiguracji.

Ginger skinęła głową i spojrzała na poprzedzający ich krążownik, który przesunął się do przodu i nagle zniknął. W tej samej chwili na ich wyświetlaczu pojawiła się szkarłatna jedyńka.

– Mamy zgodę na tranzyt, ma’am – powiedział Sughavanam.

– Dobrze. Przekaż podziękowania kontroli węzła – odpowiedziała Ginger i spojrzała na Dreyfus. – Prowadź nas, pani bosman.

– Tak, ma’am.

Charles Ward robił tylko dwadzieścia g, idealnie wpasowując się w ścieżkę podejścia.

Ginger skoncentrowała uwagę na wyświetlaczu. RMN miała dobry zwyczaj, aby wymagać od wszystkich inżynierów także certyfikatu uprawniającego do służby na mostku. Tak na wszelki wypadek. Wiele razy wrzucała ramionami, widząc personel techniczny spędzający czas na symulatorach manewrowych i na prawdziwych wachtach na mostku, ale wtedy nie spodziewała się, że dostanie własne dowództwo. I że będzie to od razu jednostka nadprzestrzenna. W zwykłym trybie powinna najpierw spędzić trochę czasu na stanowisku pierwszego oficera na całym zwyczajnej łajbie.

Chociaż nie, pomyślała. Pełniłam przecież obowiązki pierwszego na *Kociątku*. W układzie Monica, zanim Ansten się pozbierał. Wspomnienie *Hexapumy* i poległych przyjaciół przywołało znajomy żal. Niech chociaż wyniknie z tego coś dobrego...

Właściwie już wynikało, ale nie łudziła się, że zdoła dorównać w sztuce dowodzenia Terekhovowi czy księżnej Harrington. Należało jednak udowodnić tak sobie, jak i załodze, że jest naprawdę kompetentnym oficerem.

Wyświetlacz zmienił barwę na zieloną, gdy *Charles Ward* znalazł się dokładnie na pozycji. Ginger spojrzała na swój ekran.

– Postawić dziobowy żagiel do transferu.

– Aye, aye, ma'am – odparł Lawson. – Stawiam dziobowy żagiel. Postawiony.

Energia ekranu impellerowego *CW* spadła nagle o połowę. Przedni węzeł został skonfigurowany w taki sposób, by generować krąg pola grawitacyjnego o średnicy ponad trzystu kilometrów.

– Stawianie żagla rufowego na mój znak – powiedziała Ginger.

Charles Ward szedł teraz napędzany tylnym węzłem impellerów.

Na ekranie pojawił się nowy odczyt, związany z żaglem Warszawskiej, który wsuwał się coraz głębiej w kanał nadprzestrzenny wiodący do gromady Talbott. Moc zaczęła rosnać raptownie, w miarę jak żagiel czerpał coraz więcej energii z fal grawitacyjnych kotłujących się nieustannie wokół terminalu. Ginger uważnie obserwowała odczyty. Wiedziała, że ma około trzydziestu sekund, ale zależało jej na precyzji.

Rosnący odczyt przekroczył wartość graniczną. Przedni żagiel miał już dość mocy, aby zapewnić ruch postępowy. Skinęła zdecydowanie na Lawsona.

– Stawiać rufowy żagiel!

– Aye, stawiam rufowy żagiel!

Kumanosuke Lawson zawiadywał swoim działem jak precyzyjny chronometr i to niezależnie od dowolnych gremlinów, które mogły go nawiedzać. *Charles Ward* zadrżał tylko lekko, gdy drugi ekran przemienił się w żagiel.

Ten właśnie manewr należał do najtrudniejszych, ale Angelina Dreyfus bez najmniejszych problemów utrzymała okręt na kursie. Ginger odruchowo zacisnęła palce na podłokietnikach fotela, czując znajome mdłości. Mało kto potrafił naprawdę przywyknąć do sensacji towarzyszących przejściu w nadprzestrzeń, niemniej jej żołądek wykazywał tu szczególną wrażliwość. Nie pomagało też, że przy tranzycie terminalowym próg przejścia był znacznie silniej odczuwalny. Tyle dobrego, że wtedy trwa to bardzo krótko, przypomniała sobie, starając się zachować spokojny wyraz twarzy.

Ekran manewrowy zamrugał i przez chwilę znajdowali się w stanie umykającym zmysłom i dowolnym chronometrom. HMS *Charles Ward* przestał istnieć. W teorii przejście nie było natychmiastowe, jednak nikt nie był w stanie zmierzyć precyzyjnie czasu jego trwania. Ginger nie była w tej chwili zainteresowana teorią, bardziej skupiała się na walce z własnym żołądkiem, który wraz z nią przewędrował – natychmiast czy z chwilowym opóźnieniem – odległość blisko sześciuset lat świetlnych.

Mdłości ustąpiły nagle, ale raz jeszcze wróciły, znikając ostatecznie wraz z wypromieniowaniem energii żagli okrętu. Stało się to tak szybko, że Ginger westchnęła z ulgą.

– Tranzyt zakończony – powiedziała Dreyfus.

– Dziękuję, dobra robota – odparła Ginger, patrząc na malejące odczyty. – Maszyny, rekonfiguracja impellerów.

– Aye, pani kapitan. Rekonfiguracja impellerów.

Charles Ward zwinął żagle i napędzany zwykłymi ekranami zaczął przyspieszać w ślad za poprzedzającym go krążownikiem.



– Czy mogę służyć czymś jeszcze, ma'am? – spytał Jared Pallavicini. – Może więcej kawy?

– Nie, Jared, chyba wystarczy – odparła Ginger. – Zostaw nam tylko glenlivet i szklanki. Sami je potem odniesiemy. – Uśmiechnęła się. – Gdybyśmy czegoś potrzebowali, na pewno dam znać.

– Oczywiście, ma'am. – Pallavicini wyczarował błyskawicznie szklanki, każdą przecierając z pełnym ceremoniałem nieskazitelnie czystą ścierką, i ustawił je po bokach butelki whisky.

Potem się wycofał, zamykając za sobą drzwi.

Ginger zaś usłyszała dobiegający z drugiej strony stołu chichot.

– Co? – spytała, patrząc na swojego gościa.

– Robisz postępy – powiedziała Sinead Terekhov. – Radzisz sobie z nim coraz lepiej. Trzeci raz sosu Alfredo pewnie ci już nie zaproponuje.

– Nie czepiaj się – stwierdziła Ginger z błyskiem w oku. – I na litość boską, lepiej nie mów przy nim o jedzeniu. Sying-ni naprawdę dobrze go wyregulowała i nie chcę, żeby ktokolwiek popsuł jej robotę.

– Za nic w świecie – obiecała Sinead i obie się uśmiechnęły. Ginger otworzyła dziewiczą butelkę i naląła. Potem usiadły ze szklaneczkami w dłoniach. Dla dwóch osób jadalnia wydawała się obszerna. – Dobra – orzekła Sinead, smakując whisky.

– Nie powiem, żebym znała się na whisky czy winach – przyznała Ginger. – Ale polubiłam glenlivetę, gdy kapitan Terekhov pierwszy raz mnie poczęstował. – Pokręciła głową ze smutnym uśmiechem. – I nie ja jedna na *Kociątku* się wtedy załapałam. Nie wiedziałam jeszcze, ile to kosztuje.

– Nie wiem, czy Aivars zna się na trunkach – powiedziała po chwili Sinead. – Ale ma wyczucie w wielu sprawach, także co do zacnych napitków. A gdy coś przypadnie mu do gustu, to już się tego trzyma. Taki sam jest wobec ludzi.

– Wiem, co masz na myśli. Kapitan – no, obecnie komodor – nie powinien zbyt często zmieniać zdania. – Jej uśmiech nagle zniknął, oczy posmutniały.

– O co chodzi? – spytała Sinead po chwili.

Ginger drgnęła.

– Nic, po prostu się zastanawiam, może nawet trochę martwię, jak zareaguje, gdy się dowie o naszym sojuszu z Haven. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałam, ale znam oficjalny zapis wydarzeń w układzie Hyacinth. Wiem, jak wielu ludzi stracił i że sam oberwał. Potem próbował się trzymać w układzie Nuncio, ale ja wiedziałam... Gdy odkrył, kim byli ci „piraci”, bardzo to przeżył. Nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że Ansten FitzGerald i ja o tym wiemy.

– Nie dziwię się – powiedziała cicho Sinead. – Też chciałabym wiedzieć, jak zareaguje. Chociaż wiem, jak do tego podejździe! Jest bardzo inteligentny, a tylko idiota miałby wątpliwości co do tego, że to najlepsza wiadomość od czasu bitwy o Spindle. Ale emocjonalnie... to może być trudniejsze. Tym bardziej gdy się dowie, ilu przyjaciół straciliśmy podczas ataku. Nie tylko z

Hexapumy, ale też innych, jak Peter Patterson i jego żona. – Westchnęła ciężko i potrząsnęła głową. – Myślałam, że zmora Hyacintha przestała go nękać po Monice, ale teraz...

– Cóż, pewnie bardzo mu pomoże, gdy cię zobaczy. – Ginger uśmiechnęła się szeroko. – Ten portret, który trzyma w swojej kabinie, jest bardzo ładny, ale zawsze lepiej mieć w pobliżu oryginał do przytulania.

– Och, nie tylko do przytulania, dziewczyno! – odparła Sinead z chichotem.

Ginger roześmiała się głośno.

– Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że mam cię na pokładzie – powiedziała po chwili. – Nie mogę się doczekać reakcji komodora, gdy cię zobaczy. Potrzebuje czegoś, co wyrwie go z rutyny. Chociaż na pewno byłoby ci wygodniej podróżować na pokładzie któregoś z transportowców.

– Bzdura! – Sinead pociągnęła większy łyk whisky. – Tam mają kabiny jak w domku dla lalek. I to zatłoczone, zwłaszcza teraz. Musiałabym pewnie dzielić jednoosobową kaitkę z co najmniej jedną znerwicowaną żoną innego oficera. Nie, dziękuję! Już kiedyś przez to przeszłam. Poza tym ty i twoi oficerowie jesteście dla mnie o wiele lepszym towarzystwem. Szczególnie ciekawi mnie doktor Massarelli. A ta młoda Paula jest naprawdę słodka!

– Mogłabyś pozwolić się przenieść do lepszej kabiny – powiedziała Ginger. – Mamy tu więcej miejsca niż na każdym innym okręcie, na którym służyłam. Mam tutaj kabinę gościnną. To na pewno wygodniejsze od pryczy w przedziale smarkaczy!

– Nie jestem aż taka wrażliwa – odrzekła Sinead z uśmiechem. – Nie będę zajmować nikomu kabiny. To i tak uprzejmość z twojej strony, że zaoferowałaś mi podwózkę. Poza tym Paula potrzebuje towarzystwa – dodała już całkiem poważnie.

Ginger wiedziała, że to prawda.

Gdy Sinead Terekhov dostała zgodę na przelot do Quadrantu Talbott poza kolejką i powiedziała, że chce trafić na pokład *Charlesa Warda*, Ginger nie przypuszczała, że zażyczy sobie, by ulokowano ją w kwaterze przeznaczonej dla odbywających praktykę na okręcie midszypmenów. Sinead też pewnie o tym nie myślała, dopóki nie odkryła, że Paula Rafferty jest tam całkiem sama.

– Nie będę udawała, że nie jestem wdzięczna za to, że się nią zajęłaś – powiedziała po chwili Ginger. – Chociaż nie wiem, co powie komodor, gdy usłyszy, że dałam ci miejsce w trzeciej klasie.

– Sama mu to wytłumaczę – stwierdziła Sinead. – Zrozumie.

– Prawdopodobnie masz rację. – Ginger pokręciła głową i wpatrzyła się w szklaneczkę z whisky. – Nie afiszuje się z tym, ale zwykle zauważa, gdy ktoś w jego otoczeniu ma kłopoty. Nie zrozum mnie źle, Ansten FitzGerald należycie czuwał nad wszystkimi na pokładzie *Kociątka*. Ale miałam wrażenie, że ilekroć ktoś potrzebował pomocy, komodor zjawiał się gdzieś w pobliżu.

– Taki już jest – powiedziała Sinead. – I pewnie jest jeszcze inny powód, dla którego tak go postrzegasz.

Ginger oderwała spojrzenie od szklanki i chciała coś powiedzieć, ale Sinead uniosła dłoń, zanim jej towarzyszka zdążyła się odezwać.

– Ginger, ani przez chwilę nie pomyślałam, że doszło między wami do czegoś niestosownego – powiedziała łagodnie. – Wierność mojego męża jest jedną ze stałych wszechświata. Ale odkąd wrócił do aktywnej służby, jeszcze chętniej wchodzi w rolę... powiedzmy, mentora obiecujących młodych oficerów. Zwłaszcza gdy chodzi o kobiety.

Ginger znów zamknęła usta, które już otwierała, ale nadal była niespokojna.

– Znam Aivarsa Terekhova od prawie pięćdziesięciu lat i wiem, że nigdy nie faworyzował nikogo z prywatnych powodów. Ale pochodzę z rodziny, która od wieków była związana z marynarką wojenną. – W tej chwili Ginger pomyślała, że to spore niedomówienie. – Wiem więc, że starszy oficer ma obowiązek wspierać dobrze rokujących młodych. Aivars robił to dla każdego, kto jego zdaniem był dość dobry. Tak dobry jak ty. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego koncentruje się na młodych kobietach. Sądzę, że w twoim przypadku miało to szczególne znaczenie.

– Powód? – powtórzyła Ginger, korzystając z chwili ciszy.

– Tak. – Sinead spojrzała na nią łagodnie. – Jesteś bardzo podobna do mnie, Ginger. Nawet bardziej niż Anastasia.

– Anastasia?

– Nasza córka – dopowiedziała cicho Sinead i Ginger zamarła. – Nastyen'ka nigdy nie była zainteresowana marynarką. Miała swoje pasje – mówiła Sinead z wyrozumiałym uśmiechem. – Interesowała się tym, co się dzieje na powierzchni planet. Tak długo prosiła, błagała i nalegała, aż dopięła swego. Chyba była pod tym względem podobna do nas. Tak czy siak, gdy Aivars wrócił do służby po bitwie o Hancock, została przyjęta do programu młodzieżowego Służby Leśnej Sphinksa. Nie posiadała się ze szczęścia. A jakiś rok potem spadła z dębu koronnego, ratując treecata. Jej moduł antygravitacyjny nie zadziałał.

Ginger westchnęła ciężko i Sinead pokiwała głową.

– Doznała poważnego urazu mózgu – ciągnęła spokojnym głosem. – Ludzie ze Służby Leśnej zaraz zawieźli ją do szpitala, ale nie zdążyli. Była rok młodsza od ciebie.

– Nie wiedziałam... – Ginger potrząsnęła głową, a Sinead sięgnęła przez stół i uściśniła jej przedramię.

– Ginger, Aivars rozpoznałby w tobie dobry materiał na oficera, nawet gdybyś była mężczyzną, miała dwa metry wzrostu i kudły na całym ciele. Nie twierdzą, że zaczął cię cenić, ponieważ przypominasz mu Nastyen'kę. Mówię tylko, że widzi jej cień w każdej obiecującej młodej kobiecie, którą zdarza mu się spotkać. A skoro ty naprawdę jesteś do niej podobna, tym bardziej ma to znaczenie. Zresztą mówię ci o tym między innymi dlatego, że i ja to zauważam. Żadne z nas nie myśli uznawać cię za zastępstwo dla naszej córki, oboje cenimy cię za to, kim jesteś. Myślę tylko, że masz prawo o niej wiedzieć. Może to pomoże ci zrozumieć, dlaczego świetnie się czuję w kwaterach smarkaczy razem z Paulą. Ona jest oficerem królowej, nie dzieckiem, ale jest też młodą kobietą, która straciła całą rodzinę. Gdyby potrzebowała całkiem cywilnego ramienia, żeby się wypłakać, jestem pod ręką.



Proszę, proszę, ciekawa sprawa, pomyślał Rufino Chernyshev.

Wydał wargi i pogwizdując cicho, zastanowił się nad wiadomością odebraną właśnie na tajnym kanale „Manticore”, ustanowionym przez Harahapa dla Tomasza Szpondera i Krucjaty Wolności Myśli.

Chcąc nie chcąc, czuł się winny. Zapewne było to nieuniknione. Aby odnieść sukces, agent musiał współczuć ludziom, którymi manipulował. Z drugiej strony, czuł też wzbierającą satysfakcję.

Przez kilka sekund patrzył na ekran, po czym skinął głową i otworzył nowe okno, aby sporządzić notatkę.

– Potwierdzić odbiór – powiedział, patrząc na pojawiające się na ekranie słowa. – Zapewnić, że flota zjawi się w ciągu dwudziestu czterech godzin od podanego terminu.

ROZDZIAŁ XLVI



Centrum Kontroli Układu, tu victor lima jeden, siedem, siedem. Prosimy o zgodę na dokowanie.

– Poczekaj, victor lima – odparła obojętnie znudzona kontrolerka ze stacji imienia Donalda Ulyssesa i Rosy Aileen Shuman, powszechnie, choć niekoniecznie sympatycznie zwanej Dura(s), głównej stacji kosmicznej układu Swallow. – Sprawdzam zgłoszenia.

– Przyjąłem. Victor lima jeden, siedem, siedem potwierdza. Pozostaję w kontakcie.

Kontroler wywołał plan lotów i lot VL177 zajarzył się na zielono. Oczywiście miał autoryzację. VL177 był wahadłowcem kopalnianym Tallulah, a wszystkie jednostki kurierskie, frachtowe czy pasażerskie, a także uzbrojone patrolowce Tallulah Security Enterprises, które bazowały na stacji, mogły sobie latać, gdzie i kiedy chciały. Chociaż dlaczego ten akurat wahadłowiec leciał z powierzchni planety, to była osobna i dość interesująca kwestia.

Pewnie był tam na jakimś remoncie, pomyślała. Te łupiny nie są przewidziane do lotów atmosferycznych, ale jak muszą, to wylądają na dole. Byle tylko leciały dość wolno.

– Victor lima jeden, siedem, siedem, tu kontrola. Mam cię w planie. Masz zgodę na zadokowanie na stanowisku alfa, tango, siedem. Potwierdź odbiór.

– Kontrola, tu victor lima jeden, siedem, siedem. Potwierdzam odbiór. Mamy podejść do stanowiska alfa, tango, siedem.

– Potwierdzam, victor lima. Miłej wizyty – powiedziała kontrolerka.

Niewielki wahadłowiec uruchomił silniki rakietowe (używanie ekranów w pobliżu stacji było zabronione) i skierował się do wyznaczonego stanowiska.



– No cóż, jak na razie... – zaczął pilot wahadłowca.

– Nie mów hop! – przerwała mu kobieta o purpurowych włosach siedząca w fotelu drugiego pilota. Spojrzał na nią, unosząc brew, i emerytowana pani sierżant Rachel Lamprecht z Solarian League Marines potrząsnęła energicznie głową. – To przynosi pecha. Chyba już ci to tłumaczyłam?

– Najwyraźniej zapomniałem – odparł Truman Rodriguez zwykłym tonem, ale nikogo tym nie zdołał oszukać. – A przy okazji dziękuję, że dołączyłaś. Chyba też zapomniałem powiedzieć

ci to przed startem?

– *Nie nada* – powiedziała Lamprecht i machnęła ręką.

Rodriguez skinął głową i odwrócił się do konsoli sterowniczej. Mogła sobie machać ręką, ale chyba wiedziała, jak wiele to dla niego znaczyło. Inaczej niż w jego przypadku jedynym powodem, dla którego Lamprecht, Laszlo Hiratasuka czy Alexandra Mikhailov zdecydowali się na udział w tej walce, była ich wieloletnia przyjaźń z Vincentem Frugonim. To było coś, co mógł zrozumieć tylko ktoś z planety Swallow. Choćby i element napływowy, jak Rodriguez. Z całą pewnością nie była to jej walka.

To była walka Trumana Rodrigueza. Był imigrantem, tak samo jak Vincent Frugoni i Sandra Allenby, pracował jako pilot w Tallulah Resource Extraction Enterprises i zarabiał całkiem nieźle, przynajmniej jak na miejscowe warunki. Spędził tu już trzydzieści lat i dorobił się żony, czworga dzieci i dalszej rodziny, która obejmowała także Floyda Allenby’ego.

I chociaż nie żyje mi się tutaj źle, pomyślał, moim dzieciom i wnukom ma być znacznie lepiej. Bez Tallulah i bez tego, co obecność tej korporacji mogłaby im przynieść.

– Węzeł dokowania za piętnaście minut, Vinnie – powiedział do mikrofonu. Potem zerknął przez ramię na stanowisko technika pokładowego. – Przekaż to, Joyce – poprosiła i siostrzenica Eileanóry Allenby pokiwała głową.

– Wysyłam – odpowiedziała i nacisnęła sensor transmisji.



– Piętnaście minut, Jase! Właśnie przyszedł sygnał!

– No to chyba już czas na naszą wycieczkę – orzekł Jason MacGruder.

Ich ciężarówka leciała niespiesznie nad przełęczą MacIntyre, zbliżając się do Fortu Złotego Orła, siedziby dowództwa sił zbrojnych układu Swallow. Ponieważ nie istniał tu podział na rodzaje wojsk, było to naprawdę najwyższe dowództwo, a dodatkowo, co dla MacGrudera było obecnie najważniejsze, także największa składnica sprzętu. Przechowywano w niej niemal dziewięćdziesiąt procent czołgów i transporterów oraz osiemdziesiąt pięć procent statków powietrznych. Obecnie mogło ich być trochę mniej, zważywszy na kordon, który Karaxis stworzyła wokół Cripple Mountains, aby odizolować tamtejszy ruch, ale MacGruder specjalnie się tym nie przejmował. Dokładnie wiedzieli, gdzie co stoi, a dzięki szczodrości Eldbranda mieli szansę się tym bogactwem zaopiekować.

Samym Fortem Złotego Orła też zamierzali się zająć.

Dotknął przycisku nadawania na desce rozdzielczej.

– Gemma, masz dla mnie te ogniwa energetyczne? – spytał.

– Miały być, więc są – usłyszał. – A czemu? Napięcie ci spada?

– Nie – odparł, zwiększając obroty i schodząc nieco niżej. – Tylko sprawdzam. Czasem masz dziurawą pamięć.

– Też coś! – rozległo się w głośniku. – Miły z ciebie gość. Spokojnie, dostaniesz je na czas – zapewniła go siostra Floyda Allenby’ego.

– Czuję się uspokojony – stwierdził MacGruder i uśmiechnął się, widząc pierwsze światła nawigacyjne na podejściu do Fortu Złotego Orła.



– Co ten idiota wyrabia? – spytał major Brinton Avery, gdy oznaczająca cywilny pojazd ikona przesunęła się w kierunku zewnętrznego perymetru fortu. – Przecież musi wiedzieć, że to zamknięta przestrzeń!

– Nie wiem, sir – odrzekła sierżant, która pełniła akurat służbę. – Wielu próbuje skracać sobie tędy drogę do przełęczy. Niektórzy miewają kłopoty z nawigacją.

– Cóż, sam się prosił o kłopoty – powiedział Avery i przełączył nadajnik na częstotliwość ochrony obiektu. – Niezidentyfikowany pojazd cywilny na trzystu metrach, osiemdziesiąt pięć kilometrów na kierunku zachód-południowy zachód. Mówi oficer kontroli obszaru Fortu Złotego Orła. Naruszasz zamkniętą przestrzeń powietrzną. Zawróć natychmiast.

Przez chwilę nic się nie działo.

– Kontrola Złotego Orła, mówi Tallulah sierra dziewięć, dwa – odezwał się jakiś głos. – Wiem, że to zamknięta przestrzeń powietrzna. Sprawdźcie plan lotów.

Avery zmarszczył brwi i strzelił palcami na panią sierżant, po czym wskazał na jej terminal. Gdy obejmował służbę, nie było tam nic o specjalnym locie maszyny Tallulah.

– Nic tu nie ma, majorze – powiedziała po chwili sierżant.

Pojazd nadal się zbliżał.

– Tallulah sierra dziewięć, dwa, mówi kontrola Złotego Orła. Nie mam, powtarzam, nie mam cię w planie lotów. Zawróć natychmiast.

– Słuchaj, chłopie – odezwał się znowu ten sam głos. – Jeśli wyjaśnisz generał Karaxis, dlaczego wypchany śnieżny niedźwiedź, którego pani Hampton kazała mi dostarczyć przed zachodem słońca od pana Altmana, nie znalazł się na czas w jej biurze, to świetnie. Ale jeśli tego

nie załatwisz, to lepiej szukaj mnie na tej swojej liście tak długo, aż znajdziesz.

Cholera jasna, pomyślał Avery. Jeśli wkurzę panią generał, zrobi mi z dupy jesień średniowiecza. Tyle że, kurde, jego naprawdę nie ma na liście!

Sięgnął do sterowników kamer monitoringu, skierował jedną z nich na pojazd i zmarszczył brwi. Była to ciężarówka w barwach korporacji Tallulah, błyszcząca, jak świeżo umyta, co pasowało do pojazdu mającego dostarczyć prezent Altona Altmana dla Felicii Karaxis. Pojazd był klasy *Torro*, o wiele za duży do transportu jednego niedźwiedzia, chociaż oczywiście mógł wieźć jeszcze inne ładunki.

Nadal był w kropce.

Zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym wciągnął głęboko powietrze, widząc, że ciężarówka minęła wewnętrzny obwód fortu.

– Tallulah sierra dziewięć, dwa – powiedział. – Nie masz, powtarzam, nie masz zgody na przelot. Skręć na bravo trzy i poczekaj na oddział ochrony...



– ...poczekaj na oddział ochrony...

– Akurat w porę – rzucił beztróskim tonem Jason MacGruder, chociaż na jego czole błyszczały krople potu. – Jessop? – zwrócił się do siedzącego obok młodego mężczyzny.

– Ruszaj – odparł Jessop Allenby.

MacGruder przesunął dźwignię obrotów poza ogranicznik i turbiny ciężkiego i szybkiego pojazdu wypożyczonego od służb ratowniczych Cripple Mountains ryknęły pełną mocą.



– Łącze szczelne – oznajmił technik z kontroli dokowania.

Wahadłowiec osiadł na podporach, rękaw został dosunięty do włazu.

– Dziękuję – powiedział Rodriguez i uśmiechnął się, gdy Vincent Frugoni i dziewięćdziesięcioro ciężko uzbrojonych mężczyzn i kobiet ruszyło przez rękaw do wnętrza stacji imienia Donalda Ulyssesa i Rosy Aileen Shuman.

Technik na szczęście okazał się człowiekiem rozsądnym. Podjęcie decyzji o podniesieniu rąk zabrało mu tylko dwie i pół sekundy.



– Co się...? – zaczęła sierżant, a Brinton Avery poczuł, jak żołądek zmienia mu się w kulę lodu. W jednej chwili zrozumiał, że zbyt długo zwlekał z zawróceniem ciężarówki korporacji.

Pojazd przyspieszył gwałtownie i leciał już dwa razy szybciej, niż wynosiła maksymalna prędkość takiego wozu. Całkiem bezwiednie major zastanowił się, jak bardzo ktoś musiał go podrasować. Ale nie skupił się na tej myśli. Jego uwagę przykuły ładunki kasetowe wysypujące się ze spodniego włazu. Uwolnione pociski ustawiły natychmiast małe skrzydełka i odskoczyły od pojazdu, aby po chwili spaść na zewnętrzny parking pojazdów pancernych, który zniknął w jaskrawej eksplozji.

Major patrzył na to z niedowierzaniem, ale jego kciuk sprawnie odszukał przycisk alarmu. W całej bazie rozległy się przenikliwe sygnały, sekcje dyżurne ruszyły biegiem obsadzić stanowiska, ale przecież nikt nie spodziewał się czegoś takiego! Tymczasem prowizoryczny bombowiec zmienił kurs. Sypiąc pociskami, przemknął nad płytą, na której stały myśliwce i latające transportery opancerzone, zostawiając za sobą piekło eksplodujących zbiorników wodoru. Oczywiście nie wszystkich, ale większości. Potem zawrócił i z prędkością niemal jednego macha zanurkował na zabudowania fortu. Fałszywe panele na jego burtach odpadły, ukazując wyrzutnie pocisków *Rattlesnake*, przeznaczonych do niszczenia celów naziemnych.

Pierwszy zniszczył trzy stojące na płycie dyżurne myśliwce. Drugi trafił w centrum koordynacji obrony powietrznej fortu. Trzeci i czwarty zdmuchnęły maszty nadajników zamontowane na dachu budynku dowództwa i sztabu Felicii Karaxis.



Mężczyzna w mundurze Tallulah Security Enterprises zdziwiony uniósł głowę, gdy przez otwarte z hukiem drzwi centrum łączności wpadło do środka kilka uzbrojonych postaci.

– Nie! – zawołała wysoka brunetka, ale odruchy go zdradziły.

Jeden strzał z broni rozpryskowej przeciął go prawie na pół w chwili, gdy jego ręka sięgała po broń w kaburze u pasa.

– Cholera – mruknęła sierżant Aleksandra Mikhailov. – Szkoda, że nie był mądrzejszy.



Major Avery patrzył osłupiały na płomienie, dym i szczątki rozrzucone eksplozjami po przelocie ciężarówki i było mu coraz bardziej niedobrze. Zarazem starał się zrozumieć, jakim cudem jeden pojazd mógł spowodować aż takie spustoszenie. Budynek dowództwa zajął się ogniem, a z centrum obrony powietrznej unosił się pod niebo coraz gęstszy dym. Widać było wybiegających ze środka ludzi, którzy stawali jak wryci, porażeni całym widokiem. Ciężarówka zeszła na wysokość pięćdziesięciu metrów i z rykiem przemknęła w kierunku rozległego

poligonu znajdującego się na zachód od fortu. Nikt nie był w stanie skutecznie jej namierzyć, gdy skręciła na północ i wznosząc się, poleciała w stronę przełęczy MacIntyre.

Gdy wszyscy odprowadzali ją wzrokiem, z południa nadciągnęło kilkanaście zmodyfikowanych pojazdów cywilnych: ciężarówek, samochodów dostawczych i co najmniej jeden wóz poszukiwawczo-ratowniczy.

Wobec braku obrony pojazdy spokojnie wybrały sobie cele na terenie fortu. Zamontowane na nich trzylufowe działka, dostarczone wcześniej przez Harveya Eldbranda, wypluwały strumienie strzałek wybuchowych, które niczym ogniste piły łańcuchowe rozcinały burty naziemnych i powietrznych transporterów opancerzonych. Dwie skręciły w stronę płonącego już budynku dowództwa i poczęstowały go dodatkowo serią mniejszych pocisków burzących i zapalających.



Słyszając otwierające się drzwi kabiny, Leroy Yelland podniósł wzrok znad kart.

– Co, do kur... – zaczął i zamarł, widząc wycelowaną w siebie broń.

Abiola Wilhelmsen, drugi pilot dyżurny, oraz Ramiro Maxwell, jeden z techników dywizjonu, też zastygli bez ruchu. W końcu Wilhelmsen odłożył karty na stół i powoli podniósł rękę. Maxwell siedział jak sparaliżowany, oczy miał ogromne.

– Miło dla odmiany spotkać rozsądnych ludzi – powiedziała z zimnym uśmiechem Mikhailov. – A teraz proszę tędy, jeśli łaska.

Ruch broni sprawił, że wszyscy w jednej chwili zerwali się z krzeseł. Dwóch uzbrojonych cywilów, którzy towarzyszyli Mikhailov, zaprowadziło ich całkiem spokojnie do salonu.

Gdy tam weszli, Yelland zobaczył czterdziestu czy pięćdziesięciu pracowników TSE oraz personelu Tallulah Corporation, siedzących na stołach, na których serwowano posiłki. Jedna z uzbrojonych kobiet pokazała mu lufą broni wolne miejsce.

– Może spocznesz? – rzuciła swobodnie, co jednak nie rozluźniło atmosfery. – Ręce trzymaj na blacie albo na głowie, jak wolisz. Jeśli zaczniesz coś kombinować, to...

Wzruszyła ramionami, ale jedno spojrzenie na dwóch mężczyzn z karabinami stojących w taki sposób, że mieli całą salę w polu ostrzału, wystarczyło Yellandowi, by zrozumiał sytuację. Nie potrzebował więcej wyjaśnień.

Usiadł plecami do sali. Jego umysł szalał jak zwierzę w klatce, próbując złapać jednocześnie różne wątki i zrozumieć, co tu się właściwie dzieje. Nagle ze zdumieniem ujrzał, że korytarzem

przebiegły cztery osoby w kombinezonach pilotów...



– Dzień dobry państwu – powiedział Vincent Frugoni, gdy drzwi windy stanęły otworem i wraz z piętnastoma innymi członkami ruchu wszedł do centrali stacji.

Trzydziestu odłączyło się po drodze, aby zająć pokład dokowania i centrum informatyczne. Dzięki treningowi pod okiem Alexandry Mikhailovej wszyscy poruszali się sprawnie jak solarni marines.

W centrali zapanowało nagle poruszenie i ktoś zaklął zdumiony liczbą napastników oraz ich uzbrojeniem.

– Od tej chwili stacja znajduje się pod kontrolą Ruchu Cripple Mountains – oznajmił Frugoni. – Cała łączność zostaje zablokowana, chyba że rozkażę inaczej. To dotyczy także pani, MacDerry! – dodał ostrym tonem, widząc, że kobieta unosi dłoń do panelu.

Natychmiast opuściła rękę na kolana i spojrzała mu w oczy, zdziwiona, że zna jej nazwisko i że dostrzegł ruch jej dłoni. Uśmiechnął się i poruszył lufą pulsera.

– Chyba będzie dobrze, jeśli dołączycie do komandor Hewitt – powiedział i niemal przyjaźnie skinął głową stojącej niczym słup soli administratorce stacji. – W ten sposób pozbedzicie się nierozsądnych pokus, a my będziemy mieć was na oku, nie ryzykując urazu karku – dodał, zerkając na MacDerry. Gdy nikt się nie poruszył, spojrzał na nich surowiej. – Ruszać się – rzekł cicho i zabrzmiało to na tyle groźnie, że zaraz go posłuchali. – Tak już lepiej – stwierdził.



– No – odpowiedział lakonicznie Floyd Allenby, po czym słuchał przez chwilę i skinął głową. – Dzięki. – Zakończył połączenie i wybrał inny numer.

Był zimny i czysty górski poranek. Niemal dwa tysiące metrów niżej widział bazę wojsk układowych Justice.

Bez trudu znalazłby dla niej kilka innych nazw, bardziej stosownych niż „Sprawiedliwość”. Obejmowała rozległe tymczasowe baraki, park maszynowy i małe lotnisko z kilkoma transporterami. Ale niebawem dokona się tutaj pewna sprawiedliwość, pomyślał.

Komunikator zabrzączał, informując o nawiązaniu zaprogramowanego połączenia konferencyjnego.

– Sandra nadciąga – mruknął pod nosem.



Pułkownik Brenda Johnson upiła łyk soku pomarańczowego, po czym odstawiała szklanę i ponownie sięgnęła po widelec. Johnson należała do układowych sił bezpieczeństwa, która to formacja stanowiła część wojska, chociaż z reguły wykonywała zadania policyjne. Z tego też powodu pani pułkownik zastanawiała się czasem, jak właściwie trafiła na stanowisko komendanta bazy Justice. Pochodziła z nizin i w górach ciągle było jej zimno. Ludzie też nie byli tu najciekawszy, w zasadzie tylko jedzenie było sensowne, a...

Pierwszy pocisk z wyrzutni naramiennej nadleciał gdzieś ze wschodniej grani. Spadł w parku maszyn, gdzie wykwitła zaraz jasna kula płonącego wodoru. Kilka kolejnych pocisków, tym razem z głowicami odłamkowymi i zapalającymi, trafiło ledwie parę sekund później w zatłoczone budynki koszarowe i stołówkę.

Dały się słyszeć krzyki rannych i poparzonych. Niektórzy tarzali się po ziemi, aby ugasić płonące ubrania. Inni uciekali w panice, ale ruch powietrza tylko podsycił na nich ogień.

Wyrzutnie zostały załadowane ponownie i na park maszyn spadła kolejna fala pocisków. Transportery opancerzone eksplodowały z hukiem, rozrzucając wokół pozostałe pojazdy.

Potem gdzieś na północy otworzyło ogień kilka moździerzy, dokładając się do masakry. Pod pewnymi względami były jeszcze bardziej skuteczne niż pociski raketowe. Do tego trzy ciężkie działka trzylufowe zaczęły omiatać teren coraz gwałtowniej płonącej bazy długimi seriami.

W chwili, gdy odezwały się działka, pułkownik Johnson, jej zastępca i wszyscy bezpośredni podwładni nie byli już obecni wśród żywych. W tym samym czasie sześcioro innych komendantów, z innych baz u stóp gór, w podobny sposób nie dokończyło śniadania.



– Teraz tylko pamiętajcie, jaki jest plan – powiedziała spokojnie Rachel Lamprecht, prowadząc ich wraz z sierżantem Laszlem Hiratasuką (także emerytowanym) na pokład dokowania. – Najpierw musicie dać sobie czas na wyczucie maszyn, jasne?

Joyce Allenby kiwnęła głową. Miała nadzieję, że nie widać po niej, jak bardzo jest zdenerwowana. Spojrzała na Orrina MacGrudera. Ona i Orrin byli wysoko wykwalifikowanymi pilotami. Mieli licencję najwyższej klasy, rok przed śmiercią Sandry Allenby zaś Orrin wygrał mistrzostwa planety w wyścigach jednostek atmosferycznych, Donald Ulysses Shuman Memorial Cup. Jednak żadne z nich nie pilotowało dotąd maszyny w rodzaju *Żądła*.

Na szczęście Lamprecht i Hiratasuka zajmowali się tym przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Gdy

pół roku temu przybyli jako turyści na jednym z wyczarterowanych przez Frugoniego statków, które kursowały między Wonder i Swallow, przerobili dwie maszyny wyścigowe typu *Sky Shark* na symulatory myśliwców. Zmiany ograniczały się wprawdzie jedynie do przebudowy kokpitów, ale lepsze to niż nic.

– Pamiętajcie – kontynuowała Lamprecht, gdy dotarli już do dwóch gotowych do lotu maszyn. – TSE używa jednostek typu *Relámpago*, produkowanych przez Lanza Corporation. Nie są tak dobre jak *sky sharki*. Mają większą zwrotność poza atmosferą, bo ich grawitatory sprawniej reagują, ale ich maksymalne przyspieszenie jest o dobre dziesięć g mniejsze.

Ogolony na łyso Hiratasuka włączył centralną konsolę stanowisk dokowania i zielone światła nad włazami dwóch kolejnych myśliwców zamigotały bursztynowo. Zautomatyzowane systemy zaczęły uzbrajanie maszyn w podczepiane pociski.

– Oczywiście są znacznie bardziej wytrzymałe – dodała Lamprecht. – Ale w tej chwili macie tylko załatwić jedyne uzbrojone pozaatmosferyczne jednostki, jakie pozostały w układzie po odlocie okrętów Floty Pogranicza. – Uśmiechnęła się drapieżnie i coś błysnęło w jej piwnych oczach. – Nie wydaje mi się, aby Shuman i Parkman byli z tego powodu zadowoleni.

ROZDZIAŁ XLVII



Przyszła pani Terekhov, sir – powiedział pełniący służbę midszypman i admirał Augustus Khumalo wyszedł zza biurka, wyciągając dłoń do elegancko ubranej kobiety o rudych włosach, która weszła właśnie do jego kabiny dziennej.

– Pani Terekhov! – powiedział, gdy jej smukła dłoń zniknęła w jego znacznie bardziej masywnej ręce. – Trudno mi wyrazić, jak bardzo się cieszę, że panią spotykam.

Sinead odniosła wrażenie, że powiedział to całkiem szczerze. Niemniej coś w jego tonie sugerowało, że nie całkiem cieszy się z tego spotkania.

– Admirale – odpowiedziała i uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła do swojej eskorty. – Dziękuję za opiekę, pani Pittman – powiedziała i uściśnęła jej dłoń.

Młoda kobieta uśmiechnęła się, po czym zwróciła do admirała i stanęła na baczność. Ten kiwnął głową, że może odejść, więc zaraz zniknęła za drzwiami.

– Aivars nie był zbyt długo w domu, zanim ponownie go tu wysłali, ale zdążył mi powiedzieć, jak docenia pańską reakcję na jego odkrycia w układzie Monica – rzekła Sinead. – Poza tym widziałam wiadomości. Zanim więc przejdziemy do innych spraw, niech wolno mi będzie powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna za poparcie, jakiego mu pan udzielił. Wie pan, moja rodzina, zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki, jest od pokoleń związana z marynarką i dobrze rozumiem, jak bardzo pan ryzykował.

– Cóż – zachnął się wysoki i mocno zbudowany admirał. Poklepał lekko jej dłoń, zanim ją puścił. Potem wziął Sinead za łokieć i podprowadził do staromodnej, ale wygodnej kanapy w kącie wielkiego pomieszczenia. – Nie miałem innej możliwości – powiedział, siadając w fotelu naprzeciwko niej. – Jego wywód był logiczny i pani mąż wykazał się ogromną odwagą moralną, opierając swoje działania na wysnutych wnioskach. Jeśli zaś miał rację, a moim zdaniem tak było, należało czym prędzej podjąć zdecydowane działania. – Uśmiechnął się krzywo. – I po prawdzie on już je podjął, a poparcie go było znacznie łatwiejsze niż samo podejmowanie takiej decyzji.

– Nawet jeśli to prawda, udzielenie poparcia też wymagało moralnej odwagi. – Sinead potrząsnęła głową. – I nie nastąpiło to rzeczywiście po fakcie, ponieważ nie mógł pan wiedzieć, jak zareagują solarni ani czy otrzyma pan posiłki z Manticore. A jeśli tak, to jakie. Przyznaję, że

jestem dumna z Aivarsa, ale proszę nie umniejszać swojej roli, admirale. Jestem pewna, że Aivars o tym nie zapomni.

Khumalo uśmiechnął się i skłonił lekko głowę z wdzięcznością, ale wyraźnie myślał o czymś innym.

– Doceniam to – powiedział. – Ale chociaż bardzo się cieszę, widząc panią na pokładzie *Herculesa*, jestem też zdziwiony. Nie uprzedzono nas, że pani przybędzie.

– Dlatego że zdecydowałam się na podróż dopiero po lutowym ataku – wyjaśniła.

– Tak przypuszczałem – powiedział cicho i pokiwał głową. – Trudno mi wyrazić, jak bardzo przygnębiła mnie wiadomość o losie *Hexapumy*. Wiem, że straciliśmy wiele innych okrętów i mnóstwo dobrych ludzi, ale ten był... wyjątkowy. Dla wielu, nie tylko dla mnie. – Westchnął ciężko. – Obawiam się jednak, że Aivars został skierowany dalej, na Montanę. Nie ma go w układzie Spindle.

– Kapitan Lewis już mnie o tym poinformowała. – Sinead wzruszyła ramionami. – Zaraz po przylocie zauważyliśmy, że nie ma tu wielu okrętów.

– Tak. Szczerze mówiąc, jesteśmy tak osłabieni, że chętnie zatrzymałbym niektóre oddziały kapitana Griersona. Myślę jednak, że admirał Caparelli ma rację. Admirał Gold Peak potrzebuje ich bardziej niż ja.

– Jestem tego pewna – powiedziała. – I chociaż miałam nadzieję, że zabawię na Spindle na tyle długo, aby odnowić znajomość z baronową Medusą, chciałabym dołączyć do Aivarsa.

– Rozumiem – odparł i ponownie w jego głosie pojawiła się dziwna nuta. Przez chwilę patrzył na Sinead, po czym westchnął i uniósł głowę. – Obawiam się, że to nie jest dobry pomysł, pani Terekhov – powiedział. Spojrzała na niego ze zdumieniem. – Przyjeliśmy w Dziesiątej Flocie pewne zasady, gdy chodzi o rodziny oficerów – wyjaśnił, pochylając się w fotelu. – Sytuacja w Quadrancie jest bardzo dynamiczna. Nie wiemy, gdzie solarni pojawią się w następnej kolejności i gdzie lady Gold Peak będzie musiała przesunąć własne jednostki. Właściwie nie wiemy nawet dokładnie, gdzie one są teraz, biorąc pod uwagę opóźnienie w przekazywaniu wiadomości. Dlatego kwaterujemy wszystkie rodziny na Spindle, nie przerzucając ich w ślad za flotą. Wedle mojej wiedzy zgrupowanie pani męża znajduje się teraz w układzie Montana, ale w przyszłym tygodniu może znaleźć się już gdzie indziej. Obecnie nie możemy sobie pozwolić na wyznaczanie stałych przydziałów w Quadrancie. Tak zatem, chociaż rozumiem powody, dla których zdecydowała się pani tu wybrać, najlepiej by było, gdyby

pozostała pani na Spindle. Z przyjemnością prześlemy wiadomość od pani na pokładzie najbliższego kuriera i jestem pewien, że *Quentin Saint-James* prędzej czy później przyleci do układu Spindle.

– Obawiam się, że nie mam zamiaru pozostać na Spindle – odpowiedziała Sinead.

– Obawiam się, pani Terekhov, że będę musiał nalegać. Nie tylko dlatego, że nie możemy w stu procentach powiedzieć, gdzie znajduje się teraz pani mąż. Wydaje mi się, że nie byłby zadowolony, gdyby zaczęła go pani gonić po całym Quadrancie. Ponadto jest jeszcze jedna rzecz i to ona sprawia, że to właśnie Spindle stało się naszym centrum operacyjnym. Obecnie to najbezpieczniejsze miejsce w okolicy. Mamy dość orbitalnych wyrzutni, aby przeciwstawić się dowolnemu atakowi ze strony Ligi Solarnej.

– Jestem pewna, że tak samo bezpieczna będę na dowolnej planecie chronionej przez okręty admirał Gold Peak – odparła Sinead.

– Zapewne. Gdyby bezpiecznie dotarła pani na Montanę, tam też byłaby pani bezpieczna. Wcześniej jednak znajdzie się pani w strefie działań wojennych. I, proszę mi wybaczyć, ale przypuszczam, że jeśli nie zastanie pani męża na Montanie, ruszy tam, gdzie przeniesiono jego eskadrę. I obawiam się, że wtedy może pani trafić gdzieś, gdzie będzie naprawdę gorąco.

– Mam zgodę Admiralicji na przelot na pokładzie *Charlesa Warda*, admirał – stwierdziła chłodno.

– Za pozwoleniem, ta zgoda dotyczyła tylko przelotu na Spindle, nie na Montanę – zauważył ze szczerym żalem Khumalo.

– Jako dowódca placówki może pan autoryzować zmianę – zauważyła Sinead.

– Mogę... ale tego nie zrobię. – Pokręcił głową. – Doceniam i szanuję pani męża, lady Terekhov. Naprawdę rozumiem, dlaczego chce pani do niego dołączyć. Ale nie mogę na to pozwolić.



– Nie mogę uwierzyć, że tak się zachował! – rzuciła ze złością Sinead.

– A ja owszem – powiedziała siedząca po drugiej stronie stołu Ginger. Znajdowały się w jednej z droższych restauracji Thimble, która zdawała się całkiem izolować je od świata. Ginger sięgnęła po kieliszek wina. – I tak uczciwie, jest pewien sens w jego argumentacji.

– Zdrajczyń! – Sinead pogroziła jej palcem. – Nie waż się podchodzić do tego rozsądnie!

Ginger zaśmiała się i upiła wina, ale zaraz spoważniała.

– Naprawdę, Sinead. Może nie jestem tak skłonna do obaw jak admirał Khumalo, ale też wolałabym, żebyś przesiadła się na jednostkę cywilną. Nawet solarni nie strzelają do nieuzbrojonych liniowców, chyba że przez pomyłkę. Ale *CW* jest w pełni legalnym celem, a przy tym, co obecnie dzieje się tutaj... i gdzie indziej, możemy łatwo na coś natrafić. Nie chciałabym tłumaczyć się komodorowi, dlaczego pozwoliłam ci zginąć na pokładzie mojego okrętu.

– Nie bądź głupia. Po pierwsze, „twojego okrętu” nie spotka nic złego. Po drugie, gdyby nawet coś się zdarzyło, Aivars nigdy nie winiłby cię za mój upór. I po trzecie, liniowce obecnie nie latają. – Sinead spojrzała na kieliszek. – Admirał wszystkie zatrzymuje tutaj, bo chce wypakować je posiłkami dla admirał Gold Peak.

– No to znamy sytuację. – Ginger wzruszyła ramionami. – Przepraszam, wiem, że to dla ciebie spore rozczarowanie, ale naprawdę nic nie mogę na to poradzić. I nie będę udawała, że łamię mi to serce. Tutaj akurat zgadzam się z admirałem. I też za bardzo cię lubię, aby proponować coś tak ryzykownego.

– Dziękuję – odpowiedziała znacznie łagodniej Sinead. – Doceniam to. Ale ani ty, ani Augustus Khumalo nie zdołacie mnie powstrzymać. Ufam, że to rozumiesz?

– Sinead, wątpię, aby ktokolwiek mógł powstrzymać cię przed tym, co sobie zamierzyłaś – powiedziała Ginger. – Ale to nie znaczy, że marynarka ci w tym pomoże.

– W takim razie będę musiała to zrobić bez marynarki wojennej – oznajmiła posepnie Sinead. – A póki co, może zamiast wałkować kwestie zdrady, spróbujemy dla odmiany coś zamówić? Z tego, co wiem, mają tu wspaniałą wołowinę Wellington.



– To nie wygląda dobrze – powiedział cicho Adam Šiml do Filipa Malego, niedawno pozyskanego osobistego ochroniarza.

Mały, który dochrapał się w Siłach Bezpieczeństwa Publicznego stopnia porucznika i został wybrany spośród oficerów poleconych przez Daniela Kápičkę, tylko skinął głową. Już od jakiegoś czasu żywił przekonanie, że jego nowy szef ma skłonność do niedomówień.

Padał ulewny deszcz, jak często zimą w Velehradzie, stolicy planety. Temperatura oscylowała w okolicy kilku stopni powyżej zera, boisko pokrywała lodowata breja. Bramkarza drużyny Mělník Warriors prawie nie było widać zza zasłony deszczu, a wszyscy zawodnicy byli mokrzy, zziębnięci, nieszczęśliwi i... wkurzeni. Mecz powinien zostać odłożony albo przeniesiony na jeden z krytych stadionów, ale harmonogram rozgrywek był dość napięty, a

pogoda popsuła się o wiele szybciej, niż przewidywały prognozy. Jeszcze trzy kwadransy przed pierwszym gwizdkiem przez przeganiane wiatrem chmury przebijało się słońce.

Krople deszczu spadły w trzeciej minucie pierwszej połowy.

Oczywiście Šiml myślał nie tylko o pogodzie. Warriors rywalizowali z Velehrad Lions praktycznie od czasu rozpoczęcia kolonizacji układu Kumang. Wtedy Lions nazywali się jeszcze Lvi, a Warriors Válečníci. W ich rywalizacji bywały gorsze i lepsze chwile, a i dzisiaj nie był to mecz o pietruszkę. Zwycięzca miał przejść do planetarnego finału, przegrany wracał do domu, do czego żaden z klubów się nie palił. Fanom też marzyła się dalsza gra, przez co od początku drugiej połowy byli coraz bardziej niezadowoleni z decyzji arbitrów. Fakt, że Lions doszli tak wysoko tylko dlatego, że wcześniej wyeliminowali Dragons Benešov dzięki lepszemu bilansowi bramek strzelonych na wyjazdach, nie poprawiał sytuacji. W ostatnim spotkaniu ligowym Lions przegrali z Warriorsami jeden do trzech i kibice Wojowników uważali, że Lwy osiągnęły tak wysoką pozycję w niezbyt elegancki sposób.

Piłkarze na boisku nie mieli okazji popisać się grą. Spotkanie było brutalne i pełne agresywnych wejść, coraz częściej widać było żółte kartki. Lions dostali już trzy, w tym jedną dla Štěpána Jury, ich czołowego napastnika. Siedzący w suchej i ciepłej łozie Šiml uważał, że sędziowie spisują się całkiem dobrze w tych niezwykle trudnych warunkach, jednak nie dziwił się marznącym i moknącym kibicom na trybunach.

Dwie minuty przed końcem doliczonego czasu gry wciąż był remis, 2:2, i nikomu nie było z tego powodu wesoło. Jeśli Lwy nie zdobędą w ciągu najbliższych 120 sekund upragnionego punktu, odpadną tak samo, jak wcześniej wyeliminowali Dragonów, ponieważ Wojownicy strzelili w tych rozgrywkach aż siedem goli, Lwy zaś tylko trzy.

Šiml sięgnął po komunikator i wybrał numer.

– Tak, Adamie? – usłyszał niemal natychmiast.

– Nie wiem, co będzie gorsze, czy jeśli Lwy strzelą, czy jeśli odpadną, Eduardzie – powiedział do Klíma, szefa działu bezpieczeństwa Sokola. – W obu przypadkach może być niesympatycznie.

– Tak myślisz? – Klíma znał Šimla, odkąd byli dziećmi, a sarkazm w jego głosie nie oznaczał wcale lekceważenia obaw szefa. Było słychać, że wciągnął głęboko powietrze. – Skontaktowałem się z komendą główną policji i poprosiłem o przysłanie więcej funkcjonariuszy. Też oglądają transmisję meczu, więc nawet o nic nie pytali. Komisarz ściąga wszystkich, którzy

nie mają służby, i wydaje im sprzęt do tłumienia zamieszek.

– A nasi ludzie na stadionie?

– Puściłem słowo do naszych i do gliniarzy, żeby byli gotowi, gdyby ktoś chciał wtargnąć na boisko. Próbuje gęściej obsadzić wejścia policjantami, na wypadek gdyby tłum zaczął szaleć, ale szczerze mówiąc...

Nie dokończył, lecz Šiml i tak zrozumiał. Westchnął ciężko. Kibice Chotěbořu nie słynęli z opanowania. Fani Velehradu nie byli lepsi. Nawet częściej dopuszczali się różnych wykroczeń poza stadionem. To nie wróżyło dobrze.

Nagle trybuny ryknęły rozgłośnie na widok prawego skrzydłowego Lwów, który przedarł się przez obronę Wojowników i przymierzał się do strzału na bramkę. Wszyscy zerwali się na nogi, napastnik zaś najpierw udał, że pójdzie środkiem, po czym skręcił ku bocznej linii. Środkowy obrońca próbował odebrać mu piłkę. Wpadli na siebie w fontannach wody i ślizgając się na błocie...

Wybita piłka poleciała na aut. Štěpán Jura leżał na plecach, obiema rękami ściskając złamaną nogę.

Trenerzy i personel medyczny rzucili się na boisko. Pozostawali tam przez kilka długich minut, podczas których publiczność nie milkła ani na chwilę, dając upust zaskoczeniu i złości. W końcu usztywnili piłkarzowi nogę i znieśli go z boiska. Przy wznowieniu gry sędzia przekazał piłkę Wojownikom.

Przez chwilę stadion milczał. Potem kibice Mělníka zaczęli się głośno cieszyć i gwizdać, aż wreszcie ci z Velehradu zrozumieli, że nie tylko nie będzie kary za faul, ale dodatkowo to Wojownicy będą przy piłce.

– Dżuma i cholera – warknął Eduard Klíma, kończąc rozmowę. A potem się zaczęło.



– Chryste, Zdeněk!

Adam Šiml chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie niczym wkurzony tygrys w klatce. Był nieogolony, brudny i chyba powinien przebrać się w coś świeższego. Oraz złapać dziesięć godzin snu. Przeciągnął palcami po włosach. Było po nim widać zmęczenie.

– Co za koszmar! – wyrzucił z siebie. – Nie dość, że z meczem tak wyszło, to jeszcze to...!

– Bez twojej pomocy byłoby znacznie gorzej – powiedział Zdeněk Vilušínský. – O wiele gorzej. Nie sądzę, by ktokolwiek inny zdołał zrobić tyle, aby zdjąć ich z ulic.

– Trzeba będzie jeszcze spojrzeć w twarz rodzinom – powiedział Šiml i Vilušínský musiał przytaknąć.

Zamieszki na stadionie szybko zaczęły się rozprzestrzeniać. Niektórzy kibice zdolali przemycić pałki (Klíma i policja nie kryli zaciekawienia, jakim sposobem w ogóle im się to udało), inni zaś uzbroili się w butelki po piwie i kawałki siedzeń. Potem tłum wylał się ze stadionu na ulice stolicy. Powtórki nagrania zdarzenia na boisku, na którym widać było wyraźnie, że Jura pośliznął się na błocie i upadł, nie wchodząc nawet w kontakt z obrońcą, nie uspokoiły tłumy, zwłaszcza po tym, gdy jakiś kibol puścił w sieci „sprawdzoną” informację, że scena została zmontowana, aby ukryć jawną niesprawiedliwość. Adam Šiml nigdy nie rozumiał fanatyzmu, jaki czasem ogarniał kibiców, i nawet teraz, po latach działalności, dziwił się ich zachowaniu.

Po takim początku zamieszki zaczęły nabierać tempa. Pospiesznie zebrane oddziały policyjne wkroczyły do akcji. Niestety nikt nie przewidział, że zrobi się jeszcze gorzej. Gliniarze nie byli przygotowani do działania i początkowo było ich zbyt mało, aby obsadzić wszystkie zaplanowane pozycje. Naprawdę się starali, ale tłum często ich zagarniał i wchłaniał. Šiml sam widział takie sytuacje. Potem zaczęło się przewracanie samochodów i tramwajów, wybijanie witryn sklepowych i grabieże. A później podpalenia.

Wtedy właśnie Jan Cabrnock nakazał Danielowi Kápičce wprowadzenie do akcji Sił Bezpieczeństwa Publicznego, które miały wesprzeć policję i „przywrócić spokój i porządek”.

Trzeba oddać Kápičce, że próbował się sprzeciwiać, ale Cabrnock powtórzył tylko rozkaz. No i doszło do tego, czego Kápička się obawiał, a co Šimla nie zaskoczyło. Ledwie na ulicach pojawiły się mundury Sił Bezpieczeństwa, pomeczowa awantura ewoluowała w coś znacznie groźniejszego. Cała niechęć, wzbierająca od czasu demonstracji na Náměstí Žlutých Růží, eksplodowała i po raz pierwszy w historii planety zdarzyło się, że zwykli ludzie, którzy wcześniej nie znajdowali się nawet w okolicy stadionu, rzucili się na bezpieczniaków z gołymi rękami.

Šiml i działacze z Sokola zrobili wszystko, co było w ich mocy, aby zapobiec najgorszemu. Byli wszędzie, z Šimlem na czele, pomagając w walce z pożarami, wspierając zespoły medyczne, próbując przemówić do rozumu najbardziej agresywnym, błagając ich, aby wracali do domów. Z rzadka udawało im się złapać kilka godzin snu, po czym wracali na ulice. I czasem obrywali. Šiml też był posiniaczony. Podczas jednej z interwencji trochę go poturbowano.

– Trzy dni, Zdeněk! Trzy dni! – warknął gniewnie. – Gdyby ten idiota... nie, gdyby ten pierdolony morderca nie wysłał bezpieczniaków, moglibyśmy... Wtedy... – Zabrakło mu słów i tylko kopnął stojące przy biurku krzesło. Poleciało na ścianę i odbiło się od niej. Zaklął i odwrócił się do przyjaciela. – Trzysta osiemdziesiąt siedem ofiar śmiertelnych – rzucił. – To oficjalny bilans, ale obaj wiemy, że zaniżony. Nawet Cabrnoch przyznaje, że ciężko rannych jest cztery razy więcej. I kto wie, ilu w ogóle nie zgłosiło się do szpitali. A ten drań w pałacu prezydenckim powtarza w kółko, że to były tylko zamieszki po meczu. Że to był tłum kibiców, w którym znalazły się nieodpowiedzialne elementy. – Poruszał przez chwilę ustami, aż w końcu splunął na podłogę. – Jasne, były! Zdecydowana większość z nich w mundurach. Własnymi rękami zabiję tego wypierdka!

Vilušínský spojrzał na Filipa Malego, który stał pod ścianą obok drzwi. Twarz młodego mężczyzny była podobnie ściągnięta jak oblicze Šimla. Nie było w tym nic dziwnego, skoro Šiml właśnie jego wybrał spośród kandydatów Kápičky. Porucznik czy nie, Malý od ponad pięciu lat był członkiem Jiskry.

– Adam, proszę. Daj sobie chwilę oddechu...

– Chwilę oddechu? – Šiml spojrzał na niego z niedowierzaniem, a Vilušínský podniósł się z fotela i zrobił groźną minę.

– Tak – powiedział ostro. – Wiem, jaki jesteś wściekły. Ja tak samo, nie myśl sobie. Ale widzę też, że ledwo stoisz na nogach. Nie myślisz jasno i chociaż masz powody do zdenerwowania, to przestajesz się kontrolować. Jeśli zrobisz fałszywy krok i otwarcie zaatakujesz teraz Cabrnocha, co stanie się z Jiskrą i wszystkimi, którzy w niej działają?

Šiml wpatrywał się w niego w milczeniu, więc Vilušínský kuł żelazo póki gorące.

– Wiem, że nigdy nie chciałeś tego, co właśnie się stało, ale musisz dostrzec sposobność, która z tego wynika.

– Sposobność? Jaką sposobność? – spytał Šiml, a Vilušínský westchnął głęboko.

Widać przez to zmęczenie i złość Šiml dotąd tego nie zauważył, pomyślał.

– Musisz wziąć pod uwagę pięć kwestii – powiedział. – Po pierwsze, ten koszmar doprowadził opozycję Cabrnocha do wrzenia. W ciągu najbliższych kilku tygodni trochę im pewnie przejdzie, ale to będzie dla niego cholernie trudny czas. Po drugie, Sabatino i Castelbranco zdają sobie z tego sprawę tak samo jak ty czy ja. No i sam Cabrnoch. Po trzecie, zrobiłeś bardzo dużo, ty i Sokol, aby ściągnąć ludzi z ulic i ewakuować rannych. Więcej niż

ktokolwiek na tej pieprzonej planecie. I po czwarte, z tego właśnie powodu jesteś w tej chwili najpopularniejszym człowiekiem w naszym układzie. Wiem, że nie tak to planowałeś, ale tak wyszło. I tu piąta kwestia: musisz nad sobą panować. Musisz być dalej głosem spokoju. W żaden inny sposób nie przekonasz bardziej Sabatina, że Cabrnoch naprawdę ma kłopoty... a ty jesteś zdecydowanie najlepszym kandydatem, aby go zastąpić.

ROZDZIAŁ XLVIII



Gubernator Oravill Barregos przerwał kontemplację jasno oświetlonych wież Skyline Shuttlesport. Za jego plecami starszy asystent Jeremy Frank otworzył właśnie drzwi gabinetu szefa.

Zaraz potem odsunął się na bok i gestem zaprosił kogoś do środka. Gdy mężczyzna wszedł, Frank podążył za gościem, który był dobre dziesięć centymetrów wyższy tak od niego, jak i od gospodarza, czyli mierzył około metra dziewięćdziesięciu. Był też szeroki w ramionach, z masywną klatką piersiową i ciemną cerą. Przez kształt podbródka skojarzył się Barregosowi z księciem Michaeliem Wintonem.

Co nawet mogłoby mieć pewien sens.

– Gubernatorze – odezwał się Frank. – Pozwolę sobie przedstawić pana Håkona Ellingsena.

– Witam pana. – Barregos podał mu dłoń, ale powstrzymał się od uwagi, jak bardzo to nazwisko nie pasuje do podbródka i cery gościa.

– Witam, panie gubernatorze. – Uścisk dłoni Ellingsena był silny, ale nie nazbyt silny. Uśmiech ukazał białe zęby. – Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. I to po godzinach.

– Muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony pańską prośbą o anonimowość – odrzekł Barregos, gdy usiedli naprzeciwko siebie przy małym stole w kącie dużego gabinetu. Frank zaraz się zjawił z filiżankami i dzbankiem kawy. – Chociaż domyślam się, że przybywa pan z czymś, czego nie chciałby zbyt wcześnie ujawniać Lidze Solarnej.

– Prawdę mówiąc, w tym przypadku to nie Liga Solarna nas martwi – wyjąwił gość z Manticore, podczas gdy asystent nalewał kawę. – Owszem, zawsze bierzemy to pod uwagę, ale zapewne słyszał pan o „Równaniu”, którego istnienie odkryli Zilwicki z Cachatem.

– Królowa Berry wspomniała mi o waszych podejrzeniach – przytaknął Barregos. – Szczerze mówiąc, skłaniam się ku opinii, że coś w tym jest. – Wzruszył ramionami. – To by wyjaśniało kilka „zbiegów okoliczności”, które od dawna mnie niepokoiły.

– Ciekawe. Nasze doświadczenia są dość podobne. – Gość znowu pokazał zęby, ale tym razem nie był to uśmiech. – To właśnie jest jeden z powodów, dla których nie chcę nagłaśniać mojej wizyty. Nadal próbujemy ustalić, kto może być powiązany z Równaniem, możemy jednak założyć, że ilekroć zdołają przechwycić coś, co może wpłynąć negatywnie na nasze kontakty z

Ligą Solarną, zaraz prześlą to dalej, aby jak najszybciej trafiło do czyjegoś ucha w Old Chicago.

– To chyba rozsądne założenie – przyznał Barregos z zimnym uśmiechem.

– Zatem biorąc pod uwagę obecną sytuację, chyba lepiej będzie, jeśli Kolokoltsov i inni Mandaryni nie dowiedzą się o naszym spotkaniu.

Barregos skinął głową.

– To prawda. I szczerze mówiąc, dlatego czuję się zaskoczony pańską wizytą. Zwykłym trybem kontaktowano się ze mną przez Torch. Utrzymujemy z nimi stały kontakt. Stały starszy podsekretarz Kolokoltsov świetnie wie o naszym porozumieniu.

– I tym samym nie byłoby nic dziwnego ani szczególnie podejrzanego w pańskim spotkaniu z wysłannikiem królowej Berry – zgodził się Ellingsen. – Niestety, to bardzo poufna sprawa i dlatego na bardzo wysokim szczeblu zdecydowano nie włączać w nią ani księżniczki Ruth, ani królowej Berry.

– Rozumiem. – Barregos przymrużył oczy. – To bardzo... interesujące.

– Takiej właśnie reakcji od pana oczekiwałem.

Ellingsen sięgnął po filiżankę i spojrzał uważnie na gubernatora, po czym wyprostował się na krześle z miną człowieka, który doszedł do najważniejszego punktu rozmowy.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę uwagę, ale obserwujemy rozwój sytuacji w całym sektorze Maya i cichą ewolucję waszych kontaktów z Erewhonem. Wiemy też, że wasze siły obronne są... nieco bardziej rozbudowane, niż zapewne ktokolwiek w Old Chicago może przypuszczać. Opierając się na tych informacjach, nasi analitycy doszli do pewnych wniosków na temat sektora Maya, i stąd moja wizyta. Widzi pan...



– Cholera jasna – powiedział łagodnym tonem Luiz Roszak, doprawiając oliwę z oliwek mielonym czosnkiem, rozmarynem, solą i czarnym pieprzem.

Barregos siedział cierpliwie, nawykły do zachowań admirała, który przygotował miksturę i zaczął rozprawadzać ją starannie na całej powierzchni wielkiej połędwicy wołowej, która leżała na kuchennym blacie. Następnie otworzył piekarnik gazowy z grillem, wyregulował płomień, wziął szczypce i przetaił rozgrzaną część grilla w głębi szmatką zamoczoną uprzednio w oliwie. Następnie przeniósł połędwicę na ruszt, zamknął piekarnik, wytarł dłonie w fartuch i odwrócił się do gubernatora.

– Biorąc pod uwagę, jak wiele Manticore zdołało się domyślić, zaczynam się zastanawiać,

czy nie mają na Erewhonie źródeł, o których nie wiemy.

– Nikt nie twierdzi, że oni są niekompetentni, Luiz – zauważył Barregos. – Kapitan Zilwicki też raczej nie był skłonny trzymać w tajemnicy tego, czego się dowiedział o naszych mrocznych intencjach. Zwłaszcza w kontekście admirał Givens. Z drugiej strony, sądząc po tym, jak wiele wiedział Ellingsen, skłonny jestem podejrzewać, że sporo z tego dotarło do Manticore przez Nouveau Paris już po tym, gdy Pritchard podpisała umowę o Wielkim Sojuszu.

– To by miało sens – przyznał Roszak, sprawdzając chronometr, po czym zaczął siekać na bocznym blacie sałatę rzymską. – I sędzę, że całkiem rozsądnie postawili na poufność. Chociaż jestem trochę zaskoczony, że kryją to przed Torch.

– Też się nad tym zastanawiałem, ale na ich miejscu postąpiłbym pewnie tak samo. Mam na myśli dawne związki Jeremy’ego X i Web Du Havla z Baletem – powiedział Barregos i uśmiechnął się, gdy Roszak uniósł brwi. – Nie twierdzą, że Balet nie wie, jak zadbać o bezpieczeństwo informacji! Rzecz w tym, że Balet ma masę różnych powiązań i jeszcze więcej genialnych pomysłów dotyczących planet, które chętnie wysłałyby całe Biuro Bezpieczeństwa Granicznego w objęcia najbliższej supernowej. Dla Torch byłaby to wielka pokusa, aby w tej sytuacji podzielić się z przyjaciółmi tym i owym czy wprost złożyć im parę propozycji.

– A przy każdej takiej okazji rosłoby ryzyko przecieku – przytaknął Roszak. – Przypuszczam, że to ma sens. Ale co z Delvecchio? Jest tutaj, w sektorze Maya, i obiecała Jiriemu dostawę tych nowych *Mark 16*, o których rozmawialiśmy w listopadzie. Skoro jest tak bardzo w to zaangażowana, to czemu jej nie wykorzystali do załatwienia sprawy?

Skończywszy siekać sałatę, zgarnął ją do dużej miski, a następnie otworzył piekarnik i obrócił skwierzącą połówkę.

– Poruszyłem ten temat z Ellingsenem – odparł gubernator.

– I co powiedział?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, Elżbieta, Pritchard i Mayhew najwyraźniej postanowili, że lepiej będzie, jeśli sprawę poprowadzi Ministerstwo Spraw Zagranicznych Manticore. Z racji poufności nie zamierzają wprowadzać w nią nikogo z marynarki wojennej, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Po drugie, wysłali Ellingsena prosto z Landing, ponieważ to uprościło przekaz i wyeliminowało różnych pośredników, dzięki czemu zmniejszyło się ryzyko, że coś zostanie przekręcone albo źle zrozumiane.

– W tych okolicznościach byłoby to bardzo niepożądane – zauważył Roszak, zabierając się

do krojenia cebuli i pomidora do sałatki.

– Och, myślę, że to spore niedomówienie – stwierdził Barregos i admirał zachichotał. Pracował w milczeniu przez co najmniej minutę, wreszcie oderwał wzrok od deski i spojrzał ponownie na gubernatora.

– W tej chwili cała dwunastka *sharpshooterów* jest już sprawna i w służbie – powiedział. – Nie dostaliśmy jeszcze żadnego pocisku *Mark 16*, ale Delvecchio dostarczyła nam ich profile operacyjne, dzięki czemu mogliśmy zacząć szkolenie załóg na symulatorach taktycznych. To samo dotyczy siedemnastek. Nadal nie mamy żadnego *superdreadnoughta* i nie będziemy ich mieć w linii wcześniej niż w lutym. Tak zatem przy naszej obecnej sile ognia nie możemy marzyć o przeciwstawieniu się *Battle Fleet*. – Zerknął ponownie na zegar, po czym otworzył piekarnik, wyłączył palniki pod połędwicą, przesunął ją na chłodniejszą część kratki i zostawił włączony tylko jeden palnik w głębi. Potem włożył do środka termometr, zamknął piekarnik i odwrócił się do Barregosa. – Przypuszczam zatem, że teraz najważniejsze będzie to, jak duży zespół floty będzie skłonny przydzielić nam sojusz. Z tego, co powiedziałaś, wynika chyba, że są obecnie dość zajęci operacją Bastylia.

– Ellingsen nie chciał wyjawić, co właściwie robią – odpowiedział Barregos. – Kiedy wspomniałem o doniesieniach, które Renée dostaje z Kondrati, przyznał pośrednio, że to oni. To sugeruje działania na dużą skalę, które nie zaczęły się wczoraj, i idę o każdy zakład, że takich spraw jest o wiele więcej.

– Tym bardziej moje pytanie zyskuje na aktualności.

– Zaiste. Nawiązałem do tego, ponieważ dla Mandarynów załatwienie nas będzie o wiele pilniejsze niż szarpanie się z czymś takim jak Kondrati.

– I co powiedział?

– Że w pełni to rozumieją. W podobny sposób możemy być dla nich znacznie bardziej użyteczni jako swoista dywersja. Tym samym z czysto pragmatycznego punktu widzenia stajemy się lepszą inwestycją, godną większego tonażu. Jak to określił Ellingsen, są gotowi zareagować pozytywnie na każdą naszą „rozsądną propozycję”.

– Naszą propozycję? – powtórzył Roszak, a gubernator pokiwał głową.

– Nie oczekują, że kupimy kota w worku, Luiz. Powiedział, że jeśli będziemy zainteresowani, może tu wrócić pod koniec przyszłego miesiąca z przedstawicielem Alexandra-Harringtona i Caparellego, aby porozmawiać o przydziale sił bezpośrednio z tobą.

– W takim razie... – rzekł admirał z uśmiechem, zaczynając mieszać sałatkę. – W takim razie gotów jestem wysłuchać wszystkiego, co przedstawiciel Admiralicji zechce nam powiedzieć.



Gdy sygnał oznajmił nadejście połączenia, Helen otworzyła nowe okno na tle harmonogramu zajęć, który już niemal przygotowała dla komodora Terekhova. Ujrzała jednak tylko tapetę *Quentina Saint-Jamesa* i ikonę połączenia głosowego.

– Cześć, Helen – powiedział po chwili Stephen Westman. – Powiedz mi, czy byłoby możliwe, aby komodor, oczywiście razem z tobą, zjawił się za kilka godzin na obiedzie w Rare Sirloin?

– Właśnie siedzę nad jego harmonogramem – odparła z uśmiechem. – Na razie ma zaplanowaną na dzisiaj kolację roboczą na pokładzie okrętu flagowego, ale to jeszcze nie jest na cerambet. Jeśli nie będzie trwał przy tym pomysle, pewnie mógłby być na dole około dziewiętnastej waszego czasu. Czy mam mu powiedzieć, że to towarzyskie spotkanie czy może raczej jakiś pański szalony pomysł?

– Nie, nie wróciłem do złych nawyków, młoda damo! – odpowiedział i roześmiał się głośno. – Ale nie wykluczam, że ktoś inny może mieć do niego sprawę.

– Na przykład związaną z tym, co Mesa próbuje kombinować w Quadrancie? – spytała ostrożnie. – Przypuszczam, że będzie zainteresowany. Ale muszę go zapytać. Poczekaj pan chwilę?

– Nie mam nic przeciwko – odparł.

– W takim razie zaraz do pana wrócę – powiedziała i wybrała połączenie z Aivarsem Terekhovem.

– Tak, Helen? – spytał moment później komodor.

– Sir, mam na linii Stephena Westmana. Wiem, że planował pan na dzisiaj kolację z kapitanem Pope'em, komandorem Stillwellem i kapitanem Carlsonem, ale Westman chciałby zaprosić pana na obiad w Rare Sirloin. Na dziewiętnastą.

– Naprawdę? – Terekhov przechylił głowę. – Czy masz powody sądzić, że powinienem przyjąć jego zaproszenie?

– Prawdę mówiąc, uważam, że byłby to bardzo dobry pomysł, sir – powiedziała poważnie. – Chyba dowiedział się czegoś o działaniach Mesy w Quadrancie. Wygląda na to, że chce się tym z

panem podzielić, ponieważ zna pana lepiej niż jakiegokolwiek innego starszego oficera admirał Gold Peak.

– Rozumiem. – Terekhov przymrużył oczy. Przez chwilę się zastanawiał, po czym skinął głową. – Dobrze, skoro mój porucznik flagowy tak uważa, to chyba warto się poświęcić. Powiedziałaś, że o dziewiętnastej?

– Tak jest, sir. W ten sposób zdąży pan bez pośpiechu na dół po popołudniowym spotkaniu kapitanów.

– W takim razie powiedz Westmanowi, że będziemy.

– Tak, sir. – Zakończyła połączenie i wróciła do Westmana. – Panie Westman?

– Tak?

– Sir Aivars mówi, że z przyjemnością zje z panem obiad. Zobaczymy się o dziewiętnastej. Na wypadek gdyby chciał pan zrobić rezerwację.

– Dobrze – mruknął z zadowoleniem Westman. – Powiedz komodorowi, że to doceniam. Do zobaczenia niebawem.



Helen weszła za komodorem do słabo oświetlonej, bardzo drogiej restauracji. Praktykowane na Montanie połączenie półmroku, cichej muzyki, wspaniałych aromatów i zarzuconej łupinami orzeszków ziemnych podłogi zawsze robiło na niej dziwne wrażenie, ale przywykła już do miejscowych zwyczajów. Podobnie jak i do belkowanego sufitu oraz głów kuguarów szczerzących zęby ze ścian.

Szef sali osobiście zaprowadził ich do stolika, gdzie już siedzieli Westman i jego nieznajomy gość. Helen domyślała się, że ta uprzejmość wynikała z obecności komodora, a nie była związana z jej skromną osobą.

Westman wstał i podał dłoń Terekhovowi. Gdy się przywitali, uściskał się z Helen. Było to zdecydowanie inne zachowanie niż przy jego pierwszym spotkaniu z nią i komodorem. Wtedy dominowała wrogość.

– Pozwólcie, że przedstawię pana Ankenbrandta – powiedział, wskazując na gościa. – Michaela Ankenbrandta. Jest przedstawicielem handlowym Trifecta Corporation z układu Mobius. Rano zjawił się u mnie, aby porozmawiać o wołwinie.

– Witam, panie Ankenbrandt – odezwał się Terekhov, gdy zajęli miejsca i Westman wrócił na swoje krzesło. – Jestem pewny, że ta rozmowa była bardzo interesująca. Nie wiem tylko,

dla czego zdaniem Westmana i ja powinienem się z panem spotkać.

– Tak po prawdzie to nie chodziło mi o rozmowę akurat z panem – odparł Ankenbrandt. – Zależało mi na spotkaniu z dowódcą sił Manticore na Montanie.

– Ale szansa na zorganizowanie od ręki spotkania z admirał Gold Peak była praktycznie zerowa – wtrącił się Westman. – Poza tym pomyślałem, że ktoś tak podejrzliwy i chadzający własnymi ścieżkami jak ty będzie dobrym oficerem pierwszego kontaktu.

– Sam jesteś podejrzliwy i chadzający – powiedział z uśmiechem Terekhov. – Ale na Montanie coś takiego to chyba chleb powszedni?

– Prawda – westchnął Westman. – Z drugiej strony wciąż nie mam pojęcia, dla czego pan Ankenbrandt tak nalegał na tę rozmowę.

Terekhov zastanawiał się przez chwilę, po czym spojrzał na Ankenbrandta.

– Na pewno nie jestem teraz najstarszym oficerem na Montanie – poinformował. – Ale jeśli chce pan z nią porozmawiać, obawiam się, że najpierw musi mnie pan przekonać, że to naprawdę konieczne. Więc o co chodzi?

– To skomplikowane, komodorze – odpowiedział Ankenbrandt i spojrzał wymownie na Helen.

– Podporucznik Zilwicka jest moim porucznikiem flagowym – powiedział lodowatym tonem Terekhov. – Nie zaproponuję jej, żeby poszła do kąpki dziecięcego i pozwoliła dorosłym porozmawiać o ważnych sprawach.

– Przepraszam. – Ankenbrandt zmieszał się nieco, ale przeprosiny były chyba szczere. – To tylko tak... Cóż, jestem chyba trochę zdenerwowany. I boję się. Bardzo się boję, co z tego wyniknie. Nie oczekiwałem, że spotkam na Montanie aż taką reprezentację waszej marynarki wojennej.

– Zatem po co pan tu przyleciał? – spytał Terekhov.

– Tak naprawdę miałem tylko wysłać umówioną wiadomość kodową na Spindle – wyjaśnił Ankenbrandt. – Nikt na Mobiusie nie spodziewał się, że admirał Gold Peak może być na Montanie. Ale mam coś, co naprawdę jak najszybciej powinno do niej dotrzeć, więc gdy dowiedziałem się, że jest tutaj, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie przekazać to osobiście. Moi... przełożeni zwracają baczność uwagę na wszystkie pogłoski docierające do nas z Quadrantu po bitwie o Monicę. Przekazali mi wszystko, co sami wiedzieli, a to sugerowało, że pan Westman może być w stanie... ułatwić mi kontakt z admirał Gold Peak.

– A dlaczego nie poszedł pan prosto do marynarki wojennej? Albo do kogoś z rządu Montany?

– Ponieważ kontakt z panem Westmanem da się uzasadnić moimi oficjalnymi obowiązkami. Mój pracodawca zlecił mi znalezienie dobrego dostawcy wołowiny – odpowiedział Ankenbrandt i brzmiało to rozsądnie. – Szczerze mówiąc, nie czuję się najlepiej, rozmawiając z dwójgim umundurowanych oficerów RMN w miejscu publicznym, ale pan Westman nalegał, że muszę... najpierw spotkać się z panem, jeśli w ogóle mam mieć nadzieję na spotkanie z admirał Gold Peak. Sprawy na Mobiusie rozwijają się w takim tempie, że uznałem, że nie mam wyboru, jak tylko przystać na jego propozycję.

– Dlaczego? – spytał Terekhov. – Bez obrazy, panie Ankenbrandt, ale co z rzeczy dziejących się na Mobiusie może mieć związek z admirał Gold Peak?

Ankenbrandt wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. Przez kilka chwil milczał, przesuwając tylko w palcach nóż do steków i patrząc na refleksy światła na ostrzu. Wreszcie westchnął głęboko i spojrzał na Terekhova.

– Rozumiem, że nie wie pan nic o tym, o czym zamierzam powiedzieć – stwierdził. – Admirał Gold Peak wiedziałaaby, w czym rzecz.

– I? – spytał Terekhov, gdy tamten znowu zamilkł.

– Reprezentuję... pewną grupę na Mobiusie, która poczyniła pewne uzgodnienia z przedstawicielem Gwiezdnego Królestwa – powiedział powoli i bardzo cicho. – W trakcie tych rozmów obiecano nam wsparcie marynarki wojennej.

Cicha muzyka uczyniła milczenie przy stole jeszcze bardziej wymownym. Trwało chwilę, nim Terekhov wyprostował się i spojrzał uważnie na gościa.

– Wsparcie marynarki wojennej – powtórzył ostrożnie i Ankenbrandt skinął głową. Terekhov zacisnął usta, po czym przechylił głowę. – Ma pan rację, nic o tym nie słyszałem. Zanim więc pójdziemy dalej, proszę pozwolić mi podsumować. Mówi pan, że ludzie, których pan reprezentuje, i nie chodzi tu o Trifecta Corporation, planują podjąć na Mobiusie jakieś działania, które będą wymagać wsparcia z zewnątrz, dokładnie rzecz biorąc wsparcia marynarki wojennej, i że Gwiezdne Imperium Manticore obiecało wam to wsparcie?

Ankenbrandt skinął głową.

– Mogę tylko przypuszczać, że chodzi o jakieś... powstanie przeciwko rządowi układu? – ciągnął cicho Terekhov. – I mówi pan, że Manticore zaproponowało wam konkretne i jawne

wsparcie?

– Tak – odparł ostrożnie Ankenbrandt i skrzywił się lekko. – Nikt u nas nie oczekiwał, że będzie trzeba skontaktować się z wami już teraz. To miało nastąpić dopiero za kilka miesięcy. Ale w zeszłym miesiącu pokojowa demonstracja polityczna zmieniła się w masakrę. Prezydent Lombroso jakiś czas temu zapowiedział nowe wybory. To było tylko takie gadanie, ale niektórzy wzięli to na poważnie. No i wyszło bardzo źle. Lombroso posłał na nich czołgi typu *Scorpion* – kontynuował z wysiłkiem. – Było wiele ofiar. Kilku naszych ludzi rozłokowało się na mieście z wyrzutniami pocisków przeciwpancernych, które już nam przysłaliście. Chcieli tylko ochraniać demonstrantów. No i teraz mamy setki zabitych i rannych, a Gwardia Prezydencka wie, że komuś udało się przemycić na planetę nowoczesne uzbrojenie. – Potrząsnął głową. – Sądzymy, że w tych okolicznościach Lombroso wezwie niebawem Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i Flotę Pogranicza. A gdy to zrobi, będziemy potrzebować wsparcia marynarki wojennej.

Spojrzał z determinacją na Terekhova.

– Bardzo będziemy potrzebować – powtórzył cicho.

ROZDZIAŁ XLIX



To jak? – Lucinde Myllyniemi przytuliła się do Rufina Chernysheva, opierając głowę na jego ramieniu. Czuł jej ciepły oddech na swoim uchu. – Teraz, gdy już poszaleliśmy, może powiesz mi, co nie dawało ci spokoju przez cały wieczór?

– Ale wiesz, że jeśli ci powiem, będę musiał cię zabić? – odpowiedział, głaszcząc jej dolne krągłości.

Zamruczała z rozkoszą.

– Bzdura – powiedziała. – Jestem zbyt cennym aktywem.

– O tak, na wiele sposobów – zgodził się z uśmiechem. Potem spowaźniał. – W sumie i tak zamierzałem z tobą o tym porozmawiać, chociaż może nie w tych okolicznościach.

– Łączenie przyjemności z biznesem to dla mnie nie problem. – Skubnęła zębami płatek jego ucha.

– Widzę. – Uśmiechnął się znów, po czym uniósł na łokciu i spojrzał na nią z góry. – Chodzi o autoryzowaną na poziomie alfa jeden operację Houdini.

Myllyniemi słuchała w napięciu, a jej oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Dał jej chwilę na przyswojenie informacji. Była cenioną i zaufaną agentką, cieszącą się wysoką pozycją w strukturach Równania, ale nigdy nie słyszała o Albrechcie Detweilerze. Tym bardziej nie wiedziała, kim był. Kojarzyła jedynie, że istnieje coś takiego jak „poziom alfa jeden”, lecz to wystarczyło, aby zrozumiała, że chodzi o coś wyjątkowo ważnego.

Operacja Houdini przewidywała stopniową ewakuację z Mesy ludzi z jądra Równania. Dotyczyło to zapewne góra stu tysięcy osób, tak przynajmniej wynikało z jej szacunków. Samo Równanie skupiało ich o wiele więcej, ale zdecydowana większość nie znała prawdziwych zadań i celów organizacji.

Niemniej ewakuacja tych najważniejszych i tak nie była prostym zadaniem. Nie było szansy, aby po prostu załadować ich na liniowce pasażerskie i wysłać w kierunku zachodzącego słońca. To też wiedziała. Dodatkowo trzeba było zadbać o wiele innych spraw, ze zniszczeniem różnych fizycznych dowodów włącznie. Jądro planowało tę operację od prawie stu pięćdziesięciu lat. W związku ze swoją pozycją w hierarchii Manpower musiała o tym przynajmniej słyszeć. Chociaż ton głosu Chernysheva...

– Czy chodzi o... presję czasu? – spytała po długim namyśle.

Kiwnął głową.

– Tak – odparł z powagą. – Bez wchodzenia w szczegóły, o których nie musisz wiedzieć, Manticore i ich „Wielki Sojusz” z Haven doprowadzą zapewne Ligę Solarną do kryzysu o wiele szybciej, niż pierwotnie zakładano. Oczywiście nie znaczy to, że Liga Solarna zostanie pokonana. Jest tak cholernie wielka, że trudno byłoby wręcz wyobrazić sobie sytuację, w której Manticore rzuca ją na kolana i dyktuje warunki pokoju. Nawet jeśli nasze długoterminowe plany zakończą się sukcesem, Liga Solarna nadal będzie istniała i nadal będzie większa niż Gwiazdne Imperium Manticore. Jeśli zaś Manticore uderzy dość mocno, aby Mandaryni w Old Chicago stracili stolki, dojdzie element rewanżu. Tak zatem także przy ich miażdżącym zwycięstwie militarnym prędzej czy później Liga Solarna wróci do gry. Tym razem z uzbrojeniem, które nie będzie gorsze niż przeciwnika. I zacznie się kolejna runda.

Myllyniemi skinęła głową. Znała w zarysie długofalową strategię Równania. To też musiała wiedzieć, aby móc niekiedy podejmować samodzielnie trafne decyzje. Z oczywistych powodów nie znała większości szczegółów, ale była świadoma, że Równanie zmierza do objęcia roli rozgrywającego pomiędzy znacznie osłabioną Ligą Solarną i jej głównym przeciwnikiem, aby sterować ich konfliktem. Jeszcze dwadzieścia lat temu przyjmowano, że tym konkurentem będzie Ludowa Republika Haven.

Potem jednak trzeba było zrewidować analizy.

– Problem w tym, że biorąc pod uwagę, co wydarzyło się w Spindle, wiemy na pewno, że militarna przewaga Manticore jest o wiele większa, niż zakładaliśmy. A skoro Haven postanowiło się do nich przyłączyć, zamiast wykończyć wroga w chwili, gdy był praktycznie bezbronny, nasz atak na ich układ nie spełnił zamierzonych celów. Tak, to był nasz atak, jeśli jeszcze tego nie rozpracowałaś. I tak warto było go przeprowadzić, choć oczekiwaliśmy, że Pritchard i Theisman skorzystają z okazji, aby raz na zawsze wyeliminować Gwiazdne Imperium z rozgrywki. Jednak zamiast tego je wsparli i możliwe, że to jeszcze bardziej ośmieli Manticore do podjęcia działań zbrojnych. Raczej nie podkulą teraz ogona. Nasi analitycy sugerują, że admirał Gold Peak jest równie agresywna jak jej kuzynka i będzie skłonna przeciąć każdy węzeł gordyjski, na jaki natrafi.

– Jak na przykład Mesa – wtrąciła Myllyniemi.

– Właśnie. A teraz sytuacja stała się szczególnie trudna, ponieważ, jak już wiemy, Zilwicky i

Cachat jednak wrócili żywi do domu i przywieźli ze sobą jednego z naukowców z jądra organizacji. To wpłynęło na decyzję Pritchard i rodzi pytanie, co ona i Manticore prawdopodobnie zrobią teraz, gdy już wiedzą o istnieniu Równania.

– Dostrzegam problem – powiedziała, kładąc mu dłoń na policzku. – Jeśli będziemy musieli przyspieszyć Houdiniego, zrobi się... bałagan.

– Owszem – zgodził się ponuro. Położył się z powrotem, przytulając drugi policzek do jej piersi. – Atak w Green Pines podsunął rozwiązanie, które chyba nikogo nie cieszy, ale i tak je wykorzystamy. – Zacisnął na chwilę usta. – Wiem, że Manticore opowiada wszystkim, że Zilwicki i Cachat nie mieli nic wspólnego z eksplozją w parku, i sądzę, że to rzeczywiście nie oni podłożyli tę bombę. Ale przecież byli niewolnicy nie mieliby skąd jej wziąć. Czekam na okazję, żeby im odpłacić. Póki co, na Mesie dojdzie do kolejnych zamachów zorganizowanych przez „terrorystów z Baletu”. Będziemy mogli wykorzystać te eksplozje dla skrytej i szybkiej ewakuacji wielu osób, które zamierzaliśmy wywozić stopniowo. Jednocześnie załatwiona zostanie sprawa likwidacji różnych dowodów.

– Będzie wiele dodatkowych zniszczeń – odezwała się z przejęciem.

– To też – powiedział jeszcze bardziej ponurym głosem. – Nie podoba mi się, że tyle osób zginie. Jestem pewien, że alfa jeden widzi rzeczy podobnie. Ale to da oczekiwany rezultat, Manticore zaś nie zostawi nam dość czasu, by przeprowadzić wszystko inaczej.

– Rozumiem – odpowiedziała cicho.

– Zgodnie z oryginalnym planem Houdini miałaś polecieć trzecim lotem ewakuacyjnym – dodał. – Oczywiście to może ulec zmianie, zależnie od tego, na ile przyjdzie nam zmodyfikować grafik. Tak czy siak, będziesz musiała skoordynować to z ewakuacją naszych ludzi z zarządu Manpower. To jeden z powodów, dla których ci o tym mówię.

Skinęła głową w milczeniu, a on uśmiechnął się nagle, znowu wsparł się na łokciu i ujął jej twarz w dłonie. Potem pocałował ją, niespiesznie, z wyczuciem. Gdy się odsunął, też się uśmiechnęła, chociaż oczy wciąż miała smutne.

– A póki co, może spróbujemy oderwać się trochę od interesów? – zaproponował cicho.



Komandor Tremont Watson bardzo się starał nie okazać targających nim uczuć. Zwykle był dumny z przynależności do Floty Pogranicza, która często wykonywała o wiele pożyteczniejsze zadania niż Battle Fleet, ale nie dzisiaj. Teraz, gdy SLNS *Oceanus* zwalniał przed wejściem na

orbitę Mobiusa, Watson wolały znaleźć się całkiem gdzie indziej niż w fotelu dowódcy. Najlepiej gdzieś bardzo daleko.

– Gotowy na znak, sir – odezwała się porucznik Gillespie, astrogator.

– Dziękuję, Sandro – odparł natychmiast.

– I co teraz robimy? – spytał przez system wewnętrznej łączności porucznik Fred O’Carroll, pierwszy oficer.

– Teraz, Fred, spróbujemy się dowiedzieć, co dokładnie zamierza brygadier Yucel. – Uśmiechnął się słabo. – Aż nie mogę się doczekać.



– Carlton! Co ty tu robisz, u diabła? – spytała Kayleigh Blanchard, widząc, jak jeden z członków Frontu Wyzwolenia Mobiusa wprowadza na jej stanowisko dowodzenia w Stołecznej Komendzie Policji wysokiego, wąskiego w ramionach mężczyznę. – I w ogóle jak się tutaj dostałeś żywy? – dodała, przymrużając lekko oczy.

– Miło cię widzieć, Kayleigh – odparł kapitan Carlton Carmichael.

– Też się cieszę, jasne – powiedziała i uściśnęła dłoń byłego szefa. Kiedyś pracowali razem, zanim on dostał awans, a ona zrezygnowała z pracy. – Ale moje pytanie pozostaje aktualne. Jak się tutaj dostałeś? I dlaczego?

– Przyszedłem Cloverdale Boulevard, powiewając białą flagą – odpowiedział. – Zapewne porucznik Collins uznała, że zamierzam negocjować wymianę więźniów. Będzie rozczarowana – dorzucił z grymasem.

– Gdy znalazł się po naszej stronie ulicy, poprosił, żeby go zaprowadzić do ciebie – wtrącił się eskortujący, zerkając podejrzliwie na Carltona. – Podał imię i nazwisko. Jeśli ma pluskwę, to chyba w żołądku albo w dupie. Skaner niczego nie znalazł.

– W porządku, Kai. Znam go. I to od dawna. Chociaż ciągle nie wiem, co tu robi – dokończyła nieco innym tonem.

– Jestem tutaj, ponieważ Ochoa powiedział mi, że Petulengro go poinformował, że lada chwila na orbicie zjawi się batalion interwencyjny Żandarmerii – powiedział ponuro Carmichael i Blanchard zacisnęła zęby. Pułkownik Grigori Petulengro kierował Wydziałem Bezpieczeństwa i Wywiadu Stołecznej Policji, major Ashton Ochoa zaś dowodził Wydziałem Kryminalnym i był bezpośrednim przełożonym Carmichaela. – Petulengro to łasica, ale, jak sama wiesz, Ochoa był zawsze w porządku wobec swoich, więc pewnie mówi prawdę. Gdy zdałem sobie sprawę, że

pewnie jesteś gdzieś po drugiej stronie, postanowiłem ci to przekazać. Podaj więc gdzieś wyżej, że brygadier Yucel sprowadziła do nas zespół okrętów Floty Pogranicza. Zapewne nie na paradę, biorąc pod uwagę, jak mocno dokopaliście w ostatnich tygodniach Lombrosowi. Nie oczekiwałbym też od niej umiarkowania w żądaniach. Tak więc lepiej powiedz swoim, że niebawem niebo może się wam zwalić na głowy.



– Dzięki Bogu, już pani jest, pani brygadier! – powiedział jasnowłosa, pucułowaty mężczyzna, którego twarz pojawiła się na ekranie Franciski Yucel. – Mój Boże! Ostatnie dwa tygodnie to był koszmar! Gdzieście wtedy byli?

– Rozumiem pański niepokój, panie Frolov – odpowiedziała dyrektorowi oddziału Trifecta Corporation na Mobiusie. – Zapewniam pana, że komisarz Verrochio wysłał nas zaraz po otrzymaniu wezwania pani Xydis i prezydenta Lombrosa.

– I naprawdę nie dało się wcześniej? – warknął Frolov. Małe oczka upodabniały jego twarz do pyska ziemskiej świni. – Nawet pani nie wie, ile majątku korporacji ci dranie zniszczyli przez ten czas. Nie wspominając już o wszystkich naszych pracownikach, którzy odnieśli obrażenia albo stracili życie.

Brygadier miała wrażenie, że ostatnie zdanie Frolov dodał dopiero po pewnym namyśle. Znała swoje obowiązki i miała własne zdanie na temat tubylców na Pograniczu, ale przedstawiciele działających tu korporacji, ludzi takich jak Frolov, nie cierpiała chyba jeszcze bardziej.

Można wręcz powiedzieć, że nieporównanie bardziej.

– Jak pan widzi, właśnie przybyliśmy – powiedziała. – Nadal jestem w trakcie zbierania informacji. Gdy je uzyskam, podejmiemy działanie.

– Jakich informacji?

– Panie Frolov, muszę wiedzieć, jaka jest sytuacja na dole. Dopiero potem będę mogła coś z tym zrobić – wyjaśniła tak spokojnie, jak zdołała. – I z całym szacunkiem, ale muszę też porozmawiać z rządem prezydenta Lombrosa. Jak pan wie, wystosowany do Biura Bezpieczeństwa Granicznego wniosek o pomoc wyszedł z *jego* biura.

Położyła szczególny nacisk na ten zaimek. Frolov zamrugał świńskimi oczkami, jakby był naprawdę zaskoczony tym przypomnieniem, co było prawdziwym powodem jej przybycia i że korporacja odgrywała tu tylko rolę listka figowego.

– Tak, jasne... Ja tylko...

– Ma'am, prezydent Lombroso do pani – wtrącił się uprzejmie jej łącznościowiec.

– Obawiam się, że musimy kończyć, panie Frolov. Będziemy w kontakcie – dodała i nie czekając na jego reakcję, zakończyła połączenie. Zaraz potem spojrzała na łącznościowca. – Daj go tutaj.

– Tak, ma'am.

Chwilę później ujrzała na ekranie oblicze prezydenta Sveina Lombrosa. Wyglądał znacznie mizerniej niż na oficjalnych wizerunkach. To samo, jak zauważyła, dotyczyło sporej grupy mężczyzn i kobiet, którzy towarzyszyli mu w sali konferencyjnej. Yucel poznała Angelikę Xydis, przedstawicielkę Biura Bezpieczeństwa Granicznego na Mobiusie, generał Olivię Yardley, dowódcę Gwardii Prezydenckiej, i Friedmanna Mátáysa, szefa Policji Bezpieczeństwa. Kim byli pozostali, nie miała pojęcia, ale nie było to istotne.

– Panie prezydencie Lombroso, brygadier Francisca Yucel – przedstawiła się oficjalnym tonem. – Przybyłam w imieniu Biura Bezpieczeństwa Granicznego w odpowiedzi na prośbę o wsparcie. Mam ze sobą batalion interwencyjny, któremu towarzyszy eskorta czterech niszczycieli i jeden lekki krążownik *Oceanus*. Jak Liga Solarna może panu pomóc?



– Tak, Augustusie?

Widząc podobiznę Augustusa Khumala, Estelle Matsuko, baronowa Medusy i gubernator Jej Królewskiej Mości w Quadrancie Talbott, uśmiechnęła się i odstawiła filiżankę z herbatą. Jej obszerny gabinet zalewały promienie porannego słońca, na blacie przed nią stał talerz z resztkami małego omletu i croissanta. Personel zrezygnował już z prób wyperswadowania jej zwyczaju jadań śniadania przy biurku, nabytego niegdyś na Medusie. Zbyt to lubiła, zwłaszcza że tutaj mogła spoglądać przez okno na gładź oceanu.

– Wcześniej wstałeś – zauważyła i uśmiechnęła się z uznaniem.

Admirał zdecydowanie nie był rannym ptaszkiem.

– Tak, milady, udało mi się – powiedział. – W ostatnich dniach spędziłem trochę czasu nad sprawozdaniem lady Gold Peak z jej rozmowy z panem Ankenbrandtem. Oraz jej prośbą o dodatkowe siły lądowe z Gwardii Quadrantu.

– Chyba jak wszyscy – przyznała baronowa. – Ciągle albo o tym myślę, albo mam koszmary na ten temat. Czy mogę przyjąć, że wpadłeś na coś nowego w tej sprawie?

– Właściwie to nie. Powiedziałbym raczej, że zastanawiałem się nad zgodą, którą otrzymała od ciebie, aby odpowiadać na każdą wiadomość, która może nadejść w taki sposób, jakby to od początku była nasza operacja. No i autoryzacją wsparcia, o które proszą.

– Rozumiem więc, że nie masz co do tego zastrzeżeń – powiedziała Medusa, patrząc na niego badawczo. – Czyli pewnie masz jakieś sugestie, jak najlepiej to przeprowadzić?

– Właśnie o tym myślałem. – Pokiwał głową. – Wiąże się to ze zwłoką w dostarczeniu posiłków kapitana Griersona dla lady Gold Peak.

– A dokładniej?

– Zanim przesunęliśmy Dziesiątą Flotę, lady Gold Peak i ja zaproponowaliśmy reorganizację Gwardii Quadrantu poprzez połączenie sił zbrojnych poszczególnych planet w gromadzie. Jednak wtedy nie dysponowaliśmy konkretnymi danymi na temat wielkości tych sił i ich dostępności. – Przerwał na chwilę i uniósł brew.

Skinęła głową.

– Od tamtego czasu biuro pana Krietzmana zajmowało się gromadzeniem tych informacji. Mamy już wstępne dane, podkreślam: na razie tylko wstępne, ale wynika z nich, że zapewne będzie możliwe wysłanie znacznie większej siły, niż obiecaliśmy lady Gold Peak. Siły zbrojne poszczególnych przyłączonych układów były raczej słabe, ale było ich wiele. W liczbach bezwzględnych wygląda to całkiem dobrze, chociaż ich połączenie i zgranie operacyjne zajmie trochę czasu. Na razie więc utrzymujemy je jako osobne „jednostki planetarne” i zaczynamy dopiero uczyć współpracy. Na kolejnym etapie staną się „jednostkami sojuszu”, na końcu zaś częścią większej całości. Na razie jednak do tego nie doszliśmy. Podobieństwo sprzętu jest między nimi większe, niż oczekiwaliśmy, większość z nich kupowała wcześniej solarne uzbrojenie i wyposażenie. Dlatego w pierwszym rzędzie modernizujemy te jednostki, które używały nietypowego sprzętu. One dostają wszystko z Manticore. Pozostałymi zajmiemy się w drugiej kolejności. Ale najważniejsze, że dysponujemy znacznie większą liczbą gotowych do działania jednostek bojowych, niż nam się wydawało. Moglibyśmy szybko zrobić z nich użytek, chociaż jest jeszcze problem transportu. W obecnej chwili Dziesiąta Flota ma więcej okrętów wojennych niż transportowców. Dotyczy to całego Quadrantu. Gdy kapitan Grierson dotrze do Montany, lady Gold Peak będzie miała więcej lekkich jednostek przydatnych do reagowania na prośby o pomoc. Nadal jednak będzie jej brakować jednostek naziemnych oraz możliwości transportowych dla nich. W przypadku Mobiusa może to sprawić kłopoty. Wątpię, aby

macierzysty układ mógł zasilić nas nowymi jednostkami naziemnymi, ale wysłałem do Admiralicji pilną prośbę o dodatkowe transportowce. Cokolwiek się stanie, lady Gold Peak będzie ich potrzebowała. Nie wiem, ile ich zdołam dostarczyć, ale chcę poprosić o zgodę na skierowanie na Montanę tak dużych sił Gwardii, jakie tylko uda mi się zgromadzić.

Na chwilę zapadła cisza. W końcu baronowa skinęła głową.

– Jak na tępego trepa z marynarki miewasz naprawdę dobre pomysły, Augustusie – powiedziała z uśmiechem.

ROZDZIAŁ I



Komunikator Rufina Chernysheva odezwał się cichym sygnałem. Agent spojrział na chronometr i się skrzywił – mocno, jakby coś mu się bardzo nie spodobało. I nie chodziło tylko o to, że ogólnie sprawy nie układały się najlepiej. Jak się okazało, nie cierpiał też pracy biurowej, chociaż potrafiła dawać sporo satysfakcji. Przynajmniej zwykle. Zdarzały się jednak gorsze chwile związane na przykład z kontaktami z taką czy inną osobą, której w żaden sposób nie trawił. I to był właśnie taki przypadek. Zaplanowane na ten dzień spotkanie zapowiadało się jak najgorzej.

Ale nie było sensu tego odwlekać.

– Tak?

– Przyszła pani Marinescu, sir – oznajmił Samuel Hairston, jego sekretarz odziedziczony wraz z całym biurem po Isabel Bardasano. Jego głos zawsze brzmiał czysto i profesjonalnie, ale, jak odkrył Chernyshev, Hairston był nie tylko przystojny, lecz i całkiem rozgarnięty. Chyba nawet bardziej niż sugerowałby jego wygląd. Gdy układali harmonogram na ten tydzień, wyszło na jaw, że nie cierpi Janice Marinescu tak samo jak jego nowy szef.

Cóż, nic dziwnego, pomyślał Chernyshev. W końcu mało kto gustuje w skorpionach.

– Przyślij ją, Samuelu – powiedział głośno, nie siląc się na entuzjazm. Ostatecznie gość nie mógł go słyszeć.

– Oczywiście.

Drzwi jego gabinetu otworzyły się niemal natychmiast i pojawiła się w nich wysoka kobieta o kwadratowej twarzy i dość egzotycznych rysach. Miała ciemne włosy i ciemne oczy. Chernyshev nie wstał na jej powitanie, a przez jej twarz przemknął jakiś dziwny grymas. Być może ślad irytacji albo nawet gniewu, ale Chernyshevowi nie robiło to różnicy. Janice Marinescu była raptem piętnaście lat starsza od niego i była dobra w swojej pracy, ale zwykła też wtrącać się we wszystko. Do śmierci Bardasano stała formalnie wyżej niż Chernyshev, ale szczęśliwie znajdowali się w różnych pionach. Zapewne należała do tych osób, które uważały, że powinny zająć miejsce Bardasano. To dawało pojęcie o tym, jak zaczęłyby się zachowywać, gdyby wyczuła choć najmniejszą szansę, że może wejść Chernyshevowi na głowę.

– Witaj – powiedział, wskazując krzesło przed swoim biurkiem.

– Rufino – zrewanżowała się i zajęła miejsce.

Dotąd nie zwracała się do niego po imieniu i Chernyshev pomyślał, że może to swoista próba granic jego tolerancji. Chociaż równie dobrze mogło to nic nie znaczyć. Upomniał się w duchu, aby nie patrzeć na nią wyłącznie przez pryzmat własnej antypatii.

Z drugiej strony nie pokwapiła się pogratulować mi awansu, prawda?

– Wczoraj rozmawiałem z Albrechtem i Collinem – poinformował ją.

– Niech zgadnę – rzuciła sardonicznie. – Chodziło o ostatnie wydarzenia w układzie Manticore?

Pokiwał głową. Nie był zaskoczony trafnością jej przewidywań. Nigdy nie miał jej za głupią.

– Jestem pewien, że podobnie jak my wszyscy zastanawiasz się, jak podanie pewnych informacji do wiadomości publicznej może... utrudnić realizację naszych planów – powiedział. – Fakt, że Zilwicki żyje i może zakwestionować naszą wersję wydarzeń w Green Pines, to już wystarczająco zła wiadomość. Na szczęście nigdy nie twierdziliśmy, że został zabity przez nasze służby. – Pokręcił głową. – W dziale propagandy znalazło się kilka osób, które uważały to za dobry pomysł. Chciały nawet pokazać ciało, aby udowodnić, że go dopadliśmy i że to on stał za atakami. Zmieniły zdanie, gdy Collin przypomniał, co się działo na Haven, kiedy się okazało, że sprokurowali egzekucję Harrington!

– Zawsze lepiej nie strzelać sobie w stopę – zgodziła się Marinescu z wąskim uśmiechem.

– A jak już, to ryzykować najwyżej utratę jednego palca – dodał Chernyshev. – Niedobrze, że Manticore będzie mogło przedstawić go jako własnego świadka, ale jakoś to przeżyjemy. Oczywiście będzie przysięgał, że nie został tu wysłany jako terrorysta z zamiarem przeprowadzenia zamachu. Trudniej już zaakceptować to, że Pritchard najwyraźniej mu wierzy, i to na tyle, aby ogłosić wszystkim istnienie Równania i osobiście polecić na Manticore celem wynegocjowania pokoju. Jeśli zaś połączymy to z bardzo aktywną postawą, którą Gold Peak prezentuje obecnie w gromadzie Talbott, sprawa nabiera poważnego wymiaru. Wszystko to może doprowadzić do katastrofy, i to o wiele szybciej, niż się nam wydaje. I dlatego właśnie się spotykamy. – Spojrzał na nią z powagą. – Albrecht dał sygnał do rozpoczęcia planu Houdini – oznajmił. – Już teraz, ze znacznym przyspieszeniem.

– To może być... niełatwe – odparła po chwili Marinescu.

– Niełatwe to mało powiedziane – stwierdził Chernyshev. – Jednak Albrecht uważa, że możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Niech zgadnę – powiedziała ponownie. – Proponuje, aby wykorzystać kolejne „ataki terrorystyczne” dla zamaskowania pospiesznego wycofywania ludzi. A jeśli przeprowadzimy to dość spektakularnie, żadne deklaracje Zilwickiego czy Pritchard na temat braku zaangażowania Manticore nie będą brzmieć przekonująco dla ludzi w Lidze Solarnej.

– Ani dla tych z Mesy – dodał Chernyshev spokojnie, chociaż brzydził się tym pomysłem.

Marinescu uznała go chyba wręcz za genialny, co potwierdzało jego opinię o niej. Inna sprawa, że właśnie dzięki takim cechom charakteru pięć lat temu awansowała na obecne stanowisko.

Genom Bardasano wykazywał niefortunnie pewne niestabilności i Chernyshev wiedział, że w swoim czasie poważnie rozważano jego eliminację. Propozycja została odrzucona, ponieważ genom ten dał jednak sporo bardzo zdolnych, nawet genialnych osobowości. W przypadku Isabel Bardasano pozytywy przeważały nad negatywami. Chernyshev nie słyszał, aby genom Marinescu wykazywał jakieś wady, niemniej Janice i tak wyrosła w jego mniemaniu na pozbawioną wyższych uczuć psychopatkę.

Od dziesięcioleci była jedną z najbardziej skutecznych specjalistek Równania od „mokrej roboty”, ponieważ była inteligentna, twarda i szybko podejmowała decyzje. No i przede wszystkim naprawdę lubiła zabijać. Gdyby nie tkwiła głęboko w jądrze, pasowałaby idealnie do Manpower, chociaż jej skłonność do zabijania mogłaby negatywnie wpłynąć na dochody korporacji. Ani przez chwilę nie wątpił, że podobał się jej pomysł odpalenia ładunków atomowych na terenie miasta.

Nie wróżyło to dobrze.

– Wiem, że miałaś prawo się tego nie spodziewać, ale muszę jak najszybciej zobaczyć zmodyfikowany plan działań – powiedział. – Albrecht chce go na wczoraj. Ja jednak dam ci czas do pojutra.

– Fajnie, dzięki.

– Ale postaraj się uwijać. Albrecht wie, że pośpiech jest złym doradcą, i nie będzie przesadnie naciskał, ale naprawdę nie mamy wiele czasu. Poza tym pierwsza wersja nie musi być doskonała. Jestem pewien, że Collin będzie chciał ją jeszcze przejrzeć i wprowadzi poprawki. Uznaj to więc za punkt wyjścia do dalszej pracy.

– Do kiedy musimy się z tym uporać?

– Do końca października – odpowiedział stanowczo.

– Października? – powtórzyła z zaskowaniem. – Z całą operacją?

– Październik – potwierdził. Rozumiał, że nie była zachwycona. Minęła już połowa czerwca, zostały więc im niecałe cztery miesiące na coś, co pierwotnie miało zająć dwa lata. – Powiedziałem, że nie mamy wiele czasu, prawda?

– Nie wiem, czy damy radę w cztery miesiące. Czysto fizycznie. – Nie był to protest, ale coś niezbyt odeń odległego.

– Nie jesteśmy władcami naszego czasu, Janice. Tym rządzą Zilwicki i Pritchard. Spróbuj na chwilę postawić się na miejscu Elżbiety Winton i pomyśl o tym, co oni jej mówią. Właśnie jeden z twoich najbardziej zaufanych agentów potwierdził, że istnieje nielegalna organizacja, która wmanewrowała cię ponownie w wojnę z Republiką Haven, która to organizacja, tak na marginesie, niemal na pewno była odpowiedzialna za atak na twój macierzysty układ i śmierć kilku milionów twoich obywateli. Na dodatek prezydent Republiki Haven, z którą byłeś przez większość tego stulecia w stanie wojny, ze zmiennym szczęściem, nie tylko uważa informacje twojego agenta za wiarygodne, ale jeszcze jest gotowa negocjować z tobą traktat pokojowy, abyście razem mogli ruszyć na wspólnego wroga. No i ten zbieg okoliczności, że twoja kuzynka dowodzi zespołem floty, która mogłaby z łatwością zniszczyć co najmniej jedną trzecią całej marynarki Ligi Solarnej. Co więcej, ten zespół znajduje się akurat niecałe dwieście lat świetlnych od Mesy. Teraz przywołaj wszystko, co wiesz o Elżbiecie Winton, jak twoim zdaniem zareaguje?

– Cholera – mruknęła Marinescu.

– Właśnie. Jedyne, co może zadziałać na naszą korzyść, to łatwowierność solarnych, konsekwencje operacji Oyster Bay i czas ogłoszenia wiadomości. Po pierwsze, cały ten pomysł „Równania”, z którym wyskoczyli, jest zbyt fantastyczny, aby ktokolwiek poważnie myślący zdołał go zaakceptować. Gwarantuję, że nikt w Lidze Solarnej, zwłaszcza w Old Chicago, nie uwierzy – albo nie przyzna głośno, że wierzy – w wersję Zilwickiego na temat tego, co stało się tutaj, na Mesie. Jestem całkiem pewien, że uda nam się przedstawić takie działanie Manticore jako desperacką próbę uniknięcia odpowiedzialności za atak terrorystyczny. Malachai Abruzzi, szef Ministerstwa Informacji, będzie rozpowszechniał przez swoich ludzi taką właśnie wersję. Po drugie, pomimo tego, co mówiłem o potencjale bojowym Gold Peak, straty zadane infrastrukturze przemysłowej Manticore zmuszą ich do ostrożności w kwestii bezpośredniej konfrontacji z Ligą Solarną. Jakikolwiek atak na Mesę znacznie skomplikuje ich relacje z solarnymi, nawet jeśli Mesa nigdy nie była członkiem Ligi. Zbyt dobrze wpisałoby się to w

narrację Kolokoltsova i jego przyjaciół. Muszą wiedzieć, że Abruzzi wykorzysta to jako koronny dowód na to, kto tak naprawdę dąży do konfrontacji. Solarni bez oporów łykają takie bzdury. I wreszcie kwestia obiegu informacji. Zgodnie z naszymi najnowszymi danymi Gold Peak przebywa obecnie na Montanie, zatem potrwa trochę, nim dotrze do niej wiadomość z Manticore. Choć istoty rzeczy to nie zmieni. Jest pewne, że rozkaz ataku na Mesę nie dotrze do niej od razu, ale gdy już będzie go miała w ręce, wtedy z wielką przyjemnością go wykona. Manticore nienawidzi Mesy od wieków choćby za sam handel niewolnikami. Odkrycie Równania tylko tę nienawiść nasili. Gold Peak gotowa byłaby uderzyć niezależnie od wszystkiego, po Oyster Bay zaś ruszy z największą prędkością, jaką mogą osiągnąć jej okręty. Wielkie i paskudne. W sumie jedyne pytanie, które tu się nasuwa, to czy przyjmie kapitulację floty Mesy, czy po prostu ją rozstrzela.

– Dobrze, dobrze, już rozumiem. – Marinescu machnęła ręką, zastanawiając się ze zmarszczonymi brwiami, na ile sposobów jej starannie rozpisany plan może się posypać. – Dostrzegam też, dlaczego Albrecht chce użyć „zamachów terrorystycznych” dla zamaskowania naszych działań. Tak naprawdę bez nich nie mielibyśmy szans powodzenia. Chociaż i tak nie gwarantują, że ostatecznie nam się uda. Zostanie cała masa... luźnych wątków, które trzeba będzie jakoś zakończyć. Nawet jeśli reszta pójdzie gładko. Nie, żadnym sposobem nie zdołamy „zniknąć” ich po cichu. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Oczywiście, podobnie jak Albrecht. Jeśli znajdziesz lepszą opcję, na pewno chętnie cię wysłucha.

– Będzie znacznie więcej bałaganu, niż zakładały najgorsze warianty naszego pierwotnego planu – kontynuowała, ignorując jego ostatnie zdanie. – Prawdziwy burdel, Rufino. Tak na gorąco zauważę, że straty mogą wzrosnąć nawet dwukrotnie, dopóki nie połatamy wszystkich dziur.

– Wiem – westchnął Chernyshev. Różnica między nimi była taka, że gdzie on widział dylemat moralny, ona dostrzegała tylko problemy techniczne. – A ponieważ straty będą znacznie wyższe, mogą się pojawić problemy z niektórymi z naszych... mniej oddanych ludzi.

– Pieprzyć ich – odparowała. – Pewnie lepiej by było, gdyby do tego nie doszło, ale skoro nie ma wyboru, trzeba to uznać za czynnik dodatkowego odsiewu.

– Odsiewu?

– Jeśli okażą się zbyt mazgajowaci, aby w tej sytuacji nie pojąć, że to niezbędny krok,

zapewne nie będą dość użyteczni również potem. A skoro tak, to lepiej odsiać ich już teraz. Skoro i tak odpalimy ładunki atomowe, chyba nie będzie trudno jakoś ich usunąć, zanim któryś wpadnie na pomysł, żeby zostać nowym Simõesem czy Jackiem McBryde'em!

– To może mieć pewien sens – przyznał Chernyshev po kilku sekundach zastanowienia. – Niestety, części z nich naprawdę potrzebujemy. Sądzę, że po początkowym wzburzeniu w większości spuszczą z tonu. A nawet jeśli im nie przejdzie, będą już w układzie Dariusa, gdzie wiele nie zdziałają. Albrecht by wolał, abyśmy dostarczyli ich na miejsce całych i zdrowych.

Marinescu wzruszyła ramionami. Kilka setek ludzi w tę czy w tamtą nie robiło jej różnicy.

– Ale jak utrzymasz ich na smyczy, gdy dojdzie do pierwszych eksplozji?

– Ci najważniejsi i zarazem najbardziej problematyczni zostaną ewakuowani w pierwszej kolejności. – Chernyshev wydobył z szuflady czip i pchnął go po blacie biurka do Marinescu. – Dział psychologiczny przejrzał na szybko listy grup alfa i beta i uszeregował ludzi wedle klucza niepożądanych reakcji i użyteczności dla Równania. Wskazał osoby mogące mieć problem z zaakceptowaniem podsunętej przez Albrechta opcji. Masz wszystkich na tym czipie. Otrzymujesz zgodę na zajęcie się najbardziej krytycznymi przypadkami. Zaczynasz jeszcze dzisiaj. Przy niektórych trzeba będzie stworzyć stosowną legendę, zwłaszcza gdy ich rodziny nie są objęte akcją Houdini. Przed końcem tygodnia przynajmniej jedna trzecia z nich ma się znaleźć poza Mesą.

– W tak krótkim czasie nie damy rady wysłać ich bezpośrednio na Dariusa – zauważyła.

– Wiem. Trzeba skorzystać z rezerwowych tras. – Tym razem to Chernyshev wzruszył ramionami. – Nie po to je stworzyliśmy, ale są gotowe i można z nich skorzystać. Podróż potrwa tylko trochę dłużej.

– Co da im więcej okazji do ucieczki, jeśli się na nią zdecydują.

– Wątpię, żeby wielu miało na to ochotę, ale chyba warto to rozważyć – przyznał Chernyshev. – Co oznacza, że będziemy musieli dać im niańki.

– Mogę nie mieć dość ludzi – sprzeciwiła się. – Wykonanie zmodyfikowanego planu w przewidzianym obecnie czasie będzie wymagało pełnej mobilizacji. Potrzebuję absolutnie wszystkich. Zapewne będę musiała ściągać ludzi nawet z innych działów. A co gorsza, szacuję, że jakieś osiem do dziesięciu procent personelu, przypisanego w pierwotnym planie do zespołów ewakuacyjnych, w ogóle nie znajduje się teraz na Mesie! Znalezienie nianiek bez poważnego osłabienia moich grup operacyjnych nie będzie takie łatwe.

– Nie sądziłem, że jest aż tak źle – stwierdził Chernyshev. – Ale skoro tak, to może sięgniemy po gaulów?

– Hm.

Marinescu zastanowiła się poważnie. Skrót GAUL oznaczał Genetic Advancement and Uplift League, agendę będącą od samego początku częścią Równania, której członkowie nieraz okazali się bardzo użyteczni. Przez stulecia trafiali tu najbardziej fanatyczni zwolennicy planu Detweilera, a fanatycy gustują zwykle w ekstremalnych rozwiązaniach. Nazywani niekiedy gaulami służyli w ochronie najgłębszej warstwy jądra. Nie było ich wielu, ale mieli reputację naprawdę groźnych, dzięki czemu nawet nieliczni mogli wiele zdziałać tam, gdzie łagodniejsze metody zawodziły.

Większość gaulów nie miałyby żadnych oporów, aby zarzucić sobie na ramię plecak z ładunkiem atomowym i wejść do zatłoczonej restauracji, gdyby tylko Houdini tego wymagał. Marinescu już wcześniej się zastanawiała, jak ich wykorzystać. Chernyshev miał rację. Trudno było wyobrazić sobie bardziej skrupulatnych i niezawodnych stróżów niż gaulowie. Co więcej, sama ich obecność powinna skutecznie zniechęcać do prób ucieczki.

– W porządku – powiedziała po chwili. – To może zadziałać.

– Skoro tak, to chyba wszystko na dzisiaj – stwierdził Chernyshev. – Będę chciał zobaczyć wstępny projekt planu, zanim porozmawiamy o tym z Albrechtem i Collinem. Ale to już twoja działka. Nie mam nic przeciwko temu, żeby realizację pozostawić w twoich rękach.

– Doceniam to.

Wstała i spojrzała na niego jakoś dziwnie, może z pogardą. Ale Chernyshev nie zamierzał się tym przejmować. Przynajmniej teraz. Marinescu nie rozumiała różnicy pomiędzy gotowością do zabijania a chęcią zabijania. Niech więc ma go za kogoś, kto nie lubi brudzić sobie rąk, jeśli może tego uniknąć. Mogła sobie myśleć, co tylko chciała, lecz niewielkie było prawdopodobieństwo, aby próbowała podważyć jego autorytet, dopóki była pewna, że Chernyshev ma pełne poparcie Albrechta Detweilera. Ale gdyby coś się zmieniło...

– Samuel dopilnuje, aby każda wiadomość od ciebie trafiała natychmiast na moje biurko – powiedział.

– Jasne. – Skinęła głową. – To do zobaczenia.

Chernyshev śledził ją spojrzeniem aż do wyjścia z gabinetu i zmarszczył brwi, gdy zniknęła za drzwiami.



Szef działu Jules Charteris dojrzał migające światelko i włączył pocztę głosową. Z zasady wyciszał komunikator podczas spotkań z personelem czy przełożonymi w Ministerstwie Gospodarki. Często więc znajdował później informacje o nieodebranych połączeniach.

– Cześć, Jules! – usłyszał w słuchawce głos żony. – Przepraszam, że się rozminęliśmy, ale nie dotrę dzisiaj na kolację. Ani dzisiaj, ani przez kilka kolejnych dni. Mamy jakąś strasznie tajną naradę na wyspie McClintock. Zdażyłam tylko wpaść do domu i spakować torbę, zaraz potem musiałam łapać transport. Nie znam szczegółów, a nawet gdybym znała, nie mogłabym ci nic przekazać. Znasz zasady, kochanie. Ale nie zdziwię się, jeśli to jeszcze trochę potrwa. Może i parę miesięcy. Szef mówi, że trzeba uporządkować masę rzeczy po tym, co się stało w Green Pines. Przepraszam, nie miałam jak cię uprzedzić, ale ostatnio wszystko jest pokręcone, prawda? Całusy, kocham cię.

Nagranie dobiegło końca i Charteris zmarszczył brwi. Jako członek Równania rozumiał potrzebę zachowywania tego, co Lisa lubiła nazywać „bezpieczeństwem operacyjnym”. Sam podlegał podobnym procedurom ze względu na pozycję zajmowaną w rządzie układu. Czasami przychodziło mu jednak do głowy, że jego żona powinna pracować w policji albo wywiadzie. Zasadniczo była naukowcem, ale zdawała się uwielbiać zabawę w „tajność”. Jules wręcz przeciwnie. Poza tym co takiego można porządkować w sprawie Green Pines niemal rok po atakach? Bez sensu ta wymówka, ale „szpiedzy” łatwo popełniali podobne błędy.

Nie podobała mu się też wzmianka o „paru miesiącach”, chociaż to nie byłby pierwszy raz. Wysyłano ją nawet poza układ, w tym kiedyś na ponad pół roku. Dobrze, że teraz miała pozostać na planecie. To już coś. Może jej przełożeni, których miała w dużej części za infantylnych paranoików, pozwolą jej czasem zadzwonić do domu.

Westchnął i ruszył do windy, by pojechać do swojego biura. Skoro Lisa miała nie wrócić wieczorem, równie dobrze mógł wykorzystać ten czas dla nadrobienia różnych zaległości pokutujących w jego służbowym kompie.



– Miałaś jakiś kontakt z Zachem, mamó? – spytała Arianne McBryde.

– W ciągu ostatnich godzin? – zastanowiła się Christina McBryde wpatrzona w ekran komunikatora.

– Dziś od rana – wyjaśniła pełnym niepokojem głosem Arianne.

Arianne była najmłodszą z jej czworga dzieci. Właściwie już tylko trojga, pomyślała z ukłuciem bólu, który w swoim czasie odczuwała dotkliwie cała ich rodzina. Arianne była wybitnym chemikiem i doradcą naukowym Brandona Warda, dyrektora generalnego firmy Mesa System. To była świetna kariera, każda kobieta byłaby z niej dumna. Ale dla Christiny była przede wszystkim córką i jeśli coś ją martwiło, to na pewno musiało być bardzo ważne.

– Rano nagrał mi się na pocztę – odpowiedziała. – Wydawało się, że wszystko z nim w porządku, kochanie.

– Pewnie z tą samą informacją – zgadywała Arianne. – Chodziło o konferencję, w której musi wziąć udział?

Christina kiwnęła głową.

– Tak, na wyspie McClintock. A co?

– Sama nie wiem. – Arianne zamilkła na chwilę. – Wydawał się zdenerwowany.

– Och, skarbie, nie odniosłam takiego wrażenia. Już prędzej strasznie zajęty. I nic dziwnego, Bóg jeden wie, ile mieliśmy ostatnio powodów do zmartwień. – Uśmiechnęła się smętnie do córki. – Czy na pewno nie chodzi o datę, to nie dlatego tak się o niego obawiasz, Ari? – spytała ostrożnie.

Twarc Arianne stężała na chwilę. Milczała przez co najmniej dziesięć sekund, aż w końcu wciągnęła głęboko powietrze.

– Może tak – przyznała. – To tylko... po prostu...

– Po prostu tęsknisz za Jackiem, kochanie. Wszyscy tęsknimy. Ale minął już rok, a to, że Jack znalazł się wtedy w niewłaściwym miejscu w chwili, kiedy ci straszni ludzie odpalili bomby, nie znaczy, że coś podobnego zdarzy się Zachowi. Wiesz o tym, prawda? Tutaj... – Christina dotknęła palcem wskazującym skroni. – Ale nie tu. – Przycisnęła dłoń do piersi tuż nad sercem. – Myślę, że wszystkim nam zajmie jeszcze trochę czasu, żeby się z tym pogodzić. Co rano dziwię się, że go nie ma. Tata też. I JoAnne.

Niebieskie oczy Arianne zalśniły łzami. W milczeniu skinęła głową. Starszy brat zawsze był jej bardzo bliski i to, że po ataku w Green Pines nie udało się odnaleźć jego ciała, podobnie zresztą jak ciał setek innych ludzi, było dla niej szczególnie trudne. Christina wiedziała o tym, jej też było ciężko. Ale nadal miała troje dzieci i musiała być dla nich silna. I nieważne, że jej córka liczyła już sobie pięćdziesiąt lat.

A jeśli to pomoże także tobie przetrwać najgorsze, to tym lepiej, pomyślała.

– Powiem ci coś – odezwała się z ożywieniem. – Może zjawisz się z George’em na kolacji? Twój tata ma akurat wolny wieczór i jestem pewna, że JoAnne też da się ściągnąć. Chyba już czas, abyście dali sobie spokój z wolnym związkiem i ustalili datę ślubu. Jeśli nie uznasz tego za nazbyt dziwaczne, to może nawet w rocznicę odejścia Jacka.

– Och, mamó! Nie mogłabym.

Christina poczuła pieczenie w oczach, ale uśmiechnęła się do córki.

– Wiem, że chciałaś zobaczyć Jacka na swoim ślubie, na pewno by przyszedł. Ale to nie jego wina, że go nie będzie. Wybranie daty byłoby sposobem na uczczenie jego pamięci, Ari. Obie wiemy, że najbardziej we wszechświecie chciał, aby ci się ułożyło. Nie twierdzą, że ten pomysł jest na pewno świetny. Sądzę tylko, że warto go rozważyć. Zajrzyj do nas wieczorem na kolację. Zdamę zrobić ciasto marchewkowe. Wiesz, jak Jack je uwielbiał.



Zachariah McBryde stał obok Lisy Charteris i patrzył na malejący na tle próżni niebiesko-zielony klejnot Mesy. Nie znał nazwy statku, na którym się znaleźli, chociaż istniała szansa, że ktoś wyjawi im tę wielką tajemnicę, nim dotrą do pierwszego punktu przesiadkowego. Za diabła nie rozumiał, po co to ukrywano, ale najwyraźniej dla kogoś było to osobliwie ważne.

Starał się nie oglądać na S. Arpina, przypisanego im stróża. Nie wiedział, gdzie przebywał akurat Zhilov, drugi z gaulów towarzyszących ich małej grupie. Pewnie miał oko na innych... ewakuowanych. Zach nie pojmował potrzeby roztaczania nad nimi tak ścisłego nadzoru. Jasne, że niektórzy z ewakuowanych w ramach operacji Houdini mogli zmienić zdanie. Chociażby Lisa, której mąż nie znalazł się na liście. Jules nie wiedział nic o głębszym jądrze. Podobnie zresztą jak rodzina Zachariaha. I to wystarczyło, aby musieli się z nimi rozstać.

Zatem owszem, Lisa mogłaby zmienić zdanie. Zachariah w sumie też, zwłaszcza wobec podejrzeń, które wysunięto wobec Jacka po tragedii w Green Pines. Nadal nie wiedział, skąd przyszło im do głowy, że Jack mógłby zrobić coś takiego. Co więcej, chociaż nie mówił o tym głośno, był mocno wkurzony sposobem, w jaki potraktowano go podczas śledztwa. Przyciśnięto go tak, że zaczął zadawać sobie pytania o prawdziwe cele Równania i sens planu Detweilera. Ale gdy odebrał zakodowany sygnał, bez wahania zgłosił się do ewakuacji. Nawet nie pomyślał, aby się wymknąć. Nie na poważnie.

Oczywiście, że nie, mruknął sardonicznie w duchu. A fakt, że Marinescu osobiście się zjawiła, aby cię odebrać i przekazać prosto w łapy tych dwóch obwiesi, wcale nie wpłynął na

twoje pełne posłuszeństwo rozkazom!

Uśmiechnął się do tej myśli, ponieważ w ciągu lat spędzonych w jądrze Jack nauczył go, na czym polega planowanie operacyjne. Jak zauważył kiedyś jego brat, trudno było z całą pewnością przewidzieć, jak zachowa się dana osoba w obliczu sprzecznych imperatywów. Ktoś mógł próbować uniknąć ewakuacji ze względu na żonę, kochankę, dziecko. Mogło się tak stać, a brak ostrzeżenia oraz pośpiech w realizacji planu Houdini tylko pogarszały sprawę. Właśnie dlatego Marinescu pojawiła się w towarzystwie gaulów. Aby wybić im podobne myśli z głowy.

Tak, nie podoba mi się to, ale rozumiem, myślał. Rozumiem dlaczego. Ale to nie oznacza, że muszą nas aż tak pilnować. Ostatecznie jesteśmy na pokładzie statku kosmicznego. Nie możemy stąd uciec, nie mamy gdzie się ukryć. Nie mamy nawet możliwości porozmawiać z kimś obcym. Więc dlaczego nie zlużują? Gdyby coś się działo, zdążą to zauważyć i zareagować, zanim dotrzemy do miejsca pierwszej przesiadki.

– Miałaś okazję porozmawiać z rodziną? – spytała cicho Lisa.

Poruszyła lekko głowę, jakby chciała się odwrócić, ale zmieniła zamiar. Zachariah spojrzał więc na nią. Widocznie uznała, że pan S. Arpino może się wypchać. Jeśli nie spodoba mu się poruszony przez nią temat, to trudno.

– Nie bezpośrednio – odparł po chwili. – Musiałem nagrać dla nich wiadomości, a ten gość... jak mu było... Haas, zastępca Marinescu, sprawdził je przed wysyłką. Rozmawiałaś z Julesem?

– Też nie bezpośrednio. – Westchnęła. – Zostawiłam jemu i dzieciom wiadomość. Rozumiem, dlaczego nie mogłam im powiedzieć, dokąd naprawdę się udaję, ale ten ostatni raz chciałabym spotkać się z nimi twarzą w twarz.

– Wiem. Ale może tak było łatwiej. Jasne, też wolałbym spotkać się z rodzicami, ale przy rozstaniu byłoby pewnie trudno. Zauważyliby coś i spytali, co się dzieje. Może więc góra jednak wie, co robi.

– Źle się z tym czuję. Jakbym ich oszukała – powiedziała Lisa. – Nie chodzi tu o samo zniknięcie. To jest konieczne, rozumiem to. Ale nie sądziłam, że poczuję się aż tak winna, że nagle zniknęłam z ich życia. Zwłaszcza Julesa. Dziewczyny są dorosłe, mają własne życie i rodziny, ale będzie mi cholernie ich brakowało. I nie pomyślałam wcześniej o żalu, że nie zobaczę wnuków. Może po prostu... nie chciałam o tym myśleć. Ale Jules i ja byliśmy razem od ponad czterdziestu lat. Nienawidzę siebie za to, że po prostu zniknęłam z jego życia, jakby nic

dla mnie nie znaczył.

Zachariah skinął głową ze szczerym współczuciem. Właśnie dlatego ani on, ani Jack nie ożenili się, nie założyli rodziny. Obaj wiedzieli, podobnie jak musiała wiedzieć Lisa, że Równanie wchodzi w końcową fazę trudnej, utajnionej egzystencji. Owszem, nikt się nie spodziewał, że Houdini zacznie się tak nagle, nikt nie przewidział, w jaki sposób Gwiazdne Królestwo Manticore, a teraz także Republika Haven, namieszają w ich planach. Wszyscy jednak wiedzieli, że chwila ewakuacji nadejdzie i że stanie się to za jakieś pół wieku. Dla osób po prolongu, zwłaszcza z linii alfa i beta, nie było to wcale tak długo. Wychodząc za mąż, Lisa mogła przewidywać, że dojdzie do takiej sytuacji. Nie było więc tak, że została zaskoczona. Sama podjęła to ryzyko.

Chociaż z drugiej strony serce i mózg nie zawsze współdziałają, ona zaś naprawdę kochała męża. To było po prostu widać. Może z czasem będzie potrafiła zachować dobre wspomnienia i całą radość ze wspólnego życia bez poczucia, że wszystkich ich porzuciła. Przecież to nie tak, że oni umarli. Dla nich będzie kimś, kto zginął, ale ona będzie wiedziała, że jej bliscy nadal gdzieś tam żyją i dobrze ją wspominają. Ogólnie rzecz biorąc, nie było więc tak najgorzej.

– Cóż, sam się tym nie zajmowałem, ale mój brat Jack siedział po uszy w takich operacjach – powiedział głośno, całkowicie ignorując stojącego za nimi gaula. – Z rozmów z nim i z Marinescu wyszło mi, że jej ludzie zadbają o wyjaśnienie naszego zniknięcia. Inaczej operacja Houdini nie miałaby sensu. Oczywiście będą to fikcyjne wyjaśnienia, ale nikt nie pomyśli, że po prostu porzuciliśmy nasze rodziny. A to znaczy, że Jules, twoje córki czy też moja rodzina nie pomyślą o nas źle. Zapewne dowiedzą się o naszej nagłej śmierci w wypadku lotniczym czy drogowym. Tak będzie najprościej. Jules nie poczuje się przez to lepiej, ale też nie będzie cię winił. Uzna, że nie żyjesz. I w sumie będzie to prawda o tyle, że tak jak w przypadku śmierci nie miałaś wyboru. To było niezależne od ciebie tak samo, jak gdybyś naprawdę zginęła w katastrofie lotniczej. Wszyscy tkwimy zbyt głęboko w jądrze, aby można to było zrobić inaczej. Nie opuszczamy bliskich z własnego wyboru, ale dlatego, że coś, czemu służymy, nie zostawiło nam alternatywy.

– Pewnie masz rację. – Lisa uśmiechnęła się do niego przelotnie i poklepała go po ramieniu.
– Dobrze, że porzucając moje poprzednie życie, mam przyjaciela, z którym mogę o tym porozmawiać. To już coś.

– Kiedy dotrzemy do Dariusa, zapewne znajdziemy tam sporo przyjaciół, którzy też trafili na

listę – powiedział Zach, ujmując jej dłoń. – Z czasem to ogarniemy. Zawsze tak jest.



Rufino Chernyshev dotarł do końca raportu, zamknął plik i zmarszczył czoło. Nie chodziło o to, że propozycje Marinescu były niewykonalne. Były jak najbardziej realne i właśnie to mu się nie spodobało.

To nie twoja sprawa, przypomniał sobie. Nie ty za to odpowiadasz. Co nie zmienia faktu, że wolałbyś teraz być gdzieś daleko, możliwie najdalej.

Uśmiechnął się, wstał z wygodnego fotela, aby potrucztać wokół gabinetu. Najbardziej brakowało mu wysiłku fizycznego, który był częścią pracy w terenie. Siłownia to nie to samo. Może to przez brak adrenaliny. Dobrze chociaż, że jego gabinet był dość obszerny, żeby trochę się w nim poruszać.

Marinescu zmodyfikowała Houdiniego zgodnie z oczekiwaniami Albrechta Detweilera. Wszystko powinno zadziałać. Nie wiedzieli jedynie, ile czasu da im Manticore. Wyreżyserowanie wszystkich przewidzianych przez Marinescu incydentów wymagało trochę czasu. Co więcej, musieli teraz łączyć ewakuowanych w liczniejsze grupy, niż zakładał pierwotny plan. Niekiedy nawet kilkaset osób musiało się jakoś pomieścić na niedużych statkach. Robiło się nieciekawie. Dotąd zakładali, że w ciągu miesiąca będą wywozić góra tysiąc sto–tysiąc dwieście osób. To nie byłby problem. W skali całej populacji układu zgony sięgały 4 procent miesięcznie. Następowaly z różnych, w większości naturalnych przyczyn. Przy trzynastu miliardach mieszkańców oznaczało to, że „zniknięci” stanowiliby zaledwie 0,00001 procent. Tyle co nic. Jednak skoro obecnie liczba ta miała wzrosnąć niemal czterdzieści razy, całe kalkulacje brały w łeb. Stąd właśnie nowy scenariusz z wykorzystaniem „zamachów terrorystycznych”.

Niemniej i w takim wariantcie pojawiało się sporo trudności, bo jakoś trzeba było tych ludzi wywieźć. Grupy po kilkadziesiąt osób nie zwracałyby uwagi, ginąc w zwykłym ruchu. Ale trzeba było zmodyfikować plany lotów, aby właściwy transportowiec znalazł się w oznaczonym czasie we właściwym miejscu, co stwarzało dodatkowe ryzyko. No i w wielu przypadkach zmuszało do użycia jednostek nieoferujących pożądanego standardu.

Marinescu i w tym miała rację, mruknął w duchu. Cholera. Ogromna część naszych ludzi będzie musiała podróżować na pokładach statków niewolniczych Manpower. I to w przedziałach niewolników. Chyba im się to nie spodoba!

Z góry się cieszył, że nie będzie musiał wysłuchiwać narzekań przedstawicieli naukowych,

politycznych czy finansowych elit Mesy, ludzi z linii alfa i beta, zmuszonych do kwaterowania w takich warunkach. Nie obchodzili go ci nieszczęśnicy, ważne, że jego to ominie.

No i zostawała jeszcze sprawa piekła, które rozpęta się na Mesie.

Jednym z aspektów planu Marinescu, który najmniej mu się podobał, był sposób, w jaki okroiła listę ewakuacyjną. Wielu ludzi, którzy oczekiwali wyjazdu w ramach Houdiniego, tak naprawdę nigdzie nie polecą. Marinescu stwierdziła, że w obecnej sytuacji po prostu nie będzie dość czasu ani środków, aby zabrać wszystkich. Zaczęła więc z zimną krwią usuwać mniej „istotne” nazwiska z list.

Niemniej osoby te nie mogły również pozostać na Mesie. Zbyt wiele wiedziały o wewnętrznym jądrze. Żadna nie była dość głęboko, aby znać istotne szczegóły, dlatego właśnie zostały uznane za mniej ważne, ale wszystkie wiedziały o planie Detweilera, o którym galaktyka jak dotąd nie usłyszała. Jeden Herlander Simões już sprawił kłopot i zbyt wiele powiedział władzom Manticore i Haven. Gdyby nagle pojawiło się kilka tysięcy takich ludzi, i to tutaj, na Mesie, sprawy przybrałyby znacznie gorszy obrót. Dlatego właśnie niektóre grupy szykujące się już do ewakuacji miały zginąć w dodatkowych zamachach „zorganizowanych przez Balet”.

Nie podobało mu się to. Więcej – uważał to za podłość. Brakowało jednak innej opcji, zimnokrwista Marinescu zaś nie miała z tym żadnego problemu. Co potwierdzało sensowność pewnej decyzji, którą Chernyshev podjął już dawno temu, chociaż nie wspominał o niej Albrechtowi czy Collinowi Detweilerowi.

Skoro wszystkie te osoby i tak miały zginąć, niech na coś się to przyda. Niech w ten sposób przyczynią się do sukcesu ruchu, któremu poświęciły całe życie. I który ostatecznie musiał je poświęcić. Sam fakt, że chodziło o „ofiary terroryzmu”, wpisywał się w naturalny sposób w narrację Równania. Głos ten mógł jednak zniknąć we wrzawie, której należało potem oczekiwać tak na Mesie, jak i ze strony Manticore, chyba że zrobi się coś jeszcze...

Zatrzymał się w truchcie i uśmiechnął. To była pierwsza pozytywna myśl, która wynikła dla niego z krwawej wersji Houdiniego. Podeszedł do biurka i połączył się z sekretariatem.

– Tak? – usłyszał niemal od razu głos Samuela Hairstona.

– Muszę przesłać wiadomość na Starą Terę.

– Oczywiście, sir. Do kogo adresowaną?

– Do Audrey O’Hanrahan – powiedział Chernyshev z szerokim uśmiechem. – Chyba nadszedł czas, aby nasza szalejąca reporterka złożyła nam wizytę i opowiedziała trochę o życiu

na Mesie.

LIPIEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Przynaj, nie sądzisz chyba, że Mike Henke zareagowałaby inaczej nawet wtedy, gdyby gubernator próbowała jej tego zakazać?”

– lady Honor Alexander-Harrington, księżna i patronka Harrington, dowódca Grand Fleet

ROZDZIAŁ LI



Nocne bezchmurne niebo nad jeziorem Michigan jaśniało gwiazdami tak samo jak zawsze w historii ludzkości. Nawet łuna bijąca od stolicy Ligi Solarnej nie przyćmiewała widoku. Wyrastające nad brzegiem jeziora wieże Old Chicago odbijały się w wodzie niczym kolejne, jeszcze liczniejsze konstelacje. Bryza wiejąca w kierunku lądu miło chłodziła miasto po upalnym dniu.

Brygadier Simeon Gaddis siedział na balkonie swojego apartamentu na pięćsetnym piętrze i kontemlował panoramę z wysoką i chłodną szklanką w dłoni.

Wszystko wyglądało tak spokojnie. Jakby nic się nie zmieniło tamtego dnia, kiedy na Starą Terrę dotarła wiadomość o wyniku bitwy o Manticore. Dnia, kiedy SLN dowiedziała się, iż całe zgrupowanie floty Massima Filarety dostało się w ręce nieprzyjaciela. Naturalnie poza tymi jednostkami, w tym co najmniej połową jego superdreadnoughtów, które zostały zniszczone przez „Wielki Sojusz” Manticore i Republiki Haven.

I nikt nie dostrzegł nadciągającej klęski, pomyślał Gaddis. Co ma pewnie związek z tym, jak bardzo sam byłem ślepy na dokonania Manticore w rozwoju systemów uzbrojenia. Ale że Manticore i Haven zdecydowały się na przymierze? Może i byli jacyś szpiedzy, którym ta możliwość zamajaczyła na horyzoncie, ale jak ja mógłbym to przewidzieć? Pokręcił głową. I cokolwiek mówi idiota pokroju Nyhusa, dla mnie jest to przekonujący dowód na to, że Manticore i Haven bardzo poważnie traktują wszystkie doniesienia na temat owego tajemniczego „Równania”. Trudno byłoby znaleźć coś innego, co mogłoby ich skłonić do zaprzestania walk, które ciągnęły się przez ostatnie osiemdziesiąt lat. Nic innego nie byłoby w stanie przekreślić narastającej przez tak długi czas wzajemnej nienawiści.

Wszystko to tylko wzmacniało wymowę informacji, które otrzymał od Lupe Blanton i Weng Zhing-hwan.

W ciągu tych kilku miesięcy, od kiedy otrzymał od nich czip, nieraz przeglądał uważnie całość dokumentacji. Był cholernie ostrożny i korzystał wyłącznie z osobistego czytnika, który nie był podłączony do żadnej sieci. Sam też rozejrzał się trochę tu i ówdzie, po cichu, tylko własnym sumptem.

Cały czas nastawiał się, że znajdzie dowody na to, że obie kobiety cierpią na paranoiczne

urojenia, ale nie znalazł niczego, co by o tym świadczyło. Co gorsza, doszedł do wniosku, że Rajmund Nyhus fabrykował raporty mające świadczyć, iż to właśnie Manticore stoi za niepokojami na Pograniczu. Gaddis był skłonny przyznać, że takie zaangażowanie Manticore miałyby sens, biorąc pod uwagę napięcie, a teraz już otwartą wojnę między Ligą Solarną a Gwiezdnym Imperium. Ale raporty Nyhusa (których on oficjalnie nie miał prawa znać) były zbyt jednoznaczne pod tym względem. Gaddis widział w swoim życiu trochę sfałszowanych dokumentów i wszystkie one były tak samo nazbyt „gładkie”. Wszystko w nich do siebie pasowało, nic nie budziło wątpliwości. Był już pewien, że zostały od góry do dołu wymyślone albo oparte na danych tylko w części prawdziwych i tak wymieszanych, aby ułożyły się w pożądaną formę. Co sugerowało, że albo Nyhus był o wiele mądrzejszy, niż Gaddis i reszta sądzili, albo działał na czyjeś zlecenie.

Najprawdopodobniej to drugie. Oczywiście w tym momencie pojawiało się pytanie, kto mógł nim sterować. Teoretycznie w grę wchodziły w pierwszym rzędzie skorumpowane międzygwiazdne korporacje próbujące podłożyć nogę Manticore, ale trochę to do nich nie pasowało. Całkiem prawdopodobna była więc i taka możliwość, że Lupe i Weng trafiły na coś o wiele większego kalibru. Coś naprawdę przerażającego.

Pociągnął drinka i westchnął, czując alkohol spływający do gardła.

A teraz jeszcze Natsuko się w to włączyła, pomyślał. Ciekawe, czy zaczyna jej już świtać, jak bardzo może to być ryzykowne?

Wybór podpułkownik Natsuko Okiku był dla niego dość oczywisty. Jej właśnie ufał najbardziej ze wszystkich swoich podwładnych. Nie tylko jako człowiekowi. Widział, jak pracowała, ostatecznie znał ją już ponad dziesięć lat. Nauczył się wierzyć jej intuicji. Była dość młoda jak na swoją rangę, kończyła dopiero czterdzieści trzy lata, ale była równie zdeterminowana, aby dopaść tych drani, jak sam Gaddis. I nieważne, kim oni mogą być i jakich mogą mieć przyjaciół. Była też bystrym i wytrwałym śledczym, który łatwo nie odpuszczał. To właśnie sprawiało, że była niezwykle cenna.

I przez to mogła zginąć.

Gaddis był przekonany, chociaż nie na sto procent, że nikt nie odnotował jej dyskretnych spotkań z kapitanem Daudem al-Fanudahim. Było prawdopodobne, że o części z nich wiedział major Bryce Tarkovsky z kierowanego przez Meindert Osterhaut wywiadu marines. Przy paru obecna była także Irene Teague. To nawet dobrze, ponieważ kapitan Teague była z Floty

Pogranicza, al-Fanudahi zaś z Battle Fleet. Pytanie tylko, co w tym wszystkim robiła Okiku.

Nie, powiedział sobie. Tu nie ma o co pytać. Przeraza cię to, że al-Fanudahi dotarł do niej przez Tarkovskiego z dokładnie tych samych powodów, dla których Lupe i Weng rozmawiały z tobą. Tak właśnie musiało być. I znając Natsuko, możesz się domyślać, co im powiedziała.

Znów upił ze szklanki i odstawił ją na bok, aby sięgnąć po komunikator. Wybrał kod Natsuko.

– Tak, sir? – usłyszał niecałe dziesięć sekund później.

– Wiem, że jest już późno, ale chciałbym coś z tobą omówić. Mogłabyś wpaść do mnie do biura jutro około dziewiątej rano?

– Oczywiście. Mogę spytać, o co chodzi?

– O nic, co nie mogłoby poczekać do jutra – odparł spokojnie. – Do zobaczenia.

– Tak, sir. Dobranoc.

– Dobrej nocy, Natsuko.

Zakończył i spojrzał na odbijające się w wodzie światła miasta i znacznie dalszą mozaikę gwiazd. Z całego serca zapragnął, aby galaktyka była naprawdę tak spokojna jak roztaczający się z jego balkonu widok.

Ale czemuś taka nie jest, pomyślał. I jeśli Natsuko zamierza dołączyć do ekipy, to dobrze będzie zapewnić jej chociaż jakąś osłonę. W końcu jestem trudniejszym celem niż pani pułkownik starająca się jak najlepiej wykonywać wyznaczoną jej pracę, dodał w myślach i ponownie sięgnął po szklankę.



– I co o tym wszystkim myślicie? – Prezydent Eloise Pritchard wskazała ręką ekran z najnowszymi przekazami z Quadrantu Talbott.

– Cóż, skłonna jestem poprzeć Mike, to znaczy hrabinę Gold Peak – odparła królowa Elżbieta Winton. – Przede wszystkim dlatego, że jest moją kuzynką, ale wydaje mi się też, że trafnie rozpoznała sytuację.

– Znam Mike niemal tak długo jak ty – zauważyła Honor Aleksander-Harrington. – Nigdy się nie zdarzyło, żeby gonila za cieniem. Przynajmniej w sprawach zawodowych. – Jej usta drgnęły. – Bo w życiu osobistym to niekiedy owszem.

– Ciesz się, że nie znałaś ciotki Caitrin, gdy była w wieku Mike. – Elżbieta przewróciła oczami. – Ale mniejsza o to. Czy mogę uznać, że popierasz jej wnioski?

– Oczywiście, że tak. – Honor wzruszyła ramionami. – Może powinnam dodać, że jestem poniekąd genetycznie predysponowana, jeśli mogę się tak wyrazić, do nieufności wobec Mesy i Manpower. Z ich perspektywy to miałyby sens, zwłaszcza w zestawieniu ze wszystkim, co dzięki Zilwickiemu i Cachatowi wiemy o Równaniu. Zapewne nie kosztuje ich to wiele więcej niż operacja w układzie Monica, a ile mogą zyskać! Wątpię, aby spodziewali się tego, co w zeszłym miesiącu spotkało zespół Filarety, ale na pewno rozumieją, że dla Biura Bezpieczeństwa Granicznego i Mandarynów był to ostatni dzwonek. Biorąc pod uwagę, jak bardzo Laokoon osłabi przychody Ligi Solarnej, za nic nie mogą sobie w tej chwili pozwolić na utratę układów Pogranicza. Jest zatem więcej niż pewne, że postarają się zareagować najsilniej, jak w tej chwili mogą. Dodatkowo ich propaganda pod wodzą Abruzziego odegra piękną sztukę na temat naszych imperialistycznych knowań. Jeśli chodzi o to, że „nasze” obiecane jednostki nie pojawią się zgodnie z harmonogramem... – Pokręciła głową z ponurym wyrazem twarzy.

– Jako ktoś, kto jest beneficjentem Manticore, chyba mogę powiedzieć coś o reputacji Gwiezdnego Królestwa – odezwał się Benjamin Mayhew. – I o tym, jak wiele ono znaczy.

– Z drugiej strony, jako ktoś mający do czynienia z tym draniem High Ridge'em wiesz dobrze, co może się dziać, gdy Gwiezdne Królestwo nie dotrzymuje słowa – dopowiedział White Haven.

– Aż tak daleko bym się nie posunął, Hamishu – sprzeciwił się łagodnym tonem Benjamin. – Nie było to złamanie przyrzeczenia. Można by się jednak zastanawiać, jaką rolę odegrała w tym jego polityka i poczynania Descroix.

– Jakaś na pewno – powiedziała Pritchard. – Swoje dołożyła też... kreatywna działalność epistolarna Arnolda Giancoli. To, jak diametralnie różne wersje naszej korespondencji wtedy opublikowaliśmy, musiało nadszarpnąć reputację Manticore.

– Nie udałoby mu się, gdyby High Ridge nie przygotował wcześniej gruntu – odpowiedziała Elżbieta. – Ale nie oddalajmy się od tematu. Pytałaś, czy moim zdaniem wykryte przez Henke machinacje są dziełem Równania. Odpowiem, że zdecydowanie tak. I całkowicie akceptuję decyzję baronowej Medusy i admirała Khumala.

– Ja też – odparła Honor z grymasem, który przypominał uśmiech. Widząc to, Elżbieta poruszyła brwiami i Honor zachichotała. – Przyznaj, nie sądzisz chyba, że Mike Henke zareagowałaby inaczej nawet wtedy, gdyby gubernator próbowała jej tego zakazać?

– Nie – potwierdziła królowa. – Chociaż wydaje mi się poniekąd możliwe, że gdybym

zakazała jej reagować na prośby o pomoc, być może trochę ograniczyłaby jej zasięg.

Honor pokręciła głową.

– Już widzę, jak to robisz.

– Ja też zgadzam się w pełni z osądem baronowej Medusy i admirała – stwierdziła Pritchart.

– Pytanie zaś zadałam przede wszystkim z tego powodu, że w tej sytuacji pojawia się jeszcze parę innych kwestii, które należy wziąć pod uwagę.

– Jakie to kwestie? – spytała Elżbieta.

– Przede wszystkim ważne jest, aby należąca do Wielkiego Sojuszu Republika Haven zadeklarowała identyczne podejście do sprawy – odparła Pritchart. – Nie możemy pozwolić, aby Mandaryni doszli do wniosku, że istnieje między nami jakiś rozdźwięk. Rozmawiałam o tym z Tomem Theismanem i innymi członkami mojego gabinetu, którzy wciąż są na Manticore. Wszyscy są tego samego zdania. Przegadałam więc to gruntowniej z Tomem i chciałabym zaoferować jakieś wzmocnienie dla twojej Dziesiątej Floty.

– Jakie wzmocnienie masz na myśli? – zapytał White Haven.

– Pomyśleliśmy, żeby wysłać tam Lestera – powiedziała Pritchart i uśmiechnęła się, widząc zdumienie gospodarzy. – Nie, nie cały nasz kontyngent Grand Fleet. Jeśli solarni nie zmadrzeją, przyda wam się porządna siła ognia tuż pod bokiem. Ale przyszło nam do głowy, że dałoby się wyodrębnić jakiś zespół z lekkimi jednostkami zamiast części okrętów liniowych. To by znacznie wzmocniło siły admirała Gold Peak. Jego superdreadnoughty mogłyby się przydać, gdyby Liga przysłała do gromady Talbott kolejną pechową flotę, lekkie siły zaś dałyby większą elastyczność reagowania na napływające prośby o pomoc. Chciałabym też dodać trochę marines, ale obawiam się, że najpierw musimy ich ściągnąć z Haven.

– To wspaniała propozycja, Eloise. – Elżbieta Winton spojrzała na nią ciepło. – Przyjmuję to z wdzięcznością. Masz rację co do siły ognia, ale jeszcze bardziej przemawia do mnie twój argument za okazaniem solidarności.

– Ale mówiłaś o paru kwestiach – przypomniała Honor.

– Tak. Drugą jest to, że moim zdaniem musimy to nagłośnić. Nie widzę żadnego sposobu, aby udało nam się dotrzeć na czas do mieszkańców wszystkich planet, którzy są przekonani, że rozmawiali z wami. Zwłaszcza że nie wiemy jeszcze, które to planety. Ale wiemy, że Równanie działało z dużym rozmachem. A skoro tak, to dlaczego mieliby się ograniczyć tylko do układów w rejonie gromady Talbott?

– To paskudny, ale całkiem prawdopodobny scenariusz – powiedział powoli Mayhew.

– Właśnie. Zastanowiłam się też, gdzie najpewniej mogliby jeszcze uderzyć. I wtedy przypomniałam sobie, że już raz spróbowali zniszczyć Torch. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mogliby znowu sprowokować jakiejś awantury w tamtej okolicy. Jeśli zaczną rozpowszechniać wersję, że wydarzenia w układzie Mobiusa są wynikiem działań Manticore na rzecz rozszerzenia wpływów, wówczas rzekoma próba stworzenia przez was strefy ochronnej wokół Torch wielu wyda się bardzo prawdopodobna. A gdyby Równaniu udało się jeszcze wbić klin między Republikę Haven a Erehwon, sugerując temu światu, że nasz nowy sojusz dąży do destabilizacji jego sąsiedztwa, chociażby dlatego, że wciąż nie możecie im wybaczyć wcześniejszego ugadywania się z nami, dla Równania byłaby to całkiem interesująca możliwość.

– Nie podoba mi się ta możliwość – powiedział po chwili White Haven. – Zwłaszcza jeśli nasze podejrzania co do sektora Maya są trafne. W żadnym razie nie chciałbym zrazić Barregosa. Wolalbym, aby nikt z jego przełożonych nie zaczął przyglądać mu się zbyt uważnie, dopóki nie będzie gotowy do realizacji swoich planów. Zakładając oczywiście, że trafnie je odgadujemy.

– Właśnie tak myślałam – zgodziła się Pritchart.

– Więc chcesz, abyśmy przekazali te informacje na Erehwon oraz Barregosowi – podsumowała Elżbieta.

– Myślę, że byłoby to mądre posunięcie – odparła Pritchart. – Wiem, że Erehwon nadal nie jest twoim ulubionym światem, Elżbieto. Ale podejrzewam, że niektórzy powiedzieliby dokładnie to samo o Republice Haven.

– Zapewne – przyznała Elżbieta z lekkim uśmiechem. – Poza tym nigdy nie winałam Erehwonu za to, co się stało. Owszem, byłam nieco zirytowana, kiedy przekazali swoją technologię twoim ludziom, ale z drugiej strony High Ridge zrobił naprawdę wiele, aby rzucili się wam w ramiona. Poza tym mocno odczuli potem nasze sankcje ekonomiczne. W ten sposób rachunki zostały wyrównane i chyba w interesie wszystkich zaangażowanych leży, abyśmy obecnie powrócili do jak najlepszych kontaktów.



– Daud, poznaj pułkownik Weng – powiedziała Natsuko Okiku.

Kapitan Daud al-Fanudahi spojrział na kobietę stojącą obok Okiku. Była o piętnaście centymetrów od niej wyższa i mimo dalekowschodniego nazwiska tak samo jasnowłosa i niebieskooka. Obie miały ten sam stopień i nosiły mundur Żandarmerii, lecz Weng miała na

pagonach klepsydrę wywiadu, Okiku zaś wagę policji kryminalnej.

– Witam panią – powiedział, wyciągając dłoń.

– Witam – odparła. Miała mocny uścisk i pewnie spoglądała mu w oczy, co budziło nadzieję.

Znajdowali się w pokoju 7-191-002-A, tym samym repozytorium, w którym ledwie dwa tygodnie wcześniej Okiku po raz pierwszy spotkała się z nim, Irene Teague i Bryce'em Tarkovskim.

– Mam nadzieję, że nie poczuje się pani urażona, ale obawiam się, że mało o pani wiem, pani pułkownik – powiedział al-Fanudahi.

– Innymi słowy, zastanawia się pan, po cholere w ogóle się zjawiłam i co z tego może wynikać – stwierdziła z uśmiechem Weng.

Skinął głową.

– Chyba nie powinienem wyrażać się w ten sposób, ale ogólnie się zgadza.

– Cóż, na to liczyłam – odparła. – Gdyby nie zadawał pan sobie żadnych pytań o moje motywy i nie żywił ani krzty niepokoju, musiałabym uznać, że coś jest z panem nie tak.

– Wspominałam ci już, Daud, że brygadier Gaddis wystawił jej pozytywną opinię – powiedziała Okiku.

Al-Fanudahi skinął głową. Niepokoiło go trochę, jak Gaddisowi udało się wpaść na trop jego śledztwa, kto manipulował Ligą Solarną... i w jakim celu. Skończyło się dobrze, ale takie rzeczy zawsze były podejrzane. Bo skoro Gaddis do nich trafił, ich działalność mógł zauważyć też ktoś inny. Na dodatek ostatnio miał wrażenie, że zdarzenia przyspieszają jak szalone i trudno było odgadnąć, jakie niemiłe niespodzianki czekają ich jeszcze na tej drodze. To też przydawało nerwowości atmosferze.

– Tak, wiem – powiedział do Okiku i spojrzał na Weng. – Skoro brygadier za panią ręczy, czuję się uspokojony. Nadal jednak nie wiem, jaką rolę może odegrać pani w naszej małej konspiracji.

– No cóż, pan podchodzi do tego ze swojej strony, ja zaś trafiłam na ciekawsze informacje będące w posiadaniu Działu Operacyjnego – odparła Weng. – Brygadier Gaddis najwyraźniej doszedł do wniosku, że powinniśmy zestawić nasze dane. Bo jeśli naprawdę coś jest na rzeczy, to obawiam się, że obecnie doszedł jeszcze jeden czynnik, o którym nic pan nie wie. Chodzi mianowicie o...

ROZDZIAŁ LII



Szczerze mówiąc, Sinead, nie jestem wcale przekonany, że Khumalo nie ma racji – powiedział Bernardus Van Dort i uśmiechnął się lekko. – Natomiast nie mam wątpliwości, że nie ucieszy się, usłyszawszy o twoich czy też naszych planach.

Siedział wraz z Sinead Terekhov na tarasie Mathonwy, jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w Thimble. Ptaki morskie, głównie rodzimych gatunków, ale z domieszką importowanych ziemskich mew, szybowały na wietrze, zdając się unosić nieruchomo nad falami i tylko czasem spadając z góry, aby dopaść jakąś nie dość czujną rybę. Daleko na wschodzie ciemniały chmury burzowe, ale do sztormu zostało jeszcze sporo czasu i na razie plaże były zatłoczone, sporo osób pływało też w falach łagodnego przyboju.

– W tej chwili myśl, że nasz dobry admirał się zbulwersuje... tylko potęguję mój entuzjazm – stwierdziła. – Poza tym ostatni raz pytałam o zgodę na podróż jakieś sześćdziesiąt lat temu.

– Możesz mi wierzyć, że cię rozumiem. Aivars trochę mi o tobie mówił. O ile pamiętam, wyznał między innymi, że jesteś „nieuleczalnie uparta”.

– Nie jestem uparta. W gruncie rzeczy nie rozumiem, dlaczego wszyscy wiecznie przypinają mi tę łatkę.

– Oczywiście. – Upił wina i nagle przestał się uśmiechać. – Prawdę mówiąc, nie pozwoliłbym ci zarezerwować miejsca, gdyby *Gertuida* nie była uzbrojona. I gdyby nie miała eskorty *Iconoclasta*. Być może nie zdołałbym zapobiec temu, byś znalazła miejsce na cudzej jednostce, ale na pewno bym ci w tym nie pomógł. – Spojrzał na nią z powagą, na co ona tylko w milczeniu kiwnęła głową.

Rembrandt Trade Union przystąpiło ostatnio do Rembrandt United Shipping, co wiązało się z włączeniem sektora Talbott do Gwiezdnego Imperium Manticore i zniknięciem wewnętrznych barier celnych w gromadzie. W ten sposób RUS pozostało największym konsorcjum armatorskim w regionie i chociaż widać już było rosnącą w siłę konkurencję, na razie pozycja rodziny Van Dortów w ramach RTU nie była szczególnie zagrożona.

RMS *Gertuida* była frachtowcem o masie sześciu milionów ton, a nie statkiem pasażerskim, ale podobnie jak większość statków RTU posiadała niewielką liczbę bardzo komfortowych kabin na użytek kierownictwa firmy. Poza tym część statków była uzbrojona, co obejmowało również

Gertuidę, która przeszła też remont dla dostosowania uzbrojenia do standardów Manticore. Jej systemy przeciwrakietowe zostały znacząco wzmocnione, a wyrzutnie pocisków reprezentowały obecnie poziom, który poza Wielkim Sojuszem był praktycznie niedostępny. Dodatkowo otrzymała kompensatory typu Admiralicji oraz odpowiednio wydajne ekrany przeciwcząsteczkowe. Sinead uważała, że statek nadawałby się idealnie do korsarstwa. Mając do towarzystwa lekki krążownik *Iconoclast*, najpewniej nie miała czego się obawiać podczas przelotu do Montany, dokąd się wybierała z ładunkiem zapasów wojskowych, amunicji i wszelkich towarów cywilnych.

Sądząc po oczach, wciąż pamięta, co się stało z jego żoną i córkami, pomyślała Sinead. Ciekawe, czy wie, że Aivars mi o tym opowiedział.

Poczuła nagły przypływ czułości wobec mężczyzny, który stał się przyjacielem jej męża. Sięgnęła nad stołem, aby położyć mu rękę na ramieniu.

– Naprawdę doceniam, jak o mnie dbasz. Aivars ma szczęście do przyjaciół.

– To chyba raczej mnie się poszczęściło – odpowiedział z uśmiechem. – Powiedz mu tylko, że walczyłem jak lew, zanim zmusiłaś mnie do wymanewrowania dowódcy placówki!

– Obiecuję!



Na falach całkiem innego oceanu, na planecie odległej o trzysta lat świetlnych od Spindle, unosił się w tym samym czasie luksusowy statek o długości ponad stu dwudziestu metrów. Niebo nad nim było ciemnobłękitne, z widocznymi tu i ówdzie białymi chmurami, wiejący z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę zachodni wiatr niósł drobinki wody. Na wszystkich planetach zasiedlonych przez ludzkość taki stan morza określany był ciągle jako siedem w skali Beauforta. Fale dochodziły do czterech metrów, ale *Grażyna* została tak zbudowana, aby poradzić sobie ze wszystkim, co działo się na Oceanie Wielkopolskim. Nawet rycząca jedenastka nie byłaby jej straszna, obecne warunki zaś wcale jej nie przeszkadzały. Tomasz Szponder i jego goście siedzieli na pokładzie, zerkając kątem oka na ciężkie wędziska zamocowane w uchwytach.

W każdym razie tak to wyglądało dla kogoś, kto mógłby ich akurat obserwować.

– Więc ty i Tomek jesteście zadowoleni? – spytał Jarosław Kotarski.

– Na ile to możliwe – odparł Szponder. – To najczystsze rozwiązanie, jakie nasunęło nam się od czasu, gdy Manticore obiecało przysłać jednostki wojenne we właściwej chwili. Naprawdę chciałbym przeprowadzić to wszystko bez rozlewu krwi, ale obawiam się, że to niewykonalne.

Niemniej powinniśmy ograniczyć liczbę ofiar do minimum.

– Jestem za – powiedział Kotarski, chociaż sądząc po wyrazie twarzy, miał pewne wątpliwości.

– Jarek, wiesz dobrze, że lepszej okazji nie będzie.

– Tak. Ale to nie znaczy, że jestem całkiem spokojny.

– To mnie nie dziwi. Ale przecież Krzywicka i inni nie odrzucą mojego zaproszenia. Niby jak mieliby to uzasadnić?

– Odrzucić zaproszenie od gościa, który ma legitymację partyjną z numerem siedemnastym? I to w Dniu Przewodniczącego? – rzucił ze śmiechem Kotarski. – I na Szafirową Wyspę? Nie ma takiej siły. Zlecą się jak muchy do gówna.

Szponder pokiwał głową.

– Właśnie. Perspektywa podniesienia przyłbicy w takim towarzystwie lekko mnie niepokoi.

– Wzruszył ramionami. – Ale trudno o lepszą okazję, żeby zebrać wszystkich w jednym miejscu. Pokriefke też pewnie będzie, ale tam damy radę nad nimi zapanować.

– A co z Mazurem? – spytał Kotarski.

Szponder skrzywił się lekko.

– Rozmawiałem z Radkiem i Kingą – powiedział. – Uważają, że w tym roku nie stać go na odmowę. Będzie musiał wziąć udział.

Kotarski nie pozbył się sceptycyzmu, ale pokiwał głową. Radosław Kot nie był tylko dziennikarzem, a Kinga Kowalewska nie była wyłącznie artystką. Kinga, która działała aktywnie w miejscowym środowisku literackim i była też znaną malarką, została w swoim czasie tajnym informatorem BBiP. Powodem zwerbowania był jej związek z Kotem, który od dawna figurował w policyjnych aktach jako „chuligan”, co w tej rzeczywistości oznaczało po prostu „kłopotliwego dysydenta”. Ktoś taki skupiłby na sobie uwagę, nawet gdyby w późniejszych latach życia nie został dziennikarzem. W tej sytuacji tajna policja Justyny Pokriefke złożyła Kingce propozycję nie do odrzucenia: jeśli nie chce sama trafić na czarną listę, powinna mieć oko na swojego wieloletniego kochanka.

Oczywiście nikt w BBiP nie zdawał sobie sprawy, że oboje należeli już wówczas do Krucjaty Wolności Myśli.

Obecnie Radosław i Kinga byli najlepszymi analitykami Krucjaty i zajmowali się wszystkim, co wiązało się z wrocławskimi oligarchami. Szponder był wprawdzie członkiem tej

grupy społecznej, oni jednak podchodzili do niej z pozycji badaczy. Przyglądali się jej z tą samą wnikliwością, która sprawiła, że Radosław był jednym z najlepszych reporterów na Włocławku. Lepiej rozumieli wewnętrzną dynamikę niż ci, którzy do niej należeli. A to oznaczało, że jeśli ich zdaniem Hieronim Mazur nie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć zaproszenie Szpondera na obchody Dnia Przewodniczącego, to najpewniej tak właśnie było.

Kotarski uznał tymczasem, że w tej sytuacji on także zmusi się, aby raz wreszcie zajrzeć na ten jubel.

Mazur nigdy nie przystąpił do Ruchu Odrodzenia Narodowego, co nie przeszkadzało mu dokładać sporo do kasy partii. Kupowanie sobie wpływów było starą i popularną grą elit Włocławka, pozwalającą na oficjalne dystansowanie się od partii, która mogła w ten sposób pozostawać stróżem wolności ludu, awangardą walczącą o jego dobrobyt i zaprzysięgłym wrogiem każdego, kto chciałby go zniewolić lub wykorzystać. Z tego powodu Mazur nie pojawiał się na żadnych uroczystościach partyjnych, w tym także i na tej najważniejszej, kiedy to Ruch Odrodzenia Narodowego świętował kolejną rocznicę dojścia do władzy. Mimo że było to także święto państwowe.

Ale tegoroczny Dzień Przewodniczącego był inny. Nie tylko dlatego, że wypadała właśnie trzydziesta piąta rocznica zwycięstwa, była to też setna rocznica urodzin Włodzimierza Ziomkowskiego. Wprawdzie partia reformatorska, którą kiedyś założył, stała się z czasem tworem nijak nieprzypominającym jego ugrupowania, ale to jedynie zwiększało zapal do świętowania i hałaśliwego wspomnienia wszystkich cnót założyciela.

– Wolałbym mieć więcej czasu na przygotowania – kontynuował Szponder. – Został nam tylko miesiąc. Powinniśmy zdążyć z organizacją drużyn bojowych. No i jest ta prosta zależność, że im dłużej coś się szykuje, tym większe ryzyko przecieku. Tak więc mała szansa, że coś zdąży dotrzeć do Pokriefke i jej ludzi.

– A to prawda – zgodził się Kotarski. – To, że zadołowałeś już sporo broni na wyspie, też nie zaszkodzi.

– Najpewniej – przytaknął Szponder. – Przypomnij mi, żebym później podziękował Hieronimowi, że uczynił z rybaków naszych sprzymierzeńców. I pomyśl, jak dobrze to wygląda, że wracamy z rewolucją Włodka na Szafirową Wyspę! Gdziekolwiek on teraz jest, pewnie bawi go ta ironia losu.

Kotarski nie tyle uśmiechnął się w odpowiedzi, ile zaniósł się śmiechem.

Niepokoje, które ogarnęły Łądek po zestrzeleniu powietrznego autobusu, nie ominęły także załóg flotylli trawlerów należących do Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza. Sporo zabitych dzieci pochodziło z rodzin rybackich i spora część środowiska otwarcie zaczęła żądać sprawiedliwości. Mieli nawet czelność wziąć udział w demonstracjach. Mazur i kierownictwo SEOM podeszli do tego bardzo krytycznie i dla przykładu podjęli decyzję o zwolnieniu wszystkich, którzy w tym czasie winni stawić się w pracy. Upředzono też, że ten sam los spotka innych, gdyby sytuacja się powtórzyła.

Ponad stu pracowników, w tym część zarządu niższego szczebla, nie usłuchała i rzeczywiście straciła robotę. Zakłóciło to na pewien czas produkcję, ale na Włocławku zawsze było dość bezrobotnych, którzy byli gotowi na prawie każdą fuchę. Firma uznała, że sprawa została załatwiona, i to nawet nie tak wielkim kosztem.

W rzeczywistości jednak nic się nie skończyło. Ruch przeniósł się tylko do podziemia. KWM już wcześniej skupiała całkiem sporo rybaków i pracowników zakładów przetwórczych. Po tym jak Mazur wypowiedział wojnę nieposłusznym, tych ludzi jeszcze przybyło. Skutek był taki, że łodzie SEOM coraz częściej przewoziły na Włocławek broń dostarczaną przez Duponga Mwenge. Transporty trafiały ostatecznie na Szafirową Wyspę na Oceanie Wielkopolskim, należąca od blisko trzystu lat do rodziny Szponderów.

Wyspa nie była wielka, miała czterdzieści jeden kilometrów długości i prawie dwadzieścia cztery kilometry szerokości. Nie należała więc również do najmniejszych. Jej całkowita powierzchnia wynosiła około pięciuset kilometrów kwadratowych, z czego większość zachowano w stanie naturalnym. Wyjątkiem były rozrzucone po plaży domki i tak zwany Dar Praksedy, wielka i urokliwa posiadłość, którą praprapradziadek Szpondera wzniósł dla swojej żony.

Ta duża przestrzeń zapewniła mnóstwo miejsca, by ukryć lekkie i ciężkie uzbrojenie. Należy jeszcze dodać, że deklaracja założycielska Ruchu Odrodzenia Narodowego została podpisana w głównej jadalni Daru Praksedy.

W tych okolicznościach Tomek ma rację, pomyślał Jarek. Nie wiem, czy istnieje jakieś życie po śmierci, ale jeśli coś tam jest, Włodek będzie miał naprawdę niezły ubaw.



– Miło panią widzieć, ma'am – powiedziała kapitan Naomi Kaplan z naciskiem na ostatnie słowo i Ginger Lewis machnęła ręką, jakby oganiała się od much.

– Trzeba zaznać swojego starszeństwa nad małymi duchem – powiedziała tonem pochwały.

Kaplan zachichotała i spojrzała na oficera taktycznego.

– Powinnaś to zanotować, Abigail – poradziła.

– Najpierw sama muszę zostać starszym – odparowała Hearn. – Poza tym taka niegodna myśl nigdy nie zagościła w mojej głowie. W przeciwieństwie do praktykujących pogaństwo tubylców z Manticore lud Graysona rozumie, jak ważna jest pokorna postawa w kontaktach z tymi, dla których los nie był łaskawy.

– Tak, jasne – mruknęła Ginger. – Zauważyłam już, jaka jesteś nieśmiała. I wycofana.

Wszystkie trzy siedziały w wygodnych fotelach w kabinie dziennej Ginger, która uśmiechnęła się do młodszej kobiety. Abigail odwzajemniła uśmiech, chociaż jej oczy były podejrzenie wilgotne, gdy przybyła na pokład *Charlesa Warda*. Nie wątpiła, że to nie był przypadek, iż to właśnie Aubrey Wanderman powitał je na pokładzie hangarowym. Paulo d'Arezzo miał do nich dołączyć na kolacji zaraz po zejściu z wachty, czyli za jakieś dziewięćdziesiąt minut. Wanderman, chociaż nie był oficerem, także został zaproszony.

Uświadomiła sobie, że w tej chwili mieli na pokładzie czterdzieści pięć procent wszystkich, którzy ocalili z dawnej załogi HMS *Hexapuma*.

Gdy zasiądą przy stole, zostanie jeszcze sporo wolnego miejsca.

– Przykro mi, że nie będzie komodora i Helen – powiedziała z żalem.

– Takie czasy – zauważyła Ginger. – I może dobrze, że admirał Khumalo zabrał Sinead Terekhov z naszego pokładu w *Spindle*. Chyba nie byłaby szczęśliwa, odkrywszy, że rozminęła się z mężem o niecałe czterdzieści osiem godzin. Pewnie coś by zdemolowała. Może nawet w większej ilości. – Zaśmiała się. – To kobieta, która wie, czego chce, i nie zamierza pokornie czekać na małżonka w domu.

– Trudno jej się dziwić – powiedziała Kaplan. – Przecież był w domu tylko chwilę.

– I jeszcze notorycznie wysyłają go na trudne misje – dodała Abigail.

– A właśnie – odezwała się Ginger. – Co tam w *Mobiusie*? Mój astrolog, Mitya Nakhimov, powiedział mi, że to jakieś dwieście lat świetlnych stąd. To musi być poważna sprawa, skoro admirał Gold Peak wysłała tam cały dywizjon ciężkich krążowników typu *Saganami-C*?

ROZDZIAŁ LIII



Proszę usiąść, panie i panowie – powiedział wiceadmirał Craig Culbertson, wchodząc szybkim krokiem do sali odpraw. Towarzyszyli mu kapitan Roscoe Weisenthal, jego kapitan flagowy, oraz kapitan Helena Sammonds, szef sztabu. – Przepraszam za tak nagłe wezwanie – dodał, podchodząc do swojego krzesła. – Pierwszy oficer kapitana Weisenthala zgłosił coś, co wymaga wyjaśnienia.

Usiadł i zgromadzeni dowódcy dywizjonów i eskadr, którzy uprzejmie zignorowali wcześniej jego prośbę o zajęcie miejsc, dopiero teraz spoczęli na krzesłach. Uśmiechnął się i pokręcił głową. Był wysokim mężczyzną o jasnych włosach, z bujną, starannie przyciętą brodą. Zwykle się uśmiechał, dziś jednak wyglądał na zafrasowanego.

– Zakładam, że wszyscy czekacie z zapartym tchem, aby poznać powód tego spotkania – kontynuował. – Nie każę wam długo czekać. Głównym celem jest omówienie możliwości, które stwarza nam przybycie z Manticore kapitana Griersona. Zdaję sobie sprawę, że jego krążowniki i niszczyciele nie zwiększą znacząco naszego potencjału bojowego, ale znacząco pomnożą liczbę pozostających w naszej dyspozycji zasobników holowanych. Pomyślałem więc, że admirał Gold Peak może oczekiwać od nas, iż jakoś to wykorzystamy.

Przerwał na chwilę i niektórzy pokiwali głowami. Mike Henke zostawiła zespół Culbertsona w osłonie Montany. Już wcześniej, zanim jeszcze HMS *Cloud* został przydzielony sir Aivarsowi Terekhovowi, który skierował się do układu Mobiusa w reakcji na drugą desperacką prośbę o pomoc wystosowaną przez Michaela Breitbarta, uszczuplono go o jeden lotniskowiec. Ponadto towarzyszyły mu dwa zespoły ciężkich krążowników typu *Saganami-C*, CruDiv 96.1 sir Prescottta Tremaine'a oraz CruDiv 94.2 kapitana Otmara Kenichiego, jak i dwa dywizjony niszczycieli. Prowadzony przez Terekhova CruRon 94 miał wrócić pod dowództwo Culbertsona zaraz po zakończeniu misji w Mobiusie, jednak nikt nie wiedział, jak długo może ona potrwać. Trudno było odgadnąć, co komodor zastał na miejscu.

Jeśli chodzi o obronę Montany, pięć lotniskowców pozostałych Culbertsonowi, wspieranych przez osiem ciężkich krążowników oraz dużą liczbę zasobników z pociskami *Mark 23*, powinno wystarczyć dla poradzenia sobie z ewentualnym zagrożeniem ze strony solarnych. Tymczasem reszta Dziesiątej Floty koncentrowała się właśnie w układzie Tillerman z zamiarem uderzenia na

układ Meyers, gdzie mieściło się centrum dowodzenia Biura Bezpieczeństwa Granicznego sektora Madras. Culbertson nie miał żadnych wątpliwości co do słuszności decyzji Gold Peak, która nie czekając na oficjalne rozkazy, wydała wojnę Lidze Solarnej, zanim jeszcze Massimo Filareta zaatakował podwójny układ Manticore. Tyle że obecnie został z siłami, które mogły nie wystarczyć do przeprowadzenia wszystkich akcji pomocowych takich jak na Mobiusie.

Oczywiście Gold Peak nie wiedziała wtedy, jak zakończyła się druga bitwa o Manticore. Culbertson wiedział i to też zmotywowało go do zwołania narady.

– W moim odczuciu powinniśmy pamiętać, że nie wiemy, w ilu jeszcze miejscach Równanie obiecało zdesperowanej opozycji wsparcie ze strony Manticore – kontynuował podniesionym głosem. – Instrukcje admirał Gold Peak przewidują, że mamy reagować na każde wezwanie, które zostanie zaakceptowane przez panią gubernator i admirała Khumala. Niemniej wydając ten rozkaz, Gold Peak nie wiedziała, że admirał Filareta został pokonany, i nie potrafiła przewidzieć, czy otrzymamy jakieś posiłki. Do czasu przybycia kapitana Griersona dysponowaliśmy zbyt skromnymi siłami i nie stać nas było na nic prócz wyczekiwania, czy ktoś nas wezwie. Szczerze mówiąc, Mobius miał cholerne szczęście, że Ankenbrandtowi udało się z nami skontaktować. Nie spodziewał się, że na Montanie trafi na nasze siły. Zamierzał jedynie wysłać stąd wiadomość na Spindle. Nie powinniśmy więc zakładać, że coś takiego się powtórzy. Inni zapewne przekazują swoje wezwania wcześniej ustalonymi kanałami, jak miał to zrobić Ankenbrandt. Tyle że wówczas ta wiadomość trafi całkiem gdzie indziej, nie do nas. Bo o to właśnie chodzi: aby do nas nie dotarła, jak stwierdził niedawno komandor Fremont. – Spojrzał na Louisa Fremonta, jednego z jego oficerów sztabowych.

Kilka osób zmarszczyło brwi.

– Poczyniona niedawno przy kolacji uwaga komandora zdecydowanie popsuła mi apetyt, gdyż jego zdaniem użycie owych „ustalonych kanałów” oznacza przesłanie wiadomości do agentów Równania albo wręcz nigdzie. Gdzieś w próżnię. W każdym razie, jak stwierdził, gdyby on kierował podobną operacją, tak właśnie by to ustawił. – Culbertson uśmiechnął się ponuro. – Niestety, tak to może wyglądać i jeden znany nam przypadek rzecz potwierdza. Jedynym powodem, dla którego wysłannik pana Breitbarta pofatygował się aż na Montanę, było to, że po ataku na Trifecta Tower sytuacja na Mobiusie szalenie się skomplikowała i użycie zwykłych środków łączności stało się właściwie niemożliwe. Dlatego zdecydowali się improwizować, próbując ustanowić łączność innymi kanałami, a nie tymi przewidzianymi przez rzekomego

wysłannika Manticore. Po rozmowie z komandorem Fremontem przejrzałem raz jeszcze wszystko, co usłyszeliśmy od Ankenbrandta i pani Summers, zanim wysłaliśmy ich na Spindle. Żadne z nich nie wspomniało, jak dokładnie miało wyglądać przekazanie informacji, ale nie ulegało wątpliwości, że działali w sposób nieprzewidziany w instrukcjach. To także wskazuje, że komandor Fremont ma rację. Ta pomoc miała nigdy nie nadejść i należy założyć, że jeśli inne światy o nią poproszą, skierują swoje przekazy do całkiem niewłaściwych ludzi. – Zamilkł i zapadła kompletna cisza. – Jeśli tak właśnie się stanie, będzie to oznaczało śmierć tysięcy, może nawet setek tysięcy ludzi – powiedział po chwili. – Może milionów. Wszyscy oni zginą przekonani, że Gwiazdne Imperium Manticore, nasze Gwiazdne Imperium, panie i panowie, haniebnie ich zdradziło. Dlatego postanowiłem, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby do tego nie dopuścić.

– Wszyscy się z panem zgadzamy, sir – rzekł chrapliwie Scotty Tremaine. – Ale jak zamierza się pan do tego zabrać?

– To dobre pytanie – stwierdził Culbertson, opierając łokcie na stole. – Przybycie kapitana Griersona oddaje nam do dyspozycji znacznie więcej lekkich jednostek, niż mieliśmy ich w chwili otrzymania zaleceń od admirała Gold Peak. Co do naszych zasobników, dzięki doświadczeniom zebranych przez kapitana Zawalę w układzie Saltash możemy sądzić, że okażą się skuteczne nawet w przypadku ciężkich jednostek Floty Pogranicza. Moim podstawowym obowiązkiem jest teraz obrona obywateli Manticore tutaj, w układzie Montana, ale to nie znaczy, że nie mogę podjąć innych działań. Zwłaszcza że obrona układu wydaje się obecnie na pożądanym poziomie. Mam zamiar zorganizować co najmniej trzy, może nawet cztery zespoły złożone z lekkich krążowników i niszczycieli. Chciałbym, aby w każdym z nich znalazł się chociaż jeden dywizjon niszczycieli typu *Roland*, aby dysponowały również pociskami o możliwie największym zasięgu. W grę wchodzi także chwilowe rozwiązanie dywizjonu kapitana Tremaine'a i przydzielenie do każdego zespołu jednego ciężkiego krążownika typu *Saganami-C*. Do tego dojdzie frachtowiec z ładunkiem zasobników z pociskami *Mark 23* i parą jednostek kurierskich, aby w razie potrzeby nie było problemów z wezwaniem posiłków. Zamierzam użyć w tym celu naszych jednostek wsparcia, ale jestem gotów sięgnąć też po jednostki zaopatrzeniowe, pozostawione do naszej dyspozycji przez admirała Khumala. Reorganizacją naszych sił zajmie się kapitan Sammonds, komandor Fremont i ja zaś przeanalizujemy dostępne materiały wywiadowcze, aby wytypować te układy w promieniu kilkuset lat świetlnych, które z

największym prawdopodobieństwem mogły się stać celem działań Równania. Szczerze mówiąc, wątpię, czy zdołamy ustalić coś konkretnego, ale zawsze wskażemy priorytety. Tak czy inaczej, chciałbym, aby nasze zespoły wyruszyły przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin.

– A gdy już dotrą na miejsce, to co wówczas, sir? – spytał komodor Madison, dowódca drugiego dywizjonu lotniskowców.

– Nie działamy w rękawiczkach – odparł zdecydowanie Culbertson. – Wszyscy widzieliście raporty na temat drugiej bitwy o Manticore. Jak powiedziała księżna Harrington, jeśli solarni chcą wojny, to będą ją mieli. Kolokoltsov i inni Mandaryni musieli już otrzymać naszą przesyłkę z oficjalnym wypowiedzeniem wojny, admirał Gold Peak zaś kieruje się właśnie do sektora Madras. W tej sytuacji nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy podejmować działań ofensywnych. Zamierzam opanować lub zniszczyć wszystkie jednostki Floty Pogranicza, obecne w tych układach. Ponadto będziemy przejmować wszystkie cywilne jednostki Ligi Solarnej jako łupy wojenne. Gdyby zaś nasi ludzie trafili na podobną sytuację jak na Mobiusie, będą mieli wolną rękę, aby rozwiązać problem – dodał, spoglądając po zebranych.



– Więc to pan jest tym Stephenem Westmanem – powiedziała Sinead Terekhov.

– Zaprawdę, ma'am. – Westman zdjął stetsona i wykonał nim zgrabny zamach, witając wychodzącą z rękawa wahadłowca Sinead. – A sądząc po portrecie, który Aivars ma w swojej kabinie, pani musi być jego żoną.

– I sam pan do tego doszedł? – zdumiała się z uśmiechem.

– Ma'am, wiem, że mieszkańcy Montany uchodzą za mało rozgarniętych, ale to krzywdząca opinia – powiedział z powagą. – Powiem wręcz, że bywają równie inteligentni jak ludzie z innych światów. Ale rzeczywiście są wśród nich i tacy jak ja, biedacy, którzy bez pomocy nawet parasola nie rozłożą. Ale się staramy. Naprawdę się staramy. Powinienem chyba jednak dodać, że kapitan Lewis uprzedziła mnie, że się pani zjawi – dodał z uśmiechem. – Powinienem się domyślić, że stary Bernardus znajdzie dla pani statek.

– Aivars zawiera tu chyba jakieś dziwne przyjaźnie – zauważyła, podając mu dłoń.

– Bo to taki człowiek, ma'am – zgodził się Westman i pocałował jej dłoń. Potem podał jej ramię i pomachał prawą ręką, wzywając podwózkę. – Pani też robi wrażenie. Kapitan Lewis ostrzegła mnie, że jest pani jak jeden z czterech żywiołów.

– Nie? Naprawdę?! – rzuciła rozbawiona Sinead. – Na pewno nie jestem tak groźna, panie

Westman!

– Nie wspominałem nic o zagrożeniach – odparł. – Ale gdy to usłyszałem, zaraz zarezerwowałem dla pani apartament prezydencki w Comstocku, to najlepszy hotel w Estelle. Trzymam go już od tygodnia, czekając, aż pani i Bernardus wymanewrujecie admirała Khumala. – Poklepał ją po dłoni. – Zadbamy o panią do chwili, gdy Aivars wróci na Montanę.



– No to zaczynamy, sir – powiedziała Helena Sammonds, stojąc na mostku flagowym HMS *Elf* i obserwując wraz z Craigiem Culbertsonem jednostki przyspieszające ku granicy nadprzestrzennej. – I zmieściliśmy się w czasie. Przypuszczam jednak, że młodszy kapitanowie mają teraz duszę na ramieniu.

– Na pewno. – Culbertson odwrócił się od ekranu. – Ale dadzą radę. A nawet jeśli nie całkiem, to i tak zgadzam się z admirałem Gold Peak. Nie możemy pozwolić na śmierć tysięcy ludzi, którzy nam zawierzyli.

– A przy okazji przetrzebi się trochę Flotę Pogranicza?

Culbertson wiedział, że Sammonds nie podaje tego w wątpliwość. Przypominała tylko, że to ostatnia chwila na przekazanie dodatkowych rozkazów dowódcom stworzonych naprędce grup operacyjnych. Niebawem stracą z nimi łączność.

– W tej sprawie admirał Gold Peak też miała rację – powiedział. – Nie mogła wiedzieć, że oficjalnie wypowiemy wojnę zaraz po ataku Filarety na nasz układ, ale po prawdzie tutaj i tak nie miało to znaczenia. – Wzruszył ramionami i zerknął kątem oka na ekran. – W tej okolicy mogą trafić tylko na Flotę Pogranicza. Wiem, że jest znacznie bardziej kompetentna niż Battle Fleet, ale zdziwiłbym się, gdyby przydzielili więcej niż dwie do czterech jednostek na układ. Mam na myśli te z naszej listy. Chociaż mogę się mylić. Jeśli Równanie naprawdę tam namieszało, lokalne władze mogły zażądać dodatkowego wsparcia. Ale nawet jeśli, to nasi mogą napotkać co najwyżej kilka krążowników liniowych. Zawała pokazał, co *Mark 16G* robi z solarnym krążownikiem liniowym. Każdy z naszych okrętów ma dodatkowe zasobniki i w każdym zespole jest jeden *Saganami-C* z dywizjonu Tremaine'a. Wiem, że nie podoba ci się to, co zrobiliśmy z tym dywizjonem, ale skoro pięć *rolandów* może jedną salwą obezwładnić cztery solarne krążowniki liniowe, to trzy takie niszczyciele, wsparte przez jeden ciężki krążownik typu *Saganami-C*, dadzą radę wszystkiemu, co można tutaj spotkać. I cokolwiek solarni sobie myślą, to już jest wojna. Jeśli więc ktoś tam będzie na tyle głupi, aby pociągnąć za spust, zamiast się

poddać na sam widok naszych okrętów, to dostanie dokładnie to, na co zasługuje.

ROZDZIAŁ LIV



Witam, panie gubernatorze – powiedział Håkon Ellingsen, gdy Jeremy Frank wprowadził go do biura Oravila Barregosa.

– O, pan Ellingsen. – Barregos się przywitał. – A to... – Uniósł brwi i spojrzał na znacznie niższego mężczyznę, który towarzyszył Ellingsenowi.

– Abernathy, gubernatorze – odezwał się tenże. – Kapitan Vitorino Abernathy.

Barregos uściskał także jego dłoń, po czym wskazał ruchem głowy na admirała, który wstawał właśnie z krzesła przed biurkiem.

– A to jest admirał Roszak.

– Miło mi pana poznać, admirale – powiedział Abernathy. – Wiele o panu słyszeliśmy. Zwłaszcza o pańskiej obronie planety Torch. – Pokręcił głową z wyraźnym uznaniem, a Roszak wzruszył ramionami.

– Mieliśmy po temu powody. I etyczne, i wynikające z traktatu.

– Wiem, ale pańscy ludzie zapłacili sporą cenę. W liczbach bezwzględnych większą niż księżna Harrington na Graysonie. Manticore to docenia.

Rozzak ponownie wzruszył ramionami, chociaż teraz wyglądał na trochę skrepowanego. Abernathy odpuścił więc temat.

– Proponuję usiąść i przejść do rzeczy – powiedział Barregos, kierując gości do małego stołu konferencyjnego. – Chcecie coś do picia, panowie? Trochę to pewnie potrwa, ale mamy też przekąski. Luiz nieźle gotuje i może nas nakarmić, jeśli za dwie albo trzy godziny zrobimy sobie przerwę.

– Sądząc po dossier admirała, to spore niedopowiedzenie – zauważył z uśmiechem Ellingsen. – Z przyjemnością skosztuję wszystkiego, co zechce pan przygotować.

– Mam nadzieję, że po konsumpcji nie zmieni pan zdania – odparł Roszak.

– Nie sędzę, admirale. – Ellingsen położył aktówkę na blacie stołu, otworzył szyfrowe zamki i wyciągnął mikroczip oraz przenośny projektor holograficzny. – Pomyślałem, że możemy zaoszczędzić trochę czasu, pozwalając sekretarzowi Langtry’emu osobiście wyjaśnić kilka spraw, gubernatorze – powiedział i wsunął mikroczip do projektora.

Chwilę później nad stołem zajaśniał wizerunek sir Anthony’ego Langtry’ego z Ministerstwa

Spraw Zagranicznych Gwiezdnego Imperium Manticore. Dyplomata siedział za biurkiem w swoim gabinecie, z panoramą Landing widoczną za znajdującym się z lewej strony kadru oknem. Ellingsen zerknął na Barregosa, a gdy ten kiwnął głową, nacisnął przycisk odtwarzania.

– Gubernatorze Barregos – zaczął Langtry. – Doceniam pańską gotowość do kontynuowania rozmów z panem Ellingsenem. Oczywiście my, Gwiezdne Imperium i sektor Maya, mamy wiele spraw do omówienia i nie zdołamy uporać się z nimi w jednej sesji. Wydaje mi się jednak ważne, aby wiedział pan dokładnie, jak widzimy te kwestie tutaj, w Landing, dlatego więc postanowiłem nagrać tę wiadomość. Pan Ellingsen cieszy się moim pełnym zaufaniem i może w dowolnej chwili rozwinąć każdy z poruszanych przeze mnie tematów, gdyby dodatkowe wyjaśnienie było konieczne. – Przerwał, jakby chciał dać słuchaczom chwilę na przetrwanie jego słów. – Witamy obecnie każdego potencjalnego sojusznika z otwartymi ramionami. Gotowość Republiki Haven do przeciwstawienia się wraz z nami agresji Ligi Solarnej była dla nas wybawieniem. Szczerze mówiąc, po ataku lutowym moglibyśmy nie przetrwać, gdyby nie pełne poparcie ze strony prezydent Pritchart. Ale „przetrwanie” to za mało, zwłaszcza wobec istnienia Równania, o którym niedawno się dowiedzieliśmy. Pan i admirał Roszak wiecie zapewne lepiej niż wielu innych, że dysponujemy znaczną przewagą taktyczną nad przeciwnikiem. Ale nasza sytuacja strategiczna nie jest tak korzystna. Zasoby ludzkie oraz potencjał przemysłowy Ligi Solarnej są wielokrotnie większe niż Gwiezdnego Imperium i Republiki Haven. Ostatecznie nawet solarni, nikogo nie urażając, rozpoznają nasze mocne strony i zaczną dążyć do wyrównania szans. Jeśli dostaną na to dość czasu, na pewno im się uda. – Langtry zamilkł ponownie, tym razem z ponurym wyrazem twarzy, i upił kawy z filiżanki. – Naszą szansą, zapewne jedyną, jest dążenie do jak najszybszego pokonania Ligi Solarnej. Musimy doprowadzić tę wojnę do pomyślnego dla nas finału, zanim przeciwnik zdoła w pełni zmobilizować swoje zasoby. Istotne jest też, aby działania zbrojne spowodowały jak najmniej ofiar i zniszczeń. To powinno umożliwić zawarcie traktatu pokojowego, który nie spowoduje fali rewizjonizmu i powrotu Ligi na ścieżkę wojenną, gdy tylko zdoła zniwelować naszą przewagę w sprzęcie i wyszkoleniu taktycznym. I tutaj właśnie pojawia się sektor Maya. – Sekretarz spojrział prosto w obiektyw. – Nie ma wątpliwości, że Mandaryni nigdy nie zaakceptują porozumienia pokojowego. W ograniczony i autodestrukcyjny sposób tkwią w przekonaniu, że zaszli już za daleko, aby się cofnąć. Są gotowi zabić dowolną liczbę ludzi, aby tylko zachować władzę i wpływy, które gwarantuje im system. Ułatwia im to fakt, że nie podlegają żadnej politycznej czy społecznej kontroli. Jest zatem

oczywiste, że jeśli ma dojść do jakiegoś porozumienia, Mandaryni muszą odejść. A tym samym, ponieważ nie ma żadnego mechanizmu politycznego, który pozwoliłby na odsunięcie ich od władzy, musimy stworzyć sytuację, w której Zgromadzenie Ligi, lub przynajmniej część zrzeszonych w nim układów, stworzy taki mechanizm prawny w dążeniu do ochrony własnych interesów albo wręcz istnienia. Mamy nadzieję, że przekonamy ich do podjęcia takich działań jako koniecznych dla przetrwania Ligi Solarnej. Bez wątpienia sam pan wie, jak głęboka jest nienawiść wobec Biura Bezpieczeństwa Granicznego i Ligi Solarnej na obszarze Pogranicza. Oraz jak bardzo jest ona uzasadniona. Myślimy o skanalizowaniu tej nienawiści i ożywieniu tęsknot za polityczną i ekonomiczną niezależnością od systemu, który tak długo i brutalnie wykorzystywał Pogranicze. Niechby głos tych światów stał się na tyle silny, aby światy centralne nie mogły go zignorować. Sądzymy, że powszechne niezadowolenie na tyle zagrozi interesom Old Chicago, że wzbudzi zainteresowanie nawet tych, którzy nie mają pojęcia, jak wielka część budżetu Ligi Solarnej opiera się na dochodach z eksploatacji światów Pogranicza. I że zrozumieją w ten sposób, że Liga zmierza do upadku. W tym celu nawiązujemy kontakt ze zorientowanymi na reformy grupami w wielu Protektoratach i niezależnych formalnie układach. Trzymamy się zasady, aby nie zachęcać do działań nikogo, kto nie ma realnych szans na sukces, gdyż nie posłużyłoby ani im, ani naszej sprawie wspieranie z góry przegranych rewolucji. Niemniej wszędzie tam, gdzie mają one realne szanse na zwycięstwo, gotowi jesteśmy wesprzeć je tak bronią, jak i osłoną ze strony naszej marynarki wojennej. Zwracam się do pana, ponieważ znamy, przynajmniej w ogólnym zarysie, plany władz sektora Maya. Sądzymy, że uzyskanie przez niego niezależności byłoby zdecydowaną zmianą na lepsze i bez wątpienia leżałoby w naszym najlepiej pojętym interesie nawiązanie przyjaznych kontaktów z nowym gwiazdnym państwem. Zależy nam też na odtworzeniu dobrych stosunków z Erewhonem i ogólnej stabilizacji strategicznego sąsiedztwa Gwiazdznego Imperium Manticore, jak i Republiki Haven. Z tego właśnie powodu proponuję wam formalny sojusz z Gwiazdnym Imperium i Republiką. Z oczywistych powodów nie zostałyby to oficjalnie ogłoszone w najbliższym czasie, niemniej pan Ellingsen i kapitan Abernathy są upoważnieni do rozmów z panem w takich sprawach, jak wsparcie wojskowe i ekonomiczne, które mogłyby przyczynić się do sukcesu waszego przedsięwzięcia.

Przerwał raz jeszcze i uśmiechnął się lekko.

– Jest takie stare powiedzenie, jeszcze sprzed Diaspory, polityczna mądrość, która może

mieć zastosowanie i dzisiaj, jeśli chodzi o wszystkich przeciwników Ligi Solarnej: „Jeśli nie będziemy trzymać się razem, zawisniemy każde z osobna”. Zarówno ja, jak i moja królowa oraz prezydent Pritchart uważamy, że w chwili obecnej będzie przejawem rozsądku, jeśli Wielki Sojusz i sektor Maya postanowią trzymać się razem.



– Nigdy nie oczekiwałam, że zobaczę coś takiego. Czy też może nie chciałabym widzieć takiej siły idącej prosto na mnie – powiedziała kapitan Loretta Shoupe.

Wraz z komandorem Ambrose'em Chandlerem i kapitan Victorią Saunders stała na mostku antycznego okrętu flagowego admirała Augustusa Khumala. Sam admirał także nie sądził, że przyjdzie mu kiedyś ujrzeć coś podobnego.

– Cieszę się, że nikt nie spodziewa się teraz po mnie odparcia inwazji – powiedziała Saunders. – *Hercules* to niezła łajba, ale do tego po prostu się nie umywa. – Wskazała spojrzeniem na ekran i Khumalo parsknął śmiechem.

– Przy całym szacunku dla *Herculesa*, gdybyś uznała, że poradziłby sobie z taką siłą ognia, zaraz zwolniłbym cię z dowodzenia!

Lester Tourville nie żałował, że Eloise Pritchart i Thomas Theisman zabrali go z Grand Fleet. Wprawdzie musiał przekazać jeden zespół wiceadmirałowi Sampsonowi Hermierowi i utracił po jednym dywizjonie superdreadnoughtów z pozostałych dwóch zespołów, dostał jednak na ich miejsce dwa dodatkowe dywizjony krążowników liniowych i jeszcze flotyllę lekkich krążowników. Ta nowa, odmieniona Druga Flota liczyła obecnie dwieście trzydzieści jeden okrętów, którym towarzyszyło dwieście pięćdziesiąt jednostek wsparcia. Cała ta siła zwalniała właśnie, lecąc kursem na Spindle. W jej składzie znajdowały się trzydzieści dwa nowoczesne superdreadnoughty z zasobnikami holowanymi, chociaż podobnie jak te z Dziesiątej Floty nie były wyposażone w system Keyhole-Two.

– Co wiemy o Tourville'u, sir? – spytała Saunders. – Wiem, że był naczelnym dowódcą marynarki wojennej Ludo... Wróc. Chyba muszę się bardziej pilnować. Był dowódcą głównego zespołu marynarki Haven, gdy uderzyli na Manticore. I dowodził też zespołem operacyjnym, który zastawił zasadzkę na Filaretę, gdy solarni nas zaatakowali. – Pokręciła głową, zdumiona, jak szybko narastająca przez ponad pół wieku wrogość ustąpiła całkiem innemu nastawieniu. – Domyślałam się, że to właśnie doprowadziło go do obecnego stanowiska dowódczego – dodała. – To wskazuje, że jest dobry, ale tak naprawdę nie wiem, jak dobry.

– Myślę, że to pytanie do mojego zawsze dobrze poinformowanego personelu – odpowiedział Khumalo i zerknął na Chandlera. – Ambrose?

– Z tego, co wiemy, jest ich odpowiednikiem księżnej Harrington – odparł Chandler. – A może i trochę lady Gold Peak, ponieważ ma reputację kowboja i zapewne dobrze się poczuje na Montanie. – Saunders zaśmiała się cicho. – Przypuszczam, że ta reputacja jest nieco przesadzona. W końcu wielu to samo mówi o admirał Gold Peak. Stąd właśnie moje porównanie. Ale wiemy też, że to mylny osąd. Naprawdę wątpię, czy jako „kowboj” zdołałby działać aż tyle. Księżna Harrington jest jedynym dowódcą, który go pokonał, on zaś jedynym, który pokonał księżną Harrington. Chociaż trzeba przyznać, że okoliczności zdecydowanie mu sprzyjały.

– Skoro stawiamy na obiektywizm, to pozwolę sobie też przypomnieć, że gdy księżna Harrington go pokonała, miała do dyspozycji system Apollo – wtrąciła Loretta Shoupe. – On nie dysponował wtedy czymś podobnym.

– Tak, to istotna różnica – zgodził się Khumalo. – Ale najważniejsze, że admirał Theisman i prezydent Pritchard przysłali nam jednego ze swoich najlepszych dowódców. – Pokręcił głową. – Gdyby solarni zaatakowali teraz gromadę Talbott, mieliby do czynienia z dwoma „pistoletami”, co nie daje im większych szans – dodał tonem głębokiej satysfakcji.



– Pani gubernator – powiedział Lester Tourville, zatrzymując się dokładnie trzy metry od biurka Estelle Matsuko, po czym stanął na baczność i skłonił się lekko, co jej zdaniem było udanym kompromisem między galopującym egalitaryzmem Republiki Haven a uwielbieniem rytuałów charakterystycznym dla monarchii. Siedzący na jego ramieniu treecat obserwował te manewry z wyraźnym zainteresowaniem, a może i rozbawieniem.

– Witam pana, admirał Tourville – odparła, wstając i wychodząc zza biurka. – Jest pan nader mile widzianym gościem.

– Dziękuję, milady. – Uścisnął jej wyciągniętą dłoń. Jego bujne wąsy poruszyły się w lekkim uśmiechu. – W swoim czasie nasze spotkanie mogłoby wyglądać inaczej. Mam jednak nadzieję, że te zaszłości nie będą tu nikomu przeszkadzać.

– Zapewniam pana, że admirał Khumalo, admirał Gold Peak i ja przemówimy oponentom do rozumu. – Mimo znacznej różnicy wzrostu bez trudu spojrzała mu w oczy. – Walczył pan o swój kraj tak samo jak obywatele Manticore o swój. Teraz zaś wiemy także, dlaczego doszło do tej walki. Co więcej, pańska marynarka wojenna wraz z nami stawiała czoło Lidze Solarnej. Nasza

długa wojna odeszła w przeszłość. Jeśli mimo to znajdzie się tu jakiś fanatyk gotów kultywować niegdysiejszą wrogość, szybko zostanie odesłany do domu. I to wcale nie z listem pochwalnym włączonym do akt!

Tourville zerknął kątem oka na treecata na swoim ramieniu. Kotowaty skinął lekko głową. Medusa udała, że niczego nie zauważyła. Została już poinformowana, że wszyscy ważniejsi dowódcy Wielkiego Sojuszu otrzymali ochronę treecatów, chociaż nie wiedziała, że dotyczyło to także Tourville'a. Admirał przywykł już chyba pytać swojego towarzysza o szczerość rozmówców.

– Oddycham z ulgą, słysząc taką deklarację – powiedział spokojnie. – U nas nadal są ludzie, którzy mają zastrzeżenia do współpracy z Gwiezdnym Imperium. Znajdą się tacy także wśród moich podwładnych. Wynika to pewnie z ich osobistych uprzedzeń. W jakimś stopniu jest to nieuniknione, biorąc pod uwagę, ilu naszych przyjaciół i oficerów poległo po obu stronach w tej wojnie. Ale zapewniam panią, że w Drugiej Flocie także nie ma miejsca dla fanatyków. Gdyby się jakiś znalazł, wróci do domu tym samym statkiem.

– Jak dla mnie to wystarczy – powiedziała ciepło Medusa. – W imieniu własnym, premiera Alquezara i jego gabinetu oraz admirała Khumala i Royal Manticoran Navy zapraszam pana, pańskich podwładnych i wszystkich starszych oficerów na bankiet, który zaplanowaliśmy na dzisiejszy wieczór. Wystarczą mundury wyjściowe. To nie będzie żaden przesadnie oficjalny jubel. Minister skarbu Lababibi szykuje zabawę na plaży w stylu Spindle. – Uśmiechnęła się. – Proszę ostrzec swoich, że program przewiduje moczenie nóg w oceanie!



– Cholera jasna – mruknął pod nosem Craig Culbertson. – To dość nieoczekiwane.

– Trudno ująć to inaczej – odparła Helena Sammonds, która stała za fotelem admirała i spoglądała na ten sam ekran. – Szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym przed wysłaniem naszych „poszukiwaczy”.

– Słuszna uwaga – przyznał Culbertson. – Może powinniśmy skierować część ich śladem?

– Zapewne nie byłby to dobry pomysł, sir. Nie bylibyśmy w stanie przydać im wystarczającej eskorty – odparł komandor Fremont siedzący po drugiej stronie biurka Culbertsona. Admirał spojrzał na niego i oficer operacyjny rozłożył ręce. – Biorąc pod uwagę charakter naszych wizyt i łatwą do przewidzenia reakcję solarnych, nagłe pojawienie się w układzie nieuzbrojonego i pozbawionego eskorty transportowca z wojskiem na pokładzie

mogłoby sprowokować nieciekawą sytuację.

– Coś w tym jest, sir – powiedziała Sammonds.

Culbertson pokiwał głową. Wiedział, że mają rację, ale pokusa była silna.

Przełączył swój ekran na przekaz z centrum informacji bojowej i ujrzał schemat całego układu Montana z pięciominutowym marginesem poza granicą nadprzestrzenną. Widniały na nim także trzy zielone ikony transportowców floty zmierzających obecnie na orbitę planety. Żaden z nich nie był duży, największy miał zapewne masę około kilku milionów ton, ale zgodnie z przesłaną już informacją niesły na swoich pokładach ponad pięćdziesiąt tysięcy wyszkolonych żołnierzy z pełnym wyposażeniem, w tym lekkimi zbrojami terenowymi, nie pierwszej młodości, ale wciąż skutecznymi myśliwcami atmosferycznymi oraz znacznymi zapasami amunicji.

– Szkoda też, że lady Gold Peak nie wiedziała o nich przed odlotem do sektora Madras – dodał.

– Amen – odezwał się komandor Gert Spinrad, astrogator Culbertsona. Miał dopiero trzydzieści sześć lat i był najmłodszym członkiem sztabu. Służył dwa lata w Marynarce Wojennej Graysona i Culbertson niekiedy podejrzewał, że pozostawiło to trwały ślad w jego sposobie myślenia.

Ale miał rację. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy byłoby bezcennym dodatkiem do sił ekspedycyjnych Gold Peak. Jeśli zaś to nie jest wszystko...

– Myślicie, że znajdują ich jeszcze więcej? – spytał admirał, patrząc na Sammonds i Fremonta.
– Może nawet milion?

– Cóż, admirał Khumalo wspomniał, że znaleźli o wiele więcej oddziałów, niż oczekiwali – zauważyła Sammonds z krzywym uśmiechem. – I zapowiedział, że nie będzie ich nigdzie wysyłał, dopóki nie zdobędzie dość transportowców. Ale daje to nam nadzieję na większą zdolność elastycznego reagowania w przyszłości, prawda?

Culbertson musiał przyznać, że Helena miała dar do lakonicznego ujmowania złożonych spraw.



– Zaiste imponująca lista – stwierdziła kapitan Edie Habib, szef sztabu Luiza Roszaka. Jedną rękę ulokowała na podłokietniku fotela i wsparła na niej brodę, palce drugiej zajęte były kosmykami jej ciemnorudych włosów. – Pierwszy raz słyszę o czymś takim jak pełne trzy dywizjony superdreadnoughtów służące za wsparcie kilkunastu krążowników liniowych!

– Owszem. – Roszak obserwował ekran ze swojego fotela. – Po prawdzie Ellingsen i Abernathy zaproponowali nam czwarty dywizjon, ale nie chciałem robić na naszych nowych sojusznikach wrażenia osoby nazbyt chciwej, więc podziękowałem. Niech zwycięża skromność.

Habib zaśmiała się i spojrzała na admirała.

– To nam mocno ułatwi pracę – powiedziała. – Kiedy usiądziemy z nimi, aby zająć się konkretnym planowaniem?

– To jedyny robak, który mnie gryzie – odpowiedział Roszak, zaskakując Habib. – Abernathy mówi, że w wyniku ataku Filarety na układ macierzysty Manticore pojawiły się obawy przed podobnymi działaniami SLN wymierzonymi przeciwko Beowulfowi. Zaczęto też się zastanawiać, czy Kingsford i Mandaryni nie spróbują kolejnego ataku na Manticore, tym razem znacznie większymi siłami. Dodatkowo wywiad sugeruje, iż ktoś, zapewne Technodyne i całe to Równanie, obiecują marynarce solarnej dostawę pocisków drugiej generacji, podobno o wiele lepszych niż te, z którymi spotkaliśmy się w Torch. – Wzruszył ramionami. – W tych okolicznościach Abernathy stwierdził, że ich planowanie obejmuje przede wszystkim organizację obrony różnych celów, w tym układu Haven, gdyby ktoś w Old Chicago okazał się dość szalony, aby spróbować takiego ataku. Minie zapewne parę miesięcy, nim wygospodarują dość personelu sztabowego do innych zadań. W tym do wspólnego planowania. W tej chwili wolą więc dać nam wolną rękę w wyborze planów operacyjnych z wykorzystaniem wszystkich sił, które przekazano do naszej dyspozycji. – Spojrzał znacząco na ekran.

– Dają nam carte blanche? – spytała z autentycznym zdumieniem Habib.

– Abernathy został upoważniony do przekazania nam, że jeśli nie zdarzy się coś problematycznego, będą gotowi dostosować się do naszych planów. Najwyraźniej więc dają nam dużą swobodę jako sygnatariuszom wciąż tajnego sojuszu. Ellingsen dodał też, że skoro to my ponosimy bezpośrednie ryzyko, a zarazem z oczywistych powodów lepiej orientujemy się w sytuacji strategicznej w regionie, dobrze będzie na tym etapie powierzyć nam planowanie. W ten sposób inne sprawy nie będą nas rozpraszać. Na przykład kwestie możliwej inwazji na macierzysty układ.

– To ma sens – powiedziała Habib. – Ale to i tak hojny gest. W sumie trudno o dobitniejszą deklarację przyjaźni niż przysłanie trzech pełnych dywizjonów najnowocześniejszych superdreadnoughtów!

– Wiem. Tylko... – Roszak pokręcił głową. – Rzecz w tym, że Abernathy zdawał się mniej

zorientowany w szczegółach, niżbym mógł się spodziewać po kimś na jego stanowisku.

– Co masz na myśli?

– Mam wrażenie, że to bardziej urzędnik niż żołnierz – odparł admirał. – Naprawdę przydałby mi się tutaj Jiri. On ma dobry instynkt do takich spraw.

Habib skinęła głową ze zrozumieniem. Komandor Jiri Watanapongse, oficer wywiadu Roszaka, był jednym z najbystrzejszych analityków, jakich zdarzyło się jej spotkać. Chociaż uważny i sceptyczny, wiedział także, kiedy zaufać intuicji.

– Możesz mieć rację – powiedziała po chwili. – Myślę o tych talentach urzędniczych. Wspominałeś, że z ich strony sprawę prowadzi Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Skoro mają ją za taką ważną, sięgnęli po możliwie najsprawniejszego dyplomatę. Zapewne jakoś związanego z wywiadem marynarki.

– Wiem. Tak właśnie przedstawiłem rzecz pani gubernator. Jest w tym pewna logika, chociaż osobiście wybrałbym pewnie kogoś w mundurze, oczywiście z odpowiednim stopniem dostępu do tajnych materiałów. Zależałoby mi na jak najlepszej współpracy operacyjnej. No i zrobiłbym, co w mojej mocy, aby uniknąć sypania piasku w tryby.

– Piasku w tryby? – spytała Habib. – Wydaje się, że myślisz o czymś więcej niż tylko ta drobna niedogodność, że przysłali nam niekoniecznie najbardziej odpowiedniego gościa.

– Możliwe, że to tylko trema – stwierdził z uśmiechem Roszak. – W końcu pracujemy nad tym już od dłuższego czasu. Wiemy dokładnie, co chcemy osiągnąć, i wszystko zaplanowaliśmy. Więc gdy nagle, praktycznie w ostatniej chwili, objawił się nam Święty Mikołaj z całym worem prezentów, zacząłem się na serio martwić, czy nasze plany nie ucierpią poważnie na skutek tak daleko idącej modyfikacji.

ROZDZIAŁ LV



Lepiej już nie będzie – orzekł ponuro Adam Šiml.

On i Karl-Heinz Sabatino znajdowali się w apartamencie w Zlatobýl Tower, spoglądając z góry na panoramę Velehradu i kaniony ulic. Tym razem nie było burzy, miasto zasnuwał zimny, monotony, szary deszcz. Sam ten widok sprawiał, że człowieka ogarniał chłód, nawet w ciepłym wnętrzu mieszkania.

Co więcej, pogoda idealnie oddawała panujący w stolicy nastrój.

– Przynajmniej nikt nie ginie na ulicach – powiedział Sabatino, któremu też nie było do śmiechu.

Šiml skinął głową.

Nadal pogardzał wszystkim, co reprezentował sobą jego towarzysz, w tym i chłodną kalkulacją, z jaką manipulował gospodarką Chotěbořu. Nie zamierzał też dać się nabrać na pozory, wiedział, że Sabatino w żadnym wypadku nie pozwoli, aby cokolwiek przeszkodziło w realizacji planów jego mocodawców z Ligi Solarnej. Ale w tej chwili płonący w jego oczach gniew wyglądał na całkiem autentyczny. Może chodziło o to, że dla niego mieszkańcy Chotěbořu nie byli tak naprawdę ludźmi, tylko składową gry rynkowej, żetonami w politycznej ruletce. Czymś, co Frogmore-Wellington i Iwahara Interstellar mogły wykorzystać do swoich celów. Zamieszki i pozostały po nich bilans ofiar zaburzyły ten obraz, przypominając o tym, że owe żetony to jednak istoty ludzkie.

Ewentualnie Sabatino był po prostu mocno wkurzony. Wiedział przecież, że takie wydarzenia na dłuższą metę szkodzą interesom.

Tak czy inaczej, był wyraźnie niezadowolony z poczynań administracji Cabrnocha.

– W tej chwili nie ginie – odparł Šiml z goryczą w głosie. – Ale niebawem zaczniesz. Daniel zdołał docisnąć pokrywę kotła, ale ciśnienie w środku rośnie. Nie utrzyma jej długo.

– Wiem. – Sabatino pokręcił głową. – Ludzie Gunnara mówią to samo. Nawet ten cholerny Holowach powtarza to Luisowi Vernerowi. Cały czas utrzymuje, że mamy tu do czynienia ze zorganizowanym ruchem oporu.

– Naprawdę? – Šiml zmarszczył brwi, chociaż z całkiem innych powodów, niż Sabatino mógłby sądzić.

Šiml zawsze podejrzewał, że major Holowach był o wiele bystrzejszy, a co najmniej sprytniejszy, niż Gunnar Castelbranco. Wydawało się mało prawdopodobne, aby Holowach miał naprawdę tylu dobrze opłacanych informatorów co szef ochrony korporacji, wszystko jednak wskazywało, że major Żandarmerii i kapitan Price, jego starszy analityk, przyjmowali taką właśnie wersję, ponieważ pasowała ona do oczekiwań ich przełożonych.

– Czy administrator systemu Verner powiedział, o jaki „ruch oporu” chodzi?

– Nie, nie powiedział niczego konkretnego. – Zirytowany Sabatino wzruszył ramionami. – Poza tym, gdyby taki ruch istniał, wykorzystaliby zamieszki po meczu.

– Zapewne – zgodził się Šiml. – Zakładając, że byłby akurat gotów do działania.

– Cóż, jeśli nie był gotów teraz, to już nigdy nie będzie gotowy! – stwierdził Sabatino. – Co nie zmienia faktu, że możesz mieć rację. Już od jakiegoś czasu obawiałem się pomysłów Cabrnocha, ale naprawdę nie sądziłem, że pošle siły bezpieczeństwa do takiej akcji. Co on sobie wyobrażał?

– Prawdopodobnie to samo co piętnaście miesięcy temu, przed Náměstí Žlutých Růží – odparł szorstko Šiml. – Mam wiele osobistych powodów, aby nienawidzić tego człowieka, ale nawet odkładając te animozje na bok, zaczynam uważać, że gotów jest reagować przemocą na wszystko, co może zagrozić jego władzy. A jest taka zasada, że gdy za mocno ściśniesz sprężynę, to nie wiadomo, jak daleko odskoczy, gdy tylko ci się wymknie.

Sabatino skinął głową i spojrzał na kieliszek wina.

– Prawdę mówiąc, z początku miałem to za dobry ruch – powiedział. – Biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje w gromadzie Talbott, nie trzeba nam tu politycznych niepokojów. Kto wie, do czego może to jeszcze doprowadzić! Ale potem, zwłaszcza od czasu, gdy zawarliśmy znajomość, zacząłem zmieniać zdanie. Nie lubię Holowacha, ale miał rację, kiedy mówił, że system polityczny Chotěbořu stał się zbyt skostniały. Zapytałem go, co to ma znaczyć, a on powiedział, że gdy rząd nie ma zamiaru tolerować publicznych wyrazów niezadowolenia, to oznacza dwie rzeczy. Po pierwsze, że rząd stracił zdolność do skutecznego reagowania na przyczyny tego niezadowolenia. Powiedział, że niekoniecznie muszą to być ustępstwa. Trzeba wtedy zająć się tym, co spowodowało problemy, i zmniejszyć napięcie. Jeśli rząd tego nie zrobi, napyta sobie biedy. A po drugie, i to chyba dobrze opisuje Cabrnocha, jest to znak, że rząd uległ syndromowi „obleżonej twierdzy”. W tej sytuacji to, co nie jest po jego myśli, uznaje za wrogie i zagrażające. Wskazał, że przyjęcie takiego kursu będzie tylko rodzić męczenników.

Šiml pokiwał głową. Był pod wrażeniem. Nie dość, że analiza Holowacha była naprawdę odważna, to jeszcze Sabatino przyznawał, że mogła być trafna.

– Więc co z tym zrobimy? – spytał cicho.

Sabatino przez dłuższą chwilę patrzył w okno, po czym wstał. Podszedł do szyby i stanął odwrócony plecami do Šimla.

– Cabrnoch musi odejść – powiedział w końcu. – Verner nie dostanie Żandarmerii ani floty do stłumienia ewentualnego powstania. I szczerze mówiąc, biorąc pod uwagę ogólną sytuację, gdyby nawet coś z tego wyszło, byłaby to totalna katastrofa. Najpewniej nie obeszłoby się bez poważnych uszkodzeń infrastruktury układu. Frogmore-Wellington i Iwahara mocno by to odczuły i ich centrale byłyby bardzo niezadowolone. Liczbę ofiar trudno nawet oszacować. Z mojej perspektywy byłoby to jeszcze gorsze. Siły Manticore stacjonują teraz ledwie sześćdziesiąt cztery lata świetlne od nas. Prawdopodobieństwo, że po czymś takim nikt nie spróbuje wezwać ich na pomoc, jest zdecydowanie niskie.

Šiml ponownie skinął głową. Naprawdę starał się nie okazać zaskoczenia. To była najtrafniejsza ocena sytuacji w układzie Kumang, jaką zdarzyło mu się dotąd usłyszeć od Sabatina.

– Pewnie myślisz, że dałem tyle forsy na Sokol, bo lubię piłkę nożną i baseny pływackie – ciągnął Sabatino. – Wiem też, że nieźle wyszedłeś finansowo na naszej znajomości. Podejrzewam, że wiedziałeś od początku, iż dojrzałem w tobie polityczną przeciwwagę dla rządów Cabrnocha. Od kilku lat widać, że traci poparcie. Tak, zainwestowałem w Sokola i w ciebie, żeby mieć taką przeciwwagę, gdy okaże się potrzebna. Nie będę udawał, że jestem wielkim filantropem. Zrobiłem to, co z czysto pragmatycznego punktu widzenia należało zrobić dla dobra interesów. Wobec tego, co zdarzyło się na mieście w zeszłym miesiącu, mam cię obecnie za najlepszą alternatywę dla Chotěbořu.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem Šiml też wstał i podszedł do Sabatina.

– Rozumiem – powiedział cicho. – Poważnie sugerujesz usunięcie Jana z urzędu i osadzenie mnie na jego miejscu?

– Tak – odparł Sabatino.

– A jak chcesz to zrobić? Nawet gdyby istniała jakaś szansa na uczciwe wybory, to do najbliższych zostały jeszcze dwa lata. Jeśli zaś administrator układu Verner nie ma dość środków, aby zdławić powstanie, to jakim sposobem miałby rozbroić Siły Bezpieczeństwa Publicznego?

– Nie dojdzie do tego – rzucił zdecydowanie Sabatino. – Mogę złożyć Cabrnochowi tak zwaną propozycję nie do odrzucenia. Podobnie jak wiceprezydentowi Juránkowi. – Wzruszył ramionami. – Mam dużo pieniędzy. Pewnie uda mi się kupić Juránka za mniej, niż dajemy przez rok Cabrnochowi. Cabrnoch może być trochę droższy i może się targować, ale spodziewam się, że zmieni zdanie, gdy uświadomię mu, jaki ma wybór. Albo przyjmuje moją ofertę, w gładkim stylu składa rezygnację i otrzymuje luksusową willę na wybrzeżu oceanu Cragmore w układzie Boyle oraz gwarantowany po wsze czasy dochód w wysokości połowy tego, co zarabia obecnie. Albo odrzuca moją ofertę, a ja cofam wszelkie poparcie finansowe, zaczynam głośno się domagać powszechnych wyborów i udostępniam dowody świadczące o głębokim skorumpowaniu tej administracji, jak i naruszeniach praw człowieka, manipulacjach propagandowych i aferach finansowych. Potem ty, jako rzecznik ruchu na rzecz przeprowadzenia referendum dla odwołania Cabrnocha, zwracasz się z prośbą do administratora układu Venera, aby Biuro Bezpieczeństwa Granicznego podjęło się nadzorowania tego referendum i zagwarantowania, że będzie ono naprawdę uczciwe i odzwierciedli oczekiwania ludu Chotěbořu.

– Uśmiechnął się lekko. – Jak sądzisz, co wybierze?



– Uważasz, że on tak na poważnie? – spytał Zdeněk Vilušínský.

– Tak, chyba tak – odparł Šiml. – Oczekuje mojej odpowiedzi przed upływem dwudziestu sześciu godzin.

– Cholera – powiedział rozmarzonym tonem Vilušínský.

– Nie daj się zwieść – ostrzegł go Šiml. Vilušínský spojrzał na niego i wzruszył ramionami. – Przyznaję, że do pewnego stopnia nawet go polubiłem i uważam, że jego propozycja daje chyba największe szanse na, powiedzmy, miękkie lądowanie, bez wybuchu gniewu. – Spojrzał na widoczne za oknem miasto. – Jednak nadal jest miejscowym przedstawicielem Frogmore-Wellington i Iwahary i absolutnie nie ma zamiaru ingerować w ich politykę ekonomicznego wyzysku. Zapewne jest naprawdę niezadowolony z liczby ofiar ostatnich zamieszek, chyba w ogóle nie oczekiwał, że coś takiego może się zdarzyć. Ostatecznie było to czterdzieści razy więcej niż w przypadku demonstracji na Náměstí Žlutých Růží. Wydaje się, że to nim wstrząsnęło, ale koniec końców jest i pozostanie lojalny wobec ludzi, którzy mu płacą.

– Czyli co? Oczekuje, że zajmiesz miejsce Cabrnocha, ale tak naprawdę będziesz robił to samo co on?

– Nie. Moim zdaniem spodziewa się, że przeprowadzę kilka prawdziwych reform. Ale to nadal ma być fasadowa demokracja. Być może pozwoli na niej jakie uzdrowienie gospodarki, ale na pewno na nic więcej.

– To i tak byłaby ogromna poprawa wobec tego, co mamy teraz – powiedział Vilušínský. – A jeśli już wstawisz stopę w drzwi, zyskasz jakąś swobodę działania i wtedy...

– Nie – powtórzył z naciskiem Šiml. – Stopniowe reformy teoretycznie byłyby dobre, ale historia uczy, że to się rzadko sprawdza. Jeśli chcemy naprawdę zmienić system, musimy wyrwać wszystko z korzeniami. W przeciwnym razie korporacje bez trudu zawłaszczą reformy, wijąc sobie dzięki nim jeszcze wygodniejsze gniazdko. Nawet gdyby Sabatino był skłonny mi na to pozwolić, obecna elita władzy zaraz podniosłaby krzyk. Mając dość czasu, zdolaliby storpedować każdą reformę. Zatem jeśli już uchylę te drzwi, muszę naprzec na nie ramieniem i szeroko je otworzyć. I to nie kiedyś w przyszłości, ale teraz, od razu.

– W jaki sposób?

– Dzięki nabytkom Michala Pastery i radosnemu importowi Martina Holečka mamy dość nowoczesnej broni, aby wystawić armię złożoną z dwóch trzecich aktywnych członków Jiskry. Po tym, co wydarzyło się w zeszłym miesiącu, nikomu nie zabraknie motywacji, gdy tylko trafi się sposobność do walki.

– Jaką sposobność masz na myśli? – zapytał ostrożnie Vilušínský.

– Cabrnoch składa rezygnację, Juránek robi to samo, zarządza się nadzwyczajne wybory, które mają wyłonić ich następców. Wygrywam je dzięki pomocy Sokola i wsparciu Sabatina. – Šiml przerwał i Vilušínský skinął głową. – Obejmuję urząd i daję sobie tydzień, może miesiąc. Potem zapraszam Daniela Kápičkę, a może i pana Sabatina na spotkanie. Nie w pałacu prezydenckim. To będzie ciche spotkanie u mnie w domu. Przychodzą i kilku uzbrojonych naszych ich aresztuje. Jak dobrze pójdzie, nikt przy tym nie zginie. Potem występuję w holo, ogłaszam, że Daniel złożył rezygnację, i zarządzam rozwiązanie Sił Bezpieczeństwa Publicznego. W tej samej chwili setki bojowników Jiskry opanowują koszary i zbrojownie SBP w całym Velehradzie.

– Naprawdę myślisz, że ludzie Kápički daliby się tak podejść?

– Myślę, że jest taka szansa – odpowiedział Šiml. – Nie wiem jak duża, ale jakaś na pewno. Po tych zamieszkach ludzie sami wyjdą na ulice, i to nawet bez zorganizowanego przywództwa. Jeśli zaproponujemy im takie przywództwo i wezwiemy do obrony nowego, reformatorskiego

rządu, to chyba zareagują pozytywnie. Zwłaszcza jeśli Jiskra zapewni kompetentnych dowódców. No i mamy swoich ludzi w siłach bezpieczeństwa. Może nie obejdzie się całkiem bez rozlewu krwi, ale wierzę, że w ten sposób uda się ograniczyć ofiary do minimum. Naprawdę sędzę, że może się udać.

– A co zrobisz z Vernerem, Biurem Bezpieczeństwa Granicznego i Flotą Pogranicza? Wiesz, że Frogmore-Wellington i Iwahara zaraz ogłoszą, że Sabatino został bezprawnie aresztowany i że twoje działanie jest sprzeczne z naszą konstytucją!

– Tak, wiem – przyznał Šiml. – I mam na to pomysł. – Uśmiechnął się zimno. – Jak Karl-Heinz był uprzejmy ostatnio mi przypomnieć, Montana i Gwiazdne Imperium Manticore znajdują się ledwie sześćdziesiąt lat świetlnych od nas.



– Przepraszam, gubernatorze – powiedziała Julie Magilen. – Zjawił się ktoś, kogo chyba powinien pan przyjąć.

Oravil Barregos podniósł wzrok znad biurowej roboty, której strumień nigdy nie wysychał. Magilen pracowała u niego już prawie trzydzieści lat jako osobista sekretarka i szefowa biura. Zdecydowanie nie była recepcjonistką i nie pamiętał, kiedy ostatni raz powiedziała mu coś takiego. Niezapowiedziane wizyty po prostu się nie zdarzały. I jeszcze ten jej ton...

– Wielkie nieba – mruknął, dodając zakładkę w pliku. – Kto to jest?

– Jeśli można, chyba najlepiej będzie, jeśli sama się przedstawi, sir.

– Oczywiście – odparł, mocno już zdziwiony.

Magilen wyszła po gościa, on zaś zerknął na wysokiego, rudowłosego mężczyznę siedzącego w kącie jego biura. Vegar Spangen był szefem jego ochrony niemal tak długo, jak długo Magilen zajmowała się jego biurem. Teraz wstał, rozpiął marynarkę i ustawił się nieco z boku. Tak aby w razie czego gubernator nie znalazł się na linii strzału.

Co oczywiście nie będzie potrzebne, pomyślał Barregos. Z drugiej strony, dobry ochroniarz musi być trochę paranoikiem.

Magilen wróciła i Oravil Barregos zmarszczył brwi, widząc, kto wchodzi w ślad za nią. Nie poznał jej od razu w kosztownym i dobrze skrojonym cywilnym stroju, ale w swoim czasie odrobił lekcje i chwilę później już wiedział. Zupełnie nie spodziewał się tej osoby, która w innych okolicznościach miałaby na sobie mundur i byłby to czarno-złoty mundur Manticore, a nie biały, jak w Lidze Solarnej. Co więcej, na ramieniu nosiłaby błyskawicę wywiadu marynarki

wojennej, na rękawie jej munduru zaś jaśniałyby cztery złociste admirałskie paski.

– Pani admirał Givens – odezwał się w końcu i tylko dzięki dziesiętkom lat spędzonym w polityce zdołał uczynić to całkiem naturalnym tonem. – Muszę przyznać, że to... niespodziewany zaszczyt.

– Mam nadzieję, że niespodziewany, gubernatorze Barregos – powiedziała rzeczowo osoba będąca Drugim Lordem Przestrzeni Royal Manticoran Navy. – Gdyby tak nie było, mogłabym ściągnąć na pana kłopoty ze strony Old Chicago.

– Obawiam się, że i tak naraziliśmy się już mocno Mandarynom – odparł z uśmiechem. – Oczywiście mam nadzieję, że potrwa jeszcze kilka miesięcy, nim się o tym dowiedzą.

– Tak? – Givens pokręciła głową. – Już tak daleko jesteście?

– Słucham?

Tym razem nie zdołał ukryć zaskoczenia i to ona zmarszczyła brwi. Spojrzała na niego w taki sposób, że aż zrobiło mu się zimno, i czym prędzej zaprosił ją do tego samego stołu konferencyjnego, przy którym spotkał się z Ellingsenem i Abernathym.

– Proszę spocząć, pani admirał – powiedział. – Bardzo jestem ciekaw, dlaczego królowa Elżbieta wysłała kogoś tak wysoko postawionego do sektora Maya.



– I co powiedziała?!

Luiz Roszak spoglądał z ekranu z takim niedowierzaniem, jakiego Oravil Barregos nigdy jeszcze nie widział u swojego admirała. Było to nader niecodzienne zjawisko, ale Roszak był ze wszech miar usprawiedliwiony.

– Powiedziała, że przybyła do Burning Frog osobiście, zamiast po prostu wysłać wiadomość albo posłańca, ponieważ królowa Elżbieta i prezydent Pritchard chcieli podkreślić w ten sposób, jak poważnie traktują wszelkie doniesienia o tajnej operacji Równania. Chodzi o tę, w której ramach podstawieni agenci podają się za przedstawicieli Manticore i obiecują dostawy broni oraz wsparcie marynarki Manticore różnym ruchom niepodległościowym, które sprzeciwiają się dominacji Ligi Solarnej. – Uśmiechnął się słabo. – Nie przypomina ci to naszej rozmowy sprzed kilku dni?

– Sukinsyny – mruknął Roszak. Potem wzdrygnął się i spojrzał chłodno na gubernatora. – A ja miałem Abernathy'ego za ostatniego urzędniczyne. A teraz co? Przysłali najwyższe szarże. Nie lubię, jak ktoś mnie tak podchodzi, ale trzeba przyznać, że nieźle to rozegrali, prawda?

– W dawnych czasach był na Starej Ziemi polityk, który mawiał, że da się tych i owych zwodzić przez jakiś czas, ale nie da się ciągle oszukiwać wszystkich – odparł Barregos. – Muszę powiedzieć, że reakcja admirał Givens, gdy powiedziałem jej o naszych niedawnych gościach i pokazałem nagrania z kamer monitoringu, była... dość emocjonalna. I nie było jej do śmiechu.

– No cóż, sporo ryzykowali, ale nie oszczędzali na przygotowaniach, prawda? To nagranie z „Langtrym” też było miłym akcentem. Gdyby Givens nie zjawiała się osobiście, pewnie zastanawiałbym się teraz, której grupie wysłanników Manticore powinniśmy uwierzyć. I jeszcze to podobieństwo Ellingsena do członków dynastii Wintonów. Zapewne biorzeźba plastyczna?

– Niemal na pewno tak – zgodził się Roszak. – O wszystkim cholery pomyślały.

– Prawie o wszystkim. Gdybym nie wspomniał „Ellingsenowi” podczas jego pierwszej wizyty o tych pociskach, które Delvecchio nam obiecało, pewnie zaczęłoby ci coś śmierdzieć przy rozmowach z Abernathym. Dość to irytujące.

– Może i tak, ale to śliski drań. Mógłby się wyłgać. Zresztą w tej chwili nie ma co tego drażyć. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Bo dlaczego nie? Obaj z Manticore, obaj po naszej stronie, z czym tu się kryć? – Roszak wzruszył ramionami. – Ważne, że teraz wiemy. Zastanawiam się... – Nagle zamilkł i Barregos przechylił głowę.

– Nad czym?

– Nad tym, czy kapitan Abernathy jeszcze nas odwiedzi – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – Bardzo chciałbym omówić z nim nasze wspólne plany operacyjne.

– Zapłacę każde pieniądze, aby to zobaczyć – stwierdził Barregos. – A na razie musimy usiąść razem, ty, Richard Wise, komandor Watanapongse i ja, i wrócić do tych pogłosek na temat „niepokojów” w Kondrati i gdzie indziej. Jeśli coś jest na rzeczy i ci dranie z Równania naprawdę próbują zdestabilizować naszą okolicę, to chyba powinniśmy jasno dać do zrozumienia, że nie pochwalamy takiej błazenady.

– Jak bardzo nie pochwalamy? – spytał Roszak.

– Ciekawe, że pytasz. Właśnie rozmawiałem o tym z admirał Givens. Dołączy do nas na obiedzie. Myślę, że powinienś przygotować coś naprawdę dobrego, bo potem siądziemy sobie i zastanowimy się razem, jaki wymiar kary najlepiej by pasował do tej zbrodni.

ROZDZIAŁ LVI



Dajesz wiarę? – warknął Jan Cabrnoch. – I co ten Sabatino sobie, u diabła, wyobraża?!

Prezydent układu Kumang wyglądał znacznie mniej fotogenicznie niż zwykle. Posiwałe na skroniach włosy miał w nieładzie, przenikliwe oczy płonęły gniewem.

Zuzana Žďárská zdecydowanie wolałaby nie odpowiadać na jego pytanie. Niestety nie miała wielkiego wyboru.

– Nie wiem, co on sobie myśli, panie prezydencie – odparła całkiem szczerze i na wszelki wypadek bardziej oficjalnym tonem niż zazwyczaj. Nieformalny ton wydał się jej niewskazany. – Ale wydaje mi się, że spanikował wobec tego, co się wydarzyło w zeszłym miesiącu. Jeśli oczekamy, to...

– Oczekamy? Chryste, Zuzano! On chce odpowiedzi jeszcze dzisiaj! Pięć godzin niczego nie zmieni!

Žďárská przygryzła wargę i zaczęła szukać jakichś innych słów.

Cabrnoch zerwał się z fotela i zaczął chodzić tam i z powrotem po grubym dywanie wyściełającym podłogę jego gabinetu. Często to robił, zmagając się z różnymi problemami, ale zwykle nie tak energicznie. Był prezydentem już prawie trzydzieści pięć lat, lecz Žďárská nigdy jeszcze nie widziała go tak wściekłego.

Inna sprawa, że nigdy dotąd nie zdarzyło mu się usłyszeć, że ktoś zamierza wylać go z roboty.

– To twoja wina! – warknął, wskazując ją palcem. – To ty doradziłaś mi użycie sił bezpieczeństwa, gdy ci szaleńcy zaczęli podpalać miasto!

Žďárská odruchowo otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Jej zdaniem było to niesprawiedliwe oskarżenie. Niczego takiego mu nie doradzała, jedynie nie sprzeciwiła się, gdy on postanowił to zrobić. Ale gdyby mu to teraz przypomniała...

– Panie prezydencie, to oczywiste, że Sabatino reaguje w ten sposób na zamieszki – powiedziała. – Ich powód nie ma dla niego znaczenia. Chodzi mu tylko o nasilenie przemocy sprowokowanej nie przez nasze siły, ale przez demonstrantów. Obawia się po prostu, że to się powtórzy. Jednak konstytucja nie przewiduje jednoczesnego ustąpienia prezydenta i wiceprezydenta! Niezależnie od tego, czego chce Sabatino, prawnie nie da się tego

przeprowadzić. Myślę, że powinniśmy mu to wytłumaczyć. Może to da mu do myślenia i sprawi, że trochę ochłonie.

– Też coś! – rzucił Cabrnoch. – Przecież minął już miesiąc. Cholernie dużo czasu, żeby ochłonać. Niby czemu uważasz, że zmieni zdanie, gdy powiem mu: „Och, chciałbym zrezygnować, ale nie mogę tego zrobić ze względów prawnych”. Migiem załatwi zmianę konstytucji.

– Wbrew pozorom coś takiego zajmie mu trochę czasu. I to nasi ludzie kontrolują media i przebieg wyborów.

– Na razie – warknął Cabrnoch. – Gdy Sabatino zacznie szastać forsa, „nasi” ludzie niedługo pozostaną „nasi”. – Wzdrygnął się z irytacją. – Weźmie ich i pchnie za tym dumnym Šimlem. Wiesz, że chce go wprowadzić na moje miejsce!

Jest w tym jakaś logika, przyznała ponuro Žďárská, chociaż zaraz sama obruszyła się na tę myśl. Chętnie wykopałaby Šimla z życiorysu Jana Cabrnocha i unurzała w błocie tę jego świętą legendę szlachetnego opozycjonisty. Sama pomogła kiedyś strącić go ze szczytów władzy i skazała na wegetację w Sokolu, a teraz to. Cabrnoch miał rację co do zamiarów Sabatina. A jeśli Cabrnoch straci władzę, to co się stanie z nią? Zwłaszcza jeśli Šiml zajmie jego miejsce? Raczej nie będzie wtedy mogła liczyć na sowitą odprawę i wygodny majątek gdzieś daleko, żeby cieszyć się w nim polityczną emeryturą.

Cabrnoch skończył gniewny marsz i opadł ponownie na wielki fotel. Przygarbił się i pokręcił głową, ale tak, jakby złość nagle go odeszła. Wydawał się zrezygnowany. Žďárská poczuła zimny dreszcz, widząc, jak nagle oklapł.

– Panie prezydencie – zaczęła. – Nie...

– To już koniec – przerwał jej. Zesztywniała na widok jego wykrzywionej grymasem twarzy. – Ma wszystkie karty. Jeśli nie zaakceptuję jego „hojnej oferty”, wezwie swoje pieski z Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Gdy rzuci mediom wszystkie te swoje dowody, ludzie zaczną podpisywać się pod petycją o moje odwołanie, a Verner zaraz powie, że Biuro popiera ten krok. A gdy tak się stanie, to będziemy mieli szczęście, jeśli nie trafimy do więzienia w ramach uroczystego przejścia układu przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego.

– Ale...

– Nie ma żadnych „ale” – uciął. – Może byłoby inaczej, gdyby Šiml już nie czekał na ciepły fotel. Ale jest, jak jest. W tej sytuacji chyba najlepiej będzie, jeśli zacznę przygotowywać pismo z

rezygnacją, nie sądzisz?



– Czy on naprawdę zrezygnuje, ciociu Zuzano? – Daniel Klíma chyba nie uwierzył w to, co przed chwilą usłyszał. – Po prostu się podda? Tak bez walki?

– Uważa, że nie ma wyboru – odpowiedziała Zuzana Žďárská. Rozmawiała z szefem ochrony Jana Cabrnocha. Klíma nie był może najbystrzejszy, ale nie był też głupcem, a poza tym był jej kuzynem. Właśnie dlatego go kiedyś wybrała. Było między nimi trzydzieści lat różnicy i dlatego nazywał ją ciocią, nie kuzynką, niemniej zawsze był wobec niej lojalny. Chociaż zawdzięczał swoją pozycję nepotyzmowi, przykładał się do pracy i był nawet dumny ze swojej pozycji obrońcy prezydenta.

– Ale to prezydent! – zaprotestował. – Nikt nie może mu niczego kazać!

– Niestety akurat w tym przypadku ktoś może – stwierdziła z goryczą. – Dopóki ten skurwysyn Šiml sący jad w uszy Sabatina, nic nie zdołamy zrobić, Danielu.

Klíma spojrział na nią uważnie, po czym odwrócił się i wyszedł z jej gabinetu. Zastanawiała się, czy kazać mu wrócić, ale w sumie po co? I tak nie zdoła powiedzieć mu niczego więcej, niczego to nie zmieni. Poza tym możliwa rezygnacja Cabrnocha dostarczała jej sporo większych zmartwień. Była pewna, że w administracji Šimla nie będzie dla niej miejsca, musiała więc przypomnieć różnym osobom, jakie trupy pomagała im ukrywać przez te trzydzieści lat. Na pewno zdoła przekonać sporo z nich, aby dołożyły się do jej funduszu emerytalnego.

Wywołała listę kontaktów i wybrała pierwszy numer.



– Mam nadzieję, że to zadziała tak, jak sądzisz – powiedział Zdeněk Vilušínský, kiedy ufundowana przez Karla-Heinza Sabatina opancerzona limuzyna lądowała na parkingu przed restauracją.

– Ja też. I chociaż staram się pamiętać, że nic nie jest pewne i zawsze wszystko może się posypać, to po prawdzie nie wiem, jak miałyby nie zadziałać. Przynajmniej gdy chodzi o wybory. Do diabła, Zdeněk! Mamy szansę wygrać w uczciwych wyborach! Zakładając oczywiście, że po trzydziestu pięciu latach rządów Cabrnocha ktokolwiek tu jeszcze pamięta, na czym to polega!

Vilušínský skinął głową, choć nie był wcale taki pewien, czy w wolnych wyborach zdoła uzyskać stanowisko wiceprezydenta. Pozycja Šimla, zwłaszcza od czasu zamieszek w Velehradzie, była bez dwóch zdań bardzo mocna. Obaj mieli tak samo wysokie poparcie na

obszarach rolniczych Chotěbořu, a chociaż strefa agrarna była kluczowym elementem gospodarki planetarnej, to nie była elementem jedynym. Możliwe, że lepiej byłoby poszukać kandydata na wiceprezydenta wśród aktywistów z któregoś z większych miast.

Z drugiej strony, cokolwiek o tym myśleli, te wybory nie miały być tak do końca uczciwe, a ponadto były niezgodne z konstytucją. Oznaczało to, że wystawienie w nich drugorzędno kandydata, niewykłanego w manipulacje, mogłoby przynieść niespodziewane efekty.

– Zapewne masz rację – powiedział głośno. – Chyba po prostu trudno mi uwierzyć, że to wszystko tak się rozwija. A może boję się uwierzyć, żeby nie zapeszyć? Tak czy inaczej, poczuję się o wiele lepiej, gdy Cabrnoch ogłosi wieczorem swoją rezygnację.

– Ja też – przyznał Šiml, gdy limuzyna lekko dotknęła ziemi.

Turbiny przycichły i Filip Mały zerwał się z przedniego fotela, żeby otworzyć tylne drzwi. Šiml uśmiechnął się do niego i wysiadł.

– Dziękuję, Filipie – powiedział.

– Ależ proszę bardzo – odparł ochroniarz. Jego oczy nadal myszkowały po okolicy. – Tylko ćwiczę. Zawsze chciałem pracować w ochronie prezydenta i teraz...

Strzałka z pulsera przemknęła z ogłuszającym rykiem tuż nad prawym uchem Šimla i uderzyła w limuzynę, zostawiając w pancерnej karoserii niewielkie wgłębienie. Mały zareagował natychmiast, uderzając Šimla ramieniem w pierś i wpychając go z powrotem do znacznie bezpieczniejszego wnętrza wozu.

Šiml upadł niezgrabnie na plecy na tylną kanapę, z której dopiero co wstał. Nie do końca rozumiał, co się działo. Gdy próbował usiąść, Mały odskoczył na bok, sięgając jednocześnie pod marynarkę, aby wydobyć pulser.

Kolejna strzałka wpadła przez otwarte wciąż drzwi. Znowu o włos minęła Šimla, drasnęła w policzek Vilušínskiego, który zaklął soczyście i zalał się krwią, po czym wbiła się w drogą tapicerkę.

Mały zasłonił otwarte drzwi własnym ciałem i uniósł broń, jednak w tym samym momencie dostał trzecią strzałką, która przebiła lekką kamizelkę kuloodporną, jaką nosił pod koszulą.

Krew buchnęła z rany w piersi i ochroniarz upadł bez jęku.



– Ta dziwka ma zaraz zostać aresztowana, oskarżona i skazana – warknął wściekle Karl-Heinz Sabatino.

– Panie Sabatino, rozumiem pańską wściekłość. Ja sam się gotuję! Adam Šiml jest moim przyjacielem! Ale nie ma żadnych dowodów na to, że Žďárská miała z tym coś wspólnego – odparł Daniel Kápička.

– Niby nie miała? – Sabatino zerwał się z fotela w biurze Kápički. – Ten sukinsyn to jej kuzyn. I szef ochrony Cabrnocha! Mam uwierzyć, że zrobił to bez ich wiedzy?

– Szczerze mówiąc, myślę, że o tym nie wiedzieli – powiedział Kápička. – I chociaż to może nie jest ważne, Adam też tak uważa.

– Adam jest stanowczo zbyt ufny – odparł Sabatino. – Kto inny mógłby chcieć jego śmierci?

– Nie wątpię, że decyzja Klímy była związana z rezygnacją prezydenta Cabrnocha. Chyba każdy, kto potrafi zliczyć do dwudziestu, musi kojarzyć, że najprawdopodobniej to Adam Šiml będzie nowym kandydatem. Ale wszystko, co do tej pory zdołałem ustalić, wskazuje, że Klíma działał w pojedynkę. Jego związki ze Žďárską na pewno odegrały w tym jakąś rolę, ale wydaje się, że była autentycznie zszokowana jego postępkami. I powtarzam, że z całą pewnością nie ma dowodów, że wiedziała coś o jego planach. Oczywiście w tych okolicznościach musimy przyjąć, że zarówno ona, jak i prezydent mogą mieć powody, dla których chętnie usunęliby Adama ze sceny politycznej, i obiecuję, że będziemy uważnie badać ten wątek. Ale aresztowanie jej pod zarzutem zabójstwa byłoby bezzasadne, skoro nie ma dowodów jej winy.

– Cóż, zatem gdy tylko znajdziesz te dowody, ma natychmiast trafić pod klucz. Czy to jasne, panie Kápička?

Jeszcze przez kilka sekund Sabatino mierzył ministra bezpieczeństwa publicznego gniewnym spojrzeniem, po czym energicznym gestem zakończył połączenie i obrócił się do Adama Šimla.

– Nigdy nie sądziłem, że ci dranie dadzą aż taki pokaz głupoty – powiedział. – Coraz bardziej jestem przekonany, że to oni podłożyli bombę w twoim samochodzie.

– Już ci mówiłem, że moim zdaniem Cabrnoch i Žďárská nie mieli z tym nic wspólnego – odparł znużonym głosem Šiml.

Przedstawiciel korporacji nalegał, aby zarówno Adam, jak i Vilušínský (który chwilowo przebywał w szpitalu) przenieśli się do jego apartamentu. Šiml wolałby w tej chwili znajdować się całkiem gdzie indziej. Powinien przecież zająć się żoną i dziećmi człowieka, który zginął w jego obronie. Powiedział nawet o tym gospodarzowi, ledwie wysiadł na lądowisku wieżowca. Był zbyt wyczerpany emocjonalnie, żeby przejmować się, jakie to zrobi wrażenie, ale ku jego

zdzumieniu Sabatino tylko pokiwał głową i zamiast coś odwarknąć, posłał limuzynę po Alenę Špánkovą Malą i jej dwie córki. Też kazał przenieść je do swojego apartamentu i obiecał założyć fundusz powierniczy, który zapewni godny byt rodzinie.

– Wiem, że twoim zdaniem to nie ich robota – powiedział Sabatino. – Może ty i Kápička macie rację. Ale możesz się mylić, a ja nie chcę ryzykować. Dość już mam zamachów na twoje życie. Mielicie dzisiaj wielkie szczęście. Pierwszy strzał chybił, drugi też poszedł o centymetr w lewo, przed trzecim zasłonił cię ten młody człowiek. I zginął, żeby cię ocalić – stwierdził gospodarz ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy. – Wiem, że masz mnie za kalkulującego wszystko na zimno, bezwzględny biznesmena. I masz rację, jestem taki. Ale to nie znaczy, że nie potrafię docenić ofiary złożonej dziś rano przez Filipa Malego. I przepraszam, jeśli masz mi za złe podejrzenia kierowane pod adresem Cabrnocha i Žďárskiej. Musisz się z tym pogodzić, bo nie zmienię zdania, dopóki Kápička nie dowiedzie, że było inaczej.

Šiml spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

– A jako kalkulujący na zimno i bezwzględny biznesmen powiem też, że ten zamach na pewno nie umniejszy twoich szans w zbliżających się wyborach – dodał Sabatino ze smutnym uśmiechem.



– Nie wiem, Steve – powiedziała Sinead Terekhov. Stała na balkonie olbrzymiego apartamentu na ostatnim piętrze hotelu Comstock, a na jej twarzy malował się niepokój. – Po prostu nie wiem, jak Aivars na to zareaguje. Sama nie wiem, jak to przyjąć!

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że mnie to zaskoczyło – odparł Stephen Westman. Stał obok niej i patrzył na zachodzące ponad stolicą słońce. – Rozumiem, że to musi być trudne po tak długiej i wyczerpującej wojnie. Trudno, żeby było inaczej. I sądzę, że admirał Tourville jest dość inteligentny, aby też to zrozumieć.

Sinead spojrzała na jego profil i przygryzła wargę. Wciąż ją zaskakiwało, jak bardzo polubiła Stephena Westmana przez te dwa tygodnie, które spędziła już na Montanie. Pojmowała, dlaczego ktoś z jego charakterem tak bardzo wzdragał się przed związaniem się z innym gwiazdny państwem, ale podziwiała jego konsekwentne podejście do tematu i zdolność przyznania się do błędu. Było też oczywiste, że Westman nie tylko podziwiał jej męża wiedziony wdzięcznością za to, co komodor zrobił dla Montany, ale że po prostu go polubił. W pewien sposób byli zresztą podobni.

Niemniej Westman nie wiedział o Hyacincie. Nie wiedział, jak eskadra Aivarsa walczyła do ostatniego okrętu w obronie konwoju. Nie wiedział, że sam Aivars został ranny, garstka jego ocalałych podwładnych zaś nie przeżyła urozmaicanej torturami niewoli. Nie wiedział nic o koszmarach, które sprawiały, że Aivars budził się zlany potem, cały drżący i obolały po tym, co na pamiątkę zostawiła w nim Ludowa Republika Haven. Co więcej, starał się nie obciążać jej tym brzemieniem. Czasem nienawidziła go za to, że nie chciał jej tam dopuścić, chociaż przecież go kochała i rozumiała, że nie powinien winić się za to, że przeżył, podczas gdy dla tak wielu był to koniec drogi.

A teraz to. W układzie Montana zjawił się cały zespół operacyjny Haven pod dowództwem człowieka, który zniszczył Home Fleet Sebastiana D'Orville'a podczas pierwszej bitwy o Manticore. Na dodatek był on starszy stopniem od Craiga Culbertsona, co oznaczało, że dowodził teraz wszystkimi siłami w układzie. Co powie Aivars, gdy wróci z Mobiusa? Jak ona miała na to zareagować?

Jedyne, co możesz zrobić, to zadbać o jak najlepszą atmosferę, pomyślała. Aivars będzie musiał pracować z Tourville'em i przyjmować od niego rozkazy. Jeśli swoim zachowaniem sprawisz, że będzie mu jeszcze trudniej, nikt ci za to nie podziękuje. Wiesz dobrze, jak się do tego zabrać, więc po prostu się przyłóż. Jesteś w tym przecież najlepsza!

– Mam nadzieję, że masz rację, Steve – powiedziała po chwili. – Ale naprawdę wolałabym spędzić dzisiejszy wieczór gdzie indziej.

– Przynajmniej będzie pani mogła liczyć na wsparcie, ma'am – odparł z uśmiechem. – Obiecuję, że będę się zachowywał i nie wyleję sobie sosu na koszulę.



– Dobry wieczór, pani Terekhov – powiedziała ciemnoskóra, błękitnooka i piękna młoda kobieta w mundurze porucznika Marynarki Wojennej Haven, gdy Sinead znalazła się na pokładzie hangarowym RHNS *Terror*.

Olbrzymi superdreadnought znajdował się na orbicie Montany i Sinead wyobrażała sobie, jak mieszkańcy planety spoglądają na niebo, na którym widać było jasne punkty setek okrętów.

– Jestem Berjouhi Lafontaine, porucznik flagowy admirała Tourville'a – dodała. – Otrzymałam polecenie powitania pani i pana Westmana. – Skinęła głową Westmanowi. – Oraz zaprowadzenia państwa na kolację.

– Dziękuję, pani porucznik – odparła Sinead ze ściśniętym gardłem i zbeształa się w duchu.

Ta dziewczyna była zbyt młoda i zbyt niedawno została oficerem, aby mogła mieć coś wspólnego z traumatycznymi przeżyciami Aivarsa i demonami minionej wojny. Republika Haven, już nie Ludowa, i Gwiazdne Imperium Manticore były obecnie sojusznikami.

Może łatwiej by było, gdyby zmienili mundury, pomyślała Sinead, po czym ponownie się zbeształa. Jesteś dorosła, do cholery, więc nie ma co ulegać dzieciennym sentymentom.

– To bardzo miło ze strony admirała – powiedziała znacznie bardziej naturalnym głosem i uśmiechnęła się do Lafontaine. – Doceniam to.

– Proszę za mną. – Pani porucznik pokazała Sinead i Westmanowi drogę do wind.



Marynarka Wojenna Republiki Haven nie osiągnęła nigdy takiej automatyzacji systemów, jaka stała się dla RMN chlebem powszednim, czego konsekwencją była konieczność utrzymywania proporcjonalnie liczniejszych załóg, jednostki wyposażone w zasobniki holowane z zasady wymagały jednak mniej obsługi niż klasyczne o tej samej sile ognia. Dzięki temu projektanci RHNS *Terror* mogli przeznaczyć więcej miejsca na pomieszczenia załogi niż w przypadku wcześniejszych konstrukcji.

Dało się to zauważyć, gdy porucznik Lafontaine doprowadziła Sinead i Westmana do obszernej mesy, która na ten wieczór zamieniła się w oficjalną jadalnię. Przy stołach znalazło się miejsce dla co najmniej trzystu osób, a nie dawało się odczuć ciasnoty.

Na razie jednak goście dopiero docierali i nie było ich tu zbyt wielu. Sinead coś ścisnęło pod mostkiem, gdy porucznik poprowadziła ich do wysokiego i barczystego admirała oczekującego już, aby ich powitać. To był Tourville, z sumiastymi wąsami i treccatem na ramieniu.

– Pani Terekhov – powiedział, wyciągając dłoń, którą trochę wbrew sobie uściśnęła. – To dla mnie zaszczyt móc panią poznać. Jestem pani bardzo wdzięczny za przybycie. Bardzo podziwiam dokonania pani męża.

– Dziękuję, admirale – odparła chłodno. – Proszę pozwolić mi wyrazić podziw dla roli, jaką odegrał pan w odparciu solarnego ataku na Manticore.

Zbyt sztywno, zbyt oficjalnie, skarciła się w duchu.

– Udział w tej walce był dla mnie zaszczytem – odpowiedział. – Chciałbym też dodać, że sprawiło nam wielką satysfakcję, gdy Manticore i Haven wreszcie razem stawily czoło naszemu prawdziwemu wrogowi, który gnębi nas od wielu lat.

– Nie wątpię – stwierdziła. – I podobnie jak wszyscy obywatele Manticore jestem głęboko

wdzięczna Republice za pomoc w trudnej chwili.

Skinął jej głową i zwrócił się do Westmana.

– Witamy na pokładzie – powiedział i uśmiechnął się jakby bardziej naturalnie niż do Sinead. – Pan Van Dort poinformował mnie w Spindle, że mamy zapewne sporo wspólnego. Chociaż nie jestem pewien, czy miał to być komplement.

– Bernardus już taki jest – odrzekł Westman, podobnie szczerząc zęby. – A biorąc pod uwagę, jak dobrze mnie zna, to chyba jednak nie był komplement.



Kilka godzin później, gdy obsługa mesy zaczęła serwować deser, Sinead uznała, że wieczór nie był jednak taki straszny, jak się obawiała. Owszem, uczestniczyła w przyjemniejszych bankietach, ale dawało się zauważyć, że gospodarze robili, co w ich mocy, aby goście z Manticore czuli się jak najlepiej. Z drugiej strony, było widać, że nie ona jedna zjawiała się tu spięta. Niemniej Culbertson i Tourville, który natychmiast zaakceptował wszystkie decyzje Culbertsona podjęte od czasu wylotu admirał Gold Peak, chyba już się dogadali. Bez względu na to, co mogli czuć ich podwładni, tych dwóch zachowywało się całkiem swobodnie. I nie udawali, co można było wywnioskować z mowy ciała treecata.

Niestety, Sinead wciąż czuła się trochę nieswojo, jakby nie na miejscu. Chwilami było nawet gorzej.

– Chyba nie bawi się pani dobrze – szepnął jej w pewnej chwili Westman.

Obróciła się w jego stronę.

– Owszem. I mam siebie coraz bardziej dość – przyznała równie cicho. – Admirał Tourville naprawdę się postarał, aby przyjąć nas jak najlepiej. Ale po prostu nie umiem zapomnieć, że kiedyś był admirałem ludowców. – Przygryzła wargę i poruszyła nerwowo nozdrzami. – Nie wiem, czy Aivars wspominał ci kiedyś, co przeszedł jako jeniec i co służba bezpieczeństwa zrobiła z resztą jego załogi. To było straszne. Straszne, Steve. Poza tym to właśnie zespół Tourville'a pojmał księżną Harrington i przekazał ją bezpiecznie. Torturowali ją, dręczyli i byliby powiesili, gdyby nie zdołała uciec wraz ze swoimi ludźmi. Wiem, że to była inna wojna, i wiem, że Ludowa Republika Haven była całkiem innym państwem, i sama wstydzę się swoich odczuć, ale po prostu... po prostu nie umiem o tym zapomnieć.

– Nie wiedziałem... – zaczął Westman, ale nie zdołał dokończyć.

– Przepraszam, pani Terekhov – rozległ się głos Berjouhi Lafontaine i Sinead obróciła się w

fotelu, zła i zakłopotana.

Dopiero teraz zauważyła, że porucznik stała już od dłuższej chwili za nimi i musiała słyszeć jej słowa.

– Pani porucznik! – warknęła. – Nie wiem, co...

– Ma'am – przerwała jej Lafontaine. – Przepraszam. Nie zamierzałam podsłuchiwać. Admirał przysłał mnie, abym zapytała, czy dołączy pani do niego na drinka i krótką rozmowę po bankiecie. Ale jeśli pani pozwoli, chciałabym też powiedzieć coś od siebie. Coś, czego admirał na pewno by nie pochwalił.

– Mianowicie co, pani porucznik? – zapytała zimno Sinead.

– Dwie rzeczy, ma'am. – Lafontaine spojrzała jej śmiało w oczy. Całkiem jak zwykła to czynić Helen Zilwicka, gdy broniła ojca. – Po pierwsze, admirał Tourville wie, co się stało z ludźmi z eskadry pani męża. Był w składzie sędziowskim, gdy orzeczono winę trzech sprawców winnych śmierci ocalałych. Zostali powieszani. Głęboko żałuje, że reszta oprawców zdołała zniknąć, zanim siły republikańskie wyzwoliły planetę, na której przetrzymywano jeńców. Jest świadomy wszystkich powodów, dla których sir Terekhov, jak i pani, jego żona, możecie nienawidzić Ludowej Republiki Haven, i przekazał to wprost wszystkim swoim podwładnym. Po drugie, i właśnie tego wolałby na pewno nie przekazywać, rzeczywiście jego okręt flagowy, *Count Tilly*, eskortował Cordelię Ransom i *Tepesa*, gdy księżną Harrington przenoszono na Cerberusa. Był przeciwny temu zadaniu. Wszyscy wiedzieli, że Ransom, która specjalnie wyznaczyła go do tego zadania, gdy załatwi już sprawy na Cerberusie, zażąda powrotu admirała do Nouveau Paris, aby postawić go tam przed Sądem Ludowym za zdradę rewolucji, ponieważ sprzeciwił się decyzji o powieszeniu księżnej oraz naruszeniu konwencji denebskiej. To on pozwolił jej i jej ludziom dotrzeć niepostrzeżenie na powierzchnię Cerberusa.

– Słucham? – spytała z lodowatym sceptycyzmem Sinead. – A niby jak?

– Ta informacja nie pojawiła się nigdy w żadnym oficjalnym raporcie, ma'am – odparła Lafontaine. – Admirał nie wspominał o tym nawet księżnej. Ale kiedy dwie opanowane przez jej ludzi pinasy oddzieliły się od *Tepesa*, ich ślady pojawiły się na ekranach *Count Tilly*. Ale nie zostało to zgłoszone, a wszystkie logi czym prędzej wymazano.

– Jakim sposobem mogło do tego dojść?

– Admirał Tourville osobiście usunął te dane, gdy komisarz Honecker wciąż stał wpatrzony w główny ekran.

Lafontaine mówiła to wszystko głosem spokojnym, ale stanowczym. Sinead wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. Potem potrząsnęła lekko głową.

– A dlaczego nigdy nikomu o tym nie powiedział? – spytała. – Oraz, z całym szacunkiem, skoro nie powiedział, to skąd pani o tym wie?

– Dokładnie nie odpowiem, ma'am – odparła porucznik, wciąż patrząc Sinead w oczy. – Mogę tylko zgadywać, że miałyby to za przechwałki, a poza tym nie byłby w stanie niczego udowodnić. – Wzruszyła lekko ramionami. – Raczej trudno byłoby wykorzystać w tym celu dane, które zostały usunięte.

– Rozumiem – rzuciła niechętnie Sinead. – Przyznam, że to brzmi sensownie. Ale nadal ciekawi mnie, skąd pani wie o tym dobrym uczynku.

– Admirał Foraker, wtedy oczywiście tylko obywatelka komandor Foraker, była oficerem operacyjnym admirała Tourville'a, ma'am – odpowiedziała cicho Lafontaine. – To ona pierwsza zauważyła, że pinasy oddzieliły się od *Tepesa*, i już miała usunąć dane z systemów pokładowych, gdy zdała sobie sprawę, że admirał patrzy jej przez ramię. I też to widzi. Po czym zaraz sam wyciągnął rękę do sensora kasowania. Potem wrócił do Honeckera i wypowiedział dokładnie te słowa, ma'am: „Szkoda, naprawdę szkoda. Nikt nie mógł się uratować z czegoś takiego... Naprawdę szkoda, lady Harrington zasłużyła na lepszy koniec”. A wiem, że tak właśnie było, i nigdy tego nie zapomnę, ponieważ funkcję asystenta taktycznego admirał Foraker pełniła wówczas pewna młoda podporucznik nazwiskiem Lafontaine.

Sinead Terekhov poczuła się, jakby ktoś wylał na nią wiadro zimnej wody, jednak nie dała tego po sobie poznać, nawet powieka jej nie drgnęła.

Mój Boże, to prawda, pomyślała. Nie muszę być treecatem, żeby rozpoznać prawdę, gdy ją słyszę. I nigdy nikomu nie powiedział? Nawet samej księżnej Harrington?

Odwróciła głowę w stronę oficera z bujnym wąsem. Śmiał się właśnie z czegoś, co powiedział admirał Culbertson. Potem znów spojrzała na Lafontaine.

– Pani porucznik, proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny za brak dobrych manier, jaki wykazałam dziś wieczorem. I dziękuję, że podzieliła się pani ze mną tymi informacjami. Zapewne wolałaby pani, abym nie wspominała o tym admirałowi?

– Pani Terekhov, admirał najpewniej urwałby mi głowę, gdyby usłyszał coś na temat naszej rozmowy – odrzekła ponuro Lafontaine. – Chociaż zapewne kiedyś sobie z tym poradzi i prawda ujrzy światło dzienne. Ale jeśli tak się stanie, to raczej nie dlatego, że on ją wyjawia. Osobiście

mam nadzieję, że następnym razem, kiedy zdarzy mu się spotkać księżną Harrington, admirał Foraker będzie trochę mniej oszczędna w słowach. Jak pani może słyszała, nie uchodzi ona za wzór cnót służbowych. Poza tym jako admirał będzie miała większe szanse przeżycia jego reakcji!

– Rozumiem. – Sinead uśmiechnęła się ciepło i położyła dłoń na ramieniu Lafontaine. – Rozumiem również, jak wiele szczęścia spotkało admirała Tourville’a, że ma panią u swego boku. – Zacisnęła delikatnie palce, po czym cofnęła rękę i sięgnęła po widelczyk do deseru. – I proszę mu powiedzieć, że chętnie spotkam się z nim po bankiecie i że będzie to dla mnie wielki zaszczyt.

ROZDZIAŁ LVII



Kayleigh Blanchard przysiadła na piętach obok brudnego, prowizorycznego pośłania i oparła się plecami o ścianę. Otworzyła puszkę z fasolą, która zaraz podgrzała się do odpowiedniej temperatury, co w sumie nie było wcale takie pożądane. Podczas desperackiej ewakuacji poprzedniego punktu dowodzenia Kayleigh zawieruszyła gdzieś składane sztuce i gorące jedzenie parzyło jej palce.

Postawiła ostrożnie puszkę na hełmie zdobytym na Gwardii Prezydenckiej. Wszystko im się kończyło, jedzenie i inne rzeczy, i nie chciała przypadkiem przewrócić puszek. Potem przesunęła dłońmi po krótkich, tłustych włosach i przymknęła oczy. Nie chciała, aby ktokolwiek dojrzał malującą się w nich rozpacz.

Inna sprawa, że ta pewność siebie, którą starała się demonstrować wszystkim wokół, nie zdawała się już na wiele. Ostatni tydzień pozbawił ich złudzeń.

Skrzywiła się, dotknąwszy niechcący strupa na skroni. Cała prawa strona jej twarzy była opuchnięta i zaczerwieniona. Była to pamiątka po tym samym starciu, w którym straciła sztuce. Oraz Carltona Carmichaela.

Wciąż miała te sceny przed oczami. Każdy powrót do tamtej chwili wywoływał łzy. Żandarmeria solarna zaatakowała ich bez ostrzeżenia. Ładunek burzący otworzył sufit nad punktem dowodzenia. Potem słychać było tylko trzaski i świsty strzałek pulserowych, wybuchy granatów. Zabiła dwóch zeskakujących z góry żandarmów, pakując w nich strzałki z solarnego karabinu, które z bliska przebijały zbroję bojową, ale większość grupy dowodzenia była już wtedy martwa. Trzeciego trafiła, kierując się do wyjścia ewakuacyjnego, lecz wtedy spadła na nią bryła cerametu, wyrwana ze ściany ogniem. Upadła z zakrwawioną twarzą i wtedy usłyszała jakiś głos, który z obcym akcentem wymówił jej nazwisko.

– Żywią, cholera! ID twarzy mówi, że to Blanchard. Chcemy ją żywą!

Strzelanina natychmiast przycichła. Kayleigh poszukała dłonią broni. Nie po to, żeby walczyć, ale w celu zniweczenia planu tego dupka. Jednak broń gdzieś się zapodziała, ona zaś była słaba i oszołomiona. Słyszała tylko, że ktoś idzie w jej stronę po rumowisku. Zaraz mieli ją dostać...

Nagle w piwnicy znowu zrobiło się głośno. Ktoś cofnął się w korytarzu ewakuacyjnym i

otworzył ogień do żandarmów. Przy wtórze krzyków szarpnął ją i niczym strażak zarzucił sobie na ramię. A potem rozległ się głos Carltona.

– Zabieraj ją stąd! Zabieraj, już! Wycofajcie się do...

I nagle ten głos zamilkł. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tej chwili.

To już koniec, pomyślała ze smutkiem. Koniec z nami. A byliśmy tak blisko...

Zakryła twarz dłońmi, starając się opanować szloch. Gdyby tylko udało im się przełamać ostatnią linię obrony Lombrosa. Gdyby dopadli jego i zarządców Trifecty, gdyby mieli ich już pod kluczem, gdy zjawiała się Yucel i jej banda oprawców. Ale tak nie było. Mieli tylko poparcie trzech czwartych mieszkańców planety. I mieli prawo zginąć za to, w co wierzyli. Ale to nie było dość, zwłaszcza gdy okręty Yucel zaczęły niszczyć miasta.

Seria ładunków kinetycznych trafiła po kolei w sześć ośrodków miejskich. Blisko pół miliona ludzi zginęło w niecałe piętnaście minut. Nie było żądania kapitulacji, żadnego ostrzeżenia czy wezwania do ewakuacji cywilów. Po prostu na nocnym niebie pojawiły się ogniste linie, które sięgnęły ziemi, wywołując gigantyczne eksplozje, i wszystko wyparowało. Gdy rozwiały się już wielkie chmury w kształcie grzybów, prezydent Lombroso obwinił o wszystkie zniszczenia nie kogo innego, ale właśnie Front Wyzwolenia Mobiusa i wezwał wszystkich „prawomyślnych” obywateli do zwrócenia się przeciwko terrorystom, którzy zmusili legalny rząd do sięgnięcia po tak drastyczne środki. Jedyne, które jego zdaniem mogły zakończyć rozlew krwi i postępujące zniszczenia.

Breitbart wyciągnął potem ich ludzi ze wszystkich miast i miasteczek. Po części po to, aby rozproszyć cele, a po części dla ochrony obszarów zurbanizowanych. Zastanawiał się nawet nad kapitulacją, ale zmienił zdanie, gdy Yucel i Yardley przeprowadziły publiczną egzekucję dwustu bojowników Frontu Wyzwolenia, którzy poddali się wcześniej. Teraz wszyscy myśleli tylko o tym, aby zabić jak najwięcej tych rządowych drani, zanim samym przyjdzie im zginąć.

Przynajmniej teraz jesteśmy za blisko cholernie cennych nieruchomości Trifecty, żeby spuścili na nas pociski kinetyczne, pomyślała. Ostrożnie przetarła twarz wierzchem dłoni, aby usunąć ślady łez, i sięgnęła po chłodną już puszkę z fasolką. Michael miał rację. Nie będą ryzykować zniszczeń w dobrych dzielnicach Landing, skoro nie jest to już konieczne. Zabiorą się do nas tradycyjnymi metodami.

Ostatnie punkty oporu w Landing mogły utrzymać się jeszcze tydzień. Może nawet dziesięć dni, ale na pewno nie dłużej. Miała nadzieję, że przynajmniej niektóre z regionalnych komórek

dadzą radę zejść do podziemia, chociaż nie było już szans na lepszą przyszłość dla Mobiusa. Wszystko rozstrzygnęło się w stolicy. Gdyby nawet jakaś komórka ocalała, zostanie bez kadry dowódczej.

Wytarła gniewnym gestem kolejną spływającą po policzku łzę. Breitbart uczynił z niej dowódcę oddziałów zbrojnych, ponieważ była w tym dobra. Nie oczekiwał jednak, że Kayleigh każe mu opuścić miasto. Argumentował, że to będzie ucieczka, ale ona pozostała nieugięta. Mówiła, że to on stworzył Front Wyzwolenia i jest jedyną nadzieją na odbudowanie organizacji. Szanse na to może były małe, ale jednak istniały i należało się ich ucześcić. W końcu posłuchał, chociaż nadal nie był przekonany. Zgodził się na ewakuację z pomocą jednej z komórek spoza Landing, która wedle ich wiedzy powinna nadal być dobrze zakonspirowana.

Ale nie dotarł na miejsce. Kayleigh nie wiedziała nawet, czy żyje.

Mimo braku apetytu przeżuwała metodycznie fasolę. Musiała coś jeść, chociaż nie oczekiwała, że na wiele się to zda.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, wpuszczając smugę światła do surowego wnętrza.

– Kayleigh! Kayleigh! – darł się Danny Gibson.

– Co? – spytała niewyraźnie, po czym przekłnęła. – Co jest? – spytała wyraźniej.

– Mamy połączenie. Ktoś chce rozmawiać z Michaelem. Chyba powinnaś z nią pogadać.

Podał jej komunikator, który zostawiła w drugim pokoju ocalałej trójce z jej grupy, gdy szła się zdrzemnąć. Odziedziczyła go po Breitbarcie, który musiał jakoś przejść przez posterunki kontrolne Żandarmerii i wołał nie brać ze sobą maszynki wielokrotnie używanej przez Front Wyzwolenia przed przybyciem solarnych. Złapanie z czymś takim oznaczało natychmiastową strzałkę w łeb. Blanchard skorzystała dotąd z komunikatora dwukrotnie, za każdym razem jako Dowódca Alfa w nadziei, że Lombroso i Yucel dadzą się zwieść i nabiorą przekonania, że prawdziwy przywódca buntu nadal jest w grze.

Spojrzała na mały ekran urządzenia i zamrugła ze zdziwienia. Z monitora patrzyła na nią młoda kobieta w jednolitym kolorystycznie mundurze. Blanchard go nie rozpoznała, ale na pewno nie był to mundur Ligi Solarnej.

– Pani Blanchard? – spytała tamta z akcentem, którego Kayleigh nigdy wcześniej nie słyszała.

– Tak – potwierdziła ostrożnie, zastanawiając się, jaką to sztuczkę wymyśliły tym razem Yucel i Yardley. Może po prostu chcieli namierzyć triangulacyjnie jej komunikator? Z drugiej

strony o wiele bardziej obawiała się kolejnej fałszywej nadziei, że uda im się to jakoś przetrwać.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała kobieta i zniknęła.

Na ekranie pojawiła się tapeta z dziwnym symbolem złotego lwa o skrzydłach nietoperza i ogonie skorpiona, osadzonym na pięciobocznym czerwonym polu. To Kayleigh już kiedyś widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa takie stworzenie. Nim wysiliła pamięć wystarczająco, na ekranie pojawiła się kolejna twarz. Tym razem znacznie starszego mężczyzny, z jasnymi włosami i starannie przystrzyżoną brodą.

– Pani Blanchard – powiedział nieznajomy. – Jestem komodor Aivars Alexsovitch Terekhov z Royal Manticoran Navy. Przybyliśmy na wezwanie pani Summers...



Michael Breitbach siedział na najniższym poziomie trybun stadionu piłkarskiego Svein Lombroso Memorial i wpatrywał się w murawę, która zmieniała się już w jezioro błota, rozdeptana nogami tysięcy jeńców. Wokół unosił się trudny do zniesienia smród.

Nie było to jednak najgorsze więzienie, przynajmniej dopóki nikt nie interesował się osadzonymi. Jak dotąd ani bataliony interwencyjne Żandarmerii, ani pozostali przy życiu gwardziści prezydenta nie zwracali na nich uwagi. Nikogo nie obchodziło też, że znajdującym się tu mężczyznom, kobietom i dzieciom nie udowodniono żadnej winy ani nawet popierania Frontu Wyzwolenia. Inna sprawa, że każdy, kto wyglądał choć trochę podejrzanie, w ogóle na stadion nie docierał. W mieście grasowało całkiem sporo plutonów egzekucyjnych, które od ręki załatwiały problem. Więźniami też na pewno w końcu się zajmą, a jeśli do tego czasu stracą ich kilkuset przez podłe warunki sanitarne, tym lepiej. Mniej roboty.

Odwrócił się w kierunku korony stadionu. Najwyższe miejsca uchodziły za najgorsze, ale teraz tam właśnie było najlepiej. Zaraz za nimi stali żandarmi z karabinami i trzylufowymi działkami, spoglądając pogardliwie na kłębiący się w dole tłum. Pilnowanie więźniów na stadionie było bardzo proste: wystarczyło zablokować wejścia i dać trochę cięższej broni na koronę.

Było dość dziwne, że tu trafił. Nie łudził się jednak, jak to się skończy, i zastanawiał się nawet, czy nie podać swojej prawdziwej tożsamości, aby wszystko, co wiedział o strukturze Frontu Wyzwolenia, przepadło wraz z nim natychmiast. Z drugiej strony, taki postępek mógłby wzbudzić podejrzenia i zachęcić do ostrego przesłuchania, którego zdecydowanie wolałby uniknąć. Wymyślił już trzy sposoby skończenia ze sobą, gdy zaczną opróżniać stadion. Na razie

jednak zamierzał pozostać wśród żywych. Zapewne to na nic, ale na inny opór wobec przeciwności losu nie było go stać.

Nagle dwa wielkie ekrany na obu końcach boiska rozprysnęły się jak zmiecione falą uderzeniową. Wszyscy, którzy akurat nie siedzieli, zostali zbici z nóg. Breitbartowi aż zęby zadzwoniły od huku eksplozji. Gdzieś poza koroną stadionu strzelił w niebo olbrzymi słup ognia i dymu.

Breitbart nic z tego nie rozumiał. Ze stadionu wyglądało to na atak głowicą kinetyczną na którąś z pozycji Kayleigh. Tyle że to byłoby szaleństwo! Gdyby Yucel zaatakowała cel w centrum Landing, Christianos Frolov byłby wściekły.

Coś ryknęło mu nad głową. Obejrzał się i ujrzał co najmniej dwadzieścia pojazdów desantowych schodzących na miasto. Ich stery zdobyły złote mantykory na czerwonym polu. Osiem maszyn skierowało się wprost nad stadion. Breitbart opadł na kolana i zakrył głowę ramionami, gdy kaskada precyzyjnie wymierzonych pocisków zmiotła stanowiska żandarmów na koronie. Przerażeni więźniowie podnieśli zgiełk, ale Breitbach opuścił spokojnie ręce i z szalejącą w sercu nadzieją spoglądał na kolejne desantowce pojawiające się na niebie nad miastem i dziesiątki sylwetek w pancernych kombinezonach opuszczających się na ziemię.



– Sądzę, że bankiet całkiem dobrze się udał – powiedział admirał Culbertson, gdy podszedł do stołu z filiżanką kawy w ręku i odsunął sobie krzesło.

– Też tak myślę – zgodził się Lester Tourville i skinął na obsługę, aby zajęła się kolejnym daniem. Półmiski napływały z kuchni jakby w takt metronomu. Przyczajony w Gałęziach, treecat towarzyszący Tourville’owi, bleeknął cały szczęśliwy na swoim wysokim stołku, widząc przed sobą talerz z duszonym królikiem.

– Szczególnie ucieszyła mnie rozmowa z panią Terekhov – dodał Tourville. – Wiem, że może trafić się jeszcze kilka punktów zapalnych, ale ogólnie uważam, że większość naszych ludzi dobrze sobie radzi.

– Twój chyba lepiej niż moi – przyznał Culbertson.

Tourville wzruszył ramionami.

– Znajdą się szczególnie uparci, ale prawdę mówiąc, moi mieli więcej czasu, aby przywyknąć do tego, że walczą ramię w ramię ze znieprawionym wrogiem. Poza tym można powiedzieć, że wspólne przeżycia zbliżają, zwłaszcza gdy wspomni się lanie, jakie twoi dostali

od Toma Theismana, i jak księżna Harrington przetrzepała skórę moim.

– Domyślam się – odparł ze śmiechem Culbertson.

– Przyznam, że nadal to i owo mnie niepokoi – powiedział Tourville. – Zastanawiam się, co będzie, jeśli, powiedzmy, kilku waszych marines trafi w jakimś barze Montany na moich marines.

– Też przemknęło mi to przez głowę. – Tym razem to Culbertson wzruszył ramionami. – Sądzę, że jako gospodarz powinienem poczuć się wtedy do pokrycia strat w meblach i zastawie.

Tourville parsknął śmiechem i sięgnął po sztucce. Chwilę potem wgrzył się w średnio wysmażony stek.

– Tak po prawdzie z całej Dziesiątej Floty najbardziej obawiam się o komodora Terekhova. Podziwiam jego dokonania, ale jeśli ktokolwiek noszący mundur Manticore ma prawo nienawidzić ludowców, to właśnie on. Nie wiem, czy miałeś okazję się dowiedzieć, co się stało z jego ludźmi po bitwie w układzie Hyacinth, ale ja dobrze znam tę historię. Dlatego tak wielkie znaczenie miało dla mnie bardzo uprzejme i życzliwe zachowanie pani Terekhov.

– Znam to w ogólnym zarysie – odparł Culbertson. – Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Z tego, co wiem, on w ogóle nie porusza tego tematu. Ale mogę ci powiedzieć, że sir Aivars Terekhov jest naprawdę profesjonalistą. Nigdy nie pozwala, aby jego osobiste odczucia wpływały na pracę. To samo będzie dotyczyć współpracy z tobą i twoimi ludźmi.

– Mam nadzieję – odpowiedział cicho Tourville. – Naprawdę mam taką nadzieję.



– Mówiłem, że spodoba ci się tutejsza kuchnia – powiedział radośnie Indiana Graham.

Damien Harahap podniósł oczy znad talerza *choo chee*, dania z krewetek i grzybów, i uśmiechnął się. Wiedział już, że będzie mu brakowało The Soup Spoon po zniszczeniu Ruchu Niepodległości Seraphimu, i uśmiech miał zamaskować to odczucie. Udało się, ponieważ jego twarz od dawna robiła to, co jej kazał.

– Miałaś rację – potwierdził. – Chociaż muszę przyznać, że kaczka w zielonym tajskim curry smakuje mi jeszcze bardziej. Na tyle, że przed odlotem poproszę o przepis.

– Gdybyś chciał tu zostać, nigdy byś go nie dostał – powiedziała mu Mackenzie, zajęta swoimi *pad thai*. Spojrzał na nią zdumiony. – Szef kuchni nie zdradza takich sekretów nikomu, kto mógłby zrobić mu konkurencję. Z nami zaczął gadać tylko dzięki wieloletniej znajomości z tatą.

Gdy wspomniała ojca, cień przemknął po jej twarzy i Harahap skinął głową ze współczuciem.

Było ono całkiem autentyczne. Wiele czasu spędził z tymi młodymi ludźmi i nawet nabawił się poczucia winy przez to, że tak nimi manipulował. Nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni, ale teraz było to szczególnie przykre.

Zapewne nie doszłoby do tego, gdybym miał pod ręką mój statek, pomyślał. Zagwizdałbym na Seong Jin i odleciał stąd już tydzień temu.

Tym razem jednak wyszło inaczej. *Факел* i kapitan Yong zostali w układzie Addison, trzydzieści osiem lat świetlnych od Seraphimu, on zaś przyleciał tu jednym z bliskodystansowych transportowców Krestora. Nie podobało mu się to i zmuszało do spędzenia na miejscu prawie dziesięciu dni, ale *Факел* nie powinien chwilowo pokazywać się w tej okolicy.

Ostatnio doszło do szeregu spięć pomiędzy pozostającymi w układzie partnerskim armatorami Mendoza i Krestor a Oginski Group, która próbowała wejść na Seraphim. Wcześniej udało się jej zdominować ruch w układach Jubilee oraz Akron. Dodanie do kolekcji Seraphimu pozwoliłoby jej na stworzenie trzyetapowej trasy ciągnącej się przez wormhole Włocławek–Sarduchi aż do światów centralnych. Oginski Group znana była z agresywnego podejścia do interesów, w czym wyróżniała się nawet wśród firm działających na Pograniczu. Część zarządu Mendoza i Krestora uważała, że Oginski może próbować rozgrywać ostatnie niepokoje na swoją korzyść. Czego dokładnie oczekiwali, tego Harahap nie był w stanie się domyślić, ale zwracali szczególną uwagę na cały ruch w układzie Seraphim, który nie odbywał się z ich udziałem. W tych okolicznościach lepiej było nie pojawiać się tutaj z szybką jednostką pasażerską, która odwiedzała układ już dwa razy i posługiwała się fałszywą solarną rejestracją. Co więcej, na Mesie przeoczono drobny fakt, że Oginski i Kalokainos Interstellar współpracowały ze sobą, *Caroline Henegar* zaś została zarejestrowana jako statek należący do Kalokainos. Zazwyczaj było to całkiem wygodne, zważywszy na rozległe kontakty tego armatora, niemniej teraz...

Cholery mogły to załatwić już lata temu, westchnął w duchu. Nie musiałbym tu tkwić jak kołek w płocie, czekając na rejs powrotny.

Oczywiście z drugiej strony nie miałby wówczas okazji do zanotowania tyłu przepisów kulinarnych rodziny Saowaluków, co byłoby wielką stratą. Tanawat i Sirada Saowalukowie mieli nieco ponad osiemdziesiąt lat i byli pierwszym pokoleniem prolougu. Sirada ostrzegała wszystkich, aby nie nazywali jej „babcią”, niemniej oboje mieli za sobą dziesiątki lat pracy w

kuchni, a Harahap nie spotkał nigdy nikogo równie dobrego w tym fachu. Byli też uprzejmi, życzliwi i zawsze przyjaźnie nastawieni, chociaż pięć lat wcześniej stracili swojego najstarszego syna, Nattaphonga, zastrzelonego przypadkowo podczas wymiany ognia między przedstawicielami władzy a „bandytami z czarnorynkowego gangu”. W rzeczywistości chodziło o grupę próbującą naruszyć monopol ustanowiony przez krewnych i znajomych McCready, Nattaphong zaś szukał tylko tańszego źródła chińskiej kapusty.

Wdowa po nim, Ning, i dwie córki, starsza, Anong, miała dopiero dwanaście lat, pracowały w rodzinnej restauracji wraz z Thanakitem, żyjącym synem Tanawata i Sirady, oraz ich biologicznymi córkami Kandokwan i Wipadą, a także ich adoptowaną córką Alectą Yearman, znaną jako „Naak”, ze względu na jasne włosy. Mąż Alecty, Josh Ricardo, podobnie jak Indiana trudnił się pokątnym handlem. Harahap szybko zrozumiał, jak cenna była ta knajpka dla Indiany i Mackenzie. Zastanawiał się, ile z pracujących tutaj osób należało do Ruchu Niepodległości. Zapewne sporo, chociaż raczej nie Wipada. Miała siedemnaście lat i wciąż nie mogła przeboleć śmierci starszego brata, którego ubóstwiała. I wciąż była wściekła na winowajców. Miała więc silną motywację, ale ujrawszy ją raz i drugi z Indianą i Mackenzie, Harahap nie przypuszczał, aby chcieli oni wciągać do pracy w organizacji kogoś tak porywczego i niecierpliwego.

Z drugiej strony, jakie to miało znaczenie? Gdy zrobi się naprawdę gorąco, władze nie będą zapewne robić różnicy między tymi, którzy byli aktywnymi członkami opozycji, a osobami tylko dzielącymi ich poglądy.

Przestań, powiedział sobie w duchu, wybierając pałeczkami kolejną krewetkę. To część twojej pracy i wiedziałeś, że tak będzie. Sam jesteś sobie winien, skoro tak zbliżyłeś się do tych ludzi. Zacząłeś ich lubić. Na co liczyłeś, Firebrandzie?

– To naprawdę bardzo smaczne – powiedział, podnosząc wzrok, gdy Alecta dołała mu herbaty.

– Oczywiście – odparła beznamiętnie. – U nas wszystko jest smaczne.

Zaśmiał się i podniósł filiżankę, ale zamarł z ręką nad blatem, gdy drzwi lokalu otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł Thanakit Saowaluk.

– Co się dzieje? – spytała z niepokojem jego żona, Malee, która pracowała tu jako kelnerka.

Thanakit nie odpowiedział. Zamiast tego złapał pilota i zmienił kanał w starym telewizorze, który wisiał na ścianie. Zamiast sportu włączył ECN, kanał edukacyjny z regularnym przeglądem wiadomości, kontrolowany przez ministra edukacji Andersona Bligha. Była to oficjalna tuba

propagandowa reżimu, niemająca wszakże żadnej konkurencji, zatem ludzie oglądali ten kanał z konieczności, tyle że odczytując przekaz na opak.

Na ekranie pojawiła się naczelna prezenterka i Harahap zdrętwiał. Jak zwykle była idealnie uczesana i elegancka, ale sądząc po mowie ciała i wyrazie twarzy, także przerażona i zagubiona.

– Jak już wspominaliśmy, wiceprezydent Tanner przekazał nam niedawno informację o utracie statku *Seraphim One*, zapewne ze wszystkimi osobami na pokładzie.

Mackenzie Graham wciągnęła powietrze i pobladła jak trup, Indy mruknął pod nosem coś obscenicznego. Harahapowi zrobiło się nagle bardzo zimno.

– Statek wchodził właśnie na orbitę Seraphimu, skończywszy przegląd próżniowych instalacji przemysłowych, gdy nagle doszło na nim do eksplozji – mówiła prezenterka. – Rzeczniczka prasowa korporacji Mendoza of Córdoba potwierdziła, że na pokładzie znajdowała się pani Helena Hashimoto, menedżer układowy tej firmy. Została tam zaproszona jako gość prezydent McCready. Towarzyszyło im co najmniej trzech członków prezydenckiego gabinetu, wizytujących nową platformę towarową na głównej stacji przeładunkowej Mendozy. Według wstępnych, niepotwierdzonych jeszcze informacji na pokładzie znajdował się też Oliver Schonberg, menedżer układowy Krestor Interstellar. – Kobieta przełknęła z trudem ślinę i spojrzała prosto w obiektyw. – Generał Shelton z Ministerstwa Obrony Narodowej ogłosił natychmiastowe zamknięcie układu Seraphim dla całego ruchu jednostek kosmicznych, co ma obowiązywać do odwołania.

Kobieta zniknęła i zamiast niej pojawił się na ekranie siwowłosy, krępy mężczyzna w mundurze armii układowej. Napis u dołu informował, że to właśnie generał Howard Shelton, chociaż wszyscy miejscowi na pewno świetnie to wiedzieli.

– Pragnę przekazać mieszkańcom układu Seraphim, że w pełni kontrolujemy sytuację – powiedział. – Niestety, minister obrony Goforth także był na pokładzie statku pani prezydent. Wobec tego stawienie czoła obecnemu kryzysowi spadło na moje barki. Wymiar tej tragedii nie przeszkodzi nam w utrzymaniu ładu i porządku publicznego oraz wszczęciu dochodzenia.

– Dochodzenia, panie generale? – spytał jakiś głos spoza kadru i Shelton kiwnął głową z taką miną, jakby nie spodziewał się tego pytania.

– Kontrola astro przekazała nam, że na kilka sekund przed eksplozją w pobliżu *Seraphim One* wykryto jakiś obiekt, który mógł, podkreślam, mógł być pociskiem. Zapisy są obecnie analizowane przez kontrolę astro oraz ekspertów armii i Ministerstwa Bezpieczeństwa. Dopóki te

prace nie zostaną zakończone, żaden statek nie zostanie wpuszczony do naszego układu, nie opuści go ani nie zmieni swojej orbity. Jeśli okaże się, że to nie był wypadek, lecz zbrodniczy zamach, z całą stanowczością podejmiemy działania konieczne dla ustalenia i odszukania winnych, których następnie spotka surowa i sprawiedliwa kara.

– Mój Boże – wyszeptała Mackenzie. Harahap ciągle jeszcze trawił usłyszane informacje. – Mój Boże – powtórzyła i pokręciła głową.

Zdziwiła go ta reakcja, gdyż Mackenzie z pewnością nie należała do wielbicielek zmarłych osób. Spojrzał na Indianę i on wydawał się podobnie poruszony.

– W czym rzecz? – spytał, a Indiana aż się wzdrygnął.

– Jeśli McCready naprawdę zginęła, szybko zrobi się tutaj jatka – wyjaśnił młodzieniec. – McCready wybrała Tannera, ponieważ ten gość ma kręgosłup jak dżdżownica i mózg pekińczyka. W zasadzie jedno wielkie zero. Shelton i O’Sullivan nienawidzą się nawzajem. Bligh był człowiekiem McCready, ale jeśli nie było go na *Seraphim One*, będzie wspierał albo Sheltona, albo O’Sullivana. Jeśli Patricia Mansell, minister gospodarki, także ocalała, utworzy trzecią frakcję dzięki swoim koneksjom z całym środowiskiem przemysłowym. Po śmierci Hashimoto i Schonberga może przejąć kontrolę nad całą infrastrukturą. To siła co najmniej tak duża jak armia czy podziemie gospodarcze. Każde z nich będzie chciało wejść do pałacu prezydenckiego i nie pogodzi się z sukcesem konkurencji. Fakt, że to Shelton podał wiadomość, może oznaczać, iż Bligh już zdecydował, kogo poprze. Ale jest też możliwe, że generał działa na własną rękę. Prezenterka mogła być taka spłoszona za sprawą obecności uzbrojonych żołnierzy w studiu. O’Sullivan zaś klnie teraz zapewne, na czym świat stoi, gdyż Shelton pierwszy dorwał się do mediów i będzie robił za twarz „nowej władzy”, porządkującej sprawy w układzie. – Skrzywił się i spojrzał na Harahapa. – Przykro mi, Firebrand. Wygląda na to, że utknąłeś w środku swojskiej i paskudnej wojny domowej. Tyle dobrego, że po cichu liczyliśmy na podobny scenariusz. Był mało prawdopodobny, ale w pewnym stopniu jesteśmy na to gotowi. Chociaż przy całkowitej blokadzie żeglugi pewnie nie zdołamy przekazać wiadomości dla twoich znajomych z gromady Talbott. – Uśmiechnął się lekko. – Witamy w naszej rewolucji.

SIERPIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Przypuszczam więc, że sprawa sprowadza się do jednego całkiem prostego pytania: Jesteście gotowi spełnić moje żądania czy będziemy gadać inaczej?”

– kapitan Amanda Belloc, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Madelyn Hoffman*

ROZDZIAŁ LVIII



I za cholerę nie obchodzi mnie, co się dzieje w stolicy! – rzuciła gniewnie Genevieve Bryant.
– Dopóki nie otrzymam konkretnych rozkazów od generała O’Sullivana, w Terrabore nic się nie zmieni. Zrozumiano, Sampson?

– Oczywiście, pani komendant. – Major Frederick Sampson, dowódca straży więziennej Terrabore Maximum Security Prison, niemal stanął na baczność. Nie zamierzał jednak łatwo zrezygnować. – Mówię tylko, że strażnicy są... niespokojni. Dociera do nas wiele plotek. A skoro Shelton mówi, że to generał O’Sullivan stał za...

– Nie ma takiej opcji, żeby to generał O’Sullivan zestrzelił *Seraphim One* – warknęła Bryant.
– Nawet gdyby chciał, a nie wiem, dlaczego miałby chcieć, jego ludzie nie dysponują takim uzbrojeniem, żeby załatwić tak duży statek. W ogóle cała koncepcja, że zniszczenia miałyby dokonać jeden pocisk, brzmi mocno podejrzanie. *Seraphim One* nie był wielką jednostką międzygwiazdową, ale zawsze to sto dwadzieścia pięć tysięcy ton. Za dużo, aby „wyparowało” na skutek trafienia pojedynczym pociskiem rakietowym. Szczerze mówiąc, bardziej pasuje mi to do awarii na pokładzie, na przykład w przedziale reaktora fuzyjnego.

Sampson nadal nie wyglądał na całkiem przekonanego, musiała jednak opanować chęć oderwania mu łba i wepchnięcia go w bardziej stosowny otwór ciała. Rozumiała w pewien sposób jego rozterki i wiedziała, że trudno go winić. Podobnie jak i wszystkich strażników z jej więzienia.

– Posłuchaj, majorze – odezwała się rzeczowym tonem. – W tej chwili generał Shelton mówi wszystko, co jego zdaniem może mu pomóc w tej sytuacji. Ale pomyśl sam. Gdyby ktoś na *Seraphimie* miał pocisk zdolny trafić statek kosmiczny, zanim jeszcze wejdzie na orbitę, kto by to był? My czy armia? A gdyby jakimś cudem była to armia, kogo wówczas chciałaby o to obwinić? Samotnie działającego szaleńca? A może jedyną zorganizowaną siłę, która mogłaby stanąć jej na drodze?

Sampson zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Nie twierdzę, że to była armia – kontynuowała pani komendant. – Na pewno wiem tylko tyle, że to nie my. W tej chwili Shelton też nie twierdzi, że to my. Jasne, sugeruje to, ale otwarcie tego nie powiedział. Na razie. Wróć więc do swoich ludzi i powiedz im, że policja nadal

odpowiada za więzienie i tak pozostanie, dopóki ktoś uprawniony nie zdecyduje inaczej. I że generał O'Sullivan, w odróżnieniu od generała Sheltona, jest członkiem rządu. Co oznacza, że jest cywilnym przełożonym Sheltona.

– Tak, pani komendant.

Tym razem Sampson stanął porządnie na baczność, zsalutował i wyszedł z gabinetu Bryant.

Z mieszanymi uczuciami odprowadziła go spojrzeniem, po czym obeszła biurko i padła na fotel. Tak naprawdę była o wiele bardziej zdenerwowana, niż chciała to okazać majorowi. Najgorsze, że nawet teraz, czterdzieści osiem godzin po zniszczeniu prezydenckiego statku, nadal nie miała pojęcia, kto właściwie wystrzelił ten pocisk. Tak jak powiedziała Sampsonowi, pewna była tylko tego, że nie zrobił tego Tillman O'Sullivan. A raczej prawie pewna. Sądziła, że planując taką akcję, dopuściłby ją do spisku. Skoro powierzył jej najważniejsze więzienie Policji Bezpieczeństwa, musiał jej po prostu ufać. Sporo już kiedyś razem przeszli.

Z drugiej strony, nie była wcale taka pewna, jak próbowała zasugerować Sampsonowi, że stał za tym właśnie Howard Shelton. Zawsze wiedziała, że Shelton jest ambitny, ale nic nigdy nie wskazywało, że byłby gotowy spróbować czegoś takiego jak zamach stanu. Do tego potrzeba o wiele więcej odwagi, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się okazać. Co innego spróbować skorzystać z zamieszania po zamachu przeprowadzonym przez kogoś innego. O tak, to w jego stylu. Anderson Bligh zaś był na tyle inteligentny, aby zrozumieć, że dowództwo nad armią w okręgu Cherubimu daje mu de facto kontrolę nad stolicą. Przynajmniej na razie. To mogłoby wyjaśniać, dlaczego zdawał się wspierać Sheltona. Czy utrzyma to wsparcie, gdy dojdzie do otwartej walki, to już druga sprawa. A walka wydawała się coraz bardziej nieunikniona.

No i była jeszcze Patricia Mansell. Ona, Bligh i O'Sullivan byli jedynymi ocalałymi członkami gabinetu Jacqueline McCready. Wiceprezydent Tanner także do niego należał, a wedle konstytucji powinien zastąpić teraz McCready. Tyle że obdarzona dużą dozą zdrowego rozsądku prezydent bardzo starannie wybrała swojego zastępcę. Hussein Tanner był praktycznie pozbawiony charakteru. Miał jednak dość rozumu, aby pojąć, że w każdej walce o sukcesję będzie sporo ofiar. Zwłaszcza po stronie przegranych. O ile Shelton nie zdołał cudownym sposobem wszczepić mu kręgosłupa, należało oczekiwać, że Tanner szuka teraz wyjścia, aby nie dać się wciągnąć w jatkę, i ani mu w głowie objęcie stanowiska prezydenta. Tak, zatem o władzę zamierzały walczyć cztery osoby: Bligh, O'Sullivan, Mansell i Shelton, jeśli jakoś da radę. Wprawdzie armia miała cięższe uzbrojenie niż policja, ale dowodzone przez O'Sullivana

oddziały policyjne były o wiele liczniejsze. Zapewne dlatego Shelton ograniczał się do różnych insynuacji pod jego adresem, zamiast przejść do działania i ogłosić stan wojenny, oraz mianował siebie pełniącym obowiązki głowy państwa.

To było bardzo skomplikowane i mogło doprowadzić do wyjątkowo niesympatycznej sytuacji, ale Genevieve Bryant wciąż miała niejasne wrażenie, że za zniszczenie statku *Seraphim One* tak naprawdę odpowiada jeszcze ktoś inny. Ktoś całkiem inny niż ta „wielka czwórka”. Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, kto mógłby to być.



– Na pewno chcesz się do tego mieszać, Firebrand? – spytał Indiana Graham, stojąc z hełmem wojskowym wciśniętym pod lewe ramię. – Wiem, że jesteś odważnym międzygwiazdowym agentem i tak dalej, i tym podobne, ale to jest na serio i można zginąć.

– Skoro tak wyszło. – Damien Harahap wzruszył swobodnie ramionami, chociaż nie był wcale pewien, czy dobrze robi. – Jak sam powiedziałaś, „witaj w rewolucji”.

Indy uśmiechnął się i klepnął go w ramię. Harahap zastanowił się, jak to wszystko się skończy.

Pewnie źle, stwierdził. Z drugiej strony, jestem trochę jak ten gość ze starej historii jadący na tygrysie. I tak nikt nie wydostanie się stąd w najbliższym czasie, a oni zrobią swoje ze mną czy beze mnie.

Nie była to szczególnie atrakcyjna perspektywa, ale zawsze starał się patrzeć na takie sprawy realistycznie. Jeśli rebelia się nie powiedzie, co było bardzo prawdopodobne, niejaki Damien Harahap zostanie zapewne aresztowany i skazany. Nie przypuszczał, aby władze układu Swallow skłonne były wnikać, czy przyłapany na gorącym uczynku agent obcych sił pomagał rewolucjonistom, czy może zamierzał doprowadzić do ich klęski.

A to oznaczało, że z jego punktu widzenia o wiele lepiej by było, gdyby owi rewolucjoniści jednak wygrali.

Poza tym nigdy nie miałem nic przeciwko Indy’emu i Mackenzie, przypomniał sobie. Nie stracę, jeśli im pomogę. A jak się uda, wsiądę na pokład pierwszego odlatującego statku, zanim Mendoza i Krestor, albo też Oginski i Kalokainos, zjawią się i „przywrócą porządek” pod nowym kierownictwem.

Podejrzewał, że zniszczenie statku *Seraphim One* w ogóle nie było zabójstwem politycznym. Nie było dowodów, że faktycznie doszło do ataku rakietowego. Jak dotąd tylko Oliver Shelton o

nim wspomniał, co sugerowało raczej robotę od wewnątrz. W każdym razie on by tak to załatwił, gdyby Oginski zapłacił mu za zabicie Hashimoto i Schonberga. Śmierć McCready i członków jej gabinetu była użytecznym efektem ubocznym. Owszem, akcja nawet jak na Oginski Group wydawała się trochę zbyt brutalna, ale przecież oni nigdy nie brzydzą się rozlewem krwi. Szkoda, że przegapili Schonberga, ale gdyby Harahap był układowym menedżerem Krestor Interstellar, ukryłby się w jakiejś głębokiej i bardzo dobrze chronionej dziurze i spróbował wezwać pomoc. Zakładając oczywiście, że zdołałby wysłać kuriera. Ludzie, którzy byli w stanie zniszczyć prezydencki jacht z tysiącem osób na pokładzie, wliczając w to załogę, panią prezydent, jej współpracowników i ochronę oraz gości, raczej nie chcieli robić niczego połowicznie.

A póki co...

– W porządku – powiedział Indy do dwustu osób zgromadzonych w zatłoczonym i zapuszczonym magazynie Rust Belt. – Jesteśmy gotowi. Firebrand, jesteś numerem drugim w kolejce. Juggler – zwrócił się do Thanakita Saowaluka – masz numer trzeci. – Obaj skinęli głowami. – Reszta wsiada do własnych pojazdów i czeka na znak ode mnie albo od Magpie. Wtedy ruszacie. Mam nadzieję, że nie będziecie potrzebni. Gdyby jednak, wchodzicie w tempie i strzelacie do wszystkiego, co będzie w mundurze. Ale pamiętajcie, nikt się nie rusza, zanim Saratoga i Osiris tego nie zrobią, a wy się nie ruszacie, dopóki któreś z nas dwojga nie da znaku. Jasne?

Wszyscy pokiwali głowami. Potem Indy nałożył hełm, spojrzął na Harahapa i Saowaluka i wskazał na trzy czekające ciężarówki powietrzne.

Były to standardowe ciężkie pojazdy typu *Mastodonte*, nabyte od Mendozy dzięki funduszom Firebranda. Dziwnym zbiegiem okoliczności *mastodonte* został wybrany dwanaście lat temu, oczywiście po uczciwym przetargu, jako podstawowy wóz transportowy armii Seraphimu. Jeszcze większym zbiegiem okoliczności te trzy pojazdy nosiły akurat malowanie armijnej kolumny transportowej, na ich pakach zaś siedziały rzędy uzbrojonych postaci w jednolitym umundurowaniu armii.

– Czas ruszać – rzucił Indy, opuścił wizjer hełmu i skierował się do pierwszej ciężarówki.



Mackenzie Graham sprawdziła czas. Bardzo się starała nie okazywać zdenerwowania. Nie było to łatwe, lecz musiała, także ze względu na brata. Miał rację, mówiąc, że jedno z nich musi

obsadzić centrum łączności, przy czym doskonale wiedziała, dlaczego to będzie właśnie ona. Miała dość rozsądku, aby przyznać, że brat był lepszy w bezpośredniej walce, jej zatem pozostawało zająć się siecią dowodzenia i łączności. Zasadniczo czyniło ją to obecnie dowódcą Ruchu Niepodległości Seraphimu. I to w tak historycznej chwili! Oczywiście nie myślała przy tym, że w ten sposób brat starał się ją ochronić. O nie, w żadnym wypadku!

Zacisnęła zęby i przez chwilę oddychała głęboko.

– Kontrola łączności – powiedziała i pięć osób przy stanowiskach, trzech mężczyzn i dwie kobiety, pochyliło się nad swoimi panelami.

Mackenzie była głęboko wdzięczna Firebrandowi, że do nich dotarł. W przeciwieństwie do cywilnych kompów, które pierwotnie zamierzali wykorzystać, dostarczone przez Manticore wojskowe modele pozwalały na budowę bezpiecznej sieci, opartej na losowej zmianie częstotliwości oraz głębokim szyfrowaniu. Było pewne prawdopodobieństwo, że armia wykryje samo istnienie ich sieci, ale właściwie nawet na to liczyli. Wyśledzenie ich jednak za pomocą triangulacji, zwłaszcza przy przekaźnikach rozsianych w różnych miejscach, byłoby już o wiele trudniejsze. Niemniej pierwszy raz uruchamiała sieć w pobliżu stolicy i musiała sprawdzić, czy wszystko działa jak należy.

– Saratoga – powiedziała. – Magpie. Kontrola łączności i statusu.

– Magpie, Saratoga – odparł natychmiast Leonard Silvowitz i pomimo napięcia Mackenzie uśmiechnęła się, przypominając sobie jego reakcję, kiedy odkrył, że to właśnie dzieci jego starego przyjaciela i partnera w interesach założyły Ruch Niepodległości. – Odbiór dobry. W gotowości.

– Potwierdzam gotowość – odpowiedziała i przeszła do kolejnego kanału na liście. – Osiris, Magpie. Kontrola łączności i statusu.

– Magpie, Osiris – odpowiedziała Janice Karpov. – Dobrze cię słyszać. Jesteśmy gotowi.

– Potwierdzam gotowość – odparła i znowu zmieniła kanał. – Tannenberg, Magpie. Kontrola łączności i statusu.

– Magpie, Tannenberg – odezwał się Tanawat Saowaluk. – Połączenie dobre. W gotowości.

– Potwierdzam gotowość. – Kolejna zmiana kanału. – Juggler, Magpie. Kontrola łączności i statusu.

– Magpie, Juggler – odpowiedział Thanakit Saowaluk. – Działa. Jesteśmy na pozycji.

– Potwierdzam: na pozycji – powiedziała i znów zmieniła kanał. – Firebrand, Magpie.

Kontrola łączności i statusu.

– Magpie, Firebrand. Gra i buczy. Jesteśmy gotowi.

– Potwierdzam gotowość – powiedziała i ostatni raz zmieniła kanał. – Talisman, Magpie – powiedziała cicho. – Kontrola łączności i statusu.

– Magpie, Talisman – odezwał się jej brat, korzystając z nowego modułu, który zastąpił oryginalne wyposażenie jego helmu. – Łączność bez zarzutu. Jesteśmy na pozycji.

– Potwierdzam: na pozycji – odpowiedziała. – Uważaj na siebie – dodała cicho.

– Potwierdzam – odparł równie cicho.

Odetchnęła głęboko. Potem wyprostowała się i podłączyła do wszystkich kanałów równocześnie.

– Wszystkie podstawowe grupy uderzeniowe, Magpie – powiedziała zdecydowanym tonem.

– Wykonać!



Zmięta kulka papieru przeleciała nad biurkiem i wylądowała w koszu pod ścianą. Porucznik Bassett Juneau z Armii Układu Seraphim zrobił kolejny znaczek w notesie i zaczął szykować następną papierową piłeczkę. Jak dotąd średnia celnych rzutów wynosiła prawie siedemdziesiąt pięć procent, co z uwagi na właściwości aerodynamiczne kulek papieru nie było wcale złym wynikiem.

Dobrze, że chociaż coś się układało. Trzy dni po zniszczeniu statku *Seraphim One* napięcie zdawało się wciąż narastać i nic nie zapowiadało, żeby miało się to zmienić. Teoretycznie wiceprezydent Tanner był w grze, ale pozostawał niewidoczny. Generał Shelton opowiadał, że wiceprezydent żyje, ma się dobrze i przygotowuje się do przejęcia władzy. Właśnie tego ranka mianował generała Sheltona, którego oddziały akurat przypadkiem otaczały pierścieniem pałac prezydencki, nowym ministrem obrony w miejsce zmarłego Simona Gofortha.

Nadal nie było jednak wiadomo, kto kogo i przed kim chronił, i tylko animozje między armią a policją Tillmana O’Sullivana przybierały na sile, zwłaszcza po tym, jak wojsko zajęło pałac prezydencki. Jeszcze gorzej wróżył fakt, że policja miejska zdawała się coraz lepiej dogadywać z polityczną. Może i należało się spodziewać, że postawiona w obliczu wyboru stołeczna komenda będzie wolała zwrócić się ku bratniej poniekąd organizacji, a nie ku armii. Zwłaszcza że ta ostatnia wzięła chyba nowego prawowitego prezydenta jako zakładnika.

Pomijając oczywiście ten drobiazg, że nikt nie wiedział, jak jest naprawdę. Może poza

O'Sullivanem, który puścił w świat taką właśnie wersję. Która mogła być kłamstwem. Albo czymś w tym stylu.

A tymczasem...



– Gotowy – powiedział Leonard Silvowitz, czyli Saratoga. Był spięty, ale spróbował się rozluźnić, gdy jego ciężarówka w malowaniu Policji Bezpieczeństwa zatrzymała się przy punkcie kontrolnym Arsenалу na Harris Street. Znudzona kapral dowodząca pięcioosobową wartą aż się skrzywiła, wyraźnie zdegustowana wizytą trzech wozów policyjnych najeżdżających placówkę armii, zwłaszcza tak ważną. I w tak niedogodnej chwili. Sądząc po gestach, zaraz skontaktowała się z wyższą szarżą i słuchała przez chwilę, co ktoś z przełożonych ma jej do powiedzenia.



Porucznik Juneau cisnął ostatnią kulkę i sięgnął dłonią do sygnalizującego połączenie komunikatora.

– Juneau – powiedział, nawet się ciesząc, że coś przerwało monotonię służby.

– Mówi Wittek, sir – odezwała się sierżant Louisa Wittek. – Mamy dziwną sytuację przy głównej bramie.

– Jaką sytuację?

– Kapral Terahaute mówi, że zjawiły się tam trzy sześciometrowe wozy Policji Bezpieczeństwa.

– Co?! – Juneau aż usiadł prosto. – I czego chcą?

– Terahaute ich jeszcze nie pytała. Zwróciła się o instrukcje.

– No to powiedz jej, żeby się dowiedziała, czego chcą. Ale bramę ma trzymać zamkniętą – odparł Juneau.

Była to cywilnej konstrukcji brama, która nie miałaby szans przetrwać poważnego ataku, ale lepsze to niż nic. Jednocześnie pomyślał, że jak dotąd policja nie robiła niczego złego i trudno byłoby podejrzewać ją o nieczne zamiary. Pożałował jednak, że generał Shelton nie zdecydował się na zwiększenie składu warty w Arsenale w tym samym czasie, gdy obsadzał pałac prezydencki.

– Tak, sir – odrzekła Wittek, a Juneau wstał z krzesła i sięgnął po pas z bronią.



– Wprowadź nas tam, Ning – powiedział spokojnie Tanawat Saowaluk.

– Tak, *pôr* – odrzekła młoda kobieta siedząca w fotelu pilota.

Saowaluk zacisnął szczęki, gdy nazwała go „tatusiem”.

Wraz z Siradą długo próbował przekonywać owdowiałą synową, aby zrezygnowała z udziału w walce. Raz, że ją kochali, a dwa, nie chcieli, aby ich wnuczki zostały sierotami. Niemniej Ning Saowaluk była kobietą zdeterminowaną, która żywiła ognistą wręcz nienawiść do całego rządu McCready. Argumenty nie poskutkowały, podobnie jak i próba zakazania jej udziału w akcji. Nie byli w stanie jej powstrzymać. W tej sytuacji Saowaluk zrobił wszystko, aby znalazła się w możliwie najbezpieczniejszym miejscu, czyli za sterami oryginalnego (skradzionego) taktycznego transportowca typu *Vencejo*, przewożącego pierwszy rzut atakujących. Pomimo cywilnego rodowodu pojazd był bardzo dobrze opancerzony i szybki, jej zadaniem zaś było dostarczyć bojowników na miejsce, poczekać na nich i potem zabrać z miejsca akcji.

Protestowała oczywiście, zarzucając mu, że traktuje ją w specjalny sposób, ponieważ jest jego synową, i musiał się z nią zgodzić. Niemniej wskazał też, że jest jednym z ich najlepszych pilotów. I dodał na koniec, że albo przyjmie tę rolę, albo zostanie w domu.

Uważał, że kiedyś zostanie mu to wybaczone.

Teraz siedział na przednim fotelu pasażera i patrzył przez szybę na długie podejście do fortu Silvano Nagpal, głównego parku pojazdów pancernych Armii Układu Seraphim.



– Idzie – mruknął Silvowitz, widząc kapral wychodzącą przez małe drzwi w głównej bramie.

Podeszła do pierwszego wozu.

Z tyłu dobiegł go zgodny chór odpowiedzi osiemnastu uzbrojonych ludzi. Silvowitz opuścił szybę po stronie pilota, a kapral uniosła wizjer hełmu.

– Dzień dobry, pani kapral – powiedział.

– Dzień dobry, sir – odrzekła spokojnym tonem, zachowując minimum szacunku dla starszego stopniem. – Czy mogę zapytać, co pana tu sprowadza, majorze?

– Cóż, mam nadzorować przekazanie broni – odparł.

– Przekazanie broni? – powtórzyła z powątpiewaniem. Kiwnął głową. – Sir, nie otrzymałam żadnej informacji na ten temat.

– Nie dziwi mnie to. Sprawa wyszła dość nagle.

– Majorze, obawiam się, że muszę zobaczyć jakieś polecenie, zanim pozwolę wam wjechać na teren Arsenału.

– Oczywiście, pani kapral – powiedział Silvowitz i skinął głową do porucznika policji, czy też kogoś, kto wyglądał na porucznika policji, siedzącego na fotelu obok. – Oto ono.

Oczy Ginger Terahaute rozszerzyły się ze zdumienia i to było wszystko, co zdążyła zrobić, nim strzałka z pulsera trafiła ją w środek czoła.

Jej ciało poleciało do tyłu, ale przynajmniej hełm zatrzymał w sobie szczątki. Gdyby nie to, opryskałaby kilka metrów chodnika. Zaraz potem Silvowitz ruszył z maksymalnym przyspieszeniem i ciężarówka bez trudu przebiła się przez bramę.

Pozostali wartownicy zastygli w osłupieniu. Tylko na trzy sekundy, ale to i tak za długo. Dopiero unosili broń, gdy ze szczelin w burcie mijającego ich wozu posypała się istna lawina ognia. Tylko dwóch zdążyło krzyknąć, inni nie mieli czasu nawet na to. Wszystkie trzy ciężarówki wjechały na teren Arsenału.

– Magpie, Saratoga! – odezwał się Silvowitz. – Jesteśmy w środku.



– Magpie, Teacup – rozległo się w słuchawce Mackenzie Graham.

– Teacup, Magpie – odparła. – Słucham.

– Magpie, Fort Silvano utrzymuje wyższy poziom gotowości, niż sądziliśmy – powiedział porucznik Alfredo Duncan z Armii Układu Seraphim, znany też jako „Teacup”. Na co dzień zastępca oficera logistycznego Fortu Silvano. – Dotarłem do rozpiski służb. Warty zostały podwojone i otrzymały dodatkowy przydział amunicji.

Cholerny świat, pomyślała. Tego się obawiałam.

Już wcześniej przyszło im do głowy, że niektóre cele mogą utrzymywać wyższy stopień gotowości. Wiedzieli, że stwarza to zagrożenie dla powodzenia akcji, ale w trakcie planowania uznali, że Shelton i O’Sullivan będą trzymać się w szachu i tym samym unikać wszelkiej eskalacji. Żaden z informatorów nie meldował też o niczym podejrzanym. Informacja od Duncana brzmiała jednak poważnie. Teacup zawsze był bardzo wiarygodny.

– Teacup, Magpie potwierdza – odpowiedziała, a następnie zmieniła kanał. – Tannenberg, Magpie – rzuciła ostrym tonem. – Teacup mówi, że podwoili warty i wydali dodatkową amunicję. Anulować. Powtarzam: anulować.

– Magpie, Tannenberg – odezwał się cicho Tanawat Saowaluk. – Obawiam się, że nie da rady. Jesteśmy już pod główną bramą i dali nam sygnał, żebyśmy się zatrzymali.

Mackenzie przygryzła wargę. Kusilo ją, aby powtórzyć rozkaz, ale jej tam nie było. Tylko

Tanawat mógł ocenić sytuację i to było jego misją. Oby miał lepsze wyczucie niż ona.

– Rozumiem, Tannenberg – powiedziała. – Powodzenia.



– Sir, gliny podjechały w kilka wozów pod główną bramę – powiedział sierżant Martin Rucelli do kapitana Salvadora Vasileva, porannego oficera dyżurnego w Arsenale. – Mówią, że chodzi o jakieś przekazanie broni.

– Co? – Vasilev zmarszczył brwi. – Nie słyszałem nic o żadnym przekazaniu broni! Zwłaszcza glinom!

– Mówię tylko, co zameldowała warta przy bramie.

– No to powiedz im, że będą musieli poczekać, aż to wyjaśnię.

– Tak, sir.



– Pani major – powiedział starszy podoficer ze składu warty do Janice Karpov. – Obawiam się, że kapitan Vasilev musi potwierdzić wasze rozkazy. Gdybyście mogli zaparkować w tamtym miejscu...

Gdy uniósł rękę, aby wskazać miejsce na zaparkowanie, Karpov władowała mu trzy strzałki w pierś. Ciężarówka, których tym razem było aż pięć, zawyły turbinami i ruszyły prosto na bramę.

– Magpie, Osiris – powiedziała Karpov do komunikatora. – Jesteśmy w środku.



– Muszę zobaczyć jakieś upoważnienie, majorze – powiedział sierżant o wiele mniej uprzejmie, niż powinien, zwracając się do oficera.

– Oczywiście, sierzancie – odparł Saowaluk i otworzył drzwi pasażera.

Sierżant odsunął się kilka kroków i Saowaluk uśmiechnął się, widząc ten przejaw ostrożności. Trzymając dłoń z dala od kabury, rozpiął kurtkę mundurową.

– Ma pan rację – kontynuował. – Dopóki nie ustali pan, co się dzieje, zawsze lepiej uważać.

– Tak, sir – zgodził się sierżant, nadal obserwując go uważnie.

– W sumie szkoda – rzucił Saowaluk... i pierś sierżanta wręcz eksplodowała.

Pozostała jedenastka wartowników, podobnie jak nieszczęsny sierżant, patrzyła na majora, nie na tylne drzwi ciężarówki. Prawdę mówiąc, nie mogli ich nawet dobrze widzieć, nie dostrzegli więc czterech uzbrojonych postaci, z których dwie przepełżyły pod wozem do bramy.

Dwie pozostałe czekały ukryte za pojazdem, aż tamta dwójka dotrze do celu. Potem wszyscy otworzyli ogień do wartowników, którzy okazali się nie dość podejrzliwi.

– Pierwsza drużyna, wyskakujcie tutaj – podał Saowaluk przez sieć taktyczną. – Wchodzimy pieszo. Druga drużyna, gdy oczyścimy bramę, rusza do południowego parku maszyn. Trzecia drużyna, północny park. Rozmieście ładunki i zaraz się wynoście. – Wciągnął głęboko powietrze i przełączył kanał. – Magpie, Tannenberg. Jesteśmy w środku.



– Talisman – odezwała się Mackenzie do Indiany. – Tu Magpie. Wszędzie mamy wejście. Powtarzam: mamy wejście.

– Magpie, Talisman potwierdza – odparł Indy i skinął głową do Alecky Yearman siedzącej w fotelu pilota. – Ruszaj, Naak – powiedział i trzy ciężarówki *Mastodonte* ze stu dwudziestoma bojownikami ruszyły w stronę Terrabore Maximum Security Prison.



Tanawat Saowaluk zaklął i padł za zaparkowanym pojazdem w tej samej chwili, gdy seria strzałów trafiła Jessicę Lambert prosto w klatkę piersiową. Jej lekki pancierz, typowy dla policji, nie był w stanie ich zatrzymać. Ciało drgało jeszcze, gdy upadała, ale już nie żyła. Saowaluk posłał serię w stanowisko, z którego padły śmiertelne strzały.

Ale nic nie wskórał. Tymczasowy punkt obronny nie był bunkrem czy choćby stanowiskiem obłożonym workami z piaskiem, tylko zwykłym warsztatem, w którym broniła się ponad połowa plutonu Policji Bezpieczeństwa. Niestety, ściany z cerametu były odporne na strzałki pulserów, oni zaś nie mieli działek, a wszystkie pociski raketowe już wykorzystali. A co gorsza, ich pozostała przy życiu siódemka raczej nie mogła ruszyć się pod ogniem.

Większość ataków zakończyła się sukcesem, chociaż straty były o wiele większe, niż oczekiwali. Gdyby mógł wysunąć głowę z ukrycia, ujrzałby kłęby dymu bijące z podstawowych parków maszynowych. Część pojazdów mogła pozostać sprawna, ale na pewno nie było ich wiele. A gdyby dostali się do warsztatów, mogliby poważnie utrudnić naprawę tych uszkodzonych. Ale nie mieli na to szansy.

W sumie nie mieli nawet jak się wycofać.

– Zespół dwa i trzy – powiedział przez sieć. – Wycofajcie się. Kierunek na punkt zborny numer sześć.

– A co z wami? – spytał Anson Tolliver, lider zespołu trzeciego.

– Nigdzie się nie wybieramy – odpowiedział ponuro Saowaluk. – Obsada warsztatu jest zbyt liczna, przycisnęli nas ogniem. My zostajemy, reszta się wynosi. Zajmiemy ich, dopóki się nie oddalicie.

– Nie, *pôr*! – krzyknęła Ning.

– To nie mój wybór, *kwanjai* – powiedział niemal czule. – Wracaj do dziewczynek. Potrzebują cię.

– Ciebie też potrzebują! Wszyscy cię potrzebujemy!

– Przykro mi. – Wychylił się zza samochodu i posłał serię w stronę warsztatu. – Wracaj do domu. I uważaj na siebie. Pamiętaj o działkach przy zachodnim ogrodzeniu.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Lecę po ciebie, *pôr* – odezwała się nagle jego synowa.

Znał ten jej śmiertelnie poważny ton.

– Nie! – krzyknął. – Nie, Ning!

Ciężarówka nadleciała z zachodu na niecałych dziesięciu metrach. Ci z warsztatu zaraz zaczęli ją ostrzeliwać. Większość strzałek odskakiwała od pancerza, ale nie wszystkie. Serce w nim zamarło, gdy zobaczył odpadające elementy konstrukcji.

– Neeeeee! – wykrzyknął znowu, ale wóz nawet nie zwolnił. Z podmuchem turbin przeleciał nad resztką jego zespołu, cały czas biorąc na siebie nawałę ognia. Zaraz potem runął dokładnie na warsztat naprawczy, wbijając się w cerambetowe ściany z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę.

Wybuch strzaskał wszystkie szyby w promieniu tysiąca metrów.

ROZDZIAŁ LIX



Coraz lepsze wiadomości ostatnio, prawda? – Agata Wodosławska wskazała oskarżycielsko palcem na streszczenie najnowszego raportu wywiadu, widoczne na ekranie, i spojrzała na siedzących przy ogromnym stole konferencyjnym współpracowników. – Wydaje się, że decyzja o zbadaniu „zdrady” Beowulfa nie była wcale takim wspaniałym pomysłem.

Jej spojrzenie zatrzymało się na Innokentim Kolokoltsovie, stałym starszym podsekretarzu spraw zagranicznych i uznanym przywódcy „Mandarynów”, pięciu mianowanych urzędników, którzy de facto rządzą Ligą Solarną. Od samego początku Wodosławska, będąca stałym starszym podsekretarzem skarbu, oraz Omosupe Quartermain, stały starszy podsekretarz handlu, próbowali ostrzec swoich towarzyszy przed ekonomicznymi konsekwencjami wojny z Gwiezdnym Imperium Manticore. Oni też w największym stopniu opowiadali się za dyplomatycznym rozwiązaniem kryzysu, który wybuchł wraz ze śmiercią Josefa Bynga i zniszczeniem krążownika liniowego *Jean Bart*. Nie oznaczało to, że podobnie jak ich towarzysze nie mieli ochoty dać nauczki aroganckim parweniuszom w Manticore, ale reprezentując trzeźwiejsze spojrzenie, rozumieli po prostu, jak bardzo reakcja przeciwnika mogła im zaszkodzić.

W rzeczywistości nawet ich szacunki okazały się nadmiernie optymistyczne. Nikt z Mandarynów, także nieświętej pamięci admirał floty Rajampet Rajani, nie wykazał się zdolnością realnej oceny możliwości militarnych Manticore. Zatem Wodosławska i Quartermain znaleźli się obecnie na najlepszej pozycji, aby w tak ponurym momencie historii ciskać kamieniami w pozostałych, co mocno nie podobało się Kolokoltsovowi.

– To jeszcze nie koniec – powiedział po chwili. – Niezależnie od tego, co media mogą nadawać, ostatnie sondaże pokazują, że ponad czterdzieści siedem procent populacji światów centralnych popiera potępienie Beowulfa przez Zgromadzenie. A ponad pięćdziesiąt procent uważa, że wezwanie ciężkich jednostek Manticore jako dodatkowego straszaka po niedopuszczeniu admirał Tsang do terminalu Beowulfa oznacza znowę z wrogiem.

– To nie jest zdecydowana większość – zauważył kwaśno Quartermain.

– Nie – przyznał Malachai Abruzzi, stały starszy podsekretarz do spraw informacji. – Ale ten odsetek rośnie, zwłaszcza gdy chodzi o „znowę z wrogiem”. Gdy dodać do tego decyzję

Beowulfa o wycofaniu się z Ligi Solarnej i całkowitą porażkę Filarety, który nie otrzymał, bo było to niemożliwe, wsparcia ze strony Tsang, odsetek przekonanych, że Beowulf stoi po stronie wroga, skacze do osiemdziesięciu trzech procent. Do tego ponad sześćdziesiąt pięć procent zdecydowanie potępia ingerencję Manticore w swobodną żeglugę międzygwiazdną i postrzega akcję przejęcia terminali jako dowód na imperialistyczne i agresywne ciągoty Gwiezdnego Imperium. I możecie mi wierzyć, że ten odsetek będzie rósł, ponieważ konsekwencje gospodarcze tej sytuacji zaczynają już być odczuwalne w sektorze cywilnym.

Abruzzi nie dodał jednak, jak zauważył Kolokoltsov, że dane, które przytacza, są zdecydowanie przestarzałe, jak zawsze zresztą w przypadku międzygwiazdnych populacji. Samo ich zebranie i zgromadzenie wymagało zbyt wiele czasu, aby mogły pozostać aktualne. Na samej Starej Ziemi analogiczne wyniki były oczywiście nieco wyższe, ale najnowsze dane z dalszych światów centralnych pochodziły sprzed momentu, gdy Beowulf zadeklarował opuszczenie Ligi Solarnej.

– Całe to oburzenie na Manticore na niewiele nam się przyda, jeśli skarbiec ujrzy dno, a rząd upadnie – zauważyła ostrożnie Wodosławska. Abruzzi spojrzał na nią ostro, na co energicznie wzruszyła ramionami. – Obsługa długu już teraz kosztuje nas jakieś dwadzieścia procent więcej niż w okresie pokoju, Malachai. Płacimy prawie dziesięć procent za czterdziestoletnie obligacje. Prognozy dochodów bieżących, skorygowane o spadek wpływów na skutek zamknięcia terminali i ograniczenia przewozów naszej floty, wskazują, że będziemy w stanie pokryć mniej niż siedemdziesiąt procent przewidywanych wydatków. To daje wskaźnik deficytu powyżej trzydziestu procent, a tworząc prognozy, nie mieliśmy jeszcze w rękę nowych wniosków budżetowych admirała Kingsforda. Innymi słowy, rzeczywiste liczby będą gorsze. I to znacznie gorsze. – Przerwała na chwilę i ponownie wzruszyła ramionami, tak z gniewem, jak i z rezygnacją. A może i czymś jeszcze, co umykało Kolokoltsovowi. – Jeśli nie zdarzy się jakiś militarny cud, w ciągu najbliższych sześciu miesięcy oprocentowanie naszych pożyczek wzrośnie do co najmniej piętnastu procent. – Raz jeszcze spojrzała uważnie na zebranych. – Pomyślcie tylko. Liga Solarna, największa i najbogatsza gospodarka w historii ludzkości, będzie musiała podnieść trzykrotnie stopę procentową tylko po to, żeby pożyczyć pieniądze na tę cholerną wojnę! Nie obchodzą mnie wyniki twoich sondaży, Innokentiy! Te liczby jasno dowodzą, jak widzą nasze szanse środowiska biznesu i finansów.

Kolokoltsovowi udało się nie zakłąć. Z wielkim trudem.

– Nie znałem tych danych – warknął Nathan MacArtney, stały starszy podsekretarz spraw wewnętrznych. – Ale jeśli przyjmiemy, że są tak dokładne jak zwykle, to daje nam tylko większą motywację, aby utrzymać pełną kontrolę nad Protektoratami. Bóg wie, że nie możemy sobie pozwolić na dalsze zmniejszenie płynących stamtąd przychodów. Myślę, że te nowe pociski z Technodyne mogą być tu przydatne, ale obawiam się też, co przyniesie nasza akceptacja pomysłu Kingsforda, aby atakować jednostki handlowe Manticore. Zgadzam się, że to najbardziej ich zabolę, ale nie podoba mi się perspektywa zatrudnienia do tego sił Floty Pogranicza, podczas gdy docierają do nas informacje o staraniach przeciwnika, aby wywołać niepokoje na Pograniczu.

– Żadne z tych doniesień nie zostało potwierdzone – powiedział Kolokoltsov. – Nie mówię, że są nieprawdziwe – dodał szybko, podnosząc jedną rękę, gdy MacArtney ponownie otworzył usta. – Tylko że jeszcze nie zostały potwierdzone. I szczerze mówiąc, chociaż zgadzam się z tobą w kwestii ekonomicznego znaczenia Protektoratów, zwłaszcza obecnie, gdy nasze dochody maleją, bardziej martwi mnie perspektywa kolejnych secesji na skraju sfery centralnej. – Wraz z tymi słowami atmosfera zagęściła się jeszcze bardziej. Kolokoltsov wyprostował się w fotelu i położył dłonie na blacie stołu. – Jak dotąd doszło do czterech – ciągnął. – I niestety Manticore zrealizowało groźbę Carmichaela i w zeszłym miesiącu rozpowszechniło nagrania z naszej rozmowy.

Skrzywił się kwaśno, wspominając rozmowę z ambasadorem Manticore i pogardę, którą okazał mu Lyman Carmichael. Nie wspominając już o jego skierowanej do Mandarynów prośbie, aby odwołali atak Massima Filarety na Manticore. Oraz jego aż nazbyt dokładnych przewidywaniach, co się stanie, jeśli jednak dojdzie do ataku. Nie znali jeszcze reakcji opinii publicznej na tę bombę medialną, ale jego zdaniem należało oczekiwać, że będzie to coś w rodzaju katastrofy.

– Dzięki temu, że obecnie kontrolują jakieś osiemdziesiąt procent terminali, nagrania te rozprzestrzeniają się znacznie szybciej niż publikowane przez nas dementi – kontynuował. – Jesteśmy w stanie zdziałać coś na większości światów centralnych, ale obrzeża i Pogranicze dostają tylko ich materiał, bez naszej reakcji. Osobiście skłonny jestem sądzić, że to przede wszystkim wpływa na decyzje o secesji i że sytuacja się pogorszy.

– Już czterech – mruknęła Wodosławska. Skrzywiła się, gdy Kolokoltsov skinął głową. – Niech nam Bóg dopomoże, ale to mogą być pierwsze krople ulewy. Co będzie, gdy dojdzie do oberwania chmury?

– Światy jak dotąd są spokojne. Poza tym cholernym Beowulfem! – odparł. – A większość tych deklaracji pochodzi z systemów gwiazdnych, które nie mają sił zbrojnych porównywalnych z flotą Beowulfa.

– Sugerujesz, żebyśmy wysłali grupy operacyjne, które zmusiłyby te światy do uległości? – spytał Quartermain. – W przypadku Beowulfa nie zadziałało to chyba najlepiej?

– Owszem, coś takiego właśnie powiedziałem, Omosupe – stwierdził ostro Kolokoltsov. – I nie, nie chcę skłaniać nikogo do uległości. Ale Manticore i Haven nie mogą sobie pozwolić na zbytne rozproszenie tej ich Grand Fleet. Jakkolwiek zdołali nam już zaszkodzić, porwali się na walkę z przeciwnikiem o wiele cięższej wagi. Nie dadzą rady wysłać po zespole do każdego układu, który zagrozi nam secesją. Rozmawiałem już o tym z admirałem Kingsfordem i zgodził się wysłać parę dywizjonów ciężkich jednostek do każdego z tych układów. Nie w celu zagrożenia im. Dowódcom zespołów będą towarzyszyć zawodowi dyplomaci. Zgromadzenie i rząd zajmą jasne stanowisko, że wobec obecnych działań Manticore nie możemy pozwolić na kolejne próby secesji. Do tematu będzie można wrócić po zakończeniu działań wojennych, kiedy znajdziemy się w znacznie lepszym położeniu. Wówczas podejmiemy rozmowy w sprawie tych żądań, o których będzie wiadomo, że nie były inspirowane przez Manticore. Tymczasem zespoły floty przypisane do poszczególnych układów będą je chronić na wypadek, gdyby Manticore próbowało wyrzucić presję na te światy, chcąc zmusić je do secesji. Ich zadaniem będzie także ochrona własności Ligi Solarnej w tych układach. Nie wspominając już o pobieraniu należnych opłat i zobowiązań.

– I jak długo taka sytuacja miałaby się utrzymywać? – spytał sarkastycznym tonem Abruzzi.

– Nie wiem, ale jeśli masz lepszy pomysł, to chętnie posłucham. – Kolokoltsov wpatrywał się w Abruzziego przez kilka długich sekund, aż podsekretarz do spraw informacji spuścił oczy. – Tymczasem jeden z funkcjonariuszy wywiadu Kingsforda, kapitan Gweon, przedstawił bardzo interesującą analizę, dlaczego Manticore i Haven były tak zdeterminowane, aby przeciągnąć Beowulfa na swoją stronę – kontynuował Kolokoltsov. – To interesująca lektura i chciałbym, abyście wszyscy zapoznali się z nią do jutra. Jeśli kapitan Gweon ma rację, to być może uda nam się znaleźć dobrą alternatywę dla pomysłu admirała Kingsforda, która naprawdę przyprawi ich o ból głowy.



– Przepraszam, Floyd – powiedział Jason MacGruder. – Ale czy ci z Manticore nie mieli

zjawić się właśnie dzisiaj?

Floyd Allenby zerknął z ukosa na kuzyna. Nie dlatego, że MacGruder nie miał racji, ale dlatego, że Floyd nie umiał mu odpowiedzieć.

Stali na tarasie szóstego piętra Gmachu Prezydenta w samym sercu Landing. Poprzednia właścicielka tarasu, eksprezydent Rosa Shuman, przebywała obecnie w jednym z więzień dla VIP-ów zarządzanych wcześniej przez jej towarzyszkę z celi, Felicję Karaxis. Generał Tyrone Matsuhito nie dotrwał, niestety, do aresztowania. Allenby bardzo tego żałował, chociaż proces generała i tak miał się odbyć.

Patrząc z dystansu, można było powiedzieć, że zamach stanu zorganizowany przez Ruch Cripple Mountains udał się niemal perfekcyjnie. Strona rządowa poniosła o wiele większe straty, niż Allenby, MacGruder czy Frugoni by sobie życzyli, a z drugiej strony sam ruch wyszedł z tego w o wiele lepszym stanie, niż wszyscy oczekiwali. Nie znaczyło to oczywiście, że śmierć sześciuset bojowników, którzy polegli, gdy armia otrząsnęła się z pierwszego szoku, była przez to mniej bolesna, zwłaszcza że wszyscy w górach stanowili jedną rodzinę. Administracja Shuman upadła jednak przy zdumiewająco niewielkiej ofierze krwi.

Alton Parkman, Sheila Hampton i reszta personelu Tallulah Corporation w układzie Swallow trafili do aresztu domowego. Nie postawiono im żadnych zarzutów, niemniej działający w porozumieniu z rządem tymczasowym Allenby ogłosił stan wojenny, co zgodnie z konstytucją nadawało mu całkiem szerokie uprawnienia. W sumie, poza takimi epizodami jak atak na Fort Złotego Orła, ich działania były zasadniczo w pełni legalne.

Nie wszyscy byli zadowoleni z nowych porządków. Wielu zwykłych miejscowych inwestorów i właścicieli firm, w tym także tych niebędących pupilkami Shuman (choć ci stanowili jednak znaczącą większość), wywodziło, że w razie upadku Tallulah znajdą się w ciężkiej sytuacji. Wszystko wskazywało na to, że zamierzali podjąć różne działania, aby nie dopuścić do realizacji czarnego dla nich scenariusza. Z drugiej strony co najmniej sześćdziesiąt pięć (a może i więcej) procent ludności układu popierało ruch. Przynajmniej na razie.

Niestety, chociaż w ataku Frugoniego na stację kosmiczną zniszczono bądź zdobyto wszystkie myśliwce, co dało ruchowi monopol na statki kosmiczne w układzie Swallow, to co najmniej jeden frachtowiec Tallulah Corporation zdołał uniknąć przechwycenia i uciekł w nadprzestrzeń.

Nikt nie wątpił, co zrobi jego kapitan, gdy tylko dotrze do jakiejś bazy Floty Pogranicza. I

dlatego właśnie pytanie Jasona MacGrudera było takie ważne.

– Mogę tylko powiedzieć, że przekazaliśmy im nasz rozkład jazdy, Jase – odpowiedział Allenby. – Zapewne jest wiele powodów, dla których dywizjon niszczycieli może się spóźnić. Pozostaje nam czekać i nie tracić nadziei, że Manticore dotrze tutaj przed Flotą Pogranicza.



– Komodorze Terekhov!

Michael Breitbach uśmiechnął się szeroko i wstał z fotela, gdy generał Kayleigh Blanchard, nowy sekretarz obrony układu Mobius, wprowadziła sir Aivarsa Terekhova do biura prezydenta.

– Witam, panie prezydencie. – Terekhov przywitał się serdecznie z gospodarzem.

– Rozumiem, że nas zostawiacie – powiedział Breitbach, wskazując ogromne okno hotelowego apartamentu i kiwając na Terekhova, aby mu towarzyszył. Templeton Arms Tower w Templeton, drugim pod względem wielkości mieście na Mobiusie, służyła tymczasowo jako siedziba równie tymczasowego rządu.

Z dawnego pałacu prezydenckiego naprawdę niewiele zostało.

– Obawiam się, że tak – odparł Terekhov, stając obok niego i wpatrując się w spokojne, tętniące życiem miasto. – Wydaje się, że kontrolujecie sytuację, a my naprawdę nie chcemy pogłosek, że Gwiazdne Imperium celowo wznieca rebelie w tej okolicy.

Breitbach przestał się uśmiechać i pokiwał ze zrozumieniem głową. Wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że Równanie wykorzystało go do swoich celów. Starał się jednak pamiętać, że to nie ono stało za Frontem Wyzwolenia Mobiusa i nie ono wznieciło bunt. To stało się znacznie wcześniej i wynikało z czego innego.

Z drugiej strony, gdyby nie te manipulacje, nigdy nie wysłałbyś Ankenbrandta i Summers po pomoc. Oboje z Kayleigh byłibyście teraz martwi. Nie zapominaj o tym, pomyślał.

– Zostawię kilka niszczycieli i parę ciężkich krążowników, aby miały was na oku. A także dwa dywizjony kutrów kapitan Weiss pod dowództwem kapitan Laycock. W połączeniu z zasobnikami orbitalnymi powinno to wystarczyć do obrony przed wszystkim, co Flota Pogranicza może tu przysłać. Niestety, jesteśmy przekonani, że wasz układ nie był jedynym, w którym działało Równanie. Admirał Culbertson pewnie potrzebuje reszty moich sił w Montanie, aby zaraz je wysłać do gaszenia pożaru gdzie indziej.

– Cóż, mogę tylko jeszcze raz powiedzieć, że Mobius będzie po wsze czasy wdzięczny panu i admirał Gold Peak. Jej gotowość udzielenia wsparcia garstce rewolucjonistów, o których nigdy

nawet nie słyszała, to coś naprawdę niezwykłego. I pańskie zdecydowane działanie tutaj, na Mobiusie... – Potrząsnął głową, jakby zabrakło mu słów.

Terekhov wzruszył ramionami.

– Szanowny tymczasowy panie prezydencie – powiedział z uśmiechem. – Nie wątpię, że decyzja lady Gold Peak została zatwierdzona, gdy tylko jej raport trafił do królowej. Nie wyobrażam sobie, aby zganiła ona kogokolwiek za obronę dobrego imienia Manticore oraz tych, którzy wierzą w jego słowność. Nawet gdy obietnicę złożył w naszym imieniu ktoś zupełnie obcy. – Uścisnął dłoń gospodarza. – To dla mnie zaszczyt, że mogłem wam pomóc, i żałuję jedynie, iż nie dotarliśmy wcześniej, zanim Yucel dopuściła się swoich zbrodni.

Przez kilka sekund tylko patrzyli na siebie, po czym komodor raz jeszcze uścisnął dłoń Breitbacha. Ten zdecydowanie odwzajemnił uścisk.

– Mam nadzieję, że wrócę tu kiedyś i zobaczę, co zrobiliście ze swoim światem. Na razie jednak moja pinasa czeka i pora mi w drogę.

– Do zobaczenia, komodorze – odparł Breitbach. – Z Bogiem. I będę trzymał pana za słowo, jeśli chodzi o ten powrót.

ROZDZIAŁ LX



Bardzo dobrze, że cię posłaliśmy, Pat – powiedział White Haven. – Ci dranie z Równania to jednak ambitne bestie.

– Czujesz się tym zaskoczony? – spytała Elżbieta Winton.

– To był raczej niezobowiązujący komentarz niż głęboka analiza sytuacji – wyjaśnił małżonek Honor Alexander-Harrington.

– Moja własna analiza podpowiada mi, że powinniśmy to zdusić w zarodku – powiedziała poważnie Patricia Givens. Królowa i White Haven spojrzeli na nią z zaciekawieniem. – Musimy założyć, że nie zainteresowali się jedynie sektorem Maya i układem Kondrati. Mogą zachodzić nas z każdej flanki. Przecież sektor Maya leży ponad tysiąc lat świetlnych od gromady Talbott. A to oznacza, że wszędzie możemy trafić na węzowisko.

– Pat ma rację – wtrącił Thomas Caparelli. – I skłonny jestem sądzić, że potrzebujemy czegoś więcej... Bardziej aktywnego działania niż pierwsza reakcja lady Gold Peak. Myślę, że podjęła właściwą decyzję, ale mamy coraz więcej dowodów, że to akcja o bardzo szerokim zasięgu. Raczej nie możemy sobie pozwolić na bierne oczekiwanie, aż dotrą do nas kolejne prośby o pomoc. Zwłaszcza że te objęte spiskiem „kanały łączności” całkiem nas omijają. Mieliśmy po prostu szczęście, ale w ten sposób wiele osób, którym obiecano nasze wsparcie, nigdy go nie otrzyma. I zginą dokładnie tak, jak chce tego Równanie.

– Jakie więc bardziej aktywne działanie proponujesz? – Elżbieta wyprostowała się w wysokim fotelu i Ariel, jej treecat, spojrzała na nią swoimi jasnozielonymi oczami.

– No cóż – zaczął Pierwszy Lord Przestrzeni. – Z tego, co Barregos i Roszak przekazali Pat, jak i z ich wiadomości do ciebie oraz prezydent Pritchart, wynika, że są mocno wkurzeni. Jest też oczywiste, że nadal są zbyt słabi, aby zaryzykować otwarty konflikt z Ligą Solarną. Erewhon dysponuje znacznie większą siłą ognia, ale nawet jeśli ich partnerstwo jest tak szczere, jak myślimy, obie strony muszą się czuć niepewnie i wołałyby nie ściągać na siebie uwagi solarnych.

Caparelli przerwał na chwilę i Elżbieta skinęła głową.

– Zdaję sobie sprawę, że Erewhon na razie milczy na ten temat – kontynuował. – Ale rozmawiałem z Tonym Langtrym i jego analitycy się zgadzają, że Walter Imbesi i Triumwirat nie będą ani trochę bardziej szczęśliwi niż Barregos i Roszak. Uważa również, że Erewhon chętnie

skorzysta z okazji, aby odbudować dobre relacje z nami. Zwłaszcza teraz, gdy Haven jest naszym nowym sojusznikiem i partnerem handlowym. Mając to wszystko na uwadze, myślę, że najlepszą odpowiedzią może być to, co Ellingsen i Abernathy zaproponowali Barregosowi. I sądzę, że Erewhon też powinniśmy uwzględnić.

Elżbieta mruknęła coś pod nosem, ale nie była zaskoczona sugestią Caparellego. Przez chwilę nad czymś się zastanawiała, po czym spojrzała na earla White Havena.

– Hamishu?

– Myślę, że to dobry pomysł – powiedział szybko. – Oczywiście musimy to uzgodnić z Benjaminem i Theismanem, skoro Pritchart poleciała już do siebie. Moglibyśmy przeprowadzić to jednostronnie, ale taki wariant nie byłby chyba najlepszy.

– Rozmawiałeś już o tym z żonami, prawda? – spytała Elżbieta z uśmiechem. – Chyba coś zaczyna nam się wreszcie wykluwać z tej dyplomacji.

– Staram się, jak mogę – odparł White Haven.

Królowa zaśmiała się, po czym głęboko westchnęła.

– Jak sądzisz, na ile będziemy musieli osłabić Grand Fleet?

White Haven spojrzał na Caparellego i ponownie na królową.

– Zapewne da się to załatwić z wykorzystaniem trzech albo czterech dywizjonów dreadnoughtów z zasobnikami holowanymi. Zwłaszcza jeśli dodamy parę lotniskowców i jednostek amunicyjnych z zasobnikami i pociskami *Mark 23*. No i proponuję zaoferować Barregosowi i Imbesiemu system Mycroft do obrony ich układów.

– Prawdę mówiąc, wolałbym jeszcze nie wypuszczać Mycrofta z garści – odezwał się Caparelli.

White Haven skinął głową.

– Zgoda. Ale możemy im go dać na takiej zasadzie, że system będzie obsługiwany i doglądany przez załogę Sojuszu. – Uniósł rozpostartą dłoń. – Jestem pewien, że skorzystają z okazji, gdy wyjaśnimy im, że Mycroft i Apollo mogą współpracować.

– To rozsądny pomysł – powiedziała Elżbieta. – Tom, chciałabym otrzymać od ciebie i Pat formalną rekomendację, abym mogła to przedstawić także admirałowi Theismanowi i protektorowi. I niech sir Anthony figuruje na tej liście. Przyda nam się spojrzenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość – powiedział oficjalnie Caparelli.

– Jak szybko będziesz coś dla mnie mieć? – spytała.

– Przedziwnym zbiegiem okoliczności mam akurat potrzebny dokument przy sobie. – Pierwszy Lord Przestrzeni otworzył teczkę i wyjął z niej zapakowany czip.

– No co za traf! – zawołała Elżbieta, podczas gdy Ariel bleeknęła głośno z rozbawieniem. – Zapewne powinnam chociaż to przejrzeć. – Wyciągnęła dłoń po czip. – Przygotowałeś też może szczegółowe rozkazy przydziału i ruchu jednostek?

– A nie, Wasza Królewska Mość – odpowiedział po chwili Caparelli.

– Rozczarowujesz mnie, admirale – powiedziała królowa Manticore. – Proponuję, żebyś wrócił teraz do swojego biura i czym prędzej zabrał się do pracy.



– Nie osiągniemy naszego celu szybko i nie będzie to zadanie łatwe – powiedział Adam Šiml, stojąc na schodach Chotěbořskiego Zgromadzenia Narodowego i spoglądając na wypełnioną ciasno ludźmi przestrzeń Náměstí Žlutých Růží. – Niektóre zmiany będą mniej czasochłonne, inne wymagać będą sporo wysiłku, potu i ciężkiej pracy. Na szczęście każdy, kto był tak długo związany z Sokolem jak ja, nie boi się wysiłku i potu – dodał, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

Szmer rozbawienia przebiegł przez ogromny tłum, któremu nie przeszkadzały deszczowe chmury ani temperatura tylko kilka stopni powyżej zera.

– Obawy, lęki i nadzieje, które doprowadziły do niepokoju tutaj, w Velehradzie, jak i w innych miastach naszego świata, świadczą o prawdziwych aspiracjach naszego narodu. Jednak biorąc pod uwagę gwałtowność tych wystąpień i liczbę ofiar w stolicy, trudno powiedzieć, że był to najlepszy sposób na wyrażenie własnego zdania. Powinniśmy wziąć to pod uwagę, starając się zrozumieć przyczyny, dla których doszło do przemocy, jak i pamiętać o jej konsekwencjach. Podczas zamieszek wielu z was posłuchało mnie i innych przywódców Sokola, obywateli, którzy próbowali zapobiec rozlewowi krwi i zniszczeniom. Wielu nie posłuchało, ale bądźmy szczerzy: sporo spośród tych, którzy mieli przywrócić porządek, przyczyniło się w gruncie rzeczy do nasilenia przemocy. Poleciałem ministrowi do spraw bezpieczeństwa publicznego Kápičce i sędziemu najwyższemu Daliborowi Čápowi natychmiastowe rozpoczęcie śledztwa w sprawie tych zajść. Dla zapewnienia transparentności wszystkich działań prawnych postępowanie będzie prowadzone we współpracy ze Zgromadzeniem Narodowym, które wyłoni w tym celu specjalną komisję. Potrwa ono tak długo, jak będzie trzeba, a komisja będzie publikować co trzydzieści dni

raport ze swoich prac. Wszystkie te raporty będą powszechnie dostępne i na nich będę opierał moje decyzje w tej sprawie.

Ludzie ponownie zareagowali pomrukiem, który tym razem miał więcej odcieni. Były w nim zdumienie i satysfakcja, niepozbawione jednak pewnej dozy sceptycznego cynizmu. Biorąc jednak pod uwagę doświadczenia związane z administracją Cabrnocha, dawka owego cynizmu była zdumiewająco mała.

– Niektóre z kwestii, które doprowadziły do zamieszek, mają charakter wręcz fundamentalny – kontynuował. – Właśnie te problemy najtrudniej będzie rozwiązać, będą wymagały pracy w pocie czoła. A także jeszcze jednego: cierpliwości. Nie mogę obiecać, że wszystko uda się naprawić, niemniej będziemy próbowali się z nimi uporać, i to jak najszybciej. Nie wątpię, że cierpliwość wielu z was zostanie przy tym wystawiona na ciężką próbę, i nic dziwnego. To cecha ludzkiej natury i wasze prawo jako obywateli Chotěbořu. Musimy pamiętać, że jednym z czynników, które doprowadziły do zamieszek, było ograniczenie prawa do wyrażania opinii politycznych i głośnego formułowania obywatelskich oczekiwań. W związku z tym ogłaszam dzisiaj natychmiastowe zawieszenie Ustawy o obronie Republiki.

Tym razem tłum westchnął unisono, po czym na chwilę zapadła niezwykła cisza. Trudno byłoby znaleźć wśród wprowadzonych przez Cabrnocha ustaw drugą, która byłaby równie znienawidzona. Šiml wiedział o tym doskonale i nie przerwał przemowy, ale teraz było znacznie lepiej go słycać.

– Niektóre przepisy tej ustawy mogą okazać się potrzebne, niemniej od tej chwili nie będą egzekwowane te, które ograniczają wolność słowa, wolność zgromadzeń czy swobodę składania petycji do Zgromadzenia Narodowego i sądów. Co więcej, ogłaszam zakończenie stanu wyjątkowego ogłoszonego lata temu przez prezydenta Hruškę w czasie plagi komarów. Zamierzam też rozwiązać obecne Zgromadzenie Narodowe i w ciągu trzech miesięcy przeprowadzić nowe wybory. Gdy będziemy już mieli nowych posłów, poproszę Zgromadzenie o powołanie komisji, która przeanalizuje wszystkie akty prawne powstałe za poprzedniej administracji i oceni, jakie wymagają zmiany bądź uchylenia. Ta komisja też będzie co trzydzieści dni składać raport z postępu prac.

Na placu podniosła się wrzawa, która nie milkła przez co najmniej dwie minuty. Šiml odczekał trochę, po czym ponownie przemówił do zgromadzonych:

– Tak zatem, moi szanowni współobywatele, obejmuję urząd, na który mnie wybraliście. Nie

gwarantuję sukcesu we wszystkim, czego się podejmę, bo niezależnie od starań sukces nie zawsze jest możliwy. Gwarantuję wam jednak, że nie będę szczędził sił i wykorzystam całą dostępną mi mądrość i determinację, aby do niego dążyć. Proszę was o poparcie, zwłaszcza że nie jest moją ambicją realizacja absolutnie wszystkich celów. Każdy sukces, także drobny czy częściowy, będzie istotną nagrodą za wysiłek. Oprócz poparcia proszę was także o wyrażanie dobitnym głosem wszystkich waszych nadziei i pragnień. Pamiętajcie, że nie chodzi tu tylko o sukces mój czy Zgromadzenia Narodowego, ale sukces nas wszystkich, którzy zamieszkujemy ten świat i układ planetarny. O tym właśnie powinniśmy pamiętać. Dziękuję, że zechcieliście mnie wysłuchać, i życzę wam udanego dnia.

Wiwaty nie milkły przez prawie piętnaście minut.



– To było świetne przemówienie, Adamie – powiedział Karl-Heinz Sabatino wieczorem, gdy stali na galerii wspaniałej sali balowej w Pałacu Prezydenckim. Towarzyszył im także nowy wiceprezydent Republiki Chotěbořu.

Główny przedstawiciel Frogmore-Wellington i Iwahary trzymał się taktownie z daleka, ograniczywszy się do przekazania formalnych gratulacji zaraz po inauguracyjnym wystąpieniu Šimla. Teraz, gdy ostatni goście już poszli, trzech mężczyzn mogli się spotkać, zerkając z góry na personel, który zabierał się do wielkiego sprzątania.

– Dziękuję – odparł Šiml. – Mam nadzieję, że przyniesie owoce.

– I ja też – powiedział Sabatino. – Chociaż muszę przyznać, że zastanowiła mnie trochę twoja propozycja przeglądu wszystkich aktów prawnych z czasów Cabrnocha. Niektóre jego decyzje, nawet jeśli niezbyt popularne, były zasadne i potrzebne.

– Wiem o tym. – Šiml spojrział na Sabatina. – I jestem świadomy, że ta ingerencja winna mieć granice. Jednak mimo to chcę, aby przegląd był jak najpełniejszy. Zamierzam też brać pod uwagę zalecenia komisji. Obaj wiemy, że to, w jaki sposób Cabrnoch próbował uciszać niezadowolonych i jak zareagował na zamieszki, zrodziło wielkie oczekiwania i napięcie, które samo się nie rozładuje. Jeśli teraz mieszkańcy Chotěbořu dojdą do wniosku, że wybory przyniosły jedynie zmianę twarzy i że nie oznacza to nowej jakości sprawowania władzy, to napięcie wzrośnie i wybuchnie nam prosto w twarz. Rozumiem, że jako strażnik interesów obu korporacji musisz obserwować wszystkie działania, które mogą mieć na nie wpływ. Ale Daniel tak naprawdę nie potrzebuje ani tej ustawy specjalnej, ani innych skrajnych środków, po które

sięgnął kiedyś Cabrnoch, aby utrzymać porządek publiczny i nie dopuścić do obalenia rządu. Cabrnochowi ostatecznie i tak się nie udało, gdy posunął się za daleko. Co więcej, mocno wierzę, że stworzenie rządu, który będzie się cieszył zaufaniem i naprawdę będzie przestrzegał praw obywatelskich i wolności politycznej, jest najlepszym sposobem na zmniejszenie tej presji, która doprowadziła do zamieszek. Jestem pewien, że będziesz miał duży wpływ na członków nowego Zgromadzenia Narodowego, podobnie jak to było w poprzednim, i też pomożesz w rozwiązywaniu problemów wewnętrznych, tak żeby cały gmach społeczeństwa nie runął i nie zapanował chaos, który mógłby zaszkodzić interesom Frogmore-Wellington i Iwahary.

Spojrzał na Sabatina, który po dłuższej chwili pokiwał powoli głową.

– To będzie misterna robota, Adamie. Ale jestem pewien, że jeśli ktoś potrafi to zrobić, to właśnie ty.

– Dziękuję – odpowiedział cicho Šiml. – Doceniam to. I obiecuję, że nigdy nie zapomnę, dzięki komu mogłem objąć to stanowisko. Ludzie, którzy zapominają o przyjaciółach, mogą winić tylko siebie, gdy marnie kończą. Ja zaś zamierzam uniknąć takiego losu.

ROZDZIAŁ LXI



Powinnam wrócić do Łądku i nadrobić zaległości – powiedziała Justyna Pokriefke, gdy jej wóz leciał nad Oceanem Wielkopolskim. – Szkoda mi czasu na takie imprezy!

– Rany, szefowo, zawsze masz jakieś „zaległości do nadrobienia” – jęknął Gabriel Różycki.
– Ile czasu byś spędzała w biurze, zawsze jest tak samo. Poza tym od miesiący nie wyściubiłaś nosa poza stolicę, a to najważniejsze obchody od dnia naszego zwycięstwa. Potrzebujesz przerwy. No i powinnaś pojawić się na tej uroczystości.

Spojrzała na niego ponuro, ale skinęła głową. Różycki miał trzydzieści siedem lat, czyli był prawie o połowę młodszy od niej. Był też nieziemsko przystojny, z włosami blond i szarymi oczami, co rodziło różne szeptane plotki. Wiedziała o nich, chociaż powtarzano je naprawdę bardzo cicho. W rzeczywistości były one całkiem bezpodstawne, chociaż czasem ją kusilo. Nigdy jednak na poważnie. Różycki był zbyt inteligentny i zbyt cenny, aby ryzykować jego utratę. Poza tym przywykła traktować go jak syna, którego nigdy nie miała.

W tym przypadku miał zapewne rację. Nie pierwszy raz zresztą.

Naprawdę nie lubiła Tomasza Szpondera. Było w nim coś, co ją odrzucało. Może jakieś poczucie wyższości, może słabo skrywana dezaprobata. Coś. Zapewne miało to związek z faktem, że pomimo wysokiej pozycji nie umiał czy nie chciał się nią cieszyć. I z jakiegoś powodu miał w nosie kobietę, która dbała o jego przywileje. Chociaż może wiązało się to z numerem jego legitymacji partyjnej. Był wyjątkowo niski, Pokriefke zaś, chociaż obecnie znalazła się bardzo wysoko, nie należała do Trzystu. Miała numer 1413 i może to sprawiało, że tak źle się czuła w obecności Szpondera. On zawsze był dla niej uprzejmy i nierzadko dostarczał jej nawet różnych użytecznych wiadomości, uzyskanych od własnych dziennikarzy. Ale i tak coś jej nie grało.

Był bardzo wpływowym człowiekiem, jednym z najważniejszych oligarchów i przyjacielem, praktycznie wujkiem przewodniczącego. No i należał do kurczącego się z wolna grona Trzystu. Przy takiej przeszłości nikt nie szukał w nim wroga. W samej partii cieszył się większą popularnością niż wielu obecnych polityków. Działalność filantropijna sprawiała, że niższe klasy Włocławka też kojarzyły go i oceniały lepiej niż innych przedstawicieli oligarchii. Gdy zaś wziąć jeszcze pod uwagę, że tylko sześć osób, z czego żadna nie uczestniczyła już w życiu partii, miało niższy numer legitymacji, sprawa stawała się oczywista. Zaproszeń Szpondera nie należało

ignorować. Zwłaszcza że można było u niego poznać sporo ludzi i sporo też obgadać przy wódce i kanapkach.

Może dlatego tak źle się z tym czuję, pomyślała Pokriefke. Przecież nie cierpię imprez towarzyskich, a ta będzie wydarzeniem wręcz epokowym!

Cóż, Gabriel miał rację. Cokolwiek jej się marzyło, w tym miejscu powinna się pokazać. Na tej zielonkawej i okolonej rafami kropce, która rosła coraz bardziej na tle granatowego oceanu.



– Witaj, Szymonie! – powiedział Tomasz Szponder, ściskając dłoń przewodniczącego.

Limuzyna szefa partii została już odesłana z lądowiska do olbrzymiego garażu na tyłach Daru Prakseydy.

Garaż wznosił się na trzy piętra i miał jeszcze cztery podziemne kondygnacje. Sam w sobie był ciekawym dziełem inżynierskim i dowodził, że przodek Szpondera lubił życie towarzyskie. Sama posiadłość zdawała się inspirowana dawnym ziemskim Wersalem, chociaż Teodozjusz Szponder nigdy nie opuścił Włocławka. Garaż był bardzo przydatny, choć tego dnia istniało ryzyko, że nie pomieści setek zlatujących się na wyspę pojazdów. Szponder wolał jednak kierować je właśnie tam, niż pozwalać gościom na chaotyczne parkowanie na każdym dostępnym skrawku przestrzeni. Nie byłoby to ani eleganckie, ani bezpieczne.

– Bardzo miło z twojej strony, że zaproponowałeś w tym roku swoją wyspę na miejsce obchodów – odparł Szymon Ziomkowski, odwzajemniając uścisk. – Zawsze uważałem, że to piękne miejsce. Wujek Włodek bardzo je lubił. Kiedyś wspominał nawet, że manifest partii został napisany tak płynnym językiem właśnie dzięki temu, że powstawał na Szmaragdowej Wyspie, z widokiem na ocean. A drugi powód był taki, że gospodarz tego majątku był rzecznikiem pięknej polszczyzny.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział Szponder i rzeczywiście tak myślał, niezależnie od tego, co miało się jeszcze zdarzyć tego wieczoru. – To były wspaniałe czasy. Naprawdę wierzyliśmy, że uda nam się zmienić świat.

– I udało ci się, panie Szponder! – powiedział ktoś jasnym sopranem i gospodarz uśmiechnął się do Klementyny Sokołowskiej, osobistej asystentki Ziomkowskiego.

Sokołowska była trzynaście lat młodsza od swojego szefa, rudowłosa, niebieskooka i całkiem atrakcyjna. Szponder podejrzewał też, że była znacznie bardziej inteligentna, niż zwykła to okazywać. Nic dziwnego, że Agnieszka Krzywicka osobiście wybrała ją na anioła stróża

Ziomkowskiego. Jednym z jej zadań było przekonywanie wszystkich wokół, że Ruch Odrodzenia Narodowego wciąż jest partią silną i wybiegającą śmiało w przyszłość, tak jak zamyslił to sobie Włodek. Wszyscy wiedzieli, że beczelnie sterowała przełożonym, aby jak najlepiej wywiązywał się z obowiązków. Szponder był przekonany, że wykorzystywała w tym celu również swoje kobiece walory, chociaż Szymon kochał żonę i nigdy nie zamierzał jej zdradzać.

– Trudno o pełny sukces – rzekł spokojnie. – To niedoskonały wszechświat. Włodzimierz to rozumiał, gdy pracowaliśmy nad manifestem, chociaż uważał, że niektórym udaje się zbliżyć do celu bardziej niż innym.

– Zawsze byłeś filozofem, Tomaszu – skomentowała Izabela Ziomkowska, schodząc w ślad za mężem po schodach. Szponder podał jej dłoń, ale ona wolała objąć go i cmoknąć w policzek. – Włodzimierz mówił też chyba, że nawet jeśli musimy poprzestać na mniejszym, nie musimy się wyrzekać marzeń o doskonałości.

– To prawda – odparł życzliwym tonem Szponder. Lubił Izabelę Ziomkowską i tak jak w przypadku Sokołowskiej przypuszczał, że jest bardzo bystra, tak o Izie wiedział to z całą pewnością. Właściwie nawet na to liczył. – Dobrze, proponuję, abyście przeszli do Zielonego Salonu. Zakąski są już na stołach, Grażyna trzyma sztandar. Ja dyżuruję jeszcze tutaj i witam gości. Dołączę, gdy tylko skończę i zwinę transparent powitalny.

– Jasne – powiedział Ziomkowski. – Tylko nie trzymaj placówki zbyt długo. Głupio by wyszło, gdybyśmy zaczęli bankiet bez ciebie. I ostrzegam, nie jadłem nic od śniadania. – Uśmiechnął się szeroko. – Oszczędzałem się. Wiem, na co stać twoich kucharzy.

– Postaramy się nie rozczarować gości – obiecał Szponder.



– Mazur nie dotrze – przekazał cicho Tomek Nowak, idąc po schodach do Zielonego Salonu. Szponder uniósł brwi, starając się nie zdradzać zbyt wiele wyrazem twarzy. – Zwykły przypadek. Był na Piłsudskim na jakimś spotkaniu. Najpierw się przeciągnęło, a teraz jego wahadłowiec ma problemy z silnikiem. Chce dolecieć, ale na pewno nie zdąży na początek imprezy. Podobnie Miternowski.

– Pech – mruknął Szponder.

Stacja Kosmiczna imienia Józefa Piłsudskiego była główną platformą przemysłową i przeładunkową Włocławka. Jak również pozaplanetarną siedzibą Stowarzyszenia Eksporterów Owoców Morza i Hieronim Mazur spędzał tam sporo czasu. Szponder miał nadzieję, że chociaż

dzisiaj oprze się on pokusie i nie poleci na górę, ale widać pracowitość znowu w nim zwyciężyła.

Cholera.

Co gorsza, był z nim asystent pierwszego sekretarza partii Tymoteusz Miternowski, zastępca Krzywickiej. Krzywicka ceniła go sobie, ponieważ trzymał się swojej roli i nie marzyło mu się, że pewnego dnia zajmie jej miejsce. Po prostu nie miał takich ambicji. Zasadniczo jego nieobecność w krytycznej chwili nie powinna być groźna, ale trudno było powiedzieć to samo o Mazurze...

– Ile się spóźni? – zapytał na podeście.

– Co najmniej kilka godzin. Mówił, że spróbuje dotrzeć przed fajerwerkami, ale nie może tego zagwarantować – odparł spokojnie Nowak.

Szponder zaklął pod nosem. Pokaz fajerwerków miał się odbyć dopiero po zachodzie słońca, czyli za jakieś osiem godzin.

– No to przyjdzie nam realizować nasz plan bez nich – powiedział i uśmiechnął się szeroko, wchodząc do pełnego gości Zielonego Salonu.

Jego żona, Grażyna, wyszła mu na spotkanie i ujęła go za łokieć. Po chwili goście go zauważyli i zaczęli przerywać rozmowy. Grażyna ścisnęła go trochę mocniej i była to jedyna oznaka towarzyszącego jej niepokoju. Szponder odczekał jeszcze chwilę, po czym uniósł prawą dłoń.

– Panie i panowie! – powiedział. – Dziękuję wam za przybycie. Mam nadzieję, że uroczystość okaże się warta podróży. Zostało jeszcze kilka godzin do zachodu słońca, ale ufam, że pokaz sztucznych ogni zrobi na was wrażenie. Tymczasem zapraszam na bankiet i na część oficjalną, której mogliście się spodziewać, przyjmując zaproszenie. A poza tym w programie tańce!

Odpowiedział mu śmiech, rozległo się też kilka wesołych okrzyków. Gospodarz uśmiechnął się do gości jeszcze szerzej.

– Zapraszam. Pogoda dopisuje, więc rozstawiliśmy stoły na wschodnim tarasie. Panie przewodniczący, pani sekretarz, czy zechcą państwo poprowadzić?

– Chyba uda nam się trafić na wschodni taras – rzucił ze śmiechem Ziomkowski i obrócił się do Agnieszki Krzywickiej.

Izabela Ziomkowska była dwadzieścia siedem centymetrów niższa od męża, ale o cztery wyższa od Krzywickiej. Stojąc między Ziomkowskimi, pierwsza sekretarz wyglądała na jeszcze

drobniejszą, ale uśmiechnęła się i zajęła miejsce po drugiej stronie Ziomkowskiego, podczas gdy Sokołowska została z tyłu w towarzystwie osobistego ochroniarza przewodniczącego. Pozostali goście, czyli niemal cała śmietanka towarzyska Włocławka, ruszyli w ślad za nimi przez przeszklone drzwi na ocieniony przestwór wschodniego tarasu.

Czekały tam na nich długie stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami, na których rozstawiono iskrzące się kryształami i ręcznie zdobioną zastawę. Obok leżały sztuce tak lśniące, że można się w nich było przeglądać. Każde miejsce opisane było wizytówką. Na drugim końcu tarasu grała orkiestra, a zaraz za baldachimami znajdował się parkiet do tańca.

Szponder obserwował, jak goście odnajdują swoje miejsca, a kelnerzy zbierają pierwsze zamówienia na napoje. Potem spojrzął na Nowaka i obaj kiwnęli lekko głowami. Zaraz potem Nowak odwrócił się niespiesznie i wszedł do willi, podczas gdy Szponder poprowadził Grażynę na centralne miejsce przy głównym stole.



Grzegorz Zieliński przełknął kolejny łyk lodowatej wody mineralnej i odpędził od siebie niegodną pokusę, aby sięgnąć po coś mocniejszego. Wprawdzie małe było prawdopodobieństwo, że zdarzy się tu coś nieprzewidzianego, ale ochrona przewodniczącego nie zwykła liczyć na szczęście. W tym oddziale nie tolerowano picia na służbie.

Uśmiechnął się i odstawił szklanekę na barek na kółkach. Wszyscy przydzieleni do ochrony dzisiejszej imprezy mieli zasiąść do stołu po skończeniu zmiany, na razie musiał jakoś znosić rozchodzące się wokół smakowite zapachy. Jako starszy rangą mógł przynajmniej przebywać na ocienionym tarasie.

Kiwnął głową barmanowi, po czym zaczął kolejny dyskretny obchód. Wiedział, że Szafirowa Wyspa była jednym z najbezpieczniejszych miejsc na Włocławku. Dodatkowo na niebie widać było sylwetki trzech uzbrojonych pojazdów z Torczon Security Services, agencji bezpieczeństwa, która służyła rodzinie Szponderów od co najmniej trzech pokoleń. Z jej usług korzystały chyba ze dwie trzecie oligarchów i Zieliński odetchnął z ulgą, gdy dowiedział się, że TSS zadba także o ochronę podczas uroczystości.

Mimo to coś mu nie pasowało. Nie wiedział co, ale szósty zmysł podpowiadał mu, że nie wszystko jest na swoim miejscu. Nie rozumiał tego, jednak wrażenie nie ustępowało.

Był w połowie obchodu, gdy w jego słuchawce rozległ się nagle głos Wincentego Małakowskiego.

– Grzegorz! Tutaj...

Nagle głos zamilkł. Zieliński zeszywniał.

– Wicek? – rzucił do mikrofonu. – Wincenty?!

Sięgnął do przycisku alarmowego na nadgarstku, gdy poczuł, że coś zimnego dotknęło jego karku. Obrócił głowę i zdumiał się, widząc uśmiechniętego Tomka Nowaka, który trzymał w dłoni coś jasnego i lśniącego. Zieliński zamrugał, zastanawiając się, dlaczego tak ciężko mu się skupić. Mrugnął ponownie, a potem zrozumiał: to był hipnopistolet. Tylko dlaczego Nowak miałby...

Mózg Zielińskiego przestał działać. Ochroniarz stał tam z pustym spojrzeniem, aż Nowak delikatnie dotknął jego ramienia.

– Może siądziesz sobie przy orkiestrze, Grzesiu? – zaproponował.

Zieliński kiwnął głową. To doskonały pomysł. Był już trochę zmęczony i w głowie mu się kręciło. Dobrze będzie przysiąść na chwilę. Jeszcze raz kiwnął głową Nowakowi, wdzięczny za sugestię, i stawiając ostrożnie kroki skierował się ku parkietowi do tańca.



Tomasz Szponder widział, jak główny ochroniarz przewodniczącego przeszedł przez parkiet, znalazł sobie krzesło i usiadł z pogodnym uśmiechem na twarzy. Kiwał lekko głową w takt muzyki. Potem Szponder poszukał spojrzeniem Nowaka. Stał przy barze. Uniósł porozumiewawczo trzymaną w dłoni szklaneczkę.

Szponder zaczerpnął głęboko powietrza i ścisnął pod obrusem dłoń Grażyny. Potem wstał i postukał łyżeczką w filiżankę. Dźwięk przebił się przez hałas, twarze zebranych zwróciły się w jego kierunku.

Gdy postukał ponownie, rozmowy zaczęły przycichać. Teraz już wszyscy na niego patrzyli.

– Panie i panowie – zaczął. – Kiedy was zapraszałem, obiecywałem fajerwerki i pewne zaskakujące ogłoszenie związane z obchodami Dnia Przewodniczącego. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że spośród tych atrakcji fajerwerki okażą się mniej spektakularne. Obchodzimy w tym roku setną rocznicę urodzin mojego najdroższego przyjaciela i mentora Włodzimierza Ziolkowskiego. Czterdzieści dwa lata temu, tutaj, w tej willi, napisaliśmy i podpisaliśmy kartę Ruchu Odrodzenia Narodowego. RON to było marzenie Włodzimierza, dzieło jego życia. Nic nie było dla niego ważniejsze niż ideały, którym służył, i pragnienie podniesienia jakości życia każdego obywatela Włocławka, mężczyzny, kobiety czy dziecka. Trudno mi wyrazić, jak

wielkim zaszczytem było dla mnie, że wybrał właśnie tę wyspę i ten dom w celu spisania tego, co było dla niego tak istotne. – Przerwał, słysząc oklaski, które przeszły zaraz w burzliwą owację. Ponad połowa gości wstała, klaszcząc jeszcze głośniejsze. Uśmiechnął się i podniósł ręce, prosząc ich, aby usiedli. – Ale prawda jest taka, że zawsze coś zostaje niedokończone, zawsze jest coś więcej do zrobienia – podjął, gdy zapadła cisza. – Także tutaj, na Włocławku. I dlatego zaprosiłem was wszystkich w stulecie urodzin Włodzimierza. Zrobiłem to, aby rozpocząć kolejny krok ku realizacji jego marzenia o naszym układzie planetarnym.

Przerwał ponownie. Niektórzy znowu zaczęli klaskać, ale część gości wyglądała na skonfundowanych. Niektórzy wymieniali szeptem jakieś uwagi. Szponder odczekał jeszcze dziesięć sekund, aż w lewym uchu usłyszał dyskretny sygnał. Wtedy wyprostował się i podjął przemowę już innym, o wiele bardziej stanowczym tonem, jakim nie zdarzało mu się mówić od kilkudziesięciu lat. Od czasów, gdy wraz z towarzyszami prowadził partię do władzy.

– Panie i panowie, proszę zwrócić uwagę na drzwi... – powiedział w chwili, gdy pięć dziesiątek uzbrojonych ludzi przeszło przez szklane drzwi i szybko rozstawiło się na obwodzie tarasu.

Zapadła pełna zdumienia cisza, jednak trwała nie dłużej niż jakieś dwadzieścia sekund.

– Co to ma znaczyć?! – spytała ostro Agnieszka Krzywicka. Wstała i rozejrzała się wkoło, po czym zacisnęła wargi, nie dostrzegając nigdzie własnej ochrony ani nawet Ziomkowskiego.

– To znaczy, że przywracamy właściwe znaczenie temu ruchowi, który pani i inni aparatczycy zawłaszczyliście dwadzieścia lat temu – odparł chłodnym tonem Szponder. Grażyna stała dumnie obok niego. – Mamy nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi. – Spojrzał zdecydowanie w oczy wściekłej Krzywickiej. – Ale jeśli ktoś będzie nalegał na podlanie drzewa wolności, to i tego możemy się podjąć.

ROZDZIAŁ LXII



Przejście do normalnej przestrzeni za dwadzieścia minut, ma'am – odezwał się komandor Saint-Germain.

– Dziękuję, Ulrichu – odparła kapitan Amanda Belloc, śledząc sytuację na ekranie.

Zespół operacyjny 10.2.7 zbliżał się do granicy alfa.

Znajdowali się dwadzieścia trzy dni od Montany i Belloc czuła narastające napięcie. Nie miała żadnych wątpliwości co do możliwości bojowych swojej grupy, którą admirał Culbertson stworzył wokół ciężkiego krążownika *Madelyn Hoffman*. Resztę zespołu stanowiły: dywizjon niszczycieli typu *Roland*, dowodzony przez kapitana Leaha Piekarskiego, starszy, ale wciąż groźny lekki krążownik *Huang Zhen* oraz pięć niszczycieli typu *Culverin*, tworzących dywizjon 102.1 pod dowództwem kapitana Zachariaha Lewisa. W sumie dysponowała wystarczającą siłą ognia, aby poradzić sobie ze wszystkim, przed czym nie mogłaby uciec, i z powodzeniem wypełnić pierwsze i podstawowe z powierzonych jej zadań.

Problem wiązał się z drugim zadaniem. Jej grupa operacyjna miała zajmować się głównie ochroną żeglugi handlowej, a w razie potrzeby móc pozostawić w kilku układach grupy patrolowe, zdolne do ich skutecznej obrony. W żadnym razie jednak nie byłyby w stanie okupować żadnego świata z przekazanej jej listy. Tym samym odpadały akcje bezpośrednie, jak wystosowanie ultimatum do jednego czy drugiego paskudnego rządu, robiącego na co dzień za podnózek dla korporacji z Ligi Solarnej i Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Rozkazy Belloc przewidywały jedynie nawiązywanie kontaktów z przedstawicielami ruchów niepodległościowych na poszczególnych planetach. Oczywiście po usunięciu albo zneutralizowaniu wszystkich obecnych w okolicy jednostek Floty Pogranicza. Następnie powinna przekazać im posłanie pokoju i przyjaźni oraz zaproponować nawiązanie bliskich kontaktów z Gwiazdnym Imperium Manticore. Ale to wszystko. Jeśli na dole brakowało rewolucjonistów, którym na dodatek obiecano wsparcie Manticore, Gwiazdne Imperium nie miało żadnych podstaw moralnych, aby wtrącać się w przebieg wydarzeń.

Bardzo żałowała, że nie da się przeprowadzić tego w jakiś prosty sposób. Na przykład wchodząc na orbitę danej planety i zamieszczając w jej sieci ogłoszenie: „Cześć, czy są wśród was jacyś rewolucjoniści oczekujący pomocy ze strony Manticore? Bo jeśli tak, to jesteśmy”. Jej

zdaniem całej sprawie brakowało subtelności i co gorsza, mogli sprowokować rebelię, do której w innym razie by nie doszło. To oznaczało niepotrzebną śmierć całej masy ludzi, nie wspominając o podważaniu oficjalnej wersji, że to ktoś inny obiecał różnym ugrupowaniom pomoc ze strony Manticore, które nic o tym nie wie i nie ponosi za obecną sytuację żadnej odpowiedzialności. Jednoznaczne rozkazy admirała kryły jej cztery litery, gdyby coś poszło nie tak, ale Amanda Belloc zamierzała zrobić wszystko, co możliwe, aby uniknąć problemów.

I tylko żeby reszta wszechświata była uprzejma z nią współpracować...



– Mam dobrą i złą wiadomość. Nie wiem tylko, która jest która.

– To jakoś pasuje do okoliczności, Vinnie.

Floyd Allenby nadal był zdeterminowany, chociaż na jego twarzy widać było zmęczenie i zdecydowanie stracił na wadze. Obiecane wsparcie marynarki wojennej Manticore powinno się zjawić już trzy tygodnie temu, Harvey Eldbrand zaś nie odezwał się ani słowem, aby wyjaśnić przyczyny opóźnienia. Flota Pogranicza zyskała dość czasu, aby zareagować na wiadomość dostarczoną przez frachtowiec Tallulah Corporation i wysłać grupę interwencyjną mającą przywrócić porządek na Swallow. Zgodnie z ostrożnymi szacunkami grupa ta powinna się zjawić już pięć dni temu, jednak z „rozmów” z Altonem Parkmanem i Sheilą Hampton, jego szefową personelu, dało się wywnioskować, że Flota Pogranicza dokonywała ostatnio pewnych przesunięć swych jednostek, co mogłoby wyjaśniać zwłokę. Należało jednak oczekiwać, że niebawem się zjawią.

– Może powiedz nam wszystko jak leci, a potem sami spróbujemy to określić – dodał, patrząc na obecnych w sali konferencyjnej.

Na drugim końcu stołu siedział Jason MacGruder, Joyce Allenby i Truman Rodriguez zajmowali miejsca po jego bokach. Była jeszcze Gemma, siostra Floyda, siedząca po prawicy brata.

– No dobrze – mruknął Frugoni. – Według Nathana *Duras* wychwytał ślady wyjścia z nadprzestrzeni. Stacja nie ma czujników takich jak Admiralicja, więc trudno o precyzyjne odczyty, ale formacja szesnastu jednostek przekraczających jednocześnie granicę alfa rzadko bywa formacją cywilną. Można więc założyć, że chodzi o grupę operacyjną, a nie o przypadkowo przybywające w tym samym czasie frachtowce.

– Zapewne – zgodził się cicho Floyd. Rozejrzał się i ponownie skupił spojrzenie na

Frugonim. – Ale dlaczego uważasz, że to mogą nie być złe wieści? Jak wiesz, flota Manticore najwyraźniej zawiodła.

– Niby tak – mruknął Frugoni. – Już od ponad pół godziny są w normalnej przestrzeni, a nie odezwali się jeszcze ani słowem. Trudno mi wyobrazić sobie dowódcę z Floty Pogranicza, który nie puściłby nam już wiachy.

– Może chce się z nami zabawić – zasugerował MacGruder. – Poczekaj, aż spocimy się ze strachu, i dopiero wtedy powie, po co przyleciał. – Floyd i Frugoni popatrzyli na niego krytycznie. – To się nazywa „wojna psychologiczna” – wyjaśnił.

– Może i tak – zgodził się Rodriguez. – Może chce poczekać, aż znajdziemy się w zasięgu jego rakiet, i dopiero wtedy przedstawi żądania. Jego zdaniem możemy mieć wtedy mniej głupich pomysłów, na przykład... nie wiem, moglibyśmy zagrozić wysadzeniem obiektów Tallulah, jeśli nie zostawi nas w spokoju. Gdy będzie na dobrej pozycji, aby zrównać tu wszystko z ziemią...

– Niewykluczone, że obaj macie rację – powiedział po chwili Floyd. – Ale za cholere nie zamierzam z nim gadać, dopóki nie będę musiał. – Uśmiechnął się smutno. – Może to bez sensu, ale nie zamierzam im niczego ułatwiać.



– To dość dziwne, ma’am – powiedziała Frieda Mawhinney.

Wraz z komandorem Lawrence’em Hillshotem, szefem sztabu na *Madelyn Hoffman*, stała obok kapitan Belloc i wpatrywała się w główny ekran. W tej chwili pokazywał obraz przekazywany przez sondy systemu Ghost Rider, wysłane przed czoło zespołu.

– Oświeć mnie, Frieda – mruknęła Belloc, a jej oficer taktyczny wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy w tym układzie od ponad godziny. To dość długo, aby nawet solarni zdążyli nas wywołać. Już samo to, że milczą, jest niezwykle, a druga sprawa to niemal całkowity brak ruchu w układzie. Mamy tylko trzy sygnatury napędów większych jednostek i żadnych oznak aktywności w pasie asteroidów. Według naszych informacji w tym układzie jest ponad sto jednostek górniczych, coś powinno się też dziać wokół ich gazowego giganta. Bigsby ma instalacje orbitalne do pozyskiwania gazu. A tu nic, cisza. Trudno przyjąć, że wszyscy się pochowali, ledwie wyszliśmy z nadprzestrzeni. Nawet gdyby chcieli, nie zdążyliby tego zrobić tak całkiem bez śladu.

– Taktyczna ma rację, ma’am – powiedział Hillshot. – Szczególnie w kwestii wywołania. Ich

kontrola astro powinna skontaktować się z nami już dwadzieścia minut temu. Nawet jeśli jakimś cudem wzięli nas za konwój frachtowców.

– To fakt.

Belloc wyprostowała się w fotelu. Przez chwilę bębniła palcami po prawym podłokietniku. Też nie wiedziała, co o tym myśleć.

Nie było żadnego powodu, dla którego cały układ planetarny miałby wyłączyć sieć łączności. Ale to właśnie tutaj się zdarzyło. Co wskazywało na jakieś bezprawne działanie. Gdyby to był kolejny Saltash, z eskadrą solarną czającą się w zasadzce i gotową zaatakować, wówczas takie milczenie miałyby jakiś sens. Tyle że na ich miejscu kazałaby kontroli astro zastosować wszystkie procedury powitalne. Cisza nie była dobrym pomysłem. Zawsze musi wzbudzić podejrzenia.

Jedyną wadą tego rozumowania było założenie, że domniemany dowódca solarny byłby osobą naprawdę myślącą. Jak dotąd tacy praktycznie się nie zdarzali.

Uśmiechnęła się kwaśno na tę myśl.

– Dobrze. Masz rację, coś tu nie pasuje. Niestety nie wiem co. Frieda, poślij drugą falę dronów Ghost Rider. Pierwsza niech omiecie cały układ z drugiej strony, aż do granicy nadprzestrzennej. Jeśli to kolejny Saltash i ktoś się tu czai, chcę to wiedzieć.

Mawhinney skierowała się do własnej konsoli, ale Belloc uniosła dłoń.

– Ma'am?

– Na wypadek gdyby krył się tam ktoś niekoniecznie przyjazny, dobrze będzie zarządzić dla całej grupy pierwszy stopień gotowości. Na razie bez użycia pocisków *Mark 23*, poinformuj kapitana Piekarskiego, że w grę wchodzi *Mark 16*. Przekaż też kapitanowi Lewisowi, że jego niszczyciele mają zostać blisko granicy nadprzestrzennej. Razem z *Veerle'em Vosburghiem*. Jeśli dojdzie do wymiany ognia, jednostka amunicyjna ma zmykać w nadprzestrzeń, zanim źli chłopcy zdołają ją namierzyć. Nie chcę stracić jej zasobników. Przygotować też do wystrzelenia pozoratory.

– Aye, ma'am.

– A co do ciebie, Aquilino – ciągnęła Belloc, zwracając się do oficera łączności *Madelyn Hoffman*. – Rozgrzej radio. W końcu będę musiała z nimi porozmawiać.

– Ale nie w tej chwili, ma'am? – spytał porucznik Aquilino Demeter i Belloc pokręciła głową.

– Nie teraz. Jeśli nie są na tyle uprzejmi, aby się do nas odezwać, nie będziemy ich poganiać.
– Uśmiechnęła się złośliwie. – Poczekamy do wykonania zwrotu, gdy będzie już oczywiste, że zamierzamy wejść na orbitę planety. Może tak trzeba, słyszałam, że solarni wolno kojarzą. A tymczasem możemy przygotować się na każdą ewentualność.



Kolejne pięćdziesiąt minut ciągnęło się jak wieczność, aż porucznik Demeter nie wytrzymał i chrząknął znacząco.

– Nie zapomniałam, Aquilino – rzuciła sucho Belloc.

Porucznik skinął głową.

– Wcale tak nie myślałam, ma'am.

– Kłamstwo ma krótkie nóżki – mruknęła Belloc z uśmiechem. – Ale dobrze, połącz mnie.

– Mikrofon włączony, ma'am – powiedział szybko Demeter i kapitan spojrzała prosto w obiektyw.

– Kontrola astro, mówi kapitan Amanda Belloc z Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Madelyn Hoffman*. Proszę o instrukcje dotyczące wejścia na orbitę.

Jednostki zespołu 10.2.7, pomijając pięć niszczycieli Zachariaha Lewisa i jednostkę amunicyjną *Veerle Vosburgh*, od wyjścia z nadprzestrzeni utrzymywały umiarkowane przyspieszenie rzędu 2,9 km/s². Kążownik *Madelyn Hoffman* znajdował się w odległości prawie siedmiu minut świetlnych od planety i stacji na jej orbicie, noszącej osobliwą nazwę Stacji Kosmicznej Donalda Ulyssesa i Rosy Aileen Shuman. Tam mieściła się centrala astro. Belloc usiadła, aby poczekać spokojnie na jakiś odzew...

– Mam odpowiedź, ma'am – oznajmił kwadrans później Demeter. – Ale to nie astro.

– Nie? – Belloc uniosła brwi. – Co za niespodzianka. Zatem kto?

– Sygnał idzie z planety, ma'am.

– Nie ze stacji kosmicznej?

– Nie.

Belloc skinęła głową i przesunęła kosmyk włosów między palcami. Skromny pakiet informacji wywiadowczych, dostarczony przez admirała Culbertsona, podawał, że najważniejszą osobą w układzie powinien być przedstawiciel Tallulah Corporation. Według standardów solarnych nie była to wielka korporacja, Belloc nigdy o niej nie słyszała, ale ów przedstawiciel miał podobno swoją siedzibę na pokładzie stacji kosmicznej. Nie było tu żadnej innej delegatury

Ligi Solarnej, zatem odpowiedź powinna przyjść raczej ze stacji, może od kogoś udającego kontrolę astro. Albo z pokładu jakiejś jednostki solarnej, ukrytej w zasadzce. Tak czy siak, gdzieś z próżni, nie z powierzchni planety.

– Trudno, daj na moje stanowisko, Aquilino – powiedziała.

– Tak, ma'am.

Chwilę później na jej ekranie pojawiła się twarz. Mężczyzny, z ciemnymi włosami, brodą i orlim nosem. Obraz był nieruchomy, dopóki nie włączyła odtwarzania transmisji.

– Witam, kapitan Belloc. Nazywam się Floyd Allenby. Wiem, czego szukacie. To „Davy Crockett”.

Davycrockett? Dziwne znalezisko, pomyślała Amanda Belloc. Co to, u diabła, jest „davycrockett”?



Floyd Allenby siedział przed konsolą łączności. Frugoni i Jason MacGruder zaglądali mu przez ramię.

Minuty oczekiwania ciągnęły się niemiłosiernie, podczas gdy nieznane okręty zbliżały się do planety. Gdyby należały do Manticore, powinny się już odezwać. Do niego, czy w ogóle do dowódcy ruchu, gdyby jemu przytrafiło się coś niemiłego. Naprawdę nie rozumiał, dlaczego każą mu czekać.

Gdy zaś w końcu kapitan Belloc nawiązała kontakt, zrobiło się jeszcze dziwniej. Nie spytała o Floyda, nie wspomniała o ruchu, nie podała umówionego hasła. Jak gdyby nigdy nic, zaczęła wywoływać kontrolę astro.

Bez dwóch zdań coś tu się nie zgadzało. Nie wiedząc, co robić, podał hasło, które otrzymał od Eldbranda, i miał wielką nadzieję, że to się sprawdzi.

W każdym razie nie powinno zaszkodzić, nawet gdyby to był zespół floty solarnej. Wówczas żadne jego słowa nie pogorszyłyby sprawy.



– Przepraszam, panie... Allenby, tak? – odezwała się Belloc. – Próbowałam skontaktować się z kontrolą astro. Mogę zapytać, dlaczego połączyło mnie z panem? I co właściwie oznacza „davycrockett”?



– Jest coraz dziwniej – zauważył MacGruder. – Czyżby ci z Manticore byli równie głupi jak

solarni?

– Mało prawdopodobne – odparł Allenby, drapiąc się w brodę. – Słyszałem, że potrafią doliczyć do dziesięciu i nawet sami wiążą buty. – Przez chwilę zastanawiał się nad tym i w końcu wzruszył ramionami. – Ale być może zbyt wiele oczekujemy – powiedział i sięgnął do włącznika nadawania.



– Nie wiem, co albo kto to jest ten „Davy Crockett”, pani kapitan – oznajmił dwanaście minut później brodaty mężczyzna przemawiający z ekranu Belloc. – Nie ja to wymyśliłem. To wasz człowiek, niejaki Eldbrand, podał mi to jako hasło, gdy już przybędziecie. Inna sprawa, że spodziewaliśmy się was miesiąc temu.

Amanda Belloc uniosła brwi i pokręciła głową.

Cóż, jeśli to nie jest jakaś maskarada, to admirał Culbertson miał rację. Coś naprawdę się dzieje. To i dobrze, przynajmniej nie trzeba będzie zaglądać pod kamienie, żeby ich znaleźć!

– Przepraszam za spóźnienie, panie Allenby – powiedziała. – Sądzę jednak, że mogło tu dojść do nieporozumienia. Rzecz w tym, iż...

ROZDZIAŁ LXIII



Coś jeszcze chodzi komuś po głowie? – spytał kapitan Gerald Hagan z Solarian League Navy i rozejrzał się po sali odpraw SLNS *Ratnik*.

– Wszystko jasne – powiedział kapitan Hiram Albani, dowódca SLNS *Kruger* i zastępca dowódcy CruDiv 423.1, widoczny w jednym z okien na głównym ekranie. – Przylatujemy, wyjaśniamy, a gdyby nie chcieli słuchać, wzmacniamy przekaz kilkoma kopniakami.

Wzruszył ramionami, a Hagan ledwo opanował chęć, aby spojrzeć na niego jak na idiotę.

Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, że nigdy go nie lubił. Albani był arogancki i agresywny, miał silne powiązania rodzinne z Biurem Bezpieczeństwa Granicznego. Nie był po prostu tępym narzędziem, tylko zaangażowanym tępym narzędziem i bardzo lubił swoją rolę. Niekiedy prowadziło to do skutków wprost przeciwnych do zamierzonych.

Sam Hagan nie miał żadnych oporów przed rozdawaniem kopniaków, jeśli tylko tak można było przekonać tych neobarbarzyńców z Pogranicza do przestrzegania pewnych reguł. Nigdy mu taka polityka nie przeszkadzała. Ostatecznie temu właśnie służyła Flota Pogranicza. Obecnie, gdy ci szaleńcy z Manticore próbowali ustawić całą galaktykę po swojemu, miał jeszcze mniej cierpliwości dla wszystkich, którzy chcieli Lidze Solarnej wbić nóż w plecy. Co więcej, jak wyjaśnił wszystkim starszym oficerom admirał Torricelli, rząd za wszelką cenę nie mógł pozwolić na utratę żadnego z dochodowych układów. Sankcje Manticore za bardzo już zaszkodziły solarnej gospodarce.

Zatem był zdeterminowany, aby wykonać zadanie nawet wówczas, jeśli będzie wymagało to użycia siły. Układ Swallow wróci pod władanie Tallulah Corporation. Niestety, poza jednym batalionem interwencyjnym i dwiema kompaniami marines nie miał w ręku wielu argumentów, które mogłyby się przydać, gdyby sama obecność czterech lekkich krążowników typu *Warrior* nie przekonała mieszkańców planety. Ale sytuacja na dole nie była pewnie aż tak zła, jak opisał to kapitan Romero Shwang, dowódca frachtowca *Tallulah Dawn 7*, który uciekł z układu w czasie rozruchów. Facet zdawał się mieć skłonności do hysterii. Gdyby jednak przyjął najgorszą wersję, że buntownicy zyskali dostęp do nowoczesnej broni, a większość liczącej kilka miliardów ludności poparła powstanie, wówczas pacyfikacja układu mogłaby się okazać bardzo trudnym zadaniem. Chyba żeby sięgnąć po broń kinetyczną, na co Hagan nie miał najmniejszej ochoty.

Niezależnie od tego, co mówił Shwang i jaka mogła być reakcja admirała Torricellego, Gerald Hagan był temu przeciwny. I to nie tylko dlatego, że mogło to oznaczać zabicie kury znoszącej złote jajka.

– Dawno temu na Starej Ziemi żył pewien teoretyk wojskowy – powiedział, patrząc na Albaniego. – Jasne, było ich wielu, ale ten, o którym myślę, powiedział coś w rodzaju: „w czasie wojny wszystko jest bardzo proste, ale bardzo trudno jest robić proste rzeczy”. Zgodzę się, że nasze zadanie jest bardzo proste, Hiram. Ale nie zakładaj, że łatwo będzie skopać tyłek miejscowym, jeśli nie będą chcieli posłuchać nas po dobroci.

Albani zacisnął wargi, słysząc znowu to, co kapitan Hagan mówił już chyba setki razy. Skinął jednak głową i Hagan, uznawszy sprawę za załatwioną, skierował uwagę na komandor Trudi Vercesi i komandor Antonię Valakis, dowodzące odpowiednio SLNS *Harcos* i SLNS *Guerriera*.

– Jakieś nowe pomysły od czasu naszego ostatniego spotkania?

Obie pokręciły głowami. Tego właśnie oczekiwał.

– W porządku – powiedział. – Zatem działamy zgodnie z planem.



– Nadal brak odpowiedzi, sir – powiedziała porucznik Shahrizad Kantor, oficer łączności *Ratnika*.

Gerald Hagan zmarszczył brwi.

Ledwie wyszedł z nadprzestrzeni, wysłał do kontroli astro „prośbę” o instrukcje podejścia do Swallow. Niemniej jego krążowniki i wycarterowany transportowiec *Priscilla Lane* zmierzały w kierunku planety już od trzydziestu minut i nadal panowała cisza. Od miejscowej stacji kosmicznej dzieliło ich już tylko czternaście minut świetlnych, kontrola astro miała więc dość czasu na odpowiedź.

Durne i uparte łby, pomyślał. Żadna niespodzianka. Każdy, kto próbuje czegoś takiego, musi być upośledzony. Nic w ten sposób nie zyskają.

Zerknął na ekran nawigacyjny. CruDiv 423.1 osiągnął prędkość zbliżania rzędu 7431 km/s i od wyjścia z nadprzestrzeni pokonał ponad 6 672 000 kilometrów. Przy obecnym przyspieszeniu 420 g od chwili obrotu zostanie im jeszcze półtorej godziny do samej planety. Całkiem sporo czasu, ale pewne rzeczy dobrze by było wyjaśnić wcześniej.

– Zapis przekazu, Shahrizad – polecił.

– Mikrofon włączony, sir.

– Kontrola astro układu Swallow, mówi kapitan Gerald Hagan z Solarian League Navy, dowódca lekkiego krążownika *Ratnik* i starszy oficer dywizjonu krążowników 423.1. Nie odpowiedzieliście na mój poprzedni przekaz, ale chcę was poinformować, że znalazłem się w waszym układzie z powodu doniesień, że życie i dobro mieszkańców Ligi Solarnej spotkały się tu z zagrożeniem ze strony ekstremistów. Jeśli więc nie odpowiecie na tę wiadomość, założę, że łączność układowa jest kontrolowana przez elementy przestępcze, a milczenie jest deklaracją wrogości. W tych okolicznościach poczuje się upoważniony do użycia siły w wymiarze koniecznym dla ochrony życia i własności obywateli solarnych w układzie Swallow. Zamierzam utrzymać obecne parametry lotu, aby wyhamować na orbicie planety za... – Spojrzał na ekran manewrowy. – Za mniej więcej trzy godziny i pięćdziesiąt minut. Jeśli nie otrzymam odpowiedzi w tym czasie, uznam Swallow za świat wrogi i podejmę stosowne działania. Proponuję zatem przyjąć takie stanowisko, które pozwoli uniknąć zniszczeń i strat w ludziach. Hagan, bez odbioru.

– Skłonił lekko głowę i spojrzał na Kantor. – Odtwórz – polecił.

Gdy to zrobiła, przejrzał materiał i ponownie skinął głową.

– Wyślij – powiedział i usiadł prosto w fotelu dowódcy.



– Sir, mamy transmisję przychodzącą!

Hagan przerwał rozmowę ze swoją zastępczynią, komandor Brendą Travad. Właśnie przekroczyli punkt obrotu i zaczęli zwalniać, aby wytracić prędkość 32 000 km/s, z którą zbliżali się do planety – miała się ona znaleźć w zasięgu ich pocisków dopiero za półtorej godziny. Hagan wolał jednak planować z wyprzedzeniem i miał już gotowy zarys ataku. W głosie Kantor pobrzmiwała mocno niepokojąca nuta.

– Ktoś w imieniu legalnego rządu? – spytał, podchodząc do fotela dowodzenia.

– Nie, sir – odparła.

– No to któryś z tych bandytów – warknął, zajmując swoje miejsce.

– Też nie, sir. – To wypowiedziała już całkiem nieswoim głosem. – To od... – Przerwała i zaczerpnęła głęboko powietrza. – Sir, to od kogoś, kto utrzymuje, że jest oficerem Manticore – dokończyła cicho.

Hagan drgnął nerwowo i na mostku *Ratnika* nagle zapadła cisza. Czuł, że wszystkie spojrzenia skupiły się na nim, i ze wszystkich sił starał się zachować spokój.

Nie całkiem mu się to udało.

– Dobrze – usłyszał własny głos. – Chyba powinienem to obejrzeć.

– Sir, to nie jest nagranie – wyszeptała Kantor. – Mamy przekaz na żywo za pośrednictwem przekaźnika, który znajduje się około osiemdziesięciu tysięcy kilometrów od nas.

Hagan patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, po czym zerknął na ekran taktyczny. Zgodnie z widocznym tam obrazem w promieniu dwudziestu pięciu milionów kilometrów od nich nie było absolutnie żadnego obiektu.

– Dobrze – powiedział po długiej, pełnej napięcia chwili.

– Tak, sir.

Kantor dotknęła swojego panelu, a na ekranie Hagana pojawiła się podobizna wysokiej kobiety o niebiesko-zielonych oczach i długich kasztanowych włosach splecionych w gruby warkocz. Mimochodem odnotował, że była całkiem atrakcyjna, chociaż miała mało przyjazny wyraz twarzy. Co jednak ważniejsze, miała na sobie czarno-złoty mundur Manticoran Royal Navy z insygniami kapitana na wyłogach kurtki.

– Kim pani jest i co mogę dla pani zrobić? – spytał bez wstępów i przygotował się odruchowo na oczekiwanie na odpowiedź. Kimkolwiek była ta kobieta, musiała się znajdować co najmniej osiemdziesiąt cztery sekundy świetlne od *Ratnika*, biorąc pod uwagę pusty ekran taktyczny. Oznaczało to, że dwukierunkowe opóźnienie będzie wynosić prawie trzy minuty.

– Kapitan Amanda Belloc z Royal Manticoran Navy, dowodzę okrętem Jej Królewskiej Mości *Madelyn Hoffman*. A jeśli chodzi o to, co może pan dla mnie zrobić, to sprawa jest prosta. Oczekuję, że wyłączy pan napędy swoich jednostek, odwoła gotowość bojową i przygotuje zespół do poddania, kapitanie Hagan – odrzekła energicznie... ledwie trzy sekundy później.

Hagan aż drgnął zaskoczony niemal natychmiastową odpowiedzią. Dopiero potem dotarł do niego sens jej słów i twarz pociemniała mu ze złości.

– Słucham? Jak pani śmie wysuwać takie żądania wobec jednostek Marynarki Wojennej Ligi Solarnej? I na jakiej podstawie uważa pani, że możemy posłuchać?

– Moja śmiałość nie ma tu nic do rzeczy, kapitanie. Może pan o tym nie słyszał, biorąc pod uwagę, jak wolno rozchodzą się wieści w Lidze Solarnej i jak wolno się tam je przyswaja, ale Gwiezdne Imperium Manticore i Liga Solarna od dwóch standardowych miesięcy znajdują się oficjalnie w stanie wojny. Zapewne ma to coś wspólnego z waszym niesprowokowanym atakiem na nasz macierzysty układ planetarny. Zdaję sobie sprawę z tego, że Liga Solarna, jako strażnik

wszelkiej poprawności i wielki autorytet moralny, nie widzi powodu, aby przejmować się takimi drobiazgami, jak oficjalne wypowiedzenie wojny, zanim dokona ataku na inne międzygwiazdne państwo. Ale my, mam tu na myśli Manticore i Haven, mamy do tego inne, może strasznie prowincjonalne podejście. Po tym, jak księżna Harrington wymiotła połowę ciężkich jednostek admirała Filarety, nasza królowa i jej sojusznicy zadbali o sformalizowanie tego konfliktu. Zatem może mi pan wierzyć, że nie mam powodów przejmować się waszą reakcją na moje żądania. Mam za to argumenty, które mogą pomóc panu zrozumieć, dlaczego żądania te są realistyczne. Mam też nadzieję, że trafiłam na solarnego oficera o inteligencji wyższej niż u przeciętnej mrówki, który będzie zdolny zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazł. Nie przepadam za solarnymi, ale nie czerpię też przyjemności z ich zabijania, gdy po prostu wykonują swoją pracę.

Obojętny i pogardliwy ton Belloc sprawił, że Geraldowi Haganowi zrobiło się wręcz zimno.

– To miło z pani strony – odparł po chwili lekko chrapliwym głosem. – Śmiało sobie pani poczyna jak na kogoś, kto nawet nie widzi moich jednostek.

– Kto powiedział, że nie widzę?

Zmarszczył brwi.

– Sir!

Okrzyk wydał porucznik Gennadi Hudson, jego oficer taktyczny. Hagan spojrzał zaraz na ekran, gdzie pojawiły się nagle dziesiątki ikon symbolizujących niewielkie węzły impellerowe, i z mdlącym odczuciem zrozumiał, że to napędy dronów zwiadowczych. Niektóre znajdowały się zaledwie dziesięć tysięcy kilometrów od *Ratnika* i...

– Mamy ślady impellerów – powiedział Hudson z napięciem w głosie. – Odczyty wskazują na pięć jednostek w odległości 11,4 minuty świetlnej od nas, sir. – Spojrzał na Hagana. – Centrum informacji bojowej podaje, że chodzi o cztery lekkie krążowniki i być może jeden liniowy.

Hagan czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Niecałe dwanaście minut świetlnych? A żaden z jego czujników niczego nie odnotował? Jak to możliwe? Spojrzał na ekran, gdzie nadal widać było całą mgławicę dronów zwiadowczych. No tak, skoro potrafili zamaskować obecność impellerów tak blisko jego jednostek, tym bardziej mogli ukryć okręty z aktywnymi emisjami przy dwadzieścia tysięcy razy większej odległości.

To musiało oznaczać, że ich systemy stealth były nieporównanie lepsze od wszystkiego, czym on dysponował.

– Dla pańskiej informacji, kapitanie Hagan – dodała Belloc. – Obecnie znajduje się pan w zasięgu moich pocisków, a zasięg ten jest o kilka milionów kilometrów większy niż dystans pomiędzy naszymi zespołami. Ja zaś jestem co najmniej cztery miliony kilometrów poza zasięgiem pańskich pocisków. Zatem sprawa sprowadza się do jednego całkiem prostego pytania: Jesteście gotowi spełnić moje żądania czy będziemy gadać inaczej?

ROZDZIAŁ LXIV



Trzylufowe działko na dachu należało albo do armii, albo do bezpieczeniaków, w tej chwili trudno to było stwierdzić.

Inna sprawa, że nie miało to większego znaczenia, gdy serie pocisków (co dziesiąty smugowy), a właściwie jednolity ich strumień przypominający to, co w dawnych filmach przedstawiano jako „promienie śmierci”, przesuwiał się pod ostrym kątem po ulicy. Działko miało zablokować dostęp do Parku Pamięci od strony Tyrone Boulevard, na południowo-zachodnim skraju The Mall. Operator nie tylko musiał mieć całą masę amunicji, ale był też dobry w swoim fachu, skoro przy tej odległości zdołał trafić niegdyś armijny transporter typu *Vibora*, który eksplodował w oślepiającym blasku wodorowego ognia. Kawalki poleciały w górę i opadły nawet sto pięćdziesiąt metrów dalej. Gdy dym się przeredził, na ulicy leżał trudny do rozpoznania, poszarpany wrak.

W pojeździe, który nosił już na burcie zielony znak „drzewa wolności”, zginęło osiemnaścioro bojowników Ruchu Niepodległości Seraphimu.

– Cholera – mruknął ponuro Ruben Broadhead. – I co, u diabła, teraz zrobimy?

– Znajdziemy sposób, żeby to załatwić – odparł spokojnie Damien Harahap. Stali na dachu budynku mieszkalnego po drugiej stronie bulwaru, dwie przecznice na zachód. Broadhead spojrzał pytająco na Harahapa. – Wiem, że znałeś sporo ludzi, którzy tam zginęli. Więcej niż ja. A jeśli uda nam się przy okazji wysłać obsadę tego działka do piekła, to tym lepiej.

Broadhead zgromił go spojrzeniem, ale po chwili złość mu przeszła. W każdym razie złość na Harahapa. Skinął głową.

– Jasne – zgodził się. – Co myślisz?

Harahap miewał ostatnio różne myśli, z których większości zdecydowanie nie miał zamiaru ujawniać Broadheadowi ani żadnemu innemu członkowi ruchu. Niemniej...

– Jest kilka sposobów – odparł. – Niestety, ten najlepszy wymaga zaangażowania jednostki orbitalnej i głowicy kinetycznej.

– Tym akurat nie dysponujemy – zauważył Broadhead z pewnym rozbawieniem.

– No to musimy sięgnąć po mniej widowiskowe opcje.

Uniósł cyfrową lornetkę i przyjrzał się obłożonemu workami z piaskiem stanowisku działka.

W powietrzu unosiło się sporo dymu i pyłu od odległych i całkiem bliskich eksplozji. Odgłosy walki zdawały się dobiegać ze wszystkich stron, ale największe nasilenie ognia raketowego było chyba na wschodzie, co mogło być dobrym znakiem dla bojowników, gdyż oznaczało, że wkroczyli już na teren The Mall, dzielnicy, w której mieściły się pałac prezydencki i budynki rządowe. Była to też ostatnia w centrum stolicy reduta Howarda Sheltona. Poza tym siły bezpieczeństwa panowały jeszcze w kilku kwartałach na południowych peryferiach miasta. Reszta Cherubimu znajdowała się już w rękach powstańców.

Skierował lornetkę na sąsiednie budynki. Mieli szczęście, że przy budowie miasta tak rzadko korzystano z dobrodziejstwa modułów antygravitacyjnych. Każda gigantyczna wieża mieszkalna była koszmarem z punktu widzenia atakujących. Gdyby naprawdę musieli zdobywać je wszystkie, szeregi bojowników stopniałyby niczym wiosenny śnieg.

Na szczęście trzy czwarte stołecznych policjantów zaraz po wybuchu walk przeszło na stronę buntowników, a lokalni gliniarze wiedzieli wszystko o tych wieżach. Mieli dokładne plany kondygnacji i schematy różnych ciągów. Nie mówiąc o samych ludziach, którzy dawno już przećwiczyli operacje odbijania zakładników czy neutralizowania terrorystów w takich budynkach. Wiedzieli, jak się zabrać do sprawy, i przede wszystkim rozumieli, że trzeba zająć wieże, zanim siły bezpieczeństwa też wpadną na ten pomysł i zamienią je w fortece. Harahap uznał to za spore niedopatrzenie ze strony Sheltona i O'Sullivan, ale prawdopodobnie był trochę nie fair wobec nich. Żaden z nich nie przewidywał takiego rozwoju wydarzeń. Zwłaszcza O'Sullivan musiał być zaskoczony zachowaniem policji.

Na pewno wiedział, że regularna policja nigdy nie lubiła sił bezpieczeństwa, ale trzeba oddać, że zaczęli przechodzić na stronę przeciwnika, dopiero gdy się okazało, że O'Sullivan nie był lepszy od Sheltona i próbował własnego zamachu stanu. Oczywiście nie mogli wiedzieć, że tak naprawdę żaden z nich wcale tak nie kombinował. Przynajmniej nie teraz, przy tak małych szansach powodzenia.

Jego wargi drgnęły lekko, gdy przypomniał sobie własną reakcję na plan Indiany. Mackenzie twierdziła stanowczo, że plan był efektem wspólnych starań, a nie tylko majaczeniem jej stukniętego brata, i Harahap gotów był uwierzyć, że sporo czasu poświęciła, wyklócając się z bratem o szczegóły. Ale cokolwiek by powiedzieć, inspiracja musiała pochodzić od Indiany. To było dokładnie jego podejście i Harahap uznał, że gdyby Indy Graham nie był tak ograniczony wskazaniami moralnego kompasu, mógłby zostać świetnym tajnym agentem.

Ruch Niepodległości nie miał szans na zdobycie tylu mundurów armii i sił bezpieczeństwa, ile Indy naprawdę potrzebował, ale zgromadzili ich dość do przeprowadzenia całkiem udanej akcji, dzięki której Shelton uznał, że O'Sullivan go atakuje, O'Sullivan zaś doszedł dokładnie w tym samym czasie do wniosku, że to Shelton atakuje jego. Obaj poczuli się do tego stopnia zaskoczeni, że bez namysłu ruszyli na przeciwnika. Ostatecznie szturm na koszary i parki maszynowe pozbawiły Sheltona sześćdziesięciu procent jednostek pancernych.

Oczywiście miało to swoją cenę. Ning Saowaluk nie była jedyną poległą na tym etapie bojowniczką, ale Harahap wiedział, że Indy i Mackenzie ciężko to odchorowali. On wiedział, że tak będzie, gdy śmierć zacznie zabierać ich bliskich i przyjaciół, gdy nie będzie to już tylko teoria, lecz prawdziwa krew i prawdziwe rany. Niemniej Grahamowie okazali się całkiem twardzi. Żal i smutek nie zmniejszyły ich determinacji, chociaż Indy wyglądał, jakby przez ostatnie trzy tygodnie postarzał się co najmniej o dziesięć lat.

Niemniej owa mocna niczym stalowe ostrze motywacja, która pchnęła go do stworzenia Ruchu Niepodległości Seraphimu dosłownie z niczego, została tylko odrobinę stepiona, w żadnym razie nie złamana, atak na więzienie Terrabore zaś okazał się prawdziwym majstersztykiem.

Indiana i Mackenzie nigdy nie kryli, że właśnie uwolnienie ojca, Bruce'a Grahama, z Terrabore było głównym powodem, dla którego zapalili się do konspiracji. Harahap podejrzewał, że każdy z ich wariantów otwarcia przewidywał szturm na to więzienie. Ale osobiste motywy nie miały wpływu na ich sposób planowania. Terrabore było czymś więcej niż tylko zwykłym zakładem penitencjarnym. Znajdowało się tam również centrum łączności sił bezpieczeństwa. Atak z wykorzystaniem pojazdów opancerzonych i uzyskanej dzięki przemytowi ciężkiej broni, czym dysponowała tylko armia, przekonał O'Sullivana, że Shelton próbuje zlikwidować jego placówki także poza stolicą. Podobnie ataki rzekomych sił bezpieczeństwa na parki maszynowe armii przekonały Sheltona, iż O'Sullivan próbuje zlikwidować jego naturalną przewagę sprzętową.

Harahap był całkiem pewny, że obaj już kilka godzin później zaczęli podejrzewać, iż zostali oszukani przez jakiegoś trzeciego gracza. Tyle że nie wiedzieli przez kogo, no i nie mieli pewności. Te kilka godzin wystarczyło jednak, aby wszystkie podległe im siły uwikłały się w walkę.

Parę dni konfliktu doprowadziło do wyeliminowania całego ciężkiego sprzętu po obu

stronach, Indy i Mackenzie zaś wykorzystali ten czas na włączenie uwolnionych więźniów w struktury organizacji. Bruce Graham nie był jedynym powodem, dla którego zdobycie Terrabore miało takie znaczenie. McCready i O'Sullivan zgromadzili tam wszystkich swoich najbardziej niebezpiecznych przeciwników. Oczywiście poza tymi, których zdążyli zamordować. I teraz wszyscy oni byli wolni. Dziennikarze, politycy, duchowni, profesorowie, ludzie biznesu, których działania korporacji pchnęły w objęcia opozycji.

Wszyscy oni zostali uwolnieni w jednej akcji, stając się zbiorowym wizerunkiem nieznaną poza tym organizacji, która wyrwała ich z łańcuchów. To przyniosło ruchowi błyskawiczną legitymizację, jakiej nie uzyskałby żadnym innym sposobem. I to też przyczyniło się do zmiany frontu większości sił policyjnych, nie tylko w stolicy. Przydało się, gdy Indy i Mackenzie zaczęli własną ofensywę przeciwko Sheltonowi i O'Sullivanowi. Co równie ważne, niebawem przyłączyły się do nich tysiące cywilnych ochotników. Broń dostarczona przez Harahap i Równanie szybko się skończyła, ale właśnie wtedy w ich ręce zaczęły trafiać magazyny wojska i sił bezpieczeństwa. Gdy Shelton i O'Sullivan zdali sobie sprawę, co naprawdę się dzieje, i spróbowali zjednoczyć swoje siły w walce z zagrożeniem, było już za późno. Ruch Niepodległości cieszył się ogromnym wsparciem. Po opanowaniu stolicy reszta planety, jak i całego układu, powinna sama wpaść im w ręce.

Przynajmniej do czasu, gdy Krestor, Mendoza, Oginski Group czy Biuro Bezpieczeństwa Granicznego nie spróbują zmienić tego stanu rzeczy. Damien Harahap miał nadzieję, że nie będzie świadkiem tych zdarzeń. Zamierzał przejąć jeden ze statków kurierskich, pozostających na orbicie Seraphimu, i odlecieć – rzekomo w celu przynaglenia Manticore do przysłania floty.

Zacisnął wargi. Trudno, nie miał wyboru. Ale fakt, że ta część operacji Janus miała się zakończyć rzeczywistym sukcesem, budził jego niesmak jako zawodowca.

Jakoś to przeżyjesz, pomyślał cynicznie. Wróciwszy w teren, zapomniawszy, jak bardzo przywiązujesz się do ludzi. Ale odchorujesz to i będzie lepiej. Bo jeśli nie, to Równanie sprawi, że twoje sumienie już nigdy nie będzie ci przeszkadzać.

– Sądzę, że uda nam się ich wyeliminować, jeśli ruszymy na południe, do ulicy Shimanouchi – powiedział Broadheadowi. – Widzisz tę wieżę ciśnięć na rogu Shimanouchi i Vine? Jeśli wniesiemy tam któreś z naszych działek, ci dranie znajdą się w jego polu rażenia.

– Zakładając, że nikt tam na nas nie czeka.

– Oczywiście! – rzucił z uśmiechem Harahap. – Ale takie drobiazgi sprawiają, że życie jest

ciekawe!

Broadhead zachichotał, a Harahap opuścił lornetkę i sięgnął po karabin pulsacyjny.

– Chodźmy tam, zanim ktoś jeszcze tu oberwie – powiedział i ruszył przez dym.



– Talisman dzwoni – powiedziała Joyce Albertson i Harahap podniósł wzrok znad kubelka frytek o trzydziestocentymetrowej średnicy.

Zdecydowana większość środowiska biznesowego Seraphimu przeszła na stronę Ruchu Niepodległości, niekiedy z wyrachowania, ponieważ siedziby firm, które nie popierały ruchu, musiały się liczyć z poważnymi zniszczeniami w trakcie walk. Niemniej wiele rzeczywiście poparło rebelię, a właściciele i operatorzy sieci Three Hills Sandwiches należeli właśnie do tej grupy. Pomimo trudności spowodowanych walkami dziesiątki restauracji Three Hills dokarmiwały codziennie setki bojowników. Biorąc pod uwagę dezorganizację łańcucha dostaw, nie miały szansy robić tego zbyt długo, ale po zajęciu dzielnicy rządowej w ciągu kilku dni w stolicy powinien zapanować spokój, co oznaczało także powrót do stanu bliskiego normalności.

Harahap pomachał ręką kobiecie, która przerwała mu lunch składający się z frytek i kanapki, zdumiewająco zresztą dobrej. Sieć Three Hills miała codziennie własne świeże pieczywo. Harahap przełknął kęs i wziął od niej komunikator z przystawką szyfrującą.

– Firebrand – powiedział, unosząc urządzenie do ucha.

– Talisman – odezwał się Indiana. – Możesz znaleźć jakieś zastępstwo na parę godzin?

– Jasne. Czemu?

– Magpie i ja jesteśmy właśnie na Tobolinskim i chyba trafiliśmy na coś, co cię zainteresuje.

Harahap uniósł brwi. Na Polach Tobolinskiego znajdował się główny port kosmiczny Cherubimu. Doszło tam nawet do dość gwałtownych walk, które zakończyły się poprzedniego dnia. To bardzo dobrze. Gdy tylko uspokoi się w okolicy The Mall, będzie mógł zająć się swoimi sprawami bez ryzyka, że uznają go za dezertera. Wtedy poszuka jakiegoś wahadłowca i poleci poszukać sobie jednostki kurierskiej. Tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

– Co to za „coś”? – spytał.

– Niespodzianka – odpowiedział Indy i zachichotał. – Nas też to zaskoczyło. W ogóle myślę, że wszyscy będą mieli ubaw po pachy. Ale na pewno na tym skorzystamy.

– Niech będzie – zgodził się Harahap i sprawdził czas. – Będę za jakieś pół godziny.

– Świetnie! Zatem do zobaczenia.



Tak naprawdę droga zajęła mu ponad czterdzieści minut, ale w końcu wysiadł z niegdyś wojskowego wozu przed południowym terminalem Tobolńskiego. Strażnicy przed olbrzymim, krystoplastowym frontonem poznali go zaraz i z uśmiechem zaprosili do środka. Harahap odpowiedział uśmiechem i znowu zrobiło mu się czemuś smutno.

– Talisman powiedział, że czekają na ciebie w pirsie piątym – powiedziała jedna ze strażniczek, wskazując właściwy ruchomy chodnik.

– Dzięki.

Harahap kiwnął jej głową i wszedł na pas, który poniósł go przez klimatyzowane wnętrze terminalu, ozdobione rzeźbami i malowidłami na marmurowych ścianach. Część z tych dzieł wymagała przeróbki, jak na przykład wielki obraz przedstawiający zgasłą niedawno Jacqueline McCready w otoczeniu promiennie uśmiechających się uczniów, ale sam terminal nie został nawet uszkodzony.

Północny terminal był w znacznie gorszym stanie i wymagał praktycznie odbudowy. Tam właśnie bronili się do końca Tillman O’Sullivan i Anderson Bligh. Zapewne dlatego, że port kosmiczny dawał im jedyną szansę na wydostanie się z planety. Tyle że nie zdołali się dostać nawet na stację kosmiczną, gdyż jej obsługa także przeszła na stronę ruchu. Okopali się więc na Tobolńskim w nadziei na pomoc ze strony korporacji albo Biura Bezpieczeństwa Granicznego.

Mieli jednak pecha i żadna pomoc nie nadeszła. Bligh trafił do aresztu, O’Sullivan do kostnicy. Harahap prawie gotów był uwierzyć, że dowódca sił bezpieczeństwa zginął w walce, chociaż zapewne nie brał w niej udziału całkiem dobrowolnie. Ale nie zamierzał z tego powodu zalewać się łzami.

Chodnik kończył się przed pirssem numer pięć, gdzie czekał już Indiana, który pomachał mu ręką.

– No i gdzie ta niespodzianka? – spytał Harahap.

– Uwierz mi, spodoba ci się – odparł Indy. – Chodź. Musisz kogoś poznać.

Poprowadził go w głąb pirsu. Harahap szedł za nim, słuchając sączącej się z głośników dyskretniej muzyki. Na płycie stało kilka ciężkich transportowców i drugie tyle wahadłowców, które chwilowo nie miały żadnego zajęcia. Przypomniawszy sobie, że musi jak najszybciej ulotnić się z planety. Oczywiście w poszukiwaniu „pomocy”. Naprawdę lepiej nie czekać, aż zjawią się solarni.

Wszedł za Indym do jednego z salonów dla VIP-ów i nagle poczuł, że ktoś gmera mu przy pasie. Zrobił to tak szybko i sprawnie, że z zaskoczenia nie zdołał zareagować. Naprawdę niczego takiego nie oczekiwał. Odwrócił głowę i ujrzał Indianę, który cofał się z jego pulserem wyjętym z kabury przy pasie.

– Jak powiedziałem – rzucił młodzieniec tonem, jakiego Harahap jeszcze u niego nie słyszał – spodoba ci się, panie Firebrand.

Harahap próbował coś z tego zrozumieć, ale bez powodzenia. Potem zamarł na widok niewysokiego i ciemnoskórego mężczyzny, który wszedł do salonu bocznymi drzwiami. Za nim kroczyło dwóch znacznie roślejszych gości w czarnych kurtkach i zielonych spodniach. Mieli broń na pociski rozpryskowe i trzymali ją w sposób świadczący o tym, że wiedzą, co można nią zrobić. Ale nie oni byli najważniejsi, tylko ten niski mężczyzna w czarno-złotym mundurze z czterema złotymi paskami na mankietach i złotym globem na kołnierzu. Na prawym ramieniu nosił naszywkę przedstawiającą złocistą sylwetkę uskrzydłonej bestii na czerwonym pięciobocznym polu.

– Dzień dobry, panie Firebrand – powiedział. – Długo czekałem, aby pana spotkać. Nazywam się Jacob Zavala. – Uśmiechnął się lekko. – I rozumiem, że pan także w pewnym sensie reprezentuje Gwiazdne Imperium Manticore...

ROZDZIAŁ LXV



No proszę – mruknęła Gloria Michelle Samantha Evelyn Henke. – Chyba mamy sezon na miłe niespodzianki.

Hrabina Gold Peak kołysała się na swoim ulubionym krześle, stopy odziane w purpurowe kapcie w kształcie treecatów złożywszy na blacie biurka. Przeglądała otrzymany właśnie raport Craiga Culbertsona. Pochodził sprzed prawie czterech tygodni, ale i tak okazał się ciekawy.

Milion więcej w oddziałach naziemnych? – pomyślała. Wiedziała, że to dobry pomysł, gdy z Augustusem zleciliśmy połączenie sił Quadrantu w jednolitą formację. Nigdy jednak nie myślałam, że wyjdzie ich aż tyle! A kiedy zaleciliśmy organizację Gwardii Quadrantu, nigdy nie sądziłam, że przekształcą się w pełni wyposażone wojsko!

Zastanowiła się nad tym chwilę i prychnęła z cicha.

W Quadrancie jest dobrze ponad dziesięć w miarę rozwiniętych planet, przypomniała sobie. Każda zamieszkała średnio przez dwa i pół miliarda ludzi. Nawet jeśli tylko dziesięć procent z nich jest zdolnych do służby wojskowej, to daje ponad trzy miliardy. Więc ten milion to nawet nic dziwnego.

Wyliczenie było prawdziwe, ale przyłapała się na czymś jeszcze. Dotąd skłonna była postrzegać Quadrant jako coś, czego należy bronić. Myślała o swojej odpowiedzialności za życie i zdrowie jego mieszkańców oraz o wrogach, którzy mogli im zagrozić. Nie docierało do niej, że Quadrant to coś więcej. Co ma własny, istotny potencjał. Podane przez Culbertsona liczby jasno świadczyły o tym, jak bardzo Quadrant Talbott zwiększył populację Gwiazdowego Imperium Manticore i jego potencjał militarny.

Oczywiście przypominało to również o tym, że liczba ludności i potęga przemysłowa Ligi Solarnej dalece przewyższała połączone siły Wielkiego Sojuszu. Niemniej te dane miała już dawno wykute na pamięć.

Upiła kawy z trzymanej w prawej dłoni filiżanki. Lewa dłoń była zajęta powolnym i rytmicznym głaskaniem futrzastego brzucha ogromnego maine coona, który rozłożył się na jej kolanach. A także na udach i łydkach. W zasadzie można było powiedzieć, że leżała okryta kotem, który na dodatek mrucał głęboko w całkiem inny sposób, niż zwykły to robić treecaty. Z pewną rezygnacją uśmiechnęła się do zwierza i wróciła do lektury.

Zgranie w czasie miało jej zdaniem ironiczny wymiar.

Minęły zaledwie trzy tygodnie, odkąd układ Meyers był uprzejmy się poddać, dając tym samym świadectwo niezwykłej jak na solarnych mądrości. Obyło się bez jednego strzału. Pomimo niechęci do obywateli Ligi Solarnej Michelle Henke była naprawdę szczęśliwa, gdy nie musiała zabijać.

Pozostałe układy sektora Madras wzięły przykład ze stołecznego świata i poddawały się, gdy tylko krążowniki czy niszczyciele pojawiały się na ich orbitach. W ciągu niecałego miesiąca opanowała cały sektor. I to był pierwszy raz, kiedy Liga Solarna straciła cokolwiek na rzecz innego mocarstwa. Niemniej ten sukces zrodził pewne problemy.

Tutaj, w układzie Meyers, rząd króla Lawrence'a dążył do zaprowadzenia porządku i niezależnej monarchii konstytucyjnej. Dla Michelle było to coś z oczywistych powodów znajomego i przyjaznego, a ponadto Lawrence był chyba najlepszą alternatywą dla Meyersa.

W pozostałych układach sektora sytuacja nie była tak jasna. Przy braku ich własnych tradycji samoorganizowania się i bez wsparcia Ministerstwa Spraw Zagranicznych Michelle niewiele mogła zrobić. Nadal też brakowało jej Amandine Corvisart. Sama nie czuła się kompetentna w rozwiązywaniu problemów wewnętrznych. Ograniczyła się więc do podjęcia decyzji o złomowaniu garstki starych okrętów i wzmocnieniu obrony układowej, po czym przekazała lokalnym administracjom, że z czasem Gwiezdne Imperium na serio się nimi zainteresuje. Miała nadzieję, że wezmą jej słowa poważnie i powstrzymają się od działań, do których jej rząd mógłby mieć zastrzeżenia.

Liczyła też, że takie postawienie sprawy spowoduje stosunkowo najmniej szkód, jej samej zaś rozwiąże ręce i pozwoli wyruszyć czym prędzej w kierunku Mesy. Po prawdzie zgodnie z planem powinna to zrobić przed upływem dwunastu godzin od tej właśnie chwili.

Tyle że każdy plan ulega modyfikacjom.

Nie wątpiła, że całkiem sporo osób na Manticore może być przerażonych jej pomysłem rozszerzenia obecnej wojny z Ligą Solarną, jednak jej zdaniem przesadna ostrożność mogła zemścić się o wiele perfidniej niż zbytnia śmiałość. W przeciwieństwie do olbrzymiej Ligi Sojusz nie mógł sobie pozwolić na unikanie ryzyka. Poza tym Mesa nie była członkiem Ligi Solarnej. Trudno powiedzieć, czy Równanie miało na tyle dobre układy z Mandarynami, aby skłonić flotę solarną do obrony Mesy. Nie przypuszczała, aby do tego doszło, ale trudno było też to wykluczyć, dlatego wysłała królowej Elżbiecie osobiście nagrany wiadomość. Nie tylko

poinformowała kuzynkę o swoich zamiarach i powodach decyzji, ale dała jej także szansę odcięcia się od jej działań, gdyby zaszła taka potrzeba.

Zaiste bardzo szlachetnie z mojej strony, pomyślała z krzywym uśmiechem. Mam nadzieję, że Beth doceni ten gest. Niemniej to trochę zmienia.

Jednym z aspektów ataku na Mesę, który najbardziej ją niepokoił, był dramatyczny brak oddziałów marines. Wywiad nie posiadał wielu informacji na temat floty Marynarki Wojennej Mesy, ale z grubsza wiedziała, czemu będzie musiała stawić czoło, i była pewna, że dysponuje wystarczającą przewagą. Ale sytuacja na planecie była zupełnie inna. Nie wątpiła, że marines zdołają opanować całą orbitalną infrastrukturę Mesy (zakładając, że coś ocaleje), jednak ponad dwie trzecie mieszkańców to byli ludzie utrzymywani w stanie niemal niewolniczym. Oznaczało to, że pozostała jedna trzecia musiała być w dużej mierze zmilitaryzowana. Z pewnością wskazywało to przede wszystkim na rozbudowanie sił policyjnych i organizacji paramilitarnych, wspieranych z konieczności przez armię o sporym potencjale bojowym. Dziesiąta Flota nie miała po prostu dość marines na walkę z taką siłą i tym samym pełne zwycięstwo, gdyby planeta stawiała opór. Teoretycznie dałoby się wówczas zastosować broń kinetyczną, jednak należało liczyć się z tym, że głowice trafią nie tylko cele militarne.

Oznaczałoby to zapewne zamordowanie milionów bezbronnych niewolników. Czyli coś zasadniczo mocno przeciwnego do wyzwolenia ich.

Ale gdyby miała do dyspozycji milion żołnierzy oddziałów naziemnych, to byłaby całkiem inna historia.

Dopiła kawę i poklepała kota, który zrobił sobie z niej hamak.

– Hej, tam! Pora wstawać. Ktoś musi wrócić do pracy.

Dicey otworzył oczy. Ponieważ seans masowania brzucha wymagał leżenia na grzbiecie, gdy na nią spojrział z tej pozycji, wyglądało to dość komicznie. Trochę jakby patrzył zezem.

– Słyszałeś, potworze – powiedziała głośniejszym głosem, trącając go przy tym mocniej.

W odpowiedzi przeciągnął się, dokonując rzeczy w zasadzie niemożliwej: przez chwilę kot, który mierzył od nosa do końca ogona dokładnie metr i szesnaście centymetrów, wydawał się dwa razy dłuższy. Potem przewrócił się na bok i z głuchym łomotem wylądował na podłodze.

– Dzięki – powiedziała. – Poszukaj teraz Chrisa! Technicznie rzecz biorąc, jesteś jego kotem, niech więc i on się trochę postara.

Mrugnął do niej, potem ziewnął, odwrócił się i godnie odmaszerował. Spojrzała za nim z

uśmiechem, po czym ustawiła krzesło pionowo i przysunęła się do biurka.

W porządku. Podane przez Khumala i Krietzmana liczby robiły wrażenie i nawet jeśli te oddziały były wyposażone tylko w solarny sprzęt, stanowiły naprawdę potężną siłę. Przy wsparciu ogniowym ze strony jej zespołu wystarczyłoby z naddatkiem do poradzenia sobie ze wszystkimi siłami zbrojnymi, jakimi mogła dysponować Mesa. Niestety najpierw trzeba znaleźć transport dla takiej masy wojska. Z dołączonej do raportu Khumala analizy Loretty Shoupe wynikało, że byłoby to wykonalne. A dowiedziawszy się o planie ataku na Mesę, Admiralicja udzieliłaby najpewniej daleko idącej pomocy. Tyle że spowodowałyby to spore opóźnienie. Khumalo, który nie wiedział rzecz jasna o jej planach ataku na Meyers, zamierzał wysłać te oddziały na Montanę, znajdującą się niemal dwieście dziewiętnaście lat świetlnych od miejsca, gdzie obecnie przebywała Gold Peak.

Zaczęła wprowadzać dane na swoim terminalu. Najpierw musiała przysiąc z Cynthią Lecter, swoim szefem sztabu, a także z Dominicą Adenauer, oficerem operacyjnym, i przyjrzeć się raz jeszcze pierwotnym planom. Po drugie, musiała skierować przynajmniej część oddziałów Gwardii Quadrantu, które trafiły do sektora Madras, do wsparcia niszczycieli, kutrów i platform artyleryjskich, przeznaczonych do ochrony miejscowych światów przed solarnymi zakusami. Był to też sposób na przypomnienie lokalnym rządcom, że teraz mają działać w ramach nowych struktur. Po trzecie, dobrze byłoby przytrzymać te nowe siły na Montanie, zboczyć nieco z kursu na Mesę, zabrać oddziały z Montany i dopiero wtedy ruszyć w dalszą drogę. Po czwarte, naprawdę powinna...

Wzięła się do notowania wszystkiego, o czym powinna pamiętać, marszcząc czoło za każdym razem, gdy coś nowego przychodziło jej do głowy.



– Wiesz, akurat wczoraj pomyślałam, że dla odmiany mamy prawo także do jakichś miłych niespodzianek – powiedziała ironicznie Gold Peak. Stała na mostku flagowym HMS *Artemis* i spoglądała na szczegółową trójwymiarową mapę obejmującą wszystko w promieniu dwustu pięćdziesięciu lat świetlnych. Obok miała kapitan Lecter, komandor Adenauer i Veronicę Armstrong, kasztanowowłosą kapitan flagową *Artemis*. – Muszę przyznać, że niektóre niespodzianki są bardziej zaskakujące niż inne.

– Trochę to redundantne, ma'am – zauważyła Lecter.

– „Trochę” jest chyba nie na miejscu – rzuciła Michelle Henke pod adresem jasnowłosej

szeffowej sztabu. – Redundancja albo występuje, albo nie.

– Trwam na swoim stanowisku – odparła Lecter z szacunkiem.

– Wiesz, co to hiperbola, czyli przerysowanie dla lepszego efektu? – Gold Peak pokręciła głową. – I nie mów mi, że ogólnie się ze mną nie zgadzasz!

– Och, myślę, że to akurat jest oczywiste, ma'am. – Lecter spojrzała na boczny wyświetlacz i też pokręciła głową. Widoczna tam lista porażała tonażem, ale dla kogoś z Manticore równie ciekawe były nazwy wymienionych jednostek.

– Dla mnie to też wielkie zaskoczenie, ma'am – powiedziała Armstrong. – Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie już to, że pomogli nam w obronie Manticore. Nigdy nie oczekiwałam, że ujrzymy ich flotę w takiej roli.

Gold Peak powoli skinęła głową. Myślami była chwilowo gdzie indziej i zastanawiała się, jak mogłoby to zmienić jej plany związane z Mesą.

Tak czy owak, byłaby to zmiana na lepsze, pomyślała. I jeszcze Lester Tourville. To może być... ciekawe. Z raportów wynika, że możesz mieć z nim sporo wspólnego. Reszta wszechświata powinna chyba zacząć się bać!

– W porządku – powiedziała głośno, odwracając się od ekranu i wsuwając dłonie w kieszenie kurtki. Może nie było to eleganckie, w każdym razie tak twierdziła zawsze jej mama, ale tak lepiej się jej myślało. Zaczęła chodzić wolnym krokiem wokół projektora. – Tourville przekazał, że admirał Khumalo i gubernator Medusa będą w stanie znaleźć transportowce dla co najmniej trzech czwartych dostępnych oddziałów naziemnych. Na razie planują wysłać je na Montanę, ale to się może zmienić.

Przystanąła i spojrzała na pozostałych. Lecter skinęła głową. Ich kierowana bezpośrednio na Spindle wiadomość o zdobyciu Meyersa i prośba o dodatkowe wsparcie naziemne została wysłana trzy i pół tygodnia temu. Do tej chwili przebyła jakieś siedemdziesiąt procent drogi.

– Chociaż może i nie. – Ruszyła dalej. – Z tej samej wiadomości dowiedzą się, że planuję uderzyć na Mesę, i zrozumieją, że potrzebuję wszystkich sił naziemnych, jakie uda mi się pozyskać. Poza tym dowiedzą się, że Tourville skierował się bezpośrednio na Montanę i że musi zostać tam, dopóki nie poinformuje mnie o swoim przybyciu i nie usłyszy, gdzie najbardziej może mi być potrzebny. Admirał Khumalo jest na tyle rozgarnięty, aby wiedzieć, że z logistycznego punktu widzenia Montana nadal jest najlepszym miejscem na koncentrację sił, i dlatego wysłał swoje transporty właśnie tam.

Znowu przystanęła i tym razem wszyscy jej podwładni skinęli głowami.

Zabawne, pomyślała. Honor zawsze żartowała z swojego męskiego „haremu” na mostku, a tu proszę. Całe grono i ani jednego mężczyzny. Ach, to były czasy!

– W porządku – powiedziała ponownie. – Ile jednostek kurierskich nam zostało?

– Wliczając tę, która właśnie przyniosła wiadomość od admirała Tourville’a, jedenaście – odparła Adenauer.

Michelle skrzywiła się lekko. Każdy admirał, który by uważał, że ma dość jednostek kurierskich, powinien zostać ubrany w kaftan bezpieczeństwa, zanim zrobi komuś krzywdę. Ale jedenaście to i tak było znacznie więcej, niż zdarzało się różnym flotom w historii Manticore.

– Jedna pójdzie na Spindle – powiedziała. – Ale dopiero wtedy, gdy uwiniemy się z Tourville’em.

Adenauer kiwnęła głową i Gold Peak spojrzała na Lecter.

– Nie chodzi o zwiększenie naszej siły ognia, Cynthio – wyjaśniła. – Już teraz dysponujemy mocą, której Mesa nie zdoła się przeciwstawić. Niemniej jego obecność powinna uświadomić solarnym, że Manticore nie jest samo w tej pozornie szalonej walce. Sądzę też, że będzie to dobitny argument przemawiający za tym, jak poważnie to traktujemy. To samo powinno znaczyć dla Równania, chociaż wymierzone będzie akurat raczej w Mesę.

– Ma’am, moim zdaniem sam fakt, że zespoły Manticore i Haven wspólnie zaatakują suwerenne państwo popierające genetyczne niewolnictwo i najróżniejsze spiski, winien być dobitnym sygnałem dla każdego, kto zechce zwrócić nań uwagę – odparła Lecter.

– I to jest sporo warte. – Gold Peak uśmiechnęła się zimno. – Kto wie, może trzeba czasem zrobić coś oczywistego, żeby solarni zwrócili na to uwagę.

Jej podwładne się zaśmiały, a Michelle wznowiła swój marsz.

– Potrzebuję nowego planu operacyjnego, Dominico. Przy założeniu, że admirał Khumalo zrealizuje swoje cele i wyśle, powiedzmy, dwie trzecie wspomnianych sił na Montanę. Przyjmij też, że zmieści się w proponowanym harmonogramie.

Adenauer skinęła głową i zanotowała polecenie.

– Powiemy Tourville’owi, aby poczekał na te siły na Montanie. Po ich przybyciu zabierze je i spotka się z nami gdzieś po drodze na Mesę. Pogadaj ze Sterlingem Casterlinem i wybierzcie jakiegoś ładnego samotnego czerwonego karła, tak w promieniu dziesięciu lub dwunastu lat świetlnych od Mesy. Posłuży za punkt orientacyjny. Dobrze, żebyśmy mogli zgrać tam nasze

zespoły i może przeprowadzić kilka krótkich ćwiczeń, zanim ruszymy dalej.

Adenauer skinęła głową.

– Jeśli chodzi o zgranie w czasie, przyjmij, że opuścimy Meyers do połowy przyszłego miesiąca. Powiedzmy, że piętnastego września, chociaż jeśli nastąpi to dzień czy dwa wcześniej, to też dobrze.

– Tak, ma'am.

– A jeśli chodzi o ciebie, Cynthio – kontynuowała Gold Peak – chyba muszę porozmawiać z premierem Montviewem. Będziemy tu dłużej, niż się spodziewałam, więc myślę, że moglibyśmy pomóc uwiarygodnić status króla Lawrence'a. Na przykład gdyby premier „spontanicznie” poprosił mnie o wygłoszenie mowy do parlamentu. Lub zorganizował mi kilka konferencji prasowych. – Skrzywiła się, ale wiedziała, że to ważne. Wystąpiłaby nie tylko jako miejscowy głównodowodzący sił Manticore, ale także jako pierwsza kuzynka imperatorki, piąta osoba w kolejce do tronu. Jej przesłanie miałoby trochę większy ciężar gatunkowy. – Nienawidzę takich imprez, ale skoro możemy zrobić coś, aby wzmocnić jego pozycję, należy to uczynić.

– Tak, ma'am. Zajmiemy się tym z Gwenem.

– Dobrze! Gdy ty będziesz się tym zajmować, a Dominica siądzie nad nowym planem, Vicki i ja zatrudnimy jeden z naszych symulatorów i spróbujemy zobaczyć, jakie perspektywy stworzy nam to połączenie sił. – Wyjęła rękę z kieszeni i wskazała na listę okrętów. Potem ponownie je tam wsunęła i uśmiechnęła się krzywo. – Naprawdę chciałabym zobaczyć minę Kolokoltsova, gdy usłyszy, że Manticore i Haven razem uderzyły na jednego z ich najhojniejszych korporacyjnych sponsorów. Wiem, że tego nie zobaczę, ale widok twarzy prezydenta Warda, gdy przedstawię mu żądanie kapitulacji w imieniu dwóch międzygwiazdnych państw, też będzie wiele wart. I czekam niecierpliwie na tę chwilę.

ROZDZIAŁ LXVI



To się źle skończy, Tomaszu – powiedział chłodno siwowłosy mężczyzna widoczny na ekranie.

Hieronim Mazur był bardzo przystojny i zazwyczaj mocno opalony. Zamiłowany żeglarz chętnie spędzał każdą wolną chwilę na wodzie. Teraz jego opalenizna była nieco mniej intensywna, ponieważ przez ostatni miesiąc tkwił poza planetą, trzymając się z dala od Krucjaty Wolności Myśli. To było mądre, pomyślał Tomasz Szponder. Z wielu powodów.

Również dlatego, że najwyraźniej dobrze na tym wychodził.

– Miesiąc temu otrzymałem wiadomość – kontynuował Mazur. – Komisarz Radisson informuje, że Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i Flota Pogranicza są gotowe wesprzeć przywrócenie prawowitego rządu. Kiedy to zrobią, los tych wszystkich biedaków, o których podobno tak się troszczysz, będzie jeszcze gorszy. – Uśmiechnął się lodowato. – Naprawdę myślę, że lepiej będzie, jeśli uwolnisz Krzywicką i resztę i dogadasz się z nami, zanim solarni się tu zjawią. Biorąc pod uwagę, jak długo się znamy i jak blisko były nasze rodziny, dam ci dziewięćdziesiąt dni, żebyś zlikwidował swoje inwestycje na Włocławku, po czym wykopię cię z mojego układu na zawsze.

– Ciekawy dobór zaimków, Hieronimie. – Szponder tak samo zionął chłodem. – Twój układ. Doceniam hojność, ale wystarczy drani w naszym ruchu. Raz został już sprzedany i nie zamierzamy powtarzać tego scenariusza.

– Sądzę, że twoi oddani zwolennicy zmieniają zdanie, gdy zjawią się bataliony interwencyjne i marines. I ostrzegam cię, że jeśli naprawdę dojdzie do walk, zginie masa ludzi. Wtedy stąd nie odleczysz. Staniesz przed sądem pod zarzutem zbrodni.

– I oczywiście będzie to sprawiedliwy proces. – Szponder parsknął pogardliwie. – Nie mów mi, że przejmujesz się ofiarami. Martwi cię tylko, że może dojść do zniszczenia majątku SEOM. Zaufaj mi, nie będzie lekko. Ci „biedacy”, którymi tak się martwię, mają po dziurki w nosie tej waszej oligarchii i rządzących się aparaczyków. Wątpię, czy oddadzą broń nawet wtedy, gdy ich o to poproszę. Nie będzie kapitulacji. Twoi solarni zapłacą cholernie wysoką cenę, aby ich pokonać.

– W takim razie chyba nie ma sensu kontynuować tej rozmowy, prawda? – warknął Mazur. –

Moja oferta pozostanie aktualna do chwili przybycia Floty Pogranicza. A potem... Sam wiesz, jak działa Biuro Bezpieczeństwa Granicznego. Gdy zabraknie legalnego rządu, zainstalują swój, marionetkowy. Potem wycisną stąd tyle forsy, ile się da. I tak będzie przez następne stulecie. Wierz mi, twoi przyjaciele tylko na tym stracą. – Raz jeszcze spojrział z pogardą w obiektyw i przerwał połączenie.

Głupia sprawa, ale on ma rację, pomyślał Szponder. Niech go diabli.

Gdyby tylko Mazur i Tymoteusz Miternowski dotarli na obchody Dnia Przewodniczącego! Gdyby udało się go wtedy aresztować, reszta oligarchów szybko poszłaby w rozsypkę. Owszem, mogliby się pozbierać i wezwać solarnych na pomoc, ale zabrałoby im to sporo czasu. No i bez Mazura i Krzywickiej nie mogliby twierdzić, że reprezentują prawowity rząd. Zwłaszcza że dzięki staraniom jego, Grażyny i Izabeli Ziomkowskiej Szymon Ziomkowski zgodził się wesprzeć nie tylko sam przewrót, ale i propozycję uchwalenia nowej konstytucji. Takiej, która zabraniałaby zawłaszczania wszystkich funkcji publicznych przez członków partii. W swoim czasie to właśnie otworzyło nomenklaturze drogę do władzy autorytarnej.

Niestety, mimo że uzyskali kontrolę nad stolicą i oficjalnymi organami rządu, Krzywicka zdecydowanie odmówiła współpracy. Mazur zaś miał pod ręką Miternowskiego mogącego odgrywać rolę jedyne go przedstawiciela legalnego rządu, który nie znalazł się w rękach „powstańców”. Należało oczekiwać, że wielce etyczne Biuro Bezpieczeństwa Granicznego uzna go za jedyne go oficjela, który nie „działa pod presją”, i w ogóle nie zwróci uwagi, że Ziomkowski i Izba Deputowanych, czyli cały *oficjalny* rząd, gdyż Ruch Odrodzenia Narodowego nigdy nie mieszał się do władzy bezpośrednio, nie życzą sobie żadnej interwencji. Było oczywiste, że jak tylko Biuro Bezpieczeństwa Granicznego posprząta po przewrocie, zaraz zorganizuje nad wyraz wolne i otwarte wybory, aby utworzyć całkiem nowy rząd.

Szponder zacisnął zęby. Co wówczas stanie się ze wszystkimi, którzy go poparli? Flota Manticore spóźniła się już dwa tygodnie. Tylko jego najbliżsi doradcy znali plan uzgodniony z Mwenge. Podobnie jak Szponder, też wciąż mieli nadzieję, że Royal Manticoran Navy jednak przybędzie.

I podobnie jak on zaczęli dopuszczać do siebie myśl, że tak się jednak nie stanie. I że RMN nigdy nie zamierzała skierować się w tę stronę... a Tomasz Szponder przegrał ostatnią szansę na lepsze życie dla Włocławka. Że po prostu dał się wykorzystać w grze między Manticore a Ligą Solarną.

Jeszcze tydzień, pomyślał ponuro. Daję im tydzień. A potem...

Pokręcił głową i przetarł piekące oczy.



Pinasa opadła miękko na płytę lądowiska. Gdy włącz zaczął się uchylać, Helen ledwie mogła ustać za komodorem Terekhovem i komandorem Pope'em, chociaż nie podstawiono jeszcze rampy. Nie przejmowała się przy tym tradycją, że przy opuszczaniu małych jednostek marynarki wojennej zwykle obowiązywała kolejność od najstarszych stopniem.

Dla niej to nie był zwyczajny dzień.

Terekhov zerknął przez ramię, po czym uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Cierpliwości, Helen. Nigdzie nie ucieknie.

– Nie wiem, o co chodzi, sir – odrzekła z rumieńcem na twarzy.

– Może jest gdzieś w trzewiach maszynowni jakiś ciura pokładowy, który nie wie – zauważył Terekhov z błyskiem w oku. – Ale ty wiesz na pewno. Bo chyba nie powiesz mi, że istnieje jeszcze jakiś powód, do które tak pilno ci na dół?

– Nieładnie tak podpuszczać młodszych, sir – odpowiedziała, przyznając się do porażki. – I, z całym szacunkiem, ale pan też był czemuś mocno zainteresowany tym przelotem.

– Trafiony – przyznał radośnie. – Niemniej szarża...

– ...ma swoje przywileje – dokończyła za niego. – Tak, sir. Chyba już to kiedyś słyszałam.

– Mogło tak być – zgodził się. – Ale... – Przerwał i zerknął przez otwarty właz. – Widzę, że znaleźli już rampę. Pamiętaj o moich siwych skroniach i nie stratuj mnie, gdy będziesz wysiadać.

Helen doszła do wniosku, że milczenie naprawdę bywa złotem.



– Musisz roztaczać aż tak silne wibracje, Paulo? – spytała z wyrzutem Sinead Terekhov.

Niewiarygodnie przystojny podporucznik spojrział na nią z góry. Nie była niską kobietą, ale on i tak był sześć centymetrów wyższy od niej. I w tej chwili wyglądał na znacznie mniej niż metrykalne dwadzieścia pięć lat.

– A roztaczam? – zapytał z uśmiechem.

– Owszem – odparła. – Inna sprawa, że to urocze. Takie młodzieńcze. I na pewno nikomu nie przeszkadza.

– Aha. – Skrzywił się, ale zaraz położyła mu dłoń na ramieniu.

– Tylko się drażnię. Sama nie mogę się doczekać Aivarsa. Ale mocno kibicuję tobie i Helen.

– Nie wiem, jak nam wyjdzie – stwierdził jak ktoś, kto chce być maksymalnie szczery z samym sobą i z bliskimi. – To znaczy, wiem, czego chcę, ale nie widzieliśmy się ponad dziewięć miesięcy. I nie wiem...

– Wiem, czego nie wiesz – przerwała mu. – Po prostu zobaczymy. Oboje służycie w marynarce wojennej. Długie rozstania, powolna łączność, wymogi służby i kariery. – Pokręciła głową. – Oficer nie ma łatwo w życiu osobistym, ale tak się składa, że oboje to znacie. No i jesteście młodzi. Będzie, co będzie, dacie sobie radę. Jakkolwiek wyjdzie.

– Mam nadzieję – powiedział i uśmiechnął się nieśmiało.

Podczas przejścia *Charlesa Warda* z *Manticore* do *Spindle* Sinead Terekhov zdobyła zaufanie Paula d'Arezzo. Już wcześniej wiedziała, jak ważną osobą stał się dla Helen, która praktycznie należała do rodziny, teraz zaś usłyszała od niego rzeczy, których zapewne nigdy nikomu nie mówił. Może poza Helen. Wiedziała, dlaczego tak się denerwuje.

– Dacie radę... – Urwała, gdy do salonu wkroczył żwawo wysoki i jasnowłosy komodor *Royal Manticoran Navy*. – Aivars!

Rozpostarła ramiona i po chwili była już w jego uścisku, wszelkie obawy, jak mąż przyjmie jej obecność na *Montanie*, ulotniły się zaś bez śladu.



Helen widziała, jak Sinead wpada w ramiona męża, i cieszyła się ich szczęściem. Ale tak naprawdę jej uwaga kierowała się ku jasnowłosemu młodzieńcowi o szarych oczach, który stał za komodore. Podchodząc bliżej, zawahała się na moment, bo ostatni raz widzieli się ponad dwa kwartały temu, ale gdy ujrzała jego ciepły uśmiech, wątpliwości przeszły jak ręką odjął.

– Cześć, podporuczniku – powiedziała uprzejmie, wyciągając do niego ręce. – Dawno na siebie nie wpadliśmy.

– Staralem się pisać – odparł, ujmując jej dłonie i patrząc w oczy.

– Tak. I to wyróżnia cię pośród męskiego rodu – przyznała.

Stali przez kilka sekund, wciąż trzymając się za ręce, aż Paulo przekrzywił lekko głowę.

– Wiesz, że nie jesteśmy już w tym samym pionie? – zauważył.

– Nie? Naprawdę? – spytała przewrotnie. – A to ma jakieś znaczenie?

– Tak, i to spore – powiedział, a jej oczy rozszerzyły się, gdy puścił jej ręce i po prostu ją objął. – Artykuł sto dziewiętnasty nie był mi przyjacielem – stwierdził lekko stłumionym głosem na moment przed tym, jak ich usta się spotkały.



– Nie wiem, czy się cieszyć, czy wkurzać – powiedział kapitan sir Prescott Tremaine, gdy HMS *Alistair McKeon* przyspieszał w kierunku granicy nadprzestrzennej układu Golem.

– Tak czy inaczej, dopiekliliśmy trochę solarnym – zauważył podporucznik sir Horace Harkness. – I nawet nie musieliśmy ich zabijać. Zawsze to miła odmiana.

– Tak – zgodził się Tremaine.

W układzie Golem trafili jedynie na dwa beznadziejnie wiekowe niszczyciele, wsparte garstką jednostek podświetlnych i dwiema eskadrami myśliwców atmosferycznych. Co więcej, dowodzący tym wszystkim solarny oficer okazał się jednostką wybitnie zrównoważoną.

Użycie grupy operacyjnej 10.2.9 wobec tak skromnych sił byłoby czystym marnotrawstwem. Okazało się, że fatygowali się do tego układu całkiem niepotrzebnie. Pomimo analizy, która sugerowała możliwość jakichś niepokojów, nikt z dołu nie próbował się z nimi kontaktować. Ani z grupą, ani z ludźmi, których pod różnymi pretekstami parę razy wysłali na Golema. Po trzech dniach na orbicie musieli dojść do wniosku, że Równanie nie próbowało tutaj mieszać.

Z jednej strony zdecydowanie był to powód do ulgi. Ale było to też pewne rozczarowanie.

Sir Tremaine powtarzał jednak sobie, że po tak długim obcowaniu z lady Harrington naprawdę ma dość powodów, aby zacząć wreszcie doceniać nudne wachty.

Może i tak. Ale była jeszcze druga strona medalu. Nikt nie był w stanie przewidzieć, co się działo w kolejnych, przeznaczonych do odwiedzenia układach w czasie, gdy oni urządzali sobie wakacje na orbicie Golema.

– Dobra! – Odwrócił się od obrazu malejącej powoli planety. – Pora na jakieś ćwiczenia, Horace! Jeszcze nam się tu wszyscy pośpią. I niech to będzie coś wymagającego!

– Komandor Golbatsi i ja znajdziemy coś ciekawego, sir – odparł jego oficer od walki radioelektronicznej.

– Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. – Tremaine położył dłoń na ramieniu Harknessa. – Sprawdź też, czy kapitan Selleck da radę coś dorzucić. Zawsze ma wredne pomysły.

– Czyli to, co flagowi kapitanowie lubią najbardziej, sir – zgodził się Harkness z szerokim uśmiechem. – Od tego zacznę.

– Dobrze. – Tremaine klepnął go w ramię.

Odsunął się i pozwolił Harknessowi przejść przez mostek flagowy do stanowiska Adama Golbatsiego. Zamienili kilka słów i oficer operacyjny zaśmiał się głośno. Potem wskazał na

swoją konsolę. Harkness usiadł obok niego i obaj zaczęli wprowadzać dane.

Mógł im zaufać, że wymyślą coś stosownego. Potem zamierzał poprosić jeszcze Mary-Lynne Selleck, aby wprowadziła swoje poprawki. W ten sposób będą mogli przeciwżyć układ taktyczny, który po sugestii dowódcy Harkness nazwał „Barykadą”. Zapewne nie była ona szczególnie użyteczna i stanowiła tylko jednorazowy numer, zdecydowanie nie do powtórzenia, ale sądząc po wstępnych doniesieniach na temat losu floty Massima Filarety w układzie Manticore, ten jeden raz mógłby być dla przeciwnika przykrym zaskoczeniem. I to nic, że na symulatorach wyglądało to fatalnie. Trochę ćwiczeń nigdy nie zaszkodzi.

Poza tym musieli spędzić jakoś osiem dni podróży do następnego układu na liście.



Sir Aivars Terekhov opuścił kapsułę pokładową i ruszył za kroczącą zdecydowanie porucznik Marynarki Wojennej Haven. Jej twarz pozostawała nieruchoma, ale z błękitnych oczu wiało chłodem.

Trzymając się aż nazbyt sztywno, doprowadziła go do zamkniętych drzwi. Zerknęła przez ramię i nacisnęła płytkę interkomu.

– Tak? – zapytał jakiś głos.

– Przyszedł komodor Terekhov, sir – odparła.

– Dziękuję ci, Berjouhi – odezwał się ten sam głos i drzwi się otworzyły.

Ciemnoskóra porucznik flagowa odsunęła się na bok i gestem zaprosiła komodora do środka.

Ruszył zdecydowanie przed siebie, ale zatrzymał się jeszcze i obejrzał na swoją przewodniczkę.

– Dziękuję, pani porucznik – powiedział. – Doceniam pani pomoc i... uprzejmość.

W jego głosie z pewnością zabrakło ciepła, ale mróz w oczach pani porucznik chyba trochę zelżał.

– Nie ma za co, sir. To dla mnie zaszczyt – odparła.

Skinął jej głową i wszedł do środka.

Pomieszczenie było mniejsze niż zwykła kabina dzienna oficera flagowego na superdreadnoughcie Manticore. Było też prosto, ale komfortowo urządzone. Nie panowała tu jednak domowa atmosfera, która pojawia się, gdy oficer korzysta z kabiny przez dłuższy czas. Terekhov doświadczył tego już wcześniej, po zniszczeniu HMS *Defiant*.

Wspomnienie nie było przyjemne, ale zacisnął usta i podszedł do czekającego nań oficera,

który wyciągnął do niego dłoń. Przez chwilę Terekhov czuł ogromną pokusę, by zignorować jego gest.

Aż do teraz nie wiedział, jak głębokie rany zostawił w nim Hiacinth. Poczul je dopiero w chwili, gdy wróciwszy do Montany, usłyszał, kto jest nowym dowódcą sił układu. No i wszystko wróciło. Cała złość i zła krew.

Sam poczuł się zaskoczony własnymi emocjami. Już od dziesięciu miesięcy wiedział, że Republika Haven stała się sojusznikiem Gwiezdnego Imperium Manticore. Przyjął to z mieszanymi uczuciami. Wiedział, jak rozpaczliwie Manticore potrzebowało wsparcia, ale coś w nim krzyczało, że przecież nie może to być wsparcie ze strony Haven! Ostatecznie świadomość, że w tych okolicznościach nie ma co wybrzydzać, i fakt, że Haven dobrowolnie sprzymierzyło się z Manticore przeciwko przepotężnej Lidze Solarnej, przeważały nad niechęcią.

Tak mu się przynajmniej zdawało.

– Witam, komodorze Terekhov – powiedział mężczyzna, który na niego czekał, gdy już uścisnęli sobie dłonie.

– Witam, admirale Tourville – odparł.

Uścisk dłoni admirała był silny, stanowczy, jego oczy wpatrywały się śmiało w gościa. Siedzący na ramieniu Tourville'a treecat przyjrzał się uważnie Terekhovowi. Przechylił przy tym lekko głowę, nastawił uszy i poruszył lekko końcówką ogona.

– Dziękuję za przybycie. – Tourville wskazał Terekhovowi jeden z foteli. – Wiem, że nie zabawi pan długo na Montanie, i przepraszam, że oderwałem pana od żony, ale pomyślałem, że niezależnie od wszystkich oficjalnych okazji powinniśmy najpierw spotkać się prywatnie.

– Rozumiem. – Terekhov usiadł w fotelu. – Czy jest po temu jakiś szczególny powód?

– Owszem.

Tourville powiedział to całkiem spokojnie, ale Terekhov poczuł pieczenie twarzy. Gospodarz wyczuł jego nastawienie i dał temu wyraz, ale nie odpowiedział tym samym. W pewien sposób była to reprimenda.

Chociaż to nie Tourville mu jej udzielił. On sam poczuł się nieswojo, zauważając kontrast między własnymi emocjami a swobodnie neutralną postawą admirała.

Westchnął głęboko.

– Przepraszam, sir – powiedział. – To mnie chyba trochę przerosło.

– Nie trzeba przepraszać.

Tourville zajął miejsce w fotelu naprzeciwko i treecat przeniósł się z jego ramienia na oparcie. Admirał pogładził palcem wąsy.

– Wiem o pańskich doświadczeniach w układzie Hiacinth... I tych późniejszych też. Wiem, co się stało z pańskimi ludźmi – mówił tym samym spokojnym tonem. – W tych okolicznościach nie mogę obwiniać pana za gniew lub wrogość, nawet nienawiść. I nie czynię tego. Też straciłem wielu ważnych dla mnie ludzi. Tyle że miałem to szczęście, iż przyszło mi walczyć z Gwiezdnym Królestwem Manticore, nie z Ludową Republiką Haven. Wiedziałem, że wszyscy moi ludzie, którzy trafią do niewoli, będą traktowani z najwyższym szacunkiem. I było mi bardzo wstyd, że pańscy ludzie nie mogli w podobnych okolicznościach liczyć na to samo. To, co wycierpieli po Hiacincie, było jeszcze gorsze. Nie było jednak niczym niezwykłym w tamtym czasie i miejscu. I to właśnie jest jeden z powodów, dla których chciałem się z panem spotkać. Pragnę osobiście przeprosić za to, co się stało. Wiem, jak niewiele to znaczy, ale chociaż tyle mogę zrobić.

Terekhov wpatrywał się przez chwilę w rozmówcę, po czym spojrzął na treecata. Przyczajony w Gałęziach był równie spokojny jak Tourville.

– Teraz moja kolej, aby się wstydzić, sir – powiedział. – Za to, że nie potrafię opanować emocji. Wiem, że osobiście nie miał pan nic wspólnego z tym, co służba bezpieczeństwa zrobiła z moimi ludźmi. Wiem, że prawie na pewno nie przyłożył się do tego nikt z pana podwładnych. Ale skłamałbym, twierdząc, że nie zostało we mnie sporo gniewu. Sporo nienawiści. Więcej niż sam przypuszczałem. Bóg wie, że widziałem dość walki. Dość zabijania, aby wiedzieć, że tak czasem bywa, gdy wykonuje się swoje obowiązki. Ale to ciągle tu siedzi. – Potrząsnął głową. – Nadal tam jest, a ja nie wiem, czy kiedykolwiek zniknie.

– Nie powinno – rzekł otwarcie Tourville. – Mam nadzieję, że ból zelżeje z czasem, ale gniew? Nie. – Pokręcił głową. – Nie powinien. Jest pan to winien swoim ludziom, komodorze. Jest pan to winien sobie samemu. A w pewnym sensie także Republice Haven.

Terekhov nie zdołał ukryć zaskoczenia i Tourville zaśmiał się cicho, chociaż bez śladu wesołości, i znowu pokręcił głową.

– Znajdą się u nas tacy, którzy zatęsknią do dawnej chwały. Jeszcze przez wiele lat ci, którzy żyli wygodnie dzięki Ludowej Republice, będą za nią tęsknić. Ci ludzie skłonni są nie pamiętać, jak nasza marynarka dostawała od was w skórę. Zapominają, ilu naszych bliskich, synów i córek, braci i siostr, przy tym zginęło. Myślą tylko o tym, ile układów skorzystało z gwarancji prezydent Pritchart i opuściło Republikę. I boleją nad tym, jak bardzo nas to... osłabiło. Uczyniło

mniejszych. Ci ludzie są niebezpieczni, komodorze Terekhov. Być może nie dadzą o sobie znać teraz, gdy jesteśmy zaangażowani w wojnę przeciwko Lidze Solarnej. Ale kiedyś, gdy nadejdą spokojniejsze czasy, zaczną wychodzić z cienia. Zaczną mówić, że Ludowa Republika nie była taka zła. Korzystając z wolności słowa, będą umniejszać jej zbrodnie i okrucieństwa. I w żaden sposób nie będą się czuli za nie odpowiedzialni. Co gorsza, będzie można ich nawet zrozumieć. Nie usprawiedliwić, tak jak nie można usprawiedliwić tamtych zbrodni, ale zrozumieć. W Republice Haven jest wielu przyzwoitych ludzi, którzy starają się uczynić ojczyznę tym, czym była kiedyś, zanim legislatorzy zmienili ją w Ludową Republikę. Ale to oznacza prawdziwe zmiany. Jeśli pozwolimy, by zatrzymali je ci, którzy uciekają od prawdy, jeśli nie spojrzymy tej prawdzie prosto w oczy, jakkolwiek by była bolesna, nigdy nam się nie uda. Rak nadal będzie nas toczył, a my sprzeniewierzymy się pamięci tych, którzy cierpieli, a na dodatek zdradzimy własne dzieci. Dlatego gniew jest ważny. Dla nich i dla nas samych. Trzeba go pielęgnować. Mam nadzieję, że będzie pan w stanie kierować go tylko przeciwko tym, którzy na to zasłużyli. Ale nie ma co narzekać, że istnieje, że się go czuje.

Terekhov słuchał go z szeroko otwartymi oczami. Przypomniał sobie, co mówiła mu Sinead. Czy też próbowała mu powiedzieć, bo ogarnięty złością nie chciał jej słuchać. Ten jeden jedyny raz jej nie wysłuchał i teraz było mu wstyd również z tego powodu.

– Proszę wybaczyć mi pytanie, sir – odezwał się w końcu. – Ale czy to prawda, że był pan członkiem składu sędziowskiego w Seaburgu?

Tourville zawahał się wyraźnie, zanim odpowiedział:

– Tak. I jak powiedziałem pana żonie, głęboko żałuję, że tyle czasu zajęło nam wyzwalenie tego układu i wielu tych, którzy powinni zostać osądzeni, zdołało uciec.

– Wydaje mi się, że pan i admirał Theisman mieliście wtedy jeszcze inne drobne problemy. Musieliście chyba wygrać wojnę domową. – Terekhov sam nie wiedział, skąd wziął mu się ten lekki ton, ale Tourville uśmiechnął się lekko pod wąsem. – Seaburg nie był strategicznie istotnym układem, więc rozumiem, że obrona bytu państwowego była ważniejsza. Ale gdy już opanowaliście ten układ, nie pozwoliliście karaluchom schować się pod podłogą.

– W każdym razie próbowaliśmy. – Tourville westchnął głęboko. – Muszę przyznać, że procesy nie przebiegały tak, jak admirał Theisman, ja czy też prezydent Pritchard byśmy chcieli. Zbyt wielu oskarżonych powtarzało, że „tylko wykonywali rozkazy”, które rzeczywiście, cholera, były wtedy całkiem legalnymi rozkazami. Wiem, że dziesiątki, nawet setki drani, którzy

to powtarzali, i tak powinny trafić pod mur, ale nie mogliśmy nic zrobić. Gdybyśmy zaczęli wydawać wyroki śmierci bez absolutnie przekonujących dowodów, nie byłibyśmy lepsi niż służby Saint-Justa czy Palmer-Levy. Oznacza to, że dzisiaj żyje w Republice wielu ludzi, którzy są w gruncie rzeczy tak samo winni zbrodni jak ci dranie, których straciliśmy w Seaburgu.

– Triumf dobra i sprawiedliwa kara dla winnych to coś, o czym można jedynie przeczytać w powieściach, admirale – powiedział Terekhov.

– Niestety to prawda. A kiedy próbuje się wyczyścić stajnię w rodzaju Ludowej Republiki Haven, winni pojawiają się w każdym kącie. I pewnie nic w tym dziwnego, że niektórzy dają radę się wymknąć, zanim uda się zrobić porządek. Ale i tak szkoda.

Terekhov skinął głową. Jakie to dziwne. Wszedł do tej kabiny pełen gniewu. I jeszcze żalu i bólu, które wciąż go rozpały. I w sumie nie zjawiał się tu po to, aby jakoś się z nimi uporać, raczej potwierdzić ich prawo do istnienia. Że ma rację, ciągle je podtrzymując. I to nadal w nim było. Nie tylko dlatego, że Tourville miał słuszość. Coś z tego powinno zostać. Jednak w pewien sposób jego gniew się zmienił. Nadal płonął z całą mocą, ale stracił kły zemsty. Nie buchał nienawiścią. Perspektywa służby pod Lesterem Tourville'em, przyjmowanie rozkazów od kogoś, kto tak dobrze walczył dla swojego kraju i zdołał całkowicie zniszczyć Home Fleet, nie wydawała się już wcale straszna. Poczował się wręcz do pewnego pokrewieństwa z tym człowiekiem.

To nie była przyjaźń. Jeszcze nie i nie wiedział, czy kiedykolwiek się zaprzyjaźnią. Niemniej fundamenty gniewu zostały naruszone. Jeszcze kwadrans temu był pewien, całkowicie i nieprzejednanie, że nawet to nie może się zdarzyć. To była wielka różnica. I jeszcze...

Pomyślał o młodej porucznik, która przyprowadziła go do kabiny Tourville'a. Oraz o tym, co słyszał od Sinead. Był pewien, że to nie może być prawda. Nie chciał, żeby to była prawda, podobnie jak odrzucał informacje, że Tourville brał udział w procesach w Seaburgu.

– Chciałbym o coś spytać, sir – usłyszał swój głos. – Ale zanim to zrobię, pragnę uprzedzić, iż naruszę w ten sposób czyjeś zaufanie. Chodzi o osobę trzecią, ale mam nadzieję, że uzna pan moje powody i nie będzie wyciągał żadnych konsekwencji.

Przerwał, wiedząc, że Tourville na pewno domyśli się, o co może chodzić. Oficer Haven przez chwilę siedział nieruchomo, po czym westchnął.

– Dobrze, niech pan pyta, komodorze – powiedział.

– Admirale, chcę panu powiedzieć, że wierzę w każde pańskie słowo, które dziś usłyszałem.

Chciałbym też, aby wiedział pan, że zmieniło to mój stosunek do wielu spraw. Także przez sposób, w jaki pan mi to przekazał. Dlatego chcę spytać jeszcze o jedno. Co naprawdę stało się na mostku flagowym *Count Tilly*, kiedy *Tepes* eksplodował na orbicie Cerberusa?

Tourville zeszywniał, rysy jego twarzy stężały. Przez kilka długich sekund milczał, po czym położył powoli przedramiona na podłokietnikach fotela i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Berjouhi.

– Tak – potwierdził zdecydowanie Terekhov. – Jest panu bardzo oddana. Idąc tutaj, nie mogłem tego nie zauważyć. Poza tym mam różne doświadczenia z własnymi porucznikami flagowymi – dodał z uśmiechem. – Tak, ona powiedziała o tym Sinead, dla której sprawy marynarki są niezwykle ważne. No i która mnie kocha. Dla niej wszyscy z Haven byli jak jeden mąż winni temu, co się stało w Hiacincie, czy raczej potem w Seaburgu. Porucznik Lafontaine dostrzegła to, a nie mogłaby pełnić swojej służby, gdyby nie znała pańskich myśli i odczuć. Tego, co chwilę temu sam mi pan przekazał. I dlatego zdecydowała się naruszyć zakaz. Z dokładnie tych samych powodów, dla których ja teraz o tym mówię.

– Tak naprawdę nigdy nie zakazywałem jej o tym mówić – odparł bardzo cicho Tourville, pierwszy raz w trakcie tego spotkania odwracając się od Terekhova. – Nie sądzę więc, aby można było oskarżać ją o złamanie zakazu. Ale nie chciałem, aby ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Z wielu powodów. Części z nich sam nie jestem pewien. – Tourville spojrzał na Terekhova. – Bo wydawało mi się, że tak będzie właściwie. Oraz ponieważ to sprawa między mną a księżną Harrington. – Potrząsnął głową. – Raniliśmy się nawzajem więcej razy, niż można spamiętać. Nie obwiniam jej o to i ona chyba nie obwinia mnie. Przynajmniej teraz. Ale zaraz po bitwie o Manticore patrzyliśmy na siebie inaczej. Wtedy nie miałem zamiaru mówić jej tego, a gdybym powiedział teraz... Nie wiem, jak by to zabrzmiało. Może chępliwie? Jak próba udowodnienia wyższości moralnej? Poza tym nie ma na to dowodów. Gdyby istniały, służba bezpieczeństwa by o nie zadbała i od dawna bym nie żył! – Zdobył się na uśmiech. – Trzeba uważać z opowieściami o własnej rzekomej odwadze i moralnych postawach. Zwłaszcza gdy nie można tego udowodnić.

– Ale usunął pan te dane, prawda? – spytał Terekhov jeszcze cichszym głosem i z łagodnym wyrazem niebieskich oczu.

– Gdybym ja tego nie zrobił, Shannon Foraker by je usunęła – odparł po chwili admirał. – Nie mogłem jej na to pozwolić. To nie była jej odpowiedzialność, tylko moja. Proszę mnie źle nie

zrozumieć, komodorze Terekhov. Nie zrobiłem tego, bo jestem takim szlachetnym bohaterem. I nawet nie dlatego, że tak po prostu należało zrobić. Rzecz w tym, że było mi wstyd – powiedział zdecydowanym głosem. – Wstydzilem się za mój kraj, za moich przełożonych. I za to, co miało się wydarzyć. I co już się zdarzyło w drodze na Cerberusa. Za wszystko, co przytrafiło się tej szlachetnej i niewinnej kobiecie. I jeszcze to, w jaki sposób Kordelia Ransom zmusiła marynarke wojenną, aby stała się jej narzędziem. Nie byliśmy tacy jak ona. Musieliśmy być lepsi. I raz się to udało.

Siedzący na oparciu fotela treecat drgnął wreszcie i położył delikatnie jedną z przednich dłoni na policzku admirała, po czym spojrział zielonymi oczami na komodora i bardzo powoli skinął głową.

Jednak Terekhov nie potrzebował tego potwierdzenia. Odsunął fotel i stanął przed Tourville'em.

– Nie – powiedział cicho. – Nie tylko ten jeden raz, admirale. Zrobił pan to, ponieważ zawsze byliście lepsi. Wątpię, czy kiedykolwiek uwolnię się od gniewu, który pana zdaniem winien trwać, niemniej w dużej mierze bierze się on zapewne z poczucia winy. Winy ocalałego, ponieważ moi ludzie zginęli, a ja przeżyłem. Zginęli, walcząc pod moimi rozkazami, walcząc o mnie. Bezpieczniej jest mi skupić się na tych, którzy ich zabili, niż na tym, kto nimi dowodził, gdy ginęli w układzie Hiacinth, i kto nawet nie mógł być z nimi w Seaburgu. Ale Sinead miała rację. Niezależnie od tego, czym była Ludowa Republika Haven i jakie podłości popełniano w jej imieniu, istniały w niej także naprawdę niezwykle istoty ludzkie. – Ponownie podał rękę admirałowi, ale teraz z całkiem innym wyrazem twarzy niż na początku spotkania. – I jestem zaszczycony, że mogłem spotkać dzisiaj jedną z nich.

ROZDZIAŁ LXVII



Niech to cholera – mruknęła cicho Paige Thuvaradran, technik z działu czujników. Tego dnia miała służbę na mostku SLNS *Harpist*, przy czym tak się złożyło, że dowódcą wachty był porucznik Franz Stedman, oficer taktyczny i jej bezpośredni przełożony, który bardzo nie lubił, gdy ktoś wyrażał się w nieregulaminowy sposób.

Zaraz obrócił się wraz z fotelem w jej stronę. Minę miał nieszczególną.

– Czy ja naprawdę to słyszałem? – powiedział lodowatym tonem i Thuvaradran szybko wyrzwała zza ekranu.

– Przepraszam, sir.

– Może zechcesz podzielić się z nami tym, co zainspirowało twój komentarz? – zasugerował Stedman.

– Tak, sir. – Thuvaradran odchrząknęła. – Właśnie wykryliśmy ślady wyjścia nadprzestrzennego trzynastu jednostek. Znajdują się dwanaście minut świetlnych od nas, dokładnie na granicy nadprzestrzennej.

– Trzynastu? – Stedman spojrzał na nią w taki sposób, jakby sądził, iż jego kompetentna zwykle podwładna musi się poważnie mylić.

– Tak jest. Przy tej odległości trudno powiedzieć coś więcej, ale wydaje się, że przynajmniej dwa to mogą być krążowniki liniowe.

– Rozumiem – powiedział Stedman. – Daj to na główny ekran.

– Tak jest.

Widoczne w dużej skali ikony obcych jednostek zdawały się tkwić całkiem nieruchomo, zwłaszcza przy niewielkiej prędkości początkowej. Ślad ich wyjścia z nadprzestrzeni dawno się rozproszył, ale sygnatury napędu były wyraźnie widoczne. Ktokolwiek to był, nie zamierzał się ukrywać. To mógł być dobry znak, ale istniała i taka możliwość, całkiem zresztą prawdopodobna, że nie wróżyło to niczego dobrego.

Chyba wyczerpał nam się zapas szczęścia, pomyślał ponuro oficer taktyczny. Jeszcze trzy dni i już by nas tu nie było. Ale nie!

Harpist i niszczyciel *Reaper* zatrzymały się tu tylko w drodze do układu Lucas, gdzie miały pobrać nowe pociski, ponieważ kapitan Astrid Caspari, na stałe przydzielona jako starszy oficer

do układu Kumang, była w akademii na jednym roku z Brettonem Ibañezem, dowódcą *Harpista*. Zespół miał prawie tydzień w zapasie i mógł pozwolić sobie na kilka dni postoju, więc Ibañez postanowił po prostu odwiedzić starą znajomą. A teraz...

Stedman westchnął głęboko i sięgnął do przełącznika na podłokietniku fotela.

– Abbott – rozległo się w jego słuchawkach.

– Sir, chyba będzie lepiej, jak pan tu przyjdzie – powiedział Stedman do pierwszego oficera.



– I co myślisz? – spytał kapitan Aldus O'Brien. Stał wraz z komandor Chiarą Marciano, jego oficerem taktycznym, przed głównym ekranem w centrum informacji bojowej HMS *Trebuchet*.

– Gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że to krążownik. – Wskazała na większą ikonę na orbicie planety. – Zapewne ciężki. Dowiemy się więcej, gdy kamery dronów będą mogły mu się przyjrzeć. A ten drugi to bez wątpienia typ *War Harvest*.

– Myślisz, że mogą jeszcze coś ukrywać? Jakies jednostki w maskowaniu?

– Wątpię, skipper. – Marciano pokręciła głową. – Myślę, że złapaliśmy ich z opuszczonymi spodniami. Założę się o każde pieniądze, że nie mają nawet impellerów w stanie gotowości. Nie mamy śladów... – Przerwała i przycisnęła palec do ucha. Posłuchała chwilę i spojrzała z uśmiechem na kapitana. – Ghost Rider przekazał pierwsze obrazy. Mają zimne węzły.

– Cóż, to nie świadczy o nich najlepiej – mruknął O'Brien.

Zastanawiał się, drapiąc się w brodę. Potem spojrzał ponownie na Marciano.

– Chodźmy z tym na mostek – powiedział.

Skierowali się do kapsuły pokładowej, która przewiozła ich w ciągu niecałej minuty na mostek ciężkiego krążownika typu *Saganami-C*.

– Kapitan na mostku! – zawołał wachtowy, ledwo drzwi się otworzyły.

Wszyscy zerwali się na nogi.

– Działać dalej – powiedział O'Brien, przechodząc pospiesznie do swojego fotela zajętego obecnie przez pierwszego oficera komandora Darrena Boyda, który zaraz ustąpił mu miejsca. – Przejmuję okręt – powiedział.

– Tak, sir. Kapitan przejmuje okręt – potwierdził Boyd.

O'Brien skinął głową i spojrzał na komandor porucznik Yaeko Yoshiharę.

– Przelicz mi kilka rzeczy, Yaeko. Założmy, że ten kolega zauważył nas, kiedy przekroczyliśmy granicę alfa. Ma zimne węzły. Powiedzmy, że to ciężki krążownik typu *Kutuzov*

i jego załoga jest w stanie uruchomić węzły w przewidzianym procedurami czasie. Gdzie go dogonimy i kiedy znajdzie się w zasięgu naszych rakiet?

– Chwila, skipper – odparła astrogatorka. Wprowadziła dane i obejrzała się przez ramię na kapitana. – Zakładając, że ruszy czterdzieści minut po naszym pojawieniu się, będziemy wtedy robić w przybliżeniu 18,7 kilometrów na sekundę i znajdziemy się 11,6 minuty świetlnej od planety. Jeśli będziemy kontynuować pościg z obecnym przyspieszeniem, przechwycenie celu zajmie nam kolejne sto trzydzieści pięć minut. Oczywiście będziemy się poruszać blisko dwa razy szybciej niż on, z prędkością 76,6 kilometra na sekundę w porównaniu z jego 43,8. W zasięg naszych pocisków *Mark 23* wejdzie jakieś dwadzieścia minut wcześniej, uwzględniając różnicę prędkości przy ich odpaleniu. I nadal będzie się znajdował dwadzieścia minut świetlnych od granicy nadprzestrzennej.



Jedna zaleta zimnych węzłów, to że jest czas wrócić na pokład, zanim okręt ruszy, pomyślał ponuro Bretton Ibañez. Inna sprawa, że wcale nie miał pewności, czy warto gdziekolwiek ruszać.

Kojarzył już, że nawet te czterdzieści jeden minut, które potrzebne były maszynowni na rozgrzanie węzłów, nie zrobiłyby żadnej różnicy. Nawet przy pełnej gotowości bojowej i rozwinięciu maksymalnego przyspieszenia zaraz po zauważeniu intruzów *Harpist* nic by nie wskórał. Co najwyżej zdołaliby w ten sposób przedłużyć agonię.

Gdy wreszcie ruszyli, sześć obcych jednostek osiągnęło prędkość zbliżania rzędu 18 000 km/s. Pozostałe siedem rozwijało jedynie 12 000, profile przyspieszenia zaś sugerowały, że jeden z potencjalnych krążowników liniowych to w rzeczywistości frachtowiec. I to była dobra wiadomość. Zła była taka, że chociaż zespół jeszcze się nie przedstawił, musiał należeć do Manticore. Pierwsza szóstka wyciągała ponad 720 g, przy masie okrętów rzędu pół miliona ton. Nikt inny w galaktyce nie umiał tego zrobić. Takie przyspieszenie dawało im przewagę prawie 2 km/s², więc nawet gdy *Harpist* ruszył, przeciwnik i tak był już na lepszej pozycji.

Reszta była tylko kwestią...

– Kapitanie!

Głos należał do porucznika Addisona Fausta, jego oficera łączności. Ibañez poczuł, że coś ścisnęło go w żołądku. Dziwne. Nie sądził, że może czuć się jeszcze gorzej.

– Tak, Addison? Kolejna niespodzianka. Jego głos brzmiał nawet spokojnie.

– Sir, odbieramy transmisję. To od kapitana O'Briena z Royal Manticoran Navy.

– Kto by pomyślał – rzucił sucho Ibañez. – Daj to na mój ekran.

– Tak, sir.

Na ekranie Ibañeza pojawiła się twarz wysokiego i masywnego mężczyzny o piaskowych włosach, przyozdobiona bujnym wąsem. Nieznajomy nosił czarno-złoty mundur Gwiezdnego Imperium Manticore.

– Kapitan Aldus O'Brien z Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Trebuchet* – powiedział chłodnym tonem. – Jestem dowódcą grupy operacyjnej 10.2.8, a moje rozkazy przewidują zniszczenie albo przejęcie wszystkich jednostek Ligi Solarnej w tym układzie planetarnym. Pragnę pana poinformować, że znajdujecie się w zasięgu naszych pocisków.

Ibañez poczuł lodowate ciarki na grzbiecie. Przypuszczał, że musiał również okryć się bladością. Jeśli O'Brien mówił prawdę, jego pociski miały zasięg ponad 36 milionów kilometrów! Owszem, okręt Manticore uzyskał przewagę prędkości rzędu 30 000 km/s, co znacznie zwiększało efektywny zasięg rakiet, ale i tak...!

– Zdaję sobie sprawę, że może pan wątpić, czy naprawdę jesteście w naszym zasięgu. W tej sytuacji...

– Odpalenie pocisku! – oznajmił nagle Stedman. – Jeden pocisk na kursie przechwycenia, przyspieszenie 136 km/s²!

Ibañez spojrział na ekran, gdzie samotna ikona pocisku mknęła w kierunku jego okrętu. Przyspieszała gwałtownie, ale miała blisko 36 milionów kilometrów do przebycia. Impellery *javelina*, najnowszego pocisku SLN, wypalały się trzy minuty po starcie, co przy tej geometrii strzału dawało efektywny zasięg poniżej 8 milionów kilometrów. Nadal mógłby przechwycić krążownik, zakładając, że nie zmieniłby on radykalnie kursu, ale osiągnąłby prędkość nie większą niż 5000 km/s i od dawna szedłby torem balistycznym. W tej sytuacji obrona przed nim byłaby bardzo łatwa. Nie mając możliwości wykonania uniku, sam stałby się łatwym celem i szansa ugodzenia przeciwnika byłaby praktycznie zerowa. Niemniej ten tutaj pocisk na pewno nie byłby solarnej konstrukcji. Ku przerażeniu Ibañeza osiągnął właśnie przyspieszenie 46 000 km/s².

Przyspieszenie *javelina* było w rzeczywistości o siedem procent wyższe, ale ten pocisk bez wysiłku przeszedł próg stu osiemdziesięciu sekund, kiedy to napęd *javelina* przestałby działać. I leciał dalej. Cztery minuty. Pięć minut. Sześć. Siedem...

Kapitan coraz mocniej zaciskał szczęki. Strach ogarnął całą obsadę mostka. W końcu,

dziewięć minut po odpaleniu, ten niesamowity pocisk przemknął obok SLN *Harpist*, wciąż z czynnym napędem i w pełni zdolny do uników i skutecznego ataku, i został zdetonowany nieszkodliwie 150 000 kilometrów przed nimi.

– Ma pan dziesięć minut, aby odwrócić przyspieszenie przy czterystu g i przygotować okręt do poddania – powiedział Aldus O’Brien. – Za jedenaście minut zaczniemy prawdziwy ostrzał.



– Z całą mocą i stanowczością protestuję przeciwko tej jawnej agresji na niewinnych mieszkańców układu Kumang! – powiedział administrator układu Luis Verner. – Wasze spory z Ligą Solarną to nie nasza sprawa i w żaden sposób nie uzasadniają one inwazji na niezależny świat ani prób jego podporządkowania własnym interesom.

– Ciekawe – mruknął Aldus O’Brien, wpatrując się w widocznego na jego ekranie mężczyznę. – Flota Pogranicza jakoś nie ma problemów z podbijaniem niezależnych światów. My jesteśmy zainteresowani jedynie ich wyzwaniem, ale dodam, że jeśli udaje nam się przy okazji zniszczyć jakieś jednostki Marynarki Wojennej Ligi Solarnej, jest to dla nas miłe urozmaicenie. Zwłaszcza jeśli chodzi o okręty Floty Pogranicza, strzegące z zasady interesów międzygwiazdnych korporacji. – Wydał lekko wargi. – Oczywiście jestem tylko niedouczonego prowincjuszem, ale czy mógłby mi pan wyjaśnić, co czyni solarne inwazje prawowitymi działaniami dla dobra ludu, nasze zaś bezprawnymi, imperialistycznymi aktami podboju? Chyba coś się zgubiło w tłumaczeniu.

Trebuchet znajdował się w odległości 6 723 000 kilometrów od Chotěbořu i spowalniał swój lot, podczas gdy należące jeszcze niedawno do SLN przy *Harpist* i *Reaper* trzymały się z tyłu w asyście czterech niszczycieli typu *Roland* i starały się nadażyć za główną formacją. O’Brien musiał odczekać dwadzieścia sekund, zanim znowu ujrzał Venera. Solarny był wściekły i kapitan zastanowił się przelotnie, czy mężczyzna zaraz eksploduje, zapali się jasnym płomieniem czy może stopi jak wosk.

– Nie zamierzam marnować czasu na odpowiadanie na tak absurdalne i wyssane z palca zarzuty. Chociaż z bólem muszę przyznać, że dysponuje pan przewagą siły i może uczynić w tym układzie, co żywnie się panu podoba, muszę też uprzedzić, że mieszkańcy układu Kumang znajdują się pod ochroną Ligi Solarnej. Ostrzegam, że wszelkie wykroczenia przeciwko nim, jakiegokolwiek ataki skierowane przeciwko ludziom albo mieniu, doprowadzą do poważnych reperkusji tak dla pana osobiście, jak i dla Gwiazdowego Imperium Manticore!

– Czuję się ostrzeżony – odparł sardonicznie O'Brien. – Nie mam jednak zamiaru na nikogo napadać w układzie Kumang ani niszczyć tu żadnego mienia. No, chyba że trafię przypadkiem na coś należącego do Ligi Solarnej. Wtedy uznam to za cel o znaczeniu militarnym i chętnie rozniosę na bardzo małe kawałki. – Przerwał na moment, aby przekaz dotarł do gościa. – Za jakieś dwadzieścia trzy minuty wejść na orbitę Chotěbořu. Na pana miejscu zacząłbym się już pakować. Chyba niedługo straci pan posadę – dodał z uśmiechem. – Życzę miłego dnia.



– Panie prezydencie, przyszedł pan Sabatino – powiedziała Květa Tonová, otwierając drzwi gustownie urządzonego biura posiadłości prezydenckiej. Odsunęła się, wpuszczając zdenerwowanego Karla-Heinza Sabatina do przybytku, który kiedyś należał do Jana Cabrnocha.

– Witaj – powiedział Adam Šiml, podchodząc do gościa. – Dziękuję, że zjawiłeś się tak szybko.

– To chyba dzień, kiedy lepiej się spieszyć – odparł Sabatino z wymuszonym uśmiechem, witając się także z wiceprezydentem Vilušínskím.

– Wiem – przytaknął Šiml. – Usiądź, proszę. – Spojrzał na swoją sekretarkę. – Květa, bądź tak miła i przynieś nam kawę. Trochę tu posiedzimy.

– Oczywiście – odpowiedziała i wyszła.

Sabatino opadł na wskazany mu fotel. Šiml i Vilušínský zajęli miejsca po drugiej stronie stolika kawowego.

– Poprosiłem, abyś tu przyszedł, ze względu na to, co się stało z jednostkami Floty Pogranicza obecnymi w naszym układzie – odezwał się po chwili prezydent. – Administrator Verner nie informował mnie ostatnio, jak przebiegają jego rozmowy z przedstawicielami Manticore. Zapewne ma teraz wiele innych spraw na głowie. Oni zaś jeszcze nie komunikowali się ze mną, ale jestem pewien, że niebawem to zrobią. I byłbym zdziwiony, gdyby zezwolili na oficjalną obecność agend Ligi Solarnej w układzie Kumang.

– Frogmore-Wellington i Iwahara Interstellar to podmioty prywatne, niezwiązane w żaden sposób z rządem Ligi – zauważył Sabatino.

– Wybacz – powiedział Šiml – ale obaj wiemy, że to tylko oficjalna, grzeczna wersja, biorąc pod uwagę ich... serdeczne stosunki z Biurem Bezpieczeństwa Granicznego. Nie tylko tutaj, ale także w innych układach. Co więcej, Manticore także dobrze o tym wie. Ale jak wspominałem, nie mam kontaktu z Vernerem i trudno mi orzec, jakie nasi goście mają intencje wobec

Frogmore-Wellington czy Iwahary. I nie o tym chciałem z tobą rozmawiać.

– Nie o tym? – Sabatino spojrział na jednego i drugiego rozmówcę. – To po co mnie zaprosiłeś?

– Aby ci powiedzieć, że to już koniec – odparł Šiml przejętym, niemal współczującym tonem.

– Koniec? – Sabatino zmarszczył brwi. – Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że na powrót przejmujemy nasz układ planetarny – kontynuował Šiml. – Od dzisiaj decyzje mające wpływ na życie mieszkańców Chotěbořu będą ponownie podejmowane przez nich samych. Nie przez Ligę Solarną, Flotę Pogranicza czy... przez ciebie.

Oblicze Sabatina straciło nagle wszelki wyraz.

– Kiedy zaakceptowałem wsparcie finansowe z twojej strony, postrzegałem cię jako jeszcze jednego komara wysysającego życie z naszego świata – ciągnął Šiml. – Na wiele sposobów taki właśnie jesteś. Ale poznałem cię lepiej i widziałem twoją reakcję podczas zamieszek, gdy Cabrnoch rzucił siły bezpieczeństwa przeciwko tłumowi. Wraz z tobą zacząłem pierwsze reformy i zawiesiłem stare ustawy, przywracając wolność polityczną, a ty nie tylko nie protestowałeś, ale wręcz zdawałeś się rozumieć, że taka zmiana jest konieczna. Nie miałem wątpliwości, że próbowałbyś zahamować ten proces, gdyby zaczął on zagrażać interesom finansowym firm, które reprezentujesz, ale przypuszczam, że po prostu na tym polega twoja praca. I chociaż nie zamierzam w żadnym razie ogłosić cię świętym, mam cię za człowieka, który poważnie traktuje swoje obowiązki. – Przerwał na chwilę. W całym biurze było bardzo, bardzo cicho. – Nie lubię chciwości ani zachłanności, które reprezentujesz. I trudno mi usprawiedliwić twoje poparcie dla Cabrnocha i Venera, gdy powstawało tu państwo policyjne. Czy też twoją zgodę na jego wieloletnie istnienie. Ale trzeba pamiętać, że Cabrnoch był miejscowy. To był nasz problem i nasza nieudolna reakcja na katastrofę i kryzys. Niemniej bez Biura Bezpieczeństwa Granicznego i bez ciebie nie zdołałby utrzymać tak długo władzy. Wyrządził wiele krzywd, ale nie ty go stworzyłeś. Wykorzystałeś go tylko, chociaż z tego, co widziałem w ciągu kilku ostatnich miesięcy, wynikałoby, że coraz mniej ci się ten układ podobał. Nie mam wątpliwości, że delegacja Manticore będzie chciała porozmawiać z rządem Kumangu, gdy tylko zakończy dysputy z panem Vernerem. Dzięki tobie jestem szefem tego rządu, a kwadrans przed twoim przybyciem do rezydencji generał Siminetti został aresztowany, ja zaś przyjąłem rezygnację Daniela Kápički. – Šiml uśmiechnął się przelotnie. – Muszę powiedzieć, że złożył ją nawet ze

spora ulgą. Chyba sam ma spore wyrzuty sumienia po zamieszkach w Velehradzie. Poleciałem również zniesienie stanu gotowości służby bezpieczeństwa. Uzbrojeni członkowie Sokola strzegą obecnie jej placówek i magazynów sprzętu. Mam nadzieję, że nie dojdzie do żadnych aktów przemocy, czy to ze strony samych funkcjonariuszy, czy to ludzi pragnących zemsty. Zapewniam cię, że jeśli dojdzie do czegoś takiego, sprawcy zostaną surowo ukarani. W rozmowach z przedstawicielami Manticore zamierzam ich poinformować, że Kumang pragnie nawiązać serdeczne relacje z Gwiezdnym Imperium i oczekuje uznania naszego układu za neutralny w każdej przyszłej operacji. Dodam też, że niezależny układ Kumang z zadowoleniem ujrzałby siły zbrojne Manticore w roli gwaranta naszego statusu. Nie mielibyśmy też nic przeciwko napływowi ich inwestorów. I tutaj pojawia się znowu twoja osoba.

– W jakim sensie? – spytał niepewnie Sabatino.

– Chociaż w świetle prawa Chotěbořu jesteś winny łapownictwa, korupcji, nadużywania pozycji i wielu innych wykroczeń, podejrzewam też, że zatwierdziłeś decyzję Cabrnocha o brutalnym stłumieniu demonstracji na Náměstí Žlutých Růží, to nie mam cię za złego człowieka. Moim zdaniem można uznać, że wszystkie twoje działania zostały zatwierdzone, a przynajmniej były tolerowane przez organy, które uchodziły za legalny rząd Chotěbořu. Prawda jest taka, że mam cię za przyjaciela, chociaż nigdy się tego nie spodziewałem. Co więcej, niezależnie od okoliczności, w jakich Frogmore-Wellington i Iwahara uzyskały prawo do działalności w układzie Kumang, nigdy nie dopuściły się naruszenia miejscowego prawa. Myślę, że sam dostrzegasz, że były one w pełni legalne, nawet jeśli można nazwać je niemoralnymi. Obaj też wiemy, że prawo stanowione przez skorumpowanych ludzi jest złym prawem. Wspomniane umowy zostały przygotowane i podpisane przez prezydenta Hruškę pod dyktando Biura Bezpieczeństwa Granicznego i Cabrnoch ratyfikował je bez słowa, gdy tylko objął urząd. Wojna między Manticore a Ligą Solarną skończy się kiedyś w ten czy inny sposób. Podejrzewam, że mieszkańcy Manticore znacznie lepiej wyjdą na warunkach pokojowych i powojennym układzie sił, niż ktokolwiek w Lidze mógł oczekiwać jeszcze pięć miesięcy temu. Niemniej Liga Solarna nadal będzie istnieć. Podobnie jak i wiele międzygwiezdných korporacji, chociaż zapewne część z nich upadnie albo ulegnie radykalnemu odchudzeniu. Nie wiem, jak będzie z Iwaharą, ale Frogmore-Wellington na pewno ocaleje. Mniejsze, słabsze, ale będzie. Chotěboř zaś, doświadczony epidemią, wyzyskiem i w pewien sposób także na skutek twojej działalności przez pewien czas nie będzie jeszcze zdolny do pełnego wykorzystania zasobów układu. I coś jestem ci

gotów zaoferować. Twoi pracodawcy nie stracą swoich inwestycji, ale zmieni się ich status prawny. Utworzymy Kumang Enterprises albo Chotěboř Incorporated. Zarówno Frogmore-Wellington, jak i Iwahara będą w nim reprezentowane proporcjonalnie do ich wcześniejszej pozycji w naszej gospodarce. Tyle że pakiet kontrolny nowego przedsiębiorstwa pozostanie w posiadaniu rządu Chotěbořu. Tym razem będzie to prawdziwe partnerstwo. Takie, które zapewni pozaukładowym korporacjom godziwy zwrot z inwestycji, ale będzie uwzględniać także interesy ekonomiczne Chotěbořu i zapobiegnie rabunkowemu podejściu, tak często obecnemu w Lidze Solarnej. W sumie więc oferuję ci coś, co można zapewne nazwać miękkim łądowaniem. Tak dla ciebie, jak i dla twoich pracodawców. Jestem pewien, że będą wściekli, gdy się o tym dowiedzą. W ich centralach podniesie się wielki płacz za utraconymi dochodami. Ale w końcu znajdą się w znacznie lepszym położeniu, niż gdybyśmy po prostu znacjonalizowali ich majątek albo przekazali go kartelom z Manticore. Zapewne będą w stanie osiągnąć co najmniej połowę obecnego zysku, a do tego dojdzie poprawa wizerunku. Ty zaś będziesz tym człowiekiem, który uratuje ich inwestycje w układzie Kumang dzięki kompromisowi z legalnym rządem, który w razie braku porozumienia działałby całkiem inaczej. W sposób, który byłby wręcz katastrofalny dla korporacji. I w razie czego może się tak zachować. Jeśli Manticore nie przegra z kretelem, nie pozwoli na ponowne ustanowienie u nas protektoratu Ligi Solarnej. Nie wrócą czasy państw klienckich. Nie tutaj, rzut kamieniem od sektora Talbott. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Przerwał, widząc sekretarkę z wózkami. Obaj milczeli, gdy nalewała kawę, stawiała na stole śmietankę i cukier. Potem wyszła bez słowa. Šiml sięgnął po filiżankę i spojrzął pytająco na Sabatina.

Milczał chwilę, zajęty kawą. W końcu westchnął ciężko, oparł spodeczek na kolanach i pokręcił głową.

– Nie powinienem zaczynać z tą próbą przekupstwa – skomentował drwiąco.

– Wręcz przeciwnie, jestem twoją najlepszą inwestycją – odparł z uśmiechem Šiml. – Manticore zjawiloby się tak czy siak. Również wówczas, gdyby ktoś inny siedział w fotelu prezydenta – powiedział poważnie. – Spodziewam się, że Cabrnock zareagowałby inaczej, ale po usunięciu Venera i Biura Bezpieczeństwa Granicznego musiałyby odpowiedzieć za swoje czyny. Wcześniej zaś mogłoby dojść do rozlewu krwi, przy którym ostatnie zamieszki byłyby jak zabawa w piaskownicy. Chyba nie chciałbyś doczekać tego, co wówczas stałoby się z tutejszymi przedstawicielstwami solarnych korporacji. Obecnie możesz liczyć na pomoc w załagodzeniu

sytuacji. Otrzymasz też spory kredyt zaufania w zamian za twoją filantropijną działalność i wspomóżenie Sokola. Za co bardzo ci zresztą dziękuję. Zarządy korporacji zaś docenią najpewniej twój wysiłek w ratowaniu ich interesów. – Prezydent zaśmiał się ironicznie. – W moim odczuciu twoja nowa pozycja będzie o wiele bardziej korzystna.

– Poza tym, że zostałem przez ciebie gładko zmanipulowany – zauważył Sabatino.

– No tak. Ale ostrzegałem cię – stwierdził Šiml. – Ostrzegałem cię, że nie mam zamiaru marnie skończyć. – Spojrzał życzliwie na Sabatina. – Mówiłem też, że nie zapomnę, dzięki komu aż tyle stało się możliwe.

Znowu zapadła cisza. W końcu Sabatino odstawił talerzyk i filiżankę na blat.

– Trudno – rzekł z lekkim uśmiechem. – To co mam konkretnie podpisać?

ROZDZIAŁ LXVIII



Miło cię widzieć, Walterze – powiedział Luiz Roszak, gdy Oravil Barregos wprowadził do jego kuchni czwartego (bardzo nieoficjalnego) członka triumwiratu, który rządził Republiką Erewhonu. Zaraz zeskoczył ze stołka i podał mu dłoń. – Jak tam sprawy w domu?

– Sporo się dzieje – powiedział Walter Imbesi. – Wiadomość od ciebie była niczym kot wskakujący między gołębie. Potem jeszcze Delvecchio przekazało swoje przesłanie królowej Elżbiecie. – Zachichotał. – Fuentes, Havlicek i Hall nie byli chyba tak przejęci od czasu, gdy Theisman zaczął operację Thunderbolt!

– Ale tym razem chyba tak się nie martwili?

– Cóż... – Imbesi zajął jeden z pozostałych stołków w kuchni. Barregos usiadł obok niego. – Myślę, że lepiej być po stronie Manticore niż po tej drugiej, ale... – Przerwał i zaczął łowić zapachy. – Smakowita woń, Luiz... Jak zwykle. Co to będzie?

– *Pad thai* – odparł Roszak. – Czekaliśmy z finałem na ciebie. To, co czujesz, to aromaty składników. Poczekaj, aż ci nałożę!

– To będzie bolesne oczekiwanie – mruknął Imbesi i spojrzał na Barregosa. – Prawda jest taka, że znają i ufają Manticore – powiedział o wiele poważniejszym tonem. – Zwłaszcza teraz, gdy Janacek nie żyje, a High Ridge jest w więzieniu. I wiedzą, do czego zdolna jest Royal Navy. Nadal jednak obawiają się otwarcie przeciwstawić Lidze. Uważają, że na to za wcześnie. Przyspieszenie sprawia, że... robią się niespokojni. Świadomość, że Równanie miesza w naszej części galaktyki, też im jakoś nie pomaga. Na Erewhonie nie lubią rozgrywek, gdy nie widać dobrze wszystkich graczy. Trudno wtedy wyliczyć szanse i wysunąć sztylet z rękawa we właściwej chwili. Oczywiście w przenośni.

– Rozumiem – odparł Barregos. – Też martwi mnie to zgranie w czasie. Ale jeśli Elżbieta i Pritchard są gotowe zapewnić taki poziom wsparcia, o jakim mówią, ryzyko z naszej strony będzie znacznie niższe.

– Też tak uważam – zgodził się Imbesi. – I Fuentes się na tym skupia, całkiem jak laser. Hall jest o wiele mniej entuzjastyczny, ale zawsze traktował nasze „szczególne związki” z sektorem Maya dość ambiwalentnie. Głos Havlicek jest niepewny, ale obawiam się, że Alessandra nadal nie należy do zagorzałych wielbicieli Manticore. Szczerze mówiąc, myślę, że to przez szkody

finansowe, jakie poniosła jej rodzina, gdy trafili na nasze opłaty za tranzyt przez wormhola. Rozumiała, dlaczego to zrobili i że mogło być znacznie gorzej, ale rozum to jedno, a emocje i forsa drugie. Traktuje to dość osobiście.

– Pani Havlicek wiele rzeczy bierze osobiście – rzucił Roszak znad kuchenki, gdzie jego dzieło zaczynało właśnie ciekawie skwierczeć w woku.

– A tak – zgodził się Imbesi z chichotem. – Co nie znaczy, że nie ma dobrego instynktu. I chociaż podejrzewam, że może być jedyną kobietą w całej galaktyce, która żywi urazy dłużej niż Elżbieta Winton, to ma też całkiem sprawny umysł i używa go częściej niż większość ludzi. W wyniku czego – przerwał na chwilę, spoglądając na rozmówców – jest nam przychylna.

Oravil Barregos od zbyt dawna grywał o politycznie wysokie stawki, aby okazać ulgę, ale widać po nim było, że się uspokoił. I nawet uśmiechnął.

– Także w sprawie przyłączenia Torch?

– To już trudniejsza sprawa – przyznał Imbesi. – Obawiam się, że nigdy nie czuła się związana emocjonalnie z Torch. Czy w ogóle z przeciwnikami genetycznego niewolnictwa. Na pewno nie tak jak Fuentes i ja. Na Erewhonie tego nie ma i nie było, podejrzewam, że ona i Tomas uważają więc, że to nie ich problem. Ale bierze pod uwagę, co Mesa próbowała zrobić z Torch. Zwłaszcza że naszym zdaniem to właśnie Równanie stało za lutowym atakiem.

– Jiri i ja też się z tym zgadzamy – powiedział Roszak. – Podobnie Brent Stevens i Richard Wise. – Admirał wzruszył ramionami. – To w oczywisty sposób nie mogło być Haven. I żadnym sposobem nie Liga Solarna. Nie dysponują podobną techniką. A trudno wyobrazić sobie kogoś jeszcze, gotowego wbić Manticore nóż w plecy. Zatem ona i Hall obawiają się, że Erewhon może zostać potraktowany w taki sam sposób?

– Właśnie – przytaknął Imbesi. – Myślę, że Mesa miałaby prawdopodobnie odmienne priorytety. Na przykład Nouveau Paris. Bądźmy szczerzy. Wprawdzie możliwości naszych stoczni są wręcz imponujące jak na pojedynczy układ planetarny, w czym także spora twoja zasługa, Oravilu, ale gdzie nam do takich potęg jak Manticore, Haven czy nawet Grayson. Jeśli ta „widmowa flota” planuje rozwalić jeszcze jakieś światy, to raczej nie znajdujemy się wysoko na jej liście. Nawet jeśli na swój sposób im dokuczylimy. Oni... mogli postrzegać to trochę inaczej.

– Chyba rozumiem – powiedział Barregos i spojrzał na Roszaka. – Luiz?

– Jest się nad czym zastanowić – przyznał admirał, otoczony kłębamii wonnej pary. Dodawał właśnie sos do dania, które zawierało już makaron, jajka, szczypiorek, kielki fasoli i kurczaka. –

Z drugiej strony myślę, że Manticore ma rację, gdy mówi, dlaczego ta „widmowa flota” – tak się wyraziłeś, prawda? – ich właśnie zaatakowała w pierwszej kolejności. I jak zapobiec powtórnemu atakowi. Dlatego stworzyli sferę czujników wokół wewnętrznych planet układu. A także Nouveau Paris. Taką, która opiera się na aktywnych systemach i zwraca o wiele większą uwagę na pasywne cele, niedające tropów grawitacyjnych. To pierwszy etap tego, co nazwali Mycroft.

– Tak. – Imbesi kiwnął głową. – Nie jestem pewien, czy rozumiem, jak działa ten Mycroft, ale jestem cholernie pewien, że Tomas też nie rozumie. Nie wiem jak Alessandra, ale pewnie zagłosuje na „tak”.

– Na razie chcą mieć oko na ten sprzęt i świetnie ich rozumiem – powiedział Roszak, mieszając w woku. – Ale podziela się wieloma informacjami na temat tego, jak działa ten system, i na ile zrozumiałem, powinien on dobrze zabezpieczać przed czymś w rodzaju lutowego ataku. Zasadniczo wzięli po prostu układową sieć dronów obronnych i zasobników, którą Foraker wymyśliła dla Haven, sprzęgli ją z własną mgławicą dodatkowych dronów zwiadowczych, dodali nadświatlną łączność i sterowanie i jeszcze wymienili zwykłe zasobniki na te ich potwory z wielostopniowymi pociskami i nadświatlnym naprowadzaniem na cel. – Skrzywił się. – Uwierz mi, wszystko, co wyczuje ta sieć, zostanie zniszczone, zanim zdoła wystrzelić własne pociski.

– Odniosłem wrażenie, że ich zdaniem tamte pociski zostały rozmieszczone w odległości kilku minut świetlnych od potencjalnych celów i nadleciały po torach balistycznych – powiedział Imbesi.

– Tak właśnie było – przytaknął Roszak i zdjął wok z ognia. – Jakakolwiek by była ta ich supertajna technologia napędu, nie próbowali nawet wysłać dużej floty z wielką siłą ognia. Zbyt wielkie było ryzyko, że coś jednak nie wyjdzie, że ktoś coś zauważy. Nawet jeśli ten napęd byłby naprawdę niewidzialny. Ale kilka niewielkich jednostek z dobrym maskowaniem to co innego, chociaż musieli mieć na miejscu jakiś system celowniczy. Musieli przecież uaktualnić dane celów po długim locie balistycznym. I rzeczywiście wykryto zaszyfrowaną transmisję z czegoś, co prawie na pewno pełniło taką właśnie funkcję. I to tuż przed atakiem. Uważają, a ja się z nimi zgadzam, że zapewne był to dron, który uległ potem samozniszczeniu. Ale udało się dokładnie ustalić miejsce, z którego nadawał. Jak już powiedziałem, admirał Givens wskazała mi w rozmowie, że wprowadzenie takiego drona wymaga w pierwszym rzędzie penetracji układu. Mogliby dać radę małymi siłami, gdy nikt nie wiedział jeszcze, na co zwracać uwagę. Ale drugi

raz tak łatwo im się nie uda. – Zaczął nakładać *pad thai* na czekające na barze talerze. – Powiedziała też jeszcze jedno. Mianowicie że atak był tak dotkliwy przede wszystkim dlatego, że nikt go nie oczekiwał. Przeanalizowali rzeczywistą liczbę użytych pocisków, w tym owych „torped graserowych”, czy jakkolwiek je nazwiemy. I tak naprawdę jeden dywizjon dreadnoughtów zasobnikowych mógłby odpalić kilkukrotnie większą salwę. Gdyby Manticore miało wtedy aktywne systemy obronne albo gdyby mieli czas, aby osłonić stacje ekranami frachtowców czy holowników, jak przewidywała doktryna, szkody byłyby nieporównanie mniejsze. Przyjęli więc, że dzięki nowej sieci czujników będą mogli liczyć na wcześniejsze ostrzeżenie, a przy wyższym stopniu gotowości obrony przeciwrakietowej, który obowiązuje teraz permanentnie, każdy kolejny atak tego typu zakończyłby się niepowodzeniem. Gdyby zaś zli chłopcy spróbowali ataku bardziej klasycznego, bez wcześniejszego ustawiania rakiet na pozycjach, to tym chętniej zaproszą ich do tańca. Uwierz mi, oni wręcz na nich czekają.

– I są gotowi udostępnić ten system także nam? – spytał Imbesi.

– Tak. – Barregos wziął pałeczki, Roszak zaś odstawił wok i zasiadł na swoim stołku. – Nie zdolają dostarczyć go natychmiast. Nadal wprowadzają go na Beowulfie. Nawet w układzie Manticore nie wszystko jest już na miejscu. Ale Beowulf i Haven produkują to w wielkich seriach. Admirał Givens sądzi, że będą mieli czynny Mycroft przed upływem sześćdziesięciu dni. W ciągu następnych paru miesięcy obsłużą Erewhon, Maya i Torch, bo tempo produkcji wzrasta. Podobną ochronę będą mogli zapewnić wszystkim pozostałym układom w sektorze Maya. Zapewne w ciągu czterech kolejnych miesięcy. Jak zauważyła, jest mało prawdopodobne, aby Równanie planowało podobny atak na nas. Organizacja czegoś takiego musi potrwać, my zaś bylibyśmy celem o wiele mniej ważnym od Sojuszu. Tak więc zagrożenie dla naszej infrastruktury jest minimalne, Walterze.

– Nie sądzę, by ktokolwiek w Erewhonie czerpał z tego wielką pociechę, biorąc pod uwagę, jak niszczycielski był lutowy atak – powiedział ponurym tonem Imbesi. – Niemniej zostałem upoważniony do złożenia podpisu, jeśli przekonacie mnie, że ryzyko nie jest zbyt duże. – Przez dłuższą chwilę patrzył w milczeniu na pozostałych, po czym wzruszył ramionami i sięgnął po widelec. – Nie powiem, żebym dał się w pełni przekonać. Ale zdecydowanie był to krok w tym kierunku. Będę musiał lepiej się pilnować, biorąc pod uwagę, że chciałbym załatwić wszystko jak najszybciej.

– Oczywiście, że tak – powiedział Roszak, zerkając z dezaprobatą na barbarzyński widelec

Imbesiego. – Z drugiej strony, jesteśmy dobrzy w akwizycji. Szczególnie gdy jesteśmy pewni naszego towaru.

– W takim razie spróbuję posłuchać was z otwartym umysłem. Ale zachowując sceptycyzm!
– zapewnił Imbesi, zanurzając widelec w *pad thai*. Przeżuł i przełknął. – To jest wspaniałe! – rzucił z uśmiechem. – Widzę, że wiecie, od czego najlepiej zacząć negocjacje.

WRZESIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Daję więc panu sposobność ocalenia swoich ludzi. Ma pan dziesięć minut na wyłączenie ekranów i poddanie się. Potem ponownie otworzę ogień i wątpię, czy wielu z was przeżyje.

Decyzja należy do pana, admirale”.

– kapitan sir Prescott Tremaine, Royal Manticoran Navy, dowódca dywizjonu krążowników 96.1

ROZDZIAŁ LXIX



Nie do wiary, znowu to gówno! – warknął Kevin Haas.

– Co za gówno? – spytała Janice Marinescu, odwracając się do niego wraz z fotelem. – Chociaż może powinnam spytać inaczej: o jakie gówno chodzi tym razem?

– A takie! – Haas wskazał oskarżycielsko na ekran przed sobą. – Ten idiota Charteris znowu zadaje pytania!

– Cholera – rzuciła Marinescu z niesmakiem, ale nie wyglądała na zdziwioną. – Wiedziałam, że zaczną sprawiać kłopoty. Coś było w postawie tej suki, gdy zbierałam ją i te inne krwawiące serca. Po prostu zęby cierpły. Durnota, która w ogóle nie rozumie ludzi wykonujących prawdziwą robotę. Trudno, żeby on był inny. Właśnie dlatego poprosiłam cię, żebyś miał na niego oko. – Pokręciła bezradnie głową. – A jakie to pytania?

– Gdybym miał być fair, a wcale nie mam na to ochoty, powiedziałbym, że stara się być dyskretny. Ale jest całkiem jasne, że nie kupuje historii z McClintock. – Marinescu uniosła brwi w wyrazie „powiedz mi więcej” i Haas wzruszył ramionami. – Nadzór wyłapał jego kontakt z Christiną McBryde. – Marinescu tym razem zmarszczyła brwi. – To matka Zachariaha McBryde’a – przypomniał jej.

– A, dobra. – Marinescu kiwnęła głową. To świadczyło o tym, jaka była ostatnio zagoniona, skoro Haas musiał przypominać jej coś takiego, ale zaraz wszystko ułożyło się jej w głowie. – Ale dlaczego to takie ważne, że się z nią skontaktował? Znają się od lat. Jeśli dobrze pamiętam, kilka tygodni temu był chyba z żoną na obiedzie u McBryde’ów?

– Prawie – zgodził się Haas. – Tak naprawdę doktor McBryde zabrał swoich rodziców i Charterisów na kolację jakiś tydzień przed tym, nim go podjęliśmy. Ale masz rację, znają się długo, a on oczywiście wie, że Charteris i McBryde pracowali razem. Nic nie wskazuje na to, aby przejrzał przykrywkę. Rodzice McBryde’a nadal uważają, że oboje pracują dla Kepagane & Bellini. Ale on pyta jego rodziców, co wiedzą o tej konferencji, na którą tamci razem pojechali.

– Cholera.

Wyraz twarzy Marinescu mógłby zwarzyć mleko w całym Mendelu. Dobrze było wiedzieć, że ktoś tak tępy jak Lisa Charteris zdołał przyswoić sobie chociaż podstawowe zasady bezpieczeństwa. Szczerze mówiąc, Marinescu nie postawiłaby na nią pół kredytu, biorąc pod

uwagę niektóre jej decyzje na przestrzeni lat. Ale jeśli Jules Charteris nadal kupował jej legendę, Marinescu prawdopodobnie trochę ją krzywdziła. Przynajmniej w tym względzie. Ale przez to ciekawość Julesa Charterisa nie wyglądała ani trochę lepiej.

Kepagane & Bellini była organizacją badawczą, ściśle współpracującą z rządem Mesy. Tak ogromną, że można było ukryć w niej setki naukowych „martwych dusz”. W tym także ludzi z wewnętrznego jądra. Nikt z Kepagane & Bellini nigdy nie widział tych osób. Ba, nawet o nich nie słyszał. Hakerzy Równania już czterdzieści lat temu stworzyli cały fikcyjny wydział organizacji, który istniał tylko teoretycznie, ale mógł figurować w aktach jako autentyczny pracodawca. Miał swój budżet, mało znaną niszę w sieci firmowej i co roku produkował kilka terabajtów mniej lub bardziej bezużytecznych informacji. Miał nawet całkiem niezłe urządzoną siedzibę w jednej z mniej wystawnych wież na skraju miasta.

To niestety oznaczało, że zmodyfikowany plan Houdini musiał objąć także i ten budynek. Lepiej, aby śledztwo nie wykazało, że żadna z osób oficjalnie tam zatrudnionych nigdy nie odwiedziła nawet siedziby firmy. Tym samym również całe kierownictwo Kepagane & Bellini miał spotkać marny koniec. Rejestry komputerowe miały to do siebie, że nawet najbardziej podejrzliwi śledczy nie zwykli ich kwestionować. Chyba że coś, albo ktoś, sugerowało im, żeby to czy tamto sprawdzić. W związku z tym konieczne było usunięcie personelu zajmującego się zasobami ludzkimi, zanim ktoś poszukujący zaginionych genetycznych supermenów miałby okazję zacząć zadawać im pytania. Na szczęście, jak stwierdziła Marinescu, chodziło tylko o osiemset do tysiąca osób. Jeśli ich zabraknie, nikt nigdy niczego nie znajdzie. Inna sprawa, że główne biura mieściły się w Beadle Tower w śródmieściu Miescher i zniszczenie ich wymagało naprawdę dużej bomby. Całkowita liczba ofiar śmiertelnych będzie prawdopodobnie bliższa sześciu–siedmiu tysiącom.

– O co ich pyta? – zapytała po chwili. – Czy z nimi też będziemy musieli zrobić porządek?

– Nie sądzę. Jeszcze nie. – Haas skrzywił się kwaśno. – Na swój sposób pamięta chyba o kwestiach bezpieczeństwa. Pytania formułował naprawdę ostrożnie. Na przykład „Zach się odzywał?” Albo „Chłopie, naprawdę żałuję, że Zach i Lisa siedzą wciąż na tej wyspie! Czy Zach mówił, kiedy wrócą?” Takie rzeczy. I nie poszedł do biura Kepagane & Bellini. Pewnie nawet on kojarzy, że dostałby po łapach, gdyby zrobił coś tak głupiego. Powiedziałbym, że może być zainteresowany i trochę kopie za informacjami, ale nie zależy mu aż tak bardzo, żeby złamał zasady bezpieczeństwa. Przynajmniej na razie. Jak dotąd nie próbował pytać wprost, ani

McBryde'ów, ani nikogo innego, czemu poświęcone miało być to spotkanie. I pewnie tego nie zrobi, dopóki będzie uważać, że naprawdę rozmawia z nią. Nie wiem, co będzie potem. Ale jak mówię, do tej pory nie spytał o nic, co mogłoby ich sprowokować do szukania odpowiedzi.

– To już coś – warknęła Marinescu.

Im mniej dodatkowych zabójstw, tym lepiej. Włączenie wszystkich do zaplanowanych stref zagłady okazało się logistycznym koszmarem. Ostatecznie nie było ich aż tak wiele, ona i jej zespół zaś mieli dość roboty i bez kombinowania, jak usunąć całe rodziny tylko dlatego, że jakiś debil nie potrafi trzymać gęby na kłódkę. I tak mieli już całą dodatkową listę, z którą trzeba będzie coś zrobić. Do tego dochodziło jakieś sześćset osób przeznaczonych do indywidualnej likwidacji, bo po prostu nie dało się ich wmanewrować w któreś z masowych zdarzeń. A to nie obejmowało jeszcze mniej ważnych członków wewnętrznego jądra, którzy musieli zostać usunięci, ponieważ zabrakło już czasu na ich wysyłkę.

Nic dziwnego, że Haas chwilami nie wytrzymał. W sumie był całkiem dobrym człowiekiem. Cennym podwładnym, który rozumiał realia. Nie o wszystkich mogła to powiedzieć. Fakt, że kiedy Chernyshev rzucił jej ten bałagan na kolana, spora część personelu pierwotnie przypisanego do wykonania Houdiniego przebywała poza układem albo z innych przyczyn była niedostępna, sprawił, iż musiała ściągać ludzi, którzy nie zostali w pełni wprowadzeni w sprawę albo nawet nigdy nie słyszeli o Houdinim. Niektórzy wcale nie byli zachwyceni, gdy odkryli, co oznacza nowy, poprawiony plan. Pięciu musiała nawet „wysłać na emeryturę” za kwestionowanie jej rozkazów. Kilkanaście innych osób, które aktywnie nie protestowały, ale w oczywisty sposób zagrażały bezpieczeństwu operacji, zapakowała na statek i wysłała pod opieką gaulów na Dariusza, chociaż najchętniej by je usunęła, żeby raz na zawsze mieć z nimi święty spokój. Jak wspomniała Chernyshevowi, cały ten bałagan pozwolił odłowić osoby, którym brakowało kwalifikacji, jaj albo mocnych żołądków. Niestety, nie zawsze coś z tego wynikało, ponieważ niektórzy słabeusze zostali uznani za zbyt ważnych, aby ich usuwać. Jak na przykład Lisa Charteris.

Marinescu zakłęła w duchu. Wiedziała, że Charteris będzie problemem. Samo to, że kobieta była na tyle głupia, aby poślubić kogoś, o kim wiedziała, że nigdy nie znajdzie się w jądrze, było wystarczającym ostrzeżeniem. Już kilka lat temu powinna zostać odsunięta od odpowiedzialnych stanowisk i bez pośpiechu wyeliminowana w miłym, niebudzącym żadnych podejrzeń wypadku drogowym. Mogłaby też utopić się gdzieś przypadkiem. Jeśli nie umiała zniknąć i ktoś teraz

zastanawiał się, co się z nią stało, to była zbyt nieodpowiedzialna, aby jej zaufać. No i nigdy nie powinna zostać nikim na tyle ważnym, aby trafić na listę ewakuacyjną zamiast po prostu do likwidacji. Ale czy ktokolwiek pytał Marinescu o zdanie? Oczywiście, że nie! A teraz musiała się w tym babrać wraz ze swoimi ludźmi.

– Jakiś pomysł, dlaczego Charteris jest taki do przodu? – spytała po chwili.

– Nie. – Haas wzruszył z irytacją ramionami. – Podsluchy w jego mieszkaniu i biurze na nic nie wskazują. Monitoring jego komunikatora też nie sugeruje, aby podejrzewał, że tak naprawdę rozmawia z SI. Donnie mówi, że jej ludzie podsunęli właściwe odpowiedzi na wszystkie jego pytania. I na razie się kula. Ale gdybym musiał zgadywać, to powiedziałbym, że coś mu nie pasuje. Na litość boską, Janice! Przecież oni byli razem prawie pół wieku! Kto wie, co mogło się prześlizgnąć i nigdy nie trafić do naszych zapisów?

– My powinniśmy to wiedzieć – warknęła Marinescu.

Jednak musiała przyznać, że to miało sens.

Donatella Primaticcio była jej starszym cybernetykiem i zajmowała się między innymi zarządzaniem interfejsem komunikacyjnym takich osób, jak Jules Charteris. Gdy próbowali skontaktować się z kimś, kto został już podjęty, trafiali na żywego pracownika, dla każdej osoby zawsze tego samego, który rozmawiał z nimi skryty pod maską wygenerowanego komputerowo wizerunku osoby, z którą chcieli się skontaktować. Uzbrojeni w pełną dokumentację dotyczącą osób, pod które się podszywali, co obejmowało szczegółowe opisy każdej chwili ich życia, indeksy nazwisk wszystkich, których znały, dobrze, słabo czy jakkolwiek, mieli z pomocą wyszukujących błyskawicznie i wpasowujących odpowiednie dane algorytmów przekonać rozmówców, że owe osoby znajdują się na Mesie i robią dokładnie to, co oficjalnie miały akurat robić.

W większości przypadków nie było to nawet trudne. Większość rozmówców nie wnikała w szczegóły i o nic istotnego nie pytała, nie widząc po temu powodu. Rozmowy były zwykle krótkie i dotyczyły bieżących spraw. To łatwo było załatwić. Poza tym większość ważnych osób z listy Houdiniego nie była aż tak głupia jak Lisa Charteris. Jeśli ktoś mógł do nich dzwonić, to tylko przypadkowi znajomi. W najgorszym razie było to coś w typie przelotnych miłości. Z tym też nie było problemów. „Jasne, musimy się znowu spotkać, tylko niech ta konferencja...” Albo warsztaty, wyjazd służbowy, cokolwiek.

Jednak w przypadku Charterisów, którzy przeżyli razem prawie pięćdziesiąt lat,

dokumentacja miała prawo być dziurawa. Nie było sposobu, aby w pełni objąć nadzorem tak długi czas. A jeśli Jules Charteris nie podejrzewał jeszcze niczego szczególnego i tylko coś w niejasny sposób go niepokoiło, to było pewne jak w banku, że z czasem nabierze przekonania, iż jego ukochana żona nigdy nie wróci. Nawet jeśli ostateczne uzasadnienie jej zniknięcia będzie wręcz perfekcyjne, gość może zacząć zadawać sobie niepożądane pytania. Na przykład czy ci, w których opinii Równanie ma w rzeczywistości całkiem inne cele niż te jemu znane, nie mają przypadkiem racji? Manticore bardzo aktywnie rozsiewało takie poglądy. Co gorsza, w tej sytuacji mógł spróbować podzielić się z nimi swoimi wątpliwościami, a to byłoby już diabelnie niepożądane.

– Dobra – westchnęła wreszcie. – Umieść go na liście do sprzątnięcia. Potem zobaczymy, z kim i o czym rozmawiał. Najchętniej dodałabym też córki. Ot tak, na wszelki wypadek. Ale raczej damy sobie spokój, chyba że trafisz na coś konkretnego. Że na przykład dzielił się z nimi swoimi podejrzeniami. – Przesunęła z irytacją dłonią po ciemnych włosach. – Myślę, że Chernyshev zbyt się przejmuje „możliwymi do uniknięcia stratami”, ale czy nam się to podoba, czy nie, teraz on siedzi w gabinecie Bardasano. I zrobi piekło, jeśli załatwimy te trzy sztuki bez jakiegoś pretekstu. Chociażby listka figowego.

– Naprawdę sprawdza te listy aż tak dokładnie? – spytał sceptycznie Haas.

Marinescu parsknęła śmiechem.

– Osobiście uważam, że jest idiotą. Przynajmniej na obecnym stanowisku, bo w terenie podobno był dobry. Chociaż szczerze mówiąc, mam wątpliwości co do jego reputacji. Zwłaszcza teraz, gdy spotkała mnie średnia przyjemność pracy z nim. Ale uważaj, on nie jest głupi. Lepiej poznałam jego brata, a Luka to naprawdę pistolet. Nie mam powodu sądzić, że on jest gorszy. Moim zdaniem ma masę ważniejszych zajęć niż zagłądanie nam przez ramię, ale jeśli już zahaczy temat, to wgrzyzie się w niego cholernie dokładnie.

– Skoro tak mówisz. – Haas chyba nie był przekonany, ale Marinescu nie zamierzała się tym przejmować. Cokolwiek Kevin Haas mówił, zawsze rozumiał rozkazy. – A z Charterisem nie powinno być problemu. Najprościej wyjdzie, jeśli „Lisa” zaprosi go na spotkanie podczas konferencji Batesona w Saracen Tower. Sama oficjalnie ma tam zginąć.

– Jak dla mnie w porządku – odparła Marinescu. – Po tak długim małżeństwie powinni chyba umrzeć razem. – Uśmiechnęła się słabo. – A skoro mowa o Saracen Tower, jak stoimy z realizacją Ostatecznego Rozkwitu?

– Jak na razie całkiem dobrze. Ściągnięcie wszystkiego na pozycje trwa trochę dłużej, niż oczekiwaliśmy, ale nie ma krytycznych poślizgów. Na szczęście Balet nie jest akurat aktywny. Mamy za mało ludzi, aby starczyło na jedno i drugie.

– Cóż, nawet Balet potrzebuje trochę relaksu między krwawymi rzeziami – zauważyła cynicznie Marinescu. – Po tym, jak robotni okazali się w zeszłym miesiącu, chwila przerwy przed kolejną falą zamachów nie powinna chyba nikogo zdziwić. Poza tym to daje więcej czasu na rozprzestrzenienie się ich manifestów i komunikatów.

Haas zachichotał.

– Wiesz, to naprawdę była fajna zabawa, gdy je przygotowywaliśmy. Są tak rozkosznie... sam nie wiem, jak to powiedzieć. Może bombastyczne. Ale media je uwielbiają!

– Media zawsze są takie – powiedziała Marinescu jeszcze bardziej cynicznie. – To jeden z powodów, dla których je kocham. Wystarczy nakarmić je surowizną, a z góry wiadomo, jakie będą nagłówki.

– Tak, mocno się na nas upały – zgodził się Haas.

W tym też ma rację, pomyślała. Balet rozpoczął nową falę terroru od zatopienia pasażerskiego liniowca *Magellan*, stylizowanego na archaiczny transatlantyk statku wycieczkowego Voyages Unlimited Line. Zespołom Houdiniego udało się tam zabić prawie trzy tysiące pasażerów i załogi i załatwić legendę dla ewakuacji siedemdziesięciu trzech osób. Dziennikarze nawet okiem nie mrugnęli, gdy Balet wziął na siebie odpowiedzialność za ten atak. Podobnie było w przypadku zestrzelenia wahadłowca *Knight Tours* nad Mendelem. To z kolei dało prawie dwadzieścia odfajkowanych nazwisk. W sierpniu było jeszcze ponad dziesięć innych incydentów, co przyniosło łącznie jakieś siedem i pół tysiąca ofiar śmiertelnych, tak prawdziwych, jak i całkiem fikcyjnych. TERRORYŚCI odpowiedzialni za atak w Green Pines ponownie zawładnęli Mesą. Panika narastała aż miło. Doszło także do całkiem spontanicznych ataków, gdy ludność zaczęła się mścić na potomkach niewolników. To było dobre. Redagowane przez Haasa komunikaty Baletu zaczęły wspominać o tych rozruchach i traktować je jako uzasadnienie dalszych aktów terroru. Biorąc pod uwagę, jak szybko musieli wszystko ogarnąć, zmodyfikowany Houdini rozwijał się całkiem udanie. Po kilku tygodniach takiego grillowania opinii publicznej crescendo Ostatecznego Rozkwitu powinno okazać się jeszcze skuteczniejsze.

Marinescu miała to za *pièce de résistance*, choć przypuszczała, że ktoś taki jak Chernyshev może zacząć ronić łzy, gdy do tego dojdzie. Nigdy nie rozumiała takiej czułości, ale i nie

musiała, aby wziąć rzecz pod uwagę w swoich kalkulacjach. Niemniej przekonała się już, jak niewielu było w stanie pojąć, że to właśnie był najlepszy sposób na utrzymanie Houdiniego w tajemnicy. Mało kto w galaktyce byłby skłonny uwierzyć, że ktoś mógłby zabić tylu ludzi dla zamaskowania zniknięcia stosunkowo skromnego grona. I nawet gdyby coś wyciekło, wobec hekatombi Ostatecznego Rozkwitu zostanie raczej uznane za majaczenia paranoicznego zwolennika teorii spiskowych.

Z drugiej strony, nie mogli liczyć tylko na to. Musieli zadbać, aby na pewno nic nie wyciekło.

– W porządku – powiedziała energicznie. – Zostawiam pana Charterisa w twoich rękach. I cieszę się, że Ostateczny Rozkwit trzyma się rozkładu. Ale rzuć mi aktualne streszczenie, gdzie i z czym teraz jesteśmy. Chciałabym je przejrzeć i wyjaśnić kilka drobiazgów jeszcze dzisiaj, zanim zamkniemy sklepik. – Skrzywiła się. – Wieczorem mam się spotkać na kolacji z Collinem i Chernyshevem. Nie chcę nadrabiać miną, gdyby mnie o coś spytali.

– Chwytam. – Haas skinął głową. – Będzie w twoim folderze o czwartej.

– Dobrze. Dobra robota, Kevin. – Marinescu posłała mu szeroki uśmiech. Powinna mu przypominać, jak bardzo go ceni.

W końcu trudno o naprawdę dobrych pracowników.

ROZDZIAŁ LXX



Przejdźcie granicy alfa za szesnaście minut, sir – powiedziała kapitan Shirley Shreeyash.

– Dziękuję, pani kapitan – odrzekł admirał Winslet Tamaguchi, znany w dobrych czasach z oficjalnego podejścia. Ostatnio czasy dobre już nie były, ale admirał się nie zmieniał. Spojrzał z kolei na oficera operacyjnego. – Kapitanie Levine?

Kapitan Bradley Levine skinął głową.

– Wszystkie jednostki meldują pełną gotowość.

– Doskonale. – Tamaguchi uśmiechnął się zimno. – Mam nadzieję, że wystarczy zwykły pokaz siły. Ale jeśli nie, musimy szybko zażegnać problem przy jak najmniejszych stratach. Odnosi się to też do ofiar w ludziach.

– Tak, sir – przytaknął Levine, zauważając, jak wiele admirał, który skupił już uwagę na głównym ekranie, był łaskaw przemilczeć.

Ostatnie dane wywiadu napływające z Ligi Solarnej wskazywały jednoznacznie, że ci z Manticore wzięli się ponownie do wzniecania niepokoju na obszarze Pogranicza. Włocławek nie był wprawdzie protektoratem, czy też dotąd nim nie był, ale położenie u wylotu tunelu z Sarduchi czyniło zeń ważny cel strategiczny. Na dodatek był względnie bogatym i prosperującym światem, a rosnące zapotrzebowanie na owoce morza sprawiało, że obecnie był wart więcej niż kilka typowych światów Pogranicza. W zwykłych okolicznościach Biuro Bezpieczeństwa Granicznego nie posiadałoby się z radości, usłyszawszy o wewnętrznym kryzysie na Włocławku i szansie stworzenia tam kolejnego protektoratu.

Niestety, ostatnimi czasy zwykły bieg spraw został poważnie zakłócony. Jeśli za wydarzeniami na Włocławku stało Manticore, które ze względu na bliskość Quadrantu Talbott mogło być zainteresowane zainstalowaniem na planecie marionetkowego rządu, istniało ryzyko, że na miejscu pojawi się ochraniająca operację Royal Manticoran Navy. Wprawdzie jak na razie wszystko sugerowało, iż była to wyłącznie miejscowa awantura, typowa dla Pogranicza historia, w której jedni sprzedają drugich dla osobistych korzyści, ale też nikt nie powiedział, że czegoś takiego nie wywołano celowo. Ostatecznie Biuro Bezpieczeństwa Granicznego samo dość często uciekało się do podobnych metod. Tamaguchi musiał zdawać sobie z tego sprawę i musiałby nie być człowiekiem, żeby nie martwić się o możliwą obecność Manticore. Zwłaszcza gdy

wspomnieć, jak kończyły się ostatnio wszystkie konfrontacje jednostek Ligi Solarnej z grupami operacyjnymi Gwiezdnego Imperium.

Oczywiście poza pierwszą akcją tego idioty Bynga, pomyślał oficer operacyjny. Jeden kutas z Battle Fleet załatwił nas na amen. Owszem, jego też później załatwili i może szkoda, że nikomu więcej nie udało się taka sztuczka z przyłapaniem dywizjonu niszczycieli RMN na orbicie z wyłączonymi ekranami. Ubyłoby nam we flocie skończonych durni.

Tyle dobrego, że krążowniki liniowe admirała Tamaguchiego otrzymały już nowe pociski typu *Flight Two Cataphract*. W porównaniu z poprzednimi miały prawie o dwadzieścia procent większy zasięg i minimalnie poprawione głowice. Levine, który w swoim czasie zachwycał się ogromnym zasięgiem pierwszej wersji pocisków *Cataphract*, pamiętał też swoje głębokie rozczarowanie, kiedy się okazało, że pociski RMN i tak miały o wiele lepsze osiągi. Na szczęście dostępne dane wskazywały, że te największe bestie są odpalane wyłącznie z zasobników holowanych, co stwarzało pewne nadzieje.

Byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby dało się to ustalić na sto procent, ale niestety SLN nie dysponowała żadnymi raportami załóg, którym przyszło walczyć z RMN. Powód był prosty: żadna z tych jednostek nie wróciła do bazy, więc i raportów nie miał kto napisać. Istniał tylko cząstkowy meldunek admirała Liama Pyuna z układu Zunker, wsparty w jakiejś mierze relacjami ocalałych po masakrze w układzie Saltash i doniesieniami ze Spindle. Brakło w nim zapisów z czujników, które mogłyby powiedzieć coś konkretnego, ale jeśli Pyun się nie mylił, jednostki Manticore odpaliły „salwę ostrzegawczą” przy dystansie trzydziestu milionów kilometrów. To blisko dwa razy dalej niż w przypadku zwykłego *F2C*, który był jednak pociskiem dwustopniowym. Można było opóźnić w nim oddzielenie drugiego członu, i to praktycznie o dowolny czas, aby potem skierować go do właściwego ataku z przyspieszeniem dwukrotnie większym, niż według doniesień było typowe dla pocisków Manticore. Część drogi musiał przebyć wtedy lotem balistycznym, a celowanie przy takich odległościach było piekielnie trudne, ale istniała szansa na osiągnięcie tych drani!

Niemniej tylko z głowicami Spatha i przy odpaleniu z wyrzutni pokładowej, przypomniał sobie. Nawet przy poprawie szybkostrzelności oznaczało to salwę zbyt słabą, aby zagrozić czemuś większemu od krążownika liniowego. Jeśli trafimy na któregoś z ich superdreadnoughtów zasobnikowych, sami oberwiemy bardziej. Z krążownikami i niszczycielami zdołamy zapewne jednak nawiązać równorzędną walkę. Zwłaszcza przy większej

sile ognia.

Każda jednostka zespołu przenosiła dodatkowo ponad dwadzieścia zasobników holowanych z pociskami typu *F2C-C*, które miały takie same głowice laserowe jak pociski typu *Trebuchet*, przeznaczone dla najcięższych jednostek. Dowolny okręt tej choleralnej RMN, który dostanie czymś takim, będzie naprawdę miał się z pyszna.

Bradley Levine uśmiechnął się słabo i spojrzął na ekrany swojego stanowiska. Wszystko w zasadzie było w porządku, lecz coś uparcie mu podpowiadało, że chyba zdąży jednak na własny pogrzeb.



– Przejdźcie granicy alfa za pięć minut, sir.

– Bardzo dobrze.

Kapitan Ephron Vangelis potwierdził meldunek.

– Jakież nowości z mostka flagowego?

– Nic, sir.

– Dzięki.

Vangelis nie oczekiwał, że usłyszy coś więcej. Admirał Tamaguchi jasno wyłożył swoje zamiary i nie należał do osób, które lubią się powtarzać. Nie dążył też do nawiązywania ciepłych i zacierających granice kontaktów ze swoimi podwładnymi. Niektórzy oficerowie flagowi zwykli budować bliskie relacje ze swoimi kapitanami, jednak na ile Vangelis się orientował, Tamaguchi nie stworzył takiej relacji nawet z własną żoną. Był znany jako wymagający i wytrwały dowódca, co też miało swoją wartość.

Innymi atutami grupy były zmodernizowane pociski w wyrzutniach SLNS *Triumphant* oraz poprawione oprogramowanie systemów defensywnych. Vangelis niezbyt wierzył w pojawiające się tu i ówdzie informacje o prędkościach osiąganych przez pociski przeciwnika. Nie mógł się tylko zdecydować, czy wynika to z wręcz szokujących wartości, które wzmiankowano, czy po prostu sam bardzo nie chce w to uwierzyć. Rzecz w tym, że jeśli dane były prawdziwe, wówczas nawet ich poprawione oprogramowanie mogło się okazać mało skuteczne, chociaż przynajmniej nie powinno odmówić współpracy w warunkach wykraczających znacznie ponad założenia programistów.

Zgodnie z tym, co przekazał mu pewien przyjaciel z pionu technicznego floty, przeprowadzone w Dziale Rozwoju symulacje potwierdziły słowa Keeley O'Cleary, że systemy

obrony przeciwrakietowej na okrętach Sandry Crandall tak właśnie się zachowały. Według tego samego przyjaciela inicjatorem przeprowadzenia symulacji był admirał Polydorou i zrobił to na bezpośredni rozkaz admirała floty Kingsforda, gdy ten zastąpił Rajampeta Rajaniego na stanowisku głównodowodzącego. Ciekawostką zaś był fakt, że i tak wielu miało te symulacje za „zupełnie niepotrzebne”.

Vangelis nie wiedział, co było bardziej przygnębiające.

– Sądzi pan, że za tym naprawdę może stać Manticore? – usłyszał w słuchawkach i uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem, co o tym myśleć, Lance – powiedział do swojego pierwszego oficera. W tej chwili kapitan Richardson znajdował się na rezerwowym mostku na drugim końcu kadłuba *Triumphanta*. – Z pewnością z ich perspektywy miałyby to sens. Pasowałyby do akcji zamykania tunelu i blokowania wormholi.

– Chyba ma pan rację. – Richardson westchnął. – Wie pan, jestem poniekąd rozdarty: z jednej strony mam nadzieję, że to oni, a z drugiej, że jednak nie.

– Pewnie wszyscy tak mają – zgodził się Vangelis.

Ale nawet jeśli Manticore nie ma z tym nic wspólnego, Tamaguchi zrobi z tych ludzi marmoladę. Częściowo dlatego, że, jak podkreśla Kingsford, w chwili obecnej każde źródło przychodów jest na wagę złota, ale przede wszystkim będzie chciał wysłać sygnał. Niech każdy, komu marzy się bunt, dowie się, czym to się skończy. Zwłaszcza jeśli spróbuje układać się w tym celu z Manticore. A jeśli nawet nie, to niech się przekona, że Flota Pogranicza jest w formie i wypełnia swoje obowiązki. Niezależnie od tego, co mogło się zdarzyć Battle Fleet.

– Przejdzie granicy alfa za minutę, sir.



– Mówiłem ci, Tomaszu, że to się źle skończy – powiedział lodowatym głosem Hieronim Mazur. – I miałem rację.

– Zakładam, że pijesz do przybycia twoich nowych władców? – spytał Tomasz Szponder. – Przymierzasz już nową obrożę?

– Cokolwiek bym robił, wyjdę na tym nieporównanie lepiej niż ty.

– I pewnie im nie powiedziałaś, że tak naprawdę masz na stacji tylko jednego aparatczyka, który nie uzyskał jeszcze stanowiska w rządzie?

– To bez różnicy – stwierdził cynicznie Mazur. – Tak czy owak, admirałowi Tamaguchiemu

to wystarczy.

– Przypuszczam, że solarni instynktownie rozpoznają politycznego żigolaka, ledwie się odezwie – odciał się Szponder, ale zrobiło mu się mocno nieswojo.

Zespół Floty Pogranicza, którego przybycia tak się obawiali, wyszedł z nadprzestrzeni jakieś czterdzieści minut temu w odległości ledwie trzynastu minut świetlnych od planety. Jego dowódca miał sporo czasu, aby nawiązać kontakt z legalnym rządem w Łądku, ale skoro Mazur znał już jego nazwisko, to widać on został uznany za oficjalnego „delegata” układu.

Fakt, że Tomasz Szponder czy Szymon Ziomkowski zostali zignorowani, wskazywał, że solarni nie byli zainteresowani rozmowami z nikim innym.

Chociaż nie, on na pewno jeszcze się do nas odezwie, pomyślał gorzko Szponder. Przedstawi swoje żądania i powie wprost, co z nami zrobi w razie odmowy. Pytanie tylko, jak daleko się posunie w niszczeniu tego, co może się stać dla Ligi Solarnej całkiem niezłym źródłem dochodów.

Rozmawiając z Mazurem, nadrabiał miną, chociaż nie było to łatwe, w głębi ducha zaś przeklinał Gwiazdne Imperium Manticore. Bez wątpienia spodziewali się takiego właśnie rozwoju wydarzeń zmuszającego Ligę do dodatkowego rozproszenia sił. I Włocławek ma za to zapłacić. A on dał się nabrać, pociągając za sobą wszystkich bliskich i całą planetę.

Zastanawiał się, jak długo potrwają walki na dole. Ile dni lub tygodni minie, nim skąpiana we krwi planeta wpadnie im w ręce?

– Cóż, Hieronimie – odezwał się. – Zapewne twoi nowi władcy upomną się niebawem o należny im majątek. Ale uprzedź ich, że bez marines mogą nie zostać wpuszczeni. A, i jeszcze jedno. Wszystkie obiekty SEOM zostały zaminowane – dodał z ironicznym uśmiechem. – Podobnie zresztą jak inne aktywa tych przedstawicieli naszych szlachejnych elit gospodarczych, którzy stoją po twojej stronie. Weź to pod uwagę, gdy będziesz rozmawiał z solarnymi. Twój nowy przyjaciel Tamaguchi może nie być zachwycony, gdy zamiast bogatego i przynoszącego profity świata pozyska ruinę nadającą się tylko do kosztownej odbudowy.

– Nie śmiesz tego zrobić – mruknął Mazur. – A nawet gdyby, rzesze proli ci na to nie pozwolą. Mogą być głupi, ale są w stanie pojąć, co z nimi będzie, jeśli zniszczycie ich miejsca pracy. Ich życie.

– Tego właśnie nie rozumiesz, Hieronimie – powiedział cicho Szponder. – To nie jest „ich życie”. Nigdy nie było, właśnie przez takich jak ty. Ludzi, którzy robili, co w ich mocy, aby

biedni pozostali biednymi. Prolami, jak ich nazwałeś. To wy macie ich za bydło, gotowe lizać każdą dłoń, i nie bierzecie w ogóle pod uwagę, czy oni marzą o lepszym życiu. A oni chcą mieć wpływ na los swojego świata. Chcą zapewnić swoim dzieciom lepszą przyszłość, żeby nie musiały ginąć przez kogoś, kto uniknie potem odpowiedzialności, bo jest twoją kuzynką. Ci ludzie, którymi tak pogardzasz, rozumieją świetnie, na co się porwali, wspierając mnie i obecny Ruch Odrodzenia Narodowego. I owszem, są na tyle głupi, żeby podjąć walkę, jeśli zaś jedynym wyjściem będzie zniszczenie tego wszystkiego, co dawało im nadzieję, a co teraz znowu chcesz im zabrać, to też się nie zawahają. Zastanów się nad tym, chociaż wątpię, abyś cokolwiek zrozumiał. Solarni nie odbudują twoich zakładów. Niczego nie odbudują. Interesuje ich wyłącznie przejęcie nietkniętej infrastruktury, żeby od jutra mogli zacząć na niej zarabiać. Tyle że jej nie będzie. Gdy opadnie kurz, zostaniesz z pustymi rękami. A solarni mają gdzieś ludzi, którzy okazują się niewypłacalni.

Spojrzał na Mazura ze złością i przerwał połączenie.



– Chyba rozumiem sytuację, panie Miternowski – powiedział Winslet Tamaguchi.

Opóźnienie wynosiło wciąż ponad sześć minut świetlnych, co było irytujące, chociaż w ciągu sześćdziesięciu lat służby we Flocie Pogranicza Tamaguchi zdołał przywyknąć do różnych niedogodności. Zwłaszcza gdy miał do czynienia z prowincjonalnymi prymitywami w rodzaju tych dwóch, którzy gapili się właśnie na niego z ekranu. Z osobników tkwiących na stacji orbitalnej imienia Józefa Piłsudskiego zdecydowanie mniejszą pogardę budził w nim niejaki Tymoteusz Miternowski. On przynajmniej rozumiał, że jest tylko narzędziem. Od początku znał swoją rolę. Mazur zaś zdawał się nie pojmować, jak wielkie zmiany czekają jego „strefę komfortu”.

Głupie dranie zawsze oczekują, że przyjdziemy i naprawimy, co trzeba, po czym oddamy im wszystkie zabawki, pomyślał admirał. Ale to nie działa w ten sposób, panie Mazur. Coś mi się wydaje, że już jutro stanie się pan bardzo niepopularną osobą. Wielka szkoda.

W głębi ducha Winslet Tamaguchi miał oligarchów z Pogranicza w głębokiej pogardzie. O wiele bardziej szanował wykorzystywanych przez nich proli. Mogli sobie być niewykształceni i mieć podły gust, ale rzadko zdarzało im się sprzedawać braci dla osobistych korzyści.

Matka zawsze mu powtarzała, że z ignorancji można się wygrzebać, ale głupota jest nieuleczalna.

– Moje okręty powinny się znaleźć na orbicie Włocławka za jakieś dwie godziny i dziesięć minut – poinformował. – Oczekuję, że będzie pan wtedy gotowy przyłączyć się do mojej telekonferencji z panem Szponderem i jego niepraworządnym elementem. – Uśmiechnął się lodowato. – Nie chcę żadnych nieporozumień, gdy zacznę aktywne działania w celu przywrócenia legalnego rządu. W tym czasie...

– Przepraszam, admirale.

Tamaguchi nacisnął przycisk pauzy i na ekranie pojawiła się tapeta *Triumphanta*.

– Co? – warknął, podnosząc głowę.

– Przepraszam, że przerywam, sir – powiedział kontradmirał Lorne Yountz z takim wyrazem twarzy, że Tamaguchi zaraz się opanował.

– Co się stało, Lorne? – spytał swojego szefa sztabu już znacznie spokojniejszym tonem.

– Centrum informacji bojowej melduje wykrycie śladu wyjścia. Cała grupa, trzynaście jednostek. Znajdują się niemal dokładnie za naszą rufą w odległości 6,8 minuty świetlnej.



Wygląda na to, że Włocławek nie będzie taki nudny jak Golem, pomyślał Scotty Tremaine, wczytując się w meldunek centrum informacji bojowej.

Prawie się uśmiechnął, wspomniawszy swoje wcześniejsze refleksje na temat nudy na pokładzie.

Alistair McKeon i jego grupa operacyjna wyszły z nadprzestrzeni już trzy minuty temu, ale nie spieszyli się z przejściem do planet wewnętrznych. Nawet teraz zespół rozwijał tylko osiemdziesiąt trzy procent przyspieszenia najsłabszych jednostek. Nie było powodu, aby demonstrować solarnym prawdziwe możliwości okrętów, których nie mieli jeszcze okazji poznać. Stąd prędkość formacji wynosiła w tej chwili tylko 1500 km/s, podczas gdy drony systemu Ghost Rider mknęły przodem z przyspieszeniem 10 000 g. Tremaine chciał sobie obejrzeć to, co centrum rozpoznało jako osiem krążowników liniowych i osiem niszczycieli, znajdujących się dokładnie 104 808 572 kilometry przed nimi i kierujących się w stronę planety Włocławek z prędkością 27 948 km/s oraz deceleracją wynoszącą 3,83 km/s². Solarny zespół wyraźnie zamierzał wejść na orbitę planety. Ale już dziewięćdziesiąt sekund po wykryciu nowego zespołu chyba zmienili zamiar, co wystawiało całkiem dobre świadectwo ich dowódcy.

To musi być jakiś admirał Floty Pogranicza, pomyślał Scotty. Nikt z Battle Fleet nie zareagowałby tak szybko i nie próbował uciekać przed teoretycznie słabszym przeciwnikiem. To

duży postęp wobec sposobu myślenia Bynga i Crandall, nawet jeśli chodzi tylko o zyskanie czasu do namysłu. Naprawdę jestem zaskoczony takim przejawem rozsądku.

Tylko jak go przekonać, aby przestał być rozsądny?



– Centrala dokonała już identyfikacji obcych jednostek – zameldował kapitan Levine. Tamaguchi spojrział na niego wymownie i gestem zachęcił do przekazania czegoś więcej. Levine zerknął na tablet. – Jedna to albo przerośnięty ciężki krążownik, albo niewielki krążownik liniowy, sir. Kolejnych pięć to mogą być niszczyciele, a w każdym razie to, co RMN nazywa niszczycielami, jak można wnioskować z materiałów otrzymanych z New Tuscany. Mają jednak po co najmniej sto czterdzieści kiloton. Są też cztery jednostki, które z całą pewnością możemy zidentyfikować jako niszczyciele. Porównując z danymi z *Jayne's*, chodzi zapewne o typ *Culverin*.

Skrzywił się i Tamaguchi uśmiechnął się kwaśno, w pełni rozumiejąc ironię sytuacji: Levine musiał posługiwać się rocznikiem *Jayne's*, wydawnictwa o wielowiekowej tradycji, ale cywilnego, zamiast konkretnymi i zweryfikowanymi materiałami wywiadu floty, które winne być dostarczane każdemu oficerowi taktycznemu.

– Ponadto jest jeszcze coś, co wygląda na frachtowiec. Niezbyt duży, dwa–trzy miliony ton. Ale musi mieć kompensator typu Admiralicji, bo trzyma to samo przyspieszenie. Zatem pewnie transportowiec floty. No i jeszcze dwie jednostki kurierskie.

– Rozumiem. A ta wartość przyspieszenia? Potwierdzona?

– Tak, sir. Ruszyli dość wolno, ale cztery minuty temu osiągnęli $5,7 \text{ km/s}^2$.

– Zdecydowanie Manticore – podsumował kontradmirał Yountz.

– Tak, sir – powtórzył Levine. – I chyba nie naciskają za bardzo, skoro nie zostawili frachtowca za sobą.

– Pięćset osiemdziesiąt g to raczej sporo. Nawet całkiem sporo – powiedział szef sztabu. – Oddalenie frachtowca wiele by już pewnie nie dało.

– Zapewne nie dość, aby mogli nas przegonić, sir – zgodził się Levine. – Ale jeśli wierzyć niepotwierdzonym raportom, są w stanie wyciągnąć bez trudu sześćset czy nawet sześćset pięćdziesiąt g. Zatem jak na nich to faktycznie raczej niska wartość.

– Niska? – Yountz uniósł brwi.

Levine wzruszył z irytacją ramionami.

– Jak mówię, to niepotwierdzone meldunki. Ale jedyny solarny raport New Tuscany określił przyspieszenie ich pocisków na ponad sześćset. To było wtedy, gdy dostali *Jeana Barta*. Raport admirał O’Cleary po Spindle podaje te same wartości.

– Raport z New Tuscany jest mało przekonujący. I z całym szacunkiem, ale Keeley O’Cleary miała sporo powodów, aby objąć sobie dupę blachą – dodał Yountz tonem, w którym było zdecydowanie mało szacunku. – Naprawdę traktowałbym to z rezerwą.

– I Bradley tak właśnie robi – zauważył lodowatym tonem Tamaguchi. – Chyba że określenie „niepotwierdzony” znaczy dla pana coś innego niż dla mnie.

– Wiem, sir. To nie była złośliwość pod adresem Brada. – Yountz uśmiechnął się krzywo do oficera operacyjnego. – Po prostu uważam, że trochę trudno zaakceptować, że krążowniki liniowe Manticore dysponują większym przyspieszeniem niż nasze niszczyciele. Zgodzę się, że wywiad mylnie określił ich możliwości, ale stworzenie kompensatora o takim potencjale oznaczałoby kolosalny skok technologiczny.

– Owszem. – Tamaguchi kiwnął głową, po czym splótł ręce za plecami i spojrzął na główny ekran, aby rozważyć wszystkie możliwości.

Jeśli analiza centrum informacji bojowej była dokładna, a najpewniej tak, w zespole przeciwnika nie było ciężkich jednostek. Frachtowiec nie liczył się w walce, bez niego zaś stosunek tonażu faworyzował wyraźnie BatCruRon 720. Wszystkie okręty Manticore mogły mieć łącznie masę do półtora miliona ton, podczas gdy już same jego krążowniki liniowe dawały siedem milionów ton. Niemniej, jak wykazały spotkania admirał Crandall i admirała Filarety, tonaż nie musiał się przekładać na potencjał bojowy. Była to gorzka myśl, ale Winslet Tamaguchi nie chciał iść w ślady takich luminarzy myśli wojskowej, jak Sandra Crandall czy Josef Byng.

Massima Filaretę oceniał trochę łagodniej, w każdym razie jako dowódcę. Poza tym był głęboko wdzięczny Manticore, że wyeliminowało z puli geny Filarety.

Ale tak czy siak, Levine mógł mieć rację, wspominając o przyspieszeniu, do jakiego są zdolne jednostki RMN.

Nigdy się nie łudził, że zdołałby wygrać z nimi zwykły wyścig. Na szczęście – albo niestety, zależnie od perspektywy – nie musiał tego robić. Gdyby tamci chcieli zmusić jego znacznie liczniejszy zespół do walki, musieliby go dogonić przed granicą nadprzestrzenną, wcześniej przechodząc w pogoń za nim przez cały układ. Sam pomysł ucieczki przed teoretycznie słabszym przeciwnikiem daleki był od bohaterskiej postawy i mógł ściągnąć mu na głowę sporo kłopotów,

gdy już wróci na Starą Terrę. I nie była to atrakcyjna perspektywa. Jednak przy obecnej przewadze prędkości jednostki Manticore raczej nie miały szansy go dopaść, jeśli on im na to nie pozwoli.

Przynajmniej teoretycznie.

Jak pokazywał wyświetlacz, obecnie zostało im 687 191 428 kilometrów do granicy nadprzestrzennej. Przy maksymalnym przyspieszeniu mogli dotrzeć tam w ciągu trzech i pół godziny. Jednostki Manticore, idąc z obecnym przyspieszeniem, byłyby tam sześćdziesiąt jeden minut później. Jeśli jednak dysponowały rezerwą przyspieszenia, chociażby taką, jak opisywały to „niepotwierdzone” raporty, jego szanse zdecydowanie malały. Owszem, mógłby bardziej się postarać, rezygnując całkowicie z marginesu bezpieczeństwa w pracy kompensatorów, ale uzyskałby wówczas góra $4,78 \text{ km/s}^2$. Niemal cały kilometr na sekundę do kwadratu mniej, niż tamci robili w tej chwili, i to z frachtowcem w zespole. Na dodatek trzy z jego ośmiu okrętów były przeznaczone do remontu już wtedy, kiedy Josef Byng zdemolował stosunki Ligi Solarnej z Manticore, co spowodowało, że wszelkie przeglądy i prace remontowe zostały odłożone na czas nieokreślony. Szczerze wątpił, czy kompensatory tych trzech krążowników wytrzymałyby pełne obciążenie.

Problem w tym, rozmyślał ponuro, że nie przekazano mi tych wspaniałych pocisków, że bym uciekał na sam widok złych okrętów Manticore. Jestem pewien, że wypomną mi to po powrocie. I będą mieli rację. We wcześniej czy później musimy gdzieś z nimi wygrać! Ale po Saltashu nie mogę działać pospiesznie. Tam same pojemniki holowane wystarczyły do rozwalenia całego dywizjonu krążowników liniowych. Wszyscy ocaleli z zespołu Oxany twierdzą, że RMN miała tylko pięć lekkich krążowników, a ci tutaj mają co najmniej jedenaście. Nie wspominając o cholernym ciężkim krążowniku. Jeśli pozwolę im to rozegrać w ich stylu, stracę masę ludzi. Ale jeśli przy tej przewadze tonażu w ogóle uchylę się od walki, to czy kiedykolwiek zdołamy jakoś im się przeciwstawić?

To była nieciekawa sytuacja. Nie tylko ze względu na krytykę, jaka mogła go spotkać, jeśli nie podejmie działań ofensywnych. Sama zmiana przyspieszenia na kursie oddalającym ich od jednostek Manticore była naturalną reakcją, mającą pozwolić na zachowanie przewagi prędkości i dać czas na rozważenie opcji taktycznych. Był pewien, że nawet przy tak dużej teoretycznej przewadze rezygnacja z walki byłaby właściwą decyzją. Z drugiej strony, ktoś powinien natrzeć im uszu, a ten zespół wyglądał w miarę obiecująco...

– Przepraszam, sir – odezwał się oficer łączności komandor Phanindra Broadmoor.

– Tak, komandorze?

– Mamy wiadomość od dowódcy zespołu Manticore. Właśnie przyszła.

– A już się zastanawiałem, kiedy się odezwie. – Tamaguchi rozciągnął wargi w lekkim uśmiechu. – Proszę dać ją na główny ekran.

– Tak, sir.

Po chwili ujrzeli twarz wyjątkowo młodego kapitana w czarno-złotym mundurze, o chłodnych błękitnych oczach.

– Kapitan Prescott Tremaine, Royal Manticoran Navy – przedstawił się jeszcze zimniejszym głosem. – W imieniu mojej królowej i jej sprzymierzeńców wzywam was do wyłączenia ekranów i poddania się, co pozwoli uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Jeśli tego nie zrobicie, zaatakuję i zniszczę wasz zespół. Tremaine, bez odbioru.

Tak, to z pewnością zwycięże oświadczenie, pomyślał stojący za admirałem Bradley Levine. Do tego aroganckie i bardzo śmiałe w ustach kogoś, kto dowodzi tak niewielkim zespołem.

Tamaguchi spoglądał spokojnie przez kilka sekund na zastygłą na ekranie twarz Tremaine’a. Potem obrócił się do oficera łączności.

– Zapis do przesłania, komandorze – powiedział i spojrzał w obiektyw kamery.

– Mikrofon włączony, sir.

– Mówi admirał Winslet Tamaguchi z Solarian League Navy – zaczął zdecydowanym tonem.

– Odnoszę wrażenie, że jest pan bardzo pewny siebie, kapitanie Tremaine. Zapewne pokłada też pan wielką ufność w możliwościach pańskich okrętów. Niestety, nie podzielam pańskiego podejścia. Jeśli pragnie pan nawiązać walkę z moim zespołem i wierzy, że zdoła go zniszczyć, proszę spróbować to zrobić. Serdecznie pana zachęcam. Tamaguchi, bez odbioru.

– Nagranie czyste – powiedział po chwili Broadmoor.

– Zatem proszę je wysłać.

– Tak, sir.

Tamaguchi kiwnął głową i spojrzał na wyświetlacz. Musiał odczekać całe dziesięć minut.



– Jak na faceta, który pali się do walki, jest raczej mało bojowy – zauważyła ironicznie komandor Francine Klusener, szef sztabu Tremaine’a.

– Bo ma pecha, a nie jest idiotą – stwierdził z namysłem Scotty. – Nawet przy założeniu, że

dostał te same pociski, które wydali Filarecie, zanim ruszył na Manticore, musi zdawać sobie sprawę, że mamy nad nim przewagę ogniową. A jeśli słyszał o tym, co się stało w układzie Saltash, to raczej wolałby nie porywać się na nasze zasobniki, mając tylko dwa razy większy stan krążowników liniowych. – Kapitan zmarszczył brwi i spojrzał na oficera wywiadu. – Adelita, co wiemy o tym koledze?

– Niewiele, sir – odparła Adelita Salazar y Menéndez, która właśnie skończyła przeszukiwać katalog. – W zasadzie mamy tylko goły biogram i listę jednostek, którymi dowodził. Jest też uwaga, że solarni mają go za zdeterminowanego. Najwyraźniej został skierowany do kilku mało wdzięcznych prac na Pograniczu i dobrze się wywiązał. Do tego ktoś dopisał, że nie dąży specjalnie do rozlewu krwi, ale nie ma oporów przed zabijaniem miejscowych, jeśli jest to konieczne.

– Czyli nawet jeśli gotów jest walczyć, wolałby tego uniknąć – mruknął Tremaine, pocierając koniuszek nosa.

Nikt nie zauważył dyskretnego uśmiechu sir Horace’a Harknessa, który rozpoznał ten gest.

– Przepraszam, sir, ale chciałbym zwrócić uwagę, że on dysponuje całkiem dobrym systemem obrony przeciwrakietowej – odezwała się Klusener. – Nie tak dobrym jak nasz, ale z większą liczbą antyrakiet. Filareta dysponował też sporą ich liczbą na kadłubach zasobników. Tamaguchi także może je mieć.

– Tak, dobrze o tym wiem. – Tremaine uśmiechnął się zimno. – Gdy nasze drony ich dogonią, obejrzą ich sobie i zobaczą, czy nie niosą niczego na kadłubach. Poza tym my też mamy trochę antyrakiet. I to zdecydowanie celniejszych. Nie mam zamiaru bawić się z nimi w honorową wymianę ciosów, Frannie. I pewnie nam to nie grozi, jak przypuszczamy Horace, Adam i ja, odkąd otrzymaliśmy raporty wywiadu o ich nowych pociskach. Jeśli spróbują strzelać do nas na maksymalnym zasięgu, będą bardzo rozczarowani liczbą trafień. Problem raczej w tym, jak go przekonać, aby dopuścił nas wystarczająco blisko. Tak, żebyśmy mogli go zniszczyć. – Potarł ponownie czubek nosa i spojrzał na stanowisko astrogatora. – Elspeth, opowiedz mi coś więcej o naszym przyjacielu Tamaguchim.

– Utrzymuje stałe przyspieszenie trzystu dziewięćdziesięciu g, co w przypadku typu *Nevada* oznacza pozostawienie standardowego dwudziestoprocentowego marginesu bezpieczeństwa. To znaczy, że ma pewną rezerwę, chociaż wiele zależy też od innych czynników, jak na przykład stan jego kompensatorów. W tej chwili robi 29,2 tysięcy kilometrów na sekundę i zwiększył

dotąd dystans o prawie 15 milionów kilometrów. Dzięki naszemu przyspieszeniu jesteśmy w stanie zniwelować jego przewagę prędkości, ale przy obecnych wartościach wyzerujemy ją za 3,6 godziny.

– Czyli zdąży uciec w nadprzestrzeń.

– Tak, sir. Jakież jedenaście minut wcześniej.

– I jaki wtedy będzie dystans między nami?

– Będziemy 277,7 miliona kilometrów za nim.

– A jeśli damy maksymalne przyspieszenie?

– Tempo zbliżania prawie się podwoi. Zakładając, że nie zmienią swojego przyspieszenia. Zrównanie prędkości nastąpi za godzinę i trzy minuty, 87 minut przed osiągnięciem przez niego granicy. Będziemy wtedy mniej więcej 209 milionów kilometrów za nim, jemu zaś pozostanie 350 milionów kilometrów do granicy. Zaczniemy zmniejszać dystans, ale i tak zdoła przekroczyć granicę jakieś 28 minut przed nami, dystans zaś będzie wynosić wtedy 167 milionów kilometrów.

– Tak mi się wydawało. – Tremaine kiwnął głową. – Zatem nie damy rady go złapać.

Mimochodem odnotował, że nikt z jego podwładnych nie zauważył głośno, iż przy takiej różnicy tonażu był to niemalże pościg treecata za hexapumą.

Z tą może różnicą, że ten akurat kotowaty był wyposażony w karabin pulserowy, pomyślał. A jeśli nie uda mu się dojść wystarczająco blisko...

– Może by tak cofnąć się do granicy, wykonać mikroskopik przez układ i przechwycić go po drugiej stronie, sir? – zasugerował komandor porucznik Golbatsi.

– Ile by to trwało, Elspeth?

– Chwileczkę. – Dreyfus pochyliła się nad panelem. – 11,5 minuty na wytracenie prędkości do zera wobec Włocławka. Zakładając, że zostawimy *Charlesa Warda* i weźmiemy tylko okręty o osiągniach *McKeon*. Bylibyśmy wtedy jakieś 207 milionów kilometrów poniżej granicy, powrót zająłby nam więc 40 minut. Łącznie mniej więcej godzina i czterdzieści trzy minuty.

– Czyli nadal miałby dwie godziny do granicy – zauważył Horace Harkness.

– Tak, ale domyśliłby się, co szykujemy, gdy zaczęlibyśmy zwalniać – powiedział Tremaine.

– Elspeth, a co się stanie, jeśli da, powiedzmy, dziewięćdziesiąt procent maksymalnego przyspieszenia?

– Przy dziewięćdziesięciu procentach... – powiedziała Dreyfus, wprowadzając dane – osiągnie granicę w dwieście minut. Przy stu procentach zrobi to dziesięć minut wcześniej.

– Więc mielibyśmy godzinę, żeby coś z nim zrobić.

– Tak, sir – zgodził się Golbatsi. – Przy czym raczej nie osiągnie stu procent. Solarni tego nie lubią. Zwłaszcza przy przewadze tonażu.

– Skoro przestał zwalniać, to raczej nie jest typowym solarnym, Adamie – stwierdził Tremaine. – Gdy zorientuje się, co robimy, i naprawdę nie chce walczyć, rozproszy swój zespół i pośle poszczególne jednostki różnymi kursami do granicy. A ma ich więcej niż my. Samo przechwycenie krążowników liniowych to będzie mordęga. Poza tym jest jeszcze i ta trudność, że przy mikroskopkach astrogacja niekiedy zawodzi. Trudno o precyzję. Niemal na pewno chybimy i wielkość kilku milionów kilometrów może się zwiększyć. Bez obrazu, Elspeth. – Uśmiechnął się do astrogatorki, która odpowiedziała uśmiechem.

– Nie ma sprawy, sir – zapewniła.

– Jeśli mocno ich przyciśniemy w pościgu, parę jednostek może doznać katastrofalnych awarii kompensatorów – odpowiedział Harkness. – Zawsze to coś.

– Ale ja nie chcę paru – powiedział ponuro Tremaine. – Chcę wszystkie.

I bez zabijania ponad konieczność, pomyślał. Po tym, co wydarzyło się w Saltashu, wiemy dobrze, jak bardzo ich deklasujemy. Nawet jeśli oni tego nie rozumieją i ogólnie są strasznie wkurzający, to jeszcze nie powód, aby ich mordować.

Cofnięcie się i skok przez układ niemal na pewno wyprowadziłyby nas na dobrą pozycję, rozmyślał. Całkiem inaczej niż powiedziałem głośno, ale mielibyśmy ograniczone możliwości działania. Biorąc pod uwagę ich prędkość zbliżania, musiałbym ostrzelać natychmiast wszystkie jednostki, żeby nie pozwolić im przejść granicy i uciec. Nawet gdyby zaczęli zaraz zwalniać, i tak wyhamowaliby poza granicą. A ja nie mam dość ludzi, aby obsadzić tyle przyzów. Nie wspominając o tym, że nasze pinasy nie dałyby rady zrównać się z nimi, żeby przekazać drużyny abordażowe przed przejściem granicy. Ale jak by tu...?

Dłoń, która pocierała nos, nagle zamarła w bezruchu. Przez kilkanaście sekund patrzył na ekran, po czym uśmiechnął się i obrócił do porucznik Stilson MacDonald, jego oficer łączności.

– Chyba muszę porozmawiać z kapitan Lewis – powiedział.

ROZDZIAŁ LXXI



Gotów do manewru na rozkaz, ma'am – oznajmił komandor porucznik Nakhimov.

Ginger Lewis uniosła głowę znad wyświetlacza nakresowego, na którym sprawdzała plan sporządzony przez Scotty'ego. Obróciła się z fotelem do głównego ekranu.

– Uciekaj, uciekaj! – mruknęła pod nosem.

Była to jedna z jej ulubionych kwestii z pewnego strasznie starego „filmu”, który księżna Harrington pokazała jej (oraz większości załogi HMS *Wayfarer*) podczas pierwszego rejsu. Na szczęście nikt z wachty na mostku jej nie usłyszał. Nie była pewna, czy takie cytaty pasują do powagi stanowiska dowódcy.

Charles Ward znajdował się ponad 136 580 000 kilometrów poniżej granicy nadprzestrzennej i zbliżał się do Włocławka z prędkością 13 908 kilometrów na sekundę. Podobnie jak reszta grupy operacyjnej TG 10.2.9, nadal zostawał w tyle za solarnymi, chociaż tempo zwiększania dystansu równomiernie malało. Zaraz jednak miał on zacząć rosnąć.

Trochę dziwnie było uciekać przed wrogiem. Ginger Lewis przeżyła już coś podobnego na pokładzie jednostki pomocniczej, która natknęła się na krążowniki liniowe, i nie wspominała miło tego doświadczenia. Ale była pewna różnica pomiędzy obecną a tamtą sytuacją. Były też jednak i podobieństwa, nie wszystkie pożądane. Najważniejsze było to, że kapitan *WC* była o wiele mniej doświadczona niż osoba dowodząca wtedy *Wayfarerem*.

Ginger rozejrzała się po mostku. *Charles Ward* był jednostką uzbrojoną, ale nie miał osobnego pokładu dowodzenia, jak prawdziwy okręt. Istniało rezerwowe stanowisko dowodzenia, włączone do centrum informacji bojowej, obsadzone obecnie przez porucznik Burgulę Gödert, oficera taktycznego, oraz porucznik Yolandę Cornelius, oficera walki radioelektronicznej. Analogiczne stanowiska na mostku obsadzali komandor porucznik Atkins i Paulo d'Arezzo. Można się było spodziewać, że w najbliższym czasie nie znajdzie się dla nich wiele roboty.

W tej chwili najważniejsze było to, co zasygnalizował Nakhimov.

– Rozpocznij manewr separacji, Oliver – powiedziała głośno.

– Rozpaczynam manewr separacji, ma'am – odparł porucznik Primikynos ze stanowiska kontroli ładunku.

Ginger uśmiechnęła się. Nigdy nie była dobrym oficerem taktycznym, ale pewne rzeczy potrafiła docenić.

Nie sądziłam, że tak to wyjdzie, pomyślała. Jestem inżynierem, cholera, nie oficerem taktycznym. Ale zaczynam coraz bardziej to lubić. Scotty i Harkness zawsze stanowili podstępny duet i pewnie księżna byłaby z nich dziś dumna. To dobrze, że moja robota jest taka łatwa, a gdyby coś się posypało, Creswell zdoła mnie z tego wyciągnąć.

Po prawdzie dobrze wiedziała, że gdyby „coś się posypało”, sama zrobi, co tylko będzie w jej mocy, aby to naprawić, ponieważ była starsza od komandora Henry’ego Creswella, dowódcy HMS *Feng Meng*. Zatem to byłby jej obowiązek. Nigdy jednak nie sądziła, że przyjdzie jej dowodzić zespołem okrętów...

– Manewr separacji wykonany – oznajmił Primikynos.

– Porucznik Mallard potwierdza utrzymanie formacji – powiedział chwilę później porucznik Sughavanam.

– Bardzo dobrze – odrzekła Ginger, odnosząc się do obu meldunków, i spojrzała na Nakhimova. – A teraz, Mitya, chyba pora udać się całkiem gdzie indziej. Ruszamy.



– Przepraszam, sir – powiedział Bradley Levine i Tamaguchi odwrócił się od ekranu nakresowego. – Frachtowiec wykonał zwrot i razem z pięcioma jednostkami oddala się od głównej grupy. Ta piątka to chyba *culveriny* i jeden z lekkich krążowników. Główną grupę oznaczyliśmy jako Sierra 1, tę zwalniającą jako Sierra 2. Obecnie utrzymuje ona przyspieszenie 5,7 km/s².

– Odsyłają frachtowiec z pola walki, sir? – spytał Yountz, stając obok Tamaguchiego.

– Może, ale to trochę bez sensu – odparł po chwili. – Dlaczego dopiero teraz? Frachtowiec musi mieć dużą rezerwę bezpieczeństwa kompensatora, skoro utrzymuje takie przyspieszenie. Już wyciąga dwanaście procent więcej niż nasze, nawet te z kompensatorami wojskowego typu i przy mocy stu procent. Gdyby tylko chcieli odstawić go gdzieś dalej, wystarczyłoby zmniejszyć przyspieszenie. Zostaliby za rufą i już. Byłby to bezpieczniejszy manewr i mogli go wykonać w dowolnej chwili.

– Poza tym, gdyby chodziło tylko o zostawienie go w tyle, nie dostałby połowy ich uzbrojonych jednostek do towarzystwa – stwierdził jego szef sztabu.

Tamaguchi przytaknął z namysłem.

– Sir, przyspieszenie Sierra 1 właśnie wzrosło – oznajmił Levine. – Zapewne do sześciuset g, może trochę więcej. – Oficer operacyjny przyjrzał się odczytom. – Sześćset pięć, sir. Dokładnie 5,9 km/s².

– Dziękuję, kapitanie – powiedział Tamaguchi. Rosnące przyspieszenie Sierry 1 potwierdzało, że tamci zostawili frachtowiec, aby wykorzystać pełne możliwości swoich okrętów. Te dodatkowe 25 g to było coś. Maksymalne przyspieszenie takich rozmiarów ciężkiego krążownika SLN wynosiło tylko 501 g, i to bez marginesu bezpieczeństwa kompensatora. Kapitan Tremaine raczej nie naruszał tej rezerwy, a jeśli dane z New Tuscany były prawdziwe, to nie naruszał jej na pewno. Chociaż był blisko. Inaczej obecny wzrost przyspieszenia byłby wyższy niż cztery procent. Ale czy w ten sposób...

– Astro, kiedy dojdą do granicy z nowym przyspieszeniem?

– Trochę wcześniej, sir – odpowiedziała kapitan Shreeyash, która musiała już to przeliczyć. – O jakieś cztery minuty, ale i tak będą 51,4 minuty za nami.

– A gdzie wtedy będzie frachtowiec?

– Sekundę, sir. – Astrogatorka wprowadziła dane i obejrzała się na dowódcę. – Zakładając, że wszystkie wartości przyspieszeń pozostaną niezmienione, przejdzie granicę jakieś 18,7 minuty przed nami.

Tamaguchi skinął głową i spojrzał na główny ekran nakresowy.

– Ciekawe... – mruknął cicho i wzruszył ramionami, widząc pytające spojrzenie Yountza. – Zastanawiam się, co ten frachtowiec ma w ładowniach – wyjaśnił.

– Pewnie wsparcie logistyczne – zasugerował Yountz. – Chyba że to transportowiec z wojskiem. Mogli wziąć ze sobą marines do operacji na planecie.

– Nie sądzę, aby zakładali, że potrzebne będzie aż tak duże wsparcie naziemne – rzucił Tamaguchi takim tonem, jakby chodziło o coś oczywistego. – Szponder zdaje się mieć totalne poparcie, żadnej zbrojnej opozycji. Nie, to frachtowiec. Zapewne masz rację. I założę się, że głównie z amunicją. Krążowniki i niszczyciele nie mają zbyt pojemnych komór, tym bardziej gdy w grę wchodzi potężne rakiety wielostopniowe. Chyba dlatego Manticore buduje teraz takie wielkie okręty. Te ich „ciężkie krążowniki”...

– To ma sens, sir – zgodził się Yountz.

– No dobrze. Wygląda na to, że Tremaine zdołał podkreślić kompensatory, ale nawet teraz... – zerknął na Shreeyash – nas nie złapie. Zatem kto wie, czy nie próbuje upiec dwóch pieczeni

przy jednym ogniu.

Yountz znowu spojrział na niego pytająco. Tamaguchi odwrócił się do ekranu i splótł ręce za plecami.

– Oddalenie frachtowca dało Sierze 1 trochę większe szanse w pościgu, ale to nie wystarczy, żeby nas złapać, jeśli na to nie pozwolimy. Ale fakt, że frachtowiec zwalnia tak gwałtownie i że towarzyszy mu zespół jednostek, wydaje się dość niepokojący. Przypuszczam, że zasadniczo chodziło o ułatwienie roboty zespołowi Sierra 1. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale *Jayne's* podaje chyba, że ich *culveriny* weszły do służby na przełomie wieków. Więc niektóre mają co najmniej dwadzieścia dwa lata. Możliwe, że nie zostały wyposażone w nowsze, wydajniejsze kompensatory. W każdym razie zapewne nie wszystkie. Zatem pożytek taktyczny z takiego manewru jest oczywisty. Zwłaszcza że to lekkie jednostki. Jednak nie wydaje mi się, aby o to właśnie chodziło.

– Zgadzam się, że to wątpliwe, sir – przytaknął Yountz. – Ale jeśli nie o to, to o co?

– Rysuje się przynajmniej jedna paskudna możliwość. Tym bardziej, że wzrost przyspieszenia jest niewielki. Skoro frachtowiec wyciąga 5,7, mniejsze o osiemdziesiąt procent okręty zdecydowanie winny być zdolne do czegoś więcej. Ale przypuśćmy, że Tremaine wcale nie ma zamiaru dogonić nas z zespołem Sierra 1, a jego frachtowiec jest wyładowany tymi paskudnymi zasobnikami raketowymi, które zostały wykorzystane przeciwko Crandall. Może chcieli rozstawić ich tu trochę, żeby stworzyć system obronny po przejściu układu od Szpondera? I powiedzmy, że Tremaine wysłał teraz Sierrę 2 do granicy z rozkazem wykonania mikroskoku na przeciwległy skraj układu? Osiemnaście minut to dość, aby ich frachtowiec wszedł w nadprzestrzeń, wykorzystał lokalną falę grawitacyjną dla zbiccia prędkości i wyszedł przed nami. To astrogacyjnie trudne, ale wykonalne. I przypuśćmy, że Tremaine chce wykorzystać frachtowiec do zostawienia zasobników na naszym kursie, podczas gdy Sierra 1 będzie nas wpędzać prosto w pułapkę. Nawet ich frachtowce raczej nie mają systemów sterowania zasobnikami, ale po coś posłał tam jeszcze kilka mniejszych okrętów. Może właśnie ze względu na ich systemy celownicze?

– To bardzo nieciekawa perspektywa, sir – skomentował po chwili Yountz.

– W rzeczy samej. Ale raczej przekombinował. Wyraźnie najważniejszy jest dla niego problem, że mimo większego przyspieszenia nie dogoni nas przed granicą. I stara się coś z tym zrobić. Ale jak sam zauważyłeś, odsyła czterdzieści pięć procent swojej grupy, aby czekała na nas

sześćset milionów kilometrów od miejsca, gdzie teraz jesteśmy. Wraz z tym transportowcem ubyłoby mu też zasobników, które mógłby wykorzystać w walce w obrębie układu.

Yountz skinął głową.

– Rozdzielił swoje siły, a my mamy na stanie *F2C*. Jego ptaszki mogą być szybsze od naszych, ale zasięg mamy podobny. W rzeczywistości nasze są nawet lepsze. Nic nie wiadomo o tym, aby ich pociski były zdolne do wykonania fazy balistycznej, więc może rzeczywiście nie przewidzieli dla nich takiej możliwości. Wraz z odesłaniem ponad czterdziestu procent zespołu Tremaine osłabił poważnie własną obronę przeciwrakietową. – Admirał uśmiechnął się chłodno do szefa sztabu. – Nie wiemy, jak dobre są te ich pociski, ale nie mogą być o wiele lepsze od *F2C*. Jeśli więc w swojej arogancji uważają, że mogą nawiązać z nami walkę nawet połową sił, dają nam idealną sposobność przekonania się, co naprawdę potrafią ich systemy uzbrojenia. Zobaczmy, jak blisko nas dopuszczą. To powie nam wiele o ich zaufaniu do własnych rakiet.



– Chyba to kupili, sir – zauważył Harkness i Tremaine skinął głową.

Minęło pięć minut od chwili, gdy HMS *Charles Ward*, lekki krążownik *Feng Meng* i wszystkie cztery niszczyciele typu *Culverin* z komandor Jemimą Toulouse ruszyły przeciwnym kursem, oddalając się od głównego zespołu. Cały pościg trwał już czterdzieści jeden minut.

Obciążone do dziewięćdziesięciu procent kompensatory i impellery *Charlesa Warda* mogły dać 635 g. Oczywiście bez obciążających kadłub zasobników. Na razie jednak nie chcieli ujawniać tego solarnym. Tymczasem *Alistair McKeon*, lekki krążownik *Rama* porucznika Jansena Slagle'a i cztery *rolandy* komodor Priscilli Tanager zwiększyły przyspieszenie do osiemdziesięciu trzech procent mocy kompensatorów ciężkiego krążownika. Tremaine miał nadzieję, że solarni uznają to za kres ich możliwości, przekonani, że frachtowiec spowalniał zespół, który teraz wreszcie mógł przyspieszyć. Obecnie dystans między *McKeonem* a eskadrą Tamaguchiego zwiększył się do 58 644 475 kilometrów, ale przewaga prędkości solarnych spadła od początku pościgu z 26 448 km/s do zaledwie 21 297.

Co więcej, Tamaguchi właśnie odwrócił swoje jednostki i zwiększył jednocześnie ich przyspieszenie do dziewięćdziesięciu procent mocy krążowników liniowych typu *Nevada*, co wydawało się jednoznacznym sygnałem, że dąży do starcia. Miał teraz 439 g, z przyspieszeniem 10,2 km/s². Jeśli utrzyma te wartości, powinni minąć się za ponad dwie godziny z sumaryczną prędkością 61 668 km/s.

Wedle klasycznych reguł i zdrowego rozsądku powinienem teraz zawrócić Ginger, pomyślał Tremaine. Ale Tamaguchi ma nabrać przekonania, że nie jestem aż tak rozsądny. Jeśli zaś wciąż nie rozumie, dlaczego właściwie nasze przyspieszenie było tak niewielkie...



Winslet Tamaguchi siedział w fotelu dowódcy i spoglądał na główny ekran nakresowy z kolorowymi obszarami oznaczającymi zasięg pocisków. W tej chwili jego okręty znajdowały się daleko poza domniemaną sferą rażenia jednostek Manticore, ale karmazynowa bańka nieustannie się rozrastała, w miarę jak malała różnica prędkości między BatCruRon 720 a Sierrą 1. Spore ścięcie marginesów bezpieczeństwa kompensatorów było ryzykowne, ale zależało mu na jak największej prędkości spotkania z zespołem Tremaine'a.

Ostatnie szacunki wywiadu marynarki mówiły, że pociski Manticore osiągały chwilowe przyspieszenie 92 000 g i stałe przyspieszenie 46 000 g przy czasie pracy napędu wynoszącym sześć minut. Był to dwa razy lepszy czas niż w przypadku najnowszych pocisków SLN, w tym także typu *Cataphract*. Zakładając, że były to dokładne liczby, przypisywany im zasięg 30 milionów kilometrów wydawał się całkiem prawdopodobny. Z drugiej strony nikt jeszcze nie widział (a jeśli widział, to nigdy o tym nie zameldował) pocisku Manticore, który przerwałby lot napędowy, po czym go wznowił. Jak dotąd nikomu nie udało się zbudować takiego napędu pocisku. Gdy napęd raz został włączony, wypalał się do końca i rakieta stawała się zwykłym pociskiem balistycznym pozbawionym zdolności manewrowych. Stawała się łatwym łupem systemów obronnych i nie było ważne, z jaką prędkością nadlatywała. Prosto ją było namierzyć i trafić, czy to antyrakieta, czy laserami, sam cel zaś też mógł wykonać błyskawiczny unik. Można było więc przyjąć, że pociski Manticore dysponowały tylko jedną jednostką napędową, która została w jakiś sposób przystosowana do bardzo długiego czasu pracy. Inaczej niż w pociskach typu *Cataphract*, które miały dwa osobne moduły napędu, dzięki czemu mogły włączyć w profil ataku fazę lotu balistycznego. Mimo to zasięg ich skutecznego ataku także nie przekraczał 30 milionów kilometrów.

Rozwinięta od czasu wprowadzenia pocisków *Cataphract* doktryna zalecała nawet wykorzystywanie tej ich cechy. Miała ona zniwelować częściowo przewagę Royal Manticoran Navy. Nawet przy strzałach na ogromne odległości pociski te miały szansę przejść aktywnie przez obronę przeciwnika.

Teoria przedstawiała się bardzo ładnie. Z praktyką było gorzej. Filareta otrzymał pociski

F2C przed atakiem na układ Manticore, ale najwyraźniej mu to nie pomogło.

Fragmentaryczne doniesienia na temat przebiegu tamtej bitwy, jak i liczne spekulacje mówiły, że flota Manticore wciągnęła zespół Filarety w zasadzkę. Całkiem nagle się dowiedział, że jest już w zasięgu pocisków przeciwnika, który podszedł tak blisko, korzystając z systemów stealth, także znacznie bardziej zaawansowanych niż w przypadku Ligi Solarnej. W przeciwieństwie do Filarety Winslet Tamaguchi zjawił się jednak w tym układzie jako pierwszy i na własne oczy widział późniejsze przybycie wroga, przez co kwestia maskowania traciła na znaczeniu. Odkrył też już, że przeciwrakiety tamtych miały większy zasięg niż jego, co było przykrą niespodzianką i kosztowało ich utratę wszystkich dronów zwiadowczych, które Levine wysłał w ich kierunku. Żaden nie podszedł bliżej niż na pięć sekund świetlnych. Wolalby podprowadzić je bardziej i Levine nadal próbował to zrobić. Ważniejsze jednak było, że BatCruRon 720 widział dobrze wszystkie ślady napędów w promieniu dziesięciokrotnie większym niż ich obecna odległość od przeciwnika, zatem raczej nie musiał obawiać się zasadzki.

Ale Tremaine wie, że ja to wiem. RMN nie tylko widziała *F2C* w akcji w układzie Manticore, ci dranie musieli je też zdobyć. Znali więc najpewniej ich dokładne charakterystyki. Dlaczego więc Tremaine nadal dążył do walki?

Wobec tylu niewiadomych Tamaguchi musiał podejść jak najbliżej. Nie zamierzał otwierać ognia wcześniej niż Sierra 1. Przy strzałach na ogromny dystans celność była bardzo mała, a nie było go stać na marnowanie pocisków, zwłaszcza że większość z nich, prawie dwa tysiące, znajdowała się w zasobnikach na kadłubach jego krążowników liniowych. Chciał zachować je na później, jak najdłużej nie wystawiając ich na ostrzał przeciwnika. Najchętniej aż do chwili, gdy dystans będzie niemal równy zeru. Przy walce na małą odległość jego pociski byłyby najskuteczniejsze. Co więcej, powyżej 7 milionów kilometrów wyrzutnie niszcycieli były bezużyteczne. *War Harvest* dysponował tylko sześcioma wyrzutniami, ale przy sumarycznej prędkości spotkania i intensywnym ostrzale jego ocalałe jednostki miały szansę uciec w nadprzestrzeń po przeciwległej stronie układu.

Nie były to wielkie szanse, ponieważ zasięg rzędu 30 milionów kilometrów dawał tamtym całkiem sporo czasu na ostrzał także po minięciu się obu formacji. Nawet zakładając, że Sierra 1 w ogóle nie zmieni przyspieszenia, BatCruRon 720 potrzebowałby ponad piętnastu minut, aby wyjść z tak rozległego obszaru. Mimo wszystko było to wykonalne, a jak dotąd Tremaine zdawał

się dążyć do starcia równie energicznie jak Tamaguchi.

Dowódca Manticore mógłby wykorzystać większą zdolność przyspieszania, aby utrzymać dystans podczas walki i zrobić użytek ze swoich pocisków. Ale utrzymywał przyspieszenie, Sierra 2 zaś zdążyła obecnie w przeciwnym kierunku. Dystans między BatCruRon 720 i Sierrą 1 wzrósł do 171 832 356 kilometrów, ale przewaga prędkości Tamaguchiego wynosiła już tylko 16 709 km/s. Podczas gdy on zwalniał, Tremaine nadal przyspieszał, w związku z czym dystans już niebawem miał zacząć się zmniejszać. W chwili osiągnięcia względnej prędkości zerowej BatCruRon 720 miał znajdować się w odległości pół godziny świetlnej od granicy nadprzestrzennej. Oznaczało to, że byłaby ona osiągalna po 263 minutach lotu. Zespół Sierra 1 mógł tam dotrzeć w ciągu 227 minut. Nawet gdyby Tamaguchi wykonał wtedy odwrót, Sierra 1 dogoniłaby go po dwóch godzinach i dziesięciu minutach, w odległości 49 358 000 kilometrów od granicy.

Krótko mówiąc, uniknięcie walki wydawało się wręcz fizycznie niemożliwe, jeśli przeciwnik się nie rozmyśli.

Sądząc po jego dotychczasowym postępowaniu, nie było to prawdopodobne.

Tamaguchiego dręczyło pytanie, dlaczego Tremaine tak uparcie się zbliża. Musiał wiedzieć coś o *cataphractach*. Nie mógł wiedzieć, czy Tamaguchi je ma, ale musiał założyć, że to możliwe, a tym samym że mógłby zaatakować z dużego dystansu. Skoro tak, to dlaczego Tremaine zaczepiał osiem krążowników liniowych, dysponując tylko lekkimi jednostkami?

Nie, to nie jest atak na oślepa, pomyślał Tamaguchi. Wielka szkoda, ale nie jest. Tylko co on, u diabła, planuje?

– On coś kombinuje – mruknął. – To nie jest głupi młodziak.

– Słucham, sir?

Tamaguchi spojrział zdumiony wokół. Dopiero po chwili dotarło do niego, że wypowiedział ostatnie zdanie głośno. To chyba nie był dobry znak.

– Jeśli mówił pan do mnie, to nie dosłyszałem, sir – dodał przepraszającym tonem kapitan Levine.

– Nie, mówiłem do siebie. Ale nie otrzymałem odpowiedzi, więc pewnie nadal szukam kilku informacji. – Rozciągnął wargi w ledwie zauważalnym uśmiechu. – Staram się odgadnąć, co Tremaine właściwie zamierza.

– Czasem najwłaściwsza jest odpowiedź najprostsza – powiedział kontradmirał Yountz,

włączając się do rozmowy. – Chociaż przyznam, że zwykle lepiej zakładać, że jednak nie. Niemniej on rzeczywiście może atakować bez szczególnego planu, byle przeć przed siebie.

– Niestety, takie działanie pasuje raczej do naszych kolegów z Battle Fleet niż do Royal Manticoran Navy – zauważył kwaśno Tamaguchi. – Oni nie oddają byle komu dowodzenia tymi swoimi przerośniętymi krążownikami, które praktycznie są odpowiednikami naszych krążowników liniowych. Mają olbrzymią siłę ognia i idealnie się nadają do namierzania i wykorzystywania słabych punktów przeciwnika. Tak, oni mają z kogo wybierać. Zatem ten oficer może być młody, może się mylić i być może naprawdę popełnia poważny błąd, ale nie jest głupcem. A jeśli wie coś o *F2C*, to także zdaje sobie sprawę, że wejdzie niebawem w ich zasięg. Dlaczego ogar, nawet bardzo zajadły, miałby się pchać w łapy niedźwiedzia?

– I dlaczego w ogóle zaczął pościg? Gdyby uważał, że nie da nam rady ze swoimi pociskami, raczej rzuciłby się do ucieczki – zauważył rozsądnie Yountz.

– Sugeruje pan, że to błąd? – spytał Levine z lekką nutą niedowierzania w głosie, ale wzruszył ramionami, gdy przełożeni na niego spojrzeli. – Jeśli wierzy, że możemy być przerażeni samą perspektywą wystawienia się na ostrzał ich nowoczesnymi pociskami, to może ma nadzieję, że po prostu uciekniemy z układu bez walki?

Nie powiedział, że Tremaine miał raczej nadzieję, iż BatCruRon 720 przestanie uciekać, zauważył w duchu Tamaguchi. Bo raczej tak było. Miło z jego strony.

– Może z początku tak myślał, ale teraz jest całkiem jasne, że nie zamierzamy uciekać – powiedział Yountz.

Levine skinął głową.

– To prawda, sir. Ale przy takiej przewadze przyspieszenia nadal mógłby się oderwać i uniknąć walki. Gdyby to zrobił w ciągu... – oficer operacyjny zerknął na ekran – najbliższych trzydziestu sześciu minut, nie szedłby w ogóle poniżej dystansu trzydziestu milionów kilometrów.

Yountz zmarszczył brwi. Tamaguchi nie miał o to pretensji do kontradmirała, ponieważ wywód Levine'a był jak najbardziej logiczny. Jeśli Tremaine nie skorzysta z tego przedziału czasowego, dystans zmniejszy się do 8,9 minuty świetlnej, wciąż sporo poza zasięgiem, z sumaryczną prędkością zbliżania 22 502 km/s. I nawet gdyby dopiero wtedy Tremaine próbował się oderwać, co nie byłoby raczej dobrym pomysłem, Tamaguchi nie zdołałby zbliżyć się do niego na 30 milionów kilometrów. Co więcej, jednostki Manticore niemal na pewno

dysponowały rezerwą przyspieszenia. Bardzo wątpliwe, aby pokazały już teraz, co naprawdę potrafią. Możliwe więc, że Tremaine mógłby zwlekać z ucieczką nawet trochę dłużej.

No i był jeszcze drugi aspekt rozumowania Levine'a. Jeśli Tremaine nie oderwie się w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu minut, BatCruRon 720 żadnym sposobem nie zdoła uniknąć starcia.

To była mało komfortowa myśl, ale Tamaguchi pogodził się z nią już w chwili, gdy nakazał wykonać odwrót. Cokolwiek ktoś mógł sobie pomyśleć, nie zrobił tego z obawy przed późniejszą krytyką swoich działań, gdyby uciekł, mając „zdecydowanie silniejszy” zespół. Wiedział, że i tak znajdzie się na cenzurowanym, ale o wiele bardziej niż własna kariera obchodziło go życie podwładnych. Solarni admirałowie nazbyt często zapominali ostatnio o tej kwestii. Nie był też specjalnie zainteresowany sytuacją w układzie Włocławek, skoro w gruncie rzeczy nie wiedział, czy Manticore ma z nią cokolwiek wspólnego. Pozyskanie nowych informacji uważał za znacznie ważniejsze niż pozyskanie dla Ligi Solarnej jeszcze jednego układu na Pograniczu. Dla niego był to zdecydowanie drugorzędny cel. Winslet Tamaguchi nie był ani księgowym, ani bankierem martwiącym się o dopływ pieniędzy do budżetu. Zależało mu na całkiem innych rzeczach.

Chociaż była to przykra myśl, w głębi ducha musiał przyznać, że Manticore zapracowało uczciwie na swoją autentyczną wyższość. Nawet jeśli ten tutaj oficerek był naprawdę irytujący. Co gorsza, fałszywa duma SLN powodowała, że Liga Solarna doświadczała ostatnio jednej klęski za drugą. Ale solarni nie mieli przecież monopolu na zaślepienie arogancją. Mimo tego, co powiedział przed chwilą głośno, Tamaguchi pomyślał, że Tremaine jest chyba młody, kto wie, czy nie za młody, na swoje stanowisko. I kto wie, czy naprawdę jest dobry. Może tak, a może niekoniecznie.

Długa wędrówka informacji upośledza zawsze obie strony, myślał admirał. Jest bardzo daleko od domu i mógł nie otrzymać jeszcze szczegółowego raportu na temat przejętego sprzętu Filarety. I to by wiele wyjaśniało. Gdybym był na jego miejscu i nie znał możliwości pocisków *F2C*, też starałbym się podejść jak najbliżej do przeciwnika, aby zwiększyć celność własnych salw, pozostając jednocześnie poza zasięgiem jego pocisków.

Uśmiechnął się do tej myśli. To byłby piękny plan, ale jak mawiał pewien morski admirał w antycznych czasach na Ziemi, podczas bitwy trzeba też coś zostawić przypadkowi. Gdyby okręty miały zawsze trzymać się z dala od przeciwnika, nie byłoby po co ich budować. I czasem trzeba

sporo zaryzykować, aby coś zyskać.

Według jego wiedzy było to pierwsze starcie, w którym siły SLN miały przewagę tonażu i z całą pewnością w okolicy nie było żadnych innych jednostek Manticore, w próżni zaś nie kryły się zasobniki z uśpionymi pociskami. Jak wspomniał Yountzowi, nadarzała się świetna okazja, aby dowiedzieć się czegoś więcej o systemach uzbrojenia Manticore. Zdobyć konkretne i poparte odczytami dane na temat ich pocisków, możliwości maskowania i zdolności do walki radioelektronicznej. No i dostarczyć te wszystkie informacje na Starą Terrę.

Zawsze istniała też jednak możliwość, pomyślał w przypiływie pesymizmu Tamaguchi, że kapitan Tremaine wie, co robi, i ma realne szanse pokonać większy zespół. Trudno było w to uwierzyć, ale istniało czysto matematyczne prawdopodobieństwo takiego wyniku bitwy.

Niemniej admirałowi wydawało się bardziej prawdopodobne, że jego eskadra, jakkolwiek przetrzebiona, wyjdzie ze starcia zwycięsko. Straty będą zapewne spore, większe może nawet niż oczekiwał, ale w jakiś sposób do zaakceptowania. Zwłaszcza w tych okolicznościach, gdy istniała poważna szansa, że chociaż jeden okręt się wyrwie i zanieśie bezcenne dane do dowództwa floty. Jak do tej pory RMN miała cały szereg okazji, aby poznać dokładnie solarną technologię. Pora, aby i SLN otrzymała podobną możliwość, i to teraz, bez łudzenia się, że może uda się to zrobić w inny, bezkrwawy sposób. Bez tego niemożliwe będzie sformułowanie znaczącej doktryny lub strategii, a czy SLN chciała się do tego przyznać, czy nie, jak kania dżdżu potrzebowała obecnie nowej doktryny i nowych założeń strategicznych.

Winslet Tamaguchi nie był berserkim. Jakiegokolwiek przypuszczenia można by snuć na temat jego odległych przodków, nie było wśród nich kamikaze. Był jednak gotów zginąć w walce, jeśli tylko mogło to pomóc w rozpoznaniu możliwości przeciwnika i przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa jego gwiazdowego państwa.

ROZDZIAŁ LXXII



Dochodzimy do punktu F jak *Fearless*, sir – powiedziała porucznik Dreyfus.

– Dziękuję, Elspeth – odparł Scotty Tremaine, po czym spojrział na ekran zapewniający łączność z mostkiem *Alistaira McKeona*. – Czas na odwrót, Mary-Lynne. Są wystarczająco daleko w głębi układu, aby nie wyprzedzić nas w wyścigu do granicy nadprzestrzennej. Żeby jeszcze wiedzieli, że to wszystko dla ich dobra...

– Aye, aye, sir – odparła z szerokim uśmiechem Mary-Lynne Selleck, jego kapitan flagowy. – Jestem pewna, że koniec końców zrozumieją, jacy z nas mili ludzie.

Tremaine pokiwał głową i siadł w swoim fotelu.

– Co pana zdaniem robi teraz Tamaguchi? – spytał cicho komandor porucznik Golbatsi.

– Cóż, to ciekawe pytanie – odpowiedział Tremaine. – Jestem pewien, że w tej chwili jest bardzo zajęty zgadywaniem, co my tu, u diabła, kręcimy. Jestem też przekonany, że gdy już się zorientuje, wygłosi cały szereg zdań nienadających się do powtórzenia.



– Nie jest admirałem Giovannim, sir – stwierdził kontradmirał Yountz, zerkając na odczyt czasu.

Tamaguchi parsknął śmiechem. Ysidro Giovanni, zwycięzca kampanii erydiańskiej, był uznawany za najlepszego taktyka, jakiego wydała Solarian League Navy. Nie przegrał ani jednego starcia i był dobrym nauczycielem. Aż dziw, że stał się oficjalnym wzorem doskonałości dla Marynarki Wojennej Ligi Solarnej.

Wielka szkoda, że Battle Fleet tak się zdegenerowała, pomyślał Tamaguchi. Ciekawe, co powiedziałby dzisiaj Giovanni o takich dowódcach jak Byng czy Crandall. Na pewno nie byłyby to komplementy. Ale Yountz miał rację.

Minęło już trzydzieści sześć minut i zespół Sierra 1 nie wykonał żadnego manewru. Dystans wciąż rósł i wynosił 215 365 000 kilometrów, ale od tej właśnie chwili miał zacząć maleć.

Cyfry na wyświetlaczu jakby zamaryły, po czym wyrażane przez nie wartości zaczęły się zmniejszać. Przy obecnym przyspieszeniu przeciwnik nie mógł już od nich uciec. Chyba że jednak mieli coś w rezerwie. Niemniej przy prędkości zbliżania 24 687 km/s i...

– Sir, Sierra 1 odwróciła się i zwiększyła przyspieszenie – oznajmił Levine.

Tamaguchi zdołał zapanować nad twarzą i sam spojrzął na wyświetlacz.

Odległość nadal malała i BatCruRon 720 wciąż był w stanie złapać Sierrę 1 w zasięg swych rakiet. Niemniej chwila, w której Tremaine wykonał swój manewr, dowodziła, że pociski Manticore naprawdę miały zasięg 30 milionów kilometrów. Przy obecnym przyspieszeniu prędkość zbliżania w momencie uzyskania zasięgu wyniesie jedynie 11,119 km/s. Stanie się to dopiero za godzinę i Tamaguchi nie będzie miał szansy spokojnego przejścia przez sferę 60 milionów kilometrów i dotarcia bez szwanku do przeciwległej granicy nadprzestrzennej. Miną się całkiem blisko i jeśli nie zniszczy całkowicie Sierry 1, pozostałości zespołu przeciwnika będą trzymać go pod ogniem aż do dalekich rubieży układu.

Nic nowego, pomyślał Tamaguchi. Tremaine i tak może się na tym przejechać. Masz więcej pocisków niż on. Zrównacie prędkości dopiero za 90 minut i dzielić was wtedy będzie niecałe 100 tysięcy kilometrów. Zakładając, że nic nie stanie się wcześniej. Przy dystansie rzędu czterech czy pięciu milionów kilometrów osiem krążowników jest w stanie roznieść salwami sześć innych krążowników – ktokolwiek i kiedykolwiek by je zbudował!

Był o tym mocno przekonany i wiedział, że to prawda. Ale nadal coś mu szeptało, że może i prawda, ale co z tego? Tremaine zdawał się myśleć całkiem inaczej, skoro tak się z nimi bawił, zamiast uciekać.

Cała nadzieja w tym, że jednak się mylił.



– Dochodzimy do punktu N jak *Nike*, sir – zameldowała Elspeth Dreyfus.

Scotty Tremaine wyprostował się w fotelu.

Przez ostatnią godzinę i dziesięć minut zespół *Alistaira McKeona* zmniejszał tempo zbliżania się do krążowników liniowych admirała Tamaguchiego. Nadal szedł wprost na nie, ale już tylko z prędkością 7187 km/s. Tamten rozwijał prędkość 18 305 km/s, co oczywiście dawało mu przewagę około 11 tysięcy km/s, jednak wciąż znajdował się w odległości ponad 30 milionów kilometrów. Biorąc pod uwagę ich aktualne przyspieszenia, nadal miał się zbliżać do zespołu Tremaine'a, aby za 116 minut wyprzedzić go o prawie 8 milionów kilometrów.

Właśnie, pomyślał Tremaine. Przy „obecnym przyspieszeniu”. Jednakże...

Spojrzął na odczyt czasu, po czym ponownie na ekran.

– Zaprezentuj mu kolejną niespodziankę, Mary-Lynne – powiedział Prescott Tremaine.

– Tak, sir – odparła kapitan Selleck i odwróciła się do astrogatorki. – Dorzuć do kotła,

Frannie.



– Dostajemy dobre odczyty z dronów, sir – powiedział Apumbai Peng, patrząc na dane przewijające się na ekranie taktycznym. – Choć nie tak dobre, jak bym chciał. Pod wieloma względami. Wiem, że kapitan Levine oczekuje, że podejść bliżej, ale te cholerne antyrakiety mówią więcej o ich systemach obrony, niż chciałbym wiedzieć. Nie wspominając o tym, że w ogóle widzą nasze drony zwiadowcze na tyle dobrze, aby w nie trafić. Ale mamy w końcu jakieś konkretne odczyty, a sygnatury ich emisji są nawet czystsze, niż oczekiwałem.

– A ich drony? – spytał Ephron Vangelis z lekką nutką złośliwości.

Peng się skrzywił.

– Wiem, że gdzieś tu są, ale znalezienie ich jest trudniejsze niż wybranie Pacyfiku filiżanką do herbaty – przyznał. – Nie sądzę, aby podeszły do nas bliżej niż na parę sekund świetlnych, ale nie mogę zaręczyć, sir. Szczerze mówiąc, to jeden z powodów, dla których jestem trochę zaskoczony, że ich emisje są tak wyraźne. Skoro potrafią robić praktycznie niewidzialne drony, dlaczego nie montują analogicznych systemów stealth na swoich okrętach?

Vangelis pokiwał głową. Czasem podpuszczał Penga, ale to dlatego, że był on najlepszym oficerem taktycznym, jaki dotąd zdarzył się na tym pokładzie. Bystry, oddany i z dystansem do tych wszystkich pogłosek o niezwykłych możliwościach Royal Manticoran Navy. A nawet lepiej: wyszukiwał dane, gdzie tylko się dało, i poddawał następnie drobiazgowej analizie.

– Może z tego samego powodu, dla którego większość okrętów w każdej flocie jest zawsze przestarzała – zasugerował kapitan Richardson z rezerwowego stanowiska dowodzenia. Vangelis uniósł brew i spojrzał na swego zastępcę. – Drony rozpoznawcze są znacznie mniejsze i o niebo tańsze niż okręty, sir. Łatwiej zastępować je nowszymi generacjami. I można zrobić to szybciej. Modernizacja okrętu zaś to i czas, i forsa.

Vangelis nie mógł się z tym nie zgodzić. Każdy oficer SLN wiedział o ogromnej liczbie całkiem nieczynnych okrętów odstawionych do rezerwy. Teoretycznie były gotowe do natychmiastowej reaktywacji i powrotu do służby. Chociaż oczywiście wymagały modernizacji adekwatnej do postępu techniki. Niektóre pochodziły sprzed kilku wieków. Ale zdaniem autorytetów marynarki wojennej to nie powinno pochłonąć wiele czasu, bo przecież podstawy są od lat te same, prawda? Niby co mogło się zmienić przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat? Poza tym utrzymywanie ich w tym stanie było tańsze, niż gdyby ustawicznie je modernizować, chociaż

przecież nie będą w przewidywalnym czasie potrzebne. A tak w ogóle to Battle Fleet miała więcej czynnych dreadnoughtów niż wszystkie inne marynarki wojenne razem wzięte.

Ephron Vangelis powątpiewał w sensowność takiej polityki, jeszcze zanim miał okazję się zastanowić, jak długo takie „zmodernizowane” jednostki wytrzymałyby w konfrontacji z okrętami Royal Manticoran Navy. Jego zdaniem szybciej i taniej byłoby obecnie budować nowe jednostki od podstaw. I to tak, aby były nie tylko godnym przeciwnikiem dla Manticore, ale miały jeszcze szansę przetrwać ostrzał tymi ich paskudnymi pociskami dalekiego zasięgu.

Tyle że najpierw trzeba by się tego nauczyć. A to była raczej pieśń odległej przyszłości, o której na razie nie było warto nawet wspominać.

– Problem w tym, Lance, że zdaniem Apumbaiego to są jednostki najnowszych typów – powiedział głośno. – No i mają najpewniej najnowsze wersje systemów bojowych. ECM, EW i tak dalej. Mam paskudne przeczucie, że nas jeszcze w bardzo niemiły sposób zaskoczą.

– Ale mamy przynajmniej dobre rozwiązania ogniowe, sir – zauważył Peng. – Przy takim dystansie celność polecą na pysk, ale nasze ptaszki będą szukać konkretnych celów.

– Dobrze wiedzieć – odparł sardonicznie Vangelis. – Niestety, jakoś nie mogę wyzbyć się podejrzeń, że nie zdołamy namierzyć tych konkretnych celów, dopóki nie podprowadzimy bliżej dronów...

– Przepraszam, kapitanie.

Vangelis drgnął zaskoczony. Czego mogła chcieć teraz asystentka Penga?

– Tak, Janice? – spytał dość spokojnym tonem. Wielu innych kapitanów po prostu zrugaloby śmiałka.

– Sir, przepraszam, że przerywam – odezwała się komandor Rendova. – Zespół Sierra 1 znowu zmienił przyspieszenie. I to jakoś tak...

Przesłała dane na ekran Vangelisa, który dopiero teraz poczuł się naprawdę zaskoczony.



– Admirale, zwiększyli przyspieszenie do 6,41 km/s² – powiedział cicho kapitan Levine. Tamaguchi zacisnął zęby.

Sześć, przecinek czterdzieści jeden? Okręt o rozmiarach tego krążownika był w stanie znieść więcej niż 650 g?

Przypomniał sobie, co pomyślał wcześniej, gdy Sierra 1 zwiększyła przyspieszenie tylko do 5,9 km/s². Ten ciężki krążownik nie miał siedemnastoprocentowej rezerwy przyspieszenia! To

musiało być co najmniej trzydzieści procent. Co więcej, Tremaine nadal najpewniej zachowywał jakiś margines bezpieczeństwa. To był zaplanowany manewr i wcześniejsze zmiany przyspieszenia były celowo niewielkie, bez forsowania kompensatorów. Zatem rzeczywiste wartości mogły być nawet bardziej imponujące.

Mój Boże, westchnął w duchu. To by oznaczało, że bez marginesu bezpieczeństwa musi wyciągać co najmniej 700, a może nawet 720 g. To już blisko czterdziestopięcioprocentowej przewagi!

– Astro, jakie przewidywania? – Aż sam się zdumiał, że jego głos brzmiał tak spokojnie.

– Sir, jeśli potrafią utrzymać to przyspieszenie, nasze prędkości zrównają się za osiemdziesiąt dziewięć minut na poziomie 29,4 tysięcy km/s – odparła kapitan Shreeyash, też chyba wstrząśnięta. – Od tej chwili będziemy zostawać w tyle w tempie 2,1 km/s².

– Dobrze to zgrał – zauważył Tamaguchi. – Ale nadal będzie mieć kłopoty.

Yountz i Levine spojrzeli na niego pytająco.

– Od początku wiedzieliśmy, że to może się zdarzyć – powiedział. – Zasięg naszych rakiet pozwala na otwarcie ognia nawet stąd. Gdybyśmy musieli oczywiście. Tak naprawdę to wiele nie zmienia.

Sądząc po wyrazie ich oczu, raczej mu nie uwierzyli. Sam sobie nie wierzył. Tyle że nikt nie chciał powiedzieć tego głośno.

– Może też zwiększymy trochę przyspieszenie, sir – zaproponował Yountz.

– Nie. – Tamaguchi pokręcił głową. – Dla *Kronprinza Wilhelma* i *Poltavy* już dziewięćdziesiąt procent to za wiele. Nie zamierzam ryzykować.

Yountzowi chyba ulżyło, chociaż sam rzucił ten pomysł. Osiemdziesiąt procent mocy kompensatora to była norma SLN. Z reguły nie przekraczano tego progu. Zgotowana przez Tremaine'a niespodzianka przypominała kontradmirałowi o czymś, co dręczyło go od miesięcy. SLN nie miała szans dorównać RMN, jeśli nie zmieni radykalnie podejścia do limitów eksploatacji kompensatorów. Jednak awaria tego urządzenia była jednym z największych koszmarów wszystkich, którzy służyli w próżni. Poza przypadkami, kiedy przyspieszenie było naprawdę małe, nikt nie mógł przeżyć czegoś takiego. A jeszcze bardziej przygnębiające było to, że kompensatory zwykle zawodziły nagle, bez sygnałów ostrzegawczych, że dzieje się coś złego. Z tego też powodu Tamaguchi wołał nie narażać swoich okrętów, które już od dawna prosiły się o dłuższą wizytę w stocznicy.

– Ponadto nie ulega już wątpliwości, że kapitan Tremaine zamierza z nami walczyć – dodał, splatając ponownie ręce za plecami. – Właśnie ustawił nas na granicy zasięgu swoich pocisków. Muszę przyznać, że zgrabnie to zrobił. Z drugiej strony wchodzi w ten sposób w zasięg naszych pocisków. Zapewne nie zrobiłby tego, gdyby wiedział, co mamy w wyrzutniach.



– Obrazy z dronów zwiadowczych pozwoliły ustalić, że każdy z krążowników liniowych przenosi kilkadziesiąt zasobników holowanych – powiedział Adam Golbatsi.

Tremaine stał obok niego i przyglądał się szczegółowym danym na głównym ekranie taktycznym mostka flagowego. Minęło osiemdziesiąt siedem minut od chwili, kiedy ponownie zwiększyli przyspieszenie, drony systemu Ghost Rider zaś wykorzystały ten czas na zebranie informacji o zespole Tamaguchiego. Dotarły już na tyle blisko, że dawało się odczytać nazwy okrętów wymalowane na kadłubach.

– Jeśli to takie, jak Filareta miał ze sobą w Manticore, to w każdym jest dziesięć ptaszków – ciągnął Golbatsi. – Łącznie może więc mieć tysiąc dziewięćset do dwóch tysięcy dodatkowych pocisków.

– I z użyciem fazy balistycznej może nas sięgnąć – zauważył Horace Harkness.

– Tak, mieli tę możliwość od chwili, kiedy za nimi ruszyliśmy – dodał nieco zamyślony Tremaine. – I chyba na to liczymy, prawda? Tym, czego im brakuje, jest zdolność celowania na podobnych dystansach. Sądząc po tych *nevadach*, które rozebraliśmy na części, nie potrafią też prowadzić jednocześnie tylu ptaszków co my.

– I nawet bez Barykady mamy większe możliwości defensywne niż oni, Horace – wtrącił Golbatsi. – Oczywiście oni zapewne tak nie myślą.

– Zapewne – zgodził się Tremaine.

– Za dwie minuty punkt W jak *Wayfarer*, sir – powiedziała Dreyfus i Tremaine skinął głową.

– Powiedz porucznikowi Marsdenowi, że może oznajmić swoją obecność.



– Trzydzieści milionów kilometrów w ciągu dwudziestu sekund – oznajmiła kapitan Shreeyash.

– Nie sądzę, aby to potrwało o wiele dłużej – powiedział Tamaguchi. Usiadł w fotelu dowódcy, na ekranie przed sobą miał obraz mostka *Triumphant*. – Chyba że to będzie znacznie cięższa salwa, niż się po nich spodziewamy. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy odpalać

nasze pociski już teraz, kapitanie Vangelis.

– Rozumiem, sir – odparł Vangelis. – Plan ogniowy kapitana Penga jest nawet lepszy, niż oczekiwałem, ale...

– Zmiana statusu! – rzucił ostrym tonem Levine. Tamaguchi poderwał głowę. – Dodatkowe cele! Trzy... cztery... osiem!

– Co?!

Tym razem nawet Tamaguchi poczuł się wytracony z równowagi. Przecież obserwowali Sierrę 1 od ponad trzech godzin! Jak cokolwiek mogło ukrywać się przed nimi tak długo?

Ale nowe ikony mrugały szyderczo z ekranu, jaskrawe i wyraźne pośród wszystkich symboli i namiarów. Znajdowały się pomiędzy jego okrętem flagowym a zespołem Sierra 1. Prawie 30 tysięcy kilometrów bliżej BatCruRon 720.

– To nie są okręty – dodał Levine, śmigając palcami po konsoli i próbując ustalić coś konkretnego. – Zbyt słabe emisje impellerów.

– Dla mnie są dość mocne – powiedział Yountz, zerkając jednej z asystentek Levine'a przez ramię, aby sprawdzić odczyty. – Bradley, przecież one mają prawie taką samą moc na ekranach jak *War Harvest*!

– Ale nie są wystarczająco silne – odparł Levine. – Drony dostają dokładniejsze dane. Nie idealne, ale pozwalające określić fizyczne parametry ekranów. Te są za małe nawet na jednostkę kurierską. Trochę tak, jakby ktoś wziął kuter i wpakował mu w dupę węzły niszczyciela.

Słownictwo Levine'a świadczyło o jego poziomie stresu. Tamaguchi mu się nie dziwił. Gdy sam spojrział na odczyty, musiał przyznać, że oficer operacyjny najpewniej miał rację.

– Cóż, niezależnie od tego, co to jest, chyba się ich nie spodziewaliśmy, prawda? – powiedział możliwie najspokojniej.



– Chciałbym być teraz małym ptaszkiem na mostku Tamaguchiego, skipper – powiedział Jethro Sanders, gdy kuter HMLAC *Nożownik* dał pełną moc ekranu.

– Nie, nie chciałbyś, Jethro – odpowiedział porucznik Benjamin Marsden, dowódca *Nożownika* i starszy oficer grupy wydzielonej LAC-FSV-39. – Za dziesięć minut będzie tam istny dom wariatów. Naprawdę nie chciałbyś tam przebywać. Zaufaj mi.



– Naszej Starej by się to spodobało, sir – powiedział cicho Harkness stojący obok fotela

Tremaine'a.

– Chyba nie musiałyby się za nas wstydzić – zgodził się Tremaine. – Niespodzianka...

– ...jest wtedy, gdy nie rozpoznajesz czegoś, co cały czas masz przed oczami – skończył za niego Harkness i uśmiechnął się krzywo. – Chociaż w tym przypadku nie widzieli jeszcze wszystkiego.

Tremaine kiwnął głową i spojrzał na ikonki ośmiu kutrów, które *Charles Ward* zostawił zespołowi. Przyspieszenie *Alistaira McKeona* było jak poranny spacer przed kawą w porównaniu z tym, do czego zdolne były kutry typu *Shrike* czy *Katana*. Co więcej, były trudnymi do wykrycia celami, chociaż dochodził tu jeszcze element oszustwa. Sześć kutrów było przenoszonych wcześniej tuż pod kadłubami większych jednostek i pod ich ekranami. Pozostałe dwa, dowodzone przez porucznik Rhondę Mallard, dowódcę HMLAC *Raven*, szły samodzielnie, polegając wyłącznie na swoich systemach walki radioelektronicznej. Dodatkowo nie rozwijały na razie większego przyspieszenia i pozostawały w oddzieleniu od reszty jednostek. Pomogło i to, że solarni ze wszystkich sił próbowali przeniknąć dronami jak najbliżej zespołu *McKeona* i nie zwracali uwagi na to, co działo się w okolicy. Tremaine zaś podsycił ich zapał, celowo rozsiewając najróżniejsze sygnały. W ten sposób podwładni Tamaguchiego byli całkowicie skoncentrowani na celach, o których wiedzieli.

Tym samym nie wpadli na żaden trop kutrów i można sądzić, że nie zauważyli również dwóch bunkrów amunicyjnych CUMV(L) *Mark 17*, które *Charles Ward* zostawił wraz z kutrami.

Bunkry UMV, chociaż spore, nie zajmowały wiele miejsca i *CW* niósł cztery takie na zewnętrznych węzłach podczepienia. Wariant *Mark 17* został zaprojektowany z myślą o łatwym załadunku amunicji na superdreadnoughty zasobnikowe i mógł obsłużyć jednocześnie kilka jednostek. Każdy z bezzałogowych i zautomatyzowanych bunkrów zawierał do trzystu zasobników pocisków *Mark 23* oraz urządzenia do ich szybkiego przeniesienia na szyny systemu uzbrojenia ciężkich okrętów. Same bunkry nie były uzbrojone, nie posiadały systemów obronnych ani napędu impellerowego. Nie miały też żadnego systemu maskowania. Były zdolne wyłącznie do zwykłego przemieszczania się za pomocą silników manewrowych, poza tym przesuвано je z użyciem sparowanych często z nimi modułów holujących. Jednak dzięki zerowej emisji i względnie niewielkim rozmiarom pozostawały bardzo trudne do wykrycia. Można to było zrobić wyłącznie z użyciem aktywnych sensorów i na niewielki dystans.

Na przykład 10 do 12 milionów kilometrów. Drony solarnych ani razu nie podeszły tak

blisko.

Wcześniej *Raven* i *Parasol*, kutry należące do najbardziej „niewidzialnych” jednostek, jakie kiedykolwiek zbudowano, wzięły oba bunkry na hol i powoli, w pełnym maskowaniu, przemieściły je na niecałe 8 tysięcy kilometrów przed *Alistairem McKeonem*, który rozwijał teraz przyspieszenie 6,41 km/s². Dystans między nimi zmniejszał się w tempie 50 km/s, a jeden z bunkrów uruchomił już presory i wystrzelił w próżnię sto czterdzieści zasobników, z których każdy zawierał dziewięć dwustopniowych pocisków *Mark 23D*.

Małe było prawdopodobieństwo, że będzie ich trzeba aż tyle, ale gdyby zaszła taka konieczność, Tremaine miał w zapasie jeszcze czterysta sześćdziesiąt.

Wolałbym ich nie ruszać, pomyślał. Tamci i tak mają przerabane. Nawet bez Barykady. Witamy w programie *Realia 101*, admirał Tamaguchi. I proszę bardzo uważać, pod koniec programu będzie krótki quiz.

– Wszystko gotowe, sir – powiedział Adam Golbatsi.

– No to chyba nie będziemy już dłużej trzymać ich w niepewności. Wykonać plan ogniowy *Wilhelm Tell*.

– Wykonuję, sir!



Mózg Tamaguchiego telepał się w czasie niczym ładunek furgonu na wybojach. Admirał za nic nie mógł ogarnąć, skąd się wzięły te dodatkowe sygnatury napędu. Sądząc po ich szyku, miały tworzyć chyba jakiś rodzaj bariery między nim a zespołem *Sierra 1*. Ewentualnie były celami pozorowanymi.

A może tak naprawdę wcale ich nie ma? – pomyślał. O’Cleary wspominała w raporcie ze *Spindle*, jak dobre są pozoratory *Manticore*, jak skuteczni są w walce radioelektronicznej. I może miała rację! Jeśli tak, to...

– Odpalenie pocisków! – wykrzyknął nagle Levine. – Wiele odpaleń! Co najmniej dwieście, powtarzam: nie mniej niż dwieście. Na kursie zbliżeniowym, przyspieszenie 451 km/s². Czas przebiegu: sześć minut!

Dwieście, powtórzył w myślach Tamaguchi. Odpalili aż dwieście pocisków z sześciu jednostek, z których największa jest o połowę mniejsza od mojego okrętu flagowego.

Jego zespół złożony z szesnastu jednostek mógł oddać salwę złożoną tylko z dwustu trzydziestu sześciu pocisków z wewnętrznych wyrzutni.

Albo mają o wiele więcej wyrzutni, albo udało im się upchnąć na kadłubach jakąś niezwykle liczbę zasobników, rozważał. Ale właściwie jakim sposobem? Te ich cholerne kutry, czy co to tam było, musiały zająć sporo miejsca, które normalnie zajęłyby zasobniki. A przecież tylko tak mogli je ukryć przed naszymi dronami!

Wydawało się zupełnie niemożliwe, aby ktoś dał radę wystrzelić taką salwę z okrętów, których łączna masa nie przekraczała dwóch milionów ton. Ale Tremaine pokazał już dzisiaj kilka „niemożliwych” sztuczek. A jeśli zdoła wystrzelić drugą, a może i trzecią taką salwę, zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

A raczej całkiem paskudnie, poprawił się w myślach. Nieprzyjemnie już jest.

– Odpowiedzieć ogniem – powiedział głośno, patrząc na karmazynowe ikony z coraz większą prędkością przesuwane w kierunku jego zespołu. – Plan ogniowy Zulu. Opróżnić zasobniki.



Scotty Tremaine obserwował ikony rakiet oddalające się od jego zespołu. Chociaż to nie jego zespół je wystrzelił. Mógłby wzmocnić salwę, strzelając także z wyrzutni pokładowych, ale nie było takiej potrzeby. Nie musiał uruchamiać nawet zasobników zamocowanych na zewnątrz kadłubów. Plan ogniowy Wilhelm Tell zaś wykorzystywał tylko szesnaście procent pocisków z bunkrów towarzyszących kutrom.

Oczywiście miał w zapasie jeszcze inny plan, robiący użytek z części pozostałych tam jeszcze rakiet.

– Telemetria w normie, sir – zameldował Golbatsi.

Dystans wobec przeciwnika wynosił obecnie półtorej minuty świetlnej, ale drony systemu Ghost Rider, które obserwowały krążowniki liniowe Tamaguchiego z odległości 8 tysięcy kilometrów, podawały dokładne namiary celownicze, i to w czasie rzeczywistym. Nie dysponował nadświetlną siecią dowodzenia, którą dawał system Apollo, ale obecnie jej nie potrzebował. Na razie ważne było tylko to, aby nie zniszczyć jednostki flagowej przeciwnika, a z tym nie powinien mieć kłopotu.

– Odpalenie! – zameldował chwilę później Golbatsi. – Wiele odpaleń. Przyspieszenie 561 km/s². To jakieś trzydzieści pięć km/s² lepiej niż w przypadku *cataphractów* Filarety, sir.

Nie dodał, że było to przyspieszenie o dwadzieścia procent większe niż w przypadku pocisków typu *Mark 23*. Tyle że taki pocisk mógłby utrzymać to przyspieszenie znacznie dłużej.

– Ale węzły mają zapewne takie same – powiedział Tremaine, nie odrywając spojrzenia od ekranu. – Zasięg do wypalenia?

– Ze stanu spoczynku, zakładając trzy minuty pracy napędu bez zmiany przyspieszenia czy mocy w ostatniej fazie, to będzie około 9,1 miliona kilometrów – odpowiedział oficer operacyjny. – Prędkość końcowa jakieś 100 tysięcy kilometrów na sekundę. Przy obecnych warunkach odpalenia, jeśli wszystkie są zaprogramowane tak samo, da to jakieś 16,4 miliona kilometrów zasięgu. Jak daleko dokładnie mogą dojść, zależy od długości fazy balistycznej. – Podniósł głowę znad swojego stanowiska. – Ale powiedzmy, że pierwszy etap przebiegu zakończą na 10 milionach kilometrów, co da im najlepszą kombinację czasu i prędkości przebiegu przy dojściu do celu. Czas przelotu na tym dystansie będzie wynosił 4,9 minuty. – Zerknął na ekran. – Biorąc to pod uwagę, zalecam zacząć Barykadę za sto sekund.

– Zatwierdzam.

– Drugie odpalenie, sir – oznajmił jeden z podoficerów Golbatsiego, który zaraz przeniósł spojrzenie na główny ekran.

– Chyba opróżniają wszystkie zasobniki – powiedział zadowolonym tonem. – Pewnie chcą mieć je puste, gdy nasze pociski do nich dotrą. Dlatego druga salwa poszła tak szybko.

– Skupienie salwy?

– Centrum informacji bojowej podaje prawie pięćset na jednostkę.

– Trzecie odpalenie.

Tremaine zauważył, że tym razem podoficer chyba trochę się przejął.

– No cóż, Horace – powiedział, odwracając się na moment od ekranu. – W ten sposób Barykada będzie jeszcze skuteczniejsza. A jeśli zawiedzie, to mam nadzieję, że dasz sobie radę zwykłymi sposobami.

– Zrobię, co w mojej mocy, skipper – odparł Harkness takim tonem, jakby nie oczekiwał najmniejszych kłopotów.



Winslet Tamaguchi patrzył na lawinę czerwonych ikon, które wróżyły szybki koniec jego kariery dowódczej, i zaczynał dochodzić do wniosku, że jednak nie dość przejął się doniesieniami o tym, jak groźne mogą być pociski Manticore.

– Uaktywniam środki obrony – zameldował Levine. – Halo aktywne.

– Dobrze – odparł Tamaguchi, starając się do końca odgrywać swoją rolę.

BatCruRon 720 skrzył gwałtownie, ustawiając się burtami do nadciągającej nawały. To pozwalało na wykorzystanie całej telemetrii, antyrakiet i systemów śledzenia celów. Tamaguchi spojrzął na ekran manewrowy. Wszystkie jednostki leżały na nowych kursach.

Większe przyspieszenie jego pocisków zapewniało krótszy czas dościa do celu, i to niezależnie od przewidzianej na półtorej minuty fazy balistycznej. Tremaine odpalił swoją salwę dziesięć sekund wcześniej, co oznaczało, że ostateczny odstęp między ich osiągnięciem celów nie będzie większy niż sześćdziesiąt sekund.



– Barykada za trzydzieści sekund – oznajmił Golbatsi.

Całkiem niepotrzebnie, pomyślał Tremaine, który od dłuższej chwili wpatrywał się w wyświetlacz czasu. Nie odezwał się jednak ani słowem. Nie chciał zdradzać, jak bardzo zżera go trema przed premierą jego własnego genialnego pomysłu.

– Dwadzieścia... dziesięć... pięć... teraz – powiedział Golbatsi i wystrzelił drugą salwę pocisków *Mark 23*. Była o połowę mniejsza niż poprzednia, ale miała dwa razy większe przyspieszenie.



– Odpalenie drugiej salwy! Szacunkowo siedemdziesiąt dwa pociski na kursie zbliżania!

Tamaguchi zacisnął mocno wargi. Wysłał już wszystkie swoje ptaszki w czterech salwach odpalonych w tak szybkiej sekwencji, że tworzyły praktycznie jedną rozciągniętą. Zwykła doktryna zalecała większe odstępy między salwami dla umożliwienia korekty przebiegu, w miarę jak czołowe pociski dostarczały kolejne dane. Być może jednak takie skomasowanie zdoła przeciążyć systemy obronne przeciwnika. Lub chociaż utrudni mu obronę. Poza tym dobrze było pozbyć się tych wszystkich pocisków, zanim Tremaine zacznie namierzać i niszczyć ich bezbronne zasobniki. No i wcale nie było wiadomo, czy trafi się jeszcze okazja do oddania późniejszej salwy. Nie dość, że BatCruRon 720 znalazł się w bardzo niewdzięcznej sytuacji „co nie polecie, to się zmarnuje”, to jeszcze nie miał szansy na indywidualne nakierowanie poszczególnych rakiet na cel. Nie przy tej odległości. Pociski były całkowicie zależne od modułów samonaprowadzania i próby przekazywania im uaktualnionych namiarów byłyby nieskuteczne przy opóźnieniu sięgającym dziewięćdziesięciu sekund. W sumie więc strzelali jakby na oślep. Niemniej istniała szansa, że przy tylu rakietach któraś dojdzie do celu pomimo efektywnych systemów walki radioelektronicznej Manticore.

Tamaguchi miał wcześniej nadzieję, że Tremaine postąpił dokładnie tak samo jak on i że wielka salwa Sierry 1 zawierała wszystkie pociski z zasobników. Teraz już wiedział, że się mylił. Chyba że okręty Manticore posiadały więcej wyrzutni, dostosowanych na dodatek do pocisków wielostopniowych, niż jakakolwiek jednostka SLN!

– Trudno – powiedział do Yountza, nie odrywając spojrzenia od ekranu taktycznego. – Tyle dobrego, że chyba nie zostało im już wiele pocis...

– Trzecie odpalenie!

Tamaguchi spojrział na oficera operacyjnego. Levine był równie zdumiony.

– Sir, ta salwa też liczy siedemdziesiąt dwa pociski. Obie wyciągają 92 tysiące g.

Tak, było się czemu dziwić. Dlaczego dać kilka mniejszych salw, zamiast połączyć je w jedną masywną nawałę ogniową? Poza tym przy tym przyspieszeniu nie miały szans uzyskać zasięgu potrzebnego, aby dojść do BatCruRon 720. A może jednak?

Przez chwilę przeraził się taką możliwością, ale zaraz odsunął te myśli. Zaczerpnął głęboko powietrza. Dość tej paniki, powiedział sobie.

Nie, coś takiego nie było możliwe. Inaczej przecież i pierwsza salwa ruszyłaby od razu z równie dużym przyspieszeniem. A skoro tak, to po co...?

To wydaje się bezsensownym posunięciem, pomyślał, wracając spojrzeniem do ekranu taktycznego. Jego pociski miały uaktywnić drugi stopień za niecałe dwadzieścia sekund. To było chwilowo ważniejsze, ale wcześniejsze pytanie nie dawało mu spokoju. Jakkolwiek to wyglądało, Tremaine nie zrobił jak dotąd żadnego głupstwa. Więc dlaczego teraz miałby nagle...

I wtedy zrozumiał.



Sto pięćdziesiąt sekund po odpaleniu i po przebyciu 10 149 210 kilometrów pociski *Mark 23D* z salwy Barykada dokonały drobnej korekty kursu. Ktoś mógłby się zastanawiać, dlaczego już teraz, skoro od celów dzieliło je jeszcze ponad 18 milionów kilometrów, czyli trzy i pół minuty lotu. Powód był prosty: ta salwa miała całkiem inne zadanie.

Pociski zmieniły formację na bardziej rozproszoną. Polecenie pochodziło sprzed trzydziestu czterech sekund, ale w tym przypadku nie miało to znaczenia. Cele były skupione na względnie niewielkiej przestrzeni i nie mogły chwilowo zmienić kursu. Drony systemu Ghost Rider, rozmieszczone w połowie odległości między *Alistairem McKeonem* a BatCruRon 720, odczekały do momentu wypalenia się pierwszego stopnia i starannie wyliczyły ich krzywe balistyczne.

Pociski *Mark 23* dobrze wiedziały, gdzie teraz znaleźć zdobycz.

Siedemdziesiąt dwa tarany wdarły się centralnie w liczącą pięćset pocisków salwę Tamaguchiego. Chociaż ekrany pocisków były mniejsze niż w przypadku antyrakiet, to przeciwko celom pozbawionym ekranów i niemającym żadnych zdolności manewrowych mogły być równie skuteczne.



– A to dranie! – wyrwało się Pengowi.

Kapitan Vangelis podniósł wzrok znad ekranu, który pokazywał mostek flagowy, i spojrzał z wyrzutem na swojego oficera taktycznego. Już chciał go upomnieć za nieregularną wypowiedź, gdy tamten sam wyjaśnił:

– Sir, nie wiem dokładnie, ile dostali, ale właśnie udało im się zmasakrować naszą pierwszą salwę.

– Co? – Vangelis uniósł brwi. Maksymalny zasięg antyrakiet nie przekraczał 3–4 milionów kilometrów, a ich ptaszki znajdowały się na razie ponad 11 milionów kilometrów od zespołu Sierra 1.

– Ile straciliśmy, dowiemy się za jedenaście sekund. Ale już teraz wiem, że dużo.

– O czym ty mówisz? – spytał ostrym tonem Vangelis.

– Wykorzystali fazę balistyczną – odparł Peng, spoglądając na ekran taktyczny. – Musieli posłużyć się dronami rozpoznawczymi do dokładnego namierzenia zaraz po wypaleniu pierwszego stopnia...

Przerwał, gdy na monitorze pojawiły się ikony, których jeszcze moment wcześniej tam nie było. Przy takim dystansie aktywne sensory były bezużyteczne, a pasywne przekazywały wszystko z opóźnieniem. Niemniej ekrany wywoływały zaburzenia grawitacyjne, które przemieszczały się szybciej niż światło. Na ekranie, który powinien być dosłownie upstrzony sygnaturami napędów drugiego stopnia pocisków z ich pierwszej salwy, pojawiło się tylko kilkadziesiąt symboli.

– Wiedzieli, gdzie ich szukać, sir – stwierdził z goryczą Peng. – A my zastosowaliśmy standardowy wzór rozproszenia.

Oficer skrzywił się z niesmakiem. Pretensje miał jedynie do siebie. Vangelis dla odmiany zacisnął szczęki. Tak SLN, jak i każda inna marynarka wojenna, starała się prowadzić salwy w ciasnych wiązkach, aby zredukować do minimum problemy z łącznością. Pole „widzenia”

okolicznej przestrzeni było w przypadku każdego okrętu ograniczone górnym i dennym ekranem, który nawet w przypadku mniejszych jednostek miał szerokość dziesiątków kilometrów. Gdyby wiązka była nazbyt rozproszona, okręt macierzysty mógłby łatwo stracić kontakt telemetryczny ze swoimi pociskami. Oznaczałoby to oczywiście także brak możliwości aktualizacji namiarów celu.

Pociski raketowe były wstępnie programowane, aby rozszerzyć wiązkę krótko przed ostatecznym dosięgnięciem obiektu, ale stopień tego rozproszenia był często ograniczony. Maksymalna skuteczność taktyczna wymagała, aby rakiety podchodziły do celu tak skupione, jak to możliwe, aby ich lasery trafiły w burtę przeciwnika. Wykonalność obu tych manewrów, czyli najpierw rozproszenia, a następnie skupienia wiązki, zależała od rezerwy wydolności ich napędu. Tam, gdzie oczekiwano silnej obrony, zalecano ustawianie pocisków jeden za drugim, po dwa albo i trzy na dokładnie tym samym kursie. Pierwszy osłaniał wówczas następne swoim ekranem, chociaż drugi miał przez to mniej czasu na korekty kursu przed celem.

Ale w BatCruRon 720 nikt nie miał powodu, aby rozpraszać pociski w balistycznej fazie lotu. Przecież nic nie mogło im wtedy zagrozić...

– Drugi stopień mają tak ustawiony, aby ruszył co najmniej sześć milionów kilometrów przed granicą zasięgu antyrakiet – powiedział oficer nawigacyjny. – W ten sposób będą miały dość czasu na wcześniejsze rozproszenie. Zapomnieliśmy tylko, jak wielki zasięg mają pociski Manticore, a poza tym nikt nigdy nie wykorzystywał zwykłych pocisków w roli antyrakiet. My z ich ptaszkami nie bylibyśmy w stanie tego zrobić, za mało czasu na wyliczenie trajektorii i naprowadzenie. Oni muszą naprawdę mieć łącza nadświatłne z możliwością kontroli taktycznej na żywo. Albo chociaż łączności. Ich pieprzone drony wyłapały nasze rakiety i przesłały ich dane do obróbki, a w drugą stronę poszły od razu namiary celów. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że coś takiego jest możliwe. Podaliśmy im więc cel na tacy, a oni załatwili go ekranami swoich pocisków.

Vangelis poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Oficer taktyczny wyglądał, jakby postarzał się nagle o całe lata.

– To strasznie nieopłacalne – powiedział. – Taki manewr czyni obronę co najmniej sto razy droższą. Nie mówiąc już o tym, że takiego pocisku nie można potem wykorzystać zgodnie z oryginalnym przeznaczeniem. Z drugiej strony, to zadziało i koszt jednostkowy będzie spadał, bo ta sama ławica zmasakruje też kolejne nasze salwy. Komy podają, że stracili tylko dwa

pociski. Musiało dojść do bezpośrednich zderzeń, bo nie ma śladu zetknięcia się ekranów. Aż boję się myśleć, jaka musiała być energia kinetyczna takiego spotkania. W tej chwili robią reorientację. Przeszły już przez drugą naszą salwę i zbliżają się do trzeciej.

– Za ich pierwszą falą idą jeszcze dwie – zauważył Vangelis, gdy zrozumiał, co właściwie się stało.

– Tak, sir. Chcieli mieć pewność, że nie zdążymy już przesłać naszym pociskom nowych komend. I rzeczywiście nic nie poradzimy. Na ich miejscu trzymałbym w okolicy drony z łączem nadświetlnym, aby wyłapać namiary wszystkich ocalałych jeszcze rakiet i naprowadzić na nie pociski z kolejnych fal.

– Syf, malaria i korniki – mruknął kapitan Ephron Vangelis, wyczerpująco podsumowując sytuację.



– Plan ogniowy Bravo – powiedział Scotty Tremaine.

– Plan ogniowy Bravo, sir – potwierdził Golbatsi.

– Szkoda, że nie mamy jednak Apolla – odezwał się Horace Harkness, nie odrywając spojrzenia od swoich ekranów, gdzie pierwsza fala Barykady przechodziła właśnie przez salwę przeciwnika. – Wtedy moglibyśmy naprowadzać je na konkretne cele.

– Nie bądź zachłanny – upomniął go Tremaine. – Już to wystarczy z nawiązką, aby kompletnie wytrącić ich z równowagi.

– Tak, sir. Na pewno.



Przynajmniej teraz wiem, dlaczego Tremaine tak blisko mnie dopuścił, pomyślał gorzko Tamaguchi.

Emisje impellerów okrętów Sierra 1 stały się nagle znacznie słabsze. Nie zniknęły, tego nikt nie potrafił zrobić, ale o wiele trudniej było odczytać ich sygnatury. Co więcej, równocześnie w okolicy ożyły cele pozorowane o niewiarygodnej wręcz mocy. Powielały one grawitacyjne i elektroniczne profile prawdziwych okrętów. Gdyby pociski były sterowane przez systemy pokładowe, skuteczność takich wabików byłaby niewielka, ale wobec głowic z samonaprowadzaniem mogły odegrać swoją rolę, podsuwając bliskie i kusząco wyraźne cele.

Z pocisków pierwszej salwy ocalało jedynie dziewięćdziesiąt. Nie wydawało się, aby miały one wielkie szanse w spotkaniu z systemami defensywnymi zespołu Sierra 1.



Ocalałe pociski Tamaguchiego mknęły w kierunku okrętów Manticore z przyspieszeniem 98 tysięcy km/s², a prędkość zbliżania wynosiła już ponad 102 tysiące km/s. W pobliżu celu powinno to być ponad 170 tysięcy km/s. Zakładając, że im się uda.

W tych warunkach efektywny zasięg antyrakiety RMN *Mark 31* przekraczał 6 milionów kilometrów. Pierwsza ich fala pojawiła się trzydzieści cztery sekundy po uruchomieniu napędów drugiego stopnia pocisków *F2C*. Druga fala ruszyła dziesięć sekund później. Trzecia po kolejnych dziesięciu sekundach. Łącznie były to czterysta trzydzieści trzy pociski skierowane przeciwko salwie solarnych namierzających cały zespół Tremaine'a z wyjątkiem kutrów.

Jego krążowniki i niszczyciele dysponowały łącznie sto czterema wyrzutniami antyrakiet, wspieranymi przez sto czterdzieści osiem baterii laserowych. To było o wiele więcej, niż Tamaguchi oczekiwał. Jego jednostki miały tylko sześćdziesiąt dziewięć procent więcej wyrzutni i pięćdziesiąt cztery procent mniej laserów. I to przy tak korzystnej przewadze tonażu. Gdyby zaś do zasobów Tremaine'a doliczyć jeszcze kutry, miałby on tylko osiem wyrzutni mniej i trzy i pół raza więcej baterii laserowych.

Oczywiście oni mają siedem razy większy tonaż, na który musi rozłożyć się siła ognia, pomyślał Tremaine. A jeśli używa takich samych pocisków jak Filareta, mają głowice takie jak stosowane w ciężkich jednostkach. Wielu takich trafień nie zniesiemy.

Na szczęście to nie będzie konieczne.



Twarz Tamaguchiego była teraz jak z kamienia. Jakiś wredny głos z tyłu głowy powtarzał mu same najgorsze groźby, podczas gdy kolejne salwy pocisków startowały z wyrzutni okrętów Manticore.

Muszą strzelać z obu burt jednocześnie, pomyślał. Tego też nie umiemy. Ocaleli ludzie Oksany mówili, że ich pociski same się ustawiają na kursie niezależnie od kąta odpalenia. A ja w to nie wierzyłem. Muszą mieć niewiarygodną redundancję łączy kontrolnych. Oczywiście to ma sens. Musieli się tego nauczyć podczas tylu lat wojny z Haven w ich prowincjonalnym kącie galaktyki. Tamaguchi czuł się winny. Bardzo winny. Komandor Peng nie mógł nawet wiedzieć jak bardzo. Tak, chyba jednak powinienem wziąć to wszystko pod uwagę, dodał w myślach.



Cataphracts BatCruRon 720 napotkały drony systemu Lorelei grupy operacyjnej TG 10.2.9.

Tremaine nie miał ich wiele. Był to całkiem nowy system, który wchodził dopiero do produkcji w chwili lutowego ataku. Na szczęście przemysł Beowulfa okazał się zdolny do ich wytwarzania, gdy tylko Manticore przesłało tam pełną specyfikację techniczną. Frachtowce, które dotarły na Montanę wraz z *Charlesem Wardem*, dostarczyły kilkaset sztuk. Więcej miało nadejść niebawem, więc admirał Culbertson rozdysponował całą tę partię, przekazując po siedemdziesiąt pięć dronów każdej ze swoich grup operacyjnych.

Adam Golbatsi użył teraz tylko dwunastu, ale zasilane reaktorami fuzyjnymi drony miały wielokrotnie większe możliwości niż jakiegokolwiek wcześniejsze cele pozorowane. Po pierwsze, mogły bardziej oddalić się od zespołu, po drugie, były całkowicie niezależne energetycznie od jednostek macierzystych. Były też zdolne do samodzielnych manewrów, co jeszcze bardziej uwiarygodniało je jako cele.

Czujniki głowic pocisków *F2C* zaś nie należały do najnowocześniejszych.

Z dziewięćdziesięciu jeden pocisków, które przeszły przez Barykadę, trzydzieści trzy dały się skusić Lorelei. Gwałtownie zmieniły kurs, oddalając się od zespołu *Alistaira McKeona*.

Pierwsza fala antyrakiet zdjęła piętnaście z pozostałych jeszcze pięćdziesięciu ośmiu pocisków. Druga zniszczyła kolejne osiemnaście. Przez wszystkie trzy fale przeszło tylko dziewięć, ale nimi zajęły się działka laserowe kutrów. Trafiły dziewięć pocisków.

Jeden jedyny ocalały przemknął w odległości niecałych 10 tysięcy kilometrów od HMS *Alistair McKeon*... i zmarnował wszystkie dziesięć potężnych promieni laserowych, smagając nimi górny ekran krążownika. Oczywiście wcale go nie naruszył.



Winslet Tamaguchi zdrętwiał, gdy ostatni pocisk pierwszej salwy zniknął z ekranu. Być może wyrządził jakieś szkody, ale ekran krążownika nawet nie zamigotał.

Z drugiej fali przez zaporę ekranów przeszły tylko czterdzieści trzy pociski. Z trzeciej czternaście i dwadzieścia jeden z czwartej. Łącznie sto sześćdziesiąt dziewięć, czyli mniej niż dziewięć procent, doszło do właściwej sfery obrony zespołu Manticore. Nie przypuszczał, aby sprawiły się lepiej niż te wcześniejsze.

Za to teraz pociski *Sierry 1* zaczęły się zbliżać do jego sfery obrony. Było ich dwieście.

Antyrakiety wystrzeliły na ich spotkanie, a Tamaguchi pochylił się w skupieniu nad ekranem, jakby mógł w ten sposób zwiększyć ich skuteczność.



– Systemy zakłócające w gotowości... Teraz! – rzucił sir Horace Harkness.



Trzydzieści sześć z wystrzelonych przez zespół 10.2.9 pocisków miało głowice z emiterami zakłóceń radioelektronicznych. Elektroniczne systemy obronne BatCruRon 720 przeżyły wstrząs, gdy zagłuszacze dały o sobie znać. W polu widzenia czujników, na których bez reszty opierała się cała defensywa BatCruRon 720, pojawiły się olbrzymie dziury elektronicznego blasku, a w wywołanym przez nie chaosie uruchomił się system Dragon's Teeth. Liczba źródeł zagrożeń podwoiła się raz, potem drugi. Komputery obrony przeciwrakietowej i czujniki pokładowe, już wcześniej zdeorientowane przez zagłuszacze, zostały przeładowane napływającymi informacjami.

Antyrakiety trafiły dziewięć pocisków z salwy Tremaine'a. Kolejne dziesięć padło ofiarą laserów. Sto czterdzieści pięć przeszło przez obronę i wszystkie w komplecie skierowały się na SLNS *Lorraine*.

Zespół operacyjny 10.2.9 nie miał systemu Keyhole-Two, który pozwoliłby Golbatsiemu monitorować i aktualizować namiary celów dla *Mark 23D* w czasie rzeczywistym. Nie z tego dystansu. Ale w każdym zasobniku był jeden pocisk *Mark 23E*, z najbardziej zaawansowanym systemem naprowadzania, jaki dotąd skonstruowano. Każdy z modułów *23 Echo* czerpał dane z sensorów wszystkich pocisków *23 Delta*, po czym dzielił się nimi z pozostałymi *echami* w salwie. Solarne cele pozorowane były nieskuteczne wobec tego systemu. A nawet gorzej: system Halo i dołączone do niego instrukcje obsługi zostały dokładnie przestudiowane przez inżynierów RMN, a wnioski przekazano SI systemu Echo. Dzięki temu drony systemu Halo nie tyle wprowadzały w błąd, ile wręcz podpowiadały położenie prawdziwego celu. Głowice to uwzględniły, połączyły z wcześniejszymi informacjami i uaktualniły oryginalne namiary ogniowe.

Golbatsi nie miał żadnego kontaktu ze swoimi pociskami w ostatnich sekundach ich istnienia, ale i bez tego celność salwy była o wiele większa, niż SLN byłaby w stanie osiągnąć przy dwudziestu procentach obecnego dystansu.

Tysiąc trzysta pięć promieni laserów, z których każdy miał dwa razy większą moc niż lasery głowic solarnych pocisków *Trebuchet*, skierowały się na jeden krążownik liniowy. Pomimo wyrafinowanego systemu celowania *23E* ponad jedna trzecia z nich trafiła w ekrany *Lorraine*.

Pozostałe były celne.

Prawie osiemset laserów, zaprojektowanych do niszczenia nawet nie zwykłych superdreadnoughtów, ale superdreadnoughtów analogicznych do okrętów Royal Manticoran Navy, wgrzyło się w zwykły krążownik liniowy, którego masa równa była jednej dziesiątej masy okrętu typu *Invictus*. Trudno byłoby wręcz porównywać pancerze tych okrętów, ich wytrzymałość czy głębokość kadłuba. Grubość zewnętrznego pancerza superdreadnoughtów mierzyło się w metrach, właściwy kadłub zaś był zwykle pięć razy lepiej chroniony niż kadłub krążownika liniowego. Lasery, zdolne przebić się przez pancerz *invictusa*, dziurawiły kadłub *Lorraine* dosłownie na wylot.

Jeden uderzył wprost w węzeł dziobowy i wniknął na dwie trzecie całkowitej długości kadłuba, niszcząc jednocześnie przedział tylnego reaktora. Jedna trzecia zmasakrowanego wraku z martwą już załogą wyparowała w olbrzymiej kuli ognia.



Przerażony Winslet Tamaguchi nie mógł oderwać spojrzenia od ekranu, gdzie widać było rozpraszającą się z wolna chmurę szczątków, która jeszcze przed chwilą była krążownikiem liniowym SLNS *Lorraine*. W stanie dziwnego odrętwienia admirał próbował zgłębić, dlaczego właściwie Tremaine skierował całą salwę na jeden okręt? I to salwę, która z powodzeniem mogłaby zniszczyć cały zespół BatCruRon 720. To było wielkie marnotrawstwo. Chociaż miał powody, by sądzić, że dowódca Manticore miał jeszcze sporo pocisków w zapasie. Zatem dlaczego...?

Ekran taktyczny odnotował, że ostatni z jego *cataphractów* z czwartej salwy zginął bezużytecznie w ataku na odległy o 1,3 miliona kilometrów zespół Sierra 1.

I to już wszystkie, pomyślał. Skoro prawie dwa tysiące pocisków z zasobników nie zdołały choć drasnąć zespołu Manticore, to czego mógłbym się spodziewać po rakietach z wyrzutni pokładowych?

– Sir – odezwał się Phanindra Broadmoor z osobliwym wyrazem twarzy. – Mamy transmisję przychodzącą. Jej źródło znajduje się w odległości około dwustu tysięcy kilometrów.

Tamaguchi wciągnął głęboko powietrze.

– Daj ją na ekran – powiedział do swojego oficera.

– Tak, sir.

Przełączony na tryb łączności ekran taktyczny ukazał ponownie twarz sir Prescott'a Tremaine'a.

– Nie lubię zabijać, admirale Tamaguchi – powiedział spokojnie z ponurym wyrazem twarzy.

– Dlatego skierowałem pociski tylko na jeden z pańskich okrętów. Zapewniam jednak, że wciąż mam ich dość, aby zrobić to jeszcze kilka razy, chociaż zapewne domyśla się pan już, że i jedna salwa wystarczyłaby dla zniszczenia całego pańskiego zespołu. Nie chcę tego robić, daję więc panu sposobność ocalenia swoich ludzi. Ma pan dziesięć minut na wyłączenie ekranów i poddanie się. Potem ponownie otworzę ogień i wątpię, czy wielu z was przeżyje. Decyzja należy do pana, admirale.

ROZDZIAŁ LXXIII



Tomasz Szponder usłyszał, jak ktoś otworzył drzwi siedziby wydawnictwa Zielone Wzgórze. Mógł przenieść się do lokalu w znacznie bardziej prestiżowej dzielnicy, bardziej stosownego dla kogoś o jego obecnym statusie szefa rządu całego układu. Po udanym zamachu – a może raczej antyzamachu stanu, diabeł by się w tym nie rozeznał – Szymon Ziomkowski wręcz błagał go, by przejął dawną siedzibę premiera, ale on konsekwentnie odmawiał. Został w kamienicy, w której zawsze mieszkał i pracował.

I nie bez powodu wrócił tu także i po bezowocnej rozmowie z Hieronimem Mazurem, którą odbył w rządowym centrum łączności.

Godziny ciągnęły się niemiłosiernie, a solarny dowódca nie nawiązywał ponownie kontaktu z planetą. Z wolna docierało do Tomasza, jak beznadziejna jest ich sytuacja. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie żadnych rozmów w celu wypracowania pokojowego rozwiązania, a w tym właśnie gabinecie zrodziła się idea Krucjaty Wolności Myśli. Gdy przyjdzie czas, gdy bataliony interwencyjne wylądują na planecie, chciał być właśnie tutaj. I tutaj odejść.

Ale choć postawił na swoim i nie zmienił adresu, pewnych konsekwencji zmiany statusu nie był w stanie uniknąć. Tomek Nowak i Jarosław Kotarski, tak samo zresztą jak Ziomkowski, zgodnym chórem nalegali, aby zadbał o swoje osobiste bezpieczeństwo. Przecież większość oligarchów nadal była na wolności i dysponowała ciężką forszą. Niejeden miałby pewnie ochotę wynająć kogoś, by usunąć człowieka, który zagroził ich przywilejom. Nie tylko z zemsty, chociaż niejednemu wystarczyłaby i taka motywacja. Wiedzieli, że śmierć przywódcy ruchu byłaby bolesnym ciosem dla wszystkich jego zwolenników.

Justyna Pokriefke spędzała czas w celi więzienia, które jeszcze niedawno jej podlegało. Jej Biuro Bezpieczeństwa i Prawdy zostało rozwiązane, dotychczasowe kompetencje zaś znalazły się w gestii Teofila Strenka, którego regularna policja urządziła sobie kilkudniowe święto tropienia i rozbrajania wszystkich czarnych kurtek. Nie obeszło się przy tym bez ofiar, chociaż szczęśliwie nie po stronie policji. Szponder był przekonany, że niektórzy policjanci wykazali się przy tym nadgorliwością i nie zawsze działali zgodnie z rozkazami, aby wszystkich podejrzanych brać żywych. Nie zamierzał się tym jednak przesadnie przejmować. W obecnych realiach takie rzeczy były po prostu nie do uniknięcia.

Jedyny dział BBiP, który pozostawiono, wiązał się z ochroną przewodniczącego. Policja uszanowała tę decyzję, a Ziomkowski nalegał, aby od teraz DOP czuwał także nad bezpieczeństwem Szpondera.

Ku zdumieniu wszystkich zainteresowanych Grzegorz Zieliński zgłosił się zaraz na ochotnika do kierowania nowym zespołem. Nie spotkał się z odmową. Mimo tego, co zdarzyło się na Szmaragdowej Wyspie, nie żywił urazy do Szpondera. Chyba nawet wręcz odwrotnie.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli Zieliński i Jarosław Kotarski. Szponder zmarszczył brwi, widząc ich miny. Pierwszy był zestresowany, chociaż także dziwnie poruszony. A Kotarski... Jarek wręcz promieniał.

– Tomek, coś się chyba zmienia – rzucił od progu.

– Niby co? – spytał Szponder całkiem bez entuzjazmu. Jak na razie nie widział żadnego powodu, aby zmieniać nastawienie.

– Dokładnie nie wiadomo – odpowiedział Kotarski. – Ale wyobraź sobie, że jacht Mazura i jeszcze cztery inne statki nadprzestrzenne nagle odbiły od Piłsudskiego. Naziemny oddział kontroli astro potwierdził tę informację.

– Żadna sensacja – mruknął Szponder. – Polecieli na spotkanie z solarnymi.

– A właśnie że nie – zaprotestował Kotarski. – Do tego nie potrzebowaliby takich statków, Tomaszu. Poza tym wedle ostatnich doniesień gnają w kierunku granicy nadprzestrzennej.

– Co? – Szponder odrobinę się ożywił, ale też zafrasował. – To bez sensu! Wygrali. My możemy już tylko gryźć i kopać po drodze na szafot.

– Może tak, może nie – odezwał się Zieliński. – Gdyby wszystko przebiegało zgodnie z planem amatorów trufli, solarni byłoby już na orbicie. I nikt nie miałby powodu opuszczać stacji. Nie, coś tu nie pasuje. Coś musiało im się posypać. To jedyne wyjaśnienie.

Kotarski gwałtownie pokiwał głową. Szponder przyjrzał im się uważnie.

– Jasne, to kusząca myśl. Alternatywa dla najgorszego wariantu – odezwał się łagodnym tonem. – Ale niby co mogłoby się im posypać? Solarni są już na miejscu i nawet nie chcą z nami gadać. Wojsko jeszcze nie wylądowało, ale co z tego? Nie powinienem ufać tym cholerym z Manticore!

– Wypluj te słowa! – rzucił Zieliński takim tonem, jakim rzadko się posługiwał. Szponder aż zamrugał z zaskoczenia. – Jesteś jedynym człowiekiem w całym tym układzie, który nie zapomniał, czemu miał służyć Ruch Odrodzenia Narodowego. I jedynym, który coś z tym zrobił.

Tego nikt ci nie odbierze. Ani tobie, ani nam. Więc nie próbuj tego podważać.

– Przepraszam, Grzegorzu – powiedział po chwili Szponder. Wstał i położył dłoń na ramieniu ochroniarza. – Nikomu nie chcę niczego zabierać, ale jak mawia Tomek Nowak, wszyscy mamy przerażane. Po prostu nie chcę czepiać się nadziei, bo potem będzie jeszcze gorzej.

– To nie tak – wtrącił się Kotarski. – Grzegorz ma rację. W normalnych okolicznościach byliby już na orbicie i próbowali nas zastraszyć. Cholerny świat! – Machnął zirytowany ręką. – Żebyśmy mieli kogoś na orbicie! Byle zestaw czujników powiedziałby nam, co tam się właściwie dzieje. A coś musi, skoro Mazur i jego przydupasy tak zwiewają.

– Jestem pewien, że niebawem się dowiemy – powiedział ponuro Szponder. – W rzeczywistości to pewnie tylko kwestia...

Drzwi znowu się otworzyły, i to tak gwałtownie, że huknęły o ścianę i wiszący obok pejzaż przedstawiający zielone wzgórza, od których wydawnictwo wzięło swoją nazwę, spadł z trzaskiem na podłogę. Szponder zrobił zniesmaczoną minę i przetarł twarz dłonią. W gabinecie pojawił się zdyszany Tomek Nowak.

– Co, u dia... – zaczął Szponder, ale Nowak nie dał mu dokończyć.

– Szefie, proszę! – Z szerokim uśmiechem wcisnął mu w dłoń komunikator. – Naprawdę warto!

Szponder spojrzał na niego nieufnie, chyba niepewny, czy Tomek nie oszalał, ale wziął ostrożnie urządzenie. Nowak pokazał mu na migi, aby spojrzał na ekran.

Zrobił to i ujrzał oblicze mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widział. Obcy był młody i miał włosy piaskowego koloru.

– Słucham – powiedział niepewnie.

– Pan Szponder? – spytał nieznajomy.

Szponder poczuł przyspieszone bicie serca. Nie znał tego akcentu.

– Tak – odparł już nieco pewniejszym głosem.

– Rozumiem, że to z panem powinienem rozmawiać – ciągnął mężczyzna. – Musimy wyjaśnić kilka nieporozumień.

– Jakich nieporozumień? – zapytał Szponder, zastanawiając się, czy może wszyscy wokół zwariowali i tylko on jeden pozostał zdrow na umyśle.

– Przepraszam, że nie skontaktowałem się z panem wcześniej. Najpierw musiałem się zająć

admirałem Tamaguchim i wyperswadować mu kilka pomysłów. No i nie wiedziałem, że ktoś u was czeka na ten kontakt. To właśnie jest nieporozumieniem.

Przerwał, a Szponder uniósł brwi. Nic z tego nie miało sensu.

– Panie Szponder, rzecz w tym, że choć rzekomo z kimś od nas rozmawialiście, nie był to wcale wysłannik Gwiezdnego Imperium Manticore – powiedział nieznajomy. Szponder całkiem się już pogubił, ale zauważył wreszcie, że tamten był w mundurze. Czarno-złotym! – Pewnie powinienem powiedzieć, że jeszcze pan z nikim od nas nie rozmawiał. Nazywam się Prescott Tremaine, kapitan Royal Manticoran Navy. I chyba mamy sobie sporo do wyjaśnienia...



Zgromadzeni wokół stołu w sali odpraw wstali, gdy tylko Lester Tourville przeszedł przez właz. Za nim pojawiły się kapitan Molly Delaney i porucznik Berjouhi Lafontaine. Admirał podszedł do szczytu stołu i usiadł na czekającym na niego krześle, po czym ogarnął wszystkich spojrzeniem.

– Siadajcie, panie i panowie – odezwał się zdecydowanym tonem.

Posłuchali wszyscy z wyjątkiem porucznik Lafontaine, która splotła ręce za plecami i stanęła w postawie prawie zasadniczej za krzesłem admirała. Sądząc po lekkim uśmiechu, świetnie o tym wiedział. Potem jednak spowaźniał i oparł przedramiona na blacie.

– Jestem pewien, że wszyscy wiedzą już o porannym przylocie jednostki kurierskiej z układu Meyers od admirał Gold Peak – powiedział, skrywając pod wąsami grymas, który niekoniecznie musiał być uśmiechem. – Czasem myślę, że gdy oficerowie flagowi idą do piekła, najpierw długo czekają w czyścicu na kuriera z aktualnymi rozkazami.

Obecni zaśmiali się cicho, a admirał wyjął z kieszeni na piersi cygaro, które następnie uważnie odpakował. Przyczajony w Gałęziach tylko na nie zerknął, po czym zeskoczył z ramienia podopiecznego i przeniósł się na przewidzianą dla treecatów grzędę na ścianie, jak najdalej od stołu. Wyciąg bezpośrednio nad Tourville'em zaszumiał trochę głośniej. Gdy zapalił cygaro, wonny dym unosił się prawie prosto w górę.

Prawie.

– Wracając do przekazu admirał Gold Peak – ciągnął z poważnym wyrazem twarzy. – Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Z tym większą niecierpliwością czekam, aby ją spotkać. Wydaje się, że wszystko, co o niej dotąd słyszałem, jest trafne. Gdy opuszczałem Manticore, nikt nie przypuszczał, że rozważa atak na sektor Madras. Tym samym nikt nawet się nie domyślał,

jaki może być skutek tego ataku. Z jej raportu wynika, że przejęła albo zniszczyła wszystkie solarne jednostki w tym rejonie i zainstalowała nowy rząd, czy może udzieliła wsparcia istniejącemu, który cieszył się sporą popularnością. Jej zdaniem Meyers może dzięki niemu stać się prawdziwie niezależnym sektorem. Czy ma rację, czy nie, przekazane jej przez admirała Culbertsona siły ułatwiły jej realizację tego zadania. – Przerwał i wypuścił pierścień dymu, który szybko zniknął w wentylacji. – Obecnie zaś została poinformowana, że Gwardia Quadrantu zamierza skoncentrować jeszcze większe siły na Montanie. Nie zna najświeższych danych na ten temat, które my już otrzymaliśmy, wie tylko, że oddziały są w drodze i powinny niebawem do niej dotrzeć. Dysponując tą informacją... – zaciągnął się mocno, wypuścił kolejny pierścień dymu i przyjrzał mu się uważnie – zdecydowała się ruszyć prosto na Mesę.

Zebrani nie zareagowali od razu. Dopiero po chwili poruszyli się na krzesłach – niemal równocześnie.

– To jej samodzielna decyzja – kontynuował Tourville. – Wiem, że jest pierwszą kuzynką królowej, ale nawet biorąc pod uwagę jej bliskie związki z tronem, jestem pod wrażeniem odpowiedzialności, którą zdecydowała się wziąć na swoje barki. I oficjalnie oświadczam, że w stu procentach ją popieram. Mesa jest źródłem infekcji, która rozprzestrzeniła się na wiele innych miejsc w galaktyce, i myślę, że nadszedł już czas, aby raz na zawsze usunąć to ognisko zapalne. Tak aby już nigdy się nie odnowiło.

Wokół stołu dał się słyszeć szmer aprobaty. Admirał skinął głową.

– Jej przesyłka zawiera także nasze rozkazy – powiedział. – Mamy poczekać na Gwardię Quadrantu, a gdy przybędzie, opuścić wraz z nią Montanę. Na miejscu zostaną tylko siły potrzebne do ochrony układu. Cała reszta skieruje się do obiektu SCY-146-H. – Uśmiechnął się. – Musiałem sprawdzić na mapach. To czerwony karzeł, bez planet, idealny na spotkanie. Jak również doskonale miejsce na ćwiczenia dla zgrania zespołów floty. No i leży mniej niż sześć lat świetlnych od Mesy. Gold Peak będzie tam na nas czekać.

PAŹDZIERNIK 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Dobry wieczór, admirale Tourville. Czekaliśmy na pana”.

– admirał Michelle Henke, hrabina Gold Peak, dowódca Dziesiątej Floty Royal Manticoran Navy

ROZDZIAŁ LXXIV



Jules Charteris autoryzował w komunikatorze opłatę za taksówkę, która wystartowała z platformy, opuszczając Saracen Tower. Zastanawiał się, czy nie kazać jej poczekać, ale szefowie Lisy z Kepagane & Bellini mieli podstawić dla wszystkich luksusowe limuzyny w ramach przeprosin za tak długie przetrzymanie na konferencji na wyspie McClintock.

I dobrze, pomyślał ze złością, ruszając w stronę wind grawitacyjnych. Przecież to absurd! Ponad dwa miesiące z dala od rodziny! Wiem, że dobrze płacą i że jej robota dla Równania jest co najmniej tak samo ważna jak moja, ale przecież każdy ma jakieś własne życie...

Dobrze, że chociaż cofnęli całkowity zakaz kontaktów, który obowiązywał zwykle podczas dorocznych spotkań. Chociaż i tak były mocno ograniczane. Mógł rozmawiać z żoną tylko raz dziennie, ale dali mu aż trzydzieści minut. Inna sprawa, że czasem niepokoiło go to, co słyszał.

Mówiła, że wszystko jest w porządku, ale zawsze tak robiła. Nawet gdy spadła ze schodów podczas trzecich urodzin drugiej córki. Złamała sobie wtedy rękę w trzech miejscach, ale i tak było świetnie. „Nic mi nie jest, wracaj na przyjęcie, kochanie, zaraz dołączę”.

Właśnie, pomyślał i parsknął śmiechem. Wróciła, jak tylko moduł medyczny nastawił jej rękę i umówił na pierwsze spotkanie kuracyjne.

Tym razem nie szarżowała, ale coś było wyraźnie nie tak. Może chodziło o zmęczenie, może o spory z innymi badaczami albo o coś jeszcze całkiem innego. Lub też to jego wyobraźnia! Niemniej nie mógł pozbyć się wrażenia, że była jakaś nieswoja.

Cóż, dziś po południu wróci do domu. Uśmiechnął się, myśląc o planowanej kolacji przy świecach, takiej na powitanie. No i jeszcze bardziej osobistym elemencie, zaplanowanym na później. Nie jest aż tak źle, pomyślał. Znam moją Lisę. W jej przypadku nieobecność sprawia, że serce, i nie tylko serce, ożywa na nowo!

W dobrym nastroju wszedł do windy i skierował ją w dół.



– Dobra! Dajesz, Jamie!

Allison Renfrew poderwała się na równe nogi, wymachując pomarańczowo-czarnym szalikiem, gdy jej piętnastoletni syn minął ostatniego obrońcę i kopnął piłkę prosto w światło bramki. Na trybunach Dobzhansky Soccer Complex zrobiło się jeszcze bardziej czarno i

pomarańczowo. Uczniowie i rodzice z Matthew Stanley Meselson Academy cieszyli się z objęcia prowadzenia przez ich drużynę. Był to dopiero początek drugiej połowy i ich rywale, Transformers z Oswald Avery Prep, mieli jeszcze sporo czasu na wyrównanie, ale na razie MSM wygrywała. W całym sezonie straciła jak dotąd tylko siedem goli, z czego trzy w rzutach karnych.

Allison usiadła i sięgnęła po komunikator. Wybrała numer męża i uśmiechnęła się, gdy jego twarz pojawiła się na małym wyświetlaczu.

– Jamie właśnie strzelił gola! To było piękne, Stevie! Po prostu piękne. Żałuję, że nie było cię tutaj i nie widziałeś!

Pułkownik Stephen Renfrew z Mesańskich Sił Pokojowych też się uśmiechnął.

– Świetnie, kochanie! Lewą czy prawą?

– Lewą! – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Chyba tamci nie wyłapali, że potrafi obiema!

– Nasz chłopak! – zaśmiał się pułkownik. – Fakt, szkoda, że nie widziałem.

– Jasne.

Allison trochę posmutniała. Była żoną oficera i musiała znosić związane z tym niedogodności, a najgorszą była częsta nieobecność męża w ważnych chwilach. Dobrze chociaż, że to było wojsko, a nie jakaś agencja ochrony. Dzięki temu było mniej zaskoczeń. Wiedzieli na przykład, kiedy będzie miał ćwiczenia, i mogli coś planować. Ale nie teraz, gdy namnożyło się tych szaleńców z Baletu zabijających ludzi gdzie popadnie. Od kilku tygodni nie było wprawdzie żadnego dużego ataku, ale co rusz zdarzały się jakieś pomniejsze zamachy bombowe czy napady, które zabierały trzysta–czteryście osób w tygodniu.

Może to nie było aż tak wiele wobec całkowitej populacji układu Mesy. W sumie mały ułamek promila. Jeden z dziennikarzy, próbujący trochę uspokoić ludzi i dać im do zrozumienia, że rząd panuje nad sytuacją, wspominał słusznie, że w całkiem zwyczajnych wypadkach ginie co tydzień czterysta osób. I to tylko w Mendelu. Może i największym mieście planety, ale zamieszkanym tylko przez pięć procent układowej populacji. W całym układzie takich ofiar było prawie siedem tysięcy!

Allison rozumiała te proporcje, ale tutaj nie chodziło o ludzi, którzy po prostu zginęli. Oni zostali zamordowani. I tych ofiar było zbyt wiele, aby zachowywać spokój. Nawet armia podniosła poziom gotowości, gdyby przyszło jej wesprzeć służby bezpieczeństwa. Allison nie przepadała za tymi służbami, ale tym razem skłonna była uznać, że obrały właściwą taktykę.

Green Pines to była przecież masakra. Owszem, jednorazowe zdarzenie, ale tak inne od wszystkiego, co zdarzało się dotąd na Mesie, że przerażało podobnie jak trzęsienie ziemi czy wielki pożar lasu. Prawie katastrofa naturalna, nie zwykły skutek czyjegoś działania.

Wszystko, co działo się później, i te obłędne i przerażające do szpiku kości komunikaty zbrodni z Baletu, opisujących z detalami swoje morderstwa i zapowiadających następne odrażające akty przemocy, całkiem odmieniły Mesę. Chyba każdy stracił przez nich bliską czy znajomą osobę i nic dziwnego, że na trybunach panowała dzisiaj większa nerwowość niż zwykle. Ludzie korzystali z okazji do odreagowania stresu. Ulga była oczywiście tylko chwilowa, ale i to się liczyło. Także w przypadku Allison.

Tymczasem Stephen miał akurat służbę i tkwił gdzieś tam na stanowisku dowodzenia. Allison uważała, że czasem świat gra znaczonymi kartami.

– No cóż – powiedziała z tylko trochę wymuszoną wesołością. – To jeszcze nie koniec sezonu, kochanie. Mam nadzieję, że niebawem zrobi się spokojniej i zajrzysz na kilka meczów. A cokolwiek się stanie, sam wiesz, że w playoffach będziemy grać z Avery. Oni mają zawsze takie samo szczęście jak my, więc...

Połączenie urwało się nagle. Pułkownik Renfrew zmarszczył brwi i wybrał połączenie zwrotne.

– Cześć, tu Allison – usłyszał. – Przykro mi, ale jestem teraz zajęta. Proszę zostawić wiadomość. Odezwę się, gdy tylko będę mogła. Dzięki!

Zdumiał się jeszcze bardziej i włączył program diagnostyczny w swoim komunikatorze. Jednak nie było mu dane poczekać spokojnie, co z tego wyniknie.

– Sir – odezwał się ktoś za jego plecami. Głos należał do kapitan Angeli Klauser, batalionowego oficera wywiadu, i był pełen niepokoju.

– Co jest, Angie? – spytał, zaraz zapominając o przerwanej rozmowie i obracając się do pani kapitan. – Coś się stało?

– Sir... – zaczęła znowu Klauser takim tonem, że Renfrewowi włosy zjeżyły się na karku. Co gorsza, jej oczy były podejrzanie wilgotne. – Doszło do kolejnego incydentu.



– Chyba powinna to pani zobaczyć – powiedział pułkownik Byrum Bartel, wchodząc bezceremonialnie do biura generała Gillian Drescher.

Drescher wyjrzała zza ekranu na biurku. Ostatnie miesiące były dla niej koszmarem. Zwykle

lubiła swoją pracę w Mesańskich Siłach Pokojowych. Była interesująca i niosła sporo zawodowych wyzwań, chociaż jej armia nigdy tak naprawdę nie walczyła i w przeciwieństwie do niektórych innych służb nie angażowała się w konflikty z niewolnikami i ich potomkami. Drescher nie cierpiała tych służb, i to z wielu powodów. Nie miała pretensji, że nosiły mundury, bo sama to robiła, ale uważała, że uniform zobowiązuje do pewnych zachowań. Nie pasował na przykład do brutalnych metod działania. Samo niewolnictwo genetyczne mało ją obchodziło. Znacznie gorsze były jego konsekwencje, a zwłaszcza wszystkie problemy związane z potrzebą kontrolowania społeczeństwa, w którym niewolnictwo było normą.

Jak pokazała praktyka, konsekwencje owe mogły niekiedy przybierać katastrofalne wręcz rozmiary. Tak dla niej, jak i dla Bartela, jej szefa sztabu, było oczywiste, że w całym tym kotle musi mieszać ktoś z zewnątrz. Nie kupiła teorii François McGillicuddy'ego, dyrektora do spraw bezpieczeństwa, oraz Bentleya Howella, jego jasnowłosego chłoptasia z Bezpieczeństwa Wewnętrznego, że chodzi o Manticore. Balet się nawet zgadzał. I owszem, Manticore zawsze miało wiele wspólnego z Ligą Antyniewolniczą. Wprawdzie Gwiazdne Królestwo nigdy nie zaakceptowało ekscesów Baletu, ale było powszechnie wiadomo, że traktowało tę organizację z większym pobłażaniem niż wielu innych. Drescher nie była jednak jakoś skłonna uwierzyć, aby rozsądne zwykle Manticore było skłonne wikłać się we wspieranie zamachów terrorystycznych, gdy samo było praktycznie w stanie wojny z Ligą Solarną. Była przekonana, że politycy Manticore są dość inteligentni, aby raczej pozbywać się teraz każdego zbędnego balastu.

Nie wątpiła, że członkowie Baletu, czy też jakiegś jego frakcji odpowiedzialnej za zamachy, mogli być święcie przekonani, że to właśnie Mesa stała za próbą zgładzenia całej populacji Torch złożonej z byłych niewolników. Problem w tym, że wykraczało to zdecydowanie poza kompetencje Howella czy Selig. Zwłaszcza w jego przypadku. Selig wiedziała, że jest na swoim stanowisku tylko narzędziem, podczas gdy Howell wierzył durnie, że coś jednak potrafi. Dlatego właśnie Drescher była pewna, że wcześniej czy później to armia będzie musiała ratować dupę wszystkim innym służbom. I dlatego też pracowała ostatnio więcej niż zwykle, aby mieć gotowy plan działania na taką okazję. W normalnych okolicznościach ucieszyłaby się nawet, że ktoś przerywa jej poprawianie tego planu, który przeglądała już chyba z tysiąc, a może i dwa tysiące razy.

Niemniej wyraz twarzy Bartela nie wróżył dobrze.

– Co jest? – spytała.

– Mieliśmy wybuch. Napowietrzny. Wygląda na siedem–osiem kiloton.

– Cholera – mruknęła cicho, chociaż cały spokój szlag trafił. – Gdzie?

– I to jest najgorsze – odpowiedział ponuro pułkownik. – Nad Dobzhanskim. Nie nad samym miastem, ale wstępna ocena Evala i tak mówi o co najmniej dziesięciu tysiącach ofiar.

– Dobzhansky? – Drescher usłyszała własny głos i zastanowiła się przelotnie, czy zrobiła się równie blada jak pułkownik, który właśnie skinął głową.

Nie było to wielkie miasto, ale nieźle się w nim żyło. Brakowało w nim dzielnic biedoty, wszyscy mieszkańcy byli pełnoprawnymi obywatelami. Stamtąd też, w przeliczeniu na liczbę mieszkańców, pochodziło najwięcej mesańskich policjantów, funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa i wojskowych.

Drescher gapiła się na swojego szefa sztabu przez kilka długich sekund. Dla kogoś zwykle tak szybko myślącego jak ona była to cała wieczność.

– Postaw ludzi na nogi – powiedziała, gdy już się otrząsnęła. – Potrzebuję generała Alpina. Podczas gdy będę z nim rozmawiać, wyślesz sygnał alarmu alfa do wszystkich jednostek. Potem sprowadź tu cały sztab, ale migiem, bo roboty będziemy mieli po łokcie. Gwarantuję ci, że Selig i Howell spieprzą sprawę konkursowo, McGillicuddy każe im ruszyć na biedotę. Wiesz, że właśnie tak będzie.

Bartel skinął głową. Wiedział.

– Potem będę potrzebować połączenia konferencyjnego ze wszystkimi dowódcami oddziałów – dodała. – McGillicuddy najprawdopodobniej pošle najpierw tych z sił bezpieczeństwa, a gdy Howell wpakuje się już w bagno, a inaczej być nie może, wszyscy zaczną drzeć mordy, żebyśmy go wsparli. Tak więc muszę pogadać z dowódcami, a tymczasem ty...



Jules Charteris minął ostatni zakręt szerokiego i jasno oświetlonego korytarza i wszedł do Audytorium Kornberga na czterdziestym piętrze Saracen Tower. Planował znaleźć się tutaj dwadzieścia minut wcześniej, ale trochę się spóźnił i główny prelegent zaczął już swoje wystąpienie. Chciał się spotkać z Lisą zaraz po jej przybyciu, ale skoro tak, musiał ją teraz odszukać. Sięgnął do komunikatora i zażądał podania pozycji jej urządzenia w tej wielkiej sali, w której musiało się znajdować tysiąc pięciuset słuchaczy. W trakcie wystąpienia nie mieli raczej jak do siebie dzwonić ani nawet pisać.

Zmarszczył brwi. Dziwne. Komunikator podawał, że Lisy nie ma jeszcze w sali. Ale na

pewno...

Ładunek o mocy półtorej kilotony, ukryty w podręcznej szafce pod lewą ścianą audytorium, eksplodował dokładnie w odległości dwudziestu pięciu metrów od Julesa Charterisa.



– Zawsze to miło, gdy plan sprawnie się wdraża – zauważyła Janice Marinescu, gdy jej samochód powietrzny przemykał nad górami Nirenbergu w drodze do punktu ewakuacyjnego.

Nad Mendelem unosiła się wciąż chmura w kształcie grzyba. Konkretnie wyrosła na terenie Parku Rozrywki Blue Lagoon na przedmieściach stolicy. Świetnie było ją widać nad horyzontem, gdy wystartowali z centrum kontrolnego na osiedlu Haldane. Jeśli prognozy okażą się trafne, dwunastokilatonowa głowica powinna pozbawić życia około trzynastu tysięcy ludzi. W tej chwili już około dwudziestu procent wszystkich funkcjonariuszy służb mundurowych Mesy zostało w jakiejś mierze osobiście dotkniętych zamachami „Baletu”.

W następnej kolejności mechanizm czasowy wywołał największą spośród wszystkich eksplozji – Ostateczny Rozkwit. Ten ładunek miał moc czterdziestu pięciu kiloton i zniszczył całkowicie centrum kontrolne wraz ze wszystkimi dowodami oraz osiedlem Haldane zamieszkanym przez co najmniej pięć tysięcy osób. Oczywiście wedle oficjalnych danych. Biorąc pod uwagę, że było to modne osiedle, odwiedzane często przez celebrytów, ostateczna liczba ofiar mogła urosnąć o kolejne dziewięćset nazwisk.

– Mam wysłać kod? – spytał Haas.

– Możesz. – Marinescu wzruszyła ramionami, skupiając się na prowadzeniu pojazdu. – Nie ma sensu, żeby tak siedzieli i czekali na wylot, który nigdy nie nastąpi.

– Jasne – powiedział Haas i zaczął wprowadzać kod autoryzacji na bezpiecznym terminalu.

Marinescu mu nie przeszkadzała, chociaż wcześniej sama chciała to zrobić. Odpowiedzialny fachowiec sam doprowadza robotę do końca. Z drugiej strony, jej potrzeba zabijania została chwilowo zaspokojona. Przypuszczała nawet, że wypadałoby posmakować teraz choć trochę poczucia winy, że zabiło się około siedemnastu tysięcy ludzi. Plus minus kilka setek. I to z jądra Równania. Nigdy jednak nie była hipokrytką i nie zamierzała udawać, że czuje cokolwiek poza satysfakcją z dobrze wykonanego trudnego zadania. I na dodatek zmieściła się w budżecie!

Ten dupek Chernyshev pewnie by się zesrał, gdyby musiał zrobić coś takiego, pomyślała. Jasne, Collin musiał znaleźć kogoś na miejsce Bardasano, ale dlaczego właśnie jego, na męki piekielne? Przecież on ma za słaby żołądek. Gdyby mógł, pewnie odwołałby operację, choćby w

ostatniej chwili.

Nie mogła zrozumieć, naprawdę, jak ktoś mógł zejść tak wysoko i nadal być tak czułościowy. Skoro zabrakło czasu, aby wszystkich zabrać, trzeba było znaleźć inne rozwiązanie. Prosta sytuacja. A on patrzył na nią jak na gówno, które przyklepiło mu się do buta, gdy wyjaśniała mu, co zamierza zrobić. I to tylko dlatego, że ona w przeciwieństwie do niego rozumiała wymogi sytuacji. Może gdyby zaczęła udawać, że odczuwa podobny dyskomfort jak on, nie próbowałby zgrywać przed nią takiego świętoszka.

Chociaż pewnie i to by nie pomogło. Przecież on nadal nad tym bolał, idiota jeden! A tymczasem – jak trzeba, to trzeba – i nie ma co się pieścić. Trzeba zrobić swoje i mieć to za sobą. I brać się do nowych zadań. Dlaczego on tego nie rozumie? Może na Dariusie będzie lepiej. Marinescu nie kojarzyła żadnego innego agenta operacyjnego Równania, który mógłby się pochwalić równie koronkową robotą. I to na taką skalę. Nigdzie nie było napisane, że Rufino Chernyshev zawsze będzie okupował miejsce po Bardasano.

– Wprowadzony. – Haas przerwał jej rozmyślenia.

Przez chwilę się zastanawiała, po czym uśmiechnęła się szeroko.

Pieprzyć to. To moja operacja i niech Chernyshev się wypcha. Sama mu powiem, kto wysłał ostatni sygnał.

– To chyba moja kolej – powiedziała i sięgając ponad Haasem, przycisnęła właściwy klawisz.

Karmazynowe światelko na terminalu oznajmiło odpalenie czterech kolejnych ładunków o mocy kilotony, które wyeliminowały łącznie 17 327 członków Równania. Eksplozje pochłonęły również życie 42 612 całkiem przypadkowych osób, które miały pecha znaleźć się w pobliżu. Janice Marinescu poczuła się spełniona.

Chwilę potem na terminalu zajaśniało jeszcze jedno światelko, a słuchawka w jej uchu pisnęła, sygnalizując połączenie.

– Zgodnie z tym, co pokazuje terminal, zakończyłaś właśnie swoją część operacji Houdini – usłyszała głos Rufina Chernysheva. – Przypuszczam, że gratulacje są jak najbardziej na miejscu, zatem uznaj, że je otrzymujesz. Jestem pod wrażeniem twojej efektywności, jak i entuzjazmu, z jakim wykonywałaś to zadanie. Z tego też powodu przed odlotem postanowiłem porozmawiać o tobie z Collinem.

Marinescu uniosła brwi w zaskoczeniu. Chernyshev rekomendował ją do awansu? Nigdy by

się tego nie spodziewała.

– Collin zaakceptował moją sugestię, zwłaszcza w świetle twojej nienaganej postawy i troski o usuwanie wszystkich śladów – przekazało nagranie. – Dlatego właśnie dziesięć sekund po zakończeniu tego komunikatu wybuchnie kilotonowy ładunek ukryty w twoim terminalu. Możesz uznać to za odprawę ze strony firmy. Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

Janice Marinescu zakłęła szpetnie i kłęła tak aż do końca.

ROZDZIAŁ LXXV



Zdumiewający, prawda? – spytał cicho Zachariah McBryde, stojąc za Gail Weiss na balkonie. Była wysoką kobietą, ale on był wyższy i widział ponad nią panoramę miasta. – Zawsze sądziłem, że to będzie jakby arsenał czy coś podobnego. Jak Bolthole w Republice Haven. Zupełnie nie spodziewałem się czegoś takiego.

– Ja coś ogólnie wiedziałam – odparła Gail. Obie dłonie oparła na balustradzie i też patrzyła na miasto Leonard, nazwane tak na cześć pierwszego Detweilera, który stanął na Mesie. – Musiałam, biorąc pod uwagę moją pracę. Ale nie wiedziałam niczego konkretnego. Jak położenie. – Parsknęła śmiechem. – I wciąż nie znamy lokalizacji, prawda?

– Nie znamy – zgodził się Zachariah. – I chyba tak dobrze, prawda?

– Jeśli wiąże się to z kwestiami bezpieczeństwa, to trudno – powiedziała z goryczą w głosie.

Zachariah położył jej dłoń na ramieniu. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Pokręcił lekko głową. Zacisnęła usta, ale po chwili wzięła głęboki oddech i przytaknęła.

– Wiem – dodała, dotykając delikatnie dłoni na swoim ramieniu. – Bezpieczeństwo jest ważne. Rozumiem to. Gdybym nawet wcześniej tego nie rozumiała, teraz byłoby to dla mnie oczywiste. Zawsze miałam więcej do czynienia z takimi sprawami niż inni. Nawet ci z jądra. Ale chociaż jestem pewna, że każdy cal Leonarda jest na podsłuchu, nie zamierzam udawać, że cieszy mnie pobyt tutaj. – Rozejrzała się po balkonie w taki sposób, jakby szukała kamer i mikrofonów, które, jak oboje wiedzieli, musiały gdzieś tu być. – Każdy, kto czytał moje dossier, poznałby, że udaję. Zawsze uważałam, że skrywanie swoich prawdziwych uczuć to najlepszy sposób, aby ściągnąć na siebie uwagę.

Zachariah wiedział, że miała rację, chociaż wcale mu się to nie podobało. Służby bezpieczeństwa miały komplet danych na ich temat i można było oczekiwać, że przystawki psychologiczne zaraz dałyby znać, gdyby któreś z nich zaczęło się zachowywać w nietypowy sposób. Tutaj, na Dariusie Gamma, pewnie nawet szybciej niż na Mesie. Tutaj było mniej ludzi i panowało mniejsze zamieszanie. No i wszyscy na całej planecie należeli do Równania.

To było coś, do czego trzeba było po prostu przywyknąć. On i Gail byli tu dopiero od dwóch tygodni. Po latach spędzonych niemalże w ukryciu, kiedy mało kto wiedział o ich związkach z Równaniem, a tym bardziej z jądrem Równania, znalezienie się nagle na planecie zamieszkaney

przez niemal cztery miliardy ludzi, z których każdy był dumnym członkiem Równania, okazało się całkiem nowym doświadczeniem. Pod wieloma względami niezwykle satysfakcjonującym, zwłaszcza po tak ryzykownej podróży. Tutaj ze wszystkimi można było rozmawiać otwarcie tak o Równaniu, jak i o celach planu Detweilera. No i jeszcze to przytłaczające poczucie osobistego bezpieczeństwa.

Wszystko to wyglądałoby jeszcze lepiej, gdyby nie ta męcząca podróż. Z piątki, która razem wyruszyła w drogę, do celu dotarli tylko oni. Zachariah nie wiedział dokładnie, jak zginęła Lisa Charteris. Czy została rozstrzelana przez gaula, zanim jeszcze doszło do wybuchu na statku *Luigi Pirandello* w układzie Balcescu, gdzie dopadły ich jednostki Torch, czy też zabił ją dopiero sam wybuch. Wiedział jednak, jak odeszła Stefka Juarez na pokładzie statku *Prince Sundjata* w tym samym układzie. I wiedział również, że on i Gail umarliby razem z nią... gdyby nie udało im się wcześniej zabić przypisanego im stróża.

Był przekonany, że Caroline Bogunov, kapitan *Sundjaty*, nie uwierzyła w ich opowieść o tym, jak i dlaczego Anthony Zhilov wykrwawił się na podłodze mesy oficerskiej. Ale on i Gail byli jedynymi świadkami zdarzenia i wiernie trzymali się tej samej wersji. Jak opowiedzieli, Juarez spanikowała po wybuchu tego drugiego frachtowca i zaatakowała Zhilova. Ten zaś, zapewne z powodu uszkodzenia podczas tego całkiem niespodziewanego ataku, stracił panowanie nad sobą. Najpierw poniekąd w samoobronie zabił Juarez, potem zwrócił broń przeciwko Gail i Zachariahowi. Oni jednak zdołali wyrwać mu ją z ręki i po krótkiej walce Zachariah złapał pulser i zabił Zhilova.

Cokolwiek Bogunov mogła o tym myśleć, układ ciał i w ogóle wszystko pasowało do ich wersji. Ona zaś pracowała dla Jessyk Combine i Manpower. Nigdy nie słyszała o Równaniu, ale wiedziała, że pewnych pytań lepiej nie zadawać. Otrzymane przez nią rozkazy dotyczące dostarczenia pasażerów na miejsce następnej przesiadki były całkiem jasne. Pracownicy Manpower, którzy nie wywiązywali się z obowiązków, nader często miewali różne wypadki, sprawa była więc oczywista. Cokolwiek się działo, nie było sensu wchodzić w konflikt z przełożonymi. Uznała więc ich wersję, o nic więcej nie pytała i zamknęła oboje we wspólnej kabinie aż do chwili, gdy mogła wreszcie pozbyć się ich z pokładu.

Tak się jednak składało, że ich wersja wydarzeń była niemal prawdziwa. Juarez rzeczywiście spanikowała i Zachariah zabił Zhilova w samoobronie. W pewnym sensie było to najlepsze, co mogło im się zdarzyć. Ktoś, kto nie wiedział nic o gaulach, mógł łatwo uwierzyć, że Zhilov tak

właśnie zareagował. Kto coś wiedział, mógł mieć wątpliwości, niemniej jeśli ich przełożonych z Równania cokolwiek zaskoczyło, to że Gail i Zachariahowi udało się opanować sytuację i przeżyć. Być może zyskali nawet w ten sposób w oczach służb bezpieczeństwa, zwłaszcza że potem kontynuowali podróż zgodnie z planem. Wymagało to od nich sporej przedsiębiorczości, ponieważ Zhilov nie mógł już doprowadzić ich do kolejnego kontaktu, a to, że podjęli ryzyko i sami poszukali właściwych ludzi, zamiast po prostu zniknąć, dowodziło ich lojalności i wiarygodności, jakiej należałoby oczekiwać od kogoś z linii alfa.

Tak zatem, jeśli Gail nie mogła zapomnieć, jak niewiele dzieliło ich od śmierci, miała do tego pełne prawo. Podobnie jej zdanie, że lepiej być w tej kwestii otwartym, wydawało się na miejscu.

Najlepiej iść dalej tą drogą, na którą już się wkroczyło, zwykła mawiać jego mama. Teraz przypominał to sobie z ukłuciem żalu. I nigdy nie jest tak zupełnie źle. Gdyby nie Houdini, nigdy nie spotkałbym Gail. A to jest coś. Nawet życie warto było ryzykować. I warto było przetrwać.

Zaśmiała się cicho. Przechyliła głowę i spojrzała mu w oczy. To było z lekka przerażające, jak szybko się go nauczyła. Był dla niej jak otwarta książka. Może intensywne przeżycia, które ich połączyły, miały z tym coś wspólnego. A może po prostu była najbystrzejszą osobą, jaką zdarzyło mu się poznać. Może poza osobliwym gustem w kwestii mężczyzn. Z nim jako eksponatem A.

– I pomyśleć, czego musieliśmy doświadczyć, aby tu dotrzeć – powiedział.

– I to jest takie śmieszne? – Pokręciła głową. – Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Zachariahu McBryde!

– Och nie, to nie jest zabawne – zaprzeczył. – Myślałem raczej o tym, jak udało ci się uniknąć śmierci tylko po to, aby wylądować tu ze mną. Niektórzy ludzie, na przykład moje siostry, zapewne by wątpiły, czy to najlepsze zakończenie.

– Cóż, moim zdaniem idzie całkiem dobrze. Przynajmniej na razie. – Przynęła się do niego. Chwytał ją w ramiona i oparł brodę na czubku jej głowy, delektując się jej siłą. – Oczywiście jest jeszcze dość wcześnie – dodała. – Zazwyczaj daję moim mężczyznom sześciomiesięczny okres próbny. – Zaśmiała się. – Z przykrością stwierdzam, że do tej pory żaden nie wytrzymał tych sześciu miesięcy.

– Dlatego biorę witaminy i spędzam więcej czasu na siłowni – odpowiedział poważnie. – Zwiększam swoją wytrzymałość.

– Och, istnieje wiele lepszych sposobów – zauważyła. – Może byśmy się skupili właśnie na

nich?

– Brzmi ciekawie – odparł i pocałował ją w czubek głowy. – Ale jest jeszcze pewna drobna kwestia. Gdy składaliśmy zamówienie, mówiłaś chyba, że słaniasz się z głodu. Nie chciałbym uzyskiwać niecnej przewagi z racji twojego niskiego stężenia cukru we krwi.

– Niskie stężenie cukru we krwi, tak? – Odsunęła się od niego i odwróciła, aby uderzyć go lekko w brzuch. – Zapłacisz za to, Zachariahu Thomasie McBryde! Ale nie teraz... – kontynuowała wyniośle. – Dopiero jak zjem. Nie dlatego, że potrzebuję rozpaczliwie pożywienia. To będzie mój sposób na podkreślenie priorytetów. Posiłek, a nie twoje żalosne próby udowodnienia swej wartości jako mężczyzna.

– To było dobre! – Zachariah odpowiedział jej śmiechem. – Chociaż może trochę... Nie wiem... Może nie była to pierwszorzędna kwestia serialowa, ale i tak mi się podobało.

Pokazała mu język i tanecznym krokiem opuściła balkon, wchodząc do ich luksusowego apartamentu. Widział, jak zakołysała biodrami i mrugnęła do niego, oglądając się przez ramię. Potem skierowała się do sypialni, aby przebrać się w „coś wygodniejszego”. Był ciekaw, co wybierze na ten wieczór.

Spojrzał ponownie na miasto. Wyglądało wspaniale z wysokimi wieżami mieszkalnymi, szerokimi alejami i pasami zieleni, falami barw przesuwających się po ścianach budynków, światłami łodzi krążących po jeziorze w samym centrum. W przeciwieństwie do wielkich stolic w innych układach Leonard zostało starannie zaplanowane i od początku wykorzystywano tu technologię antygravitacyjną. Nie było starszych budynków wzniesionych z tańszych materiałów, slumsów czy kwartałów tradycyjnych kamienic. Pod każdym względem było to nowe miasto. Najstarszy gmach wzniesiono niecałe standardowe stulecie temu, ale już teraz żyło w Leonardzie dziesięć milionów ludzi. No i w odróżnieniu od Mesy nie było tu także niewolników ani ich wyzwolonych potomków.

To była chyba najciekawsza sprawa związana z układem Darius. Jak wspomniał Gail, zawsze się domyślał, że taka planeta musi gdzieś istnieć. Gdzieś trzeba było budować te wszystkie okręty, na których rozwój przeznaczano niewiarygodne środki. Z całą pewnością nie dało się ich budować na Mesie. Tylko tego by brakowało, aby miejscowa marynarka wojenna przedwcześnie się nimi zainteresowała. Tyle że Zachariah wyobrażał sobie ten świat jako szarą płaszczyznę z całą masą zakładów przemysłowych i tłumami niewolników pracującymi pod okiem nadzorców. Jako miejsce, gdzie wszystko było podporządkowane wydajności, element ludzki zaś był tylko

jednym ze składników perfekcyjnej i bezwzględnej maszyny.

A trafił na planetę, gdzie wszyscy byli pełni entuzjazmu i z zapałem realizowali plan Detweilera. Ponad trzy czwarte tutejszych obywateli, dokładniej ponad osiemdziesiąt procent, to były klony, wyprodukowane i przygotowane do życia przez Manpower, które całe wieki doskonalilo tę technologię. Odsetek ten spadał obecnie wraz ze starzeniem się pierwszych pokoleń i wzrostem liczby naturalnych porodów, ale dominacja klonów w obrębie populacji miała się utrzymać jeszcze przez wiele lat. Na Mesie klon był zawsze własnością tego, kto go stworzył. Prawo Dariusa było trochę inne. Po urodzeniu klony były zasadniczo niewolnikami genetycznymi, ale gdy stawały się zastępczymi rodzicami, traktowano je jak ludzi, nie jak własność. Byli kształceni i szanowani. Nie poddawano ich żadnym brutalnym praktykom. Wręcz zachęcano, aby siebie szanowali i cenili.

Rodziny na Dariusie Gamma były zwykle duże. Przeciętnie do tuzina dzieci. Dzięki prolongowi i nowoczesnej medycynie populacja planety rosła w niebywałym tempie. Każdy tutaj był przynajmniej z linii gamma. Ponad połowa z linii beta, piętnaście procent stanowiły alfy. Spora część ich genotypów była identyczna z tym, co wykorzystywano w tworzeniu niewolników genetycznych, ale głównie dlatego, że wszystkie pochodziły z laboratoriów Manpower.

Oczywiście w edukacji przeciętnego mieszkańca Dariusa można było znaleźć kilka niewielkich luk. Na przykład wiedzieli o niewolnictwie genetycznym, ale uważali to za ponure i zboczone zniekształcenie idei Leonarda Detweilera, które ogarnęło sporą część galaktyki. Wierzyli, że Leonard byłby przeciwny temu nowotworowi, który dotknął nawet Mesę, gdy uległa presji i zaakceptowała ten haniebny status prawny. Uczono ich, że Równanie powstało w dużej mierze w reakcji na taki obrót spraw. Jego misją miało być odrodzenie oryginalnej i chwalebnej wizji Leonarda. Miało być jej obrońcą i heroldem. Samą wizję zaś należało pielęgnować i starać się, aby reszta galaktyki dojrzała wreszcie zawartą w niej prawdę. No i trzeba było jej bronić, dlatego mieszkańcy Dariusa byli przygotowywani do walki.

Zachariah czuł to zaangażowanie. I nawet je widział. Wystarczyło unieść głowę, aby dostrzec olbrzymie stacje kosmiczne lśniące na orbicie Dariusa Gammy. Wiedział, że dalej, na asteroidach, znajdowały się rafinerie, huty, centra przemysłowe i wszystko, co było potrzebne do wojennych przygotowań. Sporo tego zawdzięczano Manticore, które nieustannie doskonalilo własną technologię militarną, ale i ludzie z Dariusa mieli w tym swój udział. Dla Zachariaha McBryde'a, który zawsze był głęboko oddany Równaniu, było to coś wręcz oszałamiającego.

Ale i sporo tego opiera się na wielkim kłamstwie, pomyślał. I to jest ta gorzka nuta. Nie znają prawdy o Manpower, nie wiedzą, jak długo było agendą Równania. Co się stanie, gdy kiedyś zaczną się zastanawiać, dlaczego Równanie, mające przecież ogromne środki na skolonizowanie Dariusa, nigdy nie zdołało wykorzenić niewolnictwa genetycznego na swoim pierwszym świecie? Co będzie, gdy opuszczą Dariusa, obsadzając okręty Równania? Czy bez szemrania zaakceptują wszystko, co im wpojono? A może zaczną zadawać pytania? Takie, jakie po prostu same się narzucały. Jakie mógł zadawać sobie Jack.

Westchnął głęboko. Pierwszy raz pozwolił sobie na takie myśli. Z racji pozycji w jądrze przed doświadczeniami z Zhilovem, gaulami i Janice Marinescu niewiele wiedział o tym wszystkim, co reprezentowała Marinescu. Rozumiał, że ten obszar musi gdzieś istnieć, ale świadomość nie była równoznaczna z osobistym przeżyciem. Rozumiał też, że doświadczenia Jacka, który pracował w ochronie jądra, musiały być inne. Ale aż do czasu podróży na Dariusa nie wyobrażał sobie nawet, jak bardzo były odmienne od jego wcześniejszych doświadczeń.

Teraz, gdy już poznał gaulów, gdy przekonał się, jak wyglądały szlaki przerzutowe niewolników genetycznych, i widział brutalną dehumanizację, jakiej byli poddawani, podczas gdy Równanie korzystało tylko z owego proceduru, zaczynał rozumieć, dlaczego jego brat, będący przecież dobrym człowiekiem, zwrócił się przeciwko temu, co wcześniej było treścią jego życia.

Zachariah McBryde nie był skłonny dzielić się tą myślą z kimkolwiek. Nawet z Gail. Może zwłaszcza z nią. Sam nie czuł się z tym dobrze. Może tchórzliwa część jego osoby liczyła po cichu, że owa myśl umrze śmiercią naturalną, porażona atmosferą i duchem Dariusa. Mimo to, kiedy patrzył na ten wspaniały krajobraz, wdychał woń miejscowych drzew i obserwował tutejsze latające stworzenia nocne, krążące niczym nietoperze wokół wież, coraz mocniej czuł, że niełatwo mu będzie pozbyć się tej myśli.



– No to jesteśmy – sapnął Rufino Chernyshev, zasiadając za swoim nowym biurkiem.

Lucinde Myllyniemi też już tu była. Siadła na rogu biurka, założyła nogę na nogę i spoglądała przez szerokie okno z krystoplastu na ozłoczone porannym słońcem wieże Leonarda. Chernyshev pociągnął za różne sznurki, w końcu pozycja niosła ze sobą jakieś przywileje, aby Lucinde została ewakuowana razem z nim. Oczywiście nie wspomniał o tym Marinescu, która chętnie dodałaby dziewczynę do listy „utrupionych”. Zwłaszcza gdyby się dowiedziała, jak

blisko była z Chernyshevem. Spędzili ze sobą wiele czasu w podróży z Mesy i teraz Lucinde została oficjalnie jego asystentką. Nie musiała już prowadzić na sznurku Stangelanda i była za dobra, aby marnować ją do zadań terenowych. A że miał ponadto własny powód, albo nawet kilka powodów, aby trzymać ją z dala od tak nieprzyjemnych rzeczy, jak pałki, strzały z pulserów czy noże błyskające czasem w ciemnych uliczkach, to była już całkiem osobna i prywatna sprawa.

– Podróż nie trwała tak długo, jak się spodziewałam – powiedziała.

– To jedna z zalet podróżowania pierwszą klasą na statku z napędem strumieniowym – zauważył radośnie. – No i przylecieliśmy tu prosto z Mesy. Trwałoby to znacznie dłużej, gdybyśmy musieli skorzystać ze statków niewolniczych. I gdybyśmy lecieli etapami.

– Owszem – zgodziła się.

W przeciwieństwie do niego dowiedziała się o Houdinim dość późno i Chernyshev zdołał uniknąć wałkowania z nią różnych mniej przyjemnych aspektów planu Marinescu. Była dość inteligentna, aby zrozumieć, że te aspekty musiały istnieć, ale przynajmniej udało mu się uchronić ją przed tą socjopatyczną suką i jej sługusami. W czasie podróży na Dariusa dyskutowali sporo o problemach związanych z szybkim przemieszczeniem tak wielkiej liczby ludzi. W innych okolicznościach może byłoby to naruszeniem zasad bezpieczeństwa, ale z całą pewnością nie w tych!

– Długa trasa to byłaby kiepska perspektywa. – Zeskoczyła z biurka i podeszła do okna. – Samo podróżowanie na statku niewolniczym to już marny pomysł. A gdyby jeszcze zdarzyło się utknąć gdzieś na kilka tygodni?

– Nie było wyboru. – Chernyshev dołączył do niej. – To są frachtowce. Nie liniowce pasażerskie czy statki kurierskie. Żaden z ich kapitanów i astrogatorów nie ma pojęcia, gdzie leży Darius. Musieliśmy wyprowadzić ich jakoś z Mesy i przekazać do punktów zbornych, skąd mogli zostać podjęci przez właściwe transportowce. Takie z kabinami i w ogóle. One dowiozły ich na Dariusa. Gdybyśmy mieli więcej czasu, dałoby się to zorganizować lepiej. Bez takich kombinacji. Musieliśmy się jednak spieszyć.

– To musiało być trudne. Zwłaszcza dla dzieci – mruknęła.

– Zwłaszcza dla dzieci – przytaknęła. – Gdy wylatywaliśmy, było już trochę lepiej, ale i tak mieliśmy szczęście, że był akurat pod ręką jacht dla VIP-ów. Udało się zebrać załogę, tak aby wyciągnąć resztę ewakuowanych bez podróży z przesiadkami.

– To dobrze – stwierdziła.

Nie tak dobrze, jak myślisz, skomentował w duchu. Tak, dostaliśmy szybkie transportowce z napędem strumieniowym, ucharakteryzowane na zwykłe frachtowce. Załadowały ludzi i są w drodze na Dariusa. Ale mam nadzieję, że jeszcze długo nie dowiesz się o tych wszystkich z jądra, którzy nie zostali ewakuowani.

Stojąc obok niej i patrząc na złoty poranek w Leonardzie, wciąż czuł w sobie coś na kształt lodowatej bryły, tkwiącej gdzieś pod sercem. Nigdy nie marzył o pracy biurowej, a tej pracy zwłaszcza, ale wyszło inaczej. Zrobił, co do niego należało, ale nie potrafił się tym cieszyć.

To nie twoja wina, powtórzył sobie. W sumie to niczyja wina. Po prostu tak się ułożyło. Nie było jak skierować więcej statków na Mesę. Nie było też jak przemyścić tylu „martwych dusz” w tak krótkim czasie. Kilka miesięcy więcej, chociaż miesiąc, do diabła, a coś by z tego wyszło. Ale nie mieliśmy tyle czasu. I tak, podobnie jak nienawidziłeś Marinescu, tak nienawidzisz za to i siebie. Miała rację.

Może i tak. Może przerzucił na nią sporą część własnego poczucia winy. Uczynił ją kozłem ofiarnym. Świetnie wiedział, że tak właśnie było. Nie zmieniało to jednak oceny jej charakteru, a Równanie wchodziło w nową fazę. Wciąż potrzebowało ludzi do „mokrej roboty”, ale czyste okrucieństwo Marinescu, które przydawało się przy akcjach Manpower czy niejawnych przedsięwzięciach solarnych korporacji, nie pasowało do teraźniejszości. Równanie miało zamiar skończyć z konspiracją i stać się prawdziwym gwiazdowym państwem, nieważne, czy reszta galaktyki dowie się o jego istnieniu, czy nie. Państwa zaś rządziły się innymi prawami. Przy odrobinie szczęścia miną dziesiątki lat, zanim ktokolwiek poza Mesą czy zaprzyjaźnionym Renesansem dowie się o tym nowym państwie, ale trzeba było zacząć od usunięcia wszystkiego, co mogłoby chociaż teoretycznie łączyć Równanie z rzezią na Mesie. Co obejmowało także Marinescu.

To był argument, którego użył w rozmowie z Collinem Detweilerem, a Collin go kupił. Chociaż Chernyshev podejrzewał, a może nawet coś więcej niż podejrzewał, że Detweiler miał też szereg własnych powodów, aby podjąć taką decyzję.

Co za ironia, prawda, Janice? – pomyślał teraz, spoglądając na miasto, którego Janice Marinescu nigdy nie zobaczy. Wszystkie te twoje pomysły, aby wykorzystać operację Houdini w roli „filtra” odsiewającego ludzi o niepożądanych cechach dla zachowania pełnego bezpieczeństwa... Pewnie nigdy nie pomyślałaś, że ktoś może okazać się tak bezwzględny, aby

zastosować to wobec ciebie?

To był prawdziwy powód, dla którego Collin wysunął pomysł „pakietu odpraw”. Marinescu, Kevin Haas i ich personel w Haldane byli jedynymi osobami, oprócz Chernysheva i samego Collina, które znały wszystkie szczegóły poprawionego harmonogramu operacji Houdini. Wielu wykonawców znało różne wycinki, ale nie całość. Spora część tej grupy została przerzucona przed Ostatecznym Rozkwitem. Pozostali, żeby dokończyć robotę, nie zdawali sobie sprawy, że znajdowali się wśród tych, z którymi trzeba było zrobić porządek. Marinescu sama zadbała, aby wszyscy jej podwładni zostali wyeliminowani. Kto nie zginął w ognistych eksplozjach punktów ewakuacyjnych, miał umrzeć niebawem z takich czy innych „przyczyn naturalnych”, gdy nanotechnologia w organizmie nie otrzyma kolejnego sygnału resetowania.

Marinescu nie spodziewała się po prostu, że i z nią ktoś może zrobić porządek.

Nigdy jeszcze podkładanie ładunku nie sprawiło mu takiej przyjemności i nie zamierzał się tego wstydzić. Ukrycie prawdy o tym, co miało miejsce, i to ukrycie jej także przed jądrem, było sprawą najwyższej wagi.

Oczywiście nie zostanie to tajemnicą po wsze czasy. Zbyt duża skala i zbyt wiele dziwnych zbiegów okoliczności. Gdy Równanie kiedyś wygra, jego uczeni i historycy niewątpliwie odkryją co najmniej kilka dowodów na rzeczywisty przebieg wydarzeń. Zabraknie jednak tych „twardych” i większość odrzuci to jako jeszcze jedną teorię spiskową.

Nic nie powinno kłać nazwisk ojców założycieli, prawda? – pomyślał cynicznie. Ale nie da się zrealizować czegoś takiego jak plan Detweilera, nie robiąc rzeczy, którymi trudno się potem chwalić.

I to była prawda w odniesieniu do każdego gwiazdnego państwa. W takim czy innym zakresie.

Wziął głęboki oddech. Będzie znacznie szczęśliwszy, gdy Collin dotrze wreszcie na Dariusa. A wraz z nim Albrecht i ostatnia transza ewakuowanych. Chociaż był nowy w wyższych sferach, sprzeciwiał się decyzji Albrechta, który postanowił zaczekać i lecieć na samym końcu. Wiedział, że Collin i Benjamin zdecydowali tak samo. Ale Albrecht Detweiler mógłby posłużyć wszechświatowi za wzór upartości.

Cokolwiek galaktyka powie pewnego dnia o Równaniu, nikt nigdy nie będzie mógł zarzucić Albrechtowi braku osobistej odpowiedzialności i poczucia obowiązku, pomyślał. Zapewne prawdziwym powodem tej zwłoki był jego zamiar naciskania na Marinescu, aby zabrała jak

najwięcej ludzi. Owszem, zgadzał się z jej argumentami i pod tym względem był równie bezlitosny, jak obowiązkowy. Był gotów do zabicia wielu ludzi, w razie potrzeby nawet milionów, ale była pewna różnica między nim a Marinescu. On zabijał, bo musiał. Ona – ponieważ tak było wygodniej. Miał nadzieję, że w jego obecności nie pójdzie jej tak łatwo. Ciekawe, czy Collin powiedział mu o „odprawie”? Mam nadzieję, że tak. Albrecht z pewnością doceniłby tę ironię... Zapewne brakuje mu ostatnio powodów do śmiechu.

ROZDZIAŁ LXXVI



Słyszając sygnał, kobieta o bardzo ciemnej skórze usiadła w łóżku. Komunikator mrugał wyraźnie w ciemności kabiny, ale nie mogła od razu po niego sięgnąć. Najpierw musiała wysunąć się spod wielkiego kota, który spał w nogach łóżka i miauknął oburzony, że poduszka ucieka.

Przynajmniej przekonałam go w końcu, żeby spał w nogach, a nie na piersi, pomyślała i przetała oczy. Pół biedy, że nie można się było ruszyć. Gorzej, że nie dawało się także oddychać.

– Z drogi, okropna bestia – powiedziała surowo, trącając go stopą.

Wstał, spojrzął na nią wzrokiem męczennika, wyprostował imponujący ogon i oddalił się z godnością.

Może się obrazi i da mi spokój na parę nocy, myślała. Nie, żeby naprawdę się tego spodziewała.

Komunikator znowu się odezwał. Tym razem wstała swobodnie i odebrała. Na ekranie pojawiła się twarz Dominiki Adenauer, czyli można było włączyć też wideo. Na szczęście nie należała do osób, które zwykły sypiać nago. Sama kilka takich znała.

Przynajmniej wtedy, gdy spała sama, a Diceya nie liczyła.

Poza tym w tej chwili są tu same dziewczyny, pomyślała. Cholera. Wiedziałam, że dowodzenie ma swoje minusy. Wszyscy faceci w okolicy byli teraz jej podwładnymi. I wszyscy podpadali pod artykuł sto dziewiętnasty.

– Tak, Dominico?

– Jest ślad wyjścia, ma'am. Duży.

– Tak? – Przeczesała dłonią krótkie, mocno kręcone włosy. – Zakładam, że we właściwym namiarze?

– Tak, ma'am. Dokładnie tak.

– Dobrze! Za kwadrans będę na mostku flagowym. Powiedz Billowi, aby rozgrzał radio.



Admirał Gold Peak zjawiła się na mostku już po dziesięciu minutach. Chociaż według czasu pokładowego był akurat środek nocy, wszystkie stanowiska na HMS *Artemis* były obsadzone. Podeszła do fotela dowódcy.

- Mamy coś od naszych gości? – spytała.
- Jeszcze nie, ma'am – odparł porucznik Edwards.
- No to chyba będzie uprzejmie z naszej strony, jeśli ich powitamy. Wywołaj ich, Bill.
- Tak, ma'am.

SCY-146-H była gwiazdą typu M9, z granicą nadprzestrzenną oddaloną zaledwie o piętnaście minut świetlnych. W tej chwili grupa ikon znajdowała się poniżej tej granicy, sześć minut świetlnych od obecnej pozycji *Artemis*, ale oficer łączności tej grupy wyraźnie oczekiwał, że ktoś się odezwie. Ledwie dziesięć sekund po wywołaniu na ekranie pojawił się mężczyzna z okazałym wąsem i w mundurze o całkiem innych barwach niż w RMN. Na jego ramieniu sadowił się treecat.

- Dobry wieczór, lady Gold Peak – powiedział.
- Dobry wieczór, admirale Tourville – odparła. – Czekaliśmy na pana.
- Mam nadzieję, że się nie spóźniłem – odezwał się zaledwie sześć sekund później, co było możliwe dzięki łączu nadświetlnemu.
- Tak naprawdę spodziewałam się pana dopiero jutro. Musieliście mocno poganiać.
- Staraliśmy się nie porosnąć mchem – przyznał. – Rozumiem, że zamierzamy złożyć wizytę na Mesie, a moi ludzie bardzo niecierpliwie wypatrują tej chwili.
- Dziwne. – Michelle pokręciła głową. – Przypadkiem nastawienie moich ludzi jest podobne.
- Przez chwilę uśmiechali się do siebie. – Świetnie, że tak się zgadzamy, ale na naszym okręcie jest akurat środek nocy.
- Na naszych też – odpowiedział Tourville. – Zgraliśmy nasz czas pokładowy z waszym zaraz po wylocie z Montany.
- To bardzo dogodne – stwierdziła. – Ale skoro tak, to u pana też powinno być ciemno. Czy mogę zaproponować, abyśmy oboje udali się teraz na spoczynek, a jutro po śniadaniu zaproszę pana na pokład *Artemis*, żebyśmy mogli usiąść twarzą w twarz? I uprzedzam, że zejdzie nam zapewne do lunchu.
- Moim zdaniem to świetny pomysł – zgodził się Tourville.
- Zatem do jutra – powiedziała Michelle. – Gold Peak, bez odbioru.
- Tourville, bez odbioru.



Lester Tourville wy dostał się z rękawa pinasy i stanął na pokładzie łodziowym HMS

Artemis. Zaraz pomyślał, że jak na jednostkę flagową nie był to zbyt okazały okręt. Owszem, znacznie większy od wszystkich krążowników liniowych RHN, ale jednak znacznie mniejszy od dowolnego superdreadnoughta. Być może dowodzenie flotą z pokładu czegoś tak niewielkiego nie było najlepszym pomysłem. Zaraz jednak przypomniał sobie, że sam też instalował się nieraz na krążownikach liniowych. Było w nich coś szczególnego. Dość ciężkie do regularnego boju, a jednocześnie szybkie i zwrotne.

I niezależne, dodał. Dobry okręt dla kogoś, kto nie lubi tkwić w środku formacji.

Przypomniał sobie jeszcze, że w dawnych czasach dowódcy krążowników liniowych byli z reguły na tyle młodzi, że ominęły ich czystki Roba Pierre'a i Oscara Saint-Justa, podczas których tytuł dobrych oficerów poszło pod ścianę.

Kobieta, która na niego czekała, zapewne nigdy nie musiała martwić się takimi sprawami.

Odsunął tę myśl i zsalutował pani porucznik z wachty.

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, ma'am.

– Udzielam pozwolenia, admirale – odparła, salutując. – Witamy na *Artemis*.

– Dziękuję, porucznik Franklin – powiedział, odczytując nazwisko na naszywce.

– Jeśli można, ja też się przywitam – usłyszał za plecami.

Odwrócił się i ujrzał admirał Glorię Michelle Samantha Evelyn Henke. To do niej należał ten kontrakt.

Jej pełne miano lekko go bawiło, ale zdołał się nie uśmiechnąć. Jako obywatel Republiki Haven, gdzie nie było oficjalnych tytułów szlacheckich, zwykł pokpiwać ze zwyczajów Manticore. Rozumiał jednak, dlaczego pani admirał wolała przedstawiać się jako Gold Peak.

Zdarzają się ludzie, do których tytuły po prostu pasują, pomyślał i wyciągnął dłoń. Może być kuzynką królowej, ale jest też jednym z ich najlepszych dowódców. Trzeba naprawdę się starać, aby choć trochę jej dorównać.

– Dziękuję, milady – powiedział i odkrył, że przy uśmiechu pojawiały się u niej dołeczki w policzkach.

– Nie trzeba, admirale Tourville. Wszyscy wiemy, że jest pan dobrym republikaninem. Admirał wystarczy. Nie musimy praktykować tej dekadencji.

Pokręcił głową i teraz szczerze się uśmiechnął.

– My, prości republikanie, bywamy o wiele bardziej wyrafinowani, niż czasem się sądzi, milady – odpowiedział. – Na przykład w zeszłym tygodniu odkryłem wreszcie, jak używa się

widelczyka do deseru!

Wyczuwał pewne napięcie wśród oficerów, którzy przybyli razem z nim. Pamiętał, jak specjaliści Departamentu Stanu ostrzegali wszystkich, aby nie robić niczego, co mogłoby urazić dumnych arystokratów z Manticore. Musieli mieć to teraz w pamięci, skoro przyszło im spotkać się z arystokratką z niewątpliwie najwyższych kręgów. Gold Peak skwitowała jego słowa szerokim uśmiechem.

– Naprawdę? – spytała wesoło. – To może wyjaśni mi to pan podczas lunchu?

– Poczuję się uhonorowany – zapewnił ją i na to też zareagowała śmiechem.

– Skoro mowa o Honor. Powiedziała mi, że chyba pana polubię, jeśli kiedyś się spotkamy. A ona jest dobra w ocenianiu takich rzeczy. Co nie znaczy, że czasem sama nie wywinie jakiegoś numeru. I to mimo pomocy Nimitza – dodała, wypowiadając palcami powitanie pod adresem treecata na ramieniu admirała.

– Cóż, pozostaje nam mieć nadzieję, że w tym przypadku się nie myliła, milady – powiedział z powagą i zamachał na resztę swojej kompanii. – Proszę mi pozwolić przedstawić moich dowódców oraz skład mojego sztabu.



To całkiem dobry zespół, pomyślała Michelle Henke kilka godzin później, gdy ona i Lester Tourville usiedli naprzeciwko siebie przy stole w jej przestronnej jadalni. Pewne tarcia były nieuchronne. Na przykład szef sztabu Tourville'a, kapitan Molly Delaney, wydawała się trochę... skrepowana wśród oficerów Manticore po tylu latach wzajemnej wrogości. Była jednak świadoma tego problemu i mocno nad tym pracowała. Trudno byłoby oczekiwać więcej. Ze strony Manticore podobny problem miał Joshua Madison, dowódca 11.2 Dywizjonu Lotniskowców. Został jej przydzielony przez Craiga Culbertsona, gdy ruszyła do sektora Madras. Nie miał przez to okazji do współpracy z oficerami Drugiej Floty, tak jak udało się to innym ludziom Culbertsona w układzie Montana. Henke podejrzewała, że nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że może sprawiać kłopoty. Na razie to go chyba przerastało, ale знаła go na tyle dobrze, aby wierzyć, iż niedługo zacznie sobie z tym radzić.

A gdybym miała wątpliwości co do zdolności Tourville'a do współpracy z RMN, wystarczyłoby popatrzeć, jak się dogaduje z Aivarsem, pomyślała z satysfakcją. Spodziewała się, że polubi Tourville'a. Czytała jego dossier i sporo rozmawiała o nim z Honor Harrington, ale widząc, jak dobrze czuje się w jego obecności Terekhov, uznała ostatecznie, że był to bardzo

udany dzień.

Reszta oficerów Drugiej Floty też zrobiła na niej pozytywne wrażenie. Kontradmiral Bellefeuille, dowódca TF 21, była tutaj kolejną osobą, która skrzyżowała kiedyś szable z Honor i przeżyła, aby o tym opowiadać. W sumie sprawiła się całkiem dobrze w walce z Ósmą Flotą, którą spotkała w układzie Chantilly, i to pomimo znacznej przewagi technologicznej przeciwnika. Była młoda jak na swój stopień, ale to samo dotyczyło większości oficerów floty Haven. Podobnie było z oficerami Manticore, ale w ich przypadku wynikało to ze strat poniesionych w walce. Nie musieli się martwić, że ich własny rząd zrobi z nich ofiary.

Wiceadmirał Oliver Diamato, który dowodził TF 23, był zapewne nawet młodszy od Bellefeuille, ale Michelle i tak go polubiła. Jego dokonania na pewno były godne uwagi. Przetrwał na stacji Hancock, mając za przeciwnika nie kogo innego, jak Alice Truman. Ponadto jako młodszy oficer służył na jednym z pierwszych pancerników Ludowej Republiki Haven, któremu dane było napotkać kutry typu *Shrike*. Wykazywał opanowanie, które nie zawsze spotykało się u oficerów dwa razy od niego starszych.

Wysłali mi swój pierwszy skład, pomyślała Henke. To najlepsi z najlepszych, wspaniałe wzmocnienie zespołu. Na Mesie będą mieli kłopoty ze zwieraczami, gdy złożymy im wizytę zespołem ponad pięćdziesięciu najcięższych jednostek.

Uśmiechnęła się w duchu, czując się w tej chwili zapewne tak, jak Nimitz mógł się czuć, czekając u wylotu norki wiewiórki ziemnej. Jedyne, na czym im nie zbywało, to lotniskowce, ale nawet po oddaniu niektórych grup Dziesiąta Flota miała ich dwanaście, co powinno wystarczyć. Poza tym Augustus Khumalo okazał się jeszcze bardziej szczodry, niż obiecywał. W towarzyszących Tourville'owi transportowcach znajdowało się 1,2 miliona żołnierzy wraz z pełnym wyposażeniem.

– Nie sądzę, żebym za kilka dni chciał się znaleźć w skórze pana Warda, milady – powiedział Tourville. Musiał myśleć akurat o tym samym co ona.

– Chyba trudno mi wykrzesać dla niego choć odrobinę współczucia. Naprawdę próbowałam, ale może nie najlepiej u mnie z empatią.

Kilka osób się zaśmiało, a Tourville pokiwał głową.

– Rozumiem, że ostatnio Mesa angażowała się w wiele różnych spraw – powiedział z pozornym rozbawieniem, lecz i z szorstką nutą.

– A owszem. I prawdę mówiąc, moja egoistyczna duszyczka niemalże żałuje, że do nas

dołączyliście.

– Rozumiem pragnienie, aby to właśnie Manticore wymierzyło cios. Zwłaszcza po Oyster Bay i po tym, jak oskarżyli Gwiazdne Imperium o zorganizowanie zamachu w Green Pines – dodał.

– Och, nie, admirał! Myślałam o czymś innym. Cieszę się, że widzę pana tutaj, i powiedziałabym, że oboje mamy powody, aby porachować im kości. Żałuję tylko, że nawet mesański dowódca będzie dość inteligentny, aby się poddać, gdy zobaczy, jak wielka masa żelastwa na niego ciągnie. – Pokazała w uśmiechu zęby, z których dumny byłby każdy treecat. – Jak mówiłam, to jest coś, co podpowiada mroczniejsza część mojej osoby. Po prostu chciałabym mieć jakiś powód, aby posłać całą flotę Mesy do diabła.



Kapitan Scott Akers zamarł z kubkiem kawy w ręku. Odruchowo zerknął na zegar. Od sześciu miesięcy sygnał przy drzwiach odzywał się zawsze o tej samej porze. Różnica wynosiła góra piętnaście sekund.

Uśmiechnął się krzywo, otworzył drzwi kabiny i komandor Gerald Ortega wszedł do środka.

– Dzień dobry, sir – powiedział tak samo, jak robił to codziennie od pół roku.

– Dobry, Gerald – odparł Akers. Tak samo, jak robił to codziennie od pół roku. Lubił swojego zastępcę. Ortega był jednym z najbardziej rzetelnych i sumiennych oficerów, jakich zdarzyło mu się znać, chociaż czasem podejrzewał, że któryś z jego przodków zdołał wmontować sobie specjalną kombinację do genomu. Byli ludzie uporządkowani, byli ludzie dokładni, byli ludzie skrupulatni... i był Ortega. Kiedy Akers powiedział mu na początku przydziału, że lubi rozpocząć dzień od krótkiego spotkania ze swoim zastępcą około godziny 8.30, nie podejrzewał nawet, co ściągnie sobie na głowę. – Siadaj – dodał, wskazując puste krzesło po drugiej stronie stolika.

– Dziękuję, sir. – Ortega zajął miejsce i położył minikompa tuż obok na blacie.

Akers zaproponował mu filiżankę kawy, Ortega, jak zwykle, odmówił.

– Mamy dzisiaj coś ważnego do omówienia? – spytał kapitan, gdy ta część rytuału została już należycie odprawiona.

– Komandor O'Simpson wspomniał, że admirał chciałaby zwołać dziś po południu spotkanie wszystkich dowódców, sir. Zaproponowałem szesnastą. Mam nadzieję, że pasuje.

– Pytanie, czy to pasuje admirał Siminetti? – zauważył Scott.

Ortega spoglądał na niego przez chwilę, po czym skinął głową. Może nawet trochę się zarumienił.

– Tak, sir. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że komandor O’Simpson poprosił mnie o ustalenie godziny, nie wskazując preferencji pani admirał.

– Rozumiem – odpowiedział poważnie Akers i sięgnął po kawę, aby ukryć uśmiech. – W takim razie – kontynuował, opuszczając kubek – przypuszczam, że możesz zacząć działać. Przekaż Jasmine, by to ogłosiła.

– Oczywiście, sir. – Ortega sporządził notatkę na minikompie, chociaż nikt nigdy nie widział, aby potem sięgał do tych swoich notatek.

– Coś jeszcze z gatunku wstrząsających ważnych spraw? – spytał kapitan.

– Nie, sir. Ach, komandor Ushikov i komandor MacKelvey odkryły pewne usterki na odcinku kontroli naprowadzania na dalszym zasięgu w nowych pociskach Technodyne. Zaplanowały wideokonferencję na jedenastą z miejscowymi przedstawicielami Technodyne, aby o tym porozmawiać. Mam nadzieję, że będą miały coś do zameldowania jeszcze przed spotkaniem z admirał.

Akers skinął głową. Charlotte MacKelvey była oficerem operacyjnym MSNS *Vanguard*, a Jacqueline Ushikov oficerem operacyjnym Josephine Siminetti. Jeśli pojawiły się problemy z nowymi pociskami, one były najwłaściwszymi osobami, aby się tym zająć. Jeśli zaś problemy były poważne, należało je rozwiązać. Inna sprawa, że pewnie nie pomogłoby to wiele, gdyby RMN się tutaj pokazała. Jeśli raporty na temat zająć w Spindle, Manticore i Saltashu były prawdziwe, Marynarka Wojenna Mesy nie byłaby w tym zestawieniu godnym uwagi przeciwnikiem.

Nie ma co się oszukiwać, pomyślał. Nasza wielka i sławna marynarka wojenna to tylko osiemdziesiąt pięć jednostek, z których żadna nie jest większa od krążownika liniowego. Jeden dywizjon dreadnoughtów, czyichkolwiek, i nas nie ma.

Do niedawna ta myśl jakoś mu nie przeszkadzała. Superdreadnoughty miały jedynie Haven i Manticore, które od lat tłukły się w odległym kącie galaktyki, oraz Liga Solarna, która z kolei była de facto protektorem układu Mesy. Wedle galaktycznych standardów Mesan Space Navy stanowiła całkiem sporą siłę. Pech chciał jednak, że nie wszyscy się tych standardów trzymali.

– Dołącz do nich, Gerald – powiedział. – Charlotte jest dobra, ale przyda się ktoś jeszcze. Musimy wychwycić wszystkie usterki i jak najszybciej je usunąć.

– Tak, sir.

Kapitan skinął głową, tym razem z satysfakcją. Skoro Gerald Ortega dołączy do ekipy, wynik może być tylko pozytywny. Z pewnością zauważy wszystko, co odbiega od normy, i zamelduje o tym. Przeszedł do następnego punktu.

– A co słyhać na dole? – spytał z powagą.

– Od wczoraj nic się nie zmieniło, sir – odparł Ortega. – Według oficjalnych doniesień armia zamierza rozpocząć ostateczny atak na Neue Rostock.

Kapitan aż prychnął.

Jasne, ostateczny atak, pomyślał. Według gadających głów Lacklanda przymierzają się do tego od pierwszego dnia. Banda durniów! Co oni sobie, kurwa, myślą?

W pewnym sensie wolałby już uznać, że koszmarna sytuacja w stolicy była zasługą Gillian Drescher, ale tak naprawdę ona była zapewne jedną z tych osób, które akurat nie przyłożyły do tego ręki. Chociaż nie uratuje to jej kariery. On najchętniej posłałby pod ścianę dwie inne osoby, nazwiskiem Selig i Howell. A między nimi winien stanąć jeszcze McGillicuddy.

Z jednej strony gotów był im współczuć, przynajmniej do pewnego stopnia. Znał to uczucie bezsilności, towarzyszące chyba każdemu oficerowi na Mesie, gdy można było jedynie patrzeć, jak Balet pustoszy ich świat. Zastanawiał się także, co ten Balet sobie, do cholery, wyobraża. Mógł nie cierpieć Manpower, ale zawsze starał się ograniczać do minimum straty cywilne. Nie dlatego, że kochał tutejszych cywilów, ale ponieważ propaganda starała się przedstawiać członków Baletu jako maniakałnych morderców. Dlatego woleli być tak rozsądni i racjonalni jak chyba nikt w tej branży w historii ludzkości.

Oczywiście nie była to wysoko ustawiona poprzeczka, przyznawał Akers, ale do niedawna zdawali się pamiętać, że masakrowanie cywilów w ich miejscu pracy godziłoby w tę popularność, którą dotąd osiągnęli. Nie, żeby była ona wielka. Ale musieli też zdawać sobie sprawę z faktu, jakie represje spadłyby na wszystkich byłych niewolników, gdyby okazało się, że ktoś z miejscowych był zaangażowany w ataki z użyciem broni atomowej. I to na cele cywilne.

Cholera, musieli rozumieć, że tacy jak McGillicuddy spuszcza swoje psy ze smyczy choćby tylko dla zastraszania. Snyder pewnie wiwatuje na ich cześć. Ta suka...

Odetchnął i znowu sięgnął po kawę. Nie było sensu myśleć o Regan Snyder. Chociaż owszem, chętnie zaprosiłby przedstawicielkę Manpower na krótki spacer. Taki sam, jaki kapitanowie statków kosmicznych Manpower fundowali przez lata wielu niewolnikom. Scott

Akers nie wzruszał się z byle powodu i instytucja niewolnictwa genetycznego nie spędzała mu snu z powiek. Nie cierpiał jednak brutalnych metod Manpower. Wiedział, że takie właśnie traktowanie niewolników musiało odbijać się także na tych, którzy się nimi zajmowali. To go martwiło, ale nawet pomijając tę kwestię, pozostawał jeszcze fakt, że poparcie, którego Mesa udzielała Manpower, w praktyce kontrolującemu planetę, czyniło z Mesy galaktycznego pariasa. A to już niosło ze sobą poważne i śmiertelnie groźne konsekwencje.

Dzięki aktywności Manpower Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i SLN czekały tylko na pretekst do interwencji. Starczyłby mały listek figowy, a solarna opinia publiczna zaakceptowałaby to z pieśnią na ustach. Zwykle nie miało to żadnego znaczenia. Rządzący Ligą Solarną nie przejmowali się zazwyczaj opinią publiczną. Podobnie jak ich korporacyjni sponsorzy. Ale to było wtedy, gdy wszyscy wiedzieli, że solarna marynarka wojenna jest najpotężniejszą flotą w całej galaktyce i każdy, kto rzuciłby jej wyzwanie, zostałby szybko przywołany do porządku. Biorąc jednak pod uwagę to, co zdarzyło się w Spindle i gdzie indziej, trudno było się dziwić, że solarna opinia publiczna zaczęła kwestionować niezwyciężoność SLN. Zaczęto nawet otwarcie krytykować politykę Biura Bezpieczeństwa Granicznego i zaangażowanie floty w jego działania. Negatywne nastawienie było coraz bardziej widoczne. A to znaczyło, że prędzej piekło zamarznie, nim SLN rzuci się Mesie na ratunek w przypadku pojawienia się jednostek Manticore.

A teraz to gównu. Bóg jeden wiedział, ile tysięcy ludzi, pełnoprawnych obywateli, biedoty, nawet niewolników, zginęło w ostatniej fali ataków nuklearnych. Scott Akers na pewno tego nie wiedział. Podobnie służby bezpieczeństwa czy jego przełożeni. Wszyscy milczeli na ten temat, co najpewniej oznaczało, że liczba ofiar była naprawdę olbrzymia. Co więcej, służby dodały jeszcze swoje ze dwadzieścia do trzydziestu tysięcy, gdy ten idiota Howell zażądał użycia głowicy kinetycznej w zemście za to, co zrobiono z jego ludźmi w Wieży Hancock. Oczywiście powiedziano potem, że był to kolejny atak terrorystyczny, ale w to chyba już nikt w wieku powyżej trzech lat nie uwierzył.

Chociaż to nie tak i dobrze o tym wiesz, pomyślał. Jest masa ludzi głupich albo zdesperowanych, którzy uwierzą w każdą propagandę. Nie bez powodu mawia się, że co minutę rodzi się kolejny kretyń. Ale nikt w armii czy marynarce nie da się nabrać. Spójrzy tylko na tę dziurę i zaraz będzie wiedział, że użyto broni kinetycznej. Balet może robić różne rzeczy, ale nie da rady spuścić głowicy z orbity z taką precyzją.

Postawił kubek na blacie, otoczył go dłońmi i wpatrzył się w mroczną kawową toń. Najgorsza była inna myśl. Gdy władze ogłosiły, że zniszczenie Wieży Hancock było dziełem Baletu, zaczął się zastanawiać, czy cała ta fala ataków naprawdę była w jakiś sposób związana z Baletem. Nie miał najmniejszego pojęcia, komu innemu mogłoby zależeć na takiej masakrze, ale gadanie, że Balet zdołał przemycić ładunki atomowe przez mesańskie systemy bezpieczeństwa, wywoływało w nim tylko pusty śmiech. A pomyśl, że zrobiwszy to, zaatakowali cele, których zniszczenie musiało spowodować to, co się stało z Hancock i co działo się właśnie w Neue Rostock, jawił się już jako absurdalny. Trudniej było mu przyjąć tylko twierdzenie, że Gwiezdne Imperium Manticore wspierało te zamachy w ramach odwetu za atak na ich układ.

Wiedział, że to bzdura, ponieważ jako kapitan flagowy TF 1 dobrze wiedział, co MSN mogła, a czego nie mogła zrobić. Gdyby nawet Manticore wierzyło święcie we wszystkie swoje oskarżenia, nie potrzebowałyby żadnych terrorystów z bombami pod pachą. Gdyby naprawdę chcieli zniszczyć Mesę, mogliby wysłać parę dywizjonów tych swoich najnowszych superdreadnoughtów zasobnikowych i byłoby po krzyku. To skuteczniejsza metoda, a na dodatek nieobarczona ryzykiem, że staną się potem persona non grata, jak to często się zdarzało na skutek wspierania terroryzmu.

Powiedzmy, że Balet mógł stać się na tyle bezwzględny, aby rozpocząć kampanię obliczoną na takie właśnie efekty, myślał. Niezbyt w to wierzę, ale mogłoby się to zdarzyć. W sumie nie ma jednak znaczenia, kto to zrobił i dlaczego. Ważne są konsekwencje. Zawsze takie same. A ja nic nie mogę z tym zrobić.

Nie wątpił, że Drescher w końcu weźmie Neue Rostock, chociaż krążyły pogłoski, że jak dotąd straciła jedną trzecią sił, które posłała do walki w labiryncie cerametycznych korytarzy. Szczerze mówiąc, był zaskoczony, że jej straty były tak niskie. Jednak istotniejsze było coś innego. Po tym, co stało się z obrońcami Wieży Hancock i co miało spotkać tych z Neue Rostock, doły społeczne nie będą mieć już żadnych złudzeń co do działania służb bezpieczeństwa. Co gorsza, miały okazję się przekonać, że ich funkcjonariusze nie są niezwyciężeni. Że można ich pokonać. I ta świadomość miała już w nich pozostać, a z zasady łatwiej jest zabić człowieka niż ideę.

Po tylu latach urzędowania naszego domu sami podłożyliśmy w nim ogień, pomyślał z rozpaczą. I najgorsze jest to, że świetnie rozumiem, dlaczego biedota i niewolnicy zrównają to wszystko z ziemią. Będę walczył, bo nie mam wyboru, ale gdybym był na ich miejscu?

Zrobiłbym dokładnie to samo.

Westchnął i aż się otrząsnął.

Nie ma to jak zacząć dzień od seansu rozpaczki, powiedział sobie w duchu. Masz jeszcze jakieś mroczne myśli? Ranek wciąż młody!

– Jestem pewien, że generał Drescher zdobędzie Neue Rostock. Jeśli nie teraz, to trochę później – powiedział głośno, spoglądając na Orteę. – Mamy jeszcze coś ciekawego?

– Cóż, słyszał pan o tej solarnej dziennikarce, O’Hanrahan? – spytał Ortega i autentycznie się uśmiechnął.

Akers skinął głową. Znał Audrey O’Hanrahan, a właściwie jej materiały. Jego żona była jej wielką fanką, chociaż na Mesie wszystko pojawiała się oczywiście z opóźnieniem kilku miesięcy. Akers musiał przyznać, że O’Hanrahan rzeczywiście miała talent do wyciągania brudów na światło dzienne. Zastanawiał się, jakim cudem robi to już tak długo. Było naprawdę dziwne, że jak dotąd nie przytrafił się jej żaden fatalny wypadek. Było też pewne, że nie zyskała sobie ostatnio nowych przyjaciół na Mesie.

– Co z nią? – zapytał.

– Najwyraźniej uchwyciła krótką rozmowę, którą odbyła z tym idiotą robiącym tutaj za gościa od kontaktów z mediami.

– Cholera. – Akers mimowolnie aż się skrzywił. – Masz na myśli...?

– Tak, sir. Próbował wcisnąć jej oficjalną linię, a ona rozjechała go jak walcem. – Pierwszy znowu się uśmiechnął. – Podobnie jak on nie wiedziała, że mikrofon był włączony, i pewnie to nawet nie ona puściła potem ten materiał. To było dość okrutne. Mówiła między innymi, że w swoim czasie widziała wiele policyjnych akcji i potrafi poznać, kiedy dowodzenie ludźmi wymyka się spod kontroli. – Ortega przestał się uśmiechać. – A kiedy jest wręcz przeciwnie. I dodała, że te oddziały robiły dokładnie to, co im kazano.

– Gerald, to nie nasi ludzie – powiedział cicho Akers. Mógł policzyć na palcach, ile razy użył imienia Ortegi, i nie musiałby do tego ściągać butów, teraz zaś sięgnął przez stół i położył dłoń na ramieniu pierwszego. – Nie wiem, czym to się skończy. Ale wiem, że nie będzie to nic dobrego. A gdy to już się stanie, nasz układ będzie nas potrzebował. Naszym obowiązkiem jest czekać na jego wezwanie. Na tym powinniśmy się teraz skupić, nie na wydarzeniach w stolicy, na które nie mamy żadnego wpływu.

– Wiem, sir. Wiem. – Ortega pokiwał głową, po czym uśmiechnął się krzywo. – Ta kawa jest

nadal aktualna?

– A tak – przytaknął Akers, sięgając po dzbanek. – Jest nawet śmietanka i...

Jego komunikator odezwał się nagle, ale nie zwykłym sygnałem, tylko wyciem, które mogłoby obudzić umarłego. Chwilę potem na całym okręcie rozległ się alarm bojowy.

Akers zastygł, ale po sekundzie odebrał połączenie.

– Kapitan, słucham! – rzucił ostrym tonem.

– Tu MacKelvey, sir – odpowiedział mu spięty sopran. – Na czujnikach mamy właśnie ślad wyjścia z nadprzestrzeni. Duży.

– Jak duży? – spytał.

– Do tej pory naliczyliśmy sześćdziesiąt, powtarzam, sześćdziesiąt jednostek rozmiarów superdreadnoughta. Nadal próbujemy ustalić całkowitą liczbę obiektów, ale wychodzi nam, że musi ich być blisko trzysta.

ROZDZIAŁ LXXVII



No to już wiedzą, że tu jesteśmy – powiedziała Michelle Henke. – I przypuszczam, że mogą być skonsternowani.

– Zgadzam się, to może być odpowiednie określenie, milady – odparła kapitan Cynthia Lecter takim tonem, że Henke aż się obejrzała.

W tej chwili jej szefowa sztabu pochylała się nad ekranem. Michelle zmarszczyła brwi. W odpowiedzi na propozycję Aivarsa Terekhova wysłała HMS *Xiahou Dun* w awangardzie wzmocnionej Dziesiątej Floty. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Keith Lodwick, dowódca *Xiahou Duna*, powinien znajdować się w układzie Mesy już od czterech dni, ale gospodarze nie mieli prawa o tym wiedzieć. Jego zadanie polegało na bardzo powolnym wyjściu z nadprzestrzeni co najmniej dziesięć godzin świetlnych od gwiazdy centralnej i zbliżaniu się do niej w kamuflażu systemów stealth. Biorąc pod uwagę, na co było stać niszczyciel typu *Roland*, prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy obecność *Xiahou Duna*, było naprawdę nikłe. Musieliby mieć wielkiego pecha, aby ślad ich wyjścia został odnotowany.

Michelle nie przypuszczała, aby doszło do jakichś komplikacji. Miała swoje zasady i prawo Murphy’ego nie było zwykle jej pierwszym skojarzeniem. Terekhov miał rację co do tego, jak mało prawdopodobne było, aby Mesa wykryła przybycie *Xiahou Duna*. Bardzo niewiele systemów gwiazdnych sprawiło sobie podobne systemy czujników jak Manticore, a i one miałyby przy podobnym dystansie spore problemy z wysledzeniem śladu takiego niszczyciela. Było nader wątpliwe, aby prawdziwi władcy Mesy „wyrzucali” pieniądze na zabezpieczenie układu, który w gruncie rzeczy nie był dla nich ważny. Gdy zaś *Xiahou Dun* znalazł się już w normalnej przestrzeni, żadne mesańskie czy solarne czujniki nie miały najmniejszej szansy na przeniknięcie jego maskowania.

Terekhov miał też rację w co najmniej jeszcze jednej kwestii. Informacji o celu nigdy za wiele. Było mało prawdopodobne, aby komandor Lodwick wykrył jakieś czekające na nich zasadzki, chociaż Michelle się nad tym zastanawiała. Wobec przebiegu lutowego ataku nie było to jednak aż tak nieprawdopodobne. Wszystko, co wzbogacało „obraz sytuacyjny”, było przydatne.

Poza tym starała się potwierdzać kowbojską reputację.

– Cynthio? – rzuciła po chwili. Lecter drgnęła i obejrzała się z bardzo dziwną miną, ale nie powiedziała. – Cynthio? – powtórzyła zupełnie innym tonem.

– Ma'am, nie uwierzy pani... – Westchnęła głęboko. – Lodwick posłał parę dronów Ghost Rider w pobliże planety i podłączył się do ich sieci informacyjnej. Nie uwierzy pani, co znalazł.



– To na poważnie, pani admirał? – spytał wytworny mężczyzna widoczny na ekranie admirał Josephine Siminetti.

– Szanowny panie, nie mam zwyczaju żartować z takich spraw – odparła chłodno Siminetti.

Jako starszy oficer Marynarki Wojennej Układu Mesa i dowódca TF 1, czyli miejscowego odpowiednika Home Fleet Królestwa Manticore, Siminetti miała z konieczności aż nazbyt wiele kontaktów z politykami i wcale tego nie lubiła. W tej chwili najchętniej złapałaby Brandona Warda za gardło, po czym zawiązała mu krawat z migdałków.

I nie sądzę, żeby ktokolwiek miał potem do mnie pretensje, pomyślała. Nie teraz. A reperkusje polityczne to w ogóle mogą sobie wsadzić.

– Potwierdzono wykrycie minimum sześćdziesięciu dwóch ekranów o charakterystyce pasującej do superdreadnoughtów – kontynuowała stanowczym głosem. – Może być ich nawet więcej. Mamy zbyt wiele zakłóceń. To normalne zjawisko, gdy okręty o masie pół miliona ton uruchamiają systemy zagłuszania.

Ward skrzywił się, a Siminetti poczuła nieco sadystycznej przyjemności, widząc, jak szef układu Mesa zaczyna rozumieć, co właściwie się dzieje.

– Jeszcze się z nami nie skontaktowali, nie wiemy więc oficjalnie, kim są, ale jestem pewna, że to nie solarni, a to nie zostawia wielkiego wyboru. Jeśli jest to flota Manticore, a nasze raporty są dokładne, to przynajmniej niektóre z tych „superdreadnoughtów” są w rzeczywistości lotniskowcami – ciągnęła. – Zakładając, że jest ich sześć, to daje co najmniej sześćset kutrów. Zgodnie z naszymi szacunkami każdy z nich dysponuje potencjałem bojowym porównywalnym z solarnym niszczycielem typu *War Harvest*. Oczywiście te szacunki opierają się na informacjach od solarnych. Osobiście uważam, że właściwsze byłoby porównanie do lekkiego krążownika. A gdy mowa o krążownikach, jest ich tam co najmniej dwieście. Do tego dochodzi jakieś piętnaście przerośniętych krążowników liniowych Manticore. Jako dowódca TF 1 czuję się w obowiązku przypomnieć, że w naszej flocie mamy dokładnie dwadzieścia pięć krążowników liniowych, z których sześć przechodzi teraz rutynowy przegląd. Moim zdaniem, szanowny panie, jest całkiem

oczywiste, że nawet bez ich przewagi w zasięgu pocisków inkryminowana flota mogłaby zniszczyć całą naszą marynarkę wojenną wyłącznie z użyciem kutrów.

Ward przełknął ciężko ślinę i odwrócił spojrzenie od ekranu. Zastanowiła się, kto mógł mu towarzyszyć. Prawdopodobnie ta idiotka Snyder, ale zawsze istniała możliwość, że Pearson też tam był. Przydałby się choć jeden głos rozsądku przy podejmowaniu oficjalnej decyzji, czy jej załogi będą musiały zginąć. Chociaż po prawdzie nie miało to wielkiego znaczenia. Cokolwiek Ward powie, wobec takiej przewagi ogniowej mogła zrobić tylko jedno. Nie miała zamiaru składać nikogo w ofierze na podobieństwo Gillian Drescher zmuszonej do posłania swoich ludzi tam, gdzie służby bezpieczeństwa zawiodły.

– Nie skontaktowali się jeszcze z wami, pani admirał? – spytał po chwili Ward i Siminetti o mało nie przewróciła oczami.

– Właśnie przed chwilą to powiedziałam – przypomniała. – Nadal znajdują się dziesięć minut świetlnych od orbity Mesy, więc zapewne czekają, aż zmniejszy się opóźnienie. Być może chcą też, żebyśmy porządnie się spocili.

– Czy... to może być operacja skoordynowana z atakami terrorystycznymi? – zapytał znowu Ward i Siminetti roześmiała mu się prosto w twarz.

Spojrzał na nią ze złością.

– Przepraszam – powiedziała, w pewnym sensie naprawdę miały to być przeprosiny. Rozumiała, że powiedział to nie do niej, chociaż nie sądziła, aby kogokolwiek zdołał nabrać na takie numery. Ale póki co był wedle prawa jej przełożonym. – Sir, jeśli to flota Manticore i gdyby zamierzali cokolwiek koordynować, to byłiby tutaj już kilka miesięcy temu – odpowiedziała. – Moim zdaniem sam fakt, że tu są, dowodzi, że nie mieli nic wspólnego z tymi atakami i nasz wywiad się mylił. Skoro byli w stanie zjawić się u nas z taką siłą ognia, to nie marnowaliby czasu na destabilizowanie naszej planety atakami terrorystycznymi.

Ward zacisnął zęby. Zdecydowanie nie to chciał usłyszeć, ale Siminetti nie miała wątpliwości, że sytuacja jest bardzo zła i nie ma co bawić się w gładkie słówka.

– Pani admirał – zaczął ostrzejszym tonem – nie sądzę, aby była pani...

– Przepraszam, ma'am.

Siminetti odwróciła wzrok od ekranu.

– Tak, Fred?

– Mamy sygnał od... intruzów – powiedział komandor Frederick O'Simpson i spojrzał w

kierunku Avery'ego Niranjina, oficera łączności.

– Avery? – spytała Siminetti.

– To na pewno Manticore, ma'am – powiedział. – Ale ekran jest podzielony na dwie części.

– Podzielony?

– Tak, ma'am. To admirał Gold Peak... i admirał Tourville.

– Tourville? – powtórzyła Siminetti z naciskiem. – Ten z Haven?

– Tak, ma'am. I rozmawiają z nami przez coś, co nazywają boją Hermes, która znajduje się jakieś dwadzieścia tysięcy kilometrów od Mesy. Opóźnienie rzędu dziesięciu sekund.

O radosny dniu, pomyślała gorzko Siminetti. Dwa razy tyle superdreadnoughtów, ile my mamy krążowników liniowych. Admirał Haven działa razem z Gold Peak, a ona od niechcenia informuje nas, że naprawdę dysponują łącznością nadświatlną. Co dalej?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie, ale cholernie dobrze wiedziała, co się nie wydarzy. Niezależnie od tego, co powie Brandon Ward i jego banda idiotów, którzy wpędzili ich w to bagno, nie da Gold Peak pretekstu do demonstracji osiągnięć pocisków Royal Manticoran Navy.

– Proszę przekierować naszych gości na mój ekran – powiedziała spokojnie.



– Może pani opanować orbitę Mesy, pani admirał – powiedział człowiek na ekranie Michelle Henke. – Admirał Siminetti mogła zdecydować na własną rękę, dodam, że podda się bez strzału. Zapewniam jednak, że jeśli spróbuje pani wysłać na dół marines, będziemy stawiać opór. To oburzający przykład pogwałcenia międzygwiazdowego prawa! Nie pozostaniemy bezczynni wobec zamachu na naszą niepodległość i zabijania naszych obywateli!

– Panie Ward, może wyjaśnię to i owo – powiedziała po chwili. – Po pierwsze, nie jestem zainteresowana pańską retoryką. Po drugie, wiem dość dobrze, z jakim poświęceniem pan i pańska kasta kleptokratów dbaliście przez lata o interes swoich obywateli. Po trzecie, przyjrzelśmy się, w jaki sposób przedstawicie ostatnie wydarzenia na Mesie. Chyba nie powinnam być zaskoczona, że tak żarliwy obrońca prawdy jak rząd Mesy skłonny był przypisać mojemu krajowi odpowiedzialność za ataki u was. W zasadzie gdyby coś mogło mnie tu zaskoczyć, to gdybyście przypadkiem oznajmili coś prawdziwego. Jeśli doniesienia o zaangażowaniu generała Palane w obronę Neue Rostock są prawdziwe, to świadczy o obecności wysłanników Torch na waszej planecie. Niemniej jak niby generał Palane miałyby przemyścić w bagażu osobistym cały zestaw ładunków atomowych, a następnie rozmieścić je na powierzchni

waszej planety, tego nie umiem sobie wyobrazić. Mogę za to wyobrazić sobie kilka powodów, dla których moja królowa mogłaby zlecić przeprowadzenie niejawnych operacji wywiadowczych na Mesie. Wydaje mi się więc całkiem prawdopodobne, że to właśnie generał Palane daje regularny wycisk waszej armii w Neue Rostock. Na ile ją znam, oczekiwałabym, że w razie potrzeby postawi wszystko na jedną kartę i będzie walczyć w obronie obywateli zagrożonych przez oprawców, których wypuścił pan na ulice stolicy.

Jej zwykle ciepłe spojrzenie było teraz twarde i gniewne. Ward czuł się mocno nieswojo.

– Na szczęście dla pana moje siły przybyły, zanim jeszcze armia pokonała obrońców Neue Rostock. Mówię na szczęście, bo gdybyśmy przybyli za późno i odkryli, że dokonała się już masakra obrońców, oznaczałoby to bardzo nieprzyjemne konsekwencje tak dla pana, jak i dla innych. Niemniej generał Drescher dowiodła, iż jest równie rozsądna jak admirał Siminetti. Jestem teraz w kontakcie z kimś, w istocie najpewniej z panią generał Palane, i ona potwierdza, że siły generał Drescher wycofują się już z Neue Rostock. I to jest jedyny powód, dzięki któremu na dole nie ma jeszcze stu tysięcy żołnierzy Manticore z orbitalnym wsparciem ogniowym w razie potrzeby. Oczywiście ta sytuacja może ulec zmianie, jeśli uznam to za konieczne. Ufam, że wyraziłam się wystarczająco jasno?

– Ale... sto tysięcy? – powtórzył Ward. – To niedorzeczne! Wątpię, aby całe Manticoran Marine Corps liczyło tylu ludzi!

– Czyżbym wspomniała coś o marines? – spytała zimno Michelle. – Zapraszam do kontaktu z kontrolą astro Mesy. Zdaję sobie sprawę, że mają tylko cywilne czujniki, ale jestem pewna, że mogą powiedzieć panu, ile transportowców towarzyszy mojemu zespołowi. Jeśli ma pan jeszcze kogoś w Admiralicji, to on wyjaśni, co to oznacza. Tak dla pańskiej wiadomości: mam ze sobą milion dwustu pięćdziesięciu członków Gwardii Quadrantu Talbott. Może nie są tak dobrzy jak marines, ale biorąc pod uwagę, jak kilka tysięcy potomków niewolników poradziło sobie z waszą elitarną armią, to Gwardia przejdzie przez jej szeregi, nawet ich nie zauważając. Zatem jak, panie Ward, chce pan zostać niechcący zdeptany czy może jednak nie?



– Czy to potwierdzone, Albrechcie? – spytała, gdy podszedł do niej na piaszczystej plaży.

– Obawiam się, że tak.

Westchnął i usiadł na leżaku obok niej. Przez dłuższą chwilę patrzyli w milczeniu na przestwór błękitnego nieba ciągnący się ku karmazynowym odcieniom zachodniego horyzontu.

Jakie to dziwne, pomyślała. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się, ile razy siadywali tak jak teraz, w tym miejscu, patrząc na horyzont, ale nagle z jakiegoś powodu rozpaczliwie chciała to ustalić. Dwa tysiące? Pięć? Może więcej?

Odwróciła się od oceanu i spojrzała na mężczyznę, którego kochała od ponad sześćdziesięciu lat.

– Jak sądzisz, ile razy już tutaj siadywaliśmy? – spytała, a jej miękki głos zgubił się niemal w szumie fal.

– Nie wiem – odparł po chwili. – Wiele razy. Pamiętam, gdy pierwszy raz był z nami Benjamin, a to było... ile? Czterdzieści lat temu? A potem przez jakieś dwanaście lat przyjeżdżaliśmy tu na pikniki, aż w końcu zbudowaliśmy nasz dom.

– Wiem. – Wyciągnęła rękę i delikatnie poklepała go po przedramieniu. – Cieszę się, że znowu usiedliśmy tu razem, kochany.

– Przykro mi. – Jego głos był jeszcze cichszy, ale usłyszała nabrzmiewający w nim smutek. – Przepraszam, kochana. Mówiłem wszystkim, że musimy się spieszyć, ale naprawdę myślałem, że będzie nam dane trochę więcej czasu. Że wystarczy go, aby chociaż ciebie wywieźć.

– A skąd przyszło ci do głowy, że odleciałabym bez ciebie? – Pokręciła głową. – Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedyś nakłoniłeś mnie choć raz do czegoś, czego nie chciałam. I jakoś nie mogę niczego takiego znaleźć.

– Też niczego takiego nie pamiętam – przyznał ze śmiechem. Był to smutny śmiech, ale autentyczny. Dotknął jej dłoni. – Tym razem zaciągnąłbym cię na statek, gdybym wiedział, że to już ostatnia chwila.

– Zatem dobrze, że nie wiedziałeś – powiedziała łagodnym tonem i spojrzała mu w oczy. – To była moja sprawa tak samo jak i twoja. Ale jakkolwiek byłaby ważna, to ty byłeś treścią mojego życia, Albrechcie. I jeśli to życie ma się tutaj zakończyć, to także z twoim udziałem. Nie narzekam. Spójrz mi w oczy, a poznasz, że mówię prawdę.

Spojrzał na nią. Na chwilę i na wieczność. I wiedział.

– Nie wiem, czym na ciebie zasłużyłem – powiedział cicho. Pochylił się, dotknął jej twarzy, ujął ją w dłonie i pocałował delikatnie.

– Skoro o tym mowa, to nie kwestia zasług – odpowiedziała z uśmiechem. – Pewnie po prostu miałeś szczęście.

– Tak, do samego końca.

– Każde szczęście kiedyś się kończy, Albrechcie. Chłopcy i wnuki są już na Dariusie. Ich zdążyłeś wysłać, a zarazem byłeś na tyle mądry, aby od samego początku wprowadzać ich w naszą sprawę. My tego nie zobaczymy, ale oni wiedzą, co robić dalej, tak samo jak ty. A jeśli czasem coś nie wyjdzie, tak jak teraz, no cóż... Zawsze przewidywałeś, że tak może się zdarzyć. Ale wszystkie istotne elementy są już na swoich miejscach, Albrechcie. Są i rosną w siłę. Może potrwa to dłużej, niż sądziliśmy jeszcze kilka lat temu, ale wynik będzie taki sam. I będzie to wynik twojej pracy. Twojej, Albrechcie.

Słuchał jej głosu i wiedział, że ma rację. Czy też, poprawił się w myślach, była z nim całkowicie szczerą. Zawsze byli ze sobą szczerzy, niezależnie od tego, ile masek musieli zakładać dla innych.

Oparł się na leżaku i wsłuchał w szum wiatru i fal, krzyki morskich ptaków. Poczł przyływ zadowolenia. A może i ulgi. Miał świadomość, że jego odcinek sztafety dobiegł końca, i przekazał już pałeczkę następcom. Mógł zostawić synom wykonanie ostatniej części planu.

Sądził, że na tym ostatnim etapie nie sprawił się tak całkiem źle. Wszystkie liniowce zamaskowane jako frachtowce zdołały odlecieć na Dariusza przed przybyciem Gold Peak. Wszystkie, prócz jednego. Ten ostatni tego nie zrobił, a szkoda, bo na pokładzie były ponad cztery tysiące wartościowych członków jądra. W tym także ich przyjaciele. Tylko garstka z nich znała jego prawdziwą tożsamość i może domyślała się, że to on właśnie był Alfą Jeden. Ale i oni nie słyszeli nigdy autentycznego nazwiska jego i Evelyny. To była cena jego dziedzictwa, konieczność związana z bezpieczeństwem operacji, której jego rodzina tak wiele już poświęciła.

Przynajmniej pójdzie szybko, pomyślał z żalem. Gaulowie na statku już tego dopilnują.

Ale oczekiwał, że odbędą się jeszcze co najmniej dwa rejsy z Mesy. Prawie sześć tysięcy członków jądra, którzy nie znaleźli się na liście Marinescu, miało przetrwać. Ale się nie uda. Przebywali w miejscach, które ze względów bezpieczeństwa były całkowicie odizolowane od sieci planetarnej, zatem mała była szansa, aby ktokolwiek tam usłyszał o przybyciu Gold Peak. I dobrze. Czasem lepiej nie wiedzieć.

Pomyślał o rodzicach, którzy bawili się teraz pewnie ze swoimi dziećmi. Kochankach, którzy kradli chwile prywatności. Nauczycielach, lekarzach. Wszyscy czekali na ewakuację i snuli plany na długie życie.

– Naprawdę cię kocham – powiedział cicho, wstając i przysuwając się do jej leżaka. Też wstała i objął ją lewym ramieniem. Oparła o nie głowę, przytuliła policzek do jego szyi. – Tak

bardzo – dodał i pogłaskał ją lewą dłonią po włosach. – Tak bardzo bardzo.

– Wiem – odpowiedziała po prostu. – Zawsze wiedziałam.

– Cieszę się – odparł i przycisnął sensor na małym pudełku, które trzymał w prawej dłoni.



– Admirał Gold Peak!

Krzyk Dominiki Adenauer skłonił Michelle Henke do spojrzenia w stronę stanowiska taktycznego.

– Co? – spytała niecierpliwie.

– Czujniki. – Po raz pierwszy Dominica zdawała się nie znajdować właściwych czy po prostu potrzebnych słów. – To... to... – Przerwała, wzięła głęboki oddech i zebrała się w sobie. – Właśnie odnotowaliśmy serię eksplozji jądrowych, ma'am – powiedziała, patrząc ponad ekranem na Michelle.

– Serię?

– Tak, ma'am. Do większości wybuchów doszło na powierzchni planety, ale co najmniej cztery miały miejsce w przestrzeni kosmicznej. Jedna... – Znowu przerwała na chwilę i zaczerpnęła głęboko powietrza. – Trzy objęły małe stacje orbitalne. Jedna pochłonęła całkiem spory statek kosmiczny. A czwarta... zniszczyła Lagrange One.

Michelle poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Lagrange One był jednym z największych habitatów orbitalnych Mesy. Zgodnie z informacjami w bazach danych zamieszkiwało tam ponad dwa i pół miliona ludzi.

– Słodki Jezu... – szepnął ktoś za nią, ale ona ciągle wpatrywała się w Adenauer.

– Powiedziałas, że większość miała miejsce na powierzchni planety – odezwała się spokojnie. – O ilu mowa?

– Nie mam jeszcze dokładnych danych, ma'am. Chodzi przynajmniej o trzydzieści.

– Trzydzieści? – powtórzyła ostrożnie Cynthia Lecter. Michelle odwróciła głowę. Złotowłosa szefowa sztabu stała tuż obok niej. – Naprawdę trzydzieści?

– Co najmniej – potwierdziła ponurym głosem Adenauer.

– Gdzie? – spytała Michelle. – Jest w tym jakiś wzór?

– Nic, co by się rzucało w oczy.

Komandor Adenauer mówiła już znacznie spokojniej. Michelle jej współczuła. To w dole musiało przypominać kataklizm, który spotkał Sphinksa, jej ojczystą planetę.

– Kilka wygląda na całkiem przypadkowe – ciągnęła Adenauer, spoglądając na swój ekran. Komp wciąż miał dane, szukając prawidłowości i korelacji. – Ta na przykład, największa ze wszystkich, chyba kilka megaton – dotknęła punktu na ekranie – to wyspa pośrodku oceanu. Rezerwat przyrody, zamknięty nawet dla turystów. Dlaczego ktoś miałby wysadzać wyspę?

– Nie mam pojęcia – mruknęła Michelle. – Ale jeśli zmarnowali bombę na bezludną wyspę, to nie zamierzam się skarżyć. Kimkolwiek oni są. Co z innymi?

– Dane wciąż napływają, ma'am. Mogę tylko powiedzieć, że przynajmniej kilka bomb wybuchło w centrach miast. Nie tak dużych jak ta na wyspie, ale i tak sporych. Trudno mi nawet zgadywać, ile będzie ofiar. Jeszcze inne eksplodowały w małych ośrodkach górskich albo odizolowanych kompleksach produkcyjnych na środku prerii. Jedna nawet w stacji meteorologicznej w pobliżu południowego bieguna Mesy! – Potrząsnęła głową. – To nie ma sensu.

– Mylisz się – powiedziała Michelle tak stanowczym tonem, że Adenauer podniosła na nią spojrzenie. – To ma sens... dla kogoś. Nie wiem, kto to jest, i nie wiem, dlaczego to zrobił, ale jestem pewna, że tak właśnie było. I jest to ten sam ktoś, kto jest odpowiedzialny za wybuchy, do których doszło na tej planecie w ciągu ostatnich trzech miesięcy. W każdym z tych miejsc, gdzie doszło do eksplozji, coś było. Coś, co ktoś chciał doszczętnie zniszczyć. I dowiemy się, kto to zrobił i dlaczego to się zdarzyło. Zrobimy to, ponieważ powiem ci, co teraz nastąpi. – Michelle ogarnęła spojrzeniem wszystkich na mostku flagowym. – Ktokolwiek zdetonował te ładunki, wiedział już, że jesteśmy na orbicie. Czekał, aż się tu znajdziemy. A jeśli ludzie na tej planecie byli gotowi obwinić nas o wysłanie terrorystów z Baletu, żeby przeprowadzili zamachy z użyciem broni atomowej, to jak sądzisz, kogo obwinia o to, co właśnie się wydarzyło?

EPILOG



Ciągle nie znamy ostatecznej liczby ofiar – powiedziała cicho Audrey O’Hanrahan, patrząc wprost w obiektyw kamery. Mimo swego doświadczenia nie do końca panowała nad głosem. – Wiemy, że na Lagrange One zginęły prawie trzy miliony ludzi, ale liczba ta może wzrosnąć. Co do pozostałych ataków, dysponujemy tylko bardzo wstępnymi szacunkami, które mówią, że liczba zabitych jest równie duża.

Władze są zaskoczone celami tych barbarzyńskich ataków i pozornie przypadkowym rozrzuceniem ładunków. Jak dotąd nie wyłonił się z tego żaden wzór. Wiemy tylko, że planetarne i orbitalne czujniki odnotowały łącznie trzydzieści dziewięć oddzielnych wybuchów jądrowych w ciągu niecałych dziewięćdziesięciu sekund. Dziewięćdziesiąt sekund, proszę państwa. Mniej niż półtorej minuty. Tyle czasu zajęło zamordowanie co najmniej sześciu milionów ludzi, którzy po prostu wyparowali w trakcie swoich codziennych czynności.

Oczywiście nie wiem, co tu się stało ani kto naprawdę za tym stoi. Wierni widzowie moich programów pamiętają, że zawsze sceptycznie odnosiłam się do kierowanych wobec Manticore oskarżeń o zamach w Green Pines ponad rok temu. A ci, którzy śledzili moje relacje z ostatnich wydarzeń na Mesie, wiedzą też, że nigdy nie zaakceptowałam teorii, jakoby Gwiazdne Imperium Manticore, które zawsze broniło wolności myśli, sumienia i słowa, miało wspierać ataki na podobną skalę. Było dla mnie nie do pomyślenia, aby to właśnie Manticore miało być w jakiś sposób odpowiedzialne za przemoc i śmierć, za tyle tragedii, za tak wielką ofiarę ludzkiego życia. Nie pochwalałam i nie pochwałam faktu, że Mesa popiera niewolnictwo genetyczne. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla handlu ludźmi. Jednak nie da się też niczym usprawiedliwić tego, co się stało na tej planecie. Co w ciągu ostatniego miesiąca zrobiono jej mieszkańcom, niezależnie od ich statusu. Nic nie może uzasadnić takiej przemocy!

I kiedy się zastanawiam, jak do tego doszło, gdy staram się znaleźć jakiś ukryty wzór, jakiś wspólny wątek, pojawia się myśl trudna do przyjęcia. Jak to się stało, że generał Thandi Palane, dowódca wojskowy Królestwa Torch sprzymierzonego z Manticore i Haven, znalazła się ostatnio akurat na Mesie? Jak to możliwe, że obywatele drugiej kategorii, bez przygotowania wojskowego i poddani jednemu z bardziej ścisłych nadzorów w galaktyce, byli w stanie zgromadzić broń i nauczyć się walczyć tak, że przez cały miesiąc potrafili stawiać opór regularnej armii? Jak można

sobie wyobrazić, że Balet przemyciłby na Mesę tyle ładunków jądrowych bez niczyjej pomocy?

Pojawiają się niepotwierdzone pogłoski, że Gwiazdne Imperium angażowało się w destabilizację rządów układowych na Pograniczu. Jestem jednym z tych reporterów, którzy zawsze odrzucali niekończący się strumień podobnych zarzutów kierowanych pod adresem Gwiazdnego Królestwa, ale teraz czuję się zmuszona do zrewidowania mojego podejścia. Hrabina Gold Peak, dowódca Dziesiątej Floty Manticore, i admirał Lester Tourville, jej zastępca z Haven, z oburzeniem zaprzeczyli zaangażowaniu swoich okrętów albo podwładnych w tę katastrofalną serię eksplozji. Naprawdę bardzo chcę im wierzyć. Jeszcze w zeszłym tygodniu zrobiłabym to bez wahania, ponieważ Gwiazdne Królestwo Manticore zawsze cieszyło się dobrą reputacją wśród poważnych dziennikarzy, jako uczciwe i prowadzące transparentną politykę.

Niemniej w czasie, gdy cała galaktyka zdaje się zmierzać wprost do piekła i skłonna jest akceptować coraz większe zniszczenia, i kiedy pojawia się coraz więcej różnych deklaracji i dementi, coraz trudniej jest o prawdę, pewność i dobre odpowiedzi. Gdzie ich zatem szukać?

Tego nie wiem, proszę państwa. Mogę tylko powiedzieć, że gdy eksplozje pustoszyły Mesę, okręty Manticore i Haven znajdowały się już na jej orbicie, lecz nie potrafią wyjaśnić, jak te ataki mogły zostać przeprowadzone bez jakiegokolwiek odnotowanego przez flotę sygnału uprzedzającego.

Ja też nie umiem na to odpowiedzieć. Ale chcę to zrobić. Dwie trzecie mojego dziennikarskiego życia spędziłam na tropieniu korupcji i poszukiwaniu ukrytej pośród kłamstw prawdy, gdyż bez prawdy nie ma mowy o sprawiedliwości. Nie mam zamiaru porzucać tych poszukiwań, niezależnie od tego, jak długo one potrwać i dokąd mnie zawiodą. Mam wielką nadzieję, że nie na Manticore, ale jeśli tak się stanie, to trudno.

Z Mendelu, stolicy Mesy, mówiła do państwa Audrey O'Hanrahan. Proszę, abyście zachowali pamięć wszystkich ofiar tych okrutnych i bezsensownych ataków w swoich sercach i modlitwach. Życzę państwu dobrej nocy.

Cykl *Honor Harrington*

W cyklu *Honor Harrington* dotychczas ukazały się książki:

Placówka Basilisk

Honor królowej

Krótką, zwycięska wojenka

Kwestia honoru

Honor na wygnaniu

Honor wśród wrogów

Więcej niż Honor

W rękach wroga

Honor ponad wszystko

Nie tylko Honor

Popioły zwycięstwa

W służbie miecza

Królowa niewolników

Wojna Honor cz. I i II

Światy Honor

Cień Saganami

Za wszelką cenę cz. I i II

Zarzewie wojny

Bitwa o Torch

Misja Honor

Piękna przyjaźń

Zrodzone w boju

Zwiastuny burzy

Czas ognia

Cień wolności

Wojny treecatów

Początki

Kocioł duchów

Wezwanie do broni

Wezwanie do walki

Cień zwycięstwa